SKARBIEC ARCYDZIEŁ PIŚMIENNICZYCH EUROPY.

Lesage'a.

GIL BLAS
Z SANTILLANY.

PRZEKŁAD T. DZIEKOŃSKIEGO.

ILLUSTRACYA T. A. BEAUCÉ.



WARSZAWA.

Nakładem S. H. MERZBACHA, księgarza.

1853.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

W Warszawie dnia 24 lipca (5 sierpnia) 1853 r.

Cenzor,

Assessor Kollegialny, **J. Hignet.**

569193 III

W Drukarni Stanisława Strąbskiego.



GIL BLAS.

OŚWIADCZENIE AUTORA.

Ponieważ są ludzie, którzy czytając nie mogą się obejść bez wyszukiwania zastosowań charakterów ułomnych lub śmiesznych, jakie napotykają w dziele, oświadczam więc tym przekornym czytelnikom moim, że na nich spadnie wina zastosowania obrazków znajdujących się w téj książce. Wyznaję bowiem otwarcie, że zamierzyłem wystawić życie takie, jakie jest: Boże broń, abym miał rozmyślnie kogoś w szczególności malować. Niech więc żaden z czytelników nie odnosi do siebie tego, co się może z równąż słusznością zastosować do wielu innych; inaczéj, sam się nierozważnie wyda przed światem, jak mówi Fedr: *Stulte nudabit, animi conscientiam* : (głupio na jaw wyda sumienie swoje).

Są w Kastylii, podobnie jak i we Francyi lekarze, których metoda zbyt szczodrze szafuje krwią chorych. Wszędzie ujrzysz te same wady, napotkasz takie same oryginały. Przyznaję, że nie zawsze z należytą ścisłością przedstawiałem obyczaje Hiszpanów: ci, którym nietajne jest życie aktorek madryckich, mieliby prawo zarzucać, iż niedość wybitnych dobierałem barw na odmalowanie ich rozwiązłości; zdało mi się wszakże przyzwoitém, złagodzić je nieco, dla zastosowania się do naszych obyczajów.

Gil Blas do czytelnika.

Nim posłuchasz historyi życia mojego łaskawy czytelniku, zwróć na chwilę uwagę na powiastkę, którą ci powtórzę.

Dwóch uczniów wędrowało z Peniafil do Salamanki. Zmordowani i pragnieniem udręczeni zatrzymali się nad brzegiem zdroju, który idąc napotkali. Ugasiwszy pragnienie spoczęli i trafem spostrzegli kamień równo z ziemią leżący, na którym znać było jakiś napis biegiem czasu i nogami bydła do wody pędzonego zatarty. Wzięli się więc do mycia i wyczytali po kastylsku: *Aqui esta encerrada el alma del licenciado Pedro Garcias.* — Tu jest zamknięta dusza licencyata Piotra Garcyasa.

Młodszy z tych uczniów żywy i płochy, ledwie przeczytał napis, począł się śmiać do rozpuku, mówiąc: a to prawdziwie zabawne! tu jest zamknięta dusza!... dusza

zamknięta!.. ciekawy byłbym wiedzieć, co to za dziwak taki nagrobek sobie położył. To rzekłszy, wstał i zabrał się w dalszą drogę. Towarzysz jego rozważniejszy, pomyślił sobie: jest w tém pewnie coś tajemniczego, ja to muszę wyjaśnić. Nie zatrzymując więc kolegi, dobył noża i zaczął odgrzebywać kamień, i póty pracował, póki go nie wydobył. Pod kamieniem znalazł worek skórzany, a w nim sto dukatów i kartkę z temi wyrazami w języku łacińskim: „Ty, który miałeś dosyć przezorności do odgadnięcia myśli napisu, bądź moim spadkobiercą i lepiéj odemnie użyj tych pieniędzy.“ Uradowany tém odkryciem uczeń położył napowrót kamień i udał się do Salamanki z duszą licencyata.

Ktokolwiek jesteś czytelniku łaskawy, będziesz podobny do jednego z tych uczniów. Czytając moje przygody, jeżeli nie będziesz baczył na moralne zasady, jakie się w nich zawierają, nie odniesiesz żadnéj korzyści; ale czytając je z uwagą, znajdziesz w nich wedle prawidła Horacego, pożytek z zabawą.

Przypisek wydawcy. — Idzi Blas ogłoszony już był w przekładzie polskim w Wilnie 1850.

Zdało mi się wszakże rzeczą przyzwoitą postarać o nowe tłumaczenie dla niniejszego zbioru: dlaczego? każdy łatwo domyśli się, skoro ze dwie stronnice dawnego tłumaczenia porówna z nowém. Obok tego wszakże nadmienić winienem, że nowy tłumacz uznał za rzecz przyzwoitą zachować miano bohatera powieści takie, jakie jest w oryginale, *Gil Blas*. Naprzód dlatego, że jest znane powszechnie, przynajmniéj od tych, co się więcéj zajmują literaturą powieściarską; powtóre, że sam autor go nie tłumaczył, bo gdyby go chciał miéć Idzim Błażejem, byłby go w swoim języku napisał Gilles Blaise.

KSIĘGA PIERWSZA.

Rozdział I.

Urodzenie Gil Blasa i jego wychowanie.

Blas z Santillany, ojciec mój, spędziwszy niemały czas pod bronią w służbie monarchy hiszpańskiego, wrócił do miasta rodzinnego. Tu wszedł w związki małżeńskie z córką niezamożnego mieszczanina, która już przeżyła wiosnę swojéj młodości. W dziesięć miesięcy po ślubie ujrzałem światło dzienne. Późniéj rodzice moi osiedli w Oviedo i ujrzeli się zmuszonemi wejść w obowiązki: matka moja została pokojową, a ojciec koniuszym. Że zaś całym majątkiem były ich zasługi, zostawał więc dla mnie widok nienajlepszego wychowania, gdybym na szczęście nie miał w tém mieście wuja kanonika. Nazwisko jego było Gil Perez. Był on starszym bratem mojéj matki, a moim ojcem chrzestnym. Wystawcie sobie człowieka nizkiego wzrostu, trzy i pół stopy nieprzechodzącego, nadzwyczaj otyłego, z głową między ramionami zagrzęzłą, a będziecie mieli obraz mojego wuja. Zresztą byłto człowiek, który jedynie o tém myślił, jakby dobrze żyć, tojest smaczno zajadać; prebenda zaś wcale niezgorsza, dostarczała mu środków ku temu.

Wziął on mnie do siebie w dziecinnym jeszcze wieku i podjął się mojego wychowania. Zdałem mu się dość pojętnym i dlatego postanowił kształcić mój umysł. Kupił mi abecadło i zamierzył sam nauczyć mię czytać, co niemniéj było korzystne dla niego, jak dla mnie; ucząc mnie bowiem poznawania głosek, sam się zabrał do czytania, które dosyć zaniedbał aż dotąd; w skutek tego, przy usilnéj pilności doszedł takiéj wprawy, iż płynnie czytał swoje modły, czego przedtém nie było. Miał on wielką ochotę uczyć mnie łacińskiego języka, boćby przez to oszczędził kilka groszy; lecz niestety! biedny Perez w życiu swojém piérwszych nawet początków tego języka nie umiał; byłto może w całéj kapitule największy nieuk, chociaż za pewność twierdzenia mojego nie ręczę. Cichaczem téż szeptano, że bynajmniéj nie nauka utorowała mu drogę do beneficyum, lecz winien je wdzięczności jakichciś poczciwych zakonnic, których był ponfałym pełnomocnikiem, a które wpływami swojemi wyjednały mu święcenie bez poprzedniego examinu.

Musiał więc powierzyć mnie nauczycielowi i wybrał do tego obowiązku doktora Godinez, który uchodził za najbieglejszego pedanta w całém Oviedo. Korzystałem z jego nauki, tak dalece, że w końcu piątego czy szóstego roku, rozumiałem niezgorzéj autorów greckich, a dość dobrze poetów łacińskich. Przykładałem się téż do logiki i nauczyłem się szeroko rozprawiać. Tak polubiłem rozprawy, że zatrzymywałem przechodniów znanych i nieznanych i rzucałem im przedmiot do rozprawy. Niekiedy zaczepiałem uczonych próżniaków, którzy się o to wcale nie gniewali; wtedy trzeba było widzieć nas rozprawiających! jakie szamotanie się! jakie miny! jakie wykrzywiania twarzy! oczy iskrzące, usta zapienione, wziąłbyś nas raczéj za opętanych, niż za filozofów.

Tym sposobem przecież zyskałem w mieście wziętość mędrca. Wuj mój rozpływał się z radości, bo myślił sobie, iż niedługo pozbędzie się tego ciężaru. „Otóż mój Gil Blas, rzekł raz do mnie: wiek twój dziecinny już przeszedł, masz teraz siedmnaście lat, jesteś niepospolitym chłopakiem, trzeba cię pchnąć w świat. Ja myślę posłać cię do uniwersytetu w Salamance; przy zdolnościach jakie w tobie widzę, nietrudno ci będzie znaléźć dobre miejsce. Dam ci kilka dukatów na drogę, mojego muła, który także wart najmniéj dziesięć do dwunastu luidorów; sprzedasz go w Salamance i użyjesz tych pieniędzy na swoje utrzymanie, póki nie uzyskasz jakiéj posady.

Nie mógł mi wuj nic przyjemniejszego w życiu zwiastować; oddawna bowiem pałałem żądzą poznania świata. Jednakże potrafiłem panować nad sobą do tego stopnia, iż ukryłem radość moję. Skoro więc nadeszła chwila odjazdu, udaną boleścią z powodu rozłączenia się z wujem, któremu tyle zawdzięczałem, tak rozczuliłem poczciwego wujaszka, iż mi dał więcéj pieniędzy, niżby był wyliczył zajrzawszy do głębi serca mojego. Pożegnałem się także z rodzicami, którzy mi nie skąpili przestróg. Nadewszystko zalecali mi abym się modlił za mojego wuja, abym żył uczciwie, nie mieszał się w złe rzeczy, a osobliwie téż, abym nie pragnął cudzego dobra. Nagadawszy się do woli, obdarzyli mię swojém błogosławieństwem, jedynym skarbem, którego od nich spodziewać się mogłem. Poczém siadłem na muła i opuściłem miasto.

Rozdział II.

O strachu jaki miał zbliżając się do Peniaflor, — co zrobił przybywszy do tego miasta i z kim jadł wieczerzę.

Otóż już wyjechałem z Oviedo, jestem na drodze do Peniaflor, wśród pola, pan własnéj woli, nędznego muła i czterdziestu dukatów, nie licząc w to kilkunastu realów, które skradłem wielce szanownemu wujaszkowi. Naprzód zostawiłem mułowi całą swobodę, pozwalając mu wlec się noga za nogą; założyłem mu uzdę na szyję, a dobywszy z kieszeni dukaty, począłem je liczyć i przeliczać w kapeluszu. W życiu mojém nie widziałem tyle pieniędzy odrazu, dlatego nie mogłem się nacieszyć ich widokiem. Już może dwudziesty raz je liczyłem, gdy nagle mój muł podniósł łeb i strzygąc uszami, wstrzymał się na drodze. Sądząc że się czegoś stracha, obejrzałem się na wszystkie strony i spostrzegłem leżący na ziemi kapelusz, a na nim różaniec, i w téjże chwili usłyszałem głos żałosny odzywający się w te słowa: „Panie! miéj litość nad biednym żołnierzem kaleką, rzuć łaskawie kilka groszy w ten kapelusz, a Bóg cię nagrodzi w przyszłém życiu.“ Zwróciwszy oczy w stronę, z któréj ów głos mnie dochodził, spostrzegłem pod krzakiem o dwadzieścia lub trzydzieści kroków

odemnie człowieka, niby to żołnierza, który na dwóch kijach na krzyż ustawionych oparłszy koniec flinty, jak mi się zdało, dłuższéj od dzidy, wprost do mnie mierzył. Drgnąłem na ten widok, bałem się o moje mienie kościelne, szybko więc powściągnąłem muła, a ściskając moje dukaty, dobyłem z kieszeni kilka realów, przystąpiłem do kapelusza przeznaczonego na przyjęcie jałmużny od bogobojności zastraszonéj, spuszczałem jeden po drugim, aby mu dać poznać, że z nim wychodzę szlachetnie. Zadowolony moją szczodrotą powtórzył swoje błogosławieństwo tyle razy, ile razy ja uderzyłem w bok mojego muła, by go znaglić do prędszego oddalenia się z tego miejsca; lecz przeklęte bydlę naigrawało się z mojéj niecierpliwości i łazło noga za nogą jak przedtém: przez długie lata przywykło chodzić stępo pod moim wujem, zapomniało biegu cwałem.

Z téj pierwszéj przygody nienajlepiéj wróżyłem o dalszéj drodze. Pomyśliłem, że jeszcze daleko do Salamanki, że mogę mieć gorsze jeszcze spotkania. Zdało mi się, że wujaszek mój bardzo nierozsądnie postąpił, że mnie nie oddał w ręce jakiego mułowodzcy; ale on sądził, że dając mi muła, zmniejszy tym sposobem koszta mojéj podróży; a to go daleko więcéj zajmowało, niż wszelkie niebezpieczeństwa na jakie mogłem być narażony. Dla naprawienia więc błędu wujowskiego, postanowiłem sprzedać muła, skoro tylko przybędę do Peniaflor, ztamtąd ugodzić mułowodzcę do Astorgi i wreszcie tym samym sposobem dostać się do Salamanki. Chociaż nigdy noga moja nie postała za bramami Oviedo, znałem przecież nazwiska miast, przez które mi wypadało przejeżdżać, zasięgnąwszy pierwéj potrzebnych w tym celu wiadomości.

Przybyłem szczęśliwie do Peniaflor i zatrzymałem się przed bramą domu zajezdnego dość pięknego z pozoru. Ledwie postawiłem nogę na ziemi, zaraz wybiegł właściciel i przyjął mnie z największą uprzejmością, sam zdjął tłomok, wziął go na ramię i poprowadził mnie do numeru, a tymczasem służący zawiódł muła do stajni. Mój gospodarz było największy gaduła w całéj Asturyi, pochopny do opowiadania swoich interesów i równie ciekawy dowiedzieć się cudzych. Oświadczył mi że się nazywa Andrzej Korkuelo, że długo służył w wojsku królewskiém w stopniu sierżanta, że przed piętnastą miesiącami opuścił służbę, by wejść w związki małżeńskie z dziewicą z Kastropol, która choć dosyć śniada, ma jednak tyle szczęścia, że butelki szybko się wypróżniają. Tyle mi jeszcze innych rzeczy nagadał, że mogłem wybornie obejść się bez tych wiadomości. Po takiém zwierzeniu się serdeczném, sądząc iż ma prawo wymagać odemnie wszystkiego, zapytał się zkąd jadę, dokąd się udaję i kto jestem. Na co trzeba było odpowiedzieć punkt na punkt, bo za każdém pytaniem kłaniał się jak najuniżeniéj, przepraszał z niesłychaném uszanowaniem za swoję ciekawość, a to mnie skłaniało do jéj zaspokojenia. Tym sposobem wdałem się w długą gawędę w któréj miałem sposobność napomknienia o moim zamiarze i powodach pozbycia się muła, a ugodzenia mułowodzcę. Pochwalił moję myśl, ale także nie w krótkich wyrazach, owszem szerokiemi słowy rozwodził się nad przygodami, jakie mnie spotkać mogą w drodze; poparł je przytoczeniem smutnych przypadków rozmaitych wędrowników. Rozumiałem że nie skończy swoich powiastek; skończył przecież oświadczając, że skoro chcę sprzedać mojego muła, on mi nastręczy uczciwego rostrucharza, który go kupi. Z radością przyjąłem to oświadczenie, prosząc by posłał po niego; on tymczasem sam natychmiast pospieszył.

Wrócił wkrótce w towarzystwie owego człowieka, którego poczciwości nachwalić się nie mógł. Wyszliśmy wszyscy trzéj na podwórze, gdzie wyprowadzono mojego muła. Przeprowadzono go przed rostrucharzem kilka razy tam i napowrót, a on tymczasem przypatrując się, uważał każdą część zwierzęcia od kopyta począwszy aż do łba. Niemało wad wykrył, w gruncie rzeczy trudno było coś dobrego o nim powiedzieć, ale choćby to był muł ze stajni królewskiéj, jeszczeby on znalazł w nim coś do przygany. W końcu zapewnił mnie, że muł mój ma wszystkie wady, jakie tylko tego rodzaju zwierzę mieć może, a na poparcie swojego twierdzenia odwołał się do świadectwa gospodarza, który zapewne nie bez powodu przyświadczył. A więc, rzekł ozięble rostrucharz: „za ile pan myślisz sprzedać to nędzne bydlę?" Nasłuchawszy się pochwał, jakiemi obsypał mojego muła, bacząc na przyświadczenie p. Korkuelo, którego uważałem za człowieka rzetelnego i znawcę, byłbym go oddał darmo; rzekłem więc do kupca, że się spuszczam na jego uczciwość, niech sumiennie oceni bydlę, a ja przystanę chętnie na podaną przez niego wartość. Przybrawszy więc minę uczciwego człowieka, odpowiedział mi, że wspominając jego sumienie, uderzam w najsłabszą jego stronę. W istocie nie było to w nim najsilniejsza strona, bo zamiast oznaczyć cenę dziesięciu lub dwunastu łujdorów, jak mój wuj, on nie wstydził się wyrzec trzy dukaty, które ja przyjąłem z taką radością, jak gdybym najwięcéj zyskał na tym targu.

Pozbywszy się tak korzystnie muła, gospodarz mój zaprowadził mnie do mułowodzcy, który nazajutrz wyjeżdżał do Astorgi. Mułowodzca oświadczył mi, iż przed świtem ruszy w drogę, że mnie wczas obudzi. Ułożyliśmy się o cenę muła i żywności, a skończywszy interes wracałem z Korkuelą do zajazdu, który mi w drodze zaczął opowiadać historyą tego mułowodzcy. Wygadał wszystko, co tylko o nim mówiono w mieście. Już zaczął na nowo dręczyć mnie swoją gadaniną, gdy wtém na moje szczęście jakiś dorodny mężczyzna przerwał mu mowę, przystępując doń z wielką grzecznością. Zostawiłem ich, a idąc daléj ani mi wpadło do głowy, żebym miał być przedmiotem ich rozmowy.

Przybywszy do zajazdu, zażądałem wieczerzy; a ponieważ było dzień postny, zajęto się więc przyrządzeniem potrawy z jaj. Gdy się koło tego krzątano, ja tymczasem wdałem się w gawędkę z gospodynią, któréj dotąd nie widziałem. Zdała mi się dosyć przyjemną, a jéj obejście się było tak miłe, że gdyby mię nawet gospodarz nie uprzedził, byłbym się łatwo domyślił, że téj karczmie nie brakło gości. Skoro jedzenie było gotowe, siadłem sam jeden do stołu. Jeszczem pierwszego kąska do ust nie doniósł, gdy wszedł gospodarz z tym co go zatrzymał na ulicy. Było mężczyzna około trzydziestu lat wieku mający, z długą szpadą przy boku. Zbliżył się do mnie z miną niespokojną. „Panie uczniu, rzekł, dowiadujęsię, że pan jesteś Gil Blas z Santyllany, ozdoba miasta Oviedo, pochodnia filozofii. Czyż podobna, abyś miał być tym arcy mędrcem, tym rzadkim talentem, którego sława tak głośna w tym kraju? Nie wiecie, mówił zwracając się do gospodarza i gospodyni, wcale nie wiecie kogo macie u siebie; jestto nieoszacowany skarb w waszym domu: przypatrzcie się, ten młody szlachetny człowiek jest prawdziwy ósmy cud świata. Poczém zwracając się do mnie, rzuca mi się na szyję, mówiąc: darmo mojemu uniesieniu, nie mogę pohamować radości, jaką mi obecność twoja sprawia."

Nie mogłem mu nic odpowiedzieć w téj chwili, bo mi tchu brakło wśród jego uścisków, dopiéro gdy mi uwolnił głowę, odezwałem się doń: „Panie, wcale nie spodziewałem się aby imię moje znane było w Peniaflor." „Jakto znane! odparł w tym samym tonie, my utrzymujemy spis wszystkich wielkich mężów, którzy się znajdują o dwadzieścia mil dokoła. Uważamy cię tu za zjawisko, i nie wątpię bynajmniéj, że przyjdzie czas, w którym Hiszpania chlubić się będzie, że cię na świat wydała, podobnie jak Grecya szczyci się swoimi mędrcami. Po tych wyrazach nastąpiło nowe serdeczne uściskanie, które musiałem wytrzymać z narażeniem się nawet na los Anteusza. Gdybym miał choć cokolwiek doświadczenia, a zapewne nie byłbym się wystawił na igraszkę jego pochlebstw i przesadnych wyrażeń: po tych pochwałach bez granic, byłbym łatwo poznał, że to jest jeden z tych pasibrzuchów, których pełno po wszystkich miastach, którzy za przybyciem każdego cudzoziemca wkradają się do jego względów, aby się kosztem jego nasycić; lecz młodość i próżność moja wcale co innego mi poddawały. Mój wielbiciel zdał mi się uczciwym człowiekiem, zaprosiłem go więc do swojéj wieczerzy. Bardzo chętnie, rzekł, wdzięczny jestem mojéj gwiaździe, że mi nastręczyła sposobność spotkania się z szanownym Gil Blas z Santyllany

i dlatego pragnę jak najwięcéj korzystać ze szczęsnego losu. Nie mam wprawdzie wielkiego apetytu, mówił daléj, i siądę do stołu jedynie dla towarzyszenia panu, a przez grzeczność skosztuję jedzenia."

To mówiąc, mój wielbiciel zajął miejsce naprzeciw mnie, i gdy mu podałem przyrządzoną potrawę, z taką chciwością rzucił się na nią, jak gdyby od trzech dni nic nie jadł. Sądząc z jego sposobu wzięcia się, pomiarkowałem, że półmisek wkrótce będzie pusty. Kazałem podać drugi, który tak szybko przyrządzono, że zaledwie kończyliśmy, czyli raczéj zaledwie on kończył piérwszy, już drugi stał na stole. Zmiatał go z niemniejszą szybkością, a nie tracąc ani jednego poruszenia zębów, potrafił jeszcze darzyć mnie pochwałą za pochwałą, co mi go bardzo miłym czyniło. Popijał także bardzo często, spełniając kielichy to za moje zdrowie, to za zdrowie mojego ojca i matki, nie mogąc się dosyć wydziwić ich szczęściu, że mają podobnego syna. Zarazem nalewał i mnie zachęcając, abym się nie dał wyprzedzać. Ja téż nieźle odpowiadałem na jego wiwaty, przez co równie jak przez jego pochwały tak wesołego nabrałem humoru, że widząc drugi półmisek przez połowę wypróżniony, zapytałem się gospodarza, czy nie ma ryb. Pan Korkuelo, który zdaje się był w porozumieniu z pasibrzuchem, odpowiedział: „mam wybornego pstrąga, ale musi dobrze zapłacić, kto go zechce jeść, jestto za delikatny specyalik dla was. Co to nazywasz zbyt delikatnym specyalikiem? zawołał dobitniejszym głosem mój pochlebca nie zastanowiłeś się nad tém coś powiedział mój przyjacielu; wiédz o tém, że niéma nic nazbyt delikatnego dla pana Gil Blas z Santyllany, którego należy przyjmować jak księcia jakiego.

Kontent byłem, że w ten sposób podchwycił ostatnie wyrazy gospodarza, bo mnie w tém wyręczył. Obrażony, dumnie ozwałem się do Korkuelo: „podaj tu twojego pstrąga, a nie troszcz się o resztę." Gospodarz, który na to tylko czekał, wnet przyrządził rybę i zastawił ją nam. Na widok nowéj potrawy zabłysły radością oczy mojego pochlebcy, objawił znowu swoję grzeczność, tojest rzucił się na rybę z takim zapałem, jak to zrobił z poprzedzającą potrawą; musiał jednak kapitulować z obawy przypadku, bo już miał po dziurki. Wreszcie napiwszy się i najadłszy do syta, chciał skończyć tę komedyą. „Panie Gil Blas, odezwał się do mnie wstając od stołu, uraczyłeś mnie wybornie, jestem zbyt zadowolony, abym ci nie miał dać ważnéj przestrogi, któréj zdaje się bardzo potrzebujesz. Miéj się odtąd na baczności przed pochwałami. Strzeż się ludzi, których dobrze nie znasz. Możesz łatwo natrafić innych, którzy podobnie jak ja, zechcą się bawić kosztem twojéj łatwowierności, a może nawet daléj rzeczy posuną; nie bądź ich igraszką, na zasadzie ich wyrazów nie poczytuj się za ósmy cud świata." To rzekłszy rozśmiał mi się w oczy i poszedł.

To szyderstwo tak mnie przebodło, jak późniéj najcięższe przygody, których doznałem. Nie mogłem się uspokoić, żem się dał uwieść tak haniebnie, czyli inaczéj mówiąc, żem czuł dumę moję poniżoną. Toż więc, myśliłem sobie, ten zdrajca naigrawał się ze mnie? To on dlatego zaczepił mojego gospodarza, aby go wymacał, albo raczéj, aby się z nim na mnie zmówił. Ho! biédny Gil Blas zgiń ze wstydu, żeś temu hultajowi dał słuszny powód do drwienia z siebie. Niezawodnie oni ułożą z tego piękną powiastkę, która może dojść aż do Oviedo i tam ci piękny zrobi zaszczyt. Rodzice twoi żałować będą swojéj przemowy; lecz zamiast przestrzegać mnie, iżbym nikogo nie oszukiwał, lepiejby byli zrobili zwracając moję uwagę, iżbym się miał na ostrożności przed zwodzicielami. Miotany tak dręczącemi myślami, przejęty wstydem do żywego, zamknąłem się w mojéj izbie i rzuciłem się na łóżko; niepodobna mi było wszakże zasnąć, i oka jeszcze nie zmrużyłem, kiedy mułowodzca przybył z uwiadomieniem, że już tylko na mnie czeka. Zerwałem się natychmiast i gdym się ubierał, Korkuelo wszedł z rachunkiem, w którym nie opuścił pstrąga; nietylko musiałem tańczyć jak zagrał, ale oddając mu pieniądze téj jeszcze doznałem zgryzoty, iż wyraźnie widziałem, że łotr pamiętał dobrze moję przygodę. Zapłaciwszy doskonale wieczerzę, któréj strawić nie mogłem, udałem się do mułowodzcy z tłomoczkiem, polecając wszystkim djabłom pasibrzucha, gospodarza i zajazd.

Rozdział III.

O pokusie, która mułowodzcę nagabała w czasie podróży; jakie ztąd były skutki i jak Gil Blas wpadł w charybdę stroniąc od Scylli.

Nie byłem ja sam z mułowodzcą; w towarzystwie mojém było dwoje dzieci z Peniaflor, mały śpiewak z Mordoniedo, który szukał szczęścia po świecie, młody mieszczanin z Astorgi wracający z młodą małżonką, którą zaślubił w Verco. Wkrótce zaznajomiliśmy się wszyscy i każdy powiedział, zkąd pochodzi i dokąd dąży. Nowozamężna choć młoda, była tak śniada i tak niemiła, żem nie miał żadnéj przyjemności patrzéć na nią: lecz jéj młodość i dobra tusza, takie wrażenie zrobiły na mułowodzcy, iż postanowił zabiegać o jéj względy. Przez cały dzień rozmyślał nad swoim zamiarem i wykonanie jego odłożył do ostatniego noclegu. Byłoto w Kokobelos. Stanęliśmy w piérwszéj karczmie przy wjeździe, która do wsi raczéj, niż do miasta należała, a gospodarz jéj znany był mułowodzcy jako człowiek usłużny i wierny w zachowaniu tajemnicy. Postarał się nam o izbę ustronną i pozwolił nam spokojnie posilić się; lecz w końcu wieczerzy ujrzeliśmy go wchodzącego z miną rozżarzoną. Do wszystkich czartów! krzyknął, okradziono mnie. Miałem w trzosie skórzanym sto luidorów; muszę je wynaléźć. Idę do sędziego miejskiego, który nie lubi w takich razach żartować i wszyscy razem pójdziecie na torturę, póki nie wyznacie zbrodni i nie zwrócicie pieniędzy. To rzekłszy wyszedł, a my wszyscy stanęliśmy w osłupieniu.

Nikomu nie wpadło na myśl, że to mogło być zmyślenie, bośmy się nie znali dostatecznie, aby jeden za drugiego mógł ręczyć. Co gorsza, ja miałem w podejrzeniu małego śpiewaka, tak jak on może o mnie toż samo myślił. Zresztą wszyscyśmy byli młodymi półgłówkami; nie wiedzieliśmy jakie jest postępowanie sądowe w podobnym przypadku, uwierzyliśmy prostodusznie, że nas zaraz pociągną na ławicę. Tak więc pędzeni strachem uciekliśmy czémprędzéj z izby, jeden wypadł na ulicę, drudzy do ogrodu, każdy w ucieczce szukał zbawienia. Młody mieszczanin z Astorgi na samo wyobrażenie tortury, drżąc ze strachu, zemknął jak drugi Eneasz, nie troszcząc się wcale o swoję małżonkę. Wtedy mułowodzca jak się późniéj dowiedziałem, mniéj wstrzemięźliwy jak jego muły, uradowany, że mu się wybieg udał według jego życzenia, udał się do młodéj mieszczanki, zaczął się przechwalać ze swoim podstępem i usiłował korzystać z pory. Tymczasem nowa Lukrecya asturyjska, któréj obmierzła postać mułowódzcy siły dodawała, silnie się broniła i poczęła przeraźliwie krzyczéć. Straż nocna trafem w téj chwili w bliskości karczmy znajdująca się, na którą zawsze baczne miała oko, weszła natychmiast i pytała się o przyczynę krzyku. Gospodarz był wówczas w kuchni i głośno śpiewając, udawał, że nic nie słyszy, musiał jednak poprowadzić dowódzcę i jego oddział do izby, z któréj krzyk wychodził. Właśnie w samą porę przybyli: Asturyanka już utraciła siłę. Dowódzca straży człowiek nieokrzesany, gburowaty, spostrzegłszy o co rzecz idzie, przyłożył z pięć lub sześć razy do grzbietu rozmiłowanego mułowódzcy drzewce swojéj halabardy, przemawiając doń w wyrazach niemniéj wstyd rażących, jak sama czynność o którą chodziło. Ale nie na tém koniec: pochwycił winowajcę i poprowadził go do sędziego miejskiego wraz z oskarżycielką, która nie bacząc na nieporządek w jakim się znajdowała, chciała koniecznie sama przedstawić sędziemu niegodziwość téj napaści. Sędzia wysłuchał jéj cierpliwie, a rozważywszy sprawę, uznał, że oskarżony nie zasługiwał na przebaczenie. Kazał go więc natychmiast obnażyć i chłostać w jéj przytomności; poczém zawyrokował, że jeżeliby nazajutrz mąż Asturyanki nie pojawił się, dwaj strażnicy na koszt winowajcy odprowadzą ją do Asturyi.

Co do mnie, więcéj może od innych przerażony, dostałem się na pole; przebiegłem, sam już nie wiem jaką przestrzeń pól i zarośli, przeskakując wszystkie rowy jakie napotkałem,

wreszcie zbliżyłem się do lasu. Już tylko co miałem się skryć w najgęstsze zarośla, gdy wtém dwaj jeźdzcy zabiegli mi drogę, wołając, kto idzie? Nowém zjawiskiem spłoszony, nie wiedziałem co powiedzieć, oni zaś zbliżywszy się, przyłożyli mi pistolety do piersi rozkazując, abym ich objaśnił, kto jestem, zkąd przybywam, co chcę robić w tym lesie, zalecając, abym nic nie zataił. Na taki sposób badania, który zdał mi się równać torturze, którą nas mułowodzca tak uraczył, odpowiedziałem, że jestem młodym człowiekiem z Oviedo, że się udaję do Salamanki, że bojąc się tortury, którą mi zagrożono, uciekłem. Parsknęli śmiechem na to objaśnienie, widząc w niém głupotę moję, a jeden z nich rzekł: uspokój się mój przyjacielu, pójdź z nami, nie lękaj się niczego, my cię zaprowadzimy w miejsce bezpieczne. Kazał mi więc siąść na koń za siebie i ruszyliśmy w las.

Nie wiedziałem co myśleć o tém spotkaniu, nic atoli złego nie przypuszczałem. Gdyby to byli złodzieje, myślałem sobie, toby mnie obdarli, a może i zamordowali; musząto być poczciwi ludzie z tych stron, którzy widząc mnie zastrachanego, zlitowali się i przez ludzkość prowadzą mnie do siebie. Niedługo jednak byłem w téj niepewności. Po kilku zawrotach w milczeniu odbytych stanęliśmy u podnóża pagórka i pozsiadaliśmy z koni. Tu jest nasze mieszkanie, ozwał się jeden z jeźdźców. Naprożno oglądałem się na wszystkie strony, nie widziałem ani domu, ani szałasu, ani najmniejszego śladu pomieszkania. Tymczasem dwaj ci ludzie podnieśli wielkie wrota z drzewa, osłonione chrustem, które zakrywały długi, podziemny kurytarz. Konie same tam wbiegły, jako już przyzwyczajone, mnie zaś jeźdzcy wprowadzili z sobą, spuściwszy wrota za pomocą lin umyślnie do tego przyrządzonych; otóż godny siostrzeniec szanownego wuja Perez jak szczur w łapkę złowiony.

Rozdział IV.

Opis podziemia i co tam widział Gil Blas.

Teraz już wiedziałem pomiędzy jakiemi ludźmi się znajduję, i każdy łatwo pojmie żem o dotychczasowym strachu zupełnie zapomniał. Większa trwoga i słuszniejsza opanowała mój umysł; przekonany byłem, że tu trzeba pożegnać się z życiem i dukatami. Postępowałem więc pomiędzy moimi przewodnikami jako ofiara, którą wiodą przed ołtarz, byłem już prawie zmartwiały, ci zaś czując moje drżenie naprożno zachęcali mnie abym się niczego nie lękał. Przebywszy około dwieście kroków w rozmaitych zakrętach, raz po raz głębiéj zstępując, weszliśmy do stajni, którą oświecały dwie potężne lampy żelazne, zawieszone u sklepienia. Był tam niemały zapas słomy i kilka beczek jęczmienia. Dwadzieścia koni mogło się pomieścić wygodnie, ale wtedy były tylko te dwa, które z nami przybyły. Stary murzyn, ale jeszcze dość rzeźwy, przywiązywał ich do żłobu.

Wyszliśmy ze stajni i przy jaskrawym blasku kilku lamp, które zdawały się oświecać to miejsce dla pokazania jego okropności, przybyliśmy do kuchni, gdzie stara kucharka piekła mięso na rożnie i przyrządzała wieczerzę. Kuchnia przystrojona była w sprzęty potrzebne, obok zaś spiżarnia mieściła w sobie wszelkiego rodzaju zapasy. Kucharka, boć muszę ją odmalować, byłato kobieta mająca sześćdziesiąt kilka lat. W młodości miała włosy blond jasno gorejący, tak dalece, że wiek nie potrafił ich tak ubielić, iżby nie zostały jeszcze ślady dawniejszéj barwy. Płeć jéj oliwkowa, a broda śpiczasta i dobrze w górę zadarta spotykała się niemal z nosem orlim na dół zwieszonym, zasłaniając wargi ściśnione i w głąb zakięsłe. Oczy jaśniały kolorem pięknym czerwono-purpurowym.

—Pani Leonardo! ozwał się jeden z jeźdźców przedstawiając mnie temu przepysznemu aniołowi ciemnicy, oto przyprowadzamy ci tego młodego chłopca; poczém zwróciwszy się ku mnie, a widząc mnie bladym i znękanym: mój przyjacielu, rzekł, nie bój się, tu ci się nic złego nie stanie. Potrzeba nam było służącego do pomocy kucharce, spotkaliśmy ciebie, to twoje szczęście. Zajmiesz miejsce chłopaka, któremu się podobało umrzeć przed parą tygodniami. Byłto młody człowiek zbyt delikatnéj budowy ciała, ty mi się zdajesz silniejszym, ty nie umrzesz tak prędko. Prawda, że już więcéj nie ujrzysz słońca, ale za to będziesz miał co jeść do sytu, i wyleżysz się w cieple. Będziesz tu żył w towarzystwie z panią Leonardo, która jest stworzeniem bardzo łagodném, będziesz miał wszelkie wygody. Ja ci zaraz pokażę, iż nie trafiłeś między żebraków. To mowiąc wziął świecę i kazał mi iść za sobą.

Naprzód mnie wprowadził do sklepu, w którym ujrzałem niezliczoną ilość butelek i kamionek dobrze zakorkowanych. To jest, rzekł mi, wino wyborne. Następnie przeszliśmy kilka izb: w jednych było mnóstwo sztuk płótna, w drugich materye wełniane i jedwabne; w jednéj widziałem niemało złota i srébra, nie licząc w to naczyń z tych drogich kruszców z różnemi herbami. Poczém stanęliśmy w wielkiéj sali oświeconéj trzema żyrandolami mosiężnemi, mającéj połączenie z rozmaitemi izbami. Przytém badał mnie na nowo. Pytał się jak się nazywam, dlaczego opuściłem Oviedo, a gdym zaspokoił jego ciekawość, rzekł: „Otóż widzisz mój Gil Blas, ponieważ rzuciłeś swoję ojczyznę, by znaleźć jakie dobre miejsce, przyznaj sam, że musiałeś się w czepku urodzić, żeby się dostać w nasze ręce. Jużem ci powiedział, że tu na niczém zbywać ci nie będzie, będziesz pływał w złocie i srébrze; a prócz tego masz tu wszelkie bezpieczeństwo. Takie jest to podziemie, że oficerowie świętego Hermandadu mogą sto razy przebiedz ten las, a wykryć go nie zdołają. Ja tylko jeden i moi towarzysze znamy wejście do niego. Może zechcesz wiedzieć, jakim sposobem mogliśmy je urządzić, żeby okoliczni mieszkańcy tego nie spostrzegli; otóż powiem ci, że to nie nasze dzieło, że te pieczary z dawnych lat istnieją. Kiedy Arabowie owładnęli Grenadę, Aragonię i prawie całą Hiszpanią, wtedy chrześcianie niechcący dźwigać jarzma niewiernych, opuścili swoje siedliska i schronili się w te strony, do Biskai i Asturyi, gdzie także ukrywał się don Pelajo. Zbiegi rozproszone w małych oddziałach szukały przytułku po lasach i między górami. Jedni mieszkali w grotach i jaskiniach, inni wygrzebali sobie takie oto podziemia, do których i to należy. Gdy następnie udało się im wypędzić z kraju nieprzyjaciół, wrócili do miast, a ich przytułek stał się schronieniem ludzi naszego rzemiosła. Prawda że święty Hermandad wykrył ich już niemało i poniszczył, ale jeszcze tu i owdzie pozostały; dzięki Bogu, ja już piętnaście lat zajmuję bezkarnie to tu podziemie. Nazywam się kapitan Rolando, jestem naczelnikiem tego towarzystwa, a człowiek, któregoś widział ze mną, jest jednym z moich rycerzy."

Rozdział V.

Przybycie innych złoczyńców i miła ich rozmowa.

Właśnie kapitan Rolando kończył swoję rozmowę, kiedy weszło do sali sześć nowych figur. Byłto porucznik z pięcią ludźmi wracający ze zdobyczą. Przynieśli dwa kosze pełne cukru, cynamonu, pieprzu, fig, migdałów i rozynków. Porucznik zdając sprawę kapitanowi, oświadczył, że te kosze zabrał handlującemu bakaliami z Benavente, któremu także wziął mula. Po złożeniu w biurze takowego raportu, zdobycz zaniesiono do składu i zabierano się do zabawy. Urządzono w sali wielki stół, a mnie kazano iść do kuchni, gdzie pani Leonardo uczyła mnie mojego obowiązku. Uległem konieczności, ponieważ tak chciało moje przeznaczenie, a tłumiąc ból w sercu zabierałem się do usługi tym zacnym ludziom.

Rozpocząłem mój zawód od szynkfasu, który przystroiłem czarami srébrnemi i kamionkami napełnionemi winem, które mi Rolando tak zachwalał: przyniosłem potém zupę i ledwie ją postawiłem na stole, gdy wszyscy rycerze zajęli swoje miejsca i z wielkim apetytem zabrali się do jedzenia; ja za wtyle stojąc nalewałem wino. Nigdy wprawdzie nie sposobiłem się do tego rzemiosła, a jednak z taką zręczności i wdziękiem dopełniłem mojego obowiązku, iż miałem szcz

ście powszechne zyskać zadowolenie. Kapitan w krótkości opowiedział historyą mojego życia, co wszystkich niemało zabawiło. Poczém mówił o mnie z wielką pochwałą, ależ ja już wówczas znałem się na pochwałach; słuchałem ich więc bez żadnego uszczerbku. Mimo to wszakże wszyscy jednozgodnie przywtórzyli pochwałom kapitana, oświadczając, że zdawałem się być zrodzonym na cześnika, że sto razy więcéj wart byłem, niż mój poprzednik. A że po jego śmierci pani Leonardo miała zaszczyt podawać nektar tym bogom podziemnym, pozbawili ją więc tego obowiązku chlubnego, aby mnie nim zaszczycić. Tak więc nowy Ganimed, zająłem miejsce staréj Hebe.

Potężna pieczeń, która wnet po zupie nastąpiła, nasyciła złodziejów, że zaś pili stosownie jak jedli, nabrali więc wesołego humoru, z czego niemała wszczęła się wrzawa. Otóż wszyscy zarazem wrzeszczą. Ten rozpoczyna jakąś powiastkę, tamten się z dowcipem popisuje, ów krzyczy, inny śpiéwa, a jeden drugiego nie rozumié: wreszcie Rolando znużony sceną, do któréj napróżno swoje trzy grosze wkładał, podniósł ton tak wysoko, że całe towarzystwo zamilkło. Wtedy więc korzystając ze swojéj władzy, odezwał się: „panowie, posłuchajcie co wam przedstawię: zamiast co mamy się nawzajem zagłuszać wrzeszcząc razem, nie lepiéjżeby było zająć się rozmową przyzwoitą? W téj chwili przyszło mi na myśl: od czasu jakeśmy się zebrali, żaden z nas nie był tyle ciekawy, żeby spytać się drugiego, z jakiéj pochodzi rodziny, jaki zbieg okoliczności skłonił go do przyjęcia naszego powołania, a przecież to zdaje mi się rzecz jest godna wiadomości. Zróbmy to wzajemne zwierzenie się dla wspólnéj zabawy.„ Poruczuik i jego towarzysze z oznakami szczeréj radości przyjęli wniosek kapitana, jak gdyby coś najszlachetniejszego mieli do opowiedzenia. Piérwszy zatém kapitan w te rozpoczął słowa.

Panowie! trzeba wam naprzód wiedzieć, że jestem synem bogatego mieszczanina madryckiego. Dzień urodziu moich obchodzony był w gronie rodzinném z niesłychaną uroczystością. Ojciec mój, już stary, nie posiadał się z radości, doczekawszy się dziedzica swojego imienia, matka postanowiła karmić mię własnemi piersiami. Dziadek mój ze strony macierzyńskiéj żył jeszcze podówczas, ale dla zgrzybiałego wieku już się niczém nie zajmował, odmawiał tylko swój różaniec lub opowiadał swoje wyprawy wojenne; długo bowiem służył wojskowo i chełpił się że widział ogień. Pomału stałem się bożyszczem tych trzech osób, nie schodziłem nigdy z ich rąk. Z obawy żeby nauka nie wywarła szkodliwego wpływu na moje zdrowie, pozwolono mi piérwsze lata dzieciństwa spędzić na samych zabawkach. Ojciec mój mawiał pospolicie, że nietrzeba dzieci mordować nauką, póki ich umysł nie nabędzie pewnéj dojrzałości. Oczekując tego umysłowego dojrzenia nie uczyłem się ani czytać, ani pisać: mimo to wszakże nie marnowałem napróżno czasu: ojciec uczył mnie niezliczonych gier i zabawek. Poznałem doskonale karty, nauczyłem się grać w kostki, a mój dziadek uczył mnie romansów, wypraw wojennych, których był uczestnikiem. Śpiewał mi codzień też same zwrotki, a gdy po trzechmiesięcznem klepaniu wciąż, dziesięciu lub dwunastu wiérszy, powtórzyłem je bez omyłki, rodzice moi nie mogli się wydziwić mojéj pamięci. Nie mniéj cieszyli się moim dowcipem, gdy korzystając z wolności mówienia, przerywałem ich rozmowę papląc ni w pięć ni w dziewięć. Ah co za miłe dziécię! mówił ojciec patrząc na mnie radosném okiem. Moja matka zaczęła mnie pieścić, ściskać, a dziadek płakał uradowany. W obliczu ich najnieprzyzwoitszych dopuszczałem się czynności, wszystko mi przebaczali: ubóstwiali mnie. Tymczasem wstępowałem już w dwunasty rok życia mojego, a nie miałem jeszcze nauczyciela. Wreszcie postarano się o niego, dając mu stanowczą przestrogę, aby mnie uczył bez użycia środków surowych: pozwolono mu jedynie grozić, aby mi wpoić jaką taką obawę. Byłoto bezkorzystne pozwolenie, bo albo śmiałem się z pogróżek nauczyciela, albo ze łzami biegłem do matki lub dziadka, skarżąc się, że mnie ukarał. Biédny człowieczyna napróżno mi fałsz zadawał, nic na tém nie zyskał; uchodził za grubianina, a ja zawsze większą wiarę znajdowałem. Raz nawet sam podrapałem się i począłem z całego gardła wrzeszczéć, jak gdyby mnie ze skóry darli: matka w téj chwili nadbiegła, wypędziła nauczyciela, choć się zaklinał na wszystko co jest najświętsze, że mnie ani dotknął.

Takim sposobem pozbywałem się nauczycieli, jednego po drugim, pókim nie natrafił na takiego, jakiego mi właśnie trzeba było. Byłto bakałarz z Alcala, wyborny przewodnik młodzieńca znakomitéj rodziny. Byłto wielki miłośnik kobiét, gry i karczmy: nie mogłem dostać się w lepsze ręce. Naprzód starał się pozyskać moję przychylność łagodnością, i to mu się powiodło, a tém samém zyskał przywiązanie moich rodziców, którzy mnie powierzyli mu z zupełném zaufaniem. Nie mieli czego żałować, wkrótce bowiem wydoskonalił mnie w wielkiéj nauce znajomości świata. Wodząc mnie z sobą po wszystkich miejscach, do których sam uczęszczać lubił, tak mnie do wszystkiego zaprawił. że wyjąwszy łacinę, byłem zresztą we wszystkiém doskonały. Widząc, że się mogę już obejść bez jego nauki, poszedł ofiarować swe usługi gdzieindziéj.

Jeżeli dzieckiem będąc nie robiłem sobie w niczém przymusu w domu, cóżto dopiero było wtedy, gdy zaczynałem być panem swojéj woli! Piérwsze próby natręctwa i bezczelności objawiłem w gronie mojéj rodziny. Za lada okazyą drwiłem z ojca i matki, a oni się śmieli z moich wybryków; im zaś te uszczypliwsze były, tém bardziéj oni cieszyli się, tém więcéj podziwiali mój dowcip. Połączony z młodzieżą tego samego sposobu myślenia prowadziłem życie na wszelkie zbytki rozpasane; a że rodzice nie dostarczali nam pieniędzy, ile nasza rozpusta wymagała, każdy kradł w domu, co mógł. W końcu i to nie wystarczyło, poczęliśmy więc kraść po nocy. Na nieszczęście korregidor wpadł na trop naszego postępowania; już tylko co miał nas ująć, gdy przecież ostrzeżeni zostaliśmy o jego złych zamiarach. Jedynym naszym ratunkiem była ucieczka, zaczęliśmy rozbijać po drogach publicznych. Od tego czasu, panowie, Bóg łaskawy dozwolił mi osiwiéć w tém powołaniu, które nie jest bez niebezpieczeństwa.“

Na tém skończył kapitan. Po nim z kolei porucznik zaczął mówić .„Panowie! wychowanie moje wbrew przeciwne temu jakie odebrał szanowny pan Rolando, ten sam wydało skutek. Ojciec mój był rzeźnikiem w Toledo, uchodził on i bardzo słusznie, za największego brutala w całym swoim cechu: matka moja nie ustępowała mu w niczém. Od dzieciństwa począwszy chłostali mnie oboje jakby na wyścigi, codzień z tysiąc plag odbierałem. Najmniejsze uchybienie srogo karali. Napróżno z rzewnemi łzami w oczach żebrałem przebaczenia, napróżno zaręczałem, że już nigdy tego drugi raz nie zrobię, nie było dla mnie łaski, a nieraz odbierałem chłostę bez najmniejszego powodu. Gdy ojciec mnie bił, matka jakby się bała, żeby się zbyt łagodnie nie sprawił, pomagała mu, zamiast prosić za mną. To postępowanie tak mi obmierzłło dom rodzicielski, iż go porzuciłem nie dosiągnąwszy jeszcze czternastego roku. Puściłem się drogą aragońską, udając się do Saragossy o proszonym chlebie. Tu połączyłem się z żebrakami, którzy dość swobodne wiedli życie. Nauczyli mnie udawać niewidomego, pokazywać się kulawym, przyprawiać wrzody do nóg i t. p. Każdego poranku, jak gdyby aktorowie jacy gotujący się do odegrania komedyi, przybieraliśmy umówione role; poczém każdy zdążał na swoje stanowisko, a wieczór zgromadzaliśmy się razem, hulając przez całą noc kosztem tych, którzy nas litością swoją darzyli przez dzień. Znudziło mnie jednak towarzystwo z tymi biedakami, chciałem żyć z uczciwszymi ludźmi, połączyłem się więc z rycerzami z własnego przemysłu żyjącemi. Nauczyłem się rozmaitych przebiegów. Wkrótce atoli trzeba było opuścić Saragossę, bośmy się poróżnili z pewną osobą sądową, która się dotąd opiekowała nami. Każdy poszedł w swoję stronę. Ja czując w sobie zdolność do śmiałych przedsięwzięć, zaciągnąłem się do oddziału ludzi odważnych, któ-

rzy ściągali opłaty od podróżnych; sposób ich życia tak mi się podobał, iż nie szukałem odtąd innego. Wdzięczny więc jestem moim rodzicom, że mną tak poniewierali, bo gdyby mnie byli z większą łagodnością wychowali, byłbym bez wątpienia został nieszczęśliwym rzeźnikiem, gdy tymczasem teraz mam zaszczyt być waszym porucznikiem.

Zabrał potém głos młody złodziéj siedzący między kapitanem i porucznikiem. Panowie! rzekł, próżność na stronę, historye wszakże któreście słyszeli, ani tak układne, ani są tak ciekawe, jak moja. Pewny jestem, że sami to przyznacie. Winienem życie wieśniaczce z okolic Sewilli. We trzy tygodnie po wydaniu mnie na świat, ponieważ była młoda, bardzo porządna i wyborna mamka, przedstawiono jéj niemowlę do karmienia. Byłto jedynak, dziecię znakomitego rodu z Sewilli. Matka z wielką ochotą przyjęła wezwanie i poszła po to dziecię, które jéj powierzono. Skoro wróciła do wsi, ujrzawszy wielkie między nami podobieństwo, powzięła zamiar udać mnie za dziecię zamożne, w nadziei, że jéj kiedyś zawdzięczę tę przysługę. Ojciec mój niewiele sumienniejszy jak inni wieśniacy, pochwalił ten wybieg; zmieniwszy więc ubranie, syn don Rodryga de Herrera pod mojém imieniem poszedł do innéj mamki, a mnie matka karmiła pod jego nazwiskiem.

Niech sobie prawią co chcą o instynkcie, o dzielności krwi, rodzice przecież szlachetnego niemowlęcia nie postrzegli wcale téj zamiany. Nie mieli najmniejszego podejrzenia o figlu, jaki im wypłatano, i aż do siódmego roku nie spuszczali mnie z rąk swoich. Pragnąc wykształcić mnie na doskonałego młodzieńca, otoczyli mnie wszelkiego rodzaju nauczycielami; lecz i najbieglejsi z nich miewają czasem uczniów, którzy im niewiele zaszczytu przynoszą. Z liczby tych szczęśliwych wychowańców byłem ja: nie miałem wielkich zdolności do ćwiczeń, w które mnie wprawiano, a jeszcze mniéj ochoty do nauk, które mi wykładali. Wolałem grać ze służącymi, do których co moment uciekałem do kuchni lub stajni. Gra atoli nie była moją namiętnością główną; jeszcze nie miałem lat siedmnastu a już codzień się spijałem. Umizgałem się także wszystkim kobietom w domu. Nad wszystkie atoli polubiłem jednę służącą z kuchni, która zdała mi się być godną moich zabiegów. Dla swojéj tuszy, pełnych liców i wesołego humoru, podobała mi się nadzwyczaj. Lecz tak mało ostrożności zachowałem w tych moich zalotach, iż to postrzegł don Rodryg. Złajał mnie surowo, wyrzucając mi podłość mojego wyboru, a obawiając się, żeby widok ukochanego przedmiotu nie zniweczył jego przestróg, bóstwo moje wypędził z domu.

Nie w smak mi było to postępowanie; postanowiłem się zemścić. Skradłem więc klejnoty małżonki don Rodryga, a kradzież to nie była błacha: poczém wyszukałem moję piękną Helenę, która się schroniła do praczki, swojéj przyjaciołki, uprowadziłem ją wśród białego dnia, aby każdy o tém wiedział. Posunąłem się daléj; zawiodłem ją do jéj rodzinnego miejsca, zaślubiłem uroczyście, jużto aby tém mocniéj dokuczyć Rodrygowi, już téż, aby dać przykład synom znakomitych rodziu. W trzy miesiące po tak pięknych godach dowiedziałem się o śmierci Herrery. Nie byłato obojętna dla mnie nowina, pospieszyłem zaraz do Sewilli, aby objąć jego majątek; alem znalazł wszystko zmienione. Matka moja już nie żyła, przed śmiercią wszakże popełniła niedorzeczność wyjawiając wszystko w obecności wiejskiego plebana i innych świadków przyzwoitych. Syn Rodryga już zajął moje miejsce, czyli raczéj swoje własne, i z tém większą radością witany został, im mniéj miano powodu do zadowolenia z mojego postępowania. A tak nie mogąc się niczego spodziewać z téj strony, straciwszy przywiązanie do mojéj otyłéj małżonki, połączyłem się z karawaną rycerzy szczęsnego losu.

Skończył młody złodziéj, zaczął mówić inny, że był synem kupca z Burgos, że w młodości uniesiony przesadzoną bogobojnością, przywdział suknię i złożył śluby zakonne w klasztorze ścisłéj bardzo reguły; w kilka lat późniéj zaparł się wszystkiego. Następnie ośmiu jeszcze innych po kolei opowiadali swoje przygody, a ja wysłuchawszy ich nie dziwiłem się bynajmniéj, żem ich widział razem w tém towarzystwie. Zmienili potém tok rozmowy, wprowadzili rozmaite projekta następnéj wyprawy, a ułożywszy i przyjąwszy plan wstali od stołu zabierając się do spoczynku. Pozapalali świece i każdy udał się do swojéj izby. Ja towarzyszyłem kapitanowi, a gdym mu pomagał przy rozbieraniu się: „A cóż, Gil Blas, ozwał się do mnie wesoło, widzisz jak my żyjemy; zawsze ochoczo, nie znamy gniewu ani zawiści, niéma między nami żadnych swarów, zgodniéj daleko żyjemy, niż mnichy w klasztorze. Moje dziecko, mówił daléj, będziesz tu wiódł życie bardzo przyjemne; nie sądzę bowiem, abyś miał być tyle głupim, uważać za przykre życie pomiędzy złodziejami; miły Boże! a czyż na świecie inni są ludzie? Nie, mój przyjacielu, każdy dybie na dobro cudze; to jest powszechne między ludźmi uczucie, sposób tylko wykonania różny. Wielcy panowie pożyczają na wieczne nieoddanie. Bankierowie, skarbnicy, wexlarze, kommissanci i wszyscy kupcy, tak ryczałtowi jak kramarze, nie są wcale skrupolatami. O sądowych osobach niéma co mówić, nikomu nietajno co oni umieją. Przyznać wszakże trzeba, iż więcéj mają ludzkości od nas, bo my częstokroć odbieramy życie niewinnym, oni zaś nieraz ocalają winowajców."

Rozdział VI.

Gil Blas usiłuje wydobyć się. Jaki był tego skutek.

Skreśliwszy tak piękny obraz swojego powołania, położył się w łóżko przywódzca złodziejów, a ja wróciłem do sali, sprzątnąłem stół i uporządkowałem wszystko. Udałem się potém do kuchni, gdzie Domingo, tak się zwał stary murzyn, i pani Leonardo zajadali wieczerzę, czekając na mnie. Nie miałem wprawdzie najmniejszéj chęci do jedzenia, siadłem jednak przy nich; że zaś zdałem się im bardzo smutny i nie bez przyczyny, obiedwie przeto te figury, we wszystkiém sobie równe postanowiły mnie cieszyć; lecz sposób ich wzięcia się do tego zdolniejszy był przywieść mnie do rozpaczy, niż ulżyć trapiącéj mnie boleści. „Czegóż się dręczysz mój synu? rzekła mi stara, owszem, cieszyć się powinieneś, żeś się tu dostał. Jesteś młody, zdajesz się być bardzo giętki, na świecie niezawodnie prędkobyś zginął. Wpadłbyś w ręce hultajów, którzyby cię zaprawili do wszelkiego rodzaju rozpusty, a tymczasem tutaj niewinność twoja znalazła port bezpieczny." „Pani Leonardo słusznie mówi, dodał stary murzyn, trzeba wiedzieć że na świecie same tylko troski. Dziękuj Bogu, mój przyjacielu, że cię uchronił od niebezpieczeństw, cierpień i zgryzot życia."

Strawiłem spokojnie te wyrazy, bo i na cóżby mi się przydał gniéw? Gdybym się był na to oburzył, byłbym bez wątpienia nastręczył im sposobność ubawienia się moim kosztem. Wreszcie Domingo napiwszy się i najadłszy do syta, poszedł do stajni. Leonardo wzięła zaraz lampę i poprowadziła mnie do pieczary, która służyła za cmentarz złodziejów umierających śmiercią naturalną, tam ujrzałem legowisko podobniejsze do grobu, niż do łóżka. Oto jest twoja izba, moja rybko, rzekła głaszcząc mnie pod brodę; którego miejsce masz szczęście zajmować, sypiał tu, póki żył i po śmierci tu także spoczywa. Podobało mu się umrzéć w kwiecie wieku; nie bądźże ty głupim, żebyś miał naśladować jego przykład. To rzekłszy, oddała mi lampkę, i wróciła do kuchni. Postawiłem lampę na ziemi, a sam rzuciłem się na łoże, nie żeby spać, lecz chcąc tém swobodniéj rozmyślać. O Boże! mówiłem sam sobie, możesz być okropniejsze przeznaczenie nad moje? Chcą abym się zrzekł widoku słońca, a jakby to niedosyć było być żywcem pogrzebanym w ośmnastym roku życia, trzeba jeszcze abym był przymuszony służyć złodziejom, przepędzać dzień ze zbójcami, a noc z umarłymi. Takowe rozmyślanie, które mi się zdało niesłychanie dręczące i było niém w istocie, wycisnęło mi gorzkie łzy z oczu. Przeklinałem stokrotnie zamiar mojego wuja wysłania mnie do Salamanki; żałowałem mojego strachu przed sprawiedliwością w Kakabelos; wolałbym być wystawionym na torturę. Zważywszy atoli jak bezkorzystne były moje utyski, zacząłem marzyć o środkach zbawienia i pomy-

śliłem: jakto, byłażbyto tak niepodobna rzecz wydobyć się ztąd? Złodzieje śpią, kucharka i murzyn wnet toż samo zrobią; kiedy więc będą pogrążeni we śnie, nie potrafięż z tą lampą wynaleźć tego samego ganku, przez który zstąpiłem do tego piekła? Prawda, że mi siły nie starczy do podniesienia zapory przy wyjściu, ależ sprobuję, przynajmniéj nie będę miał sobie nic do wyrzucenia, rozpacz podwoi moc moję i może mi się uda.

Powziąwszy ten wielki zamiar, wstałem, gdy mi się zdawało, że Leonardo i Domingo zasnęli. Wziąłem lampę i wyszedłem z pieczary, poleciwszy się opiece wszystkich świętych w niebie. Nie bez trudności odwikłałem ten nowy labirynt, ale przecie dostałem się do stajni, a wreszcie odkryłem ganek, któregom szukał. Idę, zdążam do zapory miotany radością i obawą, lecz niestety! w samym środku ganku spotykam zamkniętą kratę żelazną, tak gęstą, że ledwie rękę można było przełożyć. Stanąłem jak wryty przy téj nowéj zawadzie, któréj wchodząc nie widziałem, ponieważ wtedy była otwarta. Zacząłem jednak doświadczać prętów kraty, przypatrywałem się zamkowi, probowałem czy nie potrafię wyłamać, gdy niespodzianie uczułem pięć lub sześć silnych razów bykowcem do grzbietu przyłożonych. Wrzasnąłem tak przeraźliwie, że się po całém podziemiu rozległo, a obejrzawszy się nagle, spostrzegłem starego murzyna w koszuli, z krytą latarnią w jednéj ręce, z narzędziem mojego bólu w drugiéj." Aha! młody hultaju, chcesz uciekać! oh, nie sądź żebyś mnie potrafił oszukać, słyszałem ja ciebie dobrze. Rozumiałeś, że zastaniesz kratę otwartą, czy nie tak? Bądź pewnym, że odtąd zawsze ją znajdziesz zamkniętą. Jeżeli kogo mimo jego woli zatrzymamy tu, musi być daleko przebieglejszy od nas, żeby się nam wymknął.



Ucieczka z podziemia.

Tymczasem na krzyk mój dwóch czy trzech złodziejów zerwało się równemi nogami, a nie wiedząc, czy to czasem nie święty Hermandad napada na nich, donośnym głosem wezwali swoich towarzyszów. W jednéj chwili już wszyscy byli na nogach. Chwytają szable i karabiny i prawie nadzy spieszą do miejsca w którém się znajdowałem z murzynem. Lecz dowiedziawszy się o przyczynie wrzasku, trwoga ich zmieniła się w śmiéch huczny. Jakto, Gil Blas, ozwał się złodziéj apostata; zaledwie sześć godzin spędziłeś z nami, a już chcesz uchodzić? coś widzę niesmakuje ci samotność, cóżbyś ty zrobił, gdybyś był Kartuzem? Idź spać. Teraz skończy się na razach, któremi cię uraczył Domingo; lecz jeżeli ci jeszcze raz przyjdzie do głowy probować ucieczki, przysięgam ci na świętego Bartłomieja, że ci żywcem skórę zdejmiemy. To rzekłszy odszedł, inni także złodzieje popowracali do swoich izb, śmiejąc się serdecznie z mojego usiłowania. Stary murzyn zadowolony ze swojéj wyprawy udał się do stajni, a ja poszedłem do mojéj grabarni wzdychać i płakać przez resztę nocy.

Rozdział VII.

Co dalej robił Gil Blas, nie mając nic lepszego do roboty.

W pierwszych dniach po tym wypadku rozumiałem, że mnie dobije trawiąca mnie zgryzota, wlokłem już tylko gasnący żywot; w końcu atoli anioł mój opiekuńczy natchnął myślą udawania. Siliłem się okazywać mniéj smutnym; zacząłem śmiać się i śpiewać, choć nie miałem do tego najmniejszéj ochoty; słowem tak się umiałem przymusić, iż oszukałem Dominga i panią Leonardę. Pewni byli że się ptaszek oswoił już w klatce. Złodzieje toż samo myśleli. Przybierałem postać wesołą nalewając im wino, mieszałem się nawet do ich rozmowy, skoro mi się zdarzyła sposobność wtrącić jaki żarcik. Nietylko ich nie raziła, ale owszem podobała się im ta moja wolność. „Gil Blas, ozwał się kapitan pewnego wieczora, gdym udawał rozkosznego, wybornieś zrobił, porzucając tę posępność, dziwnie mi się podoba twoja wesołość i twój dowcip. Trudno to odrazu poznać człowieka, nie spodziewałem się widzieć w tobie takiéj bystrości umysłu i tyle ujmującego obejścia się.

Drudzy także nie oszczędzali mi swoich pochwał, zachęcali mnie, abym trwał w tak szlachetnych uczuciach, jakie im objawiłem teraz; tak dalece zdawali mi się zadowoleni ze mnie, że korzystając z ich przychylności, ośmieliłem się przemówić do nich w ten sposób: „Panowie! pozwólcie że wam otworzę skrytości mojego serca. Odkąd zamieszkałem pośród was, czuję się wcale innym człowiekiem niż byłem dawniéj. Z waszéj łaski pozbyłem się przesądów mojego wychowania, zwolna przejąłem się duchem waszym. Zasmakowałem w waszém powołaniu; pragnę jak najusilniéj zostać waszym spółtowarzyszem, podzielać z wami niebezpieczeństwa waszych wypraw." Cała czereda przyklasnęła mojéj mowie. Pochwalono moje dobre chęci, i jednozgodnie postanowiono, iż mam jeszcze pełnić moje dotychczasowe obowiązki przez czas niejaki, aby się tém lepiéj przekonano o mojém powołaniu, poczém pozwolą mi należéć do karawany, i dadzą miejsce zaszczytne o które się dopraszałem, ponieważ, jak mówili, nie godzi się zrażać młodego człowieka z tak dobremi zamiarami, jakie im okazałem.

Trzeba więc było jeszcze dłużéj udawać i pełnić obowiązki cześnika. Dręczyło mnie to mocno, pragnąłem bowiem zostać złodziejem, aby pozyskać wolność wyjścia z drugimi, w nadziei, że w czasie tych wycieczek potrafię się im kiedyś wymknąć. Ta jedyna otucha utrzymywała mnie przy życiu. Wyczekiwanie to wszakże zdało mi się niesłychanie długie, i nieraz probowałem zawieść czujność murzyna; ale ani podobieństwo, zbyt był ostróżnym; zaręczam, że stu Orfeuszów nie zdołałoby zaczarować tego Cerbera. To prawda, że bojąc się obudzić naj-

mniejsze podejrzenie, nie probowałem wszystkiego cobym mógł zrobić dla oszukania go, miał on mnie ciągle na oku, musiałem więc działać z wielką przezornością, aby się nie zdradzić. Odkładałem więc nadzieje moje do czasu, jaki mi złodzieje przeznaczyli do przyjęcia za towarzysza. i z taką niecierpliwością czekałem, jak gdybym miał przystąpić do stowarzyszenia dzierżawców dochodów skarbowych.



Jałmużna.

Dzięki Bogu, dzień upragniony nadszedł w sześć miesięcy później. Kapitan Rolando rzekł raz wieczór do swoich rycerzy: panowie! wypada dotrzymać słowa danego Gil Blasowi. Ja niezłą mam opinią o tym chłopcu, zdaje mi się iż będzie wstępował w nasze ślady; spodziéwam się, że potrafimy z niego coś zrobić. Jestem tego zdania, abyśmy go jutro wzięli z sobą, niech się nauczy zbiérać wawrzyny na bitym gościńcu. Zajmijmy się przysposobieniem go do chwały. Wszyscy złodzieje podzielali myśl swojego kapitana, i żeby mi dać poznać że mnie już uważają za swojego towarzysza, uwolnili mule natychmiast od służby i pani Leonardo wróciła do obowiązku, który jéj odjęto, aby mnie nim zaszczycić. Kazali mi zdjąć dotychczasową kurtę dość podszarzaną i przystroili mnie w łupy jakiegoś szlachcica niedawno okradzionego. W tym nowym ubiorze gotowałem się do piérwszéj wyprawy.

Rozdział VIII.

Gil Blas towarzyszy złodziejom. Czyny jego na drodze bitej.

Byłoto w miesiącu wrześniu, kiedy na schyłku nocy wyszedłem ze złodziejami z ich podziemnéj jaskini. Uzbrojony byłem podobnież jak oni, miałem karabin, parę pistoletów, szablę i bagnet: siedziałem na niezgorszym koniu, którego zabrano temuż samemu szlachcicowi, w którego suknie mnie ubrano. Od tak dawna siedząc w ciemnicy omało nie olśnąłem od piérwszych promion światła dziennego, zwolna jednak przyzwyczaiły się oczy moje.

Minęliśmy Pontferradę i zajęliśmy stanowisko w lesie przytykającym do wielkiéj drogi do Leonu wiodącéj: w zasadzce naszéj niewidzialni, mogliśmy dobrze widzieć wszystkich przechodniów. Tu czatowaliśmy ażali los szczęsny nie nastręczy nam jakiéj zdobyczy, kiedyśmy spostrzegli zakonnika reguły św. Dominika, który wbrew zwyczajom tych szanownych ojców na dość nędznym jechał mule. Dzięki Bogu, zawołał kapitan ze śmiechem, oto jest piérwsze dzieło sztuki dla Gil Blasa. On musi oskubać tego ptaszka, zobaczymy jak się weźmie. Wszyscy złodzieje byli tego zdania, że to polecenie było dla mnie najstosowniejsze, i zachęcali mnie. abym się dobrze sprawił.—Panowie! rzekłem będziecie zadowoleni; obiorę tego mnicha do naga i przyprowadzę wam jego muła.—Nie, nie, odparł Rolando, muł niewart trudu; przynieś nam tylko sakiewkę wielebnego ojca, tego tylko od ciebie żądamy.—Idę więc, ozwałem się, pod okiem mistrzów piérwszą wykonać próbę, spodziéwam się że mnie zaszczycą swoją pochwałą. Poczém wyjechałem z lasu i puszczając się ku zakonnikowi prosiłem Boga, aby mi darował czyn do którego zabiérałem się, bo jeszcze nie żyłem tak długo ze złodziejami, abym go miał spełniać bez wstrętu. Brała mnie już wtedy chętka pierzchnięcia, ale większa część złodziejów miała dzielniejsze konie od mojego: skoroby mnie ujrzeli uciekającego, puściliby się za mną w też tropy i dogoniliby niezawodnie, albo możeby zmierzyli do mnie swoje karabiny i mogliby mnie nieźle poczęstować. Nie mogłem więc odważyć się na krok tak drażliwy. Stanąłem więc naprzeciw zakonnika i prosiłem o sakiewkę pokazując mu pistolet. Wstrzymał się natychmiast i popatrzywszy na mnie, nie objawił żadnéj trwogi.—Moje dziécię, odezwał się, jesteś bardzo młody, wcześnie zbyt zacząłeś obmierzłe rzemiosło.—Mój ojcze! odpowiedziałem, niech będzie obmierzłe jak chce, żałuję, że go wcześniéj nie rozpocząłem.—Ah, mój synu! rzekł znowu zakonnik szanowny, który nie dociekał prawdziwéj myśli moich wyrazów, co ty mówisz, jakie zaślepienie? Pozwól niech ci wystawię stan nieszczęśliwy..—Oh, mój ojcze! przerwałem mu z niecierpliwością, na stronę morały, ja wystąpiłem na bity gościniec zapewne nie żebym słuchał kazania; o to wcale nie idzie, mnie potrzeba talarków, ja o pieniądze proszę.—Pieniądze. powtórzył zdziwiony; widzę, że nie znasz dobroczynności Hiszpanów, kiedy sądzisz, że osoby mojego stanu potrzebują pieniędzy puszczając się w drogę. Wyjdź z błędu. Nas wszędzie jak najuprzejmiéj witają; dają nam pomieszkanie, karmią, opatrują wszystkie potrzeby, za całą nagrodę polecając się naszym modłom. Zresztą, my nigdy z sobą nie nosimy pieniędzy, spuszczamy się na Opatrzność.—Oh co nie, to nie, odpowiedziałem mu, wy się na to nie spuszczacie, ma z was każdy ważne dukaty przy sobie, aby być pewniejszym Opatrzności. Ależ, mój ojcze! dodałem, skończmy już, towarzysze moi, którzy tu stoją w tym lesie niecierpliwią się, rzuć natychmiast sakiewkę na ziemię, albo palę.



Gil Perez.

Na te słowa groźnie wyrzeczone, zakonnik zdał się lękać o swoje życie.—Zaczekaj więc, rzekł, zaspokoję cię, kiedy inaczéj być nie może. Widzę, że z ludźmi twojego rzemiosła cała retoryka na nic się nie przyda.—To mówiąc wyciągnął zpod sukni duży trzos skórzany, i rzucił go na ziemię. Wtedy rzekłem mu, że może daléj jechać; on zaś nie dał sobie tego drugi raz powtarzać. Uderzył po bokach swojego muła, który za-

wodząc mniemanie, jakie o nim powziąłem, sądziłem bowiem, że nie więcéj wart, jak ów, którego od wuja dostałem, ruszył natychmiast z kopyta. Ja tymczasem zsiadłem z konia, podniósłem trzos, który mi się zdał dość ciężki. Wsiadłem potém na mojego rumaka i ruszyłem w las do moich towarzyszów, którzy z niecierpliwością czekali na mnie, aby mi powinszować, jak gdyby to zwycięztwo było dość trudne dla mnie. Ledwie mi pozwolili zsiąść z konia, tak się wszyscy spieszyli by mnie uściskać.—Śmiało, Gil Blas! rzekł mi Rolando, cudów dziś dokazałeś. Śledziłem cię bystro w czasie twojéj wyprawy, uważałem twoję stałość; zapewniam cię, że będziesz wybornym zbójem, chyba że ja się nie znam na tém.—Porucznik i inni przywtórzyli téj wróżbie i zapewniali mnie, że ją wkrótce niezawodnie spełnię. Podziękowałem im za pochlebną opinią, jaką o mnie powzięli, zapewniając, iż najusilniejszém mojém staraniem będzie usprawiedliwić powziętą o mnie nadzieję.

Obsypawszy mnie pochwałami, wcale niezasłużonemi, zabrali się do obejrzenia zdobyczy, którą przyniosłem. Zobaczmy, wołali wszyscy, co téż jest w trzosie zakonnika. Musi być nieźle opatrzony, bo ci szanowni ojcowie nie podróżują zwyczajem pielgrzymów. Kapitan rozwiązał trzos i wyciągnął z niego kilka garści małych miedzianych medalików, między niemi były pomieszane *Agnus Dei* i szkaplerzyki. Na widok tak niespodzianéj kradzieży, wszyscy złodzieje parsknęli śmiechem.—Przebóg! zawołał porucznik, niech żyje Gil Blas, który na pierwszą próbę zdobył dla nas tak zbawienny łup. Ten żart wywołał inne podobnegoż rodzaju. Łotry te, a osobliwie téż apostata, naigrawali się do woli z tego przedmiotu.

Silili się na różne dowcipy, których wspominać nie chcę, a które dowodziły ich rozbestwienia. Ja jeden nie śmiałem się. Prawda że ich szyderstwa psuły mi humor, zwłaszcza że byłem ich przedmiotem. Każdy mi dociął, a kapitan rzekł. Dali-Bóg, mój Gil Blas, radzę ci po przyjacielsku, nie wdawaj się w grę z muchami, to są nadto przebiegłe szpaki dla ciebie.

Rozdział IX.

Ważny wypadek po téj przygodzie.

Staliśmy długo jeszcze w lesie nie ujrzawszy żadnego wędrownika któryby zapłacił za mnicha. Nakoniec ruszyliśmy z powrotem do jaskini, poprzestając na tym śmiesznym wypadku, który nie przestał być przedmiotem naszych rozmów, gdy wtém spostrzegliśmy w oddaleniu powóz czterema mułami zaprzężony. Zmierzał on ku nam dobrym kłusem, obok jechało konno trzech ludzi, jak mi się zdało nieźle uzbrojonych i gotowych przyjąć nas, jeżelibyśmy się odważyli ich napastować. Rolando wstrzymał swoich dla narady, a skutkiem jéj postanowiono uderzyć. Szybko nas urządził i ruszyliśmy w szyku bojowym na spotkanie powozu. Mimo szczodre pochwały, jakiemi mię w lesie obsypano, uczułem zimny dreszcz po całém ciele, a zimny pot oblał mnie całego, który mi nie rokował nic pomyślnego. Na domiar szczęścia, wskazano mi miejsce od czoła, między kapitanem i porucznikiem, którzy widocznie chcieli mnie za jednym zamachem oswoić z ogniem. Rolando widząc moje udręczenie, spojrzał na mnie ostro i rzekł gniewny: Słuchajno, Gil Blas! pamiętaj spełnić twoję powinność; ostrzegam cię, że skoro tylko zwolnisz kroku, natychmiast ci palę w łeb. Aż nadto byłem przekonany, że gotów był to zrobić, co obiecywał, nie puszczałem więc mimo jego ostrzeżenia; dlatego poleciłem duszę moję Bogu, bo tak z jednéj, jak z drugiéj strony, równe czekało mnie niebezpieczeństwo.

Powóz zbliżał się tymczasem. Podróżni wnet poznali co za zuchy jesteśmy; a domyślając się naszego zamiaru z postawy w jakiéj nas widzieli, zatrzymali się o strzał karabinowy. Mieli oni tak jak my, karabiny i pistolety. Kiedy więc gotowali się na nasze przyjęcie, wysiadł z powozu mężczyzna przystojny i bogato ubrany. Siadł na konia, którego prowadził jeden z jeźdźców, i stanął na czele. Całą bronią jego była szabla i pistolety. Choć tylko było ich czterech przeciw dziewięciu, bo woźnica został na koźle, śmiało jednak ruszyli ku nam, a to zwiększyło moję trwogę. Jednakże choć cały drżący, zabrałem się przecież do strzelania, prawdę atoli mówiąc, zamknąłem oczy i twarz w tył zwróciłem dając ognia, a sądząc ze sposobu mojego strzelania, nie powinienbym go mieć na mojém sumieniu.

Nie będę podawał szczegółów walki; bo choć obecny, jednak nic nie widziałem; a trwoga mieszając moję wyobraźnią, zakrywała mi przed oczyma okropność widowiska, które mnie przerażało. To tylko wiem, że po żwawym ogniu karabinowym, usłyszałem towarzyszow z całego gardła krzyczących: zwycięztwo! zwycięztwo! Na ten odgłos strach mnie opuścił, ujrzałem na placu boju czterech jeźdźców bez życia rozciągniętych na ziemi. Z naszéj strony jeden tylko poległ: a tym był apostata, który słusznie odniósł karę za swoje zbiegostwo z klasztoru i naigrawanie się ze szkaplerza. Jeden z naszych rycerzy dostał kulą w prawe kolano, porucznik był także lekko raniony, lecz kula zaledwie dotknęła się skóry.

Kapitan Rolando pobiegł zaraz do drzwiczek powozu. Była w nim kobiéta, mogąca mieć dwadzieścia cztery, do dwudziestu pięciu lat wieku, która mu się zdała bardzo piękną mimo smutne położenie w jakiém się znajdowała. Zemdlała ona w czasie bitwy i jeszcze była w tym samym stanie. W chwili gdy jéj się przyglądał, my tymczasem zajmowaliśmy się naszą zdobyczą. Zaczęliśmy naprzód od chwytania koni, które straciwszy jeźdźców rozpierzchły się po stronach, zestrachane hukiem broni palnéj. Muły nie ruszyły się z miejsca, chociaż woźnica w czasie walki pierzchnął. Odprzęgliśmy je od powozu; obładowali tłomokami, któreśmy znaleźli przed powozem i za powozem przymocowane. Poczém, na rozkaz kapitana, wzięto tę kobiétę, która dotąd jeszcze nie odzyskała przytomności, oddano ją w ręce najsilniejszego i na najdzielniejszym koniu siedzącego złodzieja. Wreszcie zostawiwszy na drodze powóz i trupy obnażone, zabraliśmy z sobą kobiétę, muły i konie.

Rozdział X.

Postępowanie złodziejów z kobiétą. O powziętym wielkim zamiarze Gil Blasa i jaki jego był skutek.

Już przeszło godzina była w noc gdyśmy przybyli do jaskini. Naprzód zaprowadziliśmy konie do stajni, musieliśmy je sami poprzywiązywać do żłobu i opatrzyć, ponieważ stary murzyn już od trzech dni leżał w łóżku. Pedogra mu dokuczała nielitościwie, a prócz tego rumatyzm skrępował mu wszystkie członki, tak dalece, że tylko język miał wolny, który mu téż ani na chwilę nie spoczął w gębie, miotając najszkaradniejsze bluźnierstwa. Pozwoliliśmy mu kląć i bluźnić, a sami udaliśmy się do kuchni, łożąc najtroskliwsze starania około téj kobiéty, nad którą zdawało się cień śmierci już zawisł. Nie szczędziliśmy niczego aby ją wydobyć ze stanu omdlenia i w końcu przecież dopięliśmy naszego zamiaru. Ależ skoro odzyskała przytomność, i ujrzała się otoczoną kilką mężczyznami wcale jéj nieznajomemi, uczuła swoje nieszczęście, struchlała. Wszystko, cokolwiek boleść i rozpacz zarazem mogą mieć najokropniejszego, malowało się w jéj wejrzeniu: wzniosła oczy ku niebu, jakby się chciała skarżyć na bezecne obejście się, które jéj zagrażało: następnie ulegając wpływowi tych przerażających wyobrażeń, wpadła na nowo w mdłości, powieki jéj się zawarły, a złodzieje pewni byli, że śmierć wydrze im tę zdobycz.

Przeszliśmy zatém do sali, gdzie jeden ze złodziejów, który był chirurgiem, opatrzył rany porucznika i jeźdźca i przyłożył stosowną maść. Po skończonéj operacyi zajęto się przetrząśnieniem tłomoków i kufrów: w jednym znaleziono koronki i bieliznę, w drugich suknie, w ostatnich nareszcie, które otworzono było pełno worków ze złotem, co uradowało niesłychanie moich towarzyszów. Po skończeniu tego przeglądu nakryto do stołu i zastawiono jedzenie. Z początku rozmawialiśmy o odniesioném zwycięztwie, następnie Rolando zabrał głos i zwracając się do mnie rzekł: „przyznaj Gil Blas, przyznaj moje dziecko, żeś djabelnie drżał.“ Na to odpowiedziałem: nie zaprze-

czam bynajmniéj, przyznaję szczerze, że tak było, ale bić się będę jako prawdziwy rycérz, skoro odbędę dwie lub trzy wyprawy.“ Cała czereda stanęła w mojéj obronie, mówiono, że mi należy przebaczyć, bo i walka była żwawa, i ja jako młody człowiek, który nigdy w ogniu nie był, nieźlem się sprawił w téj potrzebie.

Zwrócono potém rozmowę do koni i mułów, któreśmy sprowadzili do lochu. Postanowiono, że nazajutrz przed świtem pojedziemy wszyscy sprzedać je w Mansylli, dokąd jeszcze zapewne nie doszła wieść o naszéj wyprawie. Po wieczerzy udaliśmy się do kuchni, dla odwiedzenia kobiety, którąśmy zastali w tym samym stanie i byliśmy przekonani, że téj nocy nie przeżyje. Ztemwszystkiém choć zaledwie małą iskierkę życia widać w niéj było, kilku jednak złodziejów pożądliwém rzucali na nią okiem nie tając się bynajmniéj z rozbestwionemi chuciami któreby niezawodnie byli zaspokoili, gdyby ich Rolando nie powściągnął, przekładając, że powinni zaczekać przynajmniéj choć cokolwiek aż przeminie to udręczenie, które téj pani wszelkie czucie odjęło. Szacunek jaki mieli dla swojego kapitana powściągnął ich niewstrzemięźliwość, bez tego niby było nie zdołało ocalić téj pani; śmierć nawet może nie zabezpieczyłaby była jéj honoru.

Jeszcze raz więc zostawiliśmy tę panią w stanie w jakim się znajdowała. Rolando powierzył ją staraniom Leonardy i każdy udał się do swojéj izby na spoczynek. Co do mnie, położywszy się w łóżku, zamiast spać, rozmyślałem nad nieszczęściem téj kobiéty. Nie wątpiłem, iż to musiała być jakaś pani znakomita, los jéj zdał mi się tém godniejszy politowania. Nie mogłem bez wstrętu pomyśléć o okropności jaka ją czekała, a to mnie tak silnie dojmowało, jak gdyby nas związki krwi lub przyjaźni łączyły. Nareszcie użaliwszy się nad jéj przeznaczeniem, począłem marzyć o środkach ocalenia jéj honoru, a zarazem o sposobach wydobycia się z téj jamy. Myślałem sobie, że stary murzyn nie może się ruszyć, a zatém klucz od kraty musi być u kucharki. Ta myśl zapaliła moję wyobraźnią, podsunęła mi zamiar, który dobrze rozważyłem; poczém natychmiast zabrałem się do jego wykonania, a to w taki sposób.

Udałem, żem dostał wewnętrznego rznięcia. Naprzód zacząłem stękać, jęczéć; zwolna zaś podnosząc głos, zacząłem wreszcie krzyczéć. Złodzieje budzą się i wnet przybywają do mnie. Pytają się dlaczegobym tak wrzeszczał. Odpowiadam, żem dostał straszliwego rznięcia, i żeby tém lepiéj w nich wmówić, zacząłem zgrzytać zębami, kręcić się i przekrzywiać szkaradnie, rzucać się w sposób niesłychany. Potém uspokoiłem się nagle, jak gdyby mię kolka opuściła; po chwili zacząłem znowu skakać po moim tapczanie, łamać ręce. Słowem tak wybornie odegrałem swoję rolę, że złodziejów mimo ich chytrą przezorność uwiodłem. Pewni byli, że w istocie gwałtowne cierpiałem rznięcie. Ależ udając tak dobrze chorego doznałem niepojętego udręczenia: bo skoro moi litościwi towarzysze wyobrazili sobie, że ja rzeczywiście cierpiałem, wszyscy skwapliwie spieszyli z pomocą: jeden przyniósł butelkę gorzałki i połowę wlał mi w gardło; drugi mimo opór z méj strony przysłużył mi się lawatywą z oleju migdałowego; inny ugrzał serwetę i rozpaloną przyłożył mi na brzuch. Napróżno żebrałem ich litości, prośby i krzyk mój przypisywali kolkom i dręczyli mnie bolem rzeczywistym, chcąc mnie uwolnić od tego, którego nie czułem. Wreszcie nie mogąc się oprzéć, musiałem im powiedzieć, żem już nie czuł rznięcia i prosić, żeby mnie zostawili w spokojności. Przestali więc mordować mnie swojemi lekarstwami, a ja się téż więcéj już nie skarżyłem, bojąc się ich pomocy.

Ta scena trwała niemal trzy godziny: poczém złodzieje sądząc, że dzień niedługo zaświta, zaczęli się gotować w podróż do Mansylli. Ułożyłem więc nowego lisa: chciałem wstać z łóżka, pokazując wielką chęć towarzyszenia im, ale mi nie pozwolili. Nie, nie, Gil Blas, rzekł mi kapitan Rolando, zostań tu mój synu, rznięcie mogłoby ci powrócić. Innym razem pojedziesz z nami, teraz nie możesz tego zrobić, odpocznij sobie przez cały dzień, ty potrzebujesz snu. Osądziłem za rzecz przyzwoitą nie nalegać dłużéj, z obawy, aby się nie skłonili do mojéj prośby; udałem tylko wielkie zmartwienie, że nie mogę im towarzyszyć, a to zrobiłem z miną tak naturalną, iż wszyscy opuścili te podziemia nie mając najmniejszego podejrzenia o moim zamiarze. Po ich oddaleniu, które starałem się przyspieszyć mojemi ślubami; mówiłem sobie: Ha! Gil Blas, teraz ci trzeba silnéj woli; uzbrój się odwagą, abyś dokonał, coś tak szczęśliwie rozpoczął. Rzecz zdaje się łatwa: Domingo nie może ci się opierać; Leonarda nie może ci zawadzać. Chwytaj tak dogodną porę ucieczki, może już nigdy nie zdarzy ci się szczęśliwsza. Takowe rozmyślanie przejęło mnie pewną otuchą: wstałem więc, wziąłem moję szablę i pistolety i udałem się naprzód do kuchni; lecz wstrzymałem się przed wejściem posłyszawszy Leonardę rozmawiającą. Mówiła ona do téj kobiety nieznanéj, która odzyskawszy przytomność i rozważając swoje nieszczęście rzewnie płakała z rozpaczy.—Płacz, moja córko, mówiła jéj stara, wylewaj łzy obfite, nie wstrzymuj jęków, to ci ulży. Twoje omdlenie było niebezpieczne, ale teraz nie ma się czego bać, kiedy już płaczesz. Boleść twoja zwolna uspokoi się, wkrótce przywykniesz do życia z naszemi panami, którzy są bardzo uczciwemi ludźmi. Lepiéj się z tobą obchodzić będą, jak z księżniczką, będą ci okazywać tysiączne grzeczności, objawiać ci swoje przywiązanie. Oh, jest wiele kobiét, któreby pragnęły być na twojém miejscu.“

Nie pozwoliłem pani Leonardo dłużéj się rozwodzić. Wszedłem, a przykładając jéj pistolet do głowy, groźno zażądałem klucza od kraty. Zmieszana moim postępkiem, a choć już bardzo stara, czuła jednak dosyć przywiązania do życia, aby się miała ośmielić odmówić mojemu żądaniu. Mając klucz w ręku odezwałem się do pani stroskanéj.—Pani! rzekłem, niebo ci zsyła zbawcę, wstań i pójdź za mną; zaprowadzę cię, dokąd się udać zechcesz.“ Kobieta nie była głuchą na mój głos, a wyrazy moje tak silne wywarły wrażenie na jéj umysł, że zbierając resztę sił, jakie jeszcze mieć mogła, podniosła się, padła mi do nóg, zaklinając mnie, abym ocalił jéj honor. Podniosłem ją, zapewniając, że może liczyć na mnie. Poczém spostrzegłszy postronki w kuchni, przy pomocy téj kobiety, przywiązałem Leonardę do nóg stołu, zapewniając ją, że jéj w łeb wypalę, skoroby najmniejszy krzyk wydała. Poczciwa Leonarda nie wątpiąc, że gotów byłem spełnić moję pogróżkę za najmniejszym jéj oporem, pozwoliła mi robić wszystko co chciałem. Zapaliłem więc świecę i poszedłem z nieznajomą do izby, w któréj były pieniądze. Napakowałem w kieszenie tyle łujdorów i dublonów, ile się tylko zmieścić mogło; żeby zaś i ją zachęcić do tegoż, przedstawiłem jéj, że nic gorszego nie zrobi, tylko odbierze swoję własno ść. Usłuchała mnie bez skrupułu. Opatrzywszy się dobrze na drogę, udaliśmy się do stajni, do któréj wszedłem sam z pistoletem w ręku. Spodziewałem się, że stary murzyn bez względu na pedogrę i reumatyzm, nie pozwoli mi spokojnie osiodłać i okiełznać konia, i byłem gotów uleczyć go na wieki z jego dolegliwości, jeżeliby tylko chciał grać rolę upartego; ale na szczęście tak był osłabiony boleścią, iż ja wyprowadziłem konia, a on zdawał się nawet nie spostrzegać tego. Kobieta czekała na mnie przy drzwiach. Szybko przebiegliśmy ganek wiodący do podziemia. Przybywamy do kraty, otwieramy ją i stajemy u wrót zapartych. Wieleśmy użyli trudu niemeśmy je podnieść zdołali, czyli raczéj, aby tego dokazać musieliśmy przywołać nowych sił, jakich nam dostarczyła żądza ratowania się.

Już się rozwidniało, kiedyśmy się ujrzeli poza bramą téj przepaści. Staraliśmy jak najspieszniéj od niéj oddalić. Skoczyłem na siodło, nieznajoma siadła na koń za mną i w cwał ruszyliśmy pierwszą ścieżką, która się nam nastręczyła; wkrótce wydostaliśmy się z lasu. Wjechaliśmy na równinę kilką drogami przeciętą, na los szczęścia puściliśmy się jedną z nich. Drżałem ze strachu, aby to nie była droga do Mansylli wiodąca, abyśmy nie spotkali Rolanda i jego towarzyszów, co łatwo być mogło. Szczęściem obawa moja była płonna, o godzinie drugiéj z południa przybyliśmy do Astorgi. Spostrzegliśmy ludzi, którzy nam się przypatrywali z wielką uwagą, jakby to

nowość jaka była dla nich, widzieć kobietę na koniu siedzącą za mężczyzną. Stanęliśmy w pierwszym lepszym zajeździe, w którym kazałem czémprędzéj wsadzić na rożen kuropatwę i królika. Kiedy nam przygotowywano obiad, zaprowadziłem moję nieznajomą do osobnego pokoju i rozpoczęliśmy rozmowę, w drodze bowiem dla szybkiego biegu niepodobna było mowić. Oświadczyła mi jak umié czuć moję przysługę, dodając, że po czynie tak szlachetnym wnosi, że nie muszę być towarzyszem rozbójników, od których ją wybawiłem. Opowiedziałem jéj moje przygody, aby ją utwierdzić w dobrém mniemaniu, jakie o mnie powzięła. Przez to pozyskałem jéj zaufanie i skłoniłem ją do opowiadania jéj nieszczęść, które tak jak słyszałem, w następującym rozdziale przedstawię.

Rozdział XI.

Historya pani Mencia de Mosquera.

Urodziłam się w Walladolid i nazywam sią Mencia de Mosquera. Ojciec mój don Martin długo bardzo służył wojskowo i poległ w Portugalii na czele pułku, którym dowodził, straciwszy niemal całe ojczyste mienie. Chociaż więc byłam jedynaczką, tak szczupły odziedziczyłam majątek, iż posag mój wcale nie mógł być ponętny. Mimo to wszakże nie brakło mi zalotników. Wiele młodzieży z najznakomitszych rodzin starało się o moję rękę. Ten który szczególniéj zwrócił moję uwagę, nazywał się don Alvar de Mello. W istocie był urodziwszym od swoich spółzawodników; lecz piękniejsze jeszcze i trwalsze przymioty duszy skłaniały mnie ku niemu. Dowcipny, uprzejmy, był pełen odwagi i uczciwości. Prócz tego mógł uchodzić w świecie za najwykwintniejszego młodzieńca. Trzeba li było urządzić jaką ucztę, nikt tego z lepszym gustem dokazać nie umiał: jeżeli wystąpił w szranki, wszyscy podziwiali jego siłę i zręczność. Wybrałam go więc zpośród innych i zaślubiłam.

Wkrótce po naszych godach weselnych spotkał w ustronném miejscu don Andrzeja de Baesa, spółzawodnika swojego. Przemówili się wzajemnie i chwycili za szpady. Don Andrzéj przypłacił życiem. Że zaś byłto synowiec korregidora Walladolidu, człowieka porywczego i wroga rodziny Mello, don Alvar więc mniemał, iż mu jak najprędzéj opuścić miasto należy. Szybko więc wrócił do mieszkania, i gdy mu przygotowywano konia, on mi tymczasem opowiedział swoje zdarzenie.—Droga Mencio! rzekł mi, musimy się rozłączyć, jestto niezbędna konieczność; znasz korregidora, nie łudźmy się bynajmniéj, będzie mnie ścigał niezawodnie. Nietajne ci są jego wpływy i znaczenie, nie byłoby dla mnie bezpieczeństwa na całym półwyspie.“ Tak był ściśnięty boleścią własną, a bardziéj jeszcze widokiem mojego udręczenia, iż nie mógł słowa więcéj wyrzec. Podałam mu pieniędzy i klejnotów, co naprędce znalazłam, uściskaliśmy się wśród wzajemnych jęków i rzewnego płaczu. Wreszcie dano znać, że koń gotowy. Wyrywa mi się z rąk, oddala się, zostawiając mnie w stanie który wyrazić się nie da; stokroć byłabym szczęśliwsza, gdyby ciężkie zgryzoty brzemię, było wówczas kres położyło mojemu życiu! Śmierć ta ileżby mi była oszczędziła przykrości i nudów! W kilka godzin po odjeździe don Alvara, korregidor dowiedział się o jego ucieczce. Rozesłał wszystkich algazilów miasta w pogoń za nim, niczego nie szczędził, aby go tylko mógł dostać w swoje ręce. Mąż mój szczęśliwie zawiódł jego nadzieje, i potrafił się zabezpieczyć. Sędzia ujrzawszy, iż jedynie zajęciem dóbr człowieka, którego krwi pragnął, nasycić może swoję zemstę, na to zwrócił swoje zabiegi i nieprożno: całe mienie don Alvara zajęto na skarb.

Położenie moje stało się bardzo przykre, ledwie mi starczyło na bardzo skromne utrzymanie. Cofnęłam się od świata, jedna tylko kobieta składała mój dwór. Całe dnie przepędzałam we łzach, ubolewałam nie na nędzę moję, bom ją znosiła cierpliwie, lecz na nieobecność drogiego męża, od którego żadnéj nie miałam wiadomości; tém bardziéj, że mi przyrzekł, iż będzie się starał uwiadomić mnie o swoim losie, w jakikolwiek zakąt ziemi zawiodłaby go nieszczęsna jego gwiazda. Już siedm lat minęło, a ja nic i nic o nim nie słyszałam. Ta niepewność o jego losie dręczyła mnie srodze. Wreszcie dowiaduję się że walcząc w sprawie króla portugalskiego w królestwie Fez, utracił życie w jednéj bitwie. Doniósł mi o tém człowiek jeden, który niedawno wrócił z Afryki zapewniając mnie, iż dobrze znał don Alvara de Mello; że z nim razem służył w wojsku portugalskiém, i że sam na własne oczy widział jak poległ w bitwie. Opowiadał przytém inne drobne okoliczności, które mnie przekonały, że mąż mój nie żyje. Wiadomość ta wzmocniła mój żal, postanowiłam nigdy w powtórne nie wchodzić śluby. Około tego czasu przybył do Walladolid don Ambrosio Mesio Corillo, margrabia de la Guardia. Byłto jeden z tych podstarzałych panów, którzy wzięciem się grzecznem i uprzejmém, każą zapominać o swoim wieku, i umieją podobać się kobietom. Jednego dnia opowiadano mu historyą don Alvara, a gdy mu odmalowano mój obraz, wzięła go chęć widzenia mnie. Dla zaspokojenia swojéj ciekawości zjednał sobie jednę z moich krewnych, która za jego namową zwabiła mnie do siebie. Był i on tam, widział mnie i polubił, mimo wyrazu boleści, jaki się objawiał w mojém obliczu. Co mówię, mimo? być może, iż go ujęła moja postać smutna i udręczona, która go uprzedzała o mojéj wierności. Moja posępność może obudziła jego miłość. Powtarzał mi nieraz, iż mnie uważa za zjawisko stałości, że zazdrości losu mojego męża, jakkolwiek ten był smutnym. Słowem, tak był ujęty moim widokiem, iż nie potrzebował widzieć mię powtórnie by postanowić zaślubienie moje.

Za pośredniczkę do spełnienia swojego zamiaru użył mojéj krewnéj. Przybyła więc do mnie, przedstawiała mi, że skoro mąż mój spełnił swoje przeznaczenie w królestwie Fez, jak nam doniesiono, nierozsądną przeto byłoby rzeczą dłużéj zagrzebywać wdzięki moje, że dosyć już opłakałam człowieka, z którym zaledwie przez kilka chwil byłam połączoną, żem powinna korzystać ze sposobności, że będę najszczęśliwszą kobietą. Przytém uwielbiała szlachetny ród margrabiego, jego znakomite dobra, jego piękny charakter. Cała atoli jéj wymowa nie potrafiła mnie przekonać. Nie żebym wątpiła o śmierci don Alvara, nie wstrzymywała mnie wcale obawa ujrzenia go w chwili najmniéj spodziewanéj; lecz brak skłonności, czyli raczéj wstręt zupełny do powtórnych związków, zwłaszcza po tak nieszczęśliwym pierwszym, był główną zawadą, którą miała do przezwyciężenia moja krewna. To jéj wszakże nie zrażało, owszem gorliwość jéj dla don Ambrosio wzmagała się tém bardziéj, wciągnęła całą moję rodzinę do sprawy starego markiza. Rodzice moi zaczęli mnie naglić do przyjęcia tak korzystnego związku; ujrzałam się obarczoną, ciągłém natręctwem nękaną. Przyznać muszę, że niedostatek, który mi się z każdym dniem dotkliwiéj czuć dawał, niemało się przyłożył do przełamania mojego postanowienia; sama tylko niezbędna konieczność potrafiła mnie skłonić do tego.

Nie mogłam się dłużéj bronić; uległam natarczywości i zaślubiłam margrabiego de la Guardia, który nazajutrz po ślubie zawiózł mnie do pięknego pałacu jaki miał w bliskości Burgos, pomiędzy Grajal i Rodillas. Czuł on dla mnie gwałtowną miłość; widziałam w każdym jego czynie chęć przypodobania mi się. Starał się uprzedzać moje najmniejsze żądze. Nie było męża, któryby więcéj objawiał względności dla swojéj żony, żaden zalotnik nie okazał tyle grzeczności dla swojéj kochanki. Podziwiałam człowieka tak miłego charakteru, i pocieszałam się w pewnym względzie po stracie don Alvara, ponieważ miałam uszczęśliwiać takiego pana, jakim był margrabia. Byłabym go nawet namiętnie kochała, mimo uderzającą nierówność wieku, gdybym była zdolna kochać kogokolwiekbądź po don Alvarze. Lecz sercem stałém jedna tylko włada namiętność; wspomnienie pierwszego męża niweczyło wszelkie zabiegi drugiego dla przypodobania mi się podjęte. Przywiązania jego nie mogłam odpłacać inaczéj, tylko jedyném uczuciem wdzięczności.

Takie było moje usposobienie, kiedy raz używając świeżego powietrza w oknie mojego pokoju, spostrzegłam w ogro-

dzie kogoś w ubiorze wieśniaka, który się bacznie wpatrywał we mnie. Rozumiejąc że to jakiś ogrodniczek, mało zwracałam uwagi na niego; lecz gdy nazajutrz stanęłam w temże okule, ujrzałam go podobnież przyglądającego się. To mnie uderzyło, zaczęłam mu się także przypatrywać, i po niejakiéj chwili zdało mi się, że widzę jakieś rysy don Alvara. To podobieństwo wstrzęsło moję duszę, krzyknęłam przeraźliwie. Szczęściem, byłam sama z Inesą, jedną z kobiét moich, najwięcéj mojego zaufania posiadającą. Objawiłam jéj domysł, który mnie niepokoił. Roześmiała się z tego, przekonana będąc, że jakieś małe podobieństwo wzrok mój uwiodło.—Uspokój się pani, rzekła, nie myśl wcale, abyś miała widzieć pierwszego małżonka. Jakież podobieństwo, aby tu się miał pokazywać w ubiorze wieśniaka, a nawet czyż można wierzyć aby żył dotąd? Ale, dodała, dla zaspokojenia pani, pójdę do ogrodu, rozmówię się z tym wieśniakiem; dowiem się co to za człowiek i w momencie opowiem pani."—Poszła więc Ines do ogrodu, i po chwili ujrzałam ją wracającą bardzo wzruszoną.—Pani! rzekła mi, domysł jéj aż nadto wyjaśniony; takjest, to sam don Alvar, któregoś widziała; natychmiast mi się odkrył i chce pomówić z panią na stronie.

Ponieważ markiz był w Burgos, mogłam więc w téj chwili przyjąć don Alvara, i poleciłam mojéj służebnicy, aby go wprowadziła do gabinetu krytemi schodami. Łatwo pojmiesz, jak straszne miotało mną wzruszenie. Nie mogłam znieść widoku człowieka, który miał prawo czynić mi wyrzuty; skoro go więc ujrzałam, padłam bez zmysłów, jak gdyby to cień jego był tylko. Zaczęli mnie ratować on i Ines, i kiedym odzyskała przytomność, don Alvar odezwał się:—Pani! uspokój się, przez litość; obecność moja niech nie będzie męczarnią dla ciebie; nie przyszedłem z zamiarem wyrządzenia ci najmniejszéj przykrości. Nie przybywam jako małżonek gniewem zapalony, domagać się rachunku z zaprzysiężonéj wiary i poczytywać ci za zbrodnię, powtórne śluby przez ciebie zawarte. Wiem że to jest dziełem twojéj rodziny; opowiedziano mi wszystkie prześladowania, jakieś z tego powodu znieść musiała. Prócz tego, rozpuszczono wieść w mieście o mojéj śmierci, a tys miała tém większy powód do wierzenia, żeś nie odebrała odemnie żadnéj wiadomości, któraby cię inaczéj przekonała. Nakoniec i to mi nie tajno, jak żyłaś od chwili naszego okropnego rozłączenia, i że konieczność raczéj, a nie przywiązanie, skłoniło cię do oddania ręki margrabiemu.—Ah, panie! przerwałam mu płacząc, dlaczegóż chcesz uniewinniać twoję żonę; jest ona winną, ponieważ ty żyjesz. Dlaczegoż nie jestem w nędzy, w jakiéj byłam przed zaślubieniem margrabiego! Nieszczęsne śluby! niestety! w nędzy mojéj miałabym tę przynajmniéj pociechę, iżbym cię oglądała bez zarumienienia się.

—Kochana Mencyo! ozwał się don Alvar, tonem, który wyraźnie objawiał, że go wzruszyły łzy moje; nie skarżę się wcale na ciebie, a zamiast wyrzucać ci stan świetny, w jakim cię znajduję, owszem, składam zań dzięki niebu. Od nieszczęsnego dnia odjazdu mojego z Walladolid, los mi ciągle był sprzeczny; życie moje było pasmem nieprzerwanem nieszczęść, a na domiar mojéj niedoli nie mogłem ci dać wiadomości o sobie. Nadto, pewny twojéj miłości, rozmyślałem ciągle o stanie w jakim cię moje przywiązanie postawiło. Wystawiałem sobie Mencyę łzami zalaną: tyś była przedmiotem największego mojego udręczenia. Niekiedy, wyznaję ci szczerze, wyrzucałem sobie, jak zbrodnię jaką, szczęście podobania się tobie. Życzyłem, abyś była więcéj skłonności okazała któremu z moich współzawodników, ponieważ przenosząc mnie nad innych, tak drogo uczucie swoje opłaciłaś. Tymczasem po siedmiu latach cierpień, więcéj jak kiedykolwiek zajęty tobą, zapragnąłem widzieć cię. Nie mogłem się oprzeć téj żądzy, a skoro tylko koniec méj niewoli dozwolił mi, pod tém przebraniem udałem się do Walladolid: tam dowiedziałem się o wszystkiém. Przybyłem potém do tego zamku i znalazłem sposób dostania się do ogrodnika, który mnie zatrzymał do robót w ogrodzie. Otóż widzisz, jakich użyłem sposobów, aby rozmówić się z tobą na osobności. Lecz nie myśl, abym obecnością moją chciał zatruwać szczęście, którego tu używasz. Kocham cię bardziéj niż siebie samego, szanuję twoję spokojność; po téj rozmowie, pójdę w oddaleniu pędzić dni smutne tobie poświęcone.

Nie, don Alvarze, nie, zawołałam na to słowo, niebo nie napróżno cię tu sprowadziło, nie zniosę abyś mnie po raz drugi opuszczał; pójdę z tobą, odtąd śmierć tylko może nas rozłączyć. Słuchaj mnie, odpowiedział, żyj z don Ambrosio, nie chciéj być uczestniczką moich nieszczęść, pozwól mnie samemu dźwigać ich brzemię. Wiele jeszcze prawił mi podobnych rzeczy; ale im bardziéj usiłował się ofiarować dla mojego szczęścia, tém mniéj skłonną mnie znalazł do zezwolenia na to. Widząc mnie niezachwianą w zamiarze towarzyszenia mu, nagle zmienił ton, i z twarzą malującą zadowolenie:—Pani! ozwał się, mogęż wierzyć uczuciom, które mi objawiasz? Ponieważ jeszcze mnie tak dalece kochasz, że wolisz moję nędzę, niżeli obfitość w jakiéj teraz opływasz, jedźmy więc do Betanias w głębi Galicyi, gdzie mam schronienie bezpieczne. Jeżeli zawistny los pozbawił mnie całego majątku, nie odebrał mi jednak przyjaciół, zostało mi ich wielu bardzo wiernych, przy których pomocy mogę cię ztąd zabrać. Kazałem w Zamorze zrobić powóz; kupiłem muły i konie, a trzech najśmielszych zpośród Galicyan towarzyszyć nam będzie. Uzbrojeni w karabiny i pistolety, czekają na moje rozkazy we wsi Rodillas. Korzystajmy z nieobecności don Ambrosio. Każę zajść powozowi przed bramę zamku, i oddalimy się w tym momencie. „Zezwoliłam na to: don Alvar pobiegł do Rodillas i wkrótce wrócił z trzema jeźdźcami, zabierając mnie zpośród moich kobiét, które nie rozumiejąc co się dzieje, pouciekały spłoszone. Ines jedna wiedziała o wszystkiém; lecz nie chciała losu swojego łączyć z moim, ponieważ kochała jednego ze służących don Ambrosio: co dowodzi, że przywiązanie najgorliwszych naszych służących, nie wytrzyma próby miłości.

Wsiadłam więc do powozu z don Alvarem, wziąwszy z sobą swoje suknie i trochę klejnocików, jakie miałam przed powtórném zamężciem, nie chciałam bowiem nic brać z tego, co mi ofiarował margrabia przed ślubem. Puściliśmy się drogą do Galicyi, nie wiedząc, czy dojedziemy szczęśliwie. Mieliśmy powód lękania się, aby don Ambrosio wróciwszy, nie puścił się w pogoń za nami z licznym pocztem ludzi i nie dosięgnął nas. Jednakże jechaliśmy przez dwa dni, a nikt się za nami nie pojawił. Spodziewaliśmy się już, że i trzeci dzień przejdzie podobnież, i już dość spokojnie rozmawialiśmy. Don Alvar opowiadał mi smutną przygodę, która dała powód do rozpuszczenia wieści o jego śmierci, jak po pięciu latach niewoli odzyskał wolność, kiedy oto wczoraj na drodze do Leonu spotkaliśmy złodziejów, między któremi i ty byłeś. Jegoto oni zabili wraz z jego ludźmi, onto jest przyczyną łez które wylewam.

Rozdział XII.

Jaki wypadek niemiły przerwał rozmowę téj pani z Gil Blasem.

Skończywszy to opowiadanie, dona Mencia zalała się łzami. Nie zabierałem się wcale do jéj pocieszania mową w guście Seneki, owszem zostawiłem zupełną swobodę jéj boleści. Co większa, płakałem z nią razem: tak to jest rzeczą naturalną darzyć spółczuciem nieszczęśliwych, a osobliwie téż piękną kobietę stroskaną. Miałem ją się spytać co myśli przedsięwziąć w takim zbiegu okoliczności; być może, iż i ona byłaby się mnie radziła w tym samym przedmiocie, gdy wtém przerwano naszą rozmowę. Usłyszeliśmy głośną wrzawę w domu zajezdnym, która zwróciła naszą uwagę. Przyczyną jéj było przybycie korregidora w towarzystwie dwóch algazilów i kilku stróżów. Przybyli do pokoju, któryśmy zajmowali. Młody człowiek z nimi razem będący, przystąpił najpierwszy do mnie i patrząc na mój ubiór przez chwilę, zawołał: Święty Jakóbie! oto mój kaftan! to on sam, nietrudno także poznać konia mojego. Możecie przytrzymać tego panicza na moje słowo, nie lękam się bynajmniéj, abym miał być winien zwrot jego honoru. Zaręczam, że to jest jeden z téj bandy złodziejów, która ma swoję kryjówkę w tych stronach.

Na te słowa, z których dowiedziałem się, iż ten młody człowiek był owym szlachcicem, którego łup cały miałem na sobie, stanąłem jak wryty zawstydzony i pomieszany. Korregidor, którego powołanie obowiązywało do wyprowadzania złych raczéj wniosków z mojego kłopotu, aniżeli do tłumaczenia go na moję korzyść, mniemał że skarga nie była bezzasadną; a przypuszczając, że kobieta mogła być moją wspólniczką, kazał nas uwięzić, każde osobno. Sędzia nie był z liczby tych, których sam wzrok trwogą przejmuje, owszem postawa jego była przyjemna, oblicze uśmiechające się. Bóg wié, czy był lepszym od innych! Skorom się ujrzał w więzieniu, przybył tam natychmiast z dwoma wyżłami, tojest dwoma swojemi algazilami. Z radosnego ich wejrzenia wnosząc, zdawało się jakoby mieli przeczucie, iż to niezły będzie dla nich interes. Nie opuścili swojego wybornego zwyczaju, naprzód zaczęli mnie przetrząsać. Co to za połów dla tych panów! Może w życiu swojém nie złapali takiéj gratki. Za każdą garścią luidorów, które wyciągali z kieszeni, oczy im się iskrzyły z radości. Korregidor osobliwie nie posiadał się z ukontentowania. Moje dziécię, mówił mi tonem słodziutkim, my tylko spełniamy nasz obowiązek; ale nie bój się niczego, jeżeliś niewinny, nic ci się złego nie stanie. Tymczasem z wszelką grzecznością, pomału, wypróżniali moje kieszenie, zabrali mi i to, co nawet złodzieje szanowali, tojest owe czterdzieści dukatów, które od wuja dostałem. Nie poprzestali na tém; chciwą ręką obmacali mnie od stóp do głowy; obracali mnie na wszystkie strony, rozebrali mnie, aby się przekonać, czy nie mam pieniędzy za skórą. Pewny jestem, że z ochotą byliby mi brzuch rozprali, dla przekonania się, czy i tam niéma złota. Gdy z taką ścisłością dopełnili tego obowiązku, korregidor rozpoczął badanie. Opowiedziałem mu szczerze wszystkie moje przygody. Kazał spisać moje zeznanie, poczém wyszedł ze swojemi ludźmi i z mojemi pieniędzmi, zostawiwszy mnie nagiego na barłogu.

O życie ludzkie! zawołałem ujrzawszy się sam i w takim stanie, jakże pełne jesteś przygód dziwacznych i zawodów! Od chwili wyjścia mojego z Oviedo same tylko napotykam przeciwności; zaledwie wybrnę z jednego nieszczęścia, jnżci wpadam w nowe. Przybywszy do tego miasta, ani mi przez myśl nie przeszło, abym tak prędko miał zabrać znajomość z korregidorem. Tak rozmyślając bezkorzystnie, wdziałem ten przeklęty kaftan i resztę nieszczęsnego ubioru; potém sam sobie dodając odwagi: Co tam! Gil Blas, bądź stałego umysłu; pomyśl sobie, że po złych przyjdą może i pomyślniejsze dla ciebie czasy. Przystoiż ci rozpacz w zwyczajném więzieniu, po złożeniu próby cierpliwości w lochach podziemnych! Ale niestety! dodałem z westchnieniem, jestto próżna ułuda. Jakżeż się ztąd wydobyć potrafię? Odjęto mi wszelkie środki do tego: więzień bez pieniędzy, jestto ptaszek bez skrzydeł.

Zamiast kuropatwy i królika, które kazałem piec w domu zajezdnym, przyniesiono mi suchy kawałek razowego chleba i dzban wody, i pozwolono mi żuć wędzidło za kratą. Całe piętnaście dni przesiedziałem, nie widząc żywéj duszy prócz dozorcy, który mi codzień rano przynosił moję porcyą. Skorom go ujrzał, starałem się znim zawiązać rozmowę, aby się jakożkolwiek rozerwać w téj turmie; ani słowa wszakże nie bąknął na to co do niego mówiłem, nie mogłem nic z niego wydobyć, najczęściéj wchodził i wychodził nie spojrzawszy na mnie. Szesnastego dnia pojawił się korregidor i rzekł:—Już przecież cierpienia się twoje skończyły; możesz się pocieszyć, bo ci przyszedłem przyjemną zwiastować nowinę: kobietę, która była z tobą, kazałem odprowadzić do Burgos; badałem ją przed odjazdem, a odpowiedzi jéj na twoję korzyść wypadły. Dziś zaraz wyjdziesz na wolność, jeżeli tylko mułowodzca, z którym przybyłeś z Peniaflor do Kakabelos, jak opowiadałeś, potwierdzi twoje zeznanie. Jest on w téj chwili w Astorga, posłałem po niego; jeżeli zezna przygodę o któréj mowa, natychmiast cię wypuszczę na wolność.

Uradowałem się na te słowa: od téj chwili uważałem sprawę za skończoną. Podziękowałem sędziemu za tak pospieszną i dobrą sprawiedliwość, jaką mi chciał wymierzyć; jeszczem nie skończył grzecznych oświadczeń, gdy przewodnik mułów wszedł w towarzystwie dwóch dozorców. Poznałem go natychmiast; ale ten zbój, który zapewne sprzedał mój tłomok ze wszystkiém co się w nim znajdowało, bojąc się by nie był zmuszony zwrócić zań wziętych pieniędzy, skoroby się przyznał, że mnie poznaje, odpowiedział bezczelnie, że nie wié kto jestem, że mnie nigdy nie widział.—Ha! zdrajco, krzyknąłem, wyznaj raczéj żeś sprzedał moje rzeczy i złóż świadectwo prawdzie. Przypatrz się dobrze, ja to jestem jeden z tych młodych ludzi, którym zagroziłeś torturą w Kakabelos, co mnie tak przestraszyło." Mułowodzca z zimną krwią odpowiedział, że mu prawię rzeczy, o których on wcale nic nie wié; a że ciągle utrzymywał, iż mu jestem nieznany, wyzwolenie moje więc odłożone zostało na późniéj.—Moje dziecko, mówił sędzia, widzisz że przewodnik mułów nie zgadza się na to, coś ty zeznał; nie mogę cię więc wypuścić na wolność mimo największą chęć." Musiałem się więc znowu uzbroić cierpliwością, pościć jeszcze o chlebie i wodzie, i patrzéć na mojego milczącego dozorcę. Pomyśliwszy sobie, że się nie potrafię wydobyć ze szpon sprawiedliwości nie popełniwszy najmniejszego występku, wtedy rozpacz mnie ogarniała; żałowałem podziemnych lochów. W gruncie rzeczy, mniéj tam miałem przykrości jak tu; zajadałem dobrze ze złodziejami, bawiłem się z nimi wesoło, żyłem w słodkich marzeniach, że się przecież wydobędę; gdy tymczasem, mimo niewinność, wielkie moje szczęście będzie, jeżeli ztąd pójdę na galery.

Rozdział XIII.

Jakim trafem Gil Blas wyszedł przecie z więzienia i dokąd się udał.

Kiedy tak po całych dniach rozpędzałem nudy czczém rozmyślaniem, tymczasem przygody moje, tak jak je podałem do wywodu słownego, rozbiegły się po całém mieście. Wiele osób chciało mię widzieć dla saméj ciekawości. Jeden po drugim przechodził koło małego okienka, którém światło dzienne wkradało się do mojéj turmy, a każdy popatrzywszy się na mnie przez chwilę, odchodził. Zdziwiła mnie ta nowość. Odkąd wtrącony zostałem do więzienia, nie widziałem nikogo przed mojém okienkiem: wychodziło ono na dziedziniec, na którym panowała cichość i trwoga. Przez to poznałem, że imię moje musiało się stać głośném w mieście, ale nie wiedziałem czy ztąd co dobrego, czy złego wróżyć miałem.

Jednym z pierwszych przechodniów, który wzrok mój uderzył, był mały śpiewak z Mondognedo, co tak się bał tortury, jak ja, i razem ze mną uciekał. Poznałem go i on także nie udawał wcale nieznajomości. Powitaliśmy się nawzajem i zawiązaliśmy długą rozmowę. Musiałem na nowo opowiadać moje przygody, co podwójny wywarło skutek na moich słuchaczach; dałem im powód do śmiechu i zyskałem ich politowanie. Mały śpiewak ze swojéj strony opowiedział mi co zaszło późniéj w karczmie w Kakabelos między mułowodzcą i młodą kobietą, gdy nas strach ztamtąd wypędził; słowem wszystko mi przedstawił, jakem to wyżéj opowiedział. Poczém żegnając się ze mną przyrzekł mi, że idzie niezwłocznie starać się o moje wyzwolenie. Wtedy wszyscy, którzy tam zebrali się z takiéj saméj ciekawości jak on, wynurzyli mi swoje spółczucie, zapewniając mnie, że połączą swoje usiłowania ze śpiewakiem, aby mi wyjednać wolność.

Dotrzymali słowa. Wstawiali się za mną do korregidora, który nie wątpiąc bynajmniéj o mojéj niewinności, osobliwie gdy śpiewak opowiedział mu wszystko co o mnie wiedział, przybył we trzy tygodnie późniéj do mojego więzienia.—Gil Blas rzekł do mnie, mógłbym cię jeszcze dłużéj tu zatrzymać, gdybym był sędzią surowszym, lecz nie chcę przewlekać téj sprawy; jesteś więc wolnym: możesz ztąd wyjść, kiedy ci się podoba. Ale powiédz mi, mówił daléj, gdyby cię zaprowadzono do lasu, w którym są te pieczary, nie mógłżebyś ich wskazać?—Nie, panie, odpowiedziałem: ponieważ wprowadzono mnie do nich w nocy, a wydobyłem się przedniem, niepodobna mi było rozpoznać miejsca. Sędzia się oddalił, oświadczając, iż

poleci intendentowi, aby mi kazał otworzyć turmę. W istocie, w moment potém wszedł dozorca z siepaczem, który trzymał pod pachą paczkę płócienną. Zdjęli ze mnie mój kaftan i spodnie z cienkiego sukna i prawie nowe i z miną poważną, nie rzekłszy ani słowa, włożyli na mnie starą płócienną siermięgę i wziąwszy za kark wyrzucili za drzwi.

Zawstydzony tak haniebnym ubiorem, mniéj czułem radości, niż zwykli czuć jéj uwięzieni odzyskując wolność. Chciałem natychmiast opuścić miasto, aby ujść wzroku ludu, który mi niesłychanie był przykrym. Lecz wdzięczność przemogła wstyd; poszedłem złożyć dzięki małemu śpiewakowi, któremu tyle byłem winien. Nie mógł się wstrzymać od śmiechu, skoro mnie spostrzegł. Jakże ty wyglądasz! ozwał się do mnie, zrazu nie poznałem cię w tym stroju; sprawiedliwość, jak widzę, dobrze cię ze wszech stron zażyła.—Nie żalę się bynajmniéj na sprawiedliwość, odpowiedziałem mu, ona jest bardzo słuszną, życzyłbym tylko, aby szafujący nią urzędnicy, byli uczciwymi ludźmi, powinni mi byli przynajmniéj zostawić ubiór; zdaje mi się, żem go nieźle zapłacił.—Prawda, rzekł, ale ci powiedzą, że wypadało zachować formalności. Ha! wystawiasz sobie może naprzykład, że twojego konia zwrócono piérwszemu właścicielowi? Boże broń, on jest teraz w stajni pisarza, dokąd go zaprowadzono jako dowód kradzieży: nie sądzę, aby biedny szlachcic dostał przynajmniéj podogonie po nim. Ale przejdźmy do czego innego, mówił daléj, jakie teraz są twoje zamiary? co myślisz daléj robić?—Chciałbym naprzód udać się do Burgos, odpowiedziałem śpiewakowi, pójdę do pani, któréj byłem zbawcą; da mi zapewne kilka luidorów, kupię sobie nową kapotkę i pójdę do Salamanki, gdzie starać się będę korzystać z mojéj łaciny. To tylko nieszczęście, że nie jestem w Burgos, udając się tam, trzeba żyć w drodze, a sam wiész o tém, jakto szczupła wieczerza, gdy się wędruje bez pieniędzy.—Rozumiem, odparł natychmiast, i ofiaruję ci mój worek, jest dość chudy, ależ wiész dobrze, że śpiewak, to nie biskup. ,,Podziękowałem mu tak serdecznie, jak gdybym miał wszystko złoto całego świata, złożyłem mu tysiące zapewnień o chęci odsłużenia, które jednak nigdy nie przyszło do skutku. Potém pożegnałem go i opuściłem miasto, nie szukając już innych, którzy się przyłożyli do mojego wyzwolenia, poprzestając na udzieleniu im w myśli tysiącznych błogosławieństw.

Wielką słuszność miał śpiéwak nie chwalić się ze swoją sakiewką; bardzo mało znalazłem w niéj piéniędzy, i to jakich jeszcze? samą zdawkową monetę; szczęściem, że już od dwóch miesięcy przyzwyczaiłem się do życia bardzo skromnego, jeszcze więc miałem kilka realów, gdym przybył do miasteczka Ponte de Mula, niezbyt odległego od Burgos. Zatrzymałem się w niém dla powzięcia wiadomości o donа Mencyi. Wstąpiłem do najpiérwszego zajazdu, który spotkałem, w którym gospodynią była nizkiego wzrostu kobiétka, sucha, żywa i złośliwego wejrzenia. Poznałem zaraz po jéj kwaśnéj minie, że moja siermięga wcale jéj do gustu nie przypadła, com jéj chętnie przebaczył. Siadłem na boku przy stole, zajadałem chléb i sér, napiłem się obmierzłego wina, jakie mi podano. W czasie téj uczty wcale zgodnéj z mojém ubraniem, chciałem zawiązać rozmowę z moją gospodynią, lecz przez pogardliwe skrzywienie się, okazała mi dobitnie, iż nie dba o moję rozmowę. Prosiłem jéj, aby mi powiedziała, czy niezna margrabiego de la Guardia, jak daleko od miasta jest jego pałac, co się mogło stać z margrabiną, jego żoną. Zawiele zarazem żądasz odemnie, rzekła dumnie; ale jednak powiedziała mi, choć z wielką niechęcią, że zamek margrabiego jest tylko o małe pół mili od Ponte de Mula.

Zjadłszy i wypiwszy co miałem, ponieważ to była noc, oświadczyłem, że chcę spocząć i zażądałem osobnéj izby. Dla ciebie izby! zawołała gospodyni, rzucając na mnie okiem pogardy; nie mam izby dla ludzi, których sér jest całą wieczerzą. Wszystkie łóżka są zajęte. Czekam na panów znakomitych, którzy mają tu przybyć na noc. Dla ciebie jedyną przysługę mogę zrobić wskazując ci miejsce w stodole; nie będzie to zapewne po raz piérwszy nocleg twój na słomie. Nie sądziła zapewne, że to co powiedziała, było bardzo dobrze powiedziane. Nie rzekłszy więc ani słowa, postanowiłem w roztropności swojéj udać się do składu słomy, na któréj tak smacznо zasnąłem, jak człowiek, który oddawna w trudach był zahartowany.

Rozdział XIV.

Przyjęcie Gil Blasa w Burgos przez donę Mencia.

Nazajutrz nie leniłem się z wstawaniem. Poszedłem porachować się z gospodynią, która już była na nogach, zdała mi się teraz nietyle zuchwałą i lepszego humoru, jak wczoraj wieczór, com przypisywał obecności trzech towarzyszów św. Hermandadu, którzy dość poufale z nią rozmawiali. Spali oni w téj karczmie i bez wątpienia dla tychto ważnych panów zatrzymane zostały wszystkie łóżka.

W mieście pytałem się o drogę do zamku, do którego zmierzałem. Przypadkiem natrafiłem z pytaniem na człowieka podobnego usposobienia, jak ów mój gospodarz w zajeździe w Peniaflor. Nie poprzestał on na zaspokojeniu mojéj żądzy, ale mi dodał zarazem, że don Ambrosio przed trzema tygodniami umarł, że margrabina, jego żona, usunęła się do klasztoru w bliskości Burgos, który mi wymienił. Skierowałem więc kroki ku miastu, zamiast iść drogą do zamku, jak było moim zamiarem poprzednio, i naprzód zdążałem do klasztoru, w którym mieszkała dona Mencia. Prosiłem furtyanki, aby oświadczyła téj pani, że młody człowiek, świéżo wypuszczony z więzienia Astorgi życzy sobie mówić z nią. Odźwierna poszła natychmiast spełnić moje żądanie. Wnet powróciła prosząc mnie do sali gościnnéj, w któréj nie długo czekałem na powitanie wdowy po don Ambrosio, przybyła bowiem do kraty, w grubą ubrana żałobę.

Witam cię, rzekła tonem uprzejmym. Przed czterema dniami pisałam do pewnéj osoby w Astorga. Polecałem jéj aby się widziała z tobą i oświadczyła, że cię proszę usilnie, abyś przybył do mnie po wyjściu z więzienia. Nie wątpiłam wcale, iż cię natychmiast wypuszczą, to com na twoją korzyść powiedziała korregidorowi, dostateczne było do usprawiedliwienia twojego. Dlatego téż odpisano mi, żeś odzyskał wolność, lecz nie wiedziano coby się późniéj z tobą stało. Lękałam się, abym nie była pozbawiona szczęścia oglądania ciebie, i wynurzenia ci mojej wdzięczności, coby mnie nie mało trapiło! Nie troszcz się, dodała, widząc, że się wstydzę mego ubioru bezecnego, niech stan, w jakim cię oglądam, nie robi ci najmniejszéj przykrości. Po wyświadczonéj mi tak ważnéj przysłudze, byłabym najniewdzięczniejszą z kobiét, gdybym nie miała czegoś zrobić dla ciebie. Pragnę wydźwignąć cię z tego położenia, powinnam to zrobić, i mogę to zrobić. Mam dobra dosyć znaczne, które mi pozwolą wywiązać się z długu wdzięczności, bez najmniejszego uszczerbku.

Wiész mówiła daléj, moje przygody, aż do dnia, w którym oboje dostaliśmy się do turmy; muszę ci powiedzieć, co mi się zdarzyło późniéj. Kiedy korregidor wysłuchawszy opowiadania wiernego mojéj historyi, kazał mnie odprowadzić do Burgos, udałam się do zamku don Ambrosio. Powrót mój niesłychanie zdziwił wszystkich; ale mi powiedziano że wracam zapóźno: że margrabia ucieczką moją jakby gromem rażony, wpadł w chorobę i lekarze zwątpili już o jego życiu. To był dla mnie nowy przedmiot do utysków na moje przeznaczenie. Jednakże kazałam go zawiadomić o mojém przybyciu. Poczém weszłam do jego pokoju, padłam na kolana u głów jego łóżka z twarzą łzami zalaną, sercem boleścią ściśniętém.—Kto cię sprowadza tu? odezwał się ujrzawszy mnie; czyś przybyła przypatrzéć się swojemu dziełu? małoż jeszcze dla ciebie być sprawczynią mojéj śmierci? potrzebaż ci dla zaspokojenia patrzéć na mój zgon?—Panie! odpowiedziałam, Ines musiała ci powiedzieć, żem uchodziła z piérwszym moim mężem; i gdyby nie straszny przypadek, w którym go utraciłam, nigdy więcéj nie byłbyś mnie ujrzał." Opowiedziałam mu że don Alvar zabity został przez złodziejów, że mnie potém zaprowadzono do jaskini łotrów. Opowiedziałam mu wszystko; a gdym skończyła, don Ambrosio

podał mi rękę.—Dosyć już, odezwał się mile, już nie chcę się żalić na ciebie. I zaiste, mamże prawo czynić ci wyrzuty? Znajdujesz ukochanego małżonka, opuszczasz mnie, aby ujść z nim, możnaż więc ganić to postępowanie? Nie, pani, niesprawiedliwie szemrałbym na to. Dlatego też, nie chciałem bynajmniéj, aby cię ścigano, chociaż wiedziałem, że utratę ciebie życiem przypłacę. W tym, który cię uprowadził, szanowałem święte jego prawa, równie jak przywiązanie któreś mu okazała. Wreszcie przyznaję ci zupełną sprawiedliwość, powracając do mnie, odzyskałaś całą moję przychylność. Takjest, droga Mencio, obecność twoja napełnia mnie radością, lecz niestety! niedługo już używać jéj będę; czuję zbliżającą się moję ostatnią godzinę. Zaledwieś mi powróconą została, gdy się trzeba na wieki pożegnać z tobą." Te tkliwe wyrazy podwoiły łzy moje. Uczułam i objawiłam nieograniczone przywiązanie. Don Alvar, któregom ubóstwiała, mniéj łez mnie kosztował. Przeczucie śmierci don Ambrosio nie było zwodnicze; nazajutrz dokonał życia, a ja zostałam panią znakomitego majątku, którym mnie obdarzył przy ślubie. Nie myślę go źle używać. Chociaż jestem młodą jeszcze, nikt mnie przecież nie ujrzy w objęciach trzeciego małżonka. Bo prócz tego, że to nie przystoi, jak mi się zdaje, chyba kobiecie bez wstydu i uczciwości, powiem ci nadto, że nie mam wcale przywiązania do świata; chcę zakończyć życie w tym klasztorze, a po śmierci zostać jego dobrodziejką."



Gil Blas przedstawiony p. Leonardo.

Tak mówiła do mnie dona Mencia, poczém wydobywszy sakiewkę podała mi ją, mówiąc:—Masz tu sto dukatów, które ci daję jedynie na sprawienie ubioru. Skoro to uskutecznisz, przyjdź do mnie, gdyż nie życzę sobie ograniczyć mojéj wdzięczności tak drobną rzeczą. Wynurzyłem tysiączne podziękowania téj pani, zaręczyłem jéj, że nie opuszczę Burgos nie pożegnawszy się z nią. W istocie nie miałem ochoty, ani myśli nie spełnić mojego zaręczenia, udałem się zatém szukać zajazdu. Wszedłem do piérwszego który mi się nastręczył i żądałem osobnego pokoju; żeby zaś uprzedzić złe mniemanie, jakie na widok mojéj siermięgi słusznie powziąć można było, rzekłem do gospodarza, że choć w stanie w jakim mnie widzi, potrafię przecież dobrze zapłacić. Na te słowa, gospodarz nazwiskiem Mazuelo, z natury wielki szyderca, pociągnąwszy po mnie oczyma od góry do dołu, odpowiedział mi z miną zimną i złośliwą, że nie potrzebuje tego zapewnienia, aby być przekonanym, że mu niemało przysporzę zarobku; że pod tą odzieżą on przewiduje we mnie coś szlachetnego, że wreszcie nie wątpi, iż muszę być zamożnym szlachcicem. Widziałem dobrze, że ten oszust drwił ze mnie, żeby więc krótko uciąć jego żarciki, pokazałem mu moję sakiewkę. Co większa, w obecności jego liczyłem moje dukaty na stole, i spostrzegłem, że pieniądze zrobiły go względniejszym dla mnie. Prosiłem go, żeby mi przywołał krawca. Lepiéj daleko przyzwać tandeciarza, mówił mi, ten przyniesie wszelkiego rodzaju suknie i można się będzie ubrać w jednéj chwili. Przyjąłem tę radę i postanowiłem według niéj postąpić, lecz że dzień był już na schyłku, odłożyłem więc sprawunki do dnia następnego, a myśliłem jedynie o wieczerzy, aby sobie wynagrodzić post, do jakiego byłem zmuszony od czasu wyjścia z podziemnych lochów.

Rozdział XV.

Jak się ubrał Gil Blas, o nowym darze, który odebrał od dony Mencii i jak wyjechał z Burgos.

Podano mi na wieczerzę porządny półmisek potrawki ze skopowych nóżek, spożyłem ją prawie wszystką. Napiłem się stosownie do jedzenia i położyłem się. Łóżko było niezgorsze, spodziewałem się, że sen wkrótce owładnie moje zmysły Przecież ani zmrużyć oka nie mogłem: marzyłem tylko o sukniach, jakieby mi kupić należało. Co ja mam robić? mówiłem sam sobie, mamże zmierzać do pierwotnie wytkniętego celu? kupięż kaftan i udam się do Salamanki, aby tam wynaléźć miejsce nauczyciela? Ale po cóż ubiérać się jak licencyat? mamże ochotę poświęcić się stanowi duchownemu? czy do tego czuję jakową skłonność? Oh, nie, wcale coś przeciwnego we mnie się odzywa. Otoż podobała mi się szpada przy boku; w tym stanie sprobuję szczęścia na świecie. To więc wybrałem.

Postanowiłem wziąć ubiór kawalerski, w tém przekonaniu, że pod tą postacią niechybnie wydźwignę się na stanowisko uczciwe i zyskowne. W tak pochlebném mniemaniu z największą niecierpliwością wyglądałem dnia i zaledwie piérwsze jego promiona uderzyły mój wzrok, gdym się zaraz zerwał z łóżka. Tyle wrzawy narobiłem w karczmie, żem wszystkich śpiących pobudził. Wzywałem służących, którzy jeszcze w łóżkach byli, a którzy na mój głos przekleństwami odpowiadali. Musieli jednak wstawać, a ja póty nie dałem im odpoczynku, póki mi nie przywołali tandeciarza. Wnet ujrzałem jednego. Towarzyszyło mu dwóch chłopców, każdy z paką pod pachą, obwiniętą w płótno zielone. Ukłonił mi się z wielką grzecznością i rzekł mi: – Panie, jesteś nader szczęśliwy, że się udano do mnie raczéj, niż do któregokolwiek innego. Nie chcę bynajmniéj uwłaczać moim spółtowarzyszom; uchowaj Boże, abym miał zamiar plamić ich wziętość! ale między nami niéma ani jednego sumiennego człowieka, wszyscy są twardsi od żydów. Ja jestem jedyny tandeciarz moralny. Ograniczam się zyskiem przyzwoitym; kontentuję się złotówką na groszu, chciałem mówić groszem na złotówce. Dzięki Bogu, okrągło prowadzę moje rzemiosło."

Po takim wstępie, któremu ja prostodusznie co do joty uwierzyłem, mój tandeciarz kazał chłopcom otworzyć ich paki. Pokazał mi suknie wszelkiéj barwy. Przedstawił mi kilka z sukna jednokolorowego, które ja odrzuciłem, jako zbyt skromne; kazał mi potém przymierzyć jednę, która się zdała, jakby umyślnie dla mnie robiona, a która mnie zachwyciła, choć już nieco podszarzana. Było kaftan z rękawami karbowanemi, ze spodniami i płaszczem, wszystko z axamitu błękitnego, złotem wyszywane; tegom się czepił i począłem targować. Tandeciarz spostrzegłszy że mi się podobało, oświadczył mi, że mam gust delikatny.—Dalibóg, zawołał, widać że się pan znasz dobrze. Muszę powiedzieć, że to ubranie zrobione było dla jednego z największych panów królestwa, więcéj jak trzy razy nie miał go na sobie. Przypatrz się pan aksamitowi, niéma nic nadeń piękniejszego: a co za wyszywanie! staranniejszej roboty ani podobna znaléźć.—Za ileż, odezwałem się, chcesz je sprzedać?—Sześćdziesiąt dukatów, rzekł; jeżelim ich już nie miał, to niech nie będę uczciwym człowiekiem. Wyrażenie warunkowe było przekonywające. Podałem czterdzieści pięć; warto zaś było może połowę tego.—Szlachetny panie! rzekł oziębłe tandeciarz, ja nie przeceniam, u mnie tylko jeden wy-

raz. Oto, patrz pan, pokazując mi suknie, które odrzuciłem, weź pan te, oddam za niższą cenę." Przez to jeszcze bardziéj podżegał moję żądzę nabycia tych, które targowałem; a wystawiając sobie, że nie zechce nic odstąpić, wyliczyłem mu sześćdziesiąt dukatów. Widząc, że je tak łatwo daję, pewny jestem, że pomimo swojéj moralności, musiał się wewnętrznie gniewać, że nie zacenił więcéj. Dosyć atoli kontent, że zyskał złotówkę na groszu, odszedł z chłopcami, o których także nie zapomniałem.

Miałem więc płaszcz, kaftan i spodnie bardzo porządne. Trzeba było pomyśléć o reszcie ubrania, nad czém zszedł mi cały poranek. Kupiłem bieliznę, kapelusz, pończochy jedwabne, trzewiki i szpadę, i zaraz się ustroiłem. Co za rozkosz widzieć się tak pięknie przybranym! Oczy moje nie mogły się nasycić widokiem tak pysznych sukni. Nigdy paw' z większą dumą nie spoglądał na swoje pióra. Tegoż samego dnia powtórnie odwiedziłem donę Mencyę, która mnie i teraz bardzo uprzejmie przyjęła. Powtórzyła mi swoje dzięki za wyświadczoną jéj przysługę. Poczém nastąpiły wielkie oświadczenia grzeczności z obu stron. Wreszcie życząc mi wszelkiéj pomyślności pożegnała mnie, ofiarując mi jedynie pierścień wartości trzydziestu luidorów, prosząc, abym go zachował na pamiątkę.

Stanąłem jak głupi z moim pierścieniem, licząc na dar daleko znaczniejszy. Niebardzo zadowolony ze szlachetności téj pani, wracałem do karczmy marząc, lecz kiedym wchodził, przybył tam człowiek, który trop w trop za mną postępował, a nagle odrzucając płaszcz, pokazał duży worek, który niósł pod pachą. Na widok worka mającego piękną postać, otworzyłem oczy, tak jak inne osoby temu obecne i zdało mi się, że słyszę głos seraflna, gdy człowiek ten kładąc go na stole, odezwał się:— Panie Gil Blas, oto jest, co ci przysyła pani margrabina. Ukłoniłem się niziutko temu człowiekowi, obsypałem go grzecznościami; a skoro tylko opuścił zajazd, rzuciłem się na worek, jak sokoł na swoję zdobycz i zaniosłem do mojego pokoju. Rozwiązałem go niezwłocznie i znalazłem w nim tysiąc dukatów. Właśnie kończyłem liczenie moich dukatów, kiedy gospodarz, który posłyszał ostatnie wyrazy przynoszącego, wszedł do mojéj izby dla przekonania się, coby téż było w worku. Widok złota rozłożonego na stole silne na nim sprawił wrażenie.—Cóż u djabła, zawołał, a to wcale piękna summka! a potém uśmiechając się, dodał z przekąsem, pokazuje się, że pan umiesz doskonale wychodzić z kobietami. Jeszcze niéma dwudziestu czterech godzin, jak przybyłeś do Burgos, a już potrafiłeś usidłać markizowę."

Mowa ta nie była mi wcale przykrą: pokusa mnie brała zostawić Mazuela w jego błędzie, czułem w tém jakąś przyjemność. Nie dziwię się, jeżeli młodzi ludzie pragną utwierdzać o sobie mniemanie, że się w czepku rodzili. Jednakże niewinność obyczajów przeważyła nad próżnością. Wyprowadziłem z błędu gospodarza. Opowiedziałem mu historyą dony Mencyi, któréj z natężeniem słuchał. Poczém objawiłem mu stan moich interesów; a że zdawał się wchodzić w moje położenie, prosiłem, aby mnie wsparł swoją radą. Zamyślił się nieco; potém rzekł tonem poważnym:—Panie Gil Blas, czuję jakąś przychylność dla Wpana, a ponieważ okazałeś mi zaufanie, otwierając swoje serce przedemną, powiem ci bez pochlebstwa do czego cię zdolnym być uznaję. Zdajesz mi się być zrodzonym do dworu, radziłbym ci udać się tam i przyczepić do jakiego wielkiego pana: ale staraj się wmieszać w jego interesa, lub stać się powiernikiem jego rozkoszy; inaczéj zmarnujesz swój czas u niego. Znam ja panów, gorliwość i przywiązanie uczciwego człowieka, to u nich jest niczém; na tych tylko patrzą, którzy im jako tako potrzebni. Jeszcze masz jeden środek, mówił daléj, jesteś młody, dorodny, choćbyś nie miał ukształcenia, to już i tak jest więcéj jak potrzeba do zawrócenia głowy jakiéj bogatéj wdówki, lub pięknéj kobiety w niedobranem małżeństwie. Jeżeli miłość rujnuje nieraz ludzi bogatych, utrzymuje ona częstokroć ludzi bez majątku. Jestem więc tego zdania, abyś się udał wprost do Madrytu, ale niewypada ci się tam pokazywać bez służby. W stolicy, równie jak gdzieindziéj, sądzą ludzi z pozoru; szanować cię będą stosownie do położenia, w jakiém cię ujrzą. Ja ci nastręczę służącego, pokojowca wiernego, chłopca uczciwego, słowem człowieka według mojéj myśli. Kup dwa muły, jeden dla siebie, drugi dla niego, i wyjeżdżaj, ile być może, najprędzéj."

Rada takowa aż nadto mi pochlebiała, abym jéj nie miał usłuchać. Zaraz nazajutrz kupiłem muły i przyjąłem służącego, o którym mi mówiono. Byłto chłopak trzydziestoletni, z wejrzenia pobożny prostaczek. Powiedział mi, że jest rodem z królestwa Galicyi, że się zowie Ambroży de Lamelas. Lecz co mnie szczególniéj uderzyło, iż wcale niepodobny do innych służących, pospolicie dosyć chciwych, on nie troszczył się bynajmniéj o wysokie zasługi; oświadczył mi nawet, że gotów poprzestać na tém, co mu z łaski ofiarować będę. Kupiłem także buty podróżne i kuferek, dla zachowania bielizny i pięniędzy. Poczém zaspokoiwszy mojego gospodarza, opuściłem Burgos, przed świtem zmierzając do Madrytu.

Rozdział XVI.

Nietrzeba ufać pomyślności.

Piérwszy noclég odbyliśmy w Duennias, nazajutrz około czwartéj z południa stanęliśmy w Walladolid. Zajechaliśmy do



Zamiana dyamentu.

hotelu, który mi się zdał najlepszym. Poruczyłem staranie o mułach mojemu służącemu, sam udałem się do pokoju, kazawszy chłopcu miejscowemu nieść za sobą kuferek. Czując się znużonym, rzuciłem się na łóżko, nie rozbierając się i zasnąłem. Już noc była prawie, gdym się obudził. Zawołałem Ambrożego, ale go nie było w hotelu, wkrótce atoli wrócił. Gdym się pytał, gdzieby był, odpowiedział mi z miną pobożną, iż wraca z kościoła, w którym był dla podziękowania Bogu za ochronienie nas od złéj przygody w podróży z Burgos, aż dotąd. Pochwaliłem jego bogobojność i kazałem mu zamówić pulardę na wieczerzę.

Kiedy mu wydawałem polecenia, gospodarz wszedł do mojego pokoju ze świecą w ręku. Przy blasku tego światła ujrzałem przed sobą kobietę więcéj piękną, niż młodą, w bogatym stroju. Wspierała się na podeszłym już koniuszym, a murzynek mały unosił koniec sukni. Zdziwiłem się niepomału, gdy ta kobieta, skłoniwszy się mi bardzo nizko, zapytała się, czy przypadkiem nie jestem panem Gil Blas z Santyllany. Ledwie co powiedziałem takjest, gdy kobieta owa opuszczając swojego koniuszego, rzuciła mi się na szyję, ściskając mnie z najwyższém uniesieniem radości, co niemało zwiększyło moje podziwienie.—Niech będą dzięki niebu! zawołała, za to szczęśliwe zdarzenie! Ciebie to panie, ciebie właśnie szukam." Po ta-

kim wstępie przypomniał mi się ów pasibrzuch z Peniaflor, i już miałem tę panią w podejrzeniu publicznéj zalotnicy; gdy to, co daléj dodała, kazało mi korzystniéj sądzić o jéj charakterze. —Jestem, mówiła daléj, siostrą stryjeczną dony Mencyi, która ci tyle winna wdzięczności. Dziś rano odebrałam od niéj list. Donosi mi, że powzięła wiadomość, iż się udajesz do Madrytu, a zarazem poleca, aby cię przyjąć jak najprzyzwoiciéj, jeżeli będziesz tędy przejeżdżał. Od dwóch już godzin biegam po całém mieście. Chodzę od hotelu do hotelu zasięgając wiadomości o gościach przybyłych, i zdało mi się, sądząc, po opowiadaniu twojego gospodarza, że to właśnie pan być możesz tym zbawcą mojéj siostry. Ponieważ cię znalazłam, chcę ci pokazać jak czułą jestem na usługi wyświadczone mojéj rodzinie, a osobliwie téż mojéj najukochańszéj siostrze. Raczysz w téj chwili przenieść się do mnie, tam ci będzie daleko wygodniéj." Starałem się wymówić téj pani i przedstawiałem jéj, że mogę stać się przyczyną niepotrzebnego dla niéj zatrudnienia, ale niepodobna było oprzeć się naleganiom. Przededrzwiami hotelu stał powóz, który na nas czekał. Ta pani sama zajęła się przeniesieniem mojego kuferka, ponieważ, jak mówiła, mnóstwo jest oszustów w tém mieście: co było rzeczywistą prawdą. Wreszcie wsiadłem z nią, i starym koniuszym do powozu i pozwoliłem się wywieźć z hotelu, z wielkiém nieukontentowaniem gospodarza, który się tym sposobem ujrzał być odsadzonym od korzyści, jakiéj się odemnie spodziewał, i na jaką już zapewne liczył.

Nasz powóz tocząc się przez niejaki czas, wreszcie stanął. Wysiedliśmy przed domem dosyć dużym, weszliśmy do pokojów porządnych, dwudziestą lub trzydziestą świecami rozjaśnionych. Było tam kilku służących, których ta pani najpierwéj zapytała się czy don Rafał powrócił.—Nie jeszcze, odpowiedzieli. Wtedy zwracając mowę do mnie:—Panie Gil Blas, rzekła, czekam na brata mojego, który ma wrócić z pałacu naszego o milę ztąd odległego. Jakżeż miła będzie dla niego niespodzianka, zastać w domu swoim człowieka, któremu tyle jest winna nasza familia.— Kiedy kończyła, usłyszeliśmy wrzawę, i zarazem dowiedzieliśmy się, że powodem jéj jest przybycie don Rafała. Niebawnie téż wszedł; ujrzałem młodego człowieka pięknego wzrostu, bardzo uprzejméj postawy.—Cieszę się z twojego powrotu mój bracie," odezwała się doń ta pani; „pomożesz mi godnie przyjąć pana Gil Blas z Santyllany. Nie potrafimy dostatecznie objawić naszéj wdzięczności, za to, co wyświadczył dla dony Mencyi naszéj krewnéj.—Oto masz, dodała, czytaj, co pisze do mnie.— Don Rafał otworzył bilet i czytał głośno: „Kochana Kamillo! pan Gil Blas z Santyllany, który mi ocalił honor i życie, udaje się do dworu. Przejeżdżać będzie niezawodnie przez Walladolid. Zaklinam cię na pokrewieństwo nasze, a więcéj jeszcze na przyjaźń, która nas łączy, abyście go uraczyli i zatrzymali u siebie przez czas niejaki. Pochlebiam sobie, że mi zrobicie tę przyjemność i że zbawca mój dozna od ciebie i mojego krewnego don Rafała najlepszego przyjęcia w Burgos. Przywiązana siostra. Dona Mencya."

—Przebóg! zawołał don Rafał przeczytawszy list, to właśnie ten jest kawaler, któremu krewna winna honor i życie? Ach, dzięki Bogu za to szczęśliwe spotkanie. Tak mówiąc zbliżył się do mnie, i ściskając mnie silnie:—Co za radość, mówił daléj, widzieć tu pana Gil Blasa z Santyllany. Zbyteczną jest rzeczą, że moja siostra margrabina zaleca nam abyśmy pana przyzwoicie uraczyli; dosyćby było, gdyby nam tylko donosła, że będziesz przejeżdżał przez Walladolid. Wiemy bardzo dobrze, tak ja jak i moja siostra Kamilla, jak obchodzić się z człowiekiem, który największą w świecie oddał przysługę jednemu z naszéj rodziny, a osobliwie téj, którą najserdeczniéj kochamy.—Odpowiadałem na te wyrazy jak mogłem najlepiéj, po czém następowały nowe oświadczenia i nowe grzeczności. Don Rafał spostrzegłszy, że jeszcze miałem buciki na nogach, kazał mi zdjąć swoim służącym.

Przeszliśmy potém do innego pokoju w którym zastawiono jedzenie. Siedliśmy do stołu, don Rafał, Kamilla i ja. Tysiące grzeczności prawili mi w czasie wieczerzy. Ja nie wymówiłem ani jednego wyrazu, w którymby oni nie podziwiali mojego dowcipu; trzeba było widzieć ich troskliwość, z jaką podawali mi każdą potrawę. Don Rafał często spełniał za zdrowie dony Mencyi. Naśladowałem go chętnie, zdawało mi się nieraz, że Kamilla, która także trącała z nami swoim kieliszkiem, rzucała na mnie oczkiem, które coś znaczyło. Mniemałem nawet, że tak zręcznie upatrywała chwili do tego, aby brat jéj nie spostrzegł. Nietrzeba było więcéj dla przekonania mnie, że nie jestem jéj obojętny: pochlebiałem sobie, że będę korzystał z tego odkrycia, jeżeli tylko zabawię w Walladolid. Takowa nadzieja przyczyniła się najwięcéj, żem przystał chętnie na ich prośbę przepędzenia kilku dni u nich. Podziękowali mi za moję grzeczność, a radość objawiona przez Kamillę, utwierdziła mnie w mniemaniu, żem się podobał.

Don Rafał widząc, żem zamierzył zabawić u nich, oświadczył, iż mnie chce zawieźć do swojego zamku. Zrobił wspaniały opis jego, i rozwodził się nad zabawami jakiemi pobyt mój uprzyjemnić zamyśla.—Raz zabawimy się polowaniem, drugi raz użyjemy przyjemności rybołóstwa, a jeżeli podoba ci się przechadzka, mamy lasy i rozkoszne ogrody. Prócz tego, będziemy mieli wyborne towarzystwo, spodziewam się, że się nie znudzisz." Przyjąłem propozycyą, i postanowiono, że zaraz nazajutrz udamy się do tego rozkosznego zamku. Wstaliśmy od stołu, ułożywszy tak piękny pomysł. Don Rafał unosił się z radości.— Panie Gil Blas, rzekł ściskając mnie, zostawiam cię z moją siostrą; idę wydać natychmiast potrzebne rozkazy i zawiadomić wszystkie osoby, które chcę zaprosić do towarzystwa." To rzekłszy wyszedł, a ja rozmawiałem z panią, która w rozmowie swojéj nie okazała sprzeczności ze słodkiemi oczkami, jakie do mnie robiła w czasie wieczerzy. Wzięła mnie za rękę, a przypatrując się pierścieniowi, rzekła: masz pan dość piękny brylant, ale jest zamały; czy znasz się pan na klejnotach? Odpowiedziałem, że nie. Szkoda, odparła, powiedziałbyś co wart może być ten, pokazując wielki rubin, który miała na palcu, a gdy mu się przyglądałem, powiedziała mi, że go jéj podarował jeden z jéj wujów, ktory był gubernatorem osad hiszpańskich na wyspach Filipińskich. Jubilerowie w Walladolid cenią go na trzysta luidorów. Ja wierzę, bo mi się zdaje bardzo piękny. Ponieważ się panu tak podobał, pomieniajmy się więc; i w téj chwili ściągnęła mój pierścień, a wsunęła mi swój na mały palec. Po takiéj zamianie, która mi się zdała być delikatnym sposobem ofiarowania upominku, Kamilla ścisnęła mnie za rękę, i spojrzała mi w oczy bardzo czule; potém nagle przerywając rozmowę, życzyła mi dobréj nocy. Oddaliła się pomieszana, jak gdyby się wstydziła, że zbyt wyraźnie objawiła mi swoje uczucia.

Chociaż w zalotach zupełnym byłem nowicyuszem, przecież czułem dobrze, co usunięcie się tak nagłe mogło mieć dla mnie obowiązującego; ztąd wnosiłem, że nieźle czas przepędzę na wsi. Kołysany tak pochlebnemi marzeniami i świetnym postępem moich interesów, zamknąłem się w moim pokoju, który mi do spania przeznaczono, poleciwszy służącemu mojemu, aby mię bardzo rano obudził. Zamiast pomyśleć o spaniu, ja tymczasem puściłem cugle słodkim marzeniom, jakie mi sprawiał z jednéj strony kuferek postawiony na stole, z drugiéj strony rubin. Dzięki Bogu, pomyśliłem, jeżeli dotąd byłem nieszczęśliwy, teraz już nim nie jestem. Tu pierścień trzysta luidorów, tam tysiąc dukatów, to fundusz na długo wystarczający. Małżeństwo nie durzył mnie bynajmniéj, teraz to widzę: pozawracam tysiącom kobiét głowy w Madrycie, kiedy tak łatwo podobałem się Kamilli. Uprzejmość téj szlachetnéj kobiety przedstawiała mi się w umyśle ze wszystkiemi wdziękami; naprzód już kosztowałem rozkoszy zabaw, jakie mi gotował don Rafał w swoim zamku. Wśród tych obrazów miłych, sen zawiesił swój słodki znak nademną. Czując się znużonym, rozebrałem się i położyłem się w łóżko.

Nazajutrz obudziwszy się, spostrzegłem, że już było dosyć późno. Dziwiło mnie mocno, żem nie widział służącego swojego, mimo wydany mu rozkaz. Ambroży, mój ten wierny Ambroży, jest w kościele, albo téż może wielki leniuch. Lecz wnet straciłem o nim tę opinią, dla powzięcia gorszéj; bo wstawszy

nie widziałem mojego kuferka i miałem go w podejrzeniu, że go skradł w nocy. Dla wyjaśnienia moich domysłów, otworzyłem drzwi i kilka razy wołałem mojego obłudnika. Na mój głos przyszedł jakiś staruszek pytając się:—Czego pan żądasz? wszyscy ludzie pańscy oddalili się z domu mojego przed świtem. —Jakto z domu twojego? zawołałem, toż ja nie jestem w domu don Rafała?—Ja nie wiem co to za kawaler, odpowiedział mi. Pan jesteś w hotelu umeblowanym, a ja jestem gospodarzem. Wczora wieczór, na godzinę przed przybyciem pańskiém, ta dama, która jadła razem z panem wieczerzę, przybyła tu, zamówiła te pokoje dla wielkiego pana, który jak mówiła, podróżuje *incognito*. Zapłaciła mi nawet naprzód.

Już więc wpadłem na trop. Wiedziałem co myśleć o Kamilli i o don Rafale; domyśliłem się, że mój służący znając dobrze moje interesa, sprzedał mnie tym oszustom. Zamiast sobie samemu przypisywać ten smutny przypadek i pomyśleć, żeby mi się był nigdy nie wydarzył, gdybym był bez potrzeby nie zwierzył się nierozsądnie Mażuelemu, ja tymczasem składałem winę na los wcale niewinny, i złorzeczyłem mojéj gwiaździe. Gospodarz hotelu umeblowanego, któremu opowiedziałem moję przygodę, którą może znał tak dobrze jak ja sam, okazał się czułym na mój żal. Ubolewał nademną i oświadczył, iż mu jest najprzykrzejszą rzeczą, że ten wypadek właśnie w jego domu się wydarzył; zdaje mi się wszakże, iż mimo te objawy żalu, nie mniejszy on udział miał w tém oszustwie, jak mój gospodarz z Burgos, któremu wszakże nigdy nie odmówię zaszczytu wynalazku.

Rozdział XVII.

Co przedsięwziął Gil Blas po wypadku w hotelu umeblowanym.

Opłakawszy bardzo niepotrzebnie swoje nieszczęście, zastanowiłem się, że zamiast upadać pod natłokiem trosk, wypada mi raczéj zahartować się na ciosy przeciwnéj fortuny. Przyzwałem na pomoc odwagę, i dla pociechy pomyśliłem ubierając się, że jeszcze dosyć szczęścia mam, że łotry nie zabrały mi ubioru i kilku dukatów, które miałem w kieszeni. Wdzięczny im byłem za tę grzeczność. Dosyć nawet okazali szlachetności, zostawiając mi buciki, które ustąpiłem gospodarzowi za trzecią część ich wartości. Wreszcie opuściłem hotel umeblowany, nie potrzebując dzięki Bogu człowieka do przeniesienia moich manatków. Najpierwszą moją czynnością było dowiedzieć się w zajeździe, w którym wczoraj stanąłem, czy są tam muły moje. Wnosiłem, że ich tam pewnie Ambroży nie zostawił: bodajbym był tak rozsądnie dawniéj o nim sądził! Dowiedziałem się, że zaraz wieczór zabrał je ztamtąd. Tak więc licząc że ich już nigdy nie zobaczę, podobnie jak kuferka, chodziłem smutny po ulicach, rozmyślając co mam teraz począć. Brała mnie pokusa wrócić do Burgos, i jeszcze raz uciec się do wspaniałomyślności dony Mencyi; lecz zważywszy, żeby to było nadużycie jéj dobroci, z drugiéj strony objawiałoby moję głupotę, porzuciłem więc tę myśl. Poprzysiągłem, że na przyszłość strzedz się będę kobiét; w téj chwili nie ufałbym był nawet nieskalanéj Zuzannie. Kiedyniekiedy spoglądałem na mój pierścień, a pomnąc, że to był dar Kamilli, żal mi serce ściskał. Niestety! nie znam się na rubinach, ale znam już ludzi z którymi zrobiłem zamianę. Mniemałem, żem nie miał potrzeby udawać się do jubilera, dla przekonania się, że jestem głupcem.

Nie mogłem wszakże przenieść na sobie, aby się nie dowiedzieć co też wart mój pierścień. Pokazałem go jubilerowi, który go ocenił na trzy dukaty. Na tę taxę, która mnie nie zdziwiła bynajmniéj, poleciłem wszystkim djabłom siostrzenicę gubernatora wysp Filipińskich, czyli raczéj powtórzyłem tylko tę ofiarę. Kiedym wychodził od jubilera, spotkałem młodego człowieka, który się zatrzymał, wpatrując się we mnie. Zrazu nie przypomniałem go sobie, choć dobrze go znałem.—Jakto, Gil Blas, ozwał się do mnie, udajesz że mnie nie znasz? albo czy te dwa lata zmieniły tak dalece syna cyrulika Nunez, iż go poznać nie możesz? Przypomnij sobie Fabrycego, spółziomka i spółucznia. Tak często rozprawialiśmy u doktora Godinez o wszechnościach i stopniach metafizycznych.

Poznałem go nim jeszcze skończył mówić; uściskaliśmy się serdecznie.—Ha, mój przyjacielu, jakże się cieszę z twojego spotkania! nie potrafię ci wyrazić radości jaką ztąd czuję... Ależ, ciągnął daléj z niejakiém podziwieniem, w jakimże ja to stanie ciebie oglądam? Dalibóg ubrany jesteś jak książę. Piękna szpada, pończochy jedwabne, kaftan i płaszcz aksamitny złotym haftem zdobny! Niech cię licho weźmie, to djable pachnie szczęśliwym losem. Założyłbym się, że to jakaś podstarzała kobiéta zrobiła cię uczestnikiem swojéj szczodrobliwości. —Mylisz się, odpowiedziałem, stan mój nie jest tak różowy, jak ty sobie wyobrażasz. Dla innych, braciszku, dla innych schowaj tę twoję dyskretność.—A ten piękny rubin, który widzę u ciebie na palcu, panie Gil Blas, zkąd pochodzi, jeżeli wolno się zapytać?—Pochodzi od wierutnéj oszustki. Fabrycy, kochany Fabrycy! mówiłem, zamiast zawracać głowy kobietom Walladolidu, stałem się ich igraszką."

Te ostatnie wyrazy wymówiłem tak żałosnym głosem, że Fabrycy pomiarkował zaraz, iż mi wypłatano figla. Nalegał na mnie, abym mu powiedział, co mam za powód do utysków na płeć piękną. Skłoniłem się bez trudu do zaspokojenia jego ciekawości; lecz że powieść moja była dość długą, a przytém nie chcieliśmy się rozłączać tak prędko, wstąpiliśmy więc do karczmy, aby swobodniéj pomówić. Tam jedząc śniadanie opowiedziałem mu wszystkie moje przygody od chwili opuszczenia Oviedo. Przypadki moje zdały mu się dosyć dziwaczne, a wynurzywszy mi swoje politowanie nad stanem w jakim się znajdowałem, rzekłmi:—Nietrzeba rozpaczać, mój przyjacielu, w żadném nieszczęściu, tém się to jedynie różnią dusze silne od umysłów niedołężnych. Człowiek z talentem, jeżeli wpadnie w biedę, czeka cierpliwie czasów szczęśliwszych. Nigdy, jak mówi Cycero, nie powinien tak dalece upadać pod nawałem nieszczęść, żeby aż zapomniał, że jest człowiekiem. Co do mnie, ja właśnie takie mam usposobienie; klęski nie zgnębią mnie nigdy; zawsze jestem wyższy nad przeciwności losu. Naprzykład, kochałem w Oviedo panienkę zacnego rodu, była mi wzajemną: oświadczyłem się ojcu, prosząc o jéj rękę, ten odmówił. Inny byłby umarł z żalu, ja... podziwiaj moc mojéj duszy, wykradłem moję kochankę. Była żywą, płochą, zalotną; przyjemność skłaniała ją zawsze na uszczerbek obowiązku. Woziłem ją przez sześć miesięcy po królestwie Galicyi; ponieważ zasmakowała w podróżach, chciała koniecznie odwiedzić Portugalią, ale przybrała sobie innego towarzysza podróży; inny przedmiot do rozpaczy. Ale ja nie ugiąłem się pod ciężarem tego nowego nieszczęścia; a roztropniejszy od Menelausa, zamiast zbroić się przeciw Parysowi, który mi uwiódł moję Helenę, ja byłem mu wdzięczny, że mnie od niéj uwolnił. Potém nie chcąc wracać do Asturyi, aby uniknąć spotkania się ze sprawiedliwością, udałem się do królestwa Leonu, włócząc się od miasta do miasta i prusząc pieniądze, które mi jeszcze pozostały z uwiezienia mojéj infantki, bośmy oboje pamiętali o sobie uciekając z Oviedo, i nieźleśmy się opatrzyli; ale niedługo wszystko to co miałem poszło z dymem. Przybyłem do Polencyi, mając jedynego dukata w kieszeni, a za to jeszcze trzeba było kupić trzewiki. Zresztą niedaleko można było zajść. Położenie moje było dość przykre, zacząłem nawet już pościć; trzeba było szybko coś przedsięwziąć. Postanowiłem więc wejść do służby. Dostałem się naprzód do tłustego kupca, handlującego suknem, który miał syna rozpustnika. Znalazłem tam schronienie przed wstrzemięźliwością, ale zarazem niemały kłopot. Ojciec kazał mi szpiegować syna, a syn prosił, żeby mu pomódz oszukiwać ojca; trzeba było wybierać. Przeniosłem prośbę nad rozkaz, a wybór ten, stał się przyczyną mojéj odprawy. Przeszedłem do służby starego malarza, który z przywiązania chciał mnie nauczyć zasad swojéj sztuki; lecz pokazując mi je, morzył mnie głodem. To mnie zraziło i do malarstwa i do pobytu w Palencyi. Przybyłem do Walladolid, gdzie niesłychaném szczęściem na świecie, wszedłem do domu administratora szpitala; jestem w nim dotąd, i cieszę się z mojego stanu. Pan Manuel Ordonez, mój chlebodawca, jestto człowiek głębokiéj pobożności; człowiek poczciwy, chodzi zawsze ze spuszczonemi oczyma, z po-

tężnym różańcem w ręku. Mówią, że od młodości, dobro biednych jedynie mając na celu, poświęcił mu się z gorliwością niezmordowaną. Trudy jego nie zostały bez nagrody: wszystko mu się wiedzie. Co za błogosławieństwo Boskie! zajmując się interesami ubogich, przyszedł do ogromnego majątku.

Kiedy tak prawił Fabrycy, rzekłem mu:—Cieszę się mocno, żeś kontent ze swojego losu; lecz mówiąc między nami, zdaje mi się, iż mógłbyś zaszczytniejszą grać rolę na świecie, nie koniecznie służalca; człowiek tak ukształcony, mógłby się wznieść daleko wyżéj.—Gil Blas, ty nie wiész o tém, odpowiedział mi, że dla człowieka, z takim humorem jak ja, niéma przyjemniejszego stanu jak mój. Powołanie lokaja jest przykre, przyznać potrzeba, dla niedołęgi, lecz dla chłopca rozgarnionego, pełne jest przyjemności. Umysł wyższy, przyjmując obowiązek, nie spełnia go tak, jak gap', wchodzi do domu dla rozkazywania raczéj, nie dla służby. Zaczyna od poznania swojego pana: nagina się do jego ułomności, zyskuje jego zaufanie, a potém wodzi go za nos. Tak właśnie sprawiłem się u mojego administratora. Poznałem od razu pielgrzyma; spostrzegłem że chce uchodzić za świętego; udałem głupiego, że temu wierzę; a cóż to kosztuje? więcéj zrobiłem, zacząłem go kopiować; a grając w jego oczach tęż samą rolę, którą on odgrywał w oczach innych, oszukałem szalbierza, i powoli zostałem jego totumfackim. Mam nadzieję, że kiedyś przy jego opiece, będę się mógł wtrącić do interesów ubogich. Być może, iż także dojdę do majątku; bo czuję w sobie tyleż co on miłości ich dobra.

—Złote sąto nadzieje, rzekłem, mój Fabrycy, winszuję ci, ale co do mnie, wracam do piérwszego zamiaru. Zamienię mój ubiór haftowany na kapotę, udam się do Salamanki i zaciągnąwszy się pod chorągiew uniwersytecką, przyjmę obowiązek nauczyciela.—Pyszny zamiar, zawołał Fabrycy, bujna imaginacya! Co za głupstwo, w twoim wieku, poświęcać się na klechę! Nieszczęśliwy człowieku, czy ty wiész do czego się zobowiązujesz, chwytając się téj strony? Skoro tylko znajdziesz miejsce, cały dom oczy zwróci na ciebie, najdrobniejsze twoje czynności ściśle śledzić będą. Będziesz musiał ciągle żyć pod przymusem, przywdziać maskę świętoszka, stroić się w pozór wszystkich cnót. Nie zostanie ci ani jedna chwila na rozrywkę. Wieczysty cenzor twojego wychowańca, po całych dniach uczyć go będziesz łaciny; gromić, skoro co powié, lub zrobi przeciwne przyzwoitości; a to niemałe zatrudnienie. Po takich mozołach, jakąż korzyść odniesiesz za twoje poświęcenie? Jeżeli młody szlachetka będzie hultajem, powiedzą, żeś go źle wychował, rodzice jego oddalą cię bez najmniejszego wynagrodzenia, a może nawet nie wypłacą ci pensyi należnéj. Nie gadaj mi wcale o posadzie nauczyciela; jestto wielki ciężar dla duszy. Ale praw mi o powołaniu lokaja; jestto posada, nie obowiązująca do niczego. Jeżeli pan ma wady, człowiek z wyższym talentem, który mu usługuje, schlebia im, często nawet obraca je na swoję korzyść. Służący żyje bez troski w dobrym domu. Napiwszy się i najadłszy do syta, śpi spokojnie, jak dziecko rodziny, nie myśląc o piekarzu, ani o rzeźniku. Nie skończyłbym, mój bracie, gdybym ci chciał wyliczyć wszystkie dogodności służby. Wierz mi Gil Blasie, porzuć na zawsze chęć zostania nauczycielem, a wstępuj w moje ślady.—Dobrze, mój Fabrycy, odpowiedziałem, ależ to nie zawsze znaléźć można administratorów szpitala; a gdybym już skłonił się do służby, chciałbym przynajmniéj znaléźć dobre miejsce. —Bah, w tém masz słuszność, odparł zaraz, ale to będzie moja rzecz. Zaręczam ci za wyborne umieszczenie, choćby to miało być tylko dla wydarcia uniwersytetowi zgrabnego chłopaka.

Nędza, która mi groziła, zadowolenie Fabrycego, które mnie bardziéj przekonywało, niż jego rozumowanie, skłoniło mnie do przyjęcia służby. Potém wyszliśmy z karczmy, a mój spółziomek rzekł:—W téj chwili zaprowadzę cię do zacnego człowieka, do którego się udają wszyscy lokaje, na bruku będący; ma on starych wyjadaczy, którzy mu donoszą o wszystkich tajemnicach domowych. Wié on komu potrzeba służącego, utrzymuje dokładny spis nietylko miejsc opróżnionych, ale nawet złych i dobrych usposobień panów. Jestto człowiek, który był braciszkiem, nie wiem w jakimś tam klasztorze. Zresztą, on i mnie wskazał miejsce."

Tak rozmawiając o tém szczególném biurze zleceń, syn cyrulika Nunez, zaprowadził mnie w sam kąt uliczki niecałéj. Weszliśmy do małego domku, gdzie zastaliśmy człowieka pięćdziesiąt kilka lat mającego, który wtedy pisał coś na stole. Powitaliśmy go i to dosyć uniżenie; lecz czy był z natury dumnym, czy też przywykły do oglądania u siebie samych lokajów i woźnic, przyuczył się do przyjmowania ludzi po kawalersku, nie ruszył się z miejsca; lekko tylko kiwnął nam głową. Mnie wszakże przyglądał się ze szczególniejszą uwagą. Widziałem dobrze, że go to zastanawiało, iż młody człowiek, w ubiorze wyszywanym, axamitnym, chciał być lokajem; z większą słusznością mógł się domyślać, że przyszedłem żądać służącego. Niedługo wszakże mógł zostać w powątpiewaniu, bo Fabrycy zaraz odezwał się do niego:—Panie Arias de Londona, pozwolisz, że ci przedstawię najlepszego mojego przyjaciela. Jestto chłopiec dobrego urodzenia, który nieszczęściami zmuszony, szuka służby. Wskaż mu z łaski swojéj dobre miejsce, a możesz liczyć na jego wdzięczność.— Panowie, ozięble odpowiedział Arias, wy wszyscy jesteście po jednych pieniądzach; nim wam się wynajdzie miejsce, nie szczędzicie złotych obietnic, lecz raz umieściwszy się, zapominacie o wszystkiém.— Jakto! odrzekł Fabrycy, maszże powód skarżyć się na mnie? nie dobrzemże się sprawił?—Mógłbyś jeszcze lepiéj, odpowiedział Arias; twoje miejsce tyle warto, co urząd pełnomocnika, a tyś mnie zapłacił tak, jak gdybym cię umieścił u jakiego autora.—Wtedy ja przerwałem, i rzekłem do pana Arias, że chcę mu pokazać iż nie jestem niewdzięczny, chcę aby wdzięczność moja uprzedziła przysługę. W téj saméj chwili dostałem dwóch dukatów, które mu wręczyłem, obiecując, że na tém nie poprzestanę, skoro się ujrzę w dobrym domu.

Zdawał się być zadowolonym z mojego sposobu wzięcia się. —Lubię, rzekł, kiedy tak ze mną postępują. Są, mówił daléj, wyborne miejsca opróżnione; zaraz je wymienię, a wybierzesz sobie według woli." Kończąc te wyrazy, włożył okulary, otworzył spis leżący na stole, przewrócił kilka kart, i zaczął czytać w ten sposób: „trzeba lokaja dla kapitana Forbellino, człowieka popędliwego, brutala i dziwaka; łaje ciągle, kłuje, bije, i najczęściéj kaleczy swoich służących.—Przejdźmy do innego rzekłem, ten kapitan nie jest w moim guście." Żywość moja rozśmieszyła Ariasa, i daléj tak czytał: Dona Manuela de Sandoval, podstarzała wdowa, kłótliwa dziwaczka, jest obecnie bez służącego: ma zwykle jednego tylko, a i tego nie może dotrzymać przez dzień cały. Jest w domu od dziesięciu lat liberya, służąca wszystkim lokajom, których przyjmuje, bez względu na ich wzrost; możesz śmiało powiedzieć, że każdy tylko jéj przymierza, dlatego téż jest jeszcze zupełnie nowa, choć już dwa tysiące lokajów ją nosiło. Nie ma także lokaja doktor Alvar Fanez, lekarz chemik. Karmi dobrze swoich służących, ubiéra ich porządnie, daje im nawet wielkie zasługi, ale robi na nich próby swoich lekarstw. Często tam dla lokajów jest miejsce otwarte."

—Oh! wierzę mocno, rzekł śmiejąc się Fabrycy. Dalibóg przedziwne miejsca nam wskazujesz!—Cierpliwości, odpowiedział Arias de Londona, jeszcześmy przecie nie doszli do końca: znajdzie się, co was zaspokoi. Poczém czytał daléj: Dona Alfonsa de Salis, stara dewotka, która dwie trzecie dnia przepędza w kościele i chce, aby jéj lokaj był zawsze tuż przy niéj, od trzech już tygodni, jest bez służącego. Licencyat Sedillo, stary kanonik tutejszéj kapituły, wczoraj wieczór wypędził swojego lokaja.— Stój, panie Arias de Londona, zawołał w tém miejscu Fabrycy: to ostatnie miejsce zatrzymamy. Licencyat Sedillo jest przyjacielem mojego pana, znam go doskonale. Wiem że u niego dozorczynią jest stara świętoszka, nazwiskiem dona Jacenta, która wszystkiém u niego rozporządza. Jestto jeden z najlepszych domów w Walladolid. Życie spokojne, jedzenie wyborne. Prócz tego kanonik, człowiek słabowity, stary pedogrzysta, który niedługo będzie układał testament, można się

spodziéwać zaplsu. Pyszny widok dla lokaja! Gil Blas, dodał zwracając mowę do mnie, nie traćmy czasu przyjacielu, idźmy natychmiast do licencyata. Ja cię sam przedstawię i będę ci służył za poręczyciela. Po tych słowach z obawy uchybienia tak pięknéj sposobności, pożegnaliśmy się prędko z panem Arias, który mnie zapewnił. że jeżeliby to miejsce minęło mnie, mogę liczyć z pewnością, iż mi wynajdzie drugie takie.

KSIĘGA DRUGA.

Rozdział I.

Fabrycy wprowadza Gil Blasa do licencyata Sedillo. Stan tego kanonika. Obraz jego dozorczyni.

Takeśmy się bali, żeby się nie spóźnić do starego licencyata, iż prawie jednym skokiem z uliczki niecałéj, stanęliśmy przed jego domem. Zastaliśmy drzwi zamknięte: zastukaliśmy więc; otworzyła nam dziewczynka, około dziesięć lat mieć mogąca, którą dozorczyni za swoję siostrzenicę udawała, na przekorę złym językom: zapytaliśmy się, czy można mówić z kanonikiem, a wtém też dona Jacenta się pokazała. Byłato osoba już w wieku poważnym, ale jeszcze przystojna; mnie podobała się szczególniéj świeżość jéj cery. Miała na sobie suknię długą z najprostszéj materyi wełnianéj, szeroki pasek skórzany, przy którym z jednéj strony wisiał pęk kluczy, z drugiéj nieużywany różaniec. Skorośmy ją spostrzegli, powitaliśmy ją naprzód z wielkiém uszanowaniem, odkłoniła się nam bardzo grzecznie, ale z miną skromną i oczyma spuszczonemi.

— Dowiedziałem się, rzekł jéj mój towarzysz, że pan licencyat Sedillo potrzebuje uczciwego chłopca; dlatego przybyłem mu przedstawić jednego, z którego spodziéwam się, kontent będzie.—Na te słowa dozorczyni podniosła oczy, bystro na mnie spojrzała, a nie mogąc pogodzić haftu mojego z mową Fabrycego, zapytała się, czybym to ja starał się o to miejsce.—Takjest, rzekł syn Nuneza, właśnie ten młody człowiek. Tak jak go pani widzisz, nieszczęściami znękany musi przyjąć służbę: to go przynajmniéj cieszyć będzie w jego niedoli, dodał tonem słodziutkim, jeżeli będzie miał szczęście dostać się do tego domu i żyć pod jednym dachem z cnotliwą Jacentą, która godna jest być dozorczynią w pałacu patryarchy indyjskiego. To słysząc stara świętoszka spuściła mnie z oczu, by uważać tak miłego mówcę; a uderzona jego rysami, które jéj się znajome wydały:—Przypomina mi się jak przeze mgłę, rzekła mu, żem cię gdzieś widziała; wesprzyj moję pamięć z łaski swojéj.—Byłem w tym domu dwa razy z panem moim Manuelem Ordonez, administratorem szpitala. Prawda! odpowiedziała dozorczyni, przypominam sobie. Ponieważ należysz do pana Ordonez musisz być dobry chłopiec i uczciwy. Miejsce, jakie zajmujesz, jest najlepszą dla ciebie pochwałą, a ten młodzieniec nie mógłby znaléźć lepszego poręczyciela. Pódźcie, rozmówicie się z panem Sedillo. Spodziewam się, że będzie bardzo rad mieć służącego z twojéj ręki.

Poszliśmy więc za panią Jacentą. Kanonik mieszkał na dole, zajmował zaś cztery pokoje jeden za drugim, z piękną posadzką. Prosiła nas, abyśmy na chwilę zatrzymali się w piérwszym pokoju, sama zaś weszła do drugiego, w którym był licencyat. Zabawiwszy tam czas niejaki, aby mu stan rzeczy wyjaśnić, wróciła nam oznajmić, że możemy wejść. Ujrzeliśmy starego pedogrzystę zatopionego w wielkiém krześle, poduszka pod głową, poduszki pod pachami, a nogi oparte na sporym worku puchem napchanym. Zbliżyliśmy się do niego, nie szczędząc ukłonów, a Fabrycy i tu jeszcze głos zabiérając, nie poprzestał na powtórzeniu wszystkiego, co tylko powiedział pani Jacencie, ale nadto chcąc podnieść moje zasługi, rozszerzał się nad sławą, jakiéj nabyłem u doktora Godinez rozprawiając z nim w przedmiotach filozoficznych; jak gdyby potrzeba było być wielkim filozofem, aby zostać lokajem kanonika. Jednakże przez te piękne pochwały, rzucił piaskiem w oczy licencyata, który prócz tego uważając, iż dosyć podobałem się pani Jacencie, rzekł do mojego poręczyciela:— Przyjacielu, przyjmuję chłopca, któregoś mi przyprowadził, dosyć mi się zdaje odpowiednim, o obyczajach zaś jego dobrą mam opinią, ponieważ mi jest zalecony przez pokojowca pana Ordonez."

Skoro tylko Fabrycy ujrzał, żem zatrzymany, oddał głęboki pokłon kanonikowi, drugi głębszy jeszcze dozorczyni, oddalił się szepnąwszy mi do ucha, że się zobaczymy, bylebym tylko został na miejscu. Skoro on odszedł, licencyat pytał się mnie o nazwisko, dlaczego opuściłem rodzinne miejsce, przez co skłonił mnie, abym mu w przytomności pani Jacenty opowiedział moję historyą. Rozweseliłem ich oboje, osobliwie téż ostatnią moją przygodą. Kamilla i don Rafał do takiego ich śmiechu pobudził, że życie starego pedogrzysty omało na niebezpieczeństwo narażone nie było: bo gdy z całych sił śmiać się począł, tak gwałtowny porwał go kaszel, iż rozumiałem, że już skończy. A jeszcze nie zrobił testamentu, sądźcież, czy dozorczyni nie miała powodu być przerażoną. Dlatego téż widziałem ją pomieszaną, drżącą; biegła na pomoc staremu, używając wszystkich środków, jakiemi pospolicie ratują kaszlące dzieci, tarła mu czoło, lekko biła w plecy. Ale to tylko była fałszywa trwoga: stary przestał kasłać, a dozorczyni już go nie mordowała. Wtedy ja chciałem dokończyć mojego opowiadania; ale pani Jacenta bojąc się powrotu kaszlu, zabroniła mi. Wyprowadziła mnie nawet z tego pokoju do szatni, gdzie między różnemi ubiorami, była także liberya mojego poprzednika. Kazała mi ją przywdziać, a mój ubiór położyła w to miejsce; nie gniewałem się wcale o to, miałem bowiem nadzieję, że mój ubiór kiedyś przydać mi się może. Poczém poszliśmy oboje przyrządzać obiad.

Nie okazałem się nowicyuszem w sztuce kucharskiéj. Prawda, żem nie bez korzyści terminował u pani Leonardo, która mogła ujść za wyborną kucharkę; przecież równać się nie mogła z panią Jacentą, która może nawet przewyższała kuchmistrza arcybiskupa toledańskiego. Wszystko umiała wybornie przyrządzić: zupa jéj była przepyszna, tak umiała zręcznie dobiérać i mieszać różne mięsiwa, których do jéj składu używała: fasze zaś z najwykwintniejszym smakiem robiła. Kiedy obiad już był gotowy, wróciliśmy do pokoju kanonika, ja nakrywałem stół tuż przed krzesłem jego, a dozorczyni tymczasem założyła mu serwetę pod brodę i na plecach zawiązała. Zaraz potém przyniosłem zupę, którąby można było postawić przed najsławniejszym radcą madryckim, a potém dwie przyprawki, któreby niezawodnie mile łechtały podniebienie wicekróla, gdyby pani Jacenta mniéj oszczędną była w przyprawach korzennych, z obawy podrażnienia podogry starego. Na widok tak wybornych potraw mój stary pan, którego ja uważałem za pozbawionego władzy we wszystkich członkach, pokazał, że jeszcze potrafi używać rąk swoich. Użył ich naprzód do pozbycia się poduszek, które mu zawadzały i następnie ochoczo się zabrał do jedzenia. Drżała mu wprawdzie ręka, ale nie odmawiała usługi, owszem szybko się zwijała od talérza do gęby, chociaż połowę tego co brał, zostawił na obrusie i na serwecie. Zdjąłem ze stołu zupę, skoro ją na bok odsunął, a natomiast postawiłem kuropatwę otoczoną dwiema przepiórkami, które mu pani Jacenta rozebrała. Pamiętała także, aby dobrze popijał, nalewając mu wino, cokolwiek wodą roztworzone, w czarę srébrną głęboką i szeroką; którą mu podawała do ust, jak dziecku dwuletniemu. Szczególniéj się zawziął na przyprawki, ale nie ubliżył bynajmniéj i innym potrawom. Kiedy się już dobrze nasycił, pani Jacenta odwiązała mu serwetę, popodkładała napowrót poduszki i zostawiła go spokojnie w krześle, aby się przedrzymał, jak to zwykle robił: my zaś sprzątnąwszy ze stołu, poszliśmy także na obiad.

Takieto obiady codzień zajadał kanonik, który może był największym łakotnisiem z całéj kapituły. Ale za to wieczerza jego była daleko skromniejszą, poprzestawał na jednéj pularde, lub króliku z kompotem. Wyborny miałem stół w tym domu, przyjemne wiodłem życie: jedna tylko rzecz była mi przykra, musiałem pilnować mojego pana i czuwać po całych nocach, jak infirmerka szpitalna. Oprócz zatrzymania uryny co go zmu-

szało do żądania nocnego naczynia po dziesięć razy na godzinę, podlegał on jeszcze słabości gwałtownego pocenia się, a wtedy trzeba mu było zmieniać bieliznę. Po drugiéj zaraz nocy oświadczył mi:—Gil Blas, tyś bardzo zręczny i czujny, ja widzę, że twoja usługa będzie mi bardzo dogodna. Zalecam ci tylko największą grzeczność, dla pani Jacenty, spełniaj chętnie wszystko co ci powié, tak jakbym ja to rozkazywał; ta kobiéta z osobliwszą gorliwością usługuje mi już od lat piętnastu; tak jest troskliwą o mnie, że nie umiém jéj tego dostatecznie zawdzięczyć. Dlatego téż, wyznam ci szczérze, że mi jest milszą od całéj mojéj rodziny. Wypędziłem mojego siostrzeńca z jéj przyczyny, syna mojéj siostry rodzonéj i dobrze zrobiłem. Żadnego nie miał uszanowania dla téj biédnéj dziewicy; zamiast uznać jéj szczére do mnie przywiązanie, ten zuchwalec uważał ją za udaną bogobojnisię; bo to dziś w oczach młodych ludzi każda cnota jest obłudą. Dzięki Bogu pozbyłem się tego hołysza. Przywiązanie, jakie mi ktoś okazuje, wyżéj ja cenię nad wszystkie związki pokrewieństwa, mnie tém jedynie co mnie ktoś dobrego świadczy, zobowiązać można. —Bardzo sprawiedliwie, panie licencyacie, rzekłem, wdzięczność powinna nas silniéj wiązać, niżeli prawa natury. —Bez wątpienia odpowiedział, dlatego téż testament mój pokaże, iż się bynajmniéj nie troszczę o krewnych. Moja dozorczyni będzie w nim miała znaczną swoję część, ja nie zapomnę i o tobie, jeżeli mi tak ciągle służyć będziesz, jak zacząłeś. Lokaj, któregom wczoraj odpędził, z własnéj winy stracił piękny zapis. Gdyby ten nędznik nie był mnie zmusił swojém obchodzeniem się do odprawienia go, byłbym go zbogacił: ale to był hardy, nieumiejący szanować pani Jacenty, próżniak lękający się najmniejszego trudu. Nie lubił czuwać przy mnie: przykro mu było pielęgnować mnie w nocy. —Nieszczęśliwy! zawołałem, jak gdyby mnie duch Fabrycego natchnął; nie godzien był znajdować się przy tak uczciwym człowieku jakim pan jesteś. Chłopiec, który ma szczęście należéć do pana, powinien być niezmordowanéj gorliwości; powinien znajdować rozkosz w spełnianiu swoich powinności, nie uważać się za utrudzonego; choćby się krwawy pot lał mu z czoła."

Uważałem, że moja mowa podobała się bardzo licencyatowi. Niemniéj okazał zadowolenia, gdym mu oświadczył, że będę zawsze uległy na każde skinienie pani Jacenty. Chcąc więc uchodzić za sługę, którego żadne trudy nie zrażają, spełniałem mój obowiązek jak tylko mogłem najuprzejmiéj. Nie skarżyłem się nigdy na nocy bezsenne, chociaż to nie było mi przyjemne, i gdyby mnie nie ożywiała nadzieja zapisu, byłbym niedługo sprzykrzył sobie służbę, nie byłbym tego wytrzymał, choć przyznać się muszę, że we dnie spałem kilka godzin. Dozorczyni, muszę jéj oddać sprawiedliwość, wiele mi okazywała względności, co przypisać należy moim zabiegom w pozyskaniu jéj łaski przez postępowanie grzeczne i pełne uszanowania. Jeżeli zasiadłem do stołu z nią i jéj siostrzenicą zwaną Inesilla, zmieniałem im talerze, nalewałem napój, z największą uwagą usługiwałem. Tym sposobem wkradłem się w ich łaskę. Pewnego dnia, gdy dozorczyni wyszła za kupnem potrzebnych zapasów, a ja zostałem sam na sam z Inesillą, wdałem się z nią w rozmowę. Zapytałem się czy jéj ojciec i matka żyją. Oh! nie, odpowiedziała mi, dawno, bardzo dawno jak pomarli, tak mi moja dobra ciocia powiedziała, bo ja ich nigdy nie widziałam. Uwierzyłem dziewczynie, chociaż odpowiedź jéj nie była stanowczą; i tak jéj rozwiązałem język, iż mi więcéj powiedziała, niż ja chciałem wiedzieć. Dowiedziałem się od niéj, czyli raczéj z naiwnych wyrażeń jéj domyśliłem się, że jéj dobra ciocia miała dobrego także przyjaciela, który z nią razem w tymże domu mieszkał i zawiadywał doczesnością kanonika i że szczęśliwe te sługi rachowały na pozostałość ich pana, zamierzając je ogarnąć związkiem małżeńskim, którego słodyczy już naprzód kosztowały. Powiedziałem wyżéj, że pani Jacenta, choć już dość poważnego wieku, miała jeszcze cerę świeżą. Prawda, że niczego nie zaniedbywała dla jéj zachowania, oprócz tego, że co rano brała lawatywę, to jeszcze w ciągu dnia i kładąc się spać zajadała przedziwne sosy. Nadto sypiała spokojnie w nocy, gdy tymczasem ja czuwałem przy moim panu. Lecz, co może najwięcéj przykładało się do nadania jéj téj czerstwości, to jak mi powiedziała Inesilla, fontanelle, które miała na obu nogach pozakładane.

Rozdział II.

Jak leczono kanonika, gdy zachorował, co zapisał testamentem Gil Blasowi.

Służyłem przez trzy miesiące u licencyata Sedillo nie utyskując na noce bezsenne, które musiałem spędzać przy nim. Po upływie tego czasu zachorował: dostał gorączki, która mu zwiększyła cierpienia podagryczne. Piérwszy raz w życiu, a to dość długiém, wezwał pomocy lekarza. Przywołał doktora Sangrado, który w Walladolid od wszystkich szanowany był jako drugi Hipokrates. Pani Jacenta byłaby wolała, żeby raczéj zaczął od testamentu, i nawet napomknęła mu o tém w delikatnych wyrazach, ale kanonik nie sądził jeszcze, aby koniec jego miał być tak blizkim, a prócz tego w niektórych rzeczach był dosyć uparty. Poszedłem więc po doktora Sangrado i przywiodłem go do mieszkania. Było człowiek wysokiego wzrostu, suchy i blady, który przez czterdzieści lat najmniéj władał nożycami parków. Uczony ten lekarz był postawy poważnéj, cedził słowa, wyrażeniom swoim nadawał jakiś zwrot szlachetny. Rozumowanie jego było pod cyrkiel geometryczny ułożone, a zdania osobliwością uderzały.

Przypatrzywszy się dobrze mojemu panu, odezwał się tonem doktorskim:—Idzie tu głównie o zastąpienie braku transpiracyi wstrzymanéj. Inni będąc w mojém miejscu zapisaliby bez wątpienia lekarstwa solne, lotne, działające na drogi urynowe, w których skład po większéj części wchodzi coś siarkowego i merkuryalnego; ale rozwalniające i poty pobudzające lekarstwa są zgubnym wynalazkiem szarlatanów; wszystkie preparata chemiczne zdają się na szkodę ludzką wymyślone. Co do mnie, ja używam prostszych i pewniejszych środków. Do jakiego rodzaju pożywienia, mówił daléj, jesteś pan przyzwyczajony?" Na to kanonik: —Jadam pospolicie zupy i mięsa posilne.—Zupy i mięsa posilne! zawołał z wielkiém podziwieniem doktor. Oh! teraz się nie dziwię, że pan jesteś chory! Potrawy wykwintne, to są przyjemności zatrute: sąto sidła, które rozkosz zastawia ludziom, by ich tém pewniéj zgubić. Musisz pan zrzec się potraw smacznych; najmniéj przyjemne są najzdrowsze. Jako krew jest bez żadnego smaku, wymaga więc potraw, któreby odpowiadały jéj naturze. A wino, czy pan pijesz?" zapytał się.—Takjest, rzekł licencyat, ale wino rozcieńczone wodą.—Oh, niech będzie rozcieńczone jak chce, odpowiedział lekarz, jakieżto nieporządne życie! Otóżto straszna dyeta! dawno już powinieneś być na marach. W jakim wieku jesteś? — Zacząłem sześćdziesiąty dziewiąty, odpowiedział kanonik.—Otóżto właśnie, starość przedwczesna jest owocem niewstrzemięźliwości. Gdybyś pan przez całe życie pił czystą tylko wodę, gdybyś był przestawał na pokarmach prostych, jak naprzykład jabłka gotowane, groch lub bob, nie byłbyś teraz dręczony podagrą, a wszystkie twoje członki odbywałyby bez trudu właściwe sobie ruchy. Ztémwszystkiém ja nie tracę nadziei postawienia pana na nogach, byleby ściśle spełniał moje przepisy. Licencyat choć był wielkim łakotnisiem, przyrzekł jednak być mu posłusznym we wszystkiém.

Po takowéj rozprawie Sangrado kazał mi przywołać chirurga, którego wymienił, i na piérwszy początek upuścił mojemu panu sześć dobrych talerzyków krwi, aby zastąpić brak transpiracyi: a następnie powiedział chirurgowi:—Panie Marcinie Onez, za trzy godziny powtórzysz toż samo, a jutro na nowo rozpoczniesz. To jest przesąd myśléć, że krew potrzebna do utrzymania życia, choremu nigdy zanadto krwi upuścić nie można. Ponieważ niéma ruchu gwałtowniejszego, nic innego do roboty, tylko aby nie umrzéć, nietrzeba mu zatém więcéj krwi do utrzymania życia, jak tyle, ile człowiekowi uśpionemu; u obu życie objawia się tylko w pulsie i oddychaniu." Poczciwy kanonik nie przypuszczając, aby tak wielki lekarz mógł fałszywie rozumować, pozwolił upuszczać sobie krew bez najmniejszego oporu. Zaleciwszy obfite i częste puszczanie krwi, kazał jeszcze prócz tego dawać kanonikowi co chwila wodę ciepłą do picia, zapewniając, że woda ciepła w obfitości za na-

pój używana, jest rzeczywiste *specificum* przeciw wszystkim chorobom. Wychodząc, oświadczył mnie i pani Jacencie z zupełném przeświadczeniem, że ręczy za życie kanonika, byleby się ściśle trzymał jego przepisów. Dozorczyni, która może inaczéj sądziła o jego metodzie leczenia, zapewniła go przecież, iż wola jego jak najściśléj wykonaną zostanie. W istocie zabraliśmy się zaraz do grzania wody, a że lekarz polecił nam przedewszystkiém, abyśmy jéj nie szczędzili, na piérwszy więc początek wmusiliśmy w niego dwie do trzech kwart, w godzinę późniéj powtórzyliśmy dozę, potém od czasu do czasu ponawiając porządne porcye, wleliśmy do żołądka kanonika kilka wiader wody. Z drugiéj strony, chirurg dzielnie wspierał nas obfitém upuszczaniem krwi, tak dalece, że w dwóch dniach niespełna, stary kanonik już ostatkiem sił gonił.

Biedny licencyat już nie mógł znieść więcéj; gdym mu więc podawał porządny kufel *specificum*, ozwał się do mnie głosem osłabionym:—Stój! Gil Blas, nie dawaj mi już więcéj, mój przyjacielu. Widzę, że trzeba umiérać, mimo skuteczność wody; i choć ledwie kropla krwi pozostała we mnie, przecież nie czuję najmniejszego polepszenia, co dowodzi, że najbieglejszy lekarz, nie zdoła przedłużyć dni naszych, skoro kres przeznaczony nadejdzie. Trzeba się więc przygotować na podróż do wieczności. Zawołaj mi pisarza aktowego, chciałbym zrobić testament.—Na te słowa, które nie były przykre uszom moim, udałem głęboki smutek, czego zapewne, każdy spadkobierca w podobnym razie zrobić nie omieszka; kryjąc więc szczerą chęć jak najszybszego spełnienia woli chorego, rzekłem mu: —Ależ pan nie jesteś jeszcze tak źle, dzięki Bogu, abyś się nie mógł podźwignąć.—Nie, moje dziécię, nie, odpowiedział, skończyło się; czuję że pedogra posuwa się, a śmierć się zbliża; spiesz, gdziem ci kazał.—W rzeczy saméj spostrzegłem, że widocznie się zmieniał, i rzecz zdała mi się tak nagła, żem szybko wybiegł dla spełnienia rozkazu, zostawiwszy przy chorym panią Jacentę, która bardziéj jeszcze odemnie bała się, aby nie umarł bez testamentu. Wpadam do piérwszego notaryusza, którego mi mieszkanie wskazano, a zastawszy go rzekłem:—Panie, licencyat Sedillo już dogorywa, pragnie spisać swoję ostatnią woię; niéma chwili czasu do stracenia." Notaryusz, był staruszek wesoły, który lubił żartować; zapytał się, jakiby doktor odwiedzał kanonika; odpowiedziałem mu, że doktor Sangrado. Na to imię, chwytając szybko płaszcz i kapelusz; „wiwat! krzyknął, spieszmy czémprędzéj, bo to lekarz, który tak prędko wyprawia swoich chorych, iż im nie zostawia czasu do wezwania notaryusza. Ten człowiek, niemało testamentów wytrącił mi z ręki.

Tak rozmawiając wyszliśmy spiesznie. W drodze, którąśmy podwójnym odbywali krokiem, aby uprzedzić zgon kanonika, rzekłem notaryuszowi:—Panie, wiész z doświadczenia, że testator umierający traci częstokroć pamięć; jeżeliby przypadkiem pan mój zapomniał o mnie, proszę cię, napomknij mu o mojéj gorliwości.—Zrobię to chętnie, moje dziecko, odpowiedział pisarz aktowy, możesz się spuścić na mnie. Sprawiedliwą jest rzeczą, aby pan wynagrodził człowieka, który mu dobrze służył. Będę go nawet zachęcał, aby ci coś znacznego zapisał, byleby tylko uznawał twoje usługi." Licencyat, gdyśmy weszli do jego pokoju, miał jeszcze zupełną przytomność. Pani Jacenta zalana łzami z obowiązku, była przy chorym. Wybornie odgrywała swoję rolę, usposabiając poczciwego człowieka do dobrego zapisu. Zostawiliśmy notaryusza sam na sam z moim panem, a sami wyszliśmy do przedpokoju. Tu spotkaliśmy chirurga, który z rozkazu doktora przychodził puszczać krew po raz ostatni. Zatrzymaliśmy go.—Zaczekaj panie Marcinie, ozwała się dozorczyni, nie możesz teraz wchodzić do pokoju pana Sedillo, jest tam u niego pisarz aktowy, zajęty spisywaniem jego ostatniéj woli; puścisz mu tyle krwi, ile ci się podoba, gdy skończy testament."

Byliśmy w nadzwyczajnym strachu, ja i świętoszka, aby Licencyat nie skonał w ciągu aktu; szczęściem atoli skończył testament. Wnet ujrzeliśmy wychodzącego notaryusza, który mnie poklepał po ramieniu, i rzekł uśmiechając się: „nie zapomniano o Gil Blasie." Te słowa taką mnie przejęły radością, iż wdzięczny mojemu panu, że o mnie nie zapomniał, postanowiłem szczerze modlić się za jego duszę, skoro umrze, co téż niebawnie nastąpiło: bo gdy chirurg jeszcze raz mu puścił krew, starzec już i tak mocno osłabiony, skonał natychmiast. Kiedy już ostatnie wydawał tchnienie, przybył doktor, i strasznie głupią zrobił minę, choć był przyzwyczajony do tak szybkiego wyprawiania swoich chorych. Jednakże, zamiast przypisywać winę śmierci kanonika wodzie ciepłéj i puszczaniu krwi, on owszem odchodząc rzekł ozięble, że mu zamało puszczono krwi, a niedosyć dawano pić ciepłéj wody. Wykonawca śmiertelnéj medycyny, chciałem mówić chirurg, widząc także, iż usługa jego niepotrzebna, wyszedł razem z doktorem Sangrado, jeden i drugi mówił, że zaraz w piérwszéj chwili skazali licencyata na śmierć. Zaiste, wydając taki sąd, nigdy się nie mylili.

Skorośmy ujrzeli pana naszego bez duszy, pani Jacenta, Inesilla i ja, zaczęliśmy wrzaskliwy koncert żałobny, który wnet uderzył uszy naszych sąsiadów. Świętoszka nadewszystko, która miała największy powód cieszyć się, tak żałośliwie szlochała, że zdała się osobą najwięcéj stroskaną. W mgnieniu oka, natłoczyło się pełno ludzi do pokoju, których nie tak politowanie, jak raczéj ciekawość zgromadziła. Krewni nieboszczyka, tylko co posłyszeli o jego zgonie, wpadli zaraz do mieszkania, i kazali wszystko opieczętować. Zastali dozorczynię tak zmartwioną, iż z początku mniemali, że kanonik nie zrobił testamentu, lecz niebawnie dowiedzieli się, że testament był, i to ze wszystkiemi formalnościami prawnemi. Gdy go otworzono i usłyszeli, że testator najważniejsze rzeczy zapisał pani Jacencie i jéj siostrzenicy, zaczęli głosić mowę pogrzebową w wyrazach niebardzo zaszczytnych dla pamiątki nieboszczyka. Przemawiali także do świętoszki, i o mnie nie zapomnieli. Przyznać trzeba, żem na to zasłużył. Licencyat, niech Bóg świeci nad jego duszą! ażeby mi dać powód do pamiętania o sobie przez całe moje życie, tak w paragrafie swojego testamentu wyraża się względem mnie: „*Item*, ponieważ Gil Blas jest chłopcem znającym nieco literaturę, żeby więc dopomódz mu, aby został zupełnym mędrcem, zapisuję mu moję bibliotekę, wszystkie moje książki i moje rękopisma, bez najmniejszego wyjątku."

Nie wiedziałem gdzieby mogła być ta mniemana biblioteka; dotąd nie widziałem jéj nigdzie w całym domu. Wiedziałem tylko, że było cokolwiek papierów, z pięcią lub sześcią tomami, na dwóch małych półkach sosnowych w gabinecie mojego pana; a to właśnie, był mój zapis. Ale książki te niebardzo były pożyteczne: jedna miała tytuł: Kucharz doskonały; druga, obejmowała traktat o niestrawności i sposobach jéj leczenia; a reszta, byłyto cztery części brewiarza, dosyć zniszczone od molów. Co się tyczy rękopismów, najciekawszy z nich obejmował akta sądowego postępowania w sprawie, jaką miał kanonik z powodu swojéj prebendy. Rozpoznawszy dokładnie mój zapis, z większą nawet uwagą, niż jéj wart był, zostawiłem go krewnym, którzy mi go zazdrościli. Oddałem im nawet suknię którą nosiłem, odebrawszy swoję, poprzestałem jedynie na zasługach, jedynym owocu mojéj służby. Zacząłem się starać o inne miejsce. Co się tyczy pani Jacenty, oprócz summ, jakie jéj zapisane zostały, dobrze się ona obłowiła, usunąwszy wiele rzeczy na stronę w czasie choroby Licencyata, przy skutecznéj pomocy swojego kochanka.

Rozdział III.

Gil Blas przyjmuje służbę u doktora Sangrado, i zostaje sławnym doktorem.

Postanowiłem udać się do pana Arias de Londona i w jego spisie wybrać sobie nowe miejsce, lecz właśnie zbliżając się do uliczki niecałéj, przy któréj mieszkał, spotkałem doktora Sangrado, któregom nie widział od śmierci swojego pana; odważyłem się jednak przywitać go. Poznał mnie odrazu, choć w zmienionym ubiorze, a objawiając niejaką radość z tego spotkania:—Ah, jak się masz, moje dziecię, w téj chwili myślałem właśnie o tobie. Potrzebuję dobrego chłopca do usług, i ty wpadłeś mi na myśl. Zdajesz mi się być wybornym chłopakiem,

i mniemam, żebyś mi się wcale przydał, gdybyś umiał czytać i pisać.—Panie, jeżeli tylko o to idzie, rzekłem, tedy jestem do usług pańskich, ponieważ umiem i jedno i drugie.—Kiedy tak jest, odpowiedział, mam więc czego mi potrzeba. Pójdź do mnie, znajdziesz wszelką dogodność, zachowam dla ciebie pewną względność w obejściu. Nie będziesz miał u mnie zasług, ale ci na niczém nie będzie zbywało. Będę starał się ubierać cię czysto, i nauczę cię wielkiej sztuki leczenia wszystkich słabości. Słowem, będziesz raczej uczniem moim a nie sługą."

Przyjąłem wezwanie doktora, w nadziei, że pod tak sławnym mistrzem, potrafię nabyć wziętości w zawodzie lekarskim. Zaprowadził mnie zaraz do swojego mieszkania, aby mnie zainstallować w urzędzie, który mi przeznaczał; tego zaś urzędu jedynym obowiązkiem było, zapisywać nazwisko i mieszkanie chorych, do których go wzywano wtedy, gdy był w mieście. W tym celu założony był spis, do którego wciągała potrzebne wiadomości stara służąca, jedyna w całym domu; aleprócz zupełnej nieznajomości pisowni, jeszcze nadto tak źle pisała, iż po największéj części nie podobna było odcyfrować jej pisma. Poruczył więc mojéj troskliwości tę księgę, którą słusznie zwać można było spisem zmarłych, ponieważ ci, których nazwiska wciągałem, umierali prawie wszyscy. Wpisywałem więc, że tak powiem, osoby, które się wybierały na tamten świat, jak sekretarz w biurze powozów publicznych zapisuje imiona tych, którzy opłacają miejsca numerowane. Trzymałem pióro w ręku bardzo często, bo podówczas nie było w Walladolid lekarza więcej wziętego, jak pan Sangrado. Zyskał sławę u gminu pozorną gadaniną, któréj, postawa imponująca dodawała jakiéjś powagi; zresztą kilka szczęśliwych leczeń, zjednało mu więcéj wziętości, aniżeli na to zasługiwał.

Miał liczną praktykę, a tém samém dosyć pieniędzy; ale mimo to, nie żył on wygodniéj, stół u niego był bardzo skromny. Jedliśmy pospolicie groch, bób, jabłka gotowane lub sér. Mawiał, że takie potrawy są najlepsze dla żołądka, jako najłatwiejsze do strawienia. Jednakże choć je uważał za najlepsze, nie pozwalał jeść ich do sytości; w czém bez wątpienia bardzo słusznie postępował. Jeżeli wszakże zabraniał mnie i służącéj jeść wiele, tedy pić wody, pozwalał tyle, ileby się nam podobało. Zamiast wskazywać granice w tym względzie, mawiał nam nieraz:—Pijcie moje dzieci, zdrowie polega na giętkości członków i wilgoci. Pijcie dużo wody, jestto rozczynnik powszechny; woda rozpuszcza wszystkie sole. Jeżeli bieg krwi opieszały, woda go przyspiesza; jeżeli zbyt szybko krąży, ona wstrzymuje jéj pośpiech. Nasz szanowny lekarz sam tak wierzył w swoje zasady, iż nic innego nie pił, tylko wodę, choć już był w wieku podeszłym. Starość nazywał on suchotami naturalnemi, które nas suszą i trawią, i na zasadzie takowego określenia, ubolewał nad zaślepieniem tych, co wino nazywają mlekiem starców. Utrzymywał że wino ich niszczy; mawiał przytém bardzo wymownie, że ten zgubny napój, jest dla nich, tak jak dla wszystkich, przyjacielem-zdrajcą, zwodniczą rozkoszą.

Mimo tak mądre wywody, przecież po ośmiu dniach pobytu w tym domu, dostałem biegunki i nieznośnych boleści żołądka, co przez nierozwagę przypisywałem rozczynnikowi powszechnemu i złym pokarmom. Skarżyłem się mojemu panu w téj myśli, że zwolni coś ze swojego trybu życia, i da mi choć kieliszek wina do obiadu: był on atoli zanadto wielkim przeciwnikiem tego napoju, aby się miał skłonić do mojego życzenia. Jak tylko przywykniesz do wody, rzekł mi, wtedy poznasz jak ona jest dobroczynną; zresztą, dodał, jeżeli czujesz wstręt niejaki do wody czystéj, możesz smak jéj podwyższyć za pomocą środków niewinnych, a dla żołądka bardzo skutecznych, dodając naprzykład szałwii, weroniki, a jeżeli już zechcesz mieć coś najwyborniejszego, przymieszaj kwiatu gwoździków, rozmarynu, albo maku polnego.



Kapitan Roland.

Napróżno jednak silił się na pochwały wody i uczył mnie sekretu zrobienia z niéj przedziwnego napoju, ja używałem jéj z takiem umiarkowaniem, że mój doktor spostrzegłszy to, rzekł: Zaprawdę, Gil Blas, nie dziwię się wcale, żeś ty niezupełnie zdrów, ty mało pijesz mój przyjacielu. Woda w małéj ilości rozwija żółć, i nadaje jéj większą siłę działalną; gdy tymczasem trzeba ją koniecznie zatopić w obfitym płynie. Nie bój się, moje dziecię, aby obfitość wody nie oziębiła i nie osłabiła twojego żołądka: odsuń od siebie tę straszną trwogę, która cię zapewne wstrzymuje od częstszego przyjmowania napoju. Zaręczam ci za wszelki przypadek: a jeżelibyś mnie nie ufał zupełnie, Cels nawet będzie ci rękojmią. Ta wyrocznia łacińska, przepyszną pochwałę wody wyrzekła, poczém w dobitnych wyrazach oświadczył, że ci którzy chcąc pić wino wymawiają się słabością żołądka, jawną popełniają niesprawiedliwość względem niego, i szukają tylko sposobów zamaskowania swojéj zmysłowości.

Poświęcając się zawodowi lekarskiemu, niebardzo pięknie wydałbym się, okazując się sprzecznym, dlatego udałem, że zupełnie wierzę jego dowodom; przyznam się nawet, żem zupełnie uwierzył. Piłem więc wodę spuszczając się na zaręczenie Celsa, czyli raczéj począłem topić żółć pijąc obficie wodę; a chociaż coraz bardziéj czułem się słabym, uprzedzenie jednak przemagało nad doświadczeniem. Ztego pokazuje się, żem miał wielkie usposobienie do medycyny. Nie zawsze jednak byłem w stanie oprzéć się dokuczliwym bólom, tak dalece, że postanowiłem oddalić się od doktora Sangrado. Ale mnie nowym obdarzył urzędem, dla którego porzuciłem mój zamiar.—Słuchaj, rzekł mi jednego dnia, ja nie należę do rzędu tych panów nieużytych i niewdzięcznych, którzy pozwalają zestarzéć się w służbie swoim służącym, nim ich wynagrodzą. Jestem kontent z ciebie, kocham cię; nie czekając więc twoich dłuższych usług, postanowiłem zapewnić

twój los od dnia dzisiejszego; chcę ci objawić w téj chwili tajemnicę téj zbawiennéj sztuki, którą się zajmuję od tak dawna. Inni lekarze znajomość jéj zasadzają na niezliczonych naukach mozolnych; ja zaś chcę ci skrócić drogę tak długą, oszczędzić ci trudów uczenia się fizyki, farmacyi, botaniki, anatomii. Wiedz mój przyjacielu: że nietrzeba nic więcéj, tylko puszczać krew i dawać pić wodę ciepłą: oto jest tajemnica leczenia wszystkich chorób bez wyjątku. Takjest, ten prosty tajnik, który ci objawiam, a którego natura niepojęta dla moich spółbraci, przed mojém badawczém okiem utaić nie mogła, zawiera się w tych dwóch środkach: puszczanie krwi i obfity napój. Niczego więcéj nauczyć cię nie mogę, znasz już sztukę lekarską z gruntu, a korzystając z owocu długoletniego doświadczenia mojego, za jednym zamachem stajesz się tak jak ja biegłym. Teraz, mówił dalej, możesz mi pomagać; zrana będziesz utrzymywał spis, a popołudniu pójdziesz odwiedzać część moich chorych. Kiedy ja będę leczył szlachtę i duchownych, ty za mnie pójdziesz do domów mieszczańskich, do których nas wzywać będą; a jak w ten sposób popracujesz przez niejaki czas, ja się postaram, że cię przyjmą do naszego grona. Gil Blas, ty jesteś już mędrcem, nim zostałeś lekarzem, a tymczasem inni przez długi czas są lekarzami, a po większéj części przez całe życie, nim nabędą rozumu.

Podziękowałem doktorowi, że tak szybko usposobił mnie na swojego zastępcę; żeby zaś okazać należytą wdzięczność za jego względy, zapewniłem go, iż przez całe życie trzymać się będę jego zasad, choćby te miały być przeciwne Hipokratesowi. Zapewnienie to atoli nie było zupełnie szczére. Nie zgadzałem się wcale z jego zdaniem co do wody, owszem postanowiłem pić wino, ilekroć wyjdę odwiedzać chorych. Po drugi raz zawiesiłem na kołku moje suknie haftowane, a wziąłem ubiór mojego pana, aby mieć pozór lekarza. Zabrałem się potém do wykonywania sztuki lekarskiéj, kosztem do kogo należéć będzie. Rozpocząłem od algazila, który cierpiał kolki; kazałem mu puszczać krew bez litości, i nie żałować wody. Następnie udałem się do pasztetnika, który przeraźliwie krzyczał na dokuczliwe bole podagryczne. Nie oszczędzałem jego krwi, podobnie jak algazila i kazałem mu co moment dawać wodę ciepłą. Otrzymałem dwanaście realów za moje recepty, co mnie tak zapaliło do nowego powołania, iż wszystkim ludziom życzyłem ran i garbów. Wychodząc z domu pasztetnika spotkałem Fabrycego, któregom nie widział od śmierci licencyata Sedillo. Przypatrywał mi się długo z wielkiém podziwieniem; potém zaczął się śmiać z całego gardła, trzymając się za boki. I nie bez powodu; miałem bowiem na sobie płaszcz, który się wlókł po ziemi, a kaftan i spodnie były cztéry razy dłuższe i szérsze niż trzeba było. Miałem postać dziwną i śmieszną. Pozwoliłem mu nacieszyć się do woli, nie bez wewnętrznéj ochoty naśladowania go; alem się powściągał dla zachowania *decorum* na ulicy i dla lepszego udania doktora, który nie jest istotą godną pośmiewiska. Jeżeli wszakże moja postawa dziwaczna wzbudziła śmiéch Fabrycego, moja powaga podwajała go jeszcze, i kiedy już się uspokoił:—Wiwat Gil Blas, zawołał, jakżeż ty rozkosznie ubrany! Któż u licha tak cię zamaskował?—Powoli mój przyjacielu, odpowiedziałem, powoli, szanuj nowego Hipokrata! Wiedz, że jestem substytutem doktora Sangrado, który jest najsławniejszym lekarzem w Walladolid. Mieszkam u niego od trzech tygodni. Nauczył mnie medycyny z gruntu; a że nie może odwiedzać wszystkich chorych, którzy go wzywają, ja udaję się do jednéj ich części, aby mu ulżyć. On chodzi do wielkich domów, a ja do małych.—Wybornie, przerwał Fabrycy, tojest, zostawia ci krew gminu, zachowując sobie znakomitych panów. Winszuję ci tego podziału; lepiéj mieć do czynienia z pospólstwem, niż z wielkim światem. —Niech żyje doktor przedmieściowy! błędy jego mniéj biją w oczy, a choć zabije, to bez chałasu.—W istocie, mój kochany, los twój zdaje mi się godnym zazdrości, i że użyję wyrazów Alexandra, gdybym nie był Fabrycym, chciałbym być Gil Blasem.



Oświadczenie Aurorze.

Żeby przekonać syna cyrulika Nunez, że nie bez słuszności uwielbia mój stan teraźniejszy, pokazałem mu reale algazila i pasztetnika, a potém wstąpiliśmy do karczmy, aby część ich przepić. Dano nam niezgorsze wino, lecz żądza skosztowania tego nektaru, smak jego okazała mi lepszy, niż był w istocie. Ciągnąłem wybornie i z przeproszeniem wyroczni łacińskiéj, żołądek mój nie gniewał się wcale o wyrządzoną sobie niesprawiedliwość. Siedzieliśmy dość długo w karczmie, bawiąc się wesoło kosztem naszych panów, szydząc z nich, jak się zwykle dzieje pomiędzy lokajami. Wreszcie widząc noc zbliżającą się, rozłączyliśmy się przyrzekłszy sobie wzajemnie, że jutro po obiedzie zejdziemy się w témże miejscu.

Rozdział IV.

Gil Blas dalej wykonywa sztukę lekarską ze skutkiem odpowiednim jego zdolnościom. Przygoda z wynalezionym pierścieniem.

Zaledwie wróciłem do mieszkania, zaraz téż przybył i doktor Sangrado. Opowiedziałem mu o chorych, których odwiedziłem, oddałem ośm realów, które mi pozostały z dwunastu, jakie dostałem za moje recepty.—Ośm realów, rzekł, przeliczywszy piérwéj: to mało za dwie wizyty; ale trzeba brać, co dają. —Dlatego téż wziął prawie wszystkie. Zatrzymał z nich sześć, a dając mi dwa: —Bierz Gil Blas, mówił, jestto na piérwszy początek twojego kapitału, ale prócz tego, chcę się ułożyć z tobą bardzo dla ciebie korzystnie: ustępuję ci czwartą część tego co mi przyniesiesz. Niedługo się zbogacisz mój przyjacielu, bo jeżeli będzie wola boska, w tym roku będziemy mieli wiele chorób.

Miałem powód cieszyć się z mojego udziału, bo postanowiwszy zatrzymać czwartą część tego co dostanę w mieście, a odbierając jeszcze czwartą część z reszty, to wyniesie, jeżeli tylko arytmetyka jest umiejętnością niemylną, prawie połowę dochodu na moję część. To mi dodało nowéj ochoty do me-

dycyny. Nazajutrz zaraz po obiedzie, wziąłem ubiór wyręczyciela i ruszyłem na wyprawę. Odwiedziłem kilku chorych, których miałem w moim spisie, wszystkich leczyłem jednymże sposobem, choć na różne choroby. Aż dotąd wszystko szło cicho, i nikt, dzięki Bogu, nie oburzał się na moje recepty; lecz jakkolwiek wybornato rzecz ta praktyka lekarska, nie może się jednak obejść bez krytyków i zawistnych. Wszedłem do kupca korzennego, którego syn cierpiał wodną puchlinę. Zastałem tam doktora małego wzrostu, brunatno-śniadego, nazwiskiem Kuchillo, którego jeden z krewnych kupca przyprowadził, aby obejrzał chorego. Skłoniłem się bardzo nizko wszystkim obecnym, a osobliwie temu, któregom uważał za osobę wezwaną do narady nad chorobą. Odkłonił mi się poważnie, potém popatrzywszy na mnie z uwagą przez kilka chwil:—Panie doktorze, odezwał się, wybacz mojéj ciekawości: zdawało mi się, że znam wszystkich lekarzy w Walladolid, wszystkich moich spółtowarzyszów, a tymczasem przyznam się, że rysy pańskie są mi zupełnie nieznane. Zapewne od niedawnego czasu osiadłeś w naszém mieście." Odpowiedziałem, że jestem młodym praktykantem, że dotąd pracuję pod tarczą sławy doktora Sangrado. —Winszuję panu, odpowiedział bardzo grzecznie, żeś przyjął metodę tak wielkiego męża. Nie wątpię, że musisz być bardzo już biegły, choć mi się zdajesz tak młodym." To wyrzekł tonem tak naturalnym, że nie wiedziałem, czy tak myślił w istocie, czy też tylko drwił ze mnie: rozmyślałem nad tém co mu odpowiedzieć, gdy kupiec korzystając z chwili odezwał się do nas:—Panowie, jestem przekonany, że oba znacie doskonale sztukę lekarską, raczcie z łaski swojéj obejrzéć mojego syna, i zapiszcie lekarstwo, jakie za najskuteczniejsze uznacie."

Malutki doktorek zabrał się natychmiast do badania chorego, a zwróciwszy moję uwagę na zjawiska wykazujące naturę choroby, pytał się, jakimby sposobem według mego zdania należało ją leczyć. —Jestem zdania rzekłem, aby mu krew puszczano codzień i obficie dawano pić wodę ciepłą." Na to mały doktor uśmiechając się, rzekł z miną szyderczą:—Pan myślisz, że temi środkami ocalisz mu życie? — Nie miéj pan wątpliwości, ozwałem się śmiało; będziesz widział chorego szybko przychodzącego do zdrowia: środki te muszą wywrzéć pożądany skutek, ponieważ są jedyne na wszystkie choroby. Spytaj się pana Sangrado.—Na téj zasadzie, odparł, Cels mylił się, zapewniając, że dla łatwiejszego uleczenia wodnéj puchliny, trzeba aby chory cierpiał głód i pragnienie.— Oh, odezwałem się, Cels nie jest moją wyrocznią; on się tak mylił jak i drudzy, i ja sam sobie wdzięczny jestem, żem nieraz działał wbrew jego zdaniu, wyszło mi to na dobre.— Po téj mowie, rzekł Kuchillo: poznaję metodę pewną i zadowalającą, jaką doktor Sangrado wpaja w młode umysły swoich praktykantów. Krew i woda ciepła, to jego lekarstwo uniwersalne. Nie dziwię się, że tyle uczciwych ludzi ginie w jego ręku. — Nie posuwajmy się do szkalowania, przerwałem mu z gniewem; człowiek tego powołania pięknie zaiste wygląda z podobnemi zarzutami na ustach. Daj pokój panie doktorze, bez puszczania krwi i bez pojenia ciepłą wodą, mnóstwo chorych wyprawia się na tamten świat; a pan może ich więcéj jeszcze wyprawił, niż którykolwiek inny. Jeżeli chcesz wystąpić przeciw panu Sangrado, napisz przeciw niemu, odpowié ci, a zobaczymy na czyjéj stronie staną śmiejący się.—Święty Jakóbie, święty Dyonizy! krzyknął w uniesieniu; nie znasz doktora Kuchillo. Wiédz o tém, że i ja mam zęby i pazury i nie boję się wcale doktora Sangrado, który mimo swoję próżność i zarozumiałość, jest tylko dziwakiem i nic więcéj." Postać malutkiego doktorka zapaliła mnie gniewem. Odpowiedziałem mu uszczypliwie, on w podobnymże sposobie i w téj chwili przyszło do pięści. Nim kupiec i jego krewni zdążyli nas rozdzielić, mieliśmy dosyć czasu poczęstować się kilką szturchańcami i wyrwać sobie nawzajem po garści włosów. Skoro nas uspokojono, zapłacono mi za odwiedziny, a zatrzymano mojego przeciwnika, który się zdał zapewne bieglejszym odemnie.

Po téj przygodzie niewiele brakło, aby mnie była nie spotkała druga. Poszedłem odwiedzić tłustego kantora, który miał febrę. Jak tylko usłyszał wzmiankę o wodzie ciepłéj, tak się pokazał przeciwnym temu *specificum*, że zaczął kląć. Nawymyślał mi, co się tylko zmieściło, ale co gorsza, zagroził mi wyrzuceniem przez okno, jeżeli mu nie pójdę z oczu. Nie czekałem aż mi to powtórzy drugi raz: usunąłem się spieszuie, a nie chcąc już więcéj odwiedzać chorych, pospieszyłem do domu gościnnego, w którym miałem się zejść z Fabrycym. Jużem go zastał. A żeśmy mieli chętkę do picia, hulaliśmy więc nieźle, tak żeśmy do panów naszych wrócili w dobrym stanie, tojest nieźle podchmieleni. Pan Sangrado nie spostrzegł tego, ponieważ z taką akcyą opowiadałem mu kłótnię z malutkim doktorkiem, że żywość moję uważał za skutek wzruszenia, jakie mną władało po téj walce. Że zaś i on także wchodził do tego raportu, że czuł się obrażonym przez doktora Kuchillo, odezwał się więc do mnie: —Wybornie zrobiłeś Gil Blas, żeś bronił honoru lekarstw naszych przeciw temu podrzutkowi wydziału lekarskiego. To on śmié utrzymywać, że nie należy dozwalać napojów wodnistych w puchlinie? głupiec! Ja utrzymuję, że należy im je pozwalać. Takjest, woda może uleczyć wszelkie puchliny, tak jak jest wyborną na reumatyzmy i bladość; jest jeszcze przedziwną w tych febrach, w którychto zarazem pali się i ziębnie człowiek; cudowna w tych chorobach, które przypisują humorom zimnym, wilgotno-słonym, flegmistym i szlamowatym. To mniemanie zdaje się dziwne młodym lekarzom, takim jak Kuchillo, ale się utrzymuje w dobréj medycynie; a gdyby ci ludzie zdolni byli rozumować wedle zasad logiki, zamiast powstawać przeciw mnie, jak to robią, podziwialiby moję metodę i byliby najgorliwszymi moimi stronnikami.

Nie domyślił się wcale, że ja miarkę przebrałem, takem się uniósł gniewem, bo żeby go tém więcéj rozjątrzyć przeciw malutkiemu doktorowi, wplątałem w moje opowiadanie okoliczności mojego wynalazku. Jednakże choć całkiem zajęty mojém sprawozdaniem, spostrzegł przecież, że tego wieczora więcéj jak zwykle piłem wody.

W istocie wino sprawiło mi wielkie pragnienie. Każdy inny, tylko nie Sangrado, byłby się domyślił dlaczego pełnemi szklankami spijam wodę; on zaś w dobréj wierze wyobrażając sobie, żem zaczął nabierać gustu do napojów wodnistych, rzekł mi z uśmiechem:—Jak widzę Gil Blas nie masz już wstrętu do wody, dzięki Bogu, ty ją spijasz jak nektar. To mnie nie dziwi, mój przyjacielu, ja wiedziałem, że ty przywykniesz do tego napoju. —Panie, odpowiedziałem, każda rzecz ma swój czas; w téj chwili jabym oddał wiadro wina za jednę kwartę wody. Tą odpowiedzią tak uradowałem doktora, iż nie pominął takiéj sposobności, by wychwalać wodę. Rozpoczął nowy jéj panegiryk, nie jako zimny mowca, lecz jako najzagorzalszy jéj zwolennik. —Tysiąc razy, ozwał się, tysiąc i tysiąc razy szacowniejsze i niewinniejsze od naszych karczem owe ubiegłych wieków cieplice, do których nie przychodzono trwonić haniebnie pieniądze i życie upajając się winem, ale zgromadzano się dla uczciwéj i nie szkodliwéj zabawy i dla picia wody ciepłéj! Niepodobna dostatecznie nadziwić się mądréj przezorności owych starożytnych stróżów porządku publicznego, którzy urządzili miejsca publiczne dla częstowania wodą każdego przychodnia, wino zaś zamykali w aptekach, nie pozwalając użycia jego, tylko z przepisu lekarza. Jakiéjżto znak mądrości! Bez wątpienia to są szczątki starożytnéj skromności, godnéj złotego wieku, ci ludzie, którzy jak ja i ty, nie piją nic prócz wody i którzy pewni są, że zabezpieczą lub uleczą z chorób pijąc wodę ciepłą, która jeszcze nie zawrzała: bo ja dostrzegłem tego, że woda wrząca jest cięższą i niedobrą dla żołądka.

Kiedy tak wymownie rozprawiał, kilka razy o mało nie parsknąłem śmiechem, alem się przecież powściągnął; owszem, potakiwałem doktorowi. Ganiłem używanie wina, ubolewałem nad tymi, którzy nieszczęściem zasmakowali w napoju tak zgubnym. Poczém nie ugasiwszy jeszcze zupełnie pragnienia, napełniłem wielki kubek wodą, a wypiwszy go duszkiem: —Nuż więc, mówiłem do mojego pana, ochłodźmy się tym dobroczynnym napojem! Niech w domu naszym widzą owe stare cieplice, których pan tak żałujesz!" Pochwalił moje wyrazy i przez ca-

łą godzinę zachęcał mnie, abym zawsze tylko wodę pił. Aby się do tego napoju przyzwyczaić, przyrzekłem mu, iż co wieczór wielką ilość wody spijać będę; żeby zaś łatwiéj spełnić przyrzeczenie, położyłem się spać z mocném postanowieniem odwiedzania codzień szynkowni.

Nieprzyjemność, jakiéj doświadczyłem u kupca korzennego, nie wstrzymała mnie bynajmniéj od wykonywania mojéj sztuki, i od przepisywania wody ciepłéj i puszczania krwi. Wychodząc z domu, w którym odwiedzałem poetę leżącego w gorączce z manią połączonéj, spotkałem na ulicy kobietę wieku podeszłego, która przystąpiwszy do mnie, zapytała się, czybym nie był lekarzem.—Jestem nim, odpowiedziałem.—Kiedy tak, panie doktorze, proszę pana pokornie, chciéj iść ze mną; moja siostrzenica od wczoraj choruje, i nie wiém, coby to była za choroba." Poszedłem więc z tą kobiétą, która mnie wprowadziła do pokoju dosyć porządnego, gdzie ujrzałem chorę. Zbliżyłem się do niéj, dla wybadania choroby. Za piérwszym rzutem oka, rysy jéj uderzyły mnie mocno, a wpatrzywszy się lepiéj, poznałem dokładnie, że to ta sama hultajka, która tak wybornie odegrała rolę Kamilli. Co do niéj, zdało mi się, iż mnie sobie nie przypomniała, czyto dlatego, że jéj ból dokuczał, czy też mój ubiór doktorski zmienił moję postać. Wziąłem jéj rękę dla zobaczenia pulsu, i postrzegłem na palcu mój pierścień. Zmieszałem się na widok mojéj własności, którą miałem prawo odebrać, i do czego wielką miałem ochotę; zważywszy atoli, że te kobiéty zaczęłyby krzyczéć, że don Rafał, lub jakikolwiek inny obrońca płci pięknéj, mógłby nadbiedz ku ich obronie, nie dałem się przezwyciężyć pokusie. Zastanowiwszy się nieco, uznałem za rzecz przyzwoitą zamilczéć, a poradzić się w tym przedmiocie Fabrycego. Tymczasem stara nalegała, abym jéj objawił chorobę jéj siostrzenicy. Nie byłem przecież tak głupi, abym jéj miał wyznać, iż tego wcale nie wiém; przeciwnie, udałem biegłego, a naśladując mojego pana, rzekłem poważnie, że choroba pochodzi z zatrzymania transpiracyi, że w skutek tego, trzeba się spieszyć z puszczeniem krwi, bo to zastępuje transpiracyą; przepisałem także ciepłą wodę, aby się sprawić według naszych zasad.

Skróciłem moje odwiedziny, jak tylko mogłem, i pobiegłem do syna Nuneza, któregom spotkał wychodzącego z poleceniami swojego pana. Opowiedziałem mu moję przygodę, pytając się, czyby mu się zdawało rzeczą stosowną, abym kazał pojmać Kamillę przez służbę sądową.—Ah nie, odpowiedział mi, na Boga, nie rób tego, to nie jest wcale środek ku odzyskaniu pierścienia; ci ludzie nie lubią zwracać cudzych rzeczy. Przypomnij sobie więzienie w Astorga: twój koń, twoje pieniądze, suknie nawet twoje, nie zostałyż w ich ręku? Lepiéj użyć naszego przemysłu, aby odzyskać dyament. Ja się podejmuję wynaléźć jaki przebieg w tym celu; pomyślę nad tém idąc do szpitala, gdzie mam kilka słów powiedzieć ekonomowi od mojego pana. Ty idź, i zaczekaj przededrzwiami karczmy naszéj, ale bądź cierpliwy, wnet ja wrócę do ciebie.

Ze trzy jednak godziny stałem w miejscu umówioném, nim przybył. Z początku nie poznałem go wcale. Bo prócz tego, że zmienił ubiór i wypomadował włosy, jeszcze nadto, potężne wąsy przyprawne, zasłaniały mu prawie połowę twarzy. Przy boku miał potężną szpadę, któréj rękojeść ze trzy stopy obwodu miała; szedł na czele pięciu ludzi, którzy podobnież jak on, przybrali postać zuchów; każdy z nich miał sumiaste wąsy i długi przy boku rapir.—Sługa uniżony pana Gil Blas, rzekł przystępując do mnie; widzisz pan we mnie algazila, tylko co z igły zdjętego, a w tych szanownych ludziach dozorców policyjnych téj saméj natury. Prowadź nas do kobiéty, ktora mu skradła jego dyament, a każemy jéj zwrócić mu, na moje słowo." Uściskałem Fabrycego po téj przemowie, który opowiedział wybieg, jakiego użyć zamierzył, ja zaś pochwaliłem wyborny wynalazek jego. Pokłoniłem się także udanym dozorcom. Bylito zaś trzej lokaje i dwóch chłopców balwierskich, których zobowiązał do udawania. Kazałem dać wina dla całego oddziału, a skoro noc zapadła, udaliśmy się wszyscy do Kamilli. Zapukaliśmy do drzwi, które były już zamknięte; stara otworzyła, a biorąc tych ludzi za wyżłów sprawiedliwości, którzy nie przychodzą do tego domu bez powodu, przelękła się niesłychanie.—Uspokój się moja kochana matko, odezwał się do niéj Fabrycy, my tu w bagatelnéj przychodzimy sprawie, która się szybko skończy, bo my jesteśmy bardzo skorzy." Po tych słowach poszliśmy daléj do pokoju choréj, która nas prowadziła, trzymając w ręku świécę w srébrnym lichtarzu. Wziąłem tę świecę, a zbliżywszy się do łóżka, i kazawszy przypatrzyć mi się Kamilli:—Zdrajczyni, rzekłem, poznaj łatwowiernego Gil Blasa, któregoś tak haniebnie oszukała! zbrodniarko! przecież raz cię spotkałem po tak długiém śledzeniu! Korregidor przyjął moję skargę, i polecił temu algazilowi, żeby cię uwięził. Daléj, mości panie oficerze, rzekłem do Fabrycego, spełnij twoję powinność!— Nietrzeba zachęty, odpowiedział grubym głosem, abym czynił co wypada. Przypominam sobie tę poczciwą, już ona od dziesięciu lat, czerwonemi literami zapisana w moich notatkach. Wstawaj moja panno, ubieraj się szybko; będę ci służył za koniuszego, i zaprowadzę cię do turmy tego miasta, jeżeli ci to będzie przyjemne."

Na te słowa, Kamilla, jakkolwiek słaba, widząc, że dwaj dozorcy zabierali się ściągnąć ją z łóżka, usiadła sama, złożyła ręce pokornie, a spoglądając na mnie wzrokiem przerażonym: —Panie Gil Blas, odezwała się, miéj litość nademną, zaklinam cię na szanowną matkę, któréj winieneś życie; jestem więcéj nieszczęśliwą, jak winną; przekonasz się o tém, wysłuchawszy mojéj historyi.—Nie, panno Kamillo, rzekłem, nie, ja niemam ochoty słuchać cię; wiém aż nadto dobrze, że umiesz wyborne składać romanse." „A więc, odpowiedziała, kiedy mi nie pozwalasz usprawiedliwić się, oddaję ci twój dyament, a nie gub mnie." To mówiąc zdjęła pierścień z palca, i oddała mi go; lecz ja dodałem:—To niedosyć na dyamencie, ja chciałbym zwrotu tysiąca dukatów, które mi skradziono w hotelu umeblowanym.—Oh! co do tych dukatów, mówiła, panie, nie żądaj ich odemnie, ten zdrajca don Rafał, którego od owego czasu na oczy nie widziałam, téj saméj nocy je zabrał.—Ha, moja ty rybko, rzekł wówczas Fabrycy, toż myślisz, że dla wywikłania się z téj sprawy, dość będzie powiedzieć, żeś w tém wcale rąk nie maczała? Oho! nie wyśliźniesz się tak tanim kosztem. Dość na tém, żeś była spólniczką don Rafała, aby zażądać rachunku z przeszłego życia twojego. Musisz niemało mieć na sumieniu. Pójdziesz, jeżeli łaska, do więzienia, i tam odprawisz spowiedź powszechną. Zaprowadzę tam i tę poczciwą staruszkę; pewny jestem, iż ona wie także niemało powiastek ciekawych, których pan korregidor cierpliwie wysłucha."

Obie kobiety użyły wszelkich sposobów, aby nas zmiękczyć; napełniły izbę krzykiem, płaczem i żalami. Gdy stara na kolanach, to przed algazilem, to przed dozorcami, siliła się obudzić ich litość, Kamilla błagała mnie w sposób najtkliwszy, aby ją ocalić od rąk sprawiedliwości. Warto było patrzéć na to widowisko. Wreszcie ja udałem zmiękczonego.—Panie oficerze, rzekłem do syna Nuneza, ponieważ ja mam już mój dyament, zapominam już o reszcie. Nie pragnę dokuczać téj biédnéj kobiecie, nie chcę śmierci grzesznika.— Wstydź się pan ludzkością powodować, nie byłbyś zdatny na dowódzcę straży. Ja muszę spełnić moje polecenie. Rozkazano mi wyraźnie pojmać te dwie damy. Pan korregidor chce na nich przykład pokazać. —Bądź łaskaw, rzekłem, miéj cokolwiek względu na moję prośbę, i ustąp cokolwiek ze ścisłości obowiązku dla daru, który ci te panie chcą ofiarować.—Tak, to co innego, odpowiedział, otóż to figura retoryczna wybornie użyta. No, zobaczmy, co mi chcą ofiarować? — Mam perłowy naszyjnik, rzekła Kamilla, i zausznice znacznéj wartości.—Dobrze, ale, przerwał nagle, jeżeli pochodzą z wysp Filipińskich, to ich nie chcę.—Możesz je przyjąć z dobrą wiarą, odpowiedziała, zaręczam za ich prawdziwość." W téj chwili kazała staréj podać sobie małe pudełko, z którego wydobyła naszyjnik i zausznice, i złożyła je w ręce algazila. Chociaż nie lepiéj odemnie znał się na klejnotach, nie wątpił atoli, iż te które widział w zausznicach, równie były prawdziwe jak i perły. Przypatrzywszy się im z uwagą, rzekł:—Te klejnociki zdają mi się być dobréj próby. Jeżeli do

nich dodany zostanie świecznik, który pan Gil Blas trzyma w ręku, wtedy nie ręczę za moję ścisłość.—Nie spodziewam się, odezwałem się do Kamilli, aby za taki drobiazg, zrywać tak korzystny układ;—to mówiąc, wyjąłem świecę, oddałem staréj, lichtarz zaś wręczyłem Fabrycemu, który poprzestał na tém, zwłaszcza, że obejrzawszy się po pokoju, nie widział nic, coby się z łatwością zabrać dało; odezwał się więc wkońcu: —Bądźcie zdrowe panie, siedźcie spokojnie. Pomówię z panem korregidorem, i wystawię was bielszemi nad śnieg. Umiemy kota odwracać jak nam się podoba, i wtedy tylko rzetelne składamy mu raporta, jeżeli nie mamy powodu do fałszywych."

Rozdział V.

Dalsza przygoda z pierścieniem. Gil Blas porzuca medycynę, i opuszcza Walladolid.

Wykonawszy w ten sposób pomysł Fabrycego, wyszliśmy od Kamilli, uradowani ze skutku, przechodzącego nasze spodziewanie, bośmy tylko rachowali na pierścień. Zabraliśmy bez namysłu resztę; zamiast robić sobie wyrzuty, żeśmy okradli publiczne zalotnice, wyobrażaliśmy sobie czyn nasz godnym pochwały.—Panowie, rzekł Fabrycy, kiedyśmy już wyszli na ulicę, po tak pięknéj wyprawie, godziż się nam rozejść się, nie zabawiwszy się z kielichem w ręku? Ja tak nie myślę, mojém zdaniem, wróćmy do naszéj szynkowni, tam się zabawimy przez całą noc. Jutro sprzedamy świecznik, naszyjnik i zauszuice, a pieniędzmi podzielimy się po bratersku; poczém każdy ruszy do domu, i jak potrafi najlepiéj, wykręci się swojemu panu." Myśl pana algazila zdała nam się bardzo rozsądna. Wróciliśmy wszyscy do karczmy, jedni w nadziei łatwéj wymówki nienocowania w domu, drudzy nie troszcząc się wcale że ich wypędzą.

Kazaliśmy przygotować dobrą wieczerzę, zasiedliśmy do stołu z równą wesołością jak apetytem. Rozkoszne powiastki uprzyjemniały nam ucztę. Szczególniéj Fabrycy, który umiał ożywić rozmowę, bawił całe towarzystwo. Nasuwało mu się tysiące dowcipów zaprawnych solą kastyllańską, która przecież tyle warta co attycka; lecz w tym momencie gdyśmy w najwyższéj radości w najlepsze się śmieli, wypadek nieprzewidziany, a wcale nieprzyjemny przerwał naszą ucieczkę. Do izby, w któréj jedliśmy wieczerzę, wkroczył mężczyzna dość przystojny, w towarzystwie dwóch innych, którym coś źle z oczu patrzyło. Za nimi pokazało się znowu trzech, i wnet naliczyliśmy ich aż dwunastu, którzy się wcisnęli trójkami. Każdy z nich miał karabin, szablę i bagnet. Poznaliśmy, że to są ludzie ze straży nocnéj, a zamiaru ich nietrudno było domyślić się. Z początku brała nas pokusa do stawienia oporu; lecz w mgnieniu oka otoczyli nas, i trzymali na wodzy, jużto przeważającą liczbą, już to bronią palną.— Panowie, rzekł dowódzca tonem szyderczym, wiem, przez jak dowcipny podstęp ściągnęliście pierścień z palca jednéj zalotnicy. Zaiste, pomysł wyborny, i godzien publicznéj nagrody; dlatego téż, ta was nie minie. Sprawiedliwość, która wam przeznacza mieszkanie w swoim pałacu, nie omieszka zapewne ocenić tak pięknego wyskoku geniuszu." Wszyscy do których ta mowa zwróconą była, zmieszali się. Straciliśmy odwagę, trwoga nas zdjęła taka sama, jaką przed chwilą czuła Kamilla. Fabrycy jednak choć blady i znękany, chciał nas usprawiedliwiać.—Panie, nie mieliśmy złych zamiarów, rzekł, i dlatego należy nam przebaczyć ten mały figiel.—Co u djabła, krzyknął komendant z gniewem, to ty nazywasz to małym figlem? Wiész ty, że to pachnie postronkiem? Prócz tego, że niewolno sobie samemu wymierzać sprawiedliwości, wy nadto zabraliście świecznik, naszyjnik i zauszuice; jestto przypadek niechybnie szubienicą grożący, a to dlatego, że dla dopełnienia téj kradzieży, przybraliście postać straży. Nędzniki! przebierać się za uczciwych ludzi, aby złe płatać! Poczytam was za bardzo szczęśliwych, jeżeli was tylko skażą na galery." Kiedy nam dał do zrozumienia, że to była rzecz daleko ważniejsza, niżeśmy z początku mniemali, rzuciliśmy się mu do nóg, prosząc, aby miał litość nad naszą młodością; wszystko napróżno. A co dziwniejsza, odrzucił nasze przedstawienie, że mu chcemy oddać i świecznik i perły i zauszuice. Nie chciał nawet przyjąć mojego pierścienia, który mu ofiarowałem, być może, iż był w tak dobrém towarzystwie; krótko mówiąc, był nieubłagany. Kazał rozbroić moich spólników, i wszystkich razem zaprowadził do więzienia miejskiego. Kiedy nas tam prowadzono, jeden ze straży powiedział mi, że stara kobieta, mieszkająca z Kamillą, mając podejrzenie, że nie jesteśmy rzeczywiście sługami sprawiedliwości, szła za nami aż do szynkowni, a tam przekonawszy się o rzeczywistości swoich domysłów, zawiadomiła o tém straż nocną, aby się zemścić nad nami.

Naprzód przetrząśnięto nas doskonale. Odebrano świecznik, perły i zauszuice; wydarto mi pierścień wraz z rubinem z wysp Filipińskich, który na nieszczęście miałem w kieszeni; nie zostawiono mi nawet tych realów, które owego dnia dostałem za moje recepty, co mnie przekonało, że ludzie w Walladolid, tak dobrze umieli spełniać swój obowiązek, jak tamci w Astordze, i że wszyscy ci panowie, jednakowy mieli kodex postępowania. Podczas, gdy mnie obdzierano z pieniędzy i kosztowności, dowódzca straży opowiadał nasz postępek naczelnikowi obdzierania. Wielu z nich, rzecz tę uważało za tak ważną, iż ją sądzili godną kary śmierci; inni mniéj surowi, mówili, że dosyć będzie dla każdego po dwieście batów i kilka lat służby morskiéj. Nim zaś pan korregidor, ostatecznie względem nas wyrzecze, wtrącono wszystkich do lochu, w którym pokładliśmy się na słomie poprzeszonéj, tak jak to robią w stajni podściełkę pod konie. Bylibyśmy tam niechybnie dość długo siedzieli, a ztamtąd prosto na galery powędrowali, gdyby pan Manuel Ordonez, nie był posłyszał o naszéj przygodzie zaraz nazajutrz; on postanowił wydobyć Fabrycego z turmy, czego nie mógł dokazać bez wyzwolenia nas wszystkich. Było człowiek wielce szanowany w mieście; nie szczędził on zabiegów, i tak przez własne wpływy, jak przez starania swoich przyjaciół, tyle dokazał, iż nas po trzech dniach wypuszczono. Ale nie wyszliśmy z turmy w takim stanie, w jakim nas do niéj wprowadzono; świecznik, perły, zauszuice, moje pierścienie i pieniądze, wszystko tam zostało. To mi przywiodło na pamięć owe wiersze Wirgilego, które się zaczynają: *Sic vos non vobis...* (tak wy nie sobie).

Po odzyskaniu wolności, wróciliśmy do swoich panów. Doktor Sangrado przyjął mnie łaskawie:—Biedny Gil Blasie, mówił, dopiéro dziś rano dowiedziałem się o twojém nieszczęściu. Zabierałem się szczerze i usilnie wstawić za tobą. Nie martw się tym przypadkiem, mój przyjacielu, zabierz się do medycyny z większą jeszcze jak dotąd żarliwością. — Odpowiedziałem, że to właśnie jest moim zamiarem, i w istocie cały się oddałem temu powołaniu. Nie brakło też nam zajęcia, stało się bowiem, jak pan mój szczęśliwie przepowiedział; pojawiły się choroby. Gorączki zjadliwe panowały w mieście i na przedmieściach. Wszyscy lekarze byli zajęci, a my więcéj nad innych. Nie było dnia, w którymby każdy z nas najmniéj ośmiu lub dziesięciu chorych nie odwiedził; łatwo z tego wnieść, ile to było krwi rozlanéj, ile wypijano wody ciepłéj! Lecz nie wiem czém się to działo, że wszyscy umierali; czy my ich stosownie do tego leczyli, czy téż choroba była nieuleczona. Rzadko się zdarzyło, żebyśmy zdążyli trzy razy odwiedzić jednegoż chorego; pospolicie za drugim razem, dowiadywaliśmy się, że już pogrzebiony, albo że kona. Jako młody lekarz, niezahartowany jeszcze w sztuce zabijania, trapiłem się mocno smutnemi wypadkami, o które można było mnie obwiniać.—Panie, rzekłem raz wieczór do doktora Sangrado, świadczę się Bogiem, że ściśle zachowuję metodę pana, a jednak wszyscy moi chorzy wynoszą się na tamten świat; jak gdyby się zmówili na sponiewieranie naszego sposobu leczenia. Dziś spotkałem dwóch, których do grobu niesiono.—Mój synu, odpowiedział, jabym ci niemal toż samo mógł powiedzieć; ja po największéj części nie mam ukontentowania uzdrawiać osób, które wpadną w moje ręce; i gdybym nie był tak silnie przekonany o moich zasadach, mniemałbym, że środki przezemnie przedsiębrane, są przeciwne wszystkim chorobom, jakie mi się leczyć wydarza.—Jeżelibyś pan raczył mnie posłuchać, mówiłem mu, możeby nieźle było zmienić postępowanie. Dla saméj ciekawości dajmy

naszym chorym preparat chemiczny, sprobujmy koszenilli, w najgorszym razie, ten sam skutek może otrzymamy co z krwi puszczenia i ciepłéj wody.—Jabym chętniéj zgodził się na tę próbę, gdyby to za sobą ważniejszych nie pociągało skutków; ja wydałem dzieło, w którém zalecam częste puszczanie krwi i picie wody; chceszże, abym sam potępił moje dzieło?—Oh! jeżeli tak, masz pan zupełną słuszność, odpowiedziałem, niepodobna pozwolić na taki tryumf nieprzyjaciołom pana; powiedzieliby, żeś się pan łudził; zniszczyliby wziętość pana; niech ginie raczéj gmin, szlachta i duchowieństwo! Idźmy raz wytkniętym torem. Zresztą, nasi spółbracia, pomimo wstrętu do krwi puszczania, nie umieją więcéj cudów pokazywać jak my; a ja myślę, że ich mixtury, nie więcéj warte, jak nasze *specifica*.

Na nowo zatém poczęliśmy pracować, i tak zręcznieśmy się sprawili, iż w niespełna sześciu tygodniach tyleśmy przysporzyli wdów i sierot, ile ich wydało oblężenie Troi. Zdawało się, że morowa zaraza jest w Walladolid, tyle było pogrzebów. Prawie codzień przybywał do nas niejeden ojciec żądający od nas odpowiedzialności za syna cośmy mu wydarli; albo stryjaszek wyrzucający nam smierć swojego synowca. Co się tyczy synowców i synów, których stryjowie lub ojcowie źle wyszli na naszém lekarstwie, ci nam się nie pokazywali wcale. Mężowie także byli bardzo delikatni, nie prześladowali nas wcale za śmierć żon swoich. Ależ osoby strapione, których wyrzuty znosić nam przychodziło, objawiali niekiedy smutek grubiański; przezywali nas głupcami, rzeźnikami, wyrażeń swoich nie obwijali w bawełnę. Mnie dojmowały ich przydomki, ale mój pan przywykły do tego, słuchał ich obojętnie. Mógłbym był, podobnie jak on, przyzwyczaić się do obelg, gdyby nieba dla usunięcia zapewne pożogi od chorych Walladolidu, nie sprowadziło okoliczności, która mnie odstręczyła od medycyny, z tak małym skutkiem przezemnie praktykowanéj. Tęto okoliczność chcę wyłuszczyć ze wszystkiemi szczegółami, nie bacząc, że czytelnicy mogą się naśmiać ze mnie.

W sąsiedztwie naszém było miejsce gry w wolanta, w którém codziennie zbierali się wszyscy próżniacy miejscy. Bywał tam jeden z tych junaków z powołania, którzyto się na znawców narzucają i rozstrzygają swary po karczmach. Rodem był z Biskai i kazał się zwać don Rodrigue de Mondragon. Zdawał się mieć około trzydziestu lat. Wzrostu zwyczajnego, ale suchy i silny. Oczy iskrzące ustawnie mu latały w głowie i trwogą zdejmowały każdego, na kogo je zwrócił: nos szeroki, zwieszony na wąsy rude, które jak dwa rogi aż do skroni sięgały. Głos miał tak chrapliwy i przenikający, iż każdy drżał, kto go tylko słuchał. Ten straszny samochwał narzucił się na tyrana gry: rozsądzał samowładnie wszelkie spory zachodzące między graczami, a nie godziło się odwoływać od jego wyroku, jeżeli odwołujący nie chciał się narazić na wyzwanie. Takim był, jakem go tu odmalował pan Rodrigue, który mimo dodatku don niemniéj był pochodzenia miejskiego, potrafił on miłe zrobić wrażenie na pani téj karczmy. Byłato kobieta czterdziestoletnia, bogata, dość przyjemna, a do tego wdowa od piętnastu miesięcy. Nie wiem, jak mógł się jéj podobać, ale to pewna, że nie z piękności, może z czegoś, co trudno wyrazić. Cóżkolwiekbądź, podobał się jéj i postanowiła go zaślubić, ale gdy się właśnie gotowała na gody weselne, zachorowała, a na jéj nieszczęście ja zostałem jéj lekarzem. Choćby chorobą jéj nie była febra zjadliwa, moje lekarstwa same przez się wystarczały do zrobienia jéj niebezpieczną. W cztery dni pokryłem żałobą karczmę. Gospodyni gry poszła tam, gdziem wszystkich moich chorych wyprawiał, a krewni zagarnęli jéj majątek. Don Rodrigue w rozpaczy po stracie swojéj ulubienicy, czyli raczéj nadziei korzystnego dlań małżeństwa, nie poprzestał na przeklinaniu i szkalowaniu mnie, ale przysiągł, że za pierwszém spotkaniem przeszyje mnie swoją szpadą. Sąsiad miłosierny ostrzegł mnie o téj przysiędze: znając Mondragona, nie mogłem lekceważyć téj wiadomości, owszem trwogą mnie ona przejęła. Nie śmiałem wychylić się z domu, z obawy, by nie spotkać tego djabła, zdawało mi się bezustannie, że widzę go, jak wściekłego, wpadającego do naszego domu; nie miałem ani chwili spokojnéj. To mi obmierziło sztukę lekarską, i już tylko myśliłem, jakby się uwolnić od téj niespokojności Wziąłem więc znowu mój ubiór szamerowany, a pożegnawszy pana, który nie zdołał mnie zatrzymać, opuściłem miasto równo ze świtem, nie bez obawy spotkania Rodryga w drodze.

Rozdział VI.

Wyszedłszy z Walladolid, jaką puścił się drogą, z kim się połączył w drodze.

Szedłem bardzo prędko, raz po raz oglądając się, czy przypadkiem nie ujrzę tego straszliwego Biskajczyka pędzącego za mną. Wyobraźnia moja tak była nabita tym człowiekiem, że każdy krzak, każde drzewo zdawało się postać jego przedstawiać. Co chwila serce we mnie drżało ze strachu. Uszedłszy wszakże dobrą milę uspokoiłem się nieco i zwolniłem kroku, zmierzając do Madrytu, dokąd udać się postanowiłem. Opuściłem Walladolid bez żalu, przykro mi jedynie było rozłączać się z Fabrycym, moim drogim Piladesem, z którym nawet nie mogłem się pożegnać. Nie gniewałem się bynajmniéj, żem porzucił medycynę, owszem błagałem Boga o przebaczenie za to, żem się nią zajmował. Z radością przeliczyłem pieniądze, które miałem w kieszeni, choćto była zapłata za moje zabójstwa. Miałem w realach wartość około pięciu dukatów, to był cały mój majątek. Obiecywałem sobie z tém dostać się do Madrytu, nie wątpiąc abym tam nie miał znaleźć dobrego miejsca. Prócz tego pałałem żądzą dostania się do téj wspaniałéj stolicy, którą mi wystawiano, jako mały zbiór wszystkich cudów świata.

Kiedy tak rozpamiętywałem wszystko, com słyszał o Madrycie, kiedym się już naprzód napawał rozkoszą, jaką sam znaleźć mogę; usłyszałem głos człowieka, który za mną zdążał, śpiewając z całego gardła. Na plecach niósł tłomoczek skórzany, gitarę miał zawieszoną u szyi i długą szpadę przy boku. Tak dobrym szedł krokiem, iż wnet mnie dogonił. Byłto jeden z owych chłopców balwierskich, którzy razem ze mną siedzieli w turmie za sprawę pierścienia. Poznaliśmy się odrazu nawzajem, choć w zmienionym byliśmy ubiorze i obadwa zdziwiliśmy się niepomału z tak niespodzianego spotkania na wielkim gościńcu. Ja wynurzyłem moję radość, że go miéć będę za towarzysza wędrówki, on niemniéj zdawał się cieszyć, że mnie ogląda. Opowiedziałem mu dlaczego opuściłem Walladolid; on podobnież zwierzając mi się, oświadczył, że porożnił się ze swoim panem i obadwa pożegnali się na wieki. „Gdybym był chciał zostać w Walladolid, mówił mi, byłbym łatwo dostał dziesięć golarni za jednę, bo nie chwaląc się wcale, śmiało rzec mogę, że w całéj Hiszpanii niéma balwierza, któryby zręczniéj umiał golić z włosem i pod włos i trefić wąsy. Ale nie mogłem już dłużéj oprzéć się gwałtownéj żądzy oglądania mojéj ojczyzny, którąm przed dziesięcią laty opuścił. Chcę cokolwiek rodzinném odetchnąć powietrzem i dowiedzieć się o stanie moich rodziców. Pojutrze będę u nich, ponieważ miejsce w którém mieszkają, które zowią Olmedo, jestto wielka wieś po téj stronie Segowii."

Postanowiłem towarzyszyć cyrulikowi, aż do jego domu, udać się ztamtąd do Segowii i szukać jakiéj okazyi do Madrytu. Zaczęliśmy rozmawiać o rzeczach obojętnych. Młody cyrulik był wesołego humoru i bardzo miły w rozmowie. Po godzinnéj prawie pogadance spytał się, czy mi się jeść nie chce. Zobaczysz to w piérwszéj lepszéj karczmie, odpowiedziałem. „Nim do niéj dojdziemy, rzecze, możemy tu spocząć, mam ja śniadanie w tłomoczku. Ja kiedy się udaję w drogę, nie zapomnę nigdy o zapasach żywności. Nie ładuję na siebie sukien, bielizny i innych rupieci; żadnych nie lubię zbytków. Pakuję do tłomoczka amunicyą brzuszną, brzytwy i mydelniczkę, więcéj nie potrzebuję. Pochwaliłem jego przezorność, przystałem chętnie na mały przystanek. Czułem głód, a wnosząc z tego, co mówił, spodziewałem się nieźle zajadać. Zeszliśmy na bok z drogi i roztasowaliśmy się na trawie. Tu mój chłopak balwierski rozłożył swoje zapasy, które się składały z sześciu cebul, kilku kawałków chleba i séra: lecz co najlepszego wydobył z tłomoczka, to był pęchérz napełniony winem, jak mówił, wyśmienitém. Chociaż potrawy nie były bardzo łakotliwe, głód jednak doda-

wał im smaku. Wypróżniliśmy wino, którego mogło być ze dwie kwarty, a z którego pochwałami mógł się był schować. Ruszyliśmy potém w dalszą drogę rzeźwi i weseli. Ponieważ Fabrycy napomknął cyrulikowi o moich osobliwszych przypadkach, teraz więc począł mnie prosić, abym mu je sam opowiedział. Sądziłem, że nie należy nic odmawiać człowiekowi, który mnie tak dobrze uraczył: zaspokoiłem więc jego ciekawość: a następnie rzekłem, że w odwet za moję grzeczność wypada, aby i on mnie opowiedział historyą swojego życia. „Oh, co do mojéj historyi, rzekł, niéma czego słuchać, jest ona zupełnie pospolitą. Że jednak nie mamy nic lepszego do roboty, opowiem ją, tak jak jest." Zaraz więc zaczął prawić w ten sposób.

Rozdział VII.

Historya chłopca balwierskiego.

Fernand Perez de la Fuente, mój dziad (zaczynam od źródła), goląc brody przez lat pięćdziesiąt we wsi Olmedo, umarł i zostawił czterech synów. Najstarszy Mikołaj, zajął jego golarnię i nastąpił po nim w jego rzemiośle: Bertrand młodszy, nabiwszy sobie głowę handlem, został kupcem kramarzem; Tomasz trzeci został wiejskim nauczycielem. Co się tyczy czwartego, którego nazywano Pedro, ten czując się zrodzonym do nauk nadobnych, sprzedał cząstkę ziemi, która nań z działu przypadła, udał się do Madrytu, pełen nadziei, że się tam potrafi odznaczyć i nauką i dowcipem. Trzéj inni bracia jego nie rozłączali się wcale: osiedli w Olmedo, pożenili się z córkami wieśniaków, które im w posagu niewiele majątku, ale za to wielką płodność przyniosły. Rodziły jakby na wyścigi. Moja matka, żona balwiérza, wydała na świat sześcioro w pięciu piérwszych latach swojego małżeństwa. Ja byłem z téj liczby. Ojciec mój wcześnie bardzo uczył mnie golić, a gdym doszedł piętnastu lat wieku, włożył mi na plecy ten tłomoczek, który oto widzisz, przypasał mi długą szpadę i rzekł: „Ruszaj, Diego, już teraz jesteś w stanie zarobić sobie na kawałek chleba; idź przejrzéć kraj. Musisz wędrować, abyś się trochę otarł i w swojéj sztuce wydoskonalił. Idź, a nie wracaj do Olmedo, póki nie obejdziesz całéj Hiszpanii; niech nie słyszę o tobie piérwéj, nim to nastąpi." To rzekłszy, uściskał mnie po przyjacielsku i wypchnął z domu.

Takie było pożegnanie z moim ojcem. Matka, nie tak szorstkich obyczajów, tkliwszą się okazała przy mojém oddaleniu. Uroniła kilka łez i wsunęła mi w rękę dukata pokryjomu. Takim więc sposobem wyszedłem z Olmedo i puściłem się do Segowii. Ledwie paręset kroków uszedłem, gdym się wstrzymał dla przejrzenia mojego tłomoczka. Ciekawy byłem, co się też w nim znajduje, chciałem wiedzieć co mam w istocie. Znalazłem w nim zawinięte dwie brzytwy, które zdawały się służyć do golenia już przynajmniéj z dziesięciu pokoleń, tak były zużyte, obok tego był pasek do przeciągnięcia brzytew i kawałek mydła. Prócz tego była koszula konopna nowiuteńka, para starych trzewików mojego ojca, ale co mnie bardziéj ucieszyło jak to wszystko, to było dwadzieścia realów zawiniętych w stary płatek płócienny. Otóżto była cała moja zamożność. Łatwo z tego wniesiesz, że pan Mikołaj cyrulik, musiał wiele rachować na moje zdolności, kiedy mnie z tak szczupłemi funduszami wyprawił na wędrówkę. Jednakże dukat i dwadzieścia realów odurzyły młodego chłopca, który nigdy nie miał ani grosza. Zdało mi się, że mam skarb niewyczerpany; uniesiony radością, szedłem daléj raz po raz spoglądając na rękojeść mojéj szpady, któréj głownia biła mnie po łytkach, albo się plątała między nogami.

Wieczór przybyłem do wsi Atakines, nadzwyczaj zgłodzony. Zaszedłem do hotelu i jak gdybym miał czém hojnie szafować, szumnym tonem zażądałem wieczerzy. Gospodarz popatrzywszy na mnie, widział z kim miał do czynienia, z wielką więc uprzejmością rzekł: „W téj chwili szlachetny panie, będziesz zaspokojony; uczęstuję cię, jak księcia jakiego. To mówiąc, zaprowadził mnie do pokoiku, a w kwadrans późniéj podał mi kark koci, który zjadłem z taką chciwością, jak gdyby to był przodek zająca lub królika. Do tego delikatnego przysmaczku dodał wino, tak wyborne, że jak mówił, sam król lepszego nie pija. Jednakże poczułem, że to było wino zepsute, to mnie atoli nie wstrzymało, żebym mu nie miał zrobić takiegoż honoru, jak owéj potrawie. Żeby zaś we wszystkiém być uraczonym po książęcu, trzeba się było położyć spać na łóżku, na którém trudniéjby było pozbyć się bezsenności, niż nabrać chęci do spania. Wystaw sobie werek ciasny, a tak krótki, iż niepodobna mi było wyciągnąć nóg, jakkolwiek nizkiego jestem wzrostu. Prócz tego był na nim tylko siennik, pokryty prześcieradłem we dwoje złożoném, które od ostatniego prania, już zapewne ze stu wędrownikom służyło. Mimo to, nasycony owym karczkiem i winem, które mi gospodarz podał, dzięki młodości i temperamentowi, spałem wybornie.

Nazajutrz po śniadaniu, opłaciwszy sowicie tak wyborne jedzenie, udałem się jednym ciągiem do Segowii. Tylko com stanął, znalazłem zaraz golarnią, w któréj mnie przyjęto za żywność i utrzymanie; ale tylko sześć miesięcy tam bawiłem; chłopak balwierski, z którym się zaprzyjaźniłem, a który chciał się udać do Madrytu, podburzył mnie, i razem ruszyliśmy do stolicy. Umieściłem się tam na téj saméj zasadzie, co w Segowii. Dostałem się do golarni najwięcéj uczęszczanéj. Prawda, że będąc tuż obok kościoła świętego Krzyża, w bliskości teatru, książęcym zwanego, zwabiała mnóstwo osób. Pan mój, dwaj dorosłe chłopcy i ja, nie mogliśmy prawie nastarczyć golić wszystkich, co przybywali. Bywali tam ludzie wszelkich powołań, a między innemi, aktorowie i autorowie. Pewnego dnia, dwie osoby z tego ostatniego gatunku przybyły razem. Zaczęli rozprawiać o poetach i poezyach owoczesnych, i usłyszałem jak wymówili imię mojego stryja; z tego powodu zwróciłem większą, niż dotąd baczność na ich rozmowę. „Don Juan de Zavaleta, odezwał się jeden, zdaje mi się być pisarzem, na którego publiczność spuszczać się nie może. Dowcip płaski, człowiek bez imaginacyi; ostatnia jego sztuka haniebnie go zabiła.— A Luiz Velez de Guewara, rzekł drugi, czyż nie pyszne dzieło przedstawił publiczności? Czy może być coś nędzniejszego? Wymienili jeszcze niemało innych poetów, których nazwisk nie pamiętam, to tylko sobie przypominam, iż im potężne łaty przyczepiali. O moim stryju zaszczytniejszą uczynili wzmiankę; zgodzili się obadwa, że to był młodzieniec niepospolitéj zasługi. Tak, ozwał się jeden, don Pedro de Fuente jest wybornym autorem; w dziełach jego jest żart lekki zmieszany z głęboką naukowością, co go czyni interesującym i pełnym soli. Nie dziwi mnie bynajmniéj, że zyskał wziętość u dworu i u publiczności, że mu wielu panów płaci pensyą. Od kilku już lat, dodał drugi, ma znakomite dochody. Pomieszkanie i stół ma u księcia Medina Celi; nie ma żadnych wydatków, musi więc bardzo dobrze stać w interesach."

Nie straciłem ani litery z tego, co ci panowie o moim stryju mówili. W domu jeszcze dowiedzieliśmy się, że on w Madrycie wiele wrzawy narobił przez swoje dzieła; przejeżdżające przez Olmedo osoby rozpowiadały o tém; ale że on sam żadnéj o sobie nie dawał wiadomości, i owszem zdawał się troskliwie usuwać od nas, my więc ze swojéj strony, nie dbaliśmy wcale o niego. Znać jednak zaraz do czego kto zdolny; skorom się dowiedział, że stryj w dobrym jest stanie i gdzie mieszka, wzięła mnie chętka, by go odwiedzić. Jedna tylko rzecz mnie stropiła: autorowie zwali go don Pedro; to więc *don* bardzo mnie zajęło: bałem się, aby to nie był inny jaki poeta, a nie mój stryj. Ależ ta obawa nie wstrzymała mnie bynajmniéj. Pomyślałem sobie: może został uszlachconym, będąc tak dowcipnym autorem, uwziąłem się więc udać się do niego. W tym celu, za pozwoleniem mojego mistrza, ustroiłem się jednego poranku jak tylko mogłem najporządniéj; wyszedłem z naszéj golarni, dumny, że byłem synowcem człowieka, który gieniuszem swoim taką sobie sławę pozyskał. Cyrulicy nie należą do rzędu ludzi pozbawionych próżności. Zacząłem nabierać wielkiego o sobie wyobrażenia, i dumnie postępując, pytałem się o pałac księcia Medina Celi. Stanąwszy w bramie oświadczyłem, że chcę mówić z panem don Pedro de Fuente. Odźwierny wskazał mi palcem w głębi dziedzińca małe schody i rzekł mi: wejdź niemi na piérwsze piętro, i zastukaj w piérwsze

drzwi, które ujrzysz na prawo. Uczyniłem jak mi powiedział, zapukałem, a w téj chwili otworzył drzwi jakiś młody człowiek; zapytałem go więc, czyby tu mieszkał don Pedro de Fuente. — Takjest, odpowiedział, ale teraz nie można z nim mówić.—Radbym właśnie z nim pogadać, rzekłem, ponieważ przynoszę mu wiadomości od jego rodziny.— Choćbyś miał nowiny od samego papieża, rzekł, nie wpuszczę cię teraz do jego pokoju; pisze bowiem dzieło, a kiedy jest zajęty pracą, nie można mu wcale przeszkadzać. Nie można się z nim widzieć jak koło południa; idź, przejdź się, a wracaj w czasie oznaczonym.

Wyszedłem więc, i przez cały poranek przechodziłem się po mieście, rozmyślając, jak mnie też przyjmie mój stryjaszek. Zdaje mi się, iż się niesłychanie ucieszy, ujrzawszy mnie. Sądziłem o jego uczuciach, według tych, jakie mnie ożywiały, i gotowałem się na poznanie bardzo tkliwe. Wróciłem na oznaczoną godzinę.—W samą porę przybywasz, ozwał się do mnie jego sługa, pan mój właśnie co ma wyjść. Zaczekaj tu chwilę, idę zawiadomić go. To rzekłszy, zostawił mnie w przedpokoju; w moment powrócił i wpuścił mnie do pokoju swojego pana, którego rysy twarzy odrazu uderzyły mnie wielkiém podobieństwem familijném. Zdało mi się, że to mój stryj Tomasz, tak byli do siebie podobni. Skłoniłem się mu z głębokiém uszanowaniem i oświadczyłem, że jestem synem pana Mikołaja de Fuente, cyrulika z Olmedo, powiedziałem mu także, że już od trzech tygodni trudnię się tą sztuką w Madrycie, w charakterze chłopca balwierskiego, i że mam zamiar obejść całą Hiszpanią, dla wydoskonalenia się w mojém powołaniu. Kiedym to mówił, spostrzegłem, że stryj mój marzył; zapewne namyślał się, czy się ma zaprzéć mnie, czy też zręcznie pozbyć; wybrał to ostatnie. Zmyślił więc minę uśmiechającą się, i rzekł:—No, mój przyjacielu, jakże się ma twój ojciec i twoi stryjowie? jak się im powodzi? Zacząłem mu więc opowiadać o licznem rozmnożeniu się naszéj rodziny; wymieniłem mu wszystkie dzieci płci męzkiéj i żeńskiéj, i w téj liście objąłem nawet ojców i matki chrzestne. Zdało mi się, że te szczegóły niebardzo były ciekawe dla niego, a zmierzając prosto do celu:—Diego, rzekł, podoba mi się, że wędrujesz po kraju dla wydoskonalenia się w swojéj sztuce, radzę ci, żebyś nie zatrzymywał się długo w Madrycie; dla młodych jest tu pobyt niebezpieczny; zgubisz się tu moje dziecko. Lepiéj zrobisz, udając się do innych miast królestwa, gdzie obyczaje nie są tak skażone. Idź, a gdy będziesz gotów do podróży, wstąp do mnie, dam ci luidora, aby ci pomódz do zwidzenia Hiszpanii. Kończąc te wyrazy, zręcznie wysunął mnie ze swojego pokoju, i oddalił z pomieszkania.

Nie miałem tyle przenikliwości, żeby się domyślić, iż pragnie mnie wyprawić od siebie; wróciłem do golarni i zdałem sprawę panu swojemu z całych odwiedzin. Ale i on także nie dociekał zamiarów don Pedra, dlatego mówił: —Jabym nie podzielał zdania twojego stryja: zamiast zachęcać cię do wędrówki po kraju, powinienby raczéj zobowiązać cię do pozostania w stolicy. Ma znajomość z tylu znakomitymi panami, mógłby ci z łatwością wystarać się o miejsce w jakim domu zamożnym, i podać sposobność do zrobienia majątku. Uderzyła mnie ta mowa, przedstawiająca mi tak pochlebne na przyszłość widoki, zaraz więc we dwa dni późniéj, udałem się do stryja z prośbą, aby użył swojéj wziętości, i umieścił mnie u jakiego bogatego pana przy dworze; ale pomysł ten nie przypadł mu do smaku. Człowiek próżny, który miał przystęp do panów, jadał z nimi codziennie, nie mógł pozwolić, aby synowiec jego plątał się pomiędzy lokajami, wtedy gdy on u pańskiego zasiada stołu; mały Diego zawstydzałby don Pedra. Nie omieszkał więc wywieść mnie z omamienia, i to dosyć szorstko. —Jakto, ty mały hultaju, ozwał się z gniewem, ty chcesz porzucić twoje powołanie! Ruszaj! zostawiam cię ludziom, którzy ci tak zgubne dają rady. Wychodź z mojego pokoju, noga twoja niech tu nie postanie, inaczéj, każę cię ochłostać, jak na to zasługujesz. Zgłupiałem na te słowa, a bardziéj jeszcze na ton, z jakim wyrzeczone były. Odszedłem ze łzami w oczach, tknięty do żywego twardością serca, jaką mi okazał. Ale że byłem z natury żywy i dumny, otarłem prędko łzy. Wnet miejsce żalu zastąpił gniéw; postanowiłem porzucić krewnego bez którego obchodziłem się aż dotąd.

Poświęciłem się zatém wyłącznie udoskonaleniu mojego talentu. Goliłem przez cały dzień, wieczór zaś dla rozweselenia umysłu, uczyłem się grać na gitarze. Nauczycielem moim był stary towarzysz, *senor escudero*, któremu zwykle goliłem brodę. Dlatego też uczył mnie muzyki, którą znał doskonale. Bo też kiedyś był śpiéwakiem przy którejś katedrze. Nazywał się Marek de Obregon. Byłto człowiek mądry, który miał tyleż dowcipu, co doświadczenia; kochał mnie zaś, jak własnego syna. Był on marszałkiem żony pewnego lekarza o trzydzieści kroków od naszego domu mieszkającego. Chodziłem do niego wieczorami, po skończeniu mojéj roboty, a usiadłszy oba na progu, wywodziliśmy koncerta, które nie raziły sąsiadów. Nie żeby głos nasz miał być osobliwszy, ale że brząkając po strunach, śpiéwaliśmy oba zgodnie według zasad, a to wystarczało dla zabawy tych, którzy nas słuchali. Najwięcéj atoli przyjemności w naszym śpiéwie, znajdowała dona Mergelina, żona lekarza, która umyślnie wychodziła do alei, by nas słuchać, i częstokroć musieliśmy jéj powtarzać śpiéwki, które się jéj podobały. Mąż jéj, nie przeszkadzał téj rozrywce. Byłto człowiek wcale nie zazdrosny, choć Hiszpan, a do tego stary; prócz tego, zajęty swojém powołaniem, skoro wieczór powrócił, zmordowany odwiedzinami chorych, wcześnie bardzo szedł do łóżka, nie troszcząc się bynajmniéj upodobaniem, jakie żona jego w naszych koncertach znajdowała. Być może, iż nie sądził, aby zdolne były szkodliwe jakie wywrzéć wrażenie. I to także dodać należy, iż był przekonany, że nie potrzebuje się niczego obawiać. Mergelina była wprawdzie kobiéta młoda i piękna, ale tak surowéj cnoty, że cierpiéć nie mogła wejrzenia mężczyzny; mąż jéj przeto, nie poczytywał za złe rozrywki, która mu się zdała niewinną i uczciwą, pozwalał nam śpiéwać, ile nam się podobało.

Pewnego wieczoru gdym przybył do drzwi mieszkania doktorskiego w celu zwyczajnéj zabawki, zastałem starego marszałka czekającego na mnie. Wziął mnie pod rękę, oświadczając, że się chce ze mną przejść, nim rozpoczniemy nasz koncert. Zwrócił się w uliczkę uboczną, a ujrzawszy że może swobodnie rozmawiać:—Diego, mój synu, rzekł tonem smutnym, mam ci coś osobliwego powiedziéć. Lękam się moje dziecko, abyśmy oba nie żałowali naszéj koncertowéj rozrywki we drzwiach mojego pana. Zaręczam ci, że czuję wielkie do ciebie przywiązanie, szczęśliwy jestem, żem cię nauczył grać i śpiéwać; lecz gdybym był przewidział grożące nam niebezpieczeństwo, dalibóg, byłbym inne miejsce do nauki obrał. Na te słowa strach mnie ogarnął; zacząłem prosić marszałka, aby się jaśniéj wyraził i powiedział wręcz, czego się lękać mamy, bo ja wcale nie byłem sposobny narażać się na niebezpieczeństwo, a do tego jeszcze nie obszedłem całéj Hiszpanii.—Opowiém ci, rzekł, co powinieneś wiedziéć, abyś pojął, jaki cios nad nami wisi.

Kiedym przyjmował służbę u doktora, mówił daléj marszałek, a temu już rok będzie, zaprowadził mnie do swojéj żony i rzekł: —Marcos, oto jest twoja pani, masz jéj towarzyszyć wszędzie. Zdumiałem się na widok dony Mergeliny, zdała mi się dziwnie piękną, do malowania, a szczególniéj zachwycała mnie przyjemna jéj postawa, miłe i ujmujące wejrzenie.—Panie, odezwałem się do lekarza, za wielkie poczytuję sobie szczęście, służyć tak cudnéj piękności kobiecie. Nie podobały się te wyrazy Mergelinie, zaraz mi odpowiedziała tonem opryskliwym:—Patrzcie mi go, jaki poufały. O! ja nie lubię, aby mi grzeczności prawiono. Te wyrazy tak pięknemi wyrzeczone usty w osobliwszym sposobie mnie uderzyły: nie mogłem żadną miarą takiéj mowy dziwacznéj i nieokrzesanéj pogodzić z wdziękiem całéj postawy mojéj pani. Mąż był już do tego przyzwyczajony, a nawet cieszył się tym przekornym charakterem swojéj żony: —Marcos, rzekł do mnie, żona moja jest rzadkiém zjawiskiem cnoty. Spostrzegłszy, że bierze płaszczyk udając się na mszę, kazał mi iść z nią do kościoła. Zaledwieśmy wyszli na ulicę, spotkali-

śmy mężczyzn, w czém niéma nic osobliwego, którzy uderzeni wdziękami dony Mergeliny, przechodząc nie szczędzili pochlebnych wyrazów. Odpowiadała im, ale anibyś pojął, jak dalece odpowiedzi te były głupie i śmieszne. Wszyscy się zdumiewali, bo nikt się nie spodziewał, aby się mogła znaléźć kobieta, któraby się obrażała, kiedy ją chwalą. „Pani, mówiłem jéj, nie uważaj wcale na to, co ci prawią, lepiéj zamilczéć, niż z cierpkością odpowiadać.—Nie, wcale nie, odpowiadała, ja chcę nauczyć tych zuchwalców, że nie jestem kobietą zdolną znosić uchybienia należnego mi uszanowania. Wreszcie nieraz tak nieprzyzwoite wymykały jéj się z ust wyrażenia, że nie mogłem się wstrzymać od wynurzenia jéj myśli mojéj, z narażeniem się nawet na jéj gniéw. Przedstawiałem jéj z wszelką delikatnością, że krzywdę czyni naturze, że wszystkie piękne przymioty każi tym dzikim humorem: że kobieta łagodna i grzeczna może zyskać miłość bez pomocy piękności; gdy tymczasem piękna oso-



Gil Blas jako służący u Don Bernarda.

ba bez łagodności i uprzejmości staje się przedmiotem pogardy. Do takowych uwag dodałem mnóstwo innych podobnych, mając jedynie na celu poprawę jéj obyczajów. Nagadawszy się morałów do woli, bałem się zresztą, abym przez to nie ściągnął na siebie gniewu mojéj pani i za moję szczérość nie usłyszał niemiłych wyrazów: ale przecie nie oburzała się na moje przełożenia, poprzestała na tém, że na nic nie zważała, równie jak i na to, com jéj nierozważnie późniéj rozprawiał.

W końcu znudziło mi się ostrzegać ją w jéj błędach, zostawiłem ją więc jéj wrodzonéj dzikości. Tymczasem, będziesz wierzył? ten umysł dziki, ta dumna kobiéta, od dwóch miesięcy zupełnie zmieniła humor. Grzeczna dla wszystkich, w obejściu nader miła i uprzejma. Jużto nie ta Mergelina, która opryskliwie odpowiadała mężczyznom na ich piękne słówka; stała się czułą na pochwały, lubi słuchać gdy jéj mówią że piękna, że wdziękami swojemi czaruje; miłe jéj są pochlebstwa, zgoła, jestto teraz wcale inna kobiéta. Ta zmiana jest prawie niepojęta, a co jeszcze bardziéj zadziwić cię powinno, to że ty jesteś sprawcą tego dziwu. Tak jest mój kochany Diego, tyś tak zmienił donę Mergelinę; tyś tę srogą tygrysicę przemienił w łagodną owieczkę; tyś zwrócił jéj uwagę na siebie. Już mnie to nieraz uderzyło, i albo wcale nie znam kobiét, albo zaręczam, że serce jéj gwałtowną miłością pała ku tobie. Otóżto mój synu, smutna wiadomość, którą ci miałem zwiastować, i przykre położenie, w jakiém się znajdujemy."

—Nie widzę, rzekłem na to staremu, aby to miał być przedmiot trwogi dla nas, ani téż, aby to miało być nieszczęściem dla mnie, że się piękna kobiéta we mnie zakochała.—Ach, Diego, mówisz jak każdy młody człowiek; patrzysz na samą ponętę, nie zwracając uwagi na wędkę; ty tylko rozkosz masz przed oczyma, a ja przewiduję nieprzyjemności, które za nią postępują. Wszystko z czasem na jaw wychodzi; jeżeli będziesz ciągle śpiéwał we drzwiach naszych, rozżarzysz jeszcze bardziéj namiętność Mergeliny, tak dalece, że niepowściągliwością swoją, może tę słabość objawi doktorowi Oloroso, swojemu mężowi; a ten mąż, który teraz pokazuje się tak powolnym, ponieważ nie sądzi, aby miał powód do zazdrości, wówczas gniewem zapalony, zemści się nad nią, a nam obudwom może się dobrze dać we znaki.—Panie Marcos, rzekłem, wchodzę w słuszność twoich powodów i słucham twojéj rady. Wskaż co mam czynić, aby się uchronić złéj przygody.—Wypada nam przedewszystkiém zaprzestać naszych koncertów, mówił pan marszałek, nie pokazuj się mojéj pani; skoro cię nie będzie widziała, odzyska zapewne dawną spokojność. Zostań u swojego pana, ja będę cię odwiedzał, i będziemy mogli grywać bez obawy.—Zgoda, rzekłem, przyrzekam ci, że noga moja w waszym domu nie postanie. W istocie, przedsięwziąłem nie rozwodzić już koncertów we drzwiach doktora, zamknąć się w mojéj golarni, ponieważ widok mojéj osoby tak zgubnym się okazał.

Tymczasem poczciwy marszałek Marcos, z całą swoją przezornością, wkrótce się przekonał, że wymyślony przez niego środek dla przytłumienia ognia dony Mergeliny, wcale przeciwny wydał skutek. Zaraz drugiego wieczoru, pani nie słysząc naszych śpiewów, zapytała się, dlaczegobyśmy przerwali nasze koncerta, co za przyczyna, że mnie nie widzi. Odpowiedział jéj, że tak jestem zatrudniony, iż chwili jednéj nie mam do zabawy. Zdała się poprzestawać na téj wymówce, i przez trzy dni następne, z niemałą stałością, znosiła moję nieobecność, lecz w końcu moja bogini straciła cierpliwość i rzekła marszałkowi:—Marcos, ty mnie zwodzisz; Diego nie bez przyczyny zaprzestał tu uczęszczać, musi być w tém coś tajemniczego, cobym chciała mieć objaśnione. Mów, rozkazuję ci; nie ukrywaj nic przedemną.—Pani, odpowiedział, występując na pole nowéj klęski; ponieważ chcesz wiedzieć koniecznie, więc powiem, że mu często zdarzało się, iż po naszych koncertach wracając do domu, zastawał stół sprzątnięty; nie chce więc narażać się na spoczynek bez wieczerzy.—Jakto, bez wieczerzy! zawołała smutnie; czemuż nie powiedziałeś mi tego wcześniéj? Iść spać bez wieczerzy! oh! biedny chłopiec! Idź do niego natychmiast, niech przyjdzie zaraz dziś wieczór, będzie zawsze dla niego gotowy półmisek.

—Co ja słyszę! ozwał się marszałek, udając podziwienie, co za zmiana, o Boże! I pani to do mnie w ten sposób przemawiasz? Odkądżeto stałaś się pani tak czułą i litościwą?—Odtąd, przerwała nagle, jak waćpan wszedłeś do tego domu, czyli raczéj jak potępiłeś moje postępowanie harde, a starałeś się złagodzić szorstkość moich obyczajów. Ale niestety! dodała z rozczuleniem, z jednéj ostateczności wpadłam w drugą: będąc dumną i niedostępną, stałam się nadto łagodną i czułą: kocham twojego młodego przyjaciela Diego i nie mogę téj miłości przytłumić w sobie, a nieobecność jego zamiast osłabić moje przywiązanie, nowych owszem sił mu dodaje. Czy podobna, ozwał się stary, aby młody człowiek ani piękny, ani przystojny, miał być przedmiotem tak gwałtownéj namiętności? Darowałbym pani jéj uczucia, gdyby je wzniecił jaki kawaler świetny rodem i zasługą.... „Ah, Marcos, przerwała Mergelina, a więc ja nie jestem podobną do innych osób mojéj płci, albo, mimo długoletnie doświadczenie, ty ich nie znasz wcale, jeżeli sądzisz, że ród lub zasługa wpływa na ich wybór. Przestań rozwodzić się, że Diego niegodzien mojéj czułości; dość na tém, że go kocham, a tém samém upatruję w nim tysiączne przymioty, które uchodzą przed waszym wzrokiem, a być może, iż ich wcale niéma. I cóż ztąd, że mi prawisz, iż ani jego rysy twarzy, ani kibić, niewarte spojrzenia, kiedy on mnie się wydaje zachwycającym, milszym jak światło dzienne. Nadto dźwięk głosu jego przenika do mojéj duszy, a na gitarze gra, jak mi się zdaje przecudnie.—Ależ, pani, wtrącił Marcos, zastanów się co jest Die-

go! nizkie jego urodzenie!... I moje nie wyższe, przerwała natychmiast, a gdybym nawet była znakomitą panią, nie zważałabym na to bynajmniéj.

W skutek takiéj rozmowy marszałek poznał, iż nic nie zyska na umyśle swojéj pani, przestał więc walczyć z jéj uporem; podobnie jak zręczny sternik, ulega burzy oddalającéj go od portu do którego zmierzał. Daléj jeszcze posunął się: żeby ucieszyć swoję panią przyszedł do mnie i wziąwszy mnie na stronę, opowiedział wszystko co między niemi zaszło i dodał wreszcie: „widzisz Diego, że musimy znowu wywodzić koncerta u drzwi Mergeliny. Pani ta koniecznie widzieć cię musi, inaczéj mogłaby popełnić jaką niedorzeczność, któraby jeszcze więcéj zaszkodziła jéj sławie. Nie chciałem udawać okrutnego, oświadczyłem marszałkowi, że pod wieczór przybędę z gitarą, że może tę przyjemną wiadomość zanieść swojéj pani. Nie zaniedbał tego, a ta namiętna kochanka z wielką radością dowiedziała się, że tego samego wieczora będzie miała przyjemność oglądania mnie i słyszenia.

Zdarzenie atoli dosyć nieprzyjemne omało nie zawiodło jéj oczekiwania. Nie mogłem wyjść z domu aż w nocy, która jakby za grzechy moje była nadzwyczaj ciemną. Szedłem więc po omacku ulicą, i już może z połowę drogi odbyłem, gdy z okna wylano mi na głowę coś takowego, co bardzo nieprzyjemnie na zmysł powonienia działało. I mogę powiedzieć, że ani kropla tego na stronę nie poszła, tak dokładnie zostałem przystrojony. W takim stanie nie wiedziałem co począć: wrócić do domu, co za rozkoszna scena dla moich spółtowarzyszów! byłoto wystawić się na tysiączne żarciki: udać się w takim stanie do Mergeliny, to było także nieznośne. Jednakże wybrałem to ostatnie i postanowiłem udać się do domu doktora. Zastałem przy drzwiach starego marszałka, który na mnie czekał i powiedział mi, że doktor Oloroso już poszedł spać i że możemy śmiało się zabawić. Odpowiedziałem mu, że piérwéj trzeba oczyścić moje suknie, a zarazem zawiadomiłem go o moim przypadku. Objawił mi swoje spółczucie i wprowadził do pokoju w którym była jego pani. Skoro tylko usłyszała moję przygodę i ujrzała mnie tak, jak wówczas byłem, zaczęła ubolewać nademną, jak gdyby mnie największe spotkało nieszczęście; potém zwracając mowę do osoby, która mnie tak dogodziła, tysiącem ją opsypała złorzeczeń.—Pani, rzekł Marcos, pohamuj się w swoich uniesieniach, zważ, że to jest skutek prostego trafu, nie godzi się tak bardzo na to gniewać. —A to czemu, zawołała z gniewem, czemu nie mam mocno czuć krzywdy wyrządzonéj temu barankowi, temu gołąbkowi bez żółci, który się nawet nie skarży na tę zniewagę? Ah, czemuż w téj chwili nie jestem mężczyzną, aby się pomścić!

Wiele jeszcze rozmaitych rzeczy nagadała, które objawiały gwałtowną jéj miłość, którą i w inny sposób okazywała; bo gdy Marcos obcierał mnie serwetą, ona pobiegła do swojego pokoju, przyniosła szkatułkę pełną rozmaitego rodzaju wonności. Zapaliła kadzidła i przejęła niemi moje suknie, poczém zlała je pachnidłami. Po skończoném nakadzaniu i balsamowaniu, litościwa ta kobieta poszła sama do kuchni, przyniosła chléb, wino i zraz skopowiny pieczonéj, co wszystko umyślnie dla mnie schowała. Zachęcała mnie do jedzenia, z wielką przyjemnością sama mi usługiwała, jużto krając mięso, już téż nalewając wino, choć oba usilnie wstrzymywaliśmy ją od tego. Skończywszy wieczerzę, zaczęliśmy stroić nasze głosy do gitary i rozpoczęliśmy koncert, nad którym się zachwycała Mergelina. Prawda, żeśmy się uwzięli nucić śpiewki, które schlebiały jéj miłości: dodać także należy, iż śpiewając spoglądałem na nią niekiedy zpod oka, a to w sposób jakbym rzucał iskrę na pakuły: bo ta gra zaczęła mnie bawić. Koncert choć już dość długo się ciągnął, nie nudził mnie bynajmniéj. Co się tyczy pani, dla któréj godziny wydawały się minutami, onaby całą noc była nas chętnie słuchała, gdyby stary marszałek, dla którego minuty były godzinami, nie przypomniał jéj, że już bardzo późno. Pozwoliła mu z dziesięć razy toż samo powtórzyć. Ale miała do czynienia z człowiekiem niezmordowanym w tym względzie: nie dał jéj pokoju, póki ja nie wyszedłem. Że był roztropnym i doświadczonym, lękał się, aby nam się coś przeciwnego nie wydarzyło. Obawa jego wnet się okazała usprawiedliwioną: lekarz, czy się domyślał jakiéj skrytéj intrygi, czy téż zły duch zazdrości, który go dotąd oszczędzał, chciał nim teraz wstrząsnąć, zaczął przyganiać naszym koncertom. Co gorsza, zakazał ich stanowczo: a nie wyłuszczając powodów swojego postępowania, oświadczył, iż nie chce dłużéj cierpieć, aby ktoś obcy do jego domu uczęszczał.

Marcos zawiadomił mnie o téj woli jego pana, która się do mnie w szczególności odnosiła, a co mnie bardzo zmartwiło. Powziąłem niejakie nadzieje i przykro mi było, żem je ujrzał zniweczone. Ale żeby rzecz wystawić w prawdziwém świetle, jak rzetelny dziejopis, wyznać muszę, iż nieszczęście moje przyjąłem cierpliwie. Nie tak się rzecz miała z Mergeliną; uczucia jéj tém silniejszym zawrzały ogniem.—Kochany Marcos, mówiła do swojego marszałka, ty jeden możesz mnie wesprzéć: staraj się, abym mogła potajemnie widzieć Diega. —Czego pani żądasz odemnie? rzekł stary z gniewem. Aż nadto byłem względny dla niéj. Zaspokajając jéj nierozsądną namiętność, nie chcę się przyczyniać do zhańbienia mojego pana, splamienia sławy pani; sam zaś nie chcę się okrywać wstydem, zachowawszy dotąd wziętość służącego bez skazy. Wolę opuścić ten dom, aniżeli służyć w nim w sposób tak bezecny. —Ah, Marcos, przerwała Mergelina, przerażona ostatniém marszałka oświadczeniem, rozdzierasz mi serce wspominając o twojém oddaleniu. Okrutny, chcesz mnie opuścić, przywiódłszy mnie do stanu, w jakim się teraz znajduję? Zwróć mi piérwéj moję dumę i ten umysł dziki, który mi odebrałeś. Czemuż nie mam jeszcze tych wad tak błogich! byłabym dziś spokojna; gdy tymczasem twoje nierozważne przedstawienia wydarły mi tę miłą swobodę, któréj używałam. Skaziłeś moje obyczaje, mniemając, że je łagodzisz. Ależ co mówię, nieszczęśliwa, dodała płacząc; na cóż ci niesłuszne mam robić wyrzuty? Nie, mój ojcze, nie ty jesteś sprawcą mojéj niedoli: to fatalny los mój tyle trosk mi zgotował. Zaklinam cię, nie zważaj na nieroztropne wyrazy, które mi się z ust wyślizgnęły. Niestety! namiętność miesza mój umysł: miéj litość nad moją słabością; ty jesteś całą moją pociechą; a jeżeli życie moje jest ci miłe, nie odmawiaj mi swojéj pomocy.



Don Pompejo.

Rzewniejszy płacz i łkanie nie pozwoliły jéj daléj mówić. Zasłoniwszy oczy chustką padła na krzesło, jak osoba przyciśniona brzemieniem udręczenia. Stary Marcos, który może był najlepszym z marszałków, jacy kiedykolwiek byli, nie oparł się tak tkliwemu widokowi. Przejęty nim do żywego, zmieszał łzy swoje z płaczem pani i rzekł jéj głosem rozczulonym:—Ah, pani, jakże jesteś czarującą! Boleść twoja nie pozwala mi dotrzymać placu, zwyciężyłaś moję cnotę. Przyrzekam ci moję pomoc. Nie dziwię się bynajmniéj, że miłość ma tyle siły, że potrafi wygluzować z myśli pamięć obowiązku, kiedy samo politowanie

zdolne jest zbić mnie z toru prawego. Tak więc marszałek mimo nieskażone dotąd sprawowanie się, poświecił się na usługi Mergeliny. Pewnego poranku przybył do mnie z wiadomością o wszystkiém co zaszło i żegnając się ze mną powiedział, że układa plan, aby mi ułatwić potajemne widzenie się z jego panią. Przez to obudził moje nadzieje; ale we dwie godziny późniéj usłyszałem bardzo złą nowinę. Aptekarczyk z tego samego cyrkułu, jeden z naszych zwolenników przyszedł się golić. Kiedym się do tego gotował, rzekł mi:—Panie Diego, jak ty kierujesz starym marszałkiem Marcos de Obregon, twoim przyjacielem? Wiészże, iż ma opuścić dom lekarza Oloroso? Odpowiedziałem, że nie wiem.—To rzecz niewątpliwa, dodał, dziś mają mu dać odprawę. Jego pan w obecności mojéj rozmawiał o tém z moim panem i oto cała treść ich rozprawy. —Panie Apuntador, mówił doktor, mam prośbę do ciebie. Nie jestem kontent ze starego marszałka, który jest w moim domu, chciałbym żonę moję oddać pod dozór wiernej matrony, surowéj i czujnéj.—Rozumiem cię, przerwał mój pan: Chciałbyś zapewne pani Melancyi, która była ochmistrzynią mojéj żony, i od sześciu tygodni, jak zostałem wdowcem, bawi w moim domu. Choć mi bardzo dogodna w mojém gospodarstwie, ustępuję ci jéj, a to, by ci okazać, jak dalece obchodzi mnie twój honor. Możesz zupełnie spuścić się na nią i być spokojnym o swoje czoło! jestto perła ochmistrzyń, istny smok do straży wstydliwości kobiecéj. Przez całe lat dwanaście, przez które była przy mojéj żonie, która jak wiész była młoda i piękna, nie dostrzegłem cienia nawet zalotnika w moim domu. Oh, dalibóg nie było z nią żartów. Muszę ci nawet napomknąć, że nieboszczka w początku miała wiele skłonności do zalotów; ale pani Melancya wnet ją ostudziła i wpoiła zamiłowanie cnoty; koniec końców jestto skarb nieoceniony ta ochmistrzyni, i nieraz mi podziękujesz za ten dar.—Na to doktor wynurzył swoję radość i ułożyli się oba, że wzmiankowana matrona zaraz dziś zajmie miejsce starego marszałka.

Ta nowina, którą uważałem za prawdziwą i która była nią w istocie, rozwiała wszystkie moje marzenia rozkoszy, któremi na nowo zacząłem się karmić; a po południu Marcos dokonał reszty, potwierdzając doniesienie aptekarczyka.—Mój kochany Diego, mówił mi poczciwy marszałek, cieszę się mocno, że doktor Oloroso wypędził mnie ze swojego domu; oszczędził mi przez to niemało przykrości. Bo prócz tego, że mimowolnie przyjąłem podły obowiązek, jeszcze trzeba było łamać głowę na wynalezienie rozmaitych wykrętów, aby ci ułatwić tajemną rozmowę z Mergeliną. Co za kłopot! Dzięki Bogu, wolny jestem od téj przykréj troski i niebezpieczeństwa jéj towarzyszącego. Co do ciebie, mój synu, nie żałuj utraty kilku chwil przyjemnych, po którychbyś może tysiącznych doświadczył zgryzot. Podobały mi się morały Marcosa; ponieważ nie miałem już o czém marzyć, opuściłem więc grę. Wyznać muszę, że nie byłem z liczby tych zalotników, dla których zawady większym stają się bodźcem; ale choćbym też i był tak śmiały, pani Melancya byłaby mnie spłoszyła. Charakter jaki nadawano téj matronie, zdawał się być zdolnym przywieźć do rozpaczy najzapaleńszego gacha. Ale choć nie szczędzono barw czarnych w portrecie ochmistrzyni, przecież we dwa, czy trzy dni późniéj dowiedziałem się, że małżonka doktora potrafiła uśpić tego argusa, czy też przekupić jego wierność. Gdym raz szedł golić jednego z naszych sąsiadów, zacna jakaś staruszka zatrzymała mnie na ulicy, pytając się, czybym nie był Diego de la Fuente. — Takjest, odpowiedziałem.—Kiedy tak, więc ja z panem mam coś pomówić. Bądź téj nocy przy drzwiach dony Mergeliny, a za danym przez ciebie znakiem wprowadzę cię do domu. —Bardzo dobrze, rzekłem, ależ trzeba się umówić o znak jaki mam dać: umiem doskonale naśladować kota, zamiauczę więc kilka razy.—To dosyć, odpowiedziała posłanka zalotów: zawiadomię o twojéj odpowiedzi. Sługa najniższa panie Diego! niech cię Bóg zachowuje! Ah! jakżeś pan miły! Święta Agnieszko! jakżebym była szczęśliwa, gdybym nie miała więcéj nad piętnaście lat, nie szukałabym cię dla innéj!" to rzekłszy usłużna staruszka oddaliła się odemnie.

Łatwo pojmiesz, że ta posłanka szalenie wstrząsnęła mną: poszły z wiatrem morały Marcosa! Wyglądałem nocy z niecierpliwością; a miarkując, że doktor Oloroso już zasypia, udałem się do jego drzwi. Tam zacząłem miauczenia, które zapewne daleko słyszano, a które bez wątpienia zaszczyt czyniły mistrzowi, który mnie nauczył tak pięknéj sztuki. Po chwili Mergelina sama przyszła otwierać drzwi cichuteńko i zamknęła je skoro próg przeszedłem. Weszliśmy do sali, w któréj był nasz koncert ostatni i którą mała lampa ustawiona w kominku słabo oświecała. Siedliśmy obok siebie, oboje bardzo wzruszeni, z tą różnicą, że nią radość miotała, ja zaś obok tego czułem nieco trwogi. Bogini moja naprożno siliła się przekonać mnie, że nie mamy się czego obawiać ze strony jéj męża, mimo to, czułem dreszcz jakiś, który psuł moję rozkosz.—Pani, rzekłem jéj, jakim sposobem potrafiłaś uśpić czujność swojéj ochmistrzyni? Wnosząc z tego, co mi powiadano o pani Melancyi, nie przypuszczałem wcale, abyś mogła znaléźć sposób dać mi znać o sobie, a tém mniéj widzieć mnie potajemnie. Dona Mergelina uśmiechnęła się na to, i odpowiedziała.—Przestaniesz się dziwić teraźniejszemu skrytemu spotkaniu się naszemu, skoro ci opowiem, co zaszło między mną i moją matroną. Kiedy weszła do naszego domu, mój mąż tysiącznemi obsypał ją grzecznościami, do mnie zaś odezwał się: Mergelino, poruczam cię przewodnictwu téj rozważnéj pani, która jest treścią wszystkich cnót: jestto zwierciadło, które ustawnie mieć będziesz przed oczyma, abyś się utwierdziła w kolei rozsądnego życia. Ta zdumiewająca osoba kierowała przez lat dwanaście żonę aptekarza, mojego przyjaciela; ale kierowała... jak nigdy nie kierują: zrobiła z niéj świętą.

Pochwała takowa, którą surowe wejrzenie pani Melancyi stwierdzało, wycisnęła mi niemało łez i prawie do rozpaczy przywiodła. Wyobrażałam sobie nauki, jakich mi przyjdzie słuchać codzień od rana do wieczora, przestrogi na jakie się wystawię co moment. W tak dręczącém oczekiwaniu nie oszczędzając niczego, skorom się ujrzała sam na sam z ochmistrzynią, rzekłam jéj tonem dosyć cierpkim.—Waćpani gotujesz się zapewne dokuczać mi; lecz ostrzegam ją, że nie jestem bardzo cierpliwa. Z mojéj strony nastręczać jéj będę tysiączne przykrości. Oświadczam wręcz Waćpani, że w sercu mojém tkwi namiętność, któréj przedstawienia żadne wygluzować nie zdołają. Możesz w tym względzie przedsiębrać środki: podwój baczną swoję troskliwość, a ja wyznaję ci, że niczego nie zaniedbam by cię oszukać." Na te słowa ochmistrzyni zachmurzona (mniemałam, że rozpocznie perorę na piérwszą próbę), wypogodziła swoje czoło i uśmiechając się uprzejmie odezwała się do mnie:—Jesteś pani zachwycającego humoru, otwartość twoja pobudza mnie do podobnéjże: widzę żeśmy stworzone jedna dla drugiéj. Ah, nadobna Mergelino! jakże mnie źle znasz, skoro sądzisz o mnie z tego, co na moję pochwałę wyrzekł doktor, lub z mojego odstraszającego wejrzenia! Nie jestem ja bynajmniéj nieprzyjaciołką rozkoszy; jeżeli zostaję służebnicą zazdrosnych mężów, to dlatego, żeby się przysługiwać pięknym kobietom. Oddawna już posiadam wielką sztukę maskowania się i mogę śmiało rzec, że jestem podwójnie szczęśliwą, ponieważ zarazem używam korzyści występku i wziętości, jaką nadaje cnota. Chciéj więc pani łaskawszém patrzéć na mnie okiem i bądź przekonaną, że jakikolwiek mógł mieć talent stary marszałek, który tu służył, nic przecież nie stracisz na téj zmianie: może nawet będę nadeń użyteczniejszą.

— Nietrudno ci domyślić się, Diego, jak wdzięczną byłam mojéj ochmistrzyni, że mi się tak szczerze ze wszystkiém otworzyła; ja mniemałam, że to sama najsurowsza cnota. Jak to źle sądzą o kobietach! Pozyskała przychylność moję odrazu przez tę otwartość; w uniesieniu radości uściskałam ją, dając jéj poznać, jak dalece miło mi było mieć ją za ochmistrzynię. Następnie zwierzyłam się moich uczuć, prosząc, aby się postarała jak najprędzéj o tajemną rozmowę z tobą. Nie zaniedbała ani chwili, dziś zrana wysłała tę starą kobiétę, która z tobą mówiła; téjto przebiegłéj intrygantki używała ona często dla żony aptekarza. Lecz co najrozkoszniejszego jest w całéj téj

historyi, dodała śmiejąc się, że Melancya dowiedziawszy się odemnie, że mąż mój zwykł jak najspokojniéj spać całą noc, na tę chwilę, zajęła moje miejsce, i położyła się obok niego.— Tém gorzéj, rzekłem na to Mergelinie, nie podobał mi się wcale wynalazek. Mąż pani może się przebudzić, i spostrzeże podstęp.—Nie spostrzeże, przerwała szybko; bądź spokojny w tym względzie, niech czcza obawa nie truje rozkoszy, jakiéj używać winieneś z młodą kobiétą, która ci dobrze życzy."

Żona starego doktora widząc, że ta mowa nie odejmowała mi trwogi, nie pominęła niczego, co się jéj zdawało zdolném do uspokojenia mnie; tak się skrzętnie wzięła do tego, że wreszcie dopięła zamiaru. Już tylko myśliłem jedynie korzystać ze sposobności; lecz w tym momencie, gdy Kupido, otoczony śmieszkami i zabawką, już tylko co miał dopełnić mojego szczęścia, usłyszeliśmy silne stukanie we drzwi, od strony ulicy. Natychmiast bożek miłości z całym swoim orszakiem uleciał, jak stado bojaźliwych ptasząt, wielkim łoskotem spłoszonych; Mergelina skryła mnie pod stół w sali stojący, zadmuchnęła lampę, i według umowy z ochmistrzynią na takowy przypadek, pobiegła do drzwi pokoju, w którym spał jéj mąż. Tymczasem, nie przestawano kołatać do drzwi, tak, że się po całym domu rozlegało. Lekarz zerwał się nagle i zaczął wołać Melancyi. Ochmistrzyni wyskoczyła z łóżka, choć doktor krzyczał aby się nie podnosiła wcale, poczytując ją za swoję żonę, zbliżyła się do swojéj pani, która pomiarkowawszy, że ją ma przy swoim boku, zaczęła także wołać: Melancya! i kazała jéj zobaczyć kto puka do drzwi.—Pani, odezwała się ochmistrzyni, ja tu jestem, racz się pani położyć napowrót, ja pójdę zobaczę, co to jest. Przez ten czas, Mergelina rozebrała się i położyła się obok doktora, który najmniejszego nie miał podejrzenia, że go oszukiwano. Prawda, że cała ta scena odbyła się w ciemności, odegrana przez dwie aktorki, z których jedna niezrównanéj była doskonałości, a druga miała usposobienie do jéj zrównania.

Ochmistrzyni w sukni wieczornéj wróciła, trzymając świécę w ręku.—Panie doktorze, odezwała się do swojego pana, chciéj wstać, księgarz Fernandez de Buendia, nasz sąsiad, został rażony apoplexyą; wzywają pana, spiesz na ratunek. Lekarz ubrał się jak mógł najprędzéj i wyszedł. Żona jego w sukni wieczornéj, i ochmistrzyni, przyszły do sali, i wyciągnęły mnie zpod stołu napół nieżywego. — Niemasz się czego lękać Diego, mówiła mi Mergelina, bądź spokojny; i zarazem w kilku wyrazach powiedziała mi, jak się to wszystko stało. Chciała na nowo zawiązać ze mną przerwaną gawędkę, lecz ochmistrzyni przerwała: — Pani, rzekła jéj, może mąż zastanie już księgarza bez duszy, i w też tropy wróci. A prócz tego, cóż zrobisz z tym biednym chłopcem? On nie jest w stanie utrzymać rozmowy. Lepiéj go puścić, i odłożyć zabawę do jutra. Dona Mergelina przystała na to, ale nie bez żalu, tak dalece przekładała teraźniejszość, i zdaje mi się, że ją to bardzo dręczyło, iż mężowi swojemu nie włożyła na głowę nowego doktorskiego biretu, który dlań gotowała.

Co do mnie, nietyle zmartwiony utratą najdroższych względów miłości, ile uradowany, żem uniknął niebezpieczeństwa, wróciłem do mojego pana, i resztę nocy przepędziłem na rozmyślaniu nad moją przygodą. Przez niejaki czas, wahałem się, czy mam się udać następnéj nocy na umówioną schadzkę. Nie lepszą miałem otuchę o drugiéj wyprawie, jak była piérwsza, ale szatan, który nas kusi, czyli raczéj od którego bywamy opętani w podobnych razach, przedstawiał mi, że byłbym głupcem, zatrzymując się w połowie tak pięknéj drogi. Wystawił mi Mergelinę nowemi zdobną wdziękami, a tém samém podniósł wartość rozkoszy, która mnie czekała. Postanowiłem przeto dotrzymać placu, a sam sobie tusząc większą odwagę, udałem się nazajutrz w tak pięknem usposobieniu, do drzwi doktora, przed samą północą. Niebo było bardzo ciemne, ani jednéj nie widziałem gwiazdki. Zamiauczałem dwa lub trzy razy, dając znać, że jestem na ulicy: a że nikt nie otwierał, nie poprzestałem na samém miauczeniu, ale począłem naśladować wszystkie głosy kotów, czego mnie nauczył pasterz w Olmedo; tak zaś się doskonale sprawiałem, że sąsiad wracający do domu, biorąc mnie za istotne zwierzę miaucząće, podniósł kamyk, który nogą potrącił, i z całéj siły rzucił ku mnie, wołając: przeklęte kocisko! Dostałem kamieniem w głowę, tak mocno, żem o włos nie padł jak długi na ziemię. Uczułem, żem był dobrze zraniony. Nietrzeba już było więcéj, aby mi obmierzić zaloty, a pozbywszy się miłości, wraz z krwią z rany ciekącą, wróciłem do domu i pobudziłem wszystkich. Mój pan obejrzał i opatrzył ranę, którą uznał za niebezpieczną. Ale przecie nie sprowadziła złych skutków, i we trzy tygodnie późniéj, ani śladu jéj nie było. Przez cały ten czas, nie słyszałem nic o Mergelinie. Możnaby przypuścić, że pani Melancya dla oderwania jéj odemnie, postarała się o jaką lepszą znajomość. Ale o to się wcale nie troszczyłem, bo skorom się tylko wyleczył, opuściłem zaraz Madryt, udając się w dalszą wędrówkę po Hiszpanii.

Rozdział VIII.

Jak Gil Blas i jego towarzysz spotkali człowieka, który skórkę chleba maczał w zdroju, i o czém z nim rozmawiali.

Pan Diego de la Fuente opowiadał mi i inne jeszcze przygody, które go późniéj spotkały; ale nie zdają mi się godne powtarzania, i dlatego je pomijam. Ja przecież musiałem ich słuchać, chociaż były bardzo rozwlekłe, bo mu wystarczyły aż do Ponte de Duero. Zatrzymaliśmy się na noc w tém miasteczku. Kazaliśmy sobie na wieczerzę sporządzić zupę z kapustą, i wsadzić zająca na rożen, którego ród, z wielką bacznością sprawdziliśmy. Nazajutrz równo ze świtem, puściliśmy w dalszą drogę, napełniwszy nasz pęcherz dość dobrém winem, i zabrawszy w tłomoczek kilka kawałków chleba, i połowę zająca pozostałą z wczorajszéj wieczerzy.

Uszedłszy dobrą milę drogi, poczuliśmy głód, a żeśmy spostrzegli o parę set kroków od drogi kilka drzew rozłożystych, które tworzyły cień przyjemny, udaliśmy się więc tam, dla odpoczynku. Zastaliśmy tam młodego człowieka, około dwudziestu ośmiu lat mieć mogącego, który suche skórki chleba maczał w zdroju. Obok niego leżał na trawie długi rapir i sakwy, które zdjął z ramienia. Zdał się nam biednie ubrany, ale przystojny, i gęstéj miny. Zbliżyliśmy się do niego grzecznie, on się także z uprzejmością odkłonił. Poczém podając nam swoje kromki chleba, z uśmiechem zapraszał do swojéj uczty. Przyjęliśmy zaprosiny z warunkiem, że nam wolno będzie przyłączyć także i nasze śniadanie, aby je tém sutszém zrobić. Chętnie na to przystał, a my zaraz rozłożyliśmy nasze zapasy, co go bynajmniéj nie obraziło, owszem, z uniesieniem radości zawołał:—Cóżto! panowie, takie zapasy! jak widzę jesteście bardzo przezorni. Ja nie wędruję z taką ostrożnością; spuszczam się więcéj na ślepy traf. Trzeba wam wszakże wiedzieć, że mimo stan w jakim mnie widzicie, mogę rzec bez chluby, że często mam postawę dosyć świetną. Powiadam wam, że mnie pospolicie szanują jak księcia, i mam gwardyą przy boku!—Rozumiem, rzekł Diego, chcesz nam przez to dać poznać, że jesteś aktorem.— Przedziwnie, zgadłeś, odpowiedział, już najmniéj od piętnastu lat występuję na scenie. Dzieckiem jeszcze byłem, a już grywałem małe role.—Cyrulik, kiwając głową, rzekł bez ogródki:—Nie chce mi się temu wierzyć. Ja znam aktorów; ci panowie nie odbywają wędrówek piechotą, jak ty, ani poprzestają na uczcie św. Antoniego, wątpię nawet, czyby cię używano do objaśnienia świéc. — Możesz sądzić o mnie jak ci się podoba, odpowiedział szermierz, to bynajmniéj nie przeszkadza, abym nie miał grać piérwszych ról; przedstawiam pospolicie role kochanków. — Jeżeli tak jest, mówił mój towarzysz, szczęśliwy jestem, że pan Gil Blas i ja, mamy zaszczyt jeść śniadanie z tak znakomitą osobą.

Wzięliśmy się potém do naszych kromek chleba, i poczęliśmy ogryzać szacowne resztki zająca, pęcherz zaś, częstą odbywając koléj, wnet był próżniuteńki. Wszyscy trzej tak zajęliśmy się naszą czynnością, żeśmy ani słowa nie rzekli, ale najadłszy się, wróciliśmy do naszéj rozmowy.—Dziwi mię, rzekł

cyrulik do aktora, że interesa twoje zdają się w nienajlepszym stanie. Jak na bohatera teatralnego, bardzo ubogo wyglądasz. Przepraszam za zbytnią może otwartość.—Tak, otwartość! zawołał aktor, ah, zaiste nie znasz wcale Melchiora Zapala. Dzięki Bogu, nie jestem opryskliwego umysłu. Miło mi jest, że z taką szczerością ze mną się obchodzisz, boć i ja lubię wszystko prawić, co mam na sercu. Wyznaję śmiało że nie jestem bogaty. Patrzcie, mówił daléj, pokazując nam swój kaftan podszyty afiszami, oto jest zwyczajna materya, która mi służy za podszewkę; a jeżeli chcecie widzieć moję garderobę, w téj chwili zaspokoję waszę ciekawość. Zaraz wydobył ze sakwy suknię starą z szamerowaniem szychowém, stare kapelusisko z kilką piórami, podziurawione pończochy jedwabne, i z czerwonego safianu trzewiki, bardzo zużyte. Widzicie panowie, że dosyć zakrawam na żebraka.—To mnie dziwi, ozwał się Diego, musisz więc nie mieć ani żony, ani córki!—Owszem, odpowiedział Zapala, mam żonę piękną i młodą, i nie mam nic z tego. Otóż to właśnie, podziwiajcie moję nieszczęsną gwiazdę! Zaślubiam miłą aktorkę, w nadziei, że mi przecież nie pozwoli umierać z głodu, a na moje nieszczęście jestto kobiéta cnoty niezłomnéj. Któż u djabła nie zawiódłby się tak jak ja? Trzeba było koniecznie, aby między aktorkami prowincyonalnemi, znalazła się jedna cnotliwa, i żeby ta właśnie, wpadła mi w ręce.—W istocie, rzekł cyrulik, toż już trzeba nieszczęścia w grze. Ale dlaczegoż nie pojąłeś aktorki z wielkiéj trupy madryckiéj? byłbyś grał na pewniaka.—Prawda, odpowiedział szarlatan; ale niech djabli wezmą, alboż to małemu aktorkowi prowincyonalnemu, wolno pomyśléć o tych sławnych bohaterkach? Na to, ledwie mógłby się odważyć aktor z trupy teatru książęcego, a i z tych, niejeden musi sobie szukać żony w mieście. Szczęściem dla nich, miasto jest przedziwne, nietrudno w niém o panny, które tyleż warte, co księżniczki zakulisowe."

—Proszęż cię, mówił mu mój towarzysz, nie starałżeś się dostać do ich trupy? Czyż to potrzeba tak wielkiéj zasługi, aby wejść między nich?—Wybornie, odpowiedział Melchior, czy żartujesz z téj wielkiéj zasługi? — Jest tam dwudziestu aktorów. Spytaj się o nich prześwietną publiczność, usłyszysz śliczne o nich wyrażenia. Więcéj jak połowa ich, powinnaby nosić torbę. Mimo to, nie tak to łatwo dostać się między nich. Trzeba albo dublonów, albo potężnéj protekcyi, aby nadstawić mierność talentu. Ja to przecie muszę wiedzieć, bom występował na próbę w Madrycie, gdzie mnie djabelnie wygwizdano, wyszydzono, chociaż powinni byli obsypać oklaskami, bom wrzeszczał, robiłem miny szalone, sto razy przewyższyłem naturę; nadto, deklamując, przykładałem pięści pod brodę mojéj bohaterki; słowem, grałem w guście największych aktorów stolicy; a jednak, publiczność, która w nich podziwia tę samą grę, nie mogła jéj ścierpiéć we mnie. Otóż to, co może uprzedzenie! Tak więc, nie mogąc się przypodobać przez moję grę, a niemając tego, za co mógłbym być przyjęty, na przekorę tym, co mnie wygwizdali, wracam do Zamory. Tam połączę się z moją żoną i spółtowarzyszami, którym się tam nienajlepiéj powodzi. Bodajby tylko nie przyszło żebrać, abyśmy mieli o czém dostać się do innego miasta, bo to już nieraz nam się wydarzyło."

Po takiéj rozmowie, bohatér dramatyczny powstał, wziął swoję szpadę, zarzucił sakwy na plecy, i opuszczając nas, przemówił tonem poważnym:

.... „Żegnam was panowie,
Niech was błogosławieństwy obsypią Bogowie!"

—A pan, odpowiedział Diego tym samym tonem, abyś w Zamorze znalazł twoję żonę dobrze opatrzoną! Skoro pan Zapala odwrócił się od nas, zaczął gesta wyrabiać i deklamować idąc. My zaś zaczęliśmy gwizdać, aby mu przypomnieć piérwszy wstęp na scenę. Usłyszał nasze gwizdanie, i przypomniał mu się Madryt. Obejrzał się, a widząc nas bawiących się jego kosztem, zamiast obrażać się, przyjął mile ten żart, i puścił się w dalszą drogę, śmiejąc się z całego gardła. I my także naśmiawszy się dowoli, wróciliśmy na nasz gościniec.

Rozdział IX.

W jakim stanie Diego zastał swoję rodzinę. — Zabawy, po których rozłączył się z nim Gil Blas.

Tego dnia nocowaliśmy między Moyados i Valpuesta, w wiosce, któréj nazwiska nie pamiętam; a nazajutrz około jedenastéj godziny przed południem, stanęliśmy na polach Olmedo. —Panie Gil Blas, rzekł mi towarzysz podróży, oto jest miejsce mojego urodzenia; nie mogę patrzéć na nie bez wzruszenia, tak to jest wrodzone przywiązanie do miejsca rodzinnego. — Panie Diego, odpowiedziałem, człowiek, który tyle przywiązania do swojego gniazda wynurza, powinienby o niém mówić korzystniéj, niżeś to zrobił. Olmedo zdaje mi się być miastem, ty zaś powiadałeś, że to jest wieś; trzebaż je było uczcić przynajmniéj tytułem porządnego miasteczka.—Przywracam mu honor, mówił cyrulik, lecz muszę powiedzieć, że widząc Madryt, Toledo, Saragossę i wszystkie wielkie miasta, w których przebywałem obchodząc Hiszpanią, wszystkie miasteczka wydają mi się jak wsie. Postępując coraz daléj polem, zdawało nam się, że mnóstwo ludzi snuje się koło Olmedo, a kiedyśmy się zbliżyli bardziéj, ujrzeliśmy rzeczy godne wzrok nasz zastanowić.

Były tam trzy namioty rozbite, w pewnéj jeden od drugiego odległości; tuż przy nich wielu kucharzy i mnóstwo kuchcików, zajętych przyrządzaniem jakiegoś bankietu. Jedni nakrywali długie stoły ustawione pod namiotami, drudzy nalewali wino z dzbanów kamiennych, inni smażyli i gotowali w rądlach, inni nareszcie obracali rożny z rozmaitego rodzaju pieczeniami. Lecz nadewszystko, uwagę moję zwrócił teatr w bliskości wzniesiony. Jaśniał on dekoracyami z papiéru, w różne barwy malowanemi, upstrzony napisami w języku greckim i łacińskim. Cyrulik tylko co rzucił okiem na te napisy, rzekł natychmiast: — Wszystkie te greckie wyrazy dziwnie trącą stryjem moim Tomaszem, założyłbym się, że on tu dołożył swojéj ręki; bo między nami mówiąc, to jest bardzo zręczny człowiek. On umié mnóstwo szkolnych książek na pamięć. To mi się tylko nie podoba, iż w potocznéj rozmowie plącze łacińskie wyrażenia, na co się niejeden gniéwa. Prócz tego, stryj mój tłumaczył poetów łacińskich i autorów greckich. Zna wybornie starożytności, jak to wnosić można z pięknych przypisów które wydał. Gdyby nie on, nie wiedzielibyśmy, że w Atenach dzieci płakały, skoro je rózgą chłostano. To odkrycie, winniśmy jego głębokiéj erudycyi."

Gdyśmy się temu wszystkiemu należycie przypatrzyli, wzięła nas chęć dowiedzenia się, w jakim celu robiono te przygotowania. Właśnie zabieraliśmy się do szukania objaśnień, a wtém Diego, w człowieku, który się zdawał być mistrzem tego obrzędu, poznał pana Tomasza de la Fuente, do któregośmy natychmiast przystąpili. Zwierzchnik szkoły nie mógł sobie odrazu przypomnieć młodego cyrulika, tak go widział zmienionym od lat dziesięciu. Jednakże, nie mogąc się go zaprzeć, uściskał go serdecznie, i z uczuciem przywiązania odezwał się:— Ah, jak się masz Diego, mój kochany synowcze, toż przecie wracasz do miasta, w którém światło dzienne ujrzałeś? Przybywasz oglądać bogi domowe, i niebo cię zdrowym i czerstwym powraca twojéj rodzinie. O dniu! trzykroć, czterykroć szczęśliwy. *Albo dies notanda lapillo.* Wiele nowin usłyszysz mój przyjacielu! Twój stryj Pedro de la Fuente, ten piękny dowcip, padł ofiarą Plutona, temu już trzy miesiące jak umarł. Ten sknera przez całe życie drżał, aby mu nie zabrakło na istotne potrzeby: *Argenti pallebat amore.* Pomimo wielkie pensye, jakie mu dawali możni panowie, nie wydawał przez rok ani dziesięciu luidorów na swoje utrzymanie: lokaja nawet, który mu usługiwał, nie żywił. Ten głupiec, nierozsądniejszy jeszcze od greka Arystyppa, co na stepach Libii kazał służącym rzucić swoje skarby, ponieważ im uciążliwe były w drodze, zgarniał złoto i srébro, jak tylko mógł. A dla kogo? dla spadkobierców, na których nawet patrzéć nie chciał. Zostawił trzydzieści tysięcy dukatów, któreśmy podzielili między siebie; twój ojciec, twój stryj Bertrand i ja. Teraz możemy dobrze wyposażyć na-

sze dzieci. Brat mój Mikołaj, rozporządził już siostrą twoją Teressą, wydał ją za mąż, za syna jednego z naszych alkadów; *Connubio junxit stabili propriamque dicavit.* Właśnie te to gody pod najszczęśliwszą wróżbą zawiązane, obchodzimy z taką uroczystością już dwa dni! Kazaliśmy na téj tu równinie rozbić namioty. Każdy z trzech spadkobierców Piotra, ma swój namiot, i każdy z kolei ponosi wydatek jednego dnia. Szkoda żeś wcześniéj nie przybył, widziałbyś był początek naszéj zabawy. Onegdaj, w dniu ślubu, ojciec twój uraczał gości. Wyprawił pyszny bankiet, który się skończył ubieganiem się do pierścienia. Twój stryj, kramarz, wczoraj zastawił stoły i uraczył nas ucztą pasterską. Przebrał za pasterzy dziesięciu najdorodniejszych chłopców, i dziesięć najpiękniejszych dziewcząt; do ich stroju użył wszystkich wstążek i wszystkich świecideł jakie miał w swoim sklepiku. To świetne grono młodzieży, zwodziło rozmaite tany, śpiewało piosnki lekkie, wesołe i niewinne. Przecież choć nic nie mogło być wdzięczniejszego, nie zrobiło to wielkiego wrażenia; musi to być, że teraz nie lubią, tak jak niegdyś, pasterek.

—Na dziś, mówił daléj, wszystko idzie na mój rachunek, ja mam mieszkańcom Olmedo przedstawić widowisko mojego wynalazku: *Finis coronabit opus.* Kazałem wznieść teatr, na którym przy pomocy Bozkiéj, moi uczniowie przedstawią sztukę przezemnie napisaną, tytuł jéj: *Rozrywki Muley Bugentufa, króla Maroko.* Grać ją będą wybornie, bo mam uczniów, którzy deklamują jak aktorowie madryccy. Sąto dzieci rodzin z Peniafil i z Segowii, które są u mnie na pensyi. Przedziwni aktorowie. To prawda, żem ich dobrze wprawiał; deklamacya ich zdawać się będzie wyrobiona na kopyto mistrza, *ut ita dicam.* O sztuce nie będę ci nic mówił; chcę ci zostawić rozkosz niespodzianki. Powiem tylko po prostu, że musi zachwycić widzów. Jestto jeden z tych przedmiotów tragicznych, które wzruszają duszę obrazem śmierci, przedstawionéj umysłowi. Ja zgadzam się z Arystotelesem, trzeba obudzić trwogę. Ha, gdybym się był poświęcił teatrowi, byłbym wyprowadzał na scenę samych władców krwi chciwych, bohaterów morderców; kąpałbym się we krwi. W moich tragedyach, widzianoby ginące nietylko główne osoby, ale wszystkich, aż do straży nawet i sufiera; koniec końców, ja tylko lubię samą okropność, to jest mój gust. Dla tego też ten rodzaj poematów zwabia tłumy, podsyca zbytek aktorów, zapewnia miłą swobodę autorom.

Właśnie gdy kończył te wyrazy, ujrzeliśmy wychodzący z miasta tłum ludzi obojéj płci. Bylito nowożeńcy w towarzystwie krewnych i przyjaciół; poprzedzało ich dziesięciu lub dwunastu muzykantów, którzy razem na różnych instrumentach grając, niemało robili wrzawy. Udaliśmy się naprzeciw nich, i Diego dał się poznać. Okrzyk radości rozległ się natychmiast w całém zgromadzeniu, każdy się cisnął do niego. Niemało użył trudu, odbiérając tysiączne oświadczenia przyjaźni. Cała rodzina i wszyscy obecni obarczyli go swojemi uściskami; poczém ojciec, odezwał się do niego:— Cieszę się z twojego powrotu Diego, znajdujesz rodziców w lepszych piórach, mój przyjacielu, więcéj ci teraz nie powiem; późniéj ci to wyjaśnię ze wszystkiemi szczegółami. Orszak tymczasem posuwał się na równinę, udał się do namiotów i zajął miejsca przy stołach. Nie opuszczałem mojego towarzysza, razem jedliśmy obiad z nowożeńcami, którzy mi się zdali bardzo dobremi. Uczta długo trwała, bo zwierzchnikowi szkoły przywidziało się urządzić ją na trzy dania, aby przewyższyć braci, którzy nie wystąpili z takim przepychem.

Po obiedzie wszyscy godownicy niecierpliwie wyglądali jak najprędszego przedstawienia sztuki pana Tomasza, nie wątpiąc bynajmniéj, że utwór tak pięknego gieniuszu, jak mówiono, godzien będzie słuchania. Zbliżyliśmy się do teatru, przed którym grajkowie zajęli już miejsce, aby przygrywać między aktami. Gdy każdy w najgłębszém milczeniu oczekiwał zaczęcia, wystąpili aktorowie na scenę, autor zaś z poematem w ręku, zajął miejsce za kulisami na odległość sufiera. Bardzo słusznie nam powiedział, że sztuka była traiczną, bo w piérwszym akcie król marokański, zabił strzałami z łuku, stu niewolników murzynów; w drugim poucinał głowy trzydziestu oficerom portugalskim, których jeden z jego dowódzców, zabrał w niewolę wojenną; nareszcie w trzecim, ten pan sprzykrzywszy sobie swoje żony, własną ręką podpalił odosobniony pałac, w którym były zamknięte, i wraz z niemi zamienił go w popiół. Niewolnicy murzyńscy, podobnież i portugalscy oficerowie, wyrobieni byli z prętów wierzbowych z wielką sztuką, a pałac z tektury, stanął w płomieniach ogni sztucznych. Ten pożar, któremu towarzyszyło tysiące jęków żałosnych, jakby zpośród płomieni wydobywających się, stanowił rozwiązanie sztuki i zakończył widowisko w sposób bardzo rozkoszny. Cała równina, rozległa się hucznemi oklaskami, których nie szczędzono dla tak pięknéj tragedyi; to usprawiedliwiło dobry gust poety i pokazało, że umiał zrobić dobry wybór przedmiotu.

Rozumiałem, że już nie będzie nic do widzenia po *Muleyu Bugentuf*, alem się omylił. Trąby i kotły zapowiedziały nowe widowisko: byłoto rozdanie nagród; ponieważ Tomasz de la Fuente, dla tém świetniejszego obchodu rodzinnéj uroczystości, kazał pisać ćwiczenia wszystkim swoim uczniom tak dochodzącym, jak i pensyonarzom, i tym którzy je najlepiéj zrobili, miał w tym dniu rozdać w nagrodę książki, za własny grosz kupione w Segowii. Przyniesiono więc na teatr dwie długie ławki szkolne, i szafkę napełnioną szpargałami dość przyzwoicie oprawnemi. W téj chwili wszyscy aktorowie wrócili na scenę, i otoczyli pana Tomasza, który tak poważną nastroił minę, jak przystało na zwierzchnika miejskiéj szkoły. Trzymał w ręku arkusz papieru, na którym były wypisane imiona tych, co mieli otrzymać nagrodę. Podał ją królowi marokańskiemu, a ten zaczął czytać głośno. Każdy uczeń, którego wymieniono, szedł z uszanowaniem, i odbiérał książkę z rąk nauczyciela, poczém uwieńczony laurem, siadał na ławce, wystawiony na widok zgromadzenia. Chociaż zwierzchnik szkoły, tyle trudów łożył ku zadowoleniu swoich widzów, nie dopiął jednak zamierzonego celu, bo rozdawszy nagrody samym tylko pensyonarzom, jak to zwykle się dzieje, oburzył obecne matki kilku uczniów dochodzących, które go obwiniały o stronność; tak dalece, że uroczystość aż dotąd tak zaszczytna dla niego, omało nie skończyła się jak uczta Lapitów.

KSIĘGA TRZECIA.

Rozdział I.

Przybycie Gil Blasa do Madrytu i piérwsza jego służba.

Zabawiłem przez czas niejaki u cyrulika. Przyłączyłem się potém do kupca z Segowii przejeżdżającego przez Olmedo. Odstawiwszy towary do Walladolid, wracał on próżno z czterema mułami. Zaznajomiliśmy się w drodze i tyle powziął przywiązania ku mnie, iż przybywszy do Segowii musiałem przyjąć mieszkanie u niego. Zatrzymał mnie przez dwa dni w swoim domu i kiedym już był gotów do drogi z przewodnikiem mułów, dał mi list prosząc, abym go oddał do własnych rąk temu do kogo był adresowany, nie wspomniawszy mi, że to był list zalecający. Nie omieszkałem zanieść go do pana Matheo Melendez. Byłto kupiec hadlujący suknem, który mieszkał przy bramie słońca, na rogu ulicy Bahutier. Tylko co go przeczytał pan Melendez, odezwał się do mnie z wielką uprzejmością: „panie Gil Blas, korrespondent mój Pedro Palacio pisze mi względem pana w sposób tak nalegający, iż nie mogę przenieść na sobie, abym mu nie miał dać pomieszkania u siebie. Prócz tego prosi, abym się wystarał o dobre miejsce dla pana, jestto rzecz, któréj się chętnie podejmuję. Pewny jestem, iż mi nietrudno będzie umieścić go korzystnie."

Przyjąłem ofiarę pana Melendez z tém większą ochotą, ponieważ finanse moje widocznie zmniejszały się: niedługo mu wszakże naprzykrzałem się. W tydzień oświadczył mi, iż mnie zalecił znajomemu sobie kawalerowi, który potrzebuje pokojowca, i że według wszelkiego podobieństwa ta posada mnie nie minie. W istocie, wspomniony kawaler wkrótce przybył,

a pan Melendez odezwał się do niego: „Panie, oto masz przed sobą młodego człowieka, o którym ci wspominałem. Jest chłopiec pełen honoru i moralności; ręczę ci za nim, jak za sobą samym.” Kawaler spojrzał się ostro na mnie, oświadczył, iż mu się podoba moja fizyonomia, że mnie przyjmuje do służby. Niech idzie ze mną, rzekł, potém wskażę mu zaraz jego obowiązki. Po tych słowach pożegnał kupca i poprowadził mnie na wielką ulicę, wprost naprzeciw kościoła św. Filipa. Weszliśmy do domu dosyć pięknego, w którym całe skrzydło zajmował: wstąpiliśmy na schody o pięciu, czy sześciu stopniach, następnie wprowadził mnie do pokoju zamkniętego na dwoje mocnych drzwi, które sam otworzył, z których piérwsze miały okienko z mocną kratą. Z tego pokoju przeszliśmy do drugiego, w którym stało łóżko i inne sprzęty nie bogate, ale czyste.

Jeżeli mój nowy pan dobrze mi się przypatrywał u Melendeza, i ja teraz z kolei bacznie mu przyglądałem się. Było to mężczyzna pięćdziesiąt kilka lat mieć mogący, z wejrzenia zimny i poważny. Zdał mi się być charakteru łagodnego, i nie zawiodłem się w mojém zdaniu. Pytał się mnie o moję rodzinę, a zadowolony odpowiedzią, rzekł: „Gil Blas, uważam cię za chłopca bardzo rozsądnego, kontent jestem, żem cię przyjął do służby. I ty także będziesz zadowolony z twojego położenia. Dawać ci będę dziennie sześć realów, tak na żywność i utrzymanie jako też na mydło, bez względu na drobiazgowe korzyści, jakie będziesz mógł znaleźć u mnie. Prócz tego ja nie jestem bardzo wymagający w służbie; ja nie prowadzę gospodarstwa, jadam w mieście. Rano oczyścisz moje suknie, a zresztą wolnym będziesz przez cały dzień. Zalecam ci jedynie, abyś wcześnie wracał wieczór i czekał na mnie przy drzwiach moich; otóż masz wszystko czego żądam od ciebie. Przepisawszy w ten sposób moje obowiązki, wydobył z kieszeni sześć realów, dał mi je, jako zadatek umowy. Poczém wyszliśmy obadwa, on zamknął drzwi, a chowając klucze, mój przyjacielu, mówił, nie chodź za mną, ruszaj, dokąd ci się podoba, biegaj po całém mieście, ale skoro wrócę wieczór, żebym cię zastał na tych schodach. Skończywszy to, oddalił się, pozwalając mi rozrządzać sobą jak mi się będzie zdawało najlepiéj.

Jak mi Bóg miły, Gil Blasie, pomyśliłem sobie, niepodobna ci było lepszego szukać pana! tóżto masz człowieka, który za okurzenie sukien i oczyszczenie pokoju rano, daje ci sześć realów dziennie, z wolnością biegania i bawienia się, jak uczeń w czasie wakacyj! możesz być jaki stan szczęśliwszy? Teraz już nie dziwię się, że taką ochotę miałem dostać się do Madrytu, to było bez wątpienia przeczucie szczęścia, które mnie tu czekało. Przepędziłem cały dzień włócząc się po ulicach, bawiąc się oglądaniem rozmaitych rzeczy, które były dla mnie nowością, a to było dostateczne na ten raz zatrudnienie. Wieczór zjadłszy wieczerzę w sąsiedzkiéj garkuchni pospieszyłem na wskazane mi miejsce przez pana. We trzy kwadranse późniéj przybył i on, i zdał się być zadowolony z mojéj punktualności. „Wybornie, rzekł, to mi się podoba, lubię służących bacznych na swój obowiązek.” To mówiąc otworzył drzwi i skorośmy weszli, zamknął je znowu. Skrzesał ogień, zapalił świecę i zaczął się rozbiérać. Kiedy już był w łóżku, zapaliłem z jego rozkazu lampę, która stała na kominku, świécę wziąłem do przedpokoju, gdzie położyłem się w łóżko ale bez śniadek. Nazajutrz rano wstał między dziewiątą a dziesiątą godziną, ja już oczyściłem jego suknie. Wyliczył mi moje sześć realów i odesłał mnie aż do wieczora. I on także wyszedł, zamknąwszy troskliwie drzwi swojego pomieszkania, tak więc obadwa rozstaliśmy się znowu na cały dzień.

Taki ciągle był tryb życia naszego, który mi się bardzo podobał. W tém wszystkiém atoli była jedna rzecz zabawna, to jest, że nie wiedziałem nazwiska mojego pana. Melendez nie wiedział także, znał go tylko zwid, że kiedyniekiedy wstępował do jego sklepu i czasami kupował u niego sukno. Sąsiedzi nie mogli zaspokoić mojéj ciekawości; wszyscy mnie zapewniali, że wcale nie znają mojego pana, choć już dwa lata w tym cyrkule mieszka. Powiadali, że u żadnego z sąsiadów nie posłał; a niektórzy przywykli do wyprowadzania wniosków bez namysłu, mniemali, że to musi być pan, o którym nienajkorzystniéj sądzić należy. Późniéj, daléj jeszcze postąpiono: miano go w podejrzeniu jako szpiega króla portugalskiego, a przez życzliwość radzono mi, abym się miał na baczności w tym względzie. To ostrzeżenie zmieszało mnie niepomału: wystawiałem sobie, że skoroby to się sprawdziło, ja mogę się narazić na odwiedziny turmy madryckiéj, która mi się nie zdała przyjemniejszą od drugich. Niewinność moja nie mogła mnie uspokoić, dawniejsze przygody kazały mi się lękać sprawiedliwości. Po dwakroć doświadczyłem, że jeżeli nie umarza niewinnych, tedy przynajmniéj nie zachowuje względem nich praw gościnności, tak dalece, że smutną jest rzeczą dostać się w jéj ręce, choć na krótki czas.

Radziłem się Melendeza w sprawie tak drażliwéj; ale on sam żadnéj rady udzielić mi nie umiał. Jeżeli z jednéj strony nie mógł wierzyć, aby pan mój miał być szpiegiem; tedy z drugiéj strony nie miał zasady do stanowczego zaprzeczenia. Postanowiłem sam śledzić mojego pana i porzucić go, skorobym spostrzegł, że jest nieprzyjacielem kraju; ale zdało mi się, że jego roztropność i przyjemność mojego położenia wymagały silnego przekonania się o rzeczywistości podejrzeń. Zacząłem naprzód od baczenia na jego czynności; żeby go zaś cokolwiek wymacać, mówiłem mu raz wieczór przy rozbiéraniu: „Panie, ja już nie wiem jak żyć, żeby się ustrzedz złych języków. Świat jest bardzo złośliwy! Między innemi, pośród naszych są tacy sąsiedzi, którzy djabła warci. Przeklęte dusze! Anibyś pan się domyślił co o nas prawią.” „Dobrze, mój Gil Blas, odpowiedział, i cóżby też mogli mówić, mój przyjacielu? Ah, zaprawdę rzekłem, oszczerstwo znajdzie zawsze przedmiot: cnota nawet dostarczy mu pocisków. Nasi sąsiedzi mówią, że jesteśmy ludźmi niebezpiecznymi, że zasługujemy na baczną uwagę dworu, słowem pan uchodzisz u nich za szpiega króla portugalskiego. Wymawiając te wyrazy wpatrywałem się bystro w mojego pana, jak Aleksander przenikliwie badał twarz swojego doktora; użyłem całéj mojéj przenikliwości, aby dociec, jaki też na nim skutek wywrze mój raport. Zdało mi się, żem widział jakieś wzdrygnięcie się, które odpowiadało bardzo dobrze domysłom sąsiadów: ujrzałem go zamyślonego, com także niekorzystnie tłumaczył. Szybko jednak ochłonął, i rzekł mi z miną dosyć spokojną. „Gil Blas, pozwólmy rozprawiać naszym sąsiadom, a nie róbmy naszéj spokojności zawisłą od ich wniosków. Nie troszczmy się o sąd jaki o nas dają, kiedy nie dajemy powodu do złego wyroku.”

Po takowéj rozmowie położył się, ja toż samo uczyniłem, nie wiedząc czego się trzymać. Drugiego dnia, gdyśmy się zabiérali do wyjścia, usłyszeliśmy silne kołatanie do drzwi piérwszych od schodów. Pan mój otworzył drugie drzwi, i zajrzał przez okienko zakratowane. Ujrzał człowieka porządnie ubranego, który się doń odezwał:—panie, jestem algazilem, przychodzę aby pana zawiadomić, że pan Korregidor życzy sobie pomówić z panem.—Czegoż żąda odemnie? rzekł mój pan.—Tego ja nie wiém, panie, odpowiedział algazil; ale niech pan raczy widzieć się z nim, a pewnie dowiész się tego. — Sługa najniższy, ozwał się mój pan, nie mam z nim nic do czynienia. Poczém trzasnął drzwiami, przeszedł się kilka razy po pokoju, jak człowiek któremu wyrazy algazila klin w głowę wbiły; dał mi wreszcie moje sześć realów, i rzekł: Gil Blas, możesz teraz pójść, mój przyjacielu, i przepędzić dzień, jak ci się podoba; ja nie wyjdę tak prędko, ale ciebie nie potrzebuję wcale tego poranku. Dał mi przez to do zrozumienia, że się boi być uwięzionym, i dla tego nie chce opuszczać mieszkania. Zostawiłem go więc; żeby się zaś przekonać, czy się nie mylę w mojém podejrzeniu, skryłem się tak, żebym mógł widzieć, czy też wyjdzie z domu. Byłbym tam cierpliwie przeczekał całe dopołudnie, gdyby mi był nie oszczędził tych nudów. W godzinę późniéj, widziałem go wychodzącego na ulicę, z miną tak śmiałą, że zmieszał całą moję przenikliwość. Lecz nie ufając tym pozorom, nie dowierzałem mu, nie byłem bowiem życzliwym mu sędzią. Myślałem, że jego spokojność była wymuszona, wystawiałem sobie nawet, że dla tego jedynie zatrzymał się w pokoju, aby zabrać złoto i klejnoty, i że zapewne ucieczką oca-

lić się zechce. Nie miałem już nadziei oglądania go, i namyślałem się czy mam wieczór wracać i oczekiwać jego przybycia, tak dalece byłem przekonany, że umknie z miasta, aby ujść grożącego mu niebezpieczeństwa. Jednakże nie uchybiłem godziny, i zdziwiłem się niepomału, gdy mój pan powrócił o zwyczajnéj godzinie. Położył się nie objawiając najmniejszéj niespokojności, a nazajutrz wstał z tąż samą spokojnością.

Właśnie kończył ubieranie się, gdy nagle zakołatano mocno we drzwi. Pan mój spojrzał przez okienko zakratowane, a poznawszy wczorajszego algazila, zapytał się, czegoby żądał. „Otwieraj, ozwał się algazil, to sam pan korregidor.” Na to straszne imię, krew się ścięła we wszystkich moich żyłach. Djabelnie bałem się tych panów, odtąd, jak przechodziłem przez ich ręce, i w téj chwili radbym był o sto mil znajdować się od Madrytu. Co się tyczy mojego pana, on nie był tak strwożony jak ja, otworzył drzwi, i przyjął sędziego z uszanowaniem. —Widzisz pan, odezwał się Korregidor, że nie przychodzę tu z wielkim orszakiem; chcę rzecz załatwić bez wielkiego chałasu. Mimo złych wieści, jakie o panu krążą po mieście, zdaje mi się że pan zasługujesz na pewne względy. Naucz mnie pan, jak się nazywasz, i co robisz w Madrycie?—Panie, jestem z Nowéj Kastylii, nazywam się don Bernard de Castil Blazo. Co się tyczy mojego zatrudnienia, przechodzę się, bywam na widowiskach, i bawię się w gronie osób przyjemnych.—Masz zapewne, przerwał sędzia, wielkie dochody?—Nie, panie, odpowiedział mój pan, nie mam ani renty, ani włości, ani domów. —A z czegóż więc utrzymujesz się? podchwycił korregidor.—Z tego, co panu zaraz pokażę, odpowiedział. W tym samym czasie, uniósł dywanu, otworzył drzwi, których ja dotąd nie widziałem, następnie drugie, i wprowadził korregidora do gabinetu, gdzie stała potężna skrzynia pełna sztuk złota, które pokazał sędziemu.

—Panie, mówił potém, wiész że Hiszpanie nienawidzą pracy; lecz jakikolwiek mogą mieć wstręt do trudów, śmiało rzec mogę, iż w tym względzie przewyższam wszystkich; mam taki zapas próżniactwa, że się niezdolnym czuję do jakiegokolwiek urzędu. Gdybym wady moje chciał wznieść do stopnia zalet, moje próżniactwo nazwałbym ociężałością filozoficzną; rzekłbym że to umysł odczarowany ze wszystkiego, czego świat szuka z zapałem; ale ja wyznam otwarcie, że jestem próżniakiem z temperamentu, a to takim próżniakiem, że gdyby mi przyszło pracować na utrzymanie życia, umarłbym z głodu niezawodnie. A zatém, żeby wieść życie zgodne z moim humorem, żeby nie mieć trudu oszczędzania dóbr swoich, a jeszcze bardziéj, żeby się obejść bez rządcy dóbr, zamieniłem na gotówkę całą moję ojcowiznę, która się składała z kilku znakomitych włości. W téj skrzyni jest pięćdziesiąt tysięcy dukatów, tojest więcéj niż potrzeba na resztę dni moich, choćbym nawet miał żyć dłużéj, niż wiek cały, ponieważ nie wydaję z nich co rok więcéj nad tysiąc, a już minąłem piąty krzyżyk. Nie lękam się więc przyszłości, nie mam bowiem skłonności do żadnéj z trzech rzeczy, które pospolicie gubią ludzi. Niebardzo dbam o wykwintne jedzenie, gram czasem dla rozrywki, a kobiéty już mi wywietrzały z głowy. Nie lękam się, aby w podeszłym wieku miano mnie zaliczyć do tych siwoszów lubieżnych, którym zalotnice sprzedają swoje względy na wagę złota.”

—Jakżeś pan szczęśliwy! rzekł mu wtedy korregidor. Jak nietrafnie posądzają pana o szpiegostwo; powołanie to nie przystoi człowiekowi z takim charakterem. Don Bernard, żyj jak dotąd żyłeś. Zamiast niepokoić twoich dni spokojnych, oświadczam się ich obrońcą; proszę cię bądź moim przyjacielem, a ja w zamian, ofiaruję ci moję przyjaźń.—Ah! panie, zawołał mój pan, przenikniony tak obowiązującemi wyrazami, przyjmuję z radością i uszanowaniem drogą ofiarę, którą mi czynisz. Zapewniając mnie o swojéj przyjaźni, pomnażasz moje skarby i uzupełniasz szczęście. Po takiéj rozmowie, którąśmy z algazilem słyszeli we drzwiach gabinetu, korregidor pożegnał się z don Bernardem, który nie umiał mu dostatecznie objawić swojéj wdzięczności. Ja z mojéj strony, aby wesprzéć mojego pana w honorach wyprawienia ich z domu, tysiącznemi grzecznościami obarczyłem algazila, i złożyłem jemu tysiąc głębokich ukłonów.

Rozdział II.

Gil Blas z zadziwieniem spotyka kapitana Rolando, który mu ciekawe opowiada rzeczy.

Don Bernard de Castil Blazo, odprowadziwszy korregidora aż na ulicę, wrócił spiesznie zamknąć swoję skrzynię i wszystkie drzwi, które ją zabezpieczały; poczém wyszliśmy obadwa bardzo kontenci; on, że znalazł przyjaciela tak możnego, ja, żem był zabezpieczony co do moich sześciu realów. Chcąc opowiedzieć to zdarzenie Melendezowi, udałem się ku jego domowi; ale zbliżając się do niego spostrzegłem kapitana Rolanda. Zdumiałem się ujrzawszy go w tém miejscu i całym się zatrząsł ze strachu na jego widok. On także mnie poznał, przystąpił do mnie z powagą i zachowując jeszcze ton zwierzchnika, kazał mi iść za sobą. Słuchałem go drżąc i pomyśliłem sobie: Niestety! zapewne każe sobie zapłacić wszystko co mu winienem. Dokądże mnie zaprowadzi! może on tu w mieście ma gdzie jakie podziemia! Ba! żebym ja to wiedział z pewnością, pokazałbym mu, że nie mam pedogry w nogach. Szedłem więc za nim, uważając bacznie miejsce w któremby się zatrzymał, postanowiwszy uciekać z całych sił, skoroby mi się co zdało podejrzaném.

Rolando wnet uspokoił moję trwogę: wszedł do znanéj szynkowni, a ja za nim. Żądał najlepszego wina i kazał przyrządzić obiad. Przeszliśmy do osobnego pokoju, w którym kapitan ujrzawszy się sam na sam ze mną, tak mówić zaczął: —Musisz być niepomału zdziwiony, Gil Blasie, żeś tu zobaczył twojego dawnego dowódzcę, ale bardziéj jeszcze zdumiejesz się, skoro usłyszysz, co ci opowiem. W dniu, w którym cię zostawiłem w pieczarach, a sam ze wszystkimi towarzyszami udałem się do Mansilli dla sprzedania koni i mułów, dnia poprzedniego zdobytych, spotkaliśmy syna korregidora Leonu, któremu towarzyszyło czterech jeźdźców należycie uzbrojonych. Od piérwszego natarcia dwóch zaraz gryzło ziemię, dwaj drudzy pierzchnęli. Wtedy woźnica bojąc się o życie swojego pana, zawołał głosem żebrzącym: —Ah, drodzy panowie, zaklinam was na Boga, nie zabijajcie jedynego syna pana korregidora Leonu! Te słowa nie zmiękczyły moich towarzyszów, owszem przywiodły ich do wściekłości:—Panowie! odezwał się jeden z nich, nie puszczajmy z rąk syna największego wroga podobnych nam rycerzy. Iluż to ludzi naszego rzemiosła ojciec jego wysłał na tamten świat? Pomścijmy się za nich, poświęćmy tę ofiarę ich cieniom, które jéj zdają się od nas wymagać. Inni moi towarzysze pochwalili takowe uczucie, a mój porucznik już się zabierał do spełnienia obowiązku wielkiego kapłana przy téj ofierze, kiedym wstrzymał jego rękę.—Stój, zawołałem, poco bez potrzeby rozlewać krew? poprzestańmy na szkatułce tego młodzieńca. Ponieważ się nie broni, byłoby barbarzyństwem zabijać go. Prócz tego, nie odpowiada on wcale za czyny ojca, a ojciec spełnia tylko powinność, gdy nas na śmierć skazuje, tak jak my spełniamy naszę obdzierając podróżnych.

Wstawiłem się więc za synem korregidora, a wstawienie się moje nie było dlań bez korzyści. Zabraliśmy tylko pieniądze, które miał przy sobie, i uprowadziliśmy konie dwóch ludzi zabitych. Sprzedaliśmy je wraz z temi, któreśmy prowadzili do Mansilli. Wróciliśmy do naszéj pieczary, do któréj przybyliśmy nazajutrz przede dniem. Zdziwiliśmy się ujrzawszy zaporę podniesioną, a bardziéj jeszcze kiedyśmy zastali w kuchni Leonardę przywiązaną. Zawiadomiła nas o wszystkiém w kilku wyrazach. Przypomniawszy sobie twoje kolki, naśmieliśmy się niemało: dziwiliśmy się, jak mogłeś nas oszukać. Nie spodziewaliśmy się, abyś był zdolnym takiego figla nam wypłatać, ale przebaczaliśmy ci dla trafności wynalazku. Odwiązawszy kucharkę, kazałem jéj przygotować jedzenie: a my tymczasem poszliśmy do stajni opatrzyć konie, stary bowiem murzyn, który od dwudziestu czterech godzin żadnéj nie miał pomocy, już dogorywał. Radzibyśmy byli pomódz mu: ale już był bez przytomności, i tak już zdał się osłabiony, że mimo nasze dobre chęci,

zostawiliśmy tego biédaka pasującego się ze śmiercią. To przecież nie przeszkadzało nam bynajmniéj, zasiedliśmy do stołu, a zjadłszy sute śniadanie udaliśmy się do naszych izb, gdzieśmy przez cały dzień spoczywali. Skorośmy się przebudzili, Leonarda powiedziała nam, że Dominik już nie żyje. Zanieśliśmy go więc do tego lochu, w którym, jak pamiętasz zapewne, sypiałeś, tam pogrzebaliśmy go, tak, jakby był naszym towarzyszem.

W pięć czy w sześć dni późniéj zdarzyło się, że wybrawszy się na wyprawę, rano, przy wyjściu z lasu spotkaliśmy trzy oddziały towarzyszów świętego Hermandadu, jak się zdawało gotowe do uderzenia na nas. Zrazu jeden tylko widzieliśmy, a lekceważąc go, choć był liczniejszy od naszej bandy, śmiało nań natarliśmy: lecz w téj chwili dwa drugie oddziały, które były w ukryciu, wpadają na nas, a wtedy cała waleczność nasza na nic się nam nie przydała. Trzeba było uledz. Porucznik i dwóch z naszéj bandy padli na placu, ja z dwoma drugimi ściśnięty z blizka musiałem się poddać. Dwa oddziały odprowadziły nas do Leonu, trzeci w tym samym czasie udał się na zniszczenie



Pojedynek.

naszéj kryjówki, którą w ten sposób wykryto. Wieśniak z Luceny przechodząc przez las, spostrzegł przypadkiem zaporę, którejś ty nie spuścił, byłoto bowiem właśnie w tym samym dniu, w którym ty z ową kobiétą wyszedłeś z pieczary. Domyślił się, że to musi być nasze mieszkanie. Nie śmiał tam wejść; uważał tylko położenie miejsca, i żeby tém pewniéj trafić do niego, zeskrobał lekko korę z drzew w blizkości będących, toż samo robiąc i z innemi w pewnych oddziałach, póki się nie wydostał z lasu. Udał się następnie do Leonu, by zawiadomić korregidora o swojém odkryciu. Radość sędziego była tém większa, że niedawno syn jego obdarty został przez naszę bandę. Ten też sędzia zebrał trzy oddziały świętéj milicyi, aby nas pojmać, a wieśniak służył im za przewodnika.

Wjazd mój do Leonu był wielkiém dla miasta widowiskiem. Gdybym był generałem portugalskim wziętym do niewoli, lud bez wątpienia nie tłoczyłby się z taką ciekawością dla oglądania mnie. Oto jest, mówiono, oto jest ten sławny kapitan, postrach całéj okolicy! Godna zaiste rzecz, aby go cęgami szarpano i tych jego towarzyszów. Zaprowadzono nas do korregidora, który zaczął mnie łżyć. Otóż widzisz złoczyńco, niebo zmordowane zbrodniami twojego życia, oddało cię w ręce sprawiedliwości mojéj! „Panie, odezwałem się do niego, jeżeli wiele spełniłem zbrodni, przynajmniéj nie mam sobie do wyrzucenia śmierci jedynego syna twojego: oszczędziłem jego życie; za to należy mi się jakaś wdzięczność. Nędzniku! właśnie też z ludźmi takiego jak ty charakteru mówić o postępowaniu szlachetném! A gdybym nawet chciał cię ocalić, obowiązek mojego powołania nie pozwoliłby mi tego. Skończywszy taką przemowę, kazał nas zamknąć w turmie, w któréj towarzysze moi niedługo się nudzili; w trzy dni późniéj odegrali tragedyą na wielkim placu miasta. Ja przesiedziałem w więzieniu całe trzy tygodnie. Rozumiałem, że odwłóczono śmierć moję, dla tego, żeby ją tém okropniejszą zrobić; oczekiwałem więc jakiéjś zupełnie nowéj katuszy, kiedy wtém korregidor wezwawszy mnie do siebie, rzekł: „słuchaj teraz twojego wyroku. Jesteś wolny. Gdyby nie ty, syn mój jedyny byłby zamordowany na drodze. Jako ojciec pragnąłem zawdzięczyć tę przysługę, jako sędzia nie mogłem cię uwolnić; pisałem do króla za tobą, prosząc o łaskę i otrzymałem ją: idź więc teraz gdzie ci się podoba. Lecz, dodał przytém: wierz mi, korzystaj z tego szczęśliwego zdarzenia: wejdź sam w siebie i porzuć na zawsze łotrostwo."

Przenikniony temi wyrazami puściłem się do Madrytu z mocném postanowieniem raz zakończyć i żyć spokojnie w tém mieście. Rodzice moi już nie żyli, a pozostały po nich majątek był w ręku podeszłego krewnego, który mi z niego rzetelny złożył rachunek, jak wszyscy opiekunowie. Ledwiem wydobył od niego trzy tysiące dukatów, co nawet czwartéj części mojéj własności nie stanowiło. Ale cóż z tém robić? Przez prawo niebym nie zyskał. Żeby uniknąć próżnowania kupiłem posadę algazila i spełniam obowiązki tak, jak gdybym przez całe życie nic innego nie robił. Moi towarzysze byliby się sprzeciwili przyjęciu mnie, choćby też dla saméj przyzwoitości, gdyby byli znali historyą mojego życia. Szczęściem nie wiedzą o niczém albo przynajmniéj udają niewiadomość, co na jedno wyjdzie. Jednakże, mój przyjacielu, mówił daléj Rolando, chcę ci otworzyć moje serce. Przyjęte przezemnie powołanie nie jest w moim guście; wymaga postępowania i bardzo ostrożnego i bardzo skrytego; zaledwieby się w niém powiodły wyrafinowane przebiegi. Żal mi dawniejszego rzemiosła. Prawda, że w tém nowém więcéj bezpieczeństwa; ale w tamtém więcéj przyjemności, a ja lubię swobodę. Mam wielką ochotę złożyć mój urząd i którego pięknego poranku udać się w góry u źródeł Tagu. Wiém, że tam jest schronienie, które zajmuje banda liczna, po większéj części z Katalończyków złożona, a to już dostateczną jest jéj pochwałą. Jeżeli chcesz mi towarzyszyć, pójdziemy razem powiększyć orszak tych wielkich ludzi. Zostanę kapitanem drugim w ich kompanii; żeby cię zaś chętnie przyjęto, zapewnię, żem cię widział z dziesięć razy walczącego przy moim boku. Waleczność twoję wyniosę pod obłoki; więcéj powiém na twoję pochwałę, niż generał, który pragnie oficera na wyższy stopień posunąć. Zamilczę o twoim figlu, toby cię zrobiło podejrzanym. Jakże więc, chcesz że się udać ze mną? Czekam odpowiedzi."

—Każdy ma swoje upodobania, odpowiedziałem Rolandowi, ty jesteś zrodzony do przedsięwzięć śmiałych, ja do życia spokojnego.—Rozumiém cię, przerwał mi, ta pani z którą wydobyłeś się z naszéj pieczary, włada jeszcze twojém sercem, i z nią to zapewne wiedziesz w Madrycie to spokojne życie, które ci się tak podobało. Przyznaj się Gil Blas, że ona należy do twoich meblów, i że oboje pożywacie te luxdory, któreś nam zabrał z pieczary.—Oświadczyłem mu, że jest w błędzie, i żeby go objaśnić, opowiedziałem mu w czasie obiadu historyą téj kobiéty i wszystko co mi się wydarzyło od chwili opuszczenia bandy. W końcu obiadu, powrócił jeszcze raz do kompanii katalońskiéj; wyznał mi, że już stanowczo przedsięwziął połączyć się z nią, i na nowo usiłował zjednać mnie dla siebie. Ale ujrzawszy, że mnie przekonać nie może, stracił cierpliwość i nagle zmienił ton; spojrzał na mnie z dumą, i rzekł dość ostro: „ponieważ dość podłe serce masz, kiedy przenosisz niewolnicze służalca powołanie, nad zaszczyt należenia do towarzystwa ludzi walecznych, zostawiam cię w twoich nikczemnych skłonnościach. Lecz słuchaj mocno tego co ci powiém; zachowaj zawsze w twojéj pamięci! Zapomnij, żeś mnie dziś spotkał, żywemu duchowi nazwiska mojego nie wspominaj, bo skoro się

dowiém, że mnie wmieszasz do swoich gawędek... ty mnie znasz; więcéj ci nie powiem." Poczém wezwawszy gospodarza, zapłacił co się należało, wstaliśmy od stołu i rozeszliśmy się.

Rozdział III.

Gil Blas opuszcza służbę i przyjmuje nową.

Gdyśmy wychodzili z karczmy i żegnaliśmy się z sobą, pan mój przechodził ulicą. Widział mnie, i uważałem, że się przypatrywał kapitanowi; mniemałem że go to dziwiło, iż mnie spotkał w towarzystwie takiéj osoby. Przyznać trzeba, że wejrzenie Rolanda nie było zbyt uprzedzające na korzyść jego obyczajów; byłto człowiek dobrego wzrostu, twarz miał długą z haczykowatym nosem; a lubo niezłą miał postawę, wyglądał przecież na oszusta.

Nie zawiodłem się w moich domysłach. Wieczór zastałem don Bernarda bardzo zajętego figurą kapitana, gotów on był wierzyć wszystkim pięknym historyjkom, które o nim mógłbym był powiedzieć, gdybym się był odważył wystąpić z niemi. —Gil Blas, ozwał się do mnie, co to za urwisz, któregom spotkał rozmawiającego z tobą?—Odpowiedziałem, że to jest algazil, sądząc, iż na tém poprzestanie, on tymczasem inne mi jeszcze zadawał pytania, a spostrzegłszy moje pomieszanie, skutkiem przestrogi Rolanda będące, przerwał nagle rozmowę, i położył się spać. Nazajutrz rano, gdym dopełnił mojéj powinności zwyczajnéj, wyliczył mi sześć dukatów, zamiast sześciu realów, mówiąc:—Oto masz, mój przyjacielu, za dotychczasowe usługi. Szukaj sobie innego miejsca, dla mnie niedogodny jest człowiek z tak pięknemi znajomościami. Dla usprawiedliwienia się, zacząłem mu objaśniać, że tego algazila znam jeszcze z Walladolid, leczyłem go wówczas, gdym się zajmował sztuką doktorską.—Wybornie, rzekł mi na to, odwrót dowcipny; trzeba było to powiedzieć wczoraj, a nie mieszać się. —Panie, mówiłem, nie śmiałem tego powiedzieć przez delikatność, i to jedynie było powodem mojego pomieszania.—W istocie, przerwał klepiąc mnie po ramieniu, to wielka delikatność. Nie spodziewałem się, żebyś miał być tak przebiegłym. Ruszaj moje dziécię, uwalniam cię od obowiązków; służący w przyjaznych związkach z algazilami, to wcale nie dla mnie."

Udałem się natychmiast, z tą nieszczęsną nowiną do Melendeza, który na moję pociechę oświadczył, iż spodziewa się lepsze jeszcze wskazać mi miejsce. W rzeczy saméj, w kilka dni późniéj, rzekł mi:—Gil Blas, aniś marzył o szczęściu, jakie ci mam zwiastować. Będziesz miał posadę najprzyjemniejszą w świecie. Chcę cię umieścić u don Mathiasa de Silva, jestto człowiek znakomitego rodu, z rzędu tych młodych elegantów, co to ich paniczykami zowią. Ja mam szczęście być jego kupcem; bierze odemnie wszystkie materye, na rachunek wprawdzie, ale z takimi panami nie ma się o co lękać. Często żenią się z bogatemi dziedziczkami, które opłacają ich długi, a choćby i nie to, tedy kupiec znający nieźle swoję sztukę, tak dobrze im sprzedaje towary, że choćby tylko czwartą część rachunku miał spłaconą, już jest prawie zabezpieczony. Marszałek don Mathiasa jest moim przyjacielem od serca; idźmy do niego. On cię sam musi przedstawić swojemu panu, a możesz być pewny względów jego, dla tego samego, że ja cię zalecam."

W drodze do pałacu don Mathiasa, kupiec mówił mi:—Zdaje mi się, iż wypada ci coś napomknąć o charakterze pana marszałka, żebyś się umiał do tego zastosować. Nazywa się Gregorio Rodriguez; mówiąc między nami, jestto nikczemna dusza, ale wyobraziwszy sobie, że jest stworzony do wielkich rzeczy, poszedł za natchnieniem swojego gieniuszu, i zbogacił się w dwóch domach zubożałych, w których był marszałkiem. Ostrzegam cię, że to nadzwyczaj próżny człowiek; lubi, gdy się przed nim czołgają inni słudzy. Jeżeli mają prosić pana o najmniejszą nawet fraszkę, do niego pierwéj udać się muszą; a jeżeli potrafią co otrzymać bez jego pośrednictwa, tak zręczne ma wykręty, że albo łaskę pańską odwoła, albo ją bezkorzystną uczyni. Pamiętaj na to, Gil Blas, nadskakuj panu Rodriguez więcéj, niż samemu panu. Użyj wszelkich sposobów, abyś mu się przypodobał. Przyjaźń jego będzie ci bardzo dogodną; będzie ci regularnie wypłacał zasługi, a jeżeli potrafisz zręcznie pozyskać jego zaufanie, da ci zapewne czasami ogryźć jaką kostkę; ma on ich tak wiele! Don Mathias jest młodym panem, o zabawach jedynie myślącym, ani słyszéć nie chce o własnych interesach. Co za cudowny dom dla marszałka!"

Przybywszy do pałacu, chcieliśmy mówić z panem Rodriguez: oświadczono nam, że go zastaniemy w jego pokoju. Był w nim istotnie, a obok niego ujrzeliśmy coś nakształt wieśniaka, trzymającego w ręku worek z pieniędzmi. Pan marszałek, który mi się wydał tak blady, tak wyżółkły, jak panna znudzona swoim stanem dziewiczym, poskoczył zaraz naprzeciw Melendeza, wyciągnąwszy ręce; kupiec ze swojéj strony, postąpił także z otwartemi rękami, i uściskali się obadwa niby serdecznie, chociaż więcéj w tém widać było zręcznego udania, niż szczerości. Zaraz była mowa o mnie. Rodriguez obejrzał mnie od stóp do głowy, i z wielką rzekł uprzejmością, że jestem właśnie takim, jakiego potrzeba dla don Mathiasa, że sam z ochotą podejmuje się, przedstawić mnie temu panu. Poczém Melendez dał poznać marszałkowi, jak dalece ja go obchodzę, prosił go o protekcyą, i po oświadczeniu tysiącznych



Don Enrique.

grzeczności, oddalił się, zostawiając mnie z panem marszałkiem. Skoro kupiec wyszedł, Rodriguez powiedział mi, że natychmiast zaprowadzi mnie do pana, skoro tylko odprawi tego poczciwego rolnika. Przystąpił zaraz do wieśniaka, biorąc z rąk jego worek, rzekł: —Talego, zobaczmy, czy w tym worku jest pięćset lujdorów. Sam liczył pieniądze, znalazł summę rzetelną, pokwitował wieśniaka, i odprawił. Poczém wsypał pieniądze napowrót do worka, a obracając się do mnie, rzekł:—Teraz możemy się udać do pana, wstaje on pospolicie z łóżka w samo południe; teraz blizko piérwsza godzina, już musi być widno w jego pokoju.

Don Mathias, rzeczywiście tylko co wstał z łóżka. Był jeszcze w szlafroku, leżał w wielkiém krześle, zarzuciwszy nogę na poręcz. Huśtał się niuchając tabakę; rozmawiał z lokajem, który zastępczo pełnił obowiązki szatnego, i stał gotów na usługi.—Panie, rzekł marszałek, oto jest młody człowiek, którego ośmielam się przedstawić na miejsce tego, któregoś odpędził onegdaj. Melendez, kupiec pański, ręczy za niego; zapewnia, że to godny chłopiec, mnie się zdaje, że pan będzie z niego kontent.—Dosyć tego, przerwał młody pan, ponieważ wacpan mi go przedstawiasz, przyjmuję go na ślepo do służby;

zostaje moim szatnym, i rzecz skończona. Rodriguez, mówmy o czém innem, dodał zaraz. W samą porę przybywasz, miałem posłać po ciebie. Złą nowinę mam ci zwiastować mój kochany Rodriguez. Nieszczęśliwie grałem téj nocy, z temi stu luidorami, które miałem przy sobie; przegrałem jeszcze dwieście na słowo. Wiész jak ważną jest rzeczą dla osób znakomitego rodu, uiścić się z długu tego rodzaju. Jestto właściwie jedyny, który nam honor nakazuje wypłacać z największą rzetelnością. Dlatego téż, innych nie uiszczamy tak sumiennie. Trzeba więc natychmiast wystarać się o dwieście luidorów, i odesłać je hrabini Pedrosa. — Panie, rzekł marszałek, to łatwiéj wymówić, niż wykonać; proszęż pana, zkąd ja mam wziąć taką summę? Od dzierżawców ani szeląga nie odbiéram, mimo wszelkie pogróżki. A tymczasem muszę uczciwie utrzymywać pańskiego szatnego, muszę się krwawo pocić, żeby wystarczyć na pańskie wydatki. Prawda, że dotąd, dzięki Bogu, udawało mi się nieźle, ale teraz już nie wiem, którego świętego prosić o pomoc; już do ostateczności przywiedziony jestem. —Cała gadanina na nic się nie przyda, przerwał don Mathias, takie drobiazgi nudzą mnie tylko; czy nie myślisz Rodriguez, namówić mnie, abym zmienił postępowanie, i sam się zajął zarządem moich dóbr? Co za miła rozrywka, dla człowieka bawiącego się tak jak ja! — Za pozwoleniem, rzekł marszałek, trochę tylko cierpliwości, jeżeli rzeczy tak daléj pójdą, to wkrótce pan na zawsze uwolnisz się od tych trosk.—Nudzisz mnie, zawołał niecierpliwie pan, zamordujesz mnie. Pozwól mi tracić majątek, żebym sam nie wiedział jak. Trzeba mi, powiadam ci, dwóch set luidorów, muszę je mieć. — A więc, rzekł Rodriguez, udam się do tego malutkiego starca, który już panu pożyczał pieniędzy na dobry procent. —Udaj się, jeżeli chcesz, do samego djabła, odpowiedział don Mathias, bylebym ja miał dwieście luidorów, o resztę nie pytam się wcale.

W chwili, gdy to wymawiał z gniewem, marszałek wyszedł, a młody człowiek wyższego tonu, nazwiskiem Antonio de Centelles, przybył.—Co ci to, mój przyjacielu? odezwał się do mojego pana; widzę cię tak zachmurzonego, na twojéj twarzy maluje się wyraz gniewu! Założę się, że to ten gbur.— Takjest, rzekł don Mathias, to mój marszałek; ile razy z nim mówię, zawsze mi zatruje kilka kwadransów. Rozprawia mi o moich interesach, mówi, że ostatkami dochodów gonię... Bydlę! mówiłby kto, że on traci na tém!—Mój bracie, ozwał się don Antonio, ja w tym samym przypadku jestem; mam pełnomocnika, który nie lepszy od twojego marszałka. Kiedy ten gawron, spełniając moje natarczywe rozkazy, przynosi mi pieniądze, zdawałoby się, że mi daje swoje. Zawsze mi szeroko rozprawia: Panie, mówi mi, gubisz się, dochody twoje zajęte. Muszę pospolicie przerywać mu, aby skrócić tę głupią gadaninę. — To nieszczęście, dodał don Mathias, że niepodobna nam obejść się bez tych ludzi; jestto złe konieczne. — Prawda, odparł Centelles... ale czekaj, mówił daléj, śmiejąc się z całego gardła; przyszedł mi do głowy pomysł dosyć zabawny: nic lepszego nikt nie wymyślił. Możemy te sceny poważne, jakie z nimi wyprawiamy, zamienić na komiczne, i ubawić się tém, co nas gniewa. Słuchaj: ja będę żądał od twojego marszałka pieniędzy, których ty potrzebujesz, ty toż samo zrobisz z moim pełnomocnikiem. Niech sobie wtedy rozprawiają jak zechcą, będziemy ich słuchali z zimną krwią. Twój marszałek będzie mnie składał rachunki, mój pełnomocnik obrachuje się z tobą. Ja będę słuchał o twojéj rozrzutności, ty się dowiész o mojéj, i to nas zabawi.

Za tym dowcipnym pomysłem, poszło tysiąc innych żartobliwych wyskoków; młodzi panowie wpadli w dobry humor, wesoło i żywo rozprawiali. Przerwał im Gregorio Rodriguez, wchodząc w towarzystwie malutkiego staruszka, tak łysego, że prawie ani włoska na głowie nie miał. Don Antonio chcąc wyjść:—Bądź zdrów don Mathias, rzekł, wkrótce się zobaczymy. Zostawiam cię z tymi panami, bo zapewne ważne musicie mieć układy. — Eh! nie, wcale nie, odpowiedział mój pan, zostań, nie jesteś tu zbyteczną osobą. Ten staruszek uprzejmy, którego widzisz, jest bardzo uczciwy człowiek, on mi pożycza pieniędzy, grosz od pięciu.— Jakto, grosz od pięciu? zawołał zdziwiony Centelles. Dalibóg winszuję ci, żeś się w tak zacne dostał ręce; ze mną nie tak się łaskawie obchodzą, ja kupuję srébro na wagę złota; ja pospolicie pożyczam jeden od trzech. —A co za lichwa! krzyknął stary łapigrosz; oszusty, nie pamiętają, że jest tamten świat! O, teraz się wcale nie dziwię, że tak wrzeszczą na tych, coto na procent pożyczają. Otóż to właśnie te przesadzone zyski, jakie niektórzy ciągną ze swoich kapitałów, psują nam wszystkim dobre imię. Gdyby wszyscy spólbracia moi byli do mnie podobni, nie bylibyśmy tak okrzyczani; bo co do mnie, ja jeżeli pożyczam, to jedynie dla przyjemności bliźniego. Ha, żeby to były czasy, jak je dawniéj pamiętam, jabym służył panu z moją summką, bez żadnego procentu; a i teraz, chociaż to taka nędza, ja jednak mam jakiś skrupuł, brać jeden od pięciu. Ale zdawałoby się nieledwie, że pieniądze teraz skryły się we wnętrznościach ziemi; ani ich poświeci, a ten ich brak, zmusza i moję moralność do pewnego pobłażania."

„Ileż pan potrzebuje? rzekł, zwracając mowę do mojego pana. — Trzeba mi dwóchset luidorów, odpowiedział don Mathias.—Ja mam cztery sta w jednym worku, odrzekł lichwiarz; to dosyć będzie odliczyć z nich połowę. W téj chwili wydobył zpod płaszcza worek z płótna błękitnego, zdało mi się, że to był ten sam, który włościaninu Talego, z pięcią set luidorami zostawił w ręku Rodrigueza. Wiedziałem zaraz, co o tém trzeba myśléć, i przekonałem się, że Melendez nie bez słuszności wychwalał obrotność marszałka. Staruszek wysypał pieniądze z worka na stół, i zaczął je liczyć. Ten widok zapalił żądzę mojego pana; cała summa zrobiła na nim silne wrażenie.—Panie Descomulgado, odezwał się do lichwiarza, przyszła mi na myśl rozsądna uwaga. Jaki ja głupiec! pożyczam tyle tylko, ile mi potrzeba do wywiązania się z danego słowa, nie myśląc o tém, że nie mam ani grosza, jutro znowu będę musiał udać się do wacpana. Ja myślę, że lepiéj jest zagrabić całe czterysta luidorów, aby Wpanu oszczędzić przykrości powracania.— Panie, mówił staruszek, część tych pieniędzy przeznaczyłem dla zacnego licencyata, który mając wielkie włości, używa dochodów w celach dobroczynnych, usuwając ze świata młode dziewice, i strojąc ich ustronia; ale ponieważ pan potrzebujesz całéj summy, niech mu służy, tylko pan raczysz podpisać obezpieczenie...—Oh! co się tyczy obezpieczenia, przerwał Rodriguez, wyciągając papiér z kieszeni, będziesz miał bardzo pewne; oto jest rewers, który don Mathias podpisze. Odstępuje Wpanu pięćset luidorów, które mu się należą od jednego z jego dzierżawców, od Talego, bogatego rolnika z Mondhor.—To dobrze, ozwał się lichwiarz, ja nie robię nigdy trudności; aby tylko warunki były rozsądne, przyjmuję natychmiast, bez wzdrygania się. Intendent więc podał panu pióro, który gwiżdżąc radośnie, podpisał rewers.

Po skończeniu interesu, procentowicz pożegnał mojego pana, który poskoczył, by go uściskać.—Do widzenia, panie kapitalisto! do widzenia, mówił mu, wielce obowiązany mu jestem. Prawdziwie, nie wiem, dlaczego wy, moi panowie, uchodzicie za zdzierców, oszustów; ja uważam was za bardzo pożytecznych krajowi; wy jesteście jedyną pociechą synów zamożnych rodzin, ucieczką paniczów, których wydatki przewyższają dochody.—Masz słuszność, zawołał Centelles, lichwiarze są uczciwi ludzie, których nie można dostatecznie uczcić; ja z mojéj strony muszę także uściskać tego, który bierze tylko jeden na pięć. To mówiąc, zbliżył się do starca, aby go uściskać, i ci dwaj paniczkowie, dla swojéj rozrywki, w uściskach swoich rzucali go sobie nawzajem, jak gracze w wolanta odrzucają sobie piłkę. Narzucawszy się nim dowoli, pozwolili mu oddalić się z marszałkiem, który bardziéj zasługiwał na podobne uściski, a nawet i na coś lepszego jeszcze.

Skoro Rodriguez oddalił się ze swoim potępieńcem, don Mathias posłał natychmiast obecnego ze mną lokaja do hrabiny Pedrosa z dwustą luidorami, drugą połowę, wsypał do jedwabnéj, złotem przerabianéj sakiewki, którą zawsze nosił w kieszeni. Kontent, że ma pieniądze, z wesołą miną rzekł do don

Antonio:—A co dziś będziemy robili? Naradźmy się w tym względzie.—Otóż to mi rozsądnie, odpowiedział Centelles, i tak myślę, radźmy. Kiedy tak namyślają się co z sobą robić dziś, nadchodzi dwóch innych panów; byliśmy zaś: don Alexo Segiar, i don Fernand Gamboa, oba w równym prawie wieku z moim panem, tojest między dwudziestym ósmym, a trzydziestym rokiem wieku. Wszyscy czterej paniczkowie, zaczęli od serdecznych uścisków; rzekłbyś, że już z dziesięć lat nie widzieli się. Poczém don Fernand, tłusty dowcipniś, przemówił do don Mathiasa i don Antonio:—Panowie, gdzie dziś będziecie obiad jedli? Jeżeli nie jesteście zaproszeni, zaprowadzę was do szynkowni, w której znajdziecie wyborne wino, istny bogów nektar; jadłem tam wczoraj wieczerzę, i wyszedłem dziś rano między piątą i szóstą.—Czemuż mi nie pozwoliły nieba, przepędzić nocy tak rozsądnie, zawołał mój pan, nie byłbym stracił tyle pieniędzy.

—Co do mnie, mówił Centelles, ja wczoraj wieczór nową sobie zrobiłem rozrywkę, bo ja lubię zmieniać zabawy. Bo też właściwie biorąc, rozmaitość zabaw stanowi przyjemność życia. Jeden z moich przyjaciół, zaprowadził mnie do jednego z tych panów przedsiębierców, którzy to robią interesa kosztem publicznym. Widziałem tam przepych, dobry gust, i ucztę wybornie urządzoną, ale w panu domu, znalazłem osobę śmieszną, która mnie ubawiła. Towarzysze jego, chociaż najpospolitsze mieszczuchy, udawali jednak panów, a żona, mimo to że straszliwie brzydka, wdzięczyła się przecież, prawiła tysiączne głupstwa, zaprawne akcentem biskajskim, który je podwyższał. Dodajcie do tego czworo czy pięcioro dzieci przy stole, ze swoim nauczycielem, a łatwo pojmiecie, jak dalece ta wieczerza familijna mogła mnie ubawić!

—A ja, rzekł Alexo Segiar, byłem na wieczerzy u aktorki, u Arsenii. Było sześć osób przy stole: Arsenia, Florimonda z zalotnicą, przyjaciołką swoją, margrabia de Zenette, don Juan de Moncade, i ja, wasz uniżony sługa. Przepędziliśmy noc pijąc. Co za rozkosz! to prawda, że Arsenia i Florimonda nie wielkie gieniusze, ale nabyły pewnéj wprawy, która u nich zastępuje miejsce dowcipu. Sąto istoty wesołe, żywe, płoche, a czy to nie więcéj warto, jak kobiéty rozsądne?"

Rozdział IV.

Jak się Gil Blas zapoznał ze służącymi owych paniczków, jak dowiedział się tajemnicy, aby tanim kosztem zyskać wziętość dowcipnego.

Panowie ci, tym sposobem bawili się ciągle, póki don Mathias, któremu pomagałem ubierać się, nie był gotów do wyjścia. Kazał mi iść za sobą; wszyscy panicze udali się ku karczmie, dokąd ich don Fernand de Gamboa prowadził. Postępowałem więc za nimi w towarzystwie trzech innych szatnych, bo każdy z paniczów, miał swojego. Zdumiałem się patrząc, jak ci trzej pokojowcy kopiowali swoich panów, i przybierali ich ton i miny. Powitałem ich, jako nowy towarzysz, oni przywitali mnie nawzajem; jeden z nich przypatrzywszy mi się przez chwilę, rzekł: — Bracie, po sposobie twojego wzięcia się sądząc, zdaje się, żeś nigdy nie służył u młodych paniczków.— Niestety! odpowiedziałem, nigdy; a nawet niedawno jestem w Madrycie.—Otóż to właśnie co ja uważałem, mówił on. Zdaleka czuć cię prowincyą, wydajesz się bojaźliwy, pomieszany, jest coś nieokrzesanego w twojém postępowaniu. Ale mniejsza o to, my cię tu wnet okrzeszemy, daję ci słowo.—Tak mi tylko może pochlebiasz? odezwałem się do niego. — Nie, mówił mi, wcale nie, niéma takiego gapia, któregobyśmy nie potrafili utresować; bądź tego pewny.

Nie potrzebował dłużéj prawić, aby mi dać poznać, że towarzysze moi są wyborne chłopcy, że nie mogłem się dostać w lepsze ręce, aby się przyzwoicie wykształcić. Przybywszy do karczmy, zastaliśmy ucztę gotową, którą don Ferdynand, przezorny, odrana zamówił. Panowie zasiedli do stołu, a my zabraliśmy się do usług. Wesoła wszczęła się rozmowa, aż miło było słuchać. Charakter ich, pomysły, wyrażenia, wszystko mnie zachwycało. Jaki zapał! jakie wyskoki fantazyi! Ci ludzie zdali mi się być nowym wcale gatunkiem. Kiedyśmy podali owoce, przynieśliśmy zarazem mnóstwo butelek najwyborniejszego wina hiszpańskiego; poczém sami poszliśmy na obiad do małego pokoju, w którym nam zastawiono stół.

Tu wnet spostrzegłem, że kawalerowie naszéj czwórki, więcéj zalet posiadali, niż sądziłem z początku. Nie przestawali na przybieraniu min swoich panów, naśladowali nawet ich sposób mówienia; i tak wybornie hultaje udawali, że wyjąwszy tylko postawę szlachetną, zresztą wszystko było podobneż. Dziwiłem się ich śmiałości, zręczności, a nadewszystko, zachwycał mnie ich dowcip. Zwątpiłem, abym kiedykolwiek mógł stać się równie jak oni przyjemnym i zgrabnym. Sługa don Fernanda, przez wzgląd, że pan jego uraczał naszych, robił między nami honory uczty, a chcąc, żeby nam na niczém nie zbywało, zawołał gościnnego i rzekł mu:—Panie gospodarzu, daj nam tu dziesięć butelek najlepszego wina; i według swojego zwyczaju, dodasz je do tych, które nasi panowie wypróżnią.—Bardzo chętnie, odpowiedział gospodarz, ale panie Gaspar, wiadomo ci, że don Fernand, już mi wiele obiadów winien. Żebym też za pośrednictwem pańskiém mógł odebrać choć kilka groszy...—Oh! przerwał sługa, nie troszcz się bynajmniéj o swoję należytość, ja ci zaręczam; długi mojego pana, to są jakby leżące sztaby złota. Prawda, że niektórzy dłużnicy wcale niedelikatni, zajęli nasze dochody, ale my w tych dniach uzyskamy cofnięcie zajęcia, a wtedy wypłacimy panu, nie przeglądając nawet rachunku, jaki podasz. Gospodarz przyniósł nam wina bez względu na zajęcie, a myśmy pili, nie czekając na odwołanie. Warto było widzieć, jakeśmy spełniali za zdrowie jeden drugiego, wołając na siebie po nazwisku swoich panów. Sługa pana Antonio, nazywał sługę don Fernanda, Gamboa, ten zaś sługę don Antonio, nazywał Centelles; na mnie wołali Silva; pod temi przybranemi nazwiskami, tak dobrześmy się spili, jak nasi panowie pod właściwemi.

Lubo nie tak świetnie wystąpiłem jak moi spółbiesiadnicy, oświadczyli mi jednakże, iż ich dosyć zadowoliłem.—Silva, mówił do mnie jeden z najlepiéj ogładzonych, my z ciebie coś zrobimy, mój przyjacielu; ja widzę, że ty masz jakąś zasadę gieniuszu, ale nie umiész go objawić. Obawa, żeby czegoś źle nie wymówić, wstrzymuje cię od mówienia na ślepy traf, a tymczasem rozprawiając na chybił trafił, mnóstwo ludzi dzisiejszych, dźwignęło się do stopnia utalentowanych. Chcesz jaśnieć, puść cugle twojéj żywości, występuj śmiało ze wszystkiém, co ci do ust przyjdzie; lekkomyślność ujdzie za szlachetną śmiałość. Powiédz sto głupstw, a niech się między témi jeden dowcip zabłąka, zapomną o głupstwach, pamiętać będą dowcip, i wysokie powezmą wyobrażenie, o twojéj wartości. Tak właśnie postępują nasi panowie, tak działać powinien każdy, który ubiega się o sławę znakomitego talentu.

Ja aż nadto gorąco pragnąłem uchodzić za utalentowanego, ale mimo to, tajemnica któréj mnie nauczono, zdała mi się tak łatwą, iż mniemałem, że się nie godzi jéj zaniedbywać. Doświadczyłem jéj zaraz, a wino pomyślnym skutkiem uwieńczyło tę moję próbę; rozprawiałem na oślep, pomiędzy mnóstwem niedorzeczności, wymknęło mi się trafem szczęśliwym kilka dowcipów, które mi zjednały poklaski. Ośmielony tak pomyślnym wstępem, podwoiłem moję żywość, aby wydobyć jaki dowcipny wyskok; los chciał, aby usiłowania moje nie były próżne.

—A co, ozwał się do mnie ten z kollegów, który na ulicy najpierwszy przemówił, czy nie zaczynasz się ociérać? Ledwie parę godzin jesteś z nami, a już się zupełnie zmieniłeś; coraz daléj, będzie coraz lepiéj. Patrz, co to jest służyć znakomitym panom, to wznosi umysł; służba mieszczańska nie jest tak skuteczna.—Bez wątpienia, mówiłem, dlatego też, ja odtąd usługi moje, saméj tylko szlachcie poświęcać postanowiłem.—Ślicznie mówisz, zawołał sługa don Fernanda, dobrze podchmielony. Nie jest rzeczą mieszczanina, jaśnieć wyższym talentem, jak my. Nuż więc panowie, dodał przytém, złóżmy przysięgę, że nigdy służyć nie będziemy tym partaczom; przysięgnijmy na Styx! Przyklasnęliśmy wszyscy, i z kielichem w ręku wykonaliśmy tę dziwaczną przysięgę. Bawiliśmy przy stole, póki nie podobało się naszym panom, oddalić się. Byłato północ, co

zdało się moim towarzyszom, zbytkiem trzeźwości. Prawda, że ci panowie tak wcześnie opuścili szynkownię, aby się udać do jednéj zalotnicy, mieszkającéj w okolicy pałacu, któréj dom otwarty był dzień i noc dla ludzi szukających rozkoszy. Byłato kobiéta, mogąca mieć trzydzieści pięć do czterdziestu lat, wcale piękna jeszcze, ujmująca, a wytrawna w sztuce podobania się. Bywały u niéj zawsze dwie lub trzy inne zalotnice wyższego tonu, co niemało także ściągało panów tam uczęszczających. Pospolicie grywali w karty po obiedzie, jedli razem wieczerzę, całą noc pili i bawili się. Nasi panowie zostali tam aż do białego dnia, i my także, nie widząc się wcale, bo gdy oni bawili się u pań, my cieszyliśmy się z ich pokojówkami. Nareszcie, po wschodzie jutrzenki, rozstaliśmy się wszyscy, każdy udając się w swoję stronę na spoczynek.

Mój pan wstawszy według zwyczaju w samo południe, ubrał się i wyszedł. Ja udałem się za nim; wstąpiliśmy do don Antonio Centelles, gdzieśmy zastali niejakiego don Alvaro de Acuna. Byłto szlachcic już podeszłego wieku, mistrz rozpusty. Wszyscy młodzi ludzie pragnący wyjść na kawalerów ugrzecznionych, w jego ręce się oddają. On ich wprawia do rozkoszy, uczy ich jak mają jaśnieć w świecie, tracić ojczyste mienie. O swoje nie troszczy się już wcale, bo rzecz skończona. Skoro się wszyscy trzéj uściskali, don Centelles rzekł do mojego pana:—Na honor, don Mathias, nie mogłeś w stosowniéjszą przybyć tu porę! don Alvaro przyszedł po mnie, aby mnie zaprowadzić do jednego mieszczucha, który daje obiad dla margrabiego de Zenette i dla don Juana de Moncade: chciałbym, żebyś należał do naszego towarzystwa.—A jakże, zapytał się don Mathias, zowią tego mieszczanina?—Nazywa się Gregorio de Noriega, rzekł don Alvaro, powiem wam w krótkości co to za młodzieniec. Ojciec jego bogaty jubiler, udał się za granicę w zamiarze handlowania klejnotami, jemu zaś zostawił używanie wielkich dochodów. Gregorio jest głupiec, ale ma wyborną skłonność do spożycia całego majątku, udaje paniczyka i na przekorę naturze chce uchodzić za człowieka dowcipnego. Prosił, żebym nim kierował. Rządzę nim: i mogę was zapewnić moi panowie, że go prowadzę wielkim gościńcem. Źródło jego dochodów już prawie wyschło.—Nie wątpię o tém, zawołał Centelles; już widzę mieszczucha w szpitalu.—Pójdźmy don Mathias, mówił daléj, zabierzmy znajomość z tym człowiekiem, przyłóżmy się do jego zguby.—Zgoda na to, odpowiedział mój pan, i ja także lubię patrzyć na zrujnowany majątek tych małych panków mieszczańskich, którzy sobie wyobrażają, że ich zarówno poważają jak nas. Nic mnie bardziéj nie cieszy, jak naprzykład poniżenie tego syna plebejuszowskiego, który dla gry i dla próżności figurowania między możnymi musiał sprzedać wszystko, nawet dom własny.—Eh, co do tego, przerwał don Antonio, nie wart pożałowania: równie jest nikczemny w nędzy, jak był w stanie pomyślnym.

Centelles i mój pan udali się z don Alvaro do Gregorio Noriega. My także za nimi, Mogicon i ja uradowani byliśmy nadzieją bezpłatnéj biesiady i że z naszéj strony przyłożymy się także do zguby mieszczucha. Wchodząc, ujrzeliśmy kilku ludzi zajętych gotowaniem obiadu, a z przysmaków przyrządzanych, woń rozchodząca się uprzedzała korzystnie o smaku potraw. Margrabia de Zenette i don Juan de Moncado przybyli także. Pan domu wydał mi się wielkim gapiem. Naprożno usiłował przybierać postawę paniczyków, byłato nędzna kopia tych wybornych oryginałów: czyli raczéj istota niedołężna, chcąca przybrać postać myślącego człowieka. Wystawcie sobie człowieka takiego charakteru pomiędzy pięciu szydercami, z których każdy miał na celu drwić z niego i wyciągać go na wielkie wydatki.—Panowie, odezwał się don Alvaro po piérwszém przywitaniu, przedstawiam wam pana Gregorio de Noriega, jako jednego z najdoskonalszych kawalerów. Zaleca się tysiącem pięknych przymiotów. Wiécie panowie, że umysł jego niesłychanie ukształcony! wybierajcie co chcecie, zarówno jest doskonały we wszystkich przedmiotach, od najsubtelniejszéj logiki zacząwszy, aż do ortografii. —Oh, to nadto pochlebne, przerwał mieszczuch, śmiejąc się bez najmniejszego wdzięku. Ja mógłbym, panie Alvaro, do pana odwrócić ten argument; pan jesteś istotnie jak to zowią studnią erudycyi. —Nie miałem zamiaru, mówił don Alvar, ściągnąć na siebie tak dowcipnéj pochwały: ale w istocie pan Gregorio bez ochyby potrafi sobie zjednać wielkie imię w świecie. Co do mnie, wtrącił don Antonio, co mnie w nim szczególniéj zachwyca, i co ja przekładam nawet nad ortografią, to jest rozsądny wybór osób, z któremi obcuje. Zamiast poprzestawać na towarzystwie mieszczan, on przyjmuje u siebie samych młodych panów, nie troszcząc się bynajmniéj o koszt. Jest w tém jakaś wzniosłość uczuć, która mnie zdumiewa, i to jest właśnie, co nazywa się rzucać pieniądze z gustem i rozwagą.

Takowe rozmowy szydercze były tylko wstępem do innych podobnegoż rodzaju. Biédny Gregorio był wyszamerowany na wszystkie strony. Paniczkowie jeden po drugim miotali nań pociski, których ten gap' nie czuł wcale; owszem, wszystko co mu mówiono, brał w znaczeniu literalném, zdawał się być nader zadowolonym ze swoich gości, wyobrażał sobie, że szydząc z niego jeszcze mu łaskę wyświadczali. Zresztą był ich igraszką, póki tylko siedzieli u stołu, bawili zaś u niego aż do wieczora i przez całą noc. My także piliśmy do woli, jak nasi panowie, i kiedyśmy wychodzili od mieszczanina mieliśmy dobrze w głowie, tak jedni jak i drudzy.

Rozdział V.

Gil Blas doznaje szczęścia. Zabiera znajomość z piękną osobą.

Po kilku godzinach spoczynku, wstałem w złotym humorze, a wspomniawszy na przestrogę Melendeza, postanowiłem korzystać z chwili spoczynku pana, i zanim się obudzi, udałem się do pana marszałka z oświadczeniem mu mojego uszanowania. Zdawało mi się, że hołd, który mu składałem pochlebiał jego próżności. Przyjął mnie łaskawie pytając się, czym się już włożył do trybu życia młodych panów. Odpowiedziałem mu, że to była nowość dla mnie, lecz że nie tracę nadziei nawyknienia z czasem.

W rzeczy saméj przyzwyczaiłem się i to wkrótce. Zmieniłem i humor i umysłowe usposobienie. Dawniéj byłem rozsądny i stateczny; teraz stałem się trzpiotem, wesołym żartownisiem. Służący pana Antonio, winszując mi tego przeobrażenia, powiedział mi, że do świetności niczego więcéj mi nie braknie, tylko szczęścia w miłości. Wystawiał mi, że to jest niezbędnie potrzebne do wykształcenia człowieka; że wszyscy moi towarzysze mają bardzo ładne kochanki, że on sam pozyskał miłość dwóch pięknych znakomitego rodu kobiét. Sądziłem, że ten hultaj zmyśla. —Panie Mogicon, mówiłem mu, jesteś bez wątpienia chłopcem dorodnym i bardzo dowcipnym, masz wiele zalet; lecz nie pojmuję, jakim sposobem kobiety wyższego tonu, u których nie mieszkasz wcale, mogły się zakochać w człowieku takiego stanu.—Ba! odpowiedział, to téż właśnie one nie wiedzą, kto ja jestem. W sukniach mojego pana, a nawet pod jego nazwiskiem potrafiłem zakraść się do ich serca. A to takim sposobem. Ubieram się jak młody pan, przejmuję jego sposób znalezienia się, wychodzę na miejsce przechadzki, zaglądam w oczy wszystkim kobietom, póki nie spotkam takiéj, któraby odpowiedziała moim skinieniom. Wtedy idę za nią i póty zabiegam, póki mi się nie uda mówić z nią. Udaję się za don Antonio Centelles, proszę o czas i miejsce schadzki, ona się droży, ja nalegam, wreszcie przystaje, *et cetera*. Otóż to tak mój bracie postępuję, abym zyskał względy kobiét, i radzę ci, abyś wstępował w moje ślady.

Nadto gorąco pragnąłem zostać świetnym młodzieńcem, abym nie miał usłuchać rady; oprócz tego nie czułem jakoś wstrętu do zabiegów miłosnych. Zamierzyłem więc przedzierzgnąć się w młodego panicza i szukać przygód zalotnych. Nie śmiałem przebierać się w naszém mieszkaniu, z obawy, aby ktoś tego nie postrzegł. Wziąłem więc porządne i zupełne ubranie mojego pana i zaniosłem je do znajomego mi cyrulika, gdzie mogłem wygodnie ubrać się i rozebrać. Tam przystroiłem się jak tylko mogłem najprzyzwoiciéj. Cyrulik także przyłożył swoję rękę do mojego przyozdobienia i kiedy już uważaliśmy, że niéma co dodać, poszedłem na plac św. Hieronima z tém przekonaniem, że nie wrócę

ztamtąd, nie znalazłszy pożądanego szczęścia. Ale nie potrzebowałem tak daleko biegać, aby najświetniejszą zrobić próbę.

Przebiegając boczną uliczkę, ujrzałem wychodzącą z domku i siadającą do najętego powozu kobietę, bogato ubraną i wcale przystojną. Stanąłem, żeby jéj się przypatrzyć i ukłoniłem się w sposób dający jéj do zrozumienia, że mi się podobała. Ona ze swojéj strony chcąc mi pokazać, że zasługiwała na moję uwagę, więcéj może, aniżeli mniemałem, uniosła zasłony, pokazując twarz nadzwyczaj miłą. Ale powóz ruszył, a ja zostałem na ulicy zachwycony rysami twarzy, które dopiero co ujrzałem. Co za ładna kibić! myśliłem sobie, ha, toż tego trzeba było do uwieńczenia mojego szczęścia! Jeżeli te dwie kobiety, które się zakochały w Mogiconie, są tak piękne jak ta, to dopiero szczęśliwy łotr; rozpływałbym się nad moim losem, gdybym taką mógł mieć kochankę.

Z głową przepełnioną najrozkoszniejszemi marzeniami, udałem się do mojego cyrulika. Zmieniłem ubiór i udałem się do knejpy, w któréj pan mój się znajdował. Zastałem go grającego w karty i odrazu spostrzegłem, że wygrywał; oh, bo on nie był wcale podobny do tych zimnych szulerów, co się to bogacą, lub gubią, najmniejszéj na twarzy nie okazując zmiany. On przeciwnie był szyderczym i natrętnym w szczęściu; bardzo osowiały gdy mu fortuna nie dopisywała. Bardzo ochoczy wyszedł z knejpy i udał się do teatru książęcego. Towarzyszyłem mu aż do drzwi widowiska, gdzie dając mi dukata w rękę, oto masz Gil Blasie, rzekł mi, ponieważ wygrałem dziś, godna rzecz, abyś i ty to uczuł: idź, zabaw się z towarzyszami swoimi, o północy przyjdziesz po mnie do Arsenii, gdzie mam być na wieczerzy wraz z don Alexo Segiar. To powiedziawszy poszedł do teatru, a ja zostałem przededrzwiami rozmyślając z kimby wypadało stracić tego dukata, według zamiaru dawcy. Niedługo przecież dumałem, bo Clarin, służący don Alexa stanął niespodzianie przedemną. Zaprowadziłem go do najpiérwszéj w bliskości oberży, w któréj bawiliśmy się do północy. Ztamtąd poszliśmy do Arsenii, dokąd także i Clarin według rozkazu zdążał. Malutki lokaj otworzył nam drzwi i wprowadził nas do sali na dole, w któréj pokojówki Arsenii i Fiorimondy śmiały się do rozpuku, rozmawiając między sobą, gdy panie ich bawiły się na górze z naszymi panami.

Przybycie dwóch zuchów po doskonałéj wieczerzy, nie mogło być przykre pokojówkom, a do tego pokojówkom aktorek: lecz jakież było moje podziwienie, gdy w jednéj z tych służebnic poznałem moję wdowę, moję ubóstwioną wdówkę, którąm miał za hrabinę lub margrabinę. I ona niemniéj się zdumiała, ujrzawszy swojego drogiego don Cezara de Ribera przedzierzgniętego w sługę paniczyka. Spojrzeliśmy przecież po sobie nie mieszając się wcale; owszem opanowała nas chęć śmiechu, któréj trudno było oprzéć się. Poczém Laura, tak się bowiem zwała, wziąwszy mnie na stronę, kiedy Clarin bawił się z jéj towarzyszką, podała mi z uprzejmością rękę i cicho przemówiła do mnie:—daj mi rękę don Cezar, zamiast robić sobie wzajemne wyrzuty, winszujmy sobie mój przyjacielu. Odegrałeś swoję rolę w zachwycającym sposobie, i jam się ze swojéj nieźle wywiązała. Jakże ci się zdaje? Wyznaj, żeś mnie wziął za jednę z tych pięknych pań znakomitych, ktore lubią płatać figle? Prawda, odpowiedziałem, ale ktokolwiek jesteś moje ty bóztwo, nie zmieniłem bynajmniéj uczuć ku tobie, zmieniając formę. Przyjm łaskawie moje usługi, pozwól, aby szatny don Mathiasa dokończył, co tak szczęśliwie don Cezar zaczął.—Zgoda na to, odpowiedziała, jeszcze więcéj cię kocham w twojéj naturalnéj postaci, niż w innéj. Jesteś tém jako mężczyzna, czém ja jako kobieta: a to jest największa pochwała, jaką ci dać mogę. Przyjmuję cię w poczet moich wielbicieli. Nie potrzebujemy odtąd pośrednictwa staréj: możesz mnie tu odwiedzać śmiało. My, aktorki, żyjemy bez żadnego przymusu pomieszane z mężczyznami. Przyznaję, że cośczasem na jaw wychodzi; ale publiczność z tego śmieje się, a ty wiész, że my służymy dla jéj zabawy.

Na tém skończyliśmy, ponieważ nie byliśmy sami. Rozmowa stała się ogólną, żwawą, wesołą, przeplataną dość jasnemi dwuznacznikami; każdy dodawał swoje trzy grosze. Towarzyszka Arsenii nadewszystko, moja nadobna Laura, szczególniéj jaśniała, objawiając więcéj dowcipu, niż cnoty. Z drugiéj strony głośne śmiechy naszych panów i aktorek rozlegały się, sięgając aż do naszych uszu; z czego można było domyślać się, że ich rozmowa była równie rozsądna, jak nasza. Gdyby ktoś był spisał wszystkie piękne rzeczy i wyrażenia, które téj nocy wyrzeczono u Arsenii, ułożyłby książkę bardzo ciekawą. Przecież godzina odejścia, tojest jutrzenka nadeszła, trzeba było rozłączyć się, Clarin poszedł za don Alexio, a ja wracałem z don Mathiasem.

Rozdział VI.

Rozmowy kilku panów, o aktorkach trupy teatru książęcego.

Tego dnia, pan mój wstając, odebrał bilet od don Alexo Segiar, zapraszający go do siebie. Udaliśmy się do niego, i zastaliśmy już margrabiego de Zenette, i drugiego jeszcze jakiegoś młodego pana, przystojnego z pozoru, którego dotąd nie widziałem.—Don Mathias, rzekł Segiar do mojego pana, przedstawiając mu owego nieznajomego, oto jest don Pompejo de Castro, mój krewny. Od dzieciństwa prawie bawi na dworze polskim. Wczoraj wieczór przybył do Madrytu, a jutro rano wraca do Warszawy. Ten jeden tylko dzień, może mi poświęcić; chcąc więc korzystać z chwil tak drogich, mniemałem, że dla jego przyjemności potrzebna mi obecność twoja i margrabiego de Zenette.—Poczém pan mój uściskał krewnego pana Alexo, i nawzajem dużo sobie grzeczności nagadali. Bardzo byłem kontent z tego co mówił don Pompejo, umysł jego zdał mi się gruntownie ukształcony i nadzwyczaj giętki.

Obiad był u pana Segiar, po którym ci panowie grali, póki czas udania się na teatr nie nadszedł. Wtedy wszyscy razem poszli do teatru książęcym zwanego, na którym miano przedstawić tragedyą nową pod tytułem: *Królowa Kartaginy*. Po skończonéj sztuce, wrócili na wieczerzę do tego samego miejsca, w którém obiad jedli; rozmowa ich naprzód miała za przedmiot poemat, którego słuchali, a następnie aktorów. — Co się tyczy dzieła, odezwał się don Mathias, bardzo nizko je cenię; Eneasz w niém, niedołężniejszym jeszcze wygląda jak w Eneidzie. Ale to przyznać potrzeba, że ją bozko grano. Jakże się zdaje panu Pompejo? ile sądzić mogę, to się niezgadza ze mną. — Panowie, rzekł uśmiechając się Pompejo, dopiéro co widziałem was tak rozkoszujących się w grze waszych aktorów, a więcéj jeszcze aktorek, że nie odważyłbym się wyznać przed wami, iż wcale inaczéj o nich sądzę. —Przedziwnie, odezwał się żartobliwie don Alexo, bo téż krytykę twoję niebardzo mileby przyjęto. Szanuj nasze aktorki w obecności trębaczy ich sławy. Pijemy codzień z niemi, ręczymy za ich doskonałość; jeżeliby tego potrzeba było, gotowi jesteśmy wydać im nasze świadectwo. — Nie wątpię o tém, dodał jego krewny, wydalibyście je zapewne o ich życiu i obyczajach, tak dalece, jak mi się zdaje, sięga przyjaźń wasza dla nich.

—Wasze aktorki, rzekł uśmiechając się margrabia de Zenette, są bez wątpienia daleko lepsze?—Takjest w rzeczy saméj, odpowiedział don Pompejo, więcéj są warte. Przynajmniéj jest kilka między niemi, które żadnéj nie mają wady.—To te przerwał margrabia, mogą liczyć na pańskie świadectwo?—Nie mam żadnych z niemi związków, dodał don Pompejo, nie podzielam z niemi ich swawoli; dlatego mogę o nich sądzić bez uprzedzenia.—Proszę, powiédzcież mi sumiennie, czy sądzicie, że wasza trupa jest doskonałą?—Nie, Boże broń, przerwał margrabia, ja nie utrzymuję tego, i nie staję w obronie, jak tylko małéj ich liczby; o resztę się nie pytam.—Nie zgodziszże się na to, że aktorka, przedstawiająca rolę Dydony, jest zachwycającą? Czyż nie przedstawiła téj królowéj, z całą szlachetnością i wdziękiem, odpowiednim wyobrażeniom powziętym o téj władczyni? Nie podziwiałżeś sam téj sztuki, jaką ona umié owładnąć swoich widzów, przejąć ich wszelkiemi poruszeniami namiętności, jakie wyraża! Śmiało rzec można, że w deklamacyi wyżéj już ani kroku zrobić niepodobna. —Zgadzam się, mówił don Pompejo, że umié wstrząsnąć i poruszyć; może żadna aktorka nie ma więcéj tkliwości, i dlatego całe to przedstawienie jest piękne; ależ nie jest ona bez wady. Dwie albo trzy rze-

czy raziły mnie w jéj grze. Chce naprzykład okazać podziwienie, przewraca oczyma w sposób przesadzony, co nie jest właściwe. Dodajmy do tego, że podnosząc głos, z natury miły, psuje łagodność jego, i tworzy jakąś niemiłą rubaszność. Zresztą zdaje mi się, że nie w jednem miejscu możnaby ją posądzać, że nie rozumie tego co mówi; ztémwszystkiém, co do tego punktu, wolę przypuszczać raczéj, że udawała skromną, aniżeli ją pomawiać o brak pojęcia.

—Jak widzę, odezwał się don Mathias do krytyka, zapewnebyś pan nie poświęcił wiersza na cześć naszych komedyantek?—Przepraszam, odpowiedział don Pompejo, mimo ich usterki, wiele w nich talentów odkrywam; co większa, wyznaję, że mnie zachwyciła aktorka, grająca rolę poufnéj między scenami. Jak śliczny dar natury! z jakimże wdziękiem zajmuje scenę! Jeżeli ma coś dowcipnego powiedzieć, zaprawia to uśmiechem żartobliwym i pełnym wdzięku, który podwyższa jéj wartość. Możnaby jéj zarzucić, że niekiedy daje się zbytecznie unosić żywemu zajęciu sztuką, a wtedy przekracza granice szlachetnéj śmiałości; ale nie godzi się być tak surowym. Życzyłbym jéj wszakże, aby się poprawiła w złém nawyknieniu. Często w środku sceny, w miejscu poważném, nagle przerywa akcyą, ulegając płochéj żądzy śmiechu. Powiecie mi na to, że parter właśnie w tém miejscu darzy ją oklaskami; to prawdziwe szczęście.

—A o mężczyznach jak sądzisz? przerwał markiz, na nich zapewne na ostre godzić będziesz, kiedy tak niełaskaw jesteś dla kobiét.—Nie, powiedział don Pompejo; widziałem kilku młodych aktorów wiele obiecujących; nadewszystko kontent jestem z tego tłustego, który przedstawiał rolę ministra Dydony. Mówi bardzo naturalnie, tak właśnie deklamują w Polsce.—Jeżeli cię ten potrafił zadowolić, przerwał Segiar, to ten co przedstawiał Eneasza, powinien cię zachwycać. Jakże, czy ci się nie wydał wielkim komikiem, aktorem oryginalnym? — Bardzo oryginalnym, odpowiedział krytyk; ma ton mowy sobie właściwy, a bardzo przenikający. Zawsze prawie nienaturalny, szybko trzepie wyrazy malujące jakieś uczucie, a z przyciskiem wymawia inne; na spójnikach nawet głos podnosi. Bardzo mnie ubawił, a osobliwie gdy poufnemu objawiał gwałt jaki sobie zadaje, porzucając monarchinię, trudno komiczniéj wyrazić boleść.—Powoli mój bracie, wtrącił don Alexo, z twojéj rozmowy moglibyśmy powziąć przekonanie, że nienajlepszy gust panuje na dworze króla polskiego. Wiészże o tém, że aktor o którym mówimy, jest rzadkiém zjawiskiem? Nie uważałżeś oklasków, jakie wywołał? To dowodzi, że nie jest tak zły. —To nie dowodzi niczego, odpowiedział Pompejo. Panowie, dajmy pokój, proszę was, oklaskom parteru; obdarza on niemi aktorów często bardzo nie w porę. Rzadzéj daleko przyklaskuje rzeczywistéj zasłudze, niż fałszywéj, jak to przedstawia Fedr w swojéj dowcipnéj bajce. Pozwólcie mi ją powtórzyć, oto jest:

„Lud wszystek w pewném miasteczku zebrał się na placu publicznym na widowisko pantominów. Pomiędzy aktorami, był jeden, któremu co chwila dawano oklaski. Ten żartowniś w końcu sztuki chciał zamknąć przedstawienie widowiskiem wcale nowém. Wystąpił sam na scenę, schylił się, zakrył głowę płaszczem, i począł kwiczéć jak prosię. Tak to dokładnie naśladował, że wszyscy wystawiali sobie, iż rzeczywiście miał prosię pod płaszczem. Zaczęto wołać, aby rozpuścił płaszcz i suknię, co też zrobił, a gdy się okazało że nic nie miał, oklaski powtórzyły się z większym jeszcze zapałem. Wieśniak będący także w liczbie widzów, niekontent był z tych objawów pochwały.—Panowie! ozwał się głośno, nie macie czego unosić się nad tym żartownisiem, on nie jest tak wybornym aktorem, jak wam się zdaje. Ja lepiéj umiem udawać prosię niż on, a jeżeli nie wierzycie temu, przybądźcie jutro na ten plac o téj saméj godzinie.” Lud uprzedzony na korzyść kuglarza, zebrał się nazajutrz w większéj jeszcze liczbie, ale bardziéj w zamiarze wygwizdania wieśniaka, aniżeli usłyszenia jego sztuki. Dwaj spółzawodnicy wystąpili na scenę. Arlekin rozpoczął, i więcéj jeszcze oklasków zyskał niż dnia poprzedzającego. Wtedy wieśniak z kolei pochylił się, i okryty płaszczem, zaczął kręcić za ucho prosię, które trzymał pod pachą, a które tém samém przeraźliwie kwiczało. Zgromadzeni przecież, przyznali wyższość pantomimowi, a wygwizdali wieśniaka, który pokazując zaraz prosię widzom, zawołał: „Panowie! to nie mnie się należy to gwizdanie, tylko prosięciu; patrzcież co wy za znawcy!“

—Bracie, rzekł don Alexo, twoja bajeczka nieco za ostra! Ale bez względu na twoje prosię, my się nie cofniemy. Zmieńmy przedmiot rozmowy, bo to mnie już nudzi. — Więc ty koniecznie jutro odjeżdżasz, nie bacząc na moję żądzę zatrzymania cię dłużéj?—Radbym, odpowiedział krewny, dłużéj z wami zabawić, ale nie mogę, jużem wam to powiedział; przybyłem do dworu hiszpańskiego w interesie stanu. Wczoraj przybywszy, mówiłem zaraz z piérwszym ministrem; mam się z nim zobaczyć jutro rano, i w téj chwili wyjeżdżam z powrotem do Warszawy. — A więc zostałeś Polakiem, przerwał mu Segiar, i według wszelkiego podobieństwa zdaje się, że już nie wrócisz do Madrytu.—Zdaje mi się, że nie, odpowiedział don Pompejo; mam szczęście cieszyć się przychylnością króla polskiego; mam wiele przyjemności przy jego dworze. Lecz jakkolwiek doznawałem wielkich jego względów, uwierzycież, że tylkoco na zawsze nie opuściłem jego krajów?—A to z jakiego powodu? rzekł markiz. Opowiédz nam, prosimy.—Bardzo chętnie, rzekł don Pompejo, będzie to zarazem historya mojego życia, którą wam przedstawię.

Rozdział VII.

Historya don Pompeyo de Castro.

„Don Alexo wié, zaczął don Pompejo, że wyszedłszy z dzieciństwa, pragnąłem poświęcić się służbie wojskowéj; a ponieważ kraj mój używał pokoju, udałem się więc do Polski, któréj podówczas Turcy wypowiedzieli wojnę. Przedstawiłem się królowi, który mnie umieścił w swojém wojsku. Zpomiędzy młodszych synów rodzin hiszpańskich, ja byłem najuboższy, a to było dla mnie dostatecznym bodźcem do odznaczenia się przez czyny waleczne, któreby zwróciły uwagę mojego dowódzcy. Tak dobrze spełniałem moje obowiązki, że gdy po dość długiéj wojnie, zawarto przymierze; król na zasadzie chlubnych świadectw jakie mi generałowie dali, wyznaczył mi znaczną pensyą. Przejęty wspaniałomyślnością monarchy, starałem się przy każdéj sposobności objawić mu moję wdzięczność, skrzętnie spełniając dane mi polecenia. Przedstawiałem mu się w każdéj chwili, w któréj wolno było stawać przed jego obliczem. Takowém postępowaniem zjednałem sobie miłość tego monarchy, i nowemi obsypany zostałem dobrodziejstwy.

Pewnego razu, kiedym się odznaczył goniąc do pierścienia, cały dwór wychwalał moję siłę i zręczność; uraczony hucznemi oklaskami wróciłem do siebie; tu znalazłem bilet, w którym mię uwiadomiono, że pani któréj pozyskanie, pochlebniejsze dla mnie być powinno, nad wszelkie honory jakie mnie w tym dniu spotkały, życzy sobie widzieć się ze mną; że za nadejściem nocy, mam się udać na miejsce oznaczone. Liścik ten, większą mi sprawił rozkosz, niż wszystkie pochwały, których mi w tym dniu wcale nie szczędzono; wystawiałem sobie, że ta co to pisze, musi należéć do kobiét piérwszego rzędu. Łatwo sobie wystawicie jak spieszyłem na miejsce schadzki! Kobiéta podeszła czekająca na mnie, wprowadziła mnie do wielkiego domu przez małe drzwiczki ogrodu; wpuszczając mnie do gabinetu, rzekła: zaczekaj tu, idę uwiadomić moję panią. W gabinecie tym, oświetlonym mnóstwem świéc jarzących, ujrzałem wiele rzeczy kosztownych; przypatrując się temu przepychowi utwierdzałem się tém bardziéj w piérwszym moim domyśle, o szlachetnym rodzie téj damy. Jeżeli wszakże wszystko com widział, zdawało się mnie zapewniać, że to musi być osoba wysokiego bardzo stopnia, skoro się pokazała; postawą szlachetną i wspaniałą, usunęła wszelką, by téż najmniejszą w tym względzie wątpliwość.

—Panie, odezwała się, po tym kroku, którym dla pana zrobiła, byłoby rzeczą zbyteczną chciéć taić przed nim tkliwe

dlań uczucia. Talenta, jakie dziś rozwinął w obec całego dworu, nie obudziły ich, przyspieszyły tylko ich objawienie. Widziałam pana już nieraz; zasięgałam wiadomości o nim, a to co na korzyść jego mówiono, skłoniło mnie, abym szła za mojém uczuciem. Nie sądź, abyś podbił serce księżniczki, ja jestem tylko wdową po oficerze gwardyi królewskiéj; lecz co tryumf pana chlubniejszym robi, to jest, że go przekładam nad jednego ze znakomitszych panów królestwa. Książę *** kocha mnie, i nie szczędzi zabiegów, żeby mi się podobał. Przecież nie może dopiąć swojego zamiaru; dla prostéj jedynie próżności, znoszę jego zaloty.

Po takowém przemówieniu ujrzałem, że mam do czynienia z zalotnicą; jednakże wdzięczny byłem mojéj szczęśliwéj gwiaździe za to szczególne zdarzenie. Hortensya, tak się zwała ta kobieta, była jeszcze w samym kwiecie wieku, piękność jéj odurzyła mnie. Prócz tego ofiarowała mi serce, które wzgardziło księciem: cóżto za tryumf dla kawalera hiszpańskiego! Klęknąłem u stóp Hortensyi dziekując za jéj względy. Powiedziałem jéj wszystko, na co się tylko gach zdobyć może, tak dalece, że mogła być zadowoloną z objawionych jéj uniesień wdzięczności. W skutek tego rozłączyliśmy się w najlepszéj przyjaźni, umówiwszy się pierwéj, że się widywać będziemy każdego wieczora, w którym książę nie będzie mógł jéj odwiedzać, o czém obiecano mnie zawiadamiać punktualnie. Dotrzymano obietnicy, i wreszcie zostałem Adonisem téj nowéj Wenery.

Lecz rozkosze światowe nie są długotrwałe. Chociaż moja bogini wszelkich użyła środków, aby stosunki nasze ukryć przed okiem mojego spółzawodnika, przecież potrafił się on dowiedzieć o tém, co nam najusilniéj przed nim ukrywać wypadało: służebnica obrażona zawiadomiła go o wszystkiém. Pan ten z natury wspaniałomyślny, ale dumny, zazdrosny i porywczy, zawrzał gniéwem na moję śmiałość. Gniéw i zazdrość zbłąkały umysł jego, za ich popędem idąc postanowił zemścić się w sposób niecny. Pewnéj nocy, gdym był u Hortensyi, on czatował na mnie przy drzwiach ogrodu z całą czeredą swoich służalców uzbrojonych kijami. Skoro wyszedłem, kazał mnie pochwycić i zbić na miazgę. „Bijcie! zawołał, niech śmiałek zginie od waszych razów; tym sposobem chcę ukarać go zuchwalstwo.” Jeszcze nie skończył, a już mnie służba jego obskoczyła ze wszech stron i tak porządnie okładać poczęła, iż wkrótce ległem prawie nieżywy; poczém odeszli wraz ze swoim panem, dla którego widok ten był bardzo miły. Resztę nocy przepędziłem w tém samém miejscu i w tym samym stanie do jakiego mnie przywiedli owi ludzie. Rano przechodzący tamtędy ludzie spostrzegli, że jeszcze oddychałem: litością zdjęci, zanieśli mnie do najbliższego chirurga; szczęściem rany moje nie były śmiertelne, a przytém dostałem się w ręce zdolnego człowieka, który mnie w przeciągu dwóch miesięcy zupełnie wyleczył. Po upływie tego czasu pokazałem się znowu na dworze i wróciłem do dawnego trybu życia, wyjąwszy, żem nie bywał u Hortensyi, któréj książę pod tym jedynie warunkiem przebaczył.

Ponieważ przygoda moja nie była tajna nikomu, a za tchórza mnie nie uważano, wszyscy więc zdumiewali się nad tą moją spokojnością; nie odzywałem się bowiem z tém co myślę, zdawałem się nie okazywać najmniejszéj niechęci, jak gdybym nigdy nie doznał podobnéj zniewagi. Nie wiedziano jak sobie tłumaczyć tę zmyśloną nieczułość. Jedni mniemali, że mimo odwagę, stopień obrażającego powściągał mnie i zmuszał do pochłonięcia zniewagi: drudzy, z większą słusznością nie dowierzali mojemu milczeniu, uważali tę moję spokojność za ciszę zwodniczą przed burzą. Król, podobnie jak ci drudzy, sądził, że ja nie potrafię puścić płazem obelgi, że nie zaniedbam zemścić się, skoro mi się sposobna ku temu pora nastręczy. Dla przekonania się czy zgaduje myśl moję, wezwał mnie do gabinetu, i rzekł:—Don Pompejo, wiem jaki cię spotkał przypadek, i przyznam ci się, że mnie mocno dziwi ta twoja spokojność, ty udajesz bez wątpienia.—Miłościwy panie, nie wiem, kto mnie obraził: napadnięty byłem w nocy i przez ludzi nieznanych: jestto nieszczęście, które cierpliwie znieść wypada.—Nie, wcale nie, odpowiedział król, nie omamisz mnie mową udaną: o wszystkiém mi powiedziano. Książę cię znieważył. Jesteś szlachcicem, a do tego Kastyllaniu, wiem, do czego cię obowiązuje ten podwójny charakter: tyś postanowił zemścić się. Chciéj mi się zwierzyć twojego zamiaru; chcę tego koniecznie. Nie obawiaj się wcale, abyś miał żałować tego zaufania.

—Ponieważ W. K. M. rozkazujesz, odpowiedziałem, muszę więc objawić moje uczucia i zamiary. Takjest, miłościwy panie, chcę się zemścić za wyrządzoną mi zniewagę. Każdy, kto takie jak ja imię nosi, jest odpowiedzialnym za nie swojemu rodowi. Wiész panie o niecném obejściu się ze mną; zamierzyłem więc zamordować księcia, aby się zemścić w sposób odpowiedni zniewadze. Utopię sztylet w piersiach jego, lub mu kulą głowę roztrzaskam i zemknę do Hiszpanii, jeżeli mi się uda. Oto taki jest mój zamiar.

—Jest wprawdzie gwałtowny, ale nie chciałbym go potępiać, bacząc na srogą zniewagę, jakiéj się względem ciebie dopuścił książę. Zasłużył na karę, jaką dlań przeznaczasz. Ale wstrzymaj się z wykonaniem zamiaru: pozwól mi poszukać środków pojednania was obudwóch.—Ah, Miłościwy Panie, na cóż zobowiązałeś mnie do wyjawienia mojéj tajemnicy? Jakież pojednanie może..—Jeżeli nie wynajdę środka zadowalającego was obudwóch, przerwał, będziesz mógł dokonać, coś przedsięwziął. Nie pragnę nadużywać twojego zwierzenia się. Nie zdradzę twojego honoru, bądź spokojny pod tym względem.

Niemało nałamałem głowy, aby dociec, jakim sposobem król zamierza zgodnie zakończyć tę sprawę: otóż jak się wziął do rzeczy. Wezwał prywatnie mojego przeciwnika i w te doń odezwał się słowa:— książę, znieważyłeś don Pompeja de Castro. Nie tajno ci jest, że to człowiek świetnego rodu, szlachcic, którego lubię i który mi wiernie służył. Winieneś mu zadosyćuczynienie.—Nie myślę mu go odmawiać, odpowiedział książę. Jeżeli się uskarża na moję porywczość, jestem gotów się wywiązać z bronią w ręku. — Innego trzeba zadosyćuczynienia, przerwał mu król; szlachcic hiszpański zanadto pojmuje honor, aby się wdał godnym sposobem w walkę z nikczemnym zabójcą. Nie mogę cię nazwać inaczéj, i nie możesz inaczéj odpokutować za twój czyn niecny, jak podając własną ręką kij obrażonemu i oświadczając gotowość odebrania od niego razów.—O Boże! zawołał mój przeciwnik; jakto, żądasz WKM. aby człowiek tego rodu uniżał się, aby się upadlał wobec prostego szlachcica, żeby nawet od niego kije na grzbiet przyjmował.—Nie, mówił król, zobowiążę don Pompeja do przyrzeczenia, iż cię nie trąci. Proś go tylko książę o przebaczenie, podając mu kij; tego tylko wymagam od ciebie.— Ale to jest zanadto żądać odemnie, miłościwy panie, przerwał porywczo książę; wolę narazić się na skryte pociski, które dla mnie gotuje mój nieprzyjaciel.— Życie twoje książę, mówił król, jest mi drogie, chciałbym, żeby ta sprawa nie tak smutnie się skończyła. Żeby to z tém mniejszą dla ciebie skończyć nieprzyjemnością, sam jeden świadkiem będę tego zadosyćuczynienia, które ci rozkazuję dać Hiszpanowi.

Król musiał użyć całéj przewagi, jaką miał nad umysłem księcia, aby go skłonić do kroku tak upokarzającego. W końcu przecież dopiął swojego zamiaru, poczém kazał mnie przyzwać. Opowiedział mi rozmowę jaką miał z moim przeciwnikiem, i zapytał się, czy będę kontent z tego środka, na który się obadwa zgodzili. Przystałem na to, zaręczając, że nietylko nie uderzę obrażającego, ale nawet kija od niego nie przyjmę. Gdy tak rzecz ułożona, obadwa razem, ja i książę, w oznaczonéj godzinie przybyliśmy do króla, który zamknął się z nami w swoim gabinecie. Zwracając mowę do księcia, rzekł: — Teraz wyznaj swoje uchybienie, i staraj się, aby ci przebaczono. Wtedy nieprzyjaciel mój, zaczął się uniewinniać, i podał mi kij, który miał w ręku. — Don Pompejo! ozwał się monarcha, weź ten kij, moja obecność niech ci nie przeszkadza bynajmniéj do zadosyćuczynienia twojemu honorowi obrażonemu! Zwracam ci twoje przyrzeczenie, że nie uderzysz twojego przeciwnika. — Nie, miłościwy królu, odpowiedziałem, dosyć jest, że się poddaje pod razy kija. Hiszpan obrażony więcéj nic żąda. — Bardzo dobrze, dodał król, ponieważ poprzesta-

jesz na tém zadosyćuczynieniu, możecie teraz obadwa chwycić się postępowania zwyczajnego. Zmierzcie się szablą, by szlachetnie waśń waszę zakończyć.—Tego ja właśnie gorąco pragnę, zawołał książę porywczo, to jedno może mnie pocieszyć po tak haniebnym kroku, który teraz zrobiłem.

To rzekłszy, wyszedł zapalony gniewem i pomieszany; a we dwie godziny późniéj zawiadomił mnie, że czeka na mnie w miejscu ustronném. Udałem się więc i zastałem księcia do zaciętéj walki przygotowanego. Jeszcze nie skończył czterdziestu pięciu lat; nie zbywało mu ani na zręczności, ani na odwadze: można powiedzieć że nie było między nami różnicy. Przystąp don Pompejo, skończmy nasze spory. Obadwa mamy słuszne powody do zapamiętałości, ty za moje obejście się z tobą, ja za przeprosiny. Kończąc te słowa, tak szybko chwycił szablę, że nie miałem czasu do odpowiedzi. Z początku ostro nacierał na mnie; ale miałem szczęście sparować wszystkie ciosy, które na mnie wymierzył. Nawzajem ja go zacząłem przéć: widziałem, że mam do czynienia z człowiekiem, który równie dobrze umiał się bronić, jak uderzać; nie wiem jakby to się było skończyło, gdyby się był nie potknął cofając się i nie upadł



Aurora przejmuje bilet.

wtył. Zatrzymałem się natychmiast, i rzekłem: podnieś się książę!—Dlaczegoż mnie oszczędzasz? odezwał się; twoję litość uważam za naigrawanie się.—Nie chcę, odpowiedziałem, korzystać z twojego nieszczęścia: byłobyto ujmą mojego honoru. Jeszcze raz powtarzam, wstań i daléj do walki!

—Pompejo, rzekł wstając, po tak szlachetnym postępku twoim honor nie pozwala mi walczyć z tobą. Cóżby powiedziano o mnie, gdybym ci miecz w sercu utopił. Poczytanoby mnie za nikczemnika, który wydarł życie człowiekowi, od którego woli moje zależało. Nie mogę brać broni przeciw tobie, czuję że wdzięczność budzi w sercu mojém słodkie uczucia, rugując wściekłe zapędy, które mną miotały. Don Pompejo, mówił daléj, porzućmy wzajemną nienawiść; postąpmy daléj nawet, bądźmy przyjaciołmi.—Panie, zawołałem, z radością przyjmuję tak miłe wezwanie. Zaprzysięgam ci najszczerszą przyjaźń; i na pierwszy tego dowód przyrzekam ci, że noga moja nie postanie u Hortensyi, chociażby tego pragnęła. — Ja ci odstępuję téj damy, rzekł do mnie, słuszniéj jest, abym ja to uczynił, ponieważ ona więcéj ma przywiązania do ciebie.—Nie nie, przerwałem mu, książę, ty ją kochasz. Względy jéj dla mnie, byłyby męczarnią twoją; uczucie moje więc poświęcam dla twojéj spokojności.—Ah, szlachetny Kastyllanie! mówił książę ściskając mnie, zachwycają mnie twoje uczucia. Jakąż one wzniecają zgryzotę w duszy mojéj! Z jaką boleścią, z jakim wstydem przywodzę sobie na pamięć zniewagę, którą ci wyrządziłem! Zadosyćuczynienie, którem ci dał w gabinecie królewskim, w téj chwili zbyt błahe mi się wydaje. Chcę lepiéj naprawić tę krzywdę, i żeby na zawsze zatrzéć jéj nikczemność, ofiaruję ci jednę z moich siostrzenic, którą mogę rozporządzać. Jestto bogata dziedziczka, która nie ma więcéj nad piętnaście lat, a prócz tego więcéj ma wdzięków niż lat.

Nagadałem zatém księciu tyle grzeczności, ile mi ich nastręczyć mógł zaszczyt tak świetnego związku. W kilka dni późniéj zaślubiłem jego siostrzenicę. Cały dwór winszował temu panu, że uszczęśliwił szlachcica, którego taką hańbą okrył, a przyjaciele moi cieszyli się wraz ze mną tak szczęśliwém rozwiązaniem zajścia, które smutniejszy koniec mieć było powinno. Od tego czasu, panowie, przyjemnie pędzę życie w Warszawie, kochany od żony, nawzajem dotąd ją ubóztwiam. Książę codzień nowe mi daje dowody przyjaźni, i mogę sobie pochlebiać, że dosyć mam względów u króla. Ważność podróży którą z jego rozkazu odbyłem do Madrytu, przekonywa mnie o jego zaufaniu.

Rozdział VIII.

Co skłoniło Gil Blasa do szukania nowego miejsca.

Taka była historya, którą opowiedział don Pompejo, a któréj wraz ze sługą don Alexa słuchałem, chociaż kazano nam oddalić się przed jéj zaczęciem. Zamiast iść precz, my zatrzymaliśmy się za drzwiami, których nie domknęliśmy i tam wysłuchaliśmy wszystkiego co do słowa. Potém panowie pili dobrze, ale nie przeciągnęli hulanki aż do dnia bo don Pompeyo, mając rano mówić z pierwszym ministrem chciał się nieco przespać. Markiz de Zenette i mój pan, uściskawszy tego kawalera, pożegnali się z nim, zostawiając go z jego krewnym.

Położyliśmy się przed samym świtem, a don Mathias obudziwszy się o zwyczajnéj godzinie, do nowego wezwał mnie obowiązku. Gil Blas, mówił mi, weź papiér i atrament, napiszesz mi dwa lub trzy listy, które ci podyktuję; mianuję cię moim sekretarzem.—Wybornie! pomyśliłem sobie, nowa godność. Jako lokaj idę za panem wszędzie; jako szatny ubieram go; teraz będę pisał jako sekretarz; dzięki Bogu za to! Jako troista Hekata, będę odtąd trzy różne przedstawiał osoby.—Nie wiész, mówił daléj pan, jaki jest mój zamiar? oto jest, ale trzymaj język, bo tu idzie o głowę twoję. Spotykając nieraz ludzi, którzy się chlubią ze swojego szczęścia u kobiét, żeby im dać mat, chcę mieć w kieszeni kilka listów fałszywych, które im przeczytam. To mnie na moment zabawi; a szczęśliwszy od tych, co to starają się o względy kobiét, aby mieć ukontentowanie popisywania się z niemi, ja będę się popisywał z temi, o których pozyskanie nie trudziłem się wcale. Ale, dodał zaraz, zmieniaj twoje pismo tak, aby te bilety nie zdawały się być pisane jednąż ręką.

Wziąłem więc papiér, pióro i atrament i zająłem się spełnieniem woli don Mathiasa, który mi zaraz podyktował miłosny bilecik w tych wyrazach: „Nie przybyłeś téj nocy w miejsce umówione. Ah! don Mathias i cóż powiész na twoje usprawiedliwienie? Jakżem się uwodziła! jak słusznie mnie karzesz za to, żem była dosyć próżną, by uwierzyć, że wszelkie rozrywki, najważniejsze sprawy ustąpić muszą rozkoszy oglądania dony Klary de Mendoce!" Potém kazał mi pisać inny, jakoby od kobiéty, która dla niego wzgardziła księciem; i wreszcie jeszcze jeden, w którym mu kobiéta jedna objawia, że gdyby była przekonaną o jego delikatności w zachowaniu tajemnicy, gotowa byłaby odbyć z nim podróż Cytery. Nie poprzestał na podyktowaniu mi tych pięknych bilecików, lecz kazał mi położyć podpisy osób bardzo znakomitych. Nie mogłem się wstrzymać, by mu nie oświadczyć, że to uważam za rzecz bardzo drażliwą, ale mnie prosił, żeby mu nie udzielać rady, chyba wtedy, gdy jéj będzie żądał. Musiałem więc milczéć i spełniać rozkazy. Skończywszy tak ważne dzieło, wstał i pomogłem mu ubrać się. Pokładł te listy do kieszeni i wyszedł. Postępowałem za nim i udaliśmy się na obiad don Juana

de Moncade, który w tym dniu częstował pięciu, czy sześciu swoich przyjacioł.

Biesiada była przepyszna, a radość, ta najlepsza bankietów przyprawa, panowała przez całą ucztę. Wszyscy spółbiesiadnicy przykładali się do rozweselenia rozmowy, jedni żarcikami, drudzy opowiadając historyjki, których bohaterami się mienili. Pan mój nie omiął téj sposobności, aby się pochlubić z listami, które mi kazał popisać. Czytał je głośno, z miną tak nakazującą, że może z wyjątkiem jednego sekretarza, wszyscy obecni byli omamieni. Pomiędzy panami w obliczu których odbywało się to czytanie bezczelne, był jeden nazwiskiem don Lope de Velasco. Człowiek bardzo poważny, zamiast bawić się jak inni tém mniemanem powodzeniem czytelnika, zapytał się ozięble, czy pozyskanie względów dony Clary, wiele zabiegów go kosztowało. — Mniéj jak żadnych, odpowiedział don Mathias: ona sama piérwszy krok zrobiła. Widziała mnie na przechadzce, podobałem się. Z jéj rozkazu zwrócono na mnie uwagę, dowiedziano się kto jestem. Pisze do mnie, przeznacza mi swój dom na miejsce widzenia się o północy, kiedy wszyscy spoczywają. Poszedłem, wprowadzono mnie do jéj pokoju... Jestem nadto delikatny, żeby wam resztę objawiać.

Przy tém opowiadaniu tak zwięzłém, widać było wielką zmianę na twarzy don Velasco. Nie trudno było domyślić się, jak dalece obchodziła go kobieta, o któréj była mowa. —Wszystkie te bilety, rzekł, rzuciwszy wzrok wściekły na mojego pana, są zupełnie fałszywe, a nadewszystko ten, który udajesz za list dony Clary de Mendoce. Niémasz w Hiszpanii skromniejszéj nad nią dziewicy. Od dwóch lat, kawaler jeden, który ci nie ustępuje ani rodem, ani osobistą wartością, wszelkich używa środków, by obudzić w niéj miłość. Zaledwie dotąd uzyskał najniewinniejsze względy; ale może sobie pochlebiać, że gdyby tylko zdolna była udzielić innych, toby bez wątpienia jego były udziałem.—A któż ci mówi inaczéj? przerwał don Mathias tonem szyderczym. Zgadzam się z tobą, że bardzo uczciwa panna. Ja z mojéj strony jestem także bardzo uczciwym chłopcem. A zatém łatwo wnioskować możesz, że to co między nami zaszło, było bardzo uczciwe.—To już zanadto, przerwał z kolei don Lope, porzućmy szyderstwa.—Jesteś oszust, nigdy i nigdy dona Clara, nie wyznaczała ci miejsca schadzki w nocy. Nie mogę znieść, abyś miał czernić jéj honor.— I ja także jestem zbyt delikatny, aby ci powiedzieć resztę. To rzekłszy, wbrew zaprzeczył wobec całego towarzystwa, i odszedł z miną, która mi kazała się spodziewać, że to zdarzenie może mieć zgubne następstwa. Pan mój, dosyć odważny, jak na pana takiego rodzaju, wzgardził pogróżkami don Lope.— Głupiec! zawołał śmiejąc się z całego gardła. Błąkający się rycerze, głosili piękność swoich kochanek, a on chce wychwalać skromność swojéj; to mi się zdaje jeszcze dziwaczniejsze.

Oddalenie się don Velasco, czemu napróżno chciał zapobiedz Moncado, nie zamąciło bynajmniéj wesołości biesiady. Panowie niewiele na to bacząc, bawili się wybornie i rozeszli się dopiéro o świcie. Pan mój i ja, położyliśmy się o godzinie piątéj rano. Ciążyły mi powieki, i spodziewałem się spać wybornie; ale rachowałem na to bez naszego gospodarza, czyli raczéj bez odźwiernego, który mię w godzinę późniéj przebudził, żeby mi powiedzieć, że jest przy bramie chłopak, który mnie żąda. — Ah! przeklęty odźwierny, zawołałem ziewając, zastanów się, że dopiéro co położyłem się; powiédz temu chłopcu, że śpię, niech późniéj przyjdzie. — On chce, odpowiedział mi, rozmówić się natychmiast, zapewniając, że rzecz jest nagła. Wstałem więc, włożywszy tylko spodnie i kaftan, i poszedłem przeklinając, zobaczyć tego chłopaka, który na mnie czekał.—Przyjacielu, rzekłem, powiédz mi z łaski swojéj, co za nagły interes sprowadza mi szczęście oglądania cię tak rano. —Mam list, odpowiedział mi, który obowiązany jestem oddać do własnych rąk don Mathiasa, trzeba, żeby go natychmiast przeczytał; jestto niesłychanie ważne dla niego; proszę cię, zaprowadź mnie do jego pokoju. Rozumiejąc, że idzie o rzecz bardzo ważną, pozwoliłem s o b i e obudzić mojego pana.—Przepraszam rzekłem, że przerywam sen panu, ale ważność...—Czego chcesz? krzyknął z gniewem mój pan. Wtedy chłopiec, który mi towarzyszył, odezwał się: — Panie, mam list, który ci winienem oddać od pana Velasco. Don Mathias wziął bilet, otworzył, i przeczytawszy, odezwał się do służącego don Lope: — moje dziecko, nie wstałbym nigdy przed południem, choćby mnie na najrozkoszniejszą zabawę proszono; osądź sam, czy mam wstać o szóstéj godzinie, aby się bić! Możesz powiedzieć swojemu panu, że jeżeli o pół do piérwszéj znajdować się jeszcze będzie na miejscu, które mi wskazuje, zobaczymy się tam; odnieś mu tę odpowiedź. To powiedziawszy, p r z e w r ó c i ł się i wkrótce zasnął.



Don Alphons u stóp Serafiny.

Wstał i ubrał się spokojnie między godziną jedenastą a dwunastą, potém wyszedł, mówiąc, że mnie uwalnia od towarzyszenia sobie; ale mnie zbyt wielka brała pokusa wiedzieć co się daléj stanie, abym go miał usłuchać. Szedłem zdala za nim aż na łąkę św. Hieroni ma, gdzie spostrzegłem don Lope de Velasco, który śmiało czekał na niego. Skryłem się, aby dać baczność na obu zdalecka, i oto com widział. Zeszli się, i po chwili rozpoczęli walkę. Bitwa ich trwała długo. Jeden na drugiego napierał z kolei żwawo i z wielką zręcznością. W końcu jednak zwycięztwo przeszło na stronę don Lope; przeszył mojego pana, zostawił go na ziemi, i sam uszedł, kontent ze swojéj zemsty. Pobiegłem do nieszczęśliwego don Mathiasa, znalazłem go bez przytomności i prawie bez życia. Widok ten rozczulił mnie, nie mogłem wstrzymać się od łez nad śmiercią, któréj byłem, nie myśląc o tém, narzędziem. Jednakże mimo żal, nie zaniedbałem myśléć o moim interesie. Wróciłem szybko do domu nic nie mówiąc; zebrałem moje manatki, tłocząc do nich przez nieostrożność niektóre rzeczy mojego pana, a zaniosłszy to wszystko do mojego cyrulika, u którego ubiór mojego szczę-

ścia znajdował się, rozgłosiłem po mieście smutny wypadek, którego świadkiem byłem. Opowiadałem każdemu, kto tylko chciał słuchać, a nadewszystko pobiegłem zawiadomić o tém don Rodrigueza. Nietyle objawił on żalu, ile troskliwości w wyborze środków, jakie mu przedsięwziąć należy. Zgromadził wszystkich służących, kazał iść z sobą, i wszyscy udaliśmy się na łąkę św. Hieronima. Zabraliśmy don Mathiasa, który oddychał jeszcze, lecz umarł w trzy godziny po przyniesieniu go do mieszkania. Tak zginął don Mathias de Silva, zabrawszy się źle do czytania słodkich liścików zmyślonych.

Rozdział IX.

Do kogo udał się Gil Blas na służbę po śmierci don Mathiasa.

W kilka dni po pogrzebie don Mathiasa, zapłacono wszystkim służącym i odprawiono. Zająłem mieszkanie u mojego cyrulika, z którym wszedłem w ściślejsze stosunki. Spodziewałem się żyć tam przyjemniéj jak u Melendeza. Że mi nie brakło pieniędzy, nie spieszyłem się więc z szukaniem nowéj służby, a prócz tego, zrobiłem się wybredniejszym w wyborze. Nie chciałem odtąd przyjmować obowiązków, tylko u ludzi wyższych od gminu; postanowiłem téż pierwéj dobrze zbadać miejsce, któreby mi ofiarowano. Najlepsze nawet, jeszcze mi się nie zdawało zbyt dobrém dla mnie; tak dalece sługa młodego panicza, zdał mi się wyższym nad innych służących.

Czekając nim los przyjazny nastręczy mi dom, jaki sobie w mojéj wyobraźni uroiłem, mniemałem, że nic lepszego zrobić nie mogę, jak czas wolny teraz, poświęcić mojéj Laurze, z którą nie widziałem się od owego czasu, w którym oboje tak zabawnym sposobem oszukaństwo wzajemne poznaliśmy. Nie śmiałem ubiérać się za Cezara de Ribeira, nie chcąc uchodzić za półgłówka; nie mogłem wdziewać tego ubrania, chyba tylko dla pokazania się pod obcą postacią. Ponieważ jednak moje suknie nie miały jeszcze pozoru zbyt poszarzanych, mogłem więc być przyzwoicie odziany. Ustroiłem się przecież przy pomocy mojego cyrulika, w sposób środkujący, między don Cezarem a Gil Blasem. W takim stanie udałem się do mieszkania Arsenii. Zastałem Laurę w tym samym pokoju, w którym już pierwéj z nią rozmawiałem. — Ah! to ty jesteś, zawołała, spostrzegłszy mnie, rozumiałam żeś zginął. Kilka dni temu pozwoliłam ci odwiedzić mnie; nie nadużywasz wcale jak widzę, wolności, którą ci kobiéty dają.

Usprawiedliwiałem się śmiercią mojego pana, zatrudnieniami rozmaitemi, dodając bardzo grzecznie, że wśród największych trudów, miła moja Laura, zawsze była obecną przed mojemi oczyma. — Kiedy tak, rzekła, nie będę ci robić wyrzutów, i wyznam ci, że także myśliłam o tobie. Skoro tylko dowiedziałam się o śmierci don Mathiasa, zaraz powzięłam zamiar, który ci się zapewne podoba. Oddawna już słyszę moję panię, powtarzającą, że pragnęłaby mieć kogoś nakształt pełnomocnika, młodego człowieka, znającego domowe gospodarstwo, któryby utrzymywał ścisły rachunek summ, jakie jéj dają na wydatki domowe. Zwróciłam oczy na waszą wielmożność; zdaje mi się, żebyś nieźle spełniał te obowiązki.—Czuję, że bym się wywiązał z tego cudownie. Czytałem ekonomikę Arystotelesa, a co się tyczy rachunków, to właśnie moja rzecz... Ale, moje serce, mówiłem daléj, jest jedna okoliczność, która mnie wstrzymuje od przyjęcia służby u Arsenii.—Co za okoliczność? ozwała się Laura.—Przysiągłem, rzekłem jéj, nigdy nie przyjmować służby u mieszczan; a do tego przysiągłem na Styx! Jeżeli Jowisz nie śmiał gwałcić takowéj przysięgi, sądź więc, czy nie wypada aby ją lokaj szanował.—A kogóż ty nazywasz mieszczaninem? mówiła dumnie pokojówka; za cóż ty uważasz aktorki? za komissarzowe lub plenipotentki? Wiedz mój przyjacielu, że aktorki są szlachetne, arcyszlachetne, przez same związki, w jakie wchodzą z wielkiemi panami.

—Na téj zasadzie, oświadczyłem, mogę przyjąć miejsce, które mi ofiarujesz moje ty bóztwo! nie ubliżę sobie w niczém. — Nie, bez wątpienia, odpowiedziała, przejść od panicza do służby teatralnéj bohaterki, to jest obracać się zawsze w jednéjże sferze. My w równi idziemy z panami najznakomitszego rodu. Mamy powozy, jak oni, równie wykwintnie zajadamy, a w gruncie rzeczy za jednoż brać nas wypada i w życiu cywilném. W istocie, dodała, uważać markiza i komedyanta w ciągu dnia, to prawie toż samo. Jeżeli margrabia przez trzy części dnia, przez swój stopień staje wyżéj od aktora, przez ćwierć dnia znowu aktor o wiele wznosi się nad margrabiego przez rolę cesarza lub króla, jaką przedstawia. Co gdy tak jest, zdaje mi się, iż to można uważać za wynagrodzenie szlachectwa i wielkości, które nas równają z panami dworskimi. — Tak zaiste, wy jesteście, rzekłem, równi im bez zaprzeczenia. Bah! aktorowie nie są hultajami, jak ja dotąd sądziłem, zapaliłaś we mnie gorącą żądzę służenia tak zacnym ludziom.—A więc, za parę dni przybywaj, rzekła mi, tyle tylko czasu żądam, aby usposobić moją panię do przyjęcia ciebie; będę cię wysławiać przed nią. Mam trochę władzy nad jéj umysłem; jestem pewna, że cię tu wprowadzę.

Podziękowałem Laurze za jéj życzliwość. Oświadczyłem, że przejęty jestem wdzięcznością dla niéj, a to z takiém uniesieniem robiłem, iż bynajmniéj wątpić o tém nie mogła. Długośmy oboje rozmawiali, i to jeszcze dłużéj byłoby się ciągnęło, gdyby mały lokaj nie wezwał mojéj bogini do Arsenii. Rozłączyliśmy się więc; ja odszedłem od aktorki, ożywiony słodką nadzieją, że niedługo będę tam miał stół bezpłatny, i nie omieszkałem przybyć po dwóch dniach.— Właśnie czekałam na ciebie, ozwała się pokojówka, by cię zawiadomić, że już jesteś spółstołownikiem w naszym domu. Pójdź za mną, przedstawię cię mojéj pani. Poczém zaprowadziła mnie do mieszkania Arsenii, złożonego z pięciu czy sześciu pokojów, jedne pyszniéj od drugich umeblowane.

Co za zbytek! jaki przepych! Mniemałem że się znajduję u księżnéj, albo raczéj zdało mi się, że wszystkie skarby świata widzę zgromadzone w jednem miejscu. Prawda, że były tam kosztowności ze wszystkich narodów; a pomieszkanie to śmiało zwać można było świątnicą bogini, do któréj każdy cudzoziemski wędrownik składał w ofierze drogocenne osobliwości swojego kraju. Ujrzałem moję boginię siedzącą na wielkiéj sofie atłasowéj; wydała mi się bardzo miłą, a dym składanych jéj ofiar, odbijał się wyraźnie na jéj figurze. Była w ubraniu ranném, lecz wykwintném, prześlicznemi rączkami ubiérała nowy czepeczek do roli, którą miała przedstawiać tego wieczora.—Pani, odezwała się do niéj pokojówka, przedstawiam jéj zawiadowcę, o którym mówiłyśmy; mogę śmiało zaręczyć, że nic lepszego nie znajdzie się. Arsenia przyjrzała mi się z wielką uwagą, i miałem szczęście podobać się jéj.—Cóż to Lauro, zawołała, ależ to wcale ładny chłopiec! mam nadzieję, że mi będzie bardzo dogodny. Następnie obracając mowę do mnie, dodała: Moje dziécię, znajduję cię odpowiednim moim życzeniom, krótko ci powiem; będziesz kontent ze mnie, jeżeli ja będę z ciebie. Odpowiedziałem jéj, że starać się będę wszelkiemi siłami, aby ją zadowolić. Skoro zgoda między nami stanęła, wyszedłem natychmiast po moje manatki, i wróciwszy zająłem stanowisko w tym domu.

Rozdział X.

Nie dłuższy od poprzedzającego.

Byłato prawie godzina udania się do teatru; pani moja kazała mi iść za sobą wraz z Laurą. Weszliśmy do jéj loży, w któréj zdjęła suknię miejską, dla przywdziania wspanialszéj, w któréj miała wystąpić na scenę. Po rozpoczęciu widowiska, Laura zaprowadziła mnie do miejsca, z którego mogłem widzieć i wybornie słyszéć aktorów. Nie podobali mi się po większéj części, zapewne dlatego, że don Pompejo uprzedził mnie przeciw nim. To wszakże nie przeszkadzało oklaskom dla wielu, a z tych niektórzy mimowolnie przywiedli mi na myśl bajkę o prosięciu.

Laura powiadała mi nazwiska komedyantów i komedyantek w miarę, jak się oczom naszym przedstawiali. Ale nie kończyła na prostém wymienieniu; lecz uszczypliwa, śliczne ich obraz-

ki malowała.—Ten tu, mówiła, to pusta głowa; tamten zuchwalec; ta pupka, którą tu oto widzisz, której postać więcéj swawolna jak miła, nazywa się Rosarda; szkaradny nabytek dla towarzystwa! lepiéjby było zamieścić ją w truppie, którą z rozkazu wicekróla Hiszpanii zbierają i natychmiast wyprawiają do Ameryki. Patrzno na tę świetną gwiazdę, która się zbliża, to śliczne słońce przy zachodzie; to jest Casilda. Gdyby odtąd, odkąd poczęła wabić kochanków, zażądała od każdego jednego tylko kamienia ciosowego, aby zbudować piramidę, jak to niegdyś zrobiła jakaś egipska księżniczka, mogłaby już wybudować tak wysoką, iżby trzeciego nieba dosięgła. Zgoła, Laura szarpała wszystkich złośliwym języczkiem. Ah! złośliwa buzia! ona nie oszczędzała nawet swojéj pani.

Muszę się atoli przyznać do mojéj słabości; zachwycała mnie moja pokojówka, chociaż jéj charakter nie był moralnie dobry. Nicowała wszystkich z takim wdziękiem, żem wszystko w niéj kochał aż do téj złośliwości. Pomiędzy aktami wstawała, aby dowiedzieć się, czy Arsenia nie potrzebuje jéj usługi; lecz zamiast wracać szybko na swoje miejsce, bawiła się za kulisami, zbieraniem kwiatków od mężczyzn, którzy ją pieścili. Raz poszedłem za nią, by ją uważać, i spostrzegłem, że ma bardzo wiele znajomości. Narachowałem aż trzech komedyantów, którzy ją zatrzymywali jeden po drugim, i zdali mi się rozmawiać z nią bardzo poufale. To mi się nie podobało, i pierwszy raz w życiu uczułem, co to jest być zazdrosnym. Wróciłem na swoje miejsce tak zamyślony i smutny, że Laura natychmiast to spostrzegła, gdy przybyła.—Co ci to, Gil Blas? zapytała się z podziwieniem; jakiś zły humor opanował cię od téj pory, jakem cię opuściła, jesteś tak posępny i zgryziony. — Bóstwo moje! rzekłem, to nie bez powodu; twoje postępowanie jest nieco płoche. Właśnie co widziałem cię z komedyantami...— Ha! zabawny powód smutku, przerwała śmiejąc się. Jakto! i to ci przykrość sprawia? Oh! dalibóg, ty jeszcze daleko jesteś; lepsze jeszcze rzeczy zobaczysz między nami. Musisz się przyzwyczaić do naszych obyczajów swobodnych. Żadnéj zazdrości, moje życie! zazdrośni między ludźmi komicznemi, uchodzą za śmiesznych. Dlatego też, między nimi niéma ich prawie. Ojcowie, mężowie, bracia, stryjaszki, krewni, sąto ludzie najzgodniejsi w świecie, i nawet oni często starają się o wyposażenie swoich rodzin.

Nagadawszy się abym nie miał w podejrzeniu żadnéj osoby, i na wszystko spokojnie patrzył, oświadczyła mi, iż jestem jedyny ze szczęśliwych śmiertelników, który trafiłem do jéj serca. Zapewniła mnie, że jedynym jéj jestem kochankiem. Na to zaręczenie, o którego rzetelności mogłem powątpiewać, nie uchodząc nawet za zbyt podejrzliwego, przyrzekłem jéj, że się nie będę już zatrważał, i dotrzymałem słowa. Tego samego wieczoru widziałem ją bawiącą się i śmieszki rozwodzącą z mężczyznami. Po skończeniu komedyi, wróciliśmy z naszą panią do domu, dokąd wkrótce przybyła Florimonda z trzema podeszłego wieku panami i jednym aktorem, którzy przybyli na wieczerzę. Oprócz mnie i Laury, była jeszcze w tym domu kucharka, woźnica i mały lokaj. Wszyscy pięcioro połączyliśmy się dla przygotowania wieczerzy. Kucharka, niemniéj zręczna jak pani Jacenta, przyrządzała mięso wraz z woźnicą. Pokojówka i mały lokaj, nakrywali stół, a ja opatrywałem bufet, złożony z najpiękniejszych naczyń srébrnych i kilku czar złotych, innego rodzaju ofiary, które bogini téj świątnicy złożono. Przyozdobiłem go butelkami rozmaitych win, i zająłem miejsce cześnika, aby pokazać mojéj pani, że jestem zdolny do wszystkiego. Dziwiłem się wstrzemięźliwości aktorek w czasie wieczerzy; przybrały postawę kobiét jakiegoś znaczenia; wystawiały sobie, że należą do wyższego rzędu. Nietylko, że nie bąknęły nawet o jaśnie wielmożności tych panów, ale nawet nie raczyły używać tytułów wielmożności, wołały na nich poprostu po imieniu. Prawda, że oni sami je psuli, oni je nauczyli téj próżności, zanadto poufale z nimi postępując. Aktor ze swojéj strony, przywykły do udawania bohatera, żył z niemi bez przymusu; pił za ich zdrowie i rej prowadził, że tak powiém, na téj uczcie. Dalibóg, pomyśliłem sobie, kiedy Laura dowodziła mi, że markiz i aktor są sobie równi podczas dnia, mogła śmiało dodać, iż są niemi jeszcze bardziéj w nocy, ponieważ ją całą przepędzają na spólném pijaństwie.

Arsenia i Florimonda, były z natury wesołe. Tysiące śmiałych wyrażeń puszczały, przeplatając je drobną względnością i delikatnemi umizgami, które chciwie chwytali ci starzy grzesznicy. Gdy moja pani bawiła jednego gawędką niewinną, przyjaciołka jéj, siedząc między dwoma drugimi, nie udawała wcale Zuzanny. Kiedy tak rozważałem ten obraz, zbyt ponętny dla podeszłego młodzieniaszka, przyniesiono owoce. Wtedy postawiłem na stole butelki z likworem, podałem kieliszki, i sam wymknąłem się spiesząc na wieczerzę z Laurą, czekającą na mnie. — A cóż, Gil Blas, jak sądzisz o tych panach, których widziałeś? rzekła do mnie. — To są niechybnie, odpowiedziałem, wielbiciele Arsenii i Florimondy. — Nie, powiedziała mi, to są starzy lubieżnicy, którzy uczęszczają do zalotnic, nie przywiązując się do nich wcale. Nie żądają od nich więcéj, nad cokolwiek powolności, a dosyć są wspaniałomyślni, by drogo płacić najdrobniejsze względy, jakiemi ich darzą. Dzięki Bogu, Florimonda i moja pani, nie mają teraz kochanków; tojest, chcę mówić, nie mają tych kochanków, co się to narzucają na mężów, chcą stanowić całą rozkosz domu, ponieważ ponoszą wszystkie jego koszta. Ja z tego jestem bardzo kontenta, utrzymuję, że każda zalotnica rozsądna powinna unikać tego rodzaju zobowiązań. Na cóż nadawać sobie pana? lepiéj zbiérać grosz za groszem na swoje urządzenie, niż za tę cenę miéć je całe odrazu.

Kiedy Laura wpadła na tok mowy, a tego jéj prawie nigdy nie brakło, wtedy wyrazy nic ją nie kosztowały. Co za giętkość języka! Opowiadała mi tysiące przygód, jakie się zdarzyły aktorom z truppy teatru książęcym zwanego; ze wszystkich zaś tych rozmów wniosłem, że nie mogłem znaléźć dogodniejszego miejsca dla poznania występków; na nieszczęście byłem w tym wieku, w którym one nie obudzają wstrętu; a dodać muszę, że pokojówka tak ładnie umiała malować rozwiązłość, iż w niéj samą tylko rozkosz widziałem. Nie miała czasu opowiedzieć mi nawet dziesiątéj części czynów aktorek, bo dopiéro od trzech godzin prawiła. Panowie i aktor oddalili się z Florimondą, którą do jéj mieszkania odprowadzili.

Po ich wyjściu, moja pani kładąc mi w ręce pieniądze, rzekła:— Oto masz Gil Blasie dziesięć luidorów, abyś za to jutro rano, potrzebne zakupił przedmioty. Pięciu czy sześciu naszych panów i kobiét, mają tu jeść obiad; staraj się, żebyś nas przyzwoicie uraczył.—Pani odpowiedziałem, za tę summę potrafię sprowadzić tyle rzeczy, iż wystarczy do uczęstowania całéj nawet truppy.—Mój przyjacielu, przerwała mi Arsenia, popraw swoje wyrażenia. Wiédz, że nietrzeba mówić truppa, należy mówić towarzystwo. Mówi się bardzo dobrze truppa złodziejów, truppa żebraków, truppa autorów; ale pamiętaj, że wypada mówić: towarzystwo komedyantów. Aktorowie madryccy nadewszystko zasługują, aby ich nazywano towarzystwem. Przeprosiłem moję panię, żem użył wyrażenia tak ubliżającego, pokornie błagałem, aby przebaczyła mojéj niewiadomości. Zaręczyłem jéj, że w następstwie czasu, ilekroć wypadnie mi mówić o panach komedyantach w sposobie zbiorowym, użyję zawsze wyrazu, towarzystwo.

Rozdział XI.

Jak aktorowie żyli między sobą, i jak obchodzili się z autorami.

Nazajutrz rano wybrałem się po sprawunki, by rozpocząć obowiązki zawiadowcy. Byłto dzień postny; z rozkazu pani kupiłem kapłony tłuste, króliki, kuropatwy i inne drobiazgi. Ponieważ panowie aktorowie niebardzo są kontenci z postępowania kościoła z nimi, przynajmniéj w niektórych względach, dlatego też nie zachowują jego poleceń. Tyle mięsa przyniosłem do domu, iżby go wystarczyło dla dwunastu porządnych osób, na całe trzy dni karnawału. Kucharka miała co do roboty przez cały poranek. Kiedy urządzała obiad, Arsenia wstała i do samego południa czas spędziła przy toalecie. Wtedy panowie Rosimiro i Ricardo, aktorowie, przybyli; za ni-

mi nadeszły dwie komedyantki Constantia i Celinora; a wkrótce pojawiła się Florimonda, w towarzystwie mężczyzny mającego postać *senor cavallero* i to jednego z najzgrabniejszych. Włosy miał elegancko związane, na kapeluszu kita z piór koloru ciemno-żółtego, spodnie bardzo obcisłe, a przez rozpięcia kaftana widać było koszulę batystową z bardzo piękną koronką. Rękawiczki i chustka do nosa, zatknięte były w rękojeść szpady, płaszcz zarzucony z wdziękiem szczególnym.

Postawę wprawdzie miał dobrą, i do tego był wcale przystojny, a jednak zaraz z pierwszego wejrzenia coś mnie osobliwego w nim uderzało. Ten szlachcic, myśliłem sobie, musi to być jakiś oryginał. Nie omyliłem się wcale: było to odznaczający się charakter. Skoro wszedł do pokoju Arsenii, przebiegł go szybko z otwartemi rękami, ściskając po kolei aktorów i aktorki, z objawami radości bardziéj jeszcze przesadzonemi, niż to czynić zwykli paniczyki. Nie zmieniłem mojego mniemania, usłyszawszy jego rozmowę; wybijał ton na każdéj zgłosce, każdy wyraz jakby wyrąbał, z niesłychaną przesadą; do przedmiotu stosował poruszenia rąk i oczu. Z ciekawością zapytałem się Laury, coby to był za szlachcic.—Nie dziwi mnie, rzekła mi, twoja ciekawość; niepodobna oprzéć się temu uczuciu, widząc i słysząc pierwszy raz pana Carlos Alonso de la Ventoleria; zaraz ci odmaluję portret jego z natury. Naprzód, jestto człowiek, który był komedyantem. Porzucił teatr z fantazyi, a żałował potém z wyrachowania. Czyś uważał jego włosy czarne? Farbowane są równie jak brwi i wąsy. On starszy podobno od Saturna, ale że w chwili urodzenia, rodzice zapomnieli wpisać jego imienia w metryki kościelne, on téż korzystając z tego zaniedbania, czyni się młodszym niż jest, przynajmniéj o dobre dwadzieścia lat. Obok tego, jestto może jedyny człowiek w całéj Hiszpanii, tak wysoką o sobie mający opinią. Podobno aż do spełnienia szóstego krzyżyka swojego życia, był w grubéj pogrążony niewiadomości; żeby wszakże wyjść na uczonego, przyjął nauczyciela, który go wprawił w syllabizowanie greckie i łacińskie. Oprócz tego, umié na pamięć mnóstwo ładnych powiastek, które powtórzywszy tyle razy jako swój własny utwór, w końcu sam nabył przeświadczenia, że tak jest w istocie. Przytacza je w rozmowie, i można powiedzieć, że dowcip jego błyszczy kosztem pamięci. Zresztą wszyscy powiadają, że to wielki aktor; ja chcę temu wierzyć z pokorą; ale przyznam się, że mi się wcale nie podobał. Słyszę go czasami deklamującego tu, ale między innemi wadami, zdaje mi się jego sposób wymawiania wymuszony, głos drżący, co deklamacyi jego nadaje ton jakiś przestarzały, śmieszny.

Taki wizerunek tego szanownego arlekina, podała mi moja pokojówka, ale w istocie nie zdarzyło mi się widzieć śmiertelnika większą pychą nadętego. Udawał także bawiącego towarzystwo: wydobył ze swojego zapasu dwie czy trzy powiastki, które wydeklamował z nadętością i poruszeniami wyrachowanemi. Z drugiéj strony, aktorowie i aktorki, którzy tam przybyli nie na grę w mruczka, nie byli wcale niemowami. Rozmawiali o swoich towarzyszach nieobecnych, nie z wielką miłością chrześciańską wprawdzie, ależ takie drobiazgi przebaczają się aktorom i autorom. Rozmowa więc ożywiała się na uszczerbek bliźniego.— Nie wiész pani, odezwał się Rosimiro, nowego dowcipu Cesarina, naszego braciszka. Dziś rano kupił pończochy jedwabne, wstążki i koronki; kazał je przynieść sobie na pewne zebranie, przez małego pazia, z oświadczeniem, że są darem jakiéjś hrabini. — Co za oszustwo! rzekł pan de la Ventoleria, uśmiechając się z miną nadętą i głupią. Za moich czasów z lepszą wiarą postępowano; nie myśleliśmy wcale o wynajdywaniu podobnych bajek. Prawda, że kobiéty znakomitego rodu oszczędzały nam trudu zmyślania; same robiły sprawunki; taka była ich fantazya. — Bah! dodał Ricardo w tym samym tonie, tę fantazyę mają i dziś jeszcze, i gdyby wolno było jaśniéj wyrazić się w tym względzie... Ależ przecie należy się zamilczać tego rodzaju wypadki, zwłaszcza gdy osoby wyższego stopnia są w tém interesowane.

—Panowie, przerwała Florimonda, dajcie pokój z łaski swojéj waszemu szczęściu w miłości; to już zna cały świat; mówmy o Ismenii. Głoszą że ten pan, co to tyle na nią wydawał, porzucił ją.—Doprawdy, zawołała Constantia; ja wam więcéj powiem, ona utraca tego malutkiego plenipotenta, któregoby była niezawodnie zrujnowała; ja wiem tę rzecz z najpewniejszego źródła. Posłaniec jéj ustrzelił bąka, zaniósł panu bilecik przeznaczony do jego plenipotenta, a plenipotentowi, wręczył pisany do jego pana. Otóż to ciężkie straty, rzekła Florimonda.— Oh, co do pana, dodała Constantia, to rzecz małéj wagi. Kawaler już prawie całe swoje mienie spożył; ale ten mały człowieczek, ten plenipotent, dopiéro co wstępował w szranki, jeszcze nie przeszedł przez ręce zalotnic; tego właśnie jest co żałować.

Tak rozmawiali przed obiadem; w tymże samym przedmiocie toczyły się rozprawy przy stole. Nie skończyłbym, gdybym chciał powtarzać wszystkie gawędki, naszpikowane obmową lub pustotą, dlatego czytelnicy nie wezmą mi za złe, że je pominę, by wspomnieć, jakim sposobem przyjęty został autor biedak, który przybył pod koniec biesiady. Nasz mały lokaik wszedł, i głośno odezwał się do gospodyni domu:—Pani, jakiś człowiek w brudnéj koszuli, zabłocony aż po pas, który z przeproszeniem, zupełnie wygląda na poetę, życzy sobie mówić z panią.—Niech wejdzie, rzekła Arsenia. Nie ruszajmy się panowie, to autor. W istocie, było to autor, którego tragedyą przyjęto, a który przyniósł rolę mojéj pani; nazywał się Pedro de Moya. Wchodząc, ukłonił się kilka razy bardzo nizko całemu zgromadzeniu, które nietylko że się nie ruszyło, ale nawet nie raczyło go powitać. Arsenia lekkiém skinieniem głowy odpowiedziała na grzeczności, któremi ją obsypał. Postąpił naprzód drżący i pomieszany. Upuścił rękawiczki i kapelusz, podniósł je, zbliżył się do mojéj pani, i podając jéj papiér z większém uszanowaniem, niż obrońca przedstawia swoję skargę sędziemu, rzekł:—Pani, przyjm łaskawie rolę, którą śmiem ci ofiarować. Odebrała ją w sposób obojętny i pogardliwy, i nie raczyła nawet odpowiedzieć na tę grzeczność.

To atoli nie zraziło naszego autora, który korzystając ze sposobności, rozdał także inne role, jednę ofiarował Rosimirowi, drugą Florimondzie, którzy z takąż samą grzecznością postąpili z nim, jak Arsenia. Co większa, komedyant bardzo uprzejmy z natury, jak ci panowie są pospolicie, naigrawał się z niego szyderczemi docinkami. Pedro de Moya czuł to dobrze, nie śmiał wszakże odcinać się z obawy, aby sztuka jego nie ucierpiała; odszedł, nic nie mówiąc, lecz zdawał mi się mocno dotknięty takowém przyjęciem. Spodziewam się, że musiał w myśli swojéj doskonale wyszamerować komedyantów, jak na to zasługiwali; aktorowie zaś po jego odejściu zaczęli rozmawiać o autorach, z wielkim szacunkiem.

—Zdaje mi się, mówiła Florimonda, że pan Pedro de Moya niebardzo zadowolony oddalił się. — Ah, pani, zawołał Rosimiro, o co się tak troszczysz? czyż autorowie warci są naszéj uwagi? Gdybyśmy chcieli się równać z nimi, tobyśmy ich popsuli. Znam ja tych paniczów, o znam dobrze, niedługo zapomnieliby się. Obchodźmy się z nimi ciągle jak z niewolnikami, nie bójmy się o zmordowanie ich cierpliwości. Jeżeli ich gniéw oddala niekiedy od nas, szał pisania znowu zwraca, i dosyć są szczęśliwi, jeżeli tylko chcemy grać ich sztuki.— Bardzo słusznie, odezwała się Arsenia, my tylko tych autorów tracimy, którym los zapewniamy. Co do tych, jeżeli tylko ich dobrze postawimy, zaraz pragną wygód i przestają pracować. Szczęściem towarzystwo szybko się pociesza, a publiczność nic na tém nie cierpi.

Przyklaśnięto tak pięknéj mowie, i pokazało się, że autorowie mimo tak złe obchodzenie się z nimi komedyantów, jeszcze im winni wdzięczność wreszcie. Te arlekiny stawiły ich niżéj siebie, i zaiste, większéj wzgardy nie mogły im objawić.

Rozdział XII.

Gil Blas nabiéra gustu do teatru, zatapia się w rozkoszach życia komicznego, a wkrótce czuje wstręt do niego.

Biesiadnicy siedzieli przy stole, póki nie nadszedł czas udania się do teatru. Wtedy wszyscy razem poszli. Ja udałem się za nimi, i widziałem znowu komedyą tego dnia. Tak mi się po-

dobała, że postanowiłem być na niéj codziennie. Nie uchybiłem ani razu, i zwolna przyzwyczaiłem się do aktorów. Zważcie co to za potęga nałogu; najwięcéj zachwycali mnie ci, którzy najbardziéj wrzeszczeli i rzucali się na scenie, ale to nie ja jeden miałem taki gust.

Piękność sztuk niemniéj mnie wzruszała, jak sposób ich przedstawienia. Były między niemi niektóre, co mnie w zachwycenie wprawiały, najbardziéj lubiłem te, w których występowali wszyscy kardynałowie, lub dwunastu parów dawnéj Francyi. Uczyłem się na pamięć wyjątków z tych niezrównanych poematów. Przypominam sobie, że w przeciągu dwóch dni nauczyłem się na pamięć całéj komedyi, któréj tytuł był: *Królowa kwiatów*. Róża była królową, powiernikiem jéj fijołek, a maszkalerzem jaźmin. Zdawało mi się, że nic nie może być dowcipniejszego nad te dzieła, które według mnie, wielki stanowiły zaszczyt gieniuszu naszego narodu.

Nie poprzestałem na zbogaceniu pamięci najpiękniejszemi wyjątkami tych wzorowych utworów sztuki dramatycznéj, starałem się także o wykształcenie gustu mojego, żeby zaś ten cel osiągnąć, słuchałem z należną uwagą wszystkiego, co o dziełach mówili aktorowie. Jeżeli oni chwalili jaką sztukę, i ja wysoko ją ceniłem; im się złą wydawała, ja nią gardziłem. Wyobrażałem sobie, że oni muszą się znać na sztukach teatralnych, jak jubilerowie na dyamentach. Ztémwszystkiém, tragedya don Pedra de Moya, zyskała wielkie powodzenie, chociaż oni zawyrokowali, że się nie uda. To jednak nie potrafiło zachwiać mojém przekonaniem, abym miał powątpiewać o ich zdaniu; wolałem raczéj przypuszczać, że publiczność nie ma rozsądku, aniżeli tracić wiarę w nieomylność towarzystwa. Jednakże ze wszech stron zapewniano mnie, że pospolicie z oklaskami przyjmowano sztuki nowe, o których aktorowie złą wydali opinią; a przeciwnie te, które oni z radością przyjmowali, prawie zawsze były wygwizdane. Mówiono mi że to oni mają za prawidło u siebie, źle trzymać o dziełach; w skutek tego wymieniano mi tysiące sztuk, które się okazały w sprzeczności z ich sądem. Trzeba mi było aż tylu dowodów, aby wyjść z omamienia.

Nie zapomnę nigdy co się raz stało gdy przedstawiano nową komedyą. Aktorowie uznali ją za zimną i nudną; osądzili nawet, że jéj nie dokończą. W tém przekonaniu grali piérwszy akt, który zyskał oklaski. To ich zdziwiło; grają drugi akt, ten jeszcze lepiéj przyjęty jak piérwszy. Tu już moi panowie aktorowie zmieszani.—Cóż u djabła, zawołał Rosimiro, co to jest z tą komedyą? Wreszcie grają trzeci akt, a ten jeszcze bardziéj się podobał.—Nie rozumiem tego, rzekł Ricardo, byliśmy pewni, że ta sztuka nie podoba się, a tu patrz, z jaką rozkoszą ją przyjmują.— Panowie, ozwał się bardzo naiwnie jeden z aktorów, bo w niéj jest mnóstwo wyskoków dowcipnych, którycheśmy nie spostrzegli.

Przestałem więc uważać aktorów za sędziów doskonałych, i odtąd nauczyłem się oceniać sprawiedliwie ich zasługę. Aż nadto usprawiedliwiali wszelkie docinki, jakiemi ich obdarzano. Widziałem aktorów i aktorki, których oklaski zepsuły, którzy uważając się za przedmiot podziwu, wyobrażali sobie, że łaskę wyświadczają publiczności, skoro występują na scenę. Raziły mnie ich błędy, ale na nieszczęście, podobał mi się ich tryb życia, zagrzęzłem w rozpuście. Jakżebym potrafił zastawić się od tego? Wszystkie rozmowy, które pomiędzy niemi słyszałem, były zgubne dla młodzieży; wszystko cokolwiek widziałem, zdążało do zepsucia. Gdybym nawet nie wiedział był co się dzieje u Kasildy, Constancyi i innych, dom Arsenii, sam jeden zdolny był mnie znieprawić. Prócz podeszłych panów, o których już wspomniałem, przychodzili tam paniczkowie, dzieci rodzin znakomitych, którym lichwiarze dostarczali funduszów na wydatki; niekiedy przyjmowano także dzierżawców myta publicznego, którzy wbrew swoim zwyczajom, zamiast pobiérać płacę za swoję obecność, opłacali drogo za to, że im wolno było być tam obecnymi.

Florimonda mieszkająca w domu sąsiedzkim, codzień obiad i wieczerzę jadła u Arsenii; zdawały się obie żyć w tak ścisłéj zgodzie i jedności, że to wszystkich zdumiewało. Nikt nie mógł tego pojąć, aby dwie zalotnice w takiém porozumieniu żyć mogły; i wystawiano sobie, że prędzéj lub późniéj, poróżnią się o jakiego kochanka. Ale nie znano dobrze tych doskonałych przyjaciółek; łączyła je przyjaźń, na stałéj korzyści oparta; zamiast zazdrościć sobie, jak pospolite kobiéty, one żyły w spółce, wolały dzielić się łupami mężczyzn, aniżeli w głupi sposób wadzić się o ich wzdychania.

Laura wzorem tych dwóch świetnych spółtowarzyszek, korzystała także z pięknych dni swoich; prawdę mi powiedziała, że piękne rzeczy zobaczę. Jednakże nie grałem roli zazdrosnego; przyrzekłem, że pod tym względem przybiorę ducha towarzystwa; przez kilka czasów udawałem. Poprzestałem na pytaniu się za każdym razem, coby to był za mężczyzna, z którym na osobności bawiła, odpowiadała mi zawsze, że to był wuj, stryj lub powinowaty.

Przez trzy tygodnie ulegałem potokowi. Wylałem się na wszelkiego rodzaju rozkosze. Lecz wyznać muszę zarazem, że wśród uciech czułem w sobie jakieś wyrzuty, które były skutkiem mojego wychowania, a zaprawiały goryczą moje zabawy. Rozwiązłość nie potrafiła wziąć góry nad zgryzotą sumienia; przeciwnie, im rozpustniejszym się stawałem, z tém większą siłą wzmagała się zgryzota; i skutkiem nieszczęśliwym mojéj natury, nierządne życie komiczne, zgrozą mnie przejęło. Ah, nędzniku! mówiłem sam do siebie, toż w ten sposób spełniasz nadzieje twojéj familii? Nie dosyćże na tém, żeś ją zawiódł przyjmując inne powołanie, a nie nauczycielskie? służebne twoje powołanie, maż ci przeszkadzać do życia uczciwego? Przystałoż ci pędzić życie z ludźmi tak występnymi? Zawiść, złość i chciwość, włada jednymi; wstyd wygnany jest od drugich; jednymi próżniactwo i niewstrzemięźliwość powoduje, drugich pycha do bezczelności dochodzi. Stało się, nie chcę dłużéj przebywać w towarzystwie siedmiu grzechów śmiertelnych.

KSIĘGA CZWARTA.

Rozdział I.

Gil Blas opuszcza służbę Arsenii i znajduje uczciwsze miejsce.

Szczątki honoru i religii, jakie nawet wśród tego skażenia obyczajów zachowałem, skłoniły mnie nietylko do opuszczenia Arsenii, ale nawet do zerwania wszelkich stosunków z Laurą; jednak nie mogłem wygluzować z serca miłości, choć wiedziałem że mi się stokrotnie przeniewierzyła. Szczęśliwy kto umié korzystać z chwili, w któréj rozum biorąc górę nad namiętnościami zamąci rozkosze, jakim się poddał! Pewnego poranku poukładałem moje manatki i nie rachując się nawet z Arsenią, od któréj mi się nic prawie nie należało, nie pożegnawszy się z moją drogą Laurą, opuściłem ten dom, w którym samém tylko rozpusty powietrzem oddychano. Tylko com dokonał czynu tak dobrego, zaraz mi Pan Bóg wynagrodził.

Spotkałem marszałka nieboszczyka don Mathiasa; skłoniłem się mu, a on mnie poznał odrazu i zapytał się u kogobym służył. Odpowiedziałem mu, że właśnie w téj chwili jestem bez miejsca: że przebywszy blizko miesiąc u Arsenii, któréj obyczaje nie podobały mi się wcale, opuściłem ją z własnéj woli, dla ocalenia mojéj niewinności. Marszałek, nibyto wielki skrupulat, pochwalił moję cnotę, oświadczając, że mi sam wynajdzie miejsce dogodne, dlatego samego, że byłem chłopcem pełnym uczciwości. Dotrzymał słowa, bo tegoż jeszcze dnia umieścił mnie u don Wincentego de Guzman, przez znajomość z jego plenipotentem.

Nie mogłem żądać lepszego domu, dlatego téż i późniéj nigdy nie żałowałem, żem w nim przebywał. Don Guzman byłto stary, bardzo bogaty szlachcic, który od kilku lat błogie pędził życie, nie mając procesów, ani żony: lekarze mu ją zabrali, chcąc ją uwolnić od kaszlu, z którymby niezawodnie długo była się męczyła, gdyby była nie używała ich lekarstw. Zamiast

myśléć o powtórnych ślubach, on cały poświęcił się wychowaniu Aurory, jedynéj swojéj córki, która wtedy rozpoczynała rok dwudziesty szósty i mogła się uważać za zupełnie ukształconą kobiétę. Z niepospolitemi wdziękami, łączyła umysł trafny i wszechstronnie rozwinięty. Ojciec jéj dość ciasną miał głowę, lecz wybornie kierował swoimi interesami. Miał on wadę, którą się starcom chętnie przebacza: szeroko lubił rozprawiać o wojnie i bitwach. Jeżeli nieszczęściem w jego przytomności trącił ktoś w tę stronę, on natychmiast chwytał trąbę sławy bohaterskiéj, i słuchacze jego za szczęśliwych się poczytać mogli, jeżeli się skończyło na szczegółach dwóch oblężeń i trzech walnych bitew. Ponieważ dwie trzecie życia swojego spędził pod chorągwią, ztąd pamięć jego stała się źródłem niewyczerpaném najrozmaitszych zdarzeń których jednak nie każdy rad był słuchać z taką przyjemnością, z jaką on je lubił opowiadać. Dodać do tego należy, że się jąkał, a w wysłowieniu był zbyt rozwlekły, co niebardzo uprzyjemniało jego opowiadanie. Zresztą nie zdarzyło mi się spotkać pana tak dobrego charakteru; humor zawsze jednostajny, nie był ani uparty, ani grymaśny, co jest dość dziwne w człowieku znakomitego rodu. Choć był oszczędnym, żył jednak uczciwie. Dwór jego składał się z kilku służących i trzech kobiét do usługi Aurory. Z piérwszego wstępu poznałem, że marszałek don Mathiasa wyborne nastręczył mi miejsce, począłem więc myśléć, jakby się w niém stale utrzymać. Naprzód więc starałem się rozpoznać moje pole; śledziłem skłonności jednych i drugich; a następnie w miarę poczynionych postrzeżeń, kierując mojém postępowaniem, potrafiłem zyskać względy pana i przychylność służących.

Już przeszło miesiąc przepędziłem u don Guzmana, gdy zdało mi się, że córka jego wyżéj mnie jakoś cenił niż innych służących. Ilekroć zwróciła oczy na mnie, spostrzegałem w jéj wzroku jakąś uprzejmość, któréj nie mogłem się dopatrzyć, gdy na innych spoglądała. Gdybym był nie znał paniczów i aktorów, nigdyby mi nie przyszło do głowy, żeby Aurora mogła o mnie myślić: ale popsułem się trochę między temi panami, u których i najznakomitsze kobiéty nie zawsze zbyt pięknie występują. Jeżeli pomyśliłem sobie, można wierzyć tym arlekinom, znakomite kobiéty mają niekiedy swoje fantazye, z których oni korzystają; albo ja wiém, czy téż i moja pani nie podlega czasem podobnym fantazyom? Ale nie, mówiłem sobie po chwili namysłu, nie mogę temu wierzyć. Ona nie należy do rzędu tych Messalin, które zapominając o godności swojego rodu, zatapiają podły wzrok w nikczemném błocku, i hańbią się bez zarumienienia; jestto raczéj jedna z tych dziewic cnotliwych, ale czułych, która strzegąc granic, jakie cnota ich czułości zakreśliła, nie robi sobie skrupułu z obudzenia i przejęcia się namiętnością, która ją bawi bez niebezpieczeństwa.

Tak sądziłem o mojéj pani, nie wiedząc wszakże czego się trzymać stanowczo. Ztémwszystkiém, ile razy mnie spostrzegła, zawsze się uśmiechała i wyraźną objawiała radość. Można więc było omamić się tak pięknemi pozorami, nie lękając się wcale posądzenia o głupstwo; dlatego téż i ja nie miałem sposobu obronienia się. Wydawało mi się że Aurora silnie jest zajęta moją osobą, i odtąd uważałem się za jednego z tych szczęśliwych służalców, którym miłość osładza ich powołanie. Aby się okazać tém godniejszym względów przyjaznéj fortuny, przemyśliwałem nad tém, coby mogło pomnożyć moje wdzięki. Wszystkie moje piéniężne zasoby poświęciłem na bieliznę, pomady i wonne olejki. Każdego poranku piérwszém mojém staraniem było ustroić się, zlać wonnościami, aby nie wystąpić w ubiorze zaniedbanym, skoroby wypadło przedstawić się mojéj pani. Tak zajęty ubiorem, troskliwemi zabiegami o wszystko, przez cobym się mógł przypodobać, mniemałem, że szczęście moje nie może być zbyt dalekie.

Pomiędzy kobiétami Aurory była niejaka Ortiz, w wieku już podeszłym, od dwudziestu przeszło lat w domu don Vincentego bawiąca. Onato wychowała córkę jego i stopień ochmistrzyni dotąd zachowała, nie pełniąc wszakże przykrych obowiązków tego powołania; owszem, zamiast kierować postępowaniem Aurory, jak dawniéj, ona teraz zajmowała się troskliwém jego tajeniem. Otóż ta pani Ortiz upatrzywszy pewnego wieczora chwilę, w któréj mogła ze mną rozmówić się bez świadka, szepnęła mi cicho do ucha, że jeżeli będę rozsądnym i milczącym, mogę się dowiedzieć czegoś ważnego, bylebym o północy udał się do ogrodu na wskazane mi miejsce. Ściskając serdecznie rękę mistrzyni, zapewniłem ją, że nie omieszkam stawić się na czas oznaczony. Już więc nie wątpiłem wcale o miłości córki don Vincentego i radość, jaka z tego powodu serce moje ogarnęła, ledwie ukryć zdołałem. Jakżeżto wolno wlekł się wtedy czas od tego momentu, aż do wieczerzy, choć wieczerza w tym dniu była dosyć rychło, a jeszcze wolniéj od wieczerzy aż do udania się na spoczynek pana mojego! Zdawało mi się, że tego wieczora wszystko się odbywało w domu naszym z niepojętą opieszałością. Na domiar nudów, kiedy don Vincenti udał się do sypialnego pokoju, zamiast zabiérać się do spoczynku, on tymczasem rozpoczął nowe powtarzanie wypraw portugalskich, któremi już nieraz mi głowę zawracał; a czego jeszcze dotąd nie zrobił i co wyraźnie na ten wieczór zachował, to było wyliczenie nazwisk wszystkich oficerów, którzy się wtedy odznaczyli, z wymienieniem ich walecznych czynów. Cóż to za męka dla mnie słuchać tego aż do końca! Skończył przecież i położył się. Natychmiast udałem się do izbetki, w któréj stało moje łóżko, z któréj krytemi schodkami dostać się można było do ogrodu. Wytarłem się cały pomadą, wziąłem świéżą koszulę dobrze wonnościami przejętą i kiedym już wszystkiego dopełnił, co mogło schlebiać kaprysom mojéj pani, udałem się na miejsce wskazane.

Nie zastałem pani Ortiz. Sądziłem że znudzona długiém oczekiwaniem wróciła do swojego pokoju, że godzina szczęścia miłosnego przeszła. Zacząłem narzekać na don Vincentego, lecz gdym przeklinał jego wyprawy, usłyszałem zégar bijący dziesiątą godzinę. Pewny byłem, że zegar źle idzie, bo rzecz niepodobna, aby już przynajmniéj piérwsza godzina po północy nie była. Ale tak dobrze zwodziłem się, że w kwadrans późniéj na innym zégarze usłyszałem znowu dziesiątą godzinę. Wybornie, pomyśliłem sobie, a zatém jeszcze dwie godziny czatować muszę. Przynajmniéj nie będą narzekać na moję opieszałość? Co ja będę robił do północy? Przejdę się po ogrodzie i pomyślę nieco o roli, którą mam odegrać, jest ona dla mnie zupełnie nową. Jeszczem się nie oswoił z wybrykami dam wyższego tonu. Potrafiłbym postąpić sobie z pokojówkami i aktorkami. Do tych przystępuje się poufale i bez ogródki puszcza się na dalsze przygody; ale z osobami innego stanu wcale odmiennych potrzeba obrotów. Trzeba, jak mi się zdaje, aby gach był grzecznym, uprzejmym, czułym, pełnym uszanowania, ale bynajmniéj nie bojaźliwym. Zamiast w niewczesnym zapale przyspieszać chwilę szczęścia, winien go oczekiwać od jéj słabości.

Tak sobie myśliłem i tak postanowiłem sprawić się wobec Aurory. Wystawiałem sobie, że wkrótce będę miał szczęście znajdować się u stóp nadobnéj kobiéty, wynurzając jéj miłosne zapały. Przywodziłem sobie na pamięć wyjątki z naszych sztuk teatralnych, których mógłbym z chlubą użyć w naszém spotkaniu sam na sam, miałem nadzieję zręcznego ich zastosowania i pewny byłem, że wzorem niektórych aktorów dobrze mi znanych, potrafię ujść za dowcipnego, wtedy gdy tylko dowiodę niezłéj pamięci. Takowém rozmyślaniem zajęty, które było daleko przyjemniejsze dla mojéj fantazyi, niż wszystkie wyprawy wojenne mojego pana, usłyszałem jedenastą godzinę. Dobrze, mówiłem sobie, już tylko sześćdziesiąt minut mam czekać: uzbrójmy się cierpliwością. Nowéj nabrałem odwagi: zatopiony w myślach, to przechodziłem się po ogrodzie, tom siadał w zielono umajonéj altanie, w końcu ogrodu, wreszcie długo oczekiwana godzina dwunasta wybiła. W kilka chwil Ortiz równie punktualna, lecz nie tak niecierpliwa, przybyła.—Panie Gil Blas, rzekła zbliżając się do mnie, jak dawno tu jesteś?—Od dwóch godzin, odpowiedziałem.—Oh! zaiste, rzekła śmiejąc się ze mnie, jesteś bardzo akuratnym: aż miło wyznaczyć ci w nocy godzinę do rozmowy. Prawda, mówiła daléj w tonie

poważnym, nie jest to zawiele za szczęście, które ci mam zwiastować. Moja pani chce się z tobą osobiście rozmówić, i kazała mi wprowadzić cię do pokoju, w którym czeka na ciebie. Więcéj ci nie powiem, reszta jest tajemnicą, któréj się dowiész z jéj własnych ust. Pójdź za mną, poprowadzę cię. To rzekłszy, wzięła mnie za rękę, i przez małe drzwiczki, od których klucz miała, wprowadziła mnie tajemniczo do pokoju swojéj pani.

Rozdział II.

Jak Aurora przyjęła Gil Blasa, i o czém rozmawiali.

Zastałem Aurorę w wieczorném ubraniu; to mnie ucieszyło. Ukłoniłem się jéj z wielkiém uszanowaniem i z wdziękiem, na jaki tylko zdobyć się potrafiłem. Przyjęła mnie uśmiechając się, i kazała mi usiąść obok siebie, mimo mojéj woli, lecz co mnie najwięcéj zachwyciło, to rozkaz dany posłance, aby się oddaliła, zostawiając nas samych. Poczém zwracając mowę do mnie, odezwała się: — Gil Blasie, musiałeś to już spostrzedz, że ja miło na ciebie spoglądałam, żem cię przenosiła nad wszystkich innych służących ojca mojego; lecz choćby téż moje wejrzenie jeszcze nie było dostateczne do przekonania cię o moich dobrych chęciach dla ciebie, postępek mój dzisiejszéj nocy, powinien ci odjąć wszelką wątpliwość.

Nie pozwoliłem jéj mówić dłużéj. Sądziłem że jako człowiek ugrzeczniony winienem był wstydliwości niewieściéj oszczędzić przykrość wynurzenia się stanowczego. Porwałem się z wielkiém uniesieniem, a rzucając się do stóp Aurory, jak bohater teatralny, który klęka przed swoją boginią, w tonie deklamatorskim krzyknąłem: Ah! pani, dobrześ ja to słyszałem! do mnież to mowa jéj zwrócona? jestże rzecz podobna, aby Gil Blas aż dotąd igraszką fortuny będący, odrzutkiem natury, dostąpił jednak szczęścia obudzenia w tobie pani, tych uczuć... — Nie tak głośno mów, przerwała mi śmiejąc się; pobudzisz moje służące, które w pobocznem śpią pokoju. Wstań, siadaj na swojem miejscu, i wysłuchaj mnie aż do końca, nie przerywając wcale. Takjest, Gil Blasie, mówiła daléj, przybrawszy znowu minę poważną, jestem ci życzliwą, i dla przekonania cię o moim szacunku, chcę ci powierzyć tajemnicę, od któréj zależy spokojność mojego życia. Kocham młodzieńca pięknego, dorodnego, i ze świetnéj pochodzącego familii. Nazywa się don Luis Pacheco. Widuję go czasami na przechadzkach i w teatrze, ale ani słowa jeszcze z nim nie mówiłam. Nie znam jego usposobienia, nie wiem, czy nie ma złych nałogów; a o tém przecież chciałabym się dokładnie wywiedzieć. Potrzeba mi więc człowieka, któryby zasięgnął pewnych wiadomości o jego obyczajach i zdał mi o tém sprawę. Ciebie ja przekładam nad wszystkich naszych służących, i sądzę, że nic na tém nie stracę, gdy cię do tego zobowiążę. Spodziewam się, iż z taką zręcznością i ostróżnością się sprawisz, że nie będę miała powodu żałowania, żem ci się zwierzyła.

Tu ucięła mowę pani moja, czekając na odpowiedź. Ja zrazu zmieszałem się niewczesném wyrwaniem się, wnet atoli odzyskałem przytomność, a tłumiąc wstyd, jaki zwykł bywać skutkiem płochości, któréj szczęście nie sprzyja, wynurzyłem mojéj pani taką gorliwość w jéj sprawie, objawiłem takie poświęcenie się na jéj usługi, że jeżeli nie potrafiłem wybić z głowy myśli, iż jéj się podobałem, przynajmniéj pokazałem jéj, że umiém nieźle naprawiać głupstwo. Żądałem tylko dwóch dni do zdania sprawy z danego mi polecenia, poczém Ortiz na rozkaz swojéj pani, odprowadziła mnie do ogrodu i wracając, rzekła mi tonem szyderczym: Dobra noc, panie Gil Blas, nie zalecam ci wcale zbytniéj punktualności na umówioną schadzkę, znam ją już bardzo dobrze i nie mam się o co troszczyć.

Wróciłem do mojéj izbetki nie bez żalu zawiedzionéj nadziei. Dosyć wszakże miałem rozsądku, by się szybko pocieszyć. Rozważyłem, że lepiéj być powiernikiem u pani, niż jéj kochankiem. Zdawało mi się nawet, że mnie to może do czegoś posłużyć; że meklery miłosni, dobre za swoje trudy odbierają wynagrodzenie; tak dumając, położyłem się spać, postanowiwszy dopełnić rozkazów Aurory. W tym celu wyszedłem zaraz nazajutrz rano. Mieszkanie takiego panicza jak don Luis, nietrudne było do wynalezienia. Zasięgałem o nim wiadomości w sąsiedztwie, lecz osoby do których się udałem, nie potrafiły zaspokoić mojéj ciekawości, musiałem więc nazajutrz na nowo rozpocząć moje śledztwo. W tym dniu byłem szczęśliwszy. Przypadkiem spotkałem znajomego mi służącego, zacząłem z nim rozmawiać; w téj chwili zbliżył się do nas jego przyjaciel, który mu oświadczył, że oddalony został ze służby don Józefa Pacheco, ojca don Luis'a, posądzono go bowiem, że wypił kwartę wina z piwnicy pańskiéj. Nie pominąłem tak pięknéj sposobności, by się wywiedzieć o wszystkiém, czego pragnąłem: przez moje pytania tyle wyciągnąłem, iż wracając do mieszkania, byłem bardzo uradowany, że dotrzymałem słowa danego mojéj pani. Zaraz następnéj nocy, miałem się z nią widzieć, o téjże godzinie i w tym samym sposobie jak pierwéj Tego wieczoru nie byłem tak niespokojny jak dawniéj, zamias. niecierpliwić się opowiadaniem mojego starego pana, sam go naprowadziłem na wojenne wyprawy. Czekałem północy jak najspokojniéj, i do ogrodu wyszedłem dopiéro wtedy, gdym już dwunastą słyszał na kilku zegarach; teraz nie potrzebowałem wcale ani pomady, ani pachnideł, i w tém się także poprawiłem.

W miejscu umówioném zastałem już arcywierną ochmistrzynię, która mi uszczypliwie wymawiała moję opieszałość. Nie odezwałem się do niéj wcale, poszedłem prosto do pokoju Aurory, która niecierpliwie pytała się, czybym zasięgnął wiadomości o don Luis'ie, i czy wiele mam jéj do powiedzenia. —Takjest, pani, rzekłem, potrafię zaspokoić jéj ciekawość. Naprzód muszę powiedzieć, że jest na wyjezdném do Salamanki dla dokończenia nauk. Jestto młodzieniec, jak mnie zapewniano, pełen honoru i uczciwości. Co się tyczy odwagi, téj mu zapewne nie braknie, skoro jest szlachcicem i Kastyllianinem. Przy tém wszystkiém ma wiele dowcipu, w pospolitém obejściu nader miły, ale może to nie przypadnie do smaku pani, czego przecież zataić nie mogę, że trochę zawiele ma natury pańskiéj; jest djabelnie rozwiązły. Wiédz pani, iż w tak młodym wieku, a już miał w dzierżawie dwie komedyantki! — Cóż to mi prawisz? przerwała Aurora; co za obyczaje! Lecz jestżeś pewny Gil Blasie, że on wiedzie życie tak rozpustne? — Oh pani! nie wątpię wcale, odpowiedziałem. Służący, którego dziś rano odprawiono, opowiedział mi wszystko, a służący są bardzo szczerymi, skoro sobie opowiadają narowy swoich panów. Prócz tego don Luis uczęszcza do don Alexo Segtar, don Antonio Centelles, i do don Fernando de Gamboa; to samo, jasno wykazuje jego rozpasanie. — Dosyć tego, Gil Blas, rzekła pani, głęboko westchnąwszy; na zasadzie twojego opowiadania, chcę zwalczyć miłość niegodną. A lubo już silnie rozkrzewiła się w mém sercu, nie tracę atoli nadziei, że ją potrafię wyrugować. Idź, mówiła daléj, podając mi sakiewkę nieprożną, oto masz wynagrodzenie za twoje zabiegi. Strzeż się objawić téj tajemnicy; pomnij, żem ją powierzyła twojéj delikatności.

Zapewniłem moję panię, że byłem Harpokratesem między służącymi powiernikami, że pod tym względem może być zupełnie spokojną. Po złożeniu takowego zaręczenia, wyszedłem, ciekawy niesłychanie, ile téż mogło się znajdować w sakiewce. Naliczyłem w niéj dwadzieścia luidorów. Pomyśliłem zaraz, że Aurora byłaby mi daleko więcéj dała, gdybym jéj przyniósł wiadomość miłą, skoro tak dobrze wynagrodziła doniesienie zgryźliwe. Żałowałem, żem nie naśladował protokólistów, którzy częstokroć barwią prawdę w wywodach słownych. Gniewałem się sam na siebie, żem w samym zarodzie zniszczył zaloty, mogące mi być z czasem bardzo użyteczne, gdybym był nie szukał głupiéj chluby szczerości. Pocieszałem się przynajmniéj, ujrzawszy wynagrodzenie za niestosowne wydatki na pomadę i wonności.

Rozdział III.

O wielkiéj zmianie u don Vincentego, i dziwnym zamiarze Aurory.

Niedługo po tém zdarzeniu, don Vincente zasłabł, i gdyby nawet nie wiek jego podeszły, to same zjawiska choroby zda-

ły się tak gwałtowne, iż lękać się o niego należało. W samym początku choroby, wezwano natychmiast dwóch najsławniejszych lekarzy ze stolicy. Jeden z nich zwał się Dr. Andros, a drugi Dr. Orquetos. Oba badali chorego z wszelką ścisłością, a po dokładném rozważeniu objawów choroby, oba zgodzili się na jedno, że jest zapalne wzburzenie humorów, ale w tém tylko jedynie byli oba zgodni. Co do środków leczenia, jeden radził przeczyszczenie natychmiast, drugi sądził, że jeszcze z przeczyszczeniem wstrzymać się należy. Andros utrzymywał, że trzeba spieszyć się z przeczyszczeniem humorów chociaż jeszcze surowych, a to właśnie gdy są w gwałtownem poruszeniu przypływu i odpływu, z obawy, by się nie rzuciły gdzie na jaką część szlachetną. Orquitos przeciwnie twierdził, iż należy czekać póki humory nie wysmażą się, a potém dopiéro zacząć przeczyszczanie. — Ależ metoda pana, rzekł piérwszy, jest wbrew przeciwna zasadom księcia medycyny. Hipokrates każe przeczyszczać w najzapaleńszych febrach, i to zaraz w piérwszych dniach, i wyraźnie mówi, że wypada spieszyć się z przeczyszczeniem, kiedy humory są w stanie *orgasmu*, tojest wzburzenia gwałtownego. — Otóż to właśnie, w tém się pan mylisz, odpowiedział Orquetos; Hipokrates przez *orgasm*, nie rozumié gwałtownego wzburzenia, ale raczéj silne wrzenie humorów.



Aurora.

Wśród takiéj rozprawy, nasi panowie doktorzy zapalają się; jeden przytacza text grecki, i wymienia wszystkich autorów, którzy go według jego myśli tłumaczyli; drugi, polegając na tłumaczeniu łacińskiém, huczniéj zdanie swoje głosi. Któremuż tu z nich wierzyć? Don Vincente nie był w stanie rozstrzygnąć pytania. Gdy wszakże ujrzał się zmuszony wybiérać jednego z dwóch, dał piérwszeństwo temu, który już więcéj chorych wyprawił, przez to chciałem powiedzieć, starszemu wiekiem. Natychmiast Andros, jako młodszy, oddalił się, rzuciwszy kilka szyderczych wyrażeń o *orgasmie*. Tak więc Orquetos tryumfuje. Że się trzymał tych samych zasad co doktor Sangrado, zaczął więc leczenie od obfitego upuszczenia krwi, czekając z przeczyszczeniem, pókiby się humory nie dosmażyły. Ale śmierć, lękając się bez wątpienia, aby przeczyszczenie tak mądrze odwłóczone, nie wydarło jéj gotowéj zdobyczy, uprzedziła smażenie humorów, i pana mojego zabrała ze świata. Taki był koniec pana mojego don Vincente, który utracił życie dlatego, że lekarz jego nie umiał po grecku.

Aurora, wyprawiwszy ojcu pogrzeb z okazałością, stanowi jego odpowiednią, objęła zarząd dóbr. Zostawszy panią swojéj woli, odprawiła kilku służących, dawszy im wynagrodzenie odpowiednie ich zasługom, i zajęła mieszkanie w pałacu nad brzegami Tagu, między Sacedon i Buendia położonym. Ja należałem do liczby tych, których zatrzymała, i którzy z nią udali się na wieś; co większa, dostąpiłem szczęścia być dla niéj niezbędnym. Pomimo rzetelnego sprawozdania o don Luis, jakie jéj złożyłem, ona przecież kochała tego panicza, czyli raczéj nie mogąc stłumić téj miłości, zdała się na jéj łaskę. Już wtedy nie potrzebowała ostrożności, aby mówić ze mną sam na sam.— Gil Blasie, rzekła raz do mnie wzdychając, nie mogę zapomnieć don Luis'a; jakkolwiek usiłuję wygłuzować go z mojéj pamięci, zawsze przecież jest obecny mojéj myśli; ale nie taki rozwiązły, jak mi go odmalowałeś, lecz taki, jakiegobym pragnęła go mieć, czuły, rozkochany, stały. Rozrzewniona temi wyrazy, uroniła kilka łez. O mało i ja się nie rozpłakałem, tak mnie łzy jéj wzruszyły. Nie mogłem jéj lepiéj się przypodobać, jak okazując społeczucie w jéj cierpieniach.—Mój przyjacielu, mówiła daléj, otarłszy piękne oczy, widzę, że jesteś tkliwéj natury, cieszy mnie twoja gorliwość, zapewniam cię, że ją potrafię wynagrodzić. Pomoc twoja, mój drogi Gil Blasie, jest mi teraz potrzebniejszą, niż kiedykolwiek. Muszę ci objawić mój zamiar, który ci się zapewne dziwacznym wyda. Wiédz, że chcę wkrótce udać się do Salamanki. Tam myślę przebrać się za mężczyznę, i pod imieniem don Felixa, zabrać znajomość z don Pacheco; starać się będę pozyskać jego przyjaźń i zaufanie; będę mu często mówiła o Aurorze de Guzman, mieniąc się jéj krewnym. Może zechce ją widzieć, i tego ja właśnie pragnę. Będziemy mieli dwa pomieszkania w Salamance; w jednem z nich będę don Felixem, w drugiém Aurorą, a przedstawiając się oczom don Luis'a, to przebrana za mężczyznę, to we właściwym ubiorze, mam nadzieję, że go doprowadzę do zamierzonego celu. Zgadzam się na to, że pomysł mój jest zuchwały, lecz namiętność unosi mnie, a niewinność moich zamiarów odurza mnie na drodze, którą się puścić odważam.

Podzielałem zdanie Aurory, co do natury jéj przedsięwzięcia; zdało mi się waryackie. Ztémwszystkiém, chociaż uważałem je za wcale nierozsądne, wystrzegałem się atoli tonu nauczycielskiego. Owszem, zabrałem się do złocenia téj pigułki, zamierzywszy dowieść, że szalony ten zamiar, był w istocie miłą igraszką dowcipu, bez żadnych następstw. Nie pamiętam już teraz, co mogłem przytoczyć na poparcie mojego twierdzenia, to tylko pewna, że jéj się podobało moje rozumowanie, boć rozkochani lubią, żeby im przytakiwać w najszaleńszych wybrykach. Odtąd więc, płochy ten pomysł, uważaliśmy za prostą komedyą, któréj wypadało tylko przyzwoite urządzić wystawienie. Aktorów wybraliśmy zpośród służących, rozdaliśmy im role, a to wszystko bez wrzasków i swarów, bośmy przecie nie byli komedyantami z powołania. Stanęło, że pani Ortiz przedstawi ciotkę Aurory, pod imienien dony Ximeny de Guzman; będzie miała kamerdynera i pokojówkę; Aurora przebrana za mężczyznę, weźmie za kamerdynera mnie, a jedna z jéj kobiét przemieniona w pazia, będzie do jéj usług szczególnych. Tak urządziwszy osoby, pospieszyliśmy do Madrytu, i dowiedzieliśmy się, że don Luis jest jeszcze wprawdzie w stolicy, ale wkrótce wyjedzie do Salamanki. Kazaliśmy cichaczem porobić potrzebne ubiory. Skoro zostały wykończone, pani moja poleciła ich zapakowanie, bo ma się rozumieć, że dopiéro na miejscu i w czasie stosownym, mieliśmy je przywdziać. Poczém zostawiwszy zarząd domu swojemu zawiadowcy, siadła do powozu czterema mułami zaprzężonego, i puściła się drogą do królestwa Leonu, że wszystkiemi służącymi, którzy do przedstawienia téj krotochwili należéć mieli.

Jużeśmy przebyli Kastylią starą, gdy oś u powozu pękła. Było to między Avila i Villaflor, o trzy lub cztery sta kroków od zamku, który widać było u stóp góry. Noc się zbliżała, byliśmy w przykrém położeniu. Trafem, przechodził koło nas wieśniak, który nam ulżył trudu, sam nic poniosłszy żadnego. Powiedział nam, że zamek blizki należy do dony Elwiry, wdowy po don Pedro de Pinares; tyle nam dobrego nagadał o téj pani, że Aurora posłała mnie do zamku z prośbą, o pozwolenie przepę-

dzenia téj nocy. Elwira okazała się zupełnie taką, jak ją nam wieśniak przedstawił; prawda, że i ja wywiązałem się z polecenia w sposób zdolny nakłonić ją do przyjęcia nas, choćby nawet z natury nie była tyle uprzejmą; przyjęła mnie mile, i na grzeczność moję odpowiedziała w wyrazach, przezemnie pożądanych. Udaliśmy się więc do zamku, dokąd muły zwolna zawlokły powóz. We drzwiach spotkaliśmy wdowę don Pedra, spieszącą na przyjęcie mojéj pani. Pomijam wzajemne grzeczności z tego powodu, to tylko dodam, że Elwira była kobiéta w wieku umiejąca dopełnić obowiązków gościnności, lepiéj niż wszystkie damy wielkiego świata. Zaprowadziła Aurorę do pokojów przepysznych, zostawiła ją tam, aby wypoczęła, sama zaś zajęła się najdrobniejszemi szczegółami naszéj wygody. Kiedy wieczerza była gotowa, kazała ją zastawić w pokoju Aurory, i obie zasiadły do stołu. Wdowa don Pedra nie była z liczby tych osób, które nie umieją uprzyjemnić uczty, przybiérając postawę zadumaną a minę kwaśną. Była ona wesołego humoru, przyjemną toczyła rozmowę. Wyrażenie jéj było szlachetne i miłe, zdumiéwałem się nad jéj dowcipem i trafnemi zwrotami myśli. Aurora zdawała się równie jak ja zachwyconą. Zawiązały między sobą przyjazne stosunki, i przyrzekły sobie nawzajem utrzymywać je przez listy. Ponieważ powóz nasz dopiéro nazajutrz mógł być naprawiony, i to jeszcze tak, że się zanosiło na późny dosyć odjazd, zgodziły się więc panie, żeśmy jutrzejszy cały dzień mieli przepędzić w zamku. Z kolei nam także zastawiono mięsa aż do zbytku, a nocleg mieliśmy nie gorszy od uczty.

Nazajutrz pani moja, nową znalazła przyjemność w rozmowie z Elwirą. Obiad jadły w wielkiéj sali, w któréj było kilka obrazów. Między niemi jeden szczególniéj odznaczał się przewybornem wydaniem osób, ale przedstawiał coś bardzo tragicznego. Jakiś młodzieniec nieżywy, na wznak rozciągnięty, krwią własną zbroczony, ale choć martwy, groźne jednak miał oblicze. Obok niego odmalowana była młoda kobiéta, i choć także rozciągnięta na ziemi, ale w innym sposobie. Miecz tkwił w jéj łonie, ostatnie zdawała się wydawać tchnienie, gasnące oko zwracała na młodego człowieka obok stojącego, którego sroga boleść ściskała na widok téj straty. Malarz pomieścił jeszcze na tym obrazie figurę, która nie uszła mojéj baczności. Był to starzec poważny, tknięty do żywego przez [illegible] piotami, które wzrok jego raziły, nie mniéj rozrzewnionym się zdawał jak ów młody człowiek. Rzekłbyś, że te krwawe przedmioty obu zarówno srogo dotykają, lecz wrażenie na każdym z nich inaczéj się objawia. Starzec w głębokim pogrążony smutku, zdaje się być nim przyciśnięty; twarz młodego człowieka objawiała gniéw zaciekły z boleścią zmieszany. Wszystko to z tak silnym wyrazem oddane było, żeśmy nie mogli oczu oderwać od tego obrazu. Pani moja zapytała się, coby to za historya smętna odmalowana była.—Pani, rzekła Elwira, jest to wierny obraz nieszczęść mojéj rodziny. Ta odpowiedź tak zaostrzyła ciekawość Aurory, iż koniecznie pragnęła dowiedzieć się czegoś więcéj, i póty nalegała, aż Elwira ujrzała się zmuszoną do jéj zaspokojenia. Obietnica dopełnienia tego, dana była w obec pani Ortiz, dwóch jéj towarzyszek i mnie, co skłoniło nas wszystkich czworo do pozostania w sali po obiedzie. Pani moja chciała nas usunąć, ale Elwira widząc, jak gorąco pragniemy słuchać objaśnień tego obrazu, zatrzymała nas mówiąc, że przygoda, którą ma opowiedzieć nie należy do rzędu tych, które wymagają tajemnicy. Wkrótce po tém, zaczęła swoje opowiadanie w ten sposób.

Rozdział IV.

Małżeństwo przez zemstę.

Roger król Sycylii, miał brata i siostrę. Ten brat imieniem Manfred, zbuntował się przeciw niemu, i zapalił wojnę krwawą i niebezpieczną; szczęście mu jednak nie sprzyjało, przegrał dwie bitwy i wpadł w ręce króla, który na ukaranie buntu odjął mu wolność, nie chcąc odbiérać życia. Ta atoli łaskawość, nie zasłoniła króla od niechęci nie małéj liczby poddanych, którzy właśnie dlatego nazywali go barbarzyńcą; mówiąc, że darował życie bratu, aby mieć pociechę zemsty powolnéj i nieludzkiéj. Byli przecież i tacy, którzy z większą słusznością surowe obchodzenie się z Manfredem przypisywali siostrze jego Matyldzie. W istocie księżniczka ta oddawna nienawidziła brata, nie przestała go ścigać póki tylko żył. Umarła wkrótce po nim, a lud pospolicie zgon jéj uważał jako karę niebios za jéj wyrodne uczucia.

Manfred zostawił dwóch synów w dziecinnym jeszcze wieku. Roger powziął zamiar pozbycia się ich, a to z obawy, aby doszedłszy pewnego wieku, nie chcieli mścić się za ojca, i nie podźwignęli stronnictwa, dość jeszcze silnego do zakłócenia państwa. Myśl swoję objawił senatorowi Leontio Siffredi, ministrowi swojemu. Ten nie tylko nie pochwalił zamiaru, ale nadto, żeby tém skuteczniéj odwrócić króla od spełnienia jego przedsięwzięcia, podjął się wychowania księcia Enrique, starszego, radząc, aby młodszego don Pedro, powierzył staraniom Konetabla Sycylii. Roger przekonany, że synowcowie jego pod okiem takich mężów wychowani zostaną w uległości, jaką mu winni, powierzył im ich wychowanie, sam zaś zajął się siostrzenicą swoją Konstancyą. Była to córka jedyna księżnéj Matyldy, w tym samym wieku co Enrique. Król wybrał dla niéj ochmistrzynię i nauczycieli, i nie żałował kosztu na jéj wychowanie.



Don Gonzalve i hrabia Asumar.

Leontio Siffredi miał pałac w Belmonte, o małą milę od Palermo. Tam właśnie minister ten zajął się szczérze usposobieniem księcia Enrique, do godnego z czasem piastowania berła Sycylijskiego. Zaraz w pierwszych chwilach ujrzał w nim przymioty tak miłe, iż się przywiązał do niego, jak gdyby własnych nie miał dzieci, a przecież miał dwie córki. Starsza imieniem Blanka, o rok młodsza od księcia, była cudnéj urody; młodsza nazwana Porcia, urodzeniem swojém spowodowawszy śmierć matki, była jeszcze w kolébce. Blanka i książę Enrique, powzięli wzajemną ku sobie miłość; skoro doszli wieku, w którym zdolni byli kochać; ale nie mogli rozmawiać z sobą na osobności. Książę jednak kiedy niekiedy potrafił znaleźć sposobność do tego; z tej zaś umiał tak dobrze korzystać, że wyjednał u córki ministra przyzwolenie na wykonanie zamiaru, który powziął. Właśnie podtenczas zdarzyło się, że Siffredi z rozkazu króla zmuszony był udać się do prowincyi najodleglejszéj na wyspie. W czasie jego niebytności, Enrique kazał wybić otwór w murze oddzielającym go od pomieszkania Blanki. Ten otwór zasłonięty został ścianą z drzewa, otwiérającą się i zamykającą, lecz

ły się tak gwałtowne, iż lękać się o niego należało. W samym początku choroby, wezwano natychmiast dwóch najsławniejszych lekarzy ze stolicy. Jeden z nich zwał się Dr. Andros, a drugi Dr. Orquetos. Oba badali chorego z wszelką ścisłością, a po dokładném rozważeniu objawów choroby, oba zgodzili się na jedno, że jest zapalne wzburzenie humorów, ale w tém tylko jedynie byli oba zgodni. Co do środków leczenia, jeden radził przeczyszczenie natychmiast, drugi sądził, że jeszcze z przeczyszczeniem wstrzymać się należy. Andros utrzymywał, że trzeba spieszyć się z przeczyszczeniem humorów chociaż jeszcze surowych, a to właśnie gdy są w gwałtownem poruszeniu przypływu i odpływu, z obawy, by się nie rzuciły gdzie na jaką część szlachetną. Orquitos przeciwnie twierdził, iż należy czekać póki humory nie wysmażą się, a potém dopiéro zacząć przeczyszczanie. — Ależ metoda pana, rzekł piérwszy, jest wbrew przeciwna zasadom księcia medycyny. Hipokrates każe przeczyszczać w najzapaleńszych febrach, i to zaraz w piérwszych dniach, i wyraźnie mówi, że wypada spieszyć się z przeczyszczeniem, kiedy humory są w stanie *orgasmu*, tojest wzburzenia gwałtownego. — Otóż to właśnie, w tém się pan mylisz, odpowiedział Orquetos; Hipokrates przez *orgasm*, nie rozumié gwałtownego wzburzenia, ale raczéj silne wrzenie humorów.



Aurora.

Wśród takiéj rozprawy, nasi panowie doktorzy zapalają się; jeden przytacza text grecki, i wymienia wszystkich autorów, którzy go według jego myśli tłumaczyli; drugi, polegając na tłumaczeniu łacińskiém, huczniéj zdanie swoje głosi. Któremuż tu z nich wierzyć? Don Vincente nie był w stanie rozstrzygnąć pytania. Gdy wszakże ujrzał się zmuszony wybiérać jednego z dwóch, dał piérwszeństwo temu, który już więcéj chorych wyprawił, przez to chciałem powiedzieć, starszemu wiekiem. Natychmiast Andros, jako młodszy, oddalił się, rzuciwszy kilka szyderczych wyrażeń o *orgasmie*. Tak więc Orquetos tryumfuje. Że się trzymał tych samych zasad co doktor Sangrado, zaczął więc leczenie od obfitego upuszczenia krwi, czekając z przeczyszczeniem, pókiby się humory nie dosmażyły. Ale śmierć, lękając się bez wątpienia, aby przeczyszczenie tak mądrze odwłóczone, nie wydarło jéj gotowéj zdobyczy, uprzedziła smażenie humorów, i pana mojego zabrała ze świata. Taki był koniec pana mojego don Vincente, który utracił życie dlatego, że lekarz jego nie umiał po grecku.

Aurora, wyprawiwszy ojcu pogrzeb z okazałością, stanowi jego odpowiednią, objęła zarząd dóbr. Zostawszy panią swojéj woli, odprawiła kilku służących, dawszy im wynagrodzenie odpowiednie ich zasługom, i zajęła mieszkanie w pałacu nad brzegami Tagu, między Sacedon i Buendia położonym. Ja należałem do liczby tych, których zatrzymała, i którzy z nią udali się na wieś; co większa, dostąpiłem szczęścia być dla niéj niezbędnym. Pomimo rzetelnego sprawozdania o don Luis, jakie jéj złożyłem, ona przecież kochała tego panicza, czyli raczéj nie mogąc stłumić téj miłości, zdała się na jéj łaskę. Już wtedy nie potrzebowała ostrożności, aby mówić ze mną sam na sam.— Gil Blasie, rzekła raz do mnie wzdychając, nie mogę zapomnieć don Luis'a; jakkolwiek usiłuję wygładzować go z mojéj pamięci, zawsze przecież jest obecny mojéj myśli; ale nie taki rozwiązły, jak mi go odmalowałeś, lecz taki, jakiegobym pragnęła go mieć, czuły, rozkochany, stały. Rozrzewniona temi wyrazy, uroniła kilka łez. O mało i ja się nie rozpłakałem, tak mnie łzy jéj wzruszyły. Nie mogłem jéj lepiéj się przypodobać, jak okazując spółczucie w jéj cierpieniach.—Mój przyjacielu, mówiła daléj, otarłszy piękne oczy, widzę, że jesteś tkliwéj natury, cieszy mnie twoja gorliwość, zapewniam cię, że ją potrafię wynagrodzić. Pomoc twoja, mój drogi Gil Blasie, jest mi teraz potrzebniejszą, niż kiedykolwiek. Muszę ci objawić mój zamiar, który ci się zapewne dziwacznym wyda. Wiédz, że chcę wkrótce udać się do Salamanki. Tam myślę przebrać się za mężczyznę, i pod imieniem don Felixa, zabrać znajomość z don Pacheco; starać się będę pozyskać jego przyjaźń i zaufanie; będę mu często mówiła o Aurorze de Guzman, mieniąc się jéj krewnym. Może zechce ją widzieć, i tego ja właśnie pragnę. Będziemy mieli dwa pomieszkania w Salamance; w jednem z nich będę don Felixem, w drugiém Aurorą, a przedstawiając się oczom don Luis'a, to przebrana za mężczyznę, to we właściwym ubiorze, mam nadzieję, że go doprowadzę do zamierzonego celu. Zgadzam się na to, że pomysł mój jest zuchwały, lecz namiętność unosi mnie, a niewinność moich zamiarów odurza mnie na drodze, którą się puścić odważam.

Podzielałem zdanie Aurory, co do natury jéj przedsięwzięcia; zdało mi się waryackie. Ztémwszystkiém, chociaż uważałem je za wcale nierozsądne, wystrzegałem się atoli tonu nauczycielskiego. Owszem, zabrałem się do złocenia téj pigułki, zamierzywszy dowieść, że szalony ten zamiar, był w istocie miłą igraszką dowcipu, bez żadnych następstw. Nie pamiętam już teraz, co mogłem przytoczyć na poparcie mojego twierdzenia, to tylko pewna, że jéj się podobało moje rozumowanie, boć rozkochani lubią, żeby im przytakiwać w najszaleńszych wybrykach. Odtąd więc, płochy ten pomysł, uważaliśmy za prostą komedyą, któréj wypadało tylko przyzwoite urządzić wystawienie. Aktorów wybraliśmy zpośród służących, rozdaliśmy im role, a to wszystko bez wrzasków i swarów, bośmy przecie nie byli komedyantami z powołania. Stanęło, że pani Ortiz przedstawi ciotkę Aurory, pod imienien dony Ximeny de Guzman; będzie miała kamerdynera i pokojówkę; Aurora przebrana za mężczyznę, weźmie za kamerdynera mnie, a jedna z jéj kobiét przemieniona w pazia, będzie do jéj usług szczególnych. Tak urządziwszy osoby, pospieszyliśmy do Madrytu, i dowiedzieliśmy się, że don Luis jest jeszcze wprawdzie w stolicy, ale wkrótce wyjedzie do Salamanki. Kazaliśmy cichaczem porobić potrzebne ubiory. Skoro zostały wykończone, pani moja poleciła ich zapakowanie, bo ma się rozumieć, że dopiéro na miejscu i w czasie stosownym, mieliśmy je przywdziać. Poczém zostawiwszy zarząd domu swojemu zawiadowcy, siadła do powozu czterema mułami zaprzężonego, i puściła się drogą do królestwa Leonu, że wszystkiemi służącymi, którzy do przedstawienia téj krotochwili należéć mieli.

Jużeśmy przebyli Kastylią starą, gdy oś u powozu pękła. Było to między Avila i Villaflor, o trzy lub cztery sta kroków od zamku, który widać było u stóp góry. Noc się zbliżała, byliśmy w przykrém położeniu. Trafem, przechodził koło nas wieśniak, który nam ulżył trudu, sam nic poniosłszy żadnego. Powiedział nam, że zamek blizki należy do dony Elwiry, wdowy po don Pedro de Pinares; tyle nam dobrego nagadał o téj pani, że Aurora posłała mnie do zamku z prośbą, o pozwolenie przepę-

dzenia téj nocy. Elwira okazała się zupełnie taką, jak ją nam wieśniak przedstawił; prawda, że i ja wywiązałem się z polecenia w sposób zdolny nakłonić ją do przyjęcia nas, choćby nawet z natury nie była tyle uprzejmą; przyjęła mnie mile, i na grzeczność moję odpowiedziała w wyrazach, przezemnie pożądanych. Udaliśmy się więc do zamku, dokąd muły zwolna zawlokły powóz. We drzwiach spotkaliśmy wdowę don Pedra, spieszącą na przyjęcie mojéj pani. Pomijam wzajemne grzeczności z tego powodu, to tylko dodam, że Elwira była kobiéta w wieku umiejąca dopełnić obowiązków gościnności, lepiéj niż wszystkie damy wielkiego świata. Zaprowadziła Aurorę do pokojów przepysznych, zostawiła ją tam, aby wypoczęła, sama zaś zajęła się najdrobniejszemi szczegółami naszéj wygody. Kiedy wieczerza była gotowa, kazała ją zastawić w pokoju Aurory, i obie zasiadły do stołu. Wdowa don Pedra nie była z liczby tych osób, które nie umieją uprzyjemnić uczty, przybierając postawę zadumaną a minę kwaśną. Była ona wesołego humoru, przyjemną toczyła rozmowę. Wyrażenie jéj było szlachetne i miłe, zdumiéwałem się nad jéj dowcipem i trafnemi zwrotami myśli. Aurora zdawała się równie jak ja zachwyconą. Zawiązały między sobą przyjazne stosunki, i przyrzekły sobie nawzajem utrzymywać je przez listy. Ponieważ powóz nasz dopiéro nazajutrz mógł być naprawiony, i to jeszcze tak, że się zanosiło na późny dosyć odjazd, zgodziły się więc panie, żeśmy jutrzejszy cały dzień mieli przepędzić w zamku. Z kolei nam także zastawiono mięsa aż do zbytku, a nocleg mieliśmy nie gorszy od uczty.

Nazajutrz pani moja, nową znalazła przyjemność w rozmowie z Elwirą. Obiad jadły w wielkiéj sali, w któréj było kilka obrazów. Między niemi jeden szczególniéj odznaczał się przewybornem wydaniem osób, ale przedstawiał coś bardzo tragicznego. Jakiś młodzieniec nieżywy, na wznak rozciągnięty, krwią własną zbroczony, ale choć martwy, groźne jednak miał oblicze. Obok niego odmalowana była młoda kobiéta, i choć także rozciągnięta na ziemi, ale w innym sposobie. Miecz tkwił w jéj łonie, ostatnie zdawała się wydawać tchnienie, gasnące oko zwracała na młodego człowieka obok stojącego, którego sroga boleść ściskała na widok téj straty. Malarz pomieścił jeszcze na tym obrazie figurę, która nie uszła mojéj baczności. Był to starzec poważny, tknięty do żywego przedmiotami, które wzrok jego raziły, nie mniéj rozrzewnionym się zdawał jak ów młody człowiek. Rzekłbyś, że te krwawe przedmioty obu zarówno srogo dotykają, lecz wrażenie na każdym z nich inaczéj się objawia. Starzec w głębokim pogrążony smutku, zdaje się być nim przyciśnięty; twarz młodego człowieka objawiała gniew zaciekły z boleścią zmieszany. Wszystko to z tak silnym wyrazem oddane było, żeśmy nie mogli oczu oderwać od tego obrazu. Pani moja zapytała się, coby to za historya smętna odmalowana była.—Pani, rzekła Elwira, jest to wierny obraz nieszczęść mojéj rodziny. Ta odpowiedź tak zaostrzyła ciekawość Aurory, iż koniecznie pragnęła dowiedzieć się czegoś więcéj, i póty nalegała, aż Elwira ujrzała się zmuszoną do jéj zaspokojenia. Obietnica dopełnienia tego, dana była w obec pani Ortiz, dwóch jéj towarzyszek i mnie, co skłoniło nas wszystkich czworo do pozostania w sali po obiedzie. Pani moja chciała nas usunąć, ale Elwira widząc, jak gorąco pragniemy słuchać objaśnień tego obrazu, zatrzymała nas mówiąc, że przygoda, którą ma opowiedzieć nie należy do rzędu tych, które wymagają tajemnicy. Wkrótce po tém, zaczęła swoje opowiadanie w ten sposób.

Rozdział IV.

Małżeństwo przez zemstę.

Roger król Sycylii, miał brata i siostrę. Ten brat imieniem Manfred, zbuntował się przeciw niemu, i zapalił wojnę krwawą i niebezpieczną; szczęście mu jednak nie sprzyjało, przegrał dwie bitwy i wpadł w ręce króla, który na ukaranie buntu odjął mu wolność, nie chcąc odbiérać życia. Ta atoli łaskawość, nie zasłoniła króla od niechęci nie małéj liczby poddanych, którzy właśnie dlatego nazywali go barbarzyńcą; mówiąc, że darował życie bratu, aby mieć pociechę zemsty powolnéj i nieludzkiéj. Byli przecież i tacy, którzy z większą słusznością surowe obchodzenie się z Manfredem przypisywali siostrze jego Matyldzie. W istocie księżniczka ta oddawna nienawidziła brata, nie przestała go ścigać póki tylko żył. Umarła wkrótce po nim, a lud pospolicie zgon jéj uważał jako karę niebios za jéj wyrodne uczucia.

Manfred zostawił dwóch synów w dziecinnym jeszcze wieku. Roger powziął zamiar pozbycia się ich, a to z obawy, aby doszedłszy pewnego wieku, nie chcieli mścić się za ojca, i nie podźwignęli stronnictwa, dość jeszcze silnego do zakłócenia państwa. Myśl swoję objawił senatorowi Leontio Siffredi, ministrowi swojemu. Ten nie tylko nie pochwalił zamiaru, ale nadto, żeby tém skuteczniéj odwrócić króla od spełnienia jego przedsięwzięcia, podjął się wychowania księcia Enrique, starszego, radząc, aby młodszego don Pedro, powierzył staraniom Konetabla Sycylii. Roger przekonany, że synowcowie jego pod okiem takich mężów wychowani zostaną w uległości, jaką mu winni, powierzył im ich wychowanie, sam zaś zajął się siostrzenicą swoją Konstancyą. Była to córka jedyna księżnéj Matyldy, w tym samym wieku co Enrique. Król wybrał dla niéj ochmistrzynię i nauczycieli, i nie żałował kosztu na jéj wychowanie.



Don Gonzalve i hrabia Asumar.

Leontio Siffredi miał pałac w Belmonte, o małą milę od Palermo. Tam właśnie minister ten zajął się szczérze usposobieniem księcia Enrique, do godnego z czasem piastowania berła Sycylijskiego. Zaraz w pierwszych chwilach ujrzał w nim przymioty tak miłe, iż się przywiązał do niego, jak gdyby własnych nie miał dzieci, a przecież miał dwie córki. Starsza imieniem Blanka, o rok młodsza od księcia, była cudnéj urody; młodsza nazwana Porcia, urodzeniem swojém spowodowawszy śmierć matki, była jeszcze w kolébce. Blanka i książę Enrique, powzięli wzajemną ku sobie miłość; skoro doszli wieku, w którym zdolni byli kochać; ale nie mogli rozmawiać z sobą na osobności. Książę jednak kiedy niekiedy potrafił znaleźć sposobność do tego; z tej zaś umiał tak dobrze korzystać, że wyjednał u córki ministra przyzwolenie na wykonanie zamiaru, który powziął. Właśnie podtenczas zdarzyło się, że Siffredi z rozkazu króla zmuszony był udać się do prowincyi najodleglejszéj na wyspie. W czasie jego niebytności, Enrique kazał wybić otwór w murze oddzielającym go od pomieszkania Blanki. Ten otwór zasłonięty został ścianą z drzewa, otwiérającą się i zamykającą, lecz

tak szczelnie połączoną z lamperjami, iż najbystrzejsze oko niezdolne było dostrzedz tego przebiegu. Doskonały budowniczy, którego książę pozyskał, wykonał to dzieło z największém staraniem i tajemnicą.

Zakochany Enrique tym sposobem dostawał się do pokoju Blanki, nie nadużywając wszakże jéj przywiązania. Jeżeli dosyć nieroztropności okazała pozwalając na wejście potajemne, tedy przynajmniéj nie zrobiła tego, póki jéj książę nie złożył najuroczystszego zaręczenia, że nie będzie niczego od niéj żądał, że poprzestanie na objawach najniewinniejszéj miłości. Pewnéj nocy zastał ją bardzo niespokojną: dowiedziała się bowiem, że Roger był bardzo chory, że wezwał ojca jéj Siffredi, jako wielkiego kanclerza królestwa, aby złożyć w ręce jego ostatnią swoję wolę. Wystawiła sobie natychmiast drogiego jéj Enrique na tronie: a lękając się straty jego na tak wysokim stopniu, silnego doznała wzruszenia. Książę stanąwszy przed nią ujrzał łzy w jéj oczach.—Płaczesz pani, odezwał się do niéj, zkądże ten smutek, w którym ją pogrążoną widzę?—Panie, odpowiedziała mu Blanka, nie mam powodu tajenia przed tobą mojéj trwogi: król stryj twój wkrótce dokona życia, a ty panie zajmiesz jego miejsce. Kiedy pomyślę jak wielki przedział otworzy między nami to twoje wywyższenie, nie mogę się obronić niespokojności. Monarcha inném na rzeczy spogląda okiem, nie tém co kochanek: a to co było jego jedyném życzeniem wtedy, gdy jeszcze wyższą nad sobą uznawał władzę, ledwie słabo go zajmować będzie na tronie. Czy to przeczucie, czy rozsądek obudza w sercu mojém jakieś wzruszenie, którego uspokoić nie może całe zaufanie jakie w dobroci twojéj pokładam. Nie powątpiewam bynajmniéj o stałości uczuć twoich, ale nie ufam szczęściu mojemu.—Czcigodna Blanko, odpowiedział książę, obawa twoja jakże jest ujmująca, usprawiedliwia ona moje przywiązanie do ciebie; ale za daleko posunięta nieufność obraża moję miłość, a nawet, jeżeli tak rzec mogę, szacunek jakiś mi winna. Nie, nie myśl o tém aby losy nasze miały być zmienne; bądź przekonaną, że ty jedna stanowić będziesz na zawsze moję pociechę i szczęście. Porzuć więc czcze obawy, godziż się, aby one miały zatruwać chwile tak rozkoszne?—Ah panie, odezwała się znowu córka Siffredi, gdy koroną uwieńczysz swoje skronie, poddani twoi mogą żądać królowéj ze starożytnego rodu królów, z którą świetne związki nowemi posiadłościami pomnożyłyby państwo twoje, i może, niestety! spełnisz ich życzenia, nawet kosztem najsłodszych twoich uczuć.—Dlaczegoż, przerwał żywo książę, dlaczegoż tak pochopna do dręczenia się, masz sobie tworzyć tak smutny obraz przyszłości? Jeżeli niebo rozporządzi królem, stryjem moim, i poruczy mi berło Sycylii, przysięgam że ci się oddam w Palermo w przytomności całego dworu. Świadczę się wszystkiém, cokolwiek jest najświętszém między nami.

Zapewnienia Enriqua uspokoiły nieco córkę Siffredego; rozmawiali potém o chorobie króla. Książę w téj chwili objawił wrodzoną sobie dobroć charakteru: ubolewał nad losem swojego stryja, choć nie miał wielkiego powodu do rozczulania się; a węzły pokrewieństwa tak silnie nim władały, że żałował księcia, którego śmierć otwierała mu drogę do tronu. Blanka nie znała jeszcze całego ogromu nieszczęścia, które jéj zagrażało. Konetabl sycylijski spotkawszy ją, gdy wychodził z pokoju jéj ojca, dokąd go jakieś ważne sprawy państwa sprowadziły, mocno nią zajęty został. Zaraz nazajutrz prosił o jéj rękę, a Siffredi mile przyjął żądanie; lecz choroba króla właśnie pod tę porę przypadła, małżeństwo zostało w zawieszeniu, i Blanka przez ten czas nic o niém nie słyszała.

Pewnego poranku, gdy Enrique właśnie ubiérał się, zdumiał się, widząc wchodzącego do pokoju Siffreda w towarzystwie Blanki.—Panie, rzekł minister, wiadomość, którą ci przynoszę, stanie się powodem twojego smutku, lecz pociecha, która jéj towarzyszy, powinna miarkować boleść. Król, stryj twój, umarł; zostawia cię dziedzicem tronu. Sycylia jest ci uległą. Możni państwa czekają na twoje rozkazy w Palermo: polecili mi, abym je z ust twoich przyjął; przychodzę panie, z córką moją złożyć ci najpiérwszy i najszczerszy hołd, jaki ci się należy, od twoich nowych poddanych. Książę wiedział, że król od dwóch już miesięcy złożony był chorobą, która go zwolna trawiła, dlatego niewiele był wzruszony tą nowiną. Ztémwszystkiém uderzony nagłą zmianą stanu, uczuł w sercu swojém jakieś niepojęte pomieszanie. Zamyślił się przez chwilę, potém przerywając milczenie, odezwał się do ministra w te słowa: —Czcigodny i światły Siffredi, uważam cię zawsze za mojego ojca. Będę miał sobie za chlubę słuchać zawsze rady twojéj, i ty raczéj, nie ja, panować będziesz w Sycylii. To rzekłszy przystąpił do stołu, na którym stał kałamarz, wziął arkusz czystego papiéru, i na dole podpisał swoje imie.—Cóż to ma znaczyć? rzekł Siffredi.—Chcę ci przez to wynurzyć moję wdzięczność i szacunek, odpowiedział Enrique. Następnie oddając tę kartę Blance, rzekł:—Przyjm pani jako zadatek mojéj wiary i władzy jaką ci daję nad moimi uczuciami. Blanka przyjęła papiér, oblana rumieńcem i taką księciu dała odpowiedź:—Panie, przyjmuję z uszanowaniem łaskę mojego króla; lecz ja zależę od mojego ojca, nie weźmiesz więc za złe w łasce swojéj, że tę kartę złożę w jego ręce, aby jéj użył, jak mu roztropność jego doradzi.

W istocie oddała ojcu podpis Enriqua. Wtedy Siffredi ujrzał to, co dotąd uchodziło przed jego przezornością. Przeniknął uczucia księcia i rzekł mu:—W. K. Mość nie znajdziesz powodu do czynienia mi wyrzutów.—Nie nadużyję tego zaufania... kochany Leontio, przerwał Enrique, nie lękaj się wcale nadużycia. Jakikolwiek użytek zrobisz z mojéj karty, potwierdzę twoje rozporządzenia. Lecz wracaj, mówił daléj do Palermo, nakaż przygotowania do koronacyi, oświadcz moim poddanym, że w też tropy za tobą pospieszę odebrać przysięgę ich wierności i zapewnić ich o mojém przywiązaniu. Minister posłuszny rozkazom nowego pana, udał się do Palermo wraz z córką swoją.

W kilka godzin później książę opuścił także Belmonte, bardziéj zajęty miłością niż tronem na który miał wstąpić. Skoro ujrzano go wjeżdżającego do miasta, ze wszech stron ozwały się głosy radości i okrzyki ludu towarzyszyły mu aż do pałacu, w którym wszystko już było gotowe do następnego obrzędu. Spotkał [illegible] księżniczkę Konstancyą w żałobném ubraniu. Zdawała się być mocno wzruszoną śmiercią Rogera. Ponieważ wypadało im nawzajem wynurzyć swoje uczucia z powodu zgonu monarchy, uczynili to z nadzwyczajną trafnością, chociaż w mowie i porozumieniach księcia więcéj widać było oziębłości, księżna bowiem mimo niesnaski familijne nie mogła nienawidzieć Enriqua. Zajął miejsce na tronie, a księżna Konstancya usiadła na krześle niżéj nieco ustawionem. Możni panowie zajęli także miejsca w porządku swoich godności. Obrzęd się rozpoczął: Leontio jako wielki kanclerz królestwa i powiernik ostatniéj woli zmarłego króla, otworzył testament i czytać głośno począł. Treść tego aktu była, że Roger widząc się bezdzietnym, następcą swoim mianował starszego syna Manfreda, z warunkiem, że zaślubi księżniczkę Konstancyą, jeżeliby zaś wzgardził jéj ręką, wtedy korona Sycylii spada na głowę infanta don Pedro, brata jego, pod tymże warunkiem.

Słysząc to Enrique zmieszał się niesłychanie. Niespokojność opanowała jego umysł, która tém bardziéj się wzmogła, gdy Leontio skończywszy czytanie testamentu, odezwał się do zgromadzonych: panowie, gdym o ostatniéj woli zmarłego króla zawiadomił naszego nowego monarchę, wspaniałomyślny ten książę postanowił zaszczycić swoją ręką księżniczkę Konstancyą, swoję krewną. Tu Enrique przerwał mowę kanclerza. —Leontio, rzekł mu; niezapominaj o karcie Blanki, którąś.... —Panie, ozwał się szybko Siffredi, nie pozwalając księciu dokończyć, oto jest. Możni państwa, mówił daléj pokazując zgromadzonym pismo, ujrzą w niém, podpisem W. K. Mości stwierdzony szacunek, jaki masz dla księżniczki Konstancyi, równie jak uległość objawioną dla ostatniéj woli zmarłego króla, stryja twojego.

To rzekłszy przeczytał pismo w treści jaką sam ułożył. Przez nie nowy monarcha w formie najuroczystszéj przyrzekał

dom swoim zaślubić księżniczkę Konstancyą, stosownie do woli zmarłego Rogera. W sali rozległy się okrzyki radości. Niech żyje wspaniałomyślny nasz król Enrique! wykrzyknęli jednozgodnie wszyscy obecni. Ponieważ znany był dobrze wstręt jaki książę objawiał ku księżniczce, nie bez powodu więc lękano się, aby sprzeciwiając się rozporządzeniom testamentu nie wywołał zamieszania w kraju; przeczytane więc pismo powyższe zaspokajając pod tym względem możnych panów i lud, wzniecilo radość powszechną, wywołało okrzyki rozdzierające serce monarchy.

Konstancya, która w widoku chwały swojéj i przez przywiązanie do księcia większy w téj radości miała udział, niż ktokolwiekbądź, uchwyciła tę porę dla wynurzenia mu uczuć wdzięczności. Książę mimo całe natężenie umysłu, tak był zmieszany, iż nie potrafił odpowiedzieć księżniczce tak przynajmniéj, jak prosta przyzwoitość wymagała. Wreszcie łamiąc przymus, który go dotąd krępował, zbliżył się do Siffredego, z obowiązku dostojeństwa swojego tuż przy boku króla znajdującego się, i rzekł mu stłumionym głosem.—Leontio, co robisz? pismo, które złożyłem w ręce córki twojéj wcale nie do tego przeznaczone. Ty zdradzasz mnie....

—Panie, przerwał jeszcze raz Siffredi z powagą, pamiętaj o twojéj sławie. Skoro nie zechcesz spełnić woli króla stryja twojego, utracisz koronę Sycylii. Kończąc te słowa oddalił się, aby nie dać królowi czasu do odpowiedzi. Enrique był niewymownie zmieszany, tysiączne uczucia wbrew sobie przeciwne miotały nim. Gniewał się na Siffredego, nie chciał opuścić Blanki: a wahając się między nią i interesem sławy swojéj, nie wiedział co ma przedsięwziąć. Wreszcie mniemał iż wynalazł środek zatrzymania córki Siffredego bez utraty korony, tego się więc stanowczo czepił. Udał, że chce się zastosować do woli stryja swojego, a gdy w Rzymie starać się będzie o dyspensę do zawarcia ślubów z siostrą cioteczną, przez ten czas zabiegać nieomieszka o pozyskanie przychylności możnych, o utwierdzenie się na tronie tak, iżby nikt n. śmiał go zmuszać do spełnienia warunku testamentu.

Powziąwszy ten zamiar, uspokoił się, a obr[illegible] się do Konstancyi potwierdził jéj to, co kanclerz cz[illegible] wobec zgromadzenia. Lecz w chwili gdy jéj zaręczał swoją wiarę, Blanka weszła do sali. Z rozkazu ojca przybywała złożyć hołd księżniczce, lecz przestąpiwszy próg ostatnie wyrazy księcia obiły się o jéj uszy. Prócz tego Leontio nie chcąc zostawić jéj najmniejszéj wątpliwości o jéj nieszczęściu, odezwał się przedstawiając ją Konstancyi: córko moja, złóż hołd królowéj życz jéj przyjemności świetnego panowania i szczęśliwego, w małżeństwie pożycia. Ten cios straszliwy znękał nieszczęsną Blankę. Napróżno siliła się ukryć swoję boleść: bladość śmiertelna i krwawy rumieniec błyskały na przemiany po jéj twarzy, dreszcz zimny ogarnął całe ciało. Księżniczka niczego się nie domyślała, pomieszanie jéj przypisywała trwożliwości młodéj osoby wychowanéj na ustroniu, nieobeznanéj ze świetnością dworu. Nie tak myślił młody król: na widok Blanki stracił przytomność, a rozpacz, którą w jéj oczach spostrzegał, wprawiła go w odurzenie. Nie wątpił, że sądząc z pozoru uważać go będzie za wiarołomnego. Byłby zapewne nietyle niespokojnym, gdyby mógł z nią pomówić; lecz jak dojść do tego, gdy cała Sycylia, że tak powiem, miała na niego oczy zwrócone? Prócz tego, srogi Siffredi odebrał mu wszelką nadzieję. Minister ten czytając w sercach kochanków, chciał zapobiedz nieszczęściom jakieby gwałtowna ich miłość mogła na kraj sprowadzić: dlatego zręcznie usunął córkę ze zgromadzenia i razem z nią udał się do Belmonte, postanowiwszy jak najprędzéj wydać ją za mąż.

Przybywszy do pałacu swojego, przedstawił jéj całą okropność jéj przeznaczenia. Objawił jéj wręcz, że ją przyrzekł w małżeństwo konetablowi.—O nieba! krzyknęła, nie mogąc powściągnąć wzruszenia, którego nawet obecność ojca hamować nie potrafiła; na jakąż okropną mękę przeznaczasz nieszczęśliwą Blankę!—Uniesienie jéj było tak gwałtowne, że wszystkie władze jéj duszy zachwiały się. Krew się jéj ścięła, zimna i blada padła omdlała na ręce ojca. Stan w jakim się znajdowała Blanka przeraził Siffredego. Ztémwszystkiém lubo silnie czuł jéj udręczenie, jednakże w postanowieniu swojém był niezachwiany; Blanka odzyskała przytomność, ale raczéj przez silne ucznie boleści, a nie od wody, którą jéj twarz skrapiał ojciec; a gdy otwiérając omdlałe oczy spostrzegła troskliwość ojca w niesieniu jéj pomocy — Panie, rzekła głosem niemal niknącym, wstydzę się, żem ci objawiła moję słabość; lecz śmierć, która niedługo położy kres mojemu udręczeniu, uwolni cię od nieszczęśliwéj córki, która odważyła się rozporządzić sercem swojém bez wiedzy twojéj.—Nie, kochana Blanko, odpowiedział Leontio, ty nie umrzesz, cnota weźmie górę nad umysłem twoim. Starania konetabla czynią ci zaszczyt; jestto mąż dla ciebie najgodniejszy w całém państwie...—Wysoko cenię jego osobę i zasługi, przerwała Blanka, ależ panie, król mi zrobił nadzieję....—Moja córko, przerwał następnie Siffredi, wiem wszystko cokolwiekbyś w tym względzie powiedzieć mogła. Nietajne mi jest twoje przywiązanie do tego księcia, nie ganiłbym go wcale w innych okolicznościach. Widziałabyś mnie nawet gorliwym w zapewnieniu ci ręki Enriqua, gdyby interes jego sławy i państwa nie zmuszał go do ofiarowania jéj Konstancyi. Pod warunkiem zaślubienia téj księżniczki zmarły król mianował go swoim następcą. Chceszże aby cię wyżéj cenił nad koronę sycylijską? Wierz mi, że równie jak ty boleję nad ciosem, który cię razi. Gdy atoli nie możemy walczyć z przeznaczeniem, zdobądź się na szlachetne wysilenie: idzie w tém o twój honor, abyś nie objawiła światu, iż cię czcza nadzieja odurzała. Twoje przywiązanie do króla dać może powód do niekorzystnych o tobie wieści, jedynym zaś środkiem uchronienia się od nich, jest zaślubienie konetabla. Wreszcie, moja Blanko, nié ma nad czém rozmyślać. Król opuszcza cię, dla tronu zaślubia Konstancyą. Konetabl ma moje słowo: dotrzymaj go proszę cię; a jeżeli do skłonienia cię do tego potrzeba koniecznie abym użył mojéj powagi, rozkazuję ci....

Rzekłszy to, odszedł, zostawiając jéj czas do namysłu nad tém co jéj powiedział. Spodziéwał się, że rozważywszy dobrze powody, które jéj przywiódł na wsparcie jéj cnoty przeciw skłonnościom serca, sama się skłoni do oddania się konetablowi. Nie omylił się wcale, lecz ileżto kosztowało stroskaną Blankę przyjęcie tego postanowienia! Była ona w stanie najgodniejszym politowania. Boleść, która ją przejmowała, na myśl iż przeczucia jéj o niewierności Enriqua ziściły się, że tracąc go zmuszoną będzie poświęcić się człowiekowi, którego kochać nie może, wszystko to dręczyło ją niesłychanie, i każda chwila nową dla niéj stawała się katuszą. Jeżeli moje nieszczęście ma być nieochybne, mówiła, jakżeż je znieść nie umiérając? Nieszczęsna dolo moja, pocóż karmiłaś mnie najsłodszemi nadziejami, aby teraz wtrącić w przepaść udręczenia? A ty wiarołomny kochanku, innéj się teraz poświęcasz, mnie dozgonną przyrzekłszy wierność! Także to szybko zapomniałeś zaprzysiężonéj mi wiary! Za karę uwiedzenia mojego, oby niebo zrządziło, iżby łoże małżeńskie wiarołomstwem twojém skalane, stało się dla ciebie źródłem zgryzot raczéj, a nie rozkoszy! oby pieszczoty Konstancyi zatruwały niewierne serce twoje! oby małżeństwo stało się dla ciebie tak okropném, jak moje jest dla mnie! Tak zdrajco, zaślubię konetabla, którego nie kocham, aby się zemścić nad sobą samą, aby się ukarać za fatalny wybór przedmiotu płochéj namiętności. Ponieważ religia moja zabrania mi zamachu na życie własne, niech więc dni moje staną się tkaniną udręczeń i niepokoju. Jeżeli zaś w sercu twojém pozostała jeszcze jaka iskierka miłości dla mnie, będzie to także zemsta nad tobą gdy w oczach twoich rzucę się w objęcia innego: a jeżeli już zupełnie zapomniałeś o mnie, Sycylia przynajmniéj będzie się mogła poszczycić, że wydała kobiétę, która sama się ukarała za to, że zbyt lekkomyślnie rozrządziła sercem swojém.

W takim to stanie ta nieszczęsna ofiara miłości i obowiązku przepędziła noc całą poprzedzającą jéj gody weselne z konetablem. Nazajutrz Siffredi widząc ją gotową do spełnienia swoich życzeń, nie omieszkał korzystać z tak przyjaznéj pory. Te-

goż samego dnia zaprosił konetabla do Belmonte i w cichości zaślubił ich w kaplicy zamkowéj. Cóż to za okropny dzień dla Blanki! Nie dosyć, że się zrzekła korony, że utraciła ubóstwianego kochanka, że została żoną człowieka, którego nienawidziła; musiała jeszcze przymuszać się w obec męża najżywszą ku niéj pałającego namiętnością a z natury zazdrosnego. Małżonek ten uniesiony radością z jéj posiadania, bezustannie był u stóp jéj. Nie zostawił jéj téj nawet smutnéj pociechy, by mogła łzy ronić nad swojém nieszczęściem. Skoro noc nadeszła, córka Siffredego uczuła podwójne udręczenie. Lecz cóż się z nią działo gdy służące rozebrawszy ją, zostawiły samą z konetablem! Z uszanowaniem zapytał się jéj o przyczynę smutku, w jakim ją pogrążoną widział. Zmieszana pytaniem Blanka, odpowiedziała, że czuje się słabą. Mąż jéj zrazu dał się uwieźć: ale niedługo był w błędzie. Będąc istotnie niespokojnym o stan zdrowia Blanki, nalegał na nią, żeby się położyła na spoczynek: te prośby jego źle pojęte, tak straszny obraz stawiły jéj przed oczy, iż nie mogąc już hamować się puściła wolny bieg łzom i jękom. Jakiżto widok dla człowieka, który się mniemał u kresu swoich życzeń! Nie wątpił już, że smutek żony ma coś złowrogiego dla jego miłości. Choć wszakże to przekonanie przywiodło go do stanu równie opłakanego, jak ten w którym się znajdowała Blanka, dosyć przecież znalazł siły, dla utajenia swojéj podejrzliwości. Podwoił swoje nalegania, nie przestawał prosić jéj by poszła do łóżka, zaręczając, iż nie przeszkodzi spoczynkowi jéj, którego zdaje się potrzebować. Oświadczył nawet gotowość przywołania kobiét służących, jeżeliby sądziła iż ich obecność ulgę jéj przyniesie. Blanka uspokojona obietnicą, powiedziała mu, że sen jedynie potrzebny jest dla niéj w téj słabości. Udał, że jéj wierzy i położyli się oboje do łóżka, w którym całą noc przepędzili, nie taką, jaką daje miłość małżonkom wzajemnie sobą zachwyconym.

Kiedy córka Siffredego w smutku pogrążona była, konetabl łamał głowę nad wykryciem powodu, dla któregoby to małżeństwo było tak przykre. Domyślał się, że miał spółzawodnika; lecz gdy się pokusił o jego wykrycie, ginął w przypuszczeniach. W końcu to tylko wiedział, że był najnieszczęśliwszym z ludzi. W takowém pasowaniu się już dwie trzecie części nocy przepędził, gdy w tém jakiś szmer obił mu się o uszy. Zdumiał się słysząc kogoś cicho czołgającego się w pokoju. Zdało mu się że to jakieś złudzenie, bo przypomniał sobie, że sam zamknął drzwi po oddaleniu się służebnic Blanki. Odsunął zasłonę dla przekonania się naocznie o przyczynie szelestu; lecz światło pozostawione w kominku zgasło, w tém usłyszał głos stłumiony i słaby po kilkakroć wzywający Blanki. Wtedy zazdrosne podejrzenia doprowadziły go do wściekłości; narażony honor zmuszał go do wstania z łóżka, dla zapobieżenia hańbie, lub dla pomszczenia się za nią. Uchwycił za szpadę i postąpił w stronę, z któréj zdawał się głos wychodzić. Czuje gołą szpadę zastawiającą się jego orężowi. Naciéra, tamto się cofa. Ściga daléj, témczasem ścigany znika. Szuka po wszystkich kątach tego, który zdaje się uciekać przed nim, lecz nie może nic natrafić. Wstrzymuje się... słucha i już nic więcéj nie słyszy. Co za czary! Zbliża się do drzwi w mniemaniu, że one ułatwiły ucieczkę tajnemu nieprzyjacielowi jego honoru, lecz tak były zamknięte na rygle, jak piérwéj. Nie mogąc pojąć tego zdarzenia wezwał służących, których łatwiéj głos jego dojść potrafił, a że sam drzwi otwiérał stanął więc na straży, aby mu się nie wymknął ten, którego szukał.

Na powtórzone wołanie nadbiegli służący ze światłem. Wziął więc świécę i z gołą szpadą w ręku na nowo szukał po pokoju. Nikogo przecież nie znalazł, ani nawet nie odkrył śladu tajemnego wejścia. Nie dojrzał drzwi skrytych, ani żadnego otworu, którymby się można było dostać do pokoju; a jednak nie mógł powątpiewać o swojém nieszczęściu. Dziwne myśli roiły mu się w głowie. Udać się do Blanki; lecz ona zanadto była interesowaną w ukryciu prawdy, aby mógł się od niéj spodziéwać jakiegoś wyjaśnienia. Postanowił więc wynurzyć swoje uczucia Siffredemu, oddaliwszy służących z oświadczeniem, iż zdało mu się że słyszał jakiś szelest w pokoju, a tém czasem pokazało się, iż to było tylko przywidzenie. Spotkał teścia swojego wychodzącego z pokoju na odgłos wrzawy, którą posłyszał, opowiedział mu więc wszystko co się stało, lecz to opowiadanie objawiało wielkie jego wzruszenie i głęboki smutek.

Siffredi zdumiał się nad tém zdarzeniem. Jakkolwiek nie zdało mu się bardzo naturalném, wierzył jednak w jego rzeczywistość, a przypuszczając wszystko możliwe dla miłości króla, zmartwił się niesłychanie. Nie chcąc wszakże schlebiać podejrzliwości zazdrosnéj swojego zięcia; wystawiał mu tonem stanowczym, że głos, który zdawał się słyszyć, szpada, którą mu się zastawiano, były to czyste mary wyobraźni zbłąkanéj uczuciem zazdrości: że niepodobna, aby ktokolwiek mógł wejść do pokoju jego córki; co się zaś tyczy smutku, jaki w niéj spostrzegał, ten może być z powodu słabości; że honor nie może być odpowiedzialnym za niejakie usterki temperamentu: że zmiana stanu dziewicy przywykłéj do życia ustronnego, wydanéj niespodzianie człowiekowi, którego poznać i pokochać nie miała czasu, mogła być przyczyną łez, wzdychań i tego udręczenia na które się użalała: że miłość w sercu szlachetnéj dziewicy czas jedynie i zabiegi obudzają: ztąd więc zachęcał go, aby poskromiwszy własną niespokojność podwoił czułość i zaloty dla pozyskania przychylności Blanki; wreszcie prosił go, by wrócił do niéj, pewny będąc, iż ta nieufność i to pomieszanie obrażają jéj cnotę.

Konetabl słowa nie rzekł na dowody swojego teścia; czy sam uwierzył, że w tém pomieszaniu mógł w istocie uledz złudzeniu, czy też uznał za rzecz przyzwoitą udawać przekonanego, zamiast potępiać przekonanie starca w zdarzeniu tak niepodobném do wiary. Wrócił do pokoju żony, położył się, szukając we śnie ulgi jakiéjś w swoim udręczeniu. Blanka ze swojéj strony, nieszczęsna Blanka, nie mniéj była niespokojną: aż nadto dobrze słyszała ona to samo co jéj małżonek, nie mogła uważać za złudzenie zdarzenia, którego powody i tajemnicę znała. Pojąć nie mogła jakim sposobem Enrique mógł odważyć się wejść do jéj pokoju, przyrzekłszy uroczyście wiarę Konstancyi. Zamiast cieszyć się tym postępkiem króla, i brać z niego niejaką otuchę, ona przeciwnie uważała go za nową zniewagę i serce jéj gniewem zawrzało.

Kiedy córka Siffredego uprzedzona przeciw młodemu królowi, uważała go za najgorszego z ludzi, nieszczęśliwy ten książę, więcéj niż kiedykolwiek nią zajęty, pragnął jak najusilniéj rozmówić się z nią, aby ją uspokoić co do pozorów, które go potępiały. Byłby w tym zamiarze wcześniéj przybył do Belmonte, gdyby mu sprawy państwa na to pozwoliły; lecz nie mógł wyrwać się ze dworu swojego wcześniéj jak w ową noc. Zanadto dobrze znał wszystkie zakąty w zamku w którym się wychował, bez trudności przeto dostał się do niego, tém bardziéj, że miał przy sobie klucz od skrytych drzwi ogrodu. Tędy potrafił cichaczem wejść do swoich dawnych pokojów, a z nich do sypialni Blanki. Wystawcie sobie, jakie musiało być zadziwienie księcia, skoro zastał w nim mężczyznę i uczuł szpadę naprzeciw swojéj zastawioną. O mało co nie wybuchnął i w téj chwili nie ukarał zuchwalca, który świętokradzką rękę podniósł na swojego monarchę; lecz względność jaką obowiązany był zachować dla córki Siffredego, powściągnęła zapęd. Cofnął się tym samym sposobem, jakim przybył; i więcéj jeszcze pomieszany jak pierwéj, wracał do Palermo. Przybył tam na kilka chwil przedniem i zamknął się w swoich pokojach. Wzruszenie nie pozwalało mu zasnąć. Myślił tylko o powrocie do Belmonte. Bezpieczeństwo jego, honor, a nadewszystko miłość, nie pozwalały mu puszczać w odwłokę wyjaśnienia okoliczności tak strasznéj przygody.

Skoro dniéć poczęło, rozkazał natychmiast przygotować konie do łowów; pod pozorem téj zabawy, zapuścił się w lasy belmonckie ze swoimi strzelcami i kilką dworzanami. Przez niejaki czas postępował za ogarami dla ukrycia swojego zamiaru, lecz ujrzawszy, że wszyscy popędzili za psami, odstrychnął się ode drogi, i sam jeden skierował się do zamku Siffredego. Znał dobrze wszystkie ścieżki w lesie, nie obawiał

się przeto zabłąkania, niecierpliwość zaś nie pozwalała mu oszczędzać konia, dlatego w mgnieniu oka przebiegł całą przestrzeń oddzielającą go od ukochanego przedmiotu. Rozmyślał właśnie nad wynalezieniem powodu dosyć pozornego, aby sobie wyjednać rozmowę z Blanką, gdy przebiegając drożynę wiodącą do jednéj z bram zamkowego parku spostrzegł dwie kobiéty rozmawiające pod drzewem. Nie wątpił, że to są kobiéty z zamku, i dlatego uczuł jakieś wzruszenie; lecz wzruszenie to tembardziéj się wzmogło, gdy kobiéty zwróciły się w stronę, zkąd słychać było tentent pędzącego konia, a on w jednéj z nich poznał swoją drogą Blankę. Wymknęła się ona z zamku z Nisą, jedną ze swoich panien dworskich, którą największém darzyła zaufaniem, aby przynajmniéj swobodnie mogła opłakiwać swoje nieszczęście.

W tę więc stronę popędził, i prawie rzucił się jéj do nóg, a widząc na jéj twarzy wyraz srogiego udręczenia, rozczulił się.—Piękna Blanko, rzekł, porzuć te udręczenia. Prawda, że pozory mogą mnie czynić winnym w oczach twoich, lecz skoro się dowiész o zamiarze jaki powziąłem względem ciebie, to co możesz teraz uważać za występek, okaże ci się jako dowód mojéj niewinności i największego przywiązania. Te wyrazy które w myśli Enriqua powinny były złagodzić boleść Blanki, podwoiły je owszem. Chciała odpowiedzieć, lecz łkanie stłumiło jéj głos. Książę zdziwiony jéj udręczeniem, rzekł: — Pani, niepotrafięż uśmierzyć twoich trosków? jakiémże nieszczęściem utraciłem twoje zaufanie, ja co na niebezpieczeństwo narażam koronę a nawet i życie, aby ciebie otrzymać. Wtedy Blanka zdobywając się na ostateczne wysilenie, aby myśl swoję wynurzyć mogła, rzekła mu: — Panie, występujesz z obietnicami już nie w porę. Teraz nic już losu mojego złączyć z twoim nie zdoła. — Ah! Blanko, przerwał nagle Enrique, jakżeż to straszne z ust twoich słyszę wyrazy? Któż jest w stanie wydrzeć cię? Kto zechce narazić się na zawzięty gniéw króla, który prędzéj całą Sycylią pożogą ogarnie, nim pozwoli na utratę najdroższych nadziei?—Cała twoja potęga, panie, odpowiedziała omdlałym głosem Blanka, jest słabą, na zerwanie tamy, która nas rozdziela. Jestem żoną konetabla.

—Żoną konetabla! krzyknął książę, odskakując kilka kroków. Słowa więcéj rzec nie mógł, tak był rażony. Niespodzianym ciosem znękany, stracił siły. Padł u stóp drzewa w tyle stojącego. Był blady, drżący, bezsilny, oczy tylko miał otwarte, które wlepił w Blankę, jak gdyby jéj chciał wynurzyć, ile czuje nieszczęście, które mu objawiła. Ona ze swojéj strony patrzyła na niego wzrokiem dającym mu do zrozumienia, że udręczenie jéj nie wiele się różniło od jego żalu; dwoje kochanków nieszczęśliwych spoglądało na siebie w milczeniu, w którém było coś okropnego. Wreszcie książę wracając do przytomności, zebrał całą odwagę swoję i rzekł:— Pani, cóżeś zrobiła? zgubiłaś mnie, zgubiłaś siebie, przez swoję łatwowierność.

Blanka tknięta wyrzutami księcia, wtedy gdy ona sądziła, że słuszniejsze ma prawo do skarżenia się na niego, odezwała się: — Jakto, panie, z wiarołomstwem łączysz jeszcze udawanie! chceszże, abym fałsz zadała moim oczom i uszom, i mimo ich świadectwo, uważała cię za niewinnego? Nie, panie, wyznaję ci szczerze, że nie jestem wcale zdolną do podobnych wysileń rozsądku. — A jednakże ci świadkowie, tak wierni według twojego przekonania, mówił król, zawiedli się wcale. Owszem, oni pomogli do zdradzenia cię; i to nie mniéj jest pewne, że ja niewinny, jak to jest prawdą, że ty pani jesteś żoną konetabla.—Jakto panie, przerwała Blanka, toż ja nie słyszałam cię potwierdzającego Konstancyi ofiarę twojego serca i ręki? toż nie zapewniałeś możnych państwa, że spełnisz wolę zmarłego króla? a księżniczka czyż nie odebrała hołdu nowych poddanych twoich w charakterze królowéj i małżonki księcia Enriqua? oczy więc moje były zaczarowane? Powiédz raczéj, wiarołomny, powiédz, żeś nie uważał za rzecz przyzwoitą, aby Blanka w sercu twojém, miała ważyć się z interesem tronu; a zamiast poniżać się do udawania, czego już nie czujesz, czego może nigdy nie czułeś, przyznaj, że korona Sycylii zdała ci się pewniejszą w związkach z Konstancyą, niżeli z córką Siffredego. Masz słuszność panie, świetna korona równie nie była dla mnie właściwą, jak serce takiego księcia, jakim ty jesteś panie. Byłam dość próżną i nierozważną, sięgając po jedno i po drugie; lecz do ciebie należało wyprowadzić mnie z błędu. Pamiętasz obawę o utratę ciebie, którąm ci objawiła, która mi się zdała niewątpliwą prawie. Na cóż wtedy uspokajałeś mnie? Należałoż usuwać troski moje? Byłabym los raczéj oskarżała, a nie ciebie, przynajmniéj serce moje zatrzymałbyś na zawsze, nie przyjmując ręki, któréj nikt inny nie miałby nigdy. Teraz już nie czas do usprawiedliwiań, jestem żoną konetabla; dla oszczędzenia dalszéj rozmowy, która ubliża mojéj sławie, pozwól panie, że nie uchybiając należnemu ci uszanowaniu, opuszczę księcia, którego odtąd nie wolno mi słuchać.

Skończywszy to, oddaliła się z takim pośpiechem, na jaki tylko stan jéj obecny pozwalał.— Zatrzymaj się pani, zawołał Enrique, nie przywodź do rozpaczy księcia, skłonniejszego do strzaskania tronu, który, jak mu zarzucasz, ma przenosić nad ciebie, niż do zaspokojenia oczekiwań swoich poddanych.—To poświęcenie wcale teraz bezużyteczne, odpowiedziała Blanka. Trzeba było mnie wyrwać z rąk konetabla pierwéj, nim się tak szlachetne objawiło uniesienie. Ponieważ teraz nie jestem wolną, mało mnie obchodzi, czy Sycylia będzie w płomieniach, i komu oddasz swoją rękę. Jeżelim była dość słabą, pozwalając na podchwycenie serca mojego, będę miała odwagę do stłumienia jego wzruszeń, i do okazania nowemu królowi Sycylii, że żona konetabla, przestała być kochanką księcia Enriqua. To mówiąc, zbliżała się do bramy parku, szybko ją przeszła wraz z Nisą, zamknęła za sobą, zostawiając księcia żalem ściśniętego. Wiadomość o zaślubieniu konetabla była dla niego ciosem, po którym przyjść do siebie nie mógł.—Niesprawiedliwa Blanko, zawołał, zapomniałaś o naszych zobowiązaniach! Mimo wzajemne przysięgi nasze, jesteśmy rozłączeni! Nadzieja więc, jaką powziąłem, posiadania twoich wdzięków, była tylko marą uludną! Ah, sroga, jakże drogo teraz opłacam tę szczęśliwą chwilę, w któréj przyjęłaś oświadczenie mojéj miłości.

Następnie obraz szczęścia spółzawodnika, stanął mu przed oczyma z najokropniejszemi objawami zazdrości; namiętność ta przez kilka chwil, tak owładnęła jego umysłem, iż gotów był zemście swojéj poświęcić konetabla a nawet i Siffredego. Rozum przecież zwolna ostudził żar uniesienia. Jednakże niepodobieństwo wygłuzowania z umysłu Blanki, przeświadczenia o jego niewierności, do rozpaczy go przywodziło. Pochlebiał sobie, że potrafiłby zatrzéć te wrażenia, gdyby tylko mógł z nią swobodnie rozmówić się, żeby dojść tego celu, uznał za rzecz niezbędną, usunąć konetabla, i postanowił uwięzić go, jako podejrzanego w stosunkach obecnych kraju. Wydał więc stosowny rozkaz kapitanowi swojéj gwardyi, który natychmiast udał się do Belmonte, ujął konetabla w chwili zapadającéj ciemności nocy, i zawiódł go do zamku w Palermo.

Zdarzenie to stało się przyczyną smutku i zamieszania w zamku Belmonte. Siffredi pojechał natychmiast, by zaręczyć królowi za niewinność konetabla, i przedstawić mu zgubne skutki takowego uwięzienia. Książę przewidując ten postępek ministra, a chcąc koniecznie zyskać swobodną rozmowę z Blanką przed uwolnieniem konetabla, wyraźnie zakazał, aby nikogo doń nie wpuszczano, aż do rana. Leontio wszakże, mimo ten zakaz potrafił znaleźć sposób dostania się do pokoju królewskiego. — Panie, rzekł stanąwszy przed królem, jeżeli wolno jest poddanemu, wiernemu, skarżyć się na swojego władzcę, tedy ja przychodzę żalić się przed tobą panie, na ciebie. Co za zbrodnię popełnił mój zięć? W. K. Mość rozważyłżeś wieczną hańbę, którą rzucasz na moję rodzinę i następstwa uwięzienia; które może stać się przyczyną odstrychnięcia od usług twoich osób, które najważniejsze godności w kraju piastują?—Mam skazówki niemylne, odpowiedział król, że konetabl jest w porozumieniu występnym z don Pedro. — Porozumienie występne; przerwał zdziwiony Leontio; ah Panie, nie wierz temu; uwodzą W. K. Mość. Zdrada nigdy nie miała wstępu do domu Siffredego, a dla

konetabla dosyć, że jest moim zlęciem, aby był wolny od wszelkiego podejrzenia. Konetabl jest niewinnym, lecz widoki tajemne są pobudką jego uwięzienia.

—Ponieważ odzywasz się do mnie z otwartością, rzekł król, chcę więc pomówić z tobą w tym samym sposobie. Użalasz się na uwięzienie konetabla, a ja nie mamże powodu użalania się na twoje okrucieństwo? Ty, srogi Siffredzie odebrałeś mi spokojność mojéj duszy, a przez twoje zabiegi usłużne przywiodłeś mnie do tego stanu, że zazdrościć muszę losu najnikczemniejszego z moich poddanych, bo nie wystawiaj sobie wcale, abym się zgadzał z twoimi widokami. Moje zaślubiny z Konstancyą, są czczém marzeniem...—Jakto! panie, przerwał z uniesieniem Leontio, mógłżebyś nie zaślubić księżniczki uczyniwszy jéj tę słodką nadzieję w obliczu całego narodu!—Jeżeli zawiodę ich oczekiwanie, mówił król, nie obwiniaj o to nikogo, tylko siebie. Na cóż przywiodłeś mnie do téj konieczności, że musiałem im przyrzekać to, czego spełnić nie mogłem? Co cię zobowiązywało do wpisania nazwiska Konstancyi na karcie, którą dałem twojéj córce? Nie tajna ci była myśl moja. Potrzebaż ci było dręczyć serce Blanki nakazując jéj zaślubić człowieka, którego nie kochała? Jakież masz prawo do mojego serca, aby nim rozporządzać na korzyść księżniczki, którą nienawidzę? Zapomniałżeś, że to jest córka téj, okrutnéj Matyldy, która zdeptawszy prawa krwi i ludzkości, stała się przyczyną śmierci ojca mojego w twardych okowach? i ja mam ją zaślubić? Nie, Siffredi, porzuć tę nadzieję; piérwéj nim ujrzysz zapaloną pochodnię tego okropnego hymenu, zobaczysz całą Sycylią w płomieniach i pola jéj we krwi.

— Czy mnie słuch nie myli? zawołał Leontio. Ah, Panie, jakiż mi obraz przedstawiasz! co za straszne groźby! Ależ to próżna trwoga moja, dodał, zmieniając ton, zanadto kochasz twoich poddanych, abyś miał tak smutne gotować im przeznaczenie. Nie pozwolisz miłości góry brać nad twoim umysłem; nie zaćmisz cnót swoich, wpadając w ułomności ludzi pospolitych. Jeżeli dałem córkę moją konetablowi, to zrobiłem Panie dlatego, aby ci pozyskać walecznego sługę, któryby własném ramieniem i wojska, którém rozporządza, utrzymał twoje prawa naprzeciw roszczeniom don Pedra. Mniemałem, że łącząc go z moją rodziną węzłami tak ścisłemi...—Ha! właśnie te węzły, te nieszczęsne węzły mnie zgubiły! Okrutny przyjacielu, dla czegóż zadałeś mi cios tak straszny? Miałżeś polecenie moje czynić zabiegi około moich interesów kosztem serca mojego? Czemuż nie zostawiłeś mi swobody, abym sam praw swoich bronił! Alboż mi braknie odwagi do poskromienia tych, którzyby się opierać śmieli! Wiém, że królowie nie powinni być tyranami, że szczęście poddanych jest ich powinnością; to mają przeto być niewolnikami swoich poddanych? Od chwili, w któréj niebo powołało ich do rządu, mają tracić prawo rozrządzania uczuciami, które natura wszystkim ludziom udziela. Jeżeli nie mogą ich używać, tak jak najniżsi z ludzi, odbierz Siffredi to wszechwładztwo, któreś mi chciał zapewnić kosztem mojéj spokojności.

Nie może ci być tajno panie, odezwał się minister, że do zaślubienia księżniczki, zmarły król, twój stryj, przywiązał następstwo tronu. A jakież prawo, odpowiedział Enrique, miał on do podobnego rozporządzenia. Czy tak niegodny warunek odebrał od króla Karola, swojego brata, gdy po nim następował? Należałoż ci być tyle słabym, żeby przyjmować zobowiązanie tak niesłuszne? Jako wielki kanclerz, mało jesteś obeznany z naszemi zwyczajami. Słowem, przyrzekając rękę księżniczce Konstancyi, zobowiązanie moje nie było dobrowolne. Nie myślę dotrzymywać mojéj obietnicy; a jeżeli don Pedro zechce na tém gruntować swoje roszczenia do tronu, nie mieszając ludu do sporu, któryby wiele krwi kosztował, szabla stanowić może, który z nas dwóch godniejszy panowania. „Leontio nie śmiał dłużéj nastawać, skończył więc prosząc na klęczkach o wyzwolenie konetabla.—Wracaj do Belmonte, rzekł mu król, konetabl wkrótce za tobą przybędzie.” Minister wyszedł i wrócił do Belmonte, w przekonaniu, że zięć w też tropy za nim pospieszy. Zawiódł się. Enrique chciał téj nocy widzieć się z Blanką i w tym celu wyzwolenie jéj męża odłożył do rana.

Przez ten czas konetabla przykre zajmowały rozmyślania. Uwięzienie jego otworzyło mu oczy, ujrzał istotną przyczynę swojego nieszczęścia. Puścił wodze zazdrości i wbrew wierności którą się dotąd zalecał, samą zemstą odtąd pałał. Pewny będąc, że król téj nocy widzieć zechce Blankę; aby ich oboje podchwycić, prosił dowódzcę zamku palermitańskiego, aby mu pozwolił wyjść z turmy, zaręczając, że wróci do niéj nazajutrz przededniem. Dowódzca konetablowi całkiem poświęcony, tém łatwiéj na to zezwolił, że wiedział, iż Siffredi uzyskał jego wyzwolenie, nawet kazał mu dać konia, aby się udał do Belmonte. Konetabl przybywszy do zamku, przywiązał konia do drzewa, wszedł do parku drzwiczkami od których miał klucz i szczęśliwie wsunął się do zamku niepostrzeżony od nikogo. Dostawszy się do pokojów swojéj żony skrył się w przedpokoju za parawanem, który mu się nastręczył. Postanowił z tego posterunku uważać wszystko co zajdzie, wpaść nagle do pokoju Blanki, skoro w nim jaki głos usłyszy. Widział wychodzącą Nisę, która się udawała do swojego gabinetu, w którym sypiała.

Córka Siffredego, która bez trudności odgadnęła powody uwięzienia swojego męża, pewna była, że nie wróci téj nocy do Belmonte, chociaż ojciec jéj powiedział, że król zapewnił go, iż konetabl zaraz za nim pojedzie. Nie wątpiła bynajmniéj, że Enrique chciał korzystać z okoliczności, by z nią rozmówić się swobodnie. W téj myśli oczekiwała księcia, aby mu ostro przedstawić postępek jego, który mógłby mieć straszliwe dla niéj skutki. W rzeczy saméj wkrótce po oddaleniu się Nisy, skryte drzwi otwarły się i król rzucił się do stóp Blanki.—Pani, rzekł jéj, nie potępiaj mnie nie wysłuchawszy. Jeżelim kazał uwięzić konetabla, rozważ, iż to był jedyny środek, zostający mi do usprawiedliwienia się; winę zatém tego podstępu sobie saméj przypisz. Dlaczegóż dziś rano nie chciałaś mnie wysłuchać? Niestety! jutro mąż twój będzie wolny, i odtąd już nie będę mógł z tobą rozmawiać. Słuchaj mnie więc po raz ostatni. Jeżeli utrata ciebie czyni mój los opłakanym, pozwól mi przynajmniéj téj smutnéj pociechy, abym ci oświadczył, że nieszczęście to ściągnąłem na siebie nie przez wiarołomstwo. Jeżeli potwierdziłem Konstancyi dar mojej ręki, to jedynie dlatego, że nie mogłem uniknąć téj konieczności w położeniu do jakiego mnie przywiódł twój ojciec. Trzeba było mamić księżniczkę w twoim i moim interesie, aby ci zapewnić koronę i rękę kochanka. Miałem nadzieję, że mi się to uda; już przedsięwziąłem środki dla zerwania zobowiązań, lecz tyś popsuła moje dzieło, a rozporządzając lekkomyślnie swoją osobą, zgotowałaś dozgonną boleść dwom sercom, którym doskonała miłość stałe szczęście zapewniała.

Skończył te wyrazy z oznakami prawdziwéj rozpaczy, tak że Blanka została tém silnie wzruszoną. Nie wątpiła już o jego niewinności; z początku ucieszyła się tém, lecz następnie uczucie nieszczęścia tém silniéj ją ogarnęło.—Ah, panie, rzekła do księcia, po tém jak los rozporządził nami, sprawiasz mi boleść niewymowną, objawiając mi, żeś był niewinny. Cóżem zrobiła? nieszczęśliwa! uczuciem niechęci uwiedziona, sądziłam się opuszczoną i na przekorę przyjęłam rękę konetabla, którą mi ojciec podał: a ja jestem występną i sprawczynią naszego nieszczęścia. Niestety! w chwili gdym cię oskarżała o zawód, ja sama zbyt łatwowierna kochanka, targałam te węzły, których dozgonną trwałość zaprzysięgłam! Panie, teraz na ciebie kolej zemsty. Wzgardzij niewdzięczną Blanką... zapomnij...—Pani, przerwał smutno Enrique, mogęż to uczynić! jakiż jest sposób wyrugowania z serca namiętności, któréj nawet niesprawiedliwość twoja stłumić nie potrafi!—A jednak trzeba ci się na to zdobyć panie, rzekła smutnie córka Siffredego...—Będziesżże sama miała dosyć do tego odwagi? zapytał szybko król. — Nie spodziéwam się, aby mi się to udało, odpowiedziała, niczego wszakże nie zaniedbam, abym tego dokazała!—Okrutna! rzekł książę, widzę że z łatwością zapo-

mnisz Enriqua, ponieważ już powzięłaś ten zamiar.—Jakaż jest myśl twoja, odezwała się Blanka, tonem śmiałym: pochlebiasz sobie, iż będę przyjmowała twoje miłosne zabiegi; porzuć tę nadzieję. Jeżeli nie było mojém przeznaczeniem być królową, tedy przynajmniéj niebo nie usposobiło mnie do przyjmowania miłości nieprawéj. Mąż mój, jest równie jak ty panie, potomkiem szlachetnego domu andegaweńskiego; i gdyby to co mu winna jestem nie stawiało nieprzebytéj tamy dla twoich zalotów, honor mój nie pozwalałby ich przyjmować. Oddal się, zaklinam cię, nie możemy się już widywać.—Co za srogość! zawołał król. Ah, Blanko, możeszże ze mną obchodzić się tak nieludzko! Niedośćże przykrości dla mnie, żeś się dostała w objęcia konetabla, jeszcze chcesz mi zabronić oglądania ciebie, jedynéj pociechy, która mi została?—Unikaj raczéj, odpowiedziała ze łzami córka Siffredego; widok istoty serdecznie ukochanéj przestaje być dobrém, skoro się traci nadzieje posiadania tego dobra. Żegnam cię panie, unikaj mnie; to wysilenie winieneś swojéj sławie i mojemu honorowi. Proszę cię o to dla mojéj ciekawości; bo wreszcie chociaż cnota moja nie jest wcale narażona wśród największych wzruszeń serca, jednakże pamięć twojéj tkliwości na tak dręczącą wystawia mnie walkę, że wytrzymanie jéj zbyt wiele mnie kosztuje.

Te ostatnie wyrazy z taką żywością wymówiła, iż niechcący obaliła lichtarz, który stał za nią na stole; świéca spadając zagasła. Blanka podnosi ją: i dla zapalenia jéj udaje się do przedpokoju, aby się dostać do gabinetu Nisy, która jeszcze się nie położyła: poczém wracała ze światłem. Król czekając na jéj powrót, zaledwie ją ujrzał, zaczął na nowo nalegać, aby nie gardziła jego przywiązaniem. Na głos króla, konetabl ze szpadą w ręku wszedł nagle do pokoju prawie razem ze swoją żoną: a zbliżając się do Enriqua z całą wściekłością zazdrości.—To już nadto, krzyknął, nie sądź, abym był dosyć podłym i zniósł tę hańbę mojego honoru.—Zdrajco! krzyknął król zastawiając się szpadą. niespodziéwaj się bezkarnie wykonać swój zamiar. Po tych słowach rozpoczęli walkę, która była zbyt żywą, aby mogła trwać długo. Konetabl obawiając się by na krzyk Blanki nie nadbiegł Siffredi i domownicy, kładąc tamę jego zemście, nie oszczędzał się bynajmniéj. Wściekły zapęd odebrał mu potrzebną przytomność umysłu; tak niezręcznie złożył się, iż sam upadł na szpadę swojego przeciwnika; weszła mu w ciało aż do rękojeści. Padł, a król wstrzymał się natychmiast.

Córka Siffredego rozrzewniona stanem w jakim widziała swojego męża, przezwyciężając wstręt jaki czuła ku niemu, rzuciła się na ziemię, i starała się go ratować. Lecz nieszczęśliwy małżonek, był nadto uprzedzony przeciw niéj, aby się miał zmiękczyć oznakami jéj boleści i spółczucia. Śmierć, któréj zbliżanie się czuł dobrze, nie mogła w nim przytłumić uniesienia zazdrości. Wtéj ostatniéj chwili, zajmowało go jedynie szczęście jego spółzawodnika, a wyobrażenie to zdało mu się tak okropne, że zbiérając ostatnie siły, podniósł szpadę którą jeszcze trzymał w ręce, i utopił ją w łonie Blanki.—Giń, zawołał przebijając ją, giń, wiarołomna małżonko, ponieważ węzły małżeńskie nie mogły mi zabezpieczyć wiary, któréś mi zaprzysięgła u stopni ołtarza! A ty Enrique mówił daléj, nie ciesz się z twojego losu. Nie będziesz korzystał z mojego nieszczęścia, umiéram z zadowoleniem." Tak mówiąc skonał, a twarz jego cieniem śmierci okryta, miała jeszcze w rysach swoich, coś zuchwałego i strasznego. Oblicze Blanki przedstawiało wcale odmienny widok; cios jéj zadany był śmiertelny. Padła na ciało konającego męża, a krew niewinnéj ofiary, zmieszała się z krwią jéj mordercy, który tak szybko wykonał swój krwawy zamiar, iż król nie mógł temu zapobiedz.

Nieszczęśliwy książę krzyknął, ujrzawszy Blankę upadającą, a silniéj ugodzony tym ciosem, niż ona sama, spieszył z pomocą taką samą, jaką ona nieść pragnęła, a za którą tak źle została wynagrodzoną. Lecz Blanka konającym głosem odezwała się do niego:—Panie, zabiegi twoje są bezużyteczne; padam ofiarą, któréj nieubłagany los wymagał. Bodajby pohamował swój gniéw, i zapewnił ci szczęśliwe panowanie!" Gdy kończyła te wyrazy, Leontio nadbiegł, zwabiony jéj krzykiem; rażony widokiem okropnym, stanął jak wryty. Blanka nie widząc go, mówiła daléj do króla:— Żegnam cię książę, zachowaj mnie w miłéj pamięci, moje przywiązanie i moje nieszczęścia, są ci do tego pobudką. Nie miéj niechęci do ojca mojego; szanuj dni jego i jego boleść; oddaj sprawiedliwość jego gorliwości; nadewszystko staraj się, żeby się przekonał o mojéj niewinności; to ci zalecam nadewszystko. Żegnam cię drogi Enrique... umiéram... przyjm moje ostatnie tchnienie."

To rzekłszy, skonała. Król przez niejaki czas, stał w ponurém milczeniu; potém odezwał się do Siffredego, który był w śmiertelném udręczeniu:—Patrz Leontio, rozważ twoje dzieło; w tém traicznem wydarzeniu, masz owoc twoich zabiegów usłużnych i gorliwości dla mnie." Starzec nic nie rzekł, tak był bólem ściśnięty. Lecz nacóż mam silić się na opisywanie tych scen, których żaden wyraz oddać nie potrafi. Dość będzie powiedzieć, że jeden i drugi, najrzewniejsze rozwodzili żale, skoro tylko udręczenie pozwoliło im wybuchnąć z ich wzruszeniem.

Król przez całe życie, zachował czułą pamięć swojéj kochanki. Nie mógł się skłonić do zaślubienia Konstancyi. Infant don Pedro połączył się z tą księżniczką, i oboje nie szczędzili niczego, aby korzystać z testamentu Rogera; w końcu atoli musieli uledz księciu Enrique, który poskromił swoich nieprzyjaciół. Co się tyczy Siffredego, zgryzota dręcząca go, że się stał sprawcą tylu nieszczęść, skłoniła go do cofnięcia się od świata, i pobyt w ojczyznie uczyniła mu nieznośnym. Opuścił Sycylią, przeniosłszy się do Hiszpanii z pozostałą córką Porcyą, kupił ten zamek. Przeżył tu około piętnastu lat po śmierci Blanki, i miał pociechę zaślubienia Porcyi przed śmiercią. Pojęła za męża don Hieronima de Silva, a ja jestem jedynym owocem tego małżeństwa. Otóż to jest, mówiła wdowa po don Pedro de Pinares, historya mojéj rodziny, i wierny opis nieszczęść, przedstawionych na tym obrazie, który Leontio kazał odmalować, aby zostawić potomności, pamiątkę téj nieszczęsnéj przygody.

Rozdział V.

Co zrobiła Aurora de Guzman, przybywszy do Salamanki.

Ortiz, dwie jéj towarzyszki i ja, wysłuchawszy téj historyi, wyszliśmy z sali, w któréj pozostała Aurora z Elwirą. Resztę dnia spędziły na rozmowie. Nie nudziły się wcale, a gdyśmy nazajutrz rano odjeżdżali, z takim żalem rozłączały się, jakby dwie przyjaciołki, które oddawna przywykły do spólnego życia.

Wreszcie przybyliśmy do Salamanki bez przypadku. Naprzód najęliśmy tam dom umeblowany, i pani Ortiz, tak jak ułożono, przyjęła imię Ximeny de Guzman. Dość długo była dozorczynią kobiét, dlatego wyborną była aktorką. Pewnego poranku wyszła z Aurorą, pokojówką i lokajem, udając się do hotelu, w którym jak dowiedzieliśmy się, Pacheco zwykle mieszkał. Zapytała się, czyby nie było pomieszkania do najęcia. Odpowiedziano jéj, że jest, które obejrzawszy zgodziła, i dała zaraz zadatek gospodyni, oświadczając, że to pomieszkanie najmuje dla swojego siostrzeńca, który opuściwszy Toledo, w Salamance ma kończyć nauki, i w tych dniach spodziéwany.

Ochmistrzyni i pani moja, nająwszy pomieszkanie, powróciły do siebie. Piękna Aurora nie tracąc czasu, przebrała się za mężczyznę. Czarne włosy swoje pokryła fałszywemi koloru blond, brwi ufarbowała tymże kolorem, i tak się ubrała, iż wybornie ujść mogła za młodego panicza. Poruszenia jéj, były lekkie i zwinne, i z wyjątkiem twarzy, cokolwiek zapięknéj na mężczyznę, zresztą nic nie mogło zdradzić jéj przebrania. Pokojówka mająca jéj służyć za pazia, ubrała się także, i nie baliśmy się wcale, aby nie miała dobrze udawać swojéj osoby, bo naprzód, nie była z liczby najpiękniejszych, a obok tego w wejrzeniu miała coś śmiałego, co bardzo zgadzało się z jéj rolą. Po obiedzie, dwie te aktorki przygotowane do wystąpienia na scenę, to jest do hotelu umeblowanego, udały się doń, a ja z niemi. Wszyscy pojechaliśmy tam w karecie, zabrawszy z sobą rupiecie, jakieby nam potrzebne były.

Gospodyni, nazwiskiem Bernarda Ramirez, przyjęła nas z wielką grzecznością, zaprowadziła nas do pokoju; gdzieśmy rozpoczęli z nią gawędkę. Umówiliśmy się o żywność jakiéj nam dostarczać miała, i co za to mieliśmy jéj płacić co miesiąc. Zapytaliśmy się następnie czyby miała pensyonarzy.—Teraz nie mam wcale, odpowiedziała nam: nie brakłoby mi ich gdybym chciała przyjmować wszystkich bez wyboru, ale ja nie chcę, tylko młodych paniczów. Dziś wieczór oczekuję jednego z Madrytu, który tu ma kończyć swoje nauki. Jestto don Luis Pacheco, młodzieniec najwięcéj dwadzieścia lat mający; jeżeli go pan nie znasz osobiście, mogłeś o nim bez wątpienia słyszéć. Nie, rzekła Aurora; wiém że ze świetnéj pochodzi rodziny, ale nie wiém coby to był za młodzieniec; a ponieważ mam z nim mieszkać w jednym domu, miłoby mi było dowiedzieć się o nim. Panie, odpowiedziała gospodyni spoglądając na zmyślonego panicza, jestto figura bardzo piękna; niemal podobny do pana. Ah! jak wybornie będziecie razem! Święty Jakóbie! będę się zaprawdę mogła poszczycić, że mam u siebie dwóch najurodziwszych paniczów z całéj Hiszpanii. Ten don Luis musi tu mieć bezwątpienia szczęśliwe wzięcie u kobiét?



Margrabina de Chavos.

zapytała się moja pani. Ah, zapewniam pana, odpowiedziała gosposia, jestto miły ptaszek; słowo daję, niech się tylko pokaże, a juźci zdobycz ma gotową. Między innemi zawrócił głowę młodéj i pięknéj dziéwicy, nazwiskiem Izabella. Jestto córka starego doktora prawa. Jest w nim tak rozkochana, że z pewnością rozum straci. Powiedzże mi moja pani, przerwała Aurora spiesznie, czy on téż ze swéj strony bardzo w niéj zakochany?—Kochał ją, odpowiedziała Bernarda Ramirez, przed odjazdem do Madrytu; ale nie wiém czy jeszcze ją kocha, bo on jest nieco zmienny. Przebiega od kobiéty do kobiety jak to wszyscy młodzi panicze robić zwykli.

Szanowna wdowa jeszcze nie skończyła, kiedy usłyszeliśmy łoskot na podwórzu. Wyjrzeliśmy przez okno i spostrzegliśmy dwoch mężczyzn zsiadających z koni. Byłto właśnie ten sam don Luis Pacheco, przybywający z Madrytu ze swoim szatnym. Stara opuściła nas aby go przyjąć; a pani moja, lubo nie bez pewnego wzruszenia, gotowała się do roli don Felixa. Wnet ujrzeliśmy wchodzącego do naszego pokoju don Luis w ubiorze podróżnym.—Dowiedziałem się, rzekł witając Aurorę, że młody Toledanin zajął mieszkanie w tym hotelu czy zechce przyjąć oświadczenie mojéj radości, że z nim razem mięszkać będę? kiedy moja pani odpowiadała na tę grzeczność, zdawało mi się, że Pacheco był zdziwiony, widząc młodzieńca tak miłego; tak dalece, że nie mógł się wstrzymać od oświadczenia, że jeszcze nie widział młodzieńca tak pięknego i tak kształtnego. Po długiéj rozmowie pełnéj grzeczności, jaką sobie wzajemnie prawili, don Luis udał się do pokojów dla siebie przeznaczonych.

Gdy właśnie zmieniał ubiór i bieliznę, ktoś nakształt pazia szukał go z listem w ręku i trafem spotkał Aurorę na schodach. Wziął ją za don Ludwika i oddając jéj bilet, rzekł: —odbierz pan, bo chociaż ja nie znam pana Pacheco, ale miarkując z opisu jaki mi zrobiono, pewny jestem, iż się nie mylę. —Nie, mój przyjacielu, odpowiedziała moja pani z zadziwiającą przytomnością umysłu, nie mylisz się wcale. Wywiązałeś się z polecenia swojego wybornie. Zgadłeś trafnie, że jestem don Luis Pacheco. Idź, starać się będę odpowiedzieć. Paź oddalił się; Aurora zaś zamknąwszy się z pokojówką i ze mną, otworzyła list i czytała nam następujące wyrazy: „Dowiaduję się, że jesteś w Salamance. Z jakąż radością usłyszałam tę nowinę! O mało niedostałam zawrotu głowy. Lecz kochaszże jeszcze Izabellę? Nieociągaj się z zapewnieniem jéj, żeś się nie zmienił. Sądzę, że umrze z radości, jeżeli cię wierným zobaczy."

Bilecik jest namiętny—rzekła Aurora—objawia duszę, serce rozkochane. Jestto kobiéta, jako spółzawodniczka, niebezpieczna dla mnie, muszę wszystkie sprężyny poruszyć, aby oderwać od niéj don Luis, przeszkodzić nawet, aby jéj wcale nie widział. Przedsięwzięcie zaprawdę trudne, lecz nie tracę nadziei w dopięciu zamierzonego celu. Zaczęła więc myśléć nad tém, a po chwili dodała:—zaręczam wam, że dwadzieścia cztery godzin nie upłynie, a muszą się poróżnić. W istocie Pacheco wytchnąwszy nieco w swoim pokoju, przyszedł do naszego i zawiązał rozmowę z Aurorą przed wieczerzą.—Panie, odezwał się żartobliwie—zdaje mi się, że mężowie i kochankowie nie bardzo się cieszyć powinni z przybycia twojego do Salamanki; nabawisz ich nie małéj niespokojności. Co do mnie, lękam się o podbite przezemnie serduszka.—Słuchaj, odpowiedziała mu moja pani tym samym tonem—obawa twoja nie jest bez zasady. Don Felix de Mendoce jest trochę niebezpieczny, ostrzegam cię. Ja byłem tu już w tém mieście; i wiém, że kobiéty tutejsze nie są nieczułe. Jakiż na to masz dowód? przerwał don Luis porywczo.—Dowód przekonywający odpowiedziała córka don Vincentego,—będzie miesiąc temu jak przejeżdżałem przez to miasto; zatrzymałem się tu przez tydzień i powiém ci w zaufaniu, żem zawrócił głowę córki starego doktora prawa.

Spostrzegłem, że na te słowa don Luis zmieszał się.—Czy można, rzekł, bez urazy dowiedzieć się o nazwisku téj kobiéty?—Jak to, bez urazy? zawołał zmyślony don Felix—dlaczegoż miałbym ci z tego robić tajemnicę? Czyż mnie uważasz za względniejszego od innych paniczów mojego wieku? Nie rób mi téj niesprawiedliwości. Prócz tego, mówiąc między nami, jestto przedmiot nie bardzo zasługujący na oszczędzanie: jestto nicwięcéj, tylko mała mieszczanka. Wiész dobrze, że człowiek szlachetnego rodu, nie zajmuje się tak bardzo dziewczyną miejską, tak dalece, że odebrać jéj honor poczytuje sobie za zaszczyt.—Powiém ci więc bez ogródki, że córka doktora zowié się Izabella. —A sam doktór—przerwał niecierpliwie Pacheco—czy nie nazywa się czasem Murcia de la Llana? —Tak jest, odpowiedziała moja pani. — Oto jest list który mi przysłała w téj chwili; przeczytaj go, a przekonasz się czy ta pani jest mi życzliwą. Don Luis rzuciwszy okiem na bilet, poznał pismo i stanął jak wryty. — Co widzę? rzekła wtedy Aurora tonem zdziwionym—pan się mienisz! Zdaje mi się, Boże przebacz mi, że pana obchodzi ta osoba. Ah! jakżem nierozważny, rozmawiając tak otwarcie z panem.

— Owszem, ja panu bardzo wdzięczny—odpowiédział don Luis z uniesieniem, w którém się przebijał żal i gniéw. Wiarołomna! płocha! Don Felixie, jakżem ci obowiązany! Wyprowadzasz mnie z błędu, w którym zapewne długo jeszcze byłbym zostawał. Wystawiałem sobie, że jestem kochany, co

mówię, kochany? ubóstwiany od Izabelli. Miałem niejaki szacunek dla tego stworzenia, a teraz widzę, że to zalotnica godna pogardy. —Przyznaję słuszność twojego oburzenia, rzekła Aurora, objawiając także pewny rodzaj obrazy. Córka doktora prawa, powinnaby poprzestać na kochanku tak miłym jak ty jesteś. Trudno usprawiedliwić jéj niestałość i zamiast przyjąć jéj ofiarę, jaką mi z ciebie przynosi, zamyślam od dziś wzgardzić jéj względami. —Co do mnie, rzekł Pacheco, odtąd widzieć jéj nie chcę; to jedyna zemsta jaką na niéj wywrzeć mogę. —Masz słuszność, zawołał fałszywy Mendoce. Jednakże, aby dać jéj poznać, jak dalece nią pogardzamy, mniemam, że wypadałoby, aby każdy z nas napisał do niéj bilecik szyderczy. Ja zapieczętuję obadwa i poślę w odpowiedzi na list pisany do mnie. Nim atoli przystąpimy do téj ostateczności, poradź się twojego serca; czy czujesz je dosyć od niéj oderwane, abyś się nie obawiał żalu w przyszłości, żeś z nią tak stanowczo zerwał. —Nie, wcale nie, przerwał don Luis, tak słabym nigdy nie będę; i zgadzam się, aby dla umartwienia niewdzięcznéj zrobić to coś wniósł piérwéj.

Poszedłem natychmiast po papiér i kałamarz i obadwa zabrali się do pisania listu bardzo ujmującego, do córki doktora Murcia de la Llana. Pacheco szczególniéj nie mógł znaléźć dość mocnych wyrazów do wynurzenia swoich uczuć, i pięć czy sześć listów zaczętych podarł, bo mu się nie zdawały dość dobitne. W końcu przecież napisał jeden, z którego był dosyć kontent, i miał wielką słuszność. Zawiérał on następujące wyrazy: „Naucz się znać siebie, moja królowo, i nie miéj tyle próżności, abyś mniemała, że cię kocham. Trzeba innéj wcale zasługi, niż téj, jaką posiadasz, aby mnie przywiązać do siebie. Nie masz tyle nawet wdzięku, abyś mnie na chwilę zabawić mogła. Jesteś właściwie tylko stworzona dla zabawki ostatniego ucznia uniwersytetu.” Napisał więc ten list miły, a gdy i Aurora skończyła swój w wyrazach niemniéj obrażliwych, zapieczętowała oba, zrobiła do nich kopertę i oddając mi rzekła:—Masz oto Gil Blasie, staraj się, żeby Izabella odebrała to dziś jeszcze wieczór. Rozumiész mnie, dodała robiąc znak oczyma, który ja doskonale pojąłem.—Tak jest panie, odpowiedziałem, dopełnię rozkazu według życzenia pańskiego.

Wyszedłem natychmiast: a ujrzawszy się na ulicy, pomyślilem sobie: Oho, panie Gil Blasie, dowcip twój wystawiony na próbę: spełniasz więc rolę lokaja w téj komedyi. Nuż więc, mój przyjacielu, pokaż, że masz dosyć rozsądku do téj roli, która go bardzo wiele wymaga. Pan don Felix poprzestał na tém, że ci dał znak: liczy, jak widzisz, na twoję przenikliwość. Nie mylisz się on? Nie, ja pojmuję, czego on żąda odemnie. On chce, aby tylko list don Luis doszedł swojego przeznaczenia; otóżto jego skinienie ma to oznaczać: nic nadto zrozumialszego, w przekonaniu, że się nie mylę, otworzyłem kopertę, wydobyłem list don Pacheco i zaniosłem go do doktora Murcia, o którego mieszkaniu łatwo się wywiedziałem. Spotkałem we drzwiach małego pazia, który był w hotelu.—Bracie, rzekłem mu, nie jesteśże przypadkiem służącym córki doktora Murcia?—Takjest, odpowiedział w sposób dający poznać, że przywykł nosić i odbiérać listy zalotne.—Masz postać tak usłużną, rzekłem mu, że ośmielam się prosić cię, abyś ten bilecik oddał do rąk twojéj pani.

Mały paź zapytał się od kogobym go niósł, i zaledwie mu powiedziałem, że to od don Luis de Pacheco, gdy natychmiast się odezwał.—Kiedy tak, tedy pójdź za mną, mam rozkaz wprowadzić cię, Izabella pragnie z tobą pomówić.” Pozwoliłem się zaprowadzić do gabinetu, do którego niezwłocznie weszła senora. Uderzyła mnie piękna jéj twarz, nie widziałem delikatniejszych rysów. Miała wejrzenie mile i dziecinne; ale to nie przeszkadzało bynajmniéj, że już trzydzieści lat z okładem minęło, jak przestała chodzić na paskach.—Mój przyjacielu, odezwała się z miną uśmiéchającą, czy należysz do don Luis de Pacheco?” Odpowiedziałem, że jestem jego szatnym od trzech tygodni. Poczém złożyłem jéj nieszczęsny bilet, który przyniosłem. Przeczytała go dwa albo trzy razy, zdawało się, że nie dowierzała własnym oczom. W istocie takowéj odpowiedzi bynajmniéj spodziéwać się nie mogła. Wzniosła oczy ku niebu, przygryzła wargi, a cała jéj postawa objawiała udręczenie jéj serca. Potém nagle zwracając mowę do mnie,—mój przyjacielu, rzekła, don Luis dostał zapewne obłąkania zmysłów od czasu naszego rozłączenia! Nie rozumiém jego postępowania. Powiédz mi, jeżeli wiész, dla czego tak uprzejmie do mnie pisze. Co za duch zły go opanował. Jeżeli chce zerwać ze mną, nie mógłże tego zrobić bez szkalowania mnie tak obelżywym listem?

Pani, rzekłem, udając szczérość, mój pan, źle sobie postąpił bezwątpienia, ale do tego był zmuszony poniekąd. Jeżeli mi pani przyrzeczesz zachowanie sekretu, wyjawię ci całą tajemnicę.—Przyrzekam ci, odpowiedziała skwapliwie: nie lękaj się, abym cię miała wyjawić, wytłumacz się śmiało.—Zgoda więc, rzekłem, oto tak jest w krótkości, w kilka chwil po odebraniu listu pani, weszła do naszego hotelu kobieta okryta grubą bardzo zasłoną. Pytała się o pana Pacheco, rozmawiała z nim przez niejaki czas sam na sam, i w końcu rozmowy usłyszałem, że mówiła do niego: przysięgasz mi, że jéj nigdy oglądać nie będziesz, ale to nie dosyć na tém, dla zaspokojenia mnie, musisz do niéj napisać bilet, który ci podyktuję; tego żądam od ciebie. Don Luis zrobił czego chciała; a potém dając mi w ręce ten papiér, rzekł: „Wywiédz się gdzie mieszka doktor Murcia de la Llana



Sidy Hally.

i użyj całéj zręczności, aby ten przysmaczek dostał się w ręce jego córki Izabelli.“

Widzisz więc pani, mówiłem daléj, że list tak niegrzeczny jest dziełem spółzawodniczki, a témsamém pan mój nie jest tak winny. —O Boże, jest nim więcéj jeszcze aniżelim myśliła. Jego wiarołomstwo bardziéj mnie jeszcze oburza, aniżeli uszczypliwe wyrazy, które ręka jego skréśliła. Ah wiarołomny, mógłże w nowe wejść związki!... Lecz, dodała przybiérając postać dumną, niech się poddaje bez przymusu nowéj miłości, nie chcę mu przeszkadzać. Powiédz mu, proszę cię, iż nie potrzebował łżyć mnie dla skłonienia, abym zostawiła otwarte pole spółzawodniczce i że zbyt pogardzam kochankiem płochym, abym miała się starać odzyskać go.” To rzekłszy odprawiła mnie i wyszła niesłychanie zagniéwana na don Luis.

Opuściłem dom doktora Murcia de la Llana bardzo kontent z siebie; przekonałem się, że gdybym się chciał puścić na kawalera z własnego przemysłu żyjącego, mógłbym zostać zręcznym oszustem. Wróciłem do naszego hotelu, i zastałem panów Mendoce i Pacheco, siedzących przy wieczerzy i rozmawiających tak serdecznie, jakby od dawnych lat byli przyjaciołmi. Aurora z miny mojéj wesołéj pomiarkowała, żem się nieźle musiał wywiązać z danego mi polecenia. —Jużto wracasz Gil

Blasie, odezwała się do mnie, zdajże nam sprawę z twego posłannictwa. I tu trzeba było przebiegiem przypłacić. Powiedziałem więc, że cały pakiecik oddałem do własnych rąk, że Izabella przeczytawszy oba słodkie bileciki, zamiast objawić pomieszanie, zaczęła się śmiać, jakby niespełna miała rozumu, mówiąc: na honor, ci młodzi panowie mają śliczny styl; trzeba przyznać, że inne osoby nie potrafią z taką uprzejmością się wyrażać.—To przedziwny sposób wydobycia się z kłopotu, zawołała moja pani: otóż to wyćwiczona w swojéj sztuce zalotnica. —Co do mnie, rzekł don Luis, po tych rysach nie poznaję wcale Izabelli; chyba, że w czasie mojéj nieobecności zupełnie zmieniła charakter. — I jabym wcale inaczéj o niéj sądził, dodała Aurora. Przyznajmy, że są kobiéty, które umieją różne brać na siebie postaci. Kochałem jednę z takowych, długo byłem jéj igraszką, Gil Blas ci opowié, miała minkę tak cnotliwą, że byłaby cały świat uwiodła. — Oh, to prawda, rzekłem, mieszając się do rozmowy, umiała tak wdzięcznie ułożyć twarzyczkę, żeby najprzebieglejszego szpaka znęciła; ja sam byłbym się w jéj sidła uwikłał.

Zmyślony Mendoce i Pacheco śmieli się do rozpuku usłyszawszy taką mowę moją; a zamiast gniewać się, żem sobie pozwolił wdać się do ich rozmowy, sami odzywali się do mnie, aby się nacieszyć z moich odpowiedzi. Rozmawialiśmy długo jeszcze o kobiétach znających sztukę maskowania się, a ostatecznym wypadkiem naszéj rozmowy było, że Izabella została słusznie posądzoną i prawnie przekonaną, że jest jawną zalotnicą. Don Luis na nowo zaręczał, że jéj nigdy widzieć nie chce, a don Felix idąc za jego przykładem, przysiągł, że nią na zawsze pogardza; przyrzekli sobie nawzajem, że jeden przed drugim nic nie będzie miał ukrytego. Po wieczerzy mile z sobą rozmawiali, aż nareszcie każdy udał się do swojego pokoju na spoczynek. Ja poszedłem za Aurorą, zdałem jéj ścisły rachunek z rozmowy jaką miałem z córką doktora, nie pominąłem najmniejszéj okoliczności; więcéj nawet powiedziałem niż było w istocie, aby się tém lepiéj przypodobać mojéj pani, która była zachwyconą mojém opowiadaniem. Mało brakło, że mnie nie uściskała z radości. — Kochany Gil Blasie, twoja przezorność w zachwycenie mnie wprawia. Kiedy nieszczęściem namiętność owładnie sercem naszém, znagla nas do użycia podstępu, jakaż to ważna korzyść wówczas mieć służącego tak jak ty dowcipnego. Śmiało naprzód, mój przyjacielu, usunęliśmy z drogi spółzawodniczkę, która nam mogła zawadzać; dotąd nie źle idzie. Ale że to bywają kochankowie skłonni do dziwacznych powrotów, zdaje mi się, że trzeba przyspieszyć tę całą intrygę i wyprowadzić na scenę Aurorę de Guzman. Potwierdziłem ten zamiar i zostawiwszy don Felixa z jego paziem, sam udałem się do gabinetu, w którym było moje łóżko.

Rozdział VI.

Jak Aurora starała się obudzić miłość don Pacheco.

Dwaj przyjaciele zeszli się nazajutrz rano; to było ich najpierwszém staraniem. Rozpoczęli dzień od uścisków, które Aurora musiała przyjmować by dobrze odegrać rolę don Felixa. Poszli razem przejść się po mieście, a ja postępowałem za nimi wraz z Chilindronem szatnym pana Pacheco. Zatrzymaliśmy się przed uniwersytetem, dla przeczytania kilku doniesień o książkach nowych. Kilka osób bawiło się tym samym sposobem, i między niemi spostrzegłem małego człowieczka, który objawiał swoje zdanie o tych dziełach na widok publiczny wywieszonych. Uważałem, że go z wielkiém słuchano natężeniem, ale zarazem zdawało mi się, iż on przekonany był, że zasługuję na tę baczność. Wydawał mi się nadętym, stanowczo wyrokującym, jak większa część małych ludzi.— To *nowe tłumaczenie Horacyusza*, mówił on, o którém doniesienie przylepione widzicie, wielkiemi literami, jestto dzieło prozą, ułożone przez starego autora szkolnego. Książkę tę wysoko cenią uczniowie, oni sami wyłącznie spożyli cztéry jéj wydania. Żaden rozsądny człowiek nie kupił ani jednego exemplarza. Sąd jego nie był korzystniejszy o innych dziełach; sieki je bez litości. Musiał to być jakiś autor. Radbym był go wysłuchać aż do końca; ale trzeba było iść za don Felixem i don Ludwikiem, których nie bawiła jego mowa, a książki wcale nie interesowały, i dlatego oddalili się i od krytyka i od uniwersytetu.

Wróciliśmy do hotelu na godzinę obiadową. Pani moja siadła do stołu z panem Pacheco i bardzo zręcznie naprowadziła rozmowę na swoją rodzinę.—Ojciec mój, mówiła, jest młodszym synem rodziny Mendoce, która osiadła w Toledo; a moja matka jest rodzoną siostrą dony Ximeny de Guzman, która przed kilką dniami przybyła do Salamanki w sprawie bardzo ważnéj, z synowicą swoją Aurorą, córką jedyną don Vincentego de Guzman, którego może znałeś.—Nie, odpowiedział don Luis; ale często o nim słyszałem, tak jak o Aurorze twojéj krewnéj. Nie wiém czy mam uwierzyć temu co mówią o téj pannie. Zapewniają, że nie ma nic równego jéj piękności i ukształceniu. — Co do ukształcenia, rzekł don Felix, tego jéj nie brakuje; ale nie jest to piękność osobliwsza; uważają żeśmy bardzo podobni do siebie.—Jeżeli tak jest, odezwał się Pacheco, tedy usprawiedliwia zupełnie wieść o sobie rozgłoszoną. Rysy twoje są regularne, cera twoja wcale piękna: krewna twoja musi być prześliczna. Radbym ją widzieć i mówić z nią.—Chętnie ofiaruję się zaspokoić twoję ciekawość, rzekł zmyślony Mendoce, a nawet dziś jeszcze. Zaprowadzę cię dziś po obiedzie do mojéj ciotki.

Pani moja zmieniła natychmiast rozmowę i zaczęła rozprawiać o rzeczach obojętnych. Po południu gdy się zabiérali do dony Ximeny, ja pobiegłem naprzód, by zawiadomić dozorczynię, aby się przygotowała do przyjęcia tych gości. Wróciłem natychmiast dla towarzyszenia don Felixowi prowadzącemu don Pacheco do swojéj ciotki. Zaledwie weszli do domu, gdy spotkali panią Ximenę, dającą im znak, aby się cicho sprawili. —Cicho, sza, odezwała się głosem stłumionym, obudzicie moję siostrzenicę. Od wczoraj straszną cierpiała migrenę, która ją dopiéro co opuściła: biédnę dziécię tylko co zasnęło.—Przykre mi jest to zdarzenie, rzekł Mendoce, udając smutnego, spodziéwałem się widzieć moją krewną, chciałem zrobić tę przyjemność przyjacielowi mojemu panu Pacheco.—Nie masz przecie w tém nic nagłego, odpowiedziała Ortiz, uśmiéchając się; możecie to odłożyć do jutra. Panowie krótko pomówiwszy ze starą, oddalili się.

Don Luis zaprowadził nas do szlachcica młodego, swojego przyjaciela, nazwiskiem don Gabriel de Pedros. Przepędziliśmy tam resztę dnia, tam nawet zjedliśmy wieczerzę, i dopiéro o drugiéj po północy wyszliśmy ztamtąd, wracając do siebie. Uszliśmy może połowę drogi, gdyśmy znaleźli pod nogami rozciągniętych na ulicy dwóch ludzi. Rozumiéjąc, że to byli nieszczęśliwi, których zamordowano, zatrzymaliśmy się, aby im nieść pomoc, jeżeli jeszcze można było. Kiedyśmy się starali przekonać o ich stanie, ile ciemność nocy na to zezwalała, tymczasem nocna straż nadeszła. Dowódzca zrazu wziął nas za morderców i kazał nas otoczyć; wnet atoli lepsze o nas powziął mniemanie, skoro usłyszał nas mówiących i gdy przy pomocy krytéj latarni ujrzał rysy twarzy Mendoca i Pacheco. Dozorcy obejrzeli za jego rozkazem tych dwóch ludzi, których za zabitych uważaliśmy: pokazało się, że to był tłusty licencyat i jego służalec, obadwa winem rozmarzeni, czyli raczéj w kij pijani. Zostawiliśmy tych opojów w ręku straży nocnéj, która ich starała się odnieść do ich domu. My wróciliśmy się do hotelu i każdy myślił tylko o spoczynku.

Don Felix i don Luis wstali koło południa; a gdy się spotkali, Aurora de Guzman była piérwszym przedmiotem rozmowy.—Gil Blas, odezwała się do mnie moja pani, idź do mojéj ciotki dony Ximeny, spytaj się jéj, czy dziś ja i pan Pacheco, możemy się widzieć z moją krewną. Wyszedłem więc dla spełnienia rozkazu, czyli raczéj dla ułożenia z ochmistrzynią co mamy robić; kiedy już wszystko urządziliśmy, wróciłem do zmyślonego Mendoce. — Panie, powiedziałem mu, twoja krewna Aurora jest zdrowiuteńka, poleciła mi oświadczyć panu z jéj strony, że odwiedziny jego będą jéj bardzo miłe, a dona

Ximena kazała mi zapewnić pana Pacheco, że przy pańskiém zaleceniu chętnie go u siebie widzieć będzie.

Widziałem, że te ostatnie wyrazy przyjemne wrażenie zrobiły na panu Pacheco. Moja pani spostrzegła toż samo, i szczęśliwą ztąd wzięła wróżbę. Krótko przed samym obiadem służący seniory Ximeny przybywszy odezwał się do don Felixa: —panie, przybyły człowiek z Toledu szukał go u dony Ximeny i zostawił ten list. Fałszywy Mendoce otworzył go i przeczytał głośno: „Jeżeli chcesz powziąć wiadomość o ojcu swoim i interesie bardzo ważnym dla ciebie, nie omieszkaj natychmiast po odebraniu niniejszego, udać się pod *karego konia*, tuż przy Uniwersytecie.”—Ciekawy jestem niezmiernie dowiedzieć się tych bardzo ważnych rzeczy i muszę natychmiast żądzę moją zaspokoić. Nie żegnając się, Pacheco, dodał daléj: jeżeliby nie wracał za dwie godziny, możesz sam udać się do mojéj ciotki, a ja tam przybędę po obiedzie. Wiész co ci powiedział Gil Blas ze strony dony Ximeny, możesz więc prosto udać się z odwiedzinami. To mówiąc wyszedł i kazał mi towarzyszyć sobie.

Łatwo domyślić się, że zamiast udać się pod *karego konia*, my prosto zmierzaliśmy do domu, w którym mieszkała Ortiz. Skorośmy tylko tam przybyli, zaczęliśmy zaraz gotować się do przedstawienia naszéj sztuki. Aurora zdjęła włosy blond, wymyła i wytarła brwi, wzięła suknie kobiece, i przemieniła się w piękną brunetkę, taką, jaką była w istocie. Można rzec śmiało, że przebranie zmieniało ją do tego stopnia, że Aurora i don Felix, wydawali się dwiema odmiennemi osobami. Zdawało się nawet, że jako kobiéta, była daleko wyższa, niż w ubiorze męzkim; prawda, że do tego nie mało przyczyniał się strój głowy, który zwykle bardzo wysoki nosiła. Gdy wrodzone wdzięki wsparła tém wszystkiém, na co się sztuka zdobyć może, oczekiwała na przybycie don Luis z wzruszeniem, w którém się obawa mieszała z nadzieją. Raz spuszczała się na swój dowcip i piękność, drugi raz, lękała się, aby to nie była próba nieszczęśliwa. Ortiz także przygotowała się, by jak najlepiéj wspiérać swoję panię. Co do mnie, ponieważ nie wypadało, aby mnie Pacheco zobaczył w tym domu, gdyż podobnie jak aktor, który dopiéro w ostatnim akcie występuje, ja także w końcu odwiedzin miałem się pojawić, zjadłszy więc obiad, wyszedłem.

Wreszcie wszystko było w porządku, kiedy don Luis przybył. Pani Ximena przyjęła go bardzo mile; rozmawiał z Aurorą ze dwie godziny, poczém ja wszedłem do sali, w któréj bawili, a zwracając się do młodego pana, rzekłem: — Panie, don Felix, mój pan, nie przyjdzie tu dzisiaj, prosi pana o przebaczenie, jest bowiem teraz, z trzema panami z Toledu, których się pozbyć nie może.—Ah młody swawolnik, rzekła donna Ximena, hula sobie zapewne.—Nie, pani, odezwałem się, rozmawia z nimi o ważnych sprawach. Martwi go to mocno, że niemoże tu przybyć; polecił mi abym to pani powiedział, równie jak donie Aurorze.—Ja nie przyjmuję wcale tłumaczenia, rzekła moja pani żartobliwie, wiedział że byłam nieco słaba, powinien był objawić trochę więcéj skwapliwości dla osób, połączonych z nim krwi związkami. Za karę, nie chcę go widzieć przez dwa tygodnie.—Ah pani, ozwał się wtedy don Luis, nie wydawaj tak srogiego postanowienia, don Felix już i tak nieszczęśliwy, że się nie mógł z panią widzieć.

Żartowali jeszcze przez niejaki czas w tym przedmiocie, poczém don Pacheco oddalił się. Piękna Aurora zmienia natychmiast postać i przybiéra strój męzki. Wraca do hotelu jak tylko mogła najprędzéj.—Przepraszam cię, drogi przyjacielu, rzekła do don Luis, żem nie mógł połączyć się z tobą u mojéj ciotki, ale nie mogłem się pozbyć osób, z którymi się spotkałem. To mnie przynajmniéj pociesza, że miałeś zupełną swobodę w zaspokojeniu twojéj ciekawości. Cóż więc myślisz o mojéj krewnéj? powiédz mi bez ogródki.—Jestem oczarowany, rzekł Pacheco. Miałeś słuszność, mówiąc, żeście podobni do siebie; nie widziałem nigdy rysów tak podobnych; to samo zaokrąglenie twarzy, te same oczy, usta, a nawet ton głosu. Jest przecież jakaś różnica. Aurora jest wyższa od ciebie, jest brunetka, a ty blondyn; ty jesteś wesoły, ona poważna, otóż jest wszystko, w czém się od siebie różnicie. Co się tyczy dowcipu, nie sądzę, aby istota jaka niebieska, więcéj go posiadała od twojéj krewnéj. Słowem, jest to osoba pełna zalet niewypowiedzianych.

Pan Pacheco, te ostatnie wyrazy, z takiém wymówił uczuciem, że don Felix przerwał mu uśmiéchając się:—przyjacielu, żałuję teraz, żem ci ułatwił poznanie się z doną Ximeną; wierz mi, nie chodź tam więcéj, radzę ci dla twojéj własnéj spokojności. Aurora de Guzman mogłaby cię nabawić troski, wzniecając w sercu twojém namiętność.

—Nie potrzebuję jéj oglądać drugi raz, aby się w niéj zakochać; już się stało.—Żal mi cię, odpowiedział udany Mendoce, nie jesteś zdolnym do stałego przywiązania, a krewna moja nie jest Izabellą, powiadam ci. Nie dla niéj jest kochanek, któryby nie miał widoków prawych.—Widoków prawych! przerwał don Luis, możnaż mieć inne, względem dziewicy takiego rodu? Uważałbym to sobie za obrazę, gdyby mnie ktoś chciał posądzać, iż jestem zdolnym patrzéć na nią okiem światowém. Sądź mnie z lepszéj strony kochany Mendoce. Zaiste, poczytałbym się za najszczęśliwszego z ludzi, gdyby przyjęła moje zabiegi, i chciała los swój połączyć z moim.

—Kiedy z tego tonu zaczynasz, rzekł don Felix, obowiązujesz mnie do usług swoich. Wchodzę w twoje uczucia, i ofiaruję ci moje wstawienie się do Aurory; zaraz jutro starać się będę pozyskać moją ciotkę, która wielką ma przewagę nad jéj umysłem. Pacheco tysiączne złożył dzięki kawalerowi, który go tak różowemi cieszył nadziejami, i teraz ujrzeliśmy, że nasz wybieg udawał się jak najlepiéj. Następnego dnia zapaliliśmy jeszcze bardziéj miłość pana Pacheco przez nowy pomysł. Moja pani udawszy się do dony Ximeny, aby pozyskać jéj względy dla niego, wróciła właśnie i powiedziała mu: — mówiłem z moją ciotką, i nie mało użyłem trudu, aby ją skłonić na twoją stronę. Strasznie była uprzedzoną przeciw tobie. Nie wiém, kto jéj wbił w głowę, żeś ty rozpustnik; to pewna, że ktoś musiał jéj odmalować twój obraz nie w bardzo pięknych kolorach; na szczęście rozpocząłem twoję apologią, i z takim zapałem broniłem twojéj sprawy, żem w końcu potrafił zniszczyć złe wyobrażenie, jakie jéj o twoich obyczajach wpojono.

—Na tém nie koniec, mówiła daléj Aurora, chciałbym abyś w mojéj obecności rozmówił się z moją ciotką; a wtedy dokonamy zwycięztwa, zyskując jéj pomoc. Pacheco pragnął z największą niecierpliwością téj rozmowy z doną Ximeną, i tę pociechę przeznaczono mu na dzień następny. Udany Mendoce zaprowadził go do pani Ortiz, i wszyscy troje mieli rozmowę, w któréj don Luis objawił, że w krótkim czasie namiętnie się rozkochał. Przebiegła Ximena udała, że ją wzrusza ta czułość, jaką don Luis okazywał, i przyrzekła wszelkiemi siłami starać się o skłonienie swojéj siostrzenicy, do ofiarowania mu ręki. Pacheco rzucił się do nóg tak dobréj cioci, by złożyć dzięki za jéj łaskę. Wtedy don Felix zapytał się, czy krewna jego już wstała. — Nie, odpowiedziała dozorczyni, jeszcze śpi i teraz nie możecie się z nią widzieć, ale po południu wróćcie, a będziecie mogli z nią rozmówić się swobodnie. Ta odpowiedź dony Ximeny podwoiła radość don Pacheco, jak tego łatwo się domyślić, i reszta poranku zdała mu się nadzwyczaj długą. Powrócił do hotelu z don Felixem, który baczném okiem śledząc najmniejsze jego poruszenie, z radością spostrzegał oznaki prawdziwej miłości.

Rozmawiali tylko o Aurorze, a po obiedzie don Felix odezwał się do pana Pacheco:—Przyszło mi na myśl, udać się na kilka chwil pierwéj do mojéj ciotki, pomówić sam na sam z moją krewną, by dociec jéj usposobienia względem ciebie. Don Luis zgodził się na ten pomysł, pozwolił oddalić się swojemu przyjacielowi, a sam dopiéro w godzinę późniéj udał się za nim. Moja pani korzystała z téj chwili, i już była po kobiecu ubrana, gdy jéj kochanek nadszedł.—Spodziéwałem się, rzekł Pacheco, przywitawszy Aurorę i dozorczynię, że tu zastanę don Felixa. Ujrzysz go pan za chwilę, odezwała się dona Ximena, pisze właśnie w moim gabinecie. Pacheco wynagrodził sobie to uchybienie przyjaciela, zawiązawszy rozmowę z kobiétami. Z tém wszystkiém, mimo obecność przedmiotu miłości, spo-

strzegł, że godziny mijają, a Mendoce się nie pokazuje, i gdy wreszcie niemógł się wstrzymać od wynurzenia swojego zadziwienia w tym względzie, wtedy Aurora nagle zmieniając postawę, zaczęła się śmiać, i odezwała się do pana Pacheco: —Czy może być, abyś pan dotąd nie miał najmniejszego podejrzenia o wybiegu? fałszywe włosy blond i brwi pofarbowane, czyniąż mnie tak niepodobną do mnie, by się aż do tego punktu można uwodzić? Poznaj się więc panie Pacheco, mówiła daléj, przybrawszy ton poważny, i wiédz, że don Felix de Mendoce i Aurora de Guzman, to jest jednaż i ta sama osoba.

Nie poprzestała na wyprowadzeniu go z błędu, przyznała się do słabości jaką czuła dla niego, wyjawiła wszystkie zabiegi jichak użyła, by go przyprowadzić do celu, jaki sobie zamierzyła. Don Luis równie był uradowany, jak zdziwiony tém co słyszał; rzucił się do stóp mojéj pani, i odezwał się z uniesieniem: —Ah! piękna Auroro, mogęż wierzyć, że w istocie jestem tym szczęśliwym śmiertelnikiem, dla którego tyle okazałaś względów? czémże je zawdzięczę? Dozgonna miłość nie jest jeszcze ich należytą odpłatą. Za temi wyrazami, nastąpiły tysiączne oświadczenia czułości i przywiązania, poczém kochankowie zajęli się środkami, jakie im przedsięwziąć należy, dla dojścia do kresu swoich życzeń. Postanowiono, że nieodwłocznie powrócimy do Madrytu, gdzie małżeństwo będzie rozwiązaniem naszéj komedyi. Zamiar ten został tak szybko wykonany, jak był prędko powzięty; don Luis we dwa tygodnie późniéj, zaślubił moją panię, a gody weselne dały powód do uczt i zabaw nieskończonych.

Rozdział VII.

Gil Blas zmienia służbę.

We trzy tygodnie po ślubie, pani moja chciała wynagrodzić moje przysługi. Ofiarowała mi sto luidorów, mówiąc:—Gil Blasie, mój przyjacielu, nie wypędzam cię od siebie, pozwalam ci bawić w moim domu, póki ci się podoba, lecz stryj mojego męża, don Gonzale Pacheco, życzy sobie mieć cię za szatnego. Mówiłam mu z taką o tobie pochwałą, iż mnie prosił usilnie, abym cię odstąpiła. Jestto człowiek starego dworu, dodała, bardzo uczciwego charakteru, będzie ci bardzo dobrze u niego.

Podziękowałem Aurorze za jéj łaskawe względy, a żem jéj nie był potrzebny, przyjąłem więc ofiarowane mi miejsce, tém chętniéj, że nie wychodziłem z téj familii. Jednego więc poranku z polecenia nowéj mężatki, udałem się do pana Gonzale. Był jeszcze w łóżku, chociaż to już było blizko południe. Wszedłszy do jego pokoju widziałem, że pił bulion, który mu podał paź jego. Starzec miał wąsy zawinięte w papiloty, oczy niemal zagasłe, twarz bladą i wyschłą. Był to jeden z tych starych kawalerów, co to są wyuzdanemi rozpustnikami za młodu, i nie stają się skromniejszemi w wieku podeszłym. Przyjął mnie bardzo mile, i oświadczył, że jeżelibym mu chciał służyć z taką samą gorliwością, jak jego synowicy, w takim razie może mi zapewnić mój los. Po takowéj obietnicy, przyrzekłem mu toż samo przywiązanie, jakiem okazał jego synowicy, i zostałem jego służącym.

Otóż więc jestem u nowego pana, a Bóg wié co to za człowiek! kiedy wstał z łóżka, rozumiałem, że widzę zmartwychwstanie łazarza. Wystawcie sobie wielkie ciało wychudłe, tak, że widząc je nagie, możnaby było wybornie nauczyć się osteologii. Nogi miał tak cienkie, że mi się jeszcze nie wydawały naturalnemi, gdy na nie wciągnął trzy, czy cztery pary pończoch, jedna na drugą. Oprócz tego ta mumia ruszająca się, cierpiała astmę, za każdym wyrazem kaszel ją dusił. Naprzód wypił czekoladę, potém żądał papiéru i atramentu, napisał bilet, zapieczętował, i paziowi który mu podawał bulion, kazał zanieść według adresu, po czém obracając się do mnie:—mój przyjacielu, rzekł, ciebie teraz myślę użyć do moich poleceń, a osobliwie ściągających się do dony Eufrazyi. Jestto młoda osoba, którą kocham, i od któréj czułéj doznaję wzajemności.

Miły Boże, pomyślilem sobie, jakże młodzi ludzie nie mają sobie wyobrażać że są kochani, kiedy stary niedołęga przekonany jest, że go ubóstwiają? — Gil Blasie, mówił daléj, dziś zaprowadzę cię do niéj; ja tam prawie codzień jestem na wieczerzy. Zobaczysz osobę bardzo miłą, zdziwisz się nad jéj ułożeniem skromném, równie jak nad jéj rozsądkiem. Nie podobna wcale do tych młodych trzpiotów, które szaleją za młodzieżą i uganiają się za pozorami, ona posiada umysł dojrzały i gruntowny; ona w mężczyznie szuka uczuć, a kochanka umiejącego kochać, przenosi nad postać najświetniejszą. Ależ pan Gonzale nie skończył na tém pochwały swojéj kochanki; chciał ją wystawić jako zbiór wszystkich doskonałości; szkoda tylko, że miał słuchacza nader trudnego do przekonania w podobnym przedmiocie. Ja com widział wszystkie przebiegi i obroty komedyantek, nie wierzyłem, aby stary pan mógł być szczęśliwym w miłości. Dla przypodobania się jednak, udawałem że wierzę temu, co mi pan opowiadał; daléj jeszcze posunąłem się, wychwalałem głęboki rozsądek i gust Eufrazyi. Dosyć byłem nawet bezczelnym, utrzymując, iż nie mogła mieć gacha milszego. Poczciwy człowiek nie poczuł nawet, żem go dymem kadzidła zakrztusił; owszem, cieszył się z mojéj mowy: jak to jest prawdą, że pochlebca może się na wszystko odważyć u wielkich panów! łatwo się naginają do wszystkiego, aż do pochlebstw najbardziéj przesadzonych.

Starzec skończywszy pisanie, wyrwał sobie kilka włosów z brody szczypczykami, potém wymył sobie oczy z ropy. Wymył także uszy, potém ręce, a po tych oczyszczeniach, ufarbował na czarno wąsy, brwi i włosy. Dłużéj zajmował się swoją toaletą, niż stara wdowa siląca się na ukrycie ruiny długich lat. Kiedy kończył ubieranie się, wszedł jeden z jego przyjaciół, drugi starzec, którego przezywano hrabią Asumar. Cóż to za różnica była między nimi! ten nie krył swoich białych włosów, podpierał się laską, i zdawał się chlubić ze swojéj starości, zamiast udawać młodego. —Panie Pacheco, rzekł wchodząc, zapraszam się do ciebie na obiad. — Witam cię z radością, mój hrabio, odpowiedział mój pan. Zaraz uściskali *się* obadwa, zasiedli i zaczęli gawędkę, nim zastawiono stół.

Naprzód rozmawiali o walce byków, niedawno przedstawionéj. Wymieniali jeźdźców, którzy najwięcéj siły i zręczności okazali; w tém, stary hrabia, jak drugi Nestor, któremu wszystko obecne podawało sposobność do pochwał przeszłości, rzekł z westchnieniem:—Niestety! już ja dziś nie widzę ludzi, którychby można było porównać z dawniejszymi, i turnieje teraźniejsze nie odbywają się z taką okazałością, jaką ja widziałem w młodości. Śmiałem się w duchu z uprzedzenia dobrego pana Asumar, który nie skończył na samych turniejach; przypominam sobie, że siedząc przy stole, gdy podano owoce, widząc bardzo piękne morele, odezwał się:—za moich czasów, morele były daleko większe aniżeli teraz; natura coraz bardziéj słabnie. Na téj zasadzie, pomyśliłem sobie, śmiejąc się w duchu, morele za czasów Adama, musiały być niepojętéj wielkości.

Hrabia Asumar został u mojego pana prawie do samego wieczora, skoro więc uwolnił się od niego, wyszedł natychmiast z domu, rozkazawszy mi iść za sobą. Poszliśmy prosto do Eufrazyi, która o sto kroków najwięcej, mieszkała od naszego domu, zastaliśmy ją w pokojach z przepychem urządzonych. Ubrana była wykwintnie, z pierwszego wejrzenia zdawała się tak młodą, że można ją było wziąć za małoletnią, chociaż miała już pewnie ze trzydzieści lat z okładem. Mogła uchodzić za ładną, a wkrótce dziwiłem się jéj dowcipowi. Nie była ona z liczby tych zalotnic, które jedynie zalecają się ujmującém szczebiotaniem, i swobodném zupełnie wzięciem się; ona była skromna w postępowaniu i w mowie, nadzwyczaj dowcipnie rozmawiała, nie pokazując bynajmniéj, że chce uchodzić za dowcipną. Patrzyłem na nią z podziwem. O Boże! pomyśliłem, czy podobna, aby osoba, która się tak skromną wydaje, zdolna była pędzić życie rozwiązłe.

Don Gonzale nie był w guście tych panów, którzy wymagają piękności śmiałych; takich on znieść nie mógł, dla przypodobania się jemu, kobiéta musiała przybrać postawę westalki; dlatego też, Eufrazya stosując do tego swoje postępowanie, pokazywała, że nie wszystkie dobre komedyantki, były na sce-

nie. Zostawiłem mojego pana z jego nimfą, a sam zszedłem do sali, w któréj zastałem starą pokojówkę, którą poznałem jako dziewczynę, towarzyszkę komedyantki. I ona ze swojéj strony przypomniała sobie mnie, i oboje odprawiliśmy scenę poznania się, godną znaléźć miejsce w sztuce teatralnéj.—Ah! jak się masz panie Gil Blas, ozwała się w radosném uniesieniu suberetka, oddaliłeś się więc od Arsenii, tak jak ja od Konstancyi? —Tak jest w istocie, odpowiedziałem, już dawno ją opuściłem; późniéj już służyłem u panny znakomitego rodu. Życie osób do teatru należących, nie zgadza się z moim gustem. Dałem sobie odprawę sam, nie racząc się wdawać w żadne wyjaśnienia z Arsenią.—Wybornie zrobiłeś, rzekła suberetka, Beatrix zwana. Ja prawie tym samym sposobem postąpiłam z Konstancyą. Pewnego pięknego poranku, złożyłam jéj rachunek oziębłe, odebrała go, nie rzekłszy ani słowa, i rozstałyśmy się dosyć grzecznie.

—Cieszę się mocno, że się spotykamy w domu daleko uczciwszym. Dona Eufrazya zdaje mi się w pewnym względzie kobiétą wyższego rodu, i mniemam, że jest bardzo dobrego charakteru.—Nie mylisz się wcale, odpowiedziała mi stara towarzyszka, ona pochodzi z pięknéj familii, co się objawia w jéj obejściu się; a co się tyczy jéj humoru, mogę ci zaręczyć, żem nie widziała jednostajniejszego i słodszego. Nie jest ona z liczby tych pań gniewliwych i trudnych do zaspokojenia, które znajdą we wszystkiém coś do przygany, które bez ustanku łają, dręczą służących, u których służba, jednym mówiąc wyrazem, jest istném piekłem. Nie słyszałam jéj łającéj, ani razu jednego, tak dalece lubi łagodność. Kiedy mi się zdarzy nie zrobić czego według jéj fantazyi, zgani mi to bez gniewu, a nigdy jéj się nie wymknie ten przydomek, którym popędliwe panie tak szczodrze szafują.— Mój pan, rzekłem na to, jest także bardzo łagodny; poufali się ze mną i obchodzi się jak z równym sobie, ale nie jak ze służącym; słowem, jest to pan najlepszy z ludzi, a ztąd jesteśmy oboje daleko lepiéj jak u komedyantek. — Tysiąc razy lepiéj, odpowiedziała Beatrix; tam żyłam w gwarze światowym, gdy tymczasem tutaj, żyję jak na ustroniu. Żaden tu mężczyzna nie pokaże się prócz pana Gonzale. A ja w mojém odosobnieniu, nie będę widziała nikogo prócz ciebie; nie raz zazdrościłam Laurze, że cię miała za przyjaciela; ależ mam nadzieję, że i ja nie będę mniéj szczęśliwa. Jeżeli nie jestem tak młodą i piękną, natomiast nie cierpię zalotów, czego mężczyzni nie mogą dostatecznie ocenić; co do wierności, jestem prawdziwą synogarlicą.

Ponieważ szanowna Beatrix, była jedną z tych osób, które muszą się oświadczać z swoimi względami, bo niktby nie starał się o nie, dla tego nie miałem najmniejszéj pokusy korzystania z jéj ofiary. Nie chciałem przecież dać jéj uczuć mojéj wzgardy, owszem, tak uprzejmie rozmawiałem z nią, iż nie mogła tracić nadziei natchnienia mnie miłością ku sobie. Wystawiałem więc sobie, żem pozyskał serce staréj pokojówki, i jeszcze uwodziłem się w tym razie. Subretka nie dla moich pięknych oczu tak ze mną postępowała; zamiarem jéj było obudzić we mnie miłość, aby mnie użyć do interesów swojéj pani, dla któréj z taką była żarliwością, że wcale nie zważała na to, coby ją to miało kosztować. Błąd mój poznałem zaraz nazajutrz rano, gdym przyniósł do Eufrazyi słodki bilecik od mojego pana. Ta pani przyjęła mnie bardzo grzecznie, tysiące mi wyrazów ujmujących powiedziała, i pokojówka także do tego się mięszała. Jedna chwaliła moje wejrzenie, druga uwielbiała przezorność i skromność. Słuchając ich tedy, don Gonzale w osobie mojéj prawdziwy skarb posiadał. Słowem, tak mnie wychwalały, żem wcale nie ufał ich słowom. Dociekłem ja zaraz powodów, ale przyjmowałem wszystko na pozór z prostotą zupełnego głupca, a tak chytrość na chytrość, oszukałem oszustki, zrzuciły więc maskę.

—Słuchaj Gil Blas, mówiła mi Eufrazya, szczęście twoje od ciebie zależy. Działajmy spólnie mój przyjacielu. Don Gonzale jest stary, ma zdrowie tak słabowite, że najłagodniejsza febra, przy pomocy dobrego lekarza, niezawodnie go sprzątnie. Korzystajmy z chwil, które mu zostają, i tak działajmy, aby mi większą część swojego majątku zostawił. Będziesz miał z tego dobry udział, to ci zaręczam; na tę obietnicę tak liczyć możesz, jak gdybym ci ją zrobiła przed wszystkiemi notaryuszami Madrytu. — Pani, rzekłem jéj, rozrządzaj sługą swoim; wskaż mi tylko drogę postępowania, a będziesz zadowoloną.— Dobrze, mówiła Eufrazya, zwróć więc pilną uwagę na twojego pana, i o każdym jego kroku zdawaj mi sprawę. Skoro oba rozmawiać będziecie, nieomieszkaj nakręcać gawędki do kobiét, a ztąd bierz powód, ale zręcznie, do pochwał moich; rozprawiaj mu o Eufrazyi, ile tylko będziesz mógł. Ale to jeszcze nie wszystko, mój przyjacielu, żądam jeszcze od ciebie, abyś pilnie baczył na wszystko, co się dzieje w familii Pacheco. Jeżeli spostrzeżesz jakiego krewniaka pana Gonzale, skrzętnie mu nadskakującego, dybiącego na jego spadek, zawiadomisz mnie o tém natychmiast; więcéj nie żądam od ciebie; ja go wkrótce sama wykurzę. Ja znam różne charaktery krewnych twojego pana, wiém jak ich można u niego na śmieszność wystawić, i już niezgorzéj przysoliłam wszystkim jego synowcom i siostrzeńcom.

Wysłuchawszy takowéj nauki, i innych jeszcze przestróg, które do niéj dodała Eufrazya, pomiarkowałem, że to jest pani z rzędu tych, które się czepiają starców wspaniałomyślnych. Przed niedawnym czasem zobowiązała pana Gonzale do sprzedania jednéj włości, za którą pieniądze zagarnęła. Codziennie go dobrze podskubywała, a mimo to miała nadzieję, że o niéj nie zapomni w testamencie. Udałem że przystaję na wszystko, czego odemnie żądano; mówiąc zaś szczérze, wahałem się wracając do domu, czy mam pomagać do oszukiwania mojego pana, czy starać się odstręczyć go od jego kochanki. Ten ostatni zamiar, zdawał mi się uczciwszym od piérwszego, uczułem więc w sobie więcéj skłonności do spełnienia mojego obowiązku, niż do zdrady. Prócz tego Eufrazya nie obiecywała mi nic stanowczego, a może po części i to było przyczyną, że nie mogła skazić mojéj wierności. Postanowiłem więc szczérze służyć don Gonzalowi, w tém przekonaniu, że jeżeli mi się uda oderwać go od jego bóztwa, sowiciéj zostanę wynagrodzony za ten dobry uczynek, niż bym był za zły, gdybym go spełnił.

Żeby dopiąć zamierzonego celu, objawiałem zupełne poświęcenie na usługi dony Eufrazyi. Wmówiłem w nią, że o niéj zawsze rozmawiam z moim panem, i na rachunek tego, dziwne jéj prawiłem duby, a ona wszystko przyjmowała za dobrą monetę. Tak dobrze wszrubowałem się w jéj umysł, że była przekonana, iż jéj interesu jedynie pilnuję. Żeby tém lepiéj ją omamić, udawałem zakochanego w Beatrycy, a ta ze swojéj strony uradowana, że w tym wieku ma u stóp swoich młodego człowieka, nie troszczyła się bynajmniéj, czy będzie zwiedzioną, bylebym ją zwodził dobrze. Kiedyśmy byli przy naszych boginiach, ja i mój pan, wtedy przedstawialiśmy dwa obrazy różne, ale w tym samym rodzaju. Don Gonzale suchy i blady, jak go wyżéj przedstawiłem, miał postać konającego. ilekroć słodkie oczki zrobił; moja syrena, kiedym jéj mój zapał objawiał, przybiérała ruchy dziecinne, i poruszała wszystkie zasoby staréj zalotnicy, a była pewnie ze czterdzieści lat w téj szkole. Wyszlifowała się przy jednéj z tych bohatérek zalotów, które nawet w starości podobać się umieją, i umiérają obciążone łupami dwóch lub trzech pokoleń.

Nie dość było dla mnie, że co wieczór z moim panem bywałem u Eufrazyi, chodziłem tam często sam w dzień, spodziéwając się że kiedyś spostrzegę młodego gacha ukrytego: ale o któréjkolwiek godzinie przyszedłem, nigdym nie spotkał żadnego mężczyzny, ba nawet ani kobiéty, któraby miała minę dwuznaczną. Nie mogłem odkryć ani śladu przeniewierzenia się: co mnie nie pomału dziwiło: bo chociaż Beatrix zapewniała mnie, że jéj pani nie przyjmuje żadnych odwiedzin męzkich, ja przecież nie mogłem przypuszczać, aby tak piękna kobiéta mogła być ściśle wierną panu Gonzale. I zaiste nie było to posądzenie płoche: piękna Eufrazya by z większą cierpliwością mogła oczekiwać spadku mojego pana, już się zaopatrzyła w kochanka stosowniejszego do jéj wieku.

Pewnego poranku przyniosłem słodki bilecik, według zwyczaju, do naszego bóstwa. Gdym wszedł do pokoju, spostrzegłem nogi mężczyzny ukrytego poza parawanem. Starałem się

nie pokazać po sobie, żem je widział, i zaraz wyszedłem spełniwszy moje posłannictwo: a chociaż taka rzecz nie powinna była mnie dziwić, chociaż nie wchodziła w mój rachunek, przecież mocno mną wstrząsnęła — Ah, wiarołomna, rzekłem z oburzeniem, występna Eufrazyo! toż mało dla ciebie durzyć poczciwego starca, że go kochasz; trzeba żebyś się poświęcała innemu, aby dopełnić swojéj zdrady! Jakże ja byłem głupi, kiedy sobie wspomnę to moje rozumowanie! Należało raczéj rozśmiać się z tego przypadku, trzeba było uważać to po prostu za wynagrodzenie nudów i przykrości, jakiéj doznawała w stosunkach z moim panem. Byłoby bez porównania lepiéj, gdybym był słowa o tém nie bąknął, nie żebym miał korzystać z téj sposobności do odegrania roli wiernego sługi. Lecz zamiast powściągnąć moją gorliwość, ja wdałem się z zapałem w interes pana Gonzale, opowiedziałem mu wiernie com widział, dodając do tego, że Eufrazya starała się mnie uwieść: nie zataiłem ani słowa z tego co do mnie mówiła: tak dalece, że od niego tylko zależało, aby poznał swoją kochankę. Rzucił mi kilka pytań, jak gdyby nie dowierzał mojemu opowiadaniu, lecz odpowiedzi moje nie zostawiły mu ukontentowania, by mógł powątpiéwać o rzetelności mojéj. To wywarło silne na nim wrażenie, mimo zimną krew, jaką w każdéj innéj rzeczy zachowywał, gniéw błysnął na jego twarzy i zdawało się, że Eufrazyi nie ujdzie bezkarnie to jéj przeniewierzenie się. — Dosyć tego, Gil Blasie, rzekł do mnie, czuję mocno to przywiązanie, jakie mi objawiasz w służbie swojéj, podoba mi się twoja wierność. Idę natychmiast do Eufrazyi, wymówię jéj wszystko, i zerwę na zawsze z niewdzięczną. To mówiąc wyszedł istotnie, udając się do niéj, uwolnił mnie od towarzyszenia sobie, aby mi oszczędzić przykréj roli, jakąbym musiał odegrać w chwili ich rozprawy.

Z największą niecierpliwością wyglądałem powrotu mojego pana. Nie wątpiłem bynajmniéj, że mając tak słuszny powód urazy do swojéj nimfy, albo się zupełnie z nią rozłączy, albo przynajmniéj postanowi oddalić się od niéj. W tém przekonaniu cieszyłem się już z mojego dzieła. Wystawiałem sobie radość krewnych don Gonzale, skoro się dowiedzą, że przestał być igraszką namiętności, tak przeciwnéj ich interesom. Pochlebiałem sobie, że mi będą wdzięczni za to, i że wreszcie odróżnię się od innych służących, którzy pospolicie skłonniejsi są do utrzymywania panów swoich w rozwiązłości, niż do wydobycia ich z niéj. Lubiłem honor, i z radością wyobrażałem sobie, że uchodzić będę za fenixa między służącymi. Ale tak słodkie marzenia zniknęły w kilku chwilach. Pan mój wrócił. — Mój przyjacielu, miałem dość żwawą rozprawę z Eufrazyą. Nazwałem ją niewdzięczną i wiarołomną; nie oszczędzałem wyrzutów. Wieszże co mi odpowiedziała? Że źle robię słuchając lokajów. Utrzymuje, żeś mi fałszywe złożył doniesienie. Według jéj wyrażenia, ty jesteś szalbierz, sługa poświęcony moim synowcom, że dla ich miłości starasz się jak najusilniéj poróżnić mnie z nią. Widziałem w jéj oczach łzy, ale łzy szczére. Przysięgała na wszystko co tylko może być najświętsze, że ci żadnych nie robiła przedstawień, że żaden mężczyzna u niéj nie postanie. Beatrix, która mi się zdaje bardzo uczciwą dziéwczyną, niezdolną do zmyślania, zaręczała mi toż samo; tak dalece, że mimowolnie gniéw mój uspokoił się.

— Więc jakże! przerwałem z żalem, pan nie ufasz mojéj szczerości? masz w podejrzeniu.... — Nie moje dziecko, przerwał znowu on z kolei, oddaję ci sprawiedliwość. Nie wierzę abyś był w zmowie z moimi synowcami; jestem mocno przekonany, że interes mój jedynie silnie cię obchodzi, i za to wdzięczny ci jestem: lecz mimo to wszystko, pozory są często zwodnicze; być może, iż w istocie nie widziałeś, co ci się zdawało; a w takim razie sam osądź, jak dalece twoje oskarżenie musiało być nieprzyjemne Eufrazyi! Cóżkolwiekbądź, jest to kobiéta, któréj nie mogę opuścić; takie moje przeznaczenie: muszę jéj nawet zrobić ofiarę, któréj wymaga od mojéj miłości, a tą ofiarą jest oddalenie ciebie. Boleję nad tém, mój biédny Gil Blasie, mówił daléj, i zaręczam ci, że niechętnie przystałem na to: ale nie mogłem zrobić inaczéj: lituj się nad moją słabością: lecz co cię pocieszać winno, to że cię nie odprawię bez nagrody. Nadto chcę cię umieścić u jednéj damy, mojéj przyjaciołki, gdzie będziesz miał bardzo przyjemną służbę.

Ten zwrót mojéj gorliwości przeciw mnie samemu, przejął mnie do żywego. Przeklinałem Eufrazyą, opłakując słabość pana Gonzale, że się dał jéj tak opętać. Poczciwy starzec czuł dobrze, że odprawiając mnie, nie bardzo męzkiego dopełniał czynu, zwłaszcza robiąc to tylko dla przypodobania się swojéj zalotnicy: dlatego téż aby mi mniéj dać uczuć swoją słabość i osłodzić pigułkę, dał mi pięćdziesiąt dukatów, i zaraz nazajutrz zaprowadził mnie do margrabinéj Chaves, do któréj odezwał się w mojéj przytomności, że jestem młodym człowiekiem pełnym najlepszych zdolności i przymiotów; że mnie kocha i że tylko powody familijne nie dozwalają mi zatrzymać mnie dłużéj, dlatego prosi ją, żeby mnie przyjęła w poczet służby swojéj. Przyjęła mnie natychmiast i tym sposobem niespodzianie ujrzałem się w nowym domu.

Rozdział VIII.

Charakter margrabinéj Chaves i jéj zwyczajne towarzystwo.

Margrabina de Chaves była wdową, mającą lat trzydzieści pięć: dobrego wzrostu, piękna i kształtna. Dochód jéj roczny wynosił dziesięć tysięcy dukatów, dzieci nie miała. Nie widziałem kobiéty posępniejszéj i tak mało mówiącéj. Mimo to uchodziła za najoświeceńszą w całym Madrycie. Zbiór znakomity osób wyższego towarzystwa i literatów jaki u niéj codziennie widzieć można było, więcéj może przykładał się do ustalenia jéj wziętości w tym względzie, aniżeli jéj własne przymioty. Jestto rzecz o któréj ja wyrokować nie myślę. Powiém tylko, że do jéj imienia przywiązane było wyobrażenie geniuszu wyższego rzędu, a dom jéj w mieście nazywano wyłącznie biurem dzieł dowcipu.

W istocie czytywano tam codziennie to poemata dramatyczne, to inne poezye. Ale same tylko dzieła poważne; sztuki komiczne były wzgardzone. Najlepszą komedyą, powieść najdowcipniejszą i najweselszą, poczytywano za płód nikczemny, nie godzien wejrzenia: gdy przeciwnie dzieło poważne, odę, eklogę, sonnet, uważano za najszczytniejszy polot umysłu ludzkiego. Zdarzało się, że publiczność nie zawsze potwierdzała wyrok tego biura, a nawet czasami niegrzecznie wygwizdano sztuki, które tam zyskały huczne oklaski.

Zostałem mistrzem sali w tym domu, tojest, do mojego obowiązku należało przygotować wszystko w pokojach mojéj pani do przyjęcia towarzystwa; ustawić krzesła dla mężczyzn, sofy dla kobiét: poczém stałem przy drzwiach pokoju, zawiadamiając o przybywających i wprowadzając ich. Zaraz piérwszego dnia w miarę jak wprowadzałem gości, nadzorca paziów trafem obecny w przedpokoju, opisywał mi ich w naiwnym sposobie. Nazywał się on Andrzéj Molina. Z natury zimny i szyderczy, ale przy tém dowcipny. Najpierwéj przedstawił się wysoki dygnitarz kościelny. Skorom go wprowadził, nadzorca paziów rzekł mi: ten pan jest dosyć zabawnego charakteru, ma on cokolwiek wziętości u dworu, ale chciałby w cały świat wmówić, że ma nieograniczone zaufanie. Ofiaruje swoją protekcyą wszystkim, a nikomu nic dobrego nie zrobił. Raz na pokojach królewskich spotyka młodego kawalera, który mu się ukłonił: natychmiast go zatrzymuje, morduje grzecznościami, i ściskając go za ręce, cały rzecze, jestem na usługi pańskie. Nastręcz mi z łaski swojéj sposobność, a ręczę ci, że piérwéj zginę nimbym miał pominąć ją bez przysłużenia się panu. Kawaler podziękował mu z największą wdzięcznością; a skoro się obadwa rozeszli, dygnitarz rzekł do jednego z towarzyszących mu: „Zdaje mi się, że znam tego człowieka, jakoś snuje mi się po głowie, żem go gdzieś widział.”

Zaraz potém pojawił się syn granda; a gdym go wprowadził do pokoju mojéj pani, Molina odezwał się do mnie: — I ten pan także jest oryginałem. Wystaw sobie, że często wchodzi do domu jakiego dla rozmówienia się o ważnym interesie z panem domu, a tymczasem po niejakiéj chwili wychodzi, zapomniaw-

szy o nim.—Ale otóż, dodał nadzorca, widząc wchodzące dwie kobiéty, to jest dona Angela de Penafiel i dona Margarita de Montalvan. Są to dwie istoty zupełnie między sobą różne. Dona Margarita chlubi się, że jest filozofką; śmiałe stawi czoło najgłębszym doktorom Salamanki, i w rozumowaniach swoich nigdy nie ustąpi ich dowodom. Co się tyczy dony Angeli, ona wcale nie udaje uczonéj, chociaż jest nadzwyczaj ukształcona. Jéj mowa jest niesłychanie trafną, myśli wyborne, wyrażenia wykwintne, szlachetne i naturalne. — To miły charakter, odezwałem się do Moliny; ale tamten powyższy zda mi się wcale niewłaściwy dla płci pięknéj.—Nie bardzo, rzekł Molina uśmiéchając się: wiele jest mężczyzn, którzy się tym sposobem na śmieszność wystawiają. Pani margrabina nasza, dodał, uroiła sobie także filozofią w głowie. Oh co to tu dziś narozprawiają! Boże daj, aby w tych rozprawach religia się nie zawikłała!

Właśnie to kończył, kiedyśmy ujrzeli wchodzącego mężczyznę wychudłego, który miał minę poważną i kwaśną. Mój nadzorca nie oszczędził go także.— Ten oto, rzekł mi, jestto jeden z tych silnych umysłów, które chcą uchodzić za wielkie geniusze pod zasłoną milczenia, lub kilku zdań wydobytych z Seneki, a to są istne głupcy, jak się dobrze przypatrzysz. Wszedł następnie młodzieniec dosyć kształtny, który miał postać grecką, tojest wyraz twarzy pełen zarozumiałości. Zapytałem się, ktoby to był. Tojest poeta dramatyczny, rzekł Molina. Sto tysięcy wierszy sklepał w swojém życiu, które mu nie przyniosły trzech szelągów, ale za to na przekorę sześcią wierszami prozy ustalił sobie byt wyborny.

Zabierałem się do słuchania objaśnień o rodzaju szczęsnego losu, tak małym kosztem pozyskanego, gdy wtém usłyszałem wielki hałas na schodach.— Przedziwnie, rzekł nadzorca, otóż i licencyat Campanario. Daje już znać o sobie, choć go jeszcze nie widać: zaczyna on rozprawiać począwszy od bramy i nie kończy póki nie wyjdzie z domu. W istocie po wszystkich kątach rozlegał się głos grzmiącego licencyata, który wreszcie wkroczył do przedpokoju z bakałarzem swoim przyjacielem, i nie przestał rozprawiać póki nie wyszedł.—Pan Campanario, odezwałem się do Moliny, jest zapewne niepospolity geniusz.— Tak jest, odpowiedział mój nadzorca, jestto człowiek pełen pomysłów świetnych, wyrażenie jego bardzo zręczne i delikatne; w towarzystwie zabawny. Ale prócz tego, że jest nieznośnym gadułą, jeszcze do tego często się powtarza; żeby zaś rzeczom nie nadawać wyższéj ceny nad ich rzeczywistą wartość, jabym mniemał, że przyjemna i komiczna postawa, będąca przyprawą jego rozmowy, całą jéj zaletę stanowi. Większa część jego dowcipnych wyrażeń nie wielkiby zaszczyt przyniosła zbiorowi trafnych powiastek.

Schodziły się jeszcze inne osoby, które Molina zabawnie malował. Nie zapomniał także o portrecie margrabinéj, i ten zupełnie przypadł mi do smaku.—Przedstawiłbym ci, mówił mi, naszę panią, jako umysł dosyć jednostajny, pomimo jéj filozofii. Nie jest wcale trudnegodo zaspokojenia humoru, bardzo mało kaprysów znosić przychodzi w jéj usłudze. Jestto kobiéta najrozsądniejsza z pań znakomitego rodu; niéma nawet żadnéj namiętności. Nie lubi ani gry, ani zalotów, lubi jedynie rozmowę. Życie jéj byłoby bardzo nudne dla większéj części naszych kobiét. Nadzorca uprzedził mię przez tę pochwałę na korzyść mojéj pani. Ztémwszystkiém w kilka dni późniéj nie mogłem się wstrzymać od posądzenia jéj, że nie jest tak wielkim wrogiem miłości, i zaraz powiém na jakiéj zasadzie opiérałem moje podejrzenie.

Pewnego poranku kiedy się ubiérała, przedstawił mi się człowiek nizkiego wzrostu, czterdziestoletni, odrażającéj postaci, brudniejszy od autora Pedro de Moya, i nadzwyczaj garbaty. Mówił mi, że się chce widzieć z panią margrabiną. Zapytałem się z czyjego polecenia.—Z mojego własnego, odpowiedział dumnie. Powiédz jéj, że jestem ten sam kawaler, o którym wczoraj mówiła z doną Anną de Velasco. Wprowadziłem go do pokojów pani i zawiadomiłem ją o tém. Margrabina natychmiast wykrzyknęła z uniesieniem radosném i kazała go prosić. Nie dosyć, że go przyjęła bardzo uprzejmie, ale nadto oddaliła wszystkie kobiéty z pokoju, tak dalece, że garbus szczęśliwszy od każdego innego człowieka porządnego, został z nią sam jeden. Pokojówki uśmiéchały się wraz ze mną z téj rozmowy sam na sam, która trwała blizko godzinę; poczém moja pani pożegnała go z wielką uprzejmością, okazującą, że była z niego bardzo kontenta.

W istocie tak się jéj podobała z nim zabawa, że wieczór powiedziała mi na stronie: Gil Blas, skoro ten garbaty przybędzie, wpuść go do mojego pokoju jak najsekretniéj. Przyznam się, że takowy rozkaz dziwne we mnie obudził domysły: lecz stosownie do rozkazu margrabinéj, jak tylko garbus przybył, co zaraz nazajutrz rano nastąpiło, natychmiast skrytemi schodami zaprowadziłem go prosto do pokoju pani. To samo święcie spełniłem dwa czy trzy razy późniéj, wnosząc z tego, że albo margrabina ma jakieś skłonności dziwaczne, albo ten mały człowieczek zastępuje miejsce pośrednika.

Takowém uprzedzeniem zajęty, pomyśliłem sobie, dali Bóg, jeżeli moja pani kocha jakiego mężczyznę urodziwego, nie mam jéj za złe; lecz jeżeli sobie zawróciła głowę tym dziwolągiem, nie mógłbym jéj przebaczyć tak znieprawionego gustu. Jakżem niebacznie sądził o mojéj pani! Mały garbus wdawał się w magią, a że uwielbiano jego wiadomości przed margrabiną, któréj się podobał niesłychanie wszelki urok kuglarski, dlatego pragnęła powówić z nim na osobności. Pokazywał dziwne rzeczy w szklance, obracał rzeszotem, za pieniądze objawiał wszystkie tajemnice kabały: czyli szczérzéj mówiąc, byłto oszust, który się utrzymywał kosztem osób łatwowiernych: a jak powiadano wiele kobiét płaciło mu haracz.

Rozdział IX.

Jakiém zdarzeniem Gil Blas oddalił się od margrabinéj i co się z nim zrobiło.

Już sześć miesięcy upłynęło jak byłem w domu margrabinéj, bardzo zadowolony z mojego miejsca. Ale przeznaczenie, które miałem spełnić, nie dozwoliło mi dłuższego pobytu u téj pani, ani nawet w Madrycie. Oto jest przypadek, który mnie zmusił do oddalenia się.

Między pannami mojéj pani, była jedna nazwiskiem Porcia. Młoda, piękna, a przytém tak dobra, że przywiązałem się szczérze do niéj, nie wiedząc, że trzeba będzie walczyć o jéj serce. Sekretarz margrabinéj, człowiek dumny i zazdrosny, zakochany był w mojéj miléj. Ledwie co spostrzegł moje zaloty, nie wchodząc w to, jakiém okiem spogląda na mnie Porcia, postanowił zaraz wziąć się do szpady. W tym celu zaprosił mnie na godzinę oznaczoną w miejsce ustronne. Że zaś był to człowieczek, który wzrostem swoim zaledwie mi sięgał pod pachę, zdawał mi się więc słabym, a témsamém mniéj niebezpiecznym spółzawodnikiem. Pełen zaufania udałem się na miejsce wskazane. Pewny zwycięztwa łatwego, sądziłem, że będę miał czém pochlubić się przed Porcią: ale wypadek zawiódł moje oczekiwanie. Malutki sekretarzyna mając dwa czy trzy lata wprawy na sali, odrazu rozbroił mnie jak dzieciucha, a wskazując mi ostrze szpady odezwał się, gotuj się na śmierć, albo daj mi słowo honoru, że natychmiast opuścisz dom margrabinéj i zrzeczesz się na zawsze Porci. Złożyłem mu chętnie to przyrzeczenie i dotrzymałem go bez żalu. Przykro mi było tak haniebnie zwyciężonemu, pokazać się w pałacu przed innymi służącymi, a nadewszystko przed nadobną Heleną, która była przedmiotem téj walki. Wróciłem przeto dla zebrania manatków i pieniędzy, i tegoż samego dnia byłem na drodze do Toledu z sakiewką nieźle opatrzoną i z porządnym tłomoczkiem. Chociaż nie obowiązałem się opuszczać Madrytu, sądziłem wszakże, iż mi wypada oddalić się przynajmniéj na pewny czas. Postanowiłem więc przebiedz całą Hiszpanią od miasta do miasta. Z pieniędzmi jakie mam, daleko zajdę, tak sobie mówiłem, zwłaszcza rozsądnym będąc w wydatkach, a jak się rozproszą, to znowu pójdę do służby. Taki chłopak jak ja, znajdzie w ostatniéj potrzebie miejsce, skoro tylko zechce i ja będę je miał do wyboru.

Chciałem szczególniéj zwiedzić Toledo i przybyłem doń trzeciego dnia. Stanąłem w porządnym hotelu i uchodziłem za znako-

mitego kawalera w ubiorze dobréj fortuny, w który się ustroiłem, a mając minę panicza, nie trudno mi było wejść w stosunki z ładnemi kobietami w sąsiedztwie: ale dowiedziawszy się, że trzeba u nich zaczynać od znacznych wydatków, powściągnąłem moję żądzę; że zaś opanowała mnie chętka podróżowania, obejrzawszy więc wszystko, co tylko mogło być ciekawego w Toledzie, ruszyłem pewnego poranku równo ze świtem, zmierzając do Cuenza, by się dostać do Aragonii Drugiego dnia mojéj podróży wstąpiłem do karczmy, którą spotkałem po drodze, a gdym się posilał, przybył oddział towarzyszów świętego Hermandadu. Panowie ci kazali sobie dać wina i pijąc, opisywali sobie młodego człowieka, którego mieli rozkaz przytrzymać. Nadstawiłem więc ucha: ten panicz, mówił jeden z nich, niéma więcéj nad dwadzieścia trzy lat, nosi długie czarne włosy, pięknego wzrostu, nos orli, jedzie na koniu skarogniadym.

Słuchałem ich, nie pokazując po sobie najmniejszego zajęcia, i w istocie wcale mnie to nie obchodziło. Zostawiwszy ich w karczmie, puściłem się w dalszą drogę. Zaledwie pół ćwierci mili uszedłem, gdym spostrzegł młodego człowieka, bardzo przystojnego, na koniu gniadym. Dalibóg, pomyśliłem sobie, otóż jest człowiek, którego towarzysze szukają, chyba że mnie oczy zwodzą. Włosy ma czarne, długie, nos orli; to ten niezawodnie, którego chcą złowić: muszę mu się przysłużyć.—Panie, rzekłem do niego, pozwól się zapytać, czy nie masz czasem na swoich ramionach jakiéj sprawki honorowéj. Młody człowiek nic nie mówiąc spojrzał na mnie zdziwiony tém pytaniem. Zapewniłem go, że to nie ciekawość skłania mnie do tych wyrazów; a skorom mu opowiedział com słyszał w karczmie, przekonał się o rzeczywistości mojego zapewnienia. Wspaniałomyślny, nieznajomy mi panie, nie będę ci tail, że mam powody przypuszczania, że ci panowie istotnie na mnie dybią, dla uniknienia ich przeto inną puszczę się drogą.—Jabym mniemał, odpowiedziałem mu, że nam wypada szukać miejsca, w którémbyś był bezpiecznym, i gdziebyśmy znaleźli schronienie przed burzą, która się zbiéra i wkrótce nadejdzie. W tejże chwili spostrzegliśmy aleę gęstemi obsadzoną drzewami, która nas doprowadziła do stóp góry, przy któréj znaleźliśmy pustelnią.



Śmierć braciszka don Juana.

Była to głęboka i obszerna pieczara, którą czas w skale wyżłobił, a ręka ludzka dodała do niéj z przodu zabudowanie wystawione z głazów i muszli, pokryte murawą. Dokoła rozrzucone rosły tysiączne odmiany kwiatów, wonnością napełniających powietrze: obok téj groty był w górze otwór, z któréj wytryskał zdrój czystéj wody rozlewającéj się po łące. Przy wejściu do tego samotnego mieszkania był poczciwy pustelnik, zdający się wiekiem przyciśniony. Jedną ręką wspiérał się na kiju, w drugiéj zaś trzymał różaniec z wielkiemi paciorkami, składający się najmniéj ze dwudziestu koronek. Na głowę nacisnął brunatną wełnianą czapkę z długiemi uszami, a broda, bielsza od śniegu sięgała mu do pasa. Przystąpiliśmy do niego. —Mój ojcze, pozwoliszże nam schronienia przed burzą, która nam zagraża?—Pójdźcie moje dzieci, odpowiedział pustelnik, popatrzywszy na mnie z uwagą: pustelnia otwarta jest dla was, możecie w niéj mieszkać tak długo, jak się wam podoba. Co do konia waszego, pokazując nam przybudowanie, tam będzie dla niego wygodnie. Młody człowiek, mój towarzysz, wprowadził tam konia i potem obadwa pośliśmy za starcem do groty.

Zaledwieśmy tam stanęli, gdy gwałtowny lunął deszcz, z błyskawicami i strasznemi grzmotami. Pustelnik uklęknął przed obrazem świętego Pachomiusza przyklejonym na ścianie i my idąc za jego przykładem zrobiliśmy toż samo. Grzmoty ustały: myśmy się podnieśli, lecz że deszcz ciągle padał, noc się zbliżała, starzec odezwał się: moje dzieci, nie radzę wam puszczać się w drogę w takim czasie, chyba że nagły macie interes. Odpowiedzieliśmy obadwa, że nie mamy nic takowego coby nam przeszkadzało do zatrzymania się, a gdybyśmy nie obawiali się natręctwa, prosilibyśmy go o pozwolenie przepędzenia téj nocy w jego pustelni.—Nie będziecie mi natrętnemi wcale, odpowiedział starzec. Nad wami tylko ubolewać należy, bo będziecie mieli bardzo niewygodny nocleg, tembardziéj, że wam nic ofiarować nie mogę prócz wieczerzy pustelniczéj.

To mówiąc mąż ten świątobliwy posadził nas przy małym stoliku, dał nam po kilka cybulek, po kawałku chleba i dzbanek wody: —moje dzieci, przemówił do nas, otóż to jest moja codzienna uczta, ale dziś przez wzgląd na was muszę się dopuścić zbytku — i zaraz powstawszy przyniósł kawałek séra i ze dwie garści orzechów laskowych. Młody człowiek którego wcale odbiegł apetyt, nie bardzo uczcił te potrawy.—Widzę, rzekł pustelnik, żeś do lepszego przyzwyczajony stołu, jak mój, czyli raczéj że zmysłowość zepsuła twój gust wrodzony. I ja byłem takim samym na świecie. Mięsa najwyborniejsze, przysmaczki najwyszukańsze, jeszcze zbyt dobremi dla mnie nie były; lecz gdym rozpoczął życie pustelnicze, smak mój odzyskał czystość pierwiastkową. Teraz najmilsze mi są korzonki, owoce, mléko, słowem wszystko to, co stanowiło pokarm pierwiastkowych ludzi.

Kiedy to mówił stary, młodzieniec zamyślił się mocno. Pustelnik to spostrzegłszy, rzekł,—mój synu, umysł twój widzę silnie zajęty. Nie mógłżebym się spytać o przyczynę? Otwórz mi swoje serce. Nie dla czczéj ciekawości tego żądam, ale dla miłości bliźniego. Jestem w wieku w którym mogę ci dać radę, a ty w swoim możesz jéj potrzebować. — Tak jest mój ojcze, odpowiedział młodzieniec westchnąwszy, bezwątpienia potrzebuję rady, i kiedy mi ją łaskawie ofiarujesz, chętnie jéj usłucham. Sądzę, że bez żadnego narażenia się mogę się zwierzyć takiemu człowiekowi.—Nie, mój synu, nie obawiaj się niczego, możesz mi śmiało zaufać. Wtedy młodzieniec tak mówić zaczął.

Rozdział X.

Historya don Alphonsa i pięknéj Serafiny.

Nie będę ci nic obwijał w bawełnę, mój ojcze, równie jak i temu panu, doznawszy jego szlachetności, nieufność ku niemu byłaby grzechem z mojéj strony. Opowiém wam przeto moje nieszczęścia. Jestem z Madrytu, takie zaś jest moje urodzenie. Oficer z gwardyi niemieckiéj, baron Steinbach, wracając raz wieczór do domu, spostrzegł przy schodach jakieś zawiniątko. Wziął je i zaniósł do pokoju swojéj żony: pokazało się że to było nowo narodzone dziécię powinięte w pieluszki ładne, z biletem, że to dziécię należy do osób znakomitych, które się kiedyś dadzą poznać: dodano przytém, że już jest ochrzczone i dano mu imię Alphons. Tém dzieckiem nieszczęśliwém ja jestem i oto wszystko co o moim początku wiém. Ofiara honoru, lub przeniewierzenia, nie wiém; czy matka moja wyrzuciła mnie dla ukrycia jedynie haniebnych miłostek, albo czy uwiedziona przez wiarołomnego kochanka, ujrzała się w srogiéj konieczności zaparcia się swojego dziécięcia.

Cóżkolwiekbądź baron i jego żona ulitowali się nad moim losem; a że nie mieli dzieci, postanowili więc wychowywać mnie pod imieniem Alphonsa. W miarę jak rosłem, rosła ich także przychylność ku mnie. Moje postępowanie przymilające się i pochlebne zyskiwało ich pieszczoty. Wreszcie miałem szczęście pozyskać ich przywiązanie. Wystarali mi się o rozmaitych nauczycieli: wychowanie moje było jedynym przedmiotem ich rozmyślania: tak dalece, że zamiast wyglądać niecierpliwie rychłoli moi rodzice się objawią; oni zdawali się pragnąć, aby moje urodzenie zostało na zawsze utajoném. Skoro baron ujrzał mnie zdolnym do broni, zapisał mnie zaraz do służby. Uzyskał dla mnie stopień chorążego, opatrzył mnie we wszystko należycie; i żeby mnie tém silniéj zapalić do szukania sławy, przedstawił mi, że droga zaszczytów otwarta jest dla wszystkich zarówno, że na wojnie mogę pozyskać imię tém świetniejsze, że je sam sobie winien będę. Przy téj okazyi objawił mi tajemnicę mojego urodzenia, którą aż dotąd ukrywał. Że zaś w Madrycie uchodziłem za jego syna, a sam byłem przekonany, że tak jest w istocie, przyznam się, że to zwierzenie się było mi bardzo bolesne. Nie mogłem i dotąd jeszcze nie mogę pomyśleć o tém bez zarumienienia się. Im silniéj uczucie moje zdaje się przekonywać mnie o szlachetném pochodzeniu, tém więcéj czuję poniżenie, widząc się opuszczonym przez tych, którym życie winienem.

Udałem się na służbę do Niderlandów; lecz wkrótce zawarto pokój, a ponieważ Hiszpania nie miała już nieprzyjaciół, choć jéj nie brakło zawistnych, wróciłem więc do Madrytu, gdzie tak od barona, jak i małżonki jego odbierałem nowe oznaki czułego przywiązania. Już blizko dwa miesiące upływały od mojego powrotu, gdy pewnego poranku mały pazik wszedł do mojego pokoju i oddał mi bilet, w tych niemal wyrazach:

Nie jestem ani szpetna, ani niekształtna, a jednak często mnie widzisz w oknie bez najmniejszego przymilenia się. Takowe postępowanie nie przystoi wcale twoim oczkom zalotnym; i to mię tak silnie dotknęło, że pragnąc się zemścić za to, chcę ci ofiarować moją miłość.



Wyznanie don Huberta.

Przeczytawszy bilecik, nie wątpiłem, iż jest skreślony ręką wdowy, zwanéj Leonorą, mięszkającéj naprzeciw naszego domu i mającéj wziętość wielkiéj zalotnicy. Zacząłem się wypytywać pazia, który z początku udawał bardzo ostrożnego, lecz za dukata zaspokoił moję ciekawość i nawet przyjął odpowiedź, w któréj zawiadamiałem moję panią, że uznaję mój występek, i czuję już, że jest napół pomszczona.

Nie byłem bardzo nieczuły na podobny rodzaj podboju. Tego dnia już wcale nie wychodziłem, raz poraz zbliżając się do okna dla obaczenia mojéj pani, wkrótce téż i ona stanęła w oknie swoim. Zacząłem jéj dawać znaki: ona odpowiadała na nie i zaraz nazajutrz zawiadomiła mnie przez swojego pazia, że jeżelibym chciał następnéj nocy znajdować się na ulicy między godziną jedenastą a północą, mógłbym z nią rozmówić się w oknie salonu dolnego. Chociaż nie czułem zbyt gorącéj miłości dla wdowy tak płochéj, dałem jéj przecież odpowiedź pełną zapału, a nocy tak oczekiwałem niecierpliwie, jak gdybym był najszaleniéj rozkochany. Kiedy więc zciemniło się, udałem się do Prado, tam chcąc oczekiwać oznaczonéj godziny. Zaledwie przybyłem, gdy jakiś mężczyzna na pięknym koniu stanął tuż przy mnie, zsiadł i przystępując odezwał się dość groźnie: — kawalerze, nie jesteśże synem barona Steinbach? — Tak jest, odpowiedziałem.—A więc to ty jesteś, który dziś masz się widzieć z Leonorą? Widziałem jéj listy i twoje odpowiedzi; pokazał mi je paź jéj; dlatego śledziłem cię tego wieczoru od wyjścia z domu twojego począwszy, aż do miejsca, aby ci oświadczyć, że masz spółzawodnika, którego próżność czuje się obrażoną, że ma się z tobą ubiegać o jéj serce. Sądzę, że nie potrzebuję ci mówić więcéj. Jesteśmy w miejscu ustronném, walczmy więc, chyba, że unikając skarcenia, jakie ci wymierzyć gotów jestem, przyrzeczesz mi zerwać wszelkie stosunki z Leonorą. Poświęć mi powzięte nadzieję, lub życiem przypłacisz.—Trzeba było, rzekłem mu, żądać téj ofiary, ale nie nakazywać ją; skłoniłbym się na twoją prośbę, pogróżkom zaś nie ustąpię.

A więc walczmy, rzekł przywiązawszy konia do drzewa. Osobie mojego stanu nie przystoi wcale zniżać się do prośby takiego jakim ty jesteś. Wielu z podobnych mi zemściłoby się na tobie w sposób mniéj zaszczytny. Tknięty do żywego temi ostatniemi wyrazami, widząc, że on dobył szpady i ja także chwyciłem za moją. Z taką walczyliśmy wściekłością, że cała rozprawa była bardzo krótką. Czy że on za gorąco postępował, czy téż może ja byłem zręczniejszy, wnet utopiłem mu szpadę w piersiach. Zachwiał się i padł. Wtedy myśląc jedynie o własném ocaleniu, wziąłem jego konia i puściłem się drogą do Toledu. Nie śmiałem wracać do barona Steinbach, w tém przekonaniu, że moja przygoda byłaby go mocno zmartwiła; a zastanowiwszy się nad niebezpieczném mojém położeniem, osądziłem, że mi wypada jak najspieszniéj opuścić Madryt.

W głębokim smutku pogrążony, rozmyślając nad swojém nieszczęściem, jechałem ciągle przez resztę nocy i cały poranek. Lecz koło południa trzeba było zatrzymać się, aby dać odpoczynek koniowi, i przetrzymać upał, który coraz nieznośniejszym się stawał. Bawiłem więc we wsi aż do zachodu słońca; poczém chcąc jednym ciągiem dostać się do Toledu, puściłem się w dalszą drogę. Już dojechałem do Illesca a nawet dwie mile daléj, gdy wtém burza, podobna do dzisiejszéj, zaskoczyła mnie wśród pola. Zbliżyłem się do muru ogrodowego, który spostrzegłem o kilka kroków przed sobą. Nie mając dogodniejszéj ochrony, przytuliłem się wraz z koniem, najlepiéj jak tylko mogłem do drzwi altany, w końcu muru znajdującéj się, nad któremi był balkon. Przyciskając się coraz mocniéj, poczułem, że drzwi były otwar-

te. Przypisywałem to niedbalstwu służących; zsiadłem z konia, i nie przez ciekawość, lecz dla lepszéj ochrony od dészczu, od którego mnie balkon nie bardzo zasłaniał, wszedłem do altany, wprowadziwszy za sobą konia.

Wśród burzy zająłem się rozpoznaniem miejsca, i chociaż tylko przy świetle błyskawicy uważać mogłem, pomiarkowałem przecież, że to był dom, którego właściciel nie musi należyć do pospolitego gminu. Czekałem póki dészcz nie ustanie, aby w dalszą puścić się drogę; lecz światło, które z daleka spostrzegłem, zmieniło moje postanowienie. Zostawiłem konia w altanie, zamknąwszy drzwi, i udałem się za tym światłem, by prosić o nocleg, w przekonaniu, że jeszcze nie wszyscy śpią w tym domu. Przeszedłszy kilka ganków, zbliżyłem się do sali, któréj drzwi także otwarte zastałem. Wszedłem więc do niéj i na widok przepychu jaki ujrzałem przy blasku kilku świéc w kryształowym żyrandolu umieszczonych, powziąłem przekonanie, że się znajduję w domu wielkiego pana. Posadzka w niéj była marmurowa, lamperye bardzo ładne i z wielką sztuką złocone, gzymsy cudownéj roboty, a sufit zdał mi się dziełem bardzo znakomitego malarza. Ale co mnie najwięcéj uderzyło, to mnóstwo popiersi bohatérów hiszpańskich, ustawionych do koła sali na podstawach z marmuru jaspisowo nakrapianego. Mogłem swobodnie przypatrywać się wszystkiemu, bo choć raz po raz bacznie nadstawiałem ucha, nie słyszałem najmniejszego szmeru, ani żywy duch się nie pojawił.

W jednéj ścianie sali były drzwi, ale tylko przymknięte; otworzyłem je więc i ujrzałem kilka pokojów w linii jeden za drugim, a z nich ostatni tylko był oświetlony. Co tu robić? pomyśliłem. Mamże wrócić, czy zuchwale przedrzéć się aż do tego ostatniego pokoju? Zdawało mi się, że najrozsądniéj było wrócić się; ależ trudno było oprzéć się ciekawości, czyli raczéj wyłamać się z pod wpływu mojéj gwiazdy, która mnie ciągnęła. Postąpiłem więc naprzód i przeszedłszy kilka pokojów, dostałem się do tego, w którym było światło, to jest świéca w lichtarzu pozłacanym, stojącym na marmurowym stole. Ujrzałem naprzód meble czyste i wykwintne, lecz rzuciwszy okiem na łóżko którego firanki z przyczyny gorąca na pół odsłonione były, ujrzałem przedmiot, który całą moją uwagę pochłonął. Była to młoda kobiéta, która głębokim snem spoczywała, nie słysząc trzasku burzy i huczących grzmotów. Zbliżyłem się cichuteńko i przy blasku świécy ujrzałem płeć i rysy które mnie oćmiły. Na ten widok zmięszałem się. Uczułem jakieś zachwycenie, szał; lecz mimo całe wzruszenie jakie mną miotało, opinia powzięta o jéj szlachetności oddalała odemnie wszelką myśl płochą i szacunek przeważył nad uczuciem. Kiedym się tak napawał jéj widokiem, ona tymczasem przebudziła się.

Wystawcie sobie jéj zdziwienie, gdy wśród nocy, w pokoju swoim, ujrzała nieznajomego mężczyznę. Drgnęła na mój widok i zaczęła krzyczyć. Starałem się ją uspokoić: a klękając na jedno kolano, odezwałem się:—pani, nie lękaj się niczego, nie przybyłem tu by ci szkodzić. Chciałem daléj mówić, lecz tak była strwożona, że mnie wcale nie słuchała. Raz poraz wołała na swoje kobiéty, a gdy nikt się nie odzywał, bierze lekką suknię wieczorną, która była przy jéj łóżku i biegnie do pokojów przez które ja przechodziłem, wołając na swoje służące i na młodszą siostrę, którą miała pod swoją opieką. Spodziéwałem się przybycia wszystkich służalców i bałem się, aby się ze mną nie obeszli przykro, nie wysłuchawszy mnie wcale; lecz na moje szczęście, wołanie jéj było próżne, jeden tylko pokazał się stary sługa, któryby pewnie na niewiele się jéj przydał, gdyby jakie istotne było niebezpieczeństwo. Jednakże obecnością jego ośmielona, zapytała się mnie z dumą, ktobym był, którędy, i po co, tak zuchwale wdarłem się do jéj pokoju. Zacząłem więc usprawiedliwiać się i tylko com jéj powiedział, żem zastał otwarte drzwi altany; gdy w téj chwili wykrzyknęła: —O Boże! na jakiż w téj chwili wpadam domysł!

To mówiąc wzięła świécę ze stołu, przebiegła wszystkie pokoje, jeden za drugim, nie znalazłszy w nich ani swoich kobiét, ani swojéj siostry; uważała nawet, że zabrały wszystkie swoje rupiecie. Ujrzawszy domysł swój sprawdzony, wróciła do mnie silnie wzruszona i rzekła:—wiarołomco! nie łącz fałszu ze zdradą. Nie traf sprowadził cię tutaj: ty należysz do orszaku Ferdynanda de Leyva i masz udział w jego zbrodni. Ale nie myśl, żebyś mi się mógł wymknąć; jeszcze mi dosyć ludzi pozostało, żeby cię przytrzymać.—Pani, mówiłem jéj, nie załączaj mnie do twoich nieprzyjaciół. Nieznam wcale don Ferdynanda de Leyva; i tego nawet nie wiém kto pani jesteś. Ja jestem nieszczęśliwy, którego sprawa honorowa zmusiła do opuszczenia Madrytu; a przysięgam ci na wszystko, co tylko może być najświętszego, że gdyby nie burza, noga tu moja niepostałaby. Racz więc z większą względnością sądzić o mnie: zamiast posądzać mnie o spólnictwo zbrodni, która cię obraża, bądź przekonaną, że gotów jestem pomścić się za ciebie. Te ostatnie wyrazy i ton z jakim je wymówiłem, uhamowały gniéw téj pani, zdawała się już nie uważać mnie za swojego nieprzyjaciela: lecz jeżeli ją gniéw ominął, tedy cała pogrążyła się w żałości. Zaczęła gorzko płakać. Łzy jéj rozczuliły mnie, i równie byłem strapiony jak ona, chociaż nie wiedziałem przyczyny trosków. Nie poprzestałem wszakże na płaczu z nią razem; zapalony zemstą za jéj obelgę, do wściekłości dochodziłem.—Pani, rzekłem jéj, co za obelga cię spotkała? Mów, podzielam zemstę twoją. Chceszże abym ścigał don Ferdynanda i przeszył mu serce? Wymień mi wszystkich, których ci na ofiarę złożyć potrzeba, rozkaż. Jakiekolwiek niebezpieczeństwa, jakiekolwiek nieszczęścia mogą być przywiązane do twojéj zemsty, ten nieznajomy, którego posądzasz o spólnictwo z twoimi nieprzyjaciołmi, podejmie bez wahania się za ciebie.

To uniesienie zdziwiło tę panią i wstrzymało łzy jéj.— Ah panie, rzekła, przebacz mi te podejrzenia, przez wzgląd na stan w jakim się znajduję. Uczucia tak szlachetne wyprowadzają z błędu Serafinę, odejmują mi wszystko, nawet i wstyd mieć kogoś obcego świadkiem hańby wyrządzonéj mojéj rodzinie. Tak jest, szlachetny nieznajomy, wyznaję mój błąd i nie odrzucam twojéj pomocy: lecz nie pragnę śmierci don Fernanda. —Więc jakiéjże pani przysługi żądasz odemnie? rzekłem na to. —Panie, odpowiedziała Serafina, oto jest przyczyna mojego utyskiwania. Don Fernand zakochał się w mojéj siostrze Julii, którą ujrzał przypadkiem w Toledzie, gdzie zwykle mieszkamy. Będzie temu trzy miesiące jak żądał jéj ręki od hrabiego Polan, mojego ojca, który wręcz odmówił, z powodu dawnych niesnasek dzielących dwa te domy. Moja siostra niéma jeszcze lat piętnastu; usłuchała zapewne zgubnych rad moich kobiét, które sobie bezwątpienia pozyskał don Ferdynand; a wiedząc żeśmy same były w tym wiejskim domu, korzystał z sposobności dla wykradzenia Julii. Chciałabym przynajmniéj wiedzieć gdzie ją ukrył, a to dlatego, aby mój ojciec i mój brat, którzy od dwóch miesięcy bawią w Madrycie, mogli stosowne w tym względzie przedsięwziąć środki. Na Boga, proszę cię, przebież okolice Toledu, śledź troskliwie to wykradzenie; niech rodzina moja zawdzięcza ci tę przysługę.

Pani ta nie pomyśliła nawet, że człowiek, któremu takowe dawała polecenie, musiał jak najprędzéj opuszczać Kastylią; lecz jakże mogła na to zwracać uwagę? Mnie samemu do głowy to nie przyszło; odurzony szczęściem widząc się potrzebnym osobie najmilszéj w świecie, z uniesieniem przyjąłem polecenie, przyrzekając, że je spełnię z równym pospiechem jak gorliwością. W istocie nie czekałem dnia, opuściłem natychmiast Serafinę, zaklinając ją, by mi przebaczyła przestrach, którego stałem się przyczyną i zapewniając, że wnet pospieszę do niéj z wiadomością. Wyszedłem tąż samą drogą, którą przybyłem, lecz tak zajęty tą kobiétą, że nie trudno mi było wnosić, iż byłem w niéj rozkochany. Skwapliwość z jaką biegłem w jéj sprawie, miłosne marzenia, jakie mi się po głowie snuły, tém mocniéj mnie o tém przekonywały. Wystawiałem sobie, że Serafina choć żalem ściśnięta, spostrzegła moją namiętność wykluwającą się, a może nie bez przyjemności patrzyła na nią. Wystawiałem sobie także, że gdybym mógł jéj dostarczyć stanowczych wiadomości o jéj siostrze, gdyby rzecz ta wypadła zgodnie z jéj życzeniem, na mnie cały zaszczyt spadnie.

W tém miejscu don Alfons przerwał osnowę swojéj historyi, i odezwał się do starego pielgrzyma:—przebacz mi ojcze, jeżeli zbyt zajęty swoją namiętnością, szerokiemi słowy rozwodzę się nad szczegółami, które cię nudzą bezwątpienia.—Nie, mój synu, odpowiedział pielgrzym, nie nudzą, owszem, radbym wiedział, jak dalece zajęty jesteś tą kobiétą, do tego zastosuję moje rady.

Z fantazyą tak miłemi marzeniami zajętą, mówił daléj młody człowiek, przez dwa dni szukałem uwodziciela Julii; wszelkie atoli moje poszukiwania, na nic się nie przydały, najmniejszego śladu uchwycić nie mogłem. Zgryziony bezkorzystném śledzeniem, wracałem do Serafiny, wystawiając ją sobie w największém udręczeniu pogrążoną. Tymczasem zastałem ją nadspodziéwanie spokojną. Oświadczyła mi, że była szczęśliwsza ode mnie, że wié, co się stało z jéj siostrą, że odebrała list od samego don Fernanda, donoszący, że po tajném zaślubieniu Julii, umieścił ją w klasztorze w Toledzie. Posłałam ten list bratu mojemu, i mam nadzieję, że się wszystko zgodnie zakończy i że uroczyste gody zatrą naszych rodzin zastarzałą nienawiść.

Tym sposobem zawiadomiwszy mnie o losie swojéj siostry, rozwodziła się nad trudami mojemi, których się stała przyczyną, nad niebezpieczeństwem, na jakie mnie nierozważnie naraziła, obowiązując do ścigania uwodziciela, nie bacząc, że jéj powiedziałem, że sprawa honorowa zmuszała mnie do ucieczki. Przepraszała mnie za to w sposób nader ujmujący; a że potrzebowałem spoczynku, zaprowadziła mnie więc do sali, gdzieśmy usiedli oboje. Miała na sobie suknię białą jedwabną w pasy czarne, mały kapelusz z téj saméj materyi z piórem czarném; co mnie naprowadziło na myśl, że musiała być wdową; lecz zdawała mi się tak młodą, iż nic stanowczo wiedzieć nie mogłem.

Jeżeli mnie bodła chęć objaśnienia się w tym względzie, i ona nie mniéj pragnęła wiedzieć kto ja jestem. Prosiła mnie żebym jéj objawił moje imię, nie wątpiąc, jak mówiła, że należę do jakiejś znakomitéj rodziny, jak tego dowodzi moja postawa szlachetna, a bardziéj jeszcze wspaniałomyślne spółczucie jakie w jéj interesie objawiłem. Zmięszałem się takowém pytaniem, zarumieniłem się; i przyznam się, żem mniéj się wstydził skłamać, aniżeli prawdę powiedzieć, rzekłem więc, że jestem synem barona Steinbach, oficera z gwardyi niemieckiéj. Powiédz mi jeszcze, zapytała się znowu, dlaczego opuściłeś Madryt. Naprzód już ofiaruję ci całą wziętość mojego ojca i mojego brata don Gaspara. Będzie to jeden z najmniejszych dowodów mojéj wdzięczności dla młodzieńca, który dla przysłużenia się mnie, własne narażał życie. Nie ociągałem się bynajmniéj z wyłuszczeniem jéj wszystkich szczegółów mojego pojedynku; przyznała niesłuszność zabitemu kawalerowi i przyrzekła wdanie się całéj familii w moim interesie.

Skoro zadosyć uczyniłem jéj żądaniu, prosiłem aby i ona zaspokoiła moją ciekawość. Zapytałem się czy serce jéj było wolne, lub ślubami związane. Trzy lata temu, mówiła mi, ojciec mój zaślubił mnie panu Diego Lara, a od piętnastu miesięcy jestem wdową.—Pani, odezwałem się, jakież nieszczęście wydarło ci tak prędko małżonka?—Zaraz ci powiém, odpowiedziała, wymaga tego po mnie zaufanie jakieś mi objawił.

Don Diego de Lara, mówiła daléj, był młodzieńcem bardzo urodziwym; lecz chociaż mnie kochał namiętnie, choć dla przypodobania się mnie codziennie robił wszystko, co tylko najtkliwszy, a razem najzapaleńszy człowiek robić może dla ulubionéj osoby, chociaż pełen był najpiękniejszych przymiotów, nie mógł przecież poruszyć mojego serca. Miłość nie zawsze jest owocem zabiegów i uznanéj wartości człowieka. Niestety! dodała osoba, któréj nieznamy wcale, zachwyca nas za piérwszym rzutem oka. Nie mogłam go kochać. Bardziéj zawstydzona niż uradowana dowodami jego czułości, zmuszona odpowiadać na nie bez przywiązania, jeżeli sama się w głębi serca oskarżałam o niewdzięczność, czułam się także godną politowania. Na większe jego i moje nieszczęście, więcéj on może miał subtelnéj przezorności, niż miłości. W postępowaniu mojém i niemal w każdym wyrazie przenikał moje najskrytsze uczucia. Czytał w głębi mojego serca. Co chwila utyskiwał na moją obojętność, i tém nieszczęśliwszym się być sądził, nie mogąc się mi przypodobać, że wiedział dobrze, iż mu żaden spółzawodnik nie przeszkadzał, bo wtedy zaledwie szesnaście lat miałam; a nim ofiarował mi swoją wiarę, zjednał sobie wszystkie moje kobiéty, które go zapewniły, iż nikt jeszcze mojéj uwagi nie zwrócił na siebie. Wierz mi, moja Serafino, mawiał mi często, radbym był, żebyś była zajęta kim innym i żeby to było jedynym powodem twojéj dla mnie obojętności. Moje zabiegi i twoja cnota przemogłaby z czasem to dziwactwo; lecz teraz straciłem nadzieję podbicia twojego serca, kiedy się dotąd nie poddało objawionym ci dowodom mojéj miłości. Znużona jednostajném ciągle utyskiwaniem, oświadczyłam, że zamiast trudzić siebie i mnie zbyteczną uprzejmością, lepiéjby zrobił, zostawiając to czasowi. W istocie, w wieku w jakim wówczas byłam, nie czułam się wcale usposobioną do wymysłów najsubtelniejszéj namiętności; była to więc strona, któréj don Diego chwycić się był powinien; lecz widząc, że rok już cały upłynął, a on ani na krok daléj się nie posunął, w tym samym będąc punkcie jak dnia piérwszego, stracił cierpliwość, czyli raczéj rozum go odbiegł; udając więc, że ma ważną sprawę na dworze królewskim, udał się do Niderlandów w charakterze ochotnika i wkrótce wśród niebezpieczeństw znalazł, czego szukał, to jest koniec życia i swojego udręczenia.

Gdy to skończyła, poczęliśmy rozmawiać o osobliwszym charakterze jéj męża. Rozmowę takową przerwał nam goniec przybyły z listem od hrabiego Polan. Prosiła mnie o pozwolenie przeczytania go; a ja spostrzegłem, iż czytając bladła i drżéć poczęła. Przeczytawszy wzniosła oczy ku niebu, głęboko westchnęła i w téj chwili twarz jéj się łzami zalała. Nie przypatrywałem się spokojnie jéj boleści. Zmięszałem się, i jak gdybym przeczuwał cios, który mnie miał ugodzić, śmiertelną trwogą zdjęty, uczułem wszystkie władze moje skrępowane. —Pani, rzekłem stłumionym głosem, wolnoż mi zapytać się, co za nieszczęście zwiastuje ten list?—Masz panie, odpowiedziała smutnie Serafina, podając mi list, czytaj sam co pisze mój ojciec. Niestety! aż nadto w tém interesowany jesteś.

Na te słowa dreszcz mnie ogarnął, drżącą ręką wziąłem list, i wyczytałem w nim następujące wyrazy: „Don Gaspard twój brat, pojedynkował się wczoraj w Prado. Odebrał cios szpadą, w skutek którego dziś umarł: umiérając zaś oświadczył, że kawaler który go zabił jest synem barona Steinbach, oficera z gwardyi niemieckiéj. Na domiar nieszczęścia morderca umknął; lecz gdziekolwiek się skryje, nie oszczędzę niczego, żeby go wynaléźć. Piszę do kilku gubernatorów, którzy go przytrzymać każą, skoro się pojawi w miastach pod ich zarządem będących; innemi znowu listami staram się zatamować mu wszystkie drogi. „Hr. de Polan.”

Wystawcież sobie w jakie rozprzężenie list ten wprowadził wszystkie moje zmysły. Stałem przez niejaki czas jak wryty, nie mogąc ust otworzyć. W tém udręczeniu stanęło mi przed oczyma jak straszną jest śmierć don Gaspara dla mojéj miłości. Nagle wpadłem w rozpacz najgwałtowniejszą, rzuciłem się do stóp Serafiny i podając jéj gołą szpadę, rzekłem:—Pani, oszczędź hrabiemu Polan trudów szukania człowieka, który mógłby uniknąć jego ciosu. Sama własną ręką pomścij śmierć brata, dopełnij ofiary na mordercy jego; uderz: niech to samo żelazo, które jemu odebrało życie, stanie się zgubném dla jego nieprzyjaciela.—Panie, rzekła Serafina dosyć wzruszona mojém postępowaniem, kochałam don Gaspara, a chociaż go zabiłeś jako człowiek waleczny, chociaż on sam z własnéj winy ściągnął na siebie to nieszczęście, przecież łatwo to pojmiesz, że podzielam gniéw ojca mojego. Tak jest don Alfonsie, jestem twoją nieprzyjaciołką i postąpię sobie przeciw tobie tak, jak tego po mnie przyjaźń i pokrewieństwa związki wymagają: ale nadużywać twojego nieszczęścia nie chcę, jakkolwiek sam los wydaje cię mojéj zemście: jeżeli honor uzbraja mnie przeciw tobie, tenże sam zabrania mi zemsty podłéj. Prawa gościnności

muszą być nietykalne, a ja nie chcę morderstwem odpłacać wyświadczonéj mi usługi. Uciekaj; chroń się ile będziesz mógł naszego ścigania, i surowości praw, zabezpiecz głowę twoją od grożącego ci niebezpieczeństwa.

Jakżeż to, pani, rzekłem, mogąc sama się żemścić, spuszczasz się na prawa mogące zawieźć twoje oczekiwanie. Przeszyj raczéj serce nędznika nie zasługującego na twoję litość. Nie pani, porzuć względem mnie postępowanie tak szlachetne, tak wspaniałomyślne. Wiészże, co ja za jeden? W całym Madrycie uważają mnie za syna barona Steinbach, a przecież ja jestem nieszczęśliwy, którego on tylko przez litość wychował. Nie wiém nawet komu winienem światło dzienne. —Mniejsza o to, przerwała szybko Serafina, jak gdyby te ostatnie wyrazy pomnożyły jéj przykrość, gdybyś nawet ostatnim był z ludzi, postąpię sobie tak, jak mi honor nakazuje. A więc, dodałem teraz, ponieważ śmierć brata nie zdoła cię pobudzić do wytoczenia krwi mojéj, chcę poburzyć gniéw twój nowym występkiem, którego zuchwalstwa nie zechcesz zapewne usprawiedliwiać. Ubóstwiam cię; ujrzawszy piérwszy raz twoje wdzięki, zostałem niemi olśniony; i mimo niepewności mojego rodu, powziąłem nadzieję być twoim. Byłem nadto rozkochany, albo raczéj dosyć próżny, by sobie pochlebiać, iż niebo robi mi łaskę tając przedemną mój początek, że mi go kiedyś objawi, a wtedy będę mógł bez zarumienienia się oświadczyć ci moje imię. Po tak zeżywym dla ciebie pani oświadczeniu, będzieszże się wahać z ukaraniem?

To płoche wyznanie obraziłoby mnie bezwątpienia w innym czasie; teraz przebaczam je wstrząśnieniu jakie tobą włada. Prócz tego, w stanie, w jakim się sama znajdujęę, mało zważam na wyrazy, jakie ci się wymówić zdarzy. Jeszcze raz, powtarzam ci don Alfonsie, dodała uroniwszy kilka łez, uchodź, oddal się z domu, który smutkiem napełniasz; każda chwila pobytu w nim twojego, pomnaża moje cierpienia. Nie opiéram się więc dłużéj, rzekłem podnosząc się; trzeba się oddalić od ciebie; lecz nie myśl pani, abym troskliwy o zachowanie nienawistnego ci życia, szukał gdzie bezpiecznego schronienia. Nie, wcale nie, poświęcam się sam twojéj zemście. Udaję się do Toledu, tam z niecierpliwością oczekiwać będę losu, jaki mi przeznaczysz; sam nastręczając się twojemu ściganiu, przyspieszę kres moich nieszczęść.

Kończąc te wyrazy oddaliłem się. Dano mi mojego konia i udałem się do Toledu, gdziem bawił przez ośm dni i gdzie w rzeczy saméj tak mało troszczyłem się o moje bezpieczeństwo, że pojąć nie mogę dlaczego nie zostałem przytrzymany: ponieważ przypuszczać nie mogę, aby hrabia Polan uwziąwszy się na zatamowanie mi wszelkiéj drogi, nie domyślił się, że mogę przechodzić przez Toledo. Nakoniec wczoraj opuściłem to miasto, w którém wolność zdawała się mnie nudzić, a nie mając drogi wytkniętéj, jechałem aż do téj pustelni, jak człowiek, który niéma się czego obawiać. Oto jest mój ojcze, co mnie teraz zajmuje, wesprzyj mnie swoją radą.

Rozdział XI.

Co to za człowiek był ten pustelnik? i jak Gil Blas spostrzegł, że jest w znajomém sobie towarzystwie.

Skoro don Alfons skończył smutne swych nieszczęść opowiadanie, stary pielgrzym przemówił do niego:—Mój synu, wielką popełniłeś nieroztropność bawiąc tak długo w Toledo. Ja wcale inném okiem zapatruję się na to coś mi opowiedział; rozkochanie się twoje w Serafinie za proste uważam obłąkanie. Wierzaj mi, nie durz się, musisz zapomnieć o téj kobiécie, która nigdy twoją być nie może. Ustąp dobrowolnie od tamy, która cię od niéj oddziela, a idź śmiało za twoją gwiazdą, która zdaje się zapowiadać ci wiele innego rodzaju przygód. Znajdziesz bez wątpienia jaką inną młoda osobę, która na tobie takie samo wywrze wrażenie, a któréj brata nie zabijesz.

Zabiérał się właśnie do nowych dowodzeń, by zachęcić don Alfonsa do cierpliwosci, gdy ujrzeliśmy wchodzącego drugiego pustelnika z sakwami dosyć nadętemi. Zebrał on obfitą jałmużnę w mieście Cuenza. Zdawał się daleko młodszym od swego towarzysza i miał brodę rudą i bardzo gęstą.—Bądź pozdrowiony bracie Antoni, rzekł mu stary pustelnik: cóż tam nowego przynosisz z miasta?—Złe dosyć nowiny, odpowiedział brat Rousseau, oddając mu do rąk papier złożony w formie listu; ten bilet objaśni wam wszystko. Starzec rozwinął papier i przeczytawszy go z całą uwagą, na jaką zasługiwał, zawołał:—Niech będzie Bogu chwała! Ponieważ nić ujęta, ostróżnie trzeba z kłębkiem. Teraz zwracając mowę do don Alfonsa, rzecze: —młodzieńcze, widzisz we mnie człowieka, podobnie jak ty w zapasach z kapryśną fortuną. Donoszą mi z Cuenza, miasta o milę ztąd odległego, że mnie oczerniono w oczach sądu, którego służba cała ma jutro wyruszyć w pole do téj pustelni aby mnie pojmać; ale nie znajdą niedźwiedzia w ostępie. Nie piérwszy to raz ja w podobnym znajduję się kłopocie, a dzięki Bogu, zawszem się wywikłał, jak na przezornego człowieka przystoi. Otóż pokażę się wam w nowéj postaci, bo tak jak mnie widzicie, ani ja pustelnik, ani ja starzec.

Tak mówiąc zrzucił z wierzchu długą suknię, którą miał na sobie, i ujrzeliśmy pod spodem kaftan z szarży czarnéj, z rękawami rozcinanemi; poczém zdjąwszy czapkę, odwiązał tasiemki trzymające brodę fałszywą i tym sposobem w jednéj chwili przybrał postawę człowieka najwięcéj dwadzieścia ośm do trzydziestu lat mieć mogącego. Brat Antoni wzorem starszego zrzucił także ubiór pielgrzymi, pozbył się brody rudéj, i ze staréj skrzyni, na pół zbótwiałéj wydobył mocno podszarzaną kapotę, w którą się ustroił. Ale wystawcie sobie, jakie musiało być moje zadziwienie, gdy w osobie starego pustelnika, poznałem pana don Raphaela, a w bracie Antonim mojego najwierniejszego sługę Ambrożego de Lamelas.—Dzięki Bogu, zawołałem natychmiast, a to ja jak widzę jestem między znajomymi. — To prawda panie Gil Blas, rzekł uśmiéchając się don Raphael, spotykasz dwóch swoich przyjaciół wtedy, gdyś się tego najmniéj spodziéwał. Przyznaję, że masz poniekąd powód żalenia się na nas, lecz puśćmy przeszłość w niepamięć, a dziękujmy Bogu że nas tu zbliżył do siebie. Ambroży równie jak i ja ofiarujemy ci nasze usługi, a tém niéma co gardzić. Nie uważaj nas za złych ludzi. Nie zaczépiamy nikogo wstępnym bojem, nie rozbijamy; staramy się tylko żyć kosztem cudzym: a jeżeli kraść jest nieprawością, niezbędna potrzeba łagodzi tę nieprawość. Przystąpcie do naszego towarzystwa, a będziecie wiedli życie koczujące. Jestto rodzaj życia bardzo przyjemny, jeżeli tylko umié się w niém zachować należytą roztropność. Nie bez tego, żeby czasem, mimo całą naszą przezorność, zbieg okoliczności podrzędnych nie nastręczył nam przygód niemiłych; ale mniejsza o to, tém przyjemniejsze wydają się nam zdarzenia pomyślne. Nawykliśmy do rozmaitości czasów, do zmienności losu.

Panie kawalerze, mówił daléj udany pustelnik, obracając się do don Alfonsa; przedstawiamy ci ten sam wniosek, a zdaje się, odrzucać go nie powinieneś w stanie w jakim obecnie się znajdujesz; bo nie mówiąc już o wypadku, który cię znagla do ukrywania się, zapewne w téj chwili nie wiele masz piéniędzy? — Prawda, że nie wiele, i to właśnie powiększa moje udręczenie, odpowiedział don Alfons.—A więc nie opuszczaj nas, mówił Raphael. Niémasz nic lepszego do roboty, jak połączyć się z nami. Na niczém ci zbywać nie będzie, a poszukiwania twoich nieprzyjaciół zniweczyć potrafimy. Znamy całą Hiszpanią, bośmy ją już przebiegli. Wiemy gdzie są lasy, góry, miejsca dogodne na schronienie przed grubiaństwem sprawiedliwości. Don Alphons podziękował za dobre życzenia, a będąc w istocie bez piéniędzy, bez nadziei, postanowił towarzyszyć im: i ja skłoniłem się także, nie chcąc opuszczać tego młodzieńca, do którego czułem niejakie przywiązanie.

Zgodziliśmy się więc wszyscy czteréj iść razem, i nie rozłączać się. Skorośmy to postanowili, wzięliśmy następnie pod rozwagę, czy mamy w téj chwili ruszyć w drogę, albo piérwéj spotkać się z porządnym szawłokiem, pełnym wybornego wina, które brat Antoni przyniósł wczoraj z Cuenzy: lecz Raphael jako najwięcéj doświadczenia mający, wystawił nam, że przedewszystkiém należy nam myśléć o bezpieczeństwie; że we-

dług jego zdania, trzeba nam wędrować całą noc, abyśmy się dostali do lasu między Villardesa i Almodabar, tam się dopiéro zatrzymamy i wolni od niebezpieczeństwa, będziemy mogli spocząć przez cały dzień. Zdanie to zostało przyjęte. Wtedy dwaj udani pustelnicy zebrawszy swoje zapasy i wszystkie rupiecie, ułożyli je we dwie równe paki i zawiesili na koniu don Alfonsa. To się zrobiło z największym pośpiechem, poczém wyszliśmy z pustelni, zostawiając na łup sprawiedliwości dwie suknie pustelnicze z brodami, jedną białą, drugą rudą, dwa tarczany, stół, skrzynię zbutwiałą, dwa stare słomiane stołki, i obraz świętego Pachomiusza.

Szliśmy całą noc i już znużenie czuć się nam dawało, gdy równo ze świtem, spostrzegliśmy las, dokąd nogi nasze zmierzały. Widok portu nowych dodaje sił majtkom zmordowanym długą żeglugą. Postępowaliśmy śmiało i nim słońce weszło, już byliśmy u celu naszéj wędrówki. Zapuściliśmy się w największą gęstwinę knieci i stanęliśmy w miejscu bardzo przyjemném, na murawie, otoczonéj potężnemi dębami, których konary poplątane nawzajem, tworzyły sklepienie tak gęste, że skwarne słońca promienie przebić go nie zdołało. Rozkiełznawszy konia i odtroczywszy paki, puściliśmy go na pastwisko, sami zaś zasiadłszy, dobyliśmy z torby brata Antoniego, kilka porządnych glonków chleba, zrazy pieczeni, i zaczęliśmy zajadać jakby na wyścigi jeden przed drugim. Jednakże chociaż niezmyślony mieliśmy apetyt, nie zapomnieliśmy przecież i o szawłoku i takeśmy go często i serdecznie ściskali, że bezustannie przechodził z objęcia jednego do drugiego.

W końcu uczty don Raphael odezwał się do don Alphonsa:— Panie, po zwierzeniu się twojém, gódna zaiste, abym i ja opowiedział ci moją historyą z taką samą szczérością.—Wielką zrobisz mi przyjemność, rzekł don Alphons,—a mnie tém większą, zawołałem. Jestem niesłychanie ciekawy dowiedzieć się o twoich przygodach, nie wątpię wcale, że będzie warto ich posłuchać.—Za towam ręczę, odpowiedział Raphael, ja nawet myślę je kiedyś spisać. Będzie to rozrywka w mojéj starości; teraz jestem jeszcze młody, chcę przeto starać się o powiększenie tomu. Ale jesteśmy znużeni, pokrzepmy się więc kilką godzinami snu. Kiedy zaś my trzéj będziemy spali, Ambroży niech czuwa, aby nas niespodzianie nie napadnięto, a potem on swoje odeśpi. Zdaje mi się, że tu jesteśmy zupełnie bezpieczni, nie zawadzi atoli mieć się na baczności. To kończąc, rozciągnął się na trawie, don Alphons zrobił toż samo, ja poszedłem za ich przykładem, a Lemelas stanął na straży.

Don Alphons zamiast spocząć, dumał nad swoimi nieszczęściami; ja nie mogłem oka zmrużyć, a Raphael zasnął natychmiast; ale w godzinę późniéj obudził się, a widząc nas gotowych do słuchania, rzekł do don Lamelasa: mój Ambroży, teraz ty możesz używać słodyczy snu. Nie, nie, odpowiedział Lamela, nie chcę mi się spać, a lubo wiém wszystkie przygody waszego życia, są one przecież tak pełne nauki dla osób naszego powołania, że z wielką ochotą słuchać ich będę raz jeszcze. Zaraz więc don Raphael rozpoczął historyą swojego życia w tych wyrazach.

KSIĘGA PIĄTA.

Rozdział I.

Historya Don Raphaela.

Jestem synem komedyantki madryckiéj, sławnéj z deklamacyi, a słynniejszéj jeszcze ze swoich zalotów; nazwisko jéj było Lucinda. Co się tyczé ojca, nie mogę sobie na ślepy traf wybrać żadnego. Mógłbym wprawdzie powiedzieć nazwisko znakomitego pana, który się kochał w mojéj matce wtedy, gdy przyszedłem na świat; ale ta epoka nie stanowiłaby dowodu przekonywającego, że on właśnie był dawcą mojego życia. Osoba tego powołania co moja matka, potrzebuje wielkiej rękojmi, bo w téj chwili, w któréj pokazuje się najprzywiązańszą do jakiego pana, prawie zawsze wynajduje sobie jakiego substytuta za jego pieniędze.

Nic ważniejszego nie masz, jak wznieść się nad obmowę. Lucinda zamiast wychowywać mnie w ukryciu, nie wstydziła się wcale, brała mnie za rękę, prowadziła do teatru bardzo uczciwie, nie troszcząc się bynajmniéj co o niéj mówią, ani o złośliwe śmiechy, jakie widok mój obudzał. Słowem byłem jéj jedyną rozkoszą, pieścili mnie wszyscy, którzy przychodzili do niéj, rzekłbyś, że sama krew w nich przemawiała na moją korzyść.

Piérwsze dwanaście lat życia, pozwolono mi przepędzić wśród dziecinnych igraszek: zaledwie uczono mnie czytać i pisać, a wcale nie troszczono się o wpajanie mi zasad religii. Nauczyłem się tylko tańczyć, śpiéwać i grać na gitarze. Taki był cały zapas moich wiadomości, gdy margrabia Leganez zażądał abym mógł być przy jego synu, w równym ze mną wieku będącym. Lucinda chętnie na to zezwoliła, i odtąd zacząłem się uczyć stanowczo. Młody Leganez tyleż umiał co ja; mały ten pan nie zdawał się być zrodzonym do nauki, nie znał prawie ani litery swojego abecadła, choć już od piętnastu miesięcy miał nauczyciela. Inni jego nauczyciele nie lepiéj z nim wychodzili, mordował tylko ich cierpliwość. Prawda, że im zakazano wszelkiéj surowości, owszem wyraźnie polecono, uczyć go nie trudząc, a taki rozkaz, obok nienajlepszego usposobienia ucznia, czynił całą naukę dosyć niekorzystną.

Lecz nauczyciel, jak wam to zaraz wyjaśnię, wynalazł przedziwny wybieg dla postrachu młodego panicza, nienaruszając, bynajmniéj poleceń ojca; postanowił chłostać mnie, ilekroć mały Leganez zasłużyłby na karę i nie ociągał się z wykonaniem swojego postanowienia. Wybieg takowy nie przypadł mi do smaku; uciekłem więc i poszedłem do matki użalić się na tak niesprawiedliwe obchodzenie się. Ztémwszystkiém choć czule była przywiązana do mnie, na taką jednak moc duszy zdobyła się, że jéj łzy moje nie wzruszyły; a uważając, że to dla mnie niepospolite szczęście być u margrabiego Leganez, kazała mnie w téj chwili odprowadzić. Otóż więc wydany zostałem nauczycielowi. Spostrzegłszy on, że wynalazek nowy nie był bez korzyści, chłostał mnie ciągle zamiast młodego panicza; żeby zaś tém silniejsze zrobić na nim wrażenie, potężnie mnie trzepał. Byłem pewny, że co dzień pokutować muszę za młodego Leganez. Mogę śmiało powiedzieć, że nie ma głoski w abecadle, któréj się on nauczył wtedy dopiéro, jak ja najmniéj sto plag odebrałem; wnieście ztąd ile mnie mogły kosztować jego piérwsze początki!...

Ale rózga nie była jedyną przykrością jakiéj w tym domu doświadczać musiałem; ponieważ wszyscy mnie znali, najniższy więc sługus, aż do kuchcika, najgrawał się z mojego urodzenia. To mnie oburzyło do tego punktu, żem uciekł, znalazłszy sposób pochwycenia całéj gotowizny mojego nauczyciela; która mogła wynosić około stu pięćdziesięciu dukatów. Tym sposobem zemściłem się za wszystkie plagi, któremi mnie tak niesprawiedliwie okładał, a zdaje mi się, że ta zemsta była dla niego najdotkliwszą. Tego figla wypłatałem z wielką zręcznością, chociaż to była piérwsza próba, potrafiłem przez dwa dni ujść wszelkich poszukiwań i opuściwszy Madryt, udałem się do Toledo nie widząc żadnéj pogoni.

Rozpoczynałem wtedy piętnasty rok życia; jakaż to rozkosz w tym wieku być niezawisłym, panem swojéj woli! Zabrałem wnet znajomość z młodymi, którzy mnie ożywili, pomagając do spożycia moich dukatów. Następnie połączyłem się z kawalerami z własnego przemysłu żyjącemi, którzy tak szczęśliwie wykształcili wrodzone moje zdolności, że w krótkim czasie byłem najdzielniejszy w całém stowarzyszeniu. Po upływie pięciu lat wzięła mnie ochota do podróżowania: opuściłem moich towarzyszów, a chcąc wędrówkę rozpocząć od Estremadury, udałem się do Alcantara. Nim atoli zdążyłem tam, znalazłem sposobność doświadczenia mojego talentu i nie omieszkałem z niéj korzystać. Ponieważ odbywałem podróż pieszo, a do tego dźwigałem tłomoczek dosyć ciężki, raz po raz więc zatrzymywałem się dla odpoczynku pod cieniem drzew

o kilka kroków od drogi. Spotkałem dwóch chłopców wcale przyzwoitych, którzy wesoło bawili się na trawie, korzystając z chłodu. Powitałem ich bardzo grzecznie i wmieszałem się do ich rozmowy, co im się dosyć podobało, o ile wnosić mogłem. Najstarszy z nich nie miał jeszcze piętnastu lat; obadwa byli bardzo naiwni.—Panie kawalerze, ozwał się młodszy, jesteśmy synami dwóch bogatych mieszczan Plasencyi. Pragniemy koniecznie zwiedzić Portugalią: dla zaspokojenia przeto naszéj ciekawości, każdy z nas wziął swoim rodzicom sto luidorów. Lubo idziemy pieszo, zdaje się jednak, że z temi pieniędzmi nie daleko zajdziemy: Jak pan sądzisz! —Gdybym ja miał tyle, odpowiedziałem, Bóg wié jak dalekobym zaszedł! Jabym obiegł wszystkie cztery części świata. Co u djabła! dwieście luidorów! to summa ogromna, wy jéj wyczerpać nie potraficie. Jeżeli się panom podoba, dodałem, będę miał zaszczyt towarzyszyć im aż do miasta Almeryi, gdzie mam odebrać spadek po stryju, który przed laty dwudziestą, albo przynajmniéj około, tam osiadł.

Młodzi mieszczanie wynurzyli mi radość jaką im sprawia moje towarzystwo. Tak więc wypocząwszy, wszyscy trzéj puściliśmy się do Alcantara, i przybyliśmy tam dobrze przed wieczorem. Zajęliśmy mieszkanie w porządnym hotelu. Żądaliśmy osobnego pokoju, i wskazano nam jeden, w którym była szafa na klucz zamykana. Kazaliśmy sobie naprzód sporządzić wieczerzę i kiedy ją przygotowywano, ja przedstawiłem moim towarzyszom podróży, iż wartoby się przejść po mieście. Przyjęli wniosek. Zamknęliśmy nasze tłomoczki w szafie, od któréj klucz wziął jeden z mieszczan, i wyszliśmy z hotelu. Zwiedzaliśmy kościoły i gdyśmy weszli do głównego kościoła, nagle udałem, że mam ważny interes. Panowie, rzekłem moim towarzyszom, przypomniałem sobie, że pewna osoba z Toledu zobowiązała mnie do powiedzenia kilku wyrazów kupcowi, który mieszka w bliskości tego kościoła. Zaczekajcie na mnie z łaski swojéj tutaj, a w mgnieniu oka powrócę. To rzekłszy odszedłem. Biegnę do hotelu, odbijam zamek od szafy i przetrząsnąwszy tłomoczki młodych mieszczan, znalazłem w nich owe luidory. Biédne chłopcy! nie zostawiłem im ani jednego dla zapłacenia noclegu; co do jednego zabrałem. Po czém wyszedłem spiesznie z miasta, skierowałem się do Merydy, nie troszcząc się bynajmniéj co oni z sobą zrobią.

To zdarzenie, z którego się szczérze naśmiałem, postawiło mnie w możności wygodniejszego podróżowania. Choć jeszcze byłem młody, czułem jednak, że jestem zdolny rozsądnie postępować. Mogę powiedzieć, że jak na mój wiek bardzo już wysoko postąpiłem. Postanowiłem kupić muła, co też zrobiłem w piérwszém zaraz miasteczku. Tłomoczek mój zamieniłem na kuferek i zacząłem udawać trochę ważniejszego człowieka. Trzeciego dnia spotkałem człowieka, który z całéj siły śpiewał nieszpory idąc drogą. Po minie jego sądziłem, że to był śpiewak, odezwałem się więc do niego:—śmiało panie bakałarzu, to prześlicznie! jak widzę, duszą i ciałem oddany jesteś twojemu powołaniu.—Panie, odpowiedział, jestem śpiewak na wasze najpokorniejsze usługi, radbym głos mój w ciągłéj wprawie utrzymywać.

Tym sposobem wdaliśmy się w gawendę. Spostrzegłem, żem spotkał człowieka najdowcipniejszego i najprzyjemniejszego. Nie miał więcéj nad dwadzieścia cztery, lub dwadzieścia pięć lat. Że zaś on szedł pieszo, dla tego ja trzymałem mojego muła wolnym stępem, aby mieć przyjemność rozmowy. Między innemi zaczęliśmy mówić o Toledzie.—O ja znam doskonale to miasto, rzekł śpiewak, dość długo w niém bawiłem, nawet mam kilku tam przyjaciół. —A gdzież mieszkałeś w Toledzie? przerwałem mu,—przy ulicy Nowéj, odpowiedział; stałem rok z don Vincenti de Buena Garra, don Mathias de Cordel i z dwoma jeszcze czy trzema znanemi kawalerami; mieszkaliśmy, jedliśmy razem, bardzo dobrze czas przepędzaliśmy. Zdumiałem się na te słowa, bo trzeba wiedzieć, że szlachta któréj nazwiska wymieniał, były to oszusty, z którymi ja myszkował po Toledzie. Mości śpiewaku, odezwałem się, ci panowie, których wymieniłeś, są moi znajomi, i ja mieszkałem z nimi przy ulicy Nowéj.—Rozumiém, rzekł śpiewak uśmiéchając się, to jest, żeś wszedł do towarzystwa przed trzema laty, kiedy ja oddaliłem się z niego. —Ja także opuściłem tych panów, powiedziałem mu, bo mię wzięła ochota do wędrówki, chcę obejść całą Hiszpanią, nabywszy więcéj doświadczenia, więcéj wart będę. —Bez wątpienia, przerwał śpiewak, żeby wykształcić umysł, trzeba podróżować. Dla téj téż przyczyny i ja opuściłem Toledo, choć bardzo przyjemne miałem tam życie. Dziękuję Bogu że mi pozwolił spotkać rycerza mojego zakonu, wtedy gdym się tego najmniéj mógł spodziéwać. Złączmy się obadwa, wędrujmy spólnie, czatujmy na worek bliźniego, korzystajmy z każdéj nastręczonéj okazyi, w doświadczeniu naszéj biegłości.

Podał mi ten wniosek, tak szczérze i z taką uprzejmością, że chętnie nań przystałem. Poruczając mi swoje zaufanie, zyskał moje w zupełności. Wynurzyliśmy sobie wzajemnie swoje uczucia. Ja opowiedziałem mu moją historyą, on nie taił przedemną swoich przygód. Powiedział mi, że idzie z Portugalii, zkąd musiał nagle wynosić się w ubiorze w jakim był, a to z powodu uchybionego przez zwłokę szalbierstwa. Kiedy mi się zwierzył ze wszystkiém, ułożyliśmy się obadwa, że się udamy do Merydy, tam sprobujemy szczęścia, zrobimy jaki zamach, jeżeli nam się uda i natychmiast zwiniemy chorągiewkę, by się udać gdzieindziéj. Od téj chwili całe nasze mienie stało się spólném: prawda że Morales, tak się zwał mój towarzysz, nie był bardzo zamożny, cały jego majątek wynosił pięć do sześciu dukatów i trochę manatków, które niósł w sakwach; jeżeli ja wszakże lepiéj byłem opatrzony w gotowiznę, natomiast on był wytrawniejszym w sztuce szalbierskiéj. Jechaliśmy na mule po kolei, i tym sposobem dostaliśmy się do Merydy.

Stanęliśmy w domu zajezdnym na przedmieściu, gdzie mój towarzysz wyciągnął ze swojéj sakwy ubiór i skoro go wziął na siebie, wyszliśmy zaraz na miasto dla zbadania gruntu, czy się nie nastręczy jaka sposobność zabrania się do dzieła. Z wielką bacznością, przyglądaliśmy się wszystkiemu co nam pod oczy podpadło. Homer byłby powiedział, żeśmy podobni byli do dwóch jastrzębiów, które na polu śledzą ptaki, mogące im na żer posłużyć. Wreszcie czekaliśmy na traf, któryby nam podał sposobność okazania naszéj zręczności; gdy w tém spostrzegliśmy na ulicy człowieka z siwą głową, trzymającego szpadę w ręku i walczącego przeciw trzem, którzy nań żwawo naciérali. Nierówność walki rozgniéwała mnie, a że z natury jestem zawalidroga, pobiegłem więc na pomoc staremu. Morales dla pokazania żem nie przyjął do towarzystwa tchórza, poszedł za moim przykładem. Uderzyliśmy na trzech wrogów starego kawalera i zmusiliśmy ich do ucieczki.

Po ich odwrocie, stary szerokiemi słowy wynurzał swoją wdzięczność.—Cieszymy się, rzekłem mu, żeśmy w samą porę przybyli na pomoc; lecz chcielibyśmy wiedzieć przynajmniéj komu mieliśmy szczęście wyświadczyć tę przysługę, racz nam pan złaski swojéj powiedzieć, z jakiego powodu ci ludzie chcieli go zamordować.—Panowie, odpowiedział, zbyt wiele winienem wam, żebym niemiał zaspokoić ciekawości waszéj. Nazywam się Hieronim de Moyadas i żyję w tém mieście z dochodów własnych. Jeden z tych morderców, od których mnie wybawiliście, jest kochankiem mojéj córki. W tych dniach przyszedł prosić mnie o jéj rękę; a że nie mógł otrzymać mojego przyzwolenia, przez zemstę zmusił mnie do wzięcia szpady w rękę.—A możnaż, zapytałem się znowu, wiedzieć dlaczego pan odmówiłeś córki swojéj temu kawalerowi?—Zaraz panom powiém, rzekł. Miałem brata, kupca w tém mieście, nazywał się Augustin. Dwa miesiące temu był on w Calatrawa i mieszkał u niejakiego Juan Velez de la Membrilla, jego korrespondenta. Byli to dwaj przyjaciele od serca; a brat mój do wzmocnienia tych węzłów przyjacielskich przyrzekł córkę moją Florentynę za małżonkę synowi swojemu korrespondenta, nie wątpiąc bynajmniéj, iż tyle wziętości miéć będzie u mnie, że obietnicy jego dotrzymam, w istocie, tylko co mi o tém powiedział brat mój wróciwszy do Merydy, natychmiast zezwoliłem przez miłość ku niemu. Posłał portret Florentyny do Calatrawy; lecz niestety, nie miał téj pociechy, żeby mógł doko-

nać swojego dzieła; umarł trzy tygodnie temu, konając zaklinał mnie abym nie rozporządzał córką inaczéj, jak dla syna jego korrespondenta. Przyrzekłem mu, i oto przyczyna dla któréj odmówiłem kawalerowi, który mnie napastował, chociaż to małżeństwo byłoby dla niéj bardzo korzystne. Jestem niewolnikiem danego słowa i co chwila oczekuję syna pana Velez de la Membrilla, aby go przyjąć za zięcia, chociaż go nigdy nie widziałem, równie jak i ojca jego. Przepraszam panów, dodał Hieronim de Moyadas, za to moje opowiadanie, ale samiście tego żądali.

Słuchałem z wielką uwagą i zastanowiwszy się nad podejściem, które mi niespodzianie wpadło do głowy, udałem wielkie podziwienie, wzniosłem oczy ku niebu. Poczém obracając się do starego, rzekłem mu tonem patetycznym: — Ah panie de Moyadas, czy podobna, że przybywszy do Meridy miałem szczęście ocalić życie mojemu teściowi? Te wyrazy wprawiły w dziwne zadumienie starego mieszczanina, i niemniéj zastanowiły Moralesa, który jedném wejrzeniem dał mi do zrozumienia, że mnie uważa za wielkiego oszusta. — Co pan mówisz? rzekł stary. Jakto, byłżebyś synem korrespondenta mojego brata?—Takjest panie Hieronimie de Moyadas, odpowiedziałem, nadstawiając zuchwalstwem, a rzucając się mu na szyję, ja jestem tym szczęśliwym śmiertelnikiem dla którego czcigodna Florentyna jest przeznaczona. Nim atoli wynurzę ci radość z przyczyny połączenia się z twoją familią, pozwól niech na łono twoje uronię kilka łez poświęconych pamiątce brata twojego Augustina. Byłbym najniewdzięczniejszym z ludzi, gdybym nie był do żywego dotknięty śmiercią osoby, któréj winienem szczęście mojego życia. Kończąc te wyrazy uściskałem znowu poczciwego Hieronima i pociągnąłem ręką po oczach, jakby dla otarcia łez. Morales w mgnieniu oka pojął całą korzyść, jaką mogliśmy odnieść z naszego oszustwa i dla tego wspierał mnie całemi siłami. Chciał uchodzić za mojego szatnego i pragnął przewyższyć mnie jeszcze w żalu po śmierci pana Augustina. Panie Hieronimie! jakżeż wielką poniosłeś stratę, tracąc brata! To taki uczciwy był człowiek, co do handlu, kupiec bezinteresowny, kupiec dobréj wiary, kupiec jakich nie widać wcale.

Mieliśmy do czynienia z człowiekiem prostoduszném i łatwowiernym: zamiast domyślać się jakiego szalbierstwa, on to wszystko przyjął w dobréj wierze. —Dlaczegóż, rzekł mi, nie przybyłeś prosto do mnie? nie trzeba było stawać w domu zajezdnym, jesteśmy już na takiéj stopie, że możemy się obejść bez tych ceregieli.—Panie, odezwał się Morales za mnie, mój pan lubi się trochę ceremoniować; już to jego wada, pozwoli mi że mu ją tu wymówię. Możnaćby go w pewnym względzie uniewinnić, że nie chciał się panu przedstawiać w stanie w jakim się obecnie znajduje. Okradziono nas w drodze: zabrano nam wszystkie nasze rzeczy.—Ten chłopak, przerwałem, mówi prawdę, panie de Moyadas. To właśnie nieszczęście było przyczyną, że nie chciałem zajechać do pana. Nie śmiałem w takiém ubraniu pokazać się mojéj narzeczonéj, któréj jeszcze nie widziałem, i dlatego czekałem na powrót służącego, którego posłałem do Calatrawy. To zdarzenie nie powinno było wstrzymywać cię od zajechania do mnie, pragnę, abyś zaraz zajął u mnie mieszkanie.

To mówiąc zaprowadził mnie do siebie, w drodze zaś rozmawialiśmy o mniemanéj kradzieży i ja oświadczyłem mu, że mi największą przykrość sprawia to, iż wraz z rzeczami straciłem portret Florentyny. Mieszczanin na to powiedział mi żartując, że z téj straty najłatwiéj powinienbym się pocieszyć, boć przecie oryginał więcéj wart niż kopia. W istocie, skorośmy przybyli do domu, zawołał zaraz swojéj córki, która nie miała więcéj nad szesnaście lat i mogła się uważać za osobę zupełnie wykształconą.—Otóż widzisz, odezwał się, dziéwicę, którą ci brat mój przyrzekł.—Ah panie, zawołałem z uniesieniem, nie potrzebujesz powiadać, że to jest luba Florentyna, która się przedstawia oczom moim: te zachwycające rysy głęboko są wyryte w mojéj pamięci, a głębiéj jeszcze w sercu. Jeżeli portret, który utraciłem, a który słabym był tylko zarysem tylu wdzięków, mógł mnie tak żywym przejąć zapałem, sądź sam jakie uniesienie owładnęło mnie w téj chwili! —Zbyt pochlebne są to wyrazy, odezwała się Florentyna, nie czuję w sobie tyle próżności, abym mogła mniemać, że je usprawiedliwiam. —Gadaj grzeczności, rzekł ojciec, a zostawiając mnie samego ze swoją córką, wziął Moralesa na stronę. —Mój przyjacielu, mówił do niego, złodzieje zabrali wam rzeczy, i pieniądze bez wątpienia, boć oni od tego zwykle zaczynają.—Tak jest panie, odpowiedział mój towarzysz, banda dosyć liczna napadła na nas niedaleko Castel-Biazo; nie zostawili nam nic, prócz sukien, któreśmy mieli na sobie, ale wkrótce odbierzemy wexle i oporządzimy się na nowo.

—Nim nadejdą wasze wexle, rzekł stary, dobywając z kieszeni sakiewkę, oto macie sto luidorów, któremi możecie rozporządzić. —Oh, panie, zawołał Morales, pan mój nie zechce ich przyjąć. Pan go nie znasz. Boże uchowaj, on w tym względzie nadzwyczaj delikatny. On nie jest z liczby tych paniczów, którzy gotowi są brać od każdego. On chociaż tak młody, a jednak nie cierpi długów. Wolałby żebrać, niż pożyczyć choćby jednego marawedi.—Tém lepiéj, rzekł mieszczanin, więcéj go przez to szanuję. Znieść nie mogę zaciągających długi. Przebaczam to osobom wyższego tonu, to już do ich własności należy. Nie chcę, dodał zaraz, robić przymusu twojemu panu, a ponieważ ofiarowanie mu pieniędzy robiłoby mu przykrość, nie mówmy więc o tém. To rzekłszy, chciał sakiewkę schować do kieszeni, lecz mój towarzysz zatrzymał jego rękę. Zaczekaj, panie de Moyadas, odezwał się do niego, jakkolwiek pan mój ma wstręt do pożyczek, ja przecież nie tracę nadziei, że go nakłonię do przyjęcia pańskich stu luidorów. Trzeba tylko umieć się z nim obejść. Zresztą, on tylko od obcych nie lubi pożyczać; nie robi takich ceremonij ze swoją familią. Prosi nawet otwarcie ojca o pieniądze jakich mu potrzeba. To młody chłopiec, jak pan widzisz umié rozróżnić ludzi, powinien uważać pana, jak drugiego ojca.

Przez takie wybiegi Morales pochwycił sakiewkę starego, który wrócił do nas i zastał nas z córką prawiących sobie grzeczności. Przerwał naszą rozmowę. Oświadczył Florentynie ile mi był winien, i z tego powodu rozszérzał się z wynurzeniem wdzięczności. Korzystałem z takowego usposobienia jego i rzekłem, że najtkliwszym dowodem wdzięczności jego uważać będę przyspieszenie małżeństwa. Ustąpił z wielką uprzejmością mojéj niecierpliwości. Zapewnił mnie, że najdaléj za trzy dni będę małżonkiem Florentyny; dodał nawet, że zamiast sześciu tysięcy dukatów posagu przyrzeczonego, da ich dziesięć tysięcy, aby okazać jak dalece ocenia przysługę, jaką mu wyświadczyłem.

Przedziwnie nam było w domu poczciwego Hieronima de Moyadas, a nadewszystko miłą cieszyliśmy się nadzieją odebrania dziesięciu tysięcy dukatów, z któremi zamierzaliśmy jak najspieszniéj uchodzić z Meridy. Jedna tylko obawa mięszała naszą radość: lękaliśmy się aby przed upływem trzech dni prawdziwy syn Jana Velez de la Membrilla nie skrzyżował naszego szczęścia, albo raczéj nie zniszczył go zupełnie przybywając nagle. Ta trwoga nie była bez zasady. Zaraz nazajutrz ktoś nakształt wieśniaka z kufrem podróżnym przybył do ojca Florentyny. Nie byłem wtenczas obecny, ale mój towarzysz znajdował się tam.—Panie, odezwał się wieśniak do starego, należę do kawalera z Calatrawy, który ma być zięciem waszym, tojest pan Pedro de la Membrilla. Przybyliśmy obadwa do tego miasta: za chwilę on tu stanie, ja wyprzedziłem go cokolwiek aby was o tém zawiadomić. Ledwie to skończył, a pan jego wszedł: co zdziwiło niesłychanie starego i trochę zmieszało Moralesa.

Młody Pedro był wcale przystojny. Zwrócił mowę do ojca Florentyny; poczciwy człowiek nie pozwolił mu kończyć, lecz obracając się do mojego towarzysza zapytał się, co to mazna-czyć. Wtedy Morales w bezczelności nie ustępujący nikomu w świecie, przybrał postawę pewną i śmiałą i rzekł staremu. —Panie, ci dwaj ludzie, których tu widzisz, są złodzieje którzy nas obdarli na drodze; poznaję ich, a osobliwie tego, który zuchwale udaje się za syna Jana Velez de la Membrilla. Stary

mieszczanin bez wahania uwierzył Moralesowi, a przekonany że nowo przybyli są oszustami, rzekł im:—panowie, zapóźno przybywacie, uprzedzono was, Pedro de la Membrilla jest u mnie od wczoraj. —Zastanów się nad tém, co mówisz, odezwał się młodzieniec z Calatravy, zwodzą cię: masz w domu swoim oszusta. Wiédz o tém, że Jan Velez de la Membrilla, prócz mnie nie miał innego syna.—Komu innemu to gadaj, odpowiedział stary, wiém ja co wy za jedni. Nie przypominasz sobie tego chłopca, zapomniałeś już o jego panu, któregoś okradł na drodze z Calatravy?—Jakto okradł? odpowiedział Pedro; ah, gdybym nie był u ciebie, poobcinałbym uszy temu oszustowi, który z taką bezczelnością złodziejem mnie mieni. Niech dziękuje twojéj obecności, która gniéw mój hamuje. Panie, powtarzam ci, oszukują cię. Ja jestem tym młodym człowiekiem, któremu brat twój przyrzekł twoją córkę. Chceszże abym ci pokazał wszystkie listy, które pisał do mojego ojca w przedmiocie tego małżeństwa? Uwierzyszże portretowi, który mi przysłał krótko przed śmiercią?

— Nie, odpowiedział stary mieszczanin, portret mnie nie przekona, tak dobrze jak i listy. Wiém jakim sposobem dostały się do rąk twoich, i przez miłość chrześciańską radzę ci wynosić się jak najprędzéj z Meridy, abyś nie uległ karze, na jaką zasługują tobie podobni.—To już nadto, przerwał ze swojéj strony młody człowiek, tego nie zniosę aby mi bezkarnie kradziono moje imię, żeby mnie udawano za rozbójnika. Znam



Gil Blas i cyrulik.

kilka osób w tém mieście; pójdę po nich i wrócę z niemi dla zawstydzenia szalbierzy, którzy cię uprzedzili przeciw mnie. Po tych słowach oddalił się ze swoim służącym, a Morales został tryumfujący. To zdarzenie stało się przyczyną, że Hieronim de Moyadas postanowił, iżbym w tym samym dniu jeszcze zaślubił jego córkę i wyszedł natychmiast dla przedsięwzięcia rozporządzeń do spełnienia tego aktu potrzebnych.

Chociaż mój towarzysz rad był widząc ojca Florentyny tak dobrze względem nas usposobionego, nie był jednak spokojny. Lękał się skutku zabiegów, które jak się spodziéwał Pedro niewątpliwie w tym celu przedsięweźmie, dlatego niecierpliwie wyglądał mojego powrotu, aby mnie zawiadomić o wszystkiém co zaszło. Zastałem go w głębokiém zadumaniu.—Cóż to jest? przyjacielu, odezwałem się do niego; zdajesz mi się czemsiś zajęty.—To nie bez przyczyny, odpowiedział. Zaraz wyjaśnił mi stan rzeczy: poczém dodał, otóż widzisz czy ja mam nad czém dumać. Twoja płochość nabawiła mnie tego kłopotu. Przyznaję, że przedsięwzięcie było świetne i byłoby ci niepospolitą sławę zjednało, gdyby się było powiodło; lecz według wszelkiego podobieństwa skończy się źle: jabym myślił, że nim przyjdzie do wyjaśnienia zmykajmy z piórkiem, któreśmy ze skrzydła tego poczciwego człowieka wyskubali.

Panie Morales, odpowiedziałem na to, nie bądźmy tak skorzy, ty widzę nadto prędko zrażasz się trudnościami. Nie wielki zaszczyt przynosisz don Mathiasowi de Cordel, ani innym kawalerom, z któremiś mieszkał w Toledzie. Kto w szkole tak wielkich mistrzów wyćwiczony, nie powinien się, tak łatwo trwożyć. Ja, który pragnę wstępować w ślady tych bohatérów i dowieść, że jestem godnym ich wychowańcem, twardnieję na widok tamy, która cię przeraża, i nabiéram sił do jéj zniszczenia.—Jeżeli dokażesz swojego, rzekł mój towarzysz, postawię cię wyżéj nad wszystkich wielkich mężów Plutarcha.

Kiedy Morales ostatnich domawiał wyrazów, Hieronim de Moyadas wszedł. Już wszystko, rzekł mi, rozporządziłem do twojego ślubu, dziś wieczór będziesz moim zięciem. Szatny twój musiał ci opowiedzieć co tu zaszło. Co ty powiész na bezczelność oszusta, który chciał wmówić we mnie, że jest synem korrespondenta mojego brata? Morales ciekawy był bardzo, jak się wycofam z tak złego stanowiska i nie mało się zdumiał usłyszawszy, jak ja patrząc smętnie na Moyadasa, z miną naiwną odezwałem się do tego mieszczanina:—Panie, teraz ode mnie tylko zależy utrzymać cię w błędzie i korzystać z tego; lecz ja czuję, żem nie stworzony do utrzymywania kłamstwa. Muszę ci zrobić wyznanie szczére. Ja nie jestem synem Jana Valez de la Membrilla.—Co ja słyszę? przerwał stary z równym pośpiechem, jak zadziwieniem. Toż więc nie jesteś tym młodym człowiekiem, któremu mój brat?...—Za pozwoleniem panie, przerwał on także, ponieważ zacząłem opowiadanie szczére i wierne, racz mnie więc wysłuchać aż do końca. Ośm dni temu zakochałem się w córce twojéj i z tego powodu bawię w Meridzie. Wczoraj, kiedym cię wybawił z niebezpieczeństwa, miałem zamiar prosić cię o jéj rękę, kiedy w téj chwili zamknąłeś mi usta oświadczając, że ją przeznaczyłeś innemu. Powiedziałeś mi, że brat twój umiérając zaklinał cię, abyś ją wydał za Pedro de la Membrilla; żeś mu przyrzekł i że wreszcie jesteś niewolnikiem swojego słowa. Przyznam ci się, że te wyrazy mocno mnie zgryzły; a miłość moja do rozpaczy przywiedziona, szepnęła mi to podejście, którego użyłem. Muszę jednak panu wyznać, żem sobie skrycie wyrzucał taki postępek, alem rozumiał, że mi go przebaczysz, gdy ci odkryję i gdy się dowiész, że jestem księciem włoskim podróżującym incognito. Ojciec mój jest udzielnym panem kilku równin leżących między Szwajcaryą, Medyolańskiém i Sabaudyą. Wyobrażałem sobie, że cię przyjemnie podchwycę objawiając ci moje urodzenie, poiłem się słodką rozkoszą małżonka delikatnego i zachwyconego, oświadczając to Florentynie po jéj zaślubieniu. Niebo, mówiłem daléj zmieniając ton, nie dozwoliło mi takiéj radości. Pedro de la Membrilla pojawia się, trzeba mu wrócić jego imię, cokolwiek mnie może kosztować ten zwrot. Obietnica twoja zmusza cię do przyjęcia go za zięcia, mnie tylko pozostaje wzdychanie, uskarżać się nie mogę; musisz go przenieść nademnie, bez względu na mój stopień, bez litości nad mojém smutném położeniem do jakiego mnie przywiedziesz. Nie będę ci przedstawiał wcale, że brat twój był tylko stryjem twojéj córki, a ty jesteś jéj ojcem; że słuszniejszą daleko byłoby rzeczą, żebyś się wywiązał z obowiązku zaciągniętego względem mnie, aniżeli żebyś się chlubił z dotrzymania słowa, które cię nie wiele obowiązuje.

—Tak jest, bezwątpienia, to jest daleko słuszniejsze, zawołał Hieronim de Moyadas, dlatego nie myślę wahać się między tobą a Pedro de la Membrilla. Gdyby brat mój Augustin żył jeszcze, nie poczytałby mi za złe, że daję pierwszeństwo człowiekowi, który mi ocalił życie, a co ważniejsza jeszcze księciu, który nie pogardza moim związkiem i raczy zniżać się aż do mnie. Trzeba żebym był wrogiem własnego szczęścia, że-

bym zupełnie stracił rozum, odmawiając ci mojéj córki i żebym nie przyspieszył ślubów tak korzystnych dla niéj.—Panie, rzekłem, nie działaj porywczo, postępuj z dojrzałą rozwagą, zastanawiaj się jedynie nad własnym interesem, i mimo szlachetność krwi mojéj....—Żartujesz sobie ze mnie, przerwał, mamże wahać się na chwilę? Nie, mój książę, błagam cię racz dziś jeszcze wieczór zaszczycić ręką swoją szczęśliwą Florentynę.—Niechże będzie, rzekłem, donieś jéj sam o tém, powiédz jéj o świetném jéj przeznaczeniu.

Gdy poczciwy mieszczanin pospieszał z zawiadomieniem swojéj córki, że podbiła serce księcia, Morales, który słuchał całéj rozmowy, padł nakolana przede mną i mówił:—Mości książę włoski, synu udzielnego pana równin, które są między Szwajcaryą, Medyolańskiém i Sabaudyą, pozwól, że upadnę do nóg twojéj wysokości, aby ci objawić zachwycenie w jakiém się znajduję. Na honor oszusta, uważam cię za cudo. Poczytywałem się za najpiérwszego w świecie, lecz szczérze mówiąc, zwijam chorągiewkę przed tobą, chociaż mniéj masz doświadczenia ode mnie.—Teraz więc, rzekłem mu, pozbyłeś się niespokojności?—Ob, co do tego, to prawda, odpowiedział, już się nie lękam pana Pedro, niech teraz przyjdzie, kiedy mu się podoba. Tak więc Morales i ja stanęliśmy znowu silnie. Zaczęliśmy odznaczać sobie drogę, którą mamy się udać z posagiem, na który tak dobrze liczyliśmy jak gdybyśmy go już odebrali, nie sądziliśmy się nigdy być pewniejszymi posiadania jego. A jednakże nie mieliśmy go jeszcze, i rozwiązanie tego wypadku nie odpowiedziało wcale naszemu oczekiwaniu.

Ujrzeliśmy niedługo wracającego młodzieńca z Calatravy. Towarzyszyli mu dwaj mieszczanie i algazil, którego wąsy i cera brunatna równie szanownym czyniły, jak jego urząd. Ojciec Florentyny był z nami.—Panie de Moyadas, rzekł mu Pedro, oto są trzéj uczciwi ludzie, których ci przyprowadzam; oni mnie znają i mogą ci powiedzieć, kto jestem.—Tak, zapewne, zawołał algazil, mogę to powiedzieć, ja zawiadamiam wszystkich do kogo to należyć może, znam pana, zowiesz się Don Pedro, i jesteś synem jedynym Jana Valez de la Membrilla; ktokolwiek śmié utrzymywać przeciwnie, jest oszustem.—Wierzę panu, Mości algazilu, rzekł poczciwy Hieronim de Moyadas. Wasze świadectwo jest dla mnie święte, równie jak panów kupców którzy z wami przyszli. Jestem zupełnie przekonany, że młody człowiek, który was tu sprowadził, jest synem jedynym korrespondenta mojego brata. Lecz cóż mnie to obchodzi? Już nie mam zamiaru dania mu córki mojéj; zmieniłem myśl moję.

—Oh! to wcale co innego, rzekł algazil. Ja przybyłem tu jedynie by was upewnić, że znam tego młodego człowieka. Ale zaiste pan jesteś ojcem swojéj córki i nikt go przymuszać nie może do zaślubienia jéj mimo jego woli.—Ja téż nie myślę wcale, przerwał Pedro, krępować woli pana de Moyadas, który może rozporządzać córką swoją, jak mu się zdawać będzie najlepiéj: lecz pozwoli mi zapytać się, dlaczego zmienił swoje zdanie. Czy ma jaki powód użalania się na mnie? Pozbawiony słodkiéj nadziei nazywania się jego zięciem, niech wiém przynajmniéj, że zaszczyt ten straciłem nie z winy własnéj.—Nie skarżę się na ciebie, odpowiedział dobry starzec; powiém ci nawet, że z żalem widzę się zmuszonym do złamania słowa, i zaklinam cię, abyś mi to przebaczył. Przekonany jestem, że masz dosyć szlachetnego uczucia, abyś mi miał za złe, że przenoszę nad ciebie spółzawodnika, który mi życie ocalił. Patrz, oto ten pan, który mnie z wielkiego wybawił niebezpieczeństwa; żeby się lepiéj jeszcze uniewinnić przed tobą, oświadczam ci, że to jest książę włoski, który mimo nierówność stanu, chce zaślubić Florentynę, w któréj się zakochał.

Na te ostatnie słowa Pedro osłupiał i oniemiał. Dwaj kupcy otworzyli duże oczy i zgapieli. Lecz algazil przywykły spoglądać na rzeczy ze złéj strony, w téj dziwnéj przygodzie domyślał się szalbierstwa, na którém mógł coś zyskać. Przyglądał mi się z natężoną uwagą; a że rysy moje wcale mu nieznane, zawodziły jego dobre chęci, z taką samą troskliwością zwrócił uwagę na mojego towarzysza. Nieszczęściem dla mojéj książęcéj Mości poznał Moralesa, a przypominając sobie, że go widział w więzieniu w Ciudad Real. —Ah, ah, zawołał, otóż to jeden z moich pacyentów. Przypominam sobie tego szlachcica, i powiadam wam, że to najprzebiegiejszy z oszustów ze wszystkich królestw i księstw całéj Hiszpanii.—Ostrożnie panie algazil, rzekł Hieronim de Moyadas, ten chłopiec, którego nam tak niepięknie malujesz, jest szatnym księcia.—Wybornie, odpowiedział algazil, nie potrzebuję więcéj, żebym wiedział czego się trzymać. Sądzę o panu z jego sługi. Nie wątpię wcale, że te gachy zmówiły się żeby cię oszukać. Znam ja takie ptaszki. I żeby wam pokazać, że te hultaje są awanturnikami, zaraz ich poprowadzę do więzienia. Chcę im wyjednać posłuchanie sam na sam z panem korregidorem, a potém dowiedzą się, że jeszcze nie rozszafowano wszystkich łoz. — Stój panie oficerze, odezwał się stary, nie posuwajmy rzeczy tak daleko. Wy panowie, nie lękacie się bynajmniéj naprzykrzyć się uczciwym ludziom. Ten sługa nie mógłżeby być oszustem, chociaż pan jego nim nie jest? Czyż to taka osobliwość widzieć szalbierzy między sługami książąt?—Co pan drwi sobie ze swoimi książętami? przerwał algazil. Ten młody człowiek jest matacz, daję słowo na to, aresztuję go *w imieniu króla*, wraz z jego to-



Arcybiskup Granady wypędza Gil Blasa.

warzyszem. Mam dwudziestu milicyantów za drzwiami, którzy go zawloką do turmy, jeżeli z dobréj woli nie pójdzie. Daléj mój książę, rzekł do mnie, idźmy.

Te ostatnie wyrazy wprawiły mnie w odurzenie, równie jak Moralesa, a pomieszanie nasze zrobiło nas podejrzanymi Hieronimowi de Moyadas, czyli raczéj zgubiło nas w jego umyśle. Poznał teraz żeśmy go chcieli oszukać. Jednakże chwycił się w tém zdarzeniu strony, jakiéj się trzymać powinien uprzejmy człowiek.—Panie oficerze, ozwał się do algazila, podejrzenia twoje mogą być fałszywe, może téż aż nadto są prawdziwemi. Cokolwiek być może, nie zgłębiajmy tego. Niechaj ci młodzi kawalerowie wyjdą i udadzą się dokąd chcą. Nie sprzeciwiaj się temu, proszę cię: jest to łaska o którą błagam, abym się wywiązał z długu, jaki względem nich zaciągnąłem.—Gdybym miał postąpić jak powinienem, odpowiedział algazil, uwięziłbym tych panów, nie mając względu na twoje prośby: lecz chętnie odstępuję cokolwiek od mojego obowiązku przez przywiązanie do pana, ale pod warunkiem, że ci panowie natychmiast opuszczą miasto, bo jeżelibym ich spotkał jutro, niech Bóg broni, zobaczą, co się z niemi stanie.

Usłyszawszy że nas wolno puszczają, ochłonęliśmy oba. Chcieliśmy mówić śmiało, utrzymywać żeśmy ludzie honorowi; lecz algazil spojrzał na nas z ukosa i tym sposobem zamknął nam usta. Nie wiém dla czego to ci panowie, mają silną przewagę nad nami. Trzeba więc było zostawić Florentynę i jéj posag panu Pedro de la Membrilla, który niechybnie został zięciem Hieronima de Moyadas. Ja oddaliłem się z moim towarzyszem. Skierowaliśmy się do Truxillo, z tą przynajmniéj pociechą, żeśmy w tém zdarzeniu zyskali sto luidorów. Na godzinę przed zmrokiem, przechodziliśmy przez małą wioskę, zdążając daléj na nocleg. Ujrzeliśmy karczmę, jak na takie miejsca, dosyć porządną z pozoru. Gospodarz i gospodyni siedzieli przede drzwiami na długich ławkach kamiennych. Gospodarz wysokiego wzrostu, chudy i już dosyć stary, brząkał na nędznéj gitarze dla zabawki swojéj żony, która zdawała się słuchać go z rozkoszą.—Panowie, zawołał na nas gospodarz, widząc, że się nie zatrzymujemy, radzę wam zatrzymać się w tém miejscu. Odtąd aż do piérwszéj wsi którą spotkacie, jest jeszcze trzy śmiertelne mile, i tam nie znajdziecie takiéj wygody jak u mnie, ostrzegam was. Wierzajcie mi, wstąpcie do mojego domu; znajdziecie wyborne jedzenie i za umiarkowaną cenę. Daliśmy się namówić. Zbliżyliśmy się do gospodarza i do gospodyni; przywitaliśmy ich, a usiadłszy obok nich, zaczęliśmy wszyscy razem rozmowę o rzeczach obojętnych. Gospodarz mienił się oficerem świętego hermandadu, gospodyni zaś dobréj tuszy, wesoła, na pierwszy rzut oka pokazywała, że umié dobrze zbywać swój towar.

Rozmowę naszą przerwało przybycie dwunastu do piętnastu kawalerów, z których jedni na mułach, drudzy na koniach jechali, za niemi zaś postępowało ze trzydzieści mułów obładowanych pakami.—Ah co tu książąt! zawołał gospodarz, na widok tylu ludzi; gdzież ja ich wszystkich pomieszczę? W jednéj chwili cała wieś pełna była ludzi i zwierząt. Szczęściem obok karczmy była obszerna stodoła, w któréj umieszczono muły i paki; konie i muły kawalerów gdzieindziéj postawiono. Co się tyczé ludzi, nie tyle oni myśleli o łóżkach jak o wieczerzy. Gospodarz, gospodyni i młoda służąca, którą mieli, nie próżnowali wcale. W pień wycięli wszystek drób', a to połączone z potrawką z królików i kotów, zupą z kapusty ze skopowiną, wystarczyło dla całego orszaku.

Spoglądaliśmy obadwa, ja i Morales, kiedy niekiedy na tych kawalerów, i oni téż nam się przypatrywali. Wreszcie wdaliśmy się w rozmowę i oświadczyliśmy im, że jeżeliby im to nie zawadzało, moglibyśmy razem jeść wieczerzę. Przyjęli wniosek nasz z radością. Otóż więc siedzimy razem u jednego stołu. Pomiędzy nimi był jeden, który wydawał rozporządzenia, dla którego inni okazywali pewny rodzaj uszanowania, chociaż w ogóle obejście ich było dosyć poufałe. Prawda, że on zajmował piérwsze miejsce, rozprawiał tonem wzniośléjszym; sprzeciwiał się niektórym jakby od niechcenia, którzy zamiast mu odpłacać wet za wet, zdawali się szanować jego zdanie. Zaczęto przypadkiem mówić o Andaluzyi; a gdy Morales wdał się w pochwały Sewilli, człowiek o którym dopiéro co wspomniałem, odezwał się do niego:—Panie, uwielbiasz miasto moje rodzinne, urodziłem się bowiem w jego okolicy, to jest w mieście Mayrena ujrzałem światło dzienne.—Ja panu powiem toż samo, odpowiedział mój towarzysz. Ja także pochodzę z Mayreny i niepodobna, żebym nie miał znać pańskich rodziców, ja co znam wszystkich od alkada począwszy, aż do najuboższego mieszkańca tego miasteczka.—Czyim więc jesteś synem?—Uczciwego notaryusza, odpowiedział ów pan, Marcina Morales.—Marcina Morales, zawołał mój towarzysz, z uniesieniem radości i podziwienia; dalibóg, to szczególne zdarzenie! jesteś więc starszym bratem moim, Manuel Morales? — Właśnie, rzekł tamten; a ty jesteś zapewne mój mały brat Ludwik, któregom jeszcze w kolébce zostawił, opuszczając dom rodzicielski? — To jest moje imię, odpowiedział mój towarzysz. Na te słowa porwali się obadwa od stołu, uściskali się po kilkakroć. Następnie pan Manuel Morales, odezwał się do towarzyszów:—Panowie, to prawdziwie dziwne zdarzenie. Los mieć chce, abym spotkał i poznał brata, którego od dwudziestu lat najmniéj nie widziałem; pozwólcie abym go wam przedstawił. Poczém wszyscy kawalerowie, którzy dotąd przez grzeczność stali, powitali młodszego Moralesa ściskając go po kolei. Wszyscy zasiedli napowrót do stołu, i bawili przy nim przez całą noc; już nikt się spać nie kładł. Dwaj bracia usiedli obok siebie, i po cichu rozmawiali o swojéj rodzinie, spółbiesiadnicy zaś pili i bawili się.

Ludwik długo rozmawiał z Manuelem, a następnie wziąwszy mnie na stronę, rzekł: — Wszyscy ci kawalerowie należą do dworu hrabiego Montanos, którego król niedawno mianował vice-królem Majorki. Prowadzą oni konie i sprzęty vice-króla do Alicante, gdzie mają wsiąść na okręty. Brat mój zostawszy intendentem tego pana, chce mnie wziąć z sobą, lecz gdym mu oświadczył, że nie radbym cię odstępował, zapewnił mnie, że skorobyś z nami się udał, wystara ci się o dobry urząd. Kochany przyjacielu, mówił daléj, radzę ci, nie odrzucaj tego. Udajmy się razem na wyspę Majorkę; jeżeli nam będzie tam dobrze, zostaniemy; jeżeli się nam nie podoba, wrócimy do Hiszpanii.

Przyjąłem wniosek z ochotą. Połączyliśmy się obadwa z oficyalistami hrabiego, i pojechaliśmy wraz z nimi jeszcze przed świtem. Udaliśmy się szybkim pochodem do Alicante, gdzie kupiłem gitarę, i kazałem sobie zrobić nowy ubiór piérwéj, nim wsiądziemy na okręt. O niczém już nie myśliłem tylko o wyspie Majorce; Ludwika Moralesa toż samo było usposobienie. Zdawało się, żeśmy już porzucili szalbierstwo. Trzeba wyznać prawdę, chcieliśmy uchodzić za ludzi uczciwych w towarzystwie w jakiém znajdowaliśmy się, i to właśnie trzymało nasz przemysł na wodzy. Wreszcie z radością wsiedliśmy na okręt, pochlebiając sobie, że wkrótce ujrzymy Majorkę, lecz zaledwie opuściliśmy zatokę alikancką, gdy nastąpiła burza gwałtowna. W tém miejscu mojego opowiadania, miałbym sposobność do pięknego opisu nawałnicy, odmalować powietrze w płomieniach, poruszyć huk grzmotów, trzask piorunów, świst wichrów, wznieść bałwany, i t d.; lecz pomijając wszystkie te kwiatki krasomówskie, powiém po prostu, że burza była gwałtowna i zmusiła nas zawinąć do brzegów wyspy Cabrery. Jest to wyspa pusta, z małą forteczką, w któréj na załodze było podówczas pięciu czy sześciu żołnierzy i oficer, który nas przyjął bardzo uprzejmie.

Ponieważ trzeba nam było zabawić tam dni kilka dla naprawy żagli i lin okrętowych, musieliśmy więc szukać rozmaitych rozrywek, dla uniknienia nudów. Każdy szedł za swoją skłonnością; jedni grali w karty, drudzy inaczéj się bawili; ja przechodziłem się po wyspie z towarzyszami, którzy lubili przechadzkę; była to moja rozkosz. Skakaliśmy ze skały na skałę, bo tam grunt bardzo nierówny, pełno głazów i kamieni, a bardzo mało gruntu. Pewnego dnia, gdyśmy przypatrywali się tym miejscom płonnym i suchym, gdyśmy podziwiali wybryki natury, która się przymila płodnością, lub odraża nieurodzajem i pustkami, gdzie jéj się podoba, niespodzianie powonienie nasze uderzyła jakaś niepojęta wonność. Zwróciliśmy się natychmiast ku wschodowi, zkąd ten miły zapach dochodził, i z wielkiém naszém zadziwieniem, ujrzeliśmy między opokami wielką równinę zieleniejącą się, gdzie lilie wonniejsze i piękniejsze rosły niż w Andaluzyi. Zbliżyliśmy się z radością do tych cudnych ziół, które zapachem napełniały okoliczne powietrze i pokazało się, że otaczały jaskinię głęboką. Ta jaskinia była dosyć obszerna i nie bardzo ciemna. Zeszliśmy do głębi jéj po stopniach kamiennych, których końce zdobiły kwiaty, i które z natury tworzyły schody ślimakowe. Kiedyśmy dostali się na sam dół, ujrzeliśmy kilka strumyków wijących się po piasku żółtszym od złota; krople najczystszej wody sączące się bezustannie z pomiędzy skał, zasilały te strumyki niknące w piasku. Woda wydała się nam tak piękna żeśmy się zabrali do picia. Była tak świéża i wyborna, żeśmy postanowili nazajutrz wrócić w toż samo miejsce, przynieść z sobą kilka butelek wina, w tém przekonaniu, że je tam z rozkoszą wypróżniemy.

Z żalem opuściliśmy miejsce tak przyjemne i gdyśmy wrócili do zamku wychwalaliśmy spółtowarzyszom naszym to piękne odkrycie; lecz dowódzca forteczki ostrzegał nas po przyjacielsku, żebyśmy do téj groty nie chodzili. — A dlaczego? odezwałem się, czy tam jest co niebezpiecznego?—Tak jest, bezwątpienia, odpowiedział. Korsarze algierscy i trypolitańscy zawijają czasami na tę wyspę i zaopatrują się w wodę w téj jaskini. Pewnego dnia napadli niespodzianie na dwóch żołnierzy z mojéj załogi i wzięli ich do niewoli. Jakkolwiek oficer mówił tonem stanowczym, nie trafił jednak do przekonania naszego. Uważaliśmy to za żart i nazajutrz zaraz udałem się tamże z trzema towarzyszami naszéj wyprawy. Nie braliśmy nawet broni palnéj, na znak, że się niczego nie obawiamy. Młody Morales nie chciał należyć do naszego towarzystwa; wolał równie jak i brat jego, grać w karty.

Zeszliśmy na dół do jaskini, jak dnia wczorajszego, wstawiliśmy w strumień kilka butelek wina, któreśmy przynieśli z sobą. Kiedy tak ochłodzone spijamy z rozkoszą, grając na gitarze i bawiąc się wesołą gawędką, spostrzegamy u wejścia kilku ludzi z potężnemi wąsami, w zawojach i w ubiorze tureckim. Wystawiliśmy sobie, że to byli towarzysze naszéj wyprawy z dowódzcą twierdzy, którzy się przebrali dla napędzenia nam strachu. W tém przekonaniu, poczęliśmy się śmiać, i nie myśląc o obronie, pozwoliliśmy zejść do jaskini, aż dziesięciu ludziom. Wkrótce atoli smutnym sposobem wywiedzeni z błędu, poznaliśmy że to był zbój morski, który przybył ze swoją bandą i nas zabierze. — *Poddajcie się psy, inaczéj wszyscy zginiecie!* w téj saméj chwili ludzie jego zmierzyli karabinki swoje na nas; bylibyśmy bezwątpienia haniebnie poczęstowani, gdybyśmy najmniejszy stawili opór: mieliśmy jednak dosyć rozsądku nie myśléć o żadnéj obronie. Przenieśliśmy niewolę nad śmierć, i złożyliśmy zbójom nasze szpady. Kazał nas okuć w kajdany i zaprowadzić na okręt, który stał w bliskości; poczém napiąwszy żagle popłynął ku Algierowi.

Tak ukarani zostaliśmy za lekceważenie przestrogi oficera załogi. Piérwszą rzeczą korsarza było przetrząsnąć nas i zabrać pieniędze, jakie każdy mógł mieć przy sobie. Co za wyborna gratka dla niego! Dwieście dublonów młodych mieszczan z Placencyi; sto, które Morales dostał od Hieronima de Moyadas, a które nieszczęściem miałem przy sobie, wszystko mi zagrabił bez litości. Moi towarzysze mieli także nie źle opatrzone sakiewki: lecz zbój ten nie kontentował się, że nam zabrał pieniędze, jeszcze się najgrawał z nas, szydząc w rozmaity sposób; nie czuliśmy wszakże tego zbyt dotkliwie, bo niezbędna konieczność cierpienia więcéj nas zajmowała. Po tysiącznych szyderczych żarcikach, by nam w innym sposobie dokuczyć, kazał przynieść wino, któreśmy ochłodzili w strumieniu, i z towarzyszami swoimi spijał za zdrowie nasze przez drwiny.

Przez ten czas postawa moich towarzyszów objawiała wyraźnie co się w ich duszy działo. Ta niewola tém dotkliwiéj ich dręczyła, im rozkoszniejsze marzyli obrazy pobytu na wyspie Majorce, gdzie spodziéwali się wesołe prowadzić życie. Co do mnie, wnet stanowcze powziąłem postanowienie: nie tyle stroskany jak drudzy, wdałem się w rozmowę z szydercą: z dobréj woli brałem udział w jego żartach, i to mu się podobało.—Młodzieńcze, mówił do mnie, lubię takie usposobienie twojego umysłu: w gruncie rzeczy, zamiast wzdychać i jęczéć, lepiéj jest uzbroić się cierpliwością, i stosować się do okoliczności. Zagraj nam jaką śpiéwkę, rzekł daléj, widząc że mam gitarę, zobaczymy co ty umiész. Usłuchałem go, skoro mi rozwiązano ręce, zacząłem grać na gitarze w taki sposób, żem zyskał jego oklask. Prawda że nie źle grałem na tym instrumencie. Śpiéwałem także, i głos mój równie się podobał. Turcy znajdujący się na statku gestami podziwu objawiali rozkosz, jaką mieli słuchając mnie; z czego pomiarkowałem, że w przedmiocie muzyki nie byli bez gustu. Korsarz szepnął mi do ucha, że nie będę niewolnikiem nieszczęśliwym i że z moimi talentami mogę się spodziéwać obowiązku, który mi niewolę znośną uczyni.

Ucieszyły mię poniekąd te słowa: jednakże mimo pochlebne nadzieje niepokoiło mnie zatrudnienie, którém mnie zawczasu częstowano; bałem się żeby nie było przeciwne mojemu upodobaniu. Gdyśmy zawinęli do portu algierskiego, ujrzeliśmy mnóstwo ludzi czekających na nas; jeszcześmy do lądu nie przybili, a już tysiączne okrzyki radości rozległy się w powietrzu: do tego brzmiały huczne głosy trąb, fletów maurytańskich i innych instrumentów używanych w tych stronach, co tworzyło symfonią więcéj wrzaskliwą niż przyjemną. Przyczyną téj radości była fałszywa wieść rozniesiona po mieście. Głoszono, że zaprzaniec Mehemet, tak się zwał nasz korsarz, zginął w napaści na wielki okręt genueński; tym sposobem krewni i przyjaciele jego dowiedziawszy się o jego powrocie objawiali mu swoją radość.

Tylko cośmy stanęli na lądzie, zaprowadzono nas natychmiast do pałacu baszy Solimana, gdzie pisarz chrześciański badał nas każdego w szczególności; pytał się o nazwisko, wiek, ojczyznę, religią i talenta. Wtedy Mehemet przedstawiając mnie baszy, wychwalał mój głos, dodając, że gram na gitarze do zachwycenia. Nie trzeba było więcéj, aby skłonić Solimana do przyjęcia mnie do swojéj służby. Zatrzymano mnie więc do jego seraju i zaprowadzono dla objęcia przeznaczonego mi obowiązku. Inni niewolnicy zaprowadzeni na rynek, sprzedani zostali według zwyczaju. Przepowiednia Mehemeta spełniła się: szczęśliwy los był moim udziałem. Nie odesłano mię do straży niewolników, nie używano do robót ciężkich. Soliman basza przez szczególny wzgląd kazał mnie osobno umieścić z kilką niewolnikami znakomitemi, których niebawnie miano wykupić i którym dla tego lekkie wskazywano zatrudnienia. Mnie polecono podléwać w ogrodzie pomarańcze i kwiaty. Niepodobna było żądać przyjemniejszego zajęcia; za to téż wdzięczny byłem mojéj gwiaździe i przeczuwałem, sam nie wiedząc dla czego, że nie będę nieszczęśliwym u Solimana.

Basza ten, boć trzeba podać jego portret: był mężczyzna czterdziestoletni, bardzo urodziwy; bardzo grzeczny i nadzwyczaj uprzejmy jak na Turka. Najmilszą jego kochanką była Kaszemiranka, która pięknością i dowcipem przeważną nad umysłem jego pozyskała władzę. Kochał ją aż do szaleństwa. Codziennie raczył ją nową jaką zabawą: to koncertem głosowym i instrumentalnym, to komedyą w guście tureckim; co każe się domyślać poematów dramatycznych, w których wstyd i przyzwoitość nie więcéj były szabowane jak prawidła Arystotelesa. Ulubienica, nazwiskiem Farrukhnas namiętnie lubiła tego rodzaju widowiska; ona sama niekiedy przedstawiała w obliczu baszy sztuki arabskie. Sama nawet przyjmowała w nich role i zachwycała widzów wdziękiem i żywością akcyi. Raz gdym był między muzykantami na takowém przedstawieniu, Soliman kazał mi grać na gitarze i śpiéwać solo między aktami. Miałem szczęście podobać się Solimanowi, pochwalił mnie nietylko oklaskiem, ale nawet głosem; a oblubienica, jak mi się zdało, łaskawém spoglądała na mnie okiem.

Nazajutrz gdym podléwał w ogrodzie pomarańcze, przeszedł koło mnie rzezaniec, który nie rzekłszy słowa, ani zatrzymując się na chwilę, rzucił mi billecik pod nogi. Podniosłem go z wzruszeniem, w którém się mięszała radość z obawą. Położyłem się na ziemi, lękając się aby nie spostrzeżono z okien seraju, a skrywszy się poza drzewa pomarańczowe, otworzyłem go. Znalazłem dyament znakomitéj wartości i te wyrazy czystém kastylskiém narzeczem skréślone: „Młody chrześcianinie, dziękuj Bogu za twoję niewolę. Miłość i fortuna uczynią ją szczęśliwą: miłość, jeśli jesteś czułym na wdzięki nadobnéj osoby; fortuna, jeżeli masz odwagę gardzić wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwy".

Nie wątpiłem ani na chwilę, że list ten był od sułtanki ulubionéj: przekonywał mnie o tém styl i dyament. Już to z natury nie jestem ja bojaźliwym, do tego próżność być w dobrych stosunkach z kochanką wielkiego pana, a więcéj jeszcze nadzieja zyskania od niéj czterykroć więcéj pięnię-

dzy, niżbym potrzebował na okup, wszystko to skłoniło mnie do powzięcia zamiaru, odważyć się na tę przygodę, jakiekolwiek mogłoby mi zagrażać niebezpieczeństwo. Zajmowałem się daléj moją robotą, przemyślając nad sposobami dostania się do pokojów Farrukhnazy; czyli raczéj czekając póki mi nie otworzy drogi: mniemałem bowiem, że nie poprzestanie na tém, ale że sama poniesie połowę kosztu. Nie myliłem się. Ten sam rzezaniec, który przechodził koło mnie, wracał w godzinę późniéj i rzekł: „Chrześcianinie, namyśliłżeś się, i czy będziesz miał dosyć śmiałości iść za mną?"—Odpowiedziałem, tak jest —A więc, odpowiedział, niech Bóg cię zachowa! zobaczysz mnie znowu jutro rano, bądź gotów iść za mną. To mówiąc oddalił się. Nazajutrz ujrzałem go rzeczywiście około godziny ósméj rano. Dał mi znak, żebym się zbliżył do niego; przystąpiłem i poszedłem za nim do sali, w któréj był wielki zwoj płótna, który przyniósł tam inny rzezaniec, z tym co mnie prowadził, mieli go zaś zanieść do sułtanki, jako dekoracyą do przedstawienia, które ona przysposabiała dla baszy.

Dwaj rzezańcy widząc mnie gotowym na wszystko, nie tracili czasu: rozwinęli płótno, położyli mnie na nie jak jestem długi, poczém z narażeniem nawet na uduszenie, zawinęli mnie w toż samo płótno. Tym sposobem urządzony zwoj wziąwszy w obudwóch końcach na ramiona, swobodnie zanieśli aż do pokoju sypialnego pięknéj kaszemiranki. Była sama jedna z niewolnicą poświęconą zupełnie na wszelkie jéj skinienie. Obiedwie rozwinęły płótno, a Farrukhnaz na widok mój objawiła radosne uniesienie, z którego wnosić można było o usposobieniu kobiét jéj ojczyzny. Jakkolwiek z natury śmiały, ujrzawszy się przecież nagle przeniesionym do tajemnych pokojów kobiét, uczułem nieco trwogi. Sułtanka spostrzegła to, i dla uspokojenia mojego rzekła: — Młodzieńcze, nie lękaj się niczego: Soliman udał się do wiejskiego pałacu, tam przepędzi cały dzień, możemy bawić się swobodnie.

Tém oświadczeniem uspokojony, przybrałem postawę, która podwoiła radość ulubienicy.—Podobałeś mi się, mówiła, chcę złagodzić twoję niewolę. Sądzę że jesteś godnym uczuć jakie powzięłam ku tobie. Chociaż w ubiorze niewolnika, masz jednak postawę szlachetną i miłą, która wskazuje, że nie musisz pochodzić z gminu. Mów do mnie z ufnością, powiédz szczérze kto jesteś. Wiém dobrze, że jeńcy tają swoje urodzenie, aby tańszy na nich położono odkup; ze mną nie potrzebujesz tak postępować; owszem, przezorność ta obraziłaby mnie, ponieważ ja ci zaręczam wolność. Bądź więc szczérym i przyznaj się, że jesteś młodzieńcem znakomitych rodziców.—W istocie tak jest pani, odpowiedziałem, nie pięknie byłoby z mojéj strony odpłacać ci zmyśleniem. Chcesz żebym ci odkrył mój stan, muszę zaspokoić twoję ciekawość. Jestem synem granda hiszpańskiego. Być może, iż w téj chwili powiedziałem prawdę, a przynajmniéj sułtanka uwierzyła, ciesząc się, że zwróciła oczy na człowieka znakomitego; zapewniła mnie, że starać się będzie abyśmy się często widywali. Długośmy się bawili, i przyznać muszę żem nie widział milszéj kobiéty. Umiała kilka języków, a nadewszystko po kastylsku dość dobrze mówiła. Skoro uznała że czas rozłączyć się nam, z rozkazu jéj wsiadłem w wielki kosz z łoziny, okryty materyą jedwabną z wyszywaniem jéj własną ręką robioném: wezwano tych samych niewolników, którzy mnie przynieśli i ci wynieśli mnie jako dar przeznaczony dla baszy: co jest świętém dla wszystkich, którym straż haremu poruczona.

Farrukhnaz znalazła następnie inne sposoby rozmawiania ze mną; i ta miła branka wkrótce zapaliła we mnie taką samą miłość, jaką ona ku mnie pałała. Porozumiéwanie się nasze ukrywało się w tajemnicy przez dwa miesiące, chociaż to nadzwyczaj trudno aby skryte miłostki w seraju na długo uszły bacznego oka argusów. Lecz nieszczęśliwy traf popsuł naszą sprawę, a los mój inną wcale przybrał postać. Raz gdy w sztucznym smoku, którego zrobiono na widowisko, wniesiony zostałem do sułtanki i rozmawiałem z nią, Soliman, który zdawało mi się, że był zajęty za miastem, nadszedł, i tak niespodzianie przybył do pokojów ulubienicy, że stara niewolnica zaledwie miała czas zawiadomić nas o jego zjawieniu się. Ja jeszcze mniéj miałem czasu do ukrycia się; dla tego téż najpiérwszy wpadłem mu w oczy.

Zdawał się nadzwyczaj zdziwiony, że mnie tam zobaczył, oczy jego natychmiast zaiskrzyły się gniewem wściekłym. Uważałem się za człowieka, którego ostatnia godzina bije i zdało mi się, że już stoję na rusztowaniu. Farrukhnaz przelękła się także, lecz zamiast wyznać winę i prosić o przebaczenie, ona odezwała się do Solimana:—Panie, zanim wydasz wyrok na mnie, racz mnie wysłuchać. Pozory bezwątpienia potępiają mnie i ja zdaję się spełniać zdradę godną najstraszniejszéj kary. Ja przyzwałam tu tego młodego człowieka, i żeby go wprowadzić użyłam takiego wybiegu, jak gdybym czuła ku niemu miłość bardzo gwałtowną. Ztémwszystkiém, świadczę się naszym wielkim prorokiem, mimo takie postępowanie, nie złamałam ci wiary. Chciałam pomówić z tym młodym chrześcianinem, aby go oderwać od jego sekty, a skłonić do przyjęcia wyznania wiernych. Znalazłam w nim upór, któregom się spodziéwała, ale jednak przezwyciężyłam jego przesądy, i właśnie mi przyrzekł, że przyjmie islamizm.

Przyznaję, że powinienem był zadać fałsz ulubienicy, bez względu na niebezpieczeństwo w jakiém się ujrzałem, ale w ucisku w jakim się znajdował mój umysł, tknięty niebezpieczeństwem w jakiém widziałem kobiétę ukochaną, drżąc jeszcze bardziéj o siebie samego, stałem osłupiały. Nie mogłem słowa wyrzec: a basza z mojego milczenia wnosząc, że kochanka jego szczérą prawdę mówiła, pozwolił się rozbroić. —Pani, rzekł, chcę być przekonanym, żeś mnie nie obraziła i że chęć spełnienia czynu miłego prorokowi, mogła cię skłonić do odważenia się na postępek tak drażliwy. Uniewinniam więc twoję nieroztropność, byleby ten jeniec w téj chwili przyjął zawój. Sprowadzono marabuta i ubrano mnie zaraz po turecku. Zrobiłem wszystko, co chciano, nie mając siły do oparcia się, albo lepiéj mówiąc, w tém zamieszaniu zmysłów moich, nie wiedziałem co robię. Iluż to chrześcian byłoby równie tchórzami jak ja, w takiémże położeniu.

Po tym obrzędzie wyszedłem z seraju pod nazwiskiem Sidy Hally spełniać obowiązki nizkiego urzędu, który mi Soliman udzielił. Nie widziałem więcéj sułtanki; lecz jeden z jéj eonuchów przybył do mnie pewnego dnia: przyniósł mi klejnoty wartości dwóch tysięcy cekinów złotych z listem, w którym mnie zapewniała, że nigdy nie zapomni szlachetnéj względności w przyjęciu islamizmu dla ocalenia jéj życia. W istocie prócz darów jakie odebrałem od sułtanki, za jéj wstawieniem się otrzymałem urząd znakomitszy od piérwszego, i w krótkim przeciągu czasu, bo w siedm lat niespełna zostałem najbogatszym, z poturczonych chrześcian w Algierze.

Łatwo sobie wystawicie, że jeżeli uczęszczałem na modlitwy muzułmanów do meczetu, jeżelim dopełniał innych obowiązków ich wyznania, to było przez czystą obłudę. Zachowałem silną wolę powrotu na łono kościoła i w tym celu zamierzałem kiedyś przenieść się do Hiszpanii lub do Włoch, ze skarbami, jakiebym zebrał. Tymczasem żyłem bardzo wesoło. Mieszkałem w pięknym domu, miałem przepyszne ogrody, mnóstwo niewolników i śliczne kobiéty w moim seraju. Chociaż wino zakazane jest mahometanom, po większéj części jednak piją je w sekrecie. Ja piłem bez ceremonii, tak jak wszyscy co się zbisurmanili. Przypominam sobie, że miałem dwóch towarzyszów hulanki, z któremi często całe noce przepędzałem na biesiadach. Jeden był żyd, a drugi Arab. Uważałem ich za ludzi uczciwych i dlatego żyłem z nimi bez przymusu. Raz zaprosiłem ich na wieczerzę: tegoż dnia zdechł mi piés, którego namiętnie lubiłem, umyliśmy go i pogrzebali ze wszystkiemi obrzędami, jakie zachowują muzułmanie przy pogrzebach. Zrobiliśmy to nie dla szydzenia z religii mahometańskiéj, ale jedynie dla zabawki i zaspokojenia głupiéj chęci uczczenia mojego psa, która nas opanowała po pijanu.

Ten postępek o mało mnie nie zgubił, jak to zaraz usłyszycie. Nazajutrz przyszedł do mnie człowiek jakiś i rzekł mi:—

Mości Sidy Hally, interes wielkiéj wagi sprowadza mnie tutaj. Pan Kadi chce z panem mówić; bądź łaskaw udać się do niego natychmiast. — Powiédz mi z łaski swojéj, czego żąda ode mnie, odpowiedziałem mu. — On ci sam to objawi, mówił on; wszystko co ci mogę powiedzieć, to jest, że kupiec arabski, który wczoraj był u pana na wieczerzy, doniósł kademu o popełnionéj przez ciebie bezbożności, z okazyi psa, któregoście pogrzebali; wiész więc dobrze o co tu idzie; dla tego wzywam cię, abyś się dziś stawił przed tym sędzią, inaczéj, ostrzegam cię, postępowanie kryminalne wystosowane będzie przeciw tobie. Wyszedł skończywszy te słowa, a mnie zostawił oburzonego tém wezwaniem. Arab nie miał najmniejszego powodu żalenia się na mnie, pojąć nie mogłem dla czego mi ten hultaj takiego figla wypłatał. Rzecz jednak warta była zastanowienia. Znałem kadego jako człowieka bardzo surowego z pozoru, w gruncie rzeczy nie był zbyt skrupulatny, a bardzo chciwy. Wziąłem dwieście dukatów w kaletkę, i udałem się do sędziego. Wprowadził mnie do swojego gabinetu, i odezwał się w tonie szorstkim: — Jesteś bezbożnik, świętokradzca, człowiek obmierzły. Pogrzebałeś psa tak jak muzułmana! co za zniewaga! Także to zachowujesz obrzędy nasze najświętsze? dlategożeś został machometaninem, aby szydzić z naszych ćwiczeń bogobojnych?—Panie kadi, odpowiedziałem mu, Arab, który ci tak niegodziwe sprawozdanie złożył, ten fałszywy przyjaciel, jest spólnikiem mojego występku, jeżeli tylko można nazwać występkiem oddanie honorów pogrzebowych wiernemu słudze, zwierzęciu, które się zalecało tysiącznemi wybornemi przymiotami. On tak kochał ludzi godnych i znakomitych, że nawet umiérając chciał im okazać dowody swojéj przyjaźni. Przekazał im wszystko swoje mienie testamentem, którego ja jestem wykonawcą. Jednemu zapisał dwadzieścia piastrów, drugiemu trzydzieści; i ciebie najdostojniejszy panie nie zapomniał: oto jest kaletka z dwustą dukatami, którą polecił mi złożyć ci. Kadi na te słowa stracił całą powagę; nie mógł się wstrzymać od śmiéchu; a żeśmy sami tylko byli, wziął bez ogródki woreczek, i odprawiając mnie, rzekł:—Idź panie Sidy Hally, wybornie zrobiłeś, grzebiąc z okazałością i honorami psa, który tyle miał szacunku dla ludzi uczciwych.

Tym sposobem wywikłałem się z téj sprawy, a jeżeli nie stałem się przez to mędrszym, byłem przynajmniéj odtąd przezorniejszym. Już nie odbywałem hulanki ani z Arabem, ani nawet z żydem. Wybrałem do pijatyki młodego szlachcica z Liworno, który był moim niewolnikiem. Nazywał się Azarini. Nie byłem podobny do innych zaprzańców, którzy niewolnikom chrześciańskim więcéj dokuczają, niż sami turcy; moi niewolnicy wszyscy cierpliwie czekali, pókiby ich nie wykupiono. Obchodziłem się z nimi tak łagodnie, że nie raz mówili mi, iż więcéj boją się zmiany pana, niż pragną odzyskania wolności, tyle ponętnéj dla tych, co popadną w niewolę barbaresków.

Pewnego dnia okręty baszy wróciły ze znakomitą zdobyczą. Przywiozły przeszło stu niewolników obojéj płci, schwytanych na wybrzeżach Hiszpanii. Soliman bardzo mało zatrzymał dla siebie, resztę sprzedano. Przybyłem na rynek, gdzie się sprzedaż odbywała, i kupiłem dziewczynę, hiszpankę, dziesięć do dwunastu lat mieć mogącą. Płakała ona rzewnemi łzami, i strasznie rozpaczała. Odezwałem się do niéj po kastylsku, żeby hamowała swój smutek, że dostała się w ręce pana, który nie był pozbawiony uczucia ludzkości chociaż miał zawój na głowie. To małe stworzenie wciąż zajęte powodem swojego utyskiwania, nie słuchało mnie wcale; bezustannie jęczała, skarżyła się na swój los, i kiedy niekiedy rzewliwym głosem wołała: — O matko moja! dla czegóż jesteśmy rozłączone? Wszystkobym cierpliwiéj znosiła, gdybyśmy były obiedwie razem. To mówiąc zwracała oczy na kobiétę około czterdziestu pięciu lat, lub może trochę więcéj mieć mogącą, która stała o kilka kroków od niéj, i z oczami spuszczonemi w głębokiém milczeniu oczekiwała póki jéj kto nie kupi. Zapytałem się dziewczyny, czyby ta osoba na którą spogląda była jéj matką. — Niestety! tak jest, odpowiedziała, panie, spraw to, abym jéj nie opuszczała!—Zgoda, moje dziecię, jeżeli dla twojéj pociechy tego tylko potrzeba, abyście były połączone, zaraz cię zaspokoję. Przybliżyłem się więc do owéj matki, aby ją stargować; lecz zaledwiem spojrzał na nią, gdy z całém wzruszeniem jakie tylko sobie wystawić potraficie, poznałem rysy, ale to istotne rysy Lucyndy. O Boże! pomyśliłem sobie, to moja matka, ani wątpić o tém. Co do niéj, czy to silne uczucie nieszczęścia, przedstawiało jéj wszystkich otaczających za nieprzyjaciół, czy ubiór mój tak dalece mnie odmieniał, czy téż dwanaście lat przez które mnie nie widziała, zrządziły taką zmianę w mojéj postaci, dosyć na tém, że mnie nie poznała. Kupiwszy ją, poprowadziłem wraz z córką do domu.

Tu dopiéro chciałem im zrobić przyjemność oświadczenia kto jestem.—Pani, odezwałem się do Lucyndy, czy podobna, aby twarz moja nie zwróciła twojéj uwagi? Czyż wąsy i zawój są przyczyną, że nie poznajesz syna swojego Raphaela? Na te słowa matka moja zadrżała z radości, przypatrzyła mi się, poznała i w skutek tego czule bardzo uściskaliśmy się. Uściskałem następnie jéj córkę, która zapewne nie lepiéj wiedziała, że ma brata, jak ja, że mam siostrę.—Przyznaj pani, odezwałem się do matki, że we wszystkich twoich sztukach teatralnych lepszego poznania nie miałaś nad teraźniejsze.—Mój synu, odpowiedziała mi wzdychając, naprzód cieszę się, żem cię znalazła; lecz ta radość zmienia się w smutek. Niestety! w jakimże stanie znajduję cię! Moja niewola sto razy mniéj mi jest przykrą, niż ten strój nienawistny...— Ah pani! przerwałem śmiejąc się, zaiste cieszy mnie twoja delikatność; bardzo to lubię w aktorce. Miły Boże, moja matko, musiałaś się bardzo zmienić, jeżeli moje przeobrażenie, tak mocno razi twoje oczy. Zamiast oburzać się na mój zawód, uważaj mnie raczéj za aktora, który na scenie przedstawia Turka. Chociaż jestem renegatem, nie jestem przecie więcéj muzułmanem, aniżeli nim byłem w Hiszpanii; a w gruncie rzeczy, czuję zawsze przywiązanie do mojéj religii. Skoro się dowiész o wszystkich moich przygodach w tym kraju, będziesz mnie miała za uniewinnionego. Miłość była moim występkiem; składam ofiarę temu bożyszczu. Odziedziczyłem to poniekąd od ciebie, i to śmiało mówię. Jeszcze jeden jest powód, dodałem, dla którego powinnaś miarkować nieukontentowanie ze stanu, w jakim się obecnie znajduję. Spodziewałaś się pani zapewne spotkać w Algierze ciężką niewolę, a w panu twoim znajdujesz przywiązanego syna, pełnego uszanowania i dosyć bogatego, aby ci mógł zapewnić wygodne życie, póki nie znajdziemy sposobności powrotu do Hiszpanii. Przyznaj słuszność temu przysłowiu, które mówi: że nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.

—Mój synu, mówiła Lucynda, ponieważ masz zamiar wrócić kiedyś do kraju i tam wyrzec się islamizmu, jestem więc zupełnie pocieszona. Dzięki Bogu! będę mogła powrócić Kastylii córkę moją Beatrix zdrową i nieskażoną.—Tak jest, pani, odezwałem się, będziesz to mogła uczynić. Udamy się wszystko troje, jak tylko będziemy mogli najprędzéj, połączyć się z resztą naszéj rodziny; boć zapewne są w Hiszpanii inne jeszcze dowody twojéj płodności.—Nie, nie mam więcéj jak was dwoje, rzekła moja matka, a dowiész się, że Beatrix jest owocem małżeństwa zupełnie prawego.—A to dla czego, przerwałem, zapewniłaś małéj siostrzyczce mojéj tę korzyść nade mną? Jakim sposobem potrafiłaś się skłonić do pojęcia męża?—Inne czasy, inne myśli, mój synu, odpowiedziała; ludzie najstalsi w przedsięwzięciach często przecie ulegają zmianom, a ty chcesz żeby kobiéta była niezachwiana! Muszę ci opowiedzieć moje życie od czasu twojego wyjścia z Madrytu. Wtedy usłyszałem historyą, któréj nigdy nie zapomnę. Nie mogę was pozbawić tak ciekawéj powieści.

—Będzie temu, rzekła matka moja, jeżeli pamiętasz blizko trzynaście lat, jak opuściłeś młodego Leganez. Około tego czasu książę Medina Celi powiedział mi, że chce sam na sam jeść ze mną wieczerzę. Oznaczył mi dzień, czekałam więc tego pana, przyszedł i podobałam się mu. Żądał ode mnie ofiary wszystkich spółzawodników, jakichby mógł mieć. Przystałam na to, w nadziei, że mi dobrze zapłaci. Nie omyliłam się. Nazajutrz

odebrałam bogate dary, za któremi nastąpiły inne, które mi przysyłał. Bałam się, czy potrafię długo utrzymać w pętach swoich człowieka tak wysokiego dostojeństwa: a obawa moja tém większą była, żem wiedziała, iż ten pan wymykał się z objęć najsłynniejszych piękności, że zrywał węzły w téj prawie chwili, w któréj je zawiérał. Jednakże zamiast coraz mniéj smakować w moich przymileniach, zdawał się raczéj coraz nowe znajdować w nich upodobanie. Zresztą znałam sztukę bawienia go i zapobieżenia, aby serce jego, z natury płoche, nie uległo wrodzonéj skłonności.

Już trzy miesiące kochał mnie i miałam powód pochlebiać sobie, że miłość jego dłużéj jeszcze potrwa, gdy raz z przyjaciółką moją udałam się na zebranie, w którém i on się znajdował ze swoją małżonką. Poszłyśmy tam na koncert głosowy i instrumentowy. Trafem zajęłyśmy miejsce dość blizko księżnéj, która poczytała za rzecz nieprzyzwoitą, żem ja ośmieliła się znajdować w témże gdzie i ona miejscu. Kazała mi powiedzieć przez jednę ze swoich kobiét, iż mnie prosi, abym się natychmiast oddaliła. Dałam grubiańską odpowiedź posłance. Księżna rozgniéwana skarżyła się mężowi, a on sam przyszedłszy do mnie, rzekł:—Wyjdź Lucyndo, kiedy wielcy panowie przywiązują się do tak małych stworzeń jak ty, to dla tego nie powinny się one zapominać: jeżeli was więcéj kochamy niż nasze żony, tedy z drugiéj strony, żony nasze więcéj szanujemy niż was. A jeżeli kiedykolwiek opanuje cię chętka zuchwała stawania w równi z niemi, w każdym razie narazisz się na wstyd haniebnego obejścia.

Szczęściem książę te straszne dla mnie wyrazy tak cicho wymówił, że ich nikt z obok siedzących nie słyszał. Wyszłam zawstydzona, płakałam ze złości doznawszy takiéj zniewagi. Na domiar zgryzoty, komedyanci i komedyantki dowiedzieli się o tém zdarzeniu tegoż samego wieczoru. Rzekłbyś, że między tymi ludźmi snuje się jakiś zły duch, który ma za upodobanie donosić jednym, przygody drugich. Komedyant naprzykład, niech na jakiéj hulance zrobi coś głupiego, komedyantka niech się puści w dzierżawę bogatemu gachowi, o tém natychmiast wié cała trupa. Towarzysze więc i towarzyszki moje wszystkie wiedziały co się stało na koncercie i Bóg wié jak się tam cieszyły moim kosztem. Jest między niemi pewny rodzaj miłości bliźniego, która się objawia w podobnych przypadkach. Ja przecież pogardzałam ich plotkami i nie martwiłam się po stracie księcia Medina Celi; bo od téj chwili już go więcéj u siebie nie widziałam i w kilka dni późniéj dowiedziałam się, że sercem jego owładnęła jakaś śpiéwaczka.

Kiedy teatralna dama szczęsném losu zrządzeniem pozyska wziętość, na kochankach zbywać jéj nie będzie, a miłość znakomitego pana nowéj doda jéj wartości. Ujrzałam się obsaczoną od wielbicieli, skoro dowiedziano się z pewnością, że książę u mnie przestał bywać. Spółzalotnicy, których mu poświęciłam, bardziéj jak niegdyś zachwyceni mojemi wdziękami, tłumem zbiegli się do mnie, a prócz tego odebrałam hołd innych serc niezliczonych. Nigdy nie byłam w takiéj modzie. Ze wszystkich mężczyzn którzy się ubiegali o moje względy, opasły niemiec dworzanin księcia Ossuna zdał mi się najgorliwszym. Nie była to postać zbyt ujmująca, ale uwagę moją potrafił zwrócić na siebie tysiącem dublonów, które zebrał w służbie swojego pana, któremi szafował aby zyskać miejsce na liście moich kochanków szczęśliwych. Poczciwa ta istota zwała się Brutandorf. Póki rzucał pieniądze przyjmowałam go mile; skoro stracił wszystko, zastał drzwi zamknięte przed nosem. Nie podobało mu się moje postępowanie. Przyszedł do mnie do teatru w czasie widowiska. Byłam za kulisami. Chciał mi czynić wyrzuty, ja mu się roześmiała w oczy. Rozgniéwał się i palnął mię w twarz szczerze po niemiecku: krzyknęłam z całéj siły, przerwałam sztukę. Wystąpiłam na scenę zwracając się do księcia Ossuna, który był właśnie w teatrze z księżną swoją małżonką, prosiłam go o wymierzenie sprawiedliwości za niemiecki postępek jego dworzanina, książę rozkazał daléj grać komedyą i oświadczył, że wysłucha strony po skończeniu sztuki. Tylko co się skończyło przedstawienie, pokazałam się księciu bardzo wzruszona i z zapałem opowiedziałam moją skargę. Niemiec zaś na swoją obronę dwa tylko powiedział słowa; to jest, że nietylko nie żałuje tego co zrobił, ale owszem gotów jest powtórzyć. Po wysłuchaniu stron, książę Ossuna rzekł do niemca:— Brutandorf, wypędzam cię od siebie, i nie chcę, abyś mi się pokazywał na oczy: nie dla tego żeś dał policzek komedyantce, ale żeś uchybił należnego uszanowania twojemu panu i twojéj pani, żeś śmiał przerywać widowisko w ich obecności.

Ścisnęło mi się serce na ten wyrok. Poczytałam sobie za śmiertelną urazę, że niemiec nie był wypędzony za to, że mnie znieważył. Ja wystawiałam sobie, że podobnego rodzaju obelga wyrządzona komedyantce, powinna być z równą surowością karana, jak zbrodnia stanu, i pewna byłam że niemiec dotkliwie ukaranym będzie. Ten wypadek niemiły otworzył mi oczy: poznałam, że świat aktorów nie miesza z rolami jakie przedstawiają. To mnie zniechęciło do teatru, postanowiłam opuścić go i żyć gdzie zdala od Madrytu. Walencyą wybrałam za miejsce mojego schronienia i udałam się tam *incognito*, z dwudziestą tysiącami dukatów, które miałam w gotówce i w klejnotach: co mi się zdawało aż nadto wystarczające na utrzymanie reszty dni moich, témbardziéj, żem zamierzyła żyć na ustroniu. Najęłam w Walencyi mały domek, zgodziwszy do usług kobiétę i pazia, którym równie byłam nieznana jak i w mieście. Udałam się za wdowę po oficerze od boku królewskiego, mówiąc, że dla tego osiadłam w Walencyi, iż pobyt w tém mieście uważany jest za najrozkoszniejszy w całéj Hiszpanii. Towarzystwo moje z bardzo małéj liczby osób składało się, życie zaś wiodłam tak porządne, iż nikomu na myśl nie przyszło, żebym kiedyś miała być komedyantką. Jednakże choć starannie ukrywałam się przed okiem ludzkiém, zwróciłam przecież na siebie uwagę szlachcica, który miał zamek niedaleko miasta Paterna. Było człowiek przystojny, blizko czterdziestego roku życia sięgający, ale bardzo zadłużony; co nie jest większą osobliwością w królestwie Walencyi, jak w wielu innych krajach.

Temu panu hidalgo, podobała się bardzo moja osoba, chciał tylko wiedzieć czybym z innych względów odpowiadała jego widokom. Rozpuścił więc wyżły dokoła, aby złapać wiatr i z wielką radością dowiedział się, że z twarzyczką nieodrażającą, miałam wcale nie złą oprawę wdowią. Pomiarkowawszy więc, że to może być dla niego odpowiednie małżeństwo, przysłał do mnie staruszkę, która z jego polecenia oświadczyła mi, iż ujęty moją cnotą, równie jak wdziękami, ofiaruje mi swoją rękę, i gotów jest poprowadzić mnie do ołtarza, jeżeli bym chciała zostać jego żoną. Żądałam trzech dni do namysłu. Zasięgałam wiadomości o szlachcicu; tyle zaś dobrego o nim mi nagadano, że choć nie tajono stanu jego interesów, postanowiłam go zaślubić.

Don Manuel de Xerica, tak się zwał ten hidalgo, mąż mój, zawiózł mnie do swojego zamku, który z pozoru zdawał się bardzo starożytny, i z tego nie mało się chlubił don Manuel. Utrzymywał on, że kiedyś tam wybudował go jeden z jego przodków, a ztąd prosty wyprowadzał wniosek, że w całéj Hiszpanii nie ma starożytniejszéj rodziny nad dom Xerica. Lecz tak niezbity dowód szlachectwa czas zaczął już kruszyć; zamek w kilku miejscach popodpiérany groził ruiną: co za szczęście dla don Manuela, że mnie zaślubił. Połowa moich pieniędzy poszła na naprawę; drugiéj użyliśmy na świetne wystąpienie w świecie. Otóż więc jestem, że tak rzekę, w nowym żywiole; zamieniona w nimfę pałacową, w damę paraflalną: co za metamorfoza! Jako dobra aktorka umiałam utrzymywać blask jakim mnie nowy stopień otaczał. Przyjęłam wspaniałą postawę, postawę teatralną, zkąd we wsi wysokie powzięto mniemanie o mojém urodzeniu. Jakążby to ludzie pociechę mieli, gdyby mogli byli zajrzéć w moje rachunki! Szlachta okoliczna zdobyłaby się na tysiączne przycinki, a wieśniacy ograniczyliby bardzo uszanowanie jakiém mnie obdarzali.

Sześć lat szczęśliwie przeżyłam z don Manuelem, gdy w tém umarł. Zostawił mi zawikłane interesa i siostrę twoją Beatrix,

która wtedy cztery lata miała. Zamek, który był jedyném naszém mieniem, zastawiony był kilku wierzycielom, z których najważniejszym był Bernard Astuto (1). Jak on umiał dobrze utrzymać swoje nazwisko! Pełnił on w Walencyi obowiązki prokuratora jako człowiek wytrawny w procedurze, uczył się nawet w uniwersytecie prawa, aby tém prawniéj wyrządzać niesprawiedliwość. Okropny wierzyciel! zamek w ręku takiego prokuratora, był jak gołąbek w szponach jastrzębia: dlatego też pan Astuto dowiedziawszy się o śmierci mojego męża, wziął się natychmiast do oblężenia zamku. Byłby go niechybnie wysadził minami pieniactwa, gdyby się do tego nie wmieszała moja gwiazda; szczęście moje zrządziło, że oblegający został moim jeńcem. Potrafiłam go zachwycić, gdym się z nim spotkała w przedmiocie naszéj sprawy. Przyznam się, żem niczego nie szczędziła, żeby zapalić miłość w jego sercu; a chęć ocalenia mojéj posiadłości, skłoniła mnie do doświadczenia na nim wszystkich umizgów, które mi się tak dobrze udawały już nie raz. Z całą jednak moją umiejętnością lękałam się by nie chybić pana prokuratora. Tak był zagrzebany w swojém rzemiośle, że zdawał się być nieprzystępnym wszelkiemu wrażeniu miłości. A jednak ten mruk, ten klecha, ten skrobipapiér, więcéj znajdował rozkoszy w patrzeniu na mnie, niżelim spodziewać się mogła.—Pani, rzekł mi, nie umiém sobie postąpić w miłości. Całe życie z takim zapałem poświęcałem się mojemu powołaniu, żem nie miał czasu nauczyć się zwyczajów i obyczajów zalotnictwa. Znam jednak istotę rzeczy: i żeby przyjść do saméj treści, powiém pani, jeżeli zechcesz mnie zaślubić, spalimy całe postępowanie prawne, usunę wierzycieli, którzy się ze mną połączyli dla sprzedania twojéj włości. Będziesz miała jéj dochody, a dziedzictwo pozostanie dla córki. Interes Beatrycy i mój własny niedozwalał mi wahać się, przyjęłam ofiarę. Prokurator dotrzymał słowa; obrócił broń przeciw innym wierzycielom, zapewnił mi posiadanie zamku.

Zostałam więc prokuratorową, nie przestawszy atoli być damą parafialną. Ale to nowe zamęźcie zgubiło mnie w oczach szlachty walencyjskiéj. Kobiéty wyższego tonu spoglądały na mnie, jak na osobę, która utraciła szlachectwo, i nie chciały się wdawać ze mną. Trzeba było czepiać się towarzystwa mieszczek, co zrazu dosyć przykro było, gdyż od sześciu lat przywykłam obcować z samemi paniami znakomitemi. Wkrótce atoli uspokoiłam się. Zabrałam znajomość z pisarzową, i dwiema prokuratorowemi, których charakter był dosyć zabawny. W ich obejściu się było coś śmiésznego, co mnie bawiło. Te malutkie kobiéciny poczytywały się za coś wyższego od gminu. Niestety! pomyśliłam nie raz, widząc je zapominające się, otóż to świat! Każdy mniema się wyższym od swojego sąsiada. Sądziłam, że tylko komedyantki nie znają się na sobie, a tu jak widzę i mieszczki nie są rozsądniejsze. Radabym aby za karę nakazano im trzymać w pokojach portrety ich przodków: zaręczam żeby ich nie umieściły na ścianie zbyt oświeconéj.

Po czterech latach zamężcia, pan Bernard Astuto zachorował i umarł bezdzietny. Z tém co mi zapisał przed ślubem i z tém com już posiadała, ujrzałam się wdową dosyć bogatą i taką też zyskałam wziętość. Na ten odgłos szlachcic sycylijski, nazwiskiem Colifichini, postanowił zbliżyć się do mnie, żeby albo mnie zgubić, albo za żonę pojąć. Wybór mnie zostawił. Przybył on z Palermo dla zwiedzenia Hiszpanii, a zaspokoiwszy swoją ciekawość, czekał w Walencyi na sposobność jak mówił, powrotu do Sycylii. Miał on niespełna dwadzieścia lat, przystojny, choć małego wzrostu, dosyć, że mi się podobał. Żądał ze mną rozmowy na osobności, i przyznam ci się szczérze, ze zaraz po pierwszém spotkaniu się, zawrócił mi głowę. Młody oszust ze swojéj strony udawał zachwyconego mojemi wdziękami. Zdaje mi się, Boże odpuść mi winy, żebyśmy byli natychmiast zawarli ślub, gdyby śmierć prokuratora, jeszcze zbyt świéża, pozwalała mi była na wejście w nowe związki. Lecz od chwili, kiedy nabrałam gustu do małżeństwa, zachowywałam przyzwoitość światową.

(1) Astuto, znaczy chytry.

Zgodziliśmy się więc na odłożenie naszego ślubu do pewnego czasu jedynie dla przyzwoitości. Tymczasem Colifichini nie przestawał mi się zalecać, a miłość jego zamiast zmniejszać się, codzień wzrastała. Biédny chłopiec nie był bardzo opatrzony w pieniądze. Spostrzegłam to i nie brakło mu gotówki. Bo prócz tego, żem prawie dwa razy była starszą, pamiętałam że w mojéj młodości mężczyzni składali mi haracz; tym sposobem to co ja teraz dawałam, uważałam za pewny rodzaj zwrotu dla spokojności sumienia. Czekaliśmy ile możności z największą cierpliwością, póki nie upłynie czas, jaki przyzwoitość ludzka wdowom zakréśliła. Skoro nadszedł, poszliśmy do ołtarza, i połączyliśmy się węzłami wiecznemi. Zamieszkaliśmy potém w moim zamku, gdzieśmy przeżyli dwa lata, nie tak jak małżonkowie, ale jak dwoje kochanków. Ale niestety! związek nasz tak szczęśliwy, nie miał być długotrwały; zapalenie mlecza, zabrało ze świata mojego drogiego Colifichini.

W tém miejscu przerwałem mowę mojéj matki. — Jak to, pani, zawołałem, to i trzeci twój małżonek umarł? to pani musisz być placem morderczego boju. — Cóż chcesz mój synu? odpowiedziała mi, jestże w mojéj mocy przedłużyć dni, które niebo policzyło? Jeżelim utraciła trzech mężów, a cóż mam robić? Dwóch szczérze żałowałam. Najmniéj opłakiwałam prokuratora. Ponieważ pojęłam go z interesu, łatwo więc pocieszyłam się po jego utracie. Lecz wracając do Colifichinicgo, powiém ci, że w kilka miesięcy po jego śmierci, chciałam zobaczyć sama w okolicy Palermo dom wiejski, który mi jako oprawę wdowią, zapisał przy umowie przedślubnéj. Wsiadłam na okręt z córką, aby się przeprawić do Sycylii; ale w czasie téj żeglugi, dostałyśmy się w ręce korsarzy baszy algierskiego. Sprowadzono nas do tego miasta. Szczęściem dla nas, żeś przybył na rynek, na którym nas wystawiono na sprzedaż. Gdyby nie to, dostałybyśmy się w ręce jakiego barbarzyńcy, któryby się z nami nieludzko obchodził; zostałybyśmy może na całe życie w niewoli, a ty anibyś słyszał o nas.

Takie było opowiadanie mojéj matki; dałem jéj najpiękniejsze pokoje w moim domu, pozwoliłem żyć, jakby się jéj podobało, co jéj bardzo trafiło do gustu. Zaciągnęła ona nałóg kochania, przez tyle powtórzonych aktów tego rodzaju, że jéj niezbędnie potrzebny był kochanek, albo mąż. Naprzód zwróciła oczy na niektórych z moich niewolników, lecz wkrótce zwrócił jéj uwagę na siebie Hally Pegelin, grecki zaprzaniec, który czasami bywał w moim domu. Większą ku niemu uczuła miłość, niż ku Colifichiniemu, a tak już była wprawna w przypodobanie się mężczyznom, iż znalazła tajemnicę zaczarowania jeszcze i tego. Udałem, że wcale nie dostrzegam ich stosunków; podówczas rozmyślałem jedynie nad powrotem do Hiszpanii. Basza pozwolił mi uzbroić okręt, puścić się na morze, i sprobować korsarskiego chleba. Uzbrojenia takowe zajmowały mnie, a na ośm dni przed ich dokonaniem, rzekłem do Lucyndy:—Pani, niezwłocznie opuścimy Algier, stracimy z oczu te miejsca, które ci tak obmierzły.

Na te słowa matka moja zbladła, język jéj zmartwiał. Zdumiałem się.—Co widzę? rzekłem jéj, zkądże pochodzi to przerażenie? Zdaje się, że zamiast radości, staję się smutku przyczyną. Mniemałem, że ci miłą zwiastować będę nowinę, oświadczając ci, żem wszystko przygotował do naszego odjazdu. Nie pragnieszże już więcéj wracać do Hiszpanii? --Nie, mój synu, nie życzę sobie wcale. Tyle tam przeżyłam zgryzot, że wyrzekam się jéj na wieki. — Co słyszę? zawołałem z boleścią, ah! powiédz raczéj, że miłość cię od niéj odrywa. O Boże! jakaż to zmiana! Gdyś przybyła do tego miasta, wszystko ci było obmierzłe, lecz Hally Pegelin zmienił twoje uczucia. — Nie przeczę wcale, odpowiedziała Lucynda; kocham tego renegata, i chcę go mieć czwartym mężem.— Jakiż to zamiar! przerwałem ze zgrozą; pani chcesz pójść za muzułmana! zapominasz, że jesteś chrześcianką, czyli raczéj byłaś nią tylko z nazwiska. Ah! matko moja, cóż mi przedstawiasz? postanowiłaś zgubę swoją. Chcesz spełnić to z dobréj woli, co ja zrobiłem z musu.

Długo jeszcze rozprawiałem, aby ją odwieść od tego zamiaru; wszystko było napróżno; postanowienie jéj było nie-

cofnięte. Nie poprzestała na tém, że nie chciała odstąpić swojéj skłonności, że poszła żyć z tym zaprzańcem, chciała jeszcze wziąć z sobą Beatricę. Sprzeciwiłem się temu.—Ah, nieszczęśliwa Lucyndo, mówiłem jéj, jeżeli nic nie zdoła cię wstrzymać, sama tylko przynajmniéj idź za tym szałem, który cię opanował, a nie ciągnij za sobą téj młodéj, niewinnéj, w przepaść, w którą się na oślep rzucasz. Lucynda odeszła, nic nie mówiąc. Sądziłem, że jeszcze pozostała jakaś iskierka rozsądku, oświeciła ją i wstrzymała od upornego domagania się córki. Jakżem mało znał matkę moją? Jeden z moich niewolników we dwa dni późniéj, powiedział mi: — Panie, miéj się na baczności. Jeniec Pegelina w zaufaniu zwierzył mi się, z czego staraj się jak najprędzéj korzystać. Matka twoja zmieniła religią, i żeby cię ukarać za to, żeś jéj odmówił wydania Beatrycy, postanowiła zawiadomić baszę o zamierzonéj przez ciebie ucieczce. Nie wątpiłem ani na chwilę, aby Lucynda nie była kobiétą zdolną wykonać co mi niewolnik powiadał. Miałem dosyć czasu do zbadania jéj, i przekonałem się, że grywając często w tragedyach role krwawe, oswoiła się ze zbrodnią. Bardzo łatwo kazałaby mnie spalić na stosie, i zdaje mi się, że śmierć moja nie więcéj by ją rozczuliła, jak katastrofa jakiéj sztuki teatralnéj.



Inesilla de Cantarilla.

Nie chciałem więc lekce ważyć przestrogi mojego niewolnika. Przyspieszałem moją wyprawę. Wziąłem turków według zwyczaju korsarzy, którzy się na rozbój puszczają; lecz zabrałem ich tylko tyle, ile potrzeba było, by uniknąć podejrzenia; wypłynąłem z portu jak tylko mogłem najspieszniéj, zabrawszy wszystkich swoich niewolników i siostrę Beatricę. Łatwo się domyślicie, żem zabrał także wszystkie pieniądze i klejnoty, co wszystko mogło wynosić około sześciu tysięcy dukatów. Kiedyśmy się już ujrzeli na otwartém morzu, najpierwéj zabezpieczyliśmy się względem turków. Powiązaliśmy ich łatwo, ponieważ niewolników moich było daleko więcéj. Wiatr mieliśmy tak pomyślny, że wkrótce ujrzeliśmy brzegi Włoch. Zawinęliśmy jak najszczęśliwiéj do portu Livorno, gdzie jak mi się zdało, całe miasto zbiegło się, patrzéć na nasze lądowanie. Ojciec mojego niewolnika Azariniego, trafem czy przez ciekawość, był także między widzami. Przypatrywał się bacznie każdemu niewolnikowi w miarę jak wysiadali na ląd, ale chociaż upatrywał rysów swojego syna, nie spodziéwał się jednak oglądać go. Jakież to uniesienie radości, ile uścisków nastąpiło, skoro się obadwa poznali.

Skoro Azarini powiedział ojcu kto byłem i co mnie sprowadziło do Livorno, starzec zobowiązał mnie zaraz, abym wraz z siostrą Beatricą zajął mieszkanie u niego. Pomijam rozmaite szczegóły towarzyszące mojemu powrotowi na łono kościoła; powiém tylko, żem wyrzekł się islamizmu z lepszą wiarą, niżelim go przyjmował. Oczyściwszy się zupełnie z trądu algierskiego, sprzedałem okręt, i wypuściłem na wolność wszystkich niewolników. Co się tyczé turków, tych zatrzymano w więzieniu dla wymiany za chrześcian. Od obudwóch Azarinich, ojca i syna, doznawałem największéj uprzejmości; syn nawet, zaślubił siostrę moją Beatrix, co dla niego nie złém było związkiem, ponieważ była córką szlachcica i miała zamek Xerica, który matka oddalając się do Sycylii, wypuściła w dzierżawę zamożnemu włościaninowi z Paterna.

Zabawiwszy czas niejaki w Livornie, udałem się do Florencyi, którą miałem ochotę zwiedzić. Udałem się zaś z listami zalecającemi. Azarini miał przyjaciół na dworze książęcym, im więc polecił mnie, jako szlachcica hiszpańskiego swojego powinowatego. Dodałem zaraz *don* do mojego imienia, naśladując w tém mieszczan hiszpańskich, którzy bez żadnych zachodów przybiérają ten przedimek honorowy, skoro się ujrzą po za granicami swojego kraju. Kazałem się więc bezczelnie mianować don Raphael; a żem przywiózł z sobą z Algieru, czembym godnie mógł utrzymywać moje szlachectwo, wystąpiłem więc świetnie na dworze. Młoda szlachta do któréj stary Azarini pisał za mną, rozgłaszali wszędzie, że byłem człowiekiem znakomitego rodu; tak dalece, że ich świadectwo i mój sposób obejścia się, przekonał wszystkich o mojém wysokiém znaczeniu. Wszrubowałem się wkrótce do wielkich panów, którzy mnie przedstawili księciu. Miałem szczęście podobać mu się. Odtąd ustawnie snułem się przed oczyma księcia, starając się zbadać jego usposobienie. Bacznie przysłuchiwałem się rozmowom najstarszych dworaków, a z tych wnosiłem o jego skłonnościach. Uważałem że lubi żarty, dowcipne powiastki i wyrażenia. Do tego się stosowałem. Codziennie rano spisywałem na kartkach historyjki, które miałem mu w ciągu dnia opowiadać. Umiałem ich mnóstwo na pamięć; miałem ich że tak powiém, pełną torbę. Ztém wszystkiém, mimo oszczędność, zapas mój przecie coraz się zmniejszał, tak dalece, że byłbym się ujrzał zmuszonym do powtarzania się, albo do pokazania, że mi się urwały moje powiastki, gdyby geniusz mój, płodny w wynajdywaniu, nie był mi nowego dostarczył zasobu; ale ja układałem powiastki zalotne i komiczne, które bardzo bawiły księcia; i co się często zdarza dowcipnym ludziom z powołania, rano spisywałem w książeczce dowcipy, które po południu, udawałem księciu, jakby z natchnienia wyrzeczone.

Dźwignąłem się nawet na poetę, poświęcając muzę moją na pochwały księcia. Zgadzam się szczérze, że wiérsze moje nie były dobre, dla tego téż nie krytykowano ich wcale; gdyby wszakże były najlepsze, wątpię aby je książę miléj przyjął. Zdawał się z nich bardzo zadowolony. Być może, iż przedmiot nie pozwalał upatrywać w nich usterków. Cóżkolwiek bądź, powoli tak podobałem się księciu, iż to obudziło zawiść dworaków. Usiłowali dociec moje pochodzenie, ale nie mogli tego dokazać. Dowiedzieli się jedynie, że byłem renegatem, i nie zaniedbali tego objawić księciu w nadziei zaszkodzenia mi. Ale i tego nie dokazali; owszém, książę pewnego dnia kazał mi opowiedzieć szczérze podróż moją do Algieru. Spełniłem jego rozkaz, a przygody moje, których wcale nie taiłem, mocno go ubawiły.

— Don Raphael, rzekł mi po skończeniu mojego opowiadania, czuję do ciebie przywiązanie, i chcę ci okazać dowód taki, iżbyś nie mógł powątpiéwać o rzeczywistości mojego oświadczenia. Mianuję cię powiernikiem moich tajników, i na zadatek mojego zaufania objawiam ci, że kocham żonę jednego z moich ministrów. Kobieta najmilsza z całego dworu mojego, ale zarazem najcnotliwsza.

Nie chcę przeszywać serca tego nieszczęśliwego małżonka, oświadczając się jawnie kochankiem jego żony. Chciałbym, aby nigdy, jeżeli to być może, nie poczuł tego ognia, który mnie trawi; bo jestem przekonany, żeby skonał z żalu, gdyby się domyślił o tém zwierzeniu się, jakie ci w téj chwili robię. Taję więc moje kroki, i postanowiłem użyć ciebie, dla wynurzenia Lukrecyi całego udręczenia, jaki mi sprawia przymus, który sobie zadaję. Będziesz tłumaczem moich uczuć. Wejdź

w stosunki z Mascarinim; staraj się o pozyskanie jego przyjaźni, wciśnij się do jego domu, postaraj się o swobodną rozmowę z jego żoną. Nie wątpię, że się doskonale wywiążesz z tego polecenia. Tego właśnie oczekuję po tobie, i mam nadzieję, że spełnisz to tak zręcznie i ostrożnie, jak tego wymaga obowiązek tyle drażliwy.

Przyrzekłem księciu wszelkiego przyłożyć starania, by odpowiedzieć jego zaufaniu i przyłożyć się do jego szczęścia. Wkrótce dotrzymałem słowa. Nie szczędziłem niczego, by się przypodobać Mascariniemu, i bez wielkich trudów dopiąłem swojego zamiaru. Uradowany, że człowiek zaszczycony łaską księcia, stara się o jego przyjaźń, sam do mnie wyciągnął ręce. Dom jego był dla mnie otwarty, zyskałem wolny przystęp do żony, i mogę śmiało zaręczyć, że tak się doskonale ułożyłem, iż nie miał najmniejszego podejrzenia o układach, jakie miałem sobie poruczone. Prawda, że jak na włocha, wcale nie był zazdrosny, tak dalece ufał cnocie Lukrecyi, iż często zamykał się w swoim gabinecie, mnie zostawiając sam na sam z żoną. Zrazu gładko rzecz prowadziłem. Rozmawiałem z nią o miłości księcia, oświadczając, że przychodzę do niéj jedynie, aby jéj mówić o księciu. Nie zdawała mi się być nim zajętą, próżność atoli nie pozwalała jéj gardzić jego wzdychaniem. Z upodobaniem słuchała o nim, nic nie odpowiadając. Była bardzo cnotliwą, ale przy tém, kobietą; miarkowałem, że cnota jéj nieznacznie ustępowała przed dumném wyobrażeniem, widzieć wszechwładnego księcia w więzach swoich. Przypadek wszakże, którego się najmniéj mógł spodziewać, zniszczył jego nadzieje, jak się tego zaraz dowiecie.

Z natury jestem śmiały do kobiét; zaciągnąłem ten nałóg, zły czy dobry, u Turków. Lukrecya była piękna. Zapomniałem, że miałem być tylko posłannikiem, zacząłem działać na własny rachunek. Ofiarowałem moje usługi téj pani najuprzejmiéj, jak tylko mogłem. Zamiast okazać się urażoną moją śmiałością i odpowiedzieć z gniewem, ona rzekła uśmiéchając się:—Przyznaj Don Raphaelu, że książę wybrał pośrednika bardzo wiernego i bardzo gorliwego! Usługujesz mu ze szczerością godną uwielbienia.—Pani, odpowiedziałem w tymże tonie, nie rozbierajmy rzeczy tak ściśle. Porzućmy, proszę cię, te uwagi, wiém, że nie są na moję korzyść, ale ja spuszczam się zupełnie na moje uczucie. A wreszcie nie sądzę, abym był pierwszym z powierników, którzy zdradzają swoich panów w przedmiocie zalotów. Wielcy panowie bardzo często w posłannikach swoich, znajdują niebezpiecznych spółzawodników. — To być może, odpowiedziała Lukrecya, lecz ja nadto jestem dumna; jeżeli nie książę, nikt inny wzruszyć mnie nie potrafi. Zastosuj się do tego, mówiła daléj, przybrawszy ton poważny, zacznijmy o czém innem. Chcę zapomnieć o twojej rozmowie, pod warunkiem, że się wstrzymasz na zawsze od podobnych wyrażeń, inaczéj możesz tego żałować.

Chociaż to była przestroga dla czytelnika, z któréj powinienbym był korzystać, a jednak ja nie przestawałem wynurzać mojéj miłości żonie Mascariniego; owszém, z tém większym zapałem nalegałem, by odpowiedziała mojéj namiętności, i dość byłem płochy pozwolić sobie nieco więcéj śmiałości. Wtedy pani ta oburzona mową moją i wzięciem się muzułmańskiém, wbrew zerwała ze mną. Pogroziła mi zawiadomieniem księcia o mojém zuchwalstwie, zapewniając, że go prosić będzie, aby mnie ukarał, jak na to zasługuję. Przebodły mnie te pogróżki. Nienawiść zajęła w sercu mojém miejsce miłości; postanowiłem zemścić się za wzgardę przez Lukrecyą objawioną. Udałem się do jéj męża, i zobowiązawszy go do zaprzysiężenia, że mnie nie narazi, zawiadomiłem go o stosunkach jego żony z księciem, nie zaniedbując wystawić ją szalenie w nim rozkochaną, a to dla większego interesu sceny. Minister dla zapobieżenia jakiemubądź przypadkowi, nie wdając się w żadne formy postępowania, zamknął ściśle żonę swoją w tajnych pokojach, i otoczył ją strażą wiernych ludzi. Gdy tak otoczona argusami, nie mogła żadną miarą dać znać o sobie księciu, ja z miną smutną doniosłem mu, iż nie powinien już myśléć o Lukrecyi; dodałem, że Mascarini odkrył wszystko bezwątpienia, gdy tak czuwa nad swoją żoną; że nie wiem coby mu dało powód do podejrzenia względem mnie, tembardziéj, gdym się zawsze z największą brał do rzeczy ostrożnością, chyba że może ta pani sama wyznała wszystko mężowi, i w zmowie z nim, kazała się zamknąć, aby uniknąć zabiegów niepokojących jéj cnotę. Książę zdał się mocno przejęty mojém sprawozdaniem. Rozrzewniła mnie boleść jego, i nie raz żałowałem tego com zrobił, ale już po czasie. Prócz tego, przyznam się, czułem złośliwą radość, skorom sobie wystawił stan, do jakiego przywiodłem tę dumną panią, która wzgardziła mojemi uczuciami.

Kosztowałem bezkarnie słodyczy zemsty, która wszystkim jest tak miła, a szczególniéj téż Hiszpanom. Gdy pewnego dnia książę będąc otoczony orszakiem pięciu czy sześciu panów swojego dworu, kiedy i ja byłem obecny, odezwał się:—Jakby téż według waszego sądu, należało ukarać człowieka, który nadużywając zaufania swojego księcia, chciał mu wydrzéć kochankę?—Trzebaby go, rzekł jeden z dworaków, końmi rozszarpać. Drugi był zdania, że go kijmi na śmierć zbić należy.



Gil Blas przedstawiony księciu Lerma.

Najlitościwszy z tych włochów, który najłagodniéj wyrokował przeciw winowajcy, rzekł, żeby poprzestał na strąceniu go z wysokiéj wieży na głowę.—A don Raphael, dodał książę, jakiego też jest zdania? Zdaje mi się, że Hiszpanie muszą być nie mniéj surowymi jak Włosi w podobnego rodzaju wykroczeniach.

Pojąłem bardzo dobrze, jak się łatwo domyślacie, że Mascarini złamał przysięgę, albo żona jego znalazła sposobność zawiadomienia księcia o tém, co zaszło między nami. Nie trudno było wyczytać z mojéj twarzy pomięszanie, które mną miotało. Mimo to wszakże, odpowiedziałem księciu śmiało:—Hiszpanie są daleko szlachetniejsi; przebaczyliby w podobnym razie powiernikowi, a tą dobrocią obudziliby w sercu jego zgryzotę nieustanną z dopełnionéj zdrady. — Zgoda na to, rzekł książę, i ja także czuję się zdolnym do okazania takiéj szlachetności; przebaczam zdrajcy; bo właściwie biorąc, sam sobie winę przypisywać muszę, żem zaufał człowiekowi, którego nie znałem dobrze, a którego po tém, co mi o nim mówiono, wystrzegać mi się należało. Don Raphaelu, dodał jeszcze, otóż to takim sposobem chcę się zemścić nad tobą. Opuszczaj niezwłocznie moje państwo i nie waż mi się więcéj pokazywać

na oczy! Oddaliłem się natychmiast, nietyle zasmucony niełaską, jak uradowany, że tak tanim kosztem pozbyłem się wszystkiego. Nazajutrz wsiadłem na okręt barceloński, który odbijał z portu liworneńskiego, wracając do swojéj ojczyzny.

W tém miejscu przerwałem don Raphaelowi.—Jak na człowieka przebiegłego, rzekłem mu, popełniłeś zdaniem moim wielki błąd, żeś nie opuścił Florencyi, zaraz po odkryciu Mascariniemu miłostek księcia z jego żoną. Powinieneś był łatwo przypuszczać, że książę wykryje twoję zdradę.—Prawda, odpowiedział syn Lucyndy, dla tego też, mimo zapewnień ministra, że mnie nie zechce wystawiać na zemstę księcia, zamierzałem wymknąć się jak najprędzéj.

Przybyłem do Barcelony, z resztą skarbów zebranych w Algierze, większą bowiem część ich straciłem we Florencyi, udając szlachcica hiszpańskiego. Nie długo bawiłem w Katalonii, pałałem żądzą oglądania Madrytu, czarownego miejsca mojego urodzenia, jak tylko więc mogłem najprędzéj, zaspokoiłem moje pragnienie. Przybywszy do stolicy, zająłem tra-fem mieszkanie w hotelu umeblowanym, w którym mieszkała Kamilla. Chociaż już dawno wyszła z małoletności, nie mniéj jednak była powabną; świadczę się panem Gil Blas, który ją prawie w tym samym czasie widział w Valladolidzie. Dodać atoli trzeba, że więcéj jeszcze miała dowcipu, niż piękności; nigdy awanturnica nie umiała z takim talentem nęcić głupców. Wcale atoli nie była podobną do tych zalotnic, które korzystają z wdzięczności kochanków. Jeżeli się jéj udało podskubywać jakiego poborcę, dzieliła się zaraz jego łupami, z piérwszym lepszym kawalerem z szulerni, który jéj się podobał.

Pokochaliśmy się oboje z piérwszego wejrzenia, a zgodność naszych skłonności, tak nas ściśle skrępowała, że wnet zawarliśmy spólnictwo wszelkiego mienia. Oboje wprawdzie niewieleśmy mieli, wkrótce się więc wszystko spożyło. Na nieszczęście nie myśliliśmy zrazu jak tylko o wzajemném przypodobaniu się sobie, nie korzystając wcale z usposobień, jakieśmy oboje posiadali, żyć kosztem cudzym. Nędza wreszcie obudziła nasze talenta, które roskosz w odrętwienie wprawiła. — Mój kochany Raphaelu, mówiła raz do mnie Kamilla, zmieńmy sposób życia mój przyjacielu! porzućmy wierność, która nas niszczy. Ty możesz zawrócić głowę jakiéj bogatéj wdowie, ja mogę zaczarować jakiego starego pana: jeżeli dłużéj będziemy sobie wzajemnie wierni, szczęście dwóch osób chybione! — Piękna Kamillo, odpowiedziałem, uprzedzasz mnie, tylko co miałem ci toż samo przedstawić. Zgadzam się na to, moje bóztwo! Aby tém lepiéj utrzymać naszą wzajemną miłość, postarajmy się o korzystne zdobycze. Złamanie wiary, jakiego się względem siebie dopuścimy, stanie się tryumfem na korzyść naszą.

Po zawarciu takiéj umowy, ruszyliśmy na wyprawę. Zaraz z początku zaczęliśmy się mocno krzątać, nie mogąc spotkać czegośmy szukali. Kamilla natrafiała na samych elegantów, ma się rozumieć kochanków nie mających ani szeląga; a ja na kobiéty, które wolały same brać, ale nie płacić. Ponieważ miłość nie chciała opatrywać naszych potrzeb, musieliśmy się uciec do oszustw. Spełniliśmy ich tyle i tak ważnych, że pan korregidor o nich posłyszał, a że to był sędzia djabelnie surowy, polecił więc jednemu z algazilów aby nas pojmał; lecz algazil równie zacny, jak korregidor niegodziwy, zostawił nam dosyć czasu do wydalenia się z Madrytu, a to za małą kwotę, którąśmy mu wręczyli. Udaliśmy się do Valladolid i tam osiedliśmy. Najęłem dom, w którym mieszkałem z Kamillą, udając ją za siostrę, a to z obawy zgorszenia. Naprzód trzymaliśmy nasz przemysł na wodzy, rozpoznawaliśmy piérwéj pole niemeśmy się odważyli na jakieś przedsięwzięcie.

Pewnego dnia spotkałem na ulicy człowieka, który przywitawszy mnie bardzo grzecznie, rzekł:—Don Raphaelu, poznajeszże mnie?—Odpowiedziałem mu że nie.—A ja pamiętam cię bardzo dobrze, mówił mi. Widziałem cię na dworze toskańskim, będąc wtenczas gwardzistą Wielkiego księcia. Przed kilką miesiącami opuściłem służbę księcia. Przybyłem do Hiszpanii z Włochem najprzebieglejszym: jesteśmy w Valladolidzie od trzech tygodni. Mieszkamy razem z jednym Kastylianinem i jednym Galicyanem, są to bez zaprzeczenia dwaj uczciwe chłopcy. Żyjemy razem z pracy rąk naszych. Mamy stół wyborny, bawimy się jak książęta. Jeżelibyś się połączył z nami, przyjęlibyśmy cię bardzo mile; bo uważałem cię zawsze za zgrabnego człowieka, z natury nie bardzo skrupulatnego, i do naszego zakonu wtajemniczonego.

Otwartość tego oszusta wywołała podobnąż z mojéj strony. —Ponieważ mówisz ze mną w szczerości serca, odezwałem się do niego, zasługujesz abym i ja z tobą podobnież postąpił. W istocie nie jestem ja nowicyuszem w waszém powołaniu: a gdyby skromność pozwalała mi opowiedzieć wam moje wyprawy, ujrzelibyście, że wyrok wasz o mnie nie był zanadto pochlebny; ale zostawmy pochwały, powiém wam tylko, przyjmując ofiarowane mi miejsce w waszém towarzystwie, że nie zaniedbam niczego, aby wam dowieść, że godny tego jestem. Zaledwie oświadczyłem temu frantowi że przyjmuję miejsce w ich towarzystwie, gdy w téj chwili zaprowadził mnie do nich i tam zapoznałem się ze wszystkiemi. W tém miejscu po raz piérwszy ujrzałem szanownego Ambroise de Lamela. Ci panowie zaczęli mnie wypytywać się o sztukę przywłaszczania sobie zręcznie cudzéj własności. Chcieli dowiedzieć się, czy też znam główne zasady; ale pokazałem kilka nieznanych im figlów, nad któremi się zdumieli. Tém więcéj zdziwili się, gdy lekce ważąc zgrabność ręki, jako rzecz nadto już pospolitą, powiedziałem im, że wybornie się znam na oszustwach dowcipu wymagających. Na przekonanie opowiedziałem im awanturę Hieronima de Moyadas; z saméj téj prostéj powieści przyznali mi geniusz wyższy i jednozgodnie okrzyknęli mnie swoim naczelnikiem. Wybór ich usprawiedliwiłem niezliczonemi szalbierstwy, którycheśmy spólnie dokonali, lecz ja byłem rzeczywiście trzpieniem, około którego wszystko się obracało. Jeżeli nam trzeba było aktorki do pomocy, używaliśmy Kamilli, która do zachwycenia odgrywała wszelkie role.

Około tego czasu spółtowarzysz nasz Ambroży powziął chętkę odwiedzenia swojéj ojczyzny. Udał się do Galicyi, zapewniając nas o swoim rychłym powrocie. Zaspokoił swoją żądzę: wracając zaś wstąpił do Burgos dla korzystania ze swojéj zręczności: znajomy mu właściciel hotelu nastręczył go do służby pana Gil Blasa de Santillana, nie zaniedbując go oświecić o sprawach tego pana. —Panie Gil Blas, zwracając do mnie mowę, dodał, pamiętasz zapewne jakim sposobem oskubaliśmy cię w Valladolidzie, i nie wątpię, żeś się domyślał, iż Ambroży głównym był narzędziem tego rabunku, a miałeś w tém słuszność. Wróciwszy przyszedł do nas, przedstawił nam twój stan, a panowie przedsiębiercy ułożyli się natychmiast. Ale nie wiész skutków tego zdarzenia: otóż ci powiém. Ja z Ambrożym zabraliśmy twój kuferek, a wsiadłszy na twoje muły ruszyliśmy do Madrytu, nie troszcząc się o Kamillę, ani o towarzyszów, którzy zapewne nie mniéj, jak ty zdziwili się nie ujrzawszy nas nazajutrz.

Drugiego dnia podróży zmieniliśmy zamiar. Zamiast zdążać do Madrytu, zkąd nie bez przyczyny oddaliłem się, przejechaliśmy przez Zebreros i zwróciliśmy drogę do Toledu. Najpiérwszém naszém staraniem było ubrać się należycie; poczém udając się za braci Galicyan podróżujących przez ciekawość, zaznajomiliśmy się z bardzo uczciwymi ludźmi. Ja tak dalece przyzwyczaiłem się do udawania człowieka znakomitego, iż każdy łatwo się oszukał; a że najłatwiéj olśnić każdego rozrzutnością, i my więc rzuciliśmy piaskiem w oczy wszystkim, wyprawiając świetne uczty damom. Pomiędzy kobiétami, które widywałem, jedna zajęła mnie szczególniéj. Zdawała mi się piękniejszą od Kamilli, a była młodsza od niéj. Chciałem się dowiedzieć coby to była za jedna: powiedziano mi, że się zowie Violanta: że zaślubiła pewnego kawalera, który znudzony jéj pieszczotami, uganiał się za nierządnicą, w któréj się zakochał. Nie potrzebowałem więcéj objaśnień, aby Violantę wybrać sobie za władczynię mojego serca.

Violanta wnet spostrzegła swoje zwycięztwo. Chodziłem ślad w ślad za nią i przez rozmaite wybiegi starałem się prze-

konać, że niczego więcéj nie pragnę, tylko pocieszać ją z powodu niewierności jéj męża. Piękność moja zaczęła nad tém rozmyślać, i wnet poznałem, że chęci moje zyskały jéj pochwałę. Za pośrednictwem staruszki, które we Włoszech i w Hiszpanii są nadzwyczaj dogodne, odebrałem odpowiedź na jeden z moich biletów, których nie mało popisałem. Pani moja zawiadomiała mnie, że mąż jéj codziennie idzie na wieczerzę do swojéj kochanki i bardzo późno wraca do domu. Zrozumiałem co to ma znaczyć. Téj saméj nocy udałem się pod okna Violanty i zawiązałem z nią cztą bardzo rozmowę. Przed rozłączeniem się, umówiliśmy się, że co noc o téjże godzinie, będziemy mogli się bawić tym samym sposobem, nie uchybiając bynajmniéj zalotom w dzień dozwolonym.

Dotąd don Baltazar, tak się zwał mąż Violanty, nie źle jeszcze na tém wychodził; ale ja chciałem także kochać na dobre; jednego więc wieczoru udałem się pod okna mojéj bogini w zamiarze oświadczenia jéj, że dłużéj żyć nie mogę nie uzyskawszy od niéj widzenia się sam na sam w miejscu stosowniejszém dla mojéj miłości, czego dotąd nie mogłem od niéj pozyskać. Ale zbliżywszy się do jéj domu spostrzegłem człowieka na ulicy, który zdawał się zwracać uwagę na mnie. W istocie był to mąż mojéj lubéj, który wcześniéj jak zwykle, wracając od swojéj nierządnicy, ujrzał mężczyznę w bliskości swojego domu, zamiast więc wejść do niego, przechodził się po ulicy. Zrazu nie wiedziałem co robić. Wreszcie postanowiłem zbliżyć się do don Baltazara, którego nieznałem, i któremu nie byłem znajomy.—Panie kawalerze, rzekłem mu, zostaw mi na tę noc ulicę spokojną, innym razem ja ci tąż samą grzecznością odpłacę.—Panie, odpowiedział mi, tylko co miałem tęż samą prośbę zanieść do cieble: kocham pannę, któréj brat troskliwie strzeże, mieszka zaś o dwadzieścia ztąd kroków. Pragnąłbym, aby nikogo nie było na ulicy.—Na to odpowiedziałem mu, jest sposób zadowolenia nas obudwóch, bez wzajemnéj przeszkody, bo oto tu, pokazując mu dom jego własny, mieszka piękność, któréj się zalecam. Możemy nawet sobie pomagać, jeżeliby który z nas był zaczepiony. —Zgoda na to, rzekł, idę na miejsce umówione, a będziemy się ratować wrazie potrzeby. To rzekłszy, oddalił się, ale dla tego żeby lepiéj na mnie baczyć, do czego mu ciemność nocy pomagała.

Ja w najlepszéj wierze zbliżyłem się do balkonu Violanty; wyszła wkrótce i rozpoczęliśmy gawędkę. Nie przestałem nalegać na moję lubą, aby mi wyznaczyła spotkanie się w miejscu odpowiedniém. Wzdrygała się nieco dla podwyższenia ceny téj łaski, o którą prosiłem: następnie puszczając bilecik wydobyty z kieszeni, odezwała się:—Masz, w tym liście znajdziesz obietnicę rzeczy, któréj tak natrętnie domagasz się. W tém oddaliła się, bo już zbliżała się godzina, o któréj zwykle mąż wracał do domu. Schowałem bilet i zwróciłem się ku miejscu, w którém don Baltazar miał miéć zajęcie. Ten wszakże przekonawszy się, że ja wzdychałem do jego żony, pospieszył naprzeciw mnie i odezwał się:—Panie kawalerze, sprzyjałaś ci fortuna?—Zdaje mi się, że nie mogę narzekać, odpowiedziałem. —A pan jakżeś wyszedł? doznałeśże względów miłości?—Niestety! nie, mówił, ten przeklęty brat mojéj miłéj powrócił ze wsi, a my spodziéwaliśmy się, że tam zabawi do jutra. Ta przekora pozbawiła mnie spodziéwanej rozkoszy.

Złożywszy sobie wzajemne zapewnienia przyjaźni, ułożyliśmy się, że nazajutrz rano zejdziemy się na wielkim placu. Po rozstaniu się naszém, panicz ten wrócił do domu, nie pokazując Violancie, że wié o wszystkiém. Nazajutrz przybył na miejsce umówione, a ja w chwilę po nim nadszedłem. Powitaliśmy się z wynurzeniem przyjaźni równie chytrém z jednéj strony, jak szczérém z drugiéj. Poczém podstępny don Baltazar zwierzył mi się z fałszywą miłością, o któréj mi wczoraj namienił. Opowiedział mi wymyśloną przez siebie długą bajeczkę o swoich zabiegach, a to w celu, aby mnie skłonić do wzajemności, chcąc tym sposobem dowiedzieć się, jakim sposobem poznałem się z Violantą. Wpadłem w sidła, wyjawiłem wszystko z największą szczérością. Co większa, pokazałem mu odebrany od niéj bilecik i przeczytałem z niego następujące wyrazy: „Jutro będę na obiedzie u dony Ines. Wiész gdzie mieszka. W domu téj wiernéj przyjaciołki, będę sam na sam z tobą. Nie mogę ci dłużéj odmawiać téj łaski, na którą zdajesz się zasługiwać."

—No, jestto bilecik, rzekł don Baltazar, który ci zapewnia nagrodę twojego zapału. Winszuję ci naprzód szczęścia, które cię czeka. Mówiąc to, był nieco pomięszany, ale łatwo dosyć ukrył swój kłopot przed mojemi oczyma. Tak dalece miłą odurzony byłem nadzieją, żem najmniejszéj nie zwrócił uwagi na mojego powiernika, który jednak ujrzał się zmuszonym do opuszczenia mnie, aby w końcu nie wydać się ze swojém pomieszaniem. Pobiegł zawiadomić swojego teścia o całéj przygodzie. Nie wiém co tam zaszło między nimi, to tylko powiém, że don Baltazar zapukał do drzwi dony Ines, kiedy właśnie byłem u niéj z Violantą. Dowiedzieliśmy się, że to on był i ja tylnemi drzwiami wymknąłem się piérwéj nim on wszedł. Skoro ja zniknął, kobiéty niespodzianém zjawieniem się męża nieco zmieszane, uspokoiły się i przyjęły go z taką bezczelnością, że wątpił nawet, aby mnie mogły ukryć, lub wypuścić. Nie powiém wam rozmowy z doną Ines i żoną swoją; bo o tém nigdym się nie dowiedział.

Tymczasem niemając najmniejszego podejrzenia, abym miał być igraszką podstępu don Baltazara, wyszedłem złorzecząc mu i udałem się na wielki plac, który oznaczyłem za miejsce spotkania się z Ambrożym de Lamela. Nie zastałem go, bo i on także miał swój interes, lecz hultaj był szczęśliwszym odemnie. Gdym na niego czekał, ujrzałem mojego chytrego powiernika z miną bardzo wesołą. Zbliżył się do mnie i uśmiéchając się, pytał się o moje spotkanie z Inesy.—Nie wiém, rzekłem mu, jakiś zły duch zawistny mojéj rozkoszy, zawsze mi ją skrzyżuje: kiedy właśnie sam będąc z moją nimfą, nalegałem, aby przyspieszyła chwilę mojego szczęścia, mąż jéj zastukał do drzwi, niech mu tego pan Bóg nie pamięta, trzeba więc było myśléć o odwrocie. Wymknąłem się tylnemi drzwiami, polecając wszystkim djabłom natrętnika, który plątał wszystkie moje rachuby. —Żałuję cię szczérze, zawołał don Baltazar, ciesząc się skrycie z mojéj przyszłości. Otożto mąż namolny; radzę ci nieustępować mu placu.—Oh! już ja usłucham twojéj rady, odpowiedziałem i zaręczam ci, że dzisiejszéj nocy honor jego zboczy z drogi. Żona jego, kiedym ją opuszczał, szepnęła mi, abym się tak drobną rzeczą nie zrażał, żebym wcześniéj, jak zwykle przyszedł pod jéj okna, że postanowiła mnie wpuścić do siebie, lecz na wszelki przypadek dobrzeby było, abym przywiódł z sobą dwóch lub trzech przyjacioł, dla zabezpieczenia się od podejścia.—Jakżeto roztropna kobiéta! rzekł, ja sam ci się ofiaruję za towarzysza. —Ah! drogi przyjacielu, zawołałem uradowany, jakżem ci wdzięczny, i zaraz uściskałem go serdecznie. Jeszcze więcéj ci pomogę, dodał, znam młodego człowieka, który jest istnym Cezarem, on niezawodnie należéć będzie do kompanii, a pod taką zasłoną będziesz zupełnie bezpieczny.

Nie wiedziałem co powiedzieć temu nowemu przyjacielowi, by mu należycie podziękować, tak mocno byłem przejęty jego gorliwością, koniec końców, przyjąłem ofiarowaną mi pomoc; i naznaczając sobie punkt zejścia się pod oknami Violanty, skoro się ziemni, rozeszliśmy się. On udał się do swojego szwagra, wyżéj wzmiankowanego Cezara, a ja przechodziłem się po placu z Ambrożym, który chociaż dziwił się téj gorliwości jaką don Baltazar w mojéj sprawie objawiał, ale tak jak ja, niczego złego się nie domyślał. Ze schyloném czołem lecieliśmy w sieć. Przyznaję, że to jest nie do darowania takim ludziom jak ja. Gdy mi się zdało, że czas już stawić się pod oknami Violanty, ruszyliśmy oba z Ambrożym w dobre zbrojni rapiry. Zastaliśmy tam już męża mojéj pani z drugim mężczyzną, którzy na nas śmiało czekali. Don Baltazar zbliżył się do mnie i wskazując na szwagra, rzekł:—Panie, oto jest ten kawaler, którego waleczność chwaliłem niedawno. Wejdź do swojéj kochanki, niech ci nic nie przeszkadza do używania szczęścia, które cię czeka.

Po kilku grzecznych oświadczeniach obustronnych, zapukałem do drzwi Violanty; otworzyła je kobiéta, niby jakaś dozorczyni. Wszedłem, a nie bacząc co się za mną dzieje, pospie-

szyłem do sali, gdzie była moja luba. Kiedym ją witał, dwaj zdrajcy towarzyszący mi, wszedłszy za mną, tak szybko zatrzasnęli drzwi za sobą, że Ambrożego zostawili na ulicy i teraz dopiéro odkryli się. Pojmujecie zapewne, że trzeba było ten orzech zgryźć. Razem obadwa uderzyli na mnie; alem im pokazał sztukę. Obudwóch potrafiłem tak zająć, iż w tym momencie żałować musieli, że się bezpieczniejszego środka zemsty nie czépili. Utopiłem szpadę w piersiach męża, a szwagier ujrzawszy go na ziemi, pierzchnął drzwiami, które dozorczyni i Violanta otworzyły, uchodząc w czasie naszéj walki. Ścigałem go aż na ulicę, gdziem spotkał mojego Lamela, który nie mogąc wydobyć ani słowa od kobiét uciekających, nie wiedział co miał sądzić o wrzawie, jaka się o uszy jego obiła. Wróciliśmy do naszego hotelu. Zebrawszy cośmy mieli najlepszego, siedliśmy na nasze muły i opuściliśmy Toledo jeszcze przede dniem.

Przewidywaliśmy, że ta sprawka może mieć nie najlepsze następstwa, zdało się nam rzeczą najrozsądniejszą uprzedzić śledztwo. Stanęliśmy na noc w Villarubia. Zajęliśmy mieszkanie w hotelu, do którego wkrótce za nami przybył kupiec toledański udający się do Segorbii. Jedliśmy razem wieczerzę. Opowiedział nam smutny przypadek męża Violanty, a tak był daleki od wszelkiego podejrzenia, abyśmy mieli być głównemi uczestnikami w tém zdarzeniu, że śmiało wypytywaliśmy się o rozmaite szczegóły.—Panowie, mówił nam, wyjeżdżając dziś rano, dowiedziałem się o tym nieszczęśliwym przypadku. Szukano wszędzie Violanty: mówiono zaś, że korregidor, krewny don Baltazara, postanowił wszelkich użyć sposobów dla wykrycia sprawcy tego morderstwa. To jest wszystko co wiém.

Nie obchodziło mnie wcale śledztwo korregidora toledańskiego; jednakże zdało mi się rzeczą przyzwoitą jak najspieszniéj uchodzić z Kastylii nowéj. Rozważyłem, że Violanta wynaleziona, opowié wszystko, a w skutek jéj opisu niezawodnie wyszlą za mną pogoń. Dlatego téż następnego dnia przez ostrożność unikaliśmy bitéj drogi. Szczęściem Lamela znał doskonale trzy czwarte Hiszpanii i wiedział dobrze jakiemi manowcami można się dostać do Aragonii. Zamiast wprost zdążać do Cuença, myśmy się rzucili w góry przed miastem leżące. Ścieżkami dobrze znanemi mojemu przewodnikowi, dostaliśmy się do groty, która mi się zdała mieć pozor pustelni. W istocie byłato taż sama, do któréj przybyliście wczoraj wieczór żądając przytułku.

Kiedy ja przyglądałem się okolicy, najpyszniejszy krajobraz przedstawiającéj; towarzysz mój powiedział mi, że przed sześcią laty przechodził tędy, że wówczas ta grota służyła za schronienie staremu pustelnikowi, który go przyjął litościwie. Podzielił się z nim swoimi zapasami.—Przypominam sobie, dodał, że to był święty człowiek, tak do mnie przemówił, że omało mi nie obmierził świata. Może on jeszcze żyje, muszę się wywiedzieć. To mówiąc ciekawy Ambroży zsiadł z muła, i wszedł do pustelni. Zatrzymał się tam przez chwilę, potém wyszedłszy wezwał mnie: —Pójdź don Raphaelu, mówił, pójdź zobaczyć rzecz bardzo tkliwą. Zsiadłem zaraz z muła. Przywiązaliśmy nasze rumaki do drzew, a ja poszedłem za Ambrożym do groty, gdzie ujrzałem na tarczanie starego pustelnika rozciągniętego, bladego i konającego. Broda biała i gęsta, spadała mu aż do pasa, w złożonych ręku trzymał różaniec. Na odgłos naszego stąpania otworzył oczy, które śmierć już zawiérała, a popatrzywszy na nas przez chwilę, odezwał się:—„Ktokolwiek jesteście moi bracia, korzystajcie z przykładu, jaki macie przed oczyma. Cztérdzieści lat przeżyłem na świecie, sześćdziesiąt w téj pustyni. Ah, jakże w tym momencie czas poświęcony na rozkosze zdaje mi się długi, a ten, który przepędziłem na pokucie, tak krótki! Niestety, lękam się, aby surowy żywot brata Jana, nie był dosyć zdolnym do odpokutowania za grzechy licencyata don Juana de Solio."

Ledwie co dokończył tych słów, skonał. Śmierć ta silne na nas zrobiła wrażenie. Takowe obrazy wzruszają największych nawet rozpustników, lecz nie długośmy się rozrzewniali. Wnet zapomnieliśmy o tém, co do nas mówił, zaczęliśmy układać inwentarz tego, cośmy zastali w pustelni. Nie wielkieto było zatrudnienie, wszystkie bowiem ruchomości składały się z tego tylko, coście mogli uważać w grocie. Lecz brat Jan, nie tylko miał skromne bardzo meble, lecz skromniejszą jeszcze kuchnią. W całéj śpiżarni jego, znaleźliśmy tylko trochę orzechów laskowych, i kilka kromek chleba jęczmiennego, tak twardych, że trudno aby starzec mógł je pożuć swojemi dziąsłami. Mówię dziąsłami, bośmy uważali, że mu wszystkie zęby powypadały. Wszystko, co to samotne mieszkanie obejmowało, wszystko na cośmy patrzyli, przekonywało nas, że ten pustelnik był świętym człowiekiem. Jedna tylko rzecz nas uderzyła: otworzyliśmy papiér w kształcie listu złożony, który zostawił na stole; w nim prosił osobę, któréj ten bilet dostanie się do rąk, aby różaniec jego i sandały, doręczyła biskupowi w Cuença. Nie mogliśmy odgadnąć, w jakiéj myśli ten nowy ojciec pustyni, zapragnął złożyć takowy dar swojemu biskupowi; to nam się zdało przeciwne pokorze, sądziliśmy, że w tém widać człowieka, który chce trącić błogosławionym. Może téż w tém była tylko prostota, o czém ja wyrokować nie chcę.

Kiedyśmy tak o tém rozmawiali, Ambrożemu wpadła do głowy myśl dosyć zabawna. — Zostańmy, rzekł, w téj pustelni. Przebierzmy się za pustelników. Pochowajmy brata Jana; ty udasz się za niego, a ja pod imieniem brata Antoniego, udam się na zbieranie jałmużny po miastach i wioskach okolicznych. Naprzód będziemy zabezpieczeni od śledztwa korregidora, bo nie sądzę aby nas tu szukano; powtóre, ja mam w Cuença znajomości, które możemy utrzymywać. Pochwaliłem ten pomysł dziwaczny, nie dla powodów przytoczonych przez Ambrożego, ale przez prostą fantazyą, jakby dla odegrania sztuki teatralnéj. Wykopaliśmy grób niemal o czterdzieści kroków od groty, złożyliśmy w nim skromnie starego pustelnika, rozebrawszy go piérwéj, to jest zdjąwszy mu prostą suknię, rzemiennym pasem związaną. Obstrzygliśmy mu brodę, aby sobie z niéj zrobić fałszywą, i wreszcie po pogrzebie, zajęliśmy pustelnię w posiadanie.

Pierwszego dnia, mieliśmy bardzo skromne jedzenie, bo trzeba było poprzestać na zapasach zmarłego, lecz nazajutrz Lamela przed świtem, wyprawił się do Toralva, gdzie sprzedał muły, i nakupiwszy żywności i innych rzeczy, powrócił wieczorem. Przywiózł z sobą wszystko, co było potrzebném do naszego przebrania. Sam sobie zrobił suknię z grubéj wełnianéj materyi, i krótką, rudą brodę z grzywy końskiéj, którą tak sztucznie przywiązał do uszu, że przysiągłbyś, iż była naturalna. Niéma chłopaka nadeń zręczniejszego. Ufryzował także brodę brata Jana, przyczepił mi ją, a wełniana czapka brunatna, pokrywała cały podstęp. Śmiało rzec można było, iż nic nie brakło do naszego przeobrażenia. Strój nasz był tak zabawny, że spojrzawszy wzajemnie po sobie, wstrzymać się od śmiéchu nie mogliśmy, nie był to bowiem wcale dla nas stosowny ubiór. Wraz z suknią brata Jana, zabrałem jego różaniec i sandały, nie robiąc sobie żadnego skrupułu, żem takiego daru pozbawił biskupa Cuençy.

Już trzy dni przepędziliśmy w pustelni, nie widząc żywéj duszy, lecz czwartego przybyło do groty dwóch włościan; przynieśli chléb, sér i cebulę dla nieboszczyka, rozumiejąc, że jeszcze żyje. Spostrzegłszy ich, rzuciłem się na tarczan, i łatwo ich zwiodłem. Naprzód nie było tak widno w grocie, żeby można było dobrze rozpoznać moje rysy, powtóre naśladowałem ile możności głos brata Jana, którego ostatnie słowa słyszałem. Nie domyślali się bynajmniéj tego szalbierstwa, zdawali się tylko dziwić, że tam drugiego zastali pustelnika; lecz Lamela spostrzegłszy ich zadziwienie, przybrawszy minę świętoszka, odezwał się do nich: — Bracia moi, niech was to nie zastanawia, że mnie widzicie w téj pustelni. Opuściłem moją pustelnię w Aragonii, aby towarzyszyć czcigodnemu i roztropnemu bratu Janowi, który w zgrzybiałości swojéj potrzebuje spólnika, któryby opatrywał jego potrzeby. Włościanie nie mogli się dosyć nachwalić miłości bliźniego w Ambrożym, oświadczając swoje ukontentowanie, że mogą się poszczycić dwiema świętemi osobami w swojéj okolicy.

Lamela wziąwszy na ramię porządne sakwy, o których kupnie nie zapomniał, udał się po raz piérwszy po jałmużnę do

miasta Cuency, o małą milę odległéj. Mając z natury postać pobożną, z któréj przedziwnie korzystać umié, potrafił poruszyć osoby litościwe do obfitéj jałmużny. Szczodrobliwością ich, napchał swoje sakwy.—Mości Ambroży, rzekłem doń za powrotem, winszuję ci szczęśliwego talentu wzruszania dusz chrześciańskich. Dali Bóg! możnaby powiedzieć, żeś był kiedyś kwestarzem. — Eh, ja prócz napchania mojéj sakwy, jeszcze coś innego zrobiłem, odpowiedział. Dowiész się, że odgrzebałem jednę nimfę nazwiskiem Basię, którą kochałem kiedyś. Znalazłem ją bardzo zmienioną; wdała się także jak i my w pobożność. Mieszka z dwiema czy trzema dewotkami, które budują świat publicznie, a gorszą w skrytości. Zrazu mnie nie poznawała.—Jakto, pani Barbaro, rzekłem jéj, czyż podobna, abyś sobie nie przypomniała jednego z dawnych swoich przyjaciół, sługę swojego Ambrożego? — Przebóg! panie de Lamela, zawołała, mogłażem się spodziéwać, oglądać cię w tym ubiorze? Jakimże trafem zostałeś pustelnikiem? — Otóż to właśnie, czego ci w téj chwili opowiedzieć nie mogę, rzekłem jéj. Szczegóły są dosyć długie, ale jutro wieczór przybędę zaspokoić twoją ciekawość. Co większa, przyprowadzę ci mojego towarzysza, brata Jana. — Brata Jana, przerwała mi szybko, tego poczciwego pustelnika, który tu w pobliżu ma swoję pustelnię? Tobie się tak zdaje, a tymczasem mówią, że on ma sto lat. —Prawda, mówiłem jéj, że był w takim wieku, lecz od kilku dni bardzo odmłodniał, teraz nie starszy odemnie. — A więc niech przyjdzie z tobą, odpowiedziała Basia. Domyślam się, że w tém musi być coś tajemniczego.

Nie uchybiliśmy nazajutrz, i skoro mrok zapadł, udaliśmy się do naszych świętoszków, które na nasze przyjęcie, sutą przygotowały wieczerzę. Zaraz odpięliśmy brody, zrzucili ubiory pustelnicze, i bez ogródki pokazaliśmy się tym nimfom, czém byliśmy w istocie. One ze swojéj strony, nie chciały nam być dłużne w szczerości. Prawie całą noc przepędziliśmy przy stole, i dopiéro przed świtem, wróciliśmy do naszéj groty. Nie długo potém, wróciliśmy do nich, czyli raczéj, powtarzaliśmy toż samo przez trzy miesiące, zjadłszy z nimi, przeszło dwie trzecie naszéj gotowizny. W końcu jakiś zazdrośnik odkrył wszystko, i zawiadomił o tém sprawiedliwość, która dziś ma się udać do pustelni, by nas pojmać. Wczoraj Ambroży zbiérając jałmużnę w mieście, spotkał jednę z naszych dewotek, która mu oddała bilet, mówiąc:— Jedna z moich przyjaciołek pisze do mnie list ten, który miałam wam posłać przez umyślnego; pokaż go bratu Janowi, i pomyślcie o środkach ostrożności. To właśnie był ten bilet, który Lamela wręczył mi w obliczu waszém, i który nas zmusił do tak nagłego opuszczenia naszéj pustelni.

Rozdział II.

O przygodzie Raphaela i jego towarzyszów przy wyjściu z lasu.

Gdy don Raphael skończył swoje opowiadanie, które mi się zdało za długie, don Alphons przez grzeczność oświadczył, iż mu się bardzo podobało. Poczém pan Ambroży zabrał mowę, a obracając się do towarzysza swoich wypraw, don Raphaela, rzekł mu:—Pamiętaj, że słońce zachodzi. Zdaje mi się, że właśnie należałoby się naradzić co mamy robić. Bardzo słusznie, odpowiedział mu towarzysz, trzeba oznaczyć dokąd się udać mamy. — Co do mnie, mówił Lamela, jestem zdania, abyśmy niezwłocznie ruszyli w drogę, i téj jeszcze nocy, stanęli w Requena, a jutro dostaniemy się do królestwa Walencyi, gdzie możemy wolny dać popęd naszemu przemysłowi. Mam przeczucie, że tam niezłe zrobimy interesa. Towarzysz jego, który pod tym względem wierzył w nieomylność jego przeczuć, zgodził się na jego zdanie. Ja z don Alfonsem będąc na łasce tych uczciwych ludzi, czekaliśmy w milczeniu wypadku ich narady.

Stanęło więc, że się udamy drogą do Requena, i zaczęliśmy się do tego szykować. Wyprawiliśmy sobie bankiet podobny rannemu, poczém resztę zapasów i szawłok z winem wtroczyliśmy na konia. Nadeszła noc darząca nas ciemnością, tak potrzebną do naszéj podróży, wybieraliśmy się opuścić las, gdy zaledwie sto kroków uszedłszy, spostrzegliśmy między gałęziami drzew światło, które nam wiele do myślenia dało. —Co to może znaczyć? ozwał się don Raphael, nie byłyżby to wyżły sprawiedliwości, które zwęszywszy nasz ślad, czując nas w tym lesie, przyszły nas tu tropić? — Ja temu nie wierzę, rzekł Ambroży, to muszą być raczéj podróżni. Noc ich zaskoczyła, zboczyli do lasu, by czekać dnia. Ale może się mylę, dodał zaraz, pójdę rozpoznać co to jest. Zostańcie tu wszyscy trzéj, ja za chwilę powrócę. To rzekłszy, postąpił ku światłu niezbyt oddalonemu; zbliża się z ostróżnością lisa, cichuteńko, odsuwa liście i gałęzie zawadzające mu w drodze, i przygląda się z natężoną uwagą, jakiéj rzecz wymagać się zdaje. Ujrzał na trawie około świécy, w grupie ziemi utkwionéj, cztérech ludzi, którzy dojadali pasztetu, i dopijali wina z szawłoka, całując go po kolei. Prócz tego zobaczył o kilka kroków ztamtąd, mężczyznę i kobiétę przywiązanych do drzew, a trochę daléj powóz z dwoma mułami w kosztownych szorach. Zaraz osądził, że ludzie siedzący muszą być złodzieje, a rozmowa ich, którą posłyszał, utwierdziła go w mniemaniu, że go domysły nie zawodziły. Czteréj zbóje objawiali równą żądzę posiadania téj kobiéty, która się w ich ręce dostała, mówili, że ją chcą ciągnąć na losy. Lamela przeświadczony o tém co by to było, wrócił do nas, zdając szczéry raport o tém, co widział i co słyszał.

—Panowie, przemówił wtedy Alphons, ta kobiéta i ten mężczyzna, których złodzieje do drzew poprzywiązywali, mogą być ludźmi znakomitego rodu; pozwolimyż my, aby mieli być ofiarą barbarzyństwa i zwierzęcości tych zbójców? Usłuchajcie mnie, uderzmy na nich, niech legną pod naszemi ciosami.—Zgoda na to, rzekł don Raphael, ja nie mniéj skory jestem do spełnienia dobrego, jak i złego czynu. Ambroży ze swojéj strony dodał, że i on nie mniéj pragnie przyłożyć się do dzieła tak chwalebnego, przewidując jak mówił, że będzie sowicie zapłacone. Ja muszę powiedzieć, że niebezpieczeństwo nie trwożyło mnie bynajmniéj, ze wszystkich rycerzy błędnych, ja może najpochopniejszy byłem na obronę dziewic. Ale żeby nie mijając się z prawdą, powiedzieć rzeczy jak były w istocie, niebezpieczeństwa wielkiego nie było; bo gdy Lamela powiedział, że broń zbójców leżała na kupie o kilka kroków od nich, nie trudno więc nam było spełnić nasze przedsięwzięcie. Przywiązaliśmy konia do drzewa, a sami cichuteńko zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie rabusie siedzieli. Rozmawiali między sobą z wielkim zapałem, a ta ich wrzawa ułatwiała nam podejście. Opanowaliśmy ich broń pierwéj nim się spostrzegli, a następnie przyłożywszy broń do piersi, wystrzałem wszystkich położyliśmy trupem.

Wśród tego natarcia, świéca zgasła, a my zostaliśmy w ciemności. Mimo to odwiązaliśmy zaraz kobiétę i mężczyznę, którzy tak byli strachem przejęci, iż nie mieli nawet ani przytomności, ani siły, żeby nam za tę przysługę podziękować. Prawda i to, że w téj chwili nie mogli wiedzieć, czy nas mają uważać za swoich zbawców, czy téż za nowych bandytów, którzy ich odbijają tamtym, ale nie dla tego, żeby się z nimi lepiéj obeszli. Lecz staraliśmy się ich uspokoić, zapewniając, że ich odprowadzimy do najpiérwszego hotelu, jak Ambroży utrzymywał, o pół mili ztąd odległego, w którym mogą przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, by się dostać bezpiecznie do miejsca, do którego dążą. Po takowém zapewnieniu, któremu zdawali się wierzyć, wsadziliśmy ich do powozu, i wyprowadziliśmy powoli z lasu, prowadząc muły za cugle. Nasi pustelnicy przetrząsnęli potem kieszenie poległych; zabraliśmy konia don Alphonsa i złodziejskie, które były przywiązane do drzewa, tuż przy placu boju. Uprowadzając z sobą wszystkie te konie, towarzyszyliśmy bratu Antoniemu, który siadłszy na kozioł, powodował mułami do owego hotelu, w którym jednak ledwie we dwie godzin stanęliśmy, mimo zapewnienia o niewielkiéj od lasu odległości.

Zaczęliśmy ostro kołatać do drzwi. Wszyscy już w całym domu spali. Gospodarz i gospodyni zerwali się spiesznie i wcale się nie gniewali, za przerwanie im snu, spodziewając się więc-

kszéj korzyści, aniżeli ją w istocie odnieśli. W jednéj chwili cały hotel został oświetlony. Don Alphons i dostojny syn Lucyndy, podali ręce panu i pani pomagając im do wysiadania z powozu; przewodniczyli im nawet aż do pokoju, do którego gospodarz prowadził. Nagadano sobie wzajemnie bardzo wiele grzeczności, lecz nie mało zdziwiliśmy się dowiedziawszy się, że to właśnie był hrabia Polan i Serafina jego córka, których wybawiliśmy. Niepodobna wyrazić zdumienia téj pani i don Alphonsa skoro się oboje poznali. Hrabia nie zważał tego, będąc czém innem zajęty. Zaczął nam opowiadać jakim sposobem złodzieje uderzyli na niego, jak pojmali go i córkę, zabiwszy pocztyliona, pazia i szatnego. Skończył oświadczeniem, że mocno czuje co nam jest winiem, że gdybyśmy go chcieli odwiedzić w Toledzie, do którego za miesiąc wróci, tam potrafiemy ocenić czy umié być wdzięcznym.

Córka tego pana nie zaniedbała także złożyć nam podziękowania za szczęśliwe wyswobodzenie, a żeśmy obadwa z Raphaelem pomiarkowali, jak wielką sprawimy przyjemność don Alphonsowi nastręczając mu sposobność pomówienia przez chwilę z młodą wdową, zawiązaliśmy rozmowę z hrabią Polan.—Nadobna Serafino, rzekł z cicha don Alphons, odtąd nie będę utyskiwał na los, który mnie zmusza być jako wyrzutek społeczności cywilnéj, ponieważ miałem szczęście przyłożyć się także do wyświadczenia ci tak ważnéj przysługi.—Jak to! odpowiedziała z westchnieniem, tyś mi ocalił życie i honor! tobie ja i ojciec mój tyle winniśmy wdzięczności! — Ah! don Alphonsie, dlaczegożeś ty zabił mojego brata! Ani słowa więcéj nie rzekła; lecz z tego co powiedziała, a bardziéj jeszcze z tonu jakim mówiła, powziął przekonanie, że jeżeli szalenie kochał Serafinę, nie mniéj od niéj był kochanym.

KSIĘGA SZÓSTA.

Rozdział I.

Co Gil Blas i jego towarzysze przedsięwzieli opuściwszy hrabiego Polan.

Hrabia Polan strawiwszy połowę nocy na dziękczynieniach i oświadczeniach wdzięczności, wezwał gospodarza, aby się naradzić nad sposobem najpewniejszym dostania się do Tunis, dokąd udać się zamierzał. Zostawiliśmy tego pana by się mógł swobodnie namyślać, nad środkami w tym względzie. Opuściliśmy potém hotel, udając się drogą, którą Lamela wybrał.

Po dwugodzinnéj wędrówce dzień nas zaskoczył w Campillo. Dostaliśmy się szybko do lasu między tém miasteczkiem i Requeną. Przepędziliśmy tam dzień cały, spoczywając, i rachując nasze pieniężne zasoby, które znacznie pomnożone zostały zdobytemi na złodziejach pieniędzmi; znaleziono bowiem w ich kieszeniach przeszło trzysta luidorów w różnéj monecie. Za nadejściem nocy puściliśmy się w dalszą drogę i nazajutrz stanęliśmy na ziemi walencyjskiego królestwa. Schroniliśmy się do pierwszego lepszego lasu, który się nam nastręczył; zapuszczając się w głąb jego natrafiliśmy, na miejsce gdzie płynął strumień czystéj jak kryształ wody, szemrząc po kamykach, i zwolna dążąc do połączenia się z wodami Gwadalawiaru, cień rozłożystych drzew, gęsta trawa obfitą dla koni obiecująca paszę, byłyby nas skłoniły do zatrzymania się, w tém miejscu i gdybyśmy nawet pierwéj nie powzięli tego zamiaru. Nie myśliliśmy więc iść daléj.

Zsiedliśmy z koni zabierając się do przyjemnego przepędzenia dnia, lecz zabrawszy się do śniadania, spostrzegliśmy, że nam bardzo mało zostało żywności. Chleba już zabrakło, a szawłok był ciałem bez duszy.—Panowie rzekł Ambroży, najczarowniejsze schronienie traci ponętę, gdy nie ma Bachusa i Cerery. Jestem tego zdania, ażebyśmy dziś odnowili nasze zapasy. Ja w tym celu udam się do Xelva. Jestto dość piękne miasto o dwie milki ztąd. Wnet odbędę tę podróż. To mówiąc wtroczył na konia sakwy, i szawłok i wyjechał z lasu, z taką szybkością, że można było spodziewać się rychłego powrotu.

W téj nadziei wyglądaliśmy go co moment, on jednak nie wracał. Już pół dnia przeszło, noc wreszcie czarnemi skrzydłami poczęła osłaniać drzewa, gdyśmy dopiéro ujrzeli naszego szafarza, którego spóźnienie się zaczęło nas niepokoić. Za to przewyższył on nasze oczekiwanie, wróciwszy obładowany massą sprawunków. Przywiózł nietylko szawłok pełny wybornego wina, i sakwy napchane chlebem i rozmaitą zwierzyną pieczoną, ale nadto miał na koniu wielką pakę jakichsiś rzeczy, któréj pilnie przyglądaliśmy się. Spostrzegł to, i uśmiéchając się rzekł:—panowie, przyglądacie się tym rzeczom z podziwieniem, nie mam wam tego za złe, ponieważ nie wiécie na co je poskupowałem w Xelva. Pozwalam odgadnąć to don Raphaelowi, a nawet całemu światu. To mówiąc rozwiązał pakę, aby nam pokazać w szczegółach, nad czém zastanawialiśmy się w całości. Pokazał nam płaszcz i czarną suknię bardzo długą, dwa kaftany wraz ze spodniami, tekę do pisania z dwóch sztuk połączonych sznurkiem, w któréj kałamarz mógł się wyjmowyć z piórnika, librę papiéru białego, kłódkę z wielką pieczęcią i lak zielony, a kiedy już wyłożył wszystkie te rzeczy, don Raphael odezwał się żartobliwie: dalibóg, mości Ambroży, przyznać potrzeba, żeś piękuych rzeczy nakupił. Proszę cię, jaki chcesz z tego zrobić użytek?— Cudowny, odpowiedział Lamela. To wszystko nie więcéj kosztowało mnie jak dziesięć dublonów, a pewny jestem, że zyskamy najmniéj pięćset; możesz na to rachować. Ja nie lubię obładowywać się niepotrzebnemi rupieciami, ażeby wam dowieść, żem nie kupował tego jako półgłówek, powiém wam, że mi wpadł do głowy pomysł, ale to pomysł najgenialniejszy, na jaki się tylko mógł kiedyś zdobyć umysł ludzki. Sami to osądzicie, pewny jestem, iż w zachwycenie wpadniecie dowiedziawszy się o nim. Posłuchajcie mnie.

Nakupiwszy chleba, wszedłem do garnkuchni i kazałem wsadzić na rożen sześć kuropatw, tyleż kurcząt i królików. Gdy to się piecze; wchodzi człowiek zagniewany i skarżąc się głośno na obejście się z sobą pewnego kupca miejskiego, rzekł do kucharza:—Święty Jakóbie, ten Samuel Simon jest w całéj Xelvie najdziwaczniejszym kupcem, znieważył mnie i to w otwartym sklepie. Sknera, nie chciał mi zawierzyć sześciu łokci sukna, a przecie wié, że ja jestem rękodzielnik wypłacalny, że na mnie nic nie straci. Patrzajże, co to za bydlę! Zawierza swój towar panom znakomitym, woli z niemi narażać się, aniżeli zobowiązać uczciwego mieszczanina, bez wystawiania się na stratę. Co za głupstwo! przeklęty żyd! oh, żeby go téż kto załapał! Moje życzenia spełnią się kiedyś, nie jeden kupiec toby mi zaręczył.

Słuchając téj rozmowy rękodzielnika, który więcéj jeszcze nagadał, wzięła mnie chętka zemścić się za niego i wypłatać figla Samuelowi Simon.—Przyjacielu! odezwałem się do tego człowieka utyskującego na kupca, jakiż to jest charakter tego człowieka o którym mówisz? — Bardzo zły charakter, odpowiedział z gniewem. Jestto najchciwszy lichwiarz, chociaż udaje człowieka uczciwego. Jestto żyd który się przemienił w katolika, ale w gruncie serca jest jeszcze żydem jak Piłat, bo mówią, że tylko dla interesu wyrzekł się żydowszczyzny.

Nadstawiałem baczne ucho na całą rozmowę rękodzielnika, a wychodząc z garnkuchni, nie zaniedbałem wywiedzieć się, o mieszkaniu Samuela Simon. Powiadają mi o niém, wskazują. Przebiegam oczyma sklep jego, zastanawiam się nad wszystkiém, a wyobraźnia moja zawsze gotowa na usługi, tworzy szalbierstwo, które rozbieram i zdaje mi się, że godne jest sługi szanownego pana Gil Blasa. Idę zaraz na tandetę, kupuję te suknie, które wam przynoszę: jedna do roli inkwizytora, druga do przedstawienia pisarza, trzecia wreszcie dla udania osoby algazila. Otóż to co zrobiłem moi panowie, a co mój powrót opóźniło.

— Ah mój drogi Ambroży! przerwał w tém miejscu don Raphael, uniesiony radością, cudowny pomysł! przepyszny plan! zazdroszczę ci takiego wynalazku. Poświęciłbym z chęcią część życia mojego za tak szczęśliwy wyskok. Tak jest Lamela, widzę mój przyjacielu wszystkie skarby twojego zamiaru, o wykonanie, nie masz się co troszczyć. Potrzeba ci dwóch aktorów, którzyby ci pomogli: są już gotowi. Ty masz minę świę-

toszka, udasz wybornie inkwizytora, ja przedstawię pisarza; a pan Gil Blas z łaski swojéj przyjmie na siebie osobę algazila. — Otóż widzisz osoby już ułożone, jutro odegramy sztukę, ręczę ci za skutek, byleby nie zaszła jaka przeciwność, która miesza plany najlepiéj ułożone.

Zaledwie jak przeze mgłę pojmowałem plan, który don Raphael tak uwielbiał; lecz przy wieczerzy lepiéj go wyjaśniono i zdał mi się bardzo dowcipny. Sprzątnąwszy połowę zwierzyny, wysuszywszy znacznie nasz szawłok z winem, rozciągnęliśmy się na trawie i wkrótce zasnęli. Ale sen nasz nie był długi, bo nielitościwy Ambroży w godzinę zaraz przerwał go. —Wstawajcie! wstawajcie! wołał jeszcze przed świtem, ludzie którzy mają przed sobą wielką wyprawę, nie powinni być ospałymi.—Ah do kata! panie inkwizytorze, zawołał don Raphael zrywając się równemi nogami, jakżeś ty skory, to nie warto dla pana Samuela Simon.—I ja tak mówię, odpowiedział Lamela. Ale ja wam więcéj powiém, dodał śmiejąc się, śniło mi się téj nocy żem mu wyrywał włosy z brody. Czyż to nie jest niegodziwy sen dla niego mości pisarzu? Za tym żartem poszło wiele innych, które nas w złoty wprawiły humor. Zjedliśmy śniadanie wesoło, po czém zabraliśmy się do naszych ról. Ambroży wdział długą suknię, okrył się płaszczem i tym sposobem miał zupełną postać komisarza świętego oficyum. I my także ubraliśmy się, don Raphael i ja mając niezłe podobieństwo do pisarza i algazila. Niemało czasu odłożyliśmy na to przebranie się, już druga godzina po południu minęła, kiedyśmy wyszli z lasu udając się do Xelva. Nic wprawdzie nas nie nagliło, bo komedyę naszą mieliśmy rozpocząć gdy noc zapadnie. Dlatego też jechaliśmy stępo i zatrzymaliśmy się u bram miasta czekając końca dnia.

Skoro wieczór nadszedł, zostawiliśmy w tém miejscu konie pod strażą don Alfonsa, który się cieszył, że dlań inna nie wypadła rola. Don Raphael, Ambroży i ja udaliśmy się zaraz, ale nie do Samuela Simon, lecz do szynkarza, o dwa kroki od jego domu mieszkającego. Pan inkwizytor szedł naprzód. Przestąpiwszy próg odezwał się poważnie do gospodarza: —Mospanie, chcę z nim pomówić na osobności; mam interes tyczący się służby inkwizycyi, a tém samém bardzo ważny. Gospodarz zaprowadził nas do pokoju, w którym Lamela widząc go samego z nami, rzekł:—Jestem komisarzem świętego oficyum. Na te słowa szynkarz zbladł i drżącym głosem wybąkał, że nie sądzi, aby mógł dać powód świętéj inkwizycyi do użalania się na niego. —Dlatego też, mówił Ambroży z łagodnością, nie jest jéj zamiarem robić ci przykrość. Niech Bóg broni, aby zbyt skora miała mieszać występek z niewinnością! Surowa ona wprawdzie, ale sprawiedliwa; słowem, aby odebrać od niéj karę, trzeba na nią zasłużyć. A zatém nie z twojéj wcale przyczyny przybywam do Xelva, lecz dla pewnego kupca, który się zowie Samuel Simon. O nim i o jego postępowaniu nadesłano nam niekorzystne sprawozdanie. Jak mówią, ma on być zawsze żydem, a chrześciaństwo przyjął jedynie z pobudek czysto światowych. Rozkazuję ci z woli świętego oficyum, abyś mi wszystko wyjawił, co wiész o tym człowieku. Strzeż się, abyś jako jego sąsiad, a może i przyjaciel chciał go uniewinniać, bo ci oświadczam, że jeżeli w twojém świadectwie dostrzegę chęć oszczędzania go, wtedy sam zgubisz się. Dalejże pisarzu, obracając się do Raphaela, zabierz się do swojego dzieła.

Pan pisarz, który już trzymał w ręku papiér i kałamarz, zasiadł przy stoliku z najpoważniejszą miną, zabierał się do spisania zeznań szynkarza, który ze swojéj strony zaręczał, że nie ubliży prawdzie.—Gdy tak jest, ozwał się inkwizytor, zaczniemy więc. Odpowiadaj tylko na moje pytania, nie żądam od ciebie więcéj. Czyś widział Samuela Simon uczęszczającego do kościoła?—Na to nie zwracałem uwagi, odpowiedział szynkarz, ale nie przypominam sobie, żebym go widział w kościele.—Dobrze! rzekł inkwizytor, pisz, że go nigdy nie widziano w kościele.—Ja tego nie mówię panie, odezwał się szynkarz, ja tylko powiedziałem, żem go nie widział; on być może w kościele, a przecież ja go mogę nie widzieć.—Mój przyjacielu, mówił mu Lamela, zapominasz, że w odpowiedziach swoich nie masz uniewinniać Samuela Simon, jużem ci objawił skutki tego. Ty masz to tylko mówić co jest przeciw niemu, ani jednego słowa na jego korzyść.—Takim sposobem panie licencyacie, rzekł gospodarz, nie wiele skorzystasz z mojego zeznania. Nie znam kupca, o którego idzie, nie mogę o nim nic powiedzieć ani złego, ani dobrego; lecz jeżeli pan chcesz wiedzieć jak on w domowém obejściu żyje, sprowadzę tu Kacpra, jego chłopca, którego możesz się wypytać. Ten chłopiec przychodzi tu czasami pić ze swoimi przyjaciołmi, mogę zapewnić, że ma dobry język; będzie plótł, póki zechcesz, opowié ci całe życie swojego pana, i zaręczam, że da niemało zatrudnienia waszemu pisarzowi.

— Lubię twoję szczérość, mówił mu Ambroży, to właśnie uważam za objaw gorliwości dla świętego oficyum, skoro mi wskazujesz człowieka świadomego obyczajów Simona; zawiadomię o tém inkwizycyą. Spiesz się więc, dodał, wezwać tego Kacpra, o którym mówisz, ale spraw się ostróżnie, aby pan jego nie domyślił się co się dzieje. Szynkarz spełnił polecenie i szybko i z wielką tajemnicą. Przyprowadził chłopca kupieckiego. Był to w istocie młody człowiek, nadzwyczajny gaduła, taki, jakiego nam trzeba było.— Witam cię, moje dziécię, przemówił do niego Lamela. Widzisz w osobie mojéj inkwizytora mianowanego przez święte oficyum do wybadania sprawy Samuela Simon, którego obwiniają o żydowszczyznę. Ty mieszkasz u niego, a zatém jesteś świadkiem wielu jego czynności. Nie sądzę, aby trzeba było ostrzegać cię, iż jesteś obowiązany objawić wszystko co tylko wiész, skoro ci rozkażę w imieniu świętéj inkwizycyi. — Mości licencyacie, odpowiedział chłopiec kupiecki, nie mogłeś pan wynaleźć człowieka chętniejszego do objaśnienia cię we wszystkiém o czém wiedzieć pragniesz; jestem gotów zaspokoić cię w tym względzie, bez rozkazu nawet, w imieniu świętego officyum. Gdyby mojego pana zapytano się o mnie, jestem pewny, że by mnie nie oszczędzał; dlatego też i ja, nie myślę go ochraniać; a naprzód powiém panu, że to jest człowiek skryty, którego uczuć niepodobna odgadnąć; człowiek, który zachowuje pozory świątobliwego, a w gruncie wcale nie jest cnotliwy. Co wieczór chodzi do małéj nierządnicy.—Rad jestem, że się o tém dowiaduję, przerwał Ambroży; z tego co mówisz widzę, że to człowiek złych obyczajów: lecz odpowiadaj mi ściśle na pytania, które ci zadam. Szczególniéj w przedmiocie religii mam się dowiedzieć o jego uczuciach. Powiédz mi, czy jécie wieprzowinę w waszym domu?—Zdaje mi się, rzekł Kacper, że od roku, jak u niego jestem, ledwie dwa razy ją jedliśmy.—Bardzo dobrze, mówił inkwizytor, pisarzu, pisz, że w domu Samuela Simon nigdy nie jadają wieprzowiny. Natomiast, mówił daléj, jadają tam niekiedy baranka?—Tak jest, rzekł chłopiec, oto naprzykład, zjedliśmy jednego w czasie ostatnich świąt wielkanocnych. —Epoka bardzo szczęśliwa, zawołał komisarz; pisz, że Simon odprawia paschę. To idzie wybornie, zdaje mi się, żeśmy zebrali bardzo dobre objaśnienia.

— Powiédz mi jeszcze mój przyjacielu, mówił daléj Lamela, czyś nie widział nigdy, aby pan twój pieścił małe dzieci.—Nie sto razy, odpowiedział kacper, kiedy ujrzy małych chłopczyków przechodzących koło swojego sklepu, aby tylko byli piękni, zatrzymuje ich i pieści.—Pisz pisarzu, przerwał inkwizytor, że Samuel Simon jest mocno podejrzany o ściąganie do siebie dzieci, aby je mordować. Co za luby prozelita! —Oh, oh, panie Simon, ręczę ci, że będziesz miał do czynienia ze świętém oficyum. Nie wystawiaj sobie, aby ci bezkarnie wolno było spełniać twoje barbarzyńskie ofiary.—Śmiało, gorliwy Kacprze, rzekł do chłopca kupieckiego, wyjaw wszystko: pokaż, że ten fałszywy katolik bardziéj niż kiedykolwiek przywiązany jest do zwyczajów i obrzędów żydowskich. Nie prawdaż, że go widzisz jeden dzień w tygodniu w zupełnéj bezczynności? —Nie, odpowiedział Kacper, tego, to nie uważałem. Widzę tylko, że są dnie, w których zamyka się w swoim gabinecie i tam bawi bardzo długo. — Otóż to, tego nam potrzeba, zawołał komisarz, odprawia szabas, jak jestem inkwizytorem. Zapisz to, pisarzu, zapisz, że ściśle zachowuje post szabasowy. Ha! co za obmierzły człowiek! Już mi tylko o jednę rzecz zapytać się wy-

pada.—Nie mówi też czasem o Jerozolimie? — Bardzo często, odpowiedział chłopiec. Opowiada nam dzieje żydów, i jakim sposobem zburzona została świątynia Jerozolimska.—Właśnie też nie pomijaj tego pisarzu, napisz wielkiemi literami, że Samuel Simon ustawnie rozmyśla o odbudowaniu świątyni, że noc i dzień marzy o przywróceniu narodu żydowskiego. Nie chcę już więcéj wiedzieć; nie potrzeba innych pytań. Co zeznał prawdomówny Kacper, wystarczyłoby do wyroku spalenia całéj żydowszczyzny.

Gdy komisarz świętego oficyum w ten sposób wybadał chłopca kupieckiego, pozwolił mu oddalić się, lecz mu zalecił w imieniu św. inkwizycyi, aby nie powiadał swojemu panu o tém co zaszło. Kacper przyrzekł i odszedł. My niebawnie udaliśmy się za nim; wyszliśmy z karczmy z taką samą powagą, z jaką do niéj przybyliśmy, i zaczęliśmy kołatać do drzwi Samuela Simona. Wyszedł sam, otwiéra, a jeżeli zdziwił się ujrzawszy u siebie trzy figury, takie jak nasze, tedy tém bardziéj się zdumiał, gdy Lamela zabrawszy głos, odezwał się tonem rozkazującym: — Panie Samuelu, rozkazuję ci w imieniu św. inkwizycyi, któréj mam zaszczyt być komisarzem, abyś mi natychmiast złożył klucze twojego gabinetu. Chcę zobaczyć, czy nie znajdę czego na usprawiedliwienie doniesień, jakie przeciw tobie złożono.



Scypion.

Kupiec zmieszany temi słowy, odskoczył dwa kroki w tył, jak gdyby kułakiem w piersi ugodzony. Zamiast domyślać się podstępu oszustów, on w dobréj wierze wyobraził sobie, że tajny jakiś nieprzyjaciel chciał go podejrzanym zrobić św. inkwizycyi; a może być, że nie poczuwając się do ścisłego katolicyzmu, miał powód lękania się śledztwa. Cokolwiekbądź, nie widziałem w życiu mojém człowieka tak pomieszanego. Usłuchał bez żadnego sporu, a nawet z uszanowaniem, jakie może objawiać człowiek, bojący się św. inkwizycyi. Otworzył nam swój gabinet. Ambroży wchodząc odezwał się do niego: —I to dobrze przynajmniéj, że rozkazy św. inkwizycyi przyjmujesz bez oburzenia. Lecz, dodał zaraz, ustąp do innéj izby, i pozwól mi swobodnie spełnić mój obowiązek. Samuel i ten rozkaz wykonał z równą uległością jak piérwszy; pozostał w swoim sklepie, a my we trzech, weszliśmy do gabinetu, i nie tracąc czasu, zabraliśmy się do szukania pieniędzy. Znaleźliśmy je bez trudności; były w otwartéj skrzyni, w większéj daleko summie, aniżeliśmy mogli zabrać. Mnóstwo worków napakowanych, lecz wszystko w srébrze. Wolelibyśmy złoto, lecz kiedy inaczéj być nie mogło, trzeba było uledz niezbędnéj konieczności; napakowaliśmy kieszenie, napchaliśmy w spodnie, słowem, wszędzie gdzie tylko można było schować; wreszcie doskonale byliśmy obładowani, a nic tego nie widać było, wszystko to sprawiła zręczność Ambrożego i don Raphaela, którzy mi pokazali, co to jest za korzyść, znać dobrze swoje rzemiosło.

Wyszliśmy z gabinetu, tak dobrze się w nim sprawiwszy, pan inkwizytor zaś z powodów łatwych do odgadnięcia wydobył kłódkę, sam ją założył, opieczętował gabinet i rzekł do kupca:—Panie Samuelu, w imieniu św. inkwizycyi zakazuję ci dotykać się téj kłódki, równie jak pieczęci, masz je szanować, jest to bowiem pieczęć świętego oficyum. Jutro o téj saméj godzinie przybędę dla zdjęcia jéj i udzielenia ci rozkazów. To rzekłszy kazał sobie otworzyć drzwi na ulicę, któreśmy radośnie przekroczyli jeden za drugim. Uszedłszy z pięćdziesiąt kroków od domu ruszyliśmy z taką szybkością i lekkością, że zaledwie dotykaliśmy ziemi, mimo ciężar, jakiśmy dźwigali. Wnet wyszliśmy z miasta, a dosiadłszy naszych koni ruszyliśmy ku Segorbii, składając dzięki Merkuremu za tak szczęśliwy wypadek.

Rozdział II.

Co don Alphons i Gil Blas postanowili po tém zdarzeniu.

Jechaliśmy całą noc wedle naszego chwalebnego zwyczaju, i równo ze świtem byliśmy w małéj wiosce o dwie mile od Segorbii. Ponieważ byliśmy mocno strudzeni, chętnie więc zboczyliśmy z drogi, by się dostać między wierzby u podnoża pagórka rosnące, około tysiąca kroków od wsi oddalone, do któréj nie zdało się nam rzeczą stosowną wstępować. Znaleźliśmy przyjemny cień pod temi wierzbami, a strumień czystéj wody obmywał ich stopy. Podobało się nam to miejsce, postanowiliśmy więc tu cały dzień przepędzić. Zsiedliśmy więc z koni, a rozkiełznawszy je, puściliśmy na trawę, sami zaś pokładliśmy się na ziemi. Wypocząwszy nieco, zabraliśmy się do naszéj sakwy i do szawłoka, posiliwszy się należycie, poczęliśmy ochoczo liczyć pieniądze zabrane Samuelowi Simon, pokazało się, żeśmy mieli trzy tysiące dukatów. Tym sposobem dodawszy to do dawniéj zdobytych zapasów, pokazało się żeśmy nie źle byli opatrzeni.

Ponieważ trzeba było myśléć o zapasach żywności, Ambroży, don Raphael zrzuciwszy ubiór inkwizytora i pisarza, oświadczyli, iż obadwa razem podejmują się tego obowiązku; że wypadek w Xelva rozdrażnił ich żądze, że mają ochotę udać się do Segorbii, zobaczyć, czy się nie nastręczy sposobność do nowego zamachu. Wy czekajcie tu na nas pod temi wierzbami, my niedługo powrócimy. — To nie nam, panie Raphaelu, rzekłem, śmiejąc się, każ nam raczéj czekać swojego powrotu na św. Fryc! Skoro się teraz oddalisz, zdaje nam się, że cię długo nie spotkamy.— Takowe podejrzenie jest ujmą honoru naszego, odezwał się Ambroży; lecz zasługujemy na taką obelgę. Nie można wam brać za złe téj nieufności, potém, cośmy zrobili w Walladolidzie, łatwo możecie przypuszczać, że nie będziemy skrupulatniejszemi w opuszczeniu was, jak towarzyszów naszych w owém mieście. A jednak mylicie się. Spółbracia nasi, którym nie dotrzymaliśmy towarzystwa, byli ludzie bardzo złego charakteru, obcowanie z nimi stało się nam nieznośne. Trzeba oddać sprawiedliwość ludziom naszego powołania, że w życiu cywilném nie masz stowarzyszenia, któreby się mniéj waśniło dla interesu; lecz jeżeli między nami niéma zgody w skłonnościach, nasze porozumienie zrywa się, tak jak między innemi ludźmi. Tym sposobem panie Gil Blas, mówił daléj Lamela, proszę cię, równie jak pana don Alphonsa, miéjcie więcéj zaufania do nas i względem naszego powrotu z Segorbii bądźcie zupełnie spokojni.

—Nie masz nic łatwiejszego, rzekł wtedy syn Lucyndy, jak odjąć im wszelki powód do niespokojności: zostawmy tylko

w ich ręku kassę, a będą mieli dostateczną rękojmię naszego powrotu. Otóż widzisz panie Gil Blas, jak my wręcz idziemy do celu. Będziecie zawsze zabezpieczeni, a ja wam zaręczam, że my oba pojedziemy nie lękając się wcale, abyście nam nie zniknęli z tym drogim zastawem. Po tak niemylnych oznakach naszéj dobréj wiary zaufajcież nam teraz? Takjest, panowie, teraz możecie robić co się wam podoba. Pojechali natychmiast wtroczywszy szawłok na wino i sakwy, a my zostaliśmy pod wierzbami z don Alphonsem, który po ich odjeździe, tak do mnie przemówił: Panie Gil Blas, muszę ci otworzyć moje serce. Gryzie mnie sumienie, żem miał tyle słabości, aż dotąd towarzyszyć tym oszustom. Nie uwierzysz, ile razy już tego żałowałem. Wczoraj wieczór, strzegąc koni, tysiące myśli zgryźliwych przychodziło mi do głowy. Zastanawiałem się, że nie przystało młodemu człowiekowi, mającemu pewne zasady honoru, bratać się z ludźmi tak występnymi jak don Raphael i Lamela; że gdyby kiedyś nieszczęściem, co się zdarzyć może, skutkiem oszustwa, sprawiedliwość ujęła nas w swoje ręce, co za hańba dla mnie być karanym wraz ze złodziejami, uledz chłoście poniżającéj. Takowe obrazy snują mi się nieustannie przed oczyma: przyznam ci się, żem postanowił odstrychnąć się od nich na zawsze, aby nie być spólnikiem ich bezecnych sprawek. Nie spodziéwam się, abyś miał potępiać mój zamiar. Wcale nie, odpowiedziałem mu, lubowidziałeś mnie grającego rolę algazila w komedyi Samuela Simona, nie sądź wszakże, aby podobnego rodzaju sztuki były w moim guście. Bóg jest świadkiem moim, że odgrywając piękną rolę myśliłem sobie; zaprawdę mości Gil Blasie, gdyby też sprawiedliwość ujęła cię za kark, zasłużyłbyś niechybnie na nagrodę, jakaby cię spotkała. Nie mam więc ochoty, równie jak i pan pozostać dłużéj w tak niecném towarzystwie; a jeżeli uznasz to za stosowne, będę ci towarzyszył. Skoro więc ci panowie powrócą, poprosimy ich o podział naszego skarbu, i jutro rano, albo nawet jeszcze téj nocy, pożegnamy się z nimi.



Ogród w Lirias.

Kochanek nadobnéj Serafiny pochwalił myśl moję. Udajmy się, rzekł, do Włoch, gdzie będziemy mogli wejść do służby rzeczypospolitéj weneckiéj. Czyż nie lepiéj czepić się żołnierki, aniżeli wieść życie podłe i występne? Będziemy nawet mogli nieźle się przedstawić, mając nasz udział z pieniężnych zasobów. Zaraz wszakże dodał: nie bez wyrzutów sumienia wprawdzie korzystać będę z funduszów tak niegodziwie nabytych; ale niezbędna konieczność zmusza mnie do tego, a przytém przysięgam, że jeżeli kiedykolwiek zyskam coś na wojnie, wynagrodzę niechybnie Samuela Simon. Zapewniłem don Alphonsa, że też same uczucia władają mojém sercem, i stanowczo przedsięwzięliśmy zaraz jutro rano opuścić naszych towarzyszów. Nie brała nas wcale pokusa korzystania z ich nieobecności, tojest usunięcia się natychmiast z całą ich kassą: zaufanie jakiém nas obdarzyli, powierzając nam pieniędze, nie pozwoliło nam nawet pomyśléć o tém, chociaż figiel w hotelu umeblowanym, byłby w pewnym względzie usprawiedliwił naszą kradzież.

Ambroży i don Raphael wrócili nad wieczorem. Pierwsza rzecz, którą nam zwiastowali, była, że podróż ich bardzo szczęśliwie wypadła: założyli sieć do nowego szalbierstwa, które według wszelkiego podobieństwa, korzystniejsze jeszcze będzie od wczorajszego. W skutek tego syn Lucyndy chciał nam rzecz wyjaśnić; lecz don Alphons zabrał głos i bardzo grzecznie oświadczył im, iż nie czując się usposobionym do życia, jakie oni wiedli, zamierzył odłączyć się od nich. Ja także z mojéj strony powiedziałem im, że tenże mam zamiar. Napróżno usiłowali skłonić nas, abyśmy im towarzyszyli w ich wyprawach; pożegnaliśmy się z nimi nazajutrz, podzieliwszy się pieniędzmi i skierowaliśmy drogę naszą do Walencyi.

Rozdział III.

Jakim sposobem don Alphons osiągnął cel swoich życzeń i jak Gil Blas ujrzał się w szczęśliwém położeniu.

Wesoło pędziliśmy aż do Bunol, gdzie nieszczęsnym trafem musieliśmy się zatrzymać. Don Alphons zachorował. Dostał gorączki silnéj, któréj wzmaganie się wzniecało obawę o jego życie. Szczęściem nie było tam żadnego lekarza, skończyło się więc na strachu. Po trzech dniach minęło niebezpieczeństwo i przy troskliwości mojéj wnet odzyskał siły. Okazał się bardzo tkliwym na wszystko co dla niego robiłem, że zaś czuliśmy wzajemną ku sobie skłonność, zaprzysięgliśmy więc sobie wieczną przyjaźń.

Udaliśmy się w dalszą podróż, z tém ciągle przedsięwzięciem, że skoro staniemy w Walencyi, nie omieszkamy korzystać z pierwszéj lepszéj sposobności, by się dostać do Włoch. Lecz niebo, gotujące dla nas szczęśliwsze przeznaczenie, inaczéj nami rozrządziło. Przed bramą pięknego zamku ujrzeliśmy wieśniaków płci obojéj rozkoszne zwodzących tany. Zbliżyliśmy się do nich dla przypatrzenia się ich zabawom; don Alphons ani pomyślił jaka go w téj chwili miała spotkać niespodzianka. Spostrzegł barona Steinbach, który poznawszy go, przystąpił doń z otwartemi rękami i z wielkiém rzekł uniesieniem: Ah, don Alphonsie, to ty jesteś! co za miłe spotkanie! kiedy cię po wszystkich stronach szukają, szczęśliwy traf cię sprowadza.

Towarzysz mój zeskoczył z konia i pobiegł uściskać barona, którego radość była bez granic. Pójdź mój synu, mówił daléj zacny starzec, dowiész się kto jesteś, i używać będziesz najszczęśliwszego losu. To kończąc poprowadził go do zamku. Ja poszedłem za nimi, bo i ja zsiadłem z konia i przywiązałem obadwa wierzchowce do drzewa. Dziedzic zamku był najpierwszy, któregośmy spotkali. Było mężczyzna pięćdziesięcioletni, pięknéj postawy. Panie, odezwał się do niego baron Stein-

bach przedstawiając mu don Alphonsa, oto widzisz swojego syna. Na te słowa don Cesar de Leyva, tak bowiem zwał się dziedzic zamku, rzucił się na szyję don Alphonsa, a płacząc z radości: kochany mój synu, rzekł, poznaj sprawcę dni twoich! Jeżelim cię tak długo zostawił w niewiadomości o twoim stanie, bądź przekonany, iż w tém srogi gwałt sobie zadawać musiałem. Nie jednokrotnie wzdychałem nad tém, ale nie mogło być inaczéj. Zaślubiłem matkę twoję z miłości, ród jéj był daleko niższy od mojego. Byłem pod władzą ojca nielitościwego, który mnie przywiódł do konieczności tajenia małżeństwa, bez jego woli zawartego. Baron Steinbach jedynie był moim powiernikiem, z nim w zmowie starałem się o twoje wychowanie. Teraz niéma już ojca mojego i ja mogę publicznie objawić, że ty jesteś jedynym moim następcą. Na tém nie koniec, chcę cię połączyć z kobiétą młodą, któréj ród szlachetny nie ustępuje mojemu. Panie, przerwał don Alphons, nie chciéj abym zbyt drogo opłacał szczęście, które mi zwiastujesz. Toż dowiadując się, że mam zaszczyt być twoim synem, mam zarazem powziąć wiadomość, że chcesz mnie uczynić nieszczęśliwym! Ah, panie, nie chciéj być okrutniejszym od swojego ojca, który nie potwierdzając twojéj miłości, nie zmuszał cię przynajmniéj do pojęcia żony. Mój synu, odpowiedział don Cezar, nie chcę bynajmniéj dręczyć twojego serca. Lecz zrób mi tę grzeczność i zobacz kobiétę, którą ci przeznaczam, tego tylko żądam od twojego posłuszeństwa. Chociaż to jest osoba zachwycająca, i małżeństwo to dla ciebie bardzo korzystne, jednakże przyrzekam ci, że nie myślę zmuszać cię do jéj zaślubienia. Jest w tym zamku. Pójdź ze mną i sam się na to zgodzisz, że niéma milszéj nad nią osoby. To mówiąc poprowadził don Alphonsa do pokojów, do których i ja się dostałem z baronem Steinbach.

Był tam hrabia de Polan z dwiema córkami Serafiną i Julią, tudzież z Ferdynandem de Leyva zięciem swoim a synowcem don Cezara. Było tam kilka innych kobiét i kilku mężczyzn. Don Ferdynand, jak się wyżéj rzekło, uprowadził Julią i właśnie z powodu godów weselnych téj pary, wieśniacy zebrali się na zabawę. Skoro don Alphons pokazał się i ojciec przedstawił go towarzystwu, hrabia de Polan powstał i postąpił dla uściskania go, mówiąc: Witam mojego zbawcę! Don Alphonsie, mówił daléj do niego, poznaj jak cnota silną wywiéra władzę nad umysłami szlachetnemi! Jeżeliś zabił mojego syna, za to mnie ocaliłeś życie. Poświęcam ci mój gniéw, i daję ci też samą Serafinę, któréj honor ocaliłeś. Tym sposobem wywiązuję się względem ciebie z długu wdzięczności. Syn don Cezara nie omieszkał wynurzyć hrabiemu de Polan, jak dalece przejęty jest jego dobrocią: tego nie wiem, czy więcéj się cieszył z odkrycia swojego rodu, czy z tego, że został mężem Serafiny. W istocie gody weselne odprawiły się w kilka dni późniéj z wielkiém zadowoleniem stron interesowanych.

Że ja również należałem do zbawców hrabiego de Polan, pan ten poznawszy mnie także, oświadczył mi, iż się zajmie moim losem: lecz podziękowałem mu za jego szlachetność, nie chcąc opuszczać don Alphonsa, który mnie zrobił marszałkiem swojego domu i zaszczycił swojém zaufaniem. Zaledwie zawarł związki małżeńskie, gdy mając na sercu figla, jakiego wypłataliśmy Samuelowi Simon, zaraz mnie posłał do tego kupca, ze wszystkiemi pieniędzmi, jakie mu skradzione zostały. Udałem się więc z tym zwrotem: było to więc, zaczynać marszałkostwo, od tego na czém je kończyć należało.

KSIĘGA SIÓDMA.

Rozdział I.

Miłostki Gil Blasa z panną Lorença Sephora.

Jechałem więc do Xelva wioząc dla poczciwego Samuela Simon trzy tysiące dukatów, któreśmy mu skradli. Przyznam się szczérze, że w drodze brała mnie pokusa przywłaszczenia sobie tych pieniędzy, by marszałkostwo moje pod szczęśliwą rozpocząć wróżbą. Mogłem to zrobić bezkarnie: dość było zabawić w podróży pięć lub sześć dni, a potém wrócić, jak gdybym już spełnił polecenie. Don Alphons i ojciec jego nadto dobrze byli względem mnie uprzedzeni, aby mogli mieć wierność moję w podejrzeniu. Wszystko mi sprzyjało. Nie uległem jednak pokusie; muszę nawet powiedzieć, żem ją pokonał jako człowiek pełen honoru; co nie małéj godne zalety w młodym człowieku, nie raz w towarzystwie wielkich oszustów bawiącym. Wiele bardzo osób, z samemi uczciwémi ludźmi obcujących, nie miałoby może tak drażliwego sumienia; a nadewszystko te, którym powierzono jakiś depozyt, który mogą zatrzymać bez narażenia swojéj wziętości; niech w tym względzie objawią co myślą.

Dopełniwszy zwrotu kupcowi, który go się nigdy w świecie nie spodziewał, wróciłem do zamku Leyva. Hrabiego de Polan już nie zastałem: udał się on do Toledu z Julią i z don Ferdynandem. Ale za to ujrzałem nowego pana mojego, bardziéj niż kiedykolwiek rozkochanego w Serafinie; Serafinę zachwyconą miłością ku niemu, don Cezara rozpływającego się z radości, że ich miał przy sobie oboje. Zacząłem starać się o pozyskanie przychylności czułego ojca i to mi się wnet powiodło. Zostałem nadzorcą domu całego: do mnie cały zarząd należał: ja odbierałem wypłaty od dzierżawców, ja wypłacałem; miałem władzę nieograniczoną nad całą służbą; ale nie wstępowałem w ślady podobnych mnie, wcale nie nadużywałem mojéj powagi. Nie wypędzałem ze służby tych, którzy mi się niepodobali, anim wymagał od innych aby mi byli zupełnie poświęceni. Jeżeli udawali się wprost do don Cezara, lub jego syna, z prośbą, zamiast im zawadzać, ja owszem za nimi przemawiałem. Prócz tego dowody przychylności jakie w każdéj chwili odbierałem od moich obudwóch panów, obudzały w duszy mojéj najczystszą gorliwość w ich służbie. Dobro ich jedynie miałem na widoku, żaden wybieg nie znalazł się w mojéj administracyi, słowem, byłem nadzorcą jakiego trudno znaléźć.

Kiedy tak cieszyłem się szczęściem mojego położenia, miłość jakby zazdroszcząc tego co dla mnie los zdziałał, chciała także, nastręczyć mi powód do wdzięczności dla siebie, rzuciła ona iskrę gwałtownego przywiązania do JMci Pana nadzorcy w serce pani Lorença Sephora, powiernicy Serafiny. Muszę przecież powiedzieć jako wierny historyk, że nad głową mojéj syreny, już pięćdziesiątka się przemknęła; mimo to płeć świéża, twarz miła, piękne oczy, których zręcznie używać umiała, mogły ją jeszcze zalecać jak pewny rodzaj dosyć miłego podboju. Jabym jéj tylko był życzył cery więcéj nieco rumianéj, była bowiem bardzo blada, co ja nieomieszkałem przypisywać surowości cnoty panieńskiéj.

Przez długi czas ta pani rzucała na mnie oczkiem pełném miłości; lecz ja zamiast odpowiadać na jéj słodkie wejrzenia, udawałem, że tego wcale nie rozumiém. Przez to poczytała mnie za gacha nowicyusza, i to jéj się podobało. Wystawiwszy więc sobie, że jestem mniéj w tym względzie świadomy, aniżeli było w istocie, nie poprzestała na rozmowie oczu, lecz w piérwszém zaraz spotkaniu sam na sam wynurzyła mi swoje uczucia w wyrazach stanowczych, abym o tém wiedział. Wzięła się do tego jako kobiéta znająca dobrą szkołę, mówiąc ze mną udawała pomieszanie, a wypowiedziawszy bez ogródki wszystko co mi powiedzieć chciała, zakryła sobie rękami twarz jak gdyby mnie chciała przekonać, że się wstydzi swojéj słabości. Trzeba było się poddać: a lubo więcéj próżność, niż uczucie skłaniało mnie do tego, okazałem wszakże czułość na te objawy przywiązania. Udałem nawet natrętnego, i tak się zręcznie sprawiłem, żem ściągnął na siebie połajanie. Z taką atoli łagodnością gromiła mnie Lorença, że zalecając mi skromność, nie widać było aby się gniéwała, żem jéj nie zachował. Byłbym daléj postąpił, gdyby moja luba nieobawiała się dać złego wyobrażenia o swojéj cnocie, zezwalając na zbyt łatwe zwycięztwo. Tak więc rozeszliśmy się, aż do nowego spotkania, Sephora przeświadczona, że jéj udany upór przedstawił ją w moim umyśle jako westalkę, a ja pełen słodkiéj nadziei dojścia wnet do kresu téj miłéj przygody.

W tak błogim stanie były moje interesa, kiedy służący don Cezara powiedział mi nowinę, która ukróciła moję radość.

Chłopak ten był z rzędu ciekawych, którzy starają się wywęszyć wszystko co się dzieje w domu. Ponieważ mi skrzętnie nadskakiwał, i codzień raczył mnie jakąś nowinką, przyszedł więc pewnego ranku i powiedział, że zrobił zabawne odkrycie, które mi pragnie opowiedzieć, pod warunkiem, że zachowam tajemnicę, ponieważ to idzie o panią Lorença Sephora, a on lęka się jéj zemsty. Zbyt zaostrzył moję ciekawość, abym mu nie miał zaręczyć tajemnicy; lecz nie pokazując wcale zainteresowania, z najzimniejszą, ile być może, krwią zapytałem się, coby to było za odkrycie, którém mnie obdarzyć chce. Lorença, rzekł mi, co wieczór potajemnie wpuszcza do siebie chirurga wiejskiego, chłopaka bardzo przystojnego, i ten hultaj zawsze dość długo u niéj bawi. Ja wierzę, dodał z minką dosyć złośliwą, że to wszystko może być bardzo niewinne; ale pan przyznasz, że chłopiec potajemnie wciskający się do pokoju panny, daje powód do złego o niéj rozumienia.

Chociaż wiadomość ta przebodła mnie tak, jak gdybym był rzeczywiście zakochany, jednakże niepokazałem tego po sobie, i do tego stopnia panowałem nad sobą, żem się zaczął śmiać z nowiny, która mi ściskała serce. Ale skorom się ujrzał bez świadka, wynagrodziłem sobie sowicie ten przymus. Przeklinałem, zaprzysięgałem się, rozmyślałem nad tém co mi czynić przystoi. To gardząc Sephorą zamierzałem porzucić ją nie racząc nawet wdawać się w żadne wyjaśnienia z zalotnicą; to znowu wyobrażając sobie że tu idzie o mój honor, postanowiłem śledzić chirurga, wyzwać go na pojedynek. To ostatnie przedsięwzięcie przeważyło. Stanąłem w zasadzce z wieczora, i w istocie ujrzałem mojego panicza wciskającego się tajemniczo do pokoju mojej ochmistrzyni! Tego też właśnie trzeba było do rozżarzenia ognia, który mnie palił, a który bez tego możeby był przygasnął. Wyszedłem z pałacu i zająłem stanowisko w miejscu, którędy gach wracać musiał. Czekałem na niego odważnie, a każda chwila coraz bardziéj podżegała we mnie żądzę walki. Wreszcie mój nieprzyjaciel pojawił się. Zrobiłem kilka kroków junackich na spotkanie się z nim, lecz nie wiém jak się to u licha stało, nagle jak bohatér homerowski, uczułem się zdjęty trwogą, która mnie wstrzymała. Zmieszałem się, jak Parys, gdy wystąpił do walki z Menelausem. Zacząłem się przypatrywać mojemu przeciwnikowi, który mi się wydał silny i rzeźwy, szpadę zaś miał nadzwyczaj długą: wszystko czarodziejski na mnie wpływ wywarło, jednakże przez punkt honoru, a może i dla czego innego, chociaż spoglądałem na niebezpieczeństwo oczyma, które je zwiększały; mimo wstręt wrodzony, który mnie upornie wstrzymywał, zdobyłem się jednak na odwagę zbliżenia się do chirurga i wydobycia szpady.

Zdziwił go mój postępek. Cóż to jest? panie Gil Blas, odezwał się. Jaki cel tych odkazek rycerza błędnego? Może się chcesz zabawić. Nie, panie balwierzu, nie, nic nad to rzeczywistszego. Pragnę wiedzieć, czy jesteś równie śmiały, jak zalotny. Nie spodziéwaj się abym ci pozwolił spokojnie cieszyć się względami kobiéty, którą tajemnie odwiedzasz w zamku. Święty Kozma! (1) zawołał chirurg, nie mogąc się wstrzymać od śmiéchu, a to zabawna sprawa! Dalibóg, pozory nie złe. Z tego wnosząc, że równie jak ja nie ma ochoty bić się, nabrałem większego zuchwalstwa. Komu innemu, przerwałem, komu innemu mów to mój przyjacielu! Nie sądź, żebyś mnie pozbył prostém przeczeniem. Miarkuję, rzekł, że trzeba mówić, dla uniknienia nieszczęścia, grożącego tobie, lub mnie. Wyjawię ci więc tajemnicę, chociaż my to w naszém powołaniu, nie możemy być nadto milczący. Jeżeli pani Lorença wpuszcza mnie skrycie do swojego pokoju, to czyni dla utajenia przed służbą swojéj choroby. Ma na plecach zastarzały wrzód, który ja co wieczór opatruję. Otóż masz powód odwiedzin, które cię niepokoją. Teraz więc uspokój się w tym względzie. Zaraz wszakże dodał, jeżeli jednak to wyjaśnienie nie zaspokaja cię, jeżeli pragniesz koniecznie wejść w zapasy, rozkaż tylko, ja nie jestm od tego, żebym się miał bać nadstawić karku. To mówiąc wyciągnął swój potężny rapir, na którego widok zadrżałem, przyjął zaś postawę, nie dobrego nie zwiastującą. Dość na tém, rzekłem mu, chowając moją szpadę, nie jestem takim prostakiem, abym miał być głuchym na głos rozsądku, po tém coś mi objawił, przestałeś być moim nieprzyjacielem. Uściskajmy się! Ta mowa przekonała go, że nie jestem tak zły, jakem się z razu wydawał, schował śmiejąc się swoję szpadę, podał mi rękę i rozeszliśmy się jak dwaj najlepsi przyjaciele.

Od téj chwili Sephora niemiłe na mnie robiła wrażenie. Unikałem nastręczanéj mi przez nią rozmowy na osobności, robiłem to zaś z taką skrzętnością i z takiém usiłowaniem, iż wnet to spostrzegła. Zdziwiona tak wielką zmianą, chciała dojść przyczyny, a znalazłszy wreszcie sposób mówienia ze mną sam na sam: panie nadzorco! rzekła, powiédz mi z łaski swojéj, dla czego chronisz się aż nawet przed wzrokiem moim. Zamiast szukać, jak niegdyś, sposobności mówienia ze mną, ty starasz się stronić ode mnie. Prawda, że ja piérwszy krok zrobiłam, lecz tyś odpowiedział. Przypomnij sobie, z łaski swojéj, rozmowę na osobności; byłeś wtedy cały w ogniu, teraz jesteś zlodowaciały. Co to ma znaczyć? Pytanie było bardzo drażliwe dla człowieka otwartego, dla tego téż mnie bardzo zmieszało. Nie pamiętam com jéj odpowiedział, to tylko przypominam sobie, że jéj się niepodobało. Sephora chociaż z miny słodkiéj i skromnéj zdawała się barankiem, była przecież tygrysicą, gdy ją złość owładnęła. Rzuciwszy na mnie wzrokiem wściekłéj zawziętości, mniemałam, rzekła, że niepospolity czynię zaszczyt takiemu nikczemnemu człowiekowi jak ty, objawiając uczucia, z których obudzenia chlubiłby się nie jeden szlachetny kawaler. Sprawiedliwą odnoszę karę za poniżenie się do tak nędznego awanturnika.

Na tém nie koniec: nie zbyłem się tak tanim kosztem. Język jéj idąc za popędem złości nie oszczędzał dla mnie tysiącznych przydomków, jednych dobitniejszych od drugich. Wiém o tém, że należało mi je przyjąć z zimną krwią i zastanowić się, że gardząc tryumfem cnoty, którą wprowadziłem na pokuszenie, popełniłem zbrodnię, któréj żadna kobiéta nie przebaczy. Lecz byłem za popędliwy, aby ścierpiéć obelgi, z których inny śmiałby się tylko, mnie brakło cierpliwości. Pani, rzekłem jéj, nie pogardzajmy nikim? Gdyby ci szlachetni kawalerowie, o których wspomniałaś, zobaczyli twoje plecy, jestem pewny, że na témby ograniczyli swoję ciekawość. Ledwiem dokończył tych wyrazów, gdy rozzłoszczona kobiéta palnęła mnie w twarz tak silnie, jak tylko mogła to kiedy zrobić kobiéta znieważona. Nie czekałem powtórzenia i szybką ucieczką uniknąłem gradu ciosów któreby były niechybnie na mnie spadły.

Dziękowałem Bogu, że mnie wydobył z tak ciężkiéj przygody, zdawało mi się, że już nie mam się czego obawiać, ponieważ miała już pociechę zemsty. Mniemałem, że dla własnego honoru powinna była zamilczéć o całéj przygodzie, w rzeczy saméj przez dwa tygodnie nic nie słyszałem. Już i ja zacząłem puszczać wszystko w niepamięć, gdy w tém dowiaduję się, że Sephora zachorowała. Miałem dosyć dobre serce, bo mnie ta wiadomość zmartwiła. Rozumiałem, że nie mogąc przezwyciężyć miłości tak źle odpłaconéj, nieszczęśliwa ta kochanka uległa pod ciężarem zgryzoty. Wystawiałem sobie z przykrością, że byłem przyczyną jéj choroby, i ubolewałem przynajmniéj nad tą kwoką, nie mogąc jéj kochać. Jakże źle o niéj sądziłem! Miłość jéj zmieniona w nienawiść rozmyślała jedynie jakby mi szkodzić.

Pewnego poranku gdym był sam z don Alphonsem, widziałem tego młodego pana smutnego, zamyślonego. Z uszanowaniem należném spytałem się coby mu było. Przykro mi jest, rzekł, widzieć Serafinę niesprawiedliwą, słabą, niewdzięczną. To cię zastanawia, dodał, ujrzawszy moje zadziwienie, a tymczasem nic nad to prawdziwszego. Nie wiém jaki dałeś powód Sephorze do nienawiści, ale cię zapewniam, że do tego stopnia cię nie cierpi, iż skoro się jak najspieszniéj nie oddalisz z tego zamku, śmierć jéj, jak mówi, jest nieochybną. Nie możesz wątpić, aby Serafina, dla któréj jesteś drogą osobą, nie miała się z początku oburzyć przeciw téj zawziętości, któréj

(1) Św. Kozma patron chirurgów w Hiszpanii.

nie może usłużyć nie stawszy się niesprawiedliwą i niewdzięczną. Ale, jest to kobiéta. Kocha czule Sephorę, która ją wychowała. Ta ochmistrzyni jest dla niéj prawdziwą matką, któréj śmierć miałaby sobie do wyrzucenia, gdyby nie miała słabości zaspokojenia jéj zemsty. Co do mnie, mimo całe przywiązanie do Seraflny, nigdy nie okażę nikczemnéj uległości w spełnieniu jéj woli w tym względzie. Niech raczéj przepadną wszystkie kwoki w całéj Hiszpanii, aniżelibym ja miał zezwolić na oddalenie człowieka, którego za brata bardziéj, niż za służącego uważam.

Gdy to skończył don Alphons, ja mu rzekłem: panie, urodziłem się na igraszkę losu. Spodziewałem się że mnie przestanie ścigać w twoim domu, w którym obiecywałem sobie dni szczęśliwe i spokojne. Muszę wszakże skłonić się do ustąpienia z niego, bez względu na przyjemności, jakich w nim doznaje. Nie, nie, zawołał wspaniałomyślny syn don Cezara, pozwól mi przekonać Seraflnę. Nie powiedzą przynajmniéj, żeś został poświęcony kaprysom ochmistrzyni, dla któréj i tak może za nadto okazują poważania. Panie, odpowiedziałem, rozjątrzysz tylko Seraflnę, opiérając się jéj woli. Wolę usunąć się, aniżeli przez dłuższy pobyt rzucać zaród niezgody między dwoje tak doskonałych małżonków. Byłoby to nieszczęście, któreby mi zatruło całe życie.

Don Alphons stanowczo zakazał mi chwytać się téj strony, widziałem go tak niewzruszonego w zamiarze utrzymania mnie, że niezawodnie Lorença byłaby przegrała, gdybym ja chciał był dotrzymać placu: tobym był może i zrobił ulegając niechęci ku niéj. Były chwile w których mnie brała pokusa nie oszczędzania dozorczyni; lecz gdym rozważył, że objawiając jéj hańbę, byłoby to utopić sztylet w sercu téj biednéj istoty, któréj nieszczęścia byłem przyczyną, że dwie nieuleczone choroby wtrąciłyby ją do grobu, wtedy czułem politowanie nad nią. Ponieważ więc byłem tak niebezpiecznym śmiertelnikiem, uznałem za rzecz sumienia, przywrócić spokojność w zamku, usuwając się z niego, i to wykonałem nazajutrz przed świtem, nie pożegnawszy moich państwa z obawy, aby przez przywiązanie do mnie, nie sprzeciwili się mojemu oddaleniu. Zastawiłem jednak na stole w moim pokoju ścisły rachunek z mojéj administracyi.

Rozdział II.

Co się stało z Gil Blasem po wyjściu z zamku Leyva.

Siadłem na dobrego konia, moją własnością będącego, w tłomoczku miałem dwieście dublonów, z których większa część pochodziła od bandytów ubitych i z trzech tysięcy dukatów skradzionych Samuelowi Simon. Ponieważ don Alphons z własnych funduszów wypłacił kupcowi całą summę trzech tysięcy dukatów, nie żądając zwrotu mojego udziału, ja więc uważając moją kwotę za mienie prawe z powodu wynagrodzenia kupca, mogłem jéj używać dobrém sumieniem. Posiadałem więc fundusz uwalniający mnie od trosków względem przyszłości, a do tego dodać téż należy zaufanie w zdolność własną, w wieku, w jakim właśnie podówczas byłem. Obok tego, Toledo przedstawiało mi przyjemne schronienie. Nie wątpiłem bynajmniéj, aby hrabia de Polan nie przyjął z radością jednego ze swoich zbawców, i nie dał mu przytułku w swoim domu. Lecz zostawiłem tego pana na ostatni przypadek i pierwéj nimbym się do niego udał, postanowiłem użyć części moich pieniężnych zasobów na wędrówkę po królestwie Murcyi i Granady, którą szczególniéj pragnąłem poznać. W tym celu udałem się przez Almanca, i od miasta do miasta wędrując, dostałem się do Granady, bez żadnego osobliwszego przypadku. Zdawało się, że los tyle wypłatawszy mi figlów, już mię zostawił w pokoju. Lecz zdrajca, gotował on mi wiele nowych psot, jak się daléj pokaże.

Najpiérwszą osobą, którą spotkałem na ulicach Granady, był pan Fernand de Leyva, podobnie jak don Alphons, zięć hrabiego de Polan. Obadwaśmy się zarówno zdziwili z naszego spotkania. A to co, panie Gil Blas, zawołał, ty w tém mieście! co cię tu sprowadza? Panie, rzekłem mu, jeżeli się dziwisz widząc mnie w tym kraju, zapewne tém bardziéj się zdumiejesz, dowiedziawszy się dla czego opuściłem służbę don Cesara i jego syna. Wtedy opowiedziałem mu wszystko co zaszło między mną i Sephorą, nic nie tając. Śmiał się z tego serdecznie, następnie przybierając minę poważną, rzekł: mój przyjacielu, ofiaruję ci moje pośrednictwo w téj sprawie, napiszę do mojéj bratowéj... Nie, nie, panie, nie pisz nic wcale, proszę cię o to. Nie dla tego opuściłem zamek de Leyva, aby wracać do niego; ale jeżeli chcesz mi okazać swoje względy, zrób to w inny sposób. Jeżeli ktoś z twoich przyjaciół potrzebowałby sekretarza, lub rządzcy domu, poleć mnie łaskawie, o to cię proszę. A mogę panu zaręczyć, że nikt ci zarzucać nie będzie, iż mu złego człowieka nastręczyłeś. Bardzo chętnie, odpowiedział, spełnię twoje życzenia. Przybyłem do Granady odwiedzić moją starą ciotkę chorą, zabawię tu jeszcze trzy tygodnie, poczém wrócę do mojego zamku Lorqui, gdzie zostawiłem Julią. Mieszkam w tym domu, mówił daléj, pokazując mi hotel o sto kroków od miejsca, w którém spotkaliśmy się, za kilka dni przyjdź do mnie, w tym czasie może ci wygrzebię jakie miejsce stosowne.

W istocie, skorośmy się potém piérwszy raz spotkali, rzekł mi: ksiądz arcybiskup Granady, mój krewny i przyjaciel, życzy mieć przy sobie człowieka obeznanego z literaturą i pięknie piszącego, aby mógł przepisywać na czysto jego pisma, ponieważ to jest wielki autor. Ułożył on już Bóg wié ile homilij, i codzień nowe składa, które prawi z wielką pochwałą. Ponieważ uważam cię za zdatnego, przedstawiłem cię, a on przyrzekł mi, że cię przyjmie. Idź sam, pokaż mu się, a z przyjęcia osądzisz, czym dosyć korzystnie mówił o tobie.

Miejsce zdało mi się takie, jakiego tylko mogłem żądać; przygotowawszy się więc jak najlepiéj do wystąpienia przed tym prałatem, udałem się pewnego poranku do pałacu arcybiskupiego. Gdybym klecił romanse, zrobiłbym pompatyczny opis pałacu arcybiskupów Granady; rozwodziłbym się nad budową gmachu; zachwalałbym bogactwo sprzętów; szérokobym prawił o znajdujących się tam posągach i obrazach; nie darowałbym czytelnikom moim najdrobniejszéj historyi, jaką przedstawiają, ale ja poprzestanę na oświadczeniu, iż co do wspaniałości równał się pałacowi naszych królów.

Zastałem w pokojach tłum duchownych i świeckich, którzy po większéj części byli oficyalistami jego excellencyi, jałmużnicy jego, dworzanie, koniuszowie lub słudzy. Wszyscy świeccy mieli ubiór przepyszny, wziąłbyś ich raczéj za panów, a nie za służących. Dlatego pewnie byli dumni i udawali osoby ważne. Nie mogłem się wstrzymać od śmiéchu, przypatrując się im, i drwiłem z nich w duszy. Przebóg, myśliłem, ci ludzie są nadzwyczaj szczęśliwi, dźwigają jarzmo służalców, nie czując go bynajmniéj, bo zaiste gdyby je czuli, zdaje mi się, że postępowanie ich byłoby mniéj dumne. Udałem się do grubego i poważnego pana, który pilnował drzwi gabinetu arcybiskupiego, otwiérał je i zamykał w miarę potrzeby. Zapytałem się go bardzo uprzejmie, czyby nie było sposobu mówić z jego excellencyą. Zaczekaj, odezwał się twardo, Jego wysokość wkrótce wychodzi na mszę; w przejściu da ci chwilowe posłuchanie. Nie rzekłem ani słowa na to. Uzbroiłem się w cierpliwość, i zabierałem się do zawiązania gawędy z niektórymi z oficyalistów, lecz zaczęli mi się przypatrywać od stóp do głów, nie racząc mnie obdarzyć ani jedném słówkiem, poczém spoglądając po sobie dumnie, uśmiéchali się, żem się poważył wmieszać do ich rozmowy.

Przyznam się, żem się stropił bardzo, widząc się wystawionym na takie obejście się służalców. Jeszczem dobrze nie ochłonął z tego pomieszania, kiedy drzwi gabinetu rozwarły się. Arcybiskup wyszedł. Umilkli wszyscy oficyaliści, i w téj chwili postawa ich zuchwała, zmieniła się w pokorną i pełną poszanowania w obliczu ich pana. Prałat ten był już w sześćdziesiątym dziewiątym roku życia swojego, z postaci dosyć podobny do wuja mojego Gil Pereza, to jest wzrostu nizkiego i otyły, ale jeszcze w dodatku miał nogi skręcone na wewnątrz; był zaś tak łysy, że ledwie mu mały kosmyk włosów z tyłu

głowy pozostał, co go zmuszało do wsadzenia głowy w czapeczkę z delikatnéj wełny z długiemi uszami. Mimo to wszystko zdawał mi się mieć postawę znakomitego człowieka, być może i dla tego, że wiedziałem iż nim był. My biedni ludzie z gminu, spoglądamy na wielkich panów z uprzedzeniem, które im nadaje pozór wielkości, nawet na przekorę ich naturze.

Arcybiskup naprzód zbliżył się do mnie i zapytał się głosem pełnym słodyczy, czegobym sobie życzył. Powiedziałem mu, że jestem tym młodym człowiekiem, o którym mu don Fernand de Leyva wspominał. Nie pozwolił mi mówić więcéj. Ah, to ty jesteś, zawołał, o którym mi z taką pochwałą mówił? Przyjmuję cię do mojéj służby; jesteś wybornym dla mnie nabytkiem. Możesz tu już pozostać. Potém wsparłszy się na ramionach dwóch koniuszych, wyszedł, wysłuchawszy pierwéj duchownych, którzy mieli mu coś do powiedzenia. Zaledwie opuścił salę, w któréj byliśmy, gdy ciż sami oficyaliści, którzy przed chwilą wzgardzili moją rozmową, teraz ją sami zawiązać pragnęli. Wszyscy mnie otaczają, tłoczą się, winszują, wynurzają radość, żem został stołownikiem arcybiskupstwa. Dosłyszeli co do mnie pan ich wyrzekł i pałali żądzą dowiedzenia się w jakiém znaczeniu będę przy jego osobie; ale dość byłem złośliwy, nie chciałem zaspokoić ich ciekawości, by tym sposobem zemścić się za ich pogardę.

Jego wysokość wrócił nie długo. Wezwał mnie do swojego gabinetu, aby się ze mną rozmówić na osobności. Domyśliłem się zaraz, że chce wymacać moje zdolności. Miałem się na baczności i przygotowałem się do cedzenia każdego wyrazu. Naprzód zagadnął mnie z nauk nadobnych. Nie źle odpowiadałem na jego pytania; przekonał się że dosyć znałem autorów greckich i łacińskich. Następnie dostał się na pole dyalektyki, a ja tu go właśnie czekałem. Ujrzał mnie kutym na wszystkie nogi. Wychowanie twoje, rzekł mi z pewnym rodzajem zadziwienia, nie było zaniedbane. Zobaczmy teraz twoje pismo. Dobyłem z kieszeni pismo umyślnie przygotowane. Mój prałat był z niego dosyć zadowolony. Kontent jestem, rzekł, z twojego pisma, a więcéj jeszcze z ukształcenia. Podziękuję siostrzeńcowi mojemu Fernandowi, że mi nastręczył tak doskonałego chłopca; jest to dar prawdziwy, który mi zrobił.

Kilku panów przybyłych na obiad do arcybiskupa, przerwało naszą rozmowę. Pozostawiłem ich razem, a sam wróciłem pomiędzy oficyalistów, którzy mnie wówczas obsypali grzecznościami. Udałem się z nimi na obiad, skoro czas nadszedł; jeżeli oni baczne oko mieli na mnie w czasie obiadu, i ja z niemniejszą uwagą im się przypatrywałem.

Siedziałem obok starego szatnego nazwiskiem Melchior de la Ronda; pamiętał o mnie przy stole, częstując najlepszemi kawałkami. To jego uprzedzające obejście się ze mną, zniewoliło mnie do podobnegoż ku niemu, a grzeczność moja była mu przyjemną. Panie kawalerze, szepnął mi cicho po obiedzie, chciałbym z tobą pomówić na osobności. I zaraz poprowadził mnie do pokoju, gdzie nikt nas słyszéć nie mógł; tu dopiéro tak przemówił do mnie: Mój synu, zaraz od piérwszego wejrzenia uczułem jakiś pociąg ku tobie. Pragnę dać ci niewątpliwy dowód tego, zwierzając ci się z niektóremi rzeczami bardzo dla ciebie korzystnemi. Dostałeś się do domu, w którym bogobojni i świętoszki pomieszani z sobą spólnie żyją. Trzebaby długiego czasu do rozpatrzenia się. Radbym ci oszczędzić długiéj i niemiłéj nauki, przedstawiając ci charaktery jednych i drugich; poczém łatwo ci będzie kierować się.

Zacznę więc od Jego Wysokości. Jestto prałat bardzo pobożny, ciągle poświęcony zbudowaniu ludu, naprowadzeniu go na drogę cnoty kazaniami pełnemi gruntownéj moralności, które sam pisze. Przed dwudziestą laty opuścił dwór, idąc za popędem gorliwego poświęcenia się dla swoich owieczek. Jestto ukształcony człowiek, wielki mówca; największa jego rozkosz prawić kazania, a lud z zapałem go słucha. Być może, iż się do tego próżność wtrąca po trosze, lecz nie jest udziałem śmiertelników, przenikać serca ludzkie, a do tego nie przystałoby mi wcale przetrząsać usterki osoby, któréj chlebem się żywię. Gdyby mi wszakże wolno było dotknąć pana mojego, miałbym mu za złe jego surowość. Zamiast okazać niejakie pobłażanie dla słabych duchownych, on ich karci bardzo ostro. Osobliwie zaś bez miłosierdzia ściga tych, którzy zaufani w swojéj niewinności, chcą się prawnie usprawiedliwiać, nie bacząc na jego powagę. Jeszcze mógłbym mu wytknąć jednę wadę, którą ma spólną ze wszystkiemi panami: chociaż jest przywiązany do swoich służących, nie zważa przecież na ich gorliwość i pozwoliłby im osiwieć w swoich usługach, nie pomyśliwszy nawet o ich opatrzeniu. Jeżeli zdarzy się, że im czasem udzieli jakieś wynagrodzenie, to chyba za łaskawém czyimś wstawieniem się; sam przez się nie domyśliłby się nigdy zrobić im jakąś przyjemność.

Otóż to mi powiedział o swoim panu stary szatny. Następnie objawił mi myśl swoję o duchownych, którzy z nami obiad jedli. Kréślił mi ich portrety wcale niezgodne z ich postacią pozorną. Nie wystawiał ich wprawdzie jako ludzi nieuczciwych, ale zawsze jako nienajlepszych księży. Jednakże wyjął niektórych, uznając ich za godnych uwielbienia. Odtąd nie trudno mi było przybrać odpowiednią postawę w ich obecności. Zaraz tegoż wieczoru, zasiadłszy z niemi do wieczerzy, przybrałem minę nadzwyczaj poważną; to nic nie kosztuje. Czegóż się tu dziwić, że tylu jest hipokrytów.

Rozdział III.

Gil Blas zostaje powiernikiem arcybiskupa i pośrednikiem jego łask.

Po obiedzie udałem się do hotelu, w którym mieszkałem, i zabrawszy konia i manatki swoje, wróciłem na wieczerzę do arcybiskupiego pałacu, w którym mi przygotowano pokój bardzo porządny i pościel puchową. Nazajutrz Jego Wysokość przyzwał mnie bardzo rano, a to dla przepisania homilii. Polecił mi zaś, żebym tego dokonał z największą dokładnością. Nie zaniedbałem tego bynajmniéj; nie opuściłem ani kropki, ani kréski, ani najmniejszego znaku pisarskiego. Dla tego też, objawiając mi swoje zadowolenie, nie mógł zataić podziwienia. Przejrzawszy wszystkie stronnice mojego pisma, zawołał z uniesieniem: Ah, dla Boga, widziałże kto coś poprawniejszego? Jesteś zanadto dobrym kopistą, żebyś nie miał być grammatykiem. Powiédz mi poufnie przyjacielu, pisząc, nie natrafiłżeś przypadkiem na jakiś usterek? na zaniedbanie stylu, albo na jakie niewłaściwe wyrażenie? Bo takie rzeczy łatwo się wymknąć mogą w zapale kompozycyi. Oh, miłościwy panie, rzekłem z miną skromną, nie mam tyle ukształcenia, abym był zdolny do uwag krytycznych, a gdybym je nawet miał, jestem przekonany, że dzieła Waszéj Wysokości, stawiłyby czoło mojéj krytyce. Prałat uśmiechnął się na moję odpowiedź. Nie rzekł ani słowa, ale w głębi duszy swojéj, pozwolił mi domyślać się, że nie był autorem bezkarnie.

Takowém pochlebstwem zyskałem stanowczo jego względy. Z każdym dniem stawałem się mu przyjemniejszym, i wreszcie od don Fernanda, który go często odwiedzał, dowiedziałem się, że tak był do mnie przywiązany, iż mogłem śmiało uważać los mój za ustalony. Wkrótce też sam pan mi to potwierdził, a to przy następującéj okazyi. Pewnego wieczoru powtarzał przedemną w swoim gabinecie, z całym zapałem, homilią, którą miał nazajutrz prawić w katedrze. Nie poprzestał na żądaniu zdania mojego o całéj mowie w ogólności, ale żądał, żebym mu wymienił miejsca, które mnie najwięcéj uderzyły. Szczęściem wskazałem mu te, które on najwyżéj cenił, miejsca jego ulubione. Tym sposobem zaszczepiłem w umyśle jego przekonanie, że umiém gruntownie ocenić prawdziwe piękności dzieła. Otóż to, zawołał, co się nazywa mieć gust i czucie! Ba! mój przyjacielu, zaręczam ci, że twoje ucho nie jest beockie. Słowem, tak był uradowany, że się odezwał do mnie z żywością: Gil Blasie, bądź odtąd spokojny o swój los; już ja starać się będę, żeby ci go zapewnić jak najprzyjemniejszy. Kocham cię, i żeby ci tego dać dowód, biorę cię za swojego powiernika.

Zaledwiem to usłyszał, gdym się zaraz rzucił do nóg Jego Wysokości, wskróś przenikniony wdzięcznością. Serdecznie ściskałem jego krzywe nogi, uważając się za człowieka, który

wpadł na tor zbogacenia się. Tak jest moje dziecko, mówił daléj arcybiskup, któremu przerwałem mowę mojém wynurzeniem wdzięczności, chcę cię zrobić powiernikiem najskrytszych moich myśli. Słuchaj pilnie, co ci powiém. Lubię miéwać kazania. Bóg błogosławi moim homiliom; wzruszają one grzeszników, skłaniają ich do rozmyślania nad sobą, i wiodą do pokuty. Z radością patrzę na chciwca przerażonego obrazem, jaki łakomstwu jego przedstawiam, otwiérającego swoje skrzynie i szczodrze szafującego skarbami; cieszy mnie, gdy niejednego rozpustnika wyrywam z łona rozkoszy; pysznemi zapełniam pustelnie; utwierdzam w granicach obowiązku małżonkę zachwianą przez zwodniczego kochanka. Takowe nawracania, które nie są rzadkiemi, same przez się powinny być dla mnie bodźcem do dalszéj pracy; mimo to wszakże muszę ci wyznać moję słabość, jeszcze po inną sięgam nagrodę, po nagrodę, którą surowa cnota moja napróżno potępia, a tą jest cześć, jaką świat oddaje pismom poprawnym i subtelnym. Sława doskonałego mówcy, wielką ma dla mnie ponętę. Dotąd wszystkie dzieła moje uważają z jednakowym zapałem i sztuką układane; lecz chciałbym uniknąć wady lepszych autorów, którzy za długo zajmują się pisaniem, ja pragnę w czas poprzestać i tym sposobem ocalić wziętość moją niezachwianą.

Tak więc mój kochany Gil Blasie, mówił jeszcze prałat, jednéj rzeczy spodziéwać się będę po twojéj gorliwości; skoro spostrzeżesz, że pióro moje zacznie trącić starością, że wyraźnie spadać poczną, nie zaniedbaj mnie o tém przestrzedz. Sam sobie nie ufam w tym względzie, miłość własna mogłaby mnie uwodzić w tym względzie. Do tego spostrzeżenia potrzeba umysłu bezinteresownego. Ja wybiéram twój, poznawszy go że jest zdolny; na twój więc wyrok się spuszczam. Dzięki Bogu, rzekłem, miłościwy pan dalekim jeszcze jesteś od téj epoki. Co większa, umysł takiego hartu, jak waszéj wysokości, dłużéj zachowa swoję rzeźwość, aniżeli każdy inny; czyli trafniéj mówiąc, Wasza Wysokość będziesz zawsze tym samym. Ja uważam go jak drugiego kardynała Ximenesa, którego wyższy geniusz, zamiast słabnąć z laty, zdawał się z nich nowe czerpać siły. Bez pochlebstwa, mój przyjacielu, przerwał mi, ja wiém, że mogę upaść w jednéj chwili. W moim wieku dają się uczuwać słabości rozmaite, a słabości ciała, nadwerężają umysł. Powtarzam ci Gil Blasie, skoro uznasz, że głowa moja słabnąć pocznie, ostrzeż mnie natychmiast. Nie lękaj się być szczérym i otwartym, ja przyjmę to ostrzeżenie jako dowód przywiązania do mojéj osoby. Z drugiéj strony idzie tu także o twój interes; jeżeli nieszczęśliwym dla ciebie trafem, dowiem się zkądinąd, że w mieście uważać będą brak dawnéj siły w mowach moich, że osądzą, iż już powinienbym spocząć, oświadczam ci bez ogródki, wraz z moją przyjaźnią stracisz mienie, które ci przyrzekłem. Taki byłby skutek nierozważnéj oględności.

Pan mój na tém uciął mowę, czekając mojéj odpowiedzi, która była zaręczeniem spełnienia jego życzeń. Od téj chwili, nie miał nic ukrytego przedemną, zostałem jego ulubieńcem. Wszyscy służący, wyjąwszy Melchiora Ronda, nie bez zawiści spoglądali na to. Warto było zaiste przypatrzyć się, w jaki sposób dworzanie i służący obchodzili się z powiernikiem Jego Wysokości; nie wahali się poniżyć aż do podłości, by zyskać moją życzliwość; nie chciało mi się wierzyć, żeby to mieli być Hiszpanie. Nie dałem się omamić ich interesowaną grzecznością, ale mimo to, byłem gotów na ich usługi. Na prośbę moją, ksiądz arcybiskup wstawiał się za nimi. Jednemu wyjednał kompanią, i postawił go w możności przyzwoitego wystąpienia w wojsku. Drugiego wysłał do Mexyku, na korzystną posadę, o którą się dlań wystarał. Dla mojego przyjaciela Melchiora, pozyskałem dobre wynagrodzenie. Przekonałem się z tego, że jeżeli prałat sam nie uprzedzał, tedy rzadko odmawiał o co go proszono.

To jednak com zrobił dla jednego księdza, zdaje mi się godne przedstawienia ze szczegółami. Ludwik Garcias, człowiek młody i wcale przystojny, przedstawiony mi był przez naszego marszałka pałacowego, który mi rzekł: Panie Gil Blas, w téj osobie duchownéj, widzisz najlepszego mojego przyjaciela. Złe języki, nie oszczędziły jego cnoty. Oczerniono go przed Jego Wysokością, który go obłożył interdyktem, i nieszczęściem tak jest przeciw niemu uprzedzony, że niezważa na żadne wdania się za nim. Używaliśmy najpiérwszych osób w całéj Granadzie, żeby wyjednać dlań cofnięcie interdyktu, wszystko na próżno, nasz pan jest nieugięty.

Panowie, rzekłem, otóż to sprawa wcale na złéj drodze. Byłoby daleko lepiéj, gdyby sie nikt był nie wstawiał za panem licencyatem. Przez chęć przysługi, jeszcze mu gorzéj zrobiono. Znam ja już dobrze Jego Wysokość; prośby i wdawania się obce, powiększają jeszcze w jego umyśle błąd duchownego; nie dawno słyszałem z ust jego własnych: Ksiądz, który popadnie w interdykt, im więcéj osób zobowiązuje do wstawiania sie za nim, tém bardziéj powiększa zgorszenie, tém surowszym jestem dla niego. Przykra to jest rzecz, odpowiedział marszałek pałacowy, przyjaciel mój byłby w smutném bardzo położeniu, gdyby nie umiał bardzo pięknie pisać. Szczęściem, pisze do zachwycenia, i tym talentem ratuje się w téj intrydze. Ciekawy byłem, czy zachwalone to pismo, było piękniejsze od mojego. Licencyat mając je przy sobie, pokazał mi kartę, nad którą się zdumiałem; zdawało się, że to był wzór jakiegoś mistrza pisania. Zastanawiając się nad tém pismem, wpadłem na myśl. Prosiłem Garciasa, żeby mi zostawił ten papiér, oświadczając mu, że mogę mu coś pożytecznego zrobić; że się nie tłumaczę obszerniéj, ale jutro może będę mógł coś więcéj powiedzieć. Licencyat, któremu zdaje się marszałek wychwalał moje zdolności, odszedł tak zadowolony, jak gdyby już wrócił do swoich obowiązków.

Ja w istocie szczérze pragnąłem, żeby to się stać mogło, i tegoż samego dnia, zacząłem się krzątać koło tego w sposób, jaki zaraz opowiém. Byłem sam z arcybiskupem, pokazałem mu pisma Garciasa. Pan mój zdał się nim zachwycać. Wtedy korzystając ze sposobności, rzekłem: Miłościwy panie, ponieważ nie chcesz drukować swoich homilij, życzyłbym przynajmniéj, aby w ten sposób przepisane były.

Jestem kontent z twojego pisma, odpowiedział mi prałat, ale przyznam się, że nie gniéwałbym się, gdybym takiém pismem miał przepisane moje dzieła. Wasza Wysokość niech tylko rzeknie słowo, powiedziałem, a ten co tak rysuje, jest licencyatem, moim znajomym. On z tym większą radością starać się będzie zrobić tę przyjemność Waszéj Wysokości, że tym sposobem będzie mógł odwołać się do Jego łaskawości, aby się wydobyć ze smutnego położenia, w jakiém się obecnie znajduje.

Prałat zapytał się zaraz o jego nazwisko. Jest to Ludwik Garcias, rzekłem mu, człowiek w rozpaczy pogrążony, że ściągnął na siebie niełaskę Waszéj Wysokości. Ten Garcias, jeżeli się nie mylę, odpowiedział mi na to, był jałmużnikiem w jednym klasztorze zakonnic. Podpadł on cenzurze kościelnéj. przypominam sobie zaskarżenia przeciw niemu. Obyczaje jego nie najlepsze. Panie, odezwałem się, nie chcę stawać w jego obronie, to tylko wiém, że ma nieprzyjaciół. Utrzymuje, że oskarżyciele jego nie tyle dbali o prawdę, jak o zaszkodzenie jemu. To być może, odpowiedział arcybiskup; są na świecie ludzie bardzo niebezpieczni. Prócz tego, ja myślę, że obyczaje jego nie zawsze były naganne; może już odpokutował; wreszcie miłosierdzie dla grzeszników. Przyprowadź mi tego licencyata, zdejmę z niego interdykt.

Szybko tę nowinę zaniosłem do marszałka pałacowego, który przesłał przyjacielowi swojemu. Zaraz następnego dnia, licencyat przybył do mnie z podziękowaniem odpowiedniém otrzymanéj łasce. Przedstawiłem go mojemu panu, a ten poprzestał na łagodném upomnieniu, i dał mu swoje homilie do przepisania. Garcias dopełnił polecenia tak dobrze, iż został do obowiązków kapłańskich przywrócony. Otrzymał nawet probostwo w Gabli, znakomitém miasteczku w bliskości Granady.

Rozdział IV.

Arcybiskup dostaje apopleksyi. Jakim sposobem Gil Blas oddalony przez arcybiskupa.

Kiedy takie łaski świadczyłem tym i owym, don Ferdynand de Leyva zabierał się do opuszczenia Granady. Udałem się do tego pana przed odjazdem, dla powtórzenia mu moich dziękczynień, za nastręczenie tak swobodnego miejsca. Zdałem mu się tak zadowolonym, że się odezwał do mnie: Mój kochany Gil Blasie, cieszę się serdecznie, że kontent jesteś z mojego wuja arcybiskupa. Jestem zachwycony tym wielkim prałatem, odpowiedziałem, i nie może być inaczéj. Bo jest to pan niesłychanie ujmujący, ale prócz tego tak dla mnie łaskaw, że nie potraflę nigdy mu tego dostatecznie zawdzięczyć. Takiego właśnie szczęścia trzeba mi było, dla pociechy po oddaleniu się od pana don Cesara i jego syna. A ja jestem pewny, odpowiedział, że oni także cierpią na tém, żeś ich opuścił. Ależ może nie na wieki rozstaliście się, jeszcze was los kiedyś połączy. Nie mogłem słuchać tych wyrazów bez rozczulenia. Westchnąłem na to; i w tym momencie uczułem tak silne przywiązanie do don Alphonsa, iż chętniebym był opuścił arcybiskupa i wszystkie złote nadzieje, jakie mi zrobił, aby tylko powrócić do zamku Leyva, byleby mogła być uprzątnięta zawada, przed którą ustąpić musiałem. Don Fernand poznał to moje wzruszenie; tak go to uradowało, że uściskał mnie oświadczając, iż cała jego rodzina, nigdy nie będzie obcą w moich przeznaczeniach.

We dwa miesiące po odjeździe don Ferdynanda, w chwili gdy stanąłem u szczytu mojego szczęścia, wielki postrach padł na pałac arcybiskupi, nagle arcybiskup rażony został apopleksyą. Tak szybko dano mu pomoc, lekarstwa były tak skuteczne, iż w kilka dni wrócił do zdrowia. Ale umysł jego silnie został wstrząśnięty. Spostrzegłem to zaraz przy pierwszéj homilii, którą po tém ułożył. Różnica wszakże między tą a dawniejszemi nie zdała mi się jeszcze tak uderzającą, iżbym śmiało mógł twierdzić, że umysł mówcy poczyna tracić swoję siłę. Czekałem jeszcze drugiéj, aby wiedzieć czego się mam trzymać. Oh! ta już była stanowczą. Zacny prałat to się opuszczał, to zbyt wysoko się wznosił, to znowu za nizko spadał. Była to mowa rozwlekła, retoryka zużytego krasomówcy, gawęda starego klechy.

Ale to nie ja jeden spostrzegłem. Większa część słuchaczów, jak gdyby zgodzona do takowego rozbioru, szeptała pomiędzy sobą, otóż to kazanie, które trąci apopleksyą. Nuż więc panie sędzio homilij, pomyśliłem sobie wtedy, przygotuj się do spełnienia twojéj powinności. Widzisz że Jego Wysokość podupada, winieneś go o tém ostrzedz, nietylko jako powiernik jego myśli, ale także z obawy, aby jaki przyjaciel otwarty nie chciał cię w tém uprzedzić. W takim przypadku wiész coby cię spotkało; zostałbyś wymazany z jego testamentu, w którym bezwątpienia lepszy musi być dla ciebie zapis, aniżeli biblioteki licencyata Sedillo.

Po takich rozmyślaniach snuły mi się po głowie inne, przeciwnéj zupełnie natury, takiego rodzaju ostrzeżenie zdało mi się bardzo dzaźliwe. Pomyśliłem, że autor rozmiłowany w swoich dziełach nie mile przyjmie taką uwagę; lecz odpychając od siebie takowe przypuszczenie, wystawiłem sobie, że nie może się wcale urażać, żądając tego po mnie z taką natarczywością. Dodajmy do tego, iż zamyślałem przemówić doń z wielką zręcznością, i bardzo łagodnie podsunąć mu tę pigułkę. Zresztą sądząc, iż milczeniem więcéj stracić mogę, odważyłem się przemówić.

Już tedy jedna mnie tylko rzecz zatrudniała; nie wiedziałem jak zacząć tę rozmowę. Szczęściem sam mówca wyprowadził mnie z tego kłopotu, pytając się coby o nim mówiono w świecie, i czy kontenci są z jego ostatniéj mowy. Odpowiedziałem że zawsze podziwiają jego homilie, ale zdaje mi się, że ta ostatnia nie sprawiła takiego jak dawniejsze wrażenia na słuchaczach. Jak to, mój przyjacielu, odezwał się zdziwiony, miałażby znaleźć jakiego Arystarcha? Nie, miłościwy panie, odpowiedziałem, wcale nie. To nie takie dzieła, jak Waszéj Wysokości, poważy się ktoś krytykować; nie masz człowieka, któregoby nie zachwycały. Ztémwszystkiém ponieważ mam rozkaz być szczérym i otwartym, niech mi wolno będzie oświadczyć, że ostatnia mowa nie zdaje mi się tak dzielną, jak poprzedzające. Czy Wasza Wysokość nie jesteś jednegoż ze mną zdania?

Na te słowa mój pan zbladł, i odezwał się z uśmiéchem wymuszonym: Panie Gil Blas, więc ta mowa nie jest w twoim guście? Ja tego nie mówię wcale miłościwy panie, przerwałem stropiony, owszem zdaje mi się wyborna, choć trochę niższa od innych jego dzieł. Rozumiém, odpowiedział, zdaje ci się podupadać, czy nie prawda? Przetnij od razu. Mniemasz, że czas już myśléć o odwrocie? Nie jestem tyle zuchwały, rzekłem, abym miał tak otwarcie mówić, gdybyś Wasza Wysokość nie był mi rozkazał. Jestem więc w tym względzie tylko posłuszny jego woli, i błagam najpokorniéj, abyś Wasza Wysokość nie brał mi za złe téj śmiałości. Boże broń, przerwał ze skwapliwością, Boże broń, żebym ci ją miał wyrzucać! musiałbym być bardzo niesprawiedliwy. Wcale ci za złe nie biorę, że mi wynurzasz myśl swoję, tylko tę myśl uważam za złą: straszliwie zawiodłem się na twoich ograniczonych zdolnościach.

Chociaż wyparowany ze stanowiska, chciałem szukać środków poprawienia rzeczy; ale jestże sposób uśmierzenia autora rozgniewanego, a do tego autora co już przywykł do pochwał? Przestańmy o tém mówić moje dziecię. Jeszcześ za młody, żeby rozróżnić prawdę od fałszu. Wiedz o tém, że lepszéj homilii nie ułożyłem nad tę, która nieszczęściem nie zyskała twojéj pochwały. Umysł mój, dzięki niebu, nie stracił jeszcze nic ze swojéj rzeźwości. Odtąd lepiéj będę wybierał sobie powierników, chcę zdolniejszych od ciebie do wyrokowania. Idź, mówił daléj prowadząc mnie za ramię ze swojego gabinetu, idź, powiédz mojemu skarbnikowi, aby ci wyliczył sto dukatów i niech cię Pan Bóg prowadzi z tą summą! Bądź zdrów panie Gil Blas, życzę ci wszelkich pomyślności i nieco więcéj gustu.

Rozdział V.

Co Gil Blas przedsięwziął po wyjściu z pałacu arcybiskupiego; spotkanie jego z licencyatem, który mu tyle wdzięczności był winien.

Wyszedłem z gabinetu złorzecząc kaprysowi, albo raczéj słabości arcybiskupa, i bardziéj rozgniéwany na niego, aniżeli zmartwiony utratą jego względów. Przez chwilę nawet wahałem się czy mam odebrać moje sto dukatów; lecz dobrze rzecz rozważywszy, nie byłem tak głupi, żeby je zostawić. Osądziłem, że pieniądze nie odbiorą mi prawa do żartowania z niego, czego postanowiłem nie zaniedbywać nigdy, ilekroć w obecności mojéj przyjdą na stół jego homilie.

Udałem się więc do skarbnika po moje sto dukatów, nie rzekłszy ani słowa o tém co zaszło. Poszedłem następnie do Melchiora de la Ronda, aby się z nim na zawsze pożegnać. Był on nadto do mnie przywiązany, aby nie miał objawić spółczucia w mojém nieszczęściu. Gdym mu opowiadał, widziałem jak żal malował się na jego twarzy. Mimo szacunek, jaki winien był arcybiskupowi, nie mógł się wstrzymać od przygany; ale gdy w uniesieniu gniéwu przysięgałem, że prałat tego przypłaci, że całe miasto rozśmieszać będę jego kosztem, rozsądny Melchior tak do mnie przemówił: Wierz mi kochany Gil Blasie, lepiéj podobno strawić tę zgryzotę. Ludzie pospolici powinni zawsze szanować osoby znakomite, choćby największe mieli prawo narzekania na nich.

Podziękowałem staremu szatnemu za dobrą radę i przyrzekłem z niéj korzystać. Po czém mówił do mnie: Jeżeli się udasz do Madrytu, staraj się widzieć z Józefem Navarro, moim siostrzeńcem. Jest on kredencerzem u pana don Baltazara de Zuniga, a zaręczam ci, że to chłopak godny twojéj przyjaźni. Jest otwarty, wesoły, usłużny, uprzedzający; życzyłbym, żebyście się poznali. Odpowiedziałem mu, iż nie zaniedbam odwiedzić Józefa Navarro, skoro tylko przybędę do Madrytu, dokąd miałem zamiar wracać. Wyszedłem potém z pałacu arcybiskupiego, aby w nim nigdy więcéj nie postać. Gdybym był jeszcze miał swojego konia, byłbym może natychmiast ruszył do Toledu; alem go sprzedał, gdym był we względach, sądząc, iż go

już potrzebować nie będę. Postanowiłem więc wynająć pokój umeblowany, zamierzając zabawić jeszcze z miesiąc w Granadzie, a potém udać się do hrabiego Polan.

Ponieważ godzina obiadowa zbliżała się, zapytałem więc mojéj gospodyni, czy nie ma w blizkości jakiéj garnkuchni. Odpowiedziała mi, że o parę kroków od jéj domu jest jedna i wyborna, że tam dobrze jeść dają, i dla tego wiele uczciwych osób do niéj uczęszcza. Wypytałem się dobrze o nią i zaraz się tam udałem. Wszedłem do wielkiéj sali, dosyć podobnéj do refektarza. Kilku ludzi przy długim stole brudnym obrusem nakrytym rozmawiało, zajadając każdy skromną swoją porcyjkę. Podano i mnie moją, która w każdym innym czasie byłaby mnie przejęła żalem po utracie dotychczasowego stołu; ale wtenczas tak byłem zawzięty na arcybiskupa, że skromność mojéj garnkuchni zdała mi się daleko zbawienniejszą nad wyborną kuchnią jego. Powstawałem na mnogość potraw na obiedzie, a rozumując według zasad doktora z Valladolid, biada mówiłem, tym, którzy uczęszczają do tych zgubnych stołów, przy których bezustannie trzeba się miéć na baczności przed zmysłowością, z obawy aby nie obładować żołądka! Alboż to nie dosyć się najé skoro tylko się jé? W przystępie złego humoru uwielbiałem aforyzmy, które aż dotąd potępiałem.

Kiedy tak sprzątałem moją porcyą, nie lękając się przekroczenia granic wstrzemięźliwości, licencyat Ludwik Garcias, mianowany proboszczem w Gabii, w sposób, jak się wyżéj rzekło, wszedł do sali. Skoro mnie tylko spostrzegł, przybiegł do mnie spiesznie, okazując objawy człowieka niesłychanie uradowanego. Uściskał mnie serdecznie i musiałem wytrzymać potok wyrazów grzecznych z powodu przysługi, jaką mu wyświadczyłem. Zmordował mnie swojemi wynurzeniami wdzięczności. Usiadł przy mnie, mówiąc: jak mi Bóg miły, mój dobroczyńco, kiedy mi szczęsny los pozwolił cię spotkać, nie rozejdziemy się, żebyśmy się nie mieli napić. Ale że w téj garnkuchni nie ma dobrego wina, skoro więc zjémy nasz skromny obiadek, zaprowadzę cię w jedno miejsce, gdzie cię uraczę buteleczką przedziwnego Lucena, albo wybornego muskatu z Foncaral. Musimy sobie koniecznie pohulać, nie odmawiaj mi, proszę cię, tego ukontentowania. Oh, czemuż nie mam tego szczęścia miéć cię na parę dni przynajmniéj w probostwie mojém w Gabii, tambym cię przyjął jak wspaniałomyślnego mecenasa, któremu zawdzięczam spokojne i wygodne życie, jakie tam wiodę.

Kiedy mnie taką zabawiał rozmową, przyniesiono mu jego porcyą. Zabrał się do jedzenia, nie przestając jednak raz po raz darzyć mnie jakim pochlebnym wyrazem. Ja korzystając z téj chwili zacząłem także mówić z kolei; a że nie zapomniał zasięgać wiadomości o przyjacielu swoim marszałku pałacowym, nie robiłem więc przed nim tajemnicy z mojego oddalenia z pałacu. Opowiedziałem mu nawet najdrobniejsze szczegóły mojéj niełaski, których bacznie słuchał. Po tém wszystkiém co mi poprzednio powiedział, któżby się nie spodziéwał, że przejęty żalem wdzięczności, zacznie deklamować przeciw arcybiskupowi? O tém on przecież wcale nie myślił, przeciwnie, zrobił się jakoś zimnym i zamyślonym, dokończył obiadu, nie rzekłszy do mnie ani słowa; po czém zrywając się szybko od stołu, pokłonił mi się ozięble i zniknął. Niewdzięcznik, nie widząc, żebym mu mógł być użytecznym, oszczędził sobie nawet przykrości ukrywania swoich uczuć. Rozśmiałem się z jego niewdzięczności, i spoglądałem nań z oznaką wzgardy, na jaką zasługiwał.

Rozdział VI.

Gil Blas udaje się do teatru w Granadzie i tam zdziwiony spostrzega aktorkę.

Ledwie co Garcias wyszedł z sali, kiedy przybyło dwóch młodych ludzi porządnie ubranych, którzy siedli obok mnie. Zaczęli z sobą rozmawiać o aktorach z trupy granadyjskiéj i nowéj sztuce, którą grywano podówczas. Sztuka ta według nich, wiele robiła hałasu w mieście. Wzięła mnie chętka widziéć jéj przedstawienie. Nie byłem w teatrze od czasu, jak stanąłem w Granadzie. Ponieważ mieszkałem w pałacu arcybiskupim, gdzie takowe widowiska klątwą obłożono, nie mogłem więc pozwalać sobie téj przyjemności. Homilie stanowiły całą moją rozrywkę.

Poszedłem zatém do teatru skoro był czas i zastałem w nim bardzo liczne zgromadzenie. Słyszałem do koła rozmaite rozprawy o sztuce, piérwéj nim ją rozpoczęto, uważałem, że wszyscy plątali się do wyroku o niéj. Jeden oświadczał się za, drugi przeciw. Widzianoż kiedy lepiéj ułożone dzieło? mówiono z prawéj strony. Co za nędzny styl! odzywał się ktoś z lewéj. Zaiste, przyznać należy, że jeżeli jest wielu złych autorów, więcéj jeszcze znajduje się nędznych krytyków. Kiedy się zastanowię nad przykrościami, jakich dramatyczni autorowie doświadczać muszą, zdumiéwam się, jak niektórzy odważą się stawić czoło głupocie motłochu i niebezpiecznéj krytyce półmędrków, którzy nieraz koślawią zdanie publiczności.

Wreszcie ulubieniec publiczności wystąpił dla otwarcia sceny. Zaledwie się okazał, natychmiast powszechne wywołał oklaski, z tego wnosłem, że to jest jeden z tych aktorów pieszczonych; którym parter wszystko przebacza. W istocie aktor ten nie wymówił wyrazu, nie zrobił najmniejszego poruszenia, żeby nie zyskał oklasków. Zanadto mu objawiano przyjemność, jakiéj doznawano z jego obecności: dla tego téż on tego nadużywał. Ja uważałem, że się niekiedy zapominał na scenie, że zbyt ufał uprzedzeniu względnemu dla siebie. Gdyby go wygwizdano, zamiast przyklaskiwać, oddanoby mu sprawiedliwość.

Klaskano także hucznie na widok kilku innych aktorów, osobliwie téż jednéj aktorki grającéj rolę, pokojówki. Zwróciłem na nią szczególną uwagę: i niéma wyrazów zdolnych do wydania mojego zdziwienia, gdy w jéj osobie poznałem Laurę, moję ukochaną Laurę, o któréj sądziłem, że się jeszcze w Madrycie przy boku Arsenii znajduje. Nie wątpiłem bynajmniéj, że to ona; jéj kibić, jéj rysy, dźwięk głosu, wszystko mnie przekonywało, że się nie mylę. Jednakże nie ufając moim oczom i uszom, zapytałem się o jéj nazwisko siedzącego obok mnie młodego człowieka. Hę, a zkądże to przybywasz? odezwał się do mnie. Musiałeś świéżo przybić do naszego brzegu, kiedy nie znasz nadobnéj Estelli.

Podobieństwo było zbyt wyraźne, abym się miał stropić. Domyśliłem się, że Laura zmieniając stan, zmieniła także nazwisko: ciekawy będąc wiadomości o jéj stanie, przed publicznością bowiem nie ukryją się sprawy osób do teatru należących, zapytałem się tegoż samego człowieka, czy ta Estella niéma jakiego kochanka znakomitego. Odpowiedział mi, że od dwóch miesięcy bawi w Granadzie wielki pan portugalski, margrabia de Marialva, który niemało dla niéj wydaje. Byłby mi więcéj powiedział, gdybym się nie obawiał stać się mu natrętnym mojemi pytaniami. Wiadomość, której mi udzielił ten młody człowiek, więcéj mnie zajęła, niż cała komedya: gdyby ktoś po wyjściu z teatru zapytał mnie się o treść sztuki, byłby mnie nie małego nabawił kłopotu. Marzyłem jedynie o Laurze, o Estelli i zamierzyłem nazajutrz udać się do téj aktorki. Nie bardzo wprawdzie byłem pewny dobrego przyjęcia; miałem wielki powód spodziéwać się, że w tak świetném położeniu, widok mój nie zrobi jéj przyjemności; przypuszczałem nawet, że tak dobra aktorka przez zemstę nad człowiekiem, który istotnie dał jéj powód do nieukontentowania, może udać, iż go wcale nie poznaje. Lecz wszystko to nie zraziło mnie bynajmniéj. Po lekkiéj wieczerzy, bo w naszéj garnkuchni innéj nie było, wróciłem do mojego pokoju, oczekując niecierpliwie tego jutra.

Mało spałem téj nocy i obudziłem się równo ze świtem. Ponieważ jednak zdawało mi się, że kochanka wielkiego pana, nie może być widzialną tak rano, przed udaniem się więc do niéj trzy czy cztéry godziny strawiłem przy ubieraniu się, goleniu, pudrowaniu, perfumowaniu. Chciałem się jéj przedstawić tak, iżby nie miała powodu rumienić się oglądając mnie. Wyszedłem o godzinie dziesiątéj, wywiedziawszy się piérwéj w hotelu komedyantów o jéj pomieszkaniu. Zajmowała ona najpiękniejsze pomieszkanie w jednym wielkim domu. Oświadczyłem pokojowéj, która mi drzwi otworzyła, że młody człowiek pragnie mówić z panią Estellą. Pokojowa zawróciła się dla zawiadomienia swojéj pani i w téj chwili usłyszałem, że taż pani głosem do-

nośnym odezwała się: Co to za młody człowiek? czego chce ode mnie? niech tu wejdzie.

Wniosłem z tego, żem w złą przybył godzinę; że jéj portugalski kochanek musiał być przy jéj toalecie i że dla tego tak głośno mówiła, aby go przekonać, że nie przyjmuje u siebie posłańców podejrzanych. To co przypuszczałem było istotną prawdą: margrabia de Marialva przepędzał u niéj prawie wszystkie poranki. Tak więc nie wróżyłem sobie dobrego przyjęcia, kiedy ta oryginalna aktorka ujrzawszy mnie, posunęła się do mnie z otwartemi rękami i jakby w uniesieniu zawołała: Ah, bracie mój, toż ja ciebie oglądam? poczém uściskała mnie kilkakrotnie, a obracając się do portugalczyka, rzekła: panie, przebacz, jeżeli w obecności twojéj ulegam sile związków krwi. Po trzechletniéj nieobecności, nie mogę oglądać brata ukochanego, nie objawiwszy mu mojego przywiązania. Daléjże, mój kochany Gil Blasie, mówiła znowu do mnie, powiédzże mi co nowego o mojéj rodzinie, w jakimże ich stanie opuściłeś?

Zrazu stropiony temi słowy, wnet odgadłem zamiary Laury, a podpiérając jéj wybieg, miną i głosem zastosowanym do sceny, którąśmy odegrać mieli, odpowiedziałem jéj: dzięki Bogu moja siostro, rodzice nasi są zdrowi. Nie wątpię, dodała ona, żeś się zdumiał ujrzawszy mnie aktorką w Granadzie, lecz nie potępiaj mnie, póki mnie nie wysłuchasz. Trzy lata temu, jak wiész, ojciec mój rozumiał, że mnie doskonale wyposażył, wydając mnie za kapitana Antoniego Coello, który mnie wziął z Asturyi i zawiódł do Madrytu, swojego miejsca rodzinnego. W sześć miesięcy późniéj miał rozprawę honorową, którą sam popędliwością swoją wywołał. Zabił młodego człowieka, któremu się podobało zwrócić uwagę na mnie. Młodzieniec był ze znakomitéj rodziny, mającéj wielkie wpływy. Mąż mój pozbawiony ich usunął się do Katalonii; zabrawszy z sobą klejnoty i gotówkę, jaka się w domu znajdowała. Następnie siada na okręt w Barcelonie, przeprawia się do Włoch, wstępuje do służby weneckiéj i ginie w Morei, walcząc z Turkami. W tym samym czasie włość, która była jedyném naszém mieniem, zabrana została na skarb, i ja zostałam wdową, jedną z najuboższych. Co tu począć w tak smutnéj ostateczności? Młoda wdowa dbająca o swój honor w trudném jest położeniu. Nie było sposobu wracać do Asturyi. I cóżbym tam robiła? Od mojéj rodziny nie mogłam się czego innego spodziéwać prócz politowania. Z drugiéj strony wychowanie moje nie pozwalało mi puszczać się na rozpustę. Co tu przedsięwziąć? Zostałam aktorką dla ocalenia honoru.

Usłyszawszy zakończenie tego romansu Laury, taka mnie chęć śmiéchu opanowała, żem ją z wielką trudnością ledwie pohamował. Wstrzymałem się jednak, a nawet odezwałem się do niéj w tonie poważnym: moja siostro, pochwalam twoje postępowanie i cieszę się, żem cię znalazł w Granadzie w tak przyzwoitém miejscu.

Margrabia de Marialva z całéj téj mowy ani jednego nie stracił wyrazu, w literalném znaczeniu przyjął wszystko, co się podobało prawić wdowie po don Antonio. Mieszał się nawet do rozmowy: zapytał się mnie, czybym miał jaki urząd w Granadzie lub gdzieindziéj. Przez chwilę wahałem się, czy mam skłamać: ale uznawszy to za niepotrzebne, powiedziałem prawdę. Wyłuszczyłem więc rzecz całą, punkt w punkt, jak się dostałem do pałacu arcybiskupiego, jak z niego wypchnięty zostałem, co niesłychanie ubawiło portugalskiego pana. Prawda, że mimo obietnicę daną Melchiorowi, opowiadanie moje uprzyjemniałem kosztem arcybiskupa. Ale co było najzabawniejsze, to, że Laura sądząc, iż wzorem jéj ułożyłem sobie bajeczkę, śmiała się do rozpuku, czegoby zapewne nie zrobiła, będąc pewną, że nie zmyślam.

Po takowém opowiadaniu, które zakończyłem na pokoju umeblowanym, który nająłem, dano znać, że już stół zastawiony. Chciałem zaraz oddalić się na mój obiad do garnkuchni, lecz Laura zatrzymała mnie. Co chcesz robić mój bracie? rzekła do mnie: zjész obiad ze mną: nie zniosę nawet tego, abyś miał dłużéj mieszkać w pokoju umeblowanym. Pragnę, abyś u mnie jadał i w moim domu mieszkał. Każ wieczór dziś znieść tu swoje rzeczy, tu się znajdzie łóżko dla ciebie.

Pan portugalski, któremu zapewne nie bardzo była przyjemna ta gościnność, odezwał się do Laury: nie, Estello, nie masz tak dogodnego mieszkania, abyś mogła kogoś przyjmować. Brat twój zdaje mi się bardzo piękny chłopiec, że cię zaś tak blizko dotyczy, to obowięzuje mnie do zajęcia się jego losem. Przyjmuję go do mojéj służby. Będzie u mnie najmilszym moim sekretarzem, moim powiernikiem. Niech zaraz przybędzie do mnie i już tę noc będzie spał w moim domu: każę mu przygotować pokój. Przeznaczam mu cztérysta dukatów pensyi: a skoro z czasem, czego się spodziéwam, będę kontent z niego, starać się nie omieszkam, aby mógł zapomnieć swojéj szczérości dla arcybiskupa.

Podziękowałem serdecznie margrabiemu, a Laura żarliwszą jeszcze wynurzała mu wdzięczność. Nie mówmy już o tém, przerwał, rzecz skończona. To rzekłszy, pożegnał swoję teatralną księżniczkę i wyszedł. Zaprowadziła mnie zaraz do swojego gabinetu, a tam ujrzawszy się sama ze mną: udusiłabym się, zawołała, gdybym dłużéj musiała tłumić śmiéch w sobie. Po czém rzuciwszy się na wielkie krzesło, trzymając się za boki,



Dysputa pięknych dowcipów.

śmiała się do rozpuku, jakby od rozumu odchodząc. Nie podobna mi było wstrzymać się od naśladowania jéj przykładu, a kiedyśmy się już do sytu nacieszyli, przyznaj Gil Blasie, rzekła, żeśmy zabawną odegrali komedyę! Ale nie spodziéwałam się takiego rozwiązania, zamiarem moim było zapewnić ci stół i pomieszkanie i żeby ci to ofiarować z przyzwoitością, udałam cię za swojego brata. Cieszę się, że los ci nastręczył tak dobre miejsce. Margrabia de Marialva jest pan wspaniałomyślny, który pewnie więcéj zrobi dla ciebie, niż przyrzekł. Dodała jednak następnie, inna, możeby nie przyjęła tak mile człowieka, który opuszcza swoich przyjacioł, bez pożegnania nawet. Ale ja należę do tych dobrodusznych dziéwcząt, które z radością witają oszusta, którego kochały.

Przyznałem się z dobréj woli do mojéj niegrzeczności prosząc o przebaczenie; poczém zaprowadziła mnie do pokoju jadalnego, bardzo porządnego. Zasiedliśmy do stołu, a że świadkami naszemi była kobiéta jedna i lokaj, dla tego przy obiedzie tytułowaliśmy się siostrą i bratem. Po obiedzie udaliśmy się znowu do tegoż gabinetu, w którym piérwéj bawiliśmy. Tam moja niezrównana Laura, przybiérając swoję wrodzoną weso-

łość, żądała ode mnie, abym jéj zdał sprawę ze wszystkiego, co mi się przytrafiło po naszém rozłączeniu. Opowiedziałem jéj wszystko rzetelnie, a zaspokoiwszy jéj ciekawość, ona także zadowoliła moję, opowiadając swoję historyą w następujących wyrazach.

Rozdział VII.

Historya Laury.

Opowiém ci jak tylko będę mogła najzwięźléj jakim trafem przyjęłam powołanie komiczne.

Od czasu jakeś mnie tak grzecznie porzucił, wielkie u nas zaszły wypadki. Arsenia, moja pani, bardziéj znużona, aniżeli znudzona światem, wyprzysięgła się teatru i zabrała mnie z sobą na wieś bardzo ładną, którą w bliskości Zamory kupiła za monetę zagraniczną. Wnet zabrałyśmy znajomość w tym mieście. Często do niego jeździłyśmy, a przepędziwszy dzień jeden, lub dwa, zamykałyśmy się znowu w naszym zamku.

W czasie jednéj z tych małych wycieczek don Felix Maldonado, syn korregidora, ujrzał mnie trafem i podobałam mu się. Szukał sposobności rozmówienia się ze mną bez świadków; żeby zaś nic przed tobą nie taić, przyznam się, żem mu pomogła do jéj wynalezienia. Młody człowiek nie miał jeszcze dwudziestu lat; tak piękny jak sam bożek miłości, do malowania; a bardziéj jeszcze czarujący obejściem uprzejmém i szlachetném, niżeli postacią. Ofiarował mi z takim wdziękiem, i z takiém naleganiem wielki brylant, który miał na palcu, żem nie mogła odmówić przyjęcia. Czułam prawdziwą rozkosz mając kochanka tak miłego. Ależ co to za nieroztropność dziewczyn przywiązywać się do synów znakomitéj familii, których ojcowie mają władzę w ręku! Korregidor, najsurowszy może z podobnych sobie, zaledwie posłyszał o naszém porozumieniu, gdy natychmiast postanowił zapobiedz dalszym skutkom. Oddział algazilów z jego rozkazu pojmał mnie i bez względu na mój krzyk do szpitala panien miłosiernych zaprowadził.

Tam, bez żadnéj formy processu, przełożona kazała mi zdjąć pierścień i suknie, a odziać mnie w długą suknię z szaréj szarży, ściągniętą w pół szerokim, czarnym paskiem rzemiennym, z różańcem w wielkie paciorki, tak długim, że mi aż do kostek sięgał. Zaprowadzono mnie po tém wszystkiém do sali, w któréj zastałam podeszłego księdza, nie wiém z jakiego zakonu, który zaczął mnie zachęcać do pokuty, prawie w ten sam sposób, jak pani Leonardo wmawiała w ciebie cierpliwość w owych podziemiach. Mówił mi, żem winna wdzięczność tym, którzy mnie kazali zamknąć; że oni mi wielką wyświadczyli przysługę, wyrywając mnie z sideł szatańskich, w których już byłam uwikłana. Przyznam się otwarcie do mojéj niewdzięczności; zamiast czuć się obowiązaną tym, którzy mi taką rozkosz sprawili, ja ich serdecznie przeklinałam.

Ośm dni przepędziłam w tém utrapieniu, lecz dziewiątego, bom dobrze liczyła nawet minuty, los mój zdawał się przechylać ku odmianie. Przechodząc przez małe podwórko spotkałam ekonoma domu, osobę, któréj wszystko ulegało, przełożona sama była mu posłuszną. Rachunków ze swojego zarządu nie zdawał nikomu, tylko samemu panu korregidorowi, od którego jedynie zależał, a który w nim miał zupełne zaufanie. Zwał się Pedro Zendono, a miasteczko Salsedon w Biskai, szczyciło się jego urodzeniem. Wystaw sobie człowieka wysokiego, bladego, wysuszonego, figurę wybornie służyć mogącą za model do obrazu pokutującego łotra. Zaledwie raczył spojrzéć na siostry. Nie widziałeś nigdy takiéj postaci hipokryta, chociaż mieszkałeś tam gdzie ich najwięcéj bywa.

Otóż, mówiła daléj, spotkałam tego pana Zendono, który mnie zatrzymał, mówiąc: uspokój się moja córko, jestem wzruszony twojém nieszczęściem. Nie rzekł więcéj ani słowa, i poszedł daléj swoją drogą, pozwalając mi robić sobie objaśnienia dowolne nad textem tak lakonicznym. Ponieważ uważałam go za człowieka uczciwego, wystawiałam więc sobie po prostu, że zadał sobie pracę wybadania za co byłam zamknięta, a nieuważając mojéj winy za godną tak srogiéj kary, miał zamiar wstawić się za mną do korregidora. Nie znałam Biskajczyka, on tymczasem co innego miał w myśli. On marzył o podróży, z czém się mi zwierzył w kilka dni późniéj. Kochana Lauro, rzekł do mnie, tak jestem czuły na twoje cierpienia, że postanowiłem je skończyć. Nie tajno mi jest, że w tém moja zguba, ale ja już nie jestem swój, chcę tylko żyć dla ciebie. Stan w którym cię widzę wskroś przenika moją duszę. Jutro zaraz myślę cię wydobyć z tego więzienia, i sam zawiozę cię do Madrytu. Wszystko chcę poświęcić dla jedynéj przyjemności być twoim zbawcą.

Na te słowa Zendona o mało nie zemdlałam z radości; on zaś z moich dziękczynień wnosząc, że tego właśnie pragnę, aby się ztąd jak najprędzéj wydobyć, zaraz nazajutrz z największém zuchwalstwem, wobec całego świata, uprowadził mnie w sposób, jak ci zaraz opowiém. Oświadczył przełożonéj, że ma rozkaz zawieźć mnie do korregidora, który bawił w domu wiejskim o dwie mile od miasta i kazał mi bezczelnie siadać do powozu pocztowego, zaprzężonego we dwa muły, które w tym celu kupił. Jedynym służącym naszym był lokaj powożący, powiernik ekonoma. Ruszyliśmy więc w drogę, nie ku Madrytowi, jak ja rozumiałam, ale ku granicy portugalskiéj, dokąd prędzéj przybyliśmy, niż pan korregidor mógł dowiedzieć się o naszéj ucieczce i nim miał czas rozpuścić ogary za naszym tropem.

Nim wjechaliśmy do Braganzy, Biskajczyk kazał mi się przebrać po męzku, mając już do tego z przezornością przygotowany ubiór: a uważając mnie za osobę na jednym z sobą wózku jadącą, odezwał się do mnie: nadobna Lauro, nie urażaj się żem cię do Portugalii przywiózł; korregidor Zamory będzie nas szukał w naszéj ojczyznie, jak winowajców, którym Hiszpania wszelkiego powinna odmówić przytułku. Lecz w tym obcym kraju możemy się uchronić przed jego gniéwem, jakkolwiek jest on pod panowaniem hiszpańskiém. Przynajmniéj możemy być bezpieczniejsi, niż w ojczyznie własnéj. Pozwól się przekonać mój aniele; udaj się z człowiekiem, który cię ubóstwia. Osiądziemy w Coimbrze. Tam ja zostanę szpiegiem świętego oficyum, a pod cieniem tego trybunału groźnego, będziemy mogli pędzić dni bezkarnie w swobodnych rozkoszach.

Przedstawienie tak ogniste, przekonało mnie, że to nie był rycerz któryby chętne niósł usługi infantkom dla sławy rycerstwa. Pojmowałam, że mógł wiele rachować na moją wdzięczność; a jeszcze więcéj na niedostatek; jednakże, choć te dwie rzeczy silnie przemawiały na jego korzyść, ja przecież ze wzgardą odrzuciłam jego żądanie. Prawda że do objawienia téj skromności dwie ważne miałam przyczyny: naprzód nie podobał mi się wcale, powtóre uważałam go za ubogiego. Lecz gdy ponawiając swoje naleganie, oświadczył, iż przedewszystkiém chcę mnie pojąć za żonę, gdy mi pokazał, że na swojém ekonomstwie opatrzył się wybornie na długi czas, wyznać muszę, żem go zaczęła słuchać. Olśnił mnie widok złota i klejnotów, które rozłożył przed moimi oczyma, doświadczyłam wtedy że interes zdolny jest takie same robić metamorfozy, jak miłość. Mój Biskajczyk powoli zmieniał się w moich oczach. Jego wysoka, sucha postać, przybrała formę wysmukłéj kibici; bladość zamieniła się w piękną białą cerę, nawet jego mina hipokrycka zyskała nazwę zaszczytną. Wtedy bez odrazy przyjęłam jego rękę w obliczu Boga, którego brał na świadka swojego ślubu. Odtąd żadnego z mojéj strony nie doznał sprzeciwiania się. Puściliśmy się w dalszą drogę i wnet Coimbra ujrzała w murach swoich nowe gospodarstwo.

Mąż mój sprawił mi suknie bardzo porządne, ofiarował mi, kilka dyamentów, pomiędzy któremi poznałam pierścień don Felixa Maldonado. Więcéj téż niepotrzebowałam do odgadnięcia, zkądbyto wszystko pochodziło i do przekonania się, żem zaślubiła człowieka nie zbyt ściśle zachowującego siódme przykazanie bozkie. Lecz sądząc że to wszystko dla mnie robił, przebaczyłam mu w duszy.

Szczęśliwa z nim dosyć byłam przez dwa, czy trzy miesiące. Obejście jego zawsze było uprzejme, i zdawał się, kochać mnie serdecznie. A jednakże dowody jego przywiązania, były to fałszywe pozory: oszust zwodził mnie, i każda dziewczyna

uwiedziona przez niecnego człowieka spodziewać się powinna takiego postępowania, jakie on dla mnie gotował. Pewnego poranku wracając ze mszy, znalazłam w pomieszkaniu naszém tylko cztéry kąty; sprzęty i moje nawet manatki zniknęły. Zendono i jego wierny służalec, tak się skrzętnie sprawili, iż w godzinę niespełna rabunek był dokonany i doskonały; tak dalece, że w jednéj sukni, w któréj byłam i z pierścieniem don Felixa, który szczęściem miałam na palcu, zostałam opuszczona przez niewdzięcznika, jak druga Aryadna. Ale zaręczam ci, żem się nie bawiła w żadne treny; owszem dziękowałam Bogu, że mnie wybawił od zbrodniarza, który prędzéj czy późniéj musiałby był dostać się, w ręce sprawiedliwości. Czas, który z nim przeżyłam, uważałam za stracony, który sobie wynagrodzić potrafię. Gdybym chciała była pozostać w Portugalii, przyjąć obowiązki u jakiéj znakomitéj pani, mogłam to znaléźć bez trudności; ale czy to przywiązanie do ojczyzny, czy przeważny wpływ mojéj gwiazdy, zapewniając mi los świetniejszy, zgoła coś mimowolnie pociągało mnie do Hiszpanii. Udałam się do jubilera, który mi wartość mojego brylantu w złocie wyliczył, i puściłam się w drogę z podeszłą wiekiem panią hiszpańską, która kobryoletem do Sewilli zmierzała.

Ta pani, zwana Dorothea odwiedzała w Caimbrze swoją krewną i wracała do swojego zamieszkania w Sewilli. Takie było spółczucie między nami, iż zaraz piérwszego dnia serdecznieśmy się zaprzyjaźniły; w ciągu zaś podróży, tak dalece wzmogło się jéj przywiązanie do mnie, iż nie chciała zezwolić, abym gdzieindziéj, jeżeli nie w jéj domu mieszkać miała. Nie miałam nigdy powodu żałowania téj znajomości. Nie widziałam kobiéty z milszym charakterem. Z jéj rysów i wesołych oczu, można było wyczytać, że nie jedna gitara brzęczała na jéj cześć: dla tego téż kilku miała mężów szlachetnego rodu, a teraz uczciwie żyła z zapisów wdowich.

Między wielą wybornemi przymiotami, miała i ten, że się litowała nad nieszczęściem panien. Kiedym się jéj zwierzyła mojéj złéj doli, tak się tém mocno przejęła, że tysiące złorzeczeń wyrzekła przeciw Zendonowi. Psie plemię! rzekła tonem dającym do zrozumienia że i ona w drodze swojego życia musiała także zawadzić o jakiegoś ekonoma; nędzniki! są to na świecie takie oszusty, którzy sobie igraszkę robią z uwodzenia kobiét. Co mnie cieszy, moje kochane dziécię, mówiła daléj, to, że wedle twojego opowiadania, niczém nie jesteś związana z tym wiarołomnym Biskajczykiem. Małżeństwo twoje z jednéj strony jest dobre dla unlewinnienia ciebie, ale z drugiéj strony jest wcale nieważne i dozwala ci wejść w nowe i lepsze związki, jeżeli się sposobność nadarzy.

Wychodziłam codziennie z Dorotheą udając się do kościoła lub z odwiedzinami do przyjaciół; był to jedyny środek, natrafienia na jaką przygodę. Zwróciłam na siebie uwagę kilku młodych ludzi. Niektórzy probowali szczęścia, zasięgali wiadomości u mojéj przyjaciołki. Lecz jednym brakło funduszów na przyzwoite opatrzenie moje, innym nie dano jeszcze męzkiego ubioru; więcéj téż nie trzeba było, by mi oczy zatkać na ich miłosne oświadczenia. Znałam już skutki tego. Pewnego dnia, wzięła nas chętka, Dorotheę i mnie, zobaczyć grę aktorów Sewilskich. Ogłoszono przedstawienie: *La famosa Comedia, el Embaxador de sí-mismo*, napisaną przez Lope de Vega Carpio.

Pomiędzy aktorkami występującemi na scenę, poznałam jednę dawną przyjaciołkę. Była to Fenicya, owa krępa, wesoła pokojówka Florimondy, z którą nie raz jadłeś wieczerzę u Arsenii. Wiedziałam, że ona opuściła Madryt przed dwoma laty, alem się nie spodziéwała, żeby została aktorką. Tak żywo pragnęłam jak najprędzéj uściskać ją, że sztuka zdała mi się nieznośnie długą. Może téż to pochodziło i z winy tych, co ją przedstawiali, którzy nie grali ani dość dobrze, ani dość źle, żeby mnie zabawić. Bo wyznać ci muszę, że mnie aktor zupełnie śmieszny równie rozweselić zdoła, jak najwyborniejszy.

Wreszcie oczekiwana chwila nadeszła, to jest, *la famosa Comedia*, skończyła się; poszłyśmy zaraz za kulisy, gdzieśmy rzujały Fenicyą udającą kochankę; słuchała z przymileniem słodkiego śpiéwu młodego ptaszka, który zapewne złowił się na lep deklamacyi. Skoro mnie tylko ujrzała, z ujmującym wdziękiem opuściła swojego adonisa, z otwartemi rękami poskoczyła ku mnie, darząc mnie objawami najserdeczniejszéj przyjaźni; ja także uściskałam ją jak najszczerzéj. Wynurzyłyśmy sobie nawzajem radość z naszego spotkania się; lecz gdy ani czas, ani miejsce nie dozwalało dłuższéj zabawy, odłożyłyśmy więc rozmowę do dnia następnego.

Gadanie jest najwyższą rozkoszą kobiét, a osobliwie téż moją. Nie mogłam oka zmrużyć przez całą noc, tak dalece pałałam żądzą spotkania się z Fenicyą, by ją obsypać pytaniami. Bóg tylko wié, jak szybko zerwałam się, by pobiedz do wskazanego mi jéj mieszkania. Stała razem z całą trupą w wielkim hotelu umeblowanym. Służąca którą spotkałam wchodząc, na prośbę moją zaprowadziła mnie na kurytarz, na którym znajdowało się dziesięć do dwunastu izb, poprzedzielanych deskami, zajętych przez to wesołe towarzystwo. Przewodniczka moja zapukała do drzwi Fenicyi, którą język równie świerzbiał jak mnie, dla tego szybko otworzyła. Ledwieśmy zdążyły usiąść do szczebiotania. Miałyśmy tyle do gadania, i o tylu rzeczach, że pytania i odpowiedzi, tak leciały jak paprzyca.

Opowiedziawszy sobie wzajemnie swoje przygody, przedstawiwszy sobie obecne położenie, Fenicya zapytała się mnie, cobym przedsięwziąć zamierzała; boć z resztą, rzekła, trzeba coś robić; osobie w twoim wieku nie wolno żyć bez użytku dla społeczności. Odpowiedziałam jéj, że nim coś lepszego się zdarzy, postanowiłam szukać miejsca przy jakiéj znakomitéj pannie. Wstydź się moja kochana, zawołała Fenicya, to ty jeszcze o tém myślisz! Czyż podobna, aby ci dotąd jeszcze służba nie obmierzła? jeszcześ cię nie znudziło ulegać cudzéj woli, szanować obce wybryki, słuchać łajania, słowem, być niewolnicą? Czemuż za moim przykładem nie zostaniesz aktorką? Nie masz nic stosowniejszego dla osoby, któréj brak majątku i urodzenia. Jest to stan środkujący między szlachectwem a mieszczaństwem, powołanie wyzwolone od wszelkiego przymusu przyzwoitości, tak krępującéj w życiu cywilném. Publiczność posiada fundusze, z których nam wypłaca nasze dochody w brzęczącéj monecie. Pędzimy życie zawsze wesołe, rozrzucając pieniądze z tą samą łatwością, z jaką je nabywamy.

Teatr, mówiła daléj, jest szczególniéj dla kobiét korzystny. Kiedym jeszcze mieszkała u Florimondy, wstyd mnie wspomnić o tém, zmuszona byłam jedynie słuchać najemników trupy teatru książęcego; żeby téż jakiś uczciwszy człowiek choć spojrzał na mnie. A zkąd to pochodziło? oto, że nie byłam na widoku. Najpiękniejszy obraz, skoro nie będzie umieszczony w przyzwoitém świetle, nie zwróci niczyjéj uwagi. Lecz od czasu gdym stanęła na moim postumencie, to jest na scenie, cóż to za różnica! Najznakomitsza młodzież po miastach przez które przeciągamy, biegnie w trop za mną. Aktorka ma wiele przyjemności w swojém powołaniu. Jeżeli jest roztropna, chcę mówić, jeżeli jednemu tylko na raz sprzyja kochankowi, to jéj zabezpiecza honor w świecie; chwalą jéj skromność. Kiedy zaś zmienia gacha, uważają ją za wdowę w powtórne wstępującą szluby. Co większa, wdowa zyskuje pogardę, skoro trzecie odprawia gody, mówią, że obraża delikatniejsze uczucia; gdy tymczasem aktorka tém szacowniejszą się staje, im większą liczbę ma ulubieńców. Po stu zalotnikach, tém ponętniéjszą staje się dla panów.

Komuż to mówisz? przerwałam w tém miejscu, mniemaszże, iż nie znam tych korzyści? Nie raz ja nad niemi rozmyślałam, a nie potrzebuję robić przed tobą tajemnicy, dziewczyna taka jak ja, musiała koniecznie wielki do nich czuć pociąg. Ja mam nawet wielką ochotę do teatru, ale to nie dosyć; trzeba talentu, a tego ja nie mam. Ja kilka razy probowałam, deklamując przed Arsenią wyjątki ze sztuk teatralnych, ale jéj się nie podobało, i to mnie zniechęciło do tego powołania. To widzę ciebie łatwo spłoszyć, odezwała się Fenicya. Czy nie wiész, że te wielkie aktorki, są pospolicie zawistne? Mimo całą ich próżność, boją się, aby ktoś ich sławy nie zagasił. Zresztą nie chcę w tym względzie spuszczać się na Arsenią, ona nie była

szczérą. Ja ci powiém bez pochlebstwa, żeś ty się urodziła do teatru. Jesteś naturalną, akcya twoja swobodna a pełna wdzięku, głos miły, piersi mocne, a przytém wszystkiém twarzyczka ładna! Ah, ty hultajko, iluż ty chłopców oczarujesz, skoro zostaniesz aktorką.

Jeszcze mi wiele innych rzeczy pouętnych nagadała, poczém kazała mi deklamować kilka wiérszy, abym sama osądziła moją zdolność do zawodu komicznego. Gdy mnie wysłuchała, wtedy było wcale co innego. Obsypała mnie oklaskami i postawiła mnie wyżéj nad wszystkie aktorki Madryckie. Wówczas zapewne każdy miałby mi za złe, gdybym jeszcze powątpiéwała o moim talencie. Arsenia została obwiniona i potępiona o zazdrość i złą wiarę. Musiałam się zgodzić, żem była podziwienia godną. Dwaj aktorowie przybyli w tym momencie, Fenicya zobowiązała mnie, abym w ich przytomności powtórzyła też same wiérsze, którem poprzednio deklamowała; obadwa z pewnym rodzajem zachwycenia uwielbiali mnie. W istocie, gdyby wszyscy poszli o zakład co do pochwał moich, nie potrafiliby zapewne dobrać wyrażeń bardziéj przesadzonych. Skromność moja nie potrafiła stawić czoła takim uwielbieniom. Uwierzyłam stanowczo, że ja coś przecie znaczę, i odtąd nabrałam ochoty do komedyi.

Oh tak, moja droga, rzekłam do Fenicyi, stało się! pójdę za twoją radą i zapiszę się do waszéj trupy, jeżeli się wam podoba. Na te słowa przyjaciołka moja uradowana, uściskała mnie, a dwaj towarzysze jéj zdali mi się nie mniéj zachwyceni usłyszawszy moje postanowienie. Ułożyłyśmy się więc, że nazajutrz rano udamy się do teatru i przed zebraną w całości trupą, złożę tę samą próbkę mojego talentu. Jeżeli u Fenicyi korzystne o sobie powzięłam mniemanie, tedy zebrana trupa z większą jeszcze osądziła mnie przychylnością, skorom w jéj obecności, ze dwadzieścia wiérszy powtórzyła. Chętnie przyjęli mnie do swojego grona, poczém zajęłam się tylko przygotowaniem do piérwszego wystąpienia. Żeby zaś uczynić je tém świetniejsze, użyłam wszystkich pieniędzy, jakie mi jeszcze z wartości pierścienia pozostały, a co brakło do przepychu, zastąpiłam to wykwintnością gustu.

Wreszcie wystąpiłam po raz piérwszy na scenę. Co za oklaski! jakie pochwały! Wyznam ci mój kochany, że to wielka skromność z mojéj strony, jeżeli ci powiém, żem zachwyciła słuchaczów. Trzeba było koniecznie być świadkiem téj wrzawy, jaką wywołałam w Sewilli, aby temu uwierzyć. Stałam się przedmiotem rozmowy w całém mieście, a publiczność przez całe trzy tygodnie tłumnie się zbiérała w teatrze, tak dalece, że trupa odzyskała znowu słuchaczów, którzy ją opuszczać zaczęli. Piérwsze zatém wystąpienie moje, było zachwycające. Taki zaś wstęp był niejako ogłoszeniem, żem była do wzięcia, dla więcéj dającego, dla tego, który najwięcéj postąpi. Dwudziestu mężczyzn różnego wieku i stanu ofiarowało się zająć mną. Gdybym chciała iść za skłonnością serca, byłabym wybrała najmłodszego i najpiękniejszego, lecz gdy idzie o ustalenie bytu naszego, my aktorki musimy się radzić jedynie interesu i ambicyi; to jest prawidło teatralne. Dla tego też przeniosłam nad wszystkich don Ambrosio de Nisana, człowieka już podeszłego i brzydkiego, ale zamożnego, szlachetnego i najznakomitszego pana w całéj Andaluzyi. Prawda, że te względy kazałam sobie dobrze zapłacić. Najął mi piękny dom, urządził go wspaniale, dał mi wybornego kucharza, dwóch lokajów, pokojówkę i tysiąc dukatów miesięcznie na drobne wydatki. Dodać do tego trzeba bogaty strój i znaczną ilość klejnotów. Nigdy Arsenia w świetniejszym nie była stanie. Cóż to za odmiana mojego losu! Umysł mój znieść tego nie potrafił. Sama sobie zdałam się być inną osobą. Teraz się nie dziwię wcale, że są kobiéty, które w krótkim czasie zapominają o niczości, z jakiéj ich, kaprys bogatego pana niespodzianie wydźwignie. Przyznam ci się szczérze, że oklaski publiczności, pochlebne wyrażenia, które się ze wszech stron o moje uszy obijały, namiętne przywiązanie don Ambrosio, natchnęły mnie próżnością aż do szaleństwa dochodzącą. Talent mój uważałam za dyplom szlachectwa. Przybrałam postawę damy znakomitego rodu; a stawszy się równie chciwą wejrzeń zalotnych jak pierwéj niemi zbyt hojnie sama szafowałam, postanowiłam nie zwracać uwagi, jak tylko na samych książąt, hrabiów, margrabiów.

Pan de Nisana przychodził do mnie codzień na wieczerzę z kilkoma przyjaciołmi. Ja z mojéj strony przybiérałam zawsze kilka aktorek wesołych, i większą część nocy przepędzaliśmy na śmiéchach i pijatyce. Podobało mi się niesłychanie tak rozkoszne życie, ale ono trwało tylko sześć miesięcy. Wielcy panowie są bardzo zmienni, gdyby nie to, byliby aż nazbyt miłymi. Don Ambrosio porzucił mnie dla młodéj zalotnicy granadyjskiéj świéżo do Sewilli przybyłéj. Nie zbywało jéj na wdziękach, ani na sztuce korzystania z nich. Nie trapiło mnie to dłużéj nad dwadzieścia cztéry godzin. W miejsce jego wybrałam młodego człowieka, zaledwie dwadzieścia dwa lata liczącego, don Louis d'Alcacer, który mało sobie równych miał w całéj Hiszpanii co do urody.

Zapewne zapytasz się mnie i nie bez zasady, dla czego tak młodego kochanka wybrałam, ja com już z doświadczenia wiedziała, że stosunki z gachami tego rodzaju są niebezpieczne. Muszę ci więc powiedzieć, że don Louis nie miał ani ojca, ani matki i już sam rządził dobrami swojemi, a prócz tego związki takowe niebezpieczne są tylko dla dziewcząt służebniczego stanu, lub nieszczęśliwych awanturnic. W naszym zawodzie kobiéty są istotami uprzywilejowanemi, my nie odpowiadamy wcale za skutki naszych wdzięków; tém gorzéj dla rodzin, których spadkobierców podskubujemy.

Rozkochaliśmy się oboje, ale to tak, że żadna miłość, jak mi się zdaje, nie wyrównywała téj, jakąśmy oboje ku sobie pałali. Kochaliśmy się z takiém zaślepieniem, iż sądziłbyś żeśmy byli zaczarowani. Wszyscy którzy o tém wiedzieli poczytywali nas za najszczęśliwszych w świecie kochanków, a my może byliśmy najnieszczęśliwsi. Don Louis był wprawdzie bardzo piękny, ale nadzwyczaj zazdrosny, co chwila dręczył mnie niesłusznemi podejrzeniami. Na nic mi się nie przydało, gdy dla zastosowania się do jego słabości i ten przymus sobie zadawałam, żem na żadnego nie spojrzała mężczyznę, podejrzliwość jego przebiegła w wynajdywaniu uchybień, usiłowania moje robiła bezużytecznemi. Jeżelim występowała na scenę, zdawało mu się że grając moją rolę, zalotném okiem rzucałam na jakiego młodego mężczyznę i zaraz mnie nudził wyrzutami; słowem najczulsze nasze rozrywki przeplatane były zawsze swarami. Nie było podobna wytrzymać tego, obojgu nam zabrakło cierpliwości, zerwaliśmy z sobą po przyjacielsku. Czy uwierzysz, że ostatni dzień związków naszych, był dla nas najprzyjemniejszym? Oboje zarówno znużeni przykrościami, jakieśmy przecierpieli, objawiliśmy najżywszą radość przy pożegnaniu. Byliśmy podobni do biédnych jeńców odzyskujących wolność z twardych okowów.

Od tego czasu byłam bardzo ostrożna z miłością. Nie chcę przywiązania zatruwającego moję spokojność. Nam wcale nieprzystoją wzdychania, jakie innym kobiétom dozwolone. Nie wypada poddawać się namiętności prywatnie, którą wyszydzamy publicznie.

Przez ten czas otworzyłam pole sławie do działania, rozniosła ona po wszystkich stronach, żem była aktorką niepodobną do naśladowania. Na słowo téj bogini aktorowie z Granady pisali do mnie z przedstawieniem, czylibym nie weszła do ich trupy, żeby mnie zaś przekonać, że to nie jest rzecz pogardy godna, przysłali mi stan ich dziennych wydatków i abonamentu, z czego okazywała się nie mała dla mnie korzyść. Dla tego też przyjęłam wezwanie, chociaż w gruncie przykro mi było opuszczać Fenicyą i Dorotheą, które tak kochałam, jak tylko kobiéta zdolną jest kochać inną. Piérwszą zostawiłam w Sewilli zajętą przetapianiem sréber nie bardzo zamożnego złotnika, któremu przez możność podobało się aktorkę miéć kochanką. Zapomniałam ci powiedzieć, że wstępując do zawodu aktorskiego, przez fantazyą zmieniłam imię Laura, na Estella i pod tym ostatnim udałam się do Granady.

W Granadzie nie mniéj szczęśliwie wystąpiłam jak w Sewilli, i wnet ujrzałam się otoczoną tłumem kochanków. Nie chcąc atoli sprzyjać żadnemu, jeżeli nie pod złotém godłem, zachowywałam więc względem nich skromność, która wszystkich odurzyła. Żeby wszakże nie zawieśdź się na postępowaniu, które do niczego nie prowadzi, a które nawet niezgodne było z moją naturą, postanowiłam udarować względami młodego panicza z krwi mieszczańskiéj, który udawał pana, z urzędu, wykwintnego stołu i pysznych powozów, gdy w tém poznałam markiza de Marialva. Ten pan portugalski podróżuje po Hiszpanii dla zaspokojenia swojéj ciekawości i zatrzymał się w Granadzie. Przyszedł do teatru: ja nie występowałam w tym dniu. Przypatrywał się bacznie aktorkom i upodobał sobie jednę z nich. Zaraz nazajutrz poznał się z nią i już był gotów do układu, gdy ja pokazałam się na scenie. Widok mój i moje przymilanie się wykręciły chorągiewkę; mój portugalczyk do mnie się przywiązał. Trzeba wyznać prawdę, że wiedząc, iż moja towarzyszka przypadła mu do gustu, nieoszczędzałam niczego aby go jéj odbić i szczęściem dokazałam swojego. Wiém o tém że się gniéwa na mnie, ale cóż tu poradzić. Powinnaby się zastanowić, że to rzecz u kobiét tak naturalna, iż najserdeczniejsze przyjaciołki najmniejszego w tym względzie nie robią sobie skrupułu.

Rozdział VIII.

Jak granadyjscy aktorowie przyjęli Gil Blasa.

Kiedy Laura kończyła swoje opowiadanie, weszła do niéj stara aktorka jéj sąsiadka, aby ją zabrać z sobą na komedyą. Ta szanowna bohatyrka teatralna była wówczas najwłaściwszą do przedstawienia roli Meduzy. Moja siostra nie omieszkała przedstawić swojego braciszka téj figurze starożytnéj, w skutek tego długie oświadczenia grzeczności z jednéj i drugiéj strony.

Zostawiłem obiedwie, powiedziawszy wdowie ekonoma, że przyjdę do niéj do teatru, skoro moje manatki zaniosę do margrabiego de Marialva, którego mieszkanie sama mi wskazała. Udałem się więc naprzód do mojego najętego pokoju i zaspokoiwszy gospodynię przeniosłem się do wielkiego hotelu umeblowanego, w którym mieszkał mój nowy pan. We drzwiach spotkałem jego marszałka, na zapytanie, czybym nie był bratem dony Estelli, odpowiedziałem, że właśnie jestem nim. Witam więc pana,rzekł mi, margrabia de Marialva, u którego mam zaszczyt być marszałkiem pałacowym, rozkazał mi przyjąć go jak najprzyzwoiciéj. Przygotowano dla pana pokój, zaprowadzę go jeżeli łaska, aby mu wskazać drogę. Na najwyższym piętrze domu wpuścił mię do pokoju tak ciasnego, że łóżko wązkie, szafka i dwa stołki całe w nim miejsce zajmowały. To właśnie była moja komnata. Nie będzie tu panu bardzo przestrono, odezwał się mój przewodnik, ale natomiast zaręczam panu, że w Lizbonie będziesz miał pyszne pomieszkanie. Zamknąłem mój tobołek w szafie, schowałem klucz i zapytałem się o któréj godzinie bywa wieczerza. Odpowiedziano mi, że pan portugalski niéma u siebie kuchni i każdemu ze służących płaci pewną kwotę miesięcznie na żywność. Z kilku innych jeszcze pytań i odpowiedzi powziąłem przekonanie, że służący margrabiego były to szczęśliwe próżniaki. Po krótkiéj rozmowie pożegnałem pana marszałka; wracając do Laury, snułem miłe marzenia o przyszłém szczęściu nowéj służby mojéj.

Skorom stanął u drzwi teatralnych i podałem się za brata Estelli, wszystko się przede mną rozwarło. Żebyście widzieli z jaką skwapliwością straż torowała mi drogę wszędzie, jak najznakomitszemu magnatowi Granady. Wszyscy najemnicy, odbiérający bilety i kontramarki, których spotkałem na drodze, najgłębsze składali mi pokłony. Lecz co szczególniéj pragnąłbym odmalować, to najważniejsze przyjęcie, a razem najkomiczniejsze w sali, w któréj zastałem wszystkich aktorów już ubranych i gotowych do rozpoczęcia sztuki. Aktorowie i aktorki hurmem rzucili się do mnie, skoro mnie Estella przedstawiła. Mężczyzni mało mnie nie udusili swoimi uściskami, a następnie kobiéty illuminowane swoje twarzyczki przyciskając do mojéj, obłożyły ją rumieńcem i bielidłem. Ponieważ żaden nie chciał być ostatnim w wynurzeniu mi swoich uczuć, wszyscy więc razem mówili. Nie potrafiłbym odpowiadać wszystkim zarazem, lecz siostra przybyła mi na pomoc, a jéj wprawny język tyle dokazał, żem nikomu dłużnym nie został.

Nie skończyło się na uściskach aktorów i aktorek, musiałem jeszcze wytrzymać oświadczenia grzeczności dekoratorów, basistów, suflera, objaśniacza i podobjaśniacza świéc, z resztą całéj służby teatralnéj, która na odgłos mojego przybycia zbiegła się, by mnie obejrzéć. Zdawałoby się że to są dzieci znalezione, które nigdy nie widziały brata.

Zaczęto sztukę; znajdujący się w sali panowie udali się na swoje miejsca dla słuchania komedyi, a ja pozostałem rozmawiając z aktorami nie należącymi do sztuki. Na jednego z nich zawołano Melchior. To imię uderzyło mnie. Zacząłem się przypatrywać osobie, do któréj należało i zdało mi się, żem ją gdzieś widział. Wreszcie przypomniałem sobie owego Melchiora Zapata, biédnego aktora prowincyonalnego, który, jakto wyżéj namieniłem, maczał skórki chleba w strumieniu.

Wziąłem go natychmiast na stronę i rzekłem: jeżeli się nie mylę, pan jesteś tym Melchiorem, z którym miałem szczęście jeść śniadanie nad brzegiem czystego strumienia między Valladolid i Segovią. Byłem wtedy z cyrulikiem. Mieliśmy wówczas małe zapasy, które połączywszy odprawiliśmy skromną ucztę zaprawioną dowcipnemi powiastkami. Zapata po krótkim namyśle odpowiedział, mówisz mi o rzeczy, którą sobie bez trudności przypominam. Wówczas po piérwszém wystąpieniu w Madrycie wracałem do Zamory, pamiętam nawet, że wówczas bardzo krucho było koło mnie. I ja także przypominam sobie dobrze, żeś wtenczas miał kaftan podszyty afiszami teatralnemi. I tego także nie zapomniałem, żeś ubolewał nad zbytnią skromnością swojéj żony. Oh, teraz wcale się na to nie skarżę, przerwał szybko Zapata. Dzięki Bogu, moja komoszka poprawiła się w tym względzie, i dla tego mój kaftan ma dziś lepszą podszewkę.

Zabiérałem się winszować mu rozsądku żony, gdy w tém przyszła koléj na niego wystąpienia na scenę. Ciekawy poznać żonę jego, zapytałem się jednego z aktorów, który mi ją pokazał mówiąc: oto ją masz, jestto Narcissa najpiękniejsza z naszych aktorek po twojéj siostrze. Domyślałem się, że to musi być taż sama, którą polubił margrabia Marialva piérwéj nim zobaczył swoję Estellę, a domysł mój był zupełnie prawdziwy. Po skończeniu sztuki odprowadziłem Laurę do jéj mieszkania, gdziem widział kilku kucharzy zajętych przyrządzaniem wieczerzy. Możesz tu zjeść wieczerzę, mówiła mi. Tego nie zrobię wcale, odpowiedziałem, może margrabia zechce być sam z tobą. Oh, nie, rzekła, on tu przyjdzie z dwoma przyjaciołmi swoimi i jednym aktorem, od ciebie więc zależy zająć miejsce szóste. Ty wiész, że u komedyantek sekretarze mają przywiléj siadać do jednegoż stołu z panami. Prawda, odpowiedziałem, aleby to za prędko było stawać na stopie sekretarza ulubieńca. Wypada piérwéj, abym spełnił jakie polecenie poufne, aby zasłużyć na to miejsce zaszczytne. To mówiąc wyszedłem od Laury zmierzając do mojéj garnkuchni, gdzie zamyślałem jeść codziennie, kiedy pan mój nie miał gospodarstwa.

Rozdział IX.

Z jakim osobliwszym człowiekiem, Gil Blas jadł wieczerzę.

W sali zastałem człowieka starego, który w ubiorze szarym, jakoś na mnicha wyglądał, a siedząc w kącie, zajadał swoję wieczerzę. Przez ciekawość usiadłem naprzeciw niego, przywitałem go bardzo grzecznie, on z podobnąż odpowiedział uprzejmością. Zacząłem z wielkim apetytem sprzątać podaną mi potrawę, nie mówiąc ani słowa, ale raz po raz spoglądałem na owego człowieka, który oka ze mnie nie spuszczał. Zniecierpliwiony tą jego natężoną uwagą, odezwałem się doń w te słowa: Ojcze, czyśmy się przypadkiem nie widzieli gdzie dawniéj? Przyglądasz mi się jako osobie nie zupełnie ci obcéj. Na to on z powagą: jeżeli wzrok mój badawczy zwracam na ciebie, to dlatego, że w rysach twojéj twarzy, wyczytuję zdumiéwającą mnogość przygód najrozmaitszych. Jak widzę, rze-

kłem tonem szyderczym, wasza wielebność wdaje się w metoposcopią (1). Mógłbym się poszczycić, odpowiedział, że ją znam gruntownie, i że przepowiedniom moim, czas fałszu nie zadał; nie mniéj biegły jestem w chiromancyi (2), i mogę zapewnić, że wróżba moja jest nieomylną, skoro badania twarzy stwierdzę na dłoni.

Lubo ten starzec miał pozór człowieka wcale rozsądnego, mnie się jednak wydał tak głupi, że nie mogłem się wstrzymać, i w oczy mu się roześmiałem. Zamiast obrazić się moją niegrzecznością, on się uśmiechnął, a obejrzawszy się po sali dla przekonania się, czy nas kto nie podsłuchuje, odezwał się w te słowa: Nie dziwię się bynajmniéj uprzedzeniu twojemu przeciw dwom umiejętnościom, które dziś za błahe poczytują; ślęczenie długie i przykre, jakich one wymagają, zrażają wszystkich uczonych, którzy porzuciwszy je, wyszydzają przez złość, że ich nabyć nie potrafili. Mnie zaś nie odstręczyła gruba ciemność, która je otacza, ani mnie odstraszają tysiączne trudności, bezustannie napotykane, w śledzeniu tajników chemii, w sztuce cudownéj przemiany kruszców na złoto.

Lecz nie zastanowiłem się, mówił daléj, hamując się niejako, że prawię do człowieka, któremu w istocie wszystko to może się wydawać prostém marzeniem. Mała próbka mojéj umiejętności, lepiéj może, nad to wszystko cobym mógł powiedzieć, usposobi cię do korzystniejszego o mnie wyroku. Poczém wydobył z kieszeni flaszeczkę napełnioną jakimś płynem różowym, mówiąc: oto jest elixir, który dziś rano wydobyłem z pewnych roślin, przez alembik przepędzonych; bo ja podobnie jak Demokryt, poświęciłem całe życie na śledzenie własności pierwiastków i minerałów. Zaraz doświadczysz jego mocy. Wino, które pijemy, jest bardzo złe, stanie się wnet wybornem. W téj chwili wpuścił dwie krople swojego elixiru w moją butelkę, a wino zamieniło się w najwyśmienitsze, jakie tylko może się znaleźć w całéj Hiszpanii.

Dziwy uderzają wyobraźnią, a skoro ta jest ujętą, rozsądek traci władzę. Zachwycony tak wyborną tajemnicą, przekonany; że trzeba być czémś więcéj jak szatanem, żeby jéj dociec, uniesiony podziwem, zawołałem: O mój ojcze, przebacz mi łaskawie, żem zrazu uważał cię za starego głupca; teraz oddaję ci sprawiedliwość. Nie potrzebuję więcéj dowodów dla przekonania się, że skorobyś zechciał, potrafiłbyś szynę żelaza przemienić natychmiast w sztabę złota. Jakżebym ja był szczęśliwy, znając tę umiejętność. Niech cię Bóg zachowa, od jéj nabycia! przerwał starzec z głębokiém westchnieniem. Nie wiész, mój synu, czego pragniesz. Zamiast zazdrościć mi, ubolewaj raczéj nademną, żem tyle trudu poniósł, aby się zrobić nieszczęśliwym. Jestem w bezustannéj obawie, lękam się, aby mnie nie wykryto, i aby dożywotnie więzienie, nie zostało nagrodą trudów moich. W téj trwodze, błędne wiodę życie, przebrany raz za księdza, drugi raz za mnicha, to znowu jako młody szlachcic lub wieśniak. Jestże więc jaka korzyść z umiejętności robienia złota za taką nagrodę? a skarby nie sąż istną męczarnią dla człowieka, który ich używać nie może spokojnie?

Ta mowa zdaje mi się bardzo rozsądna, rzekłem, nie masz nic nad spokojność. Nie chcę znać kamienia filozoficznego. Radbym tylko dowiedzieć się od ciebie, co mnie ma spotkać w przyszłości. Z wielką ochotą moje dziécię, odpowiedział, zbadałem już rysy twojéj twarzy, zobaczmy teraz rękę. Przedstawiłem mu ją z ufnością, która mi nie największy zaszczyt zjedna w oczach niejednego czytelnika, który może na mojém miejscu toż samoby zrobił. Przypatrywał się jéj z wielką uwagą, a potém odezwał się z uniesieniem: Ah! jakieżto przemiany smutku z radością, radości ze smutkiem! Co za dziwaczne poplątanie niedoli z pomyślnością! lecz już wielką część tych zmian losu przeżyłeś; już nie doznasz nieszczęść więcéj, a pan jeden, zapewni ci błogie przeznaczenie, żadnym nie ulegające zmianom.

Zapewniwszy mnie, że mogę zaufać téj przepowiedni, pożegnał się ze mną, i wyszedł z garkuchni, zostawiając mnie zadumanego nad tém, com słyszał. Nie wątpiłem, że margrabia de Marialva jest właśnie tym panem, o którym mówił, dla tego więc spełnienie przepowiedni zdało mi się bardzo możliwe. Ale choćbym téż najmniejszego w tém nie widział pozoru, to wszakże nie byłoby mnie wstrzymało od zawierzenia udanemu mnichowi, tak wielką nad umysłem moim zyskał powagę, przez swój elixir. Żeby atoli przyśpieszyć szczęście przepowiedziane, postanowiłem służyć margrabiemu z większą jeszcze szczerością, niż któremukolwiek z moich dawniejszych panów. Takie powziąwszy postanowienie, wracałem do naszego hotelu z radością do wyrażenia niepodobną; żadna kobiéta tyle zadowolona nie wychodziła nigdy od wróżki.

Rozdział X.

O poleceniu daném Gil Blasowi przez margrabiego de Marialva.

Margrabia nie powrócił jeszcze od swojéj komedyantki, w pokojach zaś jego zastałem pokojowców czekających na niego, a tymczasem bawiących się kartami. Zabrałem znajomość z nimi, i naśmieliśmy się do woli, aż do drugiéj godziny po północy, kiedy pan przyszedł. Zdziwił się nieco, spostrzegłszy mnie, i z wielką łagodnością, z któréj miarkowałem, że był kontent z wieczoru, odezwał się do mnie: Jak to Gil Blasie, ty jeszcze nie śpisz? Odpowiedziałem, żem chciał piérwéj wiedzieć, czy mi nie ma co do rozkazania. Może będę miał, mówił mi, jutro rano jakie polecenie; ale dosyć będzie wtedy czasu do powiedzenia. Idź spać i pamiętaj, że cię uwalniam od wyczekiwania na mnie, ja tylko potrzebuje moich pokojowców.

Po takowém ostrzeżeniu, które w istocie bardzo mnie cieszyło, ponieważ oszczędzało mi uległości, może nie raz dość przykréj, zostawiłem margrabiego w jego pokoju, a sam udałem się do mojéj komórki. Położyłem się, a nie mogąc zasnąć wpadło mi do głowy iść za radą Pitagoresa, to jest rozpamiętywać wieczór cośmy przez dzień robili, aby się pochwalić z dobrych czynności, zganić za złe.

Nie czułem sumienia mojego zbyt czystém, abym miał być kontent z siebie, wyrzucałem sobie żem poparł kłamstwo Laury. Dobrześ to com mówił sobie tłumacząc się, żem nie mógł przyzwoicie zadać kłamstwa kobiécie, któréj jedynym celem było zrobić mi przyjemność, że poniekąd zmuszony byłem do spólnictwa w tym podstępie; nie kontent wszakże z tego tłumaczenia odpowiadałem sobie, że nie należało posuwać szalbierstwa tak daleko, że trzeba miéć bardzo wytarte czoło, aby odważyć się mieszkać u pana, którego zaufanie tak haniebnie zdradzałem. Wreszcie po ścisłéj rozwadze zgodziłem się sam z sobą, że jeżeli nie byłem oszustem, nic mi już do tego nie brakło.

Przechodząc potém do skutków, uważałem, żem wiele stawił na kartę, zwodząc znakomitego pana, który może za karę grzechów moich niedługo wykryje szalbierstwo. Tak sprawiedliwa uwaga przejęła niejaką trwogą mój umysł, ale miłe obrazy przyjemności i zysków szybko ją stłumiły. A prócz tego wróżba owego człowieka z elixirem potrafiła mnie zupełnie uspokoić. Zapuściłem się więc w krainę marzeń przyjemnych. Przy pomocy reguł arytmetycznych obliczałem ile téż wyniesie myto moje po dziesięciu latach służby. Dodawałem do tego łaskawe dary, jakich spodziéwałem się od mojego pana, a mierząc je według szczodrobliwego humoru jego, czyli raczéj według życzeń moich, wpadłem w przedrażnienie wyobraźni, jeżeli tak rzec mogę, które żadnéj tamy szczęściu mojemu nie stawiało. Taki nawał dobra znużył mnie powoli, zasnąłem, budując zamki na lodzie.

Nazajutrz wstałem rano o ósméj godzinie spiesząc po rozkazy pana mojego, lecz otwierając drzwi zdumiałem się ujrzawszy go przed sobą w ubiorze rannym, był sam jeden. Gil Blasie, rzekł do mnie, wczoraj wieczór opuszczając twoję siostrę, przyrzekłem jéj, że dziś rano będę u niéj, ale ważny interes nie pozwala mi dotrzymać słowa. Idź powiédz jéj, że mi przykre to zdarzenie, ale zapewnij ją, że będę u niéj na wieczerzy. Ale to nie wszystko, dodał, kładąc mi w ręce worek i pudełko brylantami wysadzane, zanieś jéj mój portret

(1) *Metoposcopia* z rysów twarzy odgadywanie skłonności duszy.
(2) *Chiromancia* wróżenie z ręki.

a dla siebie zatrzymaj ten worek z pięćdziesięcią luidorami, które ci ofiaruje na znak mojéj przychylności. Jedną ręką ująłem portret, a drugą worek, na który wcale nie zasłużyłem. Pobiegłem natychmiast do Laury, mówiąc sobie w uniesieniu radości: „wybornie, przepowiednia spełnia się widocznie; jakież to szczęście być bratem siostry pięknéj i zalotnéj! szkoda tylko, że w tém nie ma tyle zaszczytu, ile zysku i przyjemności.”

Laura, wbrew zwyczajom kobiét swojego zawodu, miała zwyczaj wstawać rano. Zastałem ją ubierającą się, gdy oczekując swojego Portugalczyka wrodzone wdzięki krasiła pomocniczemi ponęty, jakich tylko sztuka zalotnicza użyczyć jéj mogła. Miła Estello, odezwałem się wchodząc, magnesie cudzoziemców, w téj chwili mógłbym już z panem zasiąść do stołu, ponieważ zaszczycił mnie zleceniem nadającym do tego przywiléj, a z którego przychodzę się wywiązać. Nie będzie miał przyjemności bawić się z tobą dziś rano, jak to zamierzył; żeby cię wszakże pocieszyć będzie dziś wieczór jadł z tobą wieczerzę, przysyła ci przy tém swój portret, co zdaje mi się jest rzeczą bardziéj jeszcze pocieszającą.

Oddałem jéj pudełko, które blaskiem brylantów niezmiernie wzrok jéj ucieszyło. Otworzyła je, a popatrzywszy przez chwilę na malowidło, jakby na dowód odebrania, zamknęła, a wracając do klejnotów wychwalała ich piękność i rzekła z uśmiechem: otóż to takie kopie dla pań teatralnych milsze są daleko nad same oryginały.

Powiedziałem jéj potém, że szlachetny portugalczyk, powierzając mi portret, ofiarował mi także pięćdziesiąt luidorów. Winszuję ci, rzekła, ten pan zaczyna od tego, na czém rzadko który kończy. Tobie to, moje bóstwo, winienem ten dar, odezwałem się, margrabia bez wątpienia miał wzgląd na braciszka. Życzyłabym, odpowiedziała, żeby ci codzień toż samo ofiarował. Nie potrafię wyrazić ci, jak dalece jesteś mi drogim. Od piérwszego wejrzenia tak silnie przywiązałam się do ciebie, że czas nie miał dość mocy by rozerwać te węzły. Kiedym cię utraciła w Madrycie, nie postradałam nadziei odzyskania cię kiedyśkolwiek; a wczoraj spostrzegłszy cię, przyjęłam jako człowieka, który do mnie wracał z konieczności. Słowem, mój przyjacielu, niebo przeznaczyło nas jedno dla drugiego. Ty będziesz moim mężem, ale piérwéj musiemy się zbogacić. Roztropność od tego zacząć nakazuje. Ja chcę jeszcze mieć trzech, lub cztérech gachów, aby cię postawić na stopniu dobrego bytu.

Podziękowałem jéj grzecznie za trudy, jakie dla mnie ponosić chciała, i zwolna wdawaliśmy się w gawędkę, która się przeciągnęła do południa. Wtedy oddaliłem się by panu swojemu zdać sprawę z przyjęcia jego daru. Chociaż Laura nic mi w tym względzie nie powiedziała, ja przecież w drodze ułożyłem sobie piękną perorę, którą panu mojemu z jéj strony miałem wypalić, ale nic z tego wszystkiego, bo gdy przybyłem do hotelu, powiedziano mi, że pan już wyszedł, a wyższe wyroki postanowiły, że go już więcéj oglądać nie będę, jak to się okaże z następnego rozdziału.

Rozdział XI.

O nowinie, któréj się Gil Blas dowiedział.

Udałem się do mojéj garnkuchni, gdzie zastawszy dwóch bardzo przyjemnych ludzi, zjadłem obiad i bawiłem się aż do chwili w któréj czas był udać się do teatru. Wtedy dopiéro rozstaliśmy się, oni udali się do swoich zatrudnień, a ja prosto do teatru. Trzeba powiedzieć nawiasowo, że miałem powód być w najlepszym humorze, radość ożywiała rozmowę naszą, fortuna uśmiéchała się do mnie, a przecież smutek jakiś ciążył na mnie, anim go mógł otrząsnąć. Niechże teraz mówią co chcą, że się nie przeczuwa swojego nieszczęścia.

Gdym wszedł do sali ogólnego zebrania, Melchior Zapata zbliżył się do mnie i po cichu prosił, abym się udał za nim. Zaprowadził mnie w ustronne miejsce i tak się do mnie odezwał: Panie, za obowiązek sobie poczytuję, dać ci ważne ostrzeżenie. Wiész o tém, że margrabia de Marialva polubił naprzód Narcissę, moją żonę, już nawet oznaczył godzinę w któréj miał zajadać moję polędwicę, kiedy przebiegła Estella potrafiła skrzyżować całą rachubę. Pojmujesz zapewne, że aktorka nie wypuści takiego ptaszka bez żalu. Moja żona ma to na sercu i niczego nie zaniedba dla pomszczenia się, a na twoje nieszczęście bardzo dogodna nastręczyła się jéj sposobność. Wczoraj, jak sobie zapewne przypominasz, wszyscy nasi najemnicy zbiegli się, by cię obejrzéć; podobjaśniacz świéc odezwał się do kilku osób z trupy, że cię poznał i że bynajmniéj bratem Estelli nie jesteś.

Ta wieść, dodał Melchior, doszła dziś do uszu Narcissy, która nie zaniedbała wypytać się autora, który to potwierdził. Ten najemnik powiedział jéj, że cię znał jako lokaja u Arsenii, u któréj Estella, pod imieniem Laury była pokojówką w Madrycie. Żona moja uradowana z tego odkrycia, chce o niém zawiadomić margrabiego de Marialva, który dziś wieczór ma być w teatrze. Jeżeli w rzeczy saméj nie jesteś bratem Estelli, kieruj się według tego, radzę ci po przyjacielsku, przez wzgląd na dawną naszą znajomość, pamiętaj o własném bezpieczeństwie. Narcissa jednéj tylko pragnąc ofiary pozwoliła mi uprzedzić cię, abyś szybką ucieczką uniknął przykrego spotkania.

Więcéj dla mnie nie trzeba było. Podziękowałem kuglarzowi za to ostrzeżenie, który z pomieszania mojego łatwo mógł wnosić, że nie jestem zdolny zaprzeczyć podobjaśniaczowi świéc, tak jak w istocie nie czułem w sobie chęci aż do tego stopnia posuwać bezczelność, nie brała mnie nawet pokusa pożegnania Laury, z obawy, aby mnie nie nakłoniła do zastawienia się zuchwalstwem. Przypuszczałem ja, że była nadto dobrą komedyantką, aby się nie mogła wydobyć z tak krytycznéj pozycyi, lecz dla siebie widziałem niechybną karę, anie byłem tak rozkochany żeby się na nią narazić. O tém więc jedynie myśliłem jakby się ocalić z moimi bogami domowemi t jest z mojemi manatkami. W oka mgnieniu wymknąłem się z teatru i jak nic kazałem przenieść mój tłumoczek do mułowodzcy, który nazajutrz o trzeciéj rano miał udać się do Toledu. Pragnąłbym był podówczas być u hrabiego Polan, którego dom zdawał mi się jedynie bezpiecznem schronieniem. Ale na nieszczęście nie byłem w nim jeszcze, a cały drżałem wspomniawszy na czas, który przepędzić potrzeba w mieście, będąc narażonym na poszukiwania, może téj jeszcze nocy.

Nie opuściłem jednak wieczerzy w mojéj garnkuchni, lubo tak byłem pomieszany, jak dłużnik wiedzący, że go tropią algazile. To co tego wieczora zjadłem, nie spodziéwam się, aby miało być z wielkim pożytkiem dla mojego ciała. Nieszczęsna igraszka strachu, śledziłem wszystkich wchodzących do sali, a jeżeli trafem wstąpił jaki człowiek podejrzany z wejrzenia, co w takich miejscach nie rzadko się zdarza, dreszcz mnie całego przebiegł. Wśród takiéj niespokojności zjadłszy wieczerzę, wróciłem czémprędzéj do mułowódzcy i rzuciłem się na posłanie ze świéżéj słomy, czekając godziny odjazdu.

Pięknież to było przez ten czas ćwiczenie mojéj cierpliwości; tysiące myśli dręczących, obsaczyło mój umysł. Jeżelim się zdrzymał na chwilę, widziałem we śnie markiza zapienionego ze złości, obkładającego sińcami piękną twarz Laury, łamiącego i tłukącego wszystkie u niéj sprzęty, albo znowu słyszałem go wydającego rozkazy służalcom iżby mnie zpod swéj chłosty żywcem nie puścili. W skutek tego zrywałem się równemi nogami, ale przebudzenie się tak przyjemne po strasznych marzeniach, dla mnie okropniejsze jeszcze było od samych marzeń.

Szczęściem przewodnik mułów wybawił mnie z tego udręczenia, zawiadamiając, że muły już gotowe. W mgnieniu oka byłem na nogach, i dzięki Bogu ruszyłem w drogę stanowczo wyleczony i z Laury i z chiromancyi. W miarę oddalania się naszego od Granady, umysł mój odzyskiwał swoją spokojność. Rozpocząłem gawędkę z mułowódzcą, śmiałem się z zabawnych jego powiastek, i nieznacznie pozbyłem się wszelkiéj trwogi. Spałem wybornie w Ubeda, dokąd na piérwszy nocleg zdążyliśmy, a czwartego dnia już byłem w Toledo. Piérwszém mojém staraniem było wywiedzić się o mieszkanie hrabiego Polan, przekonany będąc, iżby mi nie pozwolił mieszkać gdzie-

indziéj tylko w swoim pałacu. Ale zawiodła mnie nadzieja. W pałacu zastałem tylko odźwiernego, który mi oświadczył, że pan jego wczoraj wyjechał do zamku Leyva, odebrawszy wiadomość o niebezpiecznéj słabości Seraliny.

Anim pomyślił o nieobecności hrabiego, dla tego więc nie cieszyłem się z przybycia do Toledo i natychmiast inny powziąłem zamiar. Będąc tak blizko Madrytu, tam udać się postanowiłem. Pomyśliłem sobie, że mogę się na coś wydźwignąć przy dworze, gdzie jak słyszałem wyższe zdolności niekoniecznie były potrzebne do posuwania się coraz wyżéj. Zaraz nazajutrz korzystałem z powracającego konia, aby się dostać do stolicy Hiszpanii. Fortuna mnie tam wiodła, przeznaczając mi ważniejsze role, nad te, które dotąd odgrywałem.

Rozdział XII.

Gil Blas zajmuje mieszkanie w hotelu umeblowanym. Zabiéra znajomość z kapitanem Chinchilla.

Stanąwszy w Madrycie zaraz wprowadziłem się do hotelu umeblowanego, w którym między innemi osobami mieszkał także stary kapitan. Przybył on z ostatniego krańca nowéj Kastylii starać się u dworu o pensyą, aż nadto, jak mu się zdawało zasłużoną. Nazywał się don Annibal de Chinchilla. Na



Gil Blas wprowadzony do Senory Mencii.

piérwszy rzut oka postawa jego niemałe na mnie zrobiła wrażenie. Był to mężczyzna sześćdziesięcioletni, wzrostu olbrzymiego, nadzwyczaj chudy, potężne wąsy wijąc się po obudwóch stronach wznosiły się w górę, sięgając aż do skroni. Nie miał jednego ramienia i jednéj nogi, a miejsce jednego oka zastępował plaster szeroki z kitajki zielonéj, twarz bliznami pooraną; zresztą był tak jak inni. Miał wiele dowcipu, a więcéj jeszcze powagi. Moralność posuwał aż do skrupułów, a pod względem honoru aż nadto był drażliwym.

Pomówiwszy ze mną kilka razy, zaszczycił mnie zupełném swojém zaufaniem. Wnet dowiedziałem się o jego interesach. Opowiedział mi w jakiéj rozprawie stracił oko w neapolitańskiém, rękę w Lombardyi, a nogę w Niderlandach. Nadewszystko w opisach bitew i oblężeń do których należał, uderzało mnie, że mu się nie wymknął żaden rys samochwalczy, ani jeden wyraz na własną korzyść, lubo z największą chęcią byłbym mu przebaczył pochwałę pozostałéj mu połowy, jako pewne wynagrodzenie za drugą połowę utraconą. Nie jeden oficer wracający z wojny zdrów i cały, nie zachowuje tyle skromności.

Lecz co dlań najdotkliwsze było, jak mi powiadał, to, że na tych wyprawach stracił całe swoje, dość znaczne mienie, tak dalece, iż zaledwie mu pozostało sto dukatów rocznego dochodu, co zaledwie wystarczało na utrzymanie wąsów, opłatę pomieszkania i koszta przepisywania próśb. Bo mój panie, dodał przy tém, trzeba ci wiedzieć, że dzięki Bogu codzień jednę prośbę podaję na którą nie zwracają najmniejszéj uwagi. Rzekłbyś żem się założył z ministrem, kto się z nas dwóch piérwéj znuży, czy ja pisząc podania, czy on odbiérając. Mam także zaszczyt przedstawiać je czasami i wyżéj, ale proboszcz tak śpiéwa jak jego wikaryusz; a tymczasem zamek mój chinchilla wali się, nie mogąc się doczekać naprawy.

Nie trzeba nigdy rozpaczać, mówiłem wtedy kapitanowi, nie tajno, panu zapewne, że na łaski wielkich panów długo czasem trzeba czekać; być może, iż pan jutro otrzymasz z lichwą nawet odpłatę za swoje trudy i przykrości. Nie powinienem tak błogiéj oddawać się nadziei, mówił mi don Annibal. Ledwie będzie trzy dni temu, gdym rozmawiał z sekretarzem ministra i jeżeli mam wierzyć jego mowie, mogę sobie wesoło hulać.

Waleczny w niedoli obudza zawsze interes. Zachęcałem go do wytrwałości, ofiarowałem mu się nawet darmo przepisywać jego prośby. Posunąłem się nawet aż do ofiarowania mu mojéj kassy, zaklinając go, aby z niéj tyle brał pieniędzy, ileby chciał. Ale on nie należał do rzędu tych ludzi, którzy nie dadzą sobie dwa razy powtarzać w podobném położeniu. On przeciwnie okazał się bardzo delikatnym w tym względzie, z pewną dumą podziękował za moję dobroć. Następnie powiedział mi, iż przyzwyczaił się do życia tak skromnego, że ladajaki posiłek wystarcza do jego utrzymania, aby tylko nie być ciężarem nikomu, co było aż nadto prawdziwe; żył bowiem tylko cébulą i czosnkiem, i dla tego widać było w nim tylko skórę i kości. Żeby zaś nie miéć świadków swojéj uczty, zwykle zamykał się w swoim pokoju, zasiadając do niéj. Przecież prośbami mojemi uzyskałem od niego tyle, że przystał, iż razem będziemy obiadowali i wieczerzali. Oszukując więc dumę jego za pomocą przebiegłego politowania, kazałem przynosić sobie mięsa i wina daleko więcéj, niż sam byłem w stanie spożyć. Zachęcałem go do picia i jedzenia, z początku wzdrygał się, w końcu uległ na moje prośby. Późniéj ośmielony, pomagał mi z ochotą, do sprzątania z talerzów, i wypróżniania butelki.

Kiedy już przewrócił trzy albo cztéry szklanki, i żołądek swój pogodził z lepszą strawą, wtedy podochocony odezwał się do mnie: zaprawdę, panie Gil Blas, jesteś czarującym człowiekiem, wodzisz mnie za nos jak ci się podoba. Twoje obejście się ujmujące, nie pozwala mi nawet obawiać się nadużycia twojéj szczodrobliwości. Mój kapitan zdawał mi się wówczas, tak dalece wolnym od swojéj wstydliwéj dumy, że gdybym był chciał korzystać z chwili, i nastawać na przyjęcie mojéj sakiewki, byłby pewnie nie odmówił, ale nie sądziłem rzeczą stosowną, wystawiać go na nową próbę, poprzestałem więc na tém, żem go zrobił moim stołownikiem, i zająłem się nietylko przepisywaniem jego podań, ale nawet układaniem ich spólnie z nim. Przez ciągłe przepisywanie homilij na czysto, nabyłem wprawy w rozmaite zwroty wysłowienia; byłem niejakim gatunkiem autora. Mój stary oficer ze swojéj strony, chwalił się, że umié doskonale celować na piśmie. Tym sposobem pracując obadwa na wyścigi, układaliśmy krasomówcze podania, którychby się najsławniejszy nauczyciel retoryki w Salamance nie powstydził. Lecz napróżno wytężaliśmy nasze dowcipy, na upstrzenie naszych przedstawień kwiatkami retorycznemi, było to jak mówią, ziarno rzucone na piasek. Jakikolwiek obrot nadawaliśmy pismom naszym, by wykazać ważność zasług don Annibala, minister nie zwracał na to uwagi, co nie bardzo zachęcało tego starego inwalidę do wielbienia oficerów, tracących swoje mienie na wojnie. W przystępie złego humoru, złorzeczył swojéj gwiaździe, przeklinał Neapol, Lombardyą i Niderlandy.

Na domiar zgryzoty zdarzyło się, że poeta jakiś przedstawiony przez księcia Alby, odczytał królowi wiersze na urodziny infantki, za które wynagrodzony został pięciąset dukatami rocznéj pensyi. Pewny byłem, że kapitan kalcka straci zmysły, udało mi się jednak, choć nie bez trudu, uspokoić jego umysł. Cóż to jest? odezwałem się do niego, widząc go w takiém uniesieniu; w tém nic ma nic osobliwego, coby cię miało tak dalece oburzać. Czyż poeci od najdawniejszych lat, nie są w posiadaniu przywileju, mieć książęta hołdownikami swojéj muzy? Nie ma władzcy, któryby jakiegoś z tych panów nie obdarzał pensyą; a mówiąc między nami, ponieważ takie pensye, rzadko nadzwyczaj ukrywają się przed potomnością, tym sposobem uświęcają szczodrobliwość panującego, gdy tymczasem inne są czysto stracone dla ich sławy. Ileż to August rozrzucił nagród, ile porozdawał pensyj, o których nic nie wiémy; ależ najodleglejsza potomność, będzie wiedziała, tak jak my, że Wirgiliusz, odebrał od niego przeszło dwa kroć stotysięcy talarów w darze.

Cała ta jednak mowa moja na nic się nie przydała; kapitan żadną miarą strawić nie mógł owocu sonnetu, i postanowił wszystko porzucić. Jednakże chcąc pierwéj stawić resztę na kartę, umyślił jeszcze przedstawić prośbę księciu Lerma. W tym celu obadwa udaliśmy się do piérwszego ministra. Spotkaliśmy tam młodego człowieka, który przywitawszy kapitana, odezwał się do niego z pewną czułością: Kochany panie mój dawny, i ciebież ja tu widzę? jakiż interes cię sprowadza do jego wysokości? Jeżelibyś potrzebował osoby mającéj wpływy, nie pomijaj mnie; ofiaruję ci moje usługi. Jak to, Pedrillo, odpowiedział oficer, wnosząc z twojéj mowy, zdawałoby się, że jakieś ważne miejsce zajmujesz w tym pałacu? Na to młody człowiek rzekł, przynajmniéj tyle mam władzy, aby przysłużyć się, tak uczciwemu jak pan *hidalgo*. Kiedy tak, mówił kapitan z uśmiéchem, uciekam się pod twoją opiekę. Gotów jestem do niéj, odrzekł Pedrillo. Powiédz mi tylko, o co rzecz idzie, a przyrzekam ci, że będziesz miał w ręku ministra.

Tylko cośmy objaśnili w naszéj sprawie tego młodzieńca, gdy tenże spytał się o mieszkanie don Annibala, a zapewniwszy nas, że nazajutrz da nam odpowiedź, zniknął nie powiedziawszy co myśli robić, ani nawet czy był służącym księcia Lermy. Ciekawy byłem coby to był za jeden ten Pedrillo, który mi się zdał być tak bystrym. Jestto chłopak, który przed kilką laty służył u mnie, rzekł kapitan, a ujrzawszy mnie w niedostatku, opuścił moją służbę, szukając lepszego miejsca. Wcale nie mam mu tego za złe, rzecz bardzo naturalna zmieniać służbę, aby mieć lepszą. Jest to hultaj nie bez dowcipu, a taki matacz jak stary djabeł. Lecz mimo całą jego przebiegłość, nie wiele ja ufam gorliwości dla mnie objawionéj. Ha, może też i będzie użytecznym, rzekłem na to. Gdyby naprzykład służył u jakiego urzędnika księcia Lermy, mógłby się łatwo przysłużyć.

Nazajutrz rano przybył do naszego hotelu Pedrillo. Panowie, odezwał się, jeżeli wczoraj nie objawiłem wam środków jakich użyć zamyśliłem na usługi kapitana Chinchilla, to dlatego, że nie byliśmy w miejscu dogodném do tego zwierzenia się. Prócz tego chciałem piérwéj zbadać grunt, nimbym wam myśl moję objawił. Wiédźcież teraz, że jestem lokajem poufnym don Rodryga de Calderone, piérwszego sekretarza księcia Lermy. Pan mój bardzo zalotny, prawie co wieczór bawi u aragońskiego słowika, którego trzyma w klatce w cyrkule zamkowym. Jestto młoda i jedna z najpiękniejszych panien Albarazinu. Ma wiele dowcipu, a śpiéwa do zachwycenia, dla tego téż zowie się senora Sirena. Że zaś co rano przynoszę jéj słodki bilecik, dziś więc byłem u niéj. Podałem jéj myśl, aby pana don Annibala udała za swojego wuja i z tego tytułu zobowiązała swojego gacha do opiekowania się nim, chce się tego podjąć. Prócz małego zysku na jaki dybie, ucieszy się, że ją uważać będą za siostrzenicę walecznego szlachcica.

Pan de Chinchilla skrzywił się na tę mowę. Objawił wstręt do uczestnictwa w takowém szalbierstwie, a jeszcze mu przykrzéj było zezwolić, aby taka awanturnica miała hańbić jego rodzinę. To go zrażało nietylko co do jego osoby, lecz widział w tém plamę wstecz na jego przodków spadającą. Ta delikatność zdała się Pedrille wcale nie na swojém miejscu, dziwił się jéj mocno. Czy pan żartujesz sobie, zawołał, nie chcąc go z téj strony zażyć? Patrzcie, jacyście wy to panowie szlachta zagrodowa! śmieszna nadętość! Panie kawalerze, odezwał się zwracając mowę do mnie, nie dziwiąż cię takie skrupuły?

Pochwaliłem słowa Pedrilli i takeśmy obadwa zachęcali kapitana, iż na końcu chcąc nie chcąc, został wujem senory Sireny. Odniósłszy taki tryumf nad jego dumą, co nie było tak łatwe, zabraliśmy się wszyscy trzéj do układu podania do piérwszego ministra, któreśmy przejrzeli, pomnożyli, poprawili. Ja przepisałem na czysto, a Pedrillo zaniósł je do pięknéj Aragonki, ta zaś ze swojéj strony tegoż jeszcze wieczora wręczyła panu don Rodrigowi, do którego tak zręcznie przemówić umiała, iż pan sekretarz pewnym będąc, że jest rzeczywiście siostrzenicą kapitana, przyrzekł wdać się za nim. W kilka dni mieliśmy skutek naszego wybiegu. Pedrillo przybył do naszego hotelu z miną tryumfującą. Wyborna nowina! odezwał się do Chinchilla. Król rozdawać będzie komandorye, beneficia i pensye i o panu nie zapomni: o czém kazano mi pana zapewnić. Ale zarazem mam polecenie zapytać się jaki też podarunek myślisz pan ofiarować Syrenie. Ja oświadczam panu, że dla siebie nic nie chcę, nad wszystko złoto przenoszę tę rozkosz, żem się



Książę hiszpański u Cataliny.

przyczynił do poprawy losu mojego dawnego pana. Inna rzecz wcale z naszą nimfą Albarazińską, ona zakrawa trochę na żydówkę gdy idzie o przysługę bliźniemu: to już jéj taka mała wada, onaby od własnego ojca wyciągnęła pieniądze; miałażby odrzucić od mniemanego wujaszka!

Niech tylko powié czego żąda ode mnie, rzekł don Annibal; jeżeli chce trzecią część spodziéwanéj pensyi odbiérać corocznie, z chęcią jéj zapewnię, a to powinnoby dla niéj wystarczyć, wtedy nawet gdyby szło o wszystkie dochody korony hiszpańskiéj. Ja ufałbym stanowczo słowu pańskiemu, odpowiedział Merkury don Rodryga: ja wiém o tém, że to ważna gra, ale tu rzecz jest z osóbką z natury nieufną. Prócz tego ona woli odebrać na raz za wszystkie czasy, naprzykład dwie trzecie w brzęczącéj monecie. Tam do djabła! a zkądże je wezmę? przerwał porywczo kapitan, czy myśli że ja jestem *Contador-Mayor*? Musiałeś jéj nie objaśnić względem teraźniejszego mojego położenia. Przepraszam, rzekł Pedrillo, ona wié, że pan jesteś uboższy od Joba; ale nie troszcz się pan, ja jestem człowiek płodny w wynalazki. Znam ja starego łotra lichwiarza, który się bawi pożyczaniem pieniędzy na dziesięć procent od sta. Pan mu zezna przed pisarzem aktowym zapewnienie wypłaty z piérwszego zaraz roku pobiéranéj pensyi, pokwitujesz

z wypłaty summy jaką rzeczywiście odbierzesz z potrąceniem procentu. Co się tyczy rękojmi, lichwiarz poprzestanie na zamku Chinchilla, tak jak on jest obecnie, w tym względzie niéma najmniejszego sporu.

Kapitan zaręczył, że przyjmie z chęcią warunek, byleby został uczestnikiem łask, które miały być nazajutrz szafowane. Co téż właśnie nastąpiło. Otrzymał trzysta luidorów w przekazie na kommandoryą. Skoro się o tém dowiédział, wystawił natychmiast żądane zapewnienia, załatwił drobne interesa i wrócił do Kastylii nowéj z kilką pozostałemi luidorami.

Rozdział XIII.

Gil Blas spotyka u dworu swojego ukochanego Fabrycego, ciekawa z nim rozmowa.

Przyzwyczaiłem się chodzić codziennie do pałacu królewskiego, przepędzałem w nim po dwie i trzy godziny, przypatrując się wchodzącym i wychodzącym panom, którzy zdało mi się, nie takim jak gdzie indziéj, otoczeni byli blaskiem.

Pewnego dnia, gdym napuszysto przechodził się po salach, robiąc jak wielu innych dość głupią minę, spostrzegłem Fabrycego, któregom opuścił był w Valladolid, w służbie u administratora szpitala. Lecz zdumiałem się, widząc go poufale rozmawiającego z księciem Medina Sidonia i margrabią de Sainte-Croix. Obadwa ci panowie, jak uważałem, z przyjemnością go słuchali. Przy tém wszystkiém, ubrany był tak czysto i porządnie, jak młody szlachcic.

Czy mnie oczy zwodzą? mówiłem sam sobie, czy téż to istotnie jest syn balwierza Nunez? Może to jaki młody dworak, podobny do niego. Nie długo atoli trwało moje powątpiéwanie, panowie oddalili się, a ja przystąpiłem do Fabrycego. Poznał mnie natychmiast, podał mi rękę, i przeciskając się przez tłum, wyprowadził z sali. Mój kochany Gil Blasie, rzekł ściskając mnie serdecznie, jakże się cieszę, że cię znowu oglądam. Cóż ty robisz w Madrycie? czy jeszcze służysz? czy masz jakie miejsce przy dworze? w jakim stanie są twoje interesa? Opowiédz mi swoje przygody, jakie cię spotkać mogły po nagłém oddaleniu się z Valladolid. O zbyt wiele rzeczy zarazem pytasz się, a tu nie miejsce do opowiadania przygód. Prawda, odpowiedział, swobodniejsi będziemy u mnie. Pójdź ze mną, to ztąd nie daleko. Jestem swobodny, mieszkam wygodnie, mam przyzwoite ruchomości, żyję kontent, jestem szczęśliwy, bo zdaje mi się, że nim jestem.

Przyjąłem wezwanie, i za przewodnictwem Fabrycego stanąłem przed domem bardzo pięknym z pozoru, w którym miał mieszkanie. Przeszliśmy podwórze, z którego po jednéj stronie były wielkie schody prowadzące do wspaniałych pokojów, z drugiéj strony wązkie i ciasne schodki, po których wgramoliliśmy się do zachwalonego pomieszkania. Składało się ono z jednéj izby, ale przemyślny mój przyjaciel, zrobił z niéj cztéry pokoiki za pomocą przepierzeń z deseczek jodłowych. Piérwszy służył za przedpokój do drugiego, w którym sypiał; z trzeciego zrobił sobie gabinet, a czwarty zamienił na kuchnię. Pokój i przedpokój wybity był kartami geograficznemi i mnóstwem filozoficznych *theses*, ruchomości zaś odpowiadały obiciom. Było to łóżko pokryte podszarzanym dobrze brokartem, stare krzesła szarżą żółtą i dokoła franzlą takiegoż koloru z jedwabiu granadyjskiego obite, stół ze złoconemi nogami pokryty skórą, która zdaje się była kiedyś czerwona, obity galonem złoto-szychowym, przez wiek zczerniałym i szafka hebanowa, przyozdobiona niezgrabną snycerską robotą. W gabinecie zamiast biura, stał mały stolik, biblioteka zaś składała się z kilku książek i zwitków papiéru rozłożonych na policach, wzdłuż ściany stopniami rozciągniętych. Kuchnia symetrycznie odpowiadała reszcie, było w niéj kilka garnków, i trochę niezbędnych sprzętów.

Fabrycy zostawiwszy mi czas do obejrzenia swojego apartamentu, rzekł do mnie: I cóż ty myślisz o mojém gospodarstwie i o mojém mieszkaniu? czyż cię to wszystko nie zachwyca? Oczywiście, odpowiedziałem uśmiechając się. Musisz nie złe robić interesa w Madrycie, kiedyś się tak dobrze opatrzył. Trudnisz się zapewne jakiemi zleceniami? Boże mnie zachowaj, rzekł, powołanie, któregom się czepił, jest wyższe nad wszystkie urzędy. Znakomity pan, właściciel tego pałacu, dał mi w nim izbę, z któréj zrobiłem cztéry pokoje i urządziłem jak widzisz. Zajmuję się pracą, która mnie bawi, i nie znam niedostatku. Mówże jaśniéj, zawołałem, drażnisz tylko ciekawość moję, pragnę dowiedzieć się co robisz. Otóż dobrze, zaspokoję cię, rzekł, zostałem autorem, rzuciłem się na pole dowcipu; piszę wiérszem i prozą, i jak widzisz porastam w piérze.

Ty, ulubieńcem Apollina! zawołałem śmiejąc się, tegobym się nigdy nie domyślił; mniéjbym się dziwił, widząc cię czémkolwiek innym. Jakież przyjemności mogłeś upatrzyć w powołaniu poetów. Zdaje mi się, że ci ludzie są wzgardzeni w życiu cywilném, i że często nie mają kawałka chleba. Eh, zawołał on z kolei, prawisz mi o tych nędznych autorach, których dzieła odrazą przejmują księgarzy i komedyantów. Cóż więc dziwnego, że podobnego rodzaju pisarze nie znajdują szacunku? Ale za to, dobrzy, na lepszéj żyją stopie w świecie, a ja nie chwaląc się, do nich należę. Nie wątpię o tém, rzekłem, ty jesteś chłopiec z wielkim dowcipem, co napiszesz, to musi być dobre. Tego tylko pojąć nie mogę, jakim sposobem szał pisarski mógł cię opanować, zdaje mi się, że to jest godne mojéj ciekawości.

Bardzo sprawiedliwe jest twoje podziwienie, odpowiedział Nunez. Tak byłem zadowolony z mojego miejsca u pana Manuela Ordonez, że nie pragnąłem nic lepszego. Ale umysł mój wznosił się powoli, jak planeta, ponad sferę służalstwa: ułożyłem komedyą, którą przedstawili aktorowie bawiący podówczas w Valladolid. Chociaż w istocie nic nie była warta, zyskała jednak nadzwyczajne powodzenie. Wnioskem z tego, że publiczność jest wyborną krówką, którą wygodnie doić można. Takowa uwaga połączona z zapałem do robienia nowych komedyj, odstręczyła mnie zupełnie od szpitala. Zamiłowanie w poezyi, ostudziło we mnie żądzę bogactw. Postanowiłem udać się do Madrytu, jako głównego ogniska oświaty, aby tém łatwiéj wykształcić gust i wrodzone zdolności. Prosiłem administratora o uwolnienie, które mi z wielkim żalem udzielił, tak był do mnie przywiązany. Fabrycy, mówił mi, dla czegóż chcesz mnie opuszczać? czy czasem mimo woli, nie dałem ci powodu do nieukontentowania? Nie, panie, odpowiedziałem mu, ty jesteś najlepszym z panów, dobrodziejstw twoich nigdy nie zapomnę, ale wiész, że każdy musi zdążać za swoją gwiazdą. Czuję w sobie przeznaczenie do uwiecznienia imienia mojego, dziełami dowcipu. Co za głupstwo! odpowiedział poczciwy mieszczanin. Jużeś się obeznał w szpitalu, nabyłeś wprawy, która toruje drogę na ekonoma, a niekiedy nawet, na administratora. Opuszczasz to, co grunt rzeczy stanowi, by się zajmować błazeństwem. Tém gorzéj dla ciebie moje dziecko.

Administrator widząc, że próżna walka z moim uporem, wypłacił mi zasługi i ofiarował w darze pięćdziesiąt dukatów jako wynagrodzenie mojéj gorliwości. Tak więc z temi pieniędzmi i z obrywkami drobnych sprawunków, jakie polecano mojéj nieskazitelności, byłem w stanie, przybywszy do Madrytu, wystąpić porządnie, chociaż pisarze nasi nie mogą się pochlubić czystością i porządkiem. Wnet zabrałem znajomość z Lope de Vega Carpio, Miguel Cervantes de Saavedra i wielą innemi znakomitemi autorami, ale przenosząc nad tych wielkich mężów młodego bakałarza z Korduby, niezrównanego don Ludwika de Gongora; najwznioślejszy gieniusz, jaki tylko Hiszpania wydała, obrałem go za swojego mistrza i za wzór do naśladowania. Nie chce on dzieł swoich drukować za życia, czyta je tylko swoim przyjaciołom. Lecz co w nim jest osobliwszego, to że natura obdarzyła go talentem do wszelkich rodzajów poezyi. Celuje atoli w rodzaju satyrycznym i to jest jego strona najsilniejsza. Nie jest to, jak Lucyliusz, potok mętnéj wody massę blocka toczący, lecz jak wspaniały Tag, którego kryształowe wody po złotym płyną piasku.

Wyborny przedstawiasz mi obraz młodego bakałarza, odezwałem się do Fabrycego, nie wątpię przeto aby mąż tak wy-

sokich talentów nie miał obudzić zawistnych. Wszyscy autorowie źli i dobrzy powstają przeciw niemu odpowiedział mi. Lubi nadętość, mówi jeden, ostre dowcipki, zuchwałe przenośnie i przekładnie. Wiérsze jego, mówi drugi, są tak ciemne, jak owe, które salijscy kapłani przy swoich obrzędach śpiéwali, a których nikt nie rozumiał. Są nawet, którzy mu zarzucają, że raz pisze sonnety, drugi raz ballady, to znowu komedye, to tryolety i epigrammata, jak gdyby zawziął się w swoim nierozsądku przyćmić wszystkich naszych najlepszych pisarzy we wszelkich rodzajach składni. Ale pociski zazdrości nie czépiają się wcale muzy ulubionéj od panów i pospólstwa.

Pod takim to wielkim mistrzem kształcę się i nie chwaląc się, mogę powiedzieć, że postępuję widocznie. Tak dobrze przejąłem jego dowcip, że piszę rzeczy abstrakcyjne tak, iżby się ich sam mistrz nie zapiérał. Wstępując w jego ślady rozkładam swój towar po wielkich domach, gdzie mnie wybornie przyjmują, mam zaś do czynienia z ludźmi nie bardzo wybrednemi. Prawda że deklamacya moja jest ujmująca, co wcale nie szkodzi moim utworom. Cieszę się przychylnością kilku panów, a z księciem Medina Sidonia żyję jak niegdyś Horacy z Mecenasem. Otóż widzisz takim sposobem przedzierzgnąłem się w poetę. Nie mam ci nic więcéj do powiedzenia. Teraz Gil Blasie na ciebie koléj opiéwać twoje przygody.

Zabrałem więc głos i pomijając drobne okoliczności, opowiedziałem mu czego żądał. Nastąpiło zatém pytanie o obiedzie. Fabrycy wydobył z hebanowéj szafki serwety, chléb, resztę łopatki baraniéj i butelkę wyśmienitego wina. Zasiedliśmy ochoczo do stołu, jak dwaj ukontentowani przyjaciele po długiém niewidzeniu się. Otóż to, rzekł, życie swobodne i niezależne. Gdybym chciał iść za przykładem moich współtowarzyszów, mógłbym codziennie zjadać obiady u wielkich panów; ale zamiłowanie w pracy zatrzymuje mnie często w domu, a obok tego jestem małym Arystypem. Dla mnie wszystko jedno, żyć z wielkiemi pany, albo na ustroniu, zajadać smaczne obiady, lub poprzestać na kawałku chleba.

Wino, tak nam smakowało, że musiał z szafki drugą wyciągnąć butelkę. Przy wetach oświadczyłem mu, iż radbym był słyszyć co z jego płodów literackich. Zaraz wydobył z pośród papiérów swoich jeden sonnet, który mi odczytał tonem napuszystym. Jednakże mimo cały urok deklamacyi, rzecz zdała mi się tak ciemna, żem nic a nic nie rozumiał. Spostrzegł to Fabrycy. Ten sonnet, mówił mi, nie zdaje ci się zapewne dosyć jasny, nie prawdaż? Przyznałem mu się, iż pragnąłbym w nim widzieć więcéj wyrazistości. Zaczął się śmiać ze mnie. Jeżeli ten sonnet, rzekł, jest niezrozumiały, tém lepiéj mój przyjacielu. Sonnety, ody i inne dzieła tego rodzaju wymagające szczytności, nie cierpią naturalności i prostoty, ciemność stanowi ich całą wartość, dosyć jeżeli samemu poecie zdaje się, że je pojmuje. Ty drwisz ze mnie, odpowiedziałem. Każdy rodzaj poezyi wymaga jasności i zdrowego rozsądku, a jeżeli twój niezrównany Gongora niepisze jaśniéj od ciebie, przyznam ci się żebym o nim wcale inne miał mniemanie. Byłby to poeta, który najwięcéj jeżeliby swój wiek omamić potrafił. Teraz zobaczmy twoję prozę.

Nunez przedstawił mi przemowę, którą, jak mówił, miał umieścić na czele zbioru swoich komedyj już w druku będących. Następnie zapytał się mnie o zdanie. Twoja proza, rzekłem, nie więcéj mi się podobała jak wiérsze. Twój sonnet jest napuszystą gmatwaniną; a w przedmowie są wyrażenia wyszukiwane, wyrazy nie mające na sobie cechy powszechnego użycia, pomysły strasznie powikłane. Słowem styl twój jest dziwaczny. Dzieła naszych wybornych dawnych autorów nie tak są pisane. Biédny nieuku! zawołał Fabrycy, ty nie wiész, że każdy prozaista który dziś zdąża do sławy wykwintnego pisania, sili się na to dziwactwo stylu, na te wyrażenia poprzekręcane, które cię tak rażą. Jest nas pięciu, czy sześciu wznowicieli, którzyśmy się uwzięli zmienić język z białego na czarne, i przy łasce bozkiéj dojdziemy do celu na przekorę Vegi i Cervantesa, i wszystkich pięknych talentów, które drwią z naszego nowego sposobu mówienia. Wspiéra nas mnoga liczba znakomitych stronników, do naszéj kabały wciągnęliśmy nawet teologów.

Zresztą, mówił daléj, nasz zamiar jest chwalebny, mówiąc bez uprzedzenia, więcéj przecie warci jesteśmy aniżeli ci pisarze, którzy wyrażają się naturalnie, jak motłoch pospolity. Nie pojmuję wcale, dlaczego ich szacuję wielu z pośród uczciwych ludzi. To było wyborne w Atenach i w Rzymie gdzie wszyscy byli pomieszani, dla tego téż Sokrates słusznie powiedział Alcybiadesowi, że lud jest wybornym mistrzem mowy; ale w Madrycie mamy dobry i zły zwyczaj, a nasze dworaki inaczéj się wyrażają niż mieszczanie. Możesz mi wierzyć. W końcu nasz styl nowy przeważa naszych przeciwników. Jednym rysem tylko chcę ci dać uczuć całą szlachetność naszego wysłowienia, w porównaniu z ich płaskością. Oniby naprzykład powiedzieli po prostu: *ustępy między scenowe zdobią komedyą*, a my to wyrażamy daleko piękniéj, *ustępy między scenowe* tworzą ozdobę *komedyi*. Zważ tylko dobrze to *tworzą ozdobę*. Czujeszże w tém cały wdzięk, całą wytworność, całe przymilenie?

Przerwałem mojemu wznowicielowi parsknąwszy śmiéchem. Daj pokój Fabrycy, rzekłem, ty jesteś dziwakiem z twoim wykwintnym językiem. A ty, odpowiedział mi, jesteś głupcem z twoją mową naturalną. *Idź*, mówił daléj stosując wyrazy arcybiskupa Granady, *idź do mojego podskarbiego, niech ci wyliczy sto dukatów, niech cię Bóg prowadzi z tą summą. Bądź zdrów, panie Gil Blas, życzę ci nieco więcéj gustu.* Na ten dowcip zacząłem się śmiać na nowo, a Fabrycy przebaczając mi to nieuszanowanie dzieł jego, nie stracił nic ze swojéj wesołości. Dokończyliśmy drugiéj butelki, wstaliśmy od stołu obadwa nie źle uraczeni. Wyszliśmy, żeby się przejść po Prado, ale mijając drzwi szynkarza likworow, wzięła nas ochota wstąpić do niego.

Zbiérało się w tém miejscu pospolicie dobre towarzystwo. Widziałem w dwóch salach oddzielnych młodych panów bawiących się w rozmaity sposób. W jednéj grano w karty i w szachy, w drugiéj kilkanaście osób baczne nadstawiało ucho na dysputę dwóch uczonych z powołania. Nie potrzebowaliśmy się zbliżać do nich, by słyszyć, że metafizyczne zadanie było przedmiotem ich rozprawy, z takim bowiem zapałem i uniesieniem mówili, że wyraźną mieli postać opętanych. Wystawiam sobie, że gdyby im podstawiono pod nos pierścień Eleazara, ujrzanoby niezawodnie biesów wyskakujących ich nozdrzami. Ha! mój Boże, odezwałem się do towarzysza, jakaż to zapalczywość! jak silne piersi! Ci ludzie zrodzeni na woźnych. Większa część ludzi chybia swojego powołania. W istocie, odpowiedział, ci ludzie są zapewne z rodu Novinsa, owego bankiera rzymskiego, którego głos zagłuszał turkot powozów. Lecz dodał daléj, co mnie najwięcéj odstręcza od ich mowy, to, że bezkorzystnie trapią uszy. Oddaliliśmy się od tych metafizyków hałaśliwych, a tym sposobem zapobiegłem migrenie, która mnie już nagabać poczęła. Zajęliśmy więc miejsce w kącie innéj sali, gdzie pijąc orzeźwiające napoje mogliśmy wygodnie uważać panów wchodzących i wychodzących. Nunez znał ich prawie wszystkich. Dzięki Bogu! zawołał, dysputa naszych filozofów nie skończy się tak prędko, oto świéża czereda nadciąga. Ci trzéj panowie wchodzący zapewne wmieszają się do rozpraw. Ale uważasz ty te dwa oryginały wychodzące? Ten malutki, ogorzały, suchy, któremu włosy długie, płasko zczesane, w różnych częściach spadają naprzód i na tył, nazywa się don Julian de Villanuno. Jestto młody elegant zakrawający na panicza. Pewnego dnia byłem u niego z moim przyjacielem na obiedzie. Zdybaliśmy go na dość zabawném zatrudnieniu. Bawił się w swoim gabinecie rzucając i każąc podawać sobie wyżłowi potężny worek z papiérami processu, w którym był sprawozdawcą, a które ten zębami w sztuki szarpał. Towarzyszący mu licencyat z twarzą karmazynową, nazywa się Cherubin Tonto, najniedołężniejszy z ludzi, jednakże z miny uśmiéchającéj się i dowcipnéj przyznałbyś mu wysoki talent. Wzrok ma bystry, uśmiéch chytry i złośliwy. Rzekłbyś że on głęboko myśli. Czyta mu kto dzieło subtelne, on słucha z uwagą, którą

byś poczytał za wielce rozsądną, a przecież on nic nie rozumié. On był razem na uczcie u owego eleganta. Powiedziano tam wiele bardzo pięknych rzeczy, mnóstwo dowcipnych wyrażeń. Don Cherubin nie rzekł ani słowa, ale potakiwał z wykrzywieniem twarzy, które objawiało myśl jego, iż był zdolnym na coś lepszego się zdobyć.

Znasz ty, szepnąłem Nunesowi, tych dwóch rozczochranych, co to łokciami wsparci na stole, po cichu z sobą rozmawiają? Nie, odpowiedział, to nie znane mi twarze. Ale według wszelkiego podobieństwa do prawdy, są to politycy szynkfasowi, poprawiający rząd. Uważajno tego zgrabnego młodzieńca, co to przechodzi się po sali gwiżdżąc, kiedy niekiedy przystaje, bujając się raz na jednéj, drugi raz na drugiéj nodze. To jest don Augustyn Morato, młody poeta, nie bez talentu wprawdzie, ale pochlebcy i nieuki zawrócili mu głowę. Człowiek do którego zbliża się jak widzisz, jest jednym z jego spółbraci, piszący prozą rymowaną, którego także Diana ugodziła.

Znowu autorowie! zawołał, wskazując na dwóch ludzi, przy szpadach, świéżo przybywających. A to prawdziwie zdaje się, jakby się wszyscy zmówili, stawić się przed tobą na przegląd. Widzisz oto don Bernarda Deslengando i don Sebastyana de Villa Viciosa. Piérwszy, jest to autor pełen żółci, zrodzony pod gwiazdą Saturna, autor złośliwy, nienawidzący wszystkich, i nawzajem znienawidzony od wszystkich. Co się tyczy don Sebastyana, jest to chłopiec poczciwy, autor, który nie chce nic miéć na sumieniu. Nie dawno dał na scenę jednę sztukę, która miała nadzwyczajne powodzenie, teraz ją każe drukować, aby nie nadużywać dłużéj szacunku publicznego.

Miłosierny wychowaniec Gongory zabierał się do dalszego objaśnienia figur obrazu przesuwającego się przed oczyma naszemi, gdy dworzanin księcia Medina Sidonia przerwał mu, mówiąc: Panie don Fabricio, szukałem cię z zawiadomieniem, że książę mój pan, życzy sobie z nim mówić. Czeka na pana w pałacu swoim. Nunez wiedząc dobrze, iż nigdy nadto spiesznie nie można zaspokoić wielkiego pana, żądającego czegoś, opuścił mnie natychmiast, i udał się do swojego Mecenasa. Ja pozostałem zdumiony, słysząc go tytułowanym *don*, a tym sposobem uszlachconym na przekorę Chryzostoma mistrza balwierza, jego ojca.

Rozdział XIV.

Fabrycy umieszcza Gil Blasa u hrabiego Galiano, sycylijskiego pana.

Pragnąłem mocno widziéć się z Fabrycym, dla tego nazajutrz ranuteńko, poszedłem do niego. Wchodząc odezwałem się: Mam honor oświadczyć dzień dobry panu don Fabricio; witam kwiat, albo raczéj pieczarkę szlachty Asturyjskiéj. Na te słowa zaczął się śmiać. Uważałeś więc, że mnie tytułowano don? rzekł do mnie. Tak jest, mój szlachcicu, odpowiedziałem, i pozwolisz sobie nadmienić, że wczoraj opowiadając mi swoje przeobrażenia, zapomniałeś o najważniejszém. Prawda, odpowiedział, ale w gruncie rzeczy, jeżelim przyjął ten tytuł zaszczytny, to nie dla zaspokojenia mojéj próżności, jako raczéj dla zastosowania się do próżności cudzéj. Ty znasz Hiszpanów; u nich nic nie znaczy uczciwy człowiek, jeżeli nieszczęściem, nie ma majątku i rodu.

Ale przejdźmy do czego innego, dodał zaraz, wczoraj na wieczerzy u księcia Medina Sidonia, między innemi gośćmi, był hrabia Galiano, magnat Sycylijski, rozmowa padła na śmieszne skutki miłości własnéj. Uradowany, że będę miał czém rozweselić towarzystwo, uraczyłem wszystkich historyą homilij. Łatwo pojmiesz, że się serdecznie ubawiono, nie szczędząc uszczypliwych żarcików na karb autora homilij, co nie było bez korzyści dla ciebie, bo cię powszechnie żałowano, a hrabia Galiano zarzuciwszy mnie pytaniami względem ciebie, na które, możesz być pewny, odpowiedziałem jak należało, zobowiązał mnie, abym cię do niego zaprowadził. Miałem w téj chwili udać się do ciebie, dla przewodniczenia ci do hrabiego. Zapewne zechce ci ofiarować miejsce między swoimi sekretarzami. Radzę ci nie odrzucać tego miejsca, będzie ci wybornie u tego pana; jestto bogacz, żyje na stopę ambassadora. Mówią, że przybył do dworu dla porozumienia się z księciem Lerma, względem dóbr królewskich, które piérwszy minister ma zamiar sprzedać w Sycylii. Zresztą hrabia Galiano, chociaż Sycylijczyk, zdaje się być szlachetnym, pełnym prawości i rzetelności. Niebyś lepszego nie zrobił, jak szczérze przywiązać się do tego pana. Według wszelkiego podobieństwa, on przeznaczony do zbogacenia cię, według wróżby granadyjskiéj.

Postanowiłem przez czas niejaki, odezwałem się do Nuneza, szlifować bruki i pobawić się, nimbym na nowo przyjął służbę; lecz w taki sposób przedstawiasz mi hrabiego Sycylijskiego, iż zmieniam moje przedsięwzięcie. Radbym już był u niego. Będziesz wkrótce, odpowiedział, jeżeli mnie nie zwodzą pozory. Wyszliśmy więc obadwa udając się do hrabiego, który zajmował pałac don Sancho d'Avila, swojego przyjaciela, bawiącego podówczas na wsi.

Na dziedzińcu spotkaliśmy mnóstwo paziów i lokajów w liberyi bogatéj i wykwintnéj, w przedpokoju zaś pełno było koniuszych, dworzan i innych oficyalistów. Wszyscy mieli ubiór przepyszny, ale twarze tak dziwaczne, że zdało mi się widziéć gromadę małp po hiszpańsku postrojonych. Przyznać trzeba, że są mężczyzni i kobiéty z taką postacią, iż sztuka nic im nie pomoże.

Zawiadomiono o przybyciu don Fabricio, po chwili wprowadzono go do pokoju, a ja postępowałem za nim. Hrabia w rannéj sukni, siedział na sofie, pijąc czokoladę. Przywitaliśmy go z oznakami najgłębszego szacunku; on zaś kiwnął głową, wejrzawszy na nas tak mile, żem go zaraz z całéj duszy polubił. Cudowny skutek, a przytém tak pospolity, jaki na nas wywiéra uprzejme przyjęcie panów! Trzeba, żeby się bardzo źle obeszli, skoro się nam nie podobają.

Wypiwszy czekoladę, bawił się przez niejaki czas z wielką małpą, którą miał przy sobie i nazywał kupidynem. Nie wiém dla czego temu zwierzęciu nadano imię takiego bożka, chyba z powodu złośliwości, bo z innych miar w niczém do niego nie było podobne. Wszakże tak jak ono jest stanowiło jedyną rozkosz pana, który się rozpływał nad jego zgrabnością, i ustawnie trzymał na ręku. Nunes i ja nie bardzo zamiłowani w skokach małpy, objawialiśmy jednak niemałe zachwycenie. To się bardzo podobało Sycylijczykowi, który wreszcie przerywając swoję zabawkę, odezwał się do mnie: mój przyjacielu, od ciebie jedynie zależy zostać jednym z moich sekretarzy. Jeżeli ci się to miejsce podoba, będziesz miał dwieście luidorów na rok. Dosyć jest kiedy don Fabricio cię przedstawia i ręczy. Tak jest panie, zawołał Nunez, ja jestem śmielszy od Platona, który nie chciał ręczyć za przyjacielem posyłając go do Dyonizyusza tyrana. Nic obawiam się najmniejszego zawodu.

Skłonieniem głowy podziękowałem poecie asturyjskiemu za jego śmiałość obowiązującą. Potém zwracając się do mojego pana zapewniłem go o mojéj gorliwości i wierności. Skoro pan spostrzegł, że ofiarowane mi miejsca z chęcią przyjmuję, kazał przyzwać intendenta, z którym się rozmówił po cichu, do mnie zaś rzekł: Gil Blasie, późniéj ci powiém do czego cię chcę użyć. Teraz możesz pójść z moim rządzcą; odebrał on już rozkazy względem twojéj osoby. Oddaliłem się więc, zostawiwszy hrabiego z Fabrycym i kupidynem.

Intendent Messeńczyk, najprzebieglejszy frant, zaprowadził mnie do swojego pokoju, nie szczędząc największych grzeczności. Posłał po krawca, który ubierał cały dom i kazał mi zrobić ubiór równie okazały jak innych wyższych oficyalistów. Krawiec wziął miarę i odszedł. Co do mieszkania, ja tu wiém pokój, który ci się podoba. Ale, czy jadłeś już śniadanie? Odpowiedziałem że jeszcze nie. Ah, biédny chłopcze, mówił, a czemużeś nie powiedział? Jesteś tu w takim domu, że tylko bąknij czego pragniesz, a będziesz miał w téj chwili. Pójdź zaprowadzę cię tam, gdzie dzięki Bogu niczego nie braknie.

To rzekłszy zaprowadził mnie do kredensu, gdzieśmy zastali marszałka pałacowego Neapolitańczyka, który tyleż był wart co Messeńczyk. Można było rzec o nim i o intendencie: Jan skacze lepiéj jak Piotr, Piotr zaś skacze lepiéj od Jana. Ten zacny marszałek pałacowy miał u siebie pięciu, czy sze-

ściu przyjacioł, którzy opychali się szynkami, ozorami i innem mięsem soloném, co ich zmuszało do wysuszania kufla za kuflem. Przyłączyliśmy się do tych żarłoków i pomogliśmy im do ściągania najlepszych win pana hrabiego. Kiedy to działo się w kredensie, w kuchni znowu inna była rzecz. Kucharz uraczał także trzech, czy cztérech znajomych mu mieszczan: nie oszczędzali oni także wina, a z silnym apetytem zajadali pasztety z królików i kuropatw: nie było nikogo aż do kuchcika, któryby się nie bawił tém, co potrafił cichaczem schwytać. Zdało mi się, że jestem w domu na rabunek wydanym; a przecież to było prawie nic. Ja widziałem tylko same fraszki w porównaniu z tém, czego nie widziałem.

Rozdział XV.

O obowiązkach, jakie hrabia Galiano poruczył Gil Blasowi.

Poszedłem po moje manatki, aby je przenieść do nowego mieszkania. Wróciwszy zastałem hrabiego przy stole z kilką panami i poetą Nunez, który z wielką swobodą kazał sobie usługiwać i mieszał się do rozmowy. Uważałem nawet, iż każdy jego wyraz mile był przyjmowany w tém towarzystwie. Niech żyje dowcip! kto go ma, może przybierać postaci jakie zechce.

Ja zaś jadłem obiad z oficyalistami, z małym bardzo wyjątkiem takiż sam jak panowie. Po obiedzie udałem się do mojego pokoju, rozmyślając nad nową służbą. Otóż, mówiłem sobie, Gil Blasie, jesteś teraz u hrabiego sycylijskiego, którego charakteru wcale nie znasz! Sądząc z pozorów, będziesz w domu jego jak pączek w maśle. Nie trzeba jednak ryb łowić przed niewodem, a ty nie powinieneś ufać twojéj gwiaździe, doświadczywszy aż nadto często jéj złośliwości. Prócz tego nie wiész swojego przeznaczenia. Ma sekretarzy i intendenta, jakichże usług może żądać od ciebie? Zapewne myśli ci powierzyć laskę Merkurego. Zgoda na to, nie można żądać lepszego miejsca u pana, chcąc się szybko wydźwignąć. Uczciwsze spełniając obowiązki postępuje się żółwim krokiem, noga za nogą i jesze nie zawsze dosięga się celu.

Kiedym tak dumał, wchodzi lokaj oświadczając, iż wszyscy panowie już odeszli i pan hrabia mnie wzywa. Pobiegłem czém prędzéj do jego pokoju i zastałem go rozciągniętego na sofie, zabierającego się do zwykłego Włochom wypoczynku, wraz z ulubioną małpą.

Zbliż się Gil Blasie, rzekł do mnie, weź krzesło i słuchaj. Spełniłem rozkaz, a on w te odezwał się słowa. Don Fabricio powiadał mi, że między innemi wybornemi przymiotami masz i ten, że się przywiązujesz do swoich panów i jesteś chłopcem niezachwianéj cnoty. Te dwie rzeczy skłoniły mnie do ofiarowania ci miejsca. Potrzebuję sługi przywiązanego, któryby się zajął mojemi interesami i z całą bacznością starał się o utrzymanie mojego dobra. Jestem wprawdzie bogaty, ale wydatki moje rok rocznie przewyższają moje dochody. A dla czego? Oto że mnie kradną, że mnie obdzierają. Jestem w domu własnym jak w lesie pełnym rabusiów. Mam w podejrzeniu mojego marszałka pałacowego i intendenta, że się obadwa znoszą i jeżeli się nie mylę, tedy nie trzeba już więcéj, aby mnie z gruntu zrujnować. Powiész, że skoro ich uważam za oszustów, należy ich wypędzić. Ale zkądże wziąć lepszych? Muszę więc poprzestać na tém, że każę dać baczenie na jednego i na drugiego człowiekowi, który będzie miał prawo nadzoru nad ich postępowaniem; właśnie zaś ciebie wybrałem do spełnienia téj powinności. Jeżeli się w tém powołaniu dobrze sprawisz, możesz być pewnym, że nie poświęcisz swoich usług niewdzięcznemu. Będę się starał korzystnie cię uposażyć w Sycylii.

Po takowéj przemowie, wyprawił mnie z pokoju, wieczór zaś w obec wszystkich domowników, ogłoszony zostałem nadintendentem domu. Messyńczyk i Neapolitańczyk, zrazu nie bardzo się tém zgryźli, bo zdawałem się im być hultajem łatwym do zgody, rachowali na to, że dzieląc się ze mną obrywkami, dawnym torem iść będą mogli. Nazajutrz wszakże zgłupieli, skoro im wręcz oświadczyłem, że jestem wrogiem wszelkiego przeniewierstwa. Zażądałem od marszałka wykazu zapasów. Zwiedziłem piwnice. Wywiedziałem się o wszystkiém co tylko jest w kredensie, to jest o srébrach i bieliźnie stołowéj. Poczém zaleciłem im obudwom, aby oszczędzali dobra pańskiego, nie byli rozrzutnymi w wydatkach; polecenie zaś moje skończyłem zapewnieniem, że doniosę natychmiast panu wszystkie zgubne przebiegi, jakie tylko w domu jego spostrzegę.

Nie poprzestałem na tém; chciałem koniecznie mieć szpiega, dla wybadania ich wzajemnego porozumiéwania się. Zwróciłem oczy na jednego kuchcika, który ujęty mojemi obietnicami, powiedział mi, że nie mogłem się trafniéj udać jak do niego, by wiedzieć wszystko, co się dzieje w domu; że marszałek pałacowy i intendent, są w zmowie z sobą, że trwonią pańskie mienie bez upamiętania; że połowa zakupowanych do kuchni potrzeb, na stronę idzie; Neapolitańczyk opatruje jednę panią naprzeciw kollegium św. Tomasza mieszkającą; a Messyńczyk utrzymuje drugą przy bramie słońca; że dwaj ci panowie co dzień rano posyłają swoim nimfom, wszelkiego rodzaju zapasy; że kucharz ze swojéj strony, najlepsze półmiski posyła znajomej sobie wdowie w sąsiedztwie, a w nagrodę usług dla tych dwóch panów, którym zupełnie sprzyja, rozrządza téż jak oni winem z piwnicy; koniec końców, że z łaski tych panów, straszne są wydatki w domu hrabiego. Jeżeli pan nie ufasz moim słowom, dodał kuchta, chciéj sobie zadać ten trud i jutro rano o godzinie siódméj, bądź w bliskości kollegium św. Tomasza, a zobaczysz mnie z potężnym koszem, który cię przekona. A więc ty jesteś posłannikiem tego grzecznego dostarczyciela? zapytałem się; tak jest, odpowiedział kuchcik, mnie używa marszałek, a jeden z moich towarzyszów, usługuje intendentowi.

Zdało mi się, że takowe sprawozdanie warte jest trudu sprawdzenia. Przez ciekawość, udałem się o godzinie oznaczonéj do wskazanego mi kollegium, i nie długo czekałem na mojego szpiega. Wkrótce nadszedł z koszem pełnym mięsa, drobiu i zwierzyny. Spisałem wszystko, a rozkazawszy chłopcu spełnić jak zwykle, dane mu polecenie, sam z moim wywodem słownym, udałem się do hrabiego.

Pan Sycylijski z natury popędliwy, w piérwszém uniesieniu chciał wypędzić obudwóch, i Neapolitańczyka i Messyńczyka; lecz zastanowiwszy się nieco, poprzestał na pozbyciu się tego drugiego, którego miejsce mnie powierzył. A tak posada moja nadintendenta, została zniesiona wkrótce po jéj utworzeniu, a szczérze mówiąc, nie żałowałem tego. Było to, w gruncie rzeczy, powołanie honorowego szpiega, posada nic stanowczego nie zapewniająca; gdy tymczasem zostawszy panem intendentem, byłem panem skrzyni z pieniędzmi, a to rzecz główna. Tego rodzaju sługa, zawsze trzyma piérwsze miejsce w domu; a tyle jest drobnych obrywków, połączonych z jego zarządem, że może się zbogacić, choćby najuczciwszym był człowiekiem.

Neapolitańczyk nie był tak łatwy do wyczerpania w swoich fortelach, widząc moją grubiańską gorliwość, przekonawszy się, że codziennie przeglądałem kuchenne zapasy i spisywałem je starannie, zaprzestał ich rozsyłania; lecz łotr mimo to, codzień brał tę samą ilość. Tym podstępem korzystając z resztek schodzących ze stołu pańskiego, które z prawa do niego należały, był w stanie posyłać swojéj lubéj mięso przyrządzone, kiedy już nie mógł jéj dostarczać surowego. Ten szatan, nic nie stracił, a hrabia nic nie zyskał, mając fenixa z pośród intendentów. Nadzwyczajna obfitość jakąm wtedy ujrzał na stole, kazała mi się domyślać nowego wybiegu; natychmiast zaprowadziłem nowy porządek, odtrącając część zbytkowną z każdego dania; dokonałem zaś tego z taką przezornością, iż śladu nie było oszczędności. Rzekłbyś, że zawsze ta sama była obfitość; a przecież na tém ograniczeniu, zyskałem znaczne zmniejszenie w wydatkach. Tego właśnie pragnął mój pan; chciał on oszczędzać, nie ustępując nic ze wspaniałości. Okazałość pańska górowała w nim nad chciwością.

Nie dość na tém, zniosłem jeszcze drugie nadużycie; uważając że wino bardzo prędko wychodziło, domyśliłem się, że i tu musi być jakieś szachrajstwo. W rzeczy saméj, jeżeli naprzykład było dwunastu panów u stołu hrabiego, wychodziło

zwykle pięćdziesiąt, czasami sześćdziesiąt butelek. To mnie zdziwiło; radziłem się w tym względzie mojéj wyroczni, to jest, mojego kuchcika, z którym rozmawiałem potajemnie i który mi wiernie donosił co się robiło i mówiło w kuchni, nie będąc podejrzany nikomu. On mi powiedział, że kradzież na którą się skarżyłem, pochodziła z nowéj ligi, zawartéj między marszałkiem pałacowym, kucharzem i lokajami nalewającymi wino; że ci ostatni zabiérali butelki do połowy wypróżnione, którymi się potém sprzymierzeni dzielili. Odezwałem się do lokajów, zagroziłem im wypędzeniem, jeżeli jeszcze daléj tak robić będą, więcéj téż nie trzeba było, by ich utrzymać w karbach obowiązku. Pan mój, którego zawiadomiałem o najdrobniejszych szczegółach dla dobra jego przedsięwziętych, nie szczędził mi pochwał i co dzień stawał się dla mnie przychylniejszym. Ja zaś z mojéj strony w nagrodę świadczonych przysług, kuchcika mojego posunąłem na stopień pomocnika kucharza. Takim to sposobem w uczciwych domach, wierny sługa, postępuje w swoim zawodzie.

Neapolitańczyk wściekał się ze złości, napotykając mnie wszędzie na drodze; ale co go najwięcéj gryzło, to były ustawne sprzeczki przy zdawaniu rachunków dziennych; bo żeby tém lepiéj obcinać mu pazurki, codziennie udawałem się na rynek dla powzięcia wiadomości o cenie potrzebnych przedmiotów. Tym sposobem gdy on późniéj wracał i chciał mi rachunek przesalać, ja go silnie powściągałem. Przekonany byłem, że mnie sto razy na dzień przeklinał; ale powód przekleństw, zabezpieczał mnie od ich spełnienia. Nie rozumiem jakim sposobem mógł tak długo ulegać, nie porzuciwszy służby u pana sycylijskiego. Bez wątpienia zdaje się, że mimo to wychodził nie źle w swoich rachunkach.

Fabrycy, którego odwiedzałem kiedy niekiedy, któremu opowiadałem wszystkie waleczne czyny mojego intendenctwa, dotąd niesłychane, skłonniejszym był do nagany, niż pochwały mojego postępowania. Daj Boże, rzekł raz do mnie, aby cała ta twoja bezinteresowność, była kiedyś wynagrodzona! Ale między nami mówiąc, gdybyś nie tak szorstko postępował z marszałkiem pałacowym, zdaje mi się, żeby to nie było nic złego. Jakto! odpowiedziałem, ten złodziéj będzie mi w rachunku podawał cenę ryb dziesięć luidorów, kiedy go nie kosztują więcéj nad cztéry, i ty chcesz żebym mu to przyjął? Dla czego nie? odpowiedział zimno; niech ci tylko da połowę przewyżki, a rzecz będzie w porządku. Dalibóg mój przyjacielu, mówił daléj kiwając głową, psujesz tylko ład w domu, zdajesz się objawiać żądzę długiéj służby, bo nie strzyżesz barana, mając go pod ręką. Pamiętaj, że fortuna podobna jest do tych zalotnic żywych i wesołych, które się wymykają gachom nieśmiałym.

Rozśmiałem się z mowy Nunesa, i on się śmiał także, chcąc mnie przekonać, że nie mówił tego z serca. Wstydził się, że bez użytku wystąpił ze złą radą. Ja trwałem wciąż w postanowieniu być wiernym i gorliwym. Nie uchybiłem bynajmniéj, i mogę śmiało powiedzieć, że w przeciągu czterech miesięcy, przez moją oszczędność, zyskałem dla pana najmniéj trzy tysiące dukatów.

Rozdział XVI.

O przypadku małpy hrabiego Galiano. O chorobie Gil Blasa i jéj skutkach.

Po upływie tego czasu, spokojność dotąd panująca w pałacu, strasznie zakłóconą została przypadkiem, który czytelnikom błahym wydawać się będzie, dla służących zaś, a dla mnie szczególniéj, był bardzo ważnym. Kupidyn, ta małpa o któréj już namieniłem, to ulubione pańskie zwierzę, chcąc raz przeskoczyć z okna do okna, tak źle się sprawił, iż spadł na podwórze, i wywichnął nogę. Hrabia skoro tylko dowiedział się o tym przypadku, począł krzykliwe rozwodzić żale: jak kobiéta, w zbytku swojego cierpienia obwiniał wszystkich swoich ludzi bez wyjątku; nie wiele brakło, aby dom swój zupełnie wypróżnił. Jednakże ograniczył gniéw swój, złorzecząc nam i wymyślając w wyrazach bez najmniejszego wyboru. Rozesłał natychmiast po felczerów najbieglejszych w całym Madrycie pod względem leczenia złamanych lub zwichniętych kości. Obejrzeli nogę chorą, nastawili ją należycie i obandażowali. Lecz chociaż wszyscy zapewnili, iż nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, pan przecież zatrzymał jednego, aby pilnował zwierzęcia aż do zupełnego wyleczenia.

Uchybiłbym prawdzie, pomijając milczeniem zgryzotę i niespokojność, jakich pan sycylijski doznawał przez cały ten czas. Będzież kto wierzył, że w dzień nie odstępował swojego miłego kupidyna? Był obecnym kiedy go opatrywano, a w nocy dwa lub trzy razy wstawał, zaglądając do niego. Lecz co najgorsza, wszyscy służący, a ja szczególniéj, musieliśmy ciągle być na nogach, aby być w pogotowiu biedz, gdzieby potrzeba wymagała, na usługi małpy. Słowem, nie mieliśmy odpoczynku w pałacu, póki przeklęte bydlę nie wyzdrowiało zupełnie i nie rozpoczęło na nowo skoków i koziołków. Po tém wszystkiém, niech kto chce nie wierzy podaniom Swetoniusza, gdy mówi, że Kaligula tak kochał swojego konia, iż przeznaczył dla niego pałac bogato urządzony, dodał oficerów do jego służby i chciał go zrobić konsulem! Mój pan nie mniéj był zachwycony swoją małpą; byłby ją chętnie zrobił korregidorem.

Największe dla mnie w tym wypadku było nieszczęście, żem starając się prześcignąć wszystkich służących dla większego przypodobania się panu, tak gorliwie zabiegałem około kupidyna, żem sam zachorował. Gorączka gwałtowna opanowała mnie, i złe wkrótce tak się wzmogło, iż straciłem przytomność. Nie wiem co się ze mną działo przez dni piętnaście, gdym się ważył między życiem i śmiercią. To tylko wiém, że wiek mój młody tak silnie pasował się z gorączką, a może i z lekarstwami jakie mi dawano, że wreszcie odzyskałem zmysły. Najpiérwsza rzecz która mnie w tym stanie uderzyła, że nie byłem w moim pokoju. Chciałem wiedzieć dla czego; zapytałem się podeszłéj kobiéty, która mnie pilnowała, lecz ta odpowiedziała, iż nie powinienem mówić, bo lekarz wyraźnie tego zakazał. Kiedy człowiek zdrowy, żartuje sobie pospolicie z tych doktorów; niech przyjdzie choroba, a każdy jak baranek poddaje się ich rozkazom.

Postanowiłem więc milczéć, choć szczérą chęć miałem rozmawiać z moją dozorczynią. Rozmyślałem nad tém, gdy weszło dwóch, coś na elegantów rzeskich zakrawających. Mieli na sobie ubiór aksamitny, koszule bardzo piękne, obszyte koronkami. Rozumiałem, że to byli panowie, przyjaciele hrabiego, którzy przez wzgląd na niego, przyszli mnie odwiedzić. Tą myślą zajęty, zebrałem wszystkie siły aby się dźwignąć i usiąść na łóżku, przez uszanowanie zrzuciłem czapeczkę; lecz moja dozorczyni położyła mnie znowu jak długiego, mówiąc, że ci panowie to są, jeden doktór, a drugi aptekarz.

Doktór zbliżył się do mnie, wziął za puls, przypatrzył się twarzy, a spostrzegłszy wszystkie objawy blizkiego wyzdrowienia, przybrał postać tryumfującą, jak gdyby się bardzo do tego przyłożył, i rzekł, iż jednego tylko potrzeba lekarstwa dla uzupełnienia jego dzieła, że potém będzie się mógł pochlubić, iż ważnego dokonał wyleczenia. To rzekłszy, kazał aptekarzowi pisać receptę, którą mu dyktował przeglądając się w zwierciedle, poprawiając fryzury i robiąc grymasy, z których musiałem się śmiać bez względu na stan w jakim się znajdowałem. Po czém skłonił mi się głową po tancersku i wyszedł więcéj zajęty swoją figurą, niż zapisaném lekarstwem.

Po jego oddaleniu się, aptekarz, który nie napróżno przybył do mnie, zabrał się do czynności, łatwéj do odgadnięcia. Czy nie ufał zręczności podeszłéj kobiéty, czy dla podwyższenia ceny towaru, sam chciał koniecznie dokonać tego działania. Lecz mimo całą jego zręczność, nie wiém jak się to stało, zaledwie czynność skończył, gdy oddając to, co mi zadał, pięknie przystroiłem jego ubiór aksamitny. Przypadek ten uważał on, jako przykrość od sztuki aptekarskiéj nieodłączną. Wziął serwetę, obtarł się, nie mówiąc ani słowa i oddalił się, postanowiwszy zapewne wyciągnąć ode mnie koszt wywabiacza plam, któremu suknie swoje powierzyć musiał.

Nazajutrz rano, przybył skromniéj ubrany, chociaż w tym dniu nie miał się wcale na co narażać, przyniósł lekarstwo przez

doktora wczoraj przepisane. Naprzód z każdą chwilą czułem się zdrowszym, a powtóre, od dnia poprzedniego taki wstręt czułem do doktorów i aptekarzy, że przeklinałem nawet uniwersytety, w których ci panowie otrzymują władzę zabijania ludzi bezkarnie. W takowém będąc usposobieniu, oświadczyłem przysięgając, że nie chcę żadnych lekarstw, że djabłu poruczam Hipokratesa i jego czeredę. Aptekarz nie troszcząc się bynajmniéj, co ja zrobię z jego mieszaniną, byleby mu była zapłacona, zostawił ją na stole i odszedł, nie bąknąwszy ani słowa.

Kazałem natychmiast wyrzucić za okno to psie lekarstwo, przeciw któremu tak silnie byłem uprzedzony, iż pewny byłem, że się otruję, skoro je połknę. Do tego nieposłuszeństwa dodałem zaraz drugie; przerwałem milczenie i tonem stanowczym oświadczyłem mojéj staréj, że chcę bezwarunkowo wiedzieć coś o moim panu. Stara lękając się nagłego wzruszenia, skoroby ciekawość moją zaspokoiła, a może téż upiérała się dla pogorszenia mojéj choroby, nie chciała nic mówić; lecz tak na nią nastawałem, że wreszcie rzekła mi: panie kawalerze, teraz nie masz innego pana, prócz siebie samego. Hrabia Galiano wrócił do Sycylii.

Nie mogłem wierzyć temu, com słyszał, a przecież to była istna prawda. Pan ten zaraz drugiego dnia mojéj choroby, lękając się abym nie umarł w jego domu, był tyle łaskaw, że mnie wraz z mojemi rzeczami kazał przenieść do pokoju umeblowanego w hotelu, w którym mnie zostawił na łasce Opatrzności i staréj niewiasty. W tym czasie odebrawszy rozkaz ode dworu, by jak najprędzéj wracał do Sycylii, wyjechał tak spiesznie, że o mnie ani pomyślił, bąć że mnie zaliczał już do umarłych, bąć że wielcy panowie podlegają podobnym usterkom pamięci.

Moja dozorczyni opowiedziała mi te szczegóły, dodając, że ona wezwała lekarza i aptekarza, ażebym bez ich pomocy nie umarł. Usłyszawyzy takowe nowiny, wpadłem w głębokie marzenie. Żegnam cię moje korzystne uposażenie w Sycylii! żegnam was błogie nadzieje! Jeżeli jakie wielkie nieszczęście padnie na ciebie, mówi jeden moralista, zastanów się dobrze nad sobą, a zobaczysz, że to zawsze z twojéj winy pochodzi; niech mi daruje ten świątobliwy człowiek, ależ ja nie wiém wcale, jakim sposobem w tém zdarzeniu, mogłem się przyczynić do mojego nieszczęścia.

Ujrzawszy z dymem spełzłe marzenia, któremi sobie głowę nabiłem, piérwsza rzecz, która myśl moją zajęła, był mój tłomoczek, który kazałem sobie podać do łóżka, dla przejrzenia. Westchnąłem widząc go otwartym. Niestety! mój tłomoczku, zawołałem, moja jedyna pociecho, byłeś jak widzę, na łasce rąk cudzych. Nie, nie, panie Gil Blas, odezwała się stara, uspokój się, nic ci nie skradziono, strzegłam twojego tabołka, tak jak własnego honoru.

Znalazłem ubiór, który miałem wchodząc do służby hrabiego; ale napróżno szukałem tego, który mi Messyńczyk kazał zrobić. Pan mój może uznał za rzecz niestosowną, zostawić mi go, albo może sobie ktoś przywłaszczył. Wszystkie inne rzeczy znalazły się, nawet worek skórzany, w którym były pieniądze. Liczyłem je dwa razy, nie dowierzając sobie, było bowiem tylko pięćdziesiąt luidorów, jako reszta z dwustu sześćdziesięciu, które miałem przed chorobą. Cóż to znaczy moja matko? rzekłem do staréj, oto moja kassa bardzo uszczuplona. A przecież tam nikt nic nie tknął, prócz mnie, a ja oszczędzałam ile możności; ale choroba kosztuje wiele, trzeba ciągle mieć pieniądze w ręku. Oto, rzekła ta oszczędna gosposia, wyciągając z kieszeni pakiet papierów, oto jest rachunek wydatków, tak czysty jak złoto, który cię przekona, żem szeląga nie użyła na próżno.

Przebiegłem oczyma rachunek, obejmujący blizko dwadzieścia stronnic. Boże zlituj się! ileż to drobiu zakupiono, gdy byłem bez przytomności. Za sam bulion było najmniéj dwanaście luidorów. Inne artykuły odpowiadały temu. Trudno wypowiedzieć, ile wydała na drzewo, na świéce, wodę, miotły, i t. d. A jednakże choć tak sążnisty był jéj rachunek, cała summa zaledwie dochodziła trzydziestu luidorów, a zatém powinno być jeszcze z reszty sto ośmdziesiąt. Przedstawiłem to staréj, ale ta z miną naiwną poczęła świadczyć się wszystkiemi świętemi, że w worku nie było więcéj nad ośmdziesiąt luidorów, kiedy marszałek hrabiego powierzył jéj mój tłomoczek. Co mówisz, przerwałem jéj szybko, to marszałek pałacowy oddał ci do rąk moje manatki? Oczywiście, odpowiedziała, on sam i to jeszcze oddając rzekł: Masz moja matko, skoro pan Gil Blas będzie pomazany olejem, nie zapomnij go uraczyć pięknym pogrzebem, w tym tłomoczku wystarczy ci na koszta.

Ha! przeklęty Neapolitańczyku! zawołałem wtedy, już teraz nie mam potrzeby łamać głowy, co się stało z mojemi piénędzmi. Zagarnąłeś je, by sobie wynagrodzić część kradzieży, od któréj cię powściągnąłem. Po takiéj odezwie, podziękowałem Bogu, że łotr wszystkiego nie zabrał. Jakkolwiek jednak miałem powód obwiniania o kradzież marszałka pałacowego, nie mogłem przecież oprzéć się myśli, że i stara mogła być złodziejką. Podejrzenia moje padały raz na tego, drugi raz na nią, choć to wszystko jedno było dla mnie. Nie objawiłem tego staréj, nie spiérałem się nawet z nią o rachunek, niebym był na tém nie zyskał, a każdy przecie musi spełniać swoje powołanie. Gniéw mój ograniczyłem na zaspokojeniu jéj należytości, i odprawieniu w trzy dni późniéj.

Domyślam się, że oddalając się odemnie, dała znać aptekarzowi, że mnie już opuściła, że dosyć mam siły, aby puścić się w świat, nie porachowawszy się z nim, bo w moment potém, ujrzałem go zadyszanego. Podał mi rachunek z wypisem wszystkich lekarstw dostarczonych mi wtedy, gdy byłem bez przytomności, nazwiska w nim zamieszczone, były mi wcale nieznane, chociaż sam byłem lekarzem. O nim to właściwie można było powiedzieć, że był rzeczywistym rachunkiem aptekarskim, dla tego téż przy wypłacie wszczął się spór. Ja żądałem żeby odciął połowę od tego, co żądał, on się zaklinał, że ani szeląga nie opuści. Zważywszy atoli, że miał do czynienia z młodym człowiekiem, który tegoż jeszcze dnia, może się wynieść z Madrytu, postanowił przyjąć to, co mu ofiarowałem, to jest trzy razy tyle, ile warte były jego lekarstwa, aniżeli stracić wszystko. Wydałem mu z wielkim żalem moje piéniądze, a on je zgarnął, zemściwszy się tym sposobem, za wyrządzoną sobie hańbę z lawatywą.

Lekarz pojawił się w też tropy, bo te istoty zawsze tuż za sobą chodzą. Wyliczyłem mu jego wizyty, aż nadto częste i puściłem go zadowolonym. Nim wszakże wyszedł, dla przekonania mnie, że zarobił słusznie to co wziął, wyliczył mi po szczególe wszystkie przypadłości śmiertelne, którym zapobiegł w czasie mojéj choroby, wyrażał się zaś bardzo pięknie i w tonie nader uprzejmym, ale ja nic z tego nie zrozumiałem, kiedym go już odprawił, sądziłem, żem się pozbył wszystkich posługaczów Park; myliłem się, wszedł felczer, którego w życiu nie widziałem. Skłonił mi się bardzo grzecznie, wynurzył swoją radość widząc mnie ocalonego z niebezpieczeństwa na jakie narażony byłem, co przypisywał dwóm obfitym krwi upuszczeniom, których on dokonał, i bańkom, które miał zaszczyt mi przystawiać. Znowu wyrwał mi piórko ze skrzydła. Po tylu wypróżnieniach, worek mój tak zesłabł, iż można było śmiało powiedzieć, że to jest ciało zwiędłe, tak mało w nim pozostało duchów żywotnych.

Zacząłem tracić odwagę ujrzawszy się w tak smutném położeniu. U ostatnich moich panów zanadto przywykłem do wygód życia, nie mogłem już, jak dawniéj, zapatrywać się na niedostatek z obojętnością cynika. Przyznam się jednak, żem źle robił oddając się smutkowi, doświadczywszy już tylekroć, że fortuna pognębiwszy mnie, natychmiast znowu dźwigała; powinienem był przeto przykry mój stan uważać za wróżbę przyszłego powodzenia.

KSIĘGA ÓSMA.

Rozdział I.

Gil Blas znajduje miejsce. Historya don Valerio de Luna.

Dziwiło mnie mocno, że przez cały ten czas nie słyszałem nic o Nunezie, pomyśliłem sobie, że musi być na wsi. Skoro

więc tylko mogłem wyjść zaraz udałem się do niego i dowiedziałem się, że w istocie już od trzech tygodni był w Andaluzyi z księciem Medina Sidonia.

Pewnego poranku przebudziwszy się przyszedł mi na myśl Melchior de la Ronda, a przypominając sobie, żem mu przyrzekł w Granadzie, iż odwiedzę siostrzeńca jego, skoro wrócę do Madrytu, postanowiłem tegoż jeszcze dnia spełnić obietnicę. Wywiedziałem się o pałac don Baltazara de Zuniga i poszedłem. Zapytałem się o pana Józefa Navarro, któregom ujrzał niebawnie. Skłoniłem się, on zaś przyjął mnie grzecznie, ale zimno, chociaż przez wszystkie przypadki odmieniłem moje nazwisko. Nie mogłem pogodzić tego przyjęcia oziębłego z wyobrażeniem jakie mi podano o tym panu kuchmistrzu. Jużem się miał oddalić z mocném postanowieniem nie oglądania go więcéj, gdy on w téj chwili z wypogodzoną twarzą, z wielką żywością, odezwał się do mnie: Ah, panie Gil Blas z Santyllany, daruj mi z łaski swojéj, żem cię tak przyjął. Pamięć moja zawiodła moje uczucia jakie mam względem ciebie. Zapomniałem twego nazwiska, nie myśliłem wcale o tym młodzieńcu, o którym odebrałem wzmiankę w liście z Granady przed cztérema miesiącami pisanym.

Niechże cię uściskam! dodał, rzucając mi się na szyję. Wuj mój Melchior, którego kocham i szanuję jak ojca własnego, peleca mi, że jeżelibym przypadkiem spotkał cię, żebym się z tobą tak obszedł jak z jego synem, żebym w twoim interesie użył całego wpływu mojego i moich przyjacioł. Tak mi wychwala twoje serce i twoje zdolności, że to samo już skłaniałoby mię do przysłużenia się tobie, gdyby nawet jego polecenie nie zobowiązywałoby mnie do tego. Proszę cię więc uważaj mnie za człowieka, któremu wuj przekazał wszystkie uczucia, jakie go z tobą łączyły. Ofiaruję ci moję przyjaźń, nie odmawiaj mi swojéj.

Odpowiedziałem z wdzięcznością należną grzeczności Józefa, i obadwa jako ludzie żywi i szczérzy ściśle między sobą zawarliśmy związki. Nie wahałem się odkryć przed nim mojego położenia, on zaś na to: ja będę się starał o miejsce dla ciebie; a tymczasem przychodź tu codziennie jeść, będziesz miał lepszy stół, niż w twojéj garnkuchni. Dla przychodzącego do zdrowia, a przyzwyczajonego do smacznych kąsków, była to ofiara nie łatwa do odrzucenia. Przyjąłem ją i tak dobrze pokrzepiłem siły swoje, że po upływie piętnastu dni wyglądałem jak pulchny pączek. Zdawało mi się, że synowiec Melchiora nieźle wychodził. Lecz jakże mogło być inaczéj? doił on trzy krówki zarazem, będąc piwniczym, kuchmistrzem i marszałkiem pałacowym. Prócz tego, bez względu na naszą przyjaźń, ja myślę, że intendent znał się z nim bardzo dobrze.

Już zupełne odzyskałem zdrowie, gdy przyjaciel mój Józef widząc mnie przybywającego do pałacu Zuniga, według mojego zwyczaju, wyszedł naprzeciw mnie i z miną wesołą odezwał się: panie Gil Blas, mam dość dobre miejsce dla ciebie. Musisz wiedzieć, że książę Lerma piérwszy minister Hiszpanii, chcąc się całkiem poświęcić sprawom państwa, trudy około własnych interesów poruczył dwom osobom. Odbiór dochodów ma sobie zlecony don Diego de Monteser, zarząd domu zaś jest pod kierunkiem don Rodriga de Calderone. Ci dwaj panowie mają władzę nieograniczoną, jeden od drugiego nie zależy. Don Diego ma zwykle pod ręką dwóch intendentów zajętych odbiorem dochodów; dowiedziawszy się dziś rano, że jednego z nich wypędził, byłem u niego prosząc o to miejsce dla ciebie. Pan Monteser, który mnie zna, i mogę się pochlubić jego przywiązaniem, przystał na to bez żadnych korowodów, poprzestał na świadectwie jakie mu o twoich obyczajach i zdolności złożyłem. Pójdziemy do niego dziś po południu.

Nie zaniedbaliśmy tego. Przyjęty byłem bardzo uprzejmie i zainstallowany na urząd intendenta, w miejsce odprawionego. Obowiązkiem moim było zwiédzać folwarki, zajmować się naprawami, odbiorem należytości od dzierżawców; słowem zajmowałem się gospodarstwem wiejskiém i co miesiąc składałem rachunki panu don Diego, który bez względu na pochwały dane mi przez pana kuchmistrza, przetrząsał je z wielką uwagą. Tego ja téż pragnąłem. Lubo moja rzetelność tak źle wynagrodzona była w ostatniéj służbie, przecież postanowiłem trzymać się jéj niezmiennie.

Pewnego dnia dano nam znać, że pożar wszczął się w zamku Lerma i że przeszło połowa jego zamienioną została w gruzy. Udałem się zaraz na miejsce dla rozpoznania szkody. Tam wywiedziawszy się dokładnie o szczegółach pożaru, ułożyłem obszerne zdanie sprawy, które Monteser przedstawił księciu Lerma. Minister mimo przykrość, jaką mu sprawiła tak zła nowina, zwrócił uwagę na sprawozdanie, i nie mógł się wstrzymać od zapytania, ktoby był jego autorem. Don Diego nie dosyć, że zaspokoił jego ciekawość, ale nadto tak mówił korzystnie o mnie, że jego wysokość przypomniał to sobie w sześć miesięcy późniéj, z powodu zdarzenia, które zaraz opowiém, a bez którego nigdy zapewne nie dostałbym się był do dworu. Oto jest cała historya.

Przy ulicy Infantów mieszkała kobiéta w wieku, zwana Inesile de Cantarilla. Nie wiedziano z pewnością z jakiegoby pochodziła rodu. Jedni udawali ją za córkę fabrykanta gitar, inni utrzymywali, że ojcem jéj był komandor zakonu św. Jakóba. Cóżkolwiekbądź, byłato osoba zdumiéwająca. Natura obdarzyła ją przywilejem zachwycania mężczyzn przez całe życie, które trwało jeszcze w połowie ósmego krzyżyka. Była ona bożyszczem panów starego dworu, widziała ich u stóp swoich z nowego. Czas nie oszczędzający wdzięków, napróżno pasował się z jéj piękności; wyciskał na niéj swoje piętno nie odejmując władzy podobania się. Postawa szlachetna, umysł zachwycający, wdzięki naturalne, pomagały jéj do obudzenia namiętności, choć już była w wieku podeszłym.

Młodzieniec dwudziesto-pięcioletni don Valerio de Luna, jeden z sekretarzy księcia Lerma, widział Inesilę, zakochał się w niéj. Oświadczył się ze swoją miłością i ścigał ukochany przedmiot z zapałem, jaki wzniecić może namiętność w młodym człowieku. Kobiéta mająca swoje powody odmówienia jego żądzy, nie wiedziała co począć dla pohamowania go, przecież zdało się jéj raz, że wynalazła sposób. Wprowadziła do swojego gabinetu młodzieńca i pokazując mu stojący na stole zegar, rzekła, zobacz która godzina, dziś właśnie siedmdziesiąt pięć lat upływa, jak o tej saméj godzinie ujrzałam światło dzienne. Zaiste, czyż mi przystało w tym wieku wdawać się w miłostki? Zastanów się mój synu, stłum w sobie te uczucia nieprzyzwoite równie dla ciebie, jak dla mnie. Na tę mowę rozsądną, młodzieniec zerwawszy kiełzno rozsądku, odpowiedział jéj z całą gwałtownością człowieka opętanego uczuciami, które nim miotały. Okrutna Inesillo, dla czegóż uciekasz się do tak czczych wybiegów? sądzisżże, iż one potrafią cię zmienić w moich oczach? Nie łudź się tak próżną nadzieją; czy jesteś taką, jaką cię widzę, czy może czary zwodzą moje zmysły, w każdym przypadku nie przestanę cię kochać. A więc, rzekła, ponieważ uparłeś się trudzić mnie swojemi zabiegami, dom mój odtąd będzie zamknięty dla ciebie, zakazuję ci widzenia się ze mną.

Myślicie może, że don Valerio zmieszany tém co słyszał, zrobił uczciwy odwrot; przeciwnie większym jeszcze stał się natrętem. Miłość w rozkochanych te same wywiéra skutki, co wino w pijakach. Młodzieniec prosił, wzdychał, a nagle przeskakując od próśb do uniesień gwałtownych, chciał przemocą uzyskać, czego nie mógł inaczéj. Lecz kobiéta odpychając go śmiało, rzekła mu, z oburzeniem: wstrzymaj się lekkomyślny, zarzucę hamulec twoim nierozsądnym zapałom. Wiédz, że jesteś moim synem.

Don Valerio osłupiał na te słowa: powściągnął swoję popędliwość. Lecz wystawiając sobie, że Inesilla tak mówiła, aby się uwolnić od jego natręctwa, odpowiedział jéj: wynalazłaś tę powiastkę dla poskromienia mojéj żądzy. Nie, nie, przerwała mu, odsłaniam ci tajemnicę, którą na wieki byłabym ukryła przed tobą, gdybyś mnie nie przywiódł sam do téj ostateczności. Dwadzieścia sześć lat temu kiedy pokochałam don Pedro de Luna twojego ojca, podówczas gubernatora Segovii: tyś był owocem naszéj miłości; przyznał cię i starał się o twoje wy-

chowanie, a prócz tego, że nie miał innych dzieci, twoje piękne przymioty skłoniły go, iż ci zapisał znaczny majątak. Ja z mojéj strony nie opuszczałam ciebie: skorom cię ujrzała wchodzącego w świat, ściągnęłam cię do siebie, aby ci nadać to uprzejme wzięcie się, tak niezbędne ukształconemu młodzieńcowi, a które jedynie kobiéty zdolne są wpoić w umysły młodych. Więcéj jeszcze zrobiłam, użyłam całego mojego wpływu, aby cię umieścić u piérwszego ministra. Zresztą zajmowałam się tobą, tak jak to powinnam czynić dla syna. Po takiém wyznaniu postanów co ci czynić wypada. Jeżeli możesz oczyszcić twoje uczucia i uważać mnie za matkę, nie oddalam cię od siebie, owszem zachowam całą troskliwość jaką aż dotąd objawiałam; lecz jeżeli nie potrafisz się zdobyć na taką moc charakteru, czego rozum i natura wymagają po tobie, uchodź w téj chwili i uwolnij mnie od okropności oglądania ciebie.

Tak mówiła Inesilla, a don Valerio przez cały czas głębokie zachował milczenie. Rzekłbyś że przywoływał na pomoc cnoty, że przezwyciężał sam siebie. O tém on wcale nie marzył; rozmyślał nad innym wcale zamiarem i gotował matce przeciwny widok. Nie mogąc przełamać tamy zawadzającéj jego szczęściu, uległ nikczemnie rozpaczy. Dobył szpady i utopił ją w łonie własném.

Nieszczęśliwy don Valerio nie umarł od razu z zadanego sobie ciosu; miał czas do uznania i proszenia Boga o przebaczenie za to samobójstwo. Że zaś śmierć jego opróżniała posadę sekretarza przy księciu Lerma, minister wspomniawszy na moje sprawozdanie o pożarze, bacząc zarazem na pochwały jakie mi dawano, wybrał mnie na zastępcę tego młodego człowieka.

Rozdział II.

Gil Blas przedstawiony księciu Lerma. Minister kontent z jego roboty.

Monteser piérwszy objawił mi tę przyjemną nowinę i rzekł do mnie: przyjacielu Gil Blasie, chociaż nie bez żalu cię tracę, jednakże za nadto cię kocham, żebym się nie miał cieszyć, iż następujesz po don Valerio. Wyjdziesz niechybnie bardzo dobrze, jeżeli tylko zachowasz dwie rady, które ci udzielić chcę: piérwsza, żebyś się okazywał tak przywiązanym do jego wysokości, żeby on nie miał powodu do powątpiewania o twojém poświęceniu; druga, żebyś wszelkiemi siłami zabiegał o przychylność don Rodryga de Calderone, bo ten człowiek gnie umysłem swojego pana jak miękkim woskiem. Jeżeli będziesz miał szczęście zjednać sobie względy tego sekretarza ulubieńca, wnet daleko zajdziesz, jestto rzecz tak pewna, że ci śmiało za nią ręczę.

Złożywszy dzięki za tak przyjaźną skazówkę, rzekłem, panie, naucz mnie z łaski swojéj, jakiego charakteru jest ten don Rodrigo. Słyszałem ja nie raz mówiących o nim, wystawiano go, jako dość przewrotnego człowieka, ale ja nie ufam zdaniu ludu o osobach zajmujących posady przy dworze, chociaż niekiedy sąd ten bywa trafny. Powiédz mi więc proszę cię, co myślisz o panu Calderonie. Żądasz bardzo drażliwéj rzeczy, rzekł nadintendent z przekąsem, każdemu innemu powiedziałbym, że to bardzo uczciwy człowiek, nie wahałbym się oświadczyć, że o nim nic złego powiedzieć nie można, lecz z tobą chcę otwarcie postępować. Naprzód uważam cię za człowieka umiejącego zachować tajemnicę, powtóre, sądzę, że o don Rodrigu szczérze ci mówić winienem, ponieważ radziłem ci starać się o jego względy, bez należytéj więc otwartości zobowiązywałbym cię tylko przez połowę.

Musisz więc wiedzieć, że z prostego służalca, jakim był u jego wysokości wtedy, gdy ten proste dzierżył jeszcze imię don Franciszka de Sandoval, doszedł stopniami do posady piérwszego sekretarza. Niewidziano człowieka dumniejszego; nie raczy on odpowiedzieć na żadne grzeczności, jeżeli go do tego ważne nie znaglają powody. Słowem uważa się za kolegę księcia Lerma, a w gruncie rzeczy możnaby powiedzieć, że podziela z nim obowiązki piérwszego ministra, ponieważ on szafuje posadami jak mu się podoba. Publiczność często szemrze na to, ale on nietroszczy się bynajmniéj o głos powszechny, byleby go tylko dochodziły łapówki za rozmaite interesa. Łatwo z tego co ci powiedziałem, wnieść potrafisz, jak się masz obchodzić z człowiekiem tak nadętym. Oh, zapewne, rzekłem, żeby było, żebym nie potrafił zyskać jego przychylności. Skoro się zna wady człowieka, któremu się wypada przypodobać, trzeba być bardzo niezgrabnym, żeby chybić zamierzonego celu. Kiedy tak, rzekł Monteser, przedstawię cię zaraz księciu Lerma.

Udaliśmy się do ministra w chwili, gdy w wielkiéj sali dawał posłuchanie. Zastaliśmy tam więcéj ludzi niż u samego króla. Widziałem komandorów i rycerzy św. Jakóba i Calatravy, którzy starali się o gubernatorstwa i wicekrólestwa, biskupów, którzy słabymi będąc w swoich dyecezyach, dla zmiany powietrza jedynie chcieli być arcybiskupami, ojców zakonów św. Dominika i św. Franciszka, którzy z pokorą błagali o infuły. Uważałem także oficerów, którzy podobnie jak kapitan Chinchilla nudzili się wyglądając pensyi. Jeżeli książę nie zaspokajał życzeń wszystkich, tedy przynajmniéj podania ich przyjmował z uprzejmością, i widziałem że bardzo grzecznie odpowiadał wszystkim z którymi rozmawiał.

Czekaliśmy cierpliwie póki nie odprawił wszystkich suplikantów. Wtedy don Diego odezwał się: oto jest Gil Blas z Santillany, ten młody człowiek, którego Wasza Wysokość wybrałeś do zajęcia miejsca po don Valerio. Na to książę spojrzawszy na mnie, rzekł, że mi się to miejsce należy za zasługi jemu świadczone. Kazał mi potém wejść do gabinetu, aby się ze mną osobiście rozmówić, albo raczéj z rozmowy poznać moje usposobienie. Naprzód chciał wiedzieć ktobym był i jak dotąd żyłem. Domagał się nawet w tym względzie opowiadania szczérego. Lecz jakichże ode mnie żądał szczegółów! Zmyślać w obliczu piérwszego ministra Hiszpanii niepodobieństwo. Z drugiéj strony miałem tyle do powiedzenia z uszczerbkiem mojéj próżności, że trudno było odważyć się na spowiedź powszechną. Jakże się z tego wywikłać? chwyciłem się więc przystrajania prawdy, tam, gdzieby za straszną była w swojéj nagości. Wszakże mimo moje przebiegi potrafił ją wykryć. Gdym skończył, książę uśmiéchając się rzekł: panie Santillana jak ja widzę byłeś po części awanturnikiem. Panie, odpowiedziałem zarumieniony, Wasza Wysokość żądałeś szczérości, byłem posłuszny. Bardzo dobrze, odpowiedział, owszem moje dziecko, wyszedłeś z tego wszystkiego tanim kosztem, dziwię się nawet że cię zły przykład nie zgubił zupełnie.



Gabryela.

Przyjacielu Santillano, zapomnij o przeszłości, myśl tylko, że teraz należysz do króla, że odtąd dla niego pracować będziesz. Pójdź za mną, pokażę ci, jakie będą twoje zatrudnienia. To rzekłszy wprowadził mnie do małego gabinetu, tuż obok swojego, gdzie na stolikach leżało około dwudziestu spi-

sów w arkuszu, bardzo grubych. Tu będziesz pracował, mówił mi, wszystkie te spisy, które widzisz, obejmują dykcyonarz zupełny wszystkich rodzin szlacheckich znajdujących się w królestwach i księstwach monarchii hiszpańskiéj. Każda księga zawiéra w porządku abecadłowym całą szlachtę jednego królestwa, z wyszczególnieniem zasług ich i ich przodków, zarazem ze sprawami honorowemi jakie miéć mogli. Jest w nich także wzmianka o ich majątku, o ich obyczajach, słowem o ich dobrych i złych przymiotach; tak, że skoro starają się o jaką łaskę u dworu mogę za jednym rzutem oka ujrzéć czy na nią zasługują. Żeby zaś o tém wszystkiém wiedzieć, utrzymuję po wszystkich stronach pensyonowanych ludzi, których obowiązkiem jest wywiadywać się o wszystkiém, i donosić mi w swoich podaniach; lecz że te podania są częstokroć rozwlekłe i pełne prowincyalizmów, wypada je więc układać, okrzesywać wyrażenia, ponieważ król częstokroć każe je sobie czytać. Do téj to pracy, wymagającéj stylu czystego i zwięzłego chcę użyć cię od téj chwili.

To mówiąc wyjął z teki pełnéj papiérów przedstawienie które mi podał do ręki, poczém wyszedł z gabinetu, abym mógł swobodnie zająć się tą piérwszą próbą. Przeczytałem podanie nie tylko nadziane barbarzyńskiemi wyrażeniami, ale nawet złośliwe. A przecież był to mnich z miasta Solsony, który je pisał. Przybierając styl uczciwego człowieka nielitościwie szarpał katalańską rodzinę, a Bóg wié czy to była prawda! Zdawało mi się że czytam paszkwil szkalujący, i zrazu miałem skrupuł pisać o tém, obawiałem się zostać spólnikiem oszczerstwa, ztémwszystkiém, chociaż nowicyusz przy dworze, puściłem się daléj, zwalając winę na duszę dobrego mnicha, jeżeliby w tém było co niegodziwego, zacząłem dwa, czy trzy pokolenia uczciwych może ludzi, obdzierać z czci i sławy, w potoczystych kastyllańskich wyrażeniach.

Już około pięciu stronnic zapisałem, gdy książę ciekawy mojéj roboty, wszedł i odezwał się: Santillana pokaż mi coś dotąd napisał, chciałbym to widzieć. Rzucając okiem na moje pismo przeczytał początek z wielką uwagą. Zdał mi się być tak dalece zadowolonym, iż to mnie nie pomału zdziwiło. Jakkolwiek byłem uprzedzony korzystnie dla ciebie, odezwał się, przyznam się, iż przeszedłeś moje oczekiwanie. Piszesz nie tylko czysto i zwięźle, czego pragnąłem, ale nadto styl twój jest lekki i żywy. Usprawiedliwiasz zupełnie wybór jaki uczyniłem i pocieszasz mnie po stracie twojego poprzednika. Minister możeby na tém nie skończył swojéj pochwały, lecz hrabia Lemos jego synowiec wszedłszy, przerwał mu w tém miejscu. Jego Wysokość uściskał go kilka razy w sposób dający do poznania, że go serdecznie kochał. Zamknęli się obadwa dla naradzenia się w interesie familijnym, o którym późniéj namienię.

Gdy obadwa jeszcze razem byli, usłyszałem bijącą dwunastą godzinę. Wiedząc że sekretarze i urzędnicy o téj godzinie opuszczają swoje bióra, udając się na obiad, gdzie im się podoba i ja więc zostawiłem mój cudotwór, wyszedłem udając się, nie do Monteséra, ponieważ mi już wypłacił moje zasługi i pożegnałem się z nim, lecz do najsławniejszego traktyera w obrębie dworu. Zwyczajna garnkuchnia wcale nie była dla mnie przyzwoitą. *Pamiętaj że teraz należysz do króla;* wyrazy wyrzeczone do mnie przez księcia, ciągle brzmiały mi w uszach i stały się zarodem dumy, która od czasu do czasu krzewiła się w moim umyśle.

Rozdział III.

Gil Blas dowiaduje się o przykrościach swojéj posady i w skutek tego urządza swoje postępowanie.

Wszedłszy, coś mnie korciło, żebym naprzód oświadczył traktyerowi, iż jestem sekretarzem piérwszego ministra, a w tym charakterze sam nie wiedziałem czego żądać na obiad. Obawiałem się, abym nie wymienił czegoś, coby trąciło oszczędnością i dlatego powiedziałem, żeby mi dał, co mu się podoba. Uraczył mnie bardzo dobrze, ale przy tém, usługiwano mi z oznakami uszanowania, które mi więcéj jeszcze przyjemności sprawiały, niż sam obiad wykwintny. Gdy przyszło do płacenia, rzuciłem luidora, z którego najmniéj czwartą część, należącą mi się do zdania, zostawiłem służącym. Poczém wyszedłem z traktyerni przeciągając się i wystawiając piersi, jak to zwykle robią młodziki, zadowolone ze swojéj osoby.

O dwadzieścia kroków ztamtąd, był wielki hotel, w którym zwykle panowie cudzoziemscy stawali. Tam nająłem apartament z sześciu pokojów dobrze umeblowanych złożony; zdawało się że miałem około trzech tysięcy dukatów dochodu. Zapłaciłem nawet pierwszy miesiąc naprzód, poczém wróciłem do mojéj roboty, zajmując się przez całe popołudnie tém, com zaczął zrana. W gabinecie sąsiednim, było także dwóch sekretarzy, którzy tylko przepisywali na czysto, co im sam książę przynosił. Tegoż samego wieczoru wychodząc, zaznajomiłem się z nimi, żeby zaś tém pewniéj zyskać ich przychylność, zaprowadziłem ich do mojego traktyera, zażądałem najlepszych potraw owéj pory, i wina najwykwintniejszego, i najwyżéj cenionego w Hiszpanii.

Zasiedliśmy do stołu i rozpoczęliśmy gawędkę z większą wesołością niż dowcipem, bo żeby oddać należną sprawiedliwość moim spółbiesiadnikom, spostrzegłem od razu, że miejsca zajmowane w biórze, wcale nie były ich ukształcenia udziałem; znali oni wprawdzie wybornie literaturę, ale nie tę, któréj po uniwersytetach uczą, lecz tę, która się zasadza na pięknych literach okrągłych i gockich.

Natomiast doskonale znali swoje drobne interesa i dali mi poznać, że nie byli tak dalece upojeni szczęściem znajdowania się przy boku piérwszego ministra, aby nie mieli utyskiwać nad swoim stanem. Już pięć miesięcy rzekł jeden, jak spełniamy nasze obowiązki o własnym koszcie. Nie bierzemy żadnéj płacy, a co gorsza, nasza płaca wcale nie oznaczona. Nie wiemy na jakiéj zasadzie jesteśmy. Co do mnie, odezwał się drugi, jabym chętnie przyjął dwadzieścia plag zamiast pensyi, gdyby mi tylko pozwolono szukać miejsca gdzieindziéj; bo sam oddalić się nie śmiém, ani nawet prosić o uwolnienie, napisawszy tyle rzeczy tajemnych; mógłbym bardzo łatwo odwiedzić wieżę Segowii, albo zamek w Alicante.

Jakim więc sposobem żyjecie, odezwałem się do nich; macie zapewne majątek? Odpowiedzieli mi, że bardzo szczupły, lecz szczęściem dla nich, mieszkają u zacnéj wdowy, która nie nalega na zapłatę i żywi ich za sto luidorów od osoby na cały rok. Te wyrazy, z których ani jednego nie uroniłem, w mgnieniu oka rozwiały dymy mojéj próżności. Wyobraziłem sobie, że zapewne dla mnie nie będzie większéj względności jak dla drugich, że w skutek tego, moja posada nie ma mnie czém tak bardzo zachwycać; że mniéj była pewna, niż się spodziéwałem, a zatém że trzeba oszczędzać fundusze. Takowe rozmyślania wyleczyły mnie z szału wielkich wydatków. Zacząłem żałować, żem tam przyprowadził moich kollegów i pragnąć końca biesiady; a gdy przyszło do zapłaty, już miałem spór za należytość.

Rozeszliśmy się o północy, ponieważ nie nagliłem ich by więcéj pili. Oni poszli do swojéj wdowy, a ja do mojego pysznego apartamentu, za którego najęcie wściekałem się wtedy, zaklinając się, że go porzucę po miesiącu. Napróżno rzuciłem się w wyborne łóżko, wewnętrzna niespokojność oddaliła sen ode mnie. Resztę nocy przepędziłem marząc, by nie pracować z poświęceniem dla króla. Przypomniała mi się w tym względzie rada Monteséra. Wstałem z mocném przedsięwzięciem złożenia mojego uszanowania don Rodrigowi de Calderone; byłem przedziwnie usposobiony, do stawienia się przed tym dumnym człowiekiem, bom czuł, że go potrzebuję. Udałem się więc do tego sekretarza.

Mieszkanie jego, stykało się z pokojami księcia Lerma i wyrównywało im co do przepychu. Patrząc na umeblowanie, nie potrafiłbyś odróżnić pana od sługi. Kazałem dać znać o sobie, jako następcy don Valerio, co nie przeszkodziło bynajmniéj, do zatrzymania mnie dobrą godzinę w przedpokoju. Mości nowy sekretarzu, pomyśliłem sobie, miéj z łaski swojéj cierpliwość, musisz długo jeszcze wystawać za drzwiami, nim inni będą wystawali za twojemi.

Przecież otworzyły się drzwi pokoju, wszedłem więc, postępując ku don Rodrigowi, który skończywszy słodki bilecik do swojéj ślicznéj syreny, oddawał go w téj chwili Pedrillowi. Nie przedstawiałem się ani arcybiskupowi Granady, ani hrabiemu Galiano, ani nawet piérwszemu ministrowi, z takiém uszanowaniem, jak panu de Calderone. Skłoniłem mu się do saméj ziemi, i prosząc go o opiekę w wyrazach, których dotąd wspomnieć nie mogę bez wstydu, tak były pokorne. Upodlenie moje byłoby mi zaszkodziło w umyśle każdego innego człowieka mniéj dumnego. On przyjął dobrze moje czołgające się postępowanie i rzekł z miną dosyć grzeczną, że nie opuści żadnéj sposobności, aby mi zrobić przyjemność.

Dziękując mu z oznakami wielkiéj gorliwości, za objawione mi uczucia przychylne, zaprzysiągłem mu dozgonne przywiązanie. Następnie by mu nie robić przykrości, oddaliłem się, przepraszając, żem mu przerwał ważne jego zatrudnienia. Po tak haniebnym kroku, wracałem zawstydzony, idąc prosto do biura dla dokończenia poleconego mi dzieła. Książę przybył także rano, nie mniéj był kontent z końca, jak z początku mojéj roboty i rzekł: Otóż to jest dobrze; przepisz sam, jak będziesz mógł najpiękniéj, tę skróconą historyą w spisie katalońskim. Potém wyjmiesz z teki drugie przedstawienie, które podobnież ułożysz. Długo rozmawiałem z jego wysokością, którego sposób obejścia się łagodny i poufały, w zachwycenie mnie wprawiał. Cóż to za różnica między nim a Calderonem! Były to dwie figury zupełnie sobie przeciwne.

W tym dniu jadłem obiad w garnkuchni za cenę bardzo umiarkowaną i postanowiłem tam codziennie bywać *incognito*, pókibym nie ujrzał skutku moich zabiegów i mojéj podłości. Miałem piéniędzy na trzy miesiące najdłużéj, ten więc czas zakréśliłem sobie do pracowania na koszt, do kogo należyć będzie, postanowiwszy u siebie, że gdy głupstwa im krótsze tém lepsze, opuścić po upływie tego czasu dwór i jego błyskotki, jeżelibym nie otrzymał pensyi. Tak więc ułożyłem plan. Nie szczędziłem trudów przez dwa miesiące, by się podobać Calderonowi, lecz tak mało zwracał uwagi na to, com dla niego robił, iż straciłem nadzieję, aby z nim przyjść do jakiego końca. Zmieniłem więc postępowanie względem niego; przestałem mu nadskakiwać i uwziąłem się korzystać z chwil rozmowy z księciem.

Rozdział IV.

Gil Blas zyskuje względy księcia Lerma i zostaje powiernikiem tajemnicy bardzo ważnéj.

Chociaż jego wysokość codziennie, że tak powiém, pojawiał się i znikał mi z przed oczu, mimo to potrafiłem stać mu się przyjemnym, tak dalece, że raz po południu odezwał się do mnie: Słuchaj Gil Blasie, podobał mi się twój charakter i twój umysł, czuję do ciebie przywiązanie. Jesteś chłopcem gorliwym, wiernym, pełnym zdolności, a nadewszystko umiejącym utrzymać sekret; mniemam że nie zbłądzę, pokładając w takim człowieku moje zaufanie. Usłyszawszy te słowa, rzuciłem się do nóg księcia, a ucałowawszy jego rękę, którą wyciągnął dla podniesienia mnie, rzekłem: Czy podobna, aby wasza wysokość raczył mnie obdarzać tak wielką łaską? iluż to tajnych nieprzyjaciół, dobroć pańska mi przymnoży! Stémwszystkiém jednego tylko obawiam się gniéwu, to jest Rodriga Calderone.

Nie masz się czego lękać z téj strony, odpowiedział książę. Ja znam Calderona, jest on przy mnie od dzieciństwa. Mogę cię zapewnić, że uczucia jego są zupełnie zgodne z moimi, on lubi to, co mnie się podoba, nienawidzi to, czego ja nie cierpię. Zamiast obawiać się jego niechęci, możesz śmiało liczyć na jego przyjaźń. Pomiarkowałem z tego, że pan Calderon był przebiegły matacz, który owładnął umysł księcia, że z nim nie dosyć mi być ostróżnym potrzeba.

Żebyś atoli wiedział, jak dalece ważne to jest moje zaufanie, muszę ci objawić mój zamiar, nad którym głowę łamię; wypada abyś o nim wiedział, dla tém lepszego spełnienia poleceń, jakie ci powierzyć w następstwie myślę. Już oddawna władza moja powszechne zyskała uszanowanie; rozporządzenia moje ślepo wszędzie wykonywają, szafuję według mojéj woli urzędami, gubernatorstwami, wice-królestwami i beneficyami. Panuję, jeżeli tak rzec mogę w Hiszpanii. Już niczego więcéj od fortuny żądać nie mogę; radbym jedynie, to co posiadam, zabezpieczyć od wściekłości burzy, która mi już zbiéra się nad głową; w tym celu pragnąłbym następcą swoim w ministerstwie, miéć hrabiego Lemos.

W tém miejscu minister spostrzegłszy moje zdziwienie, rzekł: Ja wiém, Gil Blasie, wiém dobrze, co cię tak uderza; zdaje ci się rzecz dziwna, że przekładam synowca nad księcia Uzedo, mojego własnego syna. Lecz muszę ci powiedzieć, że umysł tego ostatniego zbyt jest ciasny, aby mógł godnie zajmować tak ważne miejsce, a prócz tego, nienawidzę go. Znalazł on sposób przypodobania się królowi, który go chce wynieść na stopień swojego polubieńca, a tego właśnie ja nie mogę ścierpieć.

Otwiéram ci, mówił daléj, aż do głębi serce moje. Probowałem już wybić królowi z głowy księcia Uzedo, gdy mi się to nie powiodło, zataczam działa z innéj strony. Radbym aby hrabia Lemos wcisnął się do serca następcy tronu. Będąc szlachcicem jego pokojowym, ma sposobność rozmawiania z nim w każdéj chwili; jest on dosyć w tym względzie przebiegły, ale prócz tego, ja znam drogę pewną, którą zamierzonego dojdę celu. Przez takowy obrot, postawię mojego synowca naprzeciw mojego syna, poróżnię ich, a to ich obudwóch zmusi do szukania mojéj pomocy, a skoro mnie potrzebować będą, obadwa staną się uległymi. Otóż to jest mój zamiar, do którego wykonania, twoja usługa jest mi potrzebną. Ciebie ja chcę potajemnie posyłać do hrabiego Lemos, abyś mi donosił od niego, co ci powierzy.

Takowe zwierzenie się, uważając za gotową monetę, byłem o moją przyszłość zupełnie spokojny. Przecież raz, pomyśliłem sobie, dostałem się pod rynnę, z któréj dészcz złoty lać się będzie na mnie. Niepodobna, aby powiernik człowieka, który włada całą monarchią hiszpańską, nie miał być wkrótce obsypany skarbami. Tak słodką rozmarzony nadzieją, obojętnie spoglądałem na mój woreczek, który już blizkim był wyzionięcia ostatniego ducha.

Rozdział V.

Gil Blas pełen radości, honorów i nędzy.

Na dworze wnet spostrzeżono względy, jakiemi mnie obdarzał minister, on sam chciał publicznie dać mi dowód swojéj łaski, dając mi swój portfel, który zwykle sam nosił udając się na radę. Ta nowość przedstawiała mnie wszystkim jako małego polubieńca, obudziła zazdrość nie jednego, wywołała tysiączne grzeczności innych. Moi dwaj sąsiedzi sekretarze nie byli także ostatniemi w winszowaniach przyszłéj wielkości, zaprosili mnie na wieczerzę do swojéj wdowy, nie tak dla odwetu, jako raczéj dla zobowiązania mnie do względów dla nich w przyszłości. Wszędzie mnie częstowano: nawet dumny don Rodrig zmienił ton ze mną, odtąd inaczéj mnie nie mianował tylko *panie de Santillana*, ten, który mnie dotąd nie tytułował inaczéj tylko *acan*, nie używszy nigdy wyrazu *pan:* nudził mnie grzecznościami, osobliwie wtedy, gdy miarkował, że to pan jego spostrzedz może. Ale zaręczam wam, że nie z głupcem miał do czynienia. Na jego grzeczne słówka odpowiadałem z tém większą uprzejmością, im mocniéj go nienawidziłem; wytrawny dworak nie potrafiłby się lepiéj ode mnie znaléźć.

Towarzyszyłem także księciu, kiedy się udawał do króla, a to zdarzało się pospolicie trzy razy na dzień. Wchodził do pokoju J. K. Mości, gdy ten się przebudził: klękał w głowach łóżka, układał co król JM. ma robić w tym dniu i co mówić, poczém odchodził. Wracał znowu zaraz po obiedzie, nie dla interesów, lecz dla rozweselającéj rozmowy. Uraczał go wszystkiemi zabawnemi przygodami, jakie się zdarzyć mogły w Madrycie, a o których najpiérwszą zawsze miał wiadomość od osób w tym celu płatnych. Wreszcie wieczór oglądał króla po raz trzeci, zdawał mu sprawę, według swojéj woli z tego, co w ciągu dnia zrobił i prosił o rozkazy na dzień następujący. Kiedy minister był u króla, ja zostawałem w przedpokoju, widziałem tam znakomite osoby, hołdujące względom, starające

się zawiązać ze mną gawędkę i uszczęśliwione, jeżelim raczył im nadstawić ucha. Po tém wszystkiém, czyż podobna, abym się nie miał uważać za człowieka wielkiéj wagi? Jest przy dworze nie mało takich, co za daleko mniejszą cenę zyskują o sobie takie mniemanie.

Pewnego dnia próżność moja jeszcze większy znalazła żywioł. Król, któremu książę bardzo korzystnie mówił o moim stylu, chciał sam słyszyć jego próbę. Jego Wysokość kazał mi wziąć spis kataloński, zaprowadził mnie przed oblicze monarchy i kazał mi przeczytać pierwsze przedstawienie, które ja ułożyłem. Jeżeli obecność panującego zmieszała mnie zrazu, przytomność ministra wróciła mi odwagę, przeczytałem moje dzieło, którego J. K. Mość z przyjemnością słuchał. Monarcha oświadczył mi łaskawie, że kontent jest ze mnie i polecił ministrowi, aby miał staranie o moim losie. To nie zmniejszyło bynajmniéj dumy, którą już napojony byłem; a rozmowa, którą w kilka dni potém miałem z hrabią Lemos, do reszty nadęła moję głowę.

Udałem się do tego pana z rozkazu jego stryja, złożyłem mu list wierzytelny, w którym książę zawiadomiał go, iż może się ze wszystkiém zwierzyć człowiekowi, który dokładnie wié o ich zamiarze, i wybrany jest na ich spólnego posłańca. Przeczytawszy bilet, hrabia zaprowadził mnie do pokoju, w którym zamknęliśmy się obadwa, i ten młody pan zaczął mówić w te słowa: Ponieważ zyskałeś zaufanie księcia Lerma, nie wątpię bynajmniéj, iż na nie zasługujesz, i nie potrzebuję się wahać w udzieleniu ci mojéj ufności. Wiédz zatém, że rzeczy idą jak najlepiéj: książę następca tronu najwyżéj mnie ceni ze wszystkich dworzan przywiązanych do jego osoby, a starających mu się przypodobać. Dziś rano rozmawiał ze mną sam na sam, wynurzył mi swój żal, że skąpstwo króla nie pozwala mu iść za uczuciami szlachetnego serca, a nawet czynić wydatków jak przystoi na księcia. Wtedy nie zaniedbałem ubolewać nad nim, a korzystając z chwili, przyrzekłem jutro rano przy ubieraniu się dostarczyć mu tysiąc luidorów tymczasowo, póki większych nie będzie summ, zapewniając go, iż potrafię je wynaléźć. Zachwycony był moją obietnicą; jestem pewny pozyskania jego łaski, skoro mu dotrzymam obietnicy. Dodał zaraz, powtórz te wszystkie okoliczności mojemu stryjowi i wracaj dziś wieczór zawiadomić mnie o jego zdaniu.

Po téj przemowie opuściłem hrabiego Lemos, a udałem się do księcia Lerma, który stosownie do mojego sprawozdania zażądał od Calderona tysiąc luidorów, które mnie doręczono z poleceniem, abym zaraz wieczór oddał je hrabiemu. Pomyśliłem sobie, oho! teraz dopiéro widzę jaki to niechybny ten środek, za pomocą którego książę pewny jest szczęśliwego powodzenia! Ma słuszność, dalibóg, a według wszelkiego podobieństwa, ta szczodrobliwość zapewne go nie zuboży. Domyślam się z czyjéj skrzyni wyciąga te luidory: ależ, koniec końców, nie jestże rzeczą słuszną, aby ojciec utrzymywał swojego syna? Hrabia Lemos rozstając się ze mną, szepnął mi po cichu: bądź zdrów kochany powierniku! Książę hiszpański lubi trochę kobiéty; musimy się obadwa w tym względzie kiedyś porozumiéć: przewiduję, że wkrótce będę potrzebował twojéj usługi. Wracałem dumając nad temi wyrazami, które nie były wcale dwuznaczne, a które mnie cieszyły niezmiernie. Otóż masz, pomyśliłem sobie, gotów już jesteś wyjść na Merkurego księcia Hiszpanii! Nie rozbierałem tego, czy to dobrze lub źle: powołanie gacha zagłuszało moję moralność. Co to za zaszczyt dla mnie być sługą rozkoszy możnego księcia! Oh! powoli mości Gil Blasie, rzeknie ktoś, chodzi tu dla ciebie o służbę podrzędną. Zgoda! ale w gruncie rzeczy obiedwie te posady równy mają zaszczyt, korzyść z nich tylko jest różna.

Spełniając te szlachetne polecenia, dzień za dniem coraz daléj postępując w łaskach piérwszego ministra, z najświetniejszemi nadziejami w świecie, jakże byłbym szczęśliwy, gdyby duma zasłaniała mnie od głodu! Już od dwóch miesięcy ustąpiłem z moich apartamentów wspaniałych, a zajmowałem małą izbetkę bardzo skromną. Było mi to wprawdzie przykro, ale że wyszedłszy rano, wracałem dopiéro późno wieczór, tylko na noc, mogłem więc miéć cierpliwość. Cały dzień przepędzałem na mojéj scenie, tojest u księcia. Tam grałem rolę pana, ale skoro wróciłem do mojéj ciupy, pan znikał, a zostawał biédny Gil Blas bez pieniędzy, a co jeszcze gorsza bez środka ich nabycia. Byłem nadto dumny, abym miał komuś wyjawić moje potrzeby, a prócz tego nie znałem nikogo, do którego mógłbym się udać o pomoc prócz jednego Navarro, o którym zapomniałem dostawszy się do dworu, nie śmiałem go więc zaczepiać. Zmuszony zostałem sprzedawać moje manatki sztuka za sztuką; zostały mi już tylko same niezbędne. Nie chodziłem do garnkuchni nie mając czém płacić. Jakimże więc sposobem utrzymywałem się? zaraz wam powiém. Codziennie do biura przynoszono nam na śniadanie bułkę i naparstek wina, to wszystko co minister kazał nam dawać. To było moje jedzenie na cały dzień, a najczęściéj kładłem się spać bez wieczerzy.

Takie było położenie człowieka jaśniejącego przy dworze; więcéj zasługującego na litość niż zawiść. W końcu atoli niepodobna było wytrzymać téj biedy, postanowiłem przeto przy piérwszéj lepszéj sposobności objawić ją księciu. Szczęściem okoliczność nastręczyła się sama w Eskurialu, dokąd się udał król z następcą tronu w kilka dni późniéj.

Rozdział VI.

Jakim sposobem Gil Blas nędzę swoję objawia księciu Lerma.

W Eskuryalu wszyscy żyliśmy kosztem królewskim, tym sposobem nie cznłem tam, gdzie mnie ból uciska. Sypiałem w szatni obok pokoju księcia. Pewnego dnia minister wstawszy o świcie według swojego zwyczaju, kazał mi wziąć niektóre papiéry, piórnik z kałamarzem i iść za sobą do ogrodu pałacowego. Usiedliśmy pod rozłożystym drzewem i z polecenia księcia ja przybrałem postawę człowieka piszącego na wiérzchu swojego kapelusza; on zaś trzymał papiér udając czytającego. Zdaleka wydawaliśmy się zajęci sprawami bardzo ważnemi, a jednak rozmawialiśmy o fraszkach, któremi książę wcale nie gardził.

Już z godzinę bawiłem go moimi dowcipkami, jakich mi wesoły humor dostarczał, kiedy dwie sroki usiadły na drzewie, które nas cieniem swoim osłaniało. Zaczęły szczebiotać tak wrzaskliwie, że zwróciły na siebie naszę uwagę. Zdaje się, rzekł książę, jakby te dwa ptaki swarzyły się między sobą; ciekawy byłbym wiedzieć przedmiot ich kłótni. Ciekawość W. Ks. M. rzekłem, przywodzi mi na pamięć bajkę indyjską, którą czytałem w Pilpaju, czy téż może w innym bajkopisarzu. Minister zapytał się, cobyto była za bajka, a ja zacząłem w ten sposób.

Panował niegdyś w Persyi dobry monarcha, który sam nie dość bystrego umysłu będąc, by mógł władać państwem, trudy te poruczył swojemu Wezyrowi. Ten minister, nazwiskiem Atalmac, wyższym obdarzony geniuszem, nie upadał pod brzemieniem władzy w tak obszernem państwie. Utrzymywał spokojność, znał nawet sztukę uczynić powagę majestatu miłą, nie zmniejszając bynajmniéj należytego dla niéj poszanowania, a poddani w wiernym królowi wezyrze mieli ojca przywiązanego do siebie. Atalmac między swoimi sekretarzami miał młodego kaszemirczyka nazwiskiem Zeangir, którego polubił nad wszystkich. Lubił słuchać jego rozmów, brał go z sobą na polowanie, objawiał mu najskrytsze swoje myśli. Raz polując obadwa w lesie, ujrzeli dwa kruki krakające na drzewie, w tém Wezyr odezwał się do swojego sekretarza: radbym wiedział co te dwa ptaki mówią w swoim języku. Panie, odpowiedział Zeangir, życzenia twoje mogą być spełnione. A to jak? odpowiedział Atalmac. Oto, rzekł kaszemirczyk, pewny derwisz kabalista nauczył mnie mowy ptaków. Jeżeli sobie życzysz, posłucham ich, a potém powtórzę słowo w słowo, to co ucho moje uderzy.

Wezyr zezwolił. Kaszemirczyk zbliżył się do kruków i zdawał się baczne nadstawiać ucho. Poczém wracając, odezwał się: Panie, będzieszże wierzył? a to my byliśmy przedmiotem ich rozmowy. To niepodobna, zawołał minister perski. No i cóż o nas mówią? Jeden z nich, rzekł sekretarz, mówił: Otóż wi-

dzisz, to ten sam wielki wezyr Atalmac, ten orzeł opiekuńczy, który skrzydłami swojemi okrywa całą Persyą, jak swoje gniazdo, który bezustannie czuwa nad jéj dobrém, dla wypoczynku po trudach, poluje w tym lesie ze swoim wiernym Zeangirem. Jakże szczęśliwym jest ten sekretarz, że służy panu, który dlań tyle dobroci objawia. Powoli, przerwał drugi kruk, powoli, nie wynoś tak dalece szczęścia tego kaszemirczyka! Prawda, że Atalmac rozmawia z nim poufale, zaszczyca go swojém zaufaniem, nie wątpię nawet, że kiedyś da mu znaczny urząd, lecz nim to się stanie, Zeangir z głodu umrze. Ten biédak mieszka w małéj ciupie, nie mając czém opędzić potrzeb niezbędnych. Słowem nędzne wlecze życie, a nikt tego nie widzi przy dworze. Wielki Wezyr ani pomyśli o tém, w jakim on może być stanie, a poprzestając na przychylnych ku niemu uczuciach, wystawia go na łup ubóztwa.

Na tém uciąłem moją mowę, spoglądając na zbliżającego się do mnie księcia, który z uśmiéchem zapytał się, jakieby wrażenie ta bajka zrobiła na umyśle Atalmaca, czy śmiałość sekretarza nie obraziła wielkiego wezyra. Nie, Mości książę, odpowiedziałem zmieszany nieco jego zapytaniem, przeciwnie, przypowieść ta kończy się dodatkiem, że go obsypał dobrodziejstwy. To szczęście, odrzekł książę z miną zasępioną, są ministrowie, którymby się nie podobały takowe nauki. Ale, dodał przerywając rozmowę, zdaje mi się, że król wnet przebudzi się, obowiązek mój wzywa mnie do niego. Po tych słowach szybkim krokiem udał się do pałacu, nie odezwawszy się więcéj do mnie, bardzo niekontent z mojéj bajki indyjskiéj, jak mi się zdawało.

Postępowałem za nim aż do drzwi J. K. Mości, poczém złożyłem papiéry w miejscu, z którego je wziąłem. Wstąpiłem do gabinetu, w którym pracowali dwaj nasi sekretarze kopiści, bo i oni należeli do orszaku podróżnego. Cóż ci to, panie Santillana? odezwali się spostrzegłszy mnie; jesteś bardzo wzruszony! nie miałżeś jakiego przykrego zdarzenia?

Byłem zbyt przejęty złym skutkiem mojéj bajki, abym był w stanie ukryć przed nimi moję boleść. Opowiedziałem im wszystko, com mówił z księciem, a oni okazali widoczne spółczucie w mojém udręczeniu. Słusznie się trapisz, rzekł jeden z nich, książę częstokroć bierze rzeczy na opak. To wielka prawda, odezwał się drugi. Bodajbyś tylko nie doznał takiego obejścia się, jakiego doświadczył jeden z sekretarzy kardynała Spinoza. Sekretarz ten znużony, że od piętnastu miesięcy, jak był w służbie jego Eminencyi, nic nie odbiérał, odważył się pewnego dnia przedstawić mu swój niedostatek i prosił o zasiłek na utrzymanie życia. Bardzo sprawiedliwie, odpowiedział minister, należy ci się zapłata. Masz oto, dodał wręczając mu assygnacyą na tysiąc dukatów, odbierz tę summę ze skarbu królewskiego, ale wiédz zarazem, że ci dziękuję za twoje usługi. Sekretarz nie byłby się gniewał za odprawę, gdyby mu wypłacono tę summę z wolnością szukania miejsca gdzieindziéj, lecz właśnie gdy wychodził od ministra, zatrzymany przez algazila, powędrował do wieży w Segowii, w któréj długo przesiedział.

Taki rys historyczny podwoił moją trwogę. Uważałem się za zgubionego, a nie mogąc się pocieszyć, zacząłem sobie wyrzucać moję niecierpliwość, jak gdybym nie był dosyć cierpliwym. Niestety, pomyśliłem sobie, pocóż ja się odważyłem wystąpić z tą bajką przed ministrem? Może on sam już miał zamiar wydźwignąć mnie z mojéj nędzy; może już byłem na drodze tego wielkiego szczęścia, które zdumiéwa świat. Jakież zaszczyty, jakie skarby, wyślizgnęły mi się z rąk, przez moją nierozwagę! Trzebaż było zastanowić się, że czasem wielcy panowie nie lubią, żeby ich wyprzedzać, którzy chcą, aby od nich odbiérać jako łaskę, najmniejszą rzecz, do któréj są z prawa obowiązani. Lepiéj było daléj zostać na dyecie, niż wspomnieć o tém księciu; nawet wypadało umrzéć z głodu, żeby całą winę zwalić na niego.

Gdybym był jeszcze miał jakąkolwiek nadzieję, pan mój byłby ją zniweczył popołudniu. Był bardzo poważny ze mną, nie tak jak zwykle, nie mówił wcale, co mnie na resztę dnia śmiertelnéj nabawiło trwogi. Noc nie była spokojniejsza, żal rozwianych słodkich marzeń, obawa pomnożenia liczby winowajców stanu, wyrywały z piersi moich same jęki i ubolewania.

Dzień następny, był dniem przesilenia. Książę kazał mnie zawołać rano. Wszedłem do jego pokoju z większém drżeniem aniżeli winowajca stawający przed sądem. Santillana, odezwał się do mnie, pokazując papiér, który trzymał w ręku, weź to rozporządzenie.... Zadrżałem na ten wyraz rozporządzenie, pomyśliłem sobie, o Boże, otóż jest kardynał Spinoza, już widzę wóz gotowy do Segowii. Strach mój w téj chwili był tak wielki, żem przerwał ministrowi i rzucając się mu do nóg, rzekłem: Mości książę, błagam najpokorniéj Waszą Wysokość o przebaczenie mojéj śmiałości; konieczność znagliła mnie do objawienia ci mojéj nędzy.

Książę nie mógł się wstrzymać od śmiéchu widząc moją niespokojność. Uspokój się Gil Blasie, rzekł i słuchaj mnie. Chociaż objawiając mi swoje potrzeby, wyrzucałeś mi niejako, żem ich nie uprzedził, nie mam ci tego jednak za złe mój przyjacielu. Owszem sam na siebie się gniéwam, żem się nie pytał jak ty się utrzymujesz. Poczynając więc naprawę tego braku uwagi, daję ci rozporządzenie na tysiąc pięćset dukatów, które ci za okazaniem wyliczone zostaną ze skarbu królewskiego. To nie wszystko, takąż summę zapewniam ci co rok; a nadto, jeżeli osoby bogate i wspaniałomyślne będą cię prosić o jaką przysługę, nie zabraniam ci przemówić na ich korzyść.

W zachwyceniu, w jakie mnie wprawiły te wyrazy ministra, całowałem nogi jego, który podniósłszy mnie, rozmawiał poufale. Ja także chciałem przywołać mój dobry humor, lecz niepodobna było tak szybko przejść od smutku do radości. Byłem jeszcze tak odurzony, jak ten nieszczęśliwy, który słyszy głos łaski, w chwili gdy oczekiwał ciosu śmierci. Pan mój przypisywał moje pomieszanie obawie, żebym nie utracił jego łaski, chociaż nie mniéj na to wpływał strach wiecznego więzienia. Wyznał mi, że udawał obojętność dla przekonania się, czybym się okazał czułym na tę zmianę, że z tego wniósł o mocy mojego przywiązania do swojéj osoby i że za to tém więcéj mnie kocha.

Rozdział VII.

O dobrém użyciu tysiąca pięciuset dukatów, o piérwszym interesie do którego się wmieszał.

Król, jakby chciał usłużyć mojéj niecierpliwości, zaraz nazajutrz wrócił do Madrytu. Pobiegłem zaraz do skarbu i odebrałem summę wymienioną w rozporządzeniu. Rzadko bardzo zdarza się, by głowy nie stracił golec, gdy nagle przejdzie z nędzy do bogactwa. I ja zmieniłem się zarazem z fortuną; poszedłem za podniętą dumy i próżności, opuściłem moją nędzną ciupę, zostawiając ją sekretarzom, którzy jeszcze nie rozumieją mowy ptaków, nająłem zaś powtórnie mój dawniejszy wspaniały apartament, który szczęsném zdarzeniem nie był jeszcze zajęty. Posłałem po najsławniejszego krawca, który ubiérał prawie wszystkich panków. Wziął miarę i zaprowadził do kupca, któremu kazał odciąć pięć łokci sukna, dla zrobienia dla mnie ubioru. Pięć łokci na suknią hiszpańską! Boże zmiłuj się!.... Ale nie rozprawiajmy w tym względzie: wszyscy krawcy biorą więcéj niż potrzeba, a słynniejsi więcéj niż inni. Następnie sprawiłem sobie bieliznę niezbędnie mi potrzebną, z kapeluszem po hiszpańsku obszytym.

Po tém wszystkiém nie mogąc się uczciwie obejść bez lokaja, prosiłem Wincentego Torero, mojego gospodarza, aby mi nastręczył jakiego ze swojego ramienia. Większa część cudzoziemców zajmujących u niego mieszkania, za przybyciem do Madrytu brali do usług lokajów Hiszpanów, dla tego wszyscy służący bez miejsca ściągali się do tego hotelu. Piérwszy, który mi się przedstawił, był chłopak z wejrzenia tak łagodny i pobożny, żem go przyjąć nie chciał; zdawało mi się, że widzę w jego osobie Ambrożego de Lamela. Nie cierpię służących, rzekłem Torerowi, którzy mają minę tak bardzo cnotliwych, jużem się raz sparzył.

Zaledwie odprawiłem z kwitkiem piérwszego, przybył zaraz drugi. Ten zdawał się bardzo bystry, śmielszy od pazia dwor-

skiego, a przy tém trochę frant. Podobał mi się. Zacząłem go badać, odpowiadał dowcipnie; zdał mi się nawet stworzonym do matactwa. Uważałem go więc za istotę, któréj potrzebowałem, zgodziłem go. Nie miałem powodu żałowania. Wkrótce spostrzegłem, żem wyborny zrobił nabytek. Ponieważ książę pozwolił mi przemawiać w interesie osób, którymbym chciał się przysłużyć, nie myśliłem zaniedbywać tego, trzeba mi tylko było wyżła, któryby zwietrzył zwierzynę, to jest franta dosyć przebiegłego, któryby potrafił wygrzebać i sprowadzić do mnie szukających łaski piérwszego ministra. To właśnie był główny talent Scypiona, tak się bowiem nazywał mój lokaj. Wyszedł on wtedy ze służby dony Anny de Guevara, mamki księcia Asturyi, gdzie właśnie doświadczał swojego talentu; była to bowiem kobiéta z rzędu tych, które nabywszy jakiegoś znaczenia u dworu, umieją z niego ciągnąć korzyści.

Skorom powiedział Scypionowi, że mogę uzyskać łaskę królewską, natychmiast wyruszył w pole, i tegoż samego dnia, rzekł mi: panie, dość dobre zrobiłem odkrycie. Przybył do Madrytu młody szlachcic granadyjski, nazwiskiem Roger de Rada. Miał on rozprawę honorową, która go zmusza do szukania opieki księcia Lerma, gotów on jest dobrze zapłacić wyświadczoną sobie przysługę. Mówiłem już z nim. On miał ochotę udać się do don Rodriga de Calderone, którego władzę wychwalano przed nim; alem go odwrócił od tego zamiaru, dając mu do zrozumienia, że ten sekretarz wstawienie się swoje na wagę złota sprzedaje, gdy tymczasem pan za swoje poprzestaniesz na uczciwych oznakach wdzięczności; żebyś to nawet gotów zrobić darmo, gdyby położenie pańskie pozwalało iść za popędem serca szlachetnego i bezinteresownego. Zresztą tak nagadałem temu szlachcicowi, że go pan ujrzysz u siebie jutro rano przy ubiéraniu się. Jak to, odezwałem się, mości Scypionie, toś ty już znalazł gratkę? Widzę, że nie jesteś frycem w intryganckiém rzemiośle. Dziwi mnie tylko, że dotąd nie jesteś bogatszym. To wcale nie powinno pana zastanawiać, odpowiedział mi, lubię w obieg puszczać piéniądze, wcale nie ciułam.

Don Roger de Rada rzeczywiście przyszedł do mnie. Przyjąłem go grzecznie, choć nie bez dumy. Panie kawalerze, odezwałem się do niego, nim się zobowiążę na twoje usługi, chcę wiedzieć o twojej sprawie honorowéj, która cię sprowadza do Madrytu, bo może ona być téj natury, iż nie będę się mógł odważyć przedstawić jéj piérwszemu ministrowi. Zdaj mi więc z łaski swojéj sprawę rzetelnie, i bądź przekonany, że się mocno zajmę twoim interesem, jeżeli tylko przyzwoitość pozwoli się do niéj wmieszać. Bardzo chętnie, odpowiedział młody granadyjczyk, opowiém ci szczérze moją historyą, i zaraz zaczął w ten sposób.

Rozdział VIII.

Historya don Rogera de Rada.

Don Anastasio de Rada, szlachcic granadyjski, żył szczęśliwie w mieście Antequerna z doną Estephanią swoją małżonką, która z cnotą niezachwianą łączyła umysł łagodny i nadzwyczajną piękność. Kochała czule swojego męża i nawzajem namiętnie była kochaną. Z natury skłonnym on był bardzo do zazdrości, a lubo nie miał najmniejszego powodu do powątpiewania o wierności swojéj małżonki, przecież nie był wolnym od niespokojności. Bał się aby jaki tajny wróg jego spokoju nie targnął się na jego honor. Nie ufał żadnemu przyjacielowi, wyjąwszy don Huberta de Hordales, który miał wolny wstęp do domu, w charakterze krewnego Estephanii, a który był jedynym mężczyzną najwięcéj na podejrzenie zasługującym.

W istocie don Huberto zakochał się w swojéj krewnéj i śmiał wyznać jéj swoją namiętność, bez względu na związki krwi i na szczególniejszą przyjaźń, która go łączyła z don Anastasio. Kobiéta roztropna, bez wrzawy mogącéj zgubne wywołać następstwa, z wszelką łagodnością zgromiła swojego krewnego, przedstawiła mu jak dalece był winnym starając się ją uwieźć i zhańbić jéj męża, i stanowczo mu oświadczyła, by sobie nie pochlebiał dojść kiedyśkolwiek do zamierzonego celu.

To umiarkowanie rozżarzyło jeszcze bardziéj pożądliwość tego człowieka. W przekonaniu, że z kokiétą takiego charakteru natarczywością prędzéj trafi do końca, przybrał względem niéj ton śmielszy; wreszcie jednego dnia zuchwale nalegał by zaspokoiła jego żądze. Odepchnęła go tonem groźnym, dodając, że postara się u don Anastasio o ukaranie jego brutalstwa. Przestraszony pogróżką, przyrzekł nic już odtąd nie wspominać o miłości i na zasadzie téj obietnicy Estephania przebaczyła mu winę.

Don Huberto z natury złośliwy człowiek, nie mógł znieść tak niepomyślnego skutku swojéj namiętności bez powzięcia podłéj chęci zemsty. Znał on don Anastasio jako zazdrośnika skłonnego do przyjęcia wrażeń, jakieby mu się podobało zaszczepić w jego umyśle. Więcéj mu téż nie potrzeba było do uknowania zamiaru najczarniejszego, na jaki tylko wyuzdany zbrodzień zdobyć się może. Raz wieczór chodząc sam z tym małżonkiem, odezwał się do niego tonem smutnym: kochany przyjacielu, nie mogę dłużéj wstrzymać się od wyjawienia ci tajemnicy, którąbym zatrzymał u siebie, gdybym nie wiedział, że honor droższym jest dla ciebie, niż spokojność. Drażliwość twoja, równie jak i moja w przedmiocie obelgi nie pozwala mi taić tego, co się dzieje w twoim domu. Przygotuj się do powzięcia wiadomości, która cię przejmie boleścią i zdziwieniem. Zapewne uderzę cię w miejsce najdotkliwsze.

Rozumiém, przerwał don Anastasio już pomieszany, krewna twoja jest mi niewierną. Nie uznaję jéj teraz za moją krewną, zawołał Hordales z uniesieniem; zapiéram się jéj, niegodna miéć takiego małżonka. Za długo nadużywasz mojéj cierpliwości, odezwał się don Anastasio, mów co zrobiła Estehpania? Zdradziła cię, odpowiedział don Huberto. Masz spółzawodnika, którego ona słucha potajemnie, którego przecież nazwać ci nie potrafię, ponieważ cudzołożca korzystając z ciemności nocy, potrafił się schronić przed okiem, które go śledziło. Tyle tylko wiém, że cię oszukują; to jest rzecz niewątpliwa. Udział jaki powinienem miéć w tym razie, dostateczną jest rękojmią rzetelności mojego opowiadania. Ponieważ sam się oświadczam przeciw Estephanii, tedy muszę być silnie przekonany o jéj niewierności.

Niéma potrzeby, mówił daléj, widząc skutek jaki wyrazy jego wywiérały, niéma mówię potrzeby, powiadać ci więcéj. Widzę że jesteś oburzony na niewdzięczność, z jaką ci odpłacają za twoje przywiązanie, że myślisz o sprawiedliwéj zemście. Nie sprzeciwiam się temu wcale. Nie zważaj co to jest za ofiara, którą ugodzić zamierzasz, pokaż całemu miastu, że niéma nic takiego, czegobyś nie poświęcił dla ocalenia honoru.

Zdrajca w ten sposób zapalał zbyt łatwowiernego męża, przeciw niewinnéj kobiécie; w takich żywych kolorach malował mu hańbę, którąby się okrył zostawiając bezkarnie tę zniewagę, iż wreszcie doprowadził go do wściekłości. Wrócił do domu z mocném postanowieniem zamordowania nieszczęśliwéj małżonki. Już miała się kłaść do łóżka, gdy przybył. Powściągnął się zrazu i czekał, pókiby się wszyscy służący nie oddalili. Wtedy niepohamowany bojaźnią gniéwu Bozkiego, ani hańbą spadającą na uczciwą rodzinę, ani litosném uczuciem, jakieby miéć powinien nad sześciomiesięcznem niemowlęciem, które matka nosiła w swoim żywocie, przystąpił do swojéj ofiary i odezwał się tonem wściekłym: Musisz zginąć, nędzna! chwila tylko życia ci zostawiona, abyś błagała Boga o darowanie ci tego wstydu, jakim mnieś okryła. Nie chcę abyś straciła duszę, tak jak straciłaś honor.

To mówiąc dobył sztylet. Ten postępek i ta mowa, przeraziły Estephanią, rzucając mu się do nóg, z założonemi rękami, pomieszana, zawołała: Cóż to jest panie? jakiż mogłam ci dać powód do niechęci, abyś się aż do téj ostateczności posuwał? dla czegóż chcesz wydzierać życie swojéj żonie? Jeżeli ją masz w podejrzeniu niewierności, mylisz się.

Nie, nie, ozwał się z gniéwem zazdrośnik; aż nadto pewny jestem twojéj zdrady. Osoby, które mnie ostrzegły, są godne wiary. Don Huberto... Ah panie, przerwała nagle, nie wierz don Hubertowi. Nie jest on takim przyjacielem twoim, jak ty

myślisz. Jeżeli ci coś niekorzystnego o mojéj cnocie powiedział, nie wierz mu. Milcz podła! odpowiedział don Anastasio. Chcąc mnie źle uprzedzić przeciw don Huberto, tém bardziéj usprawiedliwiasz moje podejrzenia, nie zmniejszając ich bynajmniéj. Silisz się podać w podejrzenie tego krewnego, ponieważ on wié o twojém złém sprawowaniu się. Radabyś osłabić jego świadectwo, wybieg to nieużyteczny, podwaja owszem we mnie żądzę ukarania cię. Drogi mężu, rzekła niewinna Estephania, gorzkie łzy lejąc, lękaj się ślepego gniéwu twojego. Idąc za jego popędem, spełnisz czyn, po którym żadnéj nie znajdziesz pociechy, uznawszy jego niesprawiedliwość. W imię Bozkie, uspokój twoje uniesienie! Wstrzymaj się przynajmniéj aż do wyjaśnienia twoich podejrzeń; wtedy oddasz sprawiedliwość kobiécie, która niéma sobie nic do zarzucenia.

Każdy inny, tylko nie don Anastasio, byłby wzruszony temi słowy, a bardziéj jeszcze udręczeniem osoby, która je wyrzekła, lecz okrutny zamiast rozczulenia, krzyknął powtórnie, żeby się poleciła Bogu, i podniósł rękę, chcąc ją ugodzić. Wstrzymaj się barbarzyńco! zawołała: Jeżeli miłość, którąś mi okazywał, wygasła zupełnie w twém sercu, a dowody czułości jakiemi cię obdarzałam, zatarły się w twoim umysle, jeżeli łzy moje nie potrafią cię odwrócić od obmierzłego zamiaru, szanuj przynajmniéj krew twoją własną; nie uzbrajaj wściekłéj ręki przeciw niewiniątku, które jeszcze światła dziennego nie oglądało! Nie możesz zostać jego katem, bez obrazy Boga i ludzi; jać przebaczam śmierć moją, lecz nie wątp bynajmniéj, że śmierć jego wołać będzie o sprawiedliwość za tak szkaradną zbrodnię!

Jakkolwiek don Anastasio mocno postanowił nie zważać na to, cokolwiekby Estephania powiedzieć mogła, przecież obrazy przerażające, jakie te ostatnie jéj wyrazy przedstawiły umysłowi jego, wstrząsnęły jego duszą. Dla tego też, jakby lękając się, aby to wzruszenie nie zdradziło jego zemsty, spiesznie korzystał z reszty jeszcze wściekłości, i utopił sztylet w prawym boku swojéj żony. Padła w téj chwili. Sądził ją nieżywą i wyszedł zaraz z domu swojego w Antequerra.

Nieszczęśliwa żona tak została odurzoną tym ciosem, iż leżała na ziemi przez kilka chwil, jak osoba bez życia. Poczém odzyskawszy przytomność, zaczęła ubolewać, jęczyć, przez co zwabiła starą swoją służącą. Ta ujrzawszy panią swoją w tak opłakanym stanie, poczęła głośno szlochać i krzyczéć, póki nie rozbudziła reszty domowników, a nawet bliższych sąsiadów. Wnet mnóstwo ludzi napełniło pokój. Przywołano chirurgów, którzy zbadawszy ranę, nie uważali jéj za groźną. Nie zawiedli się w swoich przypuszczeniach, wyléczyli ją nawet w dosyć krótkim czasie. W trzy miesiące po tym strasznym wypadku, powiła szczęśliwie syna; a tego syna, panie Gil Blasie, oto masz przed sobą.

Chociaż złe języki ludzkie nie lubią oszczędzać kobiét cnotliwych, jednakże szanowały moję matkę i tę krwawą scenę przypisywano pospolicie w mieście zazdrosnemu uniesieniu męża. Prawda, że ojciec znany był jako człowiek gwałtowny i bardzo skłonny do nieufności. Hordales nie wątpił, że krewna jego miała go w podejrzeniu o zawrócenie głowy bajkami swojemu mężowi; lecz poprzestając na połowie przynajmniéj zemsty nad nią, nie bywał u niéj nigdy. Żeby nie nudzić pana, zamilczę o sposobie mojego wychowania; to tylko namienić winienem, że matka moja szczególniéj starała się, abym się nauczył robienia bronią, że w tym celu zwiédzałem najsłynniejsze sale Granady i Sewilli dla ćwiczenia się w walce na szpady. Czekała niecierpliwie pókibym nie doszedł wieku zdolnego do zmierzenia się z don Hubertem, wtedy dopiéro zamierzając wyjawić powód żalu jaki miała do niego. Wreszcie gdy doszedłem ośmnastego roku życia, zwierzyła mi się wśród rzewnego płaczu i objawów ciężkiéj boleści. Jakież wrażenie sprawi matka w takim stanie na synu czułym i śmiałym? Poszedłem natychmiast do Hordalesa; wyprowadziłem go na miejsce ustronne, gdzie po długiéj dosyć walce, przeszyłem go trzykrotnie szpadą i rozłożyłem na ziemi.

Don Huberto czując się śmiertelnie rannym; ostatnie wejrzenie zwrócił na mnie i rzekł, że zadaną przezc mnie śmierć przyjmuje jako słuszną karę zbrodni przeciw honorowi matki mojéj popełnionéj. Wyznał, że przez zemstę za jéj surową cnotę postanowił ją zgubić. Skonał prosząc o przebaczenie winy: Boga, don Anastasio, Estephanią i mnie. Nie zdawało mi się rzeczą bezpieczną wracać do domu dla zawiadomienia matki o tém co się stało: zostawiłem to wieści. Przebyłem góry i udałem się do Malagi, gdzie wsiadłem na okręt kapra, który się wybierał na wyprawę. Zdawałem mu się dosyć odważnym, chętnie więc przystał na przyłączenie mnie do ochotników, których już miał na pokładzie.

Wkrótce nastręczyła się nam sposobność odznaczenia się. W okolicy wyspy Albouran spotkaliśmy korsarza z Melilli wracającego do Afryki z okrętem hiszpańskim, który zdobył na wysokości wód Kartaginy, z bogatym ładunkiem. Uderzyliśmy żwawo na Afrykanina, i opanowaliśmy obadwa jego okręty, na których było ośmiudziesiąt chrześciańskich niewolników przeznaczonych do Barbaryi. Wtedy korzystając z wiatru pomyślnego, skierowaliśmy się do wybrzeżów Granady i wkrótce zawinęliśmy do Punta de Helena.

Ponieważ badaliśmy jeńców zkądby pochodzili, ja podobnéż pytanie zadałem człowiekowi dosyć przystojnemu, mogącemu mieć około pięćdziesięciu lat. Odpowiedział mi z westchnieniem że był z Antequery. Wzruszyła mnie odpowiédź jego, chociaż nie mogłem odgadnąć powodu; on także spostrzegłszy moje wzruszenie, zmieszał się, co nie uszło mojéj baczności. Jestem, rzekłem mu, twoim spółobywatelem. Wolnoż mi zapytać się o imię twojéj rodziny? Niestety! drażnisz moję boleść żądając zaspokojenia swojéj ciekawości. Ośmnaście lat minęło od czasu jak opuściłem Antequerrę, gdzie mnie zapewne ze zgrozą wspominają. Ty sam zapewne dosyć nasłuchałeś się wieści o mnie, nazywam się don Anastazio de Rada. O Boże! krzyknąłem, mogęż wierzyć temu co słyszę? Jak to, byłżebyś istotnie don Anastasio, tożbym własnego ojca miał oglądać? Co mówisz młodzieńcze? zawołał on znowu, przypatrując mi się z zadziwieniem. Czyż podobna, abyś był tém nieszczęsném dziécięciem, które było w żywocie matki, kiedym ją poświęcił mojéj wściekłości? Takjest, mój ojcze, odpowiedziałem. ja jestem właśnie tym, którego cnotliwa Estephania wydała na świat w trzy miesiące po téj strasznéj nocy, w któréj zostawiłeś ją pławiącą się w krwi własnéj.

Don Anastasio nie doczekał końca tych wyrazów by mi się rzucić na szyję. Ściskał mnie w swoich objęciach i przez długą chwilę obadwa mieszaliśmy tylko nasze łzy i łkania. Puściwszy przez niejaki czas wolne cugle tkliwym wzruszeniom, które wywołują podobne poznania, ojciec mój wzniósł oczy ku niebu składając dzięki za ocalenie życia Estephanii; ale w moment potém, jak gdyby się lękał niestosownych dziękczynień, zapytał się mnie, jakimby sposobem uznano niewinność jego żony. Panie, odpowiedziałem, nikt w świecie, prócz ciebie o tém nie wątpił. Postępowanie twojéj małżonki było zawsze bez zarzutu. Muszę cię wyprowadzić z błędu. Wiédz o tém, że don Huberto omamił cię. Opowiedziałem mu całą chytrość tego krewnego, jakem się nad nim zemścił, i co mi zeznał umiérając.

Odzyskana wolność mniéj wrażenia sprawiła na moim ojcu, niż to com mu teraz zwiastował. W uniesieniu radości zaczął mnie czule ściskać. Nie mógł się dosyć wypowiedzieć, jak dalece był kontent ze mnie. Pójdźmy mój synu, zdążajmy czém prędzéj do Antequerry. Pragnę jak najgoręcéj rzucić się do stóp żony, z którą tak haniebnie obszedłem się. Odtąd jakeś mi dał poznać moję niesprawiedliwość, zgryzota rozdziéra moje serce.

Zbyt gorąco pragnąłem połączenia tych dwóch osób, które dla mnie tak drogiemi były, abym miał opóźniać ten słodki moment. Opuściłem więc kapra; a za pieniędze, które odebrałem jako dział ze zdobyczy, kupiłem dwa muły, bo ojciec mój nie chciał się już narażać na niebezpieczeństwa żeglugi morskiéj. W drodze miał dosyć czasu do opowiedzenia mi swoich przygód, słuchałem ich z tak chciwą baczności, jak książę Itaki słuchał powieści ojca swojego. Nakoniec po kilkodniowéj podróży stanęliśmy u stóp góry najbliższéj Antequerry i w tém miej-

scu zatrzymaliśmy się. Ponieważ chcieliśmy przybyć potajemnie do domu, weszliśmy więc do miasta o północy.

Zostawiam wyobraźni waszéj zdumienie matki mojéj na widok męża, którego uważała za straconego na zawsze; a powrót jego, że tak rzekę cudowny, stał się dla niéj nowym przedmiotem podziwienia. Błagał ją o przebaczenie za swoje barbarzyństwo z oznakami żalu tak głębokiego, iż nie mogła się wstrzymać od rozczulenia. Zamiast uważać go za mordercę, ona widziała w nim tylko człowieka, któremu Bóg ją powierzył; tak to świętém jest imię małżonka dla kobiéty cnotliwéj! Estephania tak się o mnie troszczyła, że powrót mój prawie w zachwycenie ją wprawił. Nie była to wszakże radość czysta i spokojna. Siostra Hordalesa wystosowała postępowanie karne przeciw mordercy swojego brata; kazała mnie śledzić wszędzie; tak dalece, że matka moja nie widząc dla mnie bezpieczeństwa w domu, była bardzo niespokojna. To mnie znagliło udać się do dworu tejże saméj nocy; przybywam więc panie, starać się o łaskę, którą mam nadzieję otrzymać, ponieważ pan chcesz łaskawie przemówić za mną do piérwszego ministra i użyć na moją korzyść wpływu swojego.

Waleczny syn don Anastasio na tém skończył swoje opowiadanie, poczém odezwałem się do niego z miną wielkiego człowieka: Podejmuję się sprawę pańską przedstawić J. Ks. Mości, i poważam się zapewnić o jego opiece. Na to Granadyjczyk począł się sadzić na dziękczynienia, któreby mi pewnie jednym uchem weszły, drugiém wyleciały, gdyby obok tego nie zapewnił mnie, że wdzięczność jego postępować będzie tuż za przysługą. Lecz skoro trącił w tę stronę, zaraz poruszyłem się. Tegoż jeszcze dnia opowiedziałem księciu całą historyą, który pozwoliwszy mi przedstawić sobie młodego człowieka, rzekł: Don Roger, wiém już o sprawie honorowéj, która cię sprowadziła do dworu. Santillana opowiedział mi wszystkie szczegóły. Bądź spokojny; nie zrobiłeś nic takiego, czegoby nie można usprawiedliwić; właśnie, szlachcie tylko, broniącéj obrazy honoru, król Jmć lubi przebaczać; dla formy musisz się udać do więzienia, ale bądź pewny, że długo w nim nie zabawisz. Masz w osobie Santillany dobrego przyjaciela, do którego należyć będzie reszta, on przyśpieszy twoje wyzwolenie.



Gil Blas w turmie Segowii.

Don Roger skłonił się z głębokiém uszanowaniem ministrowi, na którego słowo udał się do więzienia. Ułaskawienie jego za mojém staraniem, szybko wygotowane zostało. Nie spełna w dziesięć dni odesłałem tego nowego Telemaka do jego Ulisesa i Penelopy; gdyby zaś nie miał był pieniędzy i opiekunów, byłby się może rocznem nawet więzieniem nie wykwitował. Ależ za tę całą przysługę, tylko sto luidorów skorzystałem. Nie był to wprawdzie wielki los na loteryi, ale ja téż nie byłem jeszcze Calderonem, żeby pogardzać małemi.

Rozdział IX.

Jakim sposobem Gil Blas w krótkim czasie zebrał znaczny majątek.

Ta sprawa zaostrzyła mój apetyt, a dziesięć luidorów dane Scypionowi za faktorstwo, zachęciły go do nowych poszukiwań. Już powyżéj chlubnie wspominałem o jego talencie, możnaby go bardzo słusznie nazwać wielkim Scypionem. Sprowadził mi drugą gratkę w osobie wydawcy dzieł rycerskich, który się zbogacił kosztem zdrowego rozsądku. Ten wydawca przedrukował dzieło jednego ze swoich spółbraci i całe wydanie mu zajęto. Za trzysta dukatów, kazałem uwolnić od zajęcia jego exemplarze i uratowałem go od grubéj karnéj opłaty. Chociaż to nie należało wcale do piérwszego ministra, jednakże na moją prośbę, raczył się wdać w tę sprawę. Po wydawcy, dostał mi się do rąk kupiec, rzecz zaś szła o to: okręt portugalski zabrany został przez korsarza barbaryjskiego i odbity przez kapra z Kadyxu. Dwie trzecie towarów na nim znajdujących się, należało do kupca z Lisbony, który napróżno wzywając ich zwrotu, przybył do dworu hiszpańskiego, szukać opiekuna dosyć wpływu mającego, by mu pomógł do odzyskania straty. Miał szczęście znaleźć go w mojéj osobie. Wdałem się za nim, i w skutek tego odebrał swoje towary, za summę cztérech set luidorów ofiarowanych opiekunowi.

Zdaje mi się że w tém miejscu słyszę głos czytelnika: Śmiało panie de Santillana! Kuj żelazo póki gorące. Jesteś na dobréj drodze, trzymaj się koła fortuny. Oh! zapewne nie zaniedbam tego. Jeżeli się nie mylę, widzę mojego służącego, przybywa z nowym *ktoś*, co go złowił na wędkę. W istocie to jest Scypion. Posłuchajmy go. Panie, pozwól przedstawić sobie sławnego operatora. Prosi on o przywiléj sprzedawania swoich olejków przez lat dziesięć w całéj monarchii hiszpańskiéj, z wyłączeniem wszystkich innych, to jest, iżby wzbronione było osiadanie ludziom jego powołania w mieście, w którém on zamieszka. Przez wdzięczność złoży on dwieście luidorów temu, kto mu takowy przywiléj doręczy. Zakrawając na opiekuna odezwałem się do kuglarza: idź spokojnie mój przyjacielu, spełnię twoje życzenie. W rzeczy saméj w kilka dni późniéj, odprawiłem go z patentem dozwalającym mu zwodzić lud wyłącznie we wszystkich królestwach Hiszpanii.

Doświadczyłem słuszności przysłowia mówiącego, że apetyt wzmaga się w czasie jedzenia: im więcéj zbiérałem pieniędzy, tém chciwszym stawałem się. Obok tego wszakże otrzymawszy od Jego Wysokości cztéry łaski, o których mówiłem, nie wahałem się już prosić o piątą. Szło o gubernatorstwo miasta Vera na wybrzeżu Granady, dla kawalera zakonu Calatrava, który mi za to ofiarował tysiąc luidorów. Minister widząc mnie tak gorliwym w staraniach rozśmiał się. Przebóg, przyjacielu Gil Blasie, rzekł mi, jak ty coraz daléj postępujesz! Widzę że zapamiętale lubisz pomagać bliźnim. Słuchaj, jeżeli chodzić będzie o drobiazgi, nie myślę bliżej wglądać, lecz gdy zechcesz starać się o wielkorządztwa, lub inne wyższe posady, kontentować się musisz z łaski swojéj połową korzyści. Stosuj się więc do tego.

Pan mój temi słowy odbiérając mi wszelką obawę natręctwa, czyli raczéj zachęcając, abym jak najczęściéj wracał do szturmu, tém większą obudził we mnie żądzę bogactw. Byłbym wówczas z wielką ochotą ogłosił przez afisze, aby wszyscy, którzy szukają łaski jakowéj do mnie się wprost udawali. Ja poszedłem w jednę stronę, Scypion w drugą. Starałem się wszystkim nieść przyjemność za pieniądze. Mój kawaler Calatravy otrzymał posadę w Vera za swoje tysiąc luidorów; a w krótce za takąż summę obdarzyłem innego kawalera św. Jakóba. Nie poprzestałem na szafowaniu wielkorządztwami, rozdawałem i ozdoby rycerskie, zamieniłem kilku zacnych mieszczan na niegodnych szlachciców, przez wyborne listy szlachectwa. Chciałem także aby i duchowieństwo miało udział w moich dobro-

dziejstwach. Rozdawałem mniejsze beneficya, kanonie i niektóre jeszcze dostojeństwa kościelne. Co się tyczy biskupstw i arybiskupstw, te należały do kollacyi don Rodriga de Calderone. On także mianował na wyższe stopnie w rozmaitych władzach, także komandorów i wicekrólów. Z tego łatwo wnieść że wysokie dygnitarstwa nie lepiéj były obsadzone, jak podrzędne władze; bo osoby któreśmy do tego wybierali, nie były pospolicie ani z rzędu najzdolniejszych, ani też najporządniejszych. Wiedzieliśmy o tém bardzo dobrze, że żartownisie w Madrycie bawili się naszym kosztem; ale w tém podobni byliśmy do łakomców, którzy się cieszą widokiem złota, nie bacząc bynajmniéj na szyderstwo gminu.

Izokrates słusznie bardzo niewstrzemięźliwość i głupotę nieodstępnemi towarzyszkami bogaczów mienił. Gdym się ujrzał panem trzydziestu tysięcy dukatów, a zarazem w stanie zyskania może dziesięć razy tyle, zdało mi się żem powinien grać rolę godną powiernika pierwszego ministra. Najałem cały pałac, kazałem go umeblować bardzo porządnie: kupiłem karetę od jednego *escrivano* (1), który ją sobie kazał dać dla pokazania się, a teraz sprzedawał idąc za radą swojego piekarza, przyjąłem stangreta, trzech lokajów; a że rzeczą jest słuszną posuwać na wyższe stopnie stare sługi, podniosłem mojego Scypiona do potrójnéj godności, szatnego, sekretarza i intendenta. Lecz co szczególniéj dumę moją podniosło do najwyższéj potęgi, to że minister uznał za rzecz przyzwoitą, aby moi ludzie jego liberyą przywdziali. Straciłem już resztę rozsądku. Nie mniéj byłem głupi jak uczniowie Porcinsa Latro, którzy opiwszy się wody kminowej byli tak bladzi jak ich pan, wystawiając sobie, że będą tak mądrzy jak on. Mało brakło, żebym się nie uważał za krewnego księcia Lerma. Przynajmniéj wbiłem sobie w głowę, że potrafię uchodzić za takiego, a choćby też za jego bękarta, i to mnie dosyć pochlebiało.



Gil Blas i jego rodzina.

Dodajcie do tego, że wzorem jego wysokości, który utrzymywał stoły otwarte i ja także postanowiłem dawać obiady. W tym celu zobowiązałem Scypiona, aby mi odgrzebał gdzie kucharza biegłego, i wynalazł mi jednego, który się mógł równać z kuchmistrzem Nomentana, łakotnéj pamięci Rzymianina. Napełniłem piwnicę najdelikatniejszemi winami, a porobiwszy inne jeszcze zapasy, zacząłem zbiérać u siebie towarzystwo. Przybywali do mnie na wieczerzę referenci z biura ministra, którzy śmiało przybierali tytuł sekretarzy stanu. Dawałem im jeść wybornie i poiłem należycie. Scypion z swojéj strony, bo jaki pan, taki sługa, miał także swój stół w kredensie, gdzie moim kosztem uraczał swoich znajomych. Ale, prócz tego że lubiłem tego chłopaka, ponieważ pomagał mi do zysków, mniemałem iż powinien mnie także pomagać w wydatkach. Zresztą marnotrawstwo to uważałem oczyma młodego człowieka; nie widziałem wcale uszczerbku, patrzyłem tylko na honor. Jeszcze jedna przyczyna wstrzymywała mnie od zwracania na to uwagi; dochody i majątek mój wzrastał dzień za dniem, wystawiałem więc sobie, żem gwoździem przybił koło fortuny.

Już tylko jednéj rzeczy brakło dla mojéj próżności, to jest mieć Nunesa świadkiem moich zbytków. Nie wątpiłem, że musiał powrócić z Andaluzyi, żeby więc zrobić sobie przyjemność z jego niespodzianki, kazałem mu doręczyć bilecik bezimienny, w którym mu donosiłem, że pewny pan sycylijski, jego przyjaciel oczekuję go z wieczerzą. Oznaczyłem mu dzień, godzinę, miejsce, gdzie się miał znajdować. Schadzka była u mnie. Nunes przybył i niesłychanie się zdziwił, dowiedziawszy się, że tym panem zagranicznym byłem ja, którym go na wieczerzę zaprosił. Tak jest, mój przyjacielu, ja jestem panem w tym pałacu. Mam powóz, wyborny stół, a w dodatku nie pustą skrzynię. Czyż podobna, zawołał z zapałem, abym cię w takiéj zamożności oglądał? Co to za szczęście, żem cię u hrabiego Galiano umieścił! Słusznie ci powiedziałem, że to pan wspaniałomyślny, i który cię pewnie postawi na nogach. Zapewne także usłuchałeś mojéj roztropnéj rady i popuściłeś trochę cugli marszałkowi, winszuję ci. Tą tylko drogą postępując intendenci porastają w pierze.

Pozwoliłem się Fabrycemu nacieszyć do woli, że mnie umieścił u hrabiego Galiano. Następnie dla pohamowania radości z wyszukania mi tak wybornego miejsca, opowiedziałem mu w szczegółach wszystkie dowody wdzięczności, jaką hrabia zapłacił moje usługi. Spostrzegłszy, że mój poeta w czasie tego opowiadania już począł w myśli opiewać odwołanie, rzekłem: Przebaczam Sycylijczykowi jego niewdzięczność. Mówiąc między nami, mam więcéj powodu cieszyć się z tego, aniżeli uskarżać. Gdyby hrabia nie tak źle wyszedł ze mną, byłbym się udał z nim do Sycylii, służyłbym mu dotąd, oczekując wątpliwego uposażenia. Słowem nie byłbym dziś powiernikiem księcia Lerma.

Te ostatnie wyrazy tak silnie raziły Nunesa, że przez kilka chwil stał jak wryty, nie mogąc rzec ani słowa. Potém nagle przerywając milczenie, zawołał: Nie zawodziż mnie słuch mój? Jak to! ty posiadasz zaufanie pierwszego ministra? Podzielam je, odpowiedziałem, z don Rodrigo de Calderone; i według wszelkiego podobieństwa pójdę daléj. Zaprawdę Mości Santillana, rzekł, zdumiewam się nad panem. Widzę go zdolnym do spełniania wszelkich obowiązków. Ileż to talentów łączysz w swojéj osobie! czyli raczéj że użyję wyrażenia naszéj knajpy, masz *narzędzie powszechne*, to jest, zdolnym jesteś do wszystkiego. Zresztą panie, dodał, cieszy mnie bardzo pomyślność jego Wielmożności. Eh! do licha przerwałem, panie Nunes, dajmy

(1) Pisarz, główna figura, *totumfac* w sądach hiszpańskich.

pokój temu państwu! Usuńmy na stronę te wyrażenia, a żyjmy między sobą poufale. Masz słuszność, rzekł, ja nie powinienem inaczéj spoglądać na ciebie, tylko tak jak dawniéj, choć teraz jesteś bogatym; ale muszę ci się przyznać do mojéj słabości: objawiając mi swój los szczęsny omamiłeś mnie, szczęściem ta ułuda szybko przeszła, i teraz widzę tylko w osobie twojéj mojego przyjaciela Gil Blasa.

Rozmowę naszą przerwało przybycie kilku referentów. Panowie, odezwałem się, przedstawiając im Nuneza, będziecie jedli wieczerzę z panem don Fabricio, który robi wiérsze godne najdostojniejszego pana, a który piszę prozą tak, jak nikt nie pisze. Nieszczęściem mówiłem to do ludzi, u których poezya tak mało ważyła, że poeta aż zbladł. Zaledwie raczyli spojrzéć na niego. Napróżno silił się na dowcipne wyrażenia, by zwrócić ich uwagę, nie rozumieli tego wcale. Tak żywo to uczuł, iż użył wolności poetyckiéj; wymknął się z nienacka z towarzystwa i zniknął. Moi referenci nie uważali tego i zasiedli do stołu, nie zapytawszy się nawet, coby się z nim zrobiło.

Nazajutrz właśnie kończyłem ubieranie się mając wyjść, kiedy poeta asturyjski wszedł do mojego pokoju. Przepraszam cię mój przyjacielu, odezwał się, żem wczoraj wieczór zerwał otwarcie z waszemi referentami; lecz szczerze mówiąc, byłem wcale nie na swojém miejscu i dla tego nie mogłem dotrzymać. Obmierzłe figury z ich miną nadętą i sztywną! Nie pojmuję jakim sposobem ty, co masz umysł tak otwarty, potrafisz zgodzić się z biesiadnikami tak nieokrzesanymi. Dziś jeszcze chcę ci przyprowadzić wcale łatwych i giętkich. Zrobisz mi wielką przyjemność, odpowiedziałem, spuszczam się w tym względzie na twój gust. Masz słuszność, rzekł, przyprowadzę ci mężów z wyższym talentem i nader wesołych. W téj chwili idę do szynkującego likworami, u którego się pospolicie zbierają; zatrzymam ich, aby się nie zobowiązali gdzieindziéj; bo ubiegają się o nich aby ich mieć na obiedzie, lub wieczerzy, tak są rozweselającymi.

To mówiąc wyszedł, a wieczór na czas wieczerzy wrócił w towarzystwie sześciu autorów, których mi przedstawił jednego po drugim, nie szczędząc pochwał żadnemu. Słuchając go, te piękne talenta przewyższały wszystkie dowcipy Grecyi i Rzymu, a dzieła ich, mówił, zasługują na druk złotemi literami. Przyjąłem tych panów bardzo uprzejmie, starałem się nawet uraczać ich grzecznościami, bo naród poetów jest nieco próżny i chełpliwy. Chociaż nie poleciłem Scypionowi, aby pamiętać o szczodrobliwości uczty, lecz on sam wiedząc jakich ludzi miałem uraczać tego wieczora, pamiętał o dobrém opatrzeniu półmisków.

Wreszcie zasiedliśmy wesoło do stołu. Moi poeci zaczęli rozmowę o sobie, chwaląc się nawzajem. Ten z dumą wyliczał znakomitych panów i panie, dla których muza jego prawdziwą była rozkoszą; tamten ganiąc jakąś akademią za wybór dwóch osób, dodał skromnie, że powinna była jego wybrać w ich miejsce. Niemniéj zarozumiałości było w mowie innych. W środku wieczerzy otóż zaczynają mnie mordować wierszem i prozą. Każdy z kolei czyta wyjątki ze swoich dzieł. Jeden występuje z sonnetem, drugi deklamuje scenę z tragedyi, inny czyta krytykę jakiéjś komedyi, czwarty zabrał się do czytania ody Anakreonta przełożonéj nędznym wierszém hiszpańskim, tymczasem jeden ze spółtowarzyszów przerywa mu uwagą, że niewłaściwego użył wyrażenia. Autor tłumacz nie zgadza się na to; ztąd wszczyna się rozprawa, do któréj się wszyscy mieszają. Zdania podzielone, rozprawiacze zapalają się, przychodzi do szkalowań, jeszcze mniejsza o to, lecz ci zapamiętalcy zrywają się od stołu i rozpoczynają bójkę na pięści. Fabrycy, Scypion, mój stangret, lokaj i ja, nie mało trudu zażyliśmy, aby ich rozbroić. Ujrzawszy się rozdzielonymi, wyszli z mojego domu jak z jakiéj szynkowni, nie bąknąwszy najmniejszego przeproszenia za swoją niegrzeczność.

Nunez, na którego zaręczenie uroiłem sobie obraz nader miły téj uczty, odurzony był prawie tém zdarzeniem. A cóż mój przyjacielu! czy będziesz mi jeszcze wychwalał twoich biesiadników? Dalibóg, sprowadziłeś mi dosyć nikczemnych ludzi! Wolę ja moich referentów; już mi nic nie mów o swoich autorach. Nie troszcz się, odpowiedział, już ja ci sprowadzę innych, ujrzysz wcale rozsądniejszych!

Rozdział X.

Obyczaje Gil Blasa zupełnie się psują. Zlecenie jakie mu dał książę Lerma.

Skoro się rozgłosiło, że jestem polubieńcem księcia Lermy, zaraz znalazłem swój dwór. Mnóstwo osób cisnęło się do mojego przedpokoju, zacząłem więc dawać ranne posłuchania. Dwa rodzaje ludzi przybywało do mnie: jedni płacąc zobowiązywali mnie do wstawienia się w ich interesie do ministra: drudzy żebrali, aby im wyświadczyć *gratis* to, czego pragnęli. Piérwsi mogli być pewni, że ich wysłuchałem i usłużę; co do drugich, albo pozbywałem się ich natychmiast odmówną odpowiedzią, albo mamiłem ich póty, póki im cierpliwości nie zabrakło. Nim się dostałem do dworu, byłem z natury czuły i litujący się; ale tam pozbywa się człowiek słabości ludzkich! ja stałem się twardszym od krzemienia. W skutek tego wyleczyłem się także zupełnie z czułości dla przyjaciół, z wszelkiego do nich przywiązania. Sposób w jaki wyszedłem z Józefem Navarro w pewnéj okoliczności, może za dowód tego posłużyć.

Ten Navarro, któremu tyle byłem winien, który krótko mówiąc, był piérwszą przyczyną mojego szczęścia, przyszedł raz do mnie. Wynurzywszy mi swoję przyjaźń, co zwykł był zawsze powtarzać, jak mnie tylko spotkał, prosił mnie o wystaranie się u księcia, dla jednego ze swoich przyjaciół jakiegoś miejsca: dodając, że młody człowiek za którym się wstawia, jest bardzo miły i pełen zdatności, ale potrzebował miejsca, bo nie miał się z czego utrzymać. Nie wątpię, dodał Navarro, znając cię tak dobrym i usłużnym, że będziesz miał sobie za przyjemność podać rękę człowiekowi, który nie jest bogaty: lecz to samo ubóstwo jego będzie dla ciebie tytułem do zajęcia się jego losem. Pewny jestem, że mi wdzięcznym będziesz, za nastręczoną sposobność do objawienia uczuć twoich dobroczynnych. Byłoto, jaśniéj mówiąc, żądać ode mnie przysługi za nic. Luboto wcale nie przypadło mi do smaku, przecież objawiłem gotowość spełnienia jego życzeń. Rad jestem, rzekłem do Navarra, że będę mógł objawić najżywszą wdzięczność za wszystko coś zrobił dla mnie. Dosyć jest, jeżeli ty się wdasz za kim, więcéj nie trzeba, aby mnie zniewolić na jego usługi. Przyjaciel twój będzie miał urząd, o który dlań prosisz, licz na to, w tém już będzie moja głowa.

Na takowe zapewnienie Józef oddalił się bardzo kontent ze mnie, mimo to, osoba przez niego zalecona, nie otrzymała téj posady. Wyjednałem ją dla kogo innego za tysiąc dukatów, które dorzuciłem do mojéj skrzyni. Wolałem tę summę, niż podziękowania kredencerza, któremu z miną smutną powiedziałem przy piérwszém spotkaniu. Ah! mój drogi Navarro, spóźniłeś się. Calderone uprzedził mnie, on już rozporządził tym urzędem o którym wiész. Rozpacz mnie bierze, że nie mogę ci lepszéj udzielić nowiny.

Józef uwierzył mi łatwo i rozstaliśmy się lepszymi przyjaciołmi niż dotąd; ale zdaje mi się, że musiał dojść prawdy, bo odtąd już go nie widziałem. Zamiast czuć jakieś wyrzuty, za podobne postępowanie z prawdziwym przyjacielem, któremu tyle byłem winien, ja przeciwnie, cieszyłem się z tego. Bo naprzód, wyświadczone mi przez niego przysługi ciążyły mi na sercu; powtóre, zdawało mi się, że przy takiéj wziętości na dworze, nie wypadało mi wcale odwiédzać marszałków pałacowych.

Dawno już nie mówiłem o hrabi Lemos, wróćmy więc do tego pana. Widywałem go czasami, zaniosłem mu tysiąc luidorów, jak to wyżéj wspomniałem, oddałem mu drugi tysiąc z rozkazu jego stryja, z pieniędzy które miałem dla Jego wysokości. W tym dniu hrabia chciał obszerniéj rozmówić się ze mną. Oświadczył mi, iż doszedł zamierzonego celu, że posiada wyłączne względy dziedzica korony hiszpańskiéj, że jest jego jedynym powiernikiem. Poczém dał mi polecenie, do którego mnie już wcześniéj przygotował.

Nie byłem ja bardzo wprawny w spełnianie podobnych poleceń, ale nie wątpiłem bynajm niéj, aby Scypion nie miał być i do tego wybornym.

W rzeczy saméj w trzy dni późniéj powiedział mi, że wynalazł skarb. Młoda kobiéta, nazwiskiem Catalina, z dobrego rodu i piękności zachwycającéj, mieszka pod dozorem swojéj ciotki, w małym domku, w którym bardzo uczciwie żyją z własnych funduszów dosyć szczupłych. Usługuje im pokojówka moja znajoma, która mnie zapewniła, że ich drzwi wszystkim zamknięte, mogłyby się otworzyć młodzieńcowi bogatemu i szczodremu. W skutek tego przedstawiłem pana, jako młodego człowieka zasługującego na otwarcie drzwi i prosiłem pokojówki, aby pomówiła o panu z temi damami. Przyrzekła mi, i jutro ma mi dać odpowiedź w miejscu umówioném. To dobrze, odpowiedziałem, ale się boję, żeby ta pokojówka nie wyprowadziła cię w pole. Co nie, to nie, rzekł, mnie nie łatwo zagrać na nosie; już ja się wypytałem sąsiadów i ze wszystkiego com słyszał, wnoszę, że senora Catalina, jest właśnie taką, jakiéj pragniesz, tojest Danae, u któréj można odegrać rolę Jowisza.

Jakkolwiek uprzedzony byłem przeciw tego rodzaju zalotnéj fortuny, przecież skłoniłem się do téj; a że pokojówka doniosła nazajutrz Scypionowi, że ode mnie tylko zależéć będzie wprowadzenie do domu tych pań, nawet tego samego wieczora, wśliznąłem się tam między jedénastą godziną a dwunastą. Pokojówka przyjęła mnie bez światła, i wziąwszy za rękę, zaprowadziła do sali dosyć porządnéj, w któréj zastałem obiedwie panie wykwintnie wystrojone, siedzące na sofie atłasowéj. Skoro mnie spostrzegły, powstały natychmiast i powitały mnie w sposób bardzo uprzejmy; zdało mi się, żem widział dwie damy znakomitego rodu. Ciotka, którą zwano senora Mencia, choć piękna jeszcze, nie zwracała jednak mojéj uwagi. Prawda, że miałem tylko przypatrzyć się siostrzenicy, która mi się bóstwem wydała. Rozważywszy ściśle, nie można było powiedzieć, aby to miała być piękność doskonała, ale była pełna wdzięków, miała postać tak rozkoszną i ponętną, iż nie podobna było śledzić czegoby jéj brakło.

Dlatego téż widok jéj omamił mnie zupełnie. Zapomniałem żem przybył w charakterze pośrednika; mówiłem w mojém własném i prywatném imieniu, i to jak na dobre rozkochany. Młoda panienka zdała mi się trzy razy dowcipniejszą, niż była w istocie; skrępowała mnie do reszty swojemi odpowiedziami. Jużem się nie posiadał z radości, gdy ciocia dla pohamowania mojéj rozkoszy, zabrała głos, mówiąc: Panie Santillana, ja chcę otwarcie z panem pomówić. Słysząc o wielkich pańskich zaletach, pozwoliłam mu wstępu do domu mojego, nie pokazując w tém żadnéj łaski; lecz nie sądź pan, ażebyś przez to już daleko zaszedł. Dotąd wychowywałam siostrzenicę moją w ukryciu, i pan jesteś, że tak rzekę, pierwszym młodzieńcem, którego oczom ją przedstawiam. Jeżeli ją uznasz godną być twoją małżonką, cieszyć się będę tym zaszczytem; zastanów się, czy ci się podoba za tę cenę; tańszym kosztem mieć jéj nie będziesz.

Ten strzał z tak blizka wymierzony, spłoszył Amora. Mówiąc bez przenośni, małżeństwo tak ostro przedstawione, zbudziło moją rozwagę; w téj chwili wróciłem do roli posłannika hrabiego Lemos, zmieniając więc ton, odezwałem się do senory Mencii: Pani, otwartość twoja, podoba mi się, i chcę ją naśladować. Cokolwiek ja mogę znaczyć przy dworze, to przecież nie godzien jestem niezrównanéj Cataliny; mam dla niéj pod ręką coś świetniejszego. Mogłeś pan poprzestać na wzgardzeniu moją siostrzenicą, odpowiedziała zimno Mencia, nie było potrzeby dodawać do tego szyderstwa. Pani, odezwałem się, ja nie żartuję, nie masz nic nad to pewniejszego; mam rozkaz wybrać osobę, godną księcia; znajduję ją w domu pani, i chcę ją wskazać.

Zdumiała się senora Mencia, słysząc te słowa; spostrzegłem że nie były jéj tak dalece nieprzyjemne.

Chociaż ciocia w duszy pragnęła szczérze przyjąć moje przedstawienie, udała wszakże, iż nie wié, czego się czepić, a Catalina rada jak najprędzéj widzieć księcia, zmyślała wielką obojętność; to mnie skłoniło do zmiany planu szturmu, aż wreszcie senora Mencia widząc mnie zniechęconego i gotowego do odstąpienia, dała hasło do poddania się i natychmiast ułożyliśmy kapitulacyą obejmującą dwa artykuły; *primo*: jeżeli książę, postanowi odwiedzić Catalinę, starać się będę zawiadomić o tém moje panie, równie jak o wybranym ku temu czasie; *secundo*, że książę przybędzie jedynie w towarzystwie mojém i naczelnego Merkurego. Po takowym układzie i ciotka i siostrzenica, okazywały mi dowody najserdeczniejszéj przyjaźni.

Hrabia Lemos uradował się niesłychanie, usłyszawszy, żem wynalazł taką, jakiéj mógł zapragnąć.

Nie zaniedbałem zaraz rano zdać sprawę księciu o wszystkiém co dotąd się stało; jedną mu tylko rzecz utaiłem, to jest nie mówiłem nic o Scypionie; udałem się sam za szczęśliwego wynalazcę Cataliny.

Zyskałem z tego powodu grzeczności ocukrowane. Panie Gil Blas, odezwał się do mnie minister tonem żartobliwym, cieszę się mocno, że obok innych talentów, umiész także wygrzebywać piękności ujmujące.

W téj saméj prawie chwili, wręczyłem hrabiemu Lemos pięćset dublonów! Nie mogłeś w lepszą nadejść porę, rzekł mi ten pan. Mówiłem już z księciem; z największą niecierpliwością pragnie oglądać Catalinę.

Pobiegłem natychmiast do kobiét. Nie widziałem Cataliny; oświadczono mi, że jeszcze śpi. Rozmówiłem się więc z seniorą Mencyą. Wdzięczna jestem, odpowiedziała, lecz powiédz panie de Santillana, czy książę lubi muzykę. Lubi ją i zapamiętale, rzekłem. Nic go tak nie bawi, jak piękny śpiéw z towarzyszeniem gitary, skoro po jéj stronach delikatne przebiegają paluszki. Tém lepiéj! zawołała z radosném uniesieniem; zachwyca mnie ta wiadomość, bo siostrzenica moja ma głos słowika, gra zaś na gitarze, jak anioł; tańczy nawet doskonale. Dzięki Bogu! zawołałem ja z kolei, a toć to nie mało talentów moja ciociu! Tyle nawet nie potrzeba dla panny, aby los zrobiła, jednego z nich wystarczy.

Nazajutrz rano, opowiedziałem wszystko księciu Lerma, ponieważ chciał wiedzieć o wszystkiém. Właśnie kończyłem rzecz moję, gdy hrabia Lemos wszedł i rzekł do niego: Książę pan mój, tak jest zajęty Cataliną i tak ją polubił, że pragnie widywać ją często. Radby jéj dziś posłać klejnoty za dwa tysiące luidorów, ale nie ma ani szeląga. Odezwał się więc do mnie: Mój kochany Lemos, musisz mi koniecznie w téj chwili wystarać się o tę kwotę. Mości Książę, rzekłem oddalając się natychmiast, mam przyjaciół i zaufanie, postaram się o zaspokojenie twoich życzeń.

Nie trudno je zaspokoić, odezwał się książę Lerma do synowca; Santillana zaniesie ci te pieniądze, albo jeszcze lepiéj, jeżeli chcesz, on sam kupi klejnoty, on się zna na tém wybornie, a osobliwie téż na rubinach. Czy nie prawda Gil Blasie? dodał, spojrzawszy na mnie żartobliwie. Jak W. Ks. Mość jesteś uszczypliwym! odpowiedziałem. Widzę, że Wasza Wysokość chce moim kosztem rozśmieszyć pana hrabiego. I to się téż stało. Synowiec zapytał się coby w tém był za sekret. Stryjaszek śmiejąc się odpowiedział: niema nic osobliwego; oto raz, Santillanie zachciało się pomieniać dyament za rubin, a ta zamiana, ani mu honoru, ani korzyści nie przyniosła.

Byłbym szczęśliwy, gdyby minister na tém skończył; lecz nie żałował trudu w opowiedzeniu figla, jakiego mi wypłatała Kamilla i Raphael w hotelu umeblowanym, wymieniając najdrobniejsze szczegóły w wypadku dla mnie najmniéj zaszczytnym. Jego wysokość naśmiawszy się do woli, posłał mnie z hrabią Lemos do jubilera, u którego wybrawszy klejnoty, zanieśliśmy je do księcia, poczém powierzone mi zostały dla doręczenia Catalinie. Następnie wziąłem u siebie pieniądze księcia, dla zaspokojenia należytości jubilera.

Każdy łatwo się domyśli, jakie było moje przyjęcie, gdym rozłożył przed oczyma tych pań, przedmiot mojego poselstwa. Zbytkiem radości uniesione, zapomniały się na chwilę. Wymknęły się im wyrazy, z których mogłem się domyślać, żem oszustki naraił. Żeby się dokładnie wywiedzieć o tém mojém arcydziele, postanowiłem wybadać Scypiona.

Wróciwszy do siebie, usłyszałem wielką wrzawę. Zapytałem się o przyczynę; odpowiedziano mi, że Scypion uraczał u sie-

bie z pół tuzina swoich przyjaciół. Śpiewali z całego gardła i śmieli się do rozpuku. Nie była to zaiste uczta siedmiu mędrców.

Gospodarz uczty, zawiadomiony o mojém przybyciu, odezwał się do towarzyszów: To nic panowie, pan mój powrócił, nie troszczcie się bynajmniéj. Bawcie się, ja mu tylko parę słów powiém, i natychmiast powrócę. To rzekłszy, przybył do mnie. Cóż to za hałas! odezwałem się. Dla jakichżeto ludzi wyprawiasz bankiet? Czy to są poeci? Ale nie, odpowiedział mi, szkodaby była pańskiego wina dla tych ichmościów; ja go korzystniéj używam. Pomiędzy spółbiesiadnikami jest młody człowiek, który pragnie uzyskać posadę przez wpływ pański, za swoje pieniądze. To dla niego ten bal. Za każdym kieliszkiem wina, ja podnoszę o dziesięć luidorów gratkę, jaka się panu ma dostać. Chcę go poić aż do dnia białego. Oh, kiedy tak, rzekłem, idź na powrót, nie szczędź wina.

Nie uważałem za rzecz przyzwoitą rozmawiać z nim o Catalinie tego dnia; lecz nazajutrz wstając, odezwałem się do niego w ten sposób: Przyjacielu Scypionie, wiész jak z sobą żyjemy. Obchodzę się z tobą nie jak ze służącym, ale jak z towarzyszem swoim; ślebyś więc robił, oszukując mnie jak swojego pana. Nie tajmy więc nic przed sobą. Powiem ci więc rzecz godną zastanowienia; ty także ze swojéj strony wynurzysz mi swoje zdanie o kobiétach, z któremiś mnie zapoznał. Panie, odpowiedział Scypion, obejście się twoje ze mną do podobnejże zniewala mnie szczerości. Wczoraj miałem rozmowę sam na sam z pokojówką tych dam; opowiedziała mi całą ich historyą, która mi się zdała bardzo zabawna; powtórzę ją panu w treści, a pewny jestem, iż cię nie znudzi.

Catalina, mówił daléj, jest córką niewielkiego szlachcica aragońskiego. W piętnastym roku życia, zostawszy sierotą równie ubogą jak piękną, przyjęła rękę starego komandora, który ją zawiózł do Toledu i tam w sześć miesięcy umarł, będąc raczéj ojcem nie mężem. Zabrała więc w spadku wszystkie rupiecie i trzy sta luidorów w gotowiźnie; połączyła się z senorą Mencią, jeszcze podówczas w modzie będącą, choć już na schyłku wieku. Dwie te przyjaciołki mieszkały razem i zaczęły prowadzić życie, do którego sprawiedliwość chciała się wtrącić. Nie podobało się to damom, rozgniéwane, czy téż może i dla czego innego, opuściły nagle Toledo i udały się na mieszkanie do Madrytu, i tu od dwóch lat żyją, nie postawszy u żadnéj kobiéty w sąsiedztwie. Ale posłuchaj pan czegoś lepszego; najęły dwa małe domki, przedzielone murem; z jednego do drugiego przejść można skrytemi schodkami w piwnicach. Senora Mencia z młodą pokojówką mieszka w jednym z tych domów, wdowa po komandorze zajmuje drugi ze starą kwoką, którą udaje za swoją babkę; tym sposobem nasza aragonka jest raz siostrzenicą wychowaną przez ciotkę, drugi raz sierotą pod opiekuńczém skrzydłem swojéj babki. Kiedy udaje siostrzenicę, nazywa się Catalina, a grając rolę wnuczki, przybiéra imię Syreny.

Usłyszawszy imię Syreny, zadrżałem. Co ty mnie powiadasz? przerwałem mu, włosy mi na głowie wstają. Niestety! lękam się, aby ta przeklęta aragonka, nie była kochanką Calderona. A tak jest, odpowiedział, to właśnie ta sama! Rozumiałem, że panu przyjemność sprawię, donosząc mu o tém. Nie zastanowiłeś się dobrze, odpowiedziałem, ona mi może sprawić więcéj zgryzoty niż radości; czy nie widzisz skutków ztąd wyniknąć mogących? Dalibóg nie, odpowiedział Scypion. Cóż złego stać się może? Nie zdaje się, aby don Rodryg doszedł co się święci; a jeżeli się pan obawiasz, aby z czasem nie został zawiadomiony, w takim razie nie ma nic lepszego, jak uprzedzić ministra. Opowiedz mu wszystko po prostu; będzie widział dobrą wiarę; a jeżeli potém Calderone zechce panu przypiąć łatkę u księcia, ten domyśli się, że to pochodzi z zemsty.

Takowa rada uspokoiła mnie wielce. Poszedłem za nią. Zawiadomiłem księcia Lerma o tém nieszczęsném odkryciu. Udałem nawet smutek opowiadając mu te szczegóły, aby go przekonać, że mnie to mocno gryzło, iż niechcący nastręczyłem kochankę Rodryga; ale minister zamiast żałować swojego polubieńca, żartował z niego. Poczém kazał mi postępować tym samym torem. Odkryłem także całą rzecz hrabiemu Lemos, który mi zapewnił swoją opiekę, na przypadek, gdyby piérwszy sekretarz doszedłszy intrygi, chciał mi szkodzić u księcia.

W przekonaniu, że przez takowy obrot, zabezpieczyłem łódź mojéj fortuny od zahaczenia się na piaskach, nie bałem się już niczego.

Rozdział XI.

Gil Blas nie przestaje grać roli pana. Dowiaduje się o swojej rodzinie. Różni się z Fabrycym.

Jużem wspomniał, że każdego poranku zbiérało się w moim przedpokoju mnóstwo osób z rozmaitemi przedstawieniami, ale nie chciałem przyjmować nic ustnie; idąc za zwyczajem dworu, czyli raczéj udając ważną figurę, oświadczałem każdemu proszącemu, przedstaw mi to na piśmie. Tak dalece do tego nawykłem, że raz powtórzyłem te same wyrazy właścicielowi pałacu, który mi przypominał, że mu winienem za rok należytość najmu. Co się tyczy rzeźnika i piekarza, ci oszczędzali mi podobnego wyrażenia, składając jak najregularniéj co miesiąc swoje rachunki. Scypion, który mnie we wszystkiém kopiował tak doskonale, iż trudnoby go było odróżnić od oryginału, nie inaczéj postępował z osobami, udającemi się do niego z prośbą, aby mnie skłonił do wdania się za niemi.

Podlegałem jeszcze jednéj śmieszności, któréj wcale nie myślę sobie darować; byłem tak głupi, że mówiąc o znakomitych panach, tak się wyrażałem, jak gdybym był ich powinowatym. Jeżeli mi potrzeba było wspomnieć księcia Alby, księcia Ossony lub Medina Sidonia, ja bez ogródki mówiłem Alba, Ossona i Medina Sidonia. Słowem, stałem się tak dumnym i próżnym, że już przestałem być synem mojego ojca i mojéj matki. Niestety! biédna piastunko, biédny koniuszy, nie spytałem się nawet, czy wy szczęśliwi, lub w nędzy żyjecie w waszéj Asturyi! o tém nie pomyśliłem wcale, anim marzył o was! Dwór ma przymioty rzeki Lete, zaciéra w pamięci naszéj rodziców i przyjaciół, skoro ci są w złém położeniu.

Już zupełnie zapomniałem o mojéj rodzinie, gdy pewnego poranku wszedł do mnie młody człowiek, oświadczając, iż przyszedł rozmówić się ze mną na osobności. Wprowadziłem go więc do gabinetu, gdzie nie prosząc go siedzieć, bo mi się zdał pospolitym człowiekiem, zapytałem się czegoby żądał. Panie Gil Blas, rzekł, jak to, nie przypominasz sobie? Napróżno przypatrywałem mu się, zmuszony byłem odpowiedzieć mu, iż rysy jego wcale mi nieznane. Jestem, odpowiedział, ziomkiem twoim, rodem z Oviedo, synem Bertranda Muscada, kupca korzennego, sąsiada twojego stryja kanonika. Ja cię bardzo dobrze poznaję. Nie sto razy grywaliśmy z sobą w piłkę.

Bardzo mało pamiętam o rozrywkach dziecinnego wieku, odpowiedziałem, trudy, jakie mnie w następstwie obarczały, zatarły w umyśle moim wszystkie wspomnienia tego rodzaju. Przybyłem do Madrytu, przerwał mi ów młodzieniec, dla porachunku z korrespondentem mojego ojca. Słyszałem o tobie. Powiedziano mi że dobrze jesteś położony u dworu, żeś bogaty jak żyd. Winszuję ci tego: a wracając do domu pocieszę twoją rodzinę przynosząc jéj tak błogą wiadomość.

Jakoś sama przyzwoitość wymagała, abym się zapytał w jakim stanie był mój ojciec, matka i stryj; lecz dopełniłem tego obowiązku tak ozięble, iż kramarz nie miał powodu wielbić mojéj miłości synowskiéj. Objawił to zaraz. Zdał się być urażonym obojętnością moją dla osób, które mi powinny być drogiemi, a że to był chłopak otwarty i nieokrzesany, odezwał się więc bez ogródki: rozumiałem, że będziesz miał więcéj czułości i przywiązania do twoich krewnych, a tymczasem z jakże to zimną miną zapytujesz się o nich! Zdaje się, że związki familijne wywietrzały ci z głowy. Czy wiész jakie ich jest położenie? Ojciec twój i matka ciągle są w służbie, a zacny kanonik Gil Perez pochylony wiekiem i słabością, nie daleko ma do końca. Trzebać mieć trochę uczucia, a ponieważ możesz dopomódz rodzicom, radziłbym ci po przyjacielsku, żebyś im posyłał corocznie po dwieście luidorów. Takowym datkiem zapewnisz im życie spokojne i szczęśliwe sam nie czując żadnego uszczerbku.

Zamiast wrzuszyć się stanem mojéj rodziny jaki mi wystawiał, mnie tymczasem bodła wolność, z jaką mi dawał rady, o które go wcale nie prosiłem. Wziąwszy się zręczniéj do rzeczy, możeby mnie był nakłonił; szczérością zaś oburzał mnie. Pomiarkował to z milczenia mojego i nieukontentowania, którego ukryć nie mogłem, nie przestawał więc napominać mnie z większą uszczypliwością, niż uczuciem miłości i tém mnie znieciérpliwił. Oh! co tego już nadto! zawołałam z gniéwem; ruszaj panie Moncada; nie wtrącaj się do tego, co do ciebie nie należy. Idź, rachuj się z korrespondentem twojego ojca. Właśnie też tobie przystało wskazywać mi moje obowiązki! Już lepiéj od ciebie wiém, co mam czynić. To mówiąc wypchnąłem kramarza z gabinetu, odsyłając go do Oviedo ważyć pieprz i cynamon.

To wszakże co wyrzekł, utkwiło mi w myśli: wyrzucając sobie, żem był synem wyrodnym, rozczuliłem się. Wspomniałem sobie tę troskliwość z jaką pielęgnowano mnie w dzieciństwie, starano się o moje wychowanie i ukształcenie: wystawiałem sobie ile ja to winien rodzicom, a takowym rozmyślaniom towarzyszyło niejakie uniesienie wdzięczności, które przecież nie doprowadziło do niczego; wnet o wszystkiém zapomniałem. Nie mało na świecie jest ojców, którzy mają podobne dzieci.

Chciwość i duma opanowały mnie i zmieniły zupełnie mój humor. Straciłem dawną wesołość: stałem się ponurym, w marzeniach zatopionym, jednym słowem, głupiem bydlęciem. Fabrycy widząc mnie czołem bijącego fortunie, rzadko bardzo odwiédzał mnie, raz nawet nie mógł się wstrzymać i rzekł mi: wiérz mi Gil Blas, że od niejakiego czasu nie mogę cię poznać. Nim się dostałeś do dworu, miałeś zawsze umysł spokojny, teraz widzę cię ciągle rozłarguionym, marzysz raz wraz o zbogaceniu się, im więcéj zbiérasz pieniędzy, tém więcéj zbiérać ich pragniesz. Prócz tego, mamże ci powiedzieć? nie masz dla mnie tego wylania serca, tego obejścia się swobodnego, które nadają jakiś urok związkom przyjaźni. Przeciwnie, ty się osłaniasz, zamykasz serce przedemną. Widzę nawet przymus jakiś w grzecznościach, które mi objawiasz. Słowem nie jesteś ty tym Gil Blasem, którego znałem dawniéj.

Żartujesz zapewne, odpowiedziałem mu dosyć obojętnie. Ja nie widzę w sobie żadnéj odmiany. On zaś na to: ależ to nie do własnych oczu odwoływać się winieneś w tym względzie, bo one są zaczarowane. Wierz mi, że przeobrażenie twoje aż nadto prawdziwe. Uderz się w piersi i szczérze wyznaj, czy my żyjemy z sobą jak dawniéj? Kiedym zapukał do drzwi twoich, otwiérałeś mi sam i to nieraz oczu jeszcze nie przetarłeś, ja wchodziłem do twojego pokoju bez ceregielów. Dziś co za różnica! Masz lokajów. Każesz mi wyczekiwać w przedpokoju, piérwéj cię zawiadamiają, nim pozwolisz z sobą mówić. A po tém wszystkiém, jakże mnie przyjmujesz... z grzecznością zimną jak lód, zakrawając na pana. Zdawałoby się, że moje odwiedziny zaczynają ci być uciążliwe. Czy myślisz, że takowe przyjęcie może być miłém dla człowieka, który był twoim spółtowarzyszem? Nie, Santillana, to mi się wcale nie podoba. Bądź zdrów, rozłączmy się po przyjacielsku, pozbądźmy się obadwa, ty cenzora twoich czynów, a ja dorobkowicza, który się nie zna na sobie.

Takowe wyrzuty rozdrażniły mnie bardziéj, nie poruszywszy bynajmniéj, dla tego téż, pozwoliłem mu oddalić się, nie objawiwszy najmniejszéj chęci zatrzymania go. Umysł mój podówczas był w takim stanie, że przyjaźń poety nie zdała mi się rzeczą tak ważną, ażebym się miał trapić jéj utratą. Miałem się czém pocieszyć, w towarzystwie kilku niższych oficerów królewskich, z którymi zgodność humorów ściśle mnie wiązała. Ci nowi moi przyjaciele, byli to ludzie pochodzący po większéj części Bóg wié zkąd, których szczęśliwa gwiazda wydźwignęła. Wszyscy już mieli się dobrze, i te nędzniki przypisywali swoim zasługom dobrodziejstwa, jakiemi ich łaska królewska hojnie obsypała, zapomnieli się podobnie jak ja; wszyscy razem wystawialiśmy sobie, że jesteśmy istotami poszanowania godnemi. O fortuno! tak ty najczęściéj szafujesz darami swoimi. Epiktet, stoicki filozof, bardzo słusznie porównał cię z dziewicą szlachetnego rodu, w objęciach podłego służalca.

KSIĘGA DZIEWIĄTA.

Rozdział I.

Scypion chce ożenić Gil Blasa z córką złotnika.

Pewnego wieczoru pożegnawszy towarzystwo będące u mnie na wieczerzy, zostałem sam ze Scypionem i zapytałem się go, coby tego dnia zrobił. Mistrzowskie dzieło, odpowiedział, krzątam się o bogate uposażenie dla pana, chcę pana ożenić z córką jedynaczką zamożnego złotnika, mojego znajomego.

Z córką złotnika! odezwałem się z pogardą; czyś głowę stracił? jakże możesz mnie swatać z mieszczką? Skoro się ma zdolności, pewne stanowisko przy dworze, zdaje mi się, że należy wyżéj trochę sięgać. Ah, panie, odpowiedział Scypion, nie bierz z tego tonu; nie zapominaj o tém, że mężczyzna uszlachetnia, nie bądź wybredniejszy od tysiąca znakomitych panów, którychby mi nie trudno było wymienić. Czy wiész, że jedynaczka w mowie będąca, jest żona ze stu tysiącami dukatów najmniéj? Czyż to nie jest piękna sztuka złotnicza? Usłyszawszy tak okrągłą summę, zmiękczałem. Przystaję, rzekłem do mojego sekretarza, posag mnie skłania, kiedyż go będę mógł podnieść? Powoli mój panie, odpowiedział, trochę cierpliwości; naprzód muszę pomówić z ojcem, wyjednać jego przyzwolenie. Wybornie rzekłem, parsknąwszy śmiéchem, to dopiéro tak daleko jesteś? Otóż to małżeństwo należycie przygotowane! Daleko lepiéj, aniżeli się pan spodziéwać możesz, odpowiedział mi, godzinkę tylko pomówię ze złotnikiem, a ręczę panu za jego przyzwolenie. Ale nim daléj postąpiemy, naprzód się zgódźmy, jeżeli wola pańska. Dajmy na to, że ja panu napędzę sto tysięcy dukatów, ile ja z tego będę miał? Dwadzieścia tysięcy, odpowiedziałem. Chwała Bogu, rzekł, ja wdzięczność pańską na dziesięć tysięcy szacowałem. Pan dwa razy szlachetniejszy odemnie. Zgoda więc, jutro zaraz rozpoczynam układy, a pan możesz być pewnym pomyślnego skutku, byłbym téż osłem, gdyby mi się to udać nie miało.

W istocie we dwa dni późniéj, powiedział mi: Mówiłem z panem Gabryelem de Salerno, tak się zwał mój złotnik, tak wychwalałem pańską wziętość i talenta, iż chętnie zezwolił na przyjęcie pana za zięcia. Będziesz miał jego córkę i sto tysięcy dukatów, bylebyś mu jawnie dowiódł, że posiadasz względy ministra. Jeżeli tylko od tego rzecz cała zależy, mówiłem Scypionowi, tedy wnet się ożenię. Ale co do córki, czyś widział ją? czy piękna? No, już to nie tak piękna jak posag! mówiąc między nami, ta bogata jedynaczka nie należy do rzędu ładnych kobiét, ale szczęściem pan o to nie dbasz. Dalibóg nie, odpowiedziałem; my dworacy, żeniemy się, żeby się ożenić tylko, piękności zaś szukamy u żon naszych przyjaciół, a jeżeli trafem znajdzie się ona u naszych, tak mało na to zwracamy uwagi, iż niéma w tém nic złego, gdy nas za tę niebaczność ukarzą.

Ale to nie wszystko, odezwał się znowu Scypion, pan Gabryel zaprasza pana dziś na wieczerzę; ułożyliśmy się, że pan nie wspomnisz wcale o małżeństwie zamierzoném. Na tę ucztę ma zaprosić kilku kupców, swoich przyjaciół, a pan zechcesz tam znajdować się jako zwyczajny gość; jutro zaś chce być na wieczerzy u pana, w tym samym sposobie. Z tego pan możesz miarkować, iż to ostrożny ptaszek, chce piérwéj poznać pana nim daléj postąpi; dobrzeby było, żebyś się pan miał na baczności przy nim. Oh, ba! przerwałem mu z zarozumiałością, niech mnie bada, jak mu się podoba, na tém badaniu nic nie stracę.

Wszystko się tak stało punkt w punkt. Zaprowadzono mnie do złotnika, który mnie przyjął tak poufale, jak gdybyśmy się już nie raz widzieli. Był to sobie poczciwy, jak mówią, dobroduszny mieszczanin. Przedstawił mi senorę Eugenią, swoją małżonkę i młodą Gabryelę, swoją córkę. Nagadałem im mnóstwo grzeczności, nie przekraczając układu. Prawiłem im piękne *nic*, w dobranych słówkach, wyrażenia dworaków.

Gabryela, mimo oświadczenie mojego sekretarza, zdała mi się dosyć miłą; czy to, że była wystrojona, czy też, że patrzyłem na nią z po za summy posagowéj. Piękny to dom tego pana Gabryela! Ja myślę, że tam więcéj było srebra, niż w kopalniach peruańskich. Ten szacowny kruszec uderzał wzrok w każdym kącie, pod tysiącznemi postaciami. Każdy pokój był skarbcem, a osobliwie też sala w któréj zasiedliśmy do stołu. Co to za pyszny widok dla zięcia! Teść dla większego zaszczytu uczty sprosił pięciu, czy sześciu kupców, osoby bardzo poważne i nudne. Rozprawiali tylko o handlu i można śmiało rzec, iż to była raczéj narada kupczących, a nie zabawa przyjaciół na wspólną ucztę zebranych.

Nazajutrz wieczór ja z kolei częstowałem złotnika. Nie mogąc go mamić srebrami, o inne postarałem się złudzenie. Zaprosiłem tych z moich przyjaciół, którzy szczególniéj jaśnieli przy dworze, których znałem dumę i żądze nieograniczone. Ci panowie rozmawiali tylko o wielkości, o urzędach wysokich i korzystnych, do których wzdychali, i to wywarło pożądany wpływ. Mieszczanin Gabryel odurzony ich górnemi pomysłami, pomimo swój majątek uważał się za nikczemnego śmiertelnika w porównaniu z tymi panami. Ja z mojéj strony udając umiarkowanego, oświadczyłem, iż chętnie poprzestałbym na skromném bardzo mieniu, naprzykład dwadzieścia tysięcy dukatów dochodu rocznego. Na to owi panowie chciwi zaszczytów i bogactwa zawołali, iżby to było wcale nierozsądnie, że będąc takim ulubieńcem piérwszego ministra, nie powinienem życzeń moich ograniczać taką fraszką. Teść ani litery nie uronił z całéj téj rozmowy i uważałem, że odchodząc był bardzo zadowolony.

Scypion zaraz nazajutrz rano odwiédził go, pytając się czyby był kontent ze mnie. Zachwycony jestem odpowiedział mieszczanin, ten chłopiec pozyskał moje serce. Ale, panie Scypionie, dodał zaraz, zaklinam cię na naszę dawną znajomość, mów ze mną otwarcie. Wszyscy mamy jakąś słabą stronę, jak wiész, powiédz mi jaka jest pana Santillany. Czy on nie grywa w karty? czy nie jest zalotnikiem? jakie może miéć skłonności złe? nie ukrywaj nic przedemną, proszę cię serdecznie. Panie Gabryelu, obrażasz mnie takiém pytaniem, odpowiedział swat; ja właściwie więcéj tobie sprzyjam, jak mojemu panu. Gdyby miał jakie nałogi mogące uczynić nieszczęśliwą twoję córkę, czyżbym ci go radził za zięcia? Nigdy, za nadto ci sprzyjam. Ale mówiąc po prostu, ja w nim innego błędu nie widzę, tylko, że niéma żadnego; za nadto rozsądny, jak na młodego człowieka. Tém lepiéj odpowiedział złotnik, to mnie bardzo cieszy. Idź mój przyjacielu, możesz go zapewnić, że będzie miał moję córkę, że mu ją dam, choćby nawet nie był polubieńcem piérwszego ministra.

Zawiadomiony przez mojego sekretarza o całéj rozmowie, pobiegłem zaraz do pana Salero, podziękować mu za jego przychylność. Już on wtedy wolę swoję objawił żonie i córce, które w sposobie przyjęcia mnie dowiodły, że poddały się jéj bez żadnego wstrętu. Zaprowadziłem teścia do księcia Lerma, którego uprzedziłem o tém w dniu poprzednim. Książę przyjął go z największą uprzejmością, oświadczył swoje zadowolenie, że wybrał na zięcia człowieka, któremu on sprzyja i którego zamierza wysoko posuwać. Następnie rozwodził się z pochwałami mojemi, i tyle dobrego na mój rachunek nagadał, że poczciwy Gabryel był przekonany, iż w osobie mojéj wielmożności wynalazł dla córki swojéj najlepszego męża w całéj Hiszpanii. Tak był uradowany, iż mu łzy w oczach stanęły. Kiedyśmy się rozstawali silnie mnie uścisnął, mówiąc: mój synu, tak gorąco pragnę widziéć cię mężem Gabryelli, iż zostaniesz nim najdaléj za tydzień.

Rozdział II.

Gil Blas przypomina sobie Alfonsa de Leyva i przez próżność wyrabia sobie znakomity urząd.

Zostawmy na chwilę moje małżeństwo: z porządku mojéj historyi wypada, abym namienił o przysłudze wyświadczonéj don Alfonsowi de Leyva, dawnemu panu mojemu. Zapomniałem o nim zupełnie, i oto jest traf, który mi go przywiódł na pamięć.

Około tego czasu opróżnione zostało gubernatorstwo miasta Walencyi. Dowiedziawszy się o tém, wpadł mi na myśl don Alfons de Leyva, zastanowiłem się, że ten urząd może mu być bardzo na rękę, i zapewnie więcéj przez chełpliwość, niż z przywiązania, postanowiłem mu wyjednać tę posadę. Wystawiałem sobie, że jeżeli ją pozyskam, wielki spadnie na mnie zaszczyt. Udałem się zatém do księcia Lerma, przedstawiłem mu, że byłem intendentem domu don Cezara de Leyva i jego syna, że zachowując miłą pamięć obudwóch, poważam się błagać go o udzielenie wzmiankowanego gubernatorstwa jednemu lub drugiemu. Minister odpowiedział mi: Bardzo chętnie Gil Blasie, podoba mi się twoja wdzięczność i szlachetność. Prócz tego przemawiasz za rodziną, którą szacuję; Leyvovie są dobremi sługami monarchy, słusznie należy im się to miejsce. Możesz niém rozrządzić według twego życzenia, daję ci je, jako wiązarek ślubny.

Uradowany takiém powodzeniem, nie tracąc czasu, udałem się do Calderona, aby kazał wygotować patent dla don Alfonsa. Zastałem mnóstwo osób w pokornem milczeniu, oczekujących posłuchania u don Rodriga. Przeszedłem salę i stanąłem u drzwi gabinetu, które się wnet rozwarły dla mnie. Ujrzałem sam nie wiém ilu kawalerów, komandorów i innych ludzi znakomitych, których Calderone słuchał po kolei. Rzecz godna uwagi, ten rozmaity sposób ich przyjmowania: jednym lekko tylko kiwnął głową, innych raczył głębokim ukłonem i odprowadzał aż do drzwi gabinetu; objawiał, że tak rzekę, pewne odcienia szacunku w saméj grzeczności, którą im okazywał. Z drugiéj strony, widziałem kawalerów zrażonych małą uwagą na nich zwracaną, złorzeczących w duszy konieczność, która ich zmuszała do czołgania się przed tą figurą. Uważałem i takich, którzy przeciwnie szydzili z jego głupiéj i zarozumiałéj miny. Ale cóż z takich uwag, kiedy z nich nie korzystałem; ja u siebie podobnież postępowałem, nie troszcząc się bynajmniéj ani o pochwałę, ani o naganę mojego sposobu wzięcia się, byleby tylko szanowano.

Don Rodryg przypadkiem, rzuciwszy na mnie okiem, opuścił natychmiast szlachcica z którym rozmawiał, posunął się ku mnie z objawami przyjaźni, które mnie mocno zdziwiły. Ah, kochany kolego, zawołał, cóżto za interes nastręcza mi przyjemność oglądania ciebie? czémże mam mu służyć? Wyłuszczyłem mu przyczynę mojego przybycia, a on w wyrazach najgrzeczniejszych zapewnił mnie, że jutro o téj saméj godzinie, będę miał wszystko wygotowane. Jeszcze na tém nie ograniczył swojéj grzeczności, odprowadził mnie aż do drzwi przedpokoju, co tylko dla wielkich panów robił, przy rozstaniu się, uścisnął mnie powtórnie.

Co znaczą te grzeczności? myśliłem sobie wracając; co mi one zwiastują? Czyżby Calderone zamierzył moją zgubę, albo starał się pozyskać moją przyjaźń? Albo może przeczuwając utratę względów, chciałby we mnie znaléźć pośrednika do naszego pana? Nie wiedziałem którego z tych domysłów czepić się. Następnego dnia przyjmował mnie w tym samym sposobie, obsypał mnie grzecznościami i słodkiemi słówkami. Prawda, że to wszystko odbijał na przyjęciu innych osób. Opryskliwie odpowiadał jednym, zimno spoglądał na drugich, zniechęcał prawie wszystkich. Wszyscy atoli pomszczeni zostali trafem, którego przemilczéć nie mogę. Będzie to skazówka dla referentów i sekretarzy, którzy to przeczytają.

Jakiś człowiek bardzo skromnie ubrany, nie wydający się wcale tém, czém był w istocie, zbliżył się do Calderona i pytał się o podanie, które jak mówił, złożył na ręce księcia Lerma. Don Rodryg nie raczył nawet spojrzéć na niego, odezwał się tylko szorstko: Jak cię nazywają mój przyjacielu? Nazywano mnie w dzieciństwie Franusiem, odpowiedział z zimną krwią ów człowiek, późniéj mianowano mnie don Franciszek de Zuniga, a teraz jestem hrabią de Pedrosa. Calderone uderzony tą mową, widząc że ma do czynienia z człowiekiem wysokiéj godności, chciał się tłumaczyć. Panie, rzekł, przepraszam cię, jeżeli nie znając twojéj osoby.... Nie chcę twojego

tłumaczenia, odpowiedział z dumą Franuś, gardzę niém, równie jak twoją niegrzecznością. Pamiętaj, że sekretarz ministra powinien z uprzejmością przyjmować wszelkiego stanu osoby. Bądź, jeśli ci się podoba, w przekonaniu, że jesteś zastępcą ministra, ale nie zapominaj nigdy, że jesteś jego sługą.

Dumny Rodryg zgryzł się tym przypadkiem, ale nie został rozsądniejszym. Ja dobrze zanotowałem sobie tego figla, postanowiłem dobrze uważać z kim mam do mówienia na moich posłuchaniach i dla niecnych tylko być zuchwałym. Ponieważ patent dla don Alfonsa był gotowy, wziąłem go więc i przez nadzwyczajnego gońca posłałem temu panu, z listem księcia Lerma, zawiadamiającym go, że król Jegomość mianował go gubernatorem Walencyi. Nie donosiłem mu, jaki udział miałem w tém mianowaniu, nie chciałem nawet pisać do niego, zachowując sobie rozkosz objawienia mu tego ustnie, i sprawienia mu miłéj niespodzianki, skoro przybędzie do Madrytu, dla złożenia przysięgi.

Rozdział III.

O przygotowaniach do ślubu Gil Blasa.

Wróćmy teraz do mojéj ukochanéj Gabryeli; otóż więc miałem ją zaślubić za pięć dni. Przygotowywaliśmy się z obudwóch stron do tego obrzędu. Salero kazał robić bogaty strój dla nowo-zamężnéj, ja zgodziłem dla niéj pokojową, lokaja i starego koniuszego, wszystko z wyboru Scypiona, który z większą niż ja niecierpliwością wyglądał dnia, w którym miano wyliczyć posag.

W wilią dnia tak pożądanego byłem na wieczerzy u teścia razem z wujaszkami i ciociami, stryjaszkami i stryjenkami i rozmaitego stopnia krewnemi i powinowatemi, grałem wybornie rolę zięcia hipokryty. Miałem dobry zapas jedwabnych słówek dla złotnika i jego małżonki, naśladowałem rozkochanego przy boku Gabryeli, głaskałem całą familią, słuchając cierpliwie płaskich wyrażeń i rozumowań mieszczańskich. Dla tego też w nagrodę mojéj cierpliwości miałem szczęście podobać się wszystkim krewniakom, nie było ani jednego, któryby się nie cieszył z tego związku.

Po skończonym bankiecie całe towarzystwo przeszło do innéj sali, gdzie je uraczono koncertem głosowym i instrumentowym, nie źle wykonanym, choć nie wezwano do niego najdoskonalszych mistrzów w Madrycie. Kilka wesołych aryj, tak mile uderzały uszy nasze, iż wpadłszy w dobry humor, zabraliśmy się do tańca. Bóg wié jak to tam szło, ponieważ mnie uznano za wychowańca Terpsychory, mnie, który zasad téj sztuki uczyłem się przez dwie, a może trzy godziny u margrabinéj Chaves, od malutkiego tancmistrza, co uczył paziów. Ubawiwszy się do woli, trzeba się było zabierać do domu. Nie żałowałem ukłonów i uścisków serdecznych. Bądź zdrów mój zięciu, rzekł mi Salero, jutro przyniosę ci posag w pięknych dublonach. Miło mi będzie oglądać cię kochany teściu. Zresztą, życząc dobréj nocy całéj rodzinie, siadłem do karety stojącéj przede drzwiami i ruszyłem do mojego pałacu.

Zaledwie ujechałem dwieście kroków od domu pana Gabryela, gdy kilkunastu ludzi, jedni pieszo, drudzy konno, a wszyscy z pałaszami i karabinami, otoczyli powóz mój, zatrzymali go, wołając: *z rozkazu królewskiego!* Kazali mi wysiąść szybko i przerzucili mnie do bryczki pocztowéj, do któréj także wsiadł przewodnik tych ludzi i kazał skierować do Segowii. Pomiarkowałem zaraz że to był szanowny algazil, którego miałem przy boku. Chciałem wybadać od niego, coby był za powód mojego uwięzienia, ale mi odpowiedział zwykłym tym panom tonem, że nieobowiązany zdawać mi sprawę. Rzekłem więc, że może się myli. Nie, nie, odpowiedział, jestem ja pewny swojego: jesteś pan de Santillana, ciebie więc mam rozkaz zaprowadzić tam, dokąd jedziemy. Nie mając co powiedzieć na to, milczałem: przez resztę nocy toczyliśmy się wzdłuż brzegów Manzanaresu, nie rzekłszy ani słowa. Zmieniliśmy konie w Colmenar i pod wieczór byliśmy już w Segowii, gdzie mnie wtrącono do turmy.

Rozdział IV.

Jakim sposobem Gil Blas dowiedział się o przyczynie swojego uwięzienia.

Naprzód zamknięto mnie w lochu, zostawiając gołą słomę jak zbrodniarzowi na wyrok śmierci czekającemu. Przepędziłem noc całą nie na utyskach, bo jeszcze nie znałem mojego nieszczęścia, lecz łamałem głowę nad przyczyną mojéj niedoli. Nie wątpiłem bynajmniéj, aby to nie miała być sprawka Calderona. Ale choć domyślałem się że mógł wszystko wykryć, pojąć jednak nie mogłem, jakimby sposobem nakłonił księcia de Lerma do tak srogiego obejścia się ze mną. To wystawiałem sobie że uwięzienie moje nastąpiło bez wiedzy księcia, to znowu myślíłem, że on sam może kazał mnie wtrącić do ciemnicy z jakiego politycznego powodu, jak to nie raz dzieje się z powiernikami.

Tak różnorodne przypuszczenia miotały moim umysłem, gdy światło dzienne przedziérając się przez okienko zakratowane przedstawiło oczom moim całą okropność miejsca w jakiém się znajdowałem. Wtedy dopiéro udręczenie moje było bez granic, oczy moje stały się dwoma potokami łez, którym wspomnienie pomyślności osychać nie dozwalało. Kiedy tak ubolewałem nad moją niedolą, wchodzi stróż więzienny niosąc chléb i dzban wody, dzienny mój pokarm. Popatrzywszy się na mnie i widząc twarz zalaną łzami, chociaż to stróż, a jednak uczuł litość nade mną. Panie więźniu, rzekł, nie rozpaczaj; nie trzeba tak czule brać złych przygód życia. Jesteś młody, po takim czasie ujrzysz inny. A teraz jédz z ochotą chléb królewski.

Pocieszyciel mój to rzekłszy wyszedł, a ja odpowiedziałem utyskiwaniem i jękami: cały dzień złorzeczyłem mojéj gwiaździe, nie myśląc wcale o mojéj żywności, która w stanie w jakim się znajdowałem wydawała mi się nie darem królewskim, ale skutkiem jego gniéwu.

Noc tymczasem nadeszła i wnet szczęk kluczów obił się o uszy moje. Drzwi mojego lochu rozwarły się i wszedł człowiek ze świécą. Zbliżył się do mnie i rzekł, panie Gil Blas, widzisz przed sobą jednego z twoich przyjaciół. Jestem Andrzéj de Tordesillas, mieszkałem z tobą w Granadzie i byłem dworzaninem arcybiskupa wtedy, gdyś ty się cieszył zaufaniem tego prałata. Prosiłeś go, jeżeli sobie przypominasz, żeby się wstawił za mną, a on wyjednał mi urząd w Mexyku. Ale zamiast udać się do Indyj, ja zostałem w zamku Alicante. Ożeniłem się tam z córką dowódzcy twierdzy i po rozmaitych przygodach, które ci swobodniejszym czasem opowiém, dostałem się na nadzorcę więzienia w Segowii. Szczęście twoje, że w osobie człowieka obowiązanego dręczyć cię, znajdujesz przyjaciela, który wszelkiemi siłami starać się będzie osłodzić ci przykrości turmy. Rozkazano mi wyraźnie, abym ci nie pozwolił z nikim rozmawiać, żebyś spał na słomie, a na posiłek dawać ci tylko chléb i wodę. Ale prócz tego, że samo uczucie skłania mnie do litości nad twoim losem, tyś mi wyświadczył przysługę, wdzięczność moja przeważa rozkazy. Zamiast być narzędziem udręczenia, chcę ci ulżyć ile możności. Wstań i pójdź ze mną.

Chociaż pan nadzorca zasłużył na podziękowanie, tak jednak byłem pomięszany, iż słowa wyrzec nie umiałem. Ale mimo to poszedłem za nim. Przeszliśmy przez sień i po schodach bardzo ciasnych dostaliśmy się do izby na samym wierzchu wieży. Zdziwiłem się nie mało ujrzawszy dwie palące się świéce w lichtarzach mosiężnych i dwa dosyć czyste nakrycia. Zaraz podadzą ci jedzenie, rzekł Tordesillas, zjemy tu obadwa wieczerzę. Ten właśnie zakątek przeznaczyłem na twoje mieszkanie, lepiéj ci tu będzie jak w twojéj ciemnicy. Z okna widzieć będziesz kwieciste brzegi Eremy i rozkoszną dolinę rozciągającą się u stóp gór rozdzielających obiedwie kastylie i ciągnących się do Coca. Z początku zapewne nie zwróci twojéj uwagi tak piękny widok, ale z czasem gdy łagodniejsze marzenia zajmą miejsce rozdzierającéj boleści, będzie ci przyjemnie przypatrywać się tak miłym widokom. Oprócz tego bądź pewny, że ci nie będzie zbywało na bieliźnie, i innych rzeczach potrzebnych człowiekowi lubiącemu czystość. Nadto będziesz miał dobre

łóżko, przyzwoitą żywność, dostarczę ci książek ile zechcesz; słowem wszelkie przyjemności, jakie tylko może miéć więzień.

Tak obowiązujące ofiary ulgę mi niejaką przyniosły. Nabrałem odwagi i tysiączne dziękczynienia złożyłem mojemu nadzorcy. Powiedziałem mu, że mi życie wrócił przez swoje postępowanie szlachetne; że pragnąłbym widzieć się kiedyś w stanie objawienia mu mojéj wdzięczności. I dla czegóżbyś nie miał być w stanie? odpowiedział, czy myślisz żeś na zawsze stracił wolność? Jeżeli to sobie wystawiasz, jesteś w błędzie, mogę ci zaręczyć, że całą winę odpokutujesz kilką miesiącami więzienia. Co mówisz? panie Andrzeju zawołałem. Widać, że wiész przyczynę mojego nieszczęścia. Przyznam ci się, odpowiedział, że nie jest ona dla mnie tajemnicą. Algazil, który cię tu przywiózł, zwierzył mi się z tym sekretem, a ja ci go objawię. Powiedział mi, że król dowiedziawszy się, że ty i hrabia Lemos w nocy przewodniczyliście księciu, do jakiéjś kobiéty podejrzanéj, dla ukarania was, skazał na wygnanie hrabiego Lemos, a ciebie odesłał do turmy w Segowii, aby się z tobą obejść z całą surowością, jakiéj doświadczyłeś przybywszy. Jakimże sposobem król mógł o tém powziąć wiadomość? zapytałem się: właśnie o téj okoliczności chciałbym się dowiedzieć. A to właśnie jest o czém mi algazil nie wspomniał, i czego zdaje się sam nie wiedział.

Wtéj chwili weszło kilku służących, niosąc naszę wieczerzę. Położyli na stole chléb, dwa talérze, postawili dwie butelki i trzy wielkie półmiski, na jednym z nich był comber zajęczy suto cebulą przyprawny, z oliwą i szafranem, na drugim *olla potrida*, na trzecim jędyczątko z marmeladą. Tordesillas obejrzawszy, że mamy wszystko czego nam potrzeba, odprawił służących, by nie byli świadkami naszéj rozmowy. Zamknął drzwi i zasiedliśmy do stołu naprzeciw siebie. Zaczniemy od najważniejszéj rzeczy: po dwóch dniach dyety musisz miéć niezły apetyt. To mówiąc, nakładł mi pełny talérz mięsa. Wystawiał sobie, że częstuje zgłodniałego, w istocie miał słuszność przypuszczając, że się napcham jego przysmakami, mimo to zawiodłem jego oczekiwania. Jakkolwiek potrzebowałem pokarmu, jednakże nie przełknąć nie mogłem, tak byłem uciśnięty obecném mojém położeniem. Napróżno mój nadzorca dla oddalenia odemnie trapiących wyobrażeń zachęcał mnie do wina, zachwalając jego smak wyborny; gdyby mi wtedy samego dał nektaru, pewniebym go pił bez żadnego smaku. Spostrzegł to i chwycił sie innego środka, zaczął mi opowiadać w stylu żartobliwym historyę swego małżeństwa: i z tém nie zaszedł daléj. Słuchałem go z takiém roztargnieniem, że po skończeniu opowiadania, nie byłem w stanie powiedzieć o czém była mowa. Poznał wreszcie, że napróżnoby się silił tego wieczora rozpędzić troski, które mi dokuczały: wstawszy przeto od stołu odezwał się do mnie: panie de Santillana, nie chcę przeszkadzać twojemu spoczynkowi, a raczéj marzeniom o twojém nieszczęściu, ale ci powtarzam, że to nie będzie długotrwałe. Król jest łaskawy, gdy z gniéwu ochłonie i wystawi sobie opłakany stan, w jakim się niby znajdujesz według jego myśli, zdawać mu się będzie, żeś już dosyć ukarany. Potém pan nadzorca oddalił się, a słudzy sprzątnęli wszystko nawet i świéce: musiałem się więc położyć przy słabym świetle lampki.

Rozdział V.

Marzenia Gil Blasa nim zasnął i co go przebudziło.

Dwie godziny przeszło rozmyślałem nad tém co mi Tordesillas powiedział. Otóż siedzę tu, myślałem sobie, za to, żem się starał z mojéj strony o przyjemność dla dziedzica korony hiszpańskiéj. Ależ kto się odważył dać taką radę monarsze, nie lękając się gniéwu księcia następcy i księcia Lerma? Minister nie zaniedba zemścić się za synowca swojego hrabiego Lemos. Jak król tego doszedł? otóż tego właśnie nie pojmuję.

Na tém kończyły się zawsze moje rozmyślania. Stémwszystkiém najzgryźliwsze dla mnie i prawie do rozpaczy przywodzące wyobrażenie było, żem sobie wystawiał rabunek wszystkich moich rzeczy, a ta myśl bezustannie snuła mi się po głowie. Raz po raz wzdychałem sobie: moja ty droga skrzynio z pieniędzmi, gdzieżeś się podziała! w czyje ręce popadłaś? Niestety! straciłem cię prędzéj daleko, niżelim mógł napełnić! Wyobrażałem sobie nieład, jaki musiał panować w mojém mieszkaniu i z tego powodu snuły mi się myśli jedne posępniejsze od drugich. Ten zamęt w głowie mojéj stał się tak tłoczącym, iż przez to samo zbawienny wywarł wpływ; sen, który poprzedniéj nocy uciekał przede mną, teraz rozciągnął lekkie swoje skrzydła. Prawda, że po części przyłożyło się do tego wygodne łóżko, utrudzenia, a nawet i wino. Zasnąłem mocno: według wszelkiego podobieństwa dzień biały byłby mnie przydybał w tym stanie, gdyby mnie był nie obudził nagle hałas niezwykły w więzieniu: usłyszałem brzęk gitary z towarzyszeniem śpiéwu mężczyzny. Nadstawiam ucha z natężeniem, lecz już nic nie słychać, zdało mi się, że to był sen. Ale po chwili znowu mnie uderzyły też same tony i ten sam śpiéw, następującéj zwrotki.

Aj de mi? un anno felice
Parcee un sopio ligero,
Pero sin dicha un instante
Es un siglo de tormento.

Ah! szczęście co się przymila,
Znika jak lube marzenia,
Zléj zaś doli jedna chwila,
Zda się wiekiem udręczenia!

Ta zwrotka jakby umyślnie dla mnie ułożona, rozdrażniła moję tęsknotę. Doświadczam aż nadto prawdy tych wyrazów, pomyśliłem; zdaje mi się, że czas mojego szczęścia jak dym uleciał, a cały już wiek prawie jęczę w więzieniu. Zatopiłem się w przykrych marzeniach i znowu poczałem się trapić, jak gdyby to rozkosz mi sprawiało. Żale moje skończyły się razem z nocą, a piérwszy promień słońca oświecający moję izbę uskromił niespokojność. Wstałem, by otworzyć okno i świéżego powietrza wpuścić. Rzuciłem okiem na okolice, któréj pamiętałem piękny opis mojego nadzorcy; alem nic nie widział coby go usprawiedliwiało: Erema, którą sobie wyobrażałem podobną przynajmniéj do Tagu, wydała mi się małym strumieniem. Pokrzywy tylko i oset zdobiły jéj *kwieciste brzegi*, a mniemana *rozkoszna dolina* przedstawiała grunta, po większéj części nieuprawne. Być może, iż jeszcze nie doszedłem téj słodkiéj melancholii, którąby mi przedstawiała rzeczy w innéj barwie, nie w téj, w jakiéj je widziałem wówczas.

Zacząłem się ubierać i już byłem do połowy ubrany, gdy wszedł Tordesillas, a za nim stara służąca niosąca bieliznę i serwety. Panie Gil Blas, odezwał się, oto masz bieliznę, nie oszczędzaj jéj, ja będę się starał, aby ci jéj nie zabrakło. A co, jakżeś noc przepędził? sen wstrzymałże na chwilę twoje troski? Możebym dotąd jeszcze był spał, gdyby mnie był nie przebudził śpiéw z towarzyszeniem gitary. Kawaler, który przerwał twój spoczynek, jest więźniem stanu i ma pokój obok twojego. Jest on kawalerem zakonu Calatrava, postać jego bardzo miła, nazywa się don Gaston de Cogollos. Będziecie się mogli widywać i jadać razem; znajdziecie wzajemną pociechę w waszych rozmowach: jeden drugiemu sprawi wielką przyjemność. Wynurzyłem don Andrzejowi moją wdzięczność za dane mi pozwolenie połączenia trosków moich z troskami tego kawalera, a żem objawił pewną niecierpliwość rychłego poznania towarzysza niedoli, łaskawy nadzorca sprawił mi tę przyjemność tegoż dnia jeszcze. Pozwolił nam razem jeść obiad, i don Gaston zdziwił mnie swoją pięknością i szlachetną postawą. Możecie sobie wyobrazić jaki to musiał być człowiek, kiedy potrafił olśnić wzrok przywykłego do patrzenia na najświetniejszą młodzież przy dworze. Wystawcie sobie człowieka zrodzonego dla rozkoszy; jednego z tych bohatérów romansowych, dla którego dość było pokazać się, by pozbawić snu nawet księżniczki. Dodajmy do tego, że natura mieszająca zwykle dary swoje, obdarzyła don Gastona wielkim dowcipem i nieustraszoną walecznością. Było doskonały we wszystkiém kawaler.

Jeżeli Cogollos mnie zachwycił i ja także miałem szczęście nie obudzić w nim wstrętu. Już nie śpiéwał w nocy, aby mi przykrości nie robił, chociaż usilnie go prosiłem, aby sobie nie robił przymusu dla mnie. Przyjaźń szybko się zawiązuje mię-

dzy osobami, których los zawistny uclska; zawarta między nami od piérwszego poznania. codzień się wzmagała. Zostawiona nam wolność obcowania z sobą w każdéj chwili, była nam bardzo dogodną, bo przez nasze rozmowy pomagaliśmy sobie nawzajem do cierpliwego znoszenia naszego nieszczęścia.

Raz po południu wszedłem do jego izby, gdy się właśnie zabierał do gitary. Żeby mu się przysłuchać, siadłem na małym stołeczku, jedynym meblu w jego pokoju, on zaś oparty o łóżko grał aryę bardzo tkliwą i obok tego śpiewał zwrotki wyrażające rozpacz do jakiéj nieugiętość kobiéty przywodziła kochanka; kiedy skończył, odezwałem się z uśmiéchem: panie, to są wiersze, których nigdy zapewne nie będziesz zmuszonym używać w swoich zalotach, dla ciebie żadna piękność nie będzie okrutną. Zbyt pochlebnie o mnie sądzisz, odpowiedział mi: właśnie dla siebie samego ułożyłem te wiérsze, któreś słyszał, abym zmiękczył serce, które mi się zdawało ze stali, aby rozczulić kobiétę nieugiętą dla mnie. Muszę ci opowiedzieć tę historyą, dowiész się z niéj zarazem o moich nieszczęściach.

Rozdział VI.

Historya don Gastona de Cogollos i dony Heleny de Galisteo.

Będzie temu lat cztéry gdym wyjechał z Madrytu de Coria, dla odwiédzenia dony Eleonory de Laxarilla, mojéj ciotki, najbogatszéj wdowy w całéj Kastylii staréj, któréj jedynym jestem spadkobiercą. Ledwie co tam przybyłem, gdy miłość zakłóciła mój spokój. Przeznaczono dla mnie mieszkanie, którego okna były naprzeciw żaluzyj pewnéj kobiéty, którą mogłem widzieć, bo ulica była ciasna, a żaluzye niedomknięte. Nie zaniedbałem korzystać z téj okazyi i sąsiadka moja zdała mi się tak piękna, żem się w téj chwili rozkochał. Pokazałem jéj to wzrokiem tak ognistym, iż niepodobieństwo było nie poznać tego; ona téż spostrzegła, ale nie była to dziewica szukająca tryumfu z podobnych spostrzeżeń, a jeszcze mniéj zdolna do odpowiedzenia na moje przymilania.

Chciałem wiedzieć imię téj niebezpiecznéj osoby, co tak szybko podbijała serca. Powziąłem wiadomość, że ją mianują doną Heleną, że jest jedyną córką don Jerzego de Galisteo, który posiadał o kilka mil od Coril lenność ze znakomitym dochodem; że często przedstawiali się starający się o jéj rękę, ale ojciec odmawiał wszystkim, zamierzywszy zaślubić ją don Augustynowi de Olighera, swojemu synowcowi, który czekając na te związki miał pozwolenie widywania się i rozmawiania ze swoją krewną. To mnie nie zraziło bynajmniéj. Przeciwnie, tém więcéj ją kochałem, a dumna rozkosz odsadzenia spółzalotnika ukochanego, więcéj może pobudzała mnie, niż sama miłość. Nie przestawałem więc rzucać zapalonego wzroku na donę Helenę. Posyłałem go często i do Felicyi jéj pokojówki, jakby błagając jéj pomocy. Użyłem nawet migów, wszystko napróżno; nie skorzystałem więcéj u pokojówki, jak u saméj pani, obiedwie były surowe, nieprzystępne.

Ponieważ nie chciały odpowiadać na mowę moich oczu, uciekłem się więc do innych tłumaczów. Rozpuściłem ludzi, aby się wywiedzieli o znajomościach Felicyi w mieście. Powiedziano im, że pewna stara niewiasta, nazwiskiem Teodora, była największą jéj przyjaciołką, że się bardzo często widują. Uradowany tém odkryciem, udałem się sam do Teodory i darami zobowiązałem ją do przysługi. Skłoniła się na moję stronę, przyrzekła wyjednać mi skrytą rozmowę z nią, i zaraz nazajutrz dotrzymała słowa.

Nie jestem już nieszczęśliwy, rzekłem do Felicyi, ponieważ troski moje obudziły twoję litość. Jakżeż wdzięczny jestem twojéj przyjaciołce, że mi nastręczyła miłą sposobność rozmawiania z tobą! Panie, odpowiedziała, Teodora ma zupełną przewagę nade mną, ona mnie pozyskała dla pana, i gdybym mogła przyłożyć się do szczęścia pańskiego, byłbyś u kresu twoich życzeń; ale przy najlepszych chęciach, nie wiém, czy ci w czém przysłużyć się potrafię. Nie chcę cię mamić, powziąłeś zamiar niesłychanie trudny. Kochasz kobiétę przywiązaną do kogo innego, a do tego jaką kobiétę! kobiétę tak dumną i skrytą, że jeżeli przez twoję stałość i zabiegi potrafisz wydobyć z niéj jakowe westchnienie, nie myśl, aby jéj duma zostawiła ci tę pociechę, żebyś je mógł słyszéć. Ah, droga Felicyo, odezwałem się z żalem, na cóż mi przedstawiasz zawady, które mi przełamać potrzeba? Te szczegóły zabijają mnie. Uwodź mnie raczéj, a nie doprowadzaj do rozpaczy. To mówiąc, wziąłem jéj rękę, ściskałem i włożyłem na palec brylant wartości trzechset luidorów, prawiąc jéj tak tkliwie, że się rozrzewniła.

Zbyt była wzruszona moją mową, za nadto zadowolona z mojego wzięcia się, by mi nie miała błysnąć jakąś nadzieją. Zaczęła zwolna uprzątać zawady. Panie, rzekła, to com ci powiedziała, nie powinno ci odbierać zupełnie nadziei. Spółzawodnik twój wprawdzie nie jest źle widzianym. Przychodzi do nas swobodnie dla odwiédzenia swojéj krewnéj, rozmawia z nią, kiedy mu się podoba, a to właśnie jest korzystne dla pana. Nawyknienie codziennego widywania się, czyni ich obcowanie trochę nudném. Zdaje mi się, że się rozchodzą bez przykrości i spotykają znowu bez należytego zadowolenia. Rzekłbyś, że są już po ślubie. Słowem, nie widzę wcale, aby pani moja pałała szczérą miłością dla don Augustyna. Daléj trzeba przyznać, że co do przymiotów osobistych między nim a panem, jest



Kwesta.

różnica, którą zapewne nie bez korzyści spostrzega panna z tak delikatném uczuciem, jak jest dona Helena. Bądź więc dobréj myśli; nie ustawaj w zalotach; ja nie pominę żadnéj sposobności uwielbienia tego, co tylko zrobisz dla jéj przypodobania się. Niech sobie kryje się jak zechce, ja przecież pod maską udawania potrafię przeniknąć jéj uczucia.

Po takowéj rozmowie rozeszliśmy się oboje bardzo z siebie zadowoleni! Ja na nowo zacząłem przymilać się córce don Jerzego; uraczyłem ją serenadą, w któréj najpiękniejszego dobrawszy głosu, kazałem odśpiewać wiérsze, które teraz słyszałeś. Po tym koncercie panna pokojowa dla zbadania swojéj pani, zapytała się, czy to ją zabawiło. Głos, rzekła dona Helena, podobał mi się, a wyrazy śpiéwane, dodała panna, czyż nie są tkliwe? Na to odpowiedziała pani, nie zwracałam wcale uwagi. Słuchałam tylko śpiéwu, nie bacząc bynajmniéj na wiérsze, ani się téż troszczę kto tę serenadę wyprawiał. Kiedy tak, tedy biédny don Gaston de Cogollos jest bardzo daleko od swojego celu, mówiła pokojowa, i bardzo jest nierozsądny zapuszczając swój wzrok między nasze żaluzye. A może to nie on, odpowiedziała oziębłe pani, to zapewne inny jaki młody przez

ten śpiéw chciał mi objawić swoją miłość: ty się mylisz. Daruj pani, rzekła Felicya, to don Gaston sam, dowodem tego jest, że dziś rano spotkał mnie na ulicy: że mnie nawet prosił, abym pani oświadczyła, iż ją ubóstwia, mimo surowości z jaką odpłacasz jego miłość; że zresztą uważałby się za najszczęśliwszego z ludzi, gdybyś mu pozwoliła objawić przywiązanie przez zabiegi i przez zalotne koncerta. To zdaje się powinno przekonać panią, że się nie mylę.

Córka don Jerzego zmieniła natychmiast postać, a wejrzawszy groźnem okiem na pannę pokojową, mogłaś sobie, rzekła, nie zadawać trudu w opowiadaniu téj rozmowy zuchwałéj. Proszę cię, niech to będzie ostatnie twoje doniesienie: jeżeli ten płochy młodzieniec poważy się jeszcze raz mówić z tobą, powiédz mu, niech się uda do osoby więcéj ceniącéj jego zalety, niech sobie uczciwszą wynajdzie rozrywkę, a nie przepędza dni całych na przyglądaniu się co ja robię w moim pokoju.

Wszystkie te szczegóły opowiedziała mi Felicya, widząc się ze mną powtórnie, utrzymując zaś, iż nie należy brać ściśle tych wyrazów, chciała mnie przekonać, że sprawa moja idzie jak najlepiéj. Ja zaś nie rozumiejąc skrytych wybiegów, nie wierząc, aby można było tłumaczyć text na moją korzyść, nie ufałem jéj komentarzom. Żartowała z mojéj niewiary, prosiła przyjaciołkę swoją o papiér i atrament, mówiąc: panie, pisz natychmiast do dony Heleny, jak kochanek w rozpaczy. Maluj jéj cierpienia swoje w najżywszych kolorach, a nadewszystko ubolewaj nad zakazem pokazywania się w oknach. Przyrzekaj posłuszeństwo, zapewniając, że je życiem przypłacisz. Nadaj temu obrot jak wy to panowie umiécie, a ja resztę przyjmuję na siebie. Spodziéwam się, że wypadek więcéj niż się spodziéwasz przyniesie zaszczytu mojéj przenikliwości.

Byłbym piérwszym z kochanków, który mając tak piękną sposobność pisania do swojéj ulubionéj, nie chciał z niéj korzystać. Napisałem list najpatetyczniejszy. Nim go złożyłem, podałem Felicyi, która przeczytawszy, uśmiéchnęła się, mówiąc, jeżeli kobiéty znają sztukę zawracania głów męzkich, natomiast mężczyznom nie tajny jest sekret omamienia kobiét. Pokojowa wzięła mój bilet, zapewniając, że jéj będzie rzeczą, aby pożądany wydał skutek: po czém zaleciwszy, abym przez kilka dni miał zamknięte okna, wróciła do don Jerzego.

Przybywszy do dony Heleny, rzekła, pani, spotkałam don Gastona. Natychmiast zbliżył się do mnie, chcąc pochlebną darzyć mnie mową. Głosem drżącym, jak winowajca, co wyroku kaźni oczekuje, pytał się, czym z panią o nim rozmawiała. Wtedy posłuszna woli pani krótko uciętam rozmowę. Powstałam ostro na niego, nie szczędziłam wyrazów obelżywych, i zostawiłam go na ulicy odurzonego moją popędliwością. Cieszę się mocno, żeś mnie uwolniła od tego natręta: lecz nie wypadało mu prawić niegrzeczności, trzeba koniecznie aby dziewica odznaczała się łagodnością. Pani, odpowiedziała panna pokojowa, zagorzałego kochanka nie pozbędzie się słówkami z łagodną miną wymówionemi: nie zawsze tego dokazać można gniéwem i popędliwością. Oto np. don Gaston, ten wcale się nie zraził. Nagadawszy mu niedorzeczności, poszłam według polecenia pani do jéj krewnéj. Ta pani za długo mnie zatrzymała, mówię za długo, bo kiedym wracała, znowum spotkała tego gacha. Nie spodziéwałam się widziéć go w życiu. Widok jego zmieszał mnie, ale to tak dalece, że język mój gotów na każde zawołanie, wtedy ani be wymówić nie umiał. Cóż on wtedy robi? Oto korzystając z mojego milczenia, albo raczéj, roztargnienia, wsuwa mi w rękę papiér, którym ujęła, nie wiedząc co robię, a on zniknął w téj chwili.

To mówiąc wydobyła list, oddała go pani swojéj żartując, która jakby dla zabawki wziąwszy go, przeczytała z uwagą, a potém udała skromną. W istocie Felicyo, odezwała się dość surowo do swojéj panny pokojowéj, ty jesteś roztrzepana, bez rozsądku, żeś przyjęła ten bilet. Co może o tém pomyśléć don Gaston, co ja sama mam o tém sądzić? Takowém postępowaniem dajesz mi powód nieufania twojéj wierności, Gastona zaś naprowadzasz na myśl, że ja mogę być czułą na jego miłość. Niestety! może w téj chwili wystawia sobie, że ja z rozkoszą odczytuję litery przez niego kréślone: na jakąż więc hańbę narażasz moją dumę. Oh, wcale nie, odpowiedziała panna, nie może tak myśléć: przypuściwszy, że tak jest w istocie, długo nie będzie się mamił. Przy piérwszém zaraz spotkaniu powiém mu, żem pokazała pani jego list, żeś spojrzała nań z miną oziębłą, że zresztą nie czytając, podarłaś go ze wzgardą. Możesz śmiało zapewnić go, żem go wcale nie czytała. Jakżebym się wstydzić musiała, gdyby mi wypadło choć napomknąć o nim. Córka don Jerzego nie poprzestała na téj mowie, ale podarła mój list i zakazała służącéj najmniejszéj wzmianki o mnie.

Ponieważ przyrzekłem nie umizgać się z okien, ponieważ widok mój nie podobał się, trzymałem je więc zamknięte przez kilka dni, aby samém posłuszeństwem wzruszyć. Lecz w miejsce zakazanych mi migów postanowiłem wyprawić serenadę mojéj okrutnéj Helenie. Pewnéj nocy udałem się pod balkon z muzyką; już gitary brzękły, gdy młody człowiek ze szpadą w ręku pomieszał koncert, bijąc w prawo i w lewo rozpędził koncertantów. Wściekłość podżegająca tego zuchwalca zapaliła gniéw we mnie. Postępuję naprzód dla skarcenia go i rozpoczynam z nim zaciętą walkę. Dona Helena i jéj panna służąca słyszą szczęk broni, wyglądają przez żaluzye i widzą dwóch ludzi pasujących się. Poczynają krzyczyć przeraźliwie. Zrywa się don Jerzy i cała jego służba, nadbiegają wraz z kilką sąsiadami dla przerwania walki. Lecz już zapóźno, zastają na placu młodego człowieka w krwi własnéj pływającego i prawie bez duszy, poznali, że tym młodzieńcem nieszczęśliwym byłem ja. Zaniesiono mnie do ciotki i przyzwano najbieglejszych chirurgów stolicy.

Wszyscy ubolewali nade mną, a osobliwie dona Helena, która wtedy dopiéro objawiła skrytości swojego serca. Uczucie wzięło górę nad udawaniem. Czyżbyś uwierzył? Nie była to już owa dziewica, która poczytywała sobie za honor okazywać się nieczułą na moje zaloty, lecz była to tkliwa kochanka, jawnie nad moją przygodą ubolewająca. Resztę nocy przepłakała wraz ze swoją panną, złorzecząc don Augustynowi de Olighera, którego uważała za sprawcę swojego udręczenia, tak jak w istocie on był, który w tak nieprzyjemny sposób przerwał serenadę. Równie skryty jak kochanka jego krewna, spostrzegł on moje zamiary, nic o tém nie mówiąc: a w przekonaniu że ona odpowiadała moim chęciom, zabrał się do walnéj rozprawy dla pokazania, że mniéj był cierpliwym, niż się spodziéwano. Ten smutny atoli wypadek wkrótce zamienił się w radość, która o nim zapomnieć kazała. Biegłość chirurgów odniosła tryumf nad niebezpieczeństwem. Jeszcze nie wychodziłem z pokoju, gdy dona Eleonora, moja ciotka, prosiła don Jerzego o rękę dony Heleny dla mnie. Tem chętniéj na to zezwolił, że uważał don Augustyna za straconego dla siebie, za człowieka, którego już nigdy widziéć nie będzie. Zacny starzec obawiał się jedynie, aby córka jego nie miała do mnie wstrętu, a to dla tego, że synowiec jego don Olighera miał zupełną wolność widywania jéj, a tém samém pozyskania jéj miłości; ależ ona okazała się tak gotową do spełnienia woli ojca, iż z tego wnosićby można, że w Hiszpanii, tak podobno jak i gdzieindziéj, jest ważną korzyścią być świéżym gościem u kobiét.

Skoro tylko znalazłem sposobność rozmówienia się z Felicyą, dowiedziałem się od niéj, jak dalece jéj pani okazała się czułą na los mojéj nieszczęśliwéj walki. Nie wątpiłem już więc, iż byłem Parysem mojéj Heleny, błogosławiłem rany, które tak korzystny wpływ wywarły na moją miłość. Otrzymałem od don Jerzego pozwolenie rozmawiania z jego córką wobec panny pokojowéj. Jakżeż to miła rozmowa była dla mnie! Prosiłem, nalegałem tak usilnie na nią, aby mi powiedziała, czy wola ojca nie jest sprzeczną jéj uczuciu, że wreszcie wyznała, iż przyzwolenie jéj nie z samego posłuszeństwa wypływa. Po tém pełném uroku wyznaniu, myśliłem jedynie o sposobach przypodobania się i wynajdywania zabaw zalotnych, nimby dzień ślubu nastąpił, który miał być obchodzony w okazałéj kawalkadzie, do któréj szykowała się wszystka szlachta z Corii i okolic.

Wyprawiłem wielką ucztę w przepysznym domu wiejskim, który ciotka moja miała tuż za bramami miasta od strony Manroi. Don Jerzy z córką, wszystkiemi krewnemi i przyjaciołmi znajdował się na niéj. Przygotowano z mojego polecenia wielki koncert głosowy i instrumentowy, sprowadzono trupę aktorów prowincyonalnych dla przedstawienia komedyi. Wśród biesiady dano mi znać, że jakiś człowiek czeka w sali i chce ze mną mówić o interesie wielkiéj dla mnie wagi. Wstałem od stołu, zobaczyć ktoby to był. Zastałem nieznajomego, zakrawającego jakoś na pokojowca. Podał mi list, który otworzywszy, przeczytałem następujące wyrazy: „Jeżeli honor jest ci drogim, jak być powinien dla każdego kawalera twojego zakonu, zechcesz jutro rano stawić się na równinie Manroi. Zastaniesz tam młodego człowieka gotowego dać ci zadosyćuczynienie za wyrządzoną ci obelgę, a jeżeli być może przeszkodzić ci w zaślubieniu dony Heleny. — Don Augustin de Olighera."

Jeżeli miłość ma wielką władzę nad umysłem Hiszpana, tedy zemsta ją przeważa. Nie mogłem tego biletu przeczytać z umysłem spokojnym. Samo imię don Augustyna wzniecilo taki zapał w mém sercu, żem prawie zapomniał o niezbędnych obowiązkach tego dnia. Brała mnie chętka wyrwania się cichaczem z tego towarzystwa, by natychmiast spotkać się z moim nieprzyjacielem. Przezwyciężyłem się jednak, by nie mieszać uczty, i rzekłem posłańcowi: przyjacielu, możesz powiedzieć panu, który cię przysłał, że zanadto pragnę zmierzyć się z nim, abym jutro rano nie miał się znajdować na miejscu wskazaném, jeszcze przed wschodem słońca.

Odprawiwszy posłańca z tą odpowiedzią, wróciłem do moich biesiadników, zająłem swoje miejsce przy stole, i tak wybornie ułożyłem twarz, iż nikt nie domyślał się co we mnie wrzało. Zdałem się wraz z innemi zajęty jedynie uciechą uczty, która się o północy skończyła. Towarzystwo się rozwiązało, każdy wrócił do miasta, tak jak z niego przybył. Co do mnie, zostałem na wsi pod pozorem użycia świéżego powietrza nazajutrz rano, w istocie zaś dla tego, aby wcześniéj stanąć na miejscu umówioném. Zamiast zabrać się do spoczynku, z niecierpliwością oczekiwałem świtu. Ujrzawszy piérwszy brzask dosiadłem najdzielniejszego rumaka, jak gdybym się chciał przejechać po polu. Udałem się sam jeden ku Manroi. Spostrzegłem na równinie kawalera, który konno w cwał pędził do mnie. Ruszyłem i ja także, aby mu przynajmniéj połowę drogi oszczędzić. Wnet stanęliśmy tuż przy sobie. Był to mój spółzawodnik. Kawalerze, odezwał się do mnie hardo, z żalem po raz drugi staję do walki z tobą, ale w tém twoja wina. Po wypadku serenady należało ci z dobréj woli zrzec się córki don Jerzego, albo być pewnym, że to ci nie ujdzie bezkarnie, jeżeli starać się będziesz jéj przypodobać. Zbyt dumny jesteś, odpowiedziałem, korzyścią, którą może nie tyle zręczności, ile ciemnéj nocy winieneś. Nie zastanawiasz się nad tém, że oręż jest dziennym. To nie dla mnie, odrzekł zarozumiale, pokażę ci wnet, że tak w dzień, jak i w nocy, umiém karcić kawalerów zuchwałych, co mi w drogę wchodzą.

Na tak dumne wyrazy nie rzekłszy ani słowa, zeskoczyłem z konia, Don Augustyn zrobił toż samo. Przywiązaliśmy konie do drzewa i rozpoczęliśmy walkę z równą zaciętością. Wyznaję szczérze, że miałem do czynienia z człowiekiem, który daleko lepiéj umiał robić bronią, chociaż ja przez dwa lata uczyłem się. Był on mistrzem doskonałym w sztuce fechtowania. Nigdy na większe niebezpieczeństwa nie mogłem narażać życia. Ależ jak to się nie raz zdarza, że słabszy mocniejszego zwycięża, mój przeciwnik mimo całą biegłość, odebrał cios w samo serce i w chwilę padł trupem.

Wróciłem zaraz do domu wiejskiego, opowiedziałem wszystko mojemu szatnemu, którego wierności doświadczyłem. Po czem rzekłem mu: Kochany Ramirze! nim sprawiedliwość dowié się o wypadku, weź dobrego konia, i zawiadom ciotkę moją. Proś ją ode mnie o pieniądze i klejnoty i pospieszaj za mną do Placencyi. Znajdziesz mnie w piérwszym hotelu wjeżdżając do miasta.

Ramir tak wybornie sprawił się, iż w trzy godziny przybył za mną do Placencyi. Powiedział mi, że Eleonora nie tyle się smuciła, ile raczéj cieszyło ją, żem naprawił hańbę, jaka mnie spotkała w piérwszém zajściu, że mi przysyła wszystkie pieniądze i klejnoty, abym wygodnie mógł wędrować po obcych krajach, nim ona załagodzi całą tę sprawę.

Pomijając drobne okoliczności, powiém ci tylko, że przebywszy Kastylią nową dostałem się do królestwa Walencyi i wsiadłszy na okręt w Denia, udałem się do Włoch. Tam zwiedzałem rozmaite dwory, wszędzie z przyzwoitością występując.

Kiedy tak oddalony od mojéj Heleny usiłowałem ile możności uśpić miłość i nudy, ona tymczasem w Corii opłakiwała w skrytości moje oddalenie. Zamiast pochwalać zapał, z jakim rodzina jéj ścigała mnie z powodu śmierci Olighera, ona przeciwnie pragnęła, aby zgoda jak najrychlejsza przyspieszyła mój powrót. Sześć miesięcy upłynęło od chwili mojego oddalenia i zdaje mi się, że słabość jéj byłaby przezwyciężyła czas, gdyby tylko z samym czasem miała do walczenia, lecz znaleźli się nieprzyjaciele daleko silniejsi. Don Blas de Combados szlachcic z zachodniéj Galicyi, przybył do Corii, dla odebrania spadku, którego mu zaprzeczał krewny jego don Miguel de Caprara, osiadł w tym kraju, uważając go za przyjemniejszy od swojego. Combados był przystojny. Zdawał się łagodny i ugrzeczniony, postępowanie zaś jego było nadzwyczaj ujmujące. Wnet zabrał znajomość ze wszystkiemi znakomitościami miasta, wiedział interesa jednych i drugich.

Nie mogło mu być długo tajném, że don Jerzy miał córkę, któréj niebezpieczna piękność zdawała się wzniecać zapał w mężczyznach na ich zgubę. To zaostrzyło jego ciekawość: zapragnął widzieć kobiétę tyle zatrważającą. W tym celu starał się zaprzyjaźnić z jéj ojcem, i tyle zyskał, że starzec uważając go za zięcia swojego, pozwolił mu wstępu do domu i swobodnéj z Heleną rozmowy w swojéj obecności. Galicyjczyk wkrótce rozkochał się, to był los nieuchronny. Zwierzył się don Jerzemu, który mu oświadczył, iż przyjmuje jego zabiegi, ale nie chce przymuszać swojéj córki i zostawia jéj wolność rozrządzania swoją ręką. W skutek tego don Blas poruszył wszystkie sprężyny zalotów, aby się podobać Helenie, która wcale była obojętną, tak dalece była mną zajęta. Felicya wszakże była w zmowie z moim spółzawodnikiem, który darami zobowiązał ją na służbę swojéj miłości. Użyła do tego całéj swojéj przebiegłości; ojciec zaś wspiérał ją swojemi uwagami, a jednak przez rok cały dręczyli tylko Helenę nie mogąc przełamać jéj wierności.

Combados widząc że don Jerzy i Felicya na próżno się trudzą w jego interesie, przedstawił im wybieg dla przełamania uporu kochanki tak uprzedzonéj. Oto, rzekł im, co mi przyszło do głowy. Udamy że kupiec z Corii odebrał list od negocyanta włoskiego, w którym po wymienieniu szczegółów dotyczących handlu, będą następujące wyrazy: „Niedawno przybył do dworu Parmeńskiego kawaler hiszpański, nazwiskiem Gaston de Cogollos. Mieni się siostrzeńcem i jedynym dziedzicem bogatéj wdowy mieszkającéj w Coria pod imieniem dona Eleonora de Laxarilla. Stara się tu o córkę możnego pana, lecz ociągają się z przyzwoleniem, póki nie dojdą prawdy. Jestem umocowany udać się w tym względzie do Pana. Donieś mi więc, proszę cię, czy znasz tego don Gastona, i jakie to są dobra téj jego ciotki. Odpowiedź twoja stanowić będzie o tém małżeństwie. W Parmie i t. d."

To szalbierstwo zdało się staremu prostą igraszką dowcipu, jako wybieg łatwy do darowania kochankom; a panna pokojowa jeszcze mniéj skrupulatna od poczciwego starca, pochwaliła z zapałem ten wymysł. Wynalazek ten zdał im się tém lepszy, że znali Helenę jako pannę dumną i zdolną do szybkiego przedsięwzięcia, skoro tylko nie domyśli się szachrajstwa. Don Jerzy podjął się sam zawiadomić ją o mojéj zmienności, i żeby rzecz zrobić tém podobniejszą do prawdy, chciał, żeby sama mówiła z kupcem, który odebrał ten mniemany list. Pomysł ten wykonali tak, jak go powzięli. Ojciec ze wzruszeniem, w którém udawał gniéw i wstyd zarazem, rzekł do dony He-

leny: Córko moja, nie będę ci już powtarzał, że krewni nasi ciągle nastają na mnie, aby mordercę don Augustyna nie wprowadzać do naszéj rodziny; dziś ważniejszy mam powód przedstawienia ci, abyś zapomniała o don Gastonie. Zgiń ze wstydu, żeś mu była wierną. Jest to człowiek płochy, wiarołomca. Oto jest dowód niezaprzeczony jego przeniewierzenia się. Czytaj sama ten list, który kupiec z Corii odebrał z Włoch. Helena drżąca bierze zmyślone pismo, śledzi oczyma wiersze, rozważa wszystkie wyrazy, i upada pod ciosem mojéj niestałości. Tkliwe uczucie wyciska jeszcze jéj kilka łez; lecz szybko przyzywając swoją dumę, otarła łzy i tonem pewnym odezwała się do ojca: panie, byłeś świadkiem mojéj słabości, bądź teraz mojego tryumfu, który odnoszę nad sobą. Stało się: gardzę teraz don Gastonem, uważam go za najpodlejszego z ludzi. Nie mówmy więcéj o nim. Już mnie nic nie wstrzymuje, jestem gotowa towarzyszyć don Blasowi do ołtarza. Niech mój ślub uprzedzi gody wiarołomcy, który tak niegodnie odpłacił moją miłość! Don Jerzy zachwycony temi słowy, uściskał swoją córkę, pochwalił silne jéj postanowienie i spieszył się ze spełnieniem życzeń mojego spółzawodnika, ciesząc się ze szczęśliwego skutku podstępu.

Takim sposobem wydarto mi donę Helenę. Zbyt pośpiesznie rzuciła się w objęcia don Combadosa, nie słuchając miłości, która z głębi serca przemawiała za mną, nie powątpiéwając ani na chwilę o wiarogodności nowiny, która w umyśle kochanki mniéj łatwowierności znaléźć była powinna. Dumna, słuchała jedynie swojéj zarozumiałości. Uczucie zniewagi wyrządzonéj jéj piękności, według jéj wyobrażenia, przeważyło nad przywiązaniem. Jednakże w kilka dni po ślubie, uczuła niejako zgryzotę, że się tak pośpieszyła; wtedy dopiéro wpadło jéj na myśl, że list kupca może być zmyślony, a to podejrzenie, nabawiło ją pewnéj niespokojności. Lecz rozkochany don Blas, nie pozwolił zakorzenić się w umyśle, jéj uczuciom przeciwnym jego pokojowi; łamał głowę nad jéj rozrywkami i dopiął swojego celu przez ciąg nieprzerwanych zabaw, posiadając sztukę ich wynajdywania.

Zdawała się bardzo zadowoloną z męża tak zalotnego, i oboje w zupełnéj żyli zgodzie, kiedy ciotka moja załatwiła sprawę z krewnemi don Augustyna. Zawiadomiła mnie zaraz o tym wypadku. Byłem pod tę porę w Reggio, w Kalabryi dalszéj. Przeprawiłem się do Sycylii, ztamtąd do Hiszpanii i wreszcie udałem się do Corii na skrzydłach miłości. Dona Eleonora nie donosząc mi o ślubie córki don Jerzego, zawiadomiła mnie o tém za przybyciem, a widząc że mnie to zmartwiło: Źle robisz, rzekła mi, mój siostrzeńcze, okazując się czułym na utratę kobiéty, która nie mogła ci pozostać wierną. Wierzaj mi, wyguzuj z serca, zatrzyj w swojéj pamięci osobę, niegodną twojego zajęcia.

Ponieważ ciotka moja nie wiedziała jakim sposobem uwiedziono donę Helenę, miała zupełną słuszność to mówiąc i nie mogła zdrowszéj dać mi rady. Dla tego téż postanowiłem iść za nią, a przynajmniéj udawać obojętnego, nie będąc zdolnym do pohamowania mojéj namiętności. Jednakże nie mogłem się oprzéć ciekawości, jakim sposobem przyszło do tego małżeństwa. Żeby się w tym względzie objaśnić, udałem się do przyjaciołki Felicyi, to jest Teodory, o któréj wyżéj mówiłem. Poszedłem więc do niéj i trafem zastałem Felicyą, która nie spodziéwając się spotkania mnie, zmieszała się, chciała natychmiast wyjść, by uniknąć wyjaśnień, jakich według jéj domysłu, żądać mógłbym. Zatrzymałem ją. Dla czegoż uciekasz przedemną? rzekłem jéj; wiarołomna Helena nie poprzestajeż jeszcze na tém, że mnie poświęciła? Czyż zakazała ci słuchać moich utysków? czy téż dla tego jedynie stronisz przedemną, aby miéć zasługę przed niewdzięczną, żeś ich nie słuchała?

Panie, rzekła pokojowa, wyznam ci szczérze, że obecność twoja zawstydza mnie. Nie mogę patrzéć na cieble bez uczucia wyrzutów sumienia. Uwiedziono moją panię, a ja miałam nieszczęście być spólniczką oszukaństwa. Tym sposobem mogęż cię oglądać bez zapłonienia się od wstydu? O nieba! zawołałem z podziwem, coż mi ty powiadasz? wytłumacz się jaśniéj. Wtedy pokojowa wymieniła wszystkie szczegóły podstępu, jakiego użył Combados dla wydarcia mi Heleny, a widząc że ta powieść zakrwawiała moje serce, siliła się, by mnie pocieszyć. Ofiarowała mi wstawić się do swojéj pani, przyrzekła, że ją wyprowadzi z błędu, że jéj przedstawi moją rozpacz, słowem, niczego nie zaniedba, coby mogło złagodzić srogość mojego przeznaczenia; taką mnie zresztą napoiła otuchą, iż uczułem cokolwiek ulgi w moich cierpieniach.

Pomijam długi upor dony Heleny, jakiego doznać musiała w wyjednaniu mi widzenia się z nią; w końcu jednak przełamała go. Przystała, że wprowadzony będę potajemnie do don Blasa, gdy ten uda się na wieś, gdzie zwykł był kiedy niekiedy wyjeżdżać na polowanie i bawić dzień jeden lub dwa. Zamiar ten wkrótce przyszedł do skutku. Mąż pojechał, a mnie natychmiast zawiadomiono i wprowadzono w nocy do pokoju żony.

Chciałem zacząć rozmowę od wyrzutów, lecz zamknięto mi usta. Naprożno będziesz wspominał o przeszłości, odezwała się dona Helena; nie chodzi tu wcale o to, abyśmy się oboje rozczulali, i mylisz się, jeżeli rozumiész, że zdolną będę schlebiać twoim uczuciom. Oświadczam ci don Gastonie, jeżelim przyzwoliła na to tajemne widzenie się, jeżelim uległa żądaniom usilnym w tym względzie, to jedynie dla tego, abym ci ustnie powtórzyła, iż odtąd starać się winieneś zapomnieć o mnie. Może byłabym kontentniejszą, gdyby los mój, był połączony z twoim; ale ponieważ niebo inaczéj rozporządziło, chcę być posłuszną jego wyrokom.

Jakto pani, zawołałem, to nie dosyć jeszcze, żem cię utracił, ze muszę patrzéć, jak szczęśliwy don Blas, posiada jedyną osobę w świecie, którą kochałem, trzebaż jeszcze, abym cię wygluzował z mojéj pamięci! Chcesz mi wydrzéć miłość, jedyne dobro, które mi pozostało! Ah, okrutna, sądziszże, iż człowiek raz przez ciebie zaczarowany, może odzyskać swoje serce? Poznaj się sama lepiéj i przestań naprożno zachęcać mnie do pozbycia się twojego wspomnienia. Dobrze, odpowiedziała nagle, ale także porzuć nadzieję, abym twoją namiętność miała odpłacać jakiémkolwiek uznaniem. Jedno ci tylko powiem: żona don Blasa, nie będzie kochanką don Gastona; według tego, kieruj swojém postępowaniem. Uchodź dodała. Skończmy rozmowę, którą sobie mam do wyrzucenia, mimo czystość moich zamiarów, a któréj przedłużenie, uważałabym sobie za zbrodnię.

Na te słowa, odbiérające mi wszelką nadzieję, padłem jéj do nóg. Usiłowałem ją wzruszyć, nie oszczędzałem łez nawet. Wszystko to może obudziło niejakie uczucie litości, które usilnie kryła i które poświęciła obowiązkowi. Wyczerpawszy bezkorzystnie wszelkie czułe wyrażenia, prośby i łzy, przywiązanie moje nagle zmieniło się w gniéw wściekły. Dobyłem szpady, by się przeszyć w oczach nieubłaganéj Heleny, która ledwie co dostrzegła, rzuciła się na mnie, aby zapobiedz zgubnym skutkom. Wstrzymaj się Cogollos, rzekła. Czyż w taki sposób chcesz oszczędzać mój honor. Odbiérając sobie życie, odbierzesz mi honor, bo męża mojego mienić będą twoim mordercą.

W rozpaczy nie baczyłem na te wyrazy, jak należało; myśliłem jedynie o usunięciu słabéj zawady, jaką stawiły pani i jéj panna pokojowa, by mnie uchronić od własnéj ręki, i byłoby mi się bez wątpienia powiodło, lecz don Blas zawiadomiony o naszéj schadzce, zamiast udać się na wieś, skrył się po za obicie, i w téj chwili wybiegł ze swojego schronienia. Don Gastonie, krzyknął, zatrzymując moją rękę, zbierz rozsądek zbłąkany, nie ulegaj nikczemnie wściekłemu zapędowi, który tobą miota.

Przerwałem don Combadasowi. Twojaż to rzecz, odwracać mnie od powziętego zamiaru? Sam raczéj powinienbyś utopić żelazo w mojém łonie. Miłość moja, jakkolwiek nieszczęśliwa, jest twoją obrazą. Nie dosyćże jeszcze, że mnie w nocy zdybujesz w pokoju swojéj żony? czyż więcéj potrzeba dla obudzenia twojéj zemsty? Sam przebij mnie, abyś się pozbył człowieka, który nie przestanie ubóstwiać dony Heleny, póki tylko żyć będzie. Próżno usiłujesz obudzić mój honor, abym ci życie odebrał. Dosyć już odebrałeś kary za twoją płochość,

a tak dalece wdzięczny jestem mojéj żonie, za jéj cnotliwe uczucia, że jéj szczerze przebaczam miejsce, w którém je objawiła. Wierz mi Cogollos, nie rozpaczaj jak niedołężny kochanek; poddaj się odważnie niezbędnéj konieczności.

Rozsądny Galicyjczyk podobnemi słowy pohamował zwolna mój zapęd, i obudził cnotę. Odszedłem w zamiarze oddalenia się od mojéj Heleny i miejsc, które zamieszkiwała. We dwa dni późniéj, wróciłem do Madrytu; tam zajęty jedynie losem swoim, zacząłem uczęszczać do dworu, i jednać sobie przyjaciół. Na nieszczęście wszakże, przywiązałem się do margrabiego Villareal, znakomitego pana portugalskiego, który popadłszy w podejrzenie, że myślił o wyswobodzeniu Portugalii z pod panowania hiszpańskiego, siedzi teraz w zamku w Alicante. Że zaś książę de Lerma wiedział, iż byłem w ścisłych stosunkach z tym panem, kazał mnie więc przytrzymać i tu osadzić. Minister mniema, że mogę być spólnikiem takiego zamiaru; nie może większéj rzucić hańby na człowieka, który jest szlachcicem i kastyllanem.

Na tém przestał don Gaston, po czém ja rzekłem, by go pocieszyć: Panie, twój honor nie może żadnéj ponieść skazy z téj niełaski, zmieni się ona bez ochyby na twoją korzyść. Książę Lerma przekonawszy się o twojéj niewinności, nada ci znakomity jaki urząd, aby przywrócić wziętość szlachcicowi, niesprawiedliwie o zdradę posądzonemu.

Rozdział VII.

Scypion odwiedza Gil Blasa w wieży w Segowii i donosi mu rozmaite nowiny.

Tordesillas przerwał naszą rozmowę, wszedłszy z tém oświadczeniem: panie Gil Blas, w téj chwili rozmawiałem z młodym człowiekiem u drzwi więzienia. Pytał się, czybyś nie był więźniem, a gdym nie chciał zaspokoić jego ciekawości, odezwał się do mnie ze łzami w oczach: Szlachetny nadzorco, nie odmawiaj mojéj pokornéj prośbie, powiédz czy pan de Santillana jest tu, spełnisz uczynek miłosierny, skoro mi pozwolisz widziéć się z nim, jestem bowiem najpiérwszym jego sługą. Mienią cię w Segowii człowiekiem pełnym ludzkości, mam więc nadzieję, że mi pozwolisz łaskawie przez chwilę pomówić z moim najdroższym panem, więcéj nieszczęśliwym niż winnym. Słowem, mówił daléj don Andrzéj, chłopiec ten objawił taką żądzę mówienia z panem, żem przyrzekł dziś wieczór sprawić mu to zadowolenie.

Zapewniłem pana Tordesillas, iż nie mógł mi sprawić większéj przyjemności, jak przyprowadzając mi tego młodzieńca, który zapewne wié bardzo wiele rzeczy, dla mnie nader ważnych. Niecierpliwie wyglądałem chwili ujrzenia mojego wiernego Scypiona, nie wątpiłem bowiem, iż to on być musi, i nie myliłem się. Wpuszczono go wieczór do wieży; skoro mnie spostrzegł, objawił niewymowną radość, równą mojéj. Ja na widok jego, w najwyższém uniesieniu wyciągnąłem ręce do niego, a on uściskał mnie wzajemnie bez żadnych względów. Pan i jego sekretarz, pomieszali się razem w tych serdecznych uściskach, tak byli radzi ze swojego widzenia się.

Kiedyśmy się nieco uspokoili, zapytałem naprzód Scypiona o stan pałacu mojego. Nie masz już pałacu, odpowiedział, ażeby ci oszczędzić pytań za pytaniami, w kilku słowach powiém, co się działo w mieszkaniu pana. Wszystko złupili pomocnicy algazila lub twoi właśni służący, którzy uważając cię za zgubionego na zawsze, na rachunek myta zabrali, co tylko zabrać mogli. Na szczęście pańskie, udało mi się zręcznie ocalić od ich szpon dwa wielkie worki z dublonami, którem wydobył z twojéj skrzyni i złożył u Salerno, a ten ci je zwróci, skoro wyjdziesz z wieży; nie myślę bowiem, abyś miał długo być pensyonarzem króla JMci, ponieważ przy uwięzieniu twojém, książę Lerma nie miał żadnego udziału.

Zapytałem się Scypiona, zkądby wiedział, że książę nie wpływał na moje uwięzienie. Oh, tak jest, o tém wiém bardzo dobrze. Jeden z moich przyjaciół, który posiada zaufanie księcia Uzedo, opowiedział mi wszystkie szczegóły pańskiego uwięzienia. Calderone, rzekł do mnie, wykrywszy za pośrednictwem lokaja, że senora Sirena przyjmuje w nocy księcia hiszpańskiego pod obcém imieniem, i że hrabia Lemos prowadził tę intrygę za pomocą pana de Santillana, postanowił zemścić się nad nimi i nad swoją kochanką. Żeby dopiąć swojego zamiaru, udaje się potajemnie do księcia Uzedo i jemu wyjawia wszystko; książę uradowany z tak pięknéj sposobności zgubienia swojego nieprzyjaciela, nie zaniedbał z niéj korzystać. Zawiadomia króla, przedstawiając w żywych kolorach niebezpieczeństwo na jakie narażony jest młody książę. Wiadomość ta rozgniéwała monarchę, natychmiast kazał Sirenę zamknąć w domu *pokutnic*, hrabia Lemos poszedł na wygnanie, a Gil Blasowi dostało się dożywotnie więzienie.

Otóż, rzekł daléj Scypion, co mi powiedział mój przyjaciel. Z tego możesz się pan przekonać, że twoje nieszczęście, jest dziełem księcia Uzedo, czyli inaczéj mówiąc, Calderona.

Z téj mowy wniosłem, że położenie moje może się z czasem poprawić, że książę Lerma dotknięty wygnaniem swojego synowca, wszelkich sprężyn poruszy, by go znowu przywołać do dworu; pochlebiałem sobie, że jego wysokość i o mnie nie zapomni. Co to za miła rzecz ta nadzieja! ona mnie pocieszyła po stracie moich rzeczy, przywróciła mi humor wesoły, jak gdybym miał powód słuszny cieszenia się. Zamiast uważać więzienie moje za nieszczęśliwe mieszkanie, w którém może przyjdzie mi życia dokonać, zdało mi się raczéj środkiem, którego los użył dla dźwignięcia mnie do jakiéj wysokiéj posady, bo otóż w jaki sposób sam w sobie rozumowałem: Piérwszy minister ma swoich stronników w osobie don Fernanda de Borgia, ojca Hieronima de Florence, a nadewszystko braciszka Ludwika de Aliaga, który mu zawdzięcza miejsce zajmowane przy osobie królewskiéj. Przy pomocy tych potężnych przyjaciół, jego wysokość strąci w przepaść wszystkich swoich wrogów. Może też niedługo zmieni się postać państwa. Król Jegomość jest słabowity. Skoro zejdzie z tego świata, książę syn jego rozpocznie rządy, od przywołania hrabiego Lemos, który natychmiast wydobędzie mnie ztąd, przedstawi nowemu monarsze, a ten obsypie dobrodziejstwy w nagrodę przykrości które znosiłem. A tak rozradowany uśmiéchającą się przyszłością, nie czułem wcale obecnego nieszczęścia. Zdaje mi się, że dwa worki dublonów, które jak mi mówił sekretarz złożone były u złotnika, przyłożyły się równie jak nadzieja, do nagłéj zmiany mojego humoru.

Zanadto byłem zadowolony z gorliwości i cnoty Scypiona, abym mu nie miał tego objawić. Ofiarowałem mu połowę pieniędzy uratowanych od rabunku, lecz przyjęcia ich wręcz odmówił. Spodziéwam się, rzekł mi, innego od pana dowodu wdzięczności. Zdziwiony temi słowy, równie jak odrzuceniem ofiary, zapytałem się, cobym mógł zrobić dla niego. Nie rozłączajmy się, odpowiedział mi, pozwól niech los mój połączę z twoim. Czuję do ciebie przywiązanie, jakiego nie czułem do żadnego innego pana. A ja, rzekłem, moje dziecko, mogę cię zapewnić, że nie natrafiłeś na niewdzięcznika. Skoroś przybył do mnie do służby, podobałeś mi się z piérwszego wejrzenia. Musi to być, żeśmy się obadwa urodzili pod znakiem Wagi lub Bliźniąt, które to jak mówią, są konstellacyami jednoczącemi ludzi. Przyjmuję z chęcią towarzystwo, jakie mi ofiarujesz i zaraz na początek prosić będę nadzorcę, aby cię zamknął ze mną w téj wieży. To mi wielką zrobisz przyjemność, odpowiedział, uprzedzasz mnie tylko, bo sam miałem cię prosić, abyś mi wyjednał tę łaskę. Obcowanie z tobą milsze mi jest nad wolność. Wychylę się tylko czasami do Madrytu dla złapania wiatru biurowego, dla zobaczenia, czy nie zaszła jaka zmiana przy dworze, korzystna dla ciebie. Tym sposobem będziesz miał w osobie mojéj zarazem powiernika, gońca i szpiega.

Nie mogłem się pozbywać tak ważnych korzyści. Zatrzymałem więc człowieka tak pożytecznego, za zezwoleniem zacnego nadzorcy, który mi nie chciał odmawiać tak miłéj pociechy.

Rozdział VIII.

O piérwszej podróży Scypiona do Madrytu. Gil Blas wpada w chorobę i skutki tego.

Jeżeli pospolicie mówimy, że służący są największemi naszemi nieprzyjaciołmi, musimy wyznać także, iż to są nasi naj-

lepsi przyjaciele, jeżeli są wierni i przywiązani. Po objawach gorliwości Scypiona, musiałem go uważać jako drugiego siebie. Tym sposobem żadnéj karności między Gil Blasem i jego sekretarzem, żadnych względów między nimi; mieszkali w jednéj izbie, spali w jednem łóżku, jedli przy jednymże stole.

W rozmowie Scypiona było wiele wesołości; można go było bardzo słusznie nazwać chłopcem dobrego humoru. Prócz tego miał on dobrą głowę i wybornie mi było z jego radą. Mój przyjacielu, rzekłem raz do niego, zdaje mi się, że nie źleby było, napisać do księcia Lerma, to nie może nic złego sprawić. Jakież jest twoje zdanie? Eh, ba, odpowiedział, wielcy panowie tak sobie są niepodobni w różnych chwilach, iż istotnie nie wiém, jak twój list może być przyjęty. Ale myślę, że możesz zawsze napisać w dobréj wierze. Chociaż minister lubi cię, nie spuszczaj się wszakże na jego przywiązanie, i nie miéj wielkiéj nadziei w jego pamięci o tobie. Tego rodzaju protektorowie, zbyt łatwo zapominają o osobach, o których im ciągle nie gadają.

Chociaż to szczéra prawda, odpowiedziałem, sądź wszakże lepiéj o moim panu. Znam jego dobroć, jestem przekonany iż się lituje nad moją niedolą, że o niéj bezustannie myśli. Czeka bez wątpienia z mojém wyzwoleniem, póki gniew króla nie ominie. Zgoda więc, rzekł, życzyłbym, aby zdanie twoje o jego wysokości było sprawiedliwe. Błagaj więc jego pomocy w liście bardzo rzewnym; ja mu go zaniosę, i przyrzekam ci, że do własnych rąk oddam. Prosiłem więc o papiér i atrament: napisałem rzecz wymowną, którą Scypion uznał za bardzo wzruszającą, o którą Tordesillas przekładał nawet nad homilie arcybiskupa Granady.

Pochlebiałem sobie że książę Lerma tknięty będzie politowaniem, czytając żałosny opis nędznego stanu, w którym w istocie nie byłem; w tém zaufaniu posłałem mojego gońca, który tylko co stanął w Madrycie, zaraz udał się do ministra. Spotkał pokojowego lokaja, mojego przyjaciela, który mu nastręczył sposobność mówienia z ministrem. Jaśnie Oświecony panie, odezwał się Scipion do jego wysokości, przedstawiając mu list, jeden z najwierniejszych twoich sług, który leży na słomie w turmie Segowii, błaga cię pokornie o przeczytanie tego listu, do którego napisania strażnik więzienny przez litość podał mu sposobność. Minister otworzył list i przebiegł go oczyma. Lecz chociaż widział w nim obraz zdolny poruszyć duszę najtwardszą, zamiast okazać się wzruszonym, podniósł głos i z miną groźną odezwał się do gońca, w obec kilku osób, które mogły go słyszyć: przyjacielu, powiedz Santillanie, że uważam to za zuchwalstwo z jego strony, iż się poważa udawać do mnie po spełnieniu tak niecnego czynu, za który słuszną odbiéra karę. Jestto nędznik, który w cale na pomoc moją liczyć nie powinien, którego poruczam zupełnie na ofiarę gniewu króla.

Scypion, chociaż bezczelny, zmieszał się przecież tą odpowiedzią. Stém wszystkiém nie przestał prosić za mną. Jaśnie Oświecony panie, rzekł, ten biedny więzień umrze z rozpaczy, powziąwszy odpowiédź waszéj wysokości. Książę nie rzekłszy nic, spojrzał groźno na proszącego i odwrócił się. W taki sposób obszedł się ze mną minister, aby tém lepiéj ukryć udział jaki miał w intrydze miłosnéj księcia hiszpańskiego: tego właśnie niech się spodziéwają wszyscy drobni ajenci możnych panów, użyci do posyłek tajnych i niebezpiecznych.

Gdy sekretarz mój za powrotem do Segowii zdał mi sprawę ze skutku swojego posłannictwa, ujrzałem się na nowo pogrążonym w przepaści tak strasznéj jak w pierwszym dniu uwięzienia. Owszem uważałem się za nieszczęśliwszego jeszcze, będąc pozbawionym opieki księcia Lerma. Straciłem odwagę i żadne przełożenia podźwignąć jéj nie zdołały, dręczony zgryzotą, niedługo wpadłem w niebezpieczną gorączkę.

Pan nadzorca troskliwy o moje ocalenie, sądził że nie ma nic lepszego jak przyzwać lekarzy i zaraz sprowadził mi dwóch, którzy mieli postać bardzo skrzętnych ofiarników bogini Libityny. Panie Gil Blas, odezwał się do mnie, oto dwaj Hippokratesowie przychodzą cię odwidzić, oni cię wkrótce postawią na nogi. Tak byłem uprzedzony przeciw lekarzom, że byłbym ich nie najlepiej przyjął, gdyby mi chodziło o utrzymanie życia, lecz tak mi wtedy obmierzł świat, żem był bardzo wdzięczny Tordesillasowi, iż mnie oddał w ich ręce.

Panie, odezwał się jeden z nich, przedewszystkiém trzeba abyś położył w nas zupełne zaufanie. Bezwarunkowo wam ufam, odpowiedziałem, jestem pewny, że przy waszéj pomocy niebawnie wyleczony zostanę ze wszystkich cierpień. Tak jest, rzekł tenże, przy pomocy bozkiéj, nastąpi to nie zawodnie: a przynajmniéj my wszystko zrobimy co do tego potrzeba. W istocie ci panowie przedziwnie zabrali się do dzieła, i tak pięknie mnie pielęgnowali, że widocznie wędrowałem na tamten świat. Już don Andrzéj straciwszy nadzieję mojego wyzdrowienia sprowadził zakonnika reguły św. Franciszka, aby mnie przysposobił na drogę wieczności; już szanowny kapłan dopełniwszy obrzędu oddalił się; ja pewny będąc, iż niebawnie ostatnia dla mnie wybije godzina, dałem znak Scypionowi, by się zbliżył do mojego łóżka; kochany przyjacielu, ozwałem się głosem dogorywającym, tak dalece lekarstwa i krwi puszczania osłabiły mnie; zostawiam ci jeden z worków u Gabryela będących, zaklinam cię byś drugi zawiózł do Asturyi dla mojego ojca i mojéj matki, którzy zapewne w wielkiéj są potrzebie, jeżeli jeszcze żyją. Lecz niestety! lękam się aby ich nie znękała moja niewdzięczność. Muscada bez wątpienia objawił im moją niegodziwość i to może przyspieszyło im zgon. Jeżeli wszakże Bóg ich zachował mimo obojętność, jaką odpłaciłem ich czułe starania, oddasz im drugi worek dublonów, prosząc aby mi darowali złe obejście się z nimi; a jeżeli ich już nie zastaniesz, użyj tych pieniędzy na modły za ich i za moją duszę. To mówiąc podałem mu rękę, którą on zrosił swojemi łzami, nie mogąc nic odpowiedzieć, tak dalece biedny chłopiec strapiony był moją utratą. To dowodzi, że nie zawsze łzy spadkobiercy spływają pod maską.

Czekałem więc na przestąpienie progu wieczności, jednakże oczekiwanie moje zostało zawiedzione: moi lekarze, odstąpiwszy mnie, zostawili wolne pole naturze, i tém mnie zbawili. Gorączka, która według ich przepowiedni, powinna była mnie sprzątnąć, opuściła mnie, jak gdyby dla zadania im fałszu. Zwolna odzyskiwałem siły, szczególniejszym losem. Zupełna spokojność umysłu była owocem choroby. Już wtedy nie potrzebowałem pociechy, zatrzymałem pogardę bogactw i zaszczytów, którą mnie bliskość śmierci natchnęła, wejrzawszy w siebie błogosławiłem moje nieszczęście. Podziękowałem Bogu, jak za największą jego łaskę i postanowiłem nie wracać do dworu, choćby mnie książę Lerma wzywał. Zamierzyłem kupić chatkę wieśniaczą i filozofskie, w niéj prowadzić życie jeżeli kiedyśkolwiek wyjdę z więzienia.

Mój powiernik pochwalił przedsięwzięcie moje, dodając, że dla przyspieszenia wykonania jego; chce udać się do Madrytu, i starać się o moje wyzwolenie. Wpadło mi do głowy, rzekł, znam ja jednę osobę, która może ci się przysłużyć; jestto ulubiona panna pokojowa mamki królewicza, przebiegła dziewczyna, starać się będę, żeby się wstawiła do swojéj pani. Wszystkich sposobów poruszę, by cię wydobyć z téj wieży, która zawsze jest więzieniem, mimo najlepsze obchodzenie się. Prawda, mój przyjacielu, ruszaj czémprędzéj, rozpocznij twoje zabiegi. Dałby Bóg abyśmy jak najprędzéj dostali się do naszego ustronia.

Rozdział IX.

Scypion wraca do Madrytu. Jak i pod jakiemi warunkami zyskuje uwolnienie Gil Blasa.

Scypion więc pojechał znowu do Madrytu, a ja tymczasem zająłem się czytaniem. Tordesillas dostarczał mi więcéj książek niż żądałem. Pożyczał ich od starego komandora, który czytać nie umiał, ale miał piękną bibliotekę, aby zyskać pozór uczonego. Polubiłem szczególniéj wyborowe dzieła moralne, bo co karta napotykałem ustępy schlebiające mojemu zamiłowaniu w samotności, a wstrętowi od życia dworskiego.

Przepędziłem trzy tygodnie nic nie słysząc o moim posłaniku; wrócił w końcu i odezwał się z miną wesołą: No, teraz

panie Santillana, przynoszę ci dobrą wiadomość! Pani mamka wstawia się za tobą. Panna jéj służąca, na prośbę moją i za sto luidorów, była tyle łaskawa, że zobowiązała swoją panią do udania się z prośbą do księcia hiszpańskiego o twoje wyzwolenie; książę zaś, jak nieraz powiedziałem ci, nie może nic odmówić swojéj mamce, obiecał więc prosić króla ojca swojego, o wypuszczenie cię z więzienia. Pośpieszałem zawiadomić cię o tém i wracam natychmiast, by dokonać rozpoczęte dzieło. Po czém opuścił mnie zaraz, udając się w drogę do stolicy.

Trzecia podróż jego, krótką była. Po ośmiu dniach ujrzałem go znowu, oświadczył mi, że książę choć nie bez trudności, uzyskał wolność dla mnie, co w tym samym dniu potwierdził pan nadzorca, który ściskając mnie serdecznie, rzekł: Dzięki Bogu, mój kochany Gil Blasie, jesteś wolny! bramy téj turmy są ci otwarte, ale pod dwoma warunkami, które ci może dosyć będą przykre, ale choć z żalem, obowiązany jestem zawiadomić cię o nich. Król Jegomość zakazuje ci pokazywać się u dworu i poleca, byś najdaléj w ciągu miesiąca, opuścił obiedwie Kastylie. Żałuję mocno, że ci wzbroniony wstęp do dworu. A ja nadzwyczaj rad jestem, odpowiedziałem; Bóg tylko wié, co ja o nim myślę. Ja spodziewałem się jednéj tylko łaski od króla, on zaś dwie mi zarazem wyświadcza.

Przekonawszy się więc, że przestałem być więźniem, najałem zaraz dwa muły, na które nazajutrz wsiedliśmy, ja i mój powiernik, pożegnawszy się z panem Cogollos, złożywszy tysiączne dzięki Tordesillasowi, za wszystkie dowody przyjaźni, jakie od niego odebrałem, ruszyliśmy ochoczo do Madrytu, dla odebrania z rąk Gabryela dwóch worków, z których każdy obejmował pięć set dublonów. W drodze mój towarzysz odezwał się: jeżeli nie mamy dość pieniędzy na kupno dóbr wspaniałych, to jednak wystarczy nam na nabycie niezgorszéj wioski. Gdybyśmy mieli mieć tylko jednę lepiankę, odpowiedziałem, będę w niéj kontent z mojego losu. Lubo dopiéro jestem w połowie mojego zawodu, czuję się jednak niezdatnym dla świata i odtąd pragnę tylko żyć dla siebie. Prócz tego, muszę ci powiedzieć, że z przyjemności życia wiejskiego utworzyłem sobie obraz, który mnie zachwyca. Zdaje mi się, że patrzę na łąki kwiatem ubarwione, że słyszę śpiéw słowika, szmer strumienia, to raz bawię się polowaniem, to znowu łowię ryby. Wyobraź sobie przyjacielu rozmaite rozkosze, jakie nas czekają w naszém ustroniu, a równie jak ja zachwycony będziesz. Co się tyczy naszego pożywienia, najprostsze, będzie najlepsze. Kęs chleba potrafi nas zaspokoić; przynagleni głodem, zjemy go z apetytem i uczujemy w nim smak przedziwny. Rozkosz nie mieści się w wyborze potraw wykwintnych, ona jest w nas; a to jest taka prawda, że najprzyjemniejsze uczty moje, nie zawsze są te, na których widzę zbytek i wykwintność. Miernosć jest źródłem rozkoszy zbawiennych dla zdrowia.

Za pozwoleniem, panie Gil Blas, przerwał mój sekretarz, ja nie zgadzam się we wszystkiém ze zdaniem twojém, pod względem mniemanéj skromności, jaką mnie uraczać pragniesz. Dlaczegóż to mamy się żywić jak Dyogenes? Jedząc nie tak źle, zdaje mi się, że nie będziemy mniéj zdrowi. Wierzaj mi, ponieważ dzięki Bogu, mamy czém uprzyjemnić nasze ustronie, nie róbmy z niego przybytku głodu i nędzy. Skoro tylko kupiemy wioseczkę, musimy ją opatrzyć w dobre wino i inne zasoby odpowiednie ludziom ukształconym, którzy nie dla tego usuwają się od towarzystwa ludzkiego, aby się zrzec wygód życia, lecz żeby ich z większą swobodą używać. „Co się ma w domu, mówi Hezyod, nie szkodzi, gdy tymczasem to szkodzić może, czego się nie ma. Lepiéj jest, dodaje on, mieć u siebie rzeczy potrzebne, aniżeli pragnąć ich posiadania.“

Daj go Bogu, panie Scypionie, przerwałem ja znowu, a to ty widzę znasz poetów greckich! gdzieżeś się zapoznał z Hezyodem? U jednego uczonego, odpowiedział. Służyłem przez czas niejaki u klechy, wielkiego komentatora. U niego niczém było ułożyć gruby tom. Sklejał go z ustępów hebrajskich, greckich i łacińskich, które wybierał w swojéj bibliotece i tłumaczył na język Kastylski. Że zaś byłem jego przepisywaczem, zatrzymałem w pamięci mnóstwo zdań równie uderzających, jak to, które wspomniałem. Kiedy tak, to musisz mieć pamięć pięknie uposażoną. Ale wracając do naszych zamiarów, jakże myślisz, w którém z królestw hiszpańskich mamy założyć naszę rezydencyę filozoficzną? Ja jestem za Aragonią, odpowiedział mój powiernik. Znajdziemy tam rozkoszne okolice, w których mile życie przepędzać będziemy mogli. Bardzo dobrze, rzekłem, osiądziemy w Aragonii, zgadzam się na to. Bodajbyśmy tam wygrzebali jakie schronienie, któreby mi zapewniło rozkosze, jakiemi się napawa moja wyobraźnia.

Rozdział X.

Co zrobili przybywszy do Madrytu. Kogo Gil Blas spotkał.

Przybywszy do Madrytu stanęliśmy w małym hotelu, w którym Scypion zwykł był zajmować mieszkanie w czasie swoich podróży: natychmiast udaliśmy się do pana Salero dla odebrania z rąk jego moich dublonów. Przyjął nas bardzo dobrze, wynurzył mi wielką radość, że mnie widzi na wolności. Zaręczam panu, że twoje nieszczęście przejęło mnie wstrętem do wszystkich dworaków. Fortuna ich nadto podobna do bańki mydlanéj. Dla tego téż córkę moję Gabryellę wydałem za bogatego kupca. Wybornie zrobiłeś, odpowiedziałem, bo naprzód jestto coś pewniejszego, a powtóre mieszczanin zostawszy teściem znakomitego człowieka nie zawsze bywa kontent z wielmożnego pana zięcia.

Następnie zmieniając rozmowę i przystępując do rzeczy: panie Gabryelu, mówiłem, bądź łaskaw zwrócić mi te dwa tysiące luidorów, które . . . Twoje pieniędze są gotowe, przerwał złotnik, i zaprowadziwszy nas do gabinetu pokazał dwa worki z napisem na etykietach: „Te dublony należą do pana Gil Blasa z Santillany.“ Oto jest, rzekł, depozyt w tym samym stanie, w jakim mi powierzono.

Podziękowałem Salerze za radość, jaką mi sprawił, i bardzo łatwo pocieszony po stracie jego córki, wziąwszy moje worki wróciliśmy do hotelu i tam zajęliśmy się przeglądem naszych podwójnych luidorów. Liczba była zupełna z odjęciem pięćdziesięciu użytych na koszta mojego wyzwolenia. Teraz już tylko myśliliśmy o podróży do Aragonii. Mój sekretarz podjął się kupna powozu podróżnego i dwóch mułów. Ja zabrałem się do sprawienia bielizny i sukni. Kiedy więc chodziłem po ulicach za sprawunkami, spotkałem barona Steinbach, owego oficera gwardyi niemieckiéj, u którego się don Alfons wychował.

Skłoniłem się temu kawalerowi niemieckiemu, który mnie poznał odrazu, i uściskał serdecznie. Cieszę się niesłychanie, rzekłem, żem spotkał pana w przedziwném zdrowiu, a zarazem, że mi się nastręczyła sposobność powzięcia wiadomości o moich drogich panach don Cesarze i don Alfonsie de Leyva. Mogę ci udzielić niewątpliwych, odpowiedział, ponieważ w téj chwili są obadwa w Madrycie i do tego mieszkają w moim domu. Już niemal trzy miesiące upływa jak bawią w stolicy, do któréj przybyli dla podziękowania królowi za łaskę, którą don Alphons otrzymał w dowód uznania zasług jego przodków. Mianowany jest gubernatorem Walencyi, nie prosząc wcale o tę posadę, ani używając nikogo do jéj wyjednania. Nie masz nadto nic przyjemniejszego i to dowodzi, że nasz monarcha lubi męztwo.

Lubo lepiéj wiedziałem, niż baron Steinbach, co o tém myśléć trzeba, udałem wszakże zupełną nieświadomość tego co mi powiadał. Objawiłem mu tak gorącą żądzę oglądania moich dawnych panów, że dla jéj zaspokojenia zaprowadził mnie natychmiast do swojego mieszkania. Ciekawy byłem doświadczyć don Alfonsa i z przyjęcia jego wnosić, czy téż jeszcze zatrzymał cokolwiek z dawnego przywiązania do mnie. Zastałem go w sali grającego w szachy z baronową Steinbach. Opuścił grę i wstał zaraz spostrzegłszy mnie. Postąpił do mnie z uniesieniem radości i ściskając mnie czule: Santillano, rzekł, tonem szczére ukontentowanie objawiającym, przecież w końcu wracasz do mnie! Jestem zachwycony. Nie ode mnie zależało, żebyśmy byli zawsze z sobą. Błagałem cię, jeżeliś nie zapomniał, abyś się nie oddalał z zamku Leyva. Nie baczyłeś na moje proś-

by. Ale nie poczytuję ci tego za wykroczenie, nawet wdzięczny ci jestem za powody twojego usunięcia się. Jednakże od owéj chwili powinienbyś był donieść mi coś o sobie i oszczędzić mi trudu szukania cię w Granadzie, gdzieś miał się znajdować, jak mi powiadał don Ferdynand mój szwagier.

Po tém małém połajaniu, powiédz mi teraz, co robisz w Madrycie. Masz tu zapewne jaki urząd. Bądź przekonany, iż los twój teraz więcéj mnie niż kiedykolwiek obchodzi. Panie, odpowiedziałem, przed cztérema miesiącami zajmowałem dosyć znaczną posadę przy dworze. Miałem zaszczyt być sekretarzem i powiernikiem księcia Lerma. Czy może być? zawołał don Alphons z największém podziwieniem. Jakto, tybyś miał posiadać zaufanie piérwszego ministra? Pozyskałem jego względy i straciłem w sposób, jak panu zaraz opowiém. Wtedy wyjaśniłem mu całą tę historyą i skończyłem wynurzeniem postanowienia, że chcę sobie kupić zagrodę małą i w niéj pędzić życie ustronne.

Syn don Cezara wysłuchawszy z wielką uwagą, rzekł: mój kochany Gil Blasie, wiész, żem cię zawsze kochał; teraz jesteś mi jeszcze milszym jak kiedykolwiek, muszę ci dać dowód tego, ponieważ Bóg dał mi możność powiększyć twoje dobra.



Żebrak.

Nie będziesz już więcéj igrzyskiem losu. Chcę cię wyzwolić zpod jego władzy, robiąc cię panem włości, któréj ci wydrzéć nie potrafi. Ponieważ chcesz żyć na wsi, daruję ci wioseczkę w bliskości Lirias, o cztéry mile od Walencyi. Znasz ją. Jestto ofiara, którą ci złożyć możemy bez własnego uszczérbku. Mogę ci śmiało zaręczyć, że ojciec mój nie zgani tego, a dla Serafiny będzie to prawdziwa rozkosz.

Rzuciłem się do stóp don Alphonsa, który mnie szybko podniósł. Ucałowałem jego ręce, a bardziéj rozrzewniony jego dobrém sercem, niż samém dobrodziejstwem: panie, odezwałem się do niego, postępowanie twoje zachwyca mnie. Dar, który mi ofiarujesz, tém przyjemniejszy jest dla mnie, że uprzedza świadomość przysługi, jaką ci wyświadczyłem; i miléj mi jest przyjmować go z twojéj wspaniałomyślności, aniżeli z wdzięczności. Mój pan gubernator zdumiał się trochę na te moje słowa, nie mógł się wstrzymać od zapytania, cobyto była za przysługa. Ani mu do głowy nie przyszło, równie jak i baronowi Steinbach, że gubernatorstwo Walencyi dane mu zostało przez moje wpływy. Stémwszystkiém nie mogąc o tém powątpiéwać, Gil Blasie, rzekł, ponieważ tobie winienem moję posadę, nie chcę poprzestać na darze wioseczki Lirias, dodaję do tego dwa tysiące dukatów rocznéj pensyi.

Stój, panie don Alphonsie, przerwałem w tém miejscu. Nie budź mojéj chciwości. Majątek znaczny psuje moje obyczaje, aż nadto doświadczyłem tego. Przyjmuję chętnie wioskę Lirias; będę w niéj żył wygodnie z tém, com zebrał zkądinąd. Ale to jest dostateczne dla mnie, i zamiast pragnąć więcéj, zgodziłbym się raczéj na utratę tego, co może być zbyteczne w tém co posiadam. Bogactwo jest ciężarem na ustroniu, w którém się szuka życia spokojnego.

Kiedyśmy w ten sposób rozprawiali, nadszedł don Cesar. Nie mniejszą objawił radość, ujrzawszy mnie, jak i syn jego pierwéj; a dowiedziawszy się o zobowiązaniu, jakie rodzina jego miała dla mnie, nalegał abym przyjął pensyą, lecz odmówiłem znowu. Wreszcie syn i ojciec zaprowadzili mnie do pisarza aktowego, kazali spisać darowiznę, i podpisali z większą ochotą, niżby to może zrobili z aktem na ich korzyść ułożonym. Skoro umowa wykończona została, wręczyli mi ją, oświadczając, że włość Lirias już odtąd do nich nie należy, że mogę objąć ją w posiadanie, kiedy mi się podoba. Wrócili potém do barona Steinbach, a ja pobiegłem do mojego hotelu, gdziem w podziwienie wprawił mojego sekretarza, kiedym mu doniósł, że mamy włość w królestwie Walencyi i kiedym opowiedział jakim ją sposobem nabyłem. Ile może przynosić ta wioska? zapytał się. Pięćset dukatów czystego dochodu, odpowiedziałem, i mogę cię zapewnić, że to jest miłe schronienie. Znam ją, bom ją zwiédzał kilka razy w charakterze intendenta panów de Leyva. Jestto domek nad brzegiem rzeki Gwadalawiar, we wsi z pięciu, lub może sześciuset dymów złożonéj w okolicy rozkosznéj.

Co mnie najwięcéj cieszy, zawołał Scypion, to to, że będziemy mieli piękną zwierzynę, wino Benicario i przedziwny muskatel. Daléjże mój panie, spieszmy się, rzucajmy świat, i dążmy do naszéj pustelni. Niemniéj jak ty radbym już być tam, odpowiedziałem, ale muszę piérwéj zboczyć do Asturyi. Mój ojciec i matka nie są w najlepszym stanie. Chcę ich zabrać z sobą do Lirias, gdzie w pokoju przepędzą resztę dni swoich. Bóg zapewne udzielił mi to schronienie, abym ich w niém umieścił, i skarałby mnie niezawodnie, skorobym tego zaniedbał. Scypion pochwalił mój zamiar, i zachęcał do jego wykonania. Nie traćmy czasu, rzekł, już mam zapewniony powóz; kupujmy co prędzéj muły i daléj w drogę do Oviedo. Tak jest, mój przyjacielu, jedźmy najspieszniéj, jak tylko można. Poczytuję sobie za obowiązek niezbędny podzielać schronienie z tymi, którzy mi życie dali. Wnet ujrzymy się w naszéj zagrodzie, a skoro tam przybędę, nade drzwiami mojego mieszkania napiszę złotemi literami te dwa wiérsze łacińskie:

Inveni portum. Spes et fortuna valete!
Sat me lusistis: ludite nunc alios!

KSIĘGA DZIESIĄTA.

Rozdział I.

Gil Blas jedzie do Asturyi. W Walladolid odwiédza doktora Sangrado i przypadkiem spotyka pana Manuela Ordonnez.

Właśnie pod ten czas gdyśmy się zabiérali do opuszczenia Madrytu, mając się udać w drogę do Asturyi, Paweł V mianował księcia Lerma kardynałem. Papiéż pragnąc ustanowić w Neapolu inkwizycyę św., ozdobił purpurą tego ministra, by tym sposobem zobowiązać go do wyjednania przyzwolenia króla Filipa na tak chwalebny zamiar. Wszyscy, którzy tak dokładnie jak ja znali tego nowego członka św. kollegium, zgadzali się, że kościół nie mógł piękniejszego zrobić nabytku.

Scypion, który wolałby raczéj widziéć mnie na świetnéj posadzie przy dworze, niż zagrzebanego w samotności, radził mi przedstawić się nowemu kardynałowi. Być może, odezwał się do mnie, że Jego Eminencya widząc cię wyzwolonego za rozkazem królewskim, uzna za rzecz przyzwoitą, nie udawać już zagniéwanego i przyjmie cię do swoich usług. Panie Scypionie, odpowiedziałem, zapominasz widocznie, żem pozyskał łaskę

królewską pod warunkiem niezwłocznego opuszczenia obudwóch Kastylij. Prócz tego, czy sądzisz, iż już obmierzł mi mój zamek w Lirias? Jużem ci powiedział i dziś ci powtarzam, że gdyby książę Lerma przywrócił mi swoje zaufanie, gdyby mi nawet ofiarował miejsce don Rodriga Calderone, odrzuciłbym. Postanowienie moje niezachwiane, chcę udać się do Oviedo, zabrać moich rodziców i osiąść z nimi w okolicy Walencyi. Co do ciebie mój przyjacielu, jeżeli ci żal, żeś losy swoje połączył z moim, oświadcz tylko, a dam ci chętnie połowę mojéj gotówki, z czém będziesz mógł żyć w Madrycie i dźwigać się, jak można, najwyżéj.

Jak to, zawołał mój sekretarz, tknięty temi wyrazami, możeszże posądzać mnie o jakąś niechęć towarzyszenia ci w twojém ustroniu? takowe podejrzenie obraża moją gorliwość i moje przywiązanie. Toż więc Scypion, ów wierny sługa, który podzielając twoje troski, chętnieby resztę dni swoich przepędził z tobą w turmie Segovii, z żalem miał ci towarzyszyć do ustronia, w którem sobie tysiączne marzy przyjemności! Nie, panie, nie, ja niemam zamiaru odstręczać cię od twojego przedsięwzięcia. Muszę ci się przyznać do mojéj złośliwości: kiedym cię namawiał do przedstawienia się księciu Lerma, chciałem cię tylko wymacać, czy jeszcze w duszy twojéj nie została jaka iskierka dumy. Lecz kiedy cię widzę tak obojętnym na wielkości światowe, opuszczajmy więc jak najprędzéj dwór, by używać rozkoszy niewinnych i miłych, których tak cudowne utworzyliśmy sobie wyobrażenie.

Wyjechaliśmy więc wkrótce w powozie zaprzężonym dwoma wybornemi mułami, mając za woźnicę chłopaka, który pomnożył nasz orszak, bo tak mi się zdawało przyzwoiciéj. Pierwszy nocleg odprawiliśmy w Alcala de Henares, drugi w Segowii, zkąd, nie odwiedziwszy nawet mojego szlachetnego nadzorcy Tordesillas, pospieszyliśmy do Penafiel nad Duero, a nazajutrz do Walladolid. Na widok tego ostatniego miasta westchnąłem głęboko. Towarzysz mój usłyszawszy to, zapytał się o przyczynę. Mój kochany, rzekłem, tu ja długo dosyć zajmowałem się sztuką lekarską. Nie mogę o tém spokojnie pomyśléć. Sumienie moje w téj chwili robi mi tajne wyrzuty. Co mówię! zdaje mi się, że wszyscy chorzy, których pozabijałem wychodzą z grobów, aby mnie w sztuki poszarpać! Co za urojenie! odezwał się sekretarz. Zaiste panie Santillana, pan jesteś nadto dobry. Czego tu żałować, żeś spełniał swoje rzemiosło? Przypatrz się osiwiałym lekarzom, czują ż oni podobne wyrzuty sumienia? Oh, dalibóg nie; ciągle tąż samą postępują drogą, zwalając na naturę wypadki smutne, chełpiąc się ze szczęśliwych.

To prawda, rzekłem, że doktor Sangrado, którego metody ściśle się trzymałem, był właśnie w tém usposobieniu, choć widział jak codziennie po dwadzieścia osób ginęło z jego ręki, on przecież tak był przekonany o dziwnéj skuteczności krwi puszczania i obfitego picia wody, iż to nazywał dwoma jedynemi lekarstwami na wszystkie choroby, tak dalece, że zamiast nie ufać swoim lekom, on winę przypisywał umierającym, że za mało pili i nie dosyć im krwi upuszczono. Przebóg, zawołał Scypion, śmiejąc się do rozpuku, a to niezrównany człowiek. Jeżeli chcesz go widzieć i słyszyć, rzekłem, możesz zaraz jutro zaspokoić swoją ciekawość, jeżeli tylko Sangrado żyje i jest jeszcze w Walladolid; czemu nie bardzo wierzę, bo już był bardzo stary, kiedym się od niego oddalał, a od tego czasu już wiele lat upłynęło.

Skoro stanęliśmy w hotelu, najpiérwszém naszém staraniem było powziąć wiadomość o tym doktorze. Dowiedzieliśmy się, że jeszcze żyje, lecz nie mogąc dla podeszłego wieku odwiedzać chorych, ani narażać się na ruch mocniejszy, zostawił wolny bruk trzem, czy czterem innym lekarzom, którzy pozyskali wziętość nową metodą, tyleż wartą co i jego dawna. Postanowiliśmy więc dzień następny pozostać w Walladolid, już to dla wypoczynku mułów, już téż dla odwiedzenia doktora Sangrada. Udaliśmy się do niego o godzinie dziewiątéj rano: zastaliśmy go w krześle z książką w ręku. Powstał zaraz ujrzawszy nas i krokiem pewnym jak na siedmdziesięcioletniego starca, zbliżył się z zapytaniem, czegobyśmy od niego żądali. Panie doktorze, odezwałem się, przypatrz mi się bacznie, czy mnie sobie nieprzypominasz wcale. Ja przecież miałem zaszczyt być twoim uczniem. Czy nie wpada ci na myśl niejaki Gil Blas, który niegdyś był twoim stołownikiem i substytutem? Ha, to ty Santillano? odpowiedział mi, ściskając mnie serdecznie. Nie byłbym cię wcale poznał, kontent jestem że cię oglądam. Cóżeś robił po naszém rozłączeniu się? Zapewne ciągle zajmowałeś się sztuką lekarską? Do tego w istocie miałem wiele pociągu, odpowiedziałem, ale bardzo ważne powody stanęły na zawadzie.

Tém gorzéj, ozwał się Sangrado, z zasadami, jakie powziąłeś u mnie, byłbyś został zręcznym lekarzem, byleby cię niebo łaskawie ochroniło od niebezpiecznego zamiłowania chemii. Ah, mój synu, mówił daléj tonem żałosnym i deklamatorskim, co za odmiany w medycynie od lat kilku! widzisz mnie zdumionego i rozgniewanego, nie bez przyczyny. Obdzierają tę sztukę z całéj godności i honoru. Ta sztuka, która po wszystkie wieki szanowała życie ludzkie, stała się teraz właśnie łupem płochości, zarozumienia i nieświadomości, bo czyny zatém mówią, a niebawnie kamienie krzyczeć będą przeciw rozbojom naszych praktykantów: *lapides clamabunt.* Ujrzysz tu lekarzy, czy téż tak nazwanych lekarzy, którzy się zaprzęgli do wozu tryumfalnego antimonu: *currus triumphalis antimonii*; zbiegów ze szkoły Paracelsa, czcicielów czerwcu, lekarzy na chybił, trafił, którzy całą znajomość sztuki lekarskiéj zasadzają na umiejętności przyrządzania lekarstw chemicznych. Co więcéj ci powiém? niczego nie odgadniesz w ich metodzie, naprzykład puszczanie krwi z nóg, niegdyś tak rzadkie, dziś prawie wyłącznie jest w użyciu; przeczyszczania niegdyś łagodne i powolne, zamieniły się na czerwiec i na emetyk. Słowem to istny chaos, w którym każdy sobie pozwala co mu przyjdzie do głowy, przekracza granice porządku i mądrości, jakie zakreślili nasi pierwsi mistrze.



Śmierć Antonii.

Lubo wielką miałem pokusę do śmiechu z tak komicznéj deklamacyi, przecież potrafiłem ją przezwyciężyć; co większa sam deklamowałem przeciw czerwcowi, nie wiedząc co to jest, przeklinałem na ślepy traf jego wynalazców. Scypion spostrzegłszy, że mnie bawiła scena, wetchnął także swoje trzy grosze.

Mości doktorze, odezwał się do Sangrada, będąc wnukiem stryjecznym lekarza dawnéj szkoły, niech mi wolno będzie wraz z panem powstawać na lekarstwa chemiczne. Nieboszczyk dziadunio stryjaszek, panie świéć nad duszą jego, tak zapalonym był stronnikiem Hipokratesa, iż częste staczał bójki z empirykami, którzy mówiąc o tym królu medycyny nie wyrażali się z należytém uszanowaniem. Dobra krew jest nieodrodna; z miłą chęcią zostałbym katem dla tych wznowicieli, na których się użalasz z taką słusznością i wymową. Jakiż nieład te nędzniki szerzą w społeczności ludzkiéj.

Ten nieład daléj jeszcze sięga, niż ci się zdaje. Na nic się nie przydało ogłoszone przeze mnie dzieło przeciw rozbojom medycyny; owszem wzmagają się one coraz bardziéj. Chirurgi, których szał owładnął udawać doktorów, sądzą, że są nimi skoro idzie o podanie czerwcu lub emetyku, do czego dołączają puszczanie krwi z nóg według swojego urojenia. Posuwają się nawet do mieszania czerwcu w tyzanny z ziół, i elixiry orzeźwiające, a tym sposobem stają w parze z doświadczonymi lekarzami. Ta zaraza Bóg wié jak dalece się rozszerzyła. Te małpy sztuki lekarskiéj poświęcają się chemii i przyprawiają zgubne leki, skracając niemi życie swoich bliźnich. Jest takich ze sześćdziesięciu w Walladolidzie, sam więc osądź jaką pożogę sprawia czerwiec z emetykiem i puszczaniem krwi z nóg! Panie Sangrado, odezwałem się wtedy, masz słuszność gniewać się na tych rzeźników, ubolewam wraz z tobą, podzielam twoją trwogę o życie ludzkie, oczywiście zagrożone przez metodę tak sprzeczną z twoją. Lękam się aby chemia kiedyś nie zgubiła medycyny, tak jak fałszywa moneta gubi państwa. Zachowaj Boże aby ten dzień nieszczęsny nie był zbyt blizkim!

W téj właśnie chwili weszła stara służąca, niosąc na talerzyku ciasteczko i dwie karafki, jedna z wodą, druga z winem. Zjadłszy kąsek popił szklaneczką, w któréj było wprawdzie dwie trzecie wody, a jedna wina, ale go to przynajmniéj nie zasłoniło od wyrzutów, do których mi podał sposobność. Aha! panie doktorze, schwytałem pana na uczynku. Pan pijesz wino, pan coś zawsze powstawał na ten napój, coś przez trzy czwarte swojego wieku wodę pił tylko, coś się stał przyczyną, że ja od dziesięciu lat ani kropli wina nie wypiłem. Odkądże to tak się zmieniłeś? Wiekiem tłumaczyć się nie możesz, bo w jednem z dzieł własnych określasz starość jako suchoty natury, które nas trawią, na téj zaś zasadzie ubolewasz nad głupotą tych, którzy wino zowią mlékiem starców. Cóż więc powiész na swoje usprawiedliwienie?

Rozpoczynasz ze mną wojnę wcale niesłusznie, odpowiedział stary lekarz. Gdybym czyste pił wino, słuszniebyś mnie obwiniał o przeniewierzenie się mojéj własnéj metodzie, ale widzisz, że moje wino jest bardzo roztworzone. Druga sprzeczność, rzekłem, szanowny mistrzu, przypomnij sobie, żeś za złe poczytał kanonikowi Sedillo, że pił wino, chociaż także roztwarzał je wodą. Przyznaj dobrowolnie, żeś poznał swój błąd, że wino nie jest zgubnym napojem, jak to twierdzisz w swoich dziełach, byleby go używać z umiarkowaniem.

Te wyrazy zmieszały nieco naszego doktora. Nie mógł zaprzeczyć, iż w dziełach swoich zakazał wina; ale wstyd i próżność nie dozwalały mu przyznać słuszności mojego zarzutu, nie wiedząc zaś co odpowiedzieć, mięszał się. Dla wydobycia go z kłopotu zmieniłem przedmiot rozmowy, a po chwili pożegnałem go zachęcając, aby nie przestawał walczyć z nowemi praktykantami. Śmiało, panie Sangrado, mówiłem, nie trać odwagi, gań czerwiec, szydź z puszczania krwi z nóg. Jeżeli mimo twoją gorliwość i przywiązanie do prawowierności medycznéj, klika empiryków potrafi zniszczyć dawną karność, tę przynajmniéj zachowasz pociechę, iż do jéj utrzymania nie szczędziłeś trudu.

Kiedyśmy wracali do naszego hotelu rozmawiając o zabawnym i oryginalnym charakterze doktora, przechodził koło nas człowiek sięgający sześćdziesiątego roku życia, oczy spuścił w ziemię, w ręku zaś trzymał duży różaniec. Spojrzałem na niego z uwagą i wnet poznałem w osobie jego pana Manuela Ordonez, tego zacnego administratora szpitala, com o nim w piérwszéj części tak zaszczytną zrobił wzmiankę. Zbliżyłem się doń z wielkiém uszanowaniem, mówiąc: Sługa najniższy szanownego pana Manuela Ordonez, człowieka najzdolniejszego do ochrony grosza ubogich. Na te słowa bystro wejrzał na mnie, odpowiadając, że rysy moje są mu wprawdzie znane, ale nie może sobie przypomnieć, gdzieby mnie widział. Nie dziwi mnie to, odpowiedziałem, nie masz w tém nic osobliwszego, żeś nie zwracał na mnie uwagi, bywałem u pana wówczas, kiedyś miał u siebie w służbie mojego przyjaciela, nazwiskiem Fabrycego Nunez. Ah, teraz przypominam sobie, odpowiedział z uśmiéchem uszczypliwym, a to właśnie ztąd, żeście obadwa byli wyborne chłopcy, obadwaście nie jednę psotę młodzieńczą spłatali. Cóż się téż dzieje, z tym biédnym Fabrycym? Ilekroć pomyślę o nim, boję się o jego utrzymanie.

Właśnie żeby o nim pana zawiadomić, pozwoliłem sobie zatrzymać go na ulicy. Fabrycy jest w Madrycie, zajmuje się dziełami mieszanemi. Cóż to nazywasz dziełami mieszanemi? zagadnął mnie. To mi się zdaje dwuznaczne. Chcę mówić, odpowiedziałem, że pisze wierszem i prozą; składa komedye i romanse, słowem jest to chłopiec z talentem, mile widziany w wielkich domach. Ale, zapytał się administrator, jakże wychodzi ze swoim piekarzem? Nie szczególnie, odpowiedziałem, nie tak dobrze, jak z osobami znakomitemi: mówiąc między nami, nie sądzę, aby był dosyć zamożnym. Ja nie wątpię o tém, rzekł Ordonez, niech nadskakuje możnym jak chce; jego grzeczności, pochlebstwa, mniéj mu jeszcze przyniosą jak dzieła. Przepowiadam ci, że go niedługo zobaczysz w szpitalu.

To łatwo być może, odezwałem się, poezya już nie jednego tam zawiodła. Przyjaciel mój Fabrycy byłby daleko lepiéj zrobił pozostawszy u pana, byłby do tego czasu opływał w dostatki. Przynajmniéj żyłby wygodnie, odpowiedział Manuel. Kochałem go, miałem zamiar posuwając go ze stopnia na stopień wystarać mu się w domu ubogich o stałe uposażenie, kiedy mu wpadło do głowy bawić się w literaturę. Nierozsądny! napisał komedyą, którą komedyanci w naszém mieście przedstawili: sztuka się powiodła i to zawróciło głowę autorowi. Zdało mu się, że jest nowym Lope de Vega, a przenosząc dymek pochwał nad rzeczywiste korzyści, jakie mu po przyjacielsku zapewniałem, żądał uwolnienia. Chciałem przez litość nakłonić go do zmiany przedsięwzięcia; nie mogłem powściągnąć głupca, którego szał pismactwa opanował. Nie znał swojego szczęścia, dodał administrator, chłopak, któregom po nim przyjął do służby, może zaświadczyć, rozsądniejszy od Fabrycego, choć mniéj dowcipny, starał się, jedynie spełniać swoje obowiązki i zyskać moją przychylność. Dla tego téż posuwałem go, jak na to zasługiwał, teraz zajmuje w szpitalu dwa urzędy, z których jeden tylko, aż nadto wystarczy na uczciwe utrzymanie człowieka z liczną familią.

Rozdział II.

Gil Blas szczęśliwie przybywa do Oviedo. W jakim stanie zastaje swoich rodziców.

Z Walladolid w cztery dni przybyliśmy do Oviedo, nie doznawszy w drodze żadnéj złéj przygody, mimo przysłowie, które opiewa, że złodzieje z daleka zwęszą piéniądze. A byłaby to jednak nie zła gratka dla nich, dwóch mieszkańców z owego podziemia potrafiłoby nam bez trudności zabrać nasze dublony, bo ja przy dworze nie nabrałem odwagi, Bertrand, mój młody stangret, nie zdawał się mieć ochoty tracić życie w obronie piéniędzy swojego pana, jeden tylko Scypion co zakrawał nieco na giermka.

Już noc była kiedyśmy stanęli w Oviedo. Zajechaliśmy do hotelu w sąsiedztwie wuja mojego kanonika Gil Perez. Radbym był jak najprędzéj wywiedzieć się o stanie moich rodziców, nimbym się im przedstawił; w tym celu nie mogłem się lepiéj udać jak do gospodarza, lub gospodyni téj karczmy, których znałem bardzo dobrze jako ludzi, którym nie mogły być tajne sprawy ich sąsiadów. W istocie gospodarz przypatrzywszy mi się dobrze, poznał mnie i zawołał: Święty Antoni padewski!

a toć to syn poczciwego koniuszego Gil z Santillany. A jużci prawda! ozwała się gospodyni, to on sam: poznałam go, nic się prawie nie zmienił, ten sam bystry chłopak, który miał więcéj rozumu, niż wzrostu. Jakbym patrzyła na niego, kiedy przychodził tu z butelką po wino na wieczerzę swojego wuja.

Pani, rzekłem, masz szczęśliwą pamięć, ale bądź łaskawa powiédz mi co o moich rodzicach. Ojciec mój i matka zapewne nie w bardzo przyjemnym są stanie. Oh, to prawda, odpowiedziała gospodyni, jakkolwiek wystawiłbyś sobie złe ich położenie, jeszczebyś nie miał wyobrażenia osób tyle politowania godnych. Szanowny człowiek Gil Perez sparaliżowany na połowę ciała, nie długo pociągnie, jak się zdaje, ojciec twój, który od niejakiego czasu mieszka u kanonika, cierpi na piersi, czyli jaśniéj mówiąc waży się między życiem a śmiercią, a matka twoja, także nie najzdrowsza, zmuszona jest pielęgnować i jednego i drugiego, oto jest ich położenie.

Na takowe sprawozdanie uczułem, że jestem synem, zostawiłem Bertranda w hotelu z mojemi mułami, a sam z sekretarzem, który nie chciał mnie odstępować, poszedłem do wuja. Skoro tylko stanąłem przed matką, wzruszenie jakie jéj sprawiłem dało mnie poznać piérwéj nim mogła przypomnieć sobie moje rysy. Uściskawszy mnie, rzekła ze smutkiem, mój synu, pójdź, obacz umiérającego ojca; w sam czas przybywasz, aby być świadkiem okropnego widoku. To mówiąc zaprowadziła mnie do izby, w któréj nieszczęśliwy Blas z Santillany złożony na łożu świadczącém o ubóstwie biédnego koniuszego, ostatniéj czekał godziny. Chociaż otoczony cieniem śmierci, miał przecież niejaką przytomność. Mój kochany przyjacielu, rzekła mu matka, oto Gil Blas twój syn, prosi cię o przebaczenie za wszystkie zgryzoty, jakie ci zrządził, a zarazem żąda twojego błogosławieństwa. Na te słowa ojciec mój otworzył oczy, już tylko co zamknąć się mające na wieki, wlepił je we mnie, a widząc jak mnie ta strata dotykała, rozrzewnił się moją boleścią, chciał coś mówić, lecz brakło mu siły. Ująłem rękę jego i kiedym ją zlewał łzami nie mogąc ani słowa wyrzec, on skonał, jak gdyby tylko na moje przybycie oczekiwał, by ostatnie wydać tchnienie.

Matka moja była aż nadto przygotowana na ten cios, aby się miała trapić bez pomiarkowania; ja może więcéj niż ona ściśnięty byłem żalem, chociaż ojciec mój nigdy w życiu nie dał mi najmniejszego dowodu przywiązania. Żeby opłakiwać zgon jego dość było, żem był synem, ale prócz tego wyrzucałem sobie, żem go nie wsparł; a kiedym pomyślił o mojéj zatwardziałości, uważałem się za potwór niewdzięczności, a raczéj za ojcobójcę. Wuj któregom widział na innem łożu, wstanie politowania godnym, nowych przyczynił mi zgryzot. Wszystko cokolwiek dla mnie zrobił, stanęło mi przed oczyma. Synu wyrodny, mówiłem sam do siebie, przypatrz się za karę nędzy twoich rodziców. Gdybyś był im udzielił choć cząstkę małą tego mienia jakieś posiadał przed uwięzieniem, byłbyś im zapewnił wygody, których mieć nie mogli z dochodów prebendy, a może tém samém byłbyś przedłużył życie ojca swojego.

Nieszczęśliwy Gil Perez zdziecinniał, stracił pamięć, żadnego nie miał poznania. Na nic mi się nie przydało, żem go ściskał, żem mu objawiał moją czułość; zdawał się tego nie czuć wcale. Moja matka powiadała mu, że jestem Gil Blas jego synowiec, spoglądał na mnie obojętnie, nic nie mówiąc. Gdyby pokrewieństwo i wdzięczność nie obudzały we mnie politowania nad wujem, tedy nie potrafiłbym się wstrzymać od niego, patrząc na tak smutny stan w jakim się znajdował.

Przez ten czas Scypion w głębokiém milczeniu podzielał mój żal, i spólnie ze mną wzdychał. Domyślając się, że matka moja po tak długiéj nieobecności, zechce ze mną pomówić, a obecność nieznajomego jéj człowieka, mogłaby jéj być nie miłą, wziąłem go więc na stronę i rzekłem: idź mój kochany do hotelu na spoczynek, zostaw mnie samego z matką. Pomówimy z sobą i zapewne dość długo: poczciwa kobiéta możeby cię uważała za zbytecznego przy rozmowie, któréj przedmiotem będą interesa rodzinne. Scypion oddalił się, by nam nie robić przykrości, a ja w istocie całą noc przegadałem z matką. Zdaliśmy sobie na wzajem sprawę z tego, co nam się przytrafiło od czasu oddalenia się mojego z Oviedu. Obszernie bardzo wyłuszczyła mi wszystkie szczegóły zgryzot, jakich doznawać musiała w domach, w których była dozorczynią; i z tego powodu powtórzyła mi mnóstwo rzeczy, których nie byłbym bardzo rad, aby słuchał mój sekretarz, jakkolwiek nic nie miałem ukrytego przed nim. Z całém uszanowaniem, jakiém przejęty jestem dla pamiątki mojéj matki, wyznać muszę, iż była cokolwiek rozwlekłą w swojém opowiadaniu; mogłaby mi była darować trzy czwarte swojéj historyi, gdyby była opuściła okoliczności niepotrzebne.

Skończyła wreszcie, a ja zacząłem. Lekko bardzo dotykałem wszystkich przygód; lecz gdym zaczął mówić o odwiedzinach syna Bertranda Muscada, kupca korzennego w Oviedo, rozszerzyłem się dosyć nad tym przedmiotem. Przyznam się, mówiłem matce, żem bardzo źle przyjął tego chłopca, który zapewne przez zemstę szkaradnie mnie tu odmalował. Tak zrobił w istocie, rzekła. Widział cię, jak nam powiadał, tak dumnym łaską piérwszego ministra, że zaledwie raczyłeś go poznać, a kiedy ci przedstawiał naszą nędzę, słuchałeś go z miną bardzo zimną. A że ojcowie i matki, dodała, zwykle skłonni są do uniewinniania swoich dzieci, nie mogliśmy wierzyć, abyś tak złe miał serce. Przybycie twoje do Oviedo usprawiedliwia zupełnie dobre mniemanie, jakieśmy mieli o tobie, a żal jakim cię przejętego widzę, uzupełnia twoją pochwałę.

Zbyt pochlebnie o mnie sądzisz, rzekłem, w opowiadaniu młodego Muscada jest szczera prawda. Kiedy mnie odwiedzał, zastał mnie zajętego jedynie moim losem, a duma która mnie opanowała, nie pozwoliła mi ani pomyślić o moich rodzicach. Nie masz więc nic dziwnego, żem nie bardzo uprzejmie przyjął człowieka, który przystępując z miną nieokrzesaną, rzekł po grubiańsku, że dowiedziawszy się, iż jestem bogaty jak żyd, radzi mi, abym wam posłał pieniędzy, a to dla tego, że ich bardzo potrzebujecie: wyrzucał mi nawet bez ogródki moją obojętność dla famili, uraziła mnie jego otwartość, a przywiedziony do niecierpliwości, wziąłem go za kark i wyrzuciłem z mojego gabinetu. Zgadzam się na to, żem źle postąpił w tym razie, powinienem był zastanowić się, że wyście wcale temu niewinni, iż kupiec korzenny nie zna grzeczności, lecz rada jego dobra zasługiwała na uwagę, chociaż udzielona była wcale nieprzyzwoicie.

To właśnie wystawiałem sobie wkrótce po wyrzuceniu Muscady. Mimo rozjątrzenie, głos pokrewieństwa odezwał się: przypomniałem sobie obowiązki względem rodziców; a rumieniąc się ze wstydu, że ich tak źle dopełniam, uczułem wyrzuty sumienia, z któremi wszakże nie mogę się przed matką pochlubić, ponieważ niebawnie chciwość przytłumiła je i duma. Ale następnie zamknięty w turmie Segowii z rozkazu króla, zachorowałem niebezpiecznie, i ta to szczęśliwa choroba powróciła wam syna. Tak jest, choroba i więzienie sprawiły to, iż natura odzyskała swoje prawa, one zaszczepiły w sercu mojém wstręt do dworu. Zrzekłem się tego zgiełku światowego, i wzdycham jedynie do samotności. Właśnie dla tego tylko przybyłem do Asturyi, aby was błagać, iżbyście podzielali moje ustronie. Jeżeli matka nie wzgardzi moją prośbą, zawiozę ją do mojéj wioski, którą mam w królestwie Walencyi, tam wygodnie żyć będziemy, oczywista rzecz, żem zamierzał i ojca z sobą zabrać, ale ponieważ niebo inaczéj rozporządziło, niechże przynajmniéj mam ię pociechę mieć u siebie matkę, ażebym uprzejmością na jaką tylko zdobyć się potrafię, mógł wynagrodzić czas, przez który nie byłem jéj użyteczny.

Wdzięczna ci jestem za twoje chwalebne zamiary, rzekła mi wtedy matka, bez wahania się udałabym się z tobą, gdybym nie napotykała trudności. Nie opuszczę twojego wuja, a mojego brata, w stanie, w jakim się obecnie znajduje; przytém zbyt nawykłam do téj okolicy, ażebym ją miała opuszczać; stém wszystkiém ponieważ rzecz ta godna jest głębszéj rozwagi, chcę o niéj pomyśléć swobodniéj. Teraz zajmijmy się pogrzebem ojca twojego. Polećmy to, rzekłem, temu młodemu czło-

wiekowi, który tu był ze mną, nie zbywa mu ani na dowcipie, ani na gorliwości, możemy się spuścić na niego.

Zaledwie to wyrzekłem, gdy Scypion wrócił. Już bowiem dniało. Zapytał się, czy nie potrzebujemy jego usługi w naszym kłopocie. Powiedziałem mu, iż w samą porę przychodzi, aby odebrać ważne polecenie, jakie mu zamierzyłem udzielić, skoro usłyszał o co chodziło: dość na tém, odpowiedział, urządziłem już w myśli cały ten obrzęd; możecie się spuścić na mnie. Pamiętaj, odezwała się moja matka, aby ten obrzęd nie był zbyt wystawny; nie może być nadto skromny dla męża mojego, który w całém mieście znany jest jako koniuszy najuboższy. Pani, odpowiedział Scypion, chociażby był jeszcze uboższym, nie ustąpię ani szeląga. Uważam w tém jedynie mojego pana; był on ponfnym księcia Lerma, ojciec jego powinien być godnie pochowany.

Pochwaliłem zamiar mojego sekretarza; poleciłem mu nawet, by nie szczędził pieniędzy. Resztki próżności, które zachowałem jeszcze, obudziły się przy téj sposobności. Pochlebiałem sobie, że nie szczędząc kosztu dla ojca, który mi żadnéj nie zostawił puścizny, zjednam sobie podziwienie szlachetnego postępowania. Matka moja z swojéj strony, udając skromność, nie gniewała się wcale, że mąż jéj pochowany będzie z okazałością. Daliśmy więc upoważnienie nieograniczone Scypionowi, który nie tracąc czasu przedsięwziął środki potrzebne, aby odbyć pogrzeb wspaniały.

Wybornie mu się udało. Tak pyszny urządził obrzęd, że oburzył przeciw mnie całe miasto z przedmieściami. Wszyscy mieszkańcy Oviedo od największego do najmniejszego urazili się moją chełpliwością, i nie bardzo zaszczytne dla mnie w tym względzie robili wyjaśnienia i uwagi. Jeden mówił, ten minister improwizowany ma pieniądze na pogrzeb ojca, a nie miał ich na jego wyżywienie. Lepiejby było, mówił drugi, żeby był starał się o zapewnienie przyjemności żywemu, aniżeli co mu tyle honorów robi po śmierci. Słowem, nie szczędzono przycinków, kto tylko mógł, dogadywał. Na tém nie poprzestali, łżyli nas, mnie, Scypiona i Bertranda, gdyśmy wyszli z kościoła, najgrawali się z nas, a Bertranda kamieniami pędzili aż do hotelu. Dla oddalenia motłochu, który się zebrał przed domem wuja, musiała matka moja wyjść i zaręczyć, że była bardzo kontenta ze mnie. Inna czereda pobiegła do hotelu, gdzie był mój powóz, z zamiarem potrzaskania go, i byliby to niechybnie zrobili, gdyby gospodarz i gospodyni nie wynaleźli środka pohamowania tych szaleńców i odwrócenia ich od tego przedsięwzięcia.

Takowe obelgi, widoczny skutek mów młodego kupczyka korzennego, przejęły mnie taką odrazą do moich ziomków, iż postanowiłem jak najśpieszniéj opuścić Oviedo, gdzie w innym razie możebym był dość długo zabawił. Oświadczyłem to bez ogródki mojéj matce, która ze swojéj strony, zgryziona takowém przyjęciem, nie opierała się wcale mojemu przedsięwzięciu. Jedyne już tylko było pytanie, jakim sposobem z nią wyjdę. Moja matko, rzekłem, ponieważ wuj potrzebuje twojéj pomocy, nie będę więc nalegał, abyś mi towarzyszyła, ale że zdaje się on nie zbyt dalekim być końca, przyrzecz mi więc, iż przybędziesz natychmiast do mnie na wieś, skoro on rozstanie się z tym światem. Spodziéwam się od ciebie tego dowodu przychylności.

Nie chcę ci obiecywać, rzekła, czego dotrzymać nie potrafię; chcę resztę dni moich przepędzić w Asturyi, w zupełnéj niezawisłości. Alboż nie będziesz samowładną panią w moim zamku? odpowiedziałem. Tego nie wiém, mówiła, nie trzeba więcéj, tylko zakochasz się w jakiéj dziewicy, zaślubisz ją, zostanie moją synową, ja jéj będę świekrą, nie będziemy mogły żyć razem. Przewidujesz, rzekłem, złe zbyt odległe; najprzód, niémam najmniejszéj ochoty żenić się; a powtóre, choćby mi przyszło do głowy, zobowiążę moją żonę, aby ślepo poddała się twojéj woli. To płocha odpowiedź, odezwała się matka, musiałabym żądać rękojmi na rękojmię; obawiałabym się, aby przywiązanie do żony, nie przeważyło nad związkami krwi, nie chciałabym ręczyć, czy w naszych swarach, nie brałbyś raczéj obrony małżonki swojéj, choćby ta i nie miała słuszności.

Pani przedziwnie mówisz, zawołał mój sekretarz wtrącając się do rozmowy; ja także myślę, że synowe uległe są bardzo rzadkie. Żeby jednak was pogodzić, panią i mojego pana, ponieważ koniecznie chcecie mieszkać, pani w Asturyi, a on w królestwie Walencyi, wypada więc, żeby ci przeznaczył pensyą sto luidorów, którą corocznie przywozić będę. Tym sposobem syn i matka, żyć będą bardzo wygodnie, o sto mil jedno od drugiego. Strony interesowane przystały na ten układ, poczém wypłaciłem na piérwszy rok z góry i nazajutrz rano, przed świtem, opuściłem Oviedo, z obawy aby mnie gawiedź nie poczęstowała, jak kiedyś św. Szczepana. Takie było moje przyjęcie w rodzinném mieście. Piękna przestroga dla pospolitego człowieka, który zbogaciwszy się u obcych, wraca by grać rolę osoby ważnéj; im więcéj jaśnieć będzie bogactwy, tém nienawistniejszym się stanie dla swoich ziomków.

Rozdział III.

Gil Blas jedzie do Królestwa Walencyi i przybywa do Lirias.

Puściliśmy się drogą do Leonu, następnie do Walencyi i tak bez pośpiechu postępując, dziesiątego dnia stanęliśmy w Segorbii, zkąd nazajutrz rano, dostaliśmy się do naszéj wioseczki o trzy tylko mile od tego miasta odległéj. W miarę jak coraz bardziéj zbliżaliśmy się do niéj, bawiło mnie, gdym patrzył na mojego sekretarza, jak bacznie śledził wszystkie pałace na prawo i na lewo drogi rozrzucone. Skoro ujrzał jaki okazalszy, pokazując go palcem, mówił: Radbym był, żeby to tam było nasze schronienie.

Nie wiém mój przyjacielu, rzekłem, co ty masz za wyobrażenie o naszém mieszkaniu; jeżeli wszakże wystawiasz sobie, że to jest pałac wspaniały, włość wielkiego pana, szkaradnie się mylisz.

Jeżeli nie chcesz być igraszką twojéj fantazyi, wyobraź sobie domek, jaki miał Horacy w kraju Sabinów, niedaleko Tiburu, który mu darował Mecenas. Don Alphons niemal podobnąż zrobił mi ofiarę. Tem ci gorzéj, ozwał się Scypion, a więc trzeba się przygotować do oglądania nędznéj zagrody. Nie koniecznie, odpowiedziałem, nie zapominaj tylko, żem ci ją bardzo skromnie opisał i oto w téj chwili sam możesz osądzić trafność mojego obrazu. Zwróć oczy w stronę rzeki Guadalawiar, i uważaj nad jéj brzegiem w bliskości téj wioseczki o dziesięciu dymach, dom z czterema skrzydłami, otóż to mój pałac.

Cóż u kata! zawołał mój sekretarz tonem podziwu, a toć to perła ten dom. Prócz szlachetności, jakiéj mu pozór nadają te skrzydła, trzeba przyznać, że jest dobrze zbudowany, w pięknem położeniu, w okolicy wdzięczniejszéj od Sewilli saméj, choć ją rajem ziemskim zowią. Gdybyśmy nawet sami wybierali miejsce naszego pobytu, nie potrafilibyśmy nic gustowniejszego wynaléźć, tak jest zachwycające. Rzeka skrapia je swojemi wodami, gaj gęsty użycza cienia na przechadzkę wśród upału dziennego. Miła samotność! Ah, mój kochany panie, zdaje się, że tu długo zamieszkamy! Cieszy mnie mocno, żeś zadowolony z naszego schronienia, którego nie znasz jeszcze wszystkich przyjemności.

Tak rozmawiając zbliżyliśmy się do domu, którego bramy rozwarły się skoro Scypion oświadczył, że to jest pan Gil Blas z Santillany, przybywający na objęcie w posiadanie zamku. Na to imię tak szanowne dla tych, którzy je usłyszeli, wpuszczono powóz mój na wielki dziedziniec, gdzie wysiadłem z niego, a wsparty z powagą, na ramieniu Scypiona, nadymając się, wszedłem do sali, w któréj natychmiast zebrało się około ośmiu służących. Odezwali się do mnie, że przybywają ze złożeniem hołdu jako nowemu panu: że don Cezar i don Alphons de Leyva wybrali ich na moje usługi, jeden w charakterze kuchmistrza, drugi pomocnika przy kuchni, inny kuchty, ten tam odźwiernego, a reszta lokaje, z rozkazem, aby żadnych odemnie nie przyjmowali pieniędzy, gdyż obadwa ci panowie, chcą ponosić koszta mojego gospodarstwa. Kucharz zwany mistrz Joachim, był główną osobą między służącemi i on zabierał głos,

chcąc grać rolę rozkosznego; powiedział mi, że zrobił nie zły zapas wybornych win, a co się tyczy jedzenia, spodziéwa się, że człowiek taki jak on, co przez sześć lat był kuchmistrzem Jego Excellencyi Arcybiskupa Walencyjskiego, potrafi przyprawiać przysmaczki mile łechcące moje podniebienie. Idę zaraz, dodał, przyrządzić panu próbkę mojéj sztuki. Przejdź się pan, rzekł, nim przyjdzie godzina obiadowa; zwiédź swój zamek; zobacz czy jest godnym mieszkania Waszéj Wielmożności.

Każdy łatwo się domyśli, czym zaniedbał tego przeglądu, a Scypion ciekawszy jeszcze odemnie, wodził mnie z pokoju do pokoju. Przebiegliśmy cały dom od góry do dołu, nie uszedł przynajmniéj jak się nam zdawało, żaden kącik ciekawości naszéj interesowanéj, a wszędzie znalazłem sposobność podziwiania dobroci don Cezara i jego syna, jaką dla mnie objawili. Między innemi rzeczami uderzyły mnie szczególniéj dwa pomieszkania tak pięknie umeblowane, jak tylko można bez przepychu. W jednym były obicia niderlandzkie, łóżko i krzesełka aksamitem pokryte, wszystko bardzo czyste, chociaż pochodziło z czasów, jak Maurowie władali królestwem Walencyi. Sprzęty drugiego pomieszkania były w tymże guście; był tu stary adamaszek genueński żółty, łóżka i krzesła z téjże materyi obite franzlą z jedwabiu błękitnego. Wszystkie te sprzęty, w inwentarzu może nie wielkiéj ceny, tam wydawały się bardzo kosztowne.

Obejrzawszy dokładnie wszystko, wróciliśmy do sali, w któréj zastaliśmy stół nakryty na dwie osoby; siedliśmy więc, a w téj chwili podano nam *olla potrida* tak wyśmienitą, żeśmy żałowali arcybiskupa Walencyjskiego, iż nie miał już kucharza, który ją przyrządził. Prawda, że nie zły mieliśmy apetyt, który nam dodawał smaku. Po każdym kąsku, lokaje podawali nam szklenice pełniuteńkie wybornego wina Mauszy. Scypion zachwycał się niém; nie śmiejąc wszakże w przytomności służby objawiać ukontentowania, jakie czuł wewnętrznie, pokazywał je wymownem spojrzeniem, a ja podobnież dawałem poznać moje zadowolenie. Na pieczyste młody zając przedziwnéj woni, otoczony dwiema tłustemi przepiórkami, usunął trzęsionkę i zupełnie nas nasycił. Najadłszy się jak wygłodzeni i napiwszy stosownie, wstaliśmy od stołu, by się udać do ogrodu i gdziekolwiek w miejscu chłodném i miłém, odprawić rozkoszną *siestę*.

Jeżeli sekretarz mój, cieszył się wszystkiém co widział, nie mniéj uradowany był, zobaczywszy ogród; zdał mu się podobny do eskuryalskiego; nie mógł się nasycić jego widokiem. Prawda, że don Cesar kiedy niekiedy bywając w Lirias miał upodobanie w jego uprawianiu i przyozdabianiu. Wszystkie chodniki piaskiem usypane i drzewami pomarańczowemi wysadzane, wielki zbiornik wody z marmuru białego, pośród którego lew bronzowy, wyrzucał strumień znakomity, miła kwiatów barwa, rozmaitość owoców, wszystko to zachwycało Scypiona; lecz nadewszystko podobała mu się długa ulica, która ciągle zniżając się, wiodła do mieszkania dzierżawcy, osłonioną zewsząd gęstym liściem. Wychwalając tak miłe schronienie przed skwarem słońca, zatrzymaliśmy się tam, usiedliśmy u stóp wiązu rozłożystego, gdzie sen bez trudu opanował dwóch próżniaków po dobrym obiedzie.

We dwie godziny, zerwaliśmy się równemi nogami, na huk kilku strzałów karabinowych, które się tak blizko rozległy, żeśmy obadwa zadrżeli. Wstaliśmy co prędzéj, a dla wywiedzenia się, coby to było, udaliśmy się do mieszkania dzierżawcy. Zastaliśmy ośmiu czy dziesięciu wieśniaków, mieszkańców wioski, którzy zgromadziwszy się tam, czyścili i przestrzeliwali broń na moje przywitanie, powziąwszy wiadomość o mojém przybyciu. Znali mnie po większéj części, bo mnie nie raz widzieli w zamku w charakterze intendenta. Zaledwie mnie spostrzegli, wykrzyknęli razem wszyscy: Niech żyje nowy nasz pan! witamy go w zamku Lirias! Poczém nabili karabiny i uczcili mnie wystrzałem ogólnym. Przyjąłem to wszystko z największą ile możności uprzejmością, ale nie bez powagi, zdało mi się bowiem, iż nie wypada się zbyt z nimi poufalić. Zapewniłem ich o swojéj opiece, rzuciłem na zabawę ze dwadzieścia luidorów, co jak myślę, z całego obejścia się z nimi, nie najmniéj się im podobało. Pozwoliłem im puszczać proch na wiatr, a sam z moim sekretarzem poszedłem w las, po którym chodziliśmy aż do nocy, oglądając z rozkoszą każde drzewo; tak dalece posiadanie włości świéżo nabytéj bywa dla nas czarujące.

Kucharz, pomocnik jego i kuchta, nie próżnowali przez ten czas; gotowali dla nas ucztę lepszą jeszcze od téj, jakąśmy odprawili. Zdziwiliśmy się niezmiernie wszedłszy do sali, w któréj obiad jedliśmy, a w któréj teraz zastaliśmy na stole półmisek z czterema kuropatwami pieczonemi, comber królika z jednéj strony, kapłon z sosem z drugiéj; na przystawki dali uszy wieprzowe, kury marynowane i krem z czekolady. Spijaliśmy dobrze wino Luceńskie i inne gatunki wyborowe; a poczuwszy, że już więcéj pić nie możemy bez uszczerbku zdrowia, zabraliśmy się do spoczynku. Wtedy lokaje wziąwszy świéce, zaprowadzili mnie do najpiękniejszego pokoju, a skoro rozebrawszy mnie podali mi szlafrok, odprawiłem ich tonem pańskim, odzywając się: Idźcie już, nie potrzebuję was na teraz.

Zatrzymawszy Scypiona by z nim jeszcze pomówić, zaczęliśmy się cieszyć szczęśliwym stanem, w jakim się widzieliśmy. Trudno opisać radość, jaką objawił mój sekretarz. Jakże mój przyjacielu, rzekłem, co myślisz o tém obchodzeniu się z nami na rozkaz panów de Leyva? Dalibóg, odpowiedział, nie podobna żądać lepszego; ja tylko pragnę, żeby to tak długo było. Ale ja tego wcale sobie nie życzę, rzekłem, nie wypada, aby moi dobroczyńcy tyle dla mnie ponosili wydatków; byłobyto nadużycie ich wspaniałomyślności. Nadto niedogodnie byłoby mi ze sługami na cudzym mycie; zdawałoby mi się, że nie jestem w swoim domu. Nie przybyłem téż tu, aby tak szumne wieść życie. Co za głupstwo: czyż nam potrzeba tyle sług? Nie, Bertrand, kucharz, kuchcik i jeden lokaj, to aż nadto dosyć. Chociaż mój sekretarz nie gniewałby się żyć ciągle kosztem rządzcy Walencyi, nie sprzeciwiał się jednak mojéj drażliwości w tym względzie, a stosując się do moich uczuć, pochwalił zmiany, które zaprowadzić chciałem. Na tém stanęło, poczém wyszedł z mojego pokoju i udał się do swojéj sypialni.

Rozdział IV.

Gil Blas wyjeżdża do Walencyi dla odwiedzenia panów de Leyva.

Położyłem się w łóżko, ale nie mogąc zasnąć, zatopiłem się w myślach. Stanęła mi przed oczyma przyjaźń, jaką panowie de Leyva odpłacali moje do nich przywiązanie, a przejęty nowemi dowodami, które od nich odebrałem, postanowiłem zaraz nazajutrz udać się do nich, by im oświadczyć moje dzięki. Naprzód już cieszyłem się z oglądania Serafiny, lecz radość ta nie była zupełnie czysta, nie mogłem bez przykrości pomyśléć, że zarazem będę musiał wytrzymać wejrzenie Lorency Sephory, która może przypomniawszy sobie zdarzenie z policzkiem, nie będzie bardzo kontenta z mojego widoku. Umysł wreszcie znużony tylą rozmaitemi wyobrażeniami, uległ. Zasnąłem i nie obudziłem się nazajutrz, aż po wschodzie słońca.

Wnet byłem na nogach, a zajęty ułożoną podróżą, ubrałem się na prędce. Kiedym już kończył strój, sekretarz wszedł do mojego pokoju. Scypionie, rzekłem mu, widzisz oto człowieka, który się zabiéra w podróż do Walencyi; mniemam, iż nie zganisz mojego zamiaru; nie mogę nadto prędko pozdrowić panów, którym winienem mój los. Każda chwila zwłoki w tym względzie zdałaby się oskarżać mnie o niewdzięczność. Co do ciebie mój przyjacielu, uwalniam cię od towarzyszenia mi; zostań tu w czasie mojéj nieobecności; za ośm dni powrócę do ciebie. Jedź panie, odezwał się do mnie, złóż dzięki don Alphonsowi i jego ojcu; zdaje mi się, że są bardzo tkliwi na okazywaną im gorliwość, a bardzo wdzięczni za świadczone sobie przysługi. Osoby z takim charakterem są tak dalece rzadkie, że nie można ich nigdy nadto szanować. Kazałem zawiadomić Bertranda, aby był gotów do podróży, a gdy on zaprzęgał muły, ja tymczasem piłem czokoladę. Wreszcie wsiadłem do powozu, zaleciwszy ludziom, aby Scypiona uważali jak mnię i rozkazy jego, tak jakby moje spełniali.

W cztery godziny byłem w Walencyi. Zajechałem wprost do gubernatora, muły kazałem postawić w stajni jego, a sam udałem się do jego mieszkania, w którym znajdował się i ojciec jego don Cezar. Otworzyłem drzwi bez żadnych korowodów, wszedłem i przystępując do nich rzekłem: służący wchodząc do swoich panów nie każą dawać znać o sobie; otóż jeden z dawnych waszych służalców przychodzi dopełnić swojego obowiązku. To rzekłszy, chciałem upaść im do nóg, lecz mi nie pozwolili i uściskali mnie obadwa z objawami szczérego przywiązania. A cóż, kochany Santillano, rzekł mi don Alphons, czyś był w Lirias dla objęcia w posiadanie twojéj wioski? Tak jest panie, odpowiedziałem, i przybyłem prosić cię, abyś ją łaskawie pozwolił sobie zwrócić. A to dla czego? zapytał się, czy ma w sobie coś złego, co cię zraziło? Nie, sama w sobie nie ma nic takowego, odpowiedziałem, owszem zachwyca mnie, lecz co mi się w niéj nie podoba, to że tam widzę kucharzy arcybiskupich, z liczbą służących trzy razy większą, niżbym potrzebował, którzy po to są jedynie aby cię wyciągali na koszt równie wielki jak nieużyteczny.

Na to don Cesar, gdybyś był przyjął pensyą dwóch tysięcy dukatów, którąśmy ci ofiarowali w Madrycie, bylibyśmy poprzestali na wydaniu ci pałacu, tak jak jest, ale wiész przecie, żeś odmówił, otóż natomiast zdało nam się, że wypada zrobić to, cośmy zrobili. To za nadto, odpowiedziałem dobroć wasza powinna się ograniczyć darowizną wioski, która zupełnie zaspokaja moje żądze. Mamże wszystko powiedzieć, co myślę? odsunąwszy na stronę koszt, jakiego wymaga utrzymanie tylu ludzi, zaręczam wam że oni mnie zawadzają. Słowem, panowie, odbierzcie wasze dobrodziejstwo, albo pozwólcie mi używać według mojéj woli. Te wyrazy wyrzekłem z takim zapałem, że ojciec i syn nie myśląc mnie niczém krępować, pozwolili zresztą, abym w zamku gospodarował, jakby mi się podobało.

Dziękowałem im za tę swobodę, bez któréj nie mógłbym żyć szczęśliwie, kiedy don Alphons przerywając mi mowę, odezwał się: mój kochany Gil Blasie, chcę cię przedstawić kobiécie, która będzie bardzo rada, gdy cię ujrzy. Tak mówiąc, wziął mnie za rękę i poprowadził do pokoju Serafiny, która wykrzyknęła z radości, skoro mnie ujrzała. Pani, mówił do niéj gubernator, sądzę, że przybycie przyjaciela naszego Santillany do Walencyi, jest jéj równie jak mnie, nader miłe. O tém, rzekła ona, musi być mocno przekonany, czas nie zatarł w pamięci mojéj przysługi, którą mi wyswiadczył; a do téj wdzięczności, którą za to winnam, dodaj jeszcze nowe zobowiązanie za jego wstawienie się za tobą. Oświadczyłem pani gubernatorowéj, że aż nadto hojnie zapłacony zostałem za niebezpieczeństwo, na które się narażałem w równi z jéj zbawcami, a po tysiącznych grzecznościach z jednéj i z drugiéj strony, don Alphons wyprowadził mnie z pokoju Serafiny. Wróciliśmy do don Cezara, któregośmy zastali z kilką znakomitemi osobami, które na obiad przybyły.

Wszyscy ci panowie skłonili mi się bardzo uprzejmie, tém więcéj zaś objawili mi grzeczności, że don Cezar oświadczył im, iż byłem jednym z głównych sekretarzów księcia Lerma. Być może, iż niektórzy z nich wiedzieli, że don Alphons za moim wpływem dostał gubernatorstwo Walencyi, bo czegóżby się ludzie nie dowiedzieli. Cóżkolwiekbądź, przy stole rozmowa jedynie miała na celu nowego kardynała. Jedni z wielkiém mówili o nim uwielbieniem, lub przynajmniéj udawali, inni zaś szyderczemi obsypywali go pochwałami. Pomiarkowałem, że tym sposobem starali się, wciągnąć mnie do rozmowy o jego Eminencyi, a może spodziéwali się, że ich zabawię kosztem jego. Tak przynajmniéj wystawiałem sobie, i nie brała mnie wcale pokusa do objawienia moich myśli; powściągnąłem język, a ten mały tryumf nad sobą samym odniesiony, zjednał w umysłach całego towarzystwa wziętość bardzo rozsądnego człowieka.

Biesiadnicy po obiedzie udali się do siebie na sicstę, don Cezar i syn jego tą samą żądzą nagleni, zamknęli się w swoich pokojach.

Ja słysząc nie raz pochwały miasta, pragnąłem je obejrzéć wyszedłem więc z pałacu gubernatorskiego, by się przejść po ulicach. W bramie spotkałem człowieka, który z uszanowaniem przystąpił do mnie, mówiąc: Pan Santillana pozwoli łaskawie złożyć sobie uszanowanie! Zapytałem się, ktoby był. Jestem, odpowiedział, szatnym don Cezara; byłem lokajem wówczas, kiedyś pan był intendentem; regularnie co rano składałem panu moje uszanowanie, a pan byłeś na mnie bardzo łaskawy. Zawiadomiałem pana o wszystkiém co się w domu działo. Czy sobie nie przypomnisz naprzykład, że raz doniosłem ci, że chirurg ze wsi Leyva, wchodził potajemnie do pokoju pani Lorenca Sephora? O tego wcale nie zapomniałem, rzekłem mu, ale co się tyczy téj ochmistrzyni, co się téż z nią dzieje? Niestety! ta biédna istota, po oddaleniu się pańskiém wpadła w słabość i umarła z większym żalem Serafiny, niż don Alphonsa, którego zdawała się wcale nie obchodzić jéj śmierć.

Szatny don Cezara zawiadomiwszy mnie o smutnym końcu Sefory, przepraszał mnie za chwilowe zatrzymanie, i pozwolił mi iść daléj. Nie mogłem się wstrzymać od westchnięcia, myśląc o téj nieszczęśliwéj ochmistrzyni, a rozrzewniając się nad jéj losem, przypisywałem sobie jéj nieszczęście, nie myśląc bynajmniéj, iż to raczéj wrzód, a nie moja figura stała się jéj zguby przyczyną.

Z przyjemnością przypatrywałem się wszystkiemu, co tylko godne uwagi w tém mieście. Marmurowy pałac arcybiskupi zwrócił moje oczy na siebie, równie jak przepyszny portyk giełdy; lecz wielki gmach, który spostrzegłem, a do którego mnóstwo ludzi wchodziło, obudził moją ciekawość. Zbliżyłem się dla powzięcia wiadomości, coby za powód był zbierania się tam tylu mężczyzn i kobiét, wnet doszedłem, czytając napis złotemi literami na czarnéj marmurowéj tablicy, umieszczonéj nade drzwiami: *La posada de los representantes.* Aktorowie zaś na afiszu wymienili, iż tegoż dnia przedstawiać będą po raz piérwszy nową trajedyą don Gabriela Triaquero.

Rozdział V.

Gil Blas idzie do teatru. Powodzenie sztuki. Usposobienie publiczności Walencyjskiéj.

Zatrzymałem się przez chwilę przed bramą, dla przypatrzenia się osobom wchodzącym. Widziałem ludzi wszelkiego rodzaju. Przechodzili koło mnie panowie przyzwoitéj postawy i bogato wystrojeni, obok nich figury nędzne i źle ubrane. Kobiéty znakomitego rodu wysiadały z karet, udając się do loż wcześnie zamówionych; awanturnice szły wabić nierozsądnych. Takie zbiegowisko widzów rozmaitych stanów obudziło we mnie chętkę pomnożenia ich liczby. Kiedym się zabierał do wzięcia biletu, nadjechał gubernator z małżonką. Spostrzegli mnie w tłumie, kazali mnie zawołać i wzięli z sobą do loży, w któréj zająłem miejsce w tyle, aby tém dogodniéj rozmawiać z nim i z nią.

Zastałem salę zatłoczoną od góry do dołu, parter zapchany, teatr napełniony kawalerami trzech zakonów rycerskich. Otóż to, odezwałem się do don Alphonsa, liczne zebranie. Nie masz się czemu dziwić, odpowiedział, mają przedstawiać trajedyą utworu don Gabriela Triaquero, przezwanego poetą modnym. Skoro afisz teatralny ogłasza nowość tego autora, całe miasto Walencya jest w ruchu. Mężczyzni i kobiéty o niczém innem nie mówią, tylko o téj sztuce, wszystkie loże zajęte, a w dniu piérwszego przedstawienia duszą się przy wejściu, chociaż podwajają cenę wszystkich miejsc, wyjąwszy parter, który tak dalece szanują, że nie odważą się psuć mu humoru. Co za szał! odezwałem się do gubernatora. Ta zapalona ciekawość publiczności, ta szalona żądza słyszenia co don Gabriel wydaje nowego, daje mi wysokie pojęcie geniuszu tego poety. Nie tak skoro, odpowiedział don Alphons, trzeba się strzedz uprzedzenia; publiczność niekiedy olśniona bywa sztukami, w których same tylko znajdują się błyskotki, wartość ich poznaje dopiéro po wydrukowaniu.

W tém miejscu naszéj rozmowy aktorowie wystąpili. Przestaliśmy mówić, by ich słuchać z uwagą. Oklaski rozległy się od piérwszego wstępu, za każdym wierszem okrzyk podziwu, a w końcu każdego aktu grzmot oklasków, że się aż sala trzęsła. Po skończeniu pokazywano mi autora, który przechodził

się od loży do loży, skromnie schylając czoło do laurów, któremi panowie i panie gotowali się je uwieńczyć.

Wróciliśmy do pałacu gubernatorskiego, a wkrótce za nami przybyło czterech kawalerów: dwóch starych aktorów szanowanych w swojém powołaniu, i jeden szlachcic madrycki pełen dowcipu i gustu. Wszyscy byli w teatrze. Przy wieczerzy rozmawiano tylko o sztuce nowéj. Panowie, odezwał się kawaler św. Jakóba, co sądzicie o téj sztuce? Nie uderzyłaż was, tak jak mnie? nie jestże to, co to zowią dziełem wykończoném? Myśli szczytne, uczucia tkliwe, wierszowanie męzkie, słowem niczego nie braknie. Jest to poemat w tonie dobrego towarzystwa. Nie sądzę aby ktoś mógł inne mieć o tém zdanie, mówił kawaler zakonu Alcantara. Ta sztuka pełna jest ustępów, które zdaje się sam Apollo dyktował poecie; sytuacye zaś z nieskończoną sztuką usnute. Odwołuję się do pana, dodał, zwracając mowę do szlachcica kastylskiego; zdaje mi się być znawcą, założyłbym się, że podziela moje zdanie. Nie zakładaj się, panie kawalerze, odpowiedział szlachcic z uśmiéchem złośliwym. Ja nie z téj parafii, w Madrycie nie tak skorzy jesteśmy w wyrokowaniu. Zamiast oceniać sztukę po piérwszém przedstawieniu, nie ufamy jéj pięknościom, póki są w ustach aktorów, choćbyśmy najbardziéj sprzyjali, zawieszamy przecież wyrok, póki jéj nie przeczytamy, i zaiste nie zawsze nam na papiérze sprawia tę rozkosz, jakąśmy czuli widząc ją na scenie.

Ściśle więc rozbieramy poemat, mówił daléj, nim go ocenimy, wziętość autora, choćby téż i największa, nie może nas omamić. Kiedy Lope de Vega i Calderon przedstawiali nowości, znajdowali surowych sędziów w swoich wielbicielach, którzy ich dźwignęli na sam szczyt sławy, osądziwszy że są tego godni.

Oh ba, przerwał kawaler św. Jakóba, my nie jesteśmy tak oględni jak panowie Kastyllanie. My z wyrokiem nie czekamy druku sztuki. Na piérwszém zaraz przedstawieniu poznamy jéj wartość. Nawet nie koniecznie wielkiéj uwagi potrzebujemy w jéj wysłuchaniu. Dosyć jest, kiedy wiémy, że to jest płód pana don Gabriela, abyśmy byli przekonani, że musi być bez błędu. Dzieła tego poety powinny stanowić epokę odrodzenia dobrego gustu. Lope i Calderon to byli dwaj uczniowie w porównaniu z tym wielkim mistrzem teatru. Szlachcic, który Lopeza i Calderona uważał za Sofokla i Eurypidesa hiszpańskiego, obraził się tą płochą mową. Uniósł się, i w żarliwości swojéj zawołał: Co za świętokradztwo dramatyczne! Ponieważ zmuszacie mnie panowie do wnioskowania o sztuce po piérwszém jéj przedstawieniu, otóż powiadam wam, żem wcale niekontent z trajedyi nowéj waszego don Gabriela. Zamiast uważać ją za wzór, ja w niéj widzę mnóstwo usterków. Jestto poemat nadziany błyskotkami, bez zalet gruntownych. Trzy czwarte wierszy albo są złe, albo źle rymowane, charaktery nie dobrze nakréślone, albo nieutrzymane należycie, a myśli często ciemne.

Dwaj aktorowie, którzy siedzieli przy stole i przez skromność równie chwalebną jak rzadką, nie odzywali się wcale, by ich nie posądzono o zazdrość, nie mogli się wstrzymać, aby oczyma przynajmniéj nie okazać zgody ze zdaniem szlachcica: to mnie naprowadziło na myśl, że ich milczenie było raczéj skutkiem wyrachowania, ale nie doskonałości dzieła. Kawalerowie nie przestawali uwielbiać don Gabryela, umieścili go w rzędzie bogów. Ta śmieszna apoteoza, to ślepe bałwochwalstwo zniecierpliwiło szlachcica Kastylskiego, który wznosząc ręce ku niebu, zawołał jakby w zachwyceniu: o bozki Lope de Vega, rzadki i wzniosły geniuszu, któryś niezmierzony zostawił przestwór między sobą i wszystkiemi don Gabryelami, którzy pokuszą się o doścignienie ciebie! i ty słodki Calderonie, którego miły wdzięk niepodobny do naśladowania, nie troszczcie się obadwa, aby ołtarze wasze potrafił zwalić ten nowy wychowaniec muz! Dosyć będzie dla niego szczęścia jeżeli potomność, któréj będziecie rozkoszą, tak jak jesteście naszą, napomknie przynajmniéj o nim.

Ta zabawna apostrofa, któréj nikt się nie spodziéwał, rozśmieszyła całe towarzystwo, które podniosło się od stołu w złotym humorze i rozeszło. Mnie z rozkazu don Alphonsa zaprowadzono do przygotowanego pokoju. Znalazłem tam wyborne łóżko, w którém moja wielmożność ległszy, zasnęła, opłakując równie jak szlachcic Kastylski, niesprawiedliwość przez tych nieuków wyrządzoną Lopezowi i Calderonowi.

Rozdział VI.

Gil Blas przechodząc się po ulicy spotyka zakonnika, którego poznaje, co to był za jeden?

Ponieważ dnia poprzedzającego nie mogłem obejrzéć całego miasta, wstałem więc rano nazajutrz i wyszedłem w zamiarze przejścia się jeszcze. Spostrzegłem na ulicy Kartuza, który zapewne zajmował się interesami swojego zakonu. Szedł z oczami spuszczonemi i miał postawę tak nabożną, że wszyscy nań oczy zwracali. Przechodził tuż koło mnie, i zdało mi się, że w osobie jego widziałem don Raphaela, tego franta, który tak zaszczytne zajmuje miejsce w piérwszych częściach mojéj historyi.

Tak mnie uderzyło to spotkanie, że zamiast zbliżyć się zaraz do zakonnika, stałem jak wryty przez kilka chwil, a on tym sposobem miał czas oddalenia się. Przebóg! pomyśliłem, możnaż spotkać dwie twarze tak do siebie podobne? Cóż mam o tém myśléć? Mamże wierzyć, że to don Raphael? czy podobna przypuścić, aby to nie był on? Ciekawość moja zbyt była zaostrzona, abym miał na tém poprzestać. Kazałem sobie wskazać drogę do klasztoru kartuzów, udałem się tam niezwłocznie w nadziei widzenia mnicha powracającego, postanowiwszy zatrzymać go dla rozmówienia się. Nie potrzebowałem czekać, aby wpaść na tor: przybywszy do klasztoru, druga twarz znana mi zamieniła w pewność dotychczasowe powątpiéwanie: w bracie odźwiernym poznałem Ambrożego de Lamela, mojego niegdyś sługę. Łatwo pojmiecie, iż to się stało nie bez wielkiego zadziwienia.

Zdumienie nasze z powodu tego spotkania było z obudwóch stron jednakowe. Nie jestżeto złudzenie? rzekłem, witając go. Czyż w istocie jest jeden z przyjaciół moich, co się mym oczom przedstawia? Zrazu mnie nie poznał, albo téż może udał, że mnie nie poznaje, co jest podobniejsze do prawdy; lecz zastanowiwszy się, że zmyślanie jest bezkorzystne, przybrał minę człowieka, który nagle przywodzi sobie na pamięć rzecz zapomnianą. Ah, panie Gil Blas, zawołał, przepraszam, żem cię nie poznał. Od czasu jak żyję w tém świętém miejscu i odkąd jedynie zajmuję się pełnieniem obowiązków regułą zakonu wskazanych, tracę zwolna pamięć tego, com widział na świecie; wyobrażenia światowe zacierają się w moim umyśle.

Prawdziwą czuję radość, odezwałem się, że po dziesięciu latach spotykam cię w sukni tak szanownéj. A ja, odpowiedział, wstydzę się pokazywać w niéj człowiekowi, co był świadkiem występnego życia, jakie ja wiodłem. Ta suknia bezustannie mi to wyrzuca. Niestety! aby być godnym jéj noszenia, należało ciągle niewinne prowadzić życie. Taką mową uradowany, odpowiedziałem, kochany braciszku, widoczna jest rzecz, że palec wszechmocnego dotknął cię. Powtarzam ci, że się cieszę niesłychanie z tego i pragnę wiedzieć, jakim cudownym sposobem dostaliście się na dobrą drogę ty i don Raphael; ponieważ jestem przekonany, że to on jest, któregom dziś spotkał w mieście ubranego w suknie kartuza. Żałowałem, żem go nie zatrzymał na ulicy dla pomówienia z nim i dla tego przybyłem tu, w zamiarze czekania na jego powrót, aby naprawić piérwsze uchybienie.

Nie zawiodłeś się, rzekł Lamela, istotnie jest to Raphael, któregoś widział; a co do szczegółów, których pragniesz, oto są: Rozstawszy się z tobą niedaleko Segorbii, ja z synem Lucindy skierowaliśmy się do Walencyi, w zamiarze wykonania jakiéj sztuki naszego rzemiosła. Traf miéć chciał, żeśmy jednego dnia wstąpili do kościoła kartuzów, w chwili, gdy zakonnicy śpiéwali w chórze. Zaczęliśmy się im przypatrywać, i przekonaliśmy się, że przewrotni chcąc nie chcąc, muszą uczcić cnotę. Podziwialiśmy żarliwość, z jaką modlili się do Boga, ich postawę umartwioną i daleką od rozkoszy światowych, równie jak wypogodzone ich twarze, wydające tak wyraźnie spokojność ich sumienia.

Tak rozważając, wpadliśmy w głębokie zadumanie, które się stało zbawiennem dla nas; porównywaliśmy w myśli nasze obyczaje z postępowaniem tych czcigodnych zakonników, a dostrzeżona w nich różnica napełniła nas niespokojnością i pomieszaniem. Lamelo, odezwał się do mnie don Raphael wyszedłszy z kościoła, jakie na tobie zrobiło wrażenie to cośmy widzieli? bo ja nie mogę ci zataić, że umysł mój jest niespokojny. Jakieś niepojęte wzruszenie miota mną i po raz pierwszy w życiu wyrzucam sobie niegodziwości życia mojego. Moje usposobienie takież samo, odpowiedziałem; przewrotne czyny, które spełniłem powstają przeciw mnie; a serce moje dotąd nie znające żadnego wyrzutu, rozdzierają teraz zgryzoty sumienia. Ah! kochany Ambroży, rzekł znowu mój towarzysz, my jesteśmy owieczki zbłąkane, które ojciec niebieski chce napowrót do owczarni sprowadzić! On to, moje dziecię, on sam nas wzywa. Nie zatykajmy uszu na głos jego: porzućmy szalbierstwo, uciekajmy od rozpusty w której grzęźniemy i zaraz od dziś zacznijmy pracować nad wielkiém dziełem naszego zbawienia; zostańmy na resztę życia naszego w tym klasztorze i poświęćmy je na pokutę.

Pochwaliłem uczucia don Raphaela, mówił daléj braciszek Ambroży i postanowiliśmy zostać kartuzami. Żeby to wykonać, udaliśmy się do ojca przeora, a ten dowiedziawszy się o naszym zamiarze, dla próby naszego powołania, wskazał nam celę i przez rok cały obchodził się z nami jak z zakonnikami. Stosowaliśmy się do reguły zakonu z taką ścisłością i wytrwałością, iż nas przyjęto w poczet nowicyuszów. Byliśmy tak zadowoleni z naszego stanu, tak pełni gorliwości, żeśmy z odwagą ponosili przykre trudy nowicyatu. Następnie złożyliśmy szluby zakonne, poczém don Raphael który się zdał obdarzonym talentem do administracyi, wybrany został na pomocnika starego ojca, podówczas prokuratora zakonu. Syn Lucindy wewnętrznem jedynie rozmyślaniem zajęty, wolałby był raczéj cały czas poświęcić na modlitwę, lecz zmuszony był złożyć swój gust na ofiarę potrzebie, jakiéj po nim wymagano. Nabył tak dokładnéj znajomości interesów zakonu, iż go uznano za zdolnego do zastąpienia starego prokuratora, który we trzy lata późniéj umarł. Don Raphael w téj chwili zajmuje ten urząd i trzeba przyznać, że obowiązki jego spełnia z zadowoleniem wszystkich ojców, którzy uwielbiają jego postępowanie w zarządzie doczesności. Lecz co jest bardziéj jeszcze zdumiéwającego, że mimo trudy, jakiemi go obarczono w zbieraniu naszych dochodów, zdaje się być jedynie zajętym samą wiecznością. Jeżeli sprawy zakonu pozwolą mu chwilkę swobodną, natychmiast zatapia się w głębokich rozmyślaniach. Słowem, jest to najlepszy człowiek z całego klasztoru.

Tu przerwałem mowę Lamelli wybuchem radości, którą objawiłem na widok nadchodzącego don Raphaela. Otóż jest, zawołałem, ten świątobliwy prokurator, na którego niecierpliwie czekałem! Pobiegłem ku niemu i uściskałem go serdecznie. Chętnie to przyjął i nie dziwiąc się bynajmniéj, że mnie spotkał, odezwał się z całą łagodnością: dzięki Bogu, panie Santillano, dzięki Bogu, że mam przyjemność widzenia ciebie! Zaiste, rzekłem, kochany Raphaelu, cieszę się nieskończenie twojém szczęściem: brat Ambroży opowiedział mi całą historyą waszego nawrócenia, słuchałem go z największą pociechą. Cóż to za korzyść dla was obudwóch moi przyjaciele, że możecie sobie pochlebiać, iż należycie do małéj liczby wybranych, mających używać wiecznéj szczęśliwości.

Dwaj nędznicy, tacy jak my, odpowiedział syn Lucyndy, tonem wielką pokorę okazującym, nie powinni łatwo cieszyć się taką nadzieją; ale skrucha grzeszników dostępuje łaski wszechmocnego ojca miłosierdzia. A ty, panie Gil Blas, czy nie postarasz się, abyś zasłużył na odpuszczenie obrazy bożkiéj, któréj się dopuściłeś? Cóż cię przywiodło do Walencyi? Czybyś nieszczęściem nie wdawał się w zgubne zabiegi? Nie, dzięki Bogu, odpowiedziałem, od chwili jak porzuciłem wielki świat, prowadzę życie uczciwe; to na wsi, którą mam o kilka mil od tego miasta, używam wszelkich przyjemności wiejskich; to znowu w tém mieście bawię się z gubernatorem, który jest moim przyjacielem, a którego obadwa dobrze znacie.

Opowiedziałem im historyą don Alphonsa de Leyva. Słuchali bacznie, a gdym namienił, że z woli tego pana oddałem Samuelowi Simon skradzione mu przez nas trzy tysiące dukatów, Lamela przerwał mi zwracając mowę do Raphaela: ojcze Hilary, mówił, tym sposobem, ten przezorny kupiec nie powinien się skarżyć na kradzież, która mu zwróconą została z lichwą, a my obadwa możemy mieć sumienie spokojne pod tym względem. W rzeczy saméj, odezwał się świątobliwy prokurator, brat Ambroży i ja, niemeśmy weszli do klasztoru, zwróciliśmy Samuelowi Simon potajemnie tysiąc pięćset dukatów, za pośrednictwem uczciwego człowieka, który się podjął tego trudu, udał się do Xelva dla dopełnienia zwrotu; tém gorzéj dla Samuela, kiedy śmiał odebrać to, będąc zupełnie wynagrodzony przez pana Santillanę. Ależ zapytałem się, czy wasze pieniądze rzetelnie mu oddane zostały? Bez wątpienia, zawołał don Raphael, zaręczam za poczciwość tego człowieka, tak jak za swoją własną. I ja także ręczyłbym, dodał Lamela; jest to świątobliwy człowiek, przywykły do podobnego rodzaju zleceń; a który za powierzone mu składy miał dwa, czy trzy processa, które wygrał wraz z kosztami. Oh! jeżeli tak, niema wątpliwości, rzekłem, że zwrot dokonany został ze ścisłą rzetelnością.

Jeszcześmy przez niejaki czas rozmawiali; wreszcie rozstaliśmy się, oni zachęcali mnie, abym bezustannie miał przed oczyma bojazń bożką, a ja polecając się ich pobożnym modłom, pobiegłem co prędzéj do don Alphonsa. Nie zgadłbyś nigdy, rzekłem, z kim tak długą miałem rozmowę. Pożegnałem w téj chwili dwóch szanownych kartuzów dobrze ci znanych: jeden się zowie ojciec Hilary, a drugi brat Ambroży. Mylisz się, odpowiedział don Alphons, nie znam żadnego kartuza. Przepraszam, rzekłem, widziałeś w Xelva brata Ambrożego, kommissarza św. inkwizycyi, a ojca Hilarego, pisarza. O nieba! zawołał zdziwiony gubernator, czyż może być aby Raphael i Lamela zostali kartuzami? Tak jest w istocie, odpowiedziałem, już kilka lat temu, jak złożyli szluby zakonne. Piérwszy jest prokuratorem klasztoru, a drugi furtyanem. Jeden jest panem kassy, a drugi drzwi klasztornych.

Syn don Cezara zamyślił się przez chwilę, a potém kiwając głową, odezwał się: pan kommissarz inkwizycyi i jego pisarz zdaje mi się, zakrawają tu na nowe figle. Może być, rzekłem, ale ja, com z nimi rozmawiał, przyznam się, że o nich korzystniejszą mam opinią. Prawda, że trudno zajrzéć do głębi serca; ale według wszelkiego podobieństwa, są to dwaj oszusty nawrócone. A dla czegoż nie, odpowiedział don Alphons: są rozpustnicy, którzy gorsząc świat swoją rozwiązłością, zamykają się w końcu po klasztorach, by zato ostrą odbyć pokutę: życzyłbym, aby dwaj nasi zakonnicy należeli do tego rzędu.

A dla czegożby, rzekłem, nie mieli należyć? Z dobréj woli wstąpili do klasztoru, i już dość długo żyją, jako przykładni zakonnicy. Mów co chcesz, odpowiedział gubernator, nie podoba mi się, że kassa klasztorna jest w ręku tego ojca Hilarego, któremu ufać nie mogę. Kiedy wspomnę sobie, te piękne powiastki, które nam prawił, lękam się o kassę kartuzów. Chcę wierzyć, jak ty, że przyjął habit w dobréj wierze, ale widok złota, może obudzić jego chciwość. Nie trzeba wpuszczać do piwnicy pijaka, który się wyrzekł swojego nałogu.

Nieufność don Alphonsa w kilka dni późniéj zupełnie usprawiedliwioną została: ojciec prokurator i brat furtyan zniknęli wraz z kassą. Ta nowina wnet po całém mieście rozeszła się i uderzyła nie jednego. Ja z gubernatorem ubolewaliśmy nad kartuzami; nie chwaląc się, żeśmy znali dwóch przeniewierców.

Rozdział VII.

Gil Blas wraca do Lirias: przyjemna wiadomość, którą mu Scypion zwiastuje.

Ośm dni przepędziłem w Walencyi, żyjąc jak hrabia lub markiz, widowiska, bale, koncerta, uczty, rozmowa z kobiétami, wszelkie z resztą zabawy nastręczali mi pan gubernator z panią gubernatorową, którym znowu z swojéj strony tyle okazy-

wałem grzeczności, iż z żalem mnie puszczali. Piérwéj nawet zobowiązali mnie, abym się podzielał między nich i moją samotność. Stanęło, że zimę przepędzę w Walencyi, a lato w moim zamku. Po takowéj umowie dobroczyńcy moi pozwolili mi, abym się udał korzystać z ich dobrodziejstwa. Puściłem się więc w drogę do Lirias, bardzo kontent z mojéj podróży.

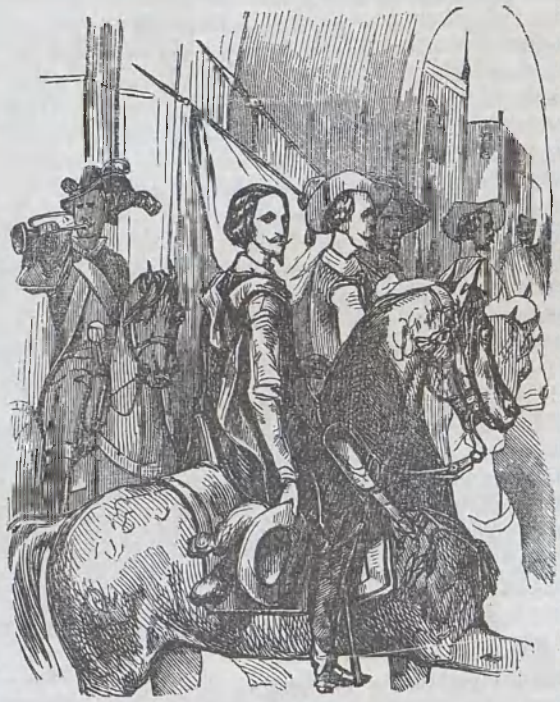
Scypion z utęsknieniem na mój powrót oczekujący, cieszył się niewymownie ujrzawszy mnie; radość jego podwoiłem jeszcze, opowiedziawszy mu szczérze, co mi się zdarzyło. A ty, mój przyjacielu odezwałem się do niego potém, jakżeś używał czasu mojéj nieobecności? Bawiłżeś się dobrze? Tak dobrze, jak tylko może służący dla którego nie masz nic milszego nad obecność swojego pana. Przechodziłem się wszérz i wzdłuż po naszém państwie; raz siadałem nad brzegiem strumienia w głębi naszego lasu, znajdując przyjemność w przypatrywaniu się kryształowym jego wodom, które są tak czyste, jak świętego zdroju, co swoim szmerem napełniał rozległe lasy Albunea; drugi raz rozciągnięty u stóp drzewa, słuchałem śpiewu słowików. Zresztą polowałem, ryby łowiłem; a co mi więcéj jeszcze przyjemności sprawiało nad wszystkie te zabawki, czytałem kilka książek równie pożytecznych jak bawiących.

Przerwałem szybko mojemu sekretarzowi, pytając się zkądby dostał tych książek. Znalazłem je, powiedział mi, w pięknéj bibliotece, jaka jest w zamku, a którą mi mistrz Joachim pokazał. A gdzież ona może być, rzekłem? A przecież w dniu naszego przybycia zwiedziliśmy cały pałac. Tak się panu zdaje, odpowiedział, a tym czasem musisz wiedzieć, żeśmy przebiegli tylko trzy skrzydła jego, a o czwartém zapomnieliśmy. Tam właśnie don Cezar przybywszy do Lirias, część dnia przepędzał na czytaniu. W téj bibliotece są wyborne dzieła, które ci zostawiono, jako środek jedyny przeciw nudom, kiedy ogród pozbawiony kwiatów, a las liści nie będą miały czém zająć naszéj uwagi. Panowie de Leyva nic nie zrobili przez połowę, pamiętali oni zarówno o posiłku dla duszy i dla ciała.

Wiadomość ta szczérze mnie ucieszyła. Kazałem się zaprowadzić do tego czwartego skrzydła pałacu, który miły przedstawił mi widok. Ujrzałem pokój, w którym postanowiłem natychmiast założyć swoje mieszkanie, tak jak był mieszkaniem don Cezara. Łóżko tego pana stało tam jeszcze ze wszystkiemi sprzętami, obicia przedstawiające porwanie Sabinek przez Rzymian. Z tego pokoju przeszedłem do gabinetu obstawionego do koła szafami pełnemi książek, nad niemi zaś portrety wszystkich królów. Z okna uderzał widok prześlicznéj okolicy, przy niém zaś stało biuro hebanowe przed sofą, czarnym safianem obitą. Całą atoli uwagę zwróciłem na bibliotekę. Składała się ona z dzieł filozoficznych, historycznych, poetycznych i mnóstwa romansów rycerskich. Wnosłem ztąd, że don Cezar lubił tego rodzaju książki, ponieważ tak piękny zapas ich zebrał. Przyznam się choć ze wstydem, że i ja nie czułem odrazy od nich, mimo niedorzeczności jakiemi są przepełnione; czy dla tego, że wówczas byłem czytelnikiem niezdolnym do głębszego poglądu, czy też że dziwy zyskują pobłażanie Hiszpana. Muszę atoli i to powiedzieć na moje usprawiedliwienie, żem większą przyjemność znajdował w księgach moralnych, byle nie posępnych; Lucyan, Horacy, Erazm, stali się moimi ulubieńcami.

Mój przyjacielu, odezwałem się do Scypiona, skończywszy przegląd biblioteki, otóż mamy wyborną rozrywkę, ale przedewszystkiém mamy co innego do roboty; trzeba nam służbę inaczéj urządzić. Otóż właśnie, rzekł, tego trudu chcę panu oszczędzić. W czasie twojéj nieobecności, śledziłem bacznie twoich ludzi i śmiało pochlubić się mogę, że ich znam dobrze. Zacznijmy od mistrza Joachima; uważam go za doskonałego oszusta i nie wątpię bynajmniéj, że musiał być wypędzony z arcybiskupiego pałacu za omyłki arytmetyczne w rachunkach wydatków. Lecz wypada go zatrzymać, a to z dwóch powodów: naprzód, że jest prawdziwy kuchmistrz, a powtóre, ja nad nim czuwać będę; dam oko na wszystkie jego czynności, a musi być niesłychanie przebiegłym, jeżeli potrafi mnie wywieźć w pole. Wczoraj powiedziałem mu, że pan masz zamiar odprawić trzy czwarte służących i spostrzegłem, że mu się przykro zrobiło; oświadczył mi nawet, że czując przyjemność w służeniu panu, wolałby poprzestać na połowie zasług, jakie dziś pobiéra, aby tylko nie opuszczać pana, co mnie naprowadza na myśl, że musi mieć w téj wsi jaką kochankę, od któréjby się nie rad oddalał. Pomocnik w kuchni, to pijak wierutny; odźwierny grubijanin, którego nie potrzebujemy, równie jak strzelca. Ja doskonale zastąpię miejsce tego ostatniego, jak to zaraz jutro pokażę, ponieważ mamy flinty, proch i ołów. Pomiędzy lokajami jest jeden Aragończyk, który się zdaje dobry chłopak. Tego zatrzymamy; wszyscy zresztą, są nic nie warci, których nie radziłbym zatrzymywać, choćby nawet stu służących trzeba było.

Namyśliwszy się dobrze, postanowiliśmy zatrzymać kucharza, kuchtę i Aragończyka, reszcie zaś grzecznie podziękować; co się tegoż samego dnia wykonało za kilka luidorów, z mojej kassy przez Scypiona zręcznie rozdanych. Po dokonaniu takiéj przemiany, zaprowadziliśmy porządek w domu, wskazaliśmy każdemu służącemu jego obowiązek i zaczęliśmy życie



Wiazd Wice króla do Saragossy.

prowadzić o własnym koszcie. Ja byłbym chętnie poprzestał na skromnym stole, ale mój sekretarz lubił przysmaczki i dobre kąski, nie chciał więc aby umiejętność mistrza Joachima zalegała pole. Tak doskonale potrafił kierować wszystkiém, że nasze obiady i wieczerze, były istnemi pasibrzuchów ucztami.

Rozdział VIII.

Miłostki Gil Blasa z piękną Antonią.

We dwa dni po moim powrocie z Walencyi, Bazyli, mój dzierżawca, przybył do mnie rano, prosząc o pozwolenie przedstawienia mi swojéj córki Antonii, która pragnie mieć zaszczyt, jak mówił, powitać nowego dziedzica. Oświadczyłem mu, iż to mi sprawi wielką przyjemność. Wyszedł więc i wkrótce powrócił ze swoją piękną Antonią. Mogę śmiało mówić to o dziewicy szesnaście do ośmnastu lat mieć mogącéj, któréj regularne rysy zdobiła najdelikatniejsza płeć i najpiękniejsze w świecie oczy. Ubrana była w suknią z szarży, ale zgrabna kibić, postawa wspaniała i wdzięki nie zawsze młodości towarzyszące, podwyższały skromność jéj ubioru. Nie miała żadnego stroju na głowie, włosy tylko bukietem kwiatów związała na wzór Spartanek.

Kiedym ją ujrzał wchodzącą do mojego pokoju, piękność takie jéj zrobiła wrażenie na mnie, jak niegdyś wdzięki Ange-

liki na rycerzach Karola W. Zamiast przyjąć ją z przyzwoitą grzecznością, powiedzieć jéj kilka słów pochlebnych, zamiast powinszować ojcu tak nadobnéj córy, ja w zadumieniu stanąłem zmieszany, osłupiały, słowa wyrzec nie mogłem. Scipion spostrzegłszy mój stan, zabrał głos za mnie i wyręczył mnie w pochwałach, które mnie należało prawić. Jéj zaś nie uderzyła wcale moja figura w szlafroku i czapeczce rannéj; skłoniła się z największą przyzwoitością, powiedziała kilka wyrazów uprzejmych, które mnie do reszty zaczarowały, choć były zupełnie pospolite. Tymczasem gdy mój sekretarz, Bazyli i jego córka, zdobywali się nawzajem na grzeczności, ja przyszedłem do siebie i jakby dla naprawy głupowatego milczenia, z jednéj ostateczności wpadłem w drugą. Zacząłem się rozszerzać z mową zalotną, a to z takim zapałem, że to zatrwożyło Bazylego, który biorąc mnie za człowieka, gotowego użyć wszelkich środków dla uwiedzenia Antonii, szybko opuścił mój pokój, z postanowieniem może usunięcia jéj z przed moich oczu.

Scypion zostawszy sam ze mną, odezwał się z uśmiéchem: Panie de Santillana, oto znowu lekarstwo przeciw nudom! Nie wiedziałem, że twój dzierżawca ma córkę tak piękną, nie widziałem jéj dotąd, a przecież dwa razy byłem u niego. Widać, że ją troskliwie ukrywa i dobrze robi. Dalibóg, to powabna dziewica! Ale zdaje mi się, że ci tego nie potrzeba powtarzać, z piérwszego wejrzenia zajęła cię, jak to widziałem. Nie przeczę, odpowiedziałem. Ah mój kochany, zdało mi się że widzę, istotę nadziemską, w jednéj chwili wzniecila we mnie zapał miłosny; piorun nie jest tak nagłym jak pocisk, który ona utopiła w mém sercu.

Zachwycasz mnie, odezwał się mój sekretarz, oświadczając żeś się przecież raz zakochał. Brakło ci kochanki do zupełnego szczęścia w twojéj samotności. Dzięki Bogu, teraz masz wszystkie dogodności. Wiém, że nie będzie bardzo łatwo uśpić czujność Bazylego, ale to moja rzecz, i zdaje mi się, że nim trzy dni minie, będziesz miał tajemną schadzkę z Antonią. Panie Scypionie, rzekłem na to, możeby nie źle było, żebyś w tym względzie nie dotrzymał słowa, chociaż ci nie zaprzeczam talentu do miłosnych układów; ale na teraz nie życzę sobie doświadczać go. Nie chcę wystawiać na próbę cnoty téj dziewicy, która zdaje mi się, na inne wcale z mojéj strony zasługuje uczucia. Tak więc zamiast pomagać mi do jéj hańby, chciałbym użyć twojego pośrednictwa do jéj zaślubienia, byleby jéj serce nie było już przez kogo innego zajęte. Nie spodziéwałem się wcale, mówił sekretarz, abyś tak szybko powziął zamiar żenienia się. Wszyscy panowie wiejscy na twojém miejscu nie byliby tak skrupulatnemi, a zapewne nie pomyśliliby o uczuciach prawych, chyba wtedy, gdyby im się nieprawe nie powiodły. Zresztą, dodał, nie myśl, abym miał potępiać twoją miłość; przeciwnie, chwalę ją bardzo. Córka twojego dzierżawcy, godna jest zaszczytu, który dla niéj gotujesz, jeżeli może ci ofiarować serce czyste i czułe na twoje względy. Lecz o tém ja jeszcze dziś się dowiém z rozmowy z ojcem, a może i z nią samą.

Mój powiernik był bardzo ścisły w dopełnianiu swoich obietnic. Udał się cichaczem do Bazylego, a wieczór przybył do mojego gabinetu, gdzie czekałem na niego z niecierpliwością i bojaźnią. Miał minę wesołą, com za dobrą przyjął wróżbę. Jeżeli mam wierzyć, odezwałem się do niego, twojéj uśmiéchającéj się twarzy, tedy przychodzisz zwiastować mi zapewne, że stanę u kresu moich życzeń. Tak jest, kochany panie, wszystko ci się uśmiécha. Mówiłem z Bazylim i jego córką, objawiłem im twoje zamiary. Ojciec jest zachwycony, że pragniesz zostać jego zięciem, a mogę ci zaręczyć, żeś się podobał Antonii. O Boże! przerwałem w radosném uniesieniu, miałżebym szczęście podobać się téj lubéj istocie? Bez wątpienia, rzekł, już cię kocha. Tego wyznania wprawdzie nie słyszałem z jéj ust, ale wnoszę z jéj wesołéj miny, skoro usłyszała o twoim zamiarze. Jednakże dodać muszę, masz spółzalotnika. Spółzalotnika! zawołałem drżący. Niech cię to wcale nie trwoży, ten spółzalotnik nie odbierze ci serca twojéj lubéj; jest to mistrz Joachim, twój kucharz. Ah! wisus, zawołałem, parsknąwszy śmiéchem, otóż to powód dla którego nie chciał opuścić mojéj służby. Tak jest w istocie, odpowiedział Scypion, niedawno prosił o rękę Antonii, lecz mu grzecznie odmówiono. Nim lepszą dasz radę, rzekłem, jabym mniemał, że możeby wypadało się pozbyć tego hultaja, pierwéj nim się dowié, że ja myślę zaślubić córkę Bazylego; kucharz, jak wiész, jest zawsze niebezpieczny spółzalotnik. Bardzo słusznie, odpowiedział sekretarz, dla ostrożności trzeba oczyścić naszą służbę; jutro rano odprawię go, nim się zabierze do roboty, a wtedy nie będziesz miał powodu obawiać się, ani jego przypraw, ani jego miłości. Jednakże trochę mi nie w smak utrata tak wybornego kucharza, ale poniosę w ofierze mój apetyt, dla twojego bezpieczeństwa. Nie masz czego żałować, rzekłem, przecież tę stratę łatwo wynagrodzić; sprowadzę z Walencyi równie dobrego kucharza. W rzeczy saméj, napisałem zaraz do don Alphonsa, donosząc mu, że potrzebuję kucharza i zaraz nazajutrz mi przysłał.

Chociaż mój sekretarz gorliwy, zapewniał mnie, że Antonia w głębi swojéj duszy cieszyła się zajęciem serca swojego dziedzica, nie śmiałem przecież zupełnie ufać jego słowom. Obawiałem się, by go nie omamiły fałszywe pozory. Dla zapewnienia się więc, postanowiłem sam mówić z piękną Antonią. W tym celu udałem się do Bazylego, któremu potwierdziłem co mój posłaniec już mu powiedział. Ten szanowny rolnik, człowiek prosty i otwarty, wysłuchawszy mnie, oświadczył, że z największą ochotą daje mi córkę; ale, dodał, nie sądźże, iż to czynię z przyczyny twojego tytułu dziedzica wsi; gdybyś nie był jeszcze, tylko intendentem don Cezara i don Alphonsa, przeniósłbym cię nad wszystkich innych kochanków, którzyby się zdarzyć mogli, zawsze czułem jakieś przywiązanie do ciebie; nad tém tylko ubolewam, że Antonia nie może ci wnieść wielkiego posagu. Ja żadnego nie żądam rzekłem, osoba jéj jest dla mnie jedynym skarbem, którego pragnę. Najniższy sługa pański, zawołał Bazyli, ja wcale co innego rachuję; przecież ja nie żebrak, żebym w ten sposób wydawał moją córkę. Bazyli de Buenotrigo, jest dzięki Bogu w stanie wyposażenia jéj, chcę, żeby ci wyprawiła wieczerzę, skoro jéj dasz obiad. Słowem, dochód tego zamku, wynosi pięćset dukatów, ja go chcę podwyższyć do tysiąca, ze względu na to małżeństwo.

Przystaję na wszystko, co ci się podoba, mój kochany Bazyli, odpowiedziałem, nie będziemy wytaczali sporu o czynsze. Obadwa się zgadzamy, idzie teraz jedynie o przyzwolenie twojéj córki. Masz moje, rzekł, czyż to nie dosyć? Nie ze wszystkiem, odpowiedziałem; jeżeli zezwolenie twoje jest konieczne, i jéj także potrzebne. Jéj zezwolenie zależy od mojego, mówił Bazyli, niechnoby tylko odważyła się fochy stroić w mojéj obecności! Antonia, rzekłem na to, podległa woli ojca, będzie ci ślepo posłuszna, ale nie wiém, czy w tym razie zrobi to bez wstrętu, jeżeliby zaś miała jakąkolwiek odrazę, nie darowałbym sobie nigdy, zostawszy sprawcą jéj nieszczęścia; zresztą nie dosyć, że ty mi ofiarujesz jéj rękę, trzeba żeby i ona podpisała tę ofiarę. Ej, co tam! dodał, ja wcale nie rozumiém téj filozofii; pomów sam z Antonią, a zobaczysz, jeżeli się mylę, że pragnie być twoją żoną. To mówiąc, zawołał swojéj córki i na moment zostawił mnie samego z nią.

Korzystając z tak drogiego czasu, przystąpiłem wprost do rzeczy. Nadobna Antonio, rzekłem jéj, wyrokuj o twoim losie. Chociaż mam zezwolenie twojego ojca, nie sądź, abym na téj zasadzie chciał obrażać twoje uczucia. Jakkolwiek posiadanie ręki twojéj jest zachwycające, jednakże ja gotów jestem zrzec się, skoro mi powiész, że je winien będę samemu posłuszeństwu. Tego ja wcale nie powiém, rzekła Antonia cokolwiek zarumieniona; twoje oświadczenie jest mi nadto miłe, aby mi miało jakąś przykrość zrządzać, kontenta z wyboru ojca, nie mam powodu szemrać na niego. Ja nie wiém, dodała, czy to dobrze, czy źle, że ci tak mówię, lecz gdybyś mi się nie podobał, otwarcie bym to wyznała; dla czegóż nie mam i przeciwnego uczucia z równąż objawić swobodą.

Na te słowa, których nie mogłem słuchać bez zachwycenia, zgiąłem kolano przed Antonią i zbytkiem radości uniesiony, wziąłem jéj piękną rękę całując czule, rzekłem: Droga Antonio,

twoja otwartość cieszy mnie, oby nigdy żaden przymus sercem twojém nie władał; mówisz do swojego męża, niech dusza twoja objawia się zupełnie przed nim. Mogę więc pochlebiać sobie, że nie bez przyjemności widzieć mnie będziesz łączącego swoje losy z twojemi. Bazyli wchodząc w tym momencie, przerwał mi dalszą mowę. Pragnąc wiedzieć, co mi odpowiedziała córka jego i gotów zgromić ją, gdyby mi najmniejszy wstręt objawiła, odezwał się: No jakże, jesteśże kontent z Antonii? Jestem tak zadowolony, odpowiedziałem, że idę natychmiast zająć się przygotowaniem do godów małżeńskich. To rzekłszy, opuściłem ojca i córkę, aby się naradzić z moim sekretarzem.

Rozdział IX.

Gody weselne Gil Blasa z piękną Antonią; jak się odbyły i kto się na nich znajdował.

Lubo nie potrzebowałem pozwolenia panów de Leyva do wejścia w związki małżeńskie, uznaliśmy jednak obadwa ze Scypionem, że przyzwoitość nakazywała mi zawiadomić ich o zamiarze zaślubienia córki Bazylego, a nawet proszenia przez grzeczność, o ich zezwolenie.

Pojechałem więc zaraz do Walencyi, gdzie równie zdziwiono się nad mojém przybyciem, jak i powodem do tego. Don Cezar i Don Alphons, znając dobrze Antonią, ponieważ ją często widywali, winszowali mi mojego wyboru. Don Cezar osobliwie, prawił mi grzeczności z takim zapałem, że gdybym go nie znał jako pana, który już porzucił pewne rozrywki, byłbym go miał w podejrzeniu, że Lirias zwiedzał często nie dla widzenia swojego zamku, ale raczéj swojéj młodéj dzierżawczyni. Żebym tylko choć kroplę zazdrości i podejrzliwości odebrał z łaski natury, byłbym wpadł na bardzo niemiłe rozmyślania w tym względzie; nie zrobiłem wszakże tego, tak dalece przekonany byłem o cnocie mojéj przyszłéj. Serafina, zapewniwszy mnie, że ją mocno zajmuje wszystko, cokolwiek się mnie tyczy, oświadczyła, że wiele pochwał Antonii słyszała; lecz dodała żartobliwie i niby wyrzucając mi obojętność dla Sephory, gdyby mi nawet nie wychwalano jéj piękności, spuściłabym się na twój gust, którego znam wykwintność.

Don Cezar i syn jego nie poprzestali na potwierdzeniu mojego małżeństwa; oświadczyli mi, iż pragną ponosić wszystkie godowe koszta. Wracaj, mówili mi, do Lirias i siedź spokojnie, póki nie odbierzesz wiadomości od nas. Nie rób żadnych przygotowań na wesele, to będzie naszém staraniem. Stosując się do ich woli, wróciłem do mojego zamku. Ostrzegłem Bazylego i jego córkę, o zamiarach naszych dobroczyńców i z największą ile można cierpliwością, czekaliśmy na ich zawiadomienie. Nie słychać go było przez całe ośm dni. Za to dnia dziewiątego, zajechała kareta czterema mułami zaprzężona, w któréj były szwaczki wiozące piękne ubiory dla panny młodéj; towarzyszyło jéj zaś kilku ludzi w liberyi na dzielnych koniach. Jeden z nich oddał mi list od don Alphonsa, donoszący, że nazajutrz przybędzie do Lirias z ojcem i swoją małżonką, że obrzęd zaślubin odbędzie się w dniu następnym przez wielkiego wikaryusza Walencyi. W istocie, wszyscy przybyli do mojego zamku w karecie czterema pięknemi końmi zaprzężonéj, poprzedzała ją zaś druga, w któréj były kobiéty dworu Serafiny; orszak tworzyła gwardya gubernatora.

Pani gubernatorowa przybywszy do zamku, przedewszystkiém pragnęła oglądać Antonią, która ze swojéj strony zaledwie posłyszała o przyjeździe Serafiny, przybiegła dla powitania jéj i ucałowania ręki, co z takim dokonała wdziękiem, że zadziwiła całe towarzystwo. A co pani, odezwał się don Cezar do swojéj synowéj, cóż myślisz o Antonii? Santillana mógłże lepszy zrobić wybór? Nie, odpowiedziała Serafina, są wcale godni jedno drugiego, nie wątpię bynajmniéj że związek ich będzie bardzo szczęśliwy. Koniec końców wszyscy wychwalali moją przyszłą, i jeżeli się podobała w swoim ubiorze szarżonym, tém bardziéj zachwyciła wszystkich w kosztowniejszym stroju. Zdawało się, że nigdy innego nie nosiła, tak szlachetna była jéj postawa, a poruszenia zgrabne.

W chwili, w któréj słodki hymen miał losy nasze połączyć, don Alphons wziął mnie pod rękę i poprowadził do ołtarza, Serafina ten sam zaszczyt wyświadczyła pannie młodéj. W takim porządku udaliśmy się do kaplicy zamkowéj, w któréj wielki Wikaryusz czekał na nas ze swojém błogosławieństwem. Obrzęd ten odbył się wśród radosnych okrzyków mieszkańców Lirias i wszystkich z okolicy bogatszych dzierżawców, których Bazyli zaprosił na gody swojéj córki. Przybyli oni z córkami w kwiaty i wstążki strojnemi, w ręku zaś miały biskajskie bębenki. Wróciliśmy do zamku, w którym za staraniem Scypiona, gospodarza biesiady, zastawiono trzy stoły, jeden dla państwa, drugi dla osób z ich orszaku, trzeci największy dla reszty gości. Antonia należała do piérwszego stołu, bo tak chciała pani gubernatorowa; ja częstowałem przy drugim, a Bazyli zasiadł z rolnikami. Scypion nie siedział przy żadnym, biegał tylko od jednego do drugiego, dając baczność by wszędzie była usługa należyta, i żeby każdy był zadowolony.

Kucharze gubernatorscy przyrządzali biesiadę, ma się więc rozumieć, że na niéj niczego nie brakło. Wyborne wina, z zapasu mistrza Joachima, w obfitości dostarczane, rozweselały towarzystwo; głowy gości zaczęły się rozgrzéwać, wesołość panowała wszędzie, gdy niespodzianie wszystko się pomieszało zdarzeniem dla mnie zatrważającém. Sekretarz mój będąc w sali, w któréj ja siedziałem przy stole z wyższymi oficyalistami don Alphonsa i kobiétami Serafiny, padł niespodzianie zemdlały i stracił przytomność. Pobiegłem mu na pomoc i kiedy zajmowałem się rozbudzeniem jego władz umysłowych, jedna z kobiét zemdlała także. Całe towarzystwo wnosiło, że to podwójne mdłości zawiérały jakąś tajemnicę, jak było w istocie, co się wkrótce wyjaśniło. Scypion orzeźwiony, odezwał się do mnie pocichu: Trzebaż aby najpiękniejszy z dni twoich, musiał się stać najprzykrzejszym dla mnie? Trudno uniknąć wiszącego nad człowiekiem nieszczęścia! dodał zaraz, oto w orszaku kobiét Serafiny, znalazłem moją żonę.

Co słyszę! zawołałem, czy podobna? Jak to! miałżebyś być mężem téj kobiéty, która w téjże chwili zemdlała? Tak jest, panie, odpowiedział, jestem jéj mężem, a los nie mógł mi większéj psoty wypłatać, jak przedstawiając ją moim oczom. Nie wiém mój kochany, rzekłem, jakie możesz miéć powody do uskarżenia się na twoją żonę, lecz jakikolwiek mógłby być powód, zlituj się, jeżeli masz cokolwiek życzliwości dla mnie, powściągnij się i wybuchem urazy nie zakłocaj téj uczty. Będziesz zadowolony, odpowiedział, zobaczysz że umiem wybornie udawać.

Tak mówiąc, posunął się ku swojéj żonie, którą także jéj towarzyszki ocuciły, i ściskając ją z takiém uniesieniem, jak gdyby zachwycony jéj widokiem, zawołał: Ah, droga Beatrix, przecież w końcu niebo nas łączy, po dziesięcioletniém rozłączeniu! O słodka dla mnie chwilo! Nie wiém, odpowiedziała żona, czy w istocie spotkanie moje może ci być miłe, ale przynajmniéj silnie jestem przekonana, żem ci nie dała najmniejszego powodu do opuszczenia mnie. Jak to! zastajesz mnie w nocy z don Ferdynandem de Leyva, który kochał Julią, moją panią, którego miłosnym zamiarom sprzyjałam, pomagając ile możności do ich osiągnięcia; tyś sobie uroił, żem go słuchała z uszczerbkiem honoru i twojego i mojego, a z tego powodu zazdrość pomieszała ci zmysły, opuściłeś Toledo, uciekłeś ode mnie, jak od straszydła, nie czekając, nie żądając wyjaśnienia! Proszęż cię, kto teraz z nas dwojga ma większe prawo oskarżania się? A ty, bez wątpienia, odpowiedział Scypion. Oczywiście, że ja, rzekła daléj, don Ferdynand wkrótce po swojém oddaleniu się, ożenił się z Julią, i u nich zostawałam póki Julia żyła, a od chwili, w któréj ją śmierć przedwczesna nam zabrała, jestem u pani gubernatorowéj, jéj siostry, która podobnie jak wszystkie jéj kobiéty, zaręczą za czystość moich obyczajów.

Sekretarz mój, po takowéj mowie, na którą nie mógł nic odpowiedzieć, z chęcią przystał na zgodę. Jeszcze raz powtarzam, odezwał się do swojéj małżonki, że uznaję moją winę, i wobec tego szanownego zgromadzenia, proszę cię o przeba-

czenie. Wtedy wstawiając się za nim prosiłem żonę jego, aby puściła w niepamięć przeszłość, zapewniając ją, iż odtąd mąż jéj starać się nieomieszka o odzyskanie jéj przywiązania. Skłoniła się na moje prośby, a całe towarzystwo ucieszyło się tém pojednaniem dwojga małżonków. Żeby zaś uczcić je przyzwoiciéj, posadzono ich przy stole obok siebie, spełniano kiélichy za ich zdrowie, robiono im wszelkie honory, tak dalece, że rzekłbyś, iż cała uczta była raczéj z powodu ich pogodzenia się wyprawiana, nie zaś na moje gody weselne.

Trzeci stół najpiérwéj opuszczono. Młodzi wieśniacy przenosząc miłość nad przyjemności stołu, wstali dla rozpoczęcia tańców z młodemi wieśniaczkami, które odgłosem biskajskich bębenków, wnet ściągnęły gości od innych stołów i pobudziły do naśladowania ich przykładu. Otóż wszyscy w ruchu: urzędnicy gubernatorscy zabrali się do tańca z pannami pani gubernatorowéj; panowie nawet wmieszali się pomiędzy tanecznikow; don Alphons tańczył *sarabandę* z Serafiną, a don Cezar stanął do tegoż tańca z Antonią, która następnie wyzwała mnie, i wcale nie źle się wydała, jak na osobę, która ledwie początki téj sztuki powzięła w Albarazinie, od jednéj mieszczki, krewnéj swojéj. Ja zaś, com się uczył tańczyć, jak już wyżéj nadmieniłem, u margrabinéj Chaves, uznany zostałem przez całe towarzystwo, za wybornego tancerza. Beatrix i Scypion usiadłszy na boku opowiadali sobie swoje przygody od czasu ich rozłączenia się, póki Serafina nie przerwała ich rozmowy. Ta pani dowiedziawszy się o ich poznaniu się i pojednaniu, wezwała ich do siebie, aby im wynurzyć swoją radość z tego powodu. Moje dzieci, mówiła, w tym dniu rozkosznym, znajduję nowy powód zadowolenia widząc was napowrót zjednoczonych. Przyjacielu Scypionie, dodała, wracam ci twoją żonę, zaręczając ci za jéj nieskażone obyczaje, żyjcie tu razem w zgodzie. Ty zaś Beatrix przywiąż się do Antonii i bądź dla niéj tak przychylną, jak mąż twój jest dla pana Santillany. Po czém Scypion zmuszony do uznania swojéj małżonki za drugą Penelopę, przyrzekł, że zachowa dla niéj wszelkie względy.

Wieśniacy i wieśniaczki przetańczywszy dzień cały, wrócili do domów swoich; w zamku atoli uczta nie ustawała. Zastawiono wspaniałą wieczerzę, a gdy czas spoczynku nadszedł, wielki Wikary pobłogosławił łoże małżeńskie. Serafina rozebrała pannę młodą, a panowie de Leyva ten sam zaszczyt mnie zrobili. Najzabawniejsza rzecz była gdy oficerowie don Alphonsa i panny gubernatorowéj zabrali się do podobnegoż obrzędu, rozebrali Beatrix i Scypiona, którzy dla dodania większéj wesołości téj scenie, z całą powagą przyjęli ich usługę.

Rozdział X.

Następstwa ślubu Gil Blasa. Początek historyi Scypiona.

Nazajutrz po moim ślubie, panowie de Leyva wrócili do Walencyi, dawszy mi nowe dowody swojéj przyjaźni, a my z sekretarzem, naszemi żonami i służbą zostaliśmy w zamku.

Zabiegi nasze w przypodobaniu się naszym paniom nie były płonne; w krótkim czasie małżonkę moją natchnąłem takąż ku sobie miłością, jaką ja dla niéj pałałem, a Scypion zatarł w pamięci swojéj żony wszystkie zgryzoty, do których stał się powodem. Beatrix umysłu giętkiego i miłego wnet zyskała przychylność nowéj pani i jéj zaufanie. Słowem wszyscy przedziwnie zgadzaliśmy się, i zaczęliśmy prowadzić życie godne zazdrości. Dnie upływały nam wśród miłych rozrywek. Antonia była bardzo poważna, ale za to Beatrix i ja byliśmy bardzo weseli, a gdybyśmy i my nawet byli posępni, Scypion sam jeden nie dozwoliłby zagnieździć się u nas melancholii. Był to człowiek niezrównany do towarzystwa, jeden z tych osób komicznych, które samém wystąpieniem rozweselają towarzystwo.

Pewnego dnia przyszło nam do głowy zrobić sobie siestę w najrozkoszniejszém miejscu gaju, lecz mój sekretarz w tak dobrym był humorze, ze zabawnemi rozmowami odebrał nam ochotę do drzymania. Cicho bądź, mój przyjacielu, bo niepodobna zasnąć słuchając cię, albo też, kiedy nam już spać nie dasz, opowiadaj coś godniejszego uwagi. Bardzo chętnie, odpowiedział. Pozwoliszże sobie opowiedzieć historyę króla Pelayo? Jabym wolał posłuchać twojéj, odpowiedziałem, ale to jest przyjemność, któréj nie uznałeś za stosowną rzecz uczynić mi przez cały czas, jak razem z sobą żyjemy i któréj się zapewne nigdy nie doczekam. A zkądże to pochodzi? odezwał się, oto że pan nigdy nie objawił najmniejszego życzenia poznać wypadki mojego życia. A zatém nie jest to moja wina, skoro zaś teraz obudziła się pańska ciekawość, jestem gotów do jéj zaspokojenia. Antonia, Beatrix i ja pochwyciliśmy jego obietnicę i przygotowaliśmy się do bacznego słuchania powieści jego, po któréj spodziéwaliśmy się należytego skutku, albo zabawy, albo pobudzenia do snu.

Scypion więc tak rzecz swoją zaczął: Byłbym synem granda piérwszéj klassy, albo najmniéj jakiego rycerza zakonu św. Jakóba, lub Calatravy, gdyby to zależało ode mnie; ale ponieważ nikt sobie ojca nie wybiéra, wiedźcie zatém że mój, nazwiskiem Torribio Scypion był szanownym giermkiem św. Hermandada. Przejeżdżając się tam i sam po bitych drogach z obowiązku powołania swojego, spotkał raz trafem między Cuenca i Toledo młodą cygankę, która mu się zdała bardzo ładną. Szła sama jedna, pieszo, dźwigała na plecach całe swoje mienie w tabołku. Dokądże to zdążasz moja luba? odezwał się do niéj łagodząc głos, który z natury miał bardzo przeraźliwy. Panie kawalerze, odpowiedziała, idę do Toledu, gdzie spodziéwam się coś zarobić tym, lub owym sposobem, byleby żyć uczciwie. Zamiary twoje chwalebne rzekł ojciec, i pewnie ci nie zbywa na środkach do ich osiągnięcia. A tak, dzięki Bogu, odpowiedziała, posiadam kilka talentów, między innemi umiém robić pomady i olejki bardzo użyteczne kobiétom; umiém wróżyć, potrafię obracać sito dla wynalezienia zguby, pokażę w zwierciedle, lub w szklance wszystko, czego kto zażąda.

Torribio uznawszy, że taka dziewczyna może być bardzo pożyteczną żoną dla takiego człowieka, który ledwie mógł wyżyć ze swojego urzędu, chociaż go przedziwnie wykonywał, oświadczył się jéj, z zamiarem zaślubienia. Cyganka nie mogła odmówić życzeniom oficera św. bractwa. Przyjęła mile oświadczenie. Po takowéj umowie udali się oboje do Toledu, połączyli się węzłem małżeńskim, i oto w osobie mojéj widzicie godny owoc tego szlachetnego związku. Osiedli naprzód na przedmieściu, gdzie matka moja rozpoczęła handelek pomadą i olejkami; ale ponieważ korzyści nie odpowiadały życzeniom, została wróżką. Wtedy to u niéj jak grad padały talarki i luidory. Tysiące uwiedzionych wnet rozgłosiło sławę Coscoliny, tak się bowiem zwała cyganka. Co dzień ktoś przychodził z prośbą o użycie jéj sztuki. Raz był to synowiec ubogi, pragnący wiedzieć rychłoli jego bogaty stryjaszek, którego był jedynym spadkobiercą powędruje na tam ten świat; to znowu dziewczyna ciekawa, czy kawaler, któremu odwdzięczyła jego zabiegi za odebraną obietnicą zaślubienia, dotrzyma danego słowa.

Muszę was ostrzedz, że wróżby mojéj matki były zawsze pocieszające dla osób, które ich żądały. Jeżeli przypadkiem spełniały się, to dobrze, jeżeli zaś ktoś wyrzucał jéj, że rzeczy wbrew przeciwny jéj przepowiedniom wzięły obrot, odpowiadała z zimną krwią, że temu winien zły duch, który mimo potęgę zaklęć, jakich używała, by jéj objawił przyszłość, czasami złośliwie ją oszukiwał.

Kiedy dla honoru powołania, matka moja uważała za rzecz stosowną w działaniach swoich pokazać djabła, wtedy Torribio Scipion występował na scenę i wybornie udawał: przeraźliwy głos i szpetna twarz nadawały mu postać odpowiednią temu, co przedstawiał; ktokolwiek wierzył, drżał na ten widok. Ale na nieszczęście pewnego dnia przybył jakiś kapitan rubaszny, chciał widzieć djabła, i wskroś go przeszył swoją szpadą. Święte oficyum zawiadomione o śmierci szatana, przysłało do Coscoliny swoich siepaczy, którzy ją ze wszystkiemi sprzętami zabrali, ja zaś siedm lat podówczas mający dostałem się do szpitala *de los Ninos*. Byli tam miłosierni duchowni, którzy zajęci wychowaniem sierót, uczyli je czytać i pisać. Zdawało się im, żem więcéj był obiecującym nad innych, wybrali mnie więc na swojego posłańca. Biegałem tu i owdzie z lista-

mi i służyłem do mszy. Wynagradzając moją skrzętność, postanowili uczyć mnie po łacinie; lecz zabrali się do tego za ostro, i z taką surowością obchodzili się ze mną, pomimo drobnych przysług, jakie dla nich spełniałem, że nie mogąc znieść dłużéj, upatrzywszy porę uciekłem, wtedy właśnie gdy mnie wysłali ze swoimi poleceniami. Wyszedłem z Toledu przedmieściem od strony Sewilli.

Lubo wtedy zaledwie rok dziewiąty skończyłem, czułem jednak całą rozkosz być niezależnym panem swojéj woli. Byłem bez pieniędzy i bez chleba, to fraszka, ale za to nie trzeba było uczyć się lekcyi, ani odpisywać ćwiczenia. Po dwugodzinnéj wędrówce, nożęta moje zaczęły odmawiać swojéj usługi. Dotąd jeszcze nigdy tak długiéj nie odbywałem drogi. Trzeba było zatrzymać się dla odpoczynku. Usiadłem więc pod wielkiém drzewem tuż przy drodze i dla zabawki dobyłem z kieszeni gramatykę i żartując sobie przewracałem w niéj kartki: ale wnet wspomniawszy na rózgi i dyscyplinę, com z jéj łaski odbiérał, wpadłem w gniéw, wydzierałem kartę za kartą wołając: Ah, ty psia książko, już odtąd nie będziesz przyczyną łez moich! Kiedy tak zaspokoiłem moją zemstę, rozrzucając do koła po ziemi czasowanie i przypadkowanie, przechodził tamtędy pustelnik z siwą brodą, wielkiemi okularami i poważną postawą. Zbliżył się do mnie, i jeżeli on z uwagą spoglądał na mnie i ja jemu nie mniéj bacznie przypatrywałem się. Mój ty malutki człowieku, rzekł do mnie uśmiechając się, zdaje mi się, że obadwa dosyć czule na siebie spoglądaliśmy i możeby to nie źle było, gdybyśmy obadwa razem mieszkali w mojéj pustelni, ztąd o dwieście kroków odległéj. Najniższy sługa pański, odpowiedziałem żywo, nie mam żadnéj ochoty być pustelnikiem. Na takową odpowiédź zacny starzec parsknął śmiechem i ściskając mnie rzekł: moje dziecię, nie lękaj się mojego ubioru, choć nie piękny, ale pożyteczny; on mnie czyni panem miłego i pięknego ustronia, i wsi okolicznych, których mieszkańcy kochają mnie, albo raczéj ubóstwiają. Pójdź ze mną, nie bój się niczego; przybiorę cię w habit podobny do mojego; jeżeli ci się podoba, podzielać będziesz ze mną przyjemności życia, jakie ja prowadzę; a jeżeli się nie zgodzisz na to, nie tylko wolno ci będzie opuścić mnie, ale nadto rozłączając się będę pamiętał o twojém dobru.

Dałem się nakłonić i poszedłem za starym pustelnikiem, który w drodze rozmaite zadawał mi pytania, a ja odpowiedziałem na nie ze szczerością jakiéj już potém nigdy nie miałem. Przybywszy do pustelni dał mi nieco owoców, które ja z chciwością pożerałem, gdyż przez cały dzień nic nie jadłem, prócz kawałka suchego chleba na śniadanie w szpitalu. Pustelnik widząc że się tak zwijam, rzekł: śmiało moje dziecię, nie oszczędzaj owoców moich, mam ich z łaski bozkiéj nie mały zapas. Nie po to przyprowadziłem cię tu, żebyś z głodu umierał. I to była szczera prawda, bo w godzinę późniéj rozpalił ogień, zatknął na rożen udziec skopowy, i kiedy ja obracałem pieczeń przy ogniu, on tymczasem dość brudną serwetą nakrył stół i postawił dwa talerze, jeden dla siebie, drugi dla mnie.

Gdy już mięso było upieczone, zdjął z rożna, ukroił kilka zrazów na wieczerzę, a nie była to uczta gęsia, bośmy pili wyborne wino, którego także miał dobry zapasik. A cóż moja rybko, rzekł wstawszy od stołu, kontent jesteś z mojego powszedniego jedzenia? czy nie warto tego w szpitalu? Otóż tak zawsze mieć będziesz skoro zostaniesz przy mnie. Zresztą wolno ci będzie w pustelni robić, co ci się podoba. Tego tylko od ciebie żądam, abyś mi towarzyszył, ile razy udam się do wiosek po jałmużnę; pomożesz mi do prowadzenia mojego kłapoucha z dwoma koszami, które wieśniacy litościwi napełniają jajami, chlebem, mięsem i rybami. Więcéj od ciebie nie wymagam, zdaje mi się, że to nie wiele. Oh, ja, rzekłem, wszystko chętnie zrobię, czego tylko żądać będziesz, bylebyś mnie nie przymuszał do uczenia się łaciny. Brat Chryzostom, to było imię pustelnika, nie mógł się wstrzymać od śmiechu z mojéj szczeroty, i na nowo zapewnił mnie, że nie myśli sprzeciwiać się moim skłonnościom.

Zaraz nazajutrz udaliśmy się po kweście z osiołkiem, którego prowadziłem na uździenicy. Obfitą zebraliśmy jałmużnę; każdy wieśniak z rozkoszą kładł co mógł w nasz kosz. Ten wrzucił bułkę chleba, tamten kawał słoniny, ów gęś nadziewaną, inny znowu kuropatwę. Co wam powiém? Sprowadziliśmy do pustelni żywności, więcéj jak na ośm dni, co dowodziło szacunku i przywiązania wieśniaków dla szanownego brata. To prawda, iż im był wielce pożyteczny; radził im, kiedy tego potrzebowali; przywracał pokój w gospodarstwach, do których się zakradła niezgoda, kojarzył małżeństwa; dowiedział się, że dwaj zamożni wieśniacy zwaśnili się z sobą, on zaraz udawał zię do nich i póty zabiegał, poki ich nie pojednał; wreszcie miał leki na tysiączne słabości, uczył modlitw kobiéty pragnące potomstwa.

Z tego widzicie, żem wybornie zajadał w pustelni, nie złe też miałem miejsce do spoczynku. Wyciągnięty na świeżéj czystéj słomie, mając pod głową poduszkę z szarego sukna, nakryty kołdrą z téjże materyi, zwykle na jednym boku całą noc przespałem. Brat Chryzostom przyrzekłszy mi habit pielgrzyma, zrobił mi go sam ze swojéj staréj sukni i nazwał mnie małym braciszkiem Scypionem. Zaledwie pokazałem się w jakiéj wiosce w tém ubraniu urzędowém, uważano mnie za tak miłego chłopca, że mój kłapouszek większy zaraz ciężar dźwigać musiał. Na wyścigi biegli, kto da więcéj małemu braciszkowi, tak się wszystkim podobała moja figura.

Życie rozkoszne i próżniacze musiało mieć pociąg dla chłopca w moim wieku. Dla tego też tak w niém zamaskowałem, że byłbym je do śmierci wiódł, gdyby Parki nie wysnuły mi nici innych dni, wielce różnych od tych, które pędziłem; przeznaczenie wyrwało mnie z łona rozkoszy i przywiodło do opuszczenia brata Chryzostoma w sposób, jaki wam zaraz opowiém.

Uważałem, że stary często coś robił z poduszką, która mu służyła za wezgłowie; raz poraz rozparał ją i znowu zszywał, dostrzegłem pewnego razu, że kładł w nią pieniądze. Po takowém spostrzeżeniu wzięła mnie ciekawość, którą postanowiłem zaspokoić zaraz za piérwszym razem, gdy stary uda się do Toledo, dokąd raz w tydzień zwykł był jeździć. Z niecierpliwością oczekiwałem tego dnia, jeszcze wszakże prócz zaspokojenia ciekawości innego nie miałem zamiaru. Wreszcie poczciwy pustelnik pojechał, a ja natychmiast rozprułem poduszkę i znalazłem w wełnie, którą była napchana, wartość około pięćdziesięciu talarów w rozmaitéj monecie.

Skarb ten był zapewne owocem wdzięczności wieśniaków, których pustelnik wyleczył z rozmaitych słabości. Cóżkolwiek bądź, tylko com zoczył pieniądze, które bezkarnie mogłem sobie przywłaszczyć, gdy natychmiast odezwała się we mnie natura cygańska. Opanowała mnie chętka skradzenia ich, co należy przypisać pociągowi krwi, jaka w żyłach moich płynęła. Bez oporu uległem pokusie; zawiązałem pieniądze w sukienny worek, w który zwykle kładliśmy grzebienie i czapki nocne, poczém zrzuciwszy habit pustelniczy a przywdziawszy dawniejszy ubiór sieroty, uszedłem z pustelni w przekonaniu, że dźwigam wszystkie skarby indyjskie.

Słyszeliście więc piérwszą moją próbę, mówił daléj Scypion, i pewny jestem, że spodziéwacie się całego pasma czynów podobnéjże natury. Nie zawiodę waszego oczekiwania, opowiém wam jeszcze kilka innych czynów, nim przystąpię do rzeczy godnych pochwały; ale i do tego przyjdę i zobaczycie, że oszust także może się stać uczciwym człowiekiem.

Chociaż byłem dzieciakiem, a przecież nie byłem tak głupim, abym miał się udać drogą do Toledu; byłoby to narażać się na przypadek spotkania brata Chryzostoma, który z niemałą moją przykrością, żądałby zwrotu swojego ukrytego skarbu. Inną więc puściłem się drogą, która mnie zawiodła do wsi Galves; tu w domu zajezdnym, gospodynią była wdowa, około czterdziestoletnia, mająca wszystkie przymioty zabiegłéj karczmarki. Ta kobiéta rzuciwszy na mnie okiem, od razu poznała, że muszę być zbiegiem ze szpitala, i dla tego zapytała mnie, ktobym był i dokąd idę. Odpowiedziałem jéj, że straciwszy ojca i matkę, szukam służby. Moje dziecko, rzekła, umieszże

czytać? Zapewniłem ją że czytam, a nawet prześlicznie piszę. W istocie kréśliłem litery i tak je z sobą wiązałem, iż miały niejakie podobieństwo do pisma; ale to wystarczało do buchalteryi karczemnéj. Otóż ja ciebie zatrzymam do moich usług, rzekła gospodyni. Będziesz mi dosyć pożyteczny, będziesz utrzymywał rachunek moich długów i należności. Nie naznaczam ci wcale myta, ponieważ do téj oberży zajeżdżają uczciwi panowie, którzy nie zapominają o służących. Możesz liczyć na dobre małe dochodziki. Przyjąłem miejsce zachowując sobie w myśli, jak się łatwo domyślicie, wolność zmiany, skoroby pobyt w Galves, stracił dla mnie ponętę. Ujrzawszy się zgodzonym do służby w téj karczmie, uczułem jakąś niespokojność umysłu, a im więcéj nad tém rozmyślałem, tem bardziéj uzasadnioną zdawała się obawa moja. Nie chciałem aby wiedziano, że mam piéniądze, a trudność wielką miałem w wyszukaniu dla nich schowania. Jakież to troski przynoszą bogactwa! w ustawnéj byłem trwodze. Zresztą postanowiłem złożyć mój skarb w jednym kącie pod strychem, w którym była słoma, a sądząc, że tam bezpieczniejsze będą jak gdzieindziéj, uspokoiłem się, ile tylko było w mojéj mocy.

Było nas troje służących w tym domu; duży chłopak stajenny, pucołowata służąca z Galicyi i ja. Każde z nas ciągnęło co mogło z gości zajeżdżających. Ja zawsze chwytałem od tych panów kilka groszy, gdym im podawał rachunek, rzucali także coś stajennemu, lecz galicyanka, bożyszcze mułowodzców, tyle zyskiwała talarów, ile inni groszów. Skoro tylko dostałem grosz jaki, niosłem go zaraz pod strych, dokładając go do mojego skarbu, i im bardziéj wzrastał mój majątek, tém więcéj małe moje serce przywiązywało się do niego. Niekiedy całowałem moje piéniądze; przypatrywałem się im z takiém uniesieniem, jakie tylko pojąć mogą chciwi dusigrosze.

Przywiązanie moje do tego skarbu, pobudzało mnie do odwiedzania go po dwadzieścia i trzydzieści razy na dzień. Często na schodach spotykałem gospodynią, która z natury będąc podejrzliwą, ciekawa była, coby mnie tak często wabiło pod strych. Weszła tam i zaczęła wszędzie myszkować, wystawiając sobie, że w tém poddaszu ukrywam rzeczy w jéj domu schwytane. Nie zapomniała także poruszyć słomy, która pokrywała mój worek i tam go znalazła. Rozwiązała go, a widząc w nim talary, nawet i luidory, mniemała, albo udała przynajmniéj, że tak mniema, iż te piéniądze jéj były skradzione. Zabrała je na piękne, a wywołując na mnie od nędzników, złodziejów, hultajów, kazała chłopakowi stajennemu wyliczyć mi z pięćdziesiąt plag, a wytrzepawszy mnie porządnie, wyrzuciła za drzwi, mówiąc, że nie może w domu swoim cierpieć oszustów. Na próżno zaręczałem, że jéj nie okradłem, ona utrzymywała przeciwnie i jéj więcéj wierzono niż mnie. Takim sposobem piéniądze brata Chryzostoma przeszły z rąk złodzieja, w ręce złodziejki.

Opłakiwałem stratę moich piéniędzy, jak rodzice opłakują śmierć jedynaka, a jeżeli łzy moje nie odzyskały straty, obudziły przynajmniéj politowanie osób, które je widziały, między innemi proboszcza z Galves, który przypadkiem tamtędy przechodził. Zdał się wzruszony stanem w jakim mnie widział i wziął mnie z sobą do plebanii. Tam żeby zyskać moje zaufanie, a raczéj aby mnie pociągnąć za język, zaczął ubolewać nademną. Jakże to biédne dziécię, rzekł, godne jest politowania, że nie ma, ktoby się niém opiekował! I jakże się tu dziwić, jeżeli w tak młodym wieku, sam sobie zostawiony, mógł się dopuścić złego czynu? Ludzie dojrzali w ciągu swojego życia, nieraz z trudnością ledwie się uchronią. Daléj zwracając mowę do mnie, dodał: Mój synu, z jakiéj okolicy Hiszpanii pochodzisz i jacy są twoi rodzice? Masz minę chłopca dobrego urodzenia. Mów mi wszystko z ufnością, bądź pewny, że cię nie opuszczę.

Pleban tak polityczną i miłosierną mową, skłonił mnie powoli do wyjawienia mu spraw moich, com też zrobił z wielką szczerością. Wyznałem mu wszystko, poczém odezwał się do mnie: mój przyjacielu, chociaż nie przystoi pustelnikowi zbiérać piéniądze, to wszakże nie zmniejsza winy twojéj; okradając brata Chryzostoma, zgrzeszyłeś przeciw przykazaniu bozkiemu, które zakazuje przywłaszczać sobie cudze mienie; ale na pociechę twoją, oświadczam ci, że ja się postaram, aby karczmarka zwróciła piéniądze do pustelni i odtąd w tym względzie sumienie twoje może być spokojne. Przyznam się wam, że o to właśnie nie troszczyłem się wcale. Pleban powziąwszy zamiar, nie poprzestał na tém. Moje dziecko chcę się zająć tobą i wystarać ci się o dobre miejsce. Jutro zaraz poszlę cię z mułowodzcą do mojego siostrzeńca, który jest katedralnym kanonikiem w Toledo. Na prośbę moją przyjmie cię w poczet swoich służących, którzy rozkoszne wiodą życie z dochodów jego prebendy; będzie ci tam wybornie; jest to rzecz, za którą ci ręczyć mogę.

To zapewnienie było dla mnie tak pocieszające, iż zapomniałem o moim worku a nawet i o odebranéj chłoście; umysł mój zajęty był jedynie rozkoszném życiem u kanonika. Nazajutrz, kiedym był przy śniadaniu, przybywa z rozkazu plebana mułowodzca z dwoma mułami dobrze osiodłanemi i okełznanemi. Wsadzono mnie na jednego z nich, a na drugiego wskoczył mułowodzca i natychmiast puściliśmy się drogą toledańską. Mój towarzysz podróży był to człowiek wesołego humoru, który lubił się bawić kosztem bliźniego. Mój ty mały chłopczyku, masz wielkiego przyjaciela w osobie plebana z Galves. Pokazuje ci to wyraźnie. Nie mógł ci lepszego dać dowodu swojéj przychylności jak mieszcząc cię u swojego siostrzeńca kanonika, którego mam zaszczyt znać, który bez zaprzeczenia jest perłą całéj kapituły. Jest to człowiek wesoły, uprzejmy a przytém dobrze żyjący. Będziesz u niego jak pączek w maśle.

Zbój mułowodzca, widząc że bacznie słucham jego mowy, wciąż wychwalał szczęście, jakiego doznam w służbie kanonika. Nie przestawał o tém mówić, pókiśmy nie stanęli we wsi Obisa, dla wypoczynku mułów. Tam z niesłychaném mojém szczęściem dowiedziałem się, że mnie oszukiwano. Otóż jakim sposobem tego doszedłem. Mułowodzca przechodząc się po karczmie, upuścił przypadkiem papiér, który szybko podniosłem, tak, że tego nie postrzegł, przeczytałem zaś wtedy, gdy się udał do stajni. Był to list do księży, przełożonych szpitala sierot, w tych wyrazach napisany: „Panowie, sądzę że miłość chrześciańska, obowiązuje mnie do wydania w ręce wasze małego oszusta, który się wymknął z waszego szpitala; zdaje mi się chłopiec sprytny i zasługuje, abyście go dobrze trzymali. Nie wątpię, że ciągłém karceniem wykierujecie go na uczciwego chłopca. Niech Bóg jak najdłużéj zachowuje pobożnych i miłosiernych panów.—*Pleban z Galves.*“

Przeczytawszy list, z którego dowiedziałem się o dobrych chęciach plebana, nie wahałem się w wyborze środków, jakie mi przedsiębrać wypadało; wymknąć się z karczmy i dostać do brzegów Tagu, więcéj jak o milę ztamtąd odległych, było dziełem jednéj chwili. Strach dodał mi skrzydeł, by uciekać przed przełożonymi szpitala sierót, dokąd żadną miarą wracać nie myśliłem, tak mi obmierzł sposób uczenia łaciny. Wszedłem do Toledu tak wesoło, jakbym wiedział dokąd mam iść pić i jeść. To prawda, że to miasto błogosławione, w którém człowiek przebiegły, zmuszony żyć kosztem cudzym, nie może umrzéć z głodu. Lecz ja byłem jeszcze za młody, abym mógł sobie pochlebiać że znajdę sposób utrzymania, ale fortuna wzięła mnie w swoją opiekę. Zaledwie wyszedłem na wielki rynek gdy porządnie ubrany mężczyzna, którego mijałem, zatrzymał mnie za rękę i rzekł: chłopcze, czy chcesz u mnie służyć? radbym miał takiego lokaja jak ty. A ja, odpowiedziałem, takiego pana; kiedy tak, mówił daléj, jesteś u mnie od téj chwili i teraz pójdź ze mną. Co też zrobiłem, nic nie rzekłszy.

Kawaler ten około trzydziestu lat mieć mogący nazywał się Abel, mieszkał w hotelu umeblowanym, gdzie dość piękne zajmował pokoje. Był to gracz z powołania i otóż jakim sposobem żyliśmy obadwa: rano nakrajałem mu tytuniu na pięć, lub sześć fajek, wyczyściłem mu suknie, zawołałem balwierza, który go ogolił i utrefił mu wąsy, po czém wychodził zwiedzać szulernie, z ktorych wracał zwykle między jedénastą i dwunastą w nocy. Każdego poranku nim wyszedł do miasta dawał

mi trzy reale na moje wydatki dzienne, pozwalając robić coby mi się podobało bylebym o dziesiątéj godzinie był już w hotelu, skoro mnie tylko zastał za powrotem, był bardzo kontent ze mnie. Kazał mi zrobić kaftan i spodnie krojem liberyi, w czém wyglądałem jako posłaniec zalotnic. Bardzo kontent byłem z mojéj służby i zaiste nie mogłem znaléźć zgodniejszéj z moim humorem.

Już prawie miesiąc upływał, jak wiodłem tak błogie życie, kiedy pan zapytał się, czybym był kontent z niego, a usłyszawszy odpowiedź moją potwierdzającą, to dobrze, odezwał się, więc jutro wyjeżdżamy do Sewilli, gdzie mnie interesa wzywają. Nie będziesz się pewnie gniéwał, że zwiedzisz tę stolicę Andaluzyi. *Kto nie widział Sewilli*, mówi przysłowie, *nic nie widział*. Oświadczyłem mu, że jestem gotów udać się za nim wszędzie. Tegoż samego dnia posłaniec sewilski zabrał z hotelu pański kufer z rzeczami, a nazajutrz ruszyliśmy do Andaluzyi.

Pan Abel tak był szczęśliwy w grze, że wtedy tylko przegrywał, kiedy sam chciał; to właśnie zmuszało go do częstéj odmiany miejsca, aby uniknąć gniéwu oszukanych i to było przyczyną naszéj podróży teraźniejszéj. Przybywszy do Sewilli, zajęliśmy mieszkanie w hotelu przy bramie Korduańskiéj i zaczęliśmy żyć jak w Toledo. Ale mój pan znalazł wielką różnicę między temi dwoma miastami. Spotkał graczów równie jak on szczęśliwych; tym sposobem nieraz wracał bardzo strapiony. Pewnego poranku będąc jeszcze w złym humorze, że wczoraj sto luidorów przegrał, zapytał się, dlaczego nie zaniosłem jego brudów do praczki. Odpowiedziałem, żem zapomniał. Za to wpadłszy w złość, przylepił mi z pół tuzina policzków tak silnych, iż mi się bardziéj zaświeciło w oczach, niż w świątyni Salomona. Masz, mały nędzniku, rzekł, to cię nauczy być baczniejszym na twoje powinności. Czy zawsze mam ci deptać po nogach, przypominając co masz robić? Czemu nie jesteś tak skory do służby, jak do jedzenia. A dla czego nie możesz nawet uprzedzić mojego rozkazu i moich potrzeb, przecież nie jesteś bydlęciem? To rzekłszy wyszedł, zostawiwszy mnie bardzo strapionego policzkami za tak lekkie uchybienie i gotowego zemścić się, przy wydarzonéj sposobności.

Nie wiém co go spotkało wkrótce potem w szulerni, ale pewnego wieczoru wrócił w wielkiém uniesieniu. Scypionie, rzekł, postanowiłem udać się do Włoch i mam wsiąść na okręt wracający do Genui. Mam powód do téj podróży; spodziéwam się że mi zechcesz towarzyszyć i korzystać z tak pięknéj sposobności, by zwiedzić kraj najpiękniejszy w świecie. Odpowiedziałem, że więcéj nadto nie pragnę, objawiłem nawet wielką chęć oglądania Włoch, ale zarazem przyrzekłem sobie zniknąć w chwili odbicia od lądu. Zdawało mi się, że tym sposobem zemszczę się nad moim panem, i zamiar za nader dowcipny uznałem. Tak z tego byłem kontent, iż nie mogłem przenieść na sobie, aby się nie zwierzyć chwatowi z powołania, którego spotkałem na ulicy. Od chwili pobytu mojego w Sewilli, zawiązałem kilka złych znajomości, a szczególniéj z dopiéro co wymienionym. Opowiedziałem mu za co i w jaki sposób zostałem wypoliczkowany, następnie wyjawiłem zamiar opuszczenia don Abela w chwili siadania na okręt i zapytałem się coby téż myślił o mojém postanowieniu.

Mój chwat marszczył brwi w czasie opowiadania, zakręcał wąsów w górę, następnie ganiąc z powagą mojego pana, rzekł, mały poczciwcze, zostaniesz zhańbiony na zawsze, kończąc na błahéj zemście o jakiéj myślisz. To nie dosyć, że puścisz don Abela samego w podróż, to nie byłoby dlań karą dostateczną; trzeba karę zastosować do obelgi. Nie trzeba się wahać, zabierzmy jego rzeczy i pieniądze, któremi się po bratersku podzielemy po jego odjeździe. Chociaż czułem naturalny pociąg do grabieży, jednak przeląkłem się na podaną myśl tak ważnéj kradzieży.

Wytrawny oszust potrafił mnie wreszcie namowić; i otóż skutek naszego przedsięwzięcia. Chwat człowiek dobrego wzrostu i siły, zaraz nazajutrz nad wieczorem przyszedł do mnie do hotelu. Pokazałem mu kufer, w którym pan mój zamknął już wszystkie swoje rupiecie i zapytałem się, czy sam: jeden potrafi udźwignąć tak ciężki kufer. Tak ciężki! rzekł wiedz o tém, że gdy idzie o zagrabienie cudzéj własności, jabym dźwignął samą arkę Noego. To mówiąc zbliżył się do kufra, bez trudności zarzucił go na ramię i lekko zeszedł po schodach. Ja szedłem za nim równie cicho stąpając, i już tylko co mieliśmy się przemknąć przez bramę na ulicę, gdy don Abel, którego szczęśliwa gwiazda w samą porę sprowadziła; niespodzianie stanął przed nami.

Dokąd idziesz z tym kufrem? odezwał się do mnie. Tak się zmieszałem, żem zapomniał języka w gębie; a chwat widząc chybiony zamach, rzucił kufer na ziemię i umknął, by się nie narażać na tłumaczenie. Dokądże więc idziesz z tym kufrem, powtórzył raz jeszcze. Panie, odpowiedziałem na pół nieżywy, chciałem go zanieść na okręt, na który jutro masz siadać w podróż do Włoch. A ha, a znaszże ten okręt, na którym mam płynąć? Nie, panie, ale na końcu języka znajdzie się droga do Rzymu; byłbym się pytał w porcie i ktoś znalazłby się, coby mi go wskazał. Na tę odpowiedź, która mu się zdała podejrzaną, groźném okiem spojrzał na mnie; zdało mi się że znowu sypną się policzki: kto ci kazał, krzyknął, wynosić kufer z hotelu? Pan sam odpowiedziałem; kto, ja? zawołał z podziwieniem, ja ci kazałem? Oczywiście, rzekłem, przypomnij pan sobie połajanie, które odebrałem przed kilką dniami. Nie powiedziałżeś wtedy, bijąc mnie, że chcesz abym uprzedzał twoje rozkazy, i spełniał z własnego rozsądku to, co w usługach twoich potrzebne? Otóż w skutek tego, ja kazałem nieść kufer na okręt. Wtedy szuler, spostrzegłszy we mnie większą przewrotność, aniżeli początkowo przypuszczał, rzekł, uwalniając mnie ze służby. Ruszaj! panie Scypionie, niech cię Pan Bóg prowadzi! masz rozum nad wiek. Nie lubię grać z ludźmi, którzy raz mają kartę za wiele, drugi raz kartę za mało. Po czém zmieniając ton, zawołał: precz mi z oczu, abym cię nie posłał na hak.

Nie dałem sobie powtarzać tego rozkazu. W téj chwili oddaliłem się, drżąc cały, aby mi nie kazał zdjąć sukni, którą mi przecież na szczęście zostawił. Szedłem ulicą rozmyślając gdzie się podziać na noc z dwoma realami w kieszeni. Zbliżyłem się do bramy pałacu arcybiskupiego zkąd zapach potraw przyrządzonych na wieczerzę, zaleciał mnie. Ha! pomyśliłem sobie, jakby tu dobrze było spotkać się z jakim przysmaczkiem, co tak bije w nos. Ale cóż! czy to nie ma sposobu skosztowania tych potraw, których dymek tylko teraz chwytam? Czemu nie? To nie zdaje się tak niepodobne. W skutek tego zapaliła się co raz bardziéj moja fantazya, rozmyślając nad tém, wpadłem na wybieg, którego użyłem natychmiast, a który mi się wybornie udał. Wszedłem na dziedziniec pałacu arcybiskupiego i pędząc do kuchni, wrzeszczałem z całego gardła: *ratujcie! ratujcie!* jak gdyby mnie kto ścigał, chcąc ubić.

Na ten krzyk pan Diego, kuchmistrz arcybiskupi wypadł z trzema, czy czterema kuchcikami, dla zobaczenia przyczyny; nie widząc zaś nikogo prócz mnie jednego, zapytał się dla czegobym tak silnie krzyczał. Ah, panie, odpowiedziałem, ze wszystkiemi oznakami człowieka przestraszonego, zaklinam cię na św. Polikarpa, broń mnie od wściekłości tego zawadyaka, który mnie chce zabić. A gdzież jest zawadyak, odezwał się Diego. Sam jeden jesteś z całego twojego towarzystwa i kota nawet za tobą nie widać. Idź, idź moje dziecię, uspokój się: to zapewne ktoś chciał cię nastraszyć dla zabawki i który mądrze zrobił, że tu nie wszedł na dziedziniec, bo co najmniéj pewnie z całemi by uszami nie wyszedł. Nie, oh nie, rzekłem kucharzowi, to nie dla żartu gonił za mną. To potężny drab chciał mnie obedrzéć i pewny jestem, że czeka na mnie na ulicy. To długo musi czekać na ciebie, ponieważ zostaniesz tu aż do jutra. Zjész wieczerzę i prześpisz się z naszemi kuchcikami, którzy ci dadzą dobrze jeść.

Te ostatnie słowa uradowały mnie aż do zachwycenia; a jakżeż zdumiéwający był dla mnie widok, gdy wprowadzony przez kuchmistrza Diego do kuchni, ujrzałem przygotowania do wieczerzy Jego Wysokości. Narachowałem aż piętnaście osób za-

jętych robotą; ale trudno mi było policzyć wszystkie potrawy, jakiemi pan Bóg to miejsce opatrzył. Wtedy to, całym nosem wciągając woń przysmaków, która mnie tylko zdala dolatywała, nauczyłem się być czułym na zmysłowość. Miałem zaszczyt wieczerzać i spać z kuchcikami, którzy raczyli mnie w całém znaczeniu tego wyrazu, a których potrafiłem zyskać przyjaźń, tak dalece, że gdy nazajutrz rano poszedłem dziękować panu Diego, za udzielone mi z jego szlachetności schronienie, odezwał się do mnie: nasze chłopaki kuchenne, oświadczyły mi, iżby się cieszyli, gdybyś został ich towarzyszem, tak im się podobał twój humor. Z twojéj strony, chciałżebyś należyć do ich grona? Odpowiedziałem, że gdybym dostąpił tego zaszczytu, stanąłbym u kresu moich życzeń. Kiedy tak, odtąd zaraz uważaj się za oficyalistę arcybiskupstwa. Poczém przedstawił mnie panu *major-domo*, który mnie z miny wesołéj, uznał być godnym policzenia w poczet skrobirądlów.

Tylko com objął tak zaszczytne obowiązki, gdy pan Diego, według zwyczaju kucharzów po wielkich domach, którzy potajemnie mięso posyłają swoim lubym, wybrał mnie do takowych posyłek do jednéj damy w sąsiedztwie, któréj dostarczałem to pieczenie cielęce, to drób lub zwierzynę. Ta dobra kobiéta była wdową, trzydzieści lat najwięcéj mieć mogącą, bar-



Lukrecya.

dzo piękna, wesoła. Z miny nie zdawała się ściśle wierną swojemu kucharzowi. Tym czasem on nie poprzestał na dostarczaniu jéj całego zapasu mięsa, chleba, cukru i oliwy, lecz nie zapomniał także i o winie; wszystko to kosztem pana, któremu służył.

W pałacu Jego Wysokości dokończyłem mojego okrzesania, gdziem wypłatał figla dość zabawnego, o którym jeszcze do dziś rozmawiają w Sewilli. Pazie i inni domownicy, dla uczczenia rocznicy urodzin swojego pana, umyślili przedstawić komedyą. Wybrali sztukę, w któréj do przedstawienia roli młodego króla Leonu, potrzebny był chłopiec mojego wieku, z tego powodu wszyscy zwrócili oczy na mnie. Major-domo chlubiący się z deklamacyi, podjął się wyuczenia mnie, a dawszy mi kilka lekcyi, zaręczył, że ja zapewne nie będę z liczby tych, co się najgorzéj popiszą. Ponieważ to on właśnie był autor tego pomysłu, on także dostarczał funduszu na tę uroczystość; łatwo sobie wystawicie, że niczego nie szczędził do podwyższenia jéj okazałości. Wzniesiono w najobszerniejszéj sali pałacu, teatr pięknie przyozdobiony; w głębi urządzono łoże z murawy, na którém miałem udawać śpiącego, gdy Maurowie nadciągną i rzucą się na mnie, by w niewolę zabrać. Kiedy aktorowie byli już przygotowani, dostojny nasz pan, oznaczył dzień przedstawienia i zaprosił najznakomitszych panów i panie z całego miasta:

Gdy dzień ten nadszedł, każdy z aktorów zajęty był swoim ubiorem. Dla mnie przyniósł krawiec w towarzystwie naszego major-domo, który podjąwszy trud w wyuczeniu roli, chciał jeszcze widzieć mnie ubranego. Krawiec ustroił mnie w bogatą suknię z aksamitu błękitnego z guzikami i galonem złotym, z rękawami wiszącemi, franzią złotą obszytemi; major-domo sam włożył mi koronę na głowę, z tektury złoconéj, wysadzaną prawdziwemi perłami, między któremi jaśniały fałszywe dyamenty. Do tego włożyli na mnie przepaskę z różowéj jedwabnéj materyi w kwiaty srébrne; przy każdéj rzeczy, w którą mnie stroili, zdawało mi się, że mi przypinano skrzydła, abym uleciał i zemknął. Wreszcie ku wieczorowi, zaczęła się komedya. Młody król Leonu najpiérwszy występuje na scenę i prawi długi monolog; ponieważ ja przedstawiałem tę osobę, otworzyłem więc scenę potężnym ustępem rymowanym, którego główna treść była, że nie mogąc się oprzéć rozkoszy snu, oddaję się w jego objęcia. W tym samym czasie, cofnąłem się w głąb teatru i rzuciłem się na przygotowaną murawę, ale zamiast zasypiać, zacząłem przemyślać, jakby się dostać na ulicę i zemknąć z moim ubiorem królewskim. Małe schodki kryte pod teatrem na tejże sali, zdały mi się bardzo dogodne do wykonania mojego zamiaru. Wstałem po cichu, a widząc, że nikt nie zważa na mnie, wśliznąłem się na te schodki, a dostawszy się do sali, biegłem do drzwi, wołając: *na bok, bo idę zmieniać ubiór*. Każdy ustępował, zostawując mi wolne przejście, tak że w minucie już byłem za bramą pałacu i pod zasłoną nocy dostałem się do domu owego chwata, mojego przyjaciela.

Zdumiał się, ujrzawszy mnie w takiém ubraniu. Wyjaśniłem mu rzecz, a wtedy serdecznie się naśmiał. Potém uściskał mnie z tém większą radością, że niepłonną miał nadzieję podzielenia się łupami króla Leonu. Winszował mi tak pięknego czynu, i oświadczył, że jeżeli nie będę ustawał, z czasem rozgłośne z dowcipu zyskam imię w świecie. Nacieszywszy się do woli, odezwałem się do chwata: cóż my zrobiemy z tym bogatym strojem? Nie troszcz się o to, odpowiedział. Znam ja uczciwego tandeciarza, co bez żadnéj ciekawości kupuje wszystko, co mu chcą sprzedać, byleby zysk swój w tym widział. Jutro rano pójdę i przyprowadzę go. W istocie nazajutrz raniuteńko wyszedł z izby, zostawiwszy mnie w łóżku; i we dwie godziny przyszedł z tandeciarzem, który niósł z sobą pakę żółtém płótnem obwiniętą. Mój przyjacielu, rzekł, przedstawiam ci pana Ybagnez z Segovii, tandeciarza rzetelnego i pełnego honoru, jakiego może nigdy nie było, on mimo zły przykład, jaki mu dają jego towarzysze, może się pochlubić najściślejszą nieskażonością. On ci powié najrzetelniéj, co warto jest ubranie, które zbyć pragniesz i możesz się śmiało spuścić na jego oszacowanie. Oh, co do tego to pewna, rzekł tandeciarz, byłbym bardzo nieuczciwym szacując rzeczy niżéj ich istotnéj wartości. Tego mi nikt jeszcze nie zarzucił, dzięki Bogu, i tego nigdy nie zarzucą Ybagnezowi z Segovii. Zobaczmy, dodał, manatki, które chcesz sprzedać; powiém ci sumiennie co mogą być warte. Oto są, odezwał się Chwat, pokazując je: przyznaj że nie może być coś pyszniejszego; uważaj ten piękny aksamit genueński, i bogactwo tego obszycia. Dziwię się, rzekł tandeciarz obejrzawszy dokładnie ubior, nie masz nic nadto piękniejszego. A co sądzisz o tych perłach prawdziwych? odezwał sie znowu mój przyjaciel. Gdyby były okrąglejsze, odpowiedział Ybagnez, byłyby nieoszacowane; jednakże i tak je uważam za bardzo piękne i kontent jestem z nich jak zreszty. Zgadzam się, mówił daléj, lubię każdéj rzeczy oddawać sprawiedliwość. Oszust tandeciarz w mojém miejscu poniżałby towar, aby go dostać za niższą cenę i nie powstydziłby się ofiarować za niego dwadzieścia luidorów, ale ja co mam sumienie dam czterdzieści.

Gdyby Ybagnez był postąpił sto, jeszczeby nie był sprawiedliwym taxatorem, ponieważ same perły warte były dwieście. Chwat, który się z nim porozumiał, mówił mi: Widzisz jakie masz szczęście żeś się dostał w ręce uczciwego człowieka.

Pan Ybagnez szacuje rzeczy, jak gdyby był w chwili zgonu. To prawda, rzekł tandeciarz, dla tego też ze mną nie ma targu, ani szeląga nie ustąpię, ani postąpię. Jakże więc, dodał, czy interes skończony? mamże liczyć pieniądze? Zaczekaj, rzekł Chwat, pierwéj mój mały przyjaciel przymierzy suknię, którąś przyniósł ze sobą; tak mi się zdaje, że będzie właśnie dogodna dla niego. Tandeciarz rozwinąwszy swoją paczkę, pokazał mi ubior z dobrego sukna brunatnego, z guzikami srebrnemi, ale już na pół zużyty. Wstałem czém prędzéj, przywdziałem owe suknie, a choć były buchciate i za długie, obadwaj ci panowie uznali, że są tak jakby na urząd dla mnie robione. Ybagnez cenił je na dziesięć luidorów, o ponieważ nic nie opuszczał, trzeba się było zgodzić. Wyliczył mi więc na stole trzydzieści luidorów, moje suknie królewskie i koronę zawinął w paczkę, ciesząc się bezwątpienia, że tak szczęśliwie dzień zaczął.

Po jego oddaleniu się Chwat odezwał sie do mnie: bardzo kontent jestem z tego tandeciarza. Miał wielką słuszność; bo zapewne najmniéj od niego sto luidorów ściągnął faktornego. To mu wszakże nie wystarczało, wziął bez ceremonii połowę pieniędzy ze stołu, mnie zaś zostawił resztę, mówiąc: mój mały przyjacielu Scypionie, radzę ci abyś z temi pieniędzmi, uchodził bezwłocznie z miasta, bo tu nieochybnie z rozkazu Jego Wysokości śledzić cię będą. Byłbym w rozpaczy, gdybyś spełniwszy czyn, który będzie ozdobą historyi twojego życia, pozwolił się w głupim sposobie wtrącić do więzienia. Na co mu odpowiedziałem, że już i tak postanowiłem opuścić Sevillę; jakoż w istocie kupiwszy kapelusz i nieco bielizny, ruszyłem do Carmony rozkoszną okolicą, pośród samych winnic i gajów oliwnych, we trzy dni późniéj już byłem w Kordubie.

Stanąłem w hotelu przy wstępie na wielki rynek, przy którym mieszkają kupcy. Udałem się za syna dobréj familii podróżującego dla swojéj przyjemności; byłem dość porządnie ubrany, a przytém kilka luidorów jakby od niechcenia pokazane gospodarzowi mogły go przekonać o rzeczywistości mojego twierdzenia. Być może, iż spojrzawszy na takiego dzieciucha, pomyślił sobie, iż jestem jakiś rozpustnik, który okradłszy rodziców puścił się w świat. Cóżkolwiekbądź, zdawał się nie być ciekawym wiedzieć więcéj nad to co mu powiedziałem, z obawy zapewne, aby takowa ciekawość nie skłoniła mnie do zmiany mieszkania. Za sześć realów dziennie dosyć było wygodnie w tym hotelu, w którym zawsze wiele osób stawało. Na wieczerzy naliczyłem do dwunastu osób przy stole. Co najzabawniejsze, wszyscy jedli nic nie mówiąc, z wyjątkiem jednego, który plotąc koszałki, opałki, bajaniem swojém wynagradzał milczenie innych. Udawał dowcipnego, opowiadał anegdotki, i silił się dowcipkami rozweselać towarzystwo, które w istocie raz po raz śmiało się, ale raczéj szydząc z niego, nie przyklasknąc dowcipowi bynajmniéj.

Ja tak mało zwracałem uwagi na jego rozmowę, że byłbym wstał od stołu, nie mogąc zdać sprawy z tego co bajał, gdyby był nie wpadł na przedmiot, który mnie zainteressował. Panowie, zawołał przy końcu wieczerzy, wszystko com wam dotąd mówił, jest niczém w porównaniu z tém co chcę powiedzieć, na wety schowałem historyjkę najzabawniejszą, przypadek, który w tych dniach zdarzył się w pałacu arcybiskupim w Sevilli. Słyszałem to od znajomego mi bakałarza, który jak mówił, miał być świadkiem naocznym. Te wyrazy sprawiły na mnie niejakie wrażenie, domyślałem się, że to będzie mowa o moim przypadku i nie omyliłem się. Opowiedział zatém wszystko wiernie, dodając to czego nie wiedziałem, to jest co się stało po mojém oddaleniu: i to wam powtórzę.

Zaledwie umknąłem, gdy z porządku sztuki Maurowie mający mnie zabrać do niewoli, wystąpili na scenę, w zamiarze wzięcia mnie z łoża darniowego, na którém miałem spać; lecz kiedy już tylko co mieli się rzucić na króla Leona, zdumieli się nie zastawszy ani króla, ani stroju. Komedya natychmiast przerwaną została, wszyscy aktorowie w kłopocie: jedni wołają mnie, drudzy rozbiegli się szukać; ten wrzeszczy, tamten mnie przeklina. Arcybiskup spostrzegłszy ten nieład za kulisami, zapytał się o przyczynę: Na rozkaz jego, paź, który grał rolę trefnisia w sztuce, nadbiegł i rzekł Jego Wysokości: Panie, nie lękaj się aby Maurowie nie zabrali króla Leonu do niewoli: dzięki Bogu schronił się przed nimi w swojém ubiorze królewskim. Chwała Bogu, rzekł arcybiskup. Wybornie zrobił, uciekając przed wrogami naszéj wiary, unikając kajdan, które dlań gotowali. Wrócił zapewne do Leonu stolicy swojego królestwa. Bodajby dostał się do niéj bez żadnéj przygody! Zresztą, nie chcę, aby go śledzono; nie wypada aby z mojéj przyczyny ten miłościwy pan doznał jakiéj przykrości. Po czém kazał przeczytać moją rolę i skończyć komedyą.



Nauczyciel tańca.

Rozdział XI.

Dalszy ciąg historyi Scypiona.

Póki miałem pieniądze mój gospodarz był bardzo grzeczny dla mnie, ale skoro spostrzegł, że ich już zabrakło, stał się zimnym, szukał zaczepki niemieckiéj i pewnego poranku prosił mnie bez ogródki, abym się gdzie indziéj wyniósł. Porzuciłem go z dumą i wszedłem do kościoła Dominikańskiego, gdzie w czasie mszy zbliżył się do mnie żebrak prosząc o jałmużnę. Dałem dwa czy grosze mówiąc: mój przyjacielu, proś Boga, abym mógł znaleźć dobre miejsce: jeżeli prośba twoja wysłuchaną zostanie, nie będziesz jéj żałował, rachuj na moję wdzięczność.

Żebrak przypatrzył mi się z uwagą i z miną poważną odezwał się: jakiegoż miejsca pragniesz? życzyłbym sobie, odpowiedziałem, być lokajem w domu porządnym. Zapytał się jeszcze, czy to rzecz nagła. Nie może być naglejsza, rzekłem, bo jeżeli nie będę miał szczęścia być umieszczonym jak najprędzéj, nie ma środka, albo z głodu muszę umrzéć, albo zapisać się do twojego towarzystwa. Biada tobie, gdybyś do téj ostateczności był przywiedziony, nie masz wcale naszego sposobu wzięcia się; ale gdybyś się tylko włożył, przeniósłbyś nasz stan nad służbę, która bez zaprzeczenia jest gorszą od

żebractwa. Stémwszystkiém ponieważ służyć wolisz, nie chcąc tak jak ja żyć swobodnie i niezależle, będziesz miał niedługo pana. Tak jak mnie widzisz, mogę ci być użytecznym. Natychmiast zajmę się tobą, a jutro o téj saméj godzinie bądź tu, zdam ci sprawę z tego co zrobię.

Nie uchybiłem wcale. Następnego dnia stawiłem się w miejscu wskazaném, wkrótce też ujrzałem mojego żebraka, który mi kazał iść za sobą. Idę więc. Zaprowadził mnie do piwnicy niedaleko kościoła, gdzie było jego schronienie. Weszliśmy tam obadwa i usiadłszy na długiéj ławce, która najmniéj sto lat służby liczyła, tak do mnie przemówił: dobry czyn odbiéra zawsze nagrodę. tyś mnie wczoraj dał jałmużnę, a to mnie skłoniło do wystarania się dla ciebie o miejsce: co się stanie jeżeli taka wola pana Boga. Znam starego Dominikana, ojca Alexego, święty to człowiek i cudowny spowiednik. Mam zaszczyt być jego posłannikiem, i tak się wywiązuje z tego obowiązku, z taką delikatnością i rzetelnością, iż mi nie odmawia swoich wpływów i wziętości tak dla mnie, jak dla moich przyjaciół. Mówiłem z nim o tobie i usposobiłem go do wyświadczenia ci przysługi. Przedstawię cię jego wielebności, skoro tylko zechcesz.

Nie ma chwili do stracenia, rzekłem żebrakowi, idźmy zaraz do tego dobrego zakonnika. Przystał na to stary, i natychmiast zaprowadził mnie do ojca Alexego, któregośmy zastali zajętego jakimś pismem pobożném. Przerwał swoją pracę dla rozmówienia się ze mną. Oświadczył, iż na prośbę żebraka, chce się wstawić za mną. Dowiedziawszy się, mówił daléj, że pan Baltazar Velasquez potrzebował lokaja, dziś rano pisałem do niego za tobą, odpowiedział mi zaraz, że cię przyjmie z mojéj ręki. Dziś zaraz udaj się do niego, z mojego zalecenia, jest to mój penitent i mój przyjaciel. Po czém zakonnik przez dobre trzy kwadranse zachęcał mnie do sumiennego pełnienia obowiązków. Nadewszystko rozszerzał się nad powinnością, służenia Valasquezowi z gorliwością; po czém zapewnił mnie, że starać się będzie utrzymać mnie na mojéj posadzie, byleby pan mój nie miał mi nic do zarzucenia.

Podziękowawszy zakonnikowi za jego dobroć dla mnie, wyszedłem z klasztoru z żebrakiem, który mi powiedział, że pan Baltazar jest to stary kupiec sukienny, człowiek bogaty, prosty i łaskawy. Nie wątpię, że ci będzie bardzo dobrze w tym domu, który jabym przeniósł nad pański. Wypytałem się o mieszkanie kupca i udałem się tam natychmiast, zapewniwszy żebraka, że zawdzięczę jego przysługę, jak się tylko ustalę w tym domu. Wszedłem do sklepu, w którym dwóch kupczyków porządnie ubranych przechodziło się, wyprawiając śmieszki i czekając na kupujących. Zapytałem się, czy pan jest, że chcę z nim mówić z polecenia ojca Alexego. Na to szanowne imię wpuszczono mnie do pokoju za sklepem będącego, w którym kupiec przerzucał karty w wielkiéj księdze leżącéj na stole. Skłoniwszy mu się z uszanowaniem, rzekłem: panie, widzisz młodego człowieka, którego wielebny ojciec Alexy przysyła ci na lokaja. Ah, moje dziecko, odpowiedział, witam cię, dość żeś przysłany przez tego świątobliwego człowieka, przyjmuję cię, z pominięciem trzech, czy czterech, których mi sprowadzono. Rzecz skończona, twoje myto od dziś się zaczyna.

Nie długiego potrzebowałem czasu, by się przekonać, że dom tego mieszczanina był właśnie takim, jak go odmalowano. Zdał mi się nawet do tego stopnia prosty, żem nie mógł się wstrzymać od myśli, iż kto wié, czy nie będę zmuszony do wypłatania jakiéj psoty. Był wdowcem od czterech lat, miał dwoje dzieci; chłopca, który kończył dwudziesty piąty rok, i córkę wchodzącą w trzecie lustrum życia. Córka wychowana pod okiem surowéj ochmistrzyni, kierowana przez ojca Alexego, postępowała ścieżką cnoty; ale Gaspar Velasquez jéj brat, chociaż niczego nie oszczędzano, aby go ukształcić na uczciwego człowieka, miał jednak wszystkie wady młodego rozpustnika. Nie raz po dwa i trzy dni nie postał w domu; a gdy za powrotem ojciec chciał mu robić wyrzuty, Gaspar zamykał mu usta przybierając wyższy jeszcze ton.

Pewnego dnia stary odezwał się do mnie: Scypionie, mam syna, który mi tysiączne przynosi zgryzoty. Zatopiony jest zupełnie we wszelkiego rodzaju rozpusty. To mnie dziwi niesłychanie, ponieważ ukształcenie jego nie było zaniedbane. Miał wybornych nauczycieli, a ojciec Alexy, mój przyjaciel, wszelkiemi siłami starał się naprowadzić go na dobrą drogę; ale niestety! niczego dokazać nie mógł; Gaspar rozpasał się na wszystko złe. Może powiész, żem się zbyt łagodnie obchodził z nim gdy wstępował w wiek młodzieńczy i że to go zgubiło. Ale nie, zawsze był karany, skoro widziałem potrzebę surowości; bo jakkolwiek jestem szlamazarny, umiém przecież być stałym w okolicznościach, które tego wymagają, kazałem go nawet zamknąć w domu poprawy, a ztamtąd wyszedł jeszcze gorszy. Słowem jest to przewrotna głowa, któréj ani dobry przykład, ani przestrogi, ani nawet kary poprawić nie zdołają. Bóg tylko może cud swój pokazać.

Jeżeli nie byłem wzruszony boleścią tego nieszczęśliwego ojca, przynajmniéj starałem się udawać. Jakże pana żałuję! rzekłem. Tak godny człowiek, jak pan jesteś, wart lepszego syna. Cóż chcesz moje dziecię? odpowiedział; Bóg mnie odmówił téj pociechy. Między innemi powodami jakie mi Gaspar nastręcza do skarżenia się na siebie, muszę ci wyznać w zaufaniu, jest jeden, który mnie wielce niepokoi; jest zaś nim chętka do okradania mnie, do któréj zaspokojenia, aż nadto często znajduje sposobność, mimo całą moją ostrożność. Lokaj, którego ty jesteś następcą, porozumiéwał się z nim i dlatego wypędziłem go. Spodziewam się zaś, że ty nie dasz się przekupić synowi, że pilnować będziesz mojéj sprawy, pewny jestem że ojciec Alexy toż samo ci zalecił. Oczywiście, odpowiedziałem, Jego wielebność przez całą godzinę prawił mi, abym dobro pańskie jedynie miał na widoku; lecz upewniam pana, że pod tym względem nie potrzebowałem jego zachęty. Pragnę służyć panu wiernie, i przyrzekam ci gorliwość niezachwianą.

Kto jednéj tylko strony słucha, ten nie słyszy nic. Młody Velasquez djabelski paniczek, pomiarkowawszy z mojego wejrzenia, że nie będzie mnie trudniéj uwieźć jak poprzednika, zaprowadził mnie w miejsce ustronne i tak przemówił: Słuchaj mój kochany, wiém o tém że ojciec kazał ci szpiegować mnie; w istocie tak było; ale strzeż się, bo to obowiązek nieprzyjemny. Skoro dostrzegę, że mnie śledzisz, zginiesz pod razami kija; jeżeli zaś pomożesz mi oszukiwać ojca, możesz liczyć na moją wdzięczność. Czy potrzeba ci wyraźniéj mówić? będziesz miał zawsze udział w tém, co potrafimy urwać ojcu. Masz teraz do wyboru; oświadczaj się natychmiast za ojcem lub za synem, nie ma środka.

Panie, zbyt silnie mnie dławisz, rzekłem; widzę, iż nie potrafię się obronić, abym nie miał przyjąć twojéj strony, chociaż w gruncie rzeczy, nie mam ochoty zdradzać pana Velasquez. Nie rób sobie żadnego skrupułu, rzekł Gaspar, jest to stary skąpiec, coby mnie jeszcze dotąd chciał wodzić na paskach, przekora, co mi odmawia na niezbędne potrzeby, nie chcąc mi nic dać na moje zabawy, a zabawy w dwudziestym piątym roku życia, są niezbędną potrzebą. Stało się panie, rzekłem mu, tak słusznym powodom do zażaleń trudno się oprzéć. Oświadczam się za panem, i ofiaruję mu pomoc w jego chwalebnych przedsięwzięciach; ależ obadwa ukrywajmy starannie nasze porozumienie, by wierny twój pomocnik nie poszedł za drzwi. Myślę, że nie źle będziesz robił, udając wstręt ku mnie; mów do mnie po grubiańsku w obec wszystkich, nie oszczędzaj wyrazów. Kilka policzków nawet, potrącenie w tył nogą, nic nie zepsują, owszem, im więcéj okażesz niechęci ku mnie, tém większe pan Baltazar mieć będzie zaufanie. Ja z mojéj strony udam, że nie chcę mówić z panem. Usługując przy stole, będę okazywał niechęć, a kiedy będzie mowa o panu, nie będziesz miał za złe, że jak najgorzéj wymyślać będę. Zobaczysz, że wszystkich omamiemy, będą nas poczytywali za nieubłaganych wrogów między sobą.

Bogu chwała! zawołał Velasquez po tych słowach; zdumiewam się nad tobą mój przyjacielu, zadziwiający talent intry-

gancki objawiasz w tak młodym wieku; najszczęśliwszą złąd biorę wróżbę. Spodziéwam się, że przy twoich przebiegach, ojciec nie utrzyma ani jednego dukata. Za wiele mi czynisz honoru, rzekłem, tak dalece spuszczając się na mój przemysł. Użyję wszelkich sił dla usprawiedliwienia powziętéj o mnie opinii, a jeżeli mi się nie powiedzie, zapewne nie będzie w tém moja wina.

Wkrótce pokazałem Gasparowi, że byłem chłopcem, jakiego potrzebował właśnie, i oto piérwsza przysługa, którą mu wyświadczyłem. Skrzynia kassowa pana Baltazara, stała w jego pokoju za łóżkiem i służyła mu za klęcznik do modlitwy. Ilekroć na nią spojrzałem, serce mi biło z radości i mówiłem sam do siebie: skrzynio, moja ty przyjaciołko! czyż na zawsze będziesz dla mnie zamkniętą? Nie będęż miał pociechy oglądania skarbów, które w łonie swojém ukrywasz? Ponieważ wolno mi było wchodzić w każdym momencie do téj izby, do któréj wstęp jedynie Gasparowi był wzbroniony, zdarzyło się, iż wypatrzyłem jego ojca, gdy ten sądząc iż nikt go nie widzi, otworzył i zamknął skrzynię, schowawszy klucz za obicie. Uważałem dobrze to miejsce, i zawiadomiłem mojego panicza o tém odkryciu, który ściskając mnie radośnie, zawołał: Ah, kochany Scypionie, co ty mnie powiadasz? Nasze szczęście spełnione, mój drogi, dam ci zaraz wosku, wyciśnij formę klucza i oddaj mi ją, już ja znajdę usłużnego ślusarza w Kordubie, jest to bowiem miasto hiszpańskie, w którém zapewne nie najmniéj jest oszustów.

I! dla czegoż, mówiłem Gasparowi, każesz dorabiać fałszywy klucz, kiedy możemy używać prawdziwego? Prawda, odpowiedział, lecz obawiam się, aby ojciec przez nieufność, lub z innego powodu, nie zechciał chować go gdzieindziéj, najpewniejsza więc rzecz jest, miéć własny klucz. Uznałem słuszność jego obawy, zgodziłem się na pomysł, i ten wnet wykonany został; gdy mój stary pan pewnego dnia poszedł do ojca Alexego, z którym bardzo długo zwykł był rozmawiać. Nie poprzestałem wszakże na tém, użyłem klucza do otworzenia skrzyni, którą ujrzałem napełnioną większemi i mniejszemi workami, co mnie pięknego nabawiło kłopotu. Nie wiedziałem który z nich wybrać, taki uczułem pociąg i do jednych i do drugich; ale że obawa niespodzianego zejścia, nie pozwalała mi długo namyślać się, pochwyciłem więc na ślepy traf, największy z nich. Potém zamknąwszy skrzynię i złożywszy klucz za obicie, wyszedłem z pokoju z moją zdobyczą, którą ukryłem tymczasowo w szatni, nim znalazłem sposobność doręczenia jéj młodemu Velasquez, który czekał w domu na schadzkę oznaczonym. Skoro mu dałem znać o wszystkiém, w uniesieniu radości uściskał mnie, tysiącznych nie szczędził grzeczności, i ofiarował połowę pieniędzy znajdujących się w worku, czego wszakże przyjąć nie chciałem. Nie, nie, mój panie, rzekłem, użyj tego na swoje potrzeby. Ja niedługo wrócę do skrzyni, w któréj dzięki Bogu, znajdzie się dosyć dla nas obudwóch. W istocie, w trzy dni późniéj, zabrałem znowu drugi worek, obejmujący podobnie jak piérwszy, pięćset talarów. Z tego przyjąłem czwartą część tylko, chociaż pan Gaspar z całą natarczywością żądał, bym się z nim po bratersku dzielił.

Młody panicz dorwawszy się takiéj summy pieniędzy, mógł śmiało zaspokoić swoje żądze, cały téż zatopił się w upodobanych przez się rozkoszach. Główną zaś przyjemność jego, stanowiły kobiéty i karty. Na nieszczęście zawróciła mu głowę jedna z tych okrzyczanych, które w krótkim czasie pożerają i pochłaniają największe dziedzictwa. Dla niéj to ponosił straszliwe wydatki, co mnie zmuszało tak często odwiedzać skrzynię, iż nareszcie stary Velasquez spostrzegł, iż go okradają. Scypionie, odezwał się pewnego poranku, muszę ci otworzyć moje serce; ktoś mnie okrada mój przyjacielu; otworzono moją skrzynię, wyciągnięto z niéj kilka worków; to już niewątpliwe. Kogóż mam posądzać o tę kradzież? albo raczéj, któż inny jeżeli nie mój syn, dopuściłby się téj zbrodni? Gaspar ukradkiem dostał się zapewne do mojego pokoju, albo może ty sam go wprowadziłeś; bo mnie bierze pokusa do posądzania cię o zmowę z nim, chociaż zdajecie się być z sobą w nieprzyjaźni. Jednakże nie chcę przypuszczać do serca takowych podejrzeń, ponieważ ojciec Alexy, zaręczył mi za twoję wierność. Odpowiedziałem: dzięki Bogu, dobro cudze nigdy dla mnie nie miało ponęty; i to kłamstwo stwierdziłem takiém wykrzywieniem twarzy, iż mi posłużyło za całą apologią.

W rzeczy saméj, stary już mi więcéj o tém ani wspomniał, ale mnie otoczył swoją nieufnością, a zabezpieczając się od naszych zamachów, kazał zmienić zamek u skrzyni i odtąd klucz od niéj, zawsze nosił przy sobie. Od téj chwili przerwały się związki nasze z workami, wyglądaliśmy bardzo głupio, a osobliwie pan Gaspar, który nie mogąc ponosić kosztów utrzymania swojéj nimfy, lękał się, by mu nie przyszło pożegnać się z nią na zawsze; miał jednak dosyć dowcipu, do wymyślenia przebiegu, który go jeszcze przez czas niejaki, na świetnéj utrzymywał stopie; tym genialnym pomysłem było, przywłaszczenie sobie w sposób pożyczki tego, co mnie się zostawało z podskubanych piórek starego. Oddałem mu ostatni grosz, co jak mi się zdaje, mogło uchodzić w pewnym względzie za zwrot kupcowi w osobie jego spadkobiercy.

Ten młody człowiek wyczerpawszy i to ostatnie źródło, zastanowiwszy się, iż już żadnego nie ma środka, wpadł w głęboką melancholią, która zwolna pomieszała mu rozum. Ojca uważał jedynie za sprawcę swojego nieszczęścia. Rozpacz go ogarnęła, i nie bacząc na głos krwi, powziął okropny zamiar otrucia go. Nie dosyć że mi się zwierzył z tym przeklętym pomysłem, chciał mnie nadto użyć za narzędzie swojéj zemsty. Na ten wniosek strachem rażony, odezwałem się do niego: panie, czy podobna, aby tak dalece Bóg o tobie zapomniał, iż stałeś się zdolnym do powzięcia tak obmierzłego zamachu? Jakto! byłżebyś zdolnym zadać śmierć, dawcy życia twojego? Tożby w Hiszpanii, na łonie chrześciaństwa, miano spełnić zbrodnię, któréj samo wyobrażenie, odrazą przejęłoby ludy barbarzyńskie! Nie, kochany panie, dodałem, ściskając jego kolana, nie, ty nie spełnisz czynu, któryby oburzył cały świat przeciw tobie, a którego następstwem, haniebna byłaby kara.

Więcéj jeszcze podobnych rzeczy prawiłem do Gaspara, żeby go odwrócić od zbrodniczego zamiaru. Nie wiém zkąd mi się brały te rozumowania uczciwego człowieka, aby złamać jego rozpacz; to wszakże pewna, żem mówił do niego jak doktór filozofii z Salamanki, chociaż byłem tak młody, a do tego syn Coscoliny. Stémwszystkiém, napróżno go zachęcałem, by wszedł sam w siebie, by śmiało odrzucił myśli obmierzłe, co owładnęły umysł jego, cała wymowa moja, na nic się nie przydała. Spuścił głowę na piersi i w ponurém milczeniu kazał mi się domyślać, że się nie cofnie.

W skutek tego i ja innéj chwyciłem się strony, postanowiłem wszystko wyjawić mojemu staremu panu; prosiłem go o tajną rozmowę, na którą przystał. Gdyśmy się obadwa zamknęli w pokoju, rzekłem: panie, pozwól niech ci upadnę do nóg i błagam twojego miłosierdzia. To mówiąc, rzuciłem się do stóp jego z wielkiém wzruszeniem i łzami zalany. Kupiec zdumiony mojém postępowaniem i miną tak pomieszaną, zapytał się, cobym takiego zrobił. Popełniłem błąd, odpowiedziałem, którego mocno żałuję i który sobie przez całe życie wyrzucać będę. Byłem tyle słaby, żem się skłonił na prośby syna twojego i pomagałem mu do kradzieży twojéj skrzyni. Zarazem wyznałem mu szczerze wszystko w tym względzie, a następnie opowiedziałem mu ostatnią moją rozmowę z Gasparem, objawiając mu jego zamiary z najdrobniejszemi szczegółami.

Jakkolwiek stary Velasquez najgorszą miał opinią o swoim synu, jednakże ledwie mógł wierzyć moim słowom. Nie wątpiąc przecież o szczerości mojego wyznania: Scypionie, odezwał się podnosząc mnie, bom ciągle u nóg jego leżał, przebaczam ci przez wzgląd na tak ważne twoje wyznanie. Gaspar, dodał głosem mocniejszym, Gaspar czyha na moje życie! Ah! synu niewdzięczny, potworze, który należało raczéj udusić po urodzeniu, niż wychowywać na ojcobójcę! jakiż masz powód targania się na moją głowę? Dostarczam ci corocznie należytą summę na twoje rozrywki i to cię nie zadowala! Czyż dla zaspokojenia twoich chuci, mam pozwolić na zubożenie twojéj

siostry i zmarnowanie całéj ojcowizny? Po tak gorzkiéj przemowie, polecił mi zachować tajemnicę, i zostawić mu wolność działania w okoliczności tak draźliwéj.

Łamałem głowę, jak też sobie postąpi ten ojciec nieszczęśliwy, gdy tegoż jeszcze dnia, kazał zawołać Gaspara i nie pokazawszy mu wcale co się w jego duszy dzieje, tak do niego przemówił: Mój synu, odebrałem list z Meridy, w którym mi piszą, że jeżelibyś miał zamiar ożenić się, ofiarują ci pannę piętnastoletnią, bardzo piękną i z bogatém wianem. Jeżeli nie masz wstrętu do małżeństwa, pojedziemy jutro do Meridy, zobaczemy pannę, jeżeli ci się podoba, ożenisz się; jeżeli nie, wtedy nie będzie mowy o małżeństwie. Gaspar posłyszawszy o wielkim posagu, rozumiejąc, że już go ma w ręku, bez wahania się przystał na tę podróż; tym sposobem nazajutrz o świcie, ruszyli obadwa w drogę, na dobrych mułach.

Kiedy wjechali pomiędzy góry Festra i dostali się do miejsca równie miłego dla złodziejów, jak strasznego dla podróżnych. Baltazar zsiadł z muła, rozkazawszy synowi zrobić też samo. Młody usłuchał, ale pytał się, po co w tém miejscu każe mu zsiadać z muła. Zaraz ci powiém, rzekł starzec, spoglądając nań okiem, w którém się boleść jego malowała: nie pojedziemy do Meridy, a małżeństwo o którém ci mówiłem, jest istną bajką, którą wymyśliłem aby cię sprowadzić w to miejsce. Synu niewdzięczny i wyrodny, wiém o zbrodni nad któréj spełnieniem rozmyślasz. Wiém, że przyrządzona za twojém staraniem trucizna, ma mi być podana; lecz nierozważny człowieku, jakże śmiész pochlebiać sobie, że tym sposobem odbierzesz mi życie bezkarnie? Co za ślepota! Zastanów się, twoja zbrodnia wnet na jaw by wyszła, a tybyś zginął z rąk katowskich. Jest sposób bezpieczniejszy, mówił daléj, do zaspokojenia twojéj wściekłości, bez narażenia się na śmierć haniebną. Jesteśmy tu bez świadków, w miejscu, w którém się codzień spełniają morderstwa; ponieważ tak cię trapi pragnienie krwi mojéj, utop sztylet w mojém łonie, morderstwo to przypiszą zbójcom tych stron. Po tych słowach Baltazar odsłaniając piersi i wskazując synowi miejsce serca, oto masz Gasparze, dodał, tu wymierz cios śmiertelny, za karę, żem sprawcą życia takiego jak ty zbrodniarza!

Młody Velasquez temi słowy jakby piorunem rażony, nie siląc się na usprawiedliwienia, padł bez czucia do stóp ojca swojego. Ten poczciwy starzec, ujrzawszy go w takim stanie, który mu się zdał początkiem skruchy, uległ słabości rodzicielskiéj; pośpieszył mu na pomoc, lecz Gaspar odzyskawszy przytomność, nie mogąc znieść widoku ojca, tak słusznie zagniewanego, zebrał ostatnie siły by powstać; dosiadł swojego muła i słowa nie rzekłszy odjechał. Baltazar nie zatrzymywał go wcale, a zostawiając go na łup wyrzutom sumienia, wrócił do Korduby i w sześć miesięcy później dowiedział się, że wstąpił do klasztoru kartuzów w Sewilli, aby tam na pokucie resztę dni swoich przepędzić.

Rozdział XII.

Koniec historyi Scypiona.

Zły przykład, zbawienny czasami wpływ wywiera. Postępowanie młodego Velasqueza, wywołało we mnie głęboką rozwagę nad mojém. Zacząłem walkę z mojemi skłonnościami złodziejskiemi i starałem się żyć, jak na uczciwego chłopca przystoi. Nałóg grabienia pieniędzy, gdzie się tylko udało, zakorzenił się we mnie przez tylokrotne czyny, iż nie łatwo było przełamać go. Jednakże miałem nadzieję, że dokażę swojego, bom słyszał nie raz mówiących, że aby zostać cnotliwym, trzeba tylko szczeréj chęci. Rozpocząłem więc to wielkie dzieło, a Bóg pobłogosławił moje usiłowania; już więc nie zwracałem pożądliwego oka na skrzynię starego kupca; zdaje mi się nawet, że choćbym miał sposobność łatwą do wymykania z niéj worków, nie byłbym tego uczynił. Przyznam się wszakże, iżby to była nierozwaga wystawiać na takową próbę, moją dopiéro co wykluwającą się nieskazitelność; dla tego też Velasquez dalekim był od tego.

Don Manrique de Medrona, młody szlachcic i kawaler zakonu Alcantara, często przybywał do naszego mieszkania. Była to nasza znajomość handlowa, jeżeli nie najkorzystniejsza, tedy przynajmniéj najszlachetniejsza. Ja miałem szczęście podobać się temu kawalerowi, który ilekroć spotkał się ze mną, zaczepiał mnie, żebym mu bajał, znajdując w tém przyjemność, jak mi się zdawało. Scypionie, rzekł raz do mnie, gdybym miał lokaja z tak wesołym humorem, zdawałoby mi się, że skarb posiadam i gdybyś nie należał do człowieka, którego poważam, starałbym się odmówić mu ciebie. Panie, odpowiedziałem, nie trudno ci będzie tego dokazać, bo ja z natury lubię osoby znakomite, to moja słaba strona; ich wzięcie się niewymuszone, zachwyca mnie. Kiedy tak, odezwał się don Manrique, poproszę don Baltazara, żeby ci pozwolił przejść do mnie na służbę, nie spodziéwam się, by mi odmówił téj łaski. W istocie Velasquez tém chętniéj zezwolił, że nie sądził, aby utrata lokaja oszusta, trudną była do wynagrodzenia. Ja zaś niesłychanie rad byłem téj odmianie, lokaj bowiem mieszczanina, wydawał mi się kapcanem, w porównaniu z lokajem kawalera z Alcantary.

Żeby wam dać wierny obraz mojego nowego pana, muszę wam powiedzieć, że to był kawaler najprzystojniejszy, który podobał się wszystkim przez swoją słodycz i uprzejmość, równie jak przez delikatny dowcip. Prócz tego był waleczny i pełen poczciwości. Nic mu nie brakło prócz majątku, będąc bowiem młodszym synem rodziny, więcéj świetnością pochodzenia, niż majątkiem znakomitéj, zmuszony był żyć kosztem staréj ciotki mieszkającéj w Toledzie, a która kochała go jak syna i dostarczała mu pieniędzy na jego utrzymanie. Ubierał się zawsze czysto, wszędzie go chętnie przyjmowano. Odwiedzał wszystkie najznakomitsze panie w mieście, a między innemi margrabinę Almenara. Była to wdowa siedmdziesięcioletnia, ale obejściem się ujmującém i wdziękami dowcipu, potrafiła wabić do siebie całą szlachtę Kordnańską. Tak mężczyzni jak kobiéty z rozkoszą słuchali jéj rozmowy i dom jéj nosił nazwę: *dobrego towarzystwa.*

Mój pan był największym zwolennikiem téj pani. Pewnego wieczoru wracając od niéj, zdał mi się jakoś bardziéj rozdrażniony. Panie, rzekłem, widać na twarzy pańskiéj jakieś wzruszenie, wierny sługa jego, możeż się ośmielić zapytać o przyczynę? nie miałożby się panu wydarzyć co nadzwyczajnego? Kawaler uśmiechnął się na to pytanie i wyznał, że go mocno zajmuje ważna rozmowa, jaką miał z margrabiną Almenara. Cieszyłoby mnie to, rzekłem także uśmiechając się, aby to siedmdziesięcioletnie pieścidełko, oświadczyło się panu ze swoją miłością. Nie myśl o żartach, odpowiedział mi, wiedz mój przyjacielu, że margrabina kocha mnie. Kawalerze, odezwała się do mnie, znam twój szczupły majątek, równie jak szlachectwo; czuję przywiązanie do ciebie i chcę cię zaślubić dla zapewnienia ci przyzwoitego stanu, bo w inny sposób nie mogę cię z godnością zbogacić. Wiém że ten związek wystawi mnie na śmieszność w świecie, że po wszystkich kątach toczyć się będą uszczypliwe o mnie rozmowy, że wreszcie ogłoszą mnie głupią, starą, która chce wchodzić w powtórne związki; mniejsza o to, postanowiłam wzgardzić plotkami, by ci zapewnić los przyjemny. Tego się tylko obawiam, dodała, abyś ty nie miał wstrętu, odpowiedzieć moim życzeniom.

Otóż jest, co mi powiedziała margrabina; jest to rzecz tém dziwniejsza, że margrabina uchodzi w Kordubie za kobietę najrozsądniejszą i najprzyzwoitszą; dla tego też odpowiedziałem jéj, że dziwi mnie mocno, iż mi ofiaruje swoją rękę, upornie obstając dotąd za utrzymaniem aż do końca swojego wdowieństwa; na co mi rzekła, że mając dobra znakomite, chciałaby za życia przekazać je uczciwemu człowiekowi któregoby kochała.

Pan zapewne, rzekłem, nie będziesz się opierał? Czyż możesz o tém wątpić? odpowiedział, margrabina ma ogromne dobra obok pięknych przymiotów serca i umysłu. Trzebaby nie mieć piątéj klepki, żeby wypuścić z rąk takie szczęście.

Pochwaliłem szczerze zamiar pana mojego korzystania z tak pięknéj sposobności, a nawet radziłem mu przyspieszyć rzeczy,

tak dalece lękałem się zmiany. Szczęściem panią więcéj jeszcze jak mnie obchodził ten interes; tak stanowcze wydała rozkazy, iż przygotowania na gody szybko ukończone zostały. Skoro się po Kordubie rozeszła wieść, że stara margrabina Almenara postanowiła zaślubić młodego don Manrique de Medrona, żartownisie poczęli się bawić kosztem téj wdowy; na próżno wszakże wysilali swój dowcip na złośliwe przyciuki, nie potrafili zmienić jéj postanowienia. Pozwoliła szerzyć się plotkom po mieście, a sama z młodym kawalerem poszła do ołtarza. Gody odprawiono z przepychem, który nowego dostarczył przedmiotu złym językom. Nowo-zamężna, mówiono, powinnaby przynajmniéj dla samego wstydu i przyzwoitości zaniechać hucznego obrzędu, jaki nie przystoi wcale starym wdowom zaślubiającym młodych mężów.

Margrabina zamiast rumienić się, że w tym wieku została żoną kawalera, owszem jawnie, bez żadnego przymusu objawiała radość, jaką z tego powodu czuła. Była u niéj wielka uczta, z towarzyszeniem muzyki, skończyła się zaś wielkim balem, na który zaproszono całą szlachtę Korduańską obojéj płci. Ku końcowi balu nowo zaślubieni wysunęli się, udając się do jednego pokoju, w którym się zamknęli w towarzystwie panny pokojowéj i mnie; co znowu posłużyło towarzystwu do żarcików z margrabinéj; ale ta pani wcale nie tak myśliła, jak jéj przypisywano. Ujrzawszy się sam na sam z moim panem, tak się odezwała do niego: Don Manrique, oto jest twój pokój, mój jest w innym punkcie pałacu; noce przepędzać będziemy w pokojach osobnych, a w dzień będziemy żyli z sobą jak matka z synem. Kawaler zawiódł się zrazu, mniemał, że ta pani dla tego się podobnie odzywa, by go powołać do pewnéj natarczywości; a rozumiejąc, że przez samą grzeczność wypada mu udawać rozkochanego, prosił jéj, żeby mu pozwoliła być szatnym swoim; ale zamiast przyzwolić na jego żądanie, odepchnęła go z miną poważną, mówiąc: stój don Manrique, jéżeli mnie bierzesz za jednę z tych czułych kobiet podeszłego wieku, które idą powtórnie za mąż z ułomności natury, tedy mylisz się bardzo; nie zaślubiłam cię dla tego, abyś kupował te korzyści jakie ci zapewniłam umową przedślubną, są to czyste dary mojego serca, i po wdzięczności twojéj nic więcéj nie wymagam nad uczucia przyjaźni. To rzekłszy, zostawiła nas w naszym pokoju, sama z pokojówką oddaliła się do swojego, stanowczo zakazując kawalerowi towarzyszenia sobie.

Po jéj oddaleniu się, don Manrique i ja, stanęliśmy odurzeni tém cośmy słyszeli. Scypionie, odezwał się mój pan, spodziewałżeś się takiéj mowy, jaką teraz margrabina wyrzekła? Co ty myślisz o takiéj pani? Ja myślę, odpowiedziałem, że to jest kobiéta, jakiéj nie ma drugiéj na świecie. Co za szczęście dla pana, być jéj mężem! jest to zyskać dobrodziejstwo bez zobowiązań. Co do mnie, mówił don Manrique, podziwiam żonę tak czcigodnego charakteru, dla tego zamyślam odpłacić jéj tę ofiarę delikatnego uczucia, usłużnością i powolnością dla niéj, na jaką tylko zdobyć się potrafię. Jeszcze przéz chwilę rozmawialiśmy o naszéj pani, po czém udaliśmy się na spoczynek, ja na mój werek do szatni, pan zaś do przepysznego łoża, jakie mu przygotowano.

Zabawy wznowiły się dnia następnego, a nowo zamężna tak była wesoła, iż nowego dodała żywiołu złym językom. Z tego wszakże co oni powiedzieli, piérwsza się śmiała; zachęcała nawet żartownisiów, z uprzejmością przyjmując ich dowcipki. Kawaler nie mniéj okazywał się zadowolonym jak jego małżonka, a patrząc na jego czułość gdy na nią spoglądał, lub do niéj przemawiał, rzekłbyś, że szczególnie podobała mu się starość. Wieczorem nasi małżonkowie rozmawiali z sobą, i postanowili, że bez najmniejszego przymusu jedno, względem drugiego, tak żyć będą, jak żyli przed zaślubieniem. Jednakże trzeba powiedzieć na pochwałę don Manriqua, iż przez szacunek dla swojéj żony zrobił to, na coby się w jego miejscu rzadko który mąż zdobył: opuścił mieszczankę, którą przed tém kochał, i od któréj był kochany, nie chcąc utrzymywać stosunków, któreby zdawały się być zniewagą delikatnego z nim postępowania jego żony.

Kiedy takie składał dowody wdzięczności dla swojéj podeszłéj pani, ona odpłacała je z lichwą, nie wiedząc nawet o nich; oddała pod rozporządzenie jego swoją kassę, więcéj daleko wartą niż Velasqueza. Ponieważ ograniczyła dwór swój w czasie wdowieństwa, teraz przywróciła go na tęż samą stopę, jak za życia przeszłego jéj męża, powiększyła liczbę służących, zapełniła stajnię końmi i mułami, słowem przez jéj wspaniałomyślną dobroć, kawaler najuboższy z całego zakonu Alcantara, został najbogatszym. Zapytacie się zapewne, cobym ja na tém wszystkiém zyskał: dostałem pięćdziesiąt luidorów od mojéj pani, a sto od pana, który nadto zrobił mnie swoim sekretarzem z płacą czterech set talarów. Dosyć nawet miał zaufania we mnie, gdy chciał żebym został jego podskarbim.

Podskarbim! zawołałem, przerywając w tém miejscu mowę Scypionowi i śmiejąc się z całego gardła. Tak jest, panie, odpowiedział poważnie i zimno, tak podskarbim. Śmiało powiém, żem zaszczytnie pełnił obowiązki tego urzędu. Prawda, że może cokolwiek winien zostałem kassie, biorąc swoją płacę naprzód, a następnie opuściwszy służbę nagle, może łatwo rachunkowość chybioną została. Na wszelki wypadek, jest to ostatni zarzut, który mi uczynić można, ponieważ od owego czasu byłem zawsze pełen prawości i uczciwości.

Byłem więc, mówił daléj syn Coscoliny, sekretarzem i podskarbim don Manriqua, który zdawał się być tyleż zadowolonym ze mnie, ile ja kontent z niego, gdy w tém odebrał list z Toledu, donoszący mu, że dona Teodora Muscoso, jego ciotka, blizką zgonu była. Rozrzewniony tą nowiną, udał się natychmiast w drogę do téj pani, która od dawna była dlań matką. Towarzyszyłem mu w téj podróży, z szatnym i jednym lokajem; wszyscy czteréj dosiedliśmy najlepszych koni z naszéj stajni, szybko stanęliśmy w Toledzie, zastawszy donę Teodorę w stanie czyniącym nadzieję, że z przyczyny téj choroby nie umrze i w istocie nasze przepowiednie, choć sprzeczne z wróżbą starego jéj lekarza, wypadek usprawiedliwił.

Kiedy zdrowie naszéj dobréj ciotki widocznie się polepszyło, nie tyle zapewne w skutek dawanych jéj leków, ile przez obecność ukochanego siostrzeńca, pan podskarbi przepędzał czas, jak tylko mógł najprzyjemniéj, z młodymi ludźmi, których znajomość wielce mu pożyteczną była do wynalezienia sposobności wydawania pieniędzy. Oprócz uczt zalotnych, które z ich namowy dawałem dla kobiét, z któremi mnie zaznajomili, wciągali mnie nadto niekiedy do szulerni i tam zapraszali do kart. Że zaś nie byłem tak zgrabnym graczem jak pan Abel, częściéj przeto przegrywałem, niż wygrywałem. Nieznacznie nabierałem ochoty do gry, i gdybym się był oddał téj namiętności, byłaby mnie niezawodnie zmusiła do ściągnięcia z kassy kilku kwartałów naprzód, lecz na szczęście miłość ochroniła kassę i moją cnotę. Pewnego dnia przechodząc koło kościoła *de los Royes*, ujrzałem przez żaluzye młodą dziewicę, która mi się istném bóstwem wydała. Użyłbym jeszcze mocniejszego wyrażenia, gdyby jakie było, abym wam dał poznać wrażenie, jakie widok jéj na mnie zrobił. Zacząłem się wywiadywać i doszedłem, że się zowie Beatrix, że jest panną pokojową dony Julii, młodszéj córki hrabiego Polan.

Beatrix przerwała Scypionowi, śmiejąc się do rozpuku, poczém zwracając mowę do mojéj żony, nadobna Antonio, rzekła, przypatrz mi się dobrze, proszę cię, czyż nie zdaje ci się, że mam postać bóstwa? Wtedy miałaś ją w moich oczach, rzekł Scypion, a od chwili w któréj wierność twoja przestała mi być podejrzaną, wydajesz mi się piękniejszą, aniżeliś mogła być kiedykolwiek. Mój sekretarz po tak zalotnéj odpowiedzi, tak daléj opowiadał swoją historyą.

To odkrycie zapaliło we mnie żądzę, ale wcale nie prawą. Wyznaję to szczerze, wystawiałem sobie, że łatwy odniosę tryumf nad jéj cnotą, jeżeli jéj rzucę ponętę w darach zdolnych nią zachwiać, alem źle sądził o nieskażonéj pannie Beatrix. Napróżno przez najęte kobiéty ofiarowałem jéj moją szkatułkę i moje zabiegi, z dumą odrzuciła moje przedstawienia. Opór jéj zamiast ostudzić mój zapał, jeszcze go bardziéj rozżarzał. Udałem się przeto do ostatniego środka; kazałem jéj

ofiarować moją rękę, przyjęła ją dowiedziawszy się, że byłem sekretarzem i podskarbim don Manriqua. Uznawszy za rzecz przyzwoitą ukrywać przez czas niejaki nasze małżeństwo, wzięliśmy szlub potajemnie w obecności pani Lorency Sephory, ochmistrzyni Serafiny, i przy kilku innych służących hrabiego Polan. Skoro tylko zaślubiłem Beatrix, natychmiast ułatwiła mi widzenie się z sobą we dnie, a w nocy miewaliśmy schadzki w ogrodzie, dokąd dostawałem się dzwiczkami, od których klucz mi dała. Nigdy jeszcze dwoje małżeństwa nie byli tak z siebie nawzajem kontenci, jak my jedno ze drugiego. Beatrix i ja z równą niecierpliwością oczekiwaliśmy godziny umówionéj; biegliśmy na miejsce schadzki z równymże pośpiechem, a czas któryśmy z sobą przepędzali, choć nie raz dość długi nam się przecież zawsze wydawał zbyt krótkim. Wreszcie żyliśmy raczéj jak kochankowie, nie jak małżeństwo. Los zawistny wkrótce zakłócił naszą szczęśliwość. Pewnéj nocy, która tak okropną była dla mnie, jak poprzednie miłe, zdumiałem się wchodząc do ogrodu, żem małą furtkę zastał otwartą. Ta nowość zatrwożyła mnie; wyprowadziłem z niéj złą wróżbę: zadrżałem, jak gdybym przeczuwał co mnie spotkać miało, a postępując ku altanie, gdziem zwykle rozmawiał z moją żoną, usłyszałem głos męzczyzny; stanąłem w téj chwili, żeby lepiéj podsłuchać, i następne wyrazy utkwiły w moich uszach: Nie dręcz mnie dłużéj kochana Beatrix, spełnij moje szczęście; pamiętaj, że los twój do tego przywiązany. Zamiast cierpliwie posłuchać daléj, mniemałem, że mi nie trzeba było wiedzieć więcéj, wściekła zazdrość opanowała moją duszę, a samą zemstą oddychając, dobyłem szpady, i nagle wszedłem do altany. Podły zwodzicielu, krzyknąłem, ktokolwiek jesteś, pierwéj wydrzyj mi życie, nim honor odbierzesz. To mówiąc natarłem na mężczyznę który rozmawiał z Beatrix. Szybko się zastawił, i walczył jako człowiek lepiéj odemnie umiejący robić bronią, ja bowiem kilka zaledwie lekcyj fechtowania wziąłem w Kordubie. Tymczasem choć tak wielkim był rycerzem, przecież nie mógł się zastawić przed moim ciosem, czyli raczéj potknął się; widziałem go padającego: a sądząc żem go śmiertelnie ranił, uciekłem co prędzéj, nie chcąc nawet odpowiedzieć Beatrycy, która z całéj siły wołała za mną.

Tak w istocie, przerwała żona Scypiona, zwracając mowę do nas, wołałam na niego, by go wywieźć z błędu. Kawaler z którym rozmawiałam w altanie był don Fernand de Leyva. Ten pan kochając Julią, moją panią, powziął zamiar uprowadzenia jéj, sądząc, że tym jedynie sposobem pozyskać ją potrafi: ja sama naznaczyłam mu schadzkę w ogrodzie, aby się ułożyć względem tego uprowadzenia, od którego, jak mnie zapewniał, miał zależyć los mój; ale napróżno krzyczałam, żeby przywołać mojego męża; zaślepiony gniewem, uciekał odemnie, jak od żony wiarołomnéj.

Wówczas, mówił daléj Scypion, byłem zdolny do wszystkiego. Ci którzy z doświadczenia wiedzą, co to jest zazdrość, i do jakiego szału doprowadza najrozsądniejszych ludzi, nie będą się dziwić, że taki zawrót sprawiła w moim słabym muzgu; w owéj chwili wpadłem z jednéj ostateczności w drugą; nienawiść zajęła miejsce czułości, jaką miałem przed chwilą dla mojéj żony. Poprzysiągłem porzucić ją, i wygluzować na zawsze z pamięci. Prócz tego, rozumiałem, żem zabił swego kawalera, w tém przekonaniu, bojąc się wpaść w ręce sprawiedliwości, doświadczałem téj zgubnéj niespokojności, która nakształt furyi wszędzie ściga człowieka co spełnił czyn zbrodniczy. W tak okropném położeniu, myśląc jedynie o własném bezpieczeństwie, nie wracałem już do mieszkania, lecz w tejże godzinie wyszedłem z Toledu, nie mając nic innego prócz sukni w którą byłem ubrany. Prawda, że w kieszeni było około sześćdziesiąt luidorów, co nie małém było zasiłkiem dla młodego człowieka, gotowego żyć wiecznie ze służby.

Szedłem całą noc, czyli właściwiéj mówiąc biegłem, ponieważ obraz algazilów, ustawnie obecny przed memi oczyma, dodawał mi coraz nowych sił. Świt zastał mnie między Rodillas i Magueda. Kiedym stanął w tém ostatniem miasteczku, czując się znużonym, wstąpiłem do kościoła, który tylko co otworzono, a odmówiwszy modlitwy, usiadłem na ławce, żeby spocząć. Zacząłem dumać nad stanem spraw moich, które aż nadto wiele powodów dawały mi do rozmyślania, lecz nie miałem czasu do zastanowienia się. Usłyszałem rozlegający się po kościele trzask bicza, zkąd pomiarkowałem, że musi tamtędy postępować jaki mułowodzca. Wstałem zaraz, by się przekonać, czy się nie mylę, a dostawszy się do drzwi ujrzałem istotnie mułowodzcę, siedzącego na mule i powodzącego dwa inne lóżno idące. Zatrzymaj się przyjacielu, zawołałem, dokąd idą te muły? do Madrytu odpowiedział. Przywiózłem tu ztamtąd dwóch zakonników i wracam.

Nastręczająca się sposobność odbycia podróży do Madrytu dodała mi ochoty do tego: zgodziłem się z mułowodzcą, siadłem na muła i puściliśmy się drogą do Illescas, gdzieśmy mieli nocować. Zaledwieśmy wyjechali z Magnedy, gdy mółowódzca, około czterdziestu lat mieć mogący, rozpoczął śpiewy kościelne z całego gardła. Chociaż mi uszy pękały od jego wrzasku, zachęcałem go przecież do ciągłego śpiewania, ilekroć odpoczywał dla oddechu. Śmiało przyjacielu, mówiłem, daléj, daléj! nie ustawaj. Jeżeli niebo dało ci silne płuca, nie używasz tego daru na złe. Oh! co do tego, to nie, zawołał, ja nie jestem z rzędu tych furmanów, którzy nucą same śpiewki niecne, lub bezbożne, ja nawet nigdy nie śpiewam ballad z naszych wojen z Maurami; bo chociaż to nie są rzeczy nieuczciwe, przyznasz bez wątpienia, że są płoche, że dobry chrześcianin nie powinien się niemi zajmować. Masz widzę, mówiłem doń, czyste serce, czém się rzadko który mułowodzca poszczycić może. Ale powiedz też mi, mój przyjacielu, przy téj wielkiéj drażliwości twojéj w wyborze śpiewów, czy téż dopełniasz szlubu czystości w karczmach, w których są młode służące? Zapewne, odpowiedział, powściągliwość, jest także rzeczą, którą się pochlubić mogę w takowych miejscach; ja myślę tylko o staraniu około moich mułów. Zdziwiłem się nie mało, słysząc tak mówiącego tego fenixa mułowodzców, a uważając go za człowieka uczciwego i dowcipnego, zawiązałem z nim rozmowę, kiedy się już do woli naśpiewał.

Pod wieczór przybyliśmy do Illescas. Stanąwszy w domu zajezdnym, zostawiłem staranie o mułach mojemu towarzyszowi, a sam udałem się do kuchni, zalecając gospodarzowi, aby nam przygotował dobrą wieczerzę: co przyrzekł zrobić tak dobrze, iż jak mówił, pamiętać go będę całe życie. Spytaj się pan, mówił mi, spytaj się twojego mułowodzcy, co to ja za człowiek. Jak mi Bóg miły! gotów jestem wyzwać wszystkich kucharzy z całego Madrytu i Toledu, niech przyrządzą taką *olla putrida*, którąby się zrównała z moją. Dziś uraczę was combrem królika po mojemu przyrządzonym; zobaczycie czy słusznie chlubię się z moją sztuką. W tém pokazując mi rądel, w którym posiekany był królik, jak mówił; otóż to dodał, co wam chcę dać na wieczerzę, wraz z baranią łopatką pieczoną. Jak to przyprawię pieprzem, solą, winem, garścią ziół i jeszcze innych dodatków, których używam do sosów, wtedy wam zastawię przysmaczek godny podniebienia samego contado mayor.

Tak pochwaliwszy się pan gospodarz, zabrał się do przyrządzenia wieczerzy, kiedy tém się zajmował, ja tymczasem wszedłem do izby, i rzuciwszy się na łóżko, jakie zastałem, smaczno zasnąłem, bom przez całą noc poprzednią nie spoczywał. Po dwóch godzinach mułowodzca przebudził mnie, mówiąc: mój szlachcicu, wieczerza twoja już gotowa, pójdź z łaski swojéj do stołu. Na stole dwa były nakrycia. Zasiedliśmy z mułowodzcą i podano nam comber. Rzuciłem się na niego z chciwością; smakował mi wybornie, czy że głód zdaniem mojém kierował, czy téż w istocie był to skutek przypraw kucharza. Następnie dano skopowinę pieczoną. Spostrzegłszy, że mułowodzca do niéj się zabrał, nie tykając poprzedniéj potrawy, zapytałem się o przyczynę. Odpowiedział mi uśmiechając się, iż nie lubi przysmaków. Ta odpowiedź, czyli raczéj towarzyszący jéj uśmiech, zdał mi się zakrawać na jakąś tajemnicę. Ukrywasz przedemną, rzekłem, prawdziwą przyczynę, powiédz mi szczerze z łaski swojéj; dla czego nie jesz combra? Ponieważ tak ciekawy jesteś, rzekł, otóż ci powiém,

że mam wstręt do tego rodzaju przysmaków; od czasu, jak jadąc z Toledu do Cuency, dano mi w jednym hotelu na wieczerzę zamiast królika z królikarni, kota w siekance i to mnie zraziło od wszelkich frykasów.

Tylko co mułowodzca to powiedział, gdy natychmiast mimo głód dokuczający, apetyt odbiegł mnie zupełnie. Uroiło mi się w głowie żem jadł królika zmyślonego, i już nie spojrzałem na potrawkę bez wykrzywienia się. Mój towarzysz nie uspokoił umysłu mojego, dodając że gospodarze domów zajezdnych w Hiszpanii, często robią takie omyłki, równie jak pasztetnicy. Takowe wyrazy, jak łatwo pojmiecie, mogły być bardzo pocieszające, dla tego też już nie wróciłem do combra, ale nawet nie tknąłem i drugiego półmiska, z obawy aby skop nie był równie prawdziwy, jak królik. Wstałem od stołu przeklinając potrawkę, gospodarza i karczmę, a położywszy się na powrót na tym samym łóżku, przespałem noc spokojniéj, niż się spodziewałem. Nazajutrz raniutko zapłaciwszy gospodarzowi tak drogo, jak za najlepszą wieczerzę, oddaliłem się z Illescas z wyobraźnią tak przejętą combrem, że wszystkie zwierzęta które spostrzegłem zdały mi się być kotami.

Wcześnie przybyłem do Madrytu i zaspokoiwszy czém prędzéj mułowodzcę, nająłem pokój w hotelu przy bramie słońca. Lubo oczy moje już dosyć nawykłe były do wielkiego świata, jednakże zaćmił je blask tylu panów zbierających się codziennie w obrębie pałacu królewskiego. Podziwiałem niesłychaną mnogość karet i niezliczony tłum szlachty, paziów, lokajów, z orszaku możnych panów. Lecz zdumienie moje wtedy dopiéro doszło najwyższego stopnia, gdy poszedłszy na ranne posłuchanie królewskie, ujrzałem tego monarchę otoczonego dworzanami. Zachwycił mnie ten widok, i rzekłem sam w sobie. Co za świetność! co za potęga! teraz przestaję się dziwić, słysząc mówiących, że trzeba widzieć dwór Madrycki, aby pojąć całą jego okazałość; cieszę się żem przybył tu, mam przeczucie, że przecież coś zrobię. Nic atoli nie zrobiłem, prócz kilku bezkorzystnych znajomości. Wydałem powoli moje pieniądze i byłem bardzo szczęśliwy, że z całą moją wartością poświęciłem się pewnemu klesze z Salamanki, którego sprawy familijne do Madrytu sprowadziły, gdzie się urodził i z którym znajomość moją traf skojarzył. Zostałem jego *factotum* i udałem się z nim do jednego uniwersytetu.

Mój nowy pan zwał się don Ignacio de Ipigna. Przybierał *don* dla tego że był nauczycielem jakiegoś księcia, który przez wdzięczność naznaczył mu pensyą dożywotnią; to nie wszystko, miał drugą jako profesor wysłużony; a nadto publiczność składała mu corocznie dwieście do trzechset luidorów za książki moralno-dogmatyczne, które miał zwyczaj drukować. Sposób w jaki układał swoje dzieła zasługuje na wzmiankę. Sławny don Ignacio całe prawie dnie przepędzał na czytaniu autorów, hebrajskich, greckich, i łacińskich: na świstkach papieru wypisywał każde zdanie, każdą myśl piękniejszą, którą w nich napotkał. W miarę jak te świstki zapisywał, oddawał mi je do nawleczenia na drót, w kształcie girlandy, a każda girlanda stanowiła tom. Ileż to my zrobili niedorzecznych książek! Nie było miesiąca, żebyśmy nie ułożyli przynajmniéj dwóch tomów i zaraz prassa pod niemi jęczała. Co zaś w tém wszystkiem najdziwniejsza, to, że ta zbieranka udawała się za nowość; a jeżeli krytycy odważyli się zarzucić autorowi, że rabował starożytnych, odpowiedał im z dumną bezczelnością: *Furto laetamur in ipso.* (W saméj kradzieży rozkosz znajdujemy.)

Był on także potężnym komentatorem, tyle było głębokiéj nauki w jego komentarzach, iż często pisał swoje uwagi nad rzeczami nie zasługującemi na uwagę; tak jak na swoich świstkach, nieraz wcale niestosowne wypisywał wyjątki z Hezyoda i innych autorów. Mimo to wszystko ja wiele skorzystałem u tego uczonego, nieprzyznanie się do tego, byłoby niewdzięcznością z mojéj strony. Przepisywaniem ciągłem dzieł jego wprawiłem się w pisanie; a jeżeli obchodząc się ze mną nie jak ze służącym, ale bardziéj jak z uczniem, starał się o ukształcenie mojego umysłu, pamiętał także i o obyczajach. Usłyszawszy przypadkiem o przeniewierzeniu się jakiego służącego, Scypionie, mawiał do mnie, strzeż się moje dziecko naśladować zły przykład tego oszusta. Trzeba aby służący zachował się względem pana swojego z równą gorliwością, jak wiernością, i starał się być cnotliwym przez ciągłą pracę nad sobą, jeżeli nim nie jest z natury. Słowem, don Ignacio nie pominął żadnéj sposobności, aby mnie kierować na drogę cnoty, a jego zachęty tak błogi na mnie wywierały skutek, iż przez ciąg piętnasto miesięcznego pobytu u niego, najmniejsza nie brała mnie pokusa do wypłatania mu jakiéj psoty.

Jużem wspomniał, że doktór de Ipigna był rodem z Madrytu; miał on tu krewną swoją, nazwiskiem Catalina, która była panną pokojową, pani mamki. Jest to ta sama, któréj użyłem do wydobycia pana Santillany z turmy Segovii, ona chcąc się przysłużyć panu don Ignacio, zobowiązała swoją panię, aby mu u księcia Lerma wyjednała jakie beneficium. Ten minister posunął go na archidyakonat Granady, co należało do mianowania królewskiego, jako w kraju zdobytym. Powziąwszy tę wiadomość, pojechaliśmy natychmiast do Madrytu, ponieważ doktór chciał podziękować swojéj dobrodziejce przed objęciem nowéj posady. Miałem więc nie raz sposobność widzieć Catalinę i rozmawiać z nią. Wesoły mój humor i sposób wzięcia się niewymuszony, przypadły jéj do gustu, ja z mojéj strony znalazłem ją tak miłą, iż nie mogłem się wstrzymać, aby się nie wywzajemnić za drobne dowody przyjaźni z jéj strony, zresztą przywiązaliśmy się do siebie. Przebacz to wyznanie, kochana Beatrix, ponieważ wówczas uważałem cię za wiarołomną, ten błąd z mojéj strony powinien mnie zasłonić od twoich wyrzutów.

Tym czasem don Ignacio wybierał się do Granady. Krewna jego, równie jak ja przerażeni zagrażającém nam rozłączeniem, chwyciliśmy się wybiegu, który nas zabezpieczył; zmyśliłem chorego, skarżyłem się na ból głowy, na ból piersi, udawałem człowieka dręczonego wszystkiemi możliwemi chorobami. Pan mój wezwał lekarza, co mnie dreszczem przejęło, bom sobie wystawiał, że ten Hipokrat spostrzeże od razu, że nie byłem wcale chory; ale szczęściem, jak gdyby był w zmowie ze mną, przypatrzywszy się dobrze, oświadczył dobrodusznie, że choroba moja ważniejsza jest niż się zdaje, że według wszelkiego podobieństwa, długo jeszcze nie będę mógł wychodzić z pokoju. Doktór pragnąc jak najprędzéj udać się do swojéj katedry, nie chciał odkładać swojego odjazdu, wolał przyjąć innego chłopca do usług; mnie zaś powierzył troskliwości kobiéty dozorującéj chorych, zostawił jéj pewną kwotę pieniędzy na pogrzeb, jeżelibym umarł, albo na wypłatę mojego myta, jeżelibym wrócił do zdrowia.

Skoro tylko dowiedziałem się o odjeździe don Ignacio, wyzdrowiałem natychmiast. Wstałem, pożegnałem lekarza, który tyle objawił przenikliwości, oddaliłem stróżkę, która mi skradła połowę pieniędzy jéj powierzonych. Kiedy ja tak udawałem, Catalina działała na umysł swojéj pani, dony Anny de Guevara, przedstawiając jéj, żem był przedziwnie usposobiony do intrygi i skłoniła ją do przyjęcia mnie w poczet swoich ajentów. Pani mamka dla miłości pieniędzy, wdawała się często w zyskowne przedsięwzięcia, potrzebując do tego pomocy, przyjęła mnie do usług, i wkrótce doświadczyła moich zdolności. Dała mi polecenia nie małéj wymagające zręczności, z których, nie chwaląc się wcale, nie źle się wywiązałem; dla tego też tak była zadowolona ze mnie, jak ja nie kontent z niéj. Pani ta była tak chciwa, iż mi nie udzieliła najdrobniejszéj cząstki z owocu moich trudów i zabiegów. Rozumiała, że płacąc mi regularnie zasługi, dość wspaniałomyślnie wychodziła ze mną. Ten zbytek chciwości nie podobał mi się i byłby mnie skłonił do jéj opuszczenia, gdyby mnie nie zatrzymywało przywiązanie Cataliny, która coraz bardziéj zapalając się, wreszcie stanowczo przedstawiła mi małżeństwo.

Powoli, rzekłem, moje bóztwo, ten obrzęd nie może się tak prędko dla nas odbyć; muszę pierwéj wywiedzieć się o śmierci młodéj osoby, która cię uprzedziła, a któréj za moje grzechy zostałem małżonkiem. Nie mnie to mów, rzekła Catalina, nie jestem tak łatwowierną, abym od razu przyjęła to za dobre co mówisz; chcesz mnie przekonać, że jesteś zaślubiony i dla cze-

go? aby mi grzecznie okazać wstręt do pojęcia mnie za żonę. Napróżno zaręczałem jéj, że to co mówię jest istną prawdą; moje szczere wyznanie zdało się jéj sprawą przegraną, a czując się przez to obrażoną, zmieniła sposób postępowania ze mną. Nie poróżniliśmy się wcale, ale nasze obejście widocznie stało się obojętniejszém i jedno względem drugiego odtąd zachowywało tylko względy przyzwoitości i grzeczności.

W takiém powikłaniu interesów dowiedziałem się, iż pan de Santillana, sekretarz pierwszego ministra, potrzebował lokaja; miejsce to podobało mi się tém bardziéj, że mi prawiono o niém jak o najprzyjemniejszém jakie mógłbym kiedykolwiek znaléźć. Pan de Santillana, mówiono mi, jest to kawaler pełen godności; książę de Lerma jest do niego przywiązany, a tém samém on niechybnie bardzo dobrze wyjdzie. Prócz tego, jest on wspaniałomyślny, krzątając się około spraw jego, nie źle wyjdziesz na swoich. Nie zaniedbałem téj sposobności, przedstawiłem się panu Gil Blas, którego z pierwszego wejrzenia polubiłem, a który mnie także z wejrzenia ugodził. Nie wahałem się bynajmniéj dla niego opuścić panią mamkę; będzie to, jeżeli się Bogu podoba ostatni mój pan.

Scypion na tém skończył swoją historyą. Potém zwracając mowę do mnie: Panie de Santillana, teraz do ciebie się odwołuję; zrób mi tę łaskę, zaświadcz tym panom, żeś we mnie



Walka don Cogollos.

zawsze miał sługę wiernego i gorliwego. Potrzebuję tego świadectwa, aby przekonać te panie, że syn Coscolluy, potrafił oczyścić swoje obyczaje i w miejsce złych skłonności, przejął cnotliwe uczucia.

Tak jest, moje panie, rzekłem wtedy, za to wam ręczę. Jeżeli w młodości Scypion był wierutnym szalbierzem, tak się następnie poprawił, iż został wzorem doskonałego sługi. Nie tylko nie mam najmniejszego zarzutu przeciw jego sprawowaniu się u mnie, ale wyznać muszę, iż mu wielce jestem obowiązany. W nocy, w któréj mnie pojmano, uratował część moich rzeczy, którą mógł sobie bezkarnie przywłaszczyć; nie dość dla niego było ocalić moje mienie, jeszcze przez czystą przyjaźń, przybył zamknąć się ze mną w turmie; nad wdzięki swobody, przeniósł smutną przyjemność, podzielania ze mną moich udręczeń.

KSIĘGA JEDENASTA.

Rozdział I.

O najwyższéj radości Gil Blasa i smutnym wypadku który ją zmieszał.
O zmianach przy dworze, które skłoniły Gil Blasa do powrotu.

Jużem powiedział że Antonia i Beatrix, zgadzały się przedziwnie; jedna przywykła żyć jako panna pokojowa uległa, druga chętnie uczyła się roli pani. My będąc bardzo uprzejmi dla naszych żon, kochani od nich, wnet mieliśmy pociechę oglądać je w błogosławionym stanie. Beatrix pierwéj powiła córkę, a w kilka dni późniéj Antonia napełniła dom radością, wydając na świat syna. Uradowany tak szczęśliwym wypadkiem, wysłałem mojego sekretarza do Walencyi z zawiadomieniem gubernatora, który téż niebawnie przybył do Lirias z Serafiną i margrabiną de Pliego, by nowonarodzone dzieci podać do chrztu św. Do tylu dowodów przychylności jakie od niego odebrałem, chciał mi jeszcze i tę sprawić przyjemność. Syn mój otrzymał imię Alphonsa, ojcem zaś chrzestnym jego był gubernator, a matką margrabina; pani gubernatorowa chcąc żebym podwójnym jéj kmotrem został, trzymała ze mną do chrztu córkę Scypiona, któréj nadaliśmy imię Serafiny.

Urodziny mojego syna, nie same tylko osoby w pałacu uradowały; mieszkańcy także Lirias, uroczyście je obchodzili, co pokazywało, że cała wieś chciała mieć udział w radości swojego pana. Lecz niestety! zbyt krótkie było nasze wesele, wnet się w płacz i jęki zamieniło, a to z wypadku, którego dwudziestoletni przeciąg czasu z pamięci mojéj wygluzować nie potrafił, i który na zawsze tkwić będzie w myśli mojéj. Syn mój umarł, a za nim w też tropy i matka zstąpiła do grobu; gwałtowna gorączka przerwała pasmo jéj życia w czternastym miesiącu naszego małżeństwa. Niech sobie czytelnik wyobrazi, jeżeli może, boleść moją; wpadłem w udręczenie osłupiałe; silnie rażony tą stratą, stałem się podobny do pozbawionego wszelkiego czucia. W tym stanie przepędziłem pięć czy sześć dni; nie chciałem brać żadnego pokarmu, i gdyby nie Scypion, byłbym pewnie głodem się zamorzył, lub zmysły stracił; lecz ten przezorny sekretarz, potrafił omamić moją boleść, stosując się do moich przywidzeń; skłonił mnie do picia bulionów, które mi podawał z miną tak udręczoną, iż zdawało się, że mi je daje nie dla utrzymania życia, ale raczéj dla podwyższenia mojego żalu.

Przywiązany ten sługa pisał do don Alphonsa, donosząc mu o mojém nieszczęściu i godnym politowania stanie w jakim się znajdowałem. Ten pan czuły i miłosierny, ten wspaniałomyślny mój przyjaciel, przybył natychmiast do Lirias. Nie mogę do dziś wspomnieć bez rozrzewnienia, na tę chwilę, w któréj go ujrzałem. Kochany Santillano, rzekł ściskając mnie, nie przybyłem pocieszać cię, ale z tobą razem opłakiwać zgon Antonii, tak jakbyś ty opłakiwał Serafinę, gdyby parka przecięła nić jéj życia. W rzeczy saméj płakał i wraz ze mną wzdychał, jęczał. Choć mocno ściśnięty smutkiem, żywo wszakże uczułem dobroć tego pana.

Don Alphons naradzał się długo ze Scypionem, nad sposobami pokonania mojego żalu. Osądzili za rzecz przyzwoitą, usunąć mnie na niejaki czas z Lirias, gdzie wszystko przypominało mi bezustannie obraz Antonii. Po czém syn don Cezara oświadczył mi, że chce mnie zawieźć do Walencyi, a mój sekretarz, tak dobrze umiał żądanie jego poprzeć, iż je przyjąłem. Zostawiłem więc Scypiona z żoną jego w zamku, w którym istotnie wszystko drażniło mój smutek i udałem się z gubernatorem. Skoro stanąłem w Walencyi, don Cezar i jego synowa nie oszczędzali niczego, aby rozerwać mój smutek; nastręczali po kolei rozmaite rozrywki, zdolne sprawić mi niejakie roztargnienie; lecz mimo ich starania, ciągle byłem zatopiony w melancholii, z któréj nic mnie wydobyć nie mogło. Sam Scypion nie wynalazł środka do przywrócenia mi spokojności; przybywał on często do Walencyi, dla powzięcia wiadomości o moim stanie; wracał smutniejszy lub weselszy, w miarę jak widział we mnie więcéj lub mniéj usposobienia do jakiéjś pociechy. Uważałem to w nim, nie bez wewnętrznego zadowolenia; wdzięczny mu byłem za objawy przyjaźni, i chlubiłem się tak przywiązanym sługą.

Pewnego poranku wszedł do mojego pokoju i z wielkim dosyć wzruszeniem, odezwał się: Panie, wieść krąży po mieście, która obchodzi całą monarchią; mówią, że Filip III już nie żyje i że książę syn jego, zasiadł na tronie. Dodają także, że kardynał książę de Lerma, stracił urząd, że mu nawet zabroniono pokazywać się u dworu i że don Gaspard de Guzman,

hrabia Olivares, jest teraz piérwszym ministrem. Ta nowina wzruszyła mnie, sam nie wiem dla czego. Scypion spostrzegł to i zapytał się, czybym nie chciał mieć udziału w téj zmianie. Ha! jakiżbym udział mógł mieć moje dziécię? odpowiedziałem. Opuściłem dwór, jakiekolwiek zmiany w nim zajść mogą, powinny być dla mnie obojętne.

Dla człowieka w tym wieku, odezwał się syn Coscoliny, właśnie téż przystało oddalać się od świata. W położeniu pańskiém, pałałbym ciekawością. Jaką ciekawością? przerwałem mu. Dalibóg, rzekł Scypion, pojechałbym do Madrytu, przedstawiłbym moją figurę nowemu monarsze, aby wiedzieć, czy téż mnie pozna; jest to przyjemność, którejbym sobie nie odmówił. Rozumiem, rzekłem, chciałbyś, abym się udał do Madrytu, doświadczył na nowo fortuny i znowu został chciwym i dumnym. Dla czegóżby znowu obyczaje twoje miały się zepsuć? odpowiedział sekretarz. Miéj więcéj zaufania w swojéj cnocie. Ja ręczę za tobą. Zdrowe uwagi jakie ci o dworze natchnęła niełaska, nie każą ci się bynajmniéj obawiać jego niebezpieczeństw. Puszczaj się śmiało na to morze, na którém znasz wszystkie skały. Milcz pochlebco! zawołałem uśmiéchając się, czy ci się już znudziło życie spokojne, które prowadzę? Spodziewałem się, że mój spoczynek milszym ci będzie.

W tym punkcie naszéj rozmowy, wszedł don Cezar z synem. Potwierdzili wiadomość o śmierci króla, równie jak o nieszczęściu księcia Lerma. Dodali jeszcze, że ten minister na prośbę o pozwolenie udania się do Rzymu, odmowną odebrał odpowiedź, kazano mu udać się do swojego margrabstwa Denia. Poczém, jak gdyby się ułożyli z moim sekretarzem, radzili mi udać się do Madrytu, przedstawić się nowemu królowi, ponieważ byłem mu znany, a nawet oddałem mu przysługę, którą wielcy panowie dość chętnie uznają. Co do mnie, rzekł don Alphons, nie wątpię bynajmniéj, aby jéj nie miał zawdzięczyć; Filip IV powinien spłacić długi księcia hiszpańskiego. Ja mam toż samo przeczucie, dodał don Cezar i uważam podróż Santillany, jako najdogodniejszą dlań sposobność dojścia do wysokich godności.

Zaprawdę, panowie, nie zastanawiacie się nad tém co mówicie! Słuchając was obudwóch, zdawałoby się, że skoro się tylko pokażę w Madrycie, natychmiast dostanę klucz złoty, albo jakie gubernatorstwo; mylicie się mocno. Ja zaś przeciwnie, jestem przekonany, że król wcale nie zwróci uwagi na moją figurę, gdy mu stanę przed oczyma. Jeżeli chcecie, ja sprobuję dla wyprowadzenia was z błędu. Panowie de Leyva uchwycili mnie za słowo i już nie mogłem się im wymówić, musiałem przyrzec, że niezwłocznie pojadę do Madrytu. Sekretarz ujrzawszy moje postanowienie, objawił niesłychaną radość; wyobrażał sobie, że monarcha skoro mnie tylko zoczy, natychmiast obsypie mnie zaszczytami i łaskami. Tym sposobem rozmarzony najświetniejszemi urojeniami, już mnie widział wyniesionego do najpiérwszych godności państwa, a w skutek mojego wywyższenia, i siebie także daleko posuniętego uważał.

Postanowiłem więc wrócić do dworu, nie żeby na nowo bić czołem fortunie, ale żeby zaspokoić don Cezara i jego syna, którym wpadło do głowy, że ja zyskam względy monarchy. Prawda, że w głębi duszy i mnie także nagabała ciekawość, czy ten młody książę pozna mnie. Uczuciem ciekawości uwiedziony, bez nadziei, a nawet bez zamiaru korzystania z nowego rządu, puściłem się drogą madrycką ze Scypionem, zostawiwszy zarząd pałacu Beatrycy, wybornéj gospodyni.

Rozdział II.

Gil Blas pokazuje się na dworze, król go poznaje, poleca go piérwszemu ministrowi i z jakim skutkiem.

Stanęliśmy w Madrycie w ośmiu dniach niespełna; don Alphons dał nam ze swojéj stajni dwa najlepsze konie dla przyśpieszenia drogi. Stanęliśmy w hotelu, w którym dawniéj mieszkałem, to jest u Wincentego Forrero, który się niesłychanie ucieszył ujrzawszy mnie.

Ponieważ był to człowiek, co się chlubił znajomością wszelkich obrotów dworskich i spraw miasta całego, dlatego zapytałem się go o nowiny. Oh, jest ich nie mało. Po śmierci Filipa III, przyjaciele i stronnicy kardynała księcia Lerma, zabiegali co sił, by jego eminencyą utrzymać na ministerstwie; ale ich trudy na nic się nie przydały; hrabia Olivares przemógł. Utrzymują, że Hiszpania nie traci wcale na téj odmianie, że nowy minister tak potężnym obdarzony geniuszem, iż potrafiłby rządzić całym światem. Dałby Bóg! To atoli pewna, że lud wysokie powziął wyobrażenie o zdolnościach tego pana; czas pokaże, czy książę Lerma, dobrze lub źle zastąpiony. Forrero rozpuściwszy język, wystąpił ze wszystkiemi szczegółami zmian zaszłych na dworze od chwili, w któréj hrabia Olivares, ujął styr rządu monarchii.

We dwa dni po moim przyjeździe, udałem się do pałacu królewskiego po południu i stanąłem w miejscu, którędy król miał przechodzić do gabinetu; przeszedł, nie spojrzawszy na mnie. Wróciłem nazajutrz na ten sam posterunek i nie byłem szczęśliwszym. Trzeciego dnia przechodząc, rzucił okiem na mnie, ale nie zdawał się zwracać uwagi na moją osobę. W skutek tego, innéj chwyciłem się myśli. Widzisz, rzekłem do Scypiona, który mi towarzyszył, że król mnie nie poznaje, albo jeżeli sobie przypomina, nie chce odnawiać znajomości mojéj. Zdaje mi się, żeby to nie źle było wracać do Walencyi. Nie spieszmy się panie, odpowiedział sekretarz, wiész lepiéj jak ja, że na dworze cierpliwość wygrywa. Nie przestawaj pokazywać się monarsze; nasuwając mu się raz wraz przed oczy, zmusisz go do baczniejszego przypatrzenia się i do przypomnienia sobie rysów ajenta u pięknéj Cataliny.



Gil Blas duma w turmie nad listem ks. Lerma.

Żeby mi Scypion nie miał nic do wyrzucenia, powtarzałem też same obroty przez trzy tygodnie; wreszcie jednego dnia, król uderzony moim widokiem, kazał mnie wezwać. Wszedłem do jego gabinetu nie bez pewnego pomieszania, że się znajdować będę sam na sam z moim królem. Kto jesteś? rzekł do mnie, rysy twoje nie są mi obce. Gdzież więc widziałem cię? Najjaśniejszy panie, odpowiedziałem drżący, miałem zaszczyt przewodniczyć W. K. M. pewnéj nocy z hrabią Lemos do...., Ah, przypominam sobie, przerwał książę, byłeś sekretarzem księcia Lerma; a jeżeli się nie mylę, zowisz się Santillana. Nie zapomniałem, żeś wtedy służył mi gorliwie i żeś dość źle był wynagrodzony za twoje trudy. Czyś nie siedział w turmie za to zdarzenie? Tak jest miłościwy panie, przesiedziałem sześć miesięcy w wieży Segowijskiéj; lecz W. K. M. łaskawie mnie

wybawiłeś. Tém jeszcze nie wywiązałem się względem Santillany; nie dosyć żem przywrócił mu wolność, trzeba wynagrodzić przykrości, jakie ponosił z mojéj przyczyny.

Kiedy monarcha kończył te wyrazy, hrabia Olivarez wchodził do gabinetu. Polubieńcy cienia się nawet obcego boją; obecność nieznajomego w gabinecie królewskim zdziwiła hrabiego, król zwiększył jeszcze to zadumienie, odzywając się do niego: Hrabio, poruczam ci tego młodego człowieka, zajmij go czém, poruczam ci opiekę nad jego losem. Minister udał, że rozkaz ten przyjmuje z radością, przypatrując się mi od stóp do głowy, wielce ciekawy, cobym był za jeden. Idź mój przyjacielu, dodał król, dając mi znak oddalenia się, hrabia nie omieszka zająć cię korzystnie dla usługi mojéj i twojego interesu.

Wyszedłem natychmiast z gabinetu i udałem się do syna Coscoliny, który pragnąc co prędzéj wiedzieć co król ze mną mówił, w niesłychanéj był niespokojności. Lecz ujrzawszy na mojéj twarzy znaki zadowolenia: jeżeli mogę wierzyć oczom moim, odezwał się, zamiast wracać do Walencyi, zanosi się na to, że zostaniemy przy dworze. To może być odpowiedziałem. Zarazem powtórzyłem mu słowo w słowo krótką rozmowę, którą miałem z królem. Mój drogi panie, zawołał Scypion w zachwyceniu radosném, będzieszże na przyszłość słuchał mojéj rady? Przyznaj sam, że się teraz nie gniéwasz na mnie, iżem cię namówił do podróży do Madrytu. Widzę cię na wysokiém stanowisku, zostaniesz niezawodnie Calderonem hrabiego Olivares. Tego właśnie sobie nie życzę, miejsce to, zewsząd niebezpieczne otaczają przepaści, nie podobna aby mogły we mnie obudzać żądzę. Pragnąłbym jakiego dobrego urzędu, na którymbym nie miał sposobności być niesprawiedliwym, lub haniebnie frymarczyć łaskami księcia. Zważając jak poprzednio używałem względów, muszę się mieć na baczności przed dumą i chciwością. Co tam panie, mówił mój sekretarz, minister wynajdzie ci posadę, któréj będziesz mógł spełniać obowiązki, nie przestając być uczciwym człowiekiem.

Za naleganiem bardziéj Scypiona, aniżeli z własnéj ciekawości, udałem się następnego dnia do hrabiego Olivarez, jeszcze przed świtem, dowiedziawszy się poprzednio, że każdego poranku, zimą czy latem, minister przyjmował przy świécy, tych, którzy pragnęli z nim mówić. Stanąłem skromnie w kącie sali, i z tego punktu uważałem hrabiego gdy się pokazał, ponieważ nie przypatrzyłem mu się w gabinecie królewskim. Ujrzałem człowieka, postawy wyższéj nad mierną, mogącego uchodzić za otyłego w kraju, w którym trudno ujrzyć osobę, którąby nie była chudą. Ramiona miał tak wysokie, żem go poczytał za garbatego, chociaż nim nie był wcale; głowa wielkości niepospolitéj, spadała mu na piersi; włosy miał czarne i gładkie, twarz długą, cerę oliwkowatą, usta wklęsłe, broda śpiczasta i w górę zadarta.

Wszystko to zarazem nie przedstawiało urodziwego pana; lecz żem przypuszczał usposobienie uprzejme dla siebie, patrzyłem nań z pobłażaniem i nawet zdawał mi się dosyć przyjemnym. Prawda, że wszystkich przyjmował z miną uprzejmą i dobrotliwą; chętnie odbiérał prośby sobie przedstawione, a to zastępowało brak urody. Tymczasem gdy z kolei postąpiłem dla oddania mu ukłonu i przypomnienia się, groźno spojrzał na mnie i odwróciwszy się, poszedł do swojego gabinetu, nie rzekłszy do mnie ani słowa. Wtedy zdał mi się ten pan szkaradniejszym niż był w istocie; wyszedłem z sali odurzony tak dzikim przyjęciem, nie wiedząc co o tem myśléć.

Spotkawszy Scypiona, który czekał na mnie przy drzwiach, odezwałem się: A wiész ty, jakiego doznałem przyjęcia? Nie, odpowiedział, ależ to nie trudno odgadnąć; minister stosując się do woli monarchy, zapewne ofiarował panu jaki urząd znakomity. Otóż się właśnie mylisz, rzekłem i zarazem opowiedziałem mu sposób przyjęcia. Słuchał mnie z uwagą i rzekł: Dziwi mnie to. Chyba że hrabia nie poznał pana, albo cię wziął za kogo innego. Radzę panu iść drugi raz; nie wątpię, że cię lepiéj przyjmie. Poszedłem za radą mojego sekretarza; przedstawiłem się powtórnie ministrowi, który jeszcze gorzéj obchodząc się jak piérwszy raz, zmarszczył brwi, a spoglądając na mnie, jak gdyby mu to przykrość czyniło, odwrócił się i poszedł do gabinetu, nic nie mówiąc.

Tknięty do żywego takowém postępowaniem, miałem ochotę wracać do Walencyi; lecz temu opierał się Scypion, nie mogąc się zrzec powziętych nadziei. Nie widziszże wyraźnie, iż hrabia chce mnie usunąć ode dworu? Monarcha objawił mu dobre chęci dla mnie, czyż to nie dosyć, do obudzenia wstrętu w umyśle polubieńca? Ustąpmy moje dziécię, ustąpmy z dobréj woli nieprzyjacielowi tak groźnemu. Panie, odpowiedział z gniewem, ja nie opuściłbym tak łatwo pola hrabiemu Olivarez. Ja nawet żądałbym wyjaśnienia za tak obrażające przyjęcie. Poszedłbym do króla ze skargą na ministra, który tak mało baczy na jego polecenie. Zła rada, mój przyjacielu, gdybym się chwycił postępowania tak nieroztropnego, wkrótce przyszłoby mi go żałować. Nie wiém nawet, czy już nie wisi jakie złe nad moją głową, jeżeli dłużéj tu pozostanę.

Na te słowa mój sekretarz zamyślił się, a zważając że w istocie mamy sprawę z człowiekiem mogącym nas posłać do Segowii, podzielał moją obawę. Już się nie opiérał chęci mojéj opuszczenia Madrytu, zkąd postanowiłem oddalić się, zaraz nazajutrz.

Rozdział III.

Co wstrzymało Gil Blasa od wyjazdu; o przysłudze wyświadczonéj mu przez Józefa Novarro.

Wracając do mojego hotelu, spotkałem Józefa Novarro, kredencerza don Baltazara de Zuniga, mojego dawnego przyjaciela. Wahałem się przez chwilę, czy nie lepiéj będzie udać, że go nie widzę, albo zszedłszy się, czy go przeprosić, żem mu tak źle usłużył. Téj ostatniéj myśli chwyciłem się. Przywitałem Novarrę i z wszelką grzecznością zapytałem się, czyby mnie poznał i czyliby jeszcze tyle był łaskaw rozmawiać z nędznikiem, który niewdzięcznością odpłacił dobrodziejstwo sobie wyświadczone? A więc sam przyznajesz, odpowiedział mi, żeś nie najlepiéj ze mną postąpił? Tak jest, rzekłem, i masz zupełne prawo do najostrzejszych wyrzutów; zasłużyłem na nie, jeżeli tylko nie odpokutowałem już za moją winę przez zgryzotę, któréj późniéj doznałem. Ponieważ żałowałeś już za swoje uchybienie, rzekł Novarro ściskając mnie, i ja już o niém nie powinienem pamiętać. Ja z mojéj strony serdecznie uściskałem go i odtąd wznowiliśmy łączące nas dawniéj uczucia.

Wiedział on o mojém uwięzieniu i rozszarpaniu moich rzeczy, reszty wcale był nieświadomy. Opowiedziałem mu wszystko, aż do rozmowy z królem; nie taiłem złego przyjęcia u ministra i oświadczyłem mój zamiar wracania do mojego ustronia. Boże broń! nie ruszaj się, rzekł mi, ponieważ król oświadczył ci swoję przychylność, to ci zawsze się przyda. Między nami mówiąc, hrabia Olivares jest poniekąd umysłu dziwacznego, jest pan, pełen kaprysów; niekiedy, tak jak i w obecném zdarzeniu, postępowanie jego jest oburzające; on sam tylko zna powody, swoich czynów dziwacznych. Zresztą, jakikolwiek miałby powód złego przyjęcia ciebie, dotrzymuj placu; nie potrafi on przeszkodzić, abyś nie miał korzystać z łaski monarszéj; za tem ci ręczę. Powiém ja kilka wyrazów panu mojemu don Baltazarowi de Zuniga, stryjowi hrabiego Olivarez, który z nim podziela trudy rządów. To rzekłszy, Novarro zapytał się mnie o mieszkanie i potém rozeszliśmy się.

Następnego dnia przyszedł do mnie: panie Santillana masz protektora; mój pan ofiaruje ci swoją porękę; po tem com dobrego powiedział o waszéj wielmożności, przyrzekł mi, iż pomówi z hrabią Olivaresem swoim synowcem; nie wątpię, aby go nie potrafił uprzedzić na twoją korzyść, i mogę ci śmiało powiedzieć, iż cię nie zawiedzie. Przyjaciel mój Novarro nie ustawając w połowie drogi, we dwa dni późniéj przedstawił mnie don Baltazarowi, który z uprzejmością oświadczył: panie Santillana, twój przyjaciel Józef z taką o tobie mówił mi pochwałą, iż mnie skłonił do zajęcia się twoją sprawą. Skłoniłem się nisko panu de Zuniga mówiąc, że całe życie moję zachowam w sercu wdzięczność dla Józefa Novarro, że mi wyjednał opiekę ministra, którego bardzo sprawiedliwie zowią *po-*

chodnią rady. Don Baltazar po tak pochlebnéj odpowiedzi, klepiąc mnie po ramieniu, odezwał się: Jutro zaraz możesz wrócić do hrabiego Olivares, będziesz z niego więcéj zadowolony.

Pojawiłem się więc po raz trzeci u piérwszego ministra, który dostrzegłszy mnie w tłumie, wejrzał na mnie z uśmiechem, z którego dobrą powziąłem wróżbę. Przedziwnie idzie, pomyśliłem sobie, stryj nauczył rozumu synowca. Oczekiwałem więc na przyjęcie uprzejme i nadzieja moja spełniła się. Hrabia ukończywszy posłuchanie wezwał mnie do swojego gabinetu, gdzie rzekł mi w tonie poufałym: przyjacielu Santillano, daruj mi, że dla własnéj rozrywki nabawiłem cię niespokojności; chciałem cię pomieszać dla doświadczenia twojéj roztropności, i dla przekonania się, jak sobie postąpisz w napadzie złego humoru. Pewny jestem, iż sobie wystawiłeś, żeś mi się nie podobał, lecz przeciwnie, przyznam ci się, iż twoja osoba miłe na mnie zrobiła wrażenie. Tak jest, Santillano, podobasz mi się, gdyby nawet król, pan mój, nie rozkazał mi mieć staranie o twoim losie, jabym to był zrobił z własnego popędu. Prócz tego don Baltazar de Zuniga mój stryj, któremu niczego odmówić nie mogę, prosił mnie, abym cię uważał za człowieka, który go wielce obchodzi; więcéj téż nie potrzeba, abym cię przyjął do siebie.

Ten wstęp tak silne na mnie zrobił wrażenie, iż prawie od zmysłów odszedłem. Padłem do nóg ministra, który kazawszy mi powstać, w te odezwał się słowa: Przyjdź tu dziś po południu i pytaj się o mojego intendenta; on ci opowie rozkazy jakie odbierze. Po czém jego wysokość wyszedł na mszę, któréj zwykle co dzień słuchał po skończoném przyjęciu; a następnie udawał się na ranne posłuchanie do króla.

Rozdział IV.

Gil Blas zyskuje przywiązanie hrabiego Olivarez.

Nie omieszkałem udać się po południu do piérwszego ministra, zapytałem się o intendenta, który się zwał don Raimond Caporis. Zaledwie wymieniłem mu moje nazwisko, gdy powitawszy mnie z oznakami poważania, panie, rzekł, proszę cię pójdź za mną: zaprowadzę cię do pokoju przeznaczonego ci w tym hotelu. To rzekłszy, powiódł mnie małemi wschodami do szeregu sześciu pokojów stanowiących drugie piętro pomieszkania, dość skromnie umeblowanych. Oto jest, mówił, pomieszkanie, które pan przeznacza jego wysokość, będziesz tu miał stół o sześciu nakryciach jego kosztem: służący hrabiego i powóz będą na rozkazy pańskie. Nie koniec na tém, piérwszy minister, pan mój rozkazał mi stanowczo, abym téż same dla pana zachował względy, jak gdybyś należał do rodziny Guzman.

Co to wszystko ma znaczyć? pomyśliłem sobie. Jak tu uważać te wszystkie honory? Nie ukryważ się w tém jaki żart przypadkiem, czy piérwszy minister w tak zaszczytném obejściu się ze mną, nie szuka swojéj zabawki? To mi się zdaje najpodobniejsze do prawdy, boć w gruncie rzeczy nie wypada, aby piérwszy minister hiszpański tak postępował ze mną. Kiedy w takiéj niepewności wahałem się między bojaźnią i nadzieją, nadszedł paź wzywający mnie do ministra. Pobiegłem czém prędzéj i zastałem go samego w gabinecie. Jakże Santillano, odezwał się do mnie, kontent jesteś z mieszkania, i z rozkazów jakie dałem don Raimondowi? Łaska Waszéj Wysokości, odpowiedziałem, jest nadto wielka, dla tego drżąc przyjmuję wszystko. A to dla czego? mówił mi, możnaż za nadto zaszczycać człowieka, którego mi sam król polecił, z rozkazem abym miał o nim staranie? Nie, bez wątpienia, jest to proste spełnienie obowiązku. Niech cię więc nie dziwi to, co robię dla ciebie, świetny los nie może cię ominąć, jeżeli będziesz do mnie tak przywiązany, jak byłeś do księcia Lerma.

Ale otóż co do tego pana, mówił daléj minister, powiadają żeś był z nim poufale. Ciekawy jestem jakim sposobem poznaliście się; i jakie obowiązki poruczył ci ówczasowy minister. Nie ukrywaj nic przedemną, żądam od ciebie zupełnéj otwartości. Przypomniałem sobie wtedy kłopot, jaki miałem z księciem Lerma w podobném że zdarzeniu i jak się wywikłałem: ten sam sposób i teraz mi się szczęśliwie udał, to jest, złagodziłem miejsca zbyt twarde, lekko przesunąłem się w okolicznościach nie zbyt dla mnie chlubnych. Oszczędzałem także księcia Lerma, chociaż mniejsza nieco względność, więcéjby przyjemności sprawiła mojemu słuchaczowi. Roderigowi Calderone w niczém nie przepuściłem. Wymieniłem wszystkie szczegóły handlu komanderyami, beneficiami i gubernatorstwami, o których tylko kiedy posłyszałem.

Co mi powiadasz o Calderonie, przerwał mi minister, zgadza się zupełnie z podaniami, które przeciw niemu odebrałem, a które ważniejsze jeszcze punkta oskarżenia zawierają. Wkrótce wytoczą mu proces, a skoro życzysz sobie jego zguby, spodziéwam się, że będziesz zaspokojony. Nie pragnę jego śmierci, chociaż gdyby to od niego zależało, jabym ją zapewne znalazł w turmie segowskiéj, w któréj z jego łaski dość długo jęczałem. Jak to, zagadnął mnie hrabia, to don Rodrigue był przyczyną twojego uwięzienia? tego nie wiedziałem. Don Baltazar, któremu Novarro opowiedział twoją historyę, mówił mi, że nieboszczyk król kazał cię uwięzić za to, żeś w nocy przewodniczył księciu Hiszpanii do miejsca podejrzanego, więcéj nic nie wiém i nie pojmuję, jakąby rolę Calderone grał w téj sztuce. Rolę kochanka, który się mści za odebraną obelgę, odpowiedziałem. Zaraz wyłuszczyłem mu całe zdarzenie, które mu się zdało tak zabawne, że mimo całą powagę nie mógł się wstrzymać od śmiéchu. Catalina raz wnuczka, drugi raz siostrzenica bawiła go niesłychanie, równie jak udział księcia Lerma w téj sprawce.

Po skończeniu mojego opowiadania hrabia kazał mi odejść, oświadczając, iż jutro wskaże mi moje zatrudnienie. Pobiegłem natychmiast do pałacu Zuniga, dla złożenia dzięków don Baltazarowi za jego wstawienie się, i dla zawiadomienia Józefa o rozmowie jaką miałem z piérwszym ministrem, tudzież o jego dobrém ku mnie usposobieniu.

Rozdział V.

O tajemnéj rozmowie z Novarrą i piérwszém zatrudnieniu Gil Blasa.

Zoczywszy Józefa oświadczyłem mu, iż wiele mam z nim do mówienia. Zaprowadził mnie w miejsce ustronne, gdzie wypowiedziawszy mu wszystko, zapytałem się coby o tém myślił. Zdaje mi się, rzekł, że jesteś na drodze wielkiego szczęścia. Wszystko ci się uśmiecha: podobałeś się piérwszemu ministrowi; a co także nie jest rzeczą błahą, ja ci mogę wyświadczyć tęż samą przysługę, jaką mój stryj Melchior de la Ronda oddał ci, gdyś wszedł do obowiązków arcybiskupa Granady. Oszczędził ci trudu badania usposobień prałata i jego znakomitszych oficyalistów, objawiając ci ich rozmaite charaktery; idąc jego torem, chcę ci przedstawić wyobrażenie hrabiego, hrabinéj jego małżonki, i dony Maryi hrabianki jego córki jedynéj.

Zacznijmy od ministra: umysł jego żywy, przenikający i zdolny do powzięcia wielkich zamiarów. Uważa się za człowieka powszechnego, ponieważ ma wiadomości ulotne ze wszystkich umiejętności: zdaje mu się, iż może stanowczo wyrokować o wszystkiém. Wyobraża sobie, że jest głębokim prawoznawcą, wielkim wodzem, i najprzebieglejszym politykiem. W skutek tego jest tak uparty w swojém zdaniu, iż zawsze za niém idzie, bez względu na mniemanie innych, a to jedynie z obawy, by się niezdawało, że ustępuje piérwszeństwa światłu innych. Między nami mówiąc, ta wada może dziwne wywołać następstwa, od których Bóg niech broni Hiszpanią. Dodajmy do tego, że w radzie jaśnieje wymową naturalną i pisałby równie dobrze, jak mówi, gdyby dla nadania większéj godności swojemu stylowi, nie silił się na wyrażenia ciemne i wyszukane. Osobliwsze są jego myśli: zdaje mi się zaś, żem już powiedział, iż jest kapryśny i dziwak. Taki jest obraz usposobienia jego umysłu, wspomnijmy teraz o sercu: jest szlachetny i przyjacielski. Mówią, że mściwy, a któryż Hiszpan nie jest takim? Co większa, oskarżają go o niewdzięczność, że skazał na wygnanie księcia Uzedo i brata Ludwika Aliaga, którym jak mówią, wiele zawdzięcza; ależ i to mu przebaczyć należy: żądza zostania piérwszym ministrem uwalnia od wszelkiéj wdzięczności.

Dona Agnes de Zuniga e Velasco, hrabina Olivarez, mówił daléj Józef, jedyną ma tylko wadę, o ile wiém, że na wagę złota sprzedaje łaski, które wyjednać może. Co się tyczy dony Maryi de Guzman, która dziś bezzaprzeczenia jest najpiérwszą partyą w całéj Hiszpanii, jestto osoba najpiękniéj ukształcona, bożyszcze swojego ojca. Stosuj się więc do tego, zabiegaj o względy tych dwóch pań, i staraj się pokazywać więcéj jeszcze poświęconym hrabiemu Olivarez, niż byłeś księciu Lerma przed wędrówką do Segovii: tym sposobem wyjdziesz na człowieka obsypanego zaszczytami i bogactwy.

Jeszcze ci radzę, dodał mi, odwiedzać kiedy, niekiedy, don Baltazara mojego pana; chociaż go już nie potrzebujesz do dźwigania się coraz wyżéj, zawsze jednak miéj go w odwodzie. Jesteś dobrze u niego położony, utrzymuj jego szacunek i przyjaźń; przy zdarzonéj sposobności może ci być użyteczny. Ponieważ stryj i jego synowiec, zapytałem się Novarry, razem rządzą krajem, nie wciskasz się trafem zawiść między takich dwóch kollegów? Nie, odpowiedział mi, owszem największa między nimi zgoda. Bez don Baltazara hrabia Olivarez możeby nie był piérwszym ministrem; bo po śmierci Filipa III. wszyscy przyjaciele i stronnicy domu Sandoval na wszystkie strony zabiegali, jedni na korzyść kardynała, drudzy zaś za synem jego; ale mój pan najsubtelniejszy z dworaków i hrabia nie mniéj od niego przebiegły, zkrzyżowali ich zamiary i tak trafne przedsięwzięli środki, iż przemogli spółzawodników. Hrabia Olivarez zostawszy piérwszym ministrem, zostawił stryjowi swojemu udział w zarządzie kraju; poruczył mu interesa zagraniczne zatrzymując dla siebie sprawy wewnętrzne: tym sposobem ścieśniając węzły przyjaźni, jaka z natury łączyć powinna osoby jednejże rodziny, dwaj ci panowie niezależni między sobą, żyją w dobrém porozumieniu, które zdaje mi się niepodobne do zerwania.

Taką miałem rozmowę z Józefem, z któréj postanowiłem korzystać; po czém udałem się do pana Zuniga z podziękowaniem za wyświadczoną mi łaskę. Oświadczył mi w nader uprzejmych wyrazach, iż nieomieszka korzystać z każdéj sposobności, w któréj będzie mi mógł zrobić coś przyjemnego, że mu bardzo miło, iż jestem zadowolony z jego synowca, z którym obiecał jeszcze raz pomówić o mnie, ażeby mnie przekonać, że los mój bardzo go obchodzi i że w miejsce jednego, ma dwóch protektorów. Tak więc don Baltazar przez przywiązanie do Józefa Novarro szczérze zajmował się moim losem.

Tegoż wieczora opuściłem mój hotel, przenosząc się do piérwszego ministra, gdzie jadłem wieczerzę ze Scypionem w moich pokojach. Trzeba było wtedy widzieć naszą postawę! Usługiwali nam pańscy służący, którzy wczasie wieczerzy, kiedyśmy udawali powagę nakazującą uszanowanie, śmieli się może w duchu z wymuszonéj uległości, jaką względem nas objawiali. Po ich oddaleniu, sekretarz mój wolny od przymusu; tysiączne prawił mi pustoty, które mu nasuwał humor wesoły i powzięte nadzieje. Ja zaś chociaż rad świetnemu położeniu, w jakiém się ujrzałem, nie czułem jednak najmniejszego usposobienia do zwodniczych marzeń. Dlatego téż udawszy się na spoczynek zasnąłem spokojnie, gdy tymczasem dumą rozkołysany Scypion, przeszło połowę nocy rozmyślał nad zbieraniem pieniędzy, dla wyposażenia swojéj Seraliny.

Nazajutrz rano ledwie co się ubrałem, gdy mnie wezwano do ministra. Natychmiast stanąłem w obec jego wysokości, który tak przemówił do mnie: Nuże Santillana, zobaczymy co umiesz. Powiadałeś mi, że książę Lerma kazał ci układać przedstawienia, ja właśnie mam jedno, które ci przeznaczam na próbę. Powiém ci zaraz przedmiot, słuchaj tylko z uwagą: idzie o układ dzieła, któreby zdolne było zjednać przychylną opinią publiczności dla mojego ministerstwa. Już ja ubocznie rozpuściłem wieści, żem sprawy państwa zastał wielce powikłane; teraz idzie oto, aby w oczach dworu i miasta wystawić stan opłakany w jakim się państwo znajduje. Trzeba w tym względzie skreślić obraz uderzający, tak iżby naród nie żałował mojego poprzednika. Potém rozwodzić się będziesz z pochwałą nad środkami przezemnie przedsięwziętemi, aby panowanie króla uczynić świétném, kraj kwitnącym, a poddanych szczęśliwych.

Tak mówiąc minister, wręczył mi pismo obejmujące słuszne powody zażaleń na poprzednią administracyą, i przypominam sobie, że było dziesięć punktów, z których najmniéj ważny zdolny był przerazić każdego dobrego Hiszpana. Następnie wpuściwszy mnie do przyległego gabinetu, zostawił mi wszelką swobodę do pracy. Zacząłem więc układać moje przedstawienie, jak tylko mogłem najlepiéj: okazałem naprzód smutny stan, w jakim się kraj znajdował: skarb roztrwoniony; dochody zastawione dzierżawcom; marynarka zniszczona. Wyłuszczyłem następnie błędy tych, którzy krajem władali za rządu przeszłego i zgubne skutki, jakie ztąd wyniknąć mogły. Wreszcie wystawiłem monarchią w niebezpieczeństwie i nicowałem tak ostro poprzednie ministerstwo, iż wedle mojego przedstawienia, upadek księcia Lerma był istotném szczęściem dla Hiszpanii. Prawdę mówiąc, choć żadnéj nie miałem urazy do księcia, nie wahałem się atoli wyświadczyć mu téj przysługi. Otóż to jest człowiek!

Skreśliwszy tak przerażający obraz nieszczęść grożących Hiszpanii, uspokajałem umysły zręcznie, natrącając o świetnych nadziejach na przyszłość. W tym celu mówiłem o hrabi Olivarez, jak o posłańcu niebios dla zbawienia kraju; obiecywałem dziwy i złote góry. Słowem, tak dobrze trafiłem w myśl piérwszego ministra, że przeczytawszy całe dzieło, zdał się być mocno zdziwiony. Santillano, rzekł do mnie, nie spodziéwałem się, abyś był zdolny ułożyć podobne przedstawienie. Wiész ty, żes napisał rzecz godną sekretarza stanu! Teraz się nie dziwię, że książę Lerma używał twojego pióra. Twój styl jest zwięzły, a nawet wykwintny; ale mi się zdaje zbyt naturalny. Pokazując mi zarazem miejsca nie w jego guście, zmienił je; a z jego poprawek poznałem, że jak Novarro powiadał, lubił wyrażenia ciemne i wyszukane. Jednakże choć żądał szlachetności, czyli raczéj wymuszenia stylu, przecież zostawił dwie trzecie mojego dzieła wcale nietknięte; a chcąc mi objawić jak dalece był zadowolony, przysłał mi przez don Raimonda trzysta luidorów przy końcu mojego obiadu.

Rozdział VI.

O użyciu tych pieniędzy przez Gil Blasa. Skutek przedstawienia o którém wzmiankowano.

Ten dar ministra nastręczył Scypionowi nowy powód winszowania mi, żem przybył do dworu. Widzisz, że fortuna ma jakieś wielkie zamiary względem waszéj wielmożności, mówił mi, czy teraz żałujesz swojéj samotności? Niech żyje hrabia Olivarez! wcale to inny pan, nie taki jak jego poprzednik. Książę Lerma, choć pan byłeś do niego bardzo przywiązany, zostawił cię jednak w biedzie przez kilka miesięcy, nie dawszy ani jednego luidora; a hrabia udzielił ci już wynagrodzenie, którego nie mogłeś spodziéwać się, chyba po długiéj służbie.

Radbym teraz, mówił daléj, żeby panowie de Leyva byli świadkami szczęścia, którego używasz, a przynajmniéj aby o niém wiedzieli. Czas jest zawiadomić ich o tém, odpowiedziałem, i o tém właśnie chciałem mówić z tobą. Nie wątpię, że tęsknie wyglądają wiadomości odemnie; ale wstrzymywałem się z doniesieniem im, póki się nie ujrzę w stanie pewnym, i póki nie będę im mógł donieść stanowczo, czy zostanę, lub nie przy dworze. Teraz kiedy już wiém czego się trzymać, możesz jechać do Walencyi, kiedy ci się podoba, by donieść tym panom o moim teraźniejszym stanie, który za dzieło ich uważam, bo to niezawodna, że gdyby nie oni, nigdybym się nie skłonił do odwiedzenia Madrytu. Kiedy tak, rzekł Scypion, don Cezar i don Alphons wkrótce wiedzieć będą o stanie spraw twoich. Jakąż im sprawię rozkosz opowiadając im twoje zdarzenia! O czemuż już nie jestem u bram Walencyi! ale wnet będę przy nich. Dwa konie Alphonsa są gotowe. Puszczę się w drogę z lokajem jego wysokości. Bo naprzód będę miał towarzysza w podróży, a powtóre wiadomo panu, że liberya piérwszego ministra ćmi oczy ludu.

Nie mogłem się wstrzymać od śmiéchu, z głupiéj próżności mojego sekretarza; tymczasem, może próżniejszy od niego, pozwoliłem mu robić jak chciał. Jedź, rzekłem, a wracaj czémprędzéj, bo jeszcze mam drugie dla ciebie polecenie. Chcę cię posłać do Asturyi z pieniędzmi dla mojéj matki. Przez niedbalstwo uchybiłem terminu, w którym przyrzekłem jéj posyłać po sto luidorów, któreś ty się zobowiązał sam doręczać jéj. Ten rodzaj przyrzeczeń, powinien być tak święty dla syna, że mnie mocno trapi moje uchybienie. Prawda panie, odpowiedział Scypion i ja sam się gniéwam na siebie, żem ci nie przypomniał, ale trochę cierpliwości; za sześć tygodni najdaléj, zdam ci sprawę z obudwóch poleceń; rozmówię się z panami de Leyva, wstąpię do twojego zamku i odwiedzę Oviedo, o którém nie mogę pomyśléć bez klątwy na jego mieszkańców. Wyliczyłem więc synowi Coscoliny sto luidorów dla mojéj matki, drugie sto dla niego, by tém przyjemniéj odbył tak długą podróż.

W kilka dni po jego odjeździe, hrabia minister kazał wydrukować nasze przedstawienie, które zaledwie się pojawiło, a jużci stało się przedmiotem rozmów w całym Madrycie. Lud, zwolennik nowości, unosił się nad tém pismem; wycieńczenie skarbu odmalowane w najżywszych kolorach, oburzało wszystkich przeciw księciu Lerma, a lubo nie wszyscy pochwalali ostre szarpanie przeszłego ministra, nie zbywało jednak na przyznawających nam słuszność. Co się tyczy świetnych obietnic, jakie robił hrabia Olivarez, a między innemi, że przez rozsądną oszczędność wystarczy na potrzeby kraju, bez ucisku poddanych, to olśniło wszystkich bez wyjątku i utwierdziło wielkie mniemanie, jakie powzięto o jego rozumie; słowem, uwielbienia piérwszego ministra rozlegały się po całém mieście.

Minister uradowany z osiągniętego celu, którym była chęć zjednania sobie przychylności narodu, chciał na nią istotnie zasłużyć przez czyny chwalebne i monarsze pożyteczne. W tym duchu działając, chwycił się wynalazku cesarza Galby, to jest wycisnął wszystko z tych, co się zbogacili, Bóg wié, jakim sposobem, przy zawiadowaniu dochodami królewskiemi. Wyciągnąwszy zaś z tych pijawek całą krew, którą one wyssały, napełnił skrzynie królewskie i postanowił je utrzymać w tym stanie, znosząc wszystkie pensye, bez wyjątku nawet swojéj; wszystkie gratyfikacye, wypłacane z dochodów królewskich. Żeby zaś zapewnić sobie pomyślny skutek takowego przedsięwzięcia, zmieniającego postać rządu, polecił mi ułożenie nowego przedstawienia, do którego podał mi treść i wskazał formę. Następnie kazał mi się starać ile możności o wzniosłość, o unikanie zwyczajnéj mojéj prostoty stylu, o nadanie większéj szlachetności moim wyrażeniom. To dosyć dla mnie, rzekłem, Wasza Wysokość pragnie szczytności i blasku, znajdziesz je w mojém dziele. Zamknąłem się w tymże gabinecie, w którym już pracowałem, i tam wziąłem się do rzeczy, wezwawszy natchnienia geniuszu prałata Granady.

Rozpocząłem od przedstawienia potrzeby strzeżenia summ złożonych w skarbcu królewskim, że te jedynie na użytek kraju obracane być winny, jako fundusz święty, który ochraniać należy, by wrogów Hiszpanii trzymać na wodzy; w dalszym ciągu przedstawiałem królowi, bo całe pismo do niego zwrócone było, że usuwając pensye i wynagrodzenia pobiérane z jego zwyczajnych dochodów, nie pozbawi się wcale rozkoszy wynagradzania tych poddanych, których godnymi swojéj łaski uzna; nie tykając wcale skarbu, będzie mógł im wyznaczać wielkie nagrody; dla jednych ma wice-królestwa, gubernatorstwa, ordery zakonów, urzędy wojskowe; dla innych komandorye, albo pensye z nich, tytuły z urzędami, wreszcie wszelkie rodzaje beneficyów dla osób duchownych.

To przedstawienie daleko rozciągleljsze od poprzedzającego, zajęło mi trzy dni czasu; ale szczęściem, trafiłem do gustu ministrowi, widząc je ułożone z nadętością, nadziane przenośniami, nie szczędził mi pochwał. Otóż z tego bardzo jestem zadowolony, wskazując najszumniejsze ustępy, otóż to wyrażenia trafne. Śmiało mój przyjacielu, przekonywam się, że mi będziesz bardzo użyteczny. Jednakże mimo pochwał, jakiemi mnie hojnie obsypywał, nie mógł się wstrzymać od poprawek. Wtrącił wiele swojego i zrobił z tego rzecz wymowną, która zachwycała króla i cały dwór. Miasto podzielało ogólne zdanie dworu; wszyscy najlepiéj o przyszłości wróżyli, każdy sobie pochlebiał, że pod rządem tak wielkiego ministra, monarchia odzyska dawną swoją świetność. Jego Wysokość zważając, że to pismo tyle mu jednało zaszczytu, chciał, abym téż i ja odniósł jakąś korzyść, za moją w niém cząstkę; wyznaczył mi pensyą pięćset talarów, na komanderyą Kastylską przekazaną; co mi się zdało uczciwém wynagrodzeniem za moją pracę, a było mi tém milsze, żem nie mógł tego uważać za dobro źle nabyte, chociaż łatwo je zyskałem.

Rozdział VII.

Jakim trafem i w jakiém miejscu, Gil Blas znalazł swojego przyjaciela Fabrycego.

Nic większéj ministrowi nie sprawiało przyjemności, jak doniesienia, co téż sądzono w Madrycie o jego postępowaniu w zarządzie państwa. Codzień pytał się mnie co téż mówią o nim. Miał nawet szpiegów, którzy za jego pieniądze, zdawali mu sprawę jak najrzetelniéj o wszystkiém, co działo się w mieście. Donosili mu najdrobniejsze gawędki, jakich podsłuchali; a że im szczérość nakazał, niekiedy więc miłość jego własna cierpiała, bo lud ma jakąś niepowściągliwość języka, która na nic nie zważa.

Spostrzegłszy że minister lubi takowego rodzaju nowiny, postanowiłem po południu uczęszczać w miejsca publiczne, mieszać się do rozmowy ludzi godnych, jeżeli ich tam znalazłem. Jeżeli wszczęła się rozmowa o rządzie, słuchałem jéj bacznie; a gdy się znalazło coś godnego powtórzenia jego wysokości, nieomieszkałem mu tego donieść. Muszę atoli dodać, żem mu tylko to donosił, co na jego korzyść mówiono. Zdawało mi się, żem tak winien był postępować z ministrem takiego charakteru.

Pewnego dnia wracając z takowego miejsca, przechodziłem koło bramy szpitala. Wzięła mnie chętka wstąpić do niego. Przeszedłem dwie czy trzy sale pełne chorych obłożnych; rzucałem okiem po wszystkich stronach. Pomiędzy temi nieszczęśliwemi, którzy litość wzbudzali, spostrzegłem jednego, który mnie szczególniéj uderzył. Zdało mi się, żem w jego osobie, poznał Fabrycego, dawnego towarzysza i ziomka. Żeby mu się lepiej przypatrzyć, zbliżyłem się do jego łóżka, a nie wątpiąc już wcale, stałem z wlepionemi weń oczyma, nic nie mówiąc. On poznał mnie także i w ten sam sposób przyglądał mi się. Wreszcie przerywając milczenie: Czy oczy moje, rzekłem, nie zwodzą mnie, czy w istocie widzę tu Fabrycego? Tego samego, odpowiedział ozięble, i nie dziw się temu. Odkąd cię opuściłem, trudniłem się wciąż rzemiosłem poety; pisałem romanse, komedye i wszelkiego rodzaju dzieła dowcipu; postępowałem wciąż raz obraną drogą i stanąłem w szpitalu.

Nie mogłem się wstrzymać od śmiéchu z téj mowy, a więcéj jeszcze z tonu poważnego, jakim się wyrażał. Jak to! zawołałem, toż Muza cię w to miejsce wprowadziła? to ci brzydką psotę wypłatała. Otóż widzisz, odpowiedział, ten dom bardzo często służy za przytułek wielkim dowcipom. Tyś mój kochany przedziwnie zrobił, inną puszczając się drogą. Ale i ty podobno już nie jesteś przy dworze, jak mi się zdaje, i twoje interesa się zmieniły; przypominam sobie nawet, żeś był uwięziony z rozkazu króla. Wszystko to prawda, rzekłem; cudny stan mój, w jakim mnie widziałeś, przy rozstaniu się naszém, wkrótce uległ strasznéj zmianie, straciłem mienie i wolność. Ależ mój przyjacielu *post nubila Phoebus*, teraz widzisz mnie w daleko świetniejszym stanie, niż byłem podówczas. To niepodobna, rzekł Nunez, twoja postawa jest skromna i rozważna, nie masz miny próżnéj i zuchwałéj, jaką pospolicie nadaje dobre mienie. Nieszczęścia oczyściły moją cnotę, w szkole przeciwności nauczyłem się używać dostatków, nie będąc ich poddanym.

Powiédźże mi, przerwał Fabrycy usiadłszy na swojém łożu, jakie może być twoje zatrudnienie? Co teraz robisz? Miałżebyś być zawiadowcą jakiego pana zadłużonego, lub bogatéj wdo-

wy? Lepszą daleko mam posadę, odpowiedziałem; ale teraz proszę cię, uwolnij mnie od obszerniejszego wyjaśnienia, późniéj zaspokoję twoją ciekawość. W téj chwili poprzestanę na oświadczeniu, że mogę ci zrobić przyjemność, albo raczéj zapewnić ci przyzwoite utrzymanie na resztę dni twoich, bylebyś mi przyrzekł, że już nie będziesz się wdawał w pisanie dzieł: bądź wierszem, bądź prozą. Czujeszże się zdolnym ponieść tę ofiarę? Jużem ją złożył Bogu, rzekł, w chorobie śmiertelnéj, z któréj się wydobyłem. Ojciec z zakonu świętego Dominika, doprowadził mnie do tego, żem się wyprzysiągł poezyi, jako zabawki, która acz nie jest występną, oddala wszakże od celu mądrości.

Winszuję ci mój kochany Nunez, przedziwnie zrobiłeś, mój przyjacielu, lecz strzeż się powrotu! Oh, odpowiedział z miną stanowczą, tego ja się wcale nie lękam. Silne powziąłem postanowienie, porzucić muzy na zawsze; kiedyś wchodził na tę salę, właśnie układałem wiersze, na ich wieczyste pożegnanie. Panie Fabrycy, odezwałem się, kiwając głową, nie wiém czy ojciec zakonu św. Dominika i ja, możemy ufać twojemu zaparciu się; zdajesz mi się być szalenie rozmiłowanym w tych uczonych dziewicach. Nie, nie, odpowiedział, zerwałem wszystkie węzły, które mnie z nimi łączyły. Więcéj jeszcze zrobiłem, znienawidziłem całą publiczność, a moja nienawiść jest sprawiedliwą. Nie warta jest autorów, poświęcających jéj prace swoje; gniewałoby mnie, gdybym napisał coś według jéj upodobania. Nie sądź, mówił daléj, aby zgryzota poddawała mi te wyrazy, mówię ci z zimną krwią. Gardzę zarówno oklaskami publiczności, jak jéj gwizdaniem. Trudno wiedzieć, kto z nią zyskuje, lub traci; jest to kapryśnica, dziś tak myśląca, jutro inaczéj. Jakież to obłąkanie poetów dramatycznych, chełpić się ze sztuk, co się powiodą! Niech wzbudzają jaką chcą wrzawę swoją nowością na scenie, rzadko się utrzymują po wydrukowaniu, a jeżeli je wrócą na teatr po dwudziestu latach, po większéj części złego doznają przyjęcia. Pokolenie żyjące dziś, zarzuca zły gust temu, które je poprzedziło, a wyrok jego okaże się sprzecznym ze zdaniem następnych. To ja zawsze uważałem, a ztąd wnoszę, że autorowie dziś okrzyczani, spodziewać się powinni wyszydzenia w przyszłości. Toż samo dzieje się z romansami i innemi dziełami rozrywki, które na świat wychodzą, chociaż zrazu powszechną zyskują pochwałę, z czasem pogarda stanie się ich udziałem. Sława zatém z powodzenia dzieła, jest czystém urojeniem, ułudą umysłową, płomieniem słomy, po którym dym szybko ulata.

Lubo poznałem wyraźnie, że poeta asturyjski rozprawiał w ten sposób w przystępie złego humoru, nie pokazałem wszakże tego. Cieszy mnie mocno, rzekłem, że ci obmierzła piękna literatura, żeś się z gruntu wyleczył z manii pisania. Możesz się spuścić na to, że ci wkrótce wyjednam urząd, na którym będziesz się mógł zbogacić bez wielkiego nakładu geniuszu. Tém lepiéj, odezwał się, talent pisarski już mi cuchnie i w téj chwili uważam go za dar najzgubniejszy, jaki tylko niebo człowiekowi udzielić mogło. Życzę ci, rzekłem, mój kochany Fabrycy, abyś tylko wytrwał w teraźniejszych twoich uczuciach. Jeżeli stale trzymać się będziesz postanowienia zaniechania poezyi, powtarzam ci, że wnet uzyskasz posadę zaszczytną i zyskowną. Nim atoli wyświadczę ci tę przysługę, dodałem, podając mu sakiewkę z sześćdziesięcią luidorami, proszę cię, przyjm ten błahy dowód przyjaźni.

O wspaniałomyślny przyjacielu! zawołał syn balwierza Nuneza, uniesiony radością i wdzięcznością; jakież dzięki Bogu winienem, że cię tu do tego szpitala sprowadził, z którego ja dziś jeszcze przy twojéj pomocy wyjdę; jak téż w istocie kazał się przenieść do pokoju umeblowanego. Przy pożegnaniu, wskazałem mu moje mieszkanie, zapraszając, aby mnie odwiedził, skoro mu tylko zdrowie pozwoli. Zdumiał się nadzwyczaj, usłyszawszy, że mieszkam u hrabiego Olivarez. O stokroć szczęśliwy Gil Blasie, odezwał się do mnie, przeznaczenie twoje, podobać się ministrom; cieszę się z twojego szczęścia, kiedy go tak pięknie używasz.

Rozdział VIII.

Gil Blas coraz większe zyskuje względy ministra. Powrót Scypiona do Madrytu.

Hrabia Olivarez, którego odtąd zwać będę *hrabia-książę*, ponieważ w tym czasie podobało się królowi, zaszczycić go tym tytułem, miał słabość, którą nie bez korzyści dla siebie wykryłem, a tą słabością była żądza, być kochanym. Skoro spostrzegł, iż ktoś przywiązywał się do niego przez skłonność serca, zaraz go przypuszczał do swojéj przyjaźni. Nie puściłem mimo, tego spostrzeżenia. Nie poprzestałem na tém, żeby dobrze spełnić jego rozkazy; wykonywałem je z objawami gorliwości, która go zachwycała. We wszystkiém badałem gust jego, aby się doń zastosować, uprzedzałem nawet, ile możności, jego życzenia.

Przez takowe postępowanie, które prawie zawsze prowadzi do celu, zostałem niezmacznie ulubieńcem mojego pana, który ze swojéj strony pozyskał moje serce przez okazywaną mi życzliwość, bo i ja takiejże uległem słabości. Tak wreszcie wścisnąłem się do jego łaski, że podzielałem jego zaufanie z panem Carnero, piérwszym sekretarzem.

Carnero dla przypodobania się panu, tegoż co ja używał sposobu; i tak mu się powiodło, że minister zwierzał mu się z tajemnicami gabinetowemi. Obadwa więc byliśmy poufnemi hrabi księcia i powiernikami jego sekretów; z tą różnicą, iż z panem Carnero rozmawiał tylko o sprawach stanu, ze mną zaś o interessach własnych, co stanowiło, że tak rzekę, dwa wydziały odosobnione, z których byliśmy bardzo zadowoleni. Żyliśmy z sobą bez zawiści i bez przyjaźni. Byłem kontent z mojego miejsca, bo mi ono nastręczało sposobność być ciągle z hrabią-księciem, wejrzenia aż do głębi serca jego, którego nie zamykał przedemną, choć z natury skryty, gdy przekonał się o szczerości mojego przywiązania.

Santillano, mówił raz do mnie, widziałeś księcia Lerma używającego władzy nie jako minister poufny, ale jako pan samowładny; jednakże ja jestem szczęśliwszym od niego, nawet w chwili, gdy był na najwyższym punkcie szczęścia. Miał dwóch strasznych wrogów w osobie księcia Uzedo swojego syna i w osobie spowiednika Filipa III. ja tym czasem nie widzę nikogo przy boku króla, coby mi mógł szkodzić, ani nawet takiego, któregobym mógł posądzać o złe chęci ku mnie.

Prawda, mówił daléj, że na samym wstępie mojego ministerstwa starałem się najusilniéj, takie tylko przy królu umieścić osoby, z któremi mnie węzły przyjaźni, lub pokrewieństwa łączyły. Pozbyłem się za pomocą wice-królestw, albo ambassad, wszystkich wielkich panów, których osobista zasługa mogłaby mnie pozbawić cząstki względów królewskich, które pragnę posiadać bez podziału; tym sposobem w téj chwili mogę śmiało powiedzieć, iż nikt mi nie zawadza. Widzisz Gil Blasie, dodał, że ci otwieram moje serce. Ponieważ mam powody wnosić, że mi jesteś całkiem poświęcony, wybrałem cię przeto na powiernika. Masz rozum, uważam cię za spokojnego, roztropnego i milczącego; słowem, zdajesz mi się być zdolnym do spełnienia rozmaitych zleceń wymagających człowieka przezornego.

Nie wytrzymałem próby pochlebnych obrazów, jakie umysłowi mojemu przedstawiły te wyrazy ministra. Dymek chciwości i dumy uderzył mi do głowy i obudził w duszy mojéj uczucia, które za uśpione poczytywałem. Zaręczałem mojemu panu, że z całéj siły starać się będę godnie odpowiedzieć jego życzeniom, że gotów jestem bez najmniejszego wahania spełnić wszelki rozkaz, jakiby mi wydany został.

Kiedy tak usposobiony byłem do stawienia nowych ołtarzy fortunie, Scypion wrócił z podróży. Nie mam co wiele powiedzieć panu, rzekł mi, ucieszyłem panów de Leyva donosząc im o przyjęciu przez króla, skoro cię poznał, i o sposobie w jakim hrabia Olivarez wychodzi z panem.

Przerwałem Scypionowi, mówiąc: mój przyjacielu, więcéjbyś im jeszcze sprawił przyjemności, gdybyś mógł był im powie-

dzieć na jakiéj teraz jestem stopie u hrabiego księcia. Jestto rzecz zdumiéwająca, jak szybkie robię postępy w sercu jego wysokości. Chwała Bogu, mój kochany panie, odpowiedział mi, przeczuwam, że nas piękne czekają przeznaczenia.

Zmieńmy rozmowę, odezwałem się, pomówmy o Oviedo. Byłeś w Asturyi, w jakimże stanie zostawiłeś matkę moją? Ah, panie, rzekł, przybierając nagle postawę posępną, same smutne ztamtąd przynoszę wiadomości. O Boże! zawołałem, matka moja zapewne umarła. Już sześć miesięcy temu, odpowiedział sekretarz, jak ta pani wypłaciła hołd naturze, tak jak Gil Perez twój wuj.

Śmierć mojéj matki żywym przejęła mnie żalem, chociaż w dzieciństwie nie doznałem od niéj tych pieszczot, których dzieci potrzebują, aby z czasem były wdzięcznemi. Poświęciłem także dobremu kanonikowi łzy, które mu winien byłem za trudy podjęte około mojego wykształcenia. Żałość moja wprawdzie nie była długotrwałą, zamieniła się wkrótce na tkliwe wspomnienia, jakie na zawsze zachowałem dla moich rodziców.

Rozdział IX.

Jakim sposobem i komu hrabia-książę zaślubił jedyną córkę swoją.

Wkrótce po powrocie syna Coscoliny, hrabia-książę przez ośm dni w głębokiém był zadumaniu. Rozumiałem, że nad jakąś wielką sprawą państwa rozmyślał; a tymczasem marzeń tych rodzina jego była przedmiotem. Gil Blas, odezwał się do mnie raz po południu, zapewne dostrzegłeś, że mój umysł był wielce zajęty. Tak jest, moje dziecko, sprawa od któréj spokojność mojego życia zależy, nie małych trosków mnie nabawia. Chcę ci się z nią zwierzyć.

Dona Marya, córka moja, jest na wydaniu, znakomita liczba panów, ubiega się o jéj rękę. Hrabia Niebles starszy syn księcia Medina Sidonia, głowa domu Guzmanów, i don Ludwik de Baro, starszy syn margrabiego de Carpio i mojéj siostry starszéj, są dwaj zalotnicy, którzy zdają się największe mieć prawo do pierwszeństwa przed innemi. Ostatni nadewszystko, tak dalece przeważa nad swoimi spółzawodnikami przez osobiste przymioty, że w całym dworze nikt nie wątpi, iż go wybiorę za zięcia. Jednakże nie rozwodząc się nad powodami, jakie mam do jego wyłączenia, równie jak i hrabiego Niebles, powiém ci, żem zwrócił oczy na don Ramira Nunez de Guzman, margrabiego de Toral, głowę domu Guzmanów d'Abrados. Temu to młodemu panu i dzieciom, jakie mieć będzie z mojéj córki, postanowiłem przekazać cały mój majątek, przyłączyć go do tytułu hrabiego Olivarez, dodawszy do tego tytuł grandy, tym sposobem moje wnuki i ich potomkowie pochodzący z linii Abrados i Olivarez, uchodzić będą za starszą linią Guzmanów.

Jakże więc! Santillana, czyż nie potwierdzisz mojéj myśli? Przebacz mi, miłościwy panie! odpowiedziałem, ten pomysł godny jest geniuszu, który go pojął; lecz niech mi wolno będzie przedstawić jednę rzecz Waszéj Wysokości, względnie do tego rozporządzenia. Obawiam się, aby książę Medina Sidonia, nie szemrał na to. A niech sobie mruczy jak chce, odpowiedział minister, mało mnie to obchodzi. Nie lubię szczepu, który przywłaszczył sobie prawo starszeństwa i tytuły należące do linii Abrados. Mniéj czułym będę na jego utyski, niż na zgryzotę jaka dręczyć będzie margrabinę de Carpio, moją siostrę, skoro ujrzy, że córka moja wymknie się z rąk jéj syna. Lecz koniec końców, ja pragnę własnego zadowolenia i don Ramir weźmie górę nad swoimi spółzawodnikami, to jest moje nieodzowne postanowienie.

Hrabia-książę objawiwszy mi w ten sposób swój zamiar, nie wykonał go bez nowych wybiegów szczególnéj swojéj polityki. Złożył monarsze przedstawienie upraszając, równie jak i królowę, aby sami raczyli wybrać męża jego córce, wykazując im przymioty panów o jéj rękę starających się i spuszczając się zupełnie na ich wybór; mówiąc wszakże o margrabi de Toral, niezaniedbał napomknąć, że on ze wszystkich byłby mu najmilszy. Dla tego też król nieograniczenie łaskawy na ministra, taką mu dał odpowiedź: „Uważam don Ramira de Nunez, za godnego dony Maryi; jednakże zostawiam ci wolność wyboru. Ten, który ci się zda najgodniejszym, będzie mi najmilszym.—Król."

Minister niby z żalem, pokazał tę odpowiedź; a udając, że ją uważa za rozkaz monarchy, śpiesznie zaślubił córkę z margrabią de Toral. To pośpieszne małżeństwo, przebodło do żywego margrabinę de Carpio, równie jak wszystkich Guzmanów, którzy się o jéj rękę ubiegali. Jednakże nie mogąc przeszkodzić temu związkowi, w uroczystym jego obchodzie wszyscy najwyższą objawiali radość: rzekłbyś, że cała rodzina była tém zachwycona. Wkrótce atoli obrażeni pomszczeni zostali w sposób okropny dla hrabiego-księcia. Dona Marya w dziesięć miesięcy później powiła córkę, która zaraz po urodzeniu umarła, a w kilka dni po niéj i matka padła ofiarą macierzyństwa.

Jakaż to strata dla ojca, który nie miał oczu, że tak rzekę, tylko dla swojéj córki, a który przez to samo widział zniweczony swój zamiar odebrania prawa starszeństwa linii Medina Sidonia! Tak mocno został tém dotknięty, iż się zamknął przez kilka dni i nikogo widzieć nie chciał, prócz mnie, który stosując się do jego boleści, objawiałem najwyższe udręczenie. Trzeba wyznać prawdę, iż ta okoliczność stała mi się pobudką do nowych łez nad zgonem mojéj Antonii. Podobieństwo jéj śmierci ze śmiercią margrabiny de Toral rozjątrzyło ranę niezupełnie zagojoną, i przejęło mnie tak silną boleścią, że minister chociaż sam strapiony, zdumiał się przecież nad moim żalem. Gil Blasie, odezwał się raz do mnie, widząc mnie uciśnionego smutkiem, jest to słodka dla mnie pociecha mieć powiernika tak czułego na moje przykrości. Ah, panie, rzekłem, składając na niego cały zaszczyt mojego udręczenia, musiałbym zbyć bardzo niewdzięczny, lub kamiennego serca, gdybym ich nie czuł. Mogęż patrzéć jak opłakujesz stratę córki najpiękniejszych przymiotów, najczulej kochanéj, bez wylewania łez wraz z tobą? Tak jest, panie, zanadto czuję twoją dobroć abym nie miał do zgonu podzielać twojéj radości i twojego smutku.

Rozdział X.

Gil Blas trafem spotyka Nuneza, dowiaduje się o napisanéj przez niego tragedyi. Los téj sztuki.

Minister zaczął się pocieszać, a w skutek tego i ja odzyskiwałem mój humor, kiedy raz wyjechałem sam w powozie dla użycia świeżego powietrza. W drodze spotkałem poetę asturyjskiego, któregom nie widział od czasu, jak opuścił szpital. Zawołałem go, wziąłem z sobą do powozu i pojechalismy na łąki św. Hieronima.

Panie Nunez, mówiłem do niego, szczęście moje, że cię spotykam trafem; bez tego nie miałbym przyjemności.... Bez wyrzutów Santillano, przerwał mi spiesznie, przyznam ci się, iż nie chciałem się widzieć z tobą i zaraz ci powiém przyczynę. Przyrzekłeś mi dobrą posadę, bylebym się wyprzysiągł poezyi: a ja znalazłem bardzo stałą pod warunkiem, że będę robił wiérsze. Przyjąłem tę ostatnią, jako zgodniejszą z moim humorem. Jeden z moich przyjaciół umieścił mnie u don Bertranda Gomez del Ribero podskarbiego galer królewskich. Ten don Bertrand chcąc mieć u siebie na pensyi poetę, uznawszy moje wierszowanie bardzo świetném, wybrał mnie z pośród sześciu autorów, którzy się ubiegali, o urząd sekretarza do szczególnych poruczeń.

Cieszę się mocno, mój kochany Fabrycy; bo ten don Bertrand musi być bardzo bogaty. Ależ jak bogaty! odpowiedział mi, mówią, że on sam nie wié dobrze o swoim majątku. Cóżkolwiekbądź, otóż ci powiém moje obowiązki u niego. Ponieważ się chlubi z zalotów i chce uchodzić za dowcipnego, jest więc w stosunkach literackich z wielą paniami bardzo ukształconemi, ja mu zaś użyczam swojego pióra do bilecików pełnych wdzięków i dowcipu. Do jednéj piszę wierszem, do drugiéj prozą, niekiedy sam odnoszę listy, dla pokazania wszechstronności moich talentów.

Ależ nie powiadasz mi, rzekłem tego, cobym najbardziéj chciał wiedzieć. Dobrzeż ci płaci za twoje listowe epigrammata? Sowicie, odpowiedział. Nie wszyscy bogacze są szlachetni, znam wielu, co są wierutne nikczemniki; lecz don Ber-

trand wychodzi ze mną bardzo wspaniałomyślnie. Prócz dwustu luidorów pensyi stałéj, odbieram od niego kiedy niekiedy małe wynagrodzenia, co mi wystarcza na życie pańskie, na wesołe przepędzenie czasu z autorami, podobnie jak ja nieprzyjaciołmi zgryzoty. Zresztą, zapytałem się, twój podskarbi ma zapewne dosyć gustu, by czuł piękność poezyi, i dostrzegał jéj usterki? Oh! wcale nie, odpowiedział Nunez, chociaż paple w tonie imponującym, znawcą atoli nie jest. Wyrokuje śmiało, zdania swojego tak głośno i tak upornie broni, że po największéj części gdy się wda w dysputę, trzeba mu ustąpić, nie chcąc się narażać na grad wyrażeń niegrzecznych, któremi obsypuje swoich przeciwników.

Możesz być pewnym, mówił daléj, że ja się z nim nigdy nie sprzeczam, choćby do tego dał powód; bo oprócz nie bardzo miłych przydomków, jakiebym ściągnął na siebie, mógłbym jeszcze narazić się na wypędzenie za drzwi. Potwierdzam więc bardzo roztropnie wszystko co chwali, a naturalnie w ten sam sposób ganię to, co jemu się złém wydaje. Przez takową uprzejmość nic mnie nie kosztującą, posiadając sztukę stosowania się do charakterów osób dla mnie użytecznych, zyskałem szacunek i przyjaźń mojego pana. Zobowiązał mnie do napisania tragedyi, któréj mi podał piérwszą myśl. Ułożyłem ją pod jego okiem, a jeżeli się powiedzie, jego dobrym radom winien będę część sławy.

Zapytałem się naszego poetę, o tytuł jego tragedyi. Jest-to, odpowiedział mi, *hrabia Soldagne*. Za trzy dni będzie przedstawiona na teatrze księcia. Życzę, rzekłem mu, aby miała jak najlepsze powodzenie, a dosyć dobrze trzymam o twoim talencie, abym nie miał miéć dobréj otuchy. I ja także spodziéwam się, odpowiedział, lecz nie masz nadziei więcéj zwodniczéj nad tę; tak dalece autorowie dramatyczni są niepewni wypadku dzieł swoich, że co dzień się zawodzą.

W dzień piérwszego przedstawienia nie mogłem być w teatrze, zajęty będąc przez ministra; lecz posłałem Scypiona, aby przynajmniéj tegoż wieczora wiedziéć o losie sztuki, która mnie obchodziła. Z utęsknieniem oczekiwałem jego powrotu, a skorom go ujrzał, już z piérwszego wejrzenia na jego postać złą powziąłem wróżbę. A cóż, zapytałem się, jakże publiczność przyjęła *hrabiego Saldagne*? Po grubiańsku, odpowiedział, żadna może sztuka nie doznała tak szyderczego przyjęcia; wyszedłem oburzony swawolą parteru. A mnie, rzekłem, gniewa szał Nuneza do pisania dzieł dramatycznych. Jakaż to zapamiętałość! przenosi haniebne szyderstwa widzów nad błogi los, który mu chciałem zapewnić! Taka mnie złość brała na poetę asturyjskiego, tak ubolewałem nad nieszczęściem jego sztuki, a on tymczasem cieszył się.

We dwa dni późniéj przyszedł do mnie uradowany. Santillana odezwał się, muszę cię zawiadomić o mojéj radości. Przyjacielu, zrobiłem szczęście, napisawszy złą sztukę. Już wiesz o niegodziwém przyjęciu *hrabiego Saldagne*. Wszyscy widzę na wyścigi sykali na niego; a temu właśnie powszechnemu wyszydzeniu winienem szczęście mojego życia.

Zdumiałem się na tę mowę poety Nuneza. Jakimże tu sposobem, Fabrycy, zapytałem się, upadek twojéj tragedyi, może wytłumaczyć tę twoją radość niepohamowaną? A tak jest niezawodnie, odpowiedział, mówiłem ci już, że don Bertrand wtrącił także swoje do niéj, i dla tego uważał sztukę za arcydzieło. Rozgniewało go zdanie widzów sprzeczne z jego mniemaniem. Dziś rano odezwał się do mnie: Nunezie, *Vietrix causa placuit Diis, sed victa Catoni*. Twoja sztuka nie podobała się publiczności, ale mnie się podobała, i to dosyć dla ciebie. Żeby cię pocieszyć za zły gust teraźniejszego wieku, przeznaczam ci dwa tysiące talarów dochodu rocznego ze wszystkich dóbr moich; pójdźmy zaraz do pisarza aktowego spisać akt stosowny. Byliśmy u niego w téj chwili, podskarbi akt darowizny podpisał i za piérwszy rok wypłacił mi z góry.

Powinszowałem Fabrycemu nieszczęsnego losu *hrabiego Saldagne*, ponieważ na tém skorzystał autor. Masz słuszność, odezwał się Fabrycy, winszując mi w ten sposób; bo w istocie nie mogło mnie większe spotkać szczęście nad niechęć parteru. Jakże to wybornie się stało, że mnie tak hucznie wygwizdano! Gdyby łaskawa publiczność była mnie zaszczyciła oklaskami, i na cóżby mi się to przydało? na nic. Z pracy mojéj byłbym osiągnął zysk bardzo szczupły, gdy tymczasem sykanie, zapewniło mi los wygodny na całe życie.

Rozdział XI.

Santillana zyskuje urząd dla Scypiona.

Sekretarz mój zazdrosném okiem spoglądał na szczęście niespodziane poety Nuneza; ciągle mi o tém gadał przez cały tydzień. Dziwią mnie, odzywał się, wybryki fortuny, która czasami darzy względy swojemi niedołężnych autorów, zostawiając w nędzy najdoskonalszych. I jabym rad był, żeby mnie kiedyś nagle zbogaciła. To może się stać, rzekłem mu, a nawet prędzéj, aniżeli się spodziewasz. Przecież jesteś tu w świątyni fortuny, bo zdaje mi się, że można tak nazwać dom piérwszego ministra, w którym szafują łaski zdolne w jednéj chwili utuczyć człowieka. To prawda mój panie, rzekł, ależ trzeba tego cierpliwie wyczekiwać. Powtarzam ci Scypionie, odpowiedziałem mu, bądź spokojny; może jakie dobre uposażenie już jest dla ciebie gotowe. W istocie w kilka dni zaraz, nastręczyła się sposobność użycia go do służby hrabiego-księcia, a téj nie wypuściłem z rąk.

Pewnego poranku rozmawiałem z don Raimondem Caporis, intendentem piérwszego ministra i w téj pogadance wpadliśmy na artykuł dochodów jego wysokości. Hrabia-książę, mówił intendent, korzysta z dochodów ze wszystkich komanderyj zakonów rycerskich, co uczyni rocznie czterdzieści tysięcy talarów, obowiązany zaś nosić jeden tylko krzyż Alcantara. Nadto trzy urzędy, wielkiego szambelana, wielkiego koniuszego i wielkiego kanclerza Indyj, przynoszą mu dwakroć sto tysięcy talarów; a to wszystko jest niczém w porównaniu z niezliczonemi summami, jakie ściąga z Indyj; a wieszże jakim sposobem? Oto gdy okręty królewskie z Sewilli lub Lizbony odbijają do Ameryki, ładuje na nie wino, oliwę, zboże i inne płody swojego hrabstwa Olivarez; nie opłaca zaś kosztów przewozu. Tym sposobem, towary te sprzedaje w Indyach, cztery razy drożéj niż w Hiszpanii; za te pieniądze każe zakupować bakalie, materyały farbierskie i inne przedmioty, które tam za bezcen nabywają, przedawając w Europie bardzo drogo. Na tém zyskał on już kilka milionów, nie przyniosłszy królowi najmniejszego uszczerbku.

A to cię dziwić nie powinno, mówił daléj intendent, ponieważ i osoby do takowych obrotów użyte, wracają obsypane bogactwy; jego wysokość bowiem pragnie, aby i oni także obok jego interesu i swoim się także trudnili.

Syn Coscoliny słuchając téj rozmowy Raimonda, nie mógł się wstrzymać od przerwania mu mowy: Ah, dalibóg! panie Caporis, zawołał w uniesieniu, jakżebym ja rad być taką osobą; zwłaszcza że oddawna pragnę zwiedzić Mexyk. Możesz zaraz zaspokoić swoję ciekawość, odpowiedział intendent, jeżeli się temu nie sprzeciwi pan de Santillana. Jakkolwiek ostrożny jestem w wyborze ludzi do tego interesu, bo ja ich wybieram, położę cię atoli na liście bez namysłu, jeżeli się to twojemu panu podoba. Zrobisz mi przyjemność, rzekłem don Raimondowi, będę to uważał za dowód przyjaźni. Scypion jest chłopiec, którego kocham, jest bardzo roztropny, sprawi się tak, że nie zasłuży na najmniejszy zarzut. Słowem, ręczę za nim, jak za sobą samym.

Na tém poprzestaję; niech więc natychmiast uda się do Sewilli; okręty najdaléj za miesiąc rozwiną żagle do Indyj. Przy odjeździe dam mu list do pewnego człowieka, który mu wskaże środki zbogacenia się, bez uszczerbku dobra Jego Wysokości, które musi być świętém dla niego.

Scypion uradowany nowém powołaniem, śpieszył się z wyjazdem do Sewilli, odebrawszy odemnie tysiąc talarów, na zakupienie w Andaluzyi wina i oliwy, na handel własny w Indyach. Jednakże choć zaczarowany był podróżą, z któréj sobie takie korzyści obiecywał, przy pożegnaniu wszakże ze mną,

obfite łzy wylewał, a ja także nie mogłem obojętnie patrzyć na jego oddalenie się.

Rozdział XII.

Don Alphons przybywa do Madrytu. Powody tego.

Tylko co Scypion oddalił się, gdy paź ministra przyniósł mi bilecik téj osnowy: „Jeżeli pan Santillana, zechce łaskawie udać się pod wizerunek św. Gabryela, przy ulicy Toledańskiéj, zastanie tam najlepszego swojego przyjaciela."

Ktoby to był tym przyjacielem, który się nie podpisuje? pomyśliłem sobie. Dlaczegoż ukrywa swoje nazwisko? Zapewne chce mi sprawić rozkosz niespodzianki. Wyszedłem natychmiast, udałem się na ulicę Toledańską, a przybywszy na miejsce wskazane, zdziwiłem się nie mało, ujrzawszy don Alphonsa de Leyva. Co ja widzę! zawołałem. Ty tutaj panie! Tak jest, kochany Gil Blasie, odpowiedział, ściskając mnie serdecznie, don Alphonsa widzisz przed sobą. Cóż cię sprowadza do Madrytu? rzekłem mu. Zdziwię cię, odpowiedział i zasmucę, zawiadamiając o przyczynie mojego przybycia. Odebrano mi gubernatorstwo Walencyi i piérwszy minister przyzwał mnie do dworu, abym zdał sprawę z mojego postępowania. Stałem jak wryty przez niejaki czas, poczém odzyskawszy przytomność: O cóż, rzekłem, obwiniają pana? Musiałeś coś zrobić bez namysłu. Ja przypisuję, rzekł, moją niełaskę odwiedzeniu kardynała de Lerma, który już od miesiąca siedzi na wygnaniu w swoim zamku Denia.

Prawda, przerwałem, słusznie bardzo nieszczęście swoje przypisujesz tym nierozważnym odwiedzinom! nie szukaj innéj przyczyny, a pozwól sobie powiedzieć, żeś się nie poradził zwykłego swojego rozsądku, wybierając się do ministra pozbawionego łaski. Stało się, odpowiedział mi, postanowiłem już z dobréj woli cofnąć się z całą rodziną do zamku Leyva i tam spokojne pędzić życie. To mi jedynie przykro, dodał, że muszę stawić się przed ministrem, którego przyjęcie, zapewne nie będzie bardzo uprzejme. Co za upokorzenie dla Hiszpana! ależ jest to konieczność niezbędna; przed poddaniem się jéj wszakże, chciałem z tobą pomówić. Panie, rzekłem, zostaw to mnie, nie pokazuj się ministrowi, póki ja się nie dowiém, o co cię obwiniają! może to złe nie jest jeszcze bez lekarstwa. Cóżkolwiekbądź, nie weźmiesz mi z łaski swojéj za złe, że użyję wszelkich środków i trudów, jakich po mnie wymaga wdzięczność i przyjaźń. To rzekłszy, zostawiłem go w hotelu, zapewniając, iż wkrótce dostarczę mu wyjaśnień.

Ponieważ nie mieszałem się do spraw państwa od owych dwóch przedstawień, o których tak wymowna była wzmianka, udałem się więc do pana Carnero z zapytaniem, czyby prawda była, że don Alphonsowi de Leyva, odebrano gubernatorstwo Walencyi. Odpowiedział mi, że tak jest, ale dla czego, nie wié. W skutek tego, postanowiłem udać się wprost do Jego Wysokości, by z własnych ust jego, usłyszyć powód niechęci ku synowi don Cezara.

Tak byłem przejęty tym przykrym wypadkiem, że nie potrzebowałem udawać, by się strapionym przedstawić ministrowi. Co ci jest, Santillano? odezwał się, zobaczywszy mnie. Widzę na twéj twarzy obraz zgryzoty, widzę cię bardzo blizkim płaczu. Co to ma znaczyć? Nie ukrywaj nic przedemną. Może cię kto obraził? mów, a będziesz miał zaraz sprawiedliwość. Panie miłościwy, odpowiedziałem, choćbym chciał ukryć przed tobą moją boleść, nie potrafiłbym tego dokazać, jestem niemal w rozpaczy. Powiedziano mi w téj chwili, że don Alphons de Leyva już nie jest gubernatorem Walencyi; nie mogłem zgryźliwszéj nad tę powziąć wiadomości. Co ty mówisz Gil Blasie, odezwał się minister, cóż cię tak dalece może obchodzić don Alphons i jego gubernatorstwo? Wtedy wyłuszczyłem mu obowiązki moje, jakie miałem dla panów de Leyva; wyjaśniłem mu jakim sposobem od księcia de Lerma, wyjednałem dla don Alphonsa gubernatorstwo, o które teraz idzie.

Jego Wysokość wysłuchawszy do końca mojego opowiadania, z uwagą pełną łaskawości dla mnie, rzekł: Uspokój się mój przyjacielu. Nie wiedząc o tém co mi powiadasz, uważałem don Alphonsa za stworzenie kardynała de Lerma. Postaw się w mojém miejscu; odwiedziny u jego eminencyi, nie podałyżby ci go w podejrzenie? Przypuszczam jednakże, iż uzyskawszy urząd od tego ministra, mógł się posunąć do tego kroku przez prostą wdzięczność i to mu przebaczam. Przykro mi, żem usunął człowieka, który tobie winien tę posadę; jeżeli wszakże zniszczyłem twoje dzieło, mogę je naprawić. Więcéj nawet zrobię dla ciebie, aniżeli książę Lerma. Don Alphons, twój przyjaciel, był tylko gubernatorem miasta Walencyi, ja go mianuję Wice-królem Aragońskim; pozwalam ci zawiadomić go o tém, możesz go wezwać do wykonania przysięgi.

Usłyszawszy te słowa, przeskoczyłem natychmiast z jednéj ostateczności w drugą, z głębokiego żalu, przeszedłem do niepohamowanéj radości, która pomieszała mój umysł tak dalece, że się to wybiło w mojém podziękowaniu; minister wszakże nie brał za złe tego roztargnienia i dowiedziawszy się, że don Alphons był w Madrycie, pozwolił mi przedstawić go, tegoż samego dnia. Pobiegłem zaraz pod wizerunek św. Gabryela, wprawiłem w zachwycenie don Alphonsa wiadomością o nowym urzędzie. Nie mógł wierzyć moim słowom; trudno mu było pojąć, aby piérwszy minister, jakkolwiek mi przychylny, mógł udzielić wice-królestwo, jedynie przez wzgląd na mnie. Zaprowadziłem go do hrabi-księcia, który go przyjął uprzejmie, mówiąc: Don Alphonsie, tak dobrze sprawiłeś się w zarządzie miasta Walencyi, że król Jmć uznawszy cię godnym wyższego stanowiska, mianował cię wice-królem Aragonii. Godność ta, dodał, nie przechodzi wcale twojego urodzenia, a szlachta aragońska nie będzie miała przyczyny szemrania, przeciw wyborowi dworu.

Jego Wysokość najmniejszéj o mnie nie zrobił wzmianki, publiczność nie wiedziała wcale, jakibym udział mógł miéć w téj sprawie; to zabezpieczyło don Alphonsa i ministra od złośliwych przymówek, jakieby znosić musiał wice-król mojego kroju.

Syn don Cezara, pewnym już będąc swojego, wysłał umyślnego gońca do Walencyi, zawiadamiając ojca i Serafinę, którzy wkrótce przybyli do Madrytu. Piérwsze ich staranie było, złożyć mi najserdeczniejsze podzięki. Co za widok tkliwy i chlubny dla mnie, widzieć trzy osoby najmilsze mi w świecie, ubiegające się nawzajem o uściskanie mnie serdecznie! Równie czuli na moje przywiązanie i gorliwość, jak na zaszczyt spływający na ich całą rodzinę z godności wice-króla; nie mogli znaléźć końca swoim podziękowaniom. Rozmawiali ze mną, jak z człowiekiem równego im rodu, zapominali, że byłem ich sługą; zdawało się, że nie mogli objawić mi dosyć swojéj przyjaźni. Pomijając szczegóły niepotrzebne, don Alphons otrzymawszy swoje mianowanie, złożywszy dzięki królowi i ministrowi, wykonawszy zwyczajną przysięgę, wyjechał z Madrytu, dla zajęcia posady w Saragossie. Odprawił wjazd z całym przepychem; aragończycy zaś okrzykami swoimi objawili, że królewski wybór nowego wice-króla, był im bardzo miły.

Rozdział XIII.

Gil Blas spotyka na pokojach królewskich don Gastona de Cogollos i don Andrzeja de Tordesillas.

Nie posiadałem się z radości, że mi tak szczęśliwie powiodło się, usuniętego z miejsca gubernatora, przemienić na wice-króla; panowie de Leyva mniéj zapewne cieszyli się. Wkrótce nastręczyła mi się druga sposobność użycia wpływu mojego na korzyść przyjaciela, co zdaje mi się, godne jest wzmianki, aby przekonać czytelnika, że już nie byłem owym Gil Blasem, co za poprzedniego ministerstwa frymarczył łaskami dworu.

Byłem raz w przedpokoju królewskim, zajęty rozmową z panami, którzy znając mnie jako ulubieńca piérwszego ministra, nie gardzili obcowaniem ze mną. Spostrzegłem w ciżbie don Gastona de Cogollos, owego więźnia stanu, któregom zostawił w wieży Segowskiéj. Z nim razem był don Andrzéj de Tordesillas, nadzorca więzienia. Opuściłem zaraz moje towarzystwo, dla powitania tych dwóch przyjaciół. Jeżeli oni się zdziwili ujrzawszy mnie w tém miejscu, ja nie mniéj zdumiałem się nad niespodzianém spotkaniem. Po serdecznych uściskach wzajem-

nych, don Gaston odezwał się: Panie de Santillana, mamy z sobą wiele do mówienia, a tu nie jest miejsce do tego; pozwól się zaprowadzić tam, gdziebyśmy swobodnie pogadać mogli. Przystałem na to; przecisnęliśmy się przez salę, a wyszedłszy z pałacu, wsiedliśmy do powozu don Gastona, czekającego nań na ulicy i udaliśmy się na wielki rynek, na którym zwykle odbywają się walki byków. Tam mieszkał Cogollos w pięknym hotelu.

Panie Gil Blas, przemówił do mnie don Andrzéj, kiedyśmy zasiedli w sali przepysznie umeblowanéj, zdaje mi się, że opuszczając Segowię, nienawidziłeś dworu i miałeś zamiar opuścić go na zawsze. Tak jest w istocie, odpowiedziałem, i póki żył nieboszczyk król, nie zmieniłem mojego postanowienia; lecz skoro książę syn jego wstąpił na tron, chciałem wiedzieć, czy też mnie pozna. Przypomniał sobie i przyjął mnie łaskawie; polecił mnie sam piérwszemu ministrowi, który się przywiązał do mnie i z którym daleko lepiéj jestem, niż byłem z księciem de Lerma. Otóż to wszystko panie Andrzeju, co ci mogłem powiedzieć. A ty, powiedz mi z łaski swojéj, czy ciągle jesteś nadzorcą wieży w Segowii. Niestety, nie, odpowiedział mi, hrabia-książę, innego przeznaczył na moje miejsce. Sądził zapewne, że byłem wielkim zwolennikiem jego poprzednika. A ja, odezwał się wtedy don Gaston, odzyskałem wolność z przeciwnego powodu; piérwszy minister dowiedziawszy się, żem został uwięziony z rozkazu księcia Lerma, kazał mnie natychmiast wypuścić. Teraz muszę ci opowiedzieć, co mnie spotkało po wyjściu z więzienia.

Podziękowawszy panu Andrzejowi, mówił don Gaston, za wszystkie względy, jakiemi mnie darzył, najpiérwszym mojém staraniem było, udać się do Madrytu. Przedstawiłem się hrabiksięciu Olivaresowi, który mi powiedział: Nie lękaj się, aby nieszczęście, które cię spotkało, miało w czémkolwiek zaszkodzić twojéj wziętości; jesteś zupełnie uniewinniony; tém silniéj przekonany jestem o twojéj niewinności, kiedy margrabia de Villareal, z którym o spólnictwo cię posądzano, wcale nic nie zawinił. Lubo Portugalczyk, a nawet powinowaty księcia Braganzy, więcéj przecież sprzyja królowi, niż księciu. Nie należało więc, poczytywać ci za zbrodnię, związków twoich z margrabią; żeby więc naprawić niesłuszność wyrządzoną ci przez posądzenie o zdradę. Król ofiaruje ci porucznikostwo w swojéj gwardyi. Przyjąłem ten stopień, prosząc Jego Wysokości, aby mi pozwolił przed objęciem służby, udać się do Corii, dla odwiedzenia mojéj ciotki dony Eleonory de Laxarilla. Minister udzielił mi miesiąc czasu na tę podróż, w którą udałem się natychmiast, z jednym tylko służącym.

Jużeśmy minęli Colmenar i wjechaliśmy w wąwoz między dwiema górami, gdy w tém ujrzeliśmy mężczyznę śmiało walczącego z trzema, którzy nań ostro nacierali. Nie wahałem się bynajmniéj biedz mu na pomoc i wnet stanąłem przy jego boku. Uważałem; że nieprzyjaciele nasi byli zamaskowani, ale przy tém dzielni zapaśnicy. Jednakże mimo ich siłę i zręczność, myśmy zwyciężyli: przeszyłem jednego z nich, spadł z konia, a dwaj drudzy pierzchnęli. Prawda, że nasze zwycięztwo nie mniéj było zgubne, jak tego nieszczęśliwego, którego ubiłem, obadwa bowiem byliśmy śmiertelnie ranni. Lecz wystaw sobie, jakie musiało być moje zdziwienie, gdy w osobie obronionego przezemnie człowieka poznałem Combadosa, męża dony Heleny. I on nie mniéj się zdumiał, żem był jego obrońcą. Ah, don Gastonie, zawołał, ty więc spieszyłeś na moję pomoc? Kiedyś w szlachetném uniesieniu stanął na mojéj stronie, nie wiedziałeś zapewne, że bronisz człowieka, który ci wydarł kochankę. W rzeczy saméj nie wiedziałem, rzekłem mu, lecz wiedząc nawet, czy sądzisz, żebym był się wahał wystąpić, tak jak zrobiłem? Czyżbyś zdolny był tak źle sądzić o mnie, przypisując mi [illegible] duszę? Nie, wcale nie, odpowiedział, lepiéj trzymam [illegible] jeżeli umrę z ran odebranych, życzę aby twoje nie [illegible] ci korzystać z mojéj śmierci. Combados, rzekłem mu, chociaż dotąd nie zapomniałem dony Heleny, bądź przekonany, iż nie pragnę jéj ręki, kosztem twojego życia; cieszę się nawet, żem cię zasłonił od ciosów trzech morderców, bo w tém spełniłem czyn miły twojéj żonie.

Kiedyśmy tak rozmawiali, lokaj mój zsiadł z konia, a zbliżywszy się do człowieka rozciągniętego na ziemi, zdjął mu maskę i pokazał nam twarz, którą Combados od razu poznał. To Caprara, krzyknął, ten wiarołomny krewny, który przez złość, że go minął spadek, którego mi niesprawiedliwie zaprzeczał, oddawna knuł zamachy na moje zamordowanie, i ten dzień wybrał do ich wykonania; lecz niebios wola jego samego skazała na ofiarę téj zbrodni.

Tymczasem krew nasza upływała i widocznie słabnęliśmy. Jednakże tyle nam sił starczyło, iż potrafiliśmy się dostać do miasteczka Villarejo, o dwa karabinowe strzały odległego od naszego pola bitwy. Przybywszy do piérwszego hotelu, wezwaliśmy chirurgów. Przybył jeden mający wziętość wielkiéj zręczności. Obejrzał nasze rany, które mu się zdały bardzo niebezpieczne. Opatrzył nas, a nazajutrz zdjąwszy opaski, oświadczył, że rana don Blasa była śmiertelną. O mojéj korzystniejsze dał zdanie, a przepowiednie jego nie były fałszywe.

Combados usłyszawszy wyrok śmierci, gotował się do niéj. Wysłał gońca umyślnego do żony, zawiadamiając ją o tém co zaszło i o smutnym swoim stanie. Przybyła natychmiast dręczona niespokojnością z dwóch powodów sprzecznych między sobą, jednym było niebezpieczeństwo grożące mężowi, drugim obawa, by widok mój nie rozniecił na nowo płomieni, niezupełnie przygaszonych. Okropne było jéj wzruszenie. Pani, odezwał się do niéj Combados, skoro ją ujrzał, przybywasz wczas dla przyjęcia mojego pożegnania. Umiéram, a śmierć moją przyjmuję jako karę niebios, żem cię przez podstęp wydarł don Gastonowi; zamiast utyskiwać nad losem moim, sam cię proszę byś mu oddała to serce, które ja nieprawnie owładnąłem. Dona Helena odpowiedziała mu łzami, i zaiste była to najlepsza odpowiédź jaką mu dać mogła, jeszcze bowiem nie zobojętniała dla mnie tak dalece, aby mogła zapomnieć wybiegu, przez jaki ją skłoniono do złamania danego mi słowa.

Jak chirurg przepowiedział, tak się stało; Combados w trzy dni umarł z ran, ja zaś coraz pewniejszy byłem wyzdrowienia. Młoda wdowa zajęła się jedynie przeniesieniem ciała zmarłego męża do Corii, aby mu oddać ostatnią przysługę w sposób godności jego odpowiedni, opuściła Villarejo, zapytawszy się przez grzeczność niby o stan mojego zdrowia. Wkrótce i ja udałem się do Corii, gdzie ukończyłem moje leczenie. Wtedy dona Eleonora ciotka moja, i don Jerzy de Gulisteo postanowili jak najprędzéj połączyć nas, aby znowu jakowy wybryk fortuny nie stanął na zawadzie. Zaślubiny odbyły się bez żadnéj wrzawy, z powodu zbyt świeżego zgonu don Blasa; a w kilka dni później przybyłem do Madrytu z doną Heleną. Ponieważ przeciągnąłem czas dozwolony mi na podróż przez hrabiego-księcia, obawiałem się więc aby przyrzeczone mi porucznikostwo gwardyi, nie dostało się komu innemu; lecz minister nie tylko nie rozporządził niém inaczéj, ale nawet łakawie wysłuchał mojego tłumaczenia.

Jestem więc, mówił daléj Cogollos, porucznikiem gwardyi hiszpańskiéj, a téj posadzie nie zbywa na przyjemnościach. Znalazłem przyjaciół uprzejmych, i wesoło z nimi żyję. Jabym rad był, żebym mógł toż samo powiedzieć, odezwał się don Andrzéj; lecz ja nie mogę się cieszyć z mojego losu: straciłem korzystny dla mnie urząd, a nie mam przyjaciół, którzyby przez wpływy mogli, lub chcieli wyjednać mi podobnyż. Przepraszam panie Andrzeju, przerwałem mu uśmiéchając się, masz w osobie mojéj takiego, który ci się może na coś przydać. Powiedziałem ci już żem zyskał względy hrabiego-księcia daleko większe, niżeli je miałem u księcia Lerma, a ty mi śmiész prawić w oczy, że nie masz przyjaciela, któryby ci wyjednał urząd! Czyż już nie przysłużyłem ci się raz w podobnymże sposobie? Przypomnij sobie, że za pośrednictwem arcybiskupa Granady wyjednałem ci urząd w Mexyku, któryby ci był zapewnił los gdyby miłość nie zatrzymała cię w Alicante. Teraz łatwiéj jeszcze służyć ci mogę, mając łaskawe dla siebie ucho piérwszego ministra. Poruczam się więc tobie, odpowiedział Tordesil-

las; ale dodał z uśmiechem, tylkoż zlituj się nie wysyłaj mnie do nowéj Hiszpanii; niechciałbym tam wędrować, choćby mnie nawet mianowano prezesem tamtejszéj rady najwyższéj.

W tym punkcie przerwała rozmowę naszą dona Helena wchodząc do sali, któréj miła postawa usprawiedliwiła zupełnie powzięte przezemnie wyobrażenie o jéj wdziękach. Pani, odezwał się do niéj Cogollos, przedstawiam ci pana de Santillana, o którym ci nie raz wspominałem, którego miłe towarzystwo rozpędzało tęsknotę więzienną. Tak jest pani, odezwałem się do dony Heleny, don Gaston prawdę mówi: przyjemną mu była rozmowa ze mną, bo pani zawsze byłaś jéj przedmiotem. Córka don Jerzego skromnie odpowiedziała na moją grzeczność, po czém pożegnałem tych małżonków, zapewniając ich o mojéj radości, że raz przecież śluby małżeńskie uwieńczyły ich wytrwałą miłość. Następnie zwracając mowę do Tordesillasa, prosiłem go żeby mi wskazał swoje mieszkanie, a gdy mnie w tém zaspokoił, nie żegnam się z tobą, rzekłem, don Andrzeju, spodziéwam się, że przed upływem tygodnia przekonasz się, iż łączę dobre chęci z możnością ich spełnienia.

Nie zawiodłem się bynajmniéj. Zaraz nazajutrz sam hrabia-książę nastręczył mi sposobność zaspokojenia nadzorcy. Santillano, rzekł mi, miejsce rządzcy więzienia królewskiego w Walladolid jest opróżnione, przynosi ono przeszło trzysta luidorów rocznie, mam ochotę tobie je przeznaczyć. Nie chcę go, panie, odpowiedziałem, choćby nawet dziesięć tysięcy dukatów rocznego dochodu czyniło: zrzekam się wszelkich posad, dla których objęcia musiałbym się oddalić od Waszéj Wysokości. Ależ, rzekł minister, to mógłbyś zająć nie opuszczając Madrytu na zawsze, dosyć będzie, gdy tylko kiedy niekiedy zwiedzisz więzienie; otóż widzisz, że to może się pogodzić jedno z drugiém. Mów Wasza Wysokość co chcesz, odpowiedziałem, a ja przyjąłbym to miejsce pod tym tylko warunkiem, żeby mi wolno było odstąpić go na korzyść zacnego szlachcica don Andrzeja de Tordesillas, byłego nadzorcy wieży segowskiéj; miłoby mi było zrobić mu tę ofiarę, w zawdzięczeniu za łaskawe obejście się ze mną w czasie mojego uwięzienia.

Ta moja mowa rozśmieszyła ministra: odezwał się więc do mnie; widzę Gil Blasie, że chcesz zrobić rządzcę więzienia, jakeś zrobił wice-króla. Niech tak będzie mój przyjacielu, ofiaruję ci to miejsce dla Tordesillasa; ale powiédz mi otwarcie, co na tém zyskasz? bo nie myślę, abyś był tyle głupim, używać swojego wpływu za nic. Miłościwy panie, rzekłem, nie wypadasz płacić długów? Don Andrzéj bez procentu zapewnił mi tyle przyjemności, ile tylko mógł, czyż ja nie powinienem mu podobnież się odsłużyć? Zrobiłeś się bardzo bezinteresownym panie Santillano, odezwał się minister z uśmiéchem, zdaje mi się, że nie byłeś takim za przeszłego ministerstwa. Prawda, odpowiedziałem, zły przykład skaził moje obyczaje, ponieważ wtedy wszystko się sprzedawało, i ja więc stosowałem się do zwyczaju; a że dziś wszystko się rozdaje bezpłatnie, wróciłem więc do mojéj nieskazitelności.

Opatrzyłem więc don Andrzeja de Tordesillas zarządem więzienia w Walladolid, wkrótce wysłałem go do tego miasta tak uradowanego z nowéj posady, jak ja byłem z wywiązania się z zaciągniętych względem niego zobowiązań.

Rozdział XIV.

Santillana odwiedza poetę Nuneza.

Raz po południu wzięła mnie chęć odwiedzenia poety asturyjskiego, by zobaczyć, jak téż teraz mieszka. Udałem się do pałacu don Bertranda Gomez del Ribero, pytając się o Nuneza. Już nie mieszka tu, powiedział mi lokaj stojący w bramie, zajmuje mieszkanie oto tu, wskazując na dom sąsiedzki. Udałem się tam, a przeszedłszy małe podwórze dostałem się do sali, w któréj Fabrycy uraczał podówczas pięciu, czy sześciu swoich towarzyszów.

Było to już przy końcu obiadu, a zatém w chwili żwawych rozpraw: skoro wszakże spostrzegli mnie, umilkli wszyscy. Nunez zerwał się szybko dla powitania mnie, odzywając się: panowie, oto jest pan de Santillana, który mnie zaszczyca swojemi odwiedzinami, złóżcie wraz ze mną hołd powiernikowi piérwszego ministra. Na te słowa wszyscy spółbiesiadnicy powstali także, i przez wzgląd na dany mi tytuł z głębokiém powitali uszanowaniem. Lubo nie miałem potrzeby ani jeść, ani pić, musiałem jednak zasiąść z nimi do stołu, a nawet odpowiedzieć na toast na cześć moją wniesiony.

Ponieważ zdało mi się, żem przerwał ich rozmowę, odezwałem się więc do nich, panowie, nie róbcie sobie najmniejszéj przykrości, bardzo proszę, sądzę żem przeszkodził waszym rozprawom, wracajcie do nich z łaski swojéj, albo ja się oddalę. Ci panowie, rzekł wtedy Fabrycy, rozmawiali o *Ifigenii* Eurypidesa; bakałarz Melchior de Villegas, piérwszego rzędu uczony, zagadnął don Jacka de Romerate coby stanowiło główny interes téj tragedyi. Tak jest, odezwał się don Jacek, i na to odpowiedziałem, że tym interesem było niebezpieczeństwo Ifigenii. A ja, odezwał się na to bakałarz, odpowiedziałem mu czego dowiodę, że właśnie nie w tém się mieści istotny węzeł sztuki. A cóż więc? zawołał stary licencyat Gabriel de Leon. Oto wiatr, mówił bakałarz.

Całe towarzystwo parsknęło śmiéchem na tę odpowiedź, ja zaś mniemałem, że Melchior rzucił ją właśnie na zabawkę. Nie znałem tego uczonego męża, a był to człowiek, który nie wdawał się w żarty. Śmiejcie się panowie, jak się wam podoba, rzekł zimno, a ja wam mówię, że wiatr jedynie musi interesować, uderzyć, wzruszyć widzów, nie zaś niebieczeństwo Ifigenii. Wystawcie sobie, mówił daléj, liczne wojsko zebrane na oblężenie Troi, chciejcie pojąć tę niecierpliwość jaka owładnęła wodzów i żołnierzy, by jak najprędzéj dojść zamierzonego celu, aby jak najprędzéj wracać do Grecyi, w któréj pozostawili wszystko, co mogło być najdroższe ich sercu, bogów domowych, żony i dzieci. Tymczasem przeklęty wiatr przeciwny wstrzymuje ich w Aulidzie, zdaje się ich przykuwać do portu, a jeżeli się nie zmieni, tedy ani myśléć o oblężeniu Troi. Tak więc wiatr jest węzłem tragedyi. Ja staję na stronie Greków, sprawa ich zapala mnie; pragnę więc jak najrychlejszego wypłynięcia flotty, a tém samém niebezpieczeństwo Ifigenii jest dla mnie obojętne, ponieważ śmierć jéj, jest tylko środkiem wyjednania od Bogów wiatru pomyślnego.

Jak tylko Villegas skończył, śmiechy się ponowiły jego kosztem. Nunez złośliwie popierał jego zdanie, podżegając tém samém szyderców, którzy jakby na wyścigi zdobywali się na dowcipne żarciki z tych wiatrów. Lecz bakałarz spoglądając na nich z flegmą i dumą, poczytywał ich za głupców i prosty motłoch. Spodziewałem się co chwila ujrzéć tych panów chwytających się za czuby, jak zwykle kończyły się ich naukowe rozprawy, zawiodłem się jednak; poprzestali na wzajemnych obelgach i rozeszli się najadłszy się i napiwszy do woli.

Po ich oddaleniu zapytałem się Fabrycego, dlaczegoby już nie mieszkał u swojego skarbnika, czy się czasem nie poróżnili. Co poróżnili! odpowiedział, boże uchowaj! Jestem z nim lepiéj, niż kiedykolwiek, odtąd jak mi pozwolił mieszkać osobno. Nająłem więc tę część pomieszkania, abym mógł swobodniéj bawić się z moimi przyjaciołmi, co mi się często zdarza, bo jak wiesz, nie bardzo skłonny jestem do zostawienia wielkich skarbów moim spadkobiercom; szczęściem zaś dla mnie, jestem teraz w stanie nowe sobie co dzień wymyślać przyjemności. Cieszy mnie to mocno, mój kochany Nunezie, odpowiedziałem, i nie mogę się wstrzymać, abym ci nie miał raz jeszcze powinszować powodzenia ostatniéj twojéj tragedyi: wielki Lope za ośmset sztuk dramatycznych nie zyskał czwartéj części tego, co ci przyniósł twój *hrabia de Saldagna*.

KSIĘGA DWUNASTA.

Rozdział I.

Gil Blas z polecenia ministra wyjeżdża do Toledu.

Już od miesiąca prawie codzień jego wysokość powtarzał mi, Santillano zbliża się czas, w którym zręczności twojéj użyć będę musiał, a ten czas nie nadchodził. Nadszedł przecież i Jego

Wysokość w te do mnie przemówił słowa: Mówią, że w trupie teatru toledańskiego jest jedna aktorka wielkie wrażenie swojemi talentami wywiérająca. Utrzymują, że śpiéwa i tańczy bozko, że deklamacyą swoją czaruje widzów; zapewniają nawet, że jest bardzo piękna. Takowa osoba zasługuje na miejsce przy teatrze dworskim. Król lubi sztuki teatralne, jest miłośnikiem muzyki i tańca: nie wypada więc, aby teatr jego pozbawiony był osoby tylu rzadkich talentów. Postanowiłem przeto wysłać cię do Toledo, abyś sam rozpoznał, czy to w istocie tak wyborna aktorka. Ja spuszczę się na wrażenie, jakie zrobi na tobie, ufam twojemu zdaniu.

Odpowiedziałem jego wysokości, że mu rzetelną zdam sprawę z tego posłannictwa i zaraz wybrałem się w drogę z jednym tylko służącym, któremu kazałem zdjąć liberyą ministra, aby tém skryciéj interes załatwić, co się bardzo podobało ministrowi. Dostawszy się do Toledo, stanąłem w hotelu w bliskości zamku. Zaledwie zsiadłem z konia, gdy gospodarz hotelu biorąc mnie zapewne za jakiegoś szlachcica z okolicy, odezwał się do mnie: panie kawalerze, przybyłeś bez wątpienia do miasta, by widziéć wspaniały obrzęd *auto da fe*, który ma się odbyć jutro. Odpowiedziałem mu, że tak jest w istocie, wolałem bowiem zbyć go tym sposobem, aniżeli podawać mu sposobność do nowych pytań. Zobaczysz najpyszniejszą processyą, jaka kiedykolwiek być mogła: mówią, że jest przeszło stu więźniów, a pomiędzy temi liczą więcéj jak dziesięciu skazanych na spalenie.

W rzeczy saméj nazajutrz o świcie usłyszałem dźwięk dzwonow całego miasta, zawiadomiający lud o mającém się rozpocząć *auto da fe*. Ciekawością zdjęty ubrałem się czémprędzéj, by się przypatrzyć temu obrzędowi, którego jeszcze dotąd nie widziałem. Począwszy od pałacu inkwizycyi wzdłuż ulic, któremi orszak miał postępować, powznoszono rusztowania dla widzów, na jedném z nich kupiłem sobie miejsce. Wkrótce ujrzałem chorągiew inkwizycyi, a za nią postępowały ofiary dnia tego. Szli w szeregu jeden za drugim, boso, ze świecą w ręku i kmotrem przy boku. Jedni przyodziani byli w wielki szkaplerz z płótna żółtego, a na nim pomalowane były farbą rdzy krzyże św. Andrzeja, nazywano je zaś *san benito*. Inni mieli na głowaah *corozę*, to jest tekturową czapkę śpiczastą, jak głowa cukru, z pomalowanemi płomykami i wizerunkami djabłów.

Kiedym z natężeniem przyglądał się tym nieszczęśliwym, nie objawiając politowania z obawy, aby mi tego za występek nie poczytano, zdało mi się, że pomiędzy tymi, których odznaczała *coroza* poznałem i wielebnego ojca Hilarego i jego towarzysza braciszka Ambrożego. Przechodzili tuż koło mnie; dla tego utwierdzony w mojém przekonaniu, pomyśliłem: cóż ja to widzę! niebo zmordowane niegodziwém życiem tych dwóch zbrodniarzy, widocznie wydało ich w ręce inkwizycyi! Tak dumając, zdjęty trwogą, uczułem drżenie we wszystkich częściach ciała, jakiś zawrót głowy mnie opanował, tak dalece, że o mało niezemdlałem.

Związki moje z tymi oszustami, zdarzenie w Xelva, zresztą wszystkie z nimi stosunki, stanęły mi przed oczyma; jakież dzięki Bogu należały się odemnie, że mnie zachował od szkaplerza i *corozy*.

Po skończonym obrzędzie wróciłem do hotelu drżący z wrażenia, jakie na mnie wywarło to widowisko, nie długo atoli te straszne obrazy zatarły się w moim umyśle i całą uwagę zwróciłem na godne spełnienie danego mi polecenia. Z utęsknieniem oczekiwałem godziny teatralnéj, aby się udać na przedstawienie, ponieważ mniemałem, że właśnie od tego zacząć wypada. Skoro pożądana chwila nadeszła, zająłem miejsce w teatrze obok kawalera zakonu Alcantara. Zaraz wdałem się z nim w gawędkę. Panie, rzekłem mu, pozwolisżże obcemu w tém mieście zapytać się? Kawalerze, odpowiedział mi uprzejmie, uważam to będę za honor. Wychwalano mi, mówiłem mu, aktorów toledańskich, mianożby się mylić w tym względzie? Bynajmniéj, odpowiedział kawaler Alcantary, trupa ich nie jest zła, owszem są między niemi niepospolite talenta. Zobaczysz między innemi piękną Lukrecyą, aktorkę *ex*ternastoletnią, nad którą się zdumiejesz. Skoro się tylko pojawi na scenie, nie będziesz potrzebował, abym ci ją wskazywał, poznasz ją sam z łatwością. Zapytałem się, czy dziś grać będzie, odpowiedział mi, tak jest, a nawet ma ważną rolę w sztuce którą przedstawiają.

Widowisko się zaczęło. Wystąpiły dwie aktorki, które niczego niezaniedbały, by podwyższyć wdzięki swojéj postaci, lecz mimo blask dyamentów, nieuważałem ani jednéj, ani drugiéj za tę, na którą czekałem. Kawaler Alcantara tak mnie mocno uprzedził na korzyść Lukrecyi, iż nie mogłem jéj odgadnąć, póki sama się nie pokazała. Wreszcie ta piękna Lukrecya wystąpiła z głębi teatru, przyjęto ją hucznemi i długo przeciągniętemi oklaskami. Otóż i ona, pomyśliłem sobie; jak szlachetna postawa! jakie wdzięki! przeszliczne oczy! czarujące stworzenie! W istocie byłem bardzo zadowolony, albo raczéj silne na mnie zrobiła wrażenie. Zaraz po piérwszym ustępie wierszy, które wymówiła, postrzegłem naturalność, zapał i rozsądek nad wiek, chętnie zatém połączyłem oklaski moje, z oklaskami, jakiemi ją publiczność przez ciąg całéj sztuki darzyła. No i cóż, widzisz teraz czém jest Lukrecya dla publiczności? Nie dziwię się wcale, odpowiedziałem. Tém mniéj jeszcze dziwiłbyś się, rzekł, słysząc jéj śpiéw; to istna syrena, biada temu, kto jéj słucha bez przezorności Ulissessa! taniec jéj także nie mniéj czarujący jak głos, zachwyca wzrok, porywa serce. Tym sposobem, zawołałem, przyznać trzeba, że to jest zjawisko. Jakiż śmiertelnik ma szczęście tracić majątek dla tak miłéj dziewicy? Dotąd nie ma jawnego kochanka, mówił kawaler, a złe nawet języki nie zarzucają jéj żadnéj tajnéj intrygi. A jednakże, dodał zaraz, mogłaby je z łatwością zawiązać, ponieważ jest pod kierunkiem ciotki swojéj Estelli, niezawodnie najprzebieglejszéj ze wszystkich aktorek.

Na wspomnienie Estelli, przerwałem nagle mowę kawalerowi, pytając się, czyby ta Estella nie była aktorką z trupy toledańskiéj. Tak jest, odpowiedział, i to jedna z najlepszych. Dziś nie występowała i dla tego wieleśmy stracili; grywa pospolicie role panien powiernic i wybornie je oddaje. Ileż-to dowcipu w jéj grze! Może nawet za wiele, jestto jednak uchybienie, łatwe do przebaczenia. Tak więc kawaler prawił mi dziwy o téj Estelli, a miarkując z jego opisu, nie mogłem wątpić, aby to nie miała być Laura, ta sama Laura, o któréj już mówiłem, a którą zostawiłem w Granadzie.

Dla zapewnienia się, poszedłem za kulisy. Zapytałem się o Estellę, a śledząc ją oczyma po wszystkich stronach, spostrzegłem rozmawiającą z kilką panami, którzy może w téj chwili uważali ją tylko jako ciotkę Lukrecyi. Zbliżyłem się dla przywitania Laury; ale czy to przez kaprys, czy dla ukarania mnie za nagłe opuszczenie Granady, udała że mnie nie poznaje i grzeczność moję tak ozięble przyjęła, żem się niemało zmieszał. Zamiast żartobliwie wyrzucać jéj to obojętne przywitanie, dość byłem nierozsądny, żem się o to rozgniewał; oddaliłem się nawet szybko i postanowiłem zaraz nazajutrz wracać do Madrytu. Dla zemszczenia się nad Laurą, pomyśliłem sobie, nie dopuszczę, aby jéj siostrzenica, miała występować w obec króla; nie trzeba mi więcéj, tylko piérwszemu ministrowi przedstawić obraz Lukrecyi, jaki mnie się podoba; powiém tylko, że tańczy bez wdzięku, w śpiéwie przebija się coś cierpkiego, a co do piękności, całą jéj zaletą młodość; pewny jestem, że po takowém sprawozdaniu, Jego Wysokość straci ochotę ściągnięcia jéj do dworskiego teatru.

Otóż tym sposobem zamierzyłem zemścić się, za obejście się ze mną Laury, ale gniéw mój wnet ostygł. Nazajutrz gdy gotowałem się do odjazdu, lokaj wszedł do mojego pokoju i rzekł: Oto jest bilecik, który mam wręczyć panu de Santillana. To ja jestem, moje dziécię, rzekłem biorąc list, który te zawiérał wyrazy: „Zapomnij o sposobie przyjęcia cię wczoraj w sali zbiorowéj teatru, i chciéj iść za oddawcą niniejszego.” Poszedłem zaraz za przewodnictwem owego lokaja, który mnie wprowadził do domu bardzo porządnego w bliskości teatru, tam zaś w przepysznym pokoju, zastałem Laurę ubiérającą się.

Wstała natychmiast dla przywitania mnie, mówiąc: panie Gil Blas, wiém, że nie masz powodu cieszyć się z mojego przyjęcia w naszém foaje; tak dawny przyjaciel miał prawo spodziéwać się grzeczniejszego spotkania, lecz dla wytłumaczenia się, powiém ci, żem była wtedy w najgorszym humorze. Kiedyś mi się pokazał, zajęta byłam pewnemi wyrażeniami potwarzy, jakie podobało się jednemu z naszych panów wyrzec przeciw mojéj siostrzenicy, któréj honor, więcéj mnie obchodzi, jak mój własny. Twoje nagłe oddalenie się, zwróciło moję uwagę, spostrzegłam roztargnienie i natychmiast kazałam iść za tobą lokajowi, wywiedzieć się o twojém pomieszkaniu, aby dziś naprawić uchybienie. Już jest naprawione, rzekłem, moja kochana Lauro; nie mówmy o tém, opowiedzmy sobie raczéj nasze przygody od czasu, gdy obawa zasłużonéj kary, wypędziła mnie nagle z Granady. Zostawiłem cię, jeżeli sobie przypominasz, w niemałym kłopocie, jakżeś się z niego wydobyła? Mimo wszelkie przebiegi, jakiemi cię natura hojnie obdarzyła, przyznaj, że to był sęk twardy. Czyś nie musiała użyć całéj twojéj zręczności, dla ugłaskania portugalskiego kochanka? Bynajmniéj, odpowiedziała Laura; czyż nie wiész, że w podobnych razach mężczyzni są tak słabi, że nawet oszczędzają nam trudu usprawiedliwiania się.

Utrzymywałam stanowczo przed margrabią de Marialva, że jesteś moim bratem. Daruj mi panie de Santillana, że tak poufale przemawiam do ciebie jak dawniéj; nie mogę się pozbyć moich nawyknień. Powiém ci więc, żem nadstawiła bezczelnością. Czyż nie widzisz, rzekłam panu portugalskiemu, że to wszystko jest dziełem zawiści i zaciekłego gniéwu? Narcissa, moja spółtowarzyszka i spółzawodniczka, widząc mnie posiadającą spokojnie to serce, które się jéj z rąk wyrwało, przywiedziona do wściekłości, wypłatała mi tego figla, który jéj przebaczam; bo w gruncie rzeczy, zemsta jest bardzo naturalną przywarą kobiéty zazdrosnéj. Przekupiła podobjaśniacza świéc, który na usługę jéj gniéwu, utrzymywał bezczelnie, że mnie widział w Madrycie, jako garderobianą Arsenii. Nic nad to fałszywszego; wdowa po don Antonim Coello, zbyt szlachetnemi ożywiona była uczuciami, by się miała zniżyć do służby aktorki. Prócz tego i to jeszcze widoczniéj dowodzi fałszu tego zarzutu i zmowy moich oskarżycieli, że mój brat nagle się oddalił. Gdyby był obecny, mógłby łatwo zawstydzić oszczerców; lecz Narcissa musiała użyć jakiegoś przebiegu nowego, aby go ztąd nagle usunąć.

Chociaż te wszystkie dowody, mówiła daléj Laura, nie najlepszą były moją pochwałą, jednakże Portugalczyk poprzestał na tém, i ten dobroduszny pan nie opuścił mnie, aż do chwili powrotu do Portugalii. Odjazd jego nastąpił wkrótce po twojém oddaleniu, a żona Zapaty miała tę rozkosz, że mnie widziała pozbawioną kochanka, któregom jéj odebrała. Po tém wszystkiém, jeszcze bawiłam przez czas niejaki w Granadzie, lecz gdy niezgoda zakradła się do naszéj trupy (co się czasem u nas zdarza), wszyscy aktorowie rozłączyli się, jedni udali się do Sewilli, drudzy do Korduby, a ja do Toledu, gdzie już dziesięć lat bawię z moją siostrzenicą, którąś widział wczoraj, kiedyś był w teatrze.

W tém miejscu, nie mogłem się wstrzymać od śmiéchu. Laura zapytała się o przyczynę. Jak to, nie domyślasz się jéj? rzekłem. Nie masz ani brata, ani siostry, a zatém nie możesz być ciotką Lukrecyi. Prócz tego, gdy rozważam czas upłyniony od chwili ostatniego naszego rozłączenia, gdy ten czas porównam z rysami twarzy twojéj siostrzenicy, zdaje mi się, że może między wami bliższe jeszcze zachodzić pokrewieństwo.

Rozumiém cię, panie Gil Blas, odpowiedziała nieco zarumieniona wdowa po don Antonim; jak ty zręcznie chwytasz epoki! trudno coś wmówić w ciebie. Niechże i tak będzie; tak jest, mój przyjacielu, Lukrecya jest córką moją i margrabiego Marialvy, nie mogę tego zataić przed tobą. Co za wielka sztuka, rzekłem, moja luba, że mi objawiasz ten sekret, zwierzywszy się dawniéj związków z ekonomem szpitala w Zamora! Więcéj ci powiém, że Lukrecya ma tyle zalet nadzwyczajnych, że publiczność nie ma dosyć wyrazów na podziękowanie ci za ten dar. Życzyćby należało, aby wszystkie twoje spółtowarzyszki, podobnąż jéj ofiarę złożyły.

Jeżeliby się znalazł czytelnik złośliwy, któryby wspomniawszy na stosunki moje z Laurą, wtedy gdy byłem w Granadzie sekretarzem margrabiego Marialvy, chciał mnie posądzać o bliższe pokrewieństwo z Lukrecyą, ze wstydem wyznać muszę, iżby to posądzenie zupełnie było niesłuszne.

Ja także z kolei opowiedziałem Laurze moje główniejsze przygody, objawiając jéj obecny stan moich interesów. Słuchała mojego opowiadania z wielką uwagą, pokazując przez to, że jéj nie byłem obojętnym. Przyjacielu Santillana, jak widzę, rzekła, bardzo piękną grasz rolę na scenie tego świata; nie uwierzysz jak mnie to cieszy. Jeżeli zawiozę Lukrecyą do Madrytu, aby ją umieścić w teatrze księcia, pochlebiam sobie, że znajdzie w panu Santillanie silnego protektora. Nie wątp bynajmniéj, odpowiedziałem, możesz śmiało rachować na mnie; wprowadzę twoją córkę i ciebie do teatru księcia, skoro tylko zechcesz, to ci przyrzec mogę, nie popisując się nawet z moją władzą. Podchwyciłabym natychmiast twoje słowo, rzekła Laura i zaraz jutro pojechałabym do Madrytu, gdyby mnie nie krępowały zobowiązania względem mojéj trupy. Rozkaz dworu, może zerwać te węzły, odpowiedziałem, ja zaś podejmuję się wyjednać go, i nim ośm dni upłynie, dojdzie rąk twoich. Miło mi będzie odebrać Lukrecyą Toledanom; aktorka tak piękna, dla dworzan stworzona, do nas z prawa należy.

Lukrecya weszła do pokoju, właśnie gdym ostatnich domawiał wyrazów. Zdało mi się, że przedemną stanęła bogini Hebe, tak była miłą i uroczą. Tylko co wstała; piękność jéj naturalna, jaśniejąca bez pomocy sztuki, czyniła ją tém bardziéj zachwycającą, pójdź moja siostrzenico, rzekła jéj matka, pójdź, złóż dzięki temu panu za jego przychylność ku nam; jestto mój dawny przyjaciel, który ma wziętość u dworu i oświadcza się z możnością umieszczenia nas w trupie teatru książęcego. Ta mowa zdała się być przyjemną młodéj panience, skłoniła mi się z uszanowaniem i rzekła z uśmiéchem zachwycającym: najpokorniejsze dzięki składam panu za jego obowiązującą nas przysługę; lecz nie wiém panie, czy to czasem nie wyjdzie na moją szkodę. Odbiérając mnie publiczności, któréj pozyskałam łaskawe względy, jesteśże pewny, że potrafię podobać się w Madrycie? Może ja stracę na téj zamianie. Przypominam sobie, że ciotka moja mówiła, iż widziała aktorów jaśniejących w jedném mieście, z oburzeniem odrzuconych w inném; to mnie trwogą przejmuje. Strzeż się pan, żebyś mnie nie wystawił na wzgardę dworu, a siebie na zarzuty. Nadobna Lukrecyo, odpowiedziałem, tego wcale obawiać się nie możemy; ja raczéj boję się, abyś zapalając serca wszystkich, nie poróżniła naszych możnych panów. Trwoga mojéj siostrzenicy, odezwała się Laura do mnie, jest bardziéj uzasadniona, niż twoja, ale ja mam nadzieję, że obiedwie będą czcze. Jeżeli Lukrecya nie zyska rozgłosu swojemi wdziękami, tedy z drugiéj strony, nie jest tak złą aktorką, aby zasługiwała na pogardę.

W ten sposób, rozmawialiśmy jeszcze przez czas niejaki, a z tego co Lukrecya wtrąciła do rozmowy, mogłem łatwo osądzić, wyższe jéj zdolności; pożegnałem potém moje panie, zapewniając je, że wkrótce odbiorą rozkaz, udania się do Madrytu.

Rozdział II.

Santillana zdaje sprawę ze swojéj podróży. Przybycie i piérwsze wystąpienie Lukrecyi w Madrycie.

Za powrotem zastałem hrabiego-księcia niecierpliwie oczekującego na wypadek mojéj podróży. Gil Blas, odezwał się do mnie, widziałżeś tę aktorkę o któréj mowa? zasługujeż, aby ją wezwać do teatru dworskiego? Panie, odpowiedziałem, wieść która zwykle przesadza w pochwałach piękności, za mało głosi o Lukrecyi, jestto osoba zdumiewająca i piękności i talentami.

Czy podobna, zawołał minister z wewnętrznem zadowoleniem, które z oczu jego wyczytałem, a które naprowadzało mnie na myśl, iż na własny rachunek wysłał mnie do Toledu, czy podobna, mówił, aby była tak ujmującą jak mi powiadasz? Skoro miłościwy pan ją zobaczysz, odpowiedziałem, sam przy-

znasz, iż nie ma pochwały, którąby nie była z uszczerbkiem jéj wdzięków. Santillano, rzekł minister, zdaj mi rzetelną sprawę z twojéj podróży; z przyjemnością będę cię słuchał. Wtedy zabrawszy głos dla zaspokojenia mojego pana, opowiedziałem mu wszystko, nie wyłączając historyi Laury. Powiedziałem mu, że ta aktorka wszedłszy w związki miłosne z margrabią de Marialva, panem portugalskim, bawiącym przez czas niejaki w Granadzie powiła córkę, o któréj mowa. Gdym zaś wszystkie szczegóły rozmowy mojéj z temi aktorkami opowiedział, jego wysokość rzekł mi: cieszę się mocno, że Lukrecya jest córką znakomitego pana, to mnie tém więcéj skłania do zajęcia się jéj losem, trzeba ją tu ściągnąć. Ależ, mój przyjacielu, jednę rzecz ci zalecam, postępuj daléj, jak zacząłeś, nie mieszaj mnie do tego; niech wszystko obraca się około Gil Blasa z Santillany.

Udałem się zatém do Carnera z oświadczeniem, że wolą jest jego wysokości, aby wydał rozkaz przyjęcia do teatru książęcego dwóch aktorek z trupy toledańskiéj. Bodajże to panie Santillano, ozwał się Carnero z przekąsem, natychmiast to zrobię, ponieważ według wszelkiego podobieństwa, te panie nie są mu obojętne. Zresztą spodziéwam się, iż spełniając jego życzenie i publiczności się przysłużę. W tejże chwili ułożył rozkaz i wygotowany oddał mi, a ja przesłałem go Estelli przez tegoż sługę, który był ze mną w Toledzie. W tydzień późniéj matka i córka już były w Madrycie. Stanęły w hotelu, tuż obok trupy książęcéj i dały mi znać o swoim przyjeździe. Pobiegłem czémprędzéj do nich, a po tysiącznych oświadczeniach gotowości na ich usługi, po tyleż podziękowaniach z ich strony, poleciłem im przygotować się na piérwsze wystąpienie, życząc im najświetniejszego powodzenia.

Afisze zawiadomiły publiczność, że dwie nowe aktorki na rozkaz dworu przyjęte zostały do teatru książęcego. Na wstęp wybrały komedyą, którą grywały w Toledzie z wielkiemi oklaskami.

W jakimże zakącie świata nie lubią nowości w widowiskach? W dniu owym sala teatralna zatłoczona była. Łatwo się domyślić, że ja nie opuściłem tego przedstawienia. Przed zaczęciem byłem mocno niespokojny. Chociaż uprzedzony korzystnie o talencie matki i córki, drżałem jednak o ich powodzenie, tak dalece mnie obchodziły. Lecz zaledwie otworzyły usta, wszelka obawa odstąpiła mnie z powodu oklasków jakie dla nich zagrzmiały. Uważano Estellę jako aktorkę doskonałą w rolach komicznych, Lukrecyą zaś jako zjawisko szczególne w roli kochanki. Ta ostatnia powszechną pozyskała życzliwość: jedni podziwiali piękne jéj oczy, drugich wzruszała słodycz głosu: wszyscy zaś uderzeni jéj wdziękami i żywym blaskiem młodości, opuścili salę oczarowani jéj osobą.

Hrabia-książę daleko więcéj zajęty tą aktorką, niż się spodziewałem, był także w teatrze tego wieczoru. Widziałem go wychodzącego ku końcowi sztuki, o ile mi się zdawało, z wielkiém zadowoleniem. Ciekawy będąc czy istotnie dobre na nim zrobiły wrażenie, poszedłem za nim, a dostawszy się do jego gabinetu, odezwałem się, a cóż panie, waszéj wysokości podobałaż się młoda Marialva? Moja wysokość, odpowiedział uśmiechając się, byłaby nadto wybredną, gdyby nie miała połączyć swoich oklasków z oklaskami publiczności. Tak, mój przyjacielu, podróż twoja do Toledu była bardzo szczęśliwą. Zachwyciła mnie Lukrecya i mam nadzieję, że i królowi gra jéj podoba się.

Rozdział III.

Lukrecya wielką robi wrzawę u dworu, występuje przed królem.

Piérwsze wystąpienie dwóch nowych aktorek, zyskało wielki rozgłos u dworu; mówiono o niém nazajutrz przy ubieraniu się króla. Niektórzy panowie sadzili się szczególniéj na pochwały młodéj Lukrecyi: w tak pięknych malowali ją barwach, że to uderzyło monarchę, tłumiąc atoli wrażenie, jakie na umyśle jego te rozmowy sprawiły, nie rzekł ani słowa i zdawał się wcale na to nie zważać.

Zostawszy sam na sam z hrabią-księciem zapytał się, coby to była za jedna ta młoda aktorka, którą tak wychwalano. Minister odpowiedział, że to jest osoba z trupy toledańskiéj, wczoraj po raz piérwszy występująca z wielkiém powodzeniem. Nazywa się, dodał Lukrecya, imię dziwnie odpowiadające podobnemu powołaniu. Jest to dawna znajomość Santillany, on tyle mi dobrego o niéj nagadał, żem uznał za rzecz przyzwoitą wezwać ją do trupy teatru W. K. Mości. Król uśmiechnął się usłyszawszy moje nazwisko: być może, iż sobie przypomniał, że to ja zapoznałem go z Cataliną, a może przeczuwał że i teraz przydam się do podobnejże posługi. Hrabio, rzekł do ministra, jutro chcę widzieć grającą tę Lukrecyę, chcę, żebyć ją o tém kazał zawiadomić.

Minister opowiedziawszy mi rozmowę z królem i oświadczywszy jego wolę, posłał mnie do moich aktorek, ażebym je ostrzegł. Pospieszyłem do nich czémprędzéj, najpierwéj zaś spotkawszy Laurę, rzekłem jéj, przybywam do was z wielką nowiną, jutro pomiędzy słuchaczami będziecie miały władcę monarchii i o tém minister kazał was zawiadomić. Nie wątpię, że starać się będziecie obiedwie godnie odpowiedzieć zaszczytowi, jaki wam monarcha robi, lecz radzę wam, wybierzcie sztukę, do któréj wchodzi taniec i śpiéw, aby Lukrecya wszystkiemi talentami jakie posiada, zwróciła na siebie uwagę. Usłuchamy twojéj rady, odpowiedziała Laura, nie zaniedbamy niczego aby zadowolić monarchę, o ile to od nas zależyć będzie. Oh, zadowolicie bez wątpienia, rzekłem, spostrzegłszy Lukrecyą wchodzącą w rannem ubraniu, które jéj więcéj dodawało wdzięków, niż najpyszniejsze stroje teatralne; osobliwie téż Lukrecya potrafi go zabawić, lubi bowiem nadewszystko taniec i śpiéw: a kto wié, czy nie zyska jego przychylności. Co tego to wcale sobie nie życzę, odezwała się Laura, mimo całą potęgę swoją, mógłby w tém natrafić na wielkie zawady: Lukrecya, choć pomiędzy kulisami teatralnemi wychowana, jest przecie cnotliwą, a lubo znajduje przyjemność w oklaskach teatralnych, przenosi jednak imię uczciwéj dziewicy, nad wzięte dobréj aktorki.

Moja ciociu, odezwała się wtedy mała Marialva, wtrącając się do rozmowy, na co marzyć o potworach, aby z nimi walki staczać? Do tego nigdy nie przyjdzie, abym miała być zmuszona odpychać oświadczenia takiego pana: wykwintny gust jego zabezpieczy go od wyrzutów, na jakieby zasługiwał, gdyby się miał poniżyć zwracając oczy ku mnie. Lecz nadobna Lukrecyo, rzekłem jéj, a gdyby już to nastąpiło, byłażbyś dosyć srogą odrzucając jego dobre chęci? dlaczego nie? odpowiedziała. Tak jest bez wątpienia, a odsunąwszy nawet cnotę na stronę, czuję, że próżność moja więcéjby chluby znalazła w odepchnięciu tych zabiegów, niżeli w poddaniu się. Zdumiałem się na takową mowę wychowanki Laury, opuściłem je, uwielbiając matkę za takowe ukształcenie córki.

Nazajutrz król ciekawy widzieć Lukrecyą, udał się do teatru. Przedstawiono sztukę przeplataną tańcami i śpiéwem, w któréj nasza młoda aktorka pięknie jaśniała. Od początku komedyi aż do końca, z oka nie spuszczałem monarchy, chcąc z jego wejrzenia wyczytać myśl jego; ale całą moją przenikliwość zawiódł, zachowując postawę poważną i niewzruszoną. Nazajutrz dopiéro dowiedziałem się com wiedzieć pragnął. Santillano, odezwał się do mnie minister, w téj chwili opuściłem króla, mówił ze mną o Lukrecyi z takim zapałem, że nie wątpię wcale iż go potrafiła zająć, że zaś powiedziałem mu, że tyś ją sprowadził z Toledu, objawił mi więc chęć rozmówienia się z tobą w tym względzie, udaj się natychmiast do pokojów królewskich, rozkaz wpuszczenia cię już wydany; spiesz się i wracaj zdać mi sprawę z téj rozmowy.

Pobiegłem do króla i zastałem go samego. Przechodził się wielkiemi krokami oczekując na mnie i zdawał się być niespokojnym. Rzucił mi kilka pytań tyczących się Lukrecyi, i kazał mi opowiedzieć jéj historyą; następnie zapytał się czy ta młoda osoba nie wdawała się już w jakie miłostki. Śmiało zaręczyłem że nie, mimo płochość podobnego rodzaju zaręczeń; aléż to zdało się być bardzo przyjemne mojemu władzcy.

Kiedy tak jest, wybieram cię więc na posłannika do Lukrecyi; chcę aby przez twoje usta dowiedziała się o swojém szczęściu; idź, donieś jéj odemnie, a podając mi pudełko, przeszło za pięćdziesiąt tysięcy talarów klejnotów zawiérające, dodał, proś ją niech przyjmie ten dar, nim jéj okaże ważniejsze dowody mojéj przychylności.

Nim zabrałem się do spełnienia tego rozkazu, poszedłem pierwéj do hrabiego-księcia i opowiedziałem mu wszystko rzetelnie. Wystawiałem sobie, że to bardziéj zasmuci ministra, a nie rozweseli, bo zdawało mi się, że on sam ma jakoweś widoki miłosne względem Lukrecyi, doniesienie więc moje, będzie dla niego przedmiotem udręczenia, i w tém się myliłem. Zamiast okazać się zasmuconym, on przeciwnie objawił tak wielką radość, że nie mogąc jéj pohamować, wyrwał się z kilką wyrazami, które nie poszły z wiatrem. „Oho! mam cię, zawołał." Ten wykrzyknik objawił mi cały obrot mojego pana; spostrzegłem że hrabia-książę starał się wynaleźć dla króla miłą rozrywkę, z jego humorem zgodną.

Rozdział IV.

Minister nowy porucza urząd Santillanie.

Wypadki ostatnie, niemiłe na umyśle moim sprawiły wrażenie; postanowiłem na zawsze zrzec się powołania Merkuryusza, oświadczyłem ministrowi wstręt, jaki miałem do laski tego bożka, prosząc go, aby mnie do czego innego użył. Zdziwił się nad tą moją cnotą. Santillano, rzekł mi, twoja drażliwość podoba mi się, a ponieważ tak uczciwym jesteś człowiekiem, chcę ci wskazać zajęcie, odpowiedniejsze twoim obyczajom. Powiém ci o co idzie, słuchaj z uwagą mojego zwierzenia.

Kilka lat pierwéj nim miałem szczęście pozyskać zaufanie monarchy, przypadkiem ujrzałem kobiétę, która mi się zdała tak przystojną i piękną, żem kazał ją śledzić. Dowiedziałem się, że jest rodem z Genui, zowie się Małgorzata Spinola, a obecnie żyje w Madrycie; powiedziano mi nawet, że don Franciszek de Valeasar, alkald dworski, człowiek bogaty, znakomite łoży summy, dla pozyskania jéj względów. Takowe wiadomości zamiast obudzić wzgardę, zapaliły w sercu mojém żądzę gwałtowną zbliżenia się do niéj. Takie było moje urojenie; dla urzeczywistnienia go, użyłem pomocy pośredniczki, która mi nie długo wyjednała sekretne spotkanie się z Genuenką. Takowe spotykania się późniéj były dosyć częste, a przyjęcie zawsze uprzejme.

Cóżkolwiekbądź, Małgorzata nie jednym zaszczycona hołdem, niespodzianie została matką i powiła syna, którego sama żywić musiała, nie mogąc znaleźć dla niego opiekuna. Upłynęło lat ośmnaście, gdy genuenka umarła, zostawiwszy syna bez majątku, a co gorsza, bez wychowania.

Otóż właśnie, mówił daléj minister, to jest, z czém się miałem zwierzyć; teraz wyjawię ci wielki zamiar jaki powziąłem. Chcę wydobyć z nicości tego nieszczęśliwego chłopca, a wprowadzając go z jednéj ostateczności w drugą, chcę go uznać za mojego syna i wznieść do godności.

Na tak szalony zamiar nie mogłem milczéć. Jak to panie, odezwałem się, Wasza wysokość mogłeś powziąć myśl tak dziwaczną? Wybacz mi panie to wyrażenie, jest ono wypływem mojego przywiązania. To moje postanowienie, odpowiedział natychmiast, uznasz rozsądném, skoro ci powiém przyczynę, jaka mnie do tego przywiodła. Nie chcę, aby spadkobiercami moimi byli krewni z pobocznéj linii. Powiész może, iż nie jestem jeszcze w tak podeszłym wieku, abym miał pozbyć się nadziei miéć potomstwo z mojéj małżonki. Każdy atoli zna siebie samego; dość będzie gdy ci powiém, iż chemia nie ma ani jednego tajnika, któregobym nie doświadczył, by miéć pociechę ojcostwa. Tak więc gdy los przychodząc w pomoc usterkom natury, nastręcza mi dziécię, którego w gruncie rzeczy może istotnie jestem ojcem, przysposabiam je więc i to rzecz skończona!

Spostrzegłszy że minister nabitą ma głowę tém przysposobieniem, już się nie sprzeciwiałem, wiedząc, że gotów jest największe spełnić głupstwo, ale zdania swojego nie cofnie. Idzie teraz jedynie, dodał minister, o przyzwoite ukształcenie don Henryka Filipa de Guzman, chcę bowiem aby takie miał imię, póki nie stanie się zdolnym do piastowania godności, które nań czekają. Ciebie, mój kochany Santillano, wybrałem na jego przewodnika; polegam na twoim rozsądku i przywiązaniu do mnie, ty zatrudnisz się urządzeniem jego domu, wybierzesz mu nauczycieli, słowem, zajmiesz się jego zupełném ukształceniem. Chciałem się wymawiać od przyjęcia tego obowiązku, oświadczając hrabi-księciu, że mi nie przystoi wcale zajmować się wychowaniem młodych panów, nie trudniąc się nigdy tém powołaniem, które wymaga więcéj światła i zdolności, niżeli ja miéć mogę; lecz przerwał mi i zamknął usta mówiąc, że chce stanowczo, abym był guwernerem tego syna przysposobionego, którego przeznacza na najpiérwsze dostojeństwa monarchii. Gotowałem się więc do zajęcia téj posady, by zaspokoić Jego Wysokość, który za tę moją usłużność powiększył szczupłe moje dochody dodatkiem tysiąca talarów, które wyjednał, czyli raczéj, które mi wyznaczył z komanderyi Membra.

Rozdział V.

Przysposobienie syna włoszki. Gil Blas urządza dom jego i wybiera nauczycieli.

W rzeczy saméj, hrabia-książę nie omieszkał przyznać syna dony Małgorzaty Spinola; akt zaś tego przyznania, ułożony został za uznaniem i zezwoleniem króla. Don Henryk Filip de Guzman, tak nazwano to dziécię kilku ojców, uznany został jedynym dziedzicem hrabstwa Olivarez i księstwa San Lucar. Żeby to zaś nikomu tajném nie było, minister za pośrednictwem sekretarza Carnero zawiadomił o tém posłów zagranicznych i grandów hiszpańskich, którzy się tém bardzo zdziwili. Żartownisie madryccy na długi czas mieli przedmiot do śmieszków, a poeci satyryczni nie pominęli tak pięknéj sposobności do wylania swojéj żółci na papiér.

Pytałem się hrabiego-księcia, gdzieby był młodzieniec powierzony mojéj troskliwości. Jest tu w mieście, odpowiedział, pod opieką ciotki, odbiorę go natychmiast, skoro urządzisz dom dla niego; co się niebawnie uskuteczniło. Najałem pałac i wymeblowałem go z przepychem. Zgodziłem odźwiernego, paziów, lokajów i przy pomocy Caporysa, zapełniłem dom oficyalistami. Kiedym już miał wszystko gotowe, zawiadomiłem Jego Wysokość, który zaraz posłał po tę nową i dwuznaczną odrośl szczepu Guzmanów. Ujrzałem chłopca wyrosłego, postawy dosyć przyjemnéj. Don Henryku, odezwał się doń minister, wskazując palcem na mnie, ten pan, którego widzisz przed sobą, jest przewodnikiem, którego ci wybrałem na drogę tego świata; mam w nim zupełne zaufanie i zlewam na niego władzę nieograniczoną nad tobą. Tak jest Santillano, dodał, zwracając mowę do mnie, poruczam ci go nie wątpiąc, że mi się dobrze wywiążesz. Do tego dodał jeszcze minister kilka wyrazów zalecających młodemu stosowanie się do mojéj woli, poczém zabrawszy z sobą don Henryka, udałem się do jego pałacu.

Skorośmy tylko przybyli do mieszkania, przedstawiłem mu wszystkich domowników, wymieniając obowiązki, jakie każdy miał spełniać. Nie okazał najmniejszego odurzenia z takowéj przemiany stanu, a przyjmując uszanowanie i usłużne zabiegi jakie mu okazywano, zdawał się być zawsze tém, czém go traf zrobił. Nie zbywało mu na zdolnościach, ale pod względem ukształcenia, był zupełnie ciemny, zaledwie umiał cokolwiek pisać i czytać. Umieściłem przy nim nauczyciela do języka łacińskiego, przybrałem nauczyciela geografii, innego do historyi, innego do fechtowania. Łatwo się domyśléć, żem nie zapomniał o mistrzu tańca: wybór tylko był trudny dla mnie; było wówczas w Madrycie tylu słynnych mistrzów tańca, żem nie wiedział, któremu dać piérwszeństwo.

Kiedy tak łamałem głowę, ujrzałem wchodzącego na dziedziniec naszego pałacu człowieka bogato przystrojonego. Powiedziano mi, że chce ze mną mówić. Wyszedłem naprzeciw niego, rozumiejąc, że to jest przynajmniéj kawaler zakonu św. Jakóba lub Alcantara. Zapytałem się, czém mu mam służyć. Panie de Santillana, odpowiedział, złożywszy mi kilka nizkich

ukłonów, trącących jego powołaniem; ponieważ powiedziano mi, że Wasza Wielmożność wybierasz mistrzów dla don Henryka, przychodzę więc ofiarować mu moje usługi; nazywam się Marcin Ligero, i dzięki Bogu, mam niejaką wziętość. Nie jest to moim zwyczajem, żebrać uczniów; to tylko przystoi maluczkim tancmistrzom. Ja pospolicie czekam, aby mnie szukano, ale ucząc księcia Medina Sidonia, don Ludwika de Haro i kilku innych panów z rodziny Guzman, któréj w pewnym względzie jestem familijnym, urodzonym sługą, uważałem za mój obowiązek, uprzedzić pana o tém. Z téj mowy pana, przekonywam się, rzekłem mu, że jesteś właśnie tym, którego nam potrzeba. Ile pan bierzesz na miesiąc? Cztery dublony, to jest moja cena stała, odpowiedział, i tylko dwie lekcye daję na tydzień. Cztery dublony na miesiąc! zawołałem, to za wiele. Jak to za wiele! odpowiedział zdziwiony, a przecież pan musiałbyś dać przynajmniéj luidora nauczycielowi filozofii.

Trudno było wstrzymać się na tak zabawną odpowiedź, dla tego téż zacząłem śmiać się szczerze, i zapytałem pana Ligero, czy w istocie przekonany jest, że człowiek jego powołania więcéj wart od nauczyciela filozofii. A jużci bez wątpienia tak myślę, my jesteśmy w świecie daleko użyteczniejsi od nich. Czemże są ludzie, nim przejdą przez nasze ręce? Bałwany niewykrzesane, niedźwiedzie nie wylizane: nasza nauka rozwija ich powoli, i nadaje im kształty; słowem uczymy ich poruszeń miłych, nadajemy im postawę i minę szlachetną i pełną powagi.

Przystałem na powody mistrza tańca i zatrzymałem go do nauki don Henryka za cztery dublony na miesiąc, ponieważ to była cena przyjęta dla wielkich mistrzów sztuki.

Rozdział VI.

Scypion wraca z nowéj Hiszpanii. Gil Blas daje mu miejsce przy don Henryku. O nauce młodego panicza i jego ożenieniu. Gil Blas uszlachcony mimowolnie.

Jeszcze w połowie dwór don Henryka nie był zapełniony, kiedy Scypion powrócił z Mexyku. Zapytałem cię czy kontent był z podróży. Muszę być, odpowiedział, ponieważ za trzy tysiące dukatów w monecie, dwa razy tyle przywiozłem towarów łatwych do pozbycia w kraju. Winszuję ci mój kochany, rzekłem, otóż piérwszy początek zbogacenia się; od ciebie tylko zależyć będzie dokończenie, skoro w roku następnym udasz się znowu do Indyj; jeżelibyś zaś przeniósł miejsce przyjemne w Madrycie nad zbiory z takim trudem w tak odległych stronach, mów, a zaraz ci dam takowe. Oh, dalibóg, rzekł syn Coscoiny, nie ma się nad czém namyślać; wolę spełniać obowiązki korzystne przy panu, aniżeli narażać się na niebezpieczeństwa długiéj żeglugi, bez względu nawet na największe zżądz korzyści. Jaśniéj się pan wytłumacz, jakie zatrudnienie przeznaczasz dla twojego sługi?

Żeby mu lepiéj przedstawić rzecz, opowiedziałem mu historyą małego pana, którego hrabia-książę wprowadził do rodziny Guzmanów. Wyłuszczywszy mu wszystkie szczegóły ciekawe, zawiadomiwszy, że minister mianował mnie guwernerem don Henryka, oświadczyłem mu, że chcę go przyjąć na szatnego przy tym synu przysposobionym. Scypion nie pragnący niczego lepszego, przyjął to z chęcią i w tém powołaniu tak się zręcznie sprawił, iż ledwie trzy, czy cztery dni upłynęło, a już zupełne zaufanie i przyjaźń nowego pana pozyskał.

Wystawiałem sobie, że pedagogowie, których wybrałem dla nauczenia syna gennenki, rzucać będą groch na ścianę ze swoją łaciną, bo wiek jego zdawał się nie bardzo zgadzać z pierwiastkami nauk, a przecież myliłem się. Rozumiał i z łatwością pamiętał czego go uczono, nauczyciele bardzo byli z niego zadowoleni. Pospieszyłem z tą miłą nowiną do hrabiego-księcia, który ją przyjął z niewymowną radością. Santillano, zawołał w uniesieniu, zachwycasz mnie swójém doniesieniem, że don Henryk ma wielką pamięć i pojęcie, poznaję w tém krew moję; a co mnie stanowczo przekonywa, że jest synem moim, to, że czuję do niego takie przywiązanie, jak gdyby z prawych pochodził związków. Widzisz mój przyjacielu, jak to się natura odzywa. Nie chciałem wystąpić z moją myślą w tym względzie, a szanując słabość ministra nie chciałem go pozbawiać rozkoszy, jaką czuł wierząc że jest ojcem don Henryka.

Lubo wszyscy Guzmanowie śmiertelną pałali nienawiścią ku młodemu panu świeżéj daty, taili ją przecież, niektórzy nawet udawali, że się starają o jego przyjaźń: posłowie i grandowie bawiący podówczas w Madrycie, odwiedzali go z takiém uszanowaniem, jak gdyby był prawém dzieckiem hrabi-księcia. Minister uradowany, patrząc na swoje bożyszcze dymem kadzidł otoczone, starał się wznieść go do godności. Na piérwszy wstęp prosił króla o krzyż zakonu Alcantara z komanderyą dziesięciu tysięcy talarów. Wkrótce potém wyjednał mu zaszczytny tytuł szlachcica pokojowego królewskiego. Następnie postanowiwszy go ożenić, chciał mu wybrać dziewicę z najszlachetniejszéj rodziny hiszpańskiéj, i dlatego zwrócił oczy na donę Joannę de Velasco, córkę księcia Kastylii; tyle zaś miał mocy i powagi, iż postawił na swojém, mimo niechęć księcia i krewnych jego.

Na kilka dni przed godami weselnemi jego wysokość wezwawszy mnie do siebie, rzekł, podając mi papier, oto masz Gil Blasie nowy dar z mojéj strony. Spodziewam się, że ci to nie będzie przykre, masz patent szlachectwa, który kazałem wygotować dla ciebie. Zdziwiony tą mową, odezwałem się, Wasza Wysokość wiész przecie, że jestem synem koniuszego i dozorczyni; zdaje mi się, że jest wielkie spospolitowanie szlachectwa to załączenie mojéj osoby do niego, że ze wszystkich łask, jakiemi mnie J. K. Mość obdarzyć może, ta jedna jest na którą najmniéj zasłużyłem któréj wcale nie pragnę. Ród twój jest zawadą nader łatwą do usunięcia. Używany byłeś do spraw państwa za ministerstwa księcia Lerma i za mojego; prócz tego, dodał z uśmiéchem, nie oddałżeś królowi usług godnych nagrody? Słowem, Santillano, zasługujesz zupełnie na ten zaszczyt, który ci wyjednałem; jeszcze jedna przyczyna, a przeciw téj ani słowa, stopień jaki zajmujesz przy moim synu, wymaga koniecznie żebyś był szlachcicem; przyznam ci się nawet, iż dlatego jedynie daję ci patent szlachectwa. Poddaję się, rzekłem, ponieważ tak chce koniecznie Wasza Wysokość. To powiedziawszy wyszedłem, wtroczywszy do kieszeni mój dyplom.

Otóż teraz jestem szlachcicem! mówiłem sam do siebie wyszedłszy na ulicę; jestem szlachcicem bez żadnego obowiązku dla rodziców: będę mógł, jak mi się podoba, nazywać się don Gil Blas; a jeżeliby kto z moich znajomych poważył się uśmiechnąć tytułując mnie w ten sposób: natychmiast mu oczy wykolę moim patentem. Ależ przeczytajmy go, mówiłem sobie wyciągając go z kieszeni; zobaczmy jakim téż sposobem zmywają plamę nizkiego rodu. Czytałem więc mój dyplom, którego treść była, że król Jmć w uznaniu gorliwości jaką nie raz objawiłem w usługach jego i dla dobra kraju, uznał za stosowne obdarzyć mnie patentem szlachectwa. Mogę się śmiało pochlubić, że ten zaszczyt nie obudził we mnie żadnéj dumy. Mając zawsze przed oczyma nizki mój początek, ta łaska upokarzała mnie raczéj, nienadymając wcale; dlatego téż postanowiłem patent mój zamknąć w szawce nie chełpiąc się z niego.

Rozdział VII.

Gil Blas przypadkiem spotyka Fabrycego, ostatnia ich rozmowa.

Poeta asturyjski, jak to łatwo było spostrzedz, nie wiele dbał o mnie. Mnie zatrudnienia liczne nie pozwalały go odwiedzać, tak więc nie widziałem go od czasu owéj rozprawy o *Ifigenii* Eurypidesa. Traf zrządził, iż go spotkałem raz jeszcze nie daleko bramy słońca. Wychodził z drukarni. Przystąpiłem do niego, mówiąc: Oho! panie Nunez, wychodzisz od drukarza; to zdaje się zagrażać publiczności nowém dziełem twojego układu.

Tego właśnie spodziewać się należy, odpowiedział mi: powiém ci, iż zabrałem się do napisania ulotnego pisemka, które jest pod prasą, a musi wielką wywołać wrzawę w rzeczypospolitéj literackiéj. Nie wątpię bynajmniéj o wartości twojego płodu, rzekłem, ale dziwi mnie, że się bawisz w ulotne pisemka: zdaje mi się, że takowe fraszki nie wielki zaszczyt przy-

noszą talentowi. Są niekiedy i dobre, odpowiedział Fabrycy. Moje naprzykład pisemko należy do tego rodzaju, chociaż układałem je na prędce: bo muszę ci się przyznać, że to jest dzieło potrzeby. Głód, jak wiesz, wypędza wilka z lasu.

Jak to! zawołałem, głód! i toż to autor *hrabiego de Saldagne*, tak się odzywa do mnie? człowiek mający dwa tysiące talarów renty możesz tak mówić? Powoli, mój przyjacielu, przerwał mi Nunez, już nie jestem owym szczęśliwym poetą, który żył z pensyi regularnie wypłacanéj. Jakiś nieład zakradł się niespodzianie do interesów podskarbiego Bertranda; roztrwonił grosz królewski, dobra jego zajęto i moją pensyą djabli wzięli. To rzecz smutna, rzekłem, ale czy już nie masz nadziei z téj strony? Najmniejszéj, odpowiedział: pan Gomez de Ribero, taki sam biedak, jak jego poeta, wpadł w odmęt i jak mówią, już nigdy nie wypłynie.

Tym sposobem, mówiłem mu, muszę ci mój przyjacielu dać jaką posadę, któraby cię pocieszyła po stracie twojéj pensyi, Uwalniam cię od tego trudu, odpowiedział; gdybyś mi w biurze ministra ofiarował urząd z pensyą trzech tysięcy talarów, odmówiłbym przyjęcia: zatrudnienia urzędowe nie przystoją wcale wychowańcom muz; trzeba mi literackich rozrywek. Wreszcie cóż ci mam obwijać w bawełnę! urodziłem się aby żyć i umierać jak poeta, chcę więc spełnić moje przeznaczenie.

Nie wystawiaj atoli sobie, mówił daléj, abyśmy byli tak bardzo nieszczęśliwi; prócz zupełnéj niezawisłości, żyjemy sobie po hultajsku bez żadnéj troski. Myślą, że my często przestajemy na uczcie Demokryta, i w tém się bardzo mylą. Ani jednego nie ma z moich spółtowarzyszów, nie wyjmując nawet kujących almanachy, któryby nie był stołownikiem w jakim porządnym domu; ja mam takich dwa, w których mnie z radością przyjmują. Mam dwa obiady pewne; jeden u bogatego naddzierżawcy dóbr rządowych, któremu przypisałem jeden romans; drugi u zamożnego mieszczanina Madryckiego, którego szał opanował, aby koniecznie mieć na obiedzie poetę. Szczęściem nie jest bardzo wybredny w wyborze, dla tego miasto nasze dostarcza mu ich tyle, ile tylko chce.

Nie żałuję cię więc, rzekłem asturyjskiemu poecie, ponieważ kontent jesteś z twojego stanu. Stem wszystkiem powtarzam ci jeszcze raz, że zawsze w osobie Gil Blasa masz przyjaciela chociaż niedbasz o niego; jeżeli będziesz potrzebował mojéj sakiewki, przychodź śmiało; fałszywy wstyd niech cię nie pozbawia téj nieochybnéj pomocy, a mnie przyjemności usłużenia ci w potrzebie.

Po tych szlachetnych uczuciach, odezwał się Nunez, poznaję Santillanę, i tysiączne ci składam dzięki za łaskawe ku mnie usposobienie; przez wdzięczność muszę ci dać radę zbawienną. Kiedy jeszcze hrabia-książę wszystko może, a ty zaszczycasz się jego łaską, korzystaj z czasu, zbieraj jak możesz; bo jak mnie mówiono, już się chwieje na swojéj podstawie. Zapytałem się Fabrycego, czyliby tę wiadomość z dobrego powziął źródła, na co odpowiedział, wiem to od starego kawalera Calatrawy, który szczególniejszym obdarzony jest talentem wyszperania rzeczy najtajniejszych, słuchają tego człowieka jak wyroczni, i oto com słyszał wczoraj od niego. Hrabia-książę ma mnóstwo wrogów, którzy się spiknęli na jego zgubę; za nadto on spuszcza się na przewagę, jaką ma nad umysłem króla; monarcha, jak mówią, zaczyna słuchać skarg, które go dochodzą. Podziękowałem Nunezowi za jego ostrzeżenie; mało jednak baczyłem na nie i wróciłem do domu z tém przekonaniem, że powaga mojego pana jest niezachwianą, wystawiłem go sobie jak ów dąb odwieczny, który zakorzeniwszy się wśród lasu, wszelkim burzom śmiałe stawi czoło.

Rozdział VIII.

Jak Gil Blas przekonał się, że Fabrycy miał słuszność. Podróż króla do Saragossy.

Co mi poeta asturyjski powiedział, okazało się nie bezzasadne. W pałacu zawiązała się tajna konfederacya przeciw hrabi-księciu, utrzymywano zaś, że królowa była na jéj czele; a jednakże nic i nic na jaw nie wychodziło ze środków przedsięwziętych ku wysadzeniu piérwszego ministra. Przeszło rok upłynęło od tego czasu, gdy nie mogłem dostrzedz, aby względy ministra miały w czémkolwiek szwankować.

Bunt katalończyków wspieranych przez Francyą, niepowodzenie oręża przeciw zbuntowanym, wywołały szemrania ludu i skargi przeciw rządowi. Te skargi spowodowały wielką radę w obecności króla, którego wolą było, aby margrabia la Grana, poseł cesarza niemieckiego, znajdował się na téj radzie. Podano pod rozwagę, czyby nie wypadało królowi udać się do Aragonii i pokazać się wojskom swoim. Hrabia-książę pragnąc, aby król nie udawał się do armii, najpiérwszy wystąpił ze swojém zdaniem. Przedstawiał on, że z godnością majestatu królewskiego nie zgadza się, aby monarcha oddalał się ze środka swojego państwa, zdanie to zaś popiérał wszelkiemi powodami, jakie mu tylko jego wymowa nastręczyć potrafiła. Zaledwie skończył, a zdanie jego potwierdziła cała rada z wyjątkiem margrabiego la Grana, który idąc za popędem przywiązania do domu austryackiego, uniesiony szczerotą swojego narodu, zbijał zdanie piérwszego ministra, i swoje mniemanie z taką siłą popierał, że król uderzony gruntownością rozumowania przeszedł na jego stronę, chociaż przeciwną ogólnemu zdaniu rady i naznaczył dzień wyjazdu do wojska.

Piérwszy to raz w życiu król odważył się inaczéj myśléć niż jego ulubieniec; który tę nowość poczytując za zniewagę mocno się zmartwił. Wracając więc do swojego gabinetu by swobodnie dumać nad tym wypadkiem, spostrzegł mnie, zawołał i wprowadziwszy z sobą, opowiedział mi z pewnem wzruszeniem zajście w radzie: następnie jako człowiek nie wychodzący z zadumienia, odezwał się, otóż to, Santillano, król, który od lat dwudziestu mojemi tylko mówił ustami, moimi patrzył oczyma, dziś przeniósł zdanie de Grany nad moje, i to jeszcze w jakim sposobie? obsypując pochwałami ambassadora, uwielbiając jego gorliwość w usługach domu austryackiego, jak gdyby ten niemiec był gorliwszym ode mnie.

Łatwy ztąd wniosek, mówił daléj minister, że się utworzyło stronnictwo przeciw mnie, mam zaś powody domyśléć się, że królowa stoi na jego czele. Panie, rzekłem, maszcie to niepokoić? możeszże obawiać się królowéj? monarchini od lat dwudziestu już przywykła widzieć cię przy styrze rządu, a król nie ma zwyczaju pytać się jéj o radę. Co się tyczy margrabiego de Grana, król zapewne poszedł za jego zdaniem przez chęć oglądania wojska i odbycia wyprawy. Nie rozumiesz tego, przerwał minister; powiédz raczéj, że nieprzyjaciele moi spodziewają się, iż król stanąwszy pośród wojska, otoczony będzie panami orszak jego tworzącymi, że między nimi znajdą się tacy, którzy odważą się czernić mój zarząd. Ale się mylą, dodał; potrafię ja w czasie téj podróży zrobić króla nieprzystępnym dla grandów; czego dokazał w istocie w sposób zasługujący na bliższe wyszczególnienie.

Nadszedł dzień wyjazdu: król zdawszy rządy państwa na małżonkę swoją, ruszył do Saragossy. Przejeżdżając przez Aranhuez, tak sobie podobał w tém miejscu rozkosznem, że przepędził tam blizko trzy tygodnie. Z Aranhuez minister skierował drogę do Cuency, gdzie go dłużéj jeszcze zatrzymał, przygotowawszy mu różne rozrywki. Następnie przyjemności myśliwskie zajęły dość długo króla w Molina w Aragonii, po czém udał się do Saragossy. Wojsko było nie daleko ztamtąd i król miał zamiar udać się do niego; lecz hrabia-książę odjął mu wszelką ochotę, przekonawszy go, że się może narazić na niebezpieczeństwo pojmania przez Francuzów, którzy owładnęli równiny Monęon; tym sposobem król przerażony niebezpieczeństwem zupełnie urojonem, zamknął się w pałacu swoim jak w więzieniu. Minister korzystając z jego trwogi, pod pozorem czuwania nad jego bezpieczeństwem, miał go zawsze na oku; tak dalece, że grandowie i możni państwa poniosłszy nadzwyczajne wydatki dla zaszczytu towarzyszenia monarsze, nie mieli nawet tyle pociechy, iżby mogli uzyskać prywatne posłuchanie. Z resztą król znudzony niedogodném pomieszkaniem w Saragossie, nie mając żadnych rozrywek, siedząc jak jeniec wojenny, porzucił stolicę Aragonii i wrócił do Madrytu. Tak

skończyła się ta wyprawa, margrabia de los Velez, generał wojsk królewskich, zatrzymał i na dal obowiązek utrzymywania honoru oręża hiszpańskiego.

Rozdział IX.

Rewolucya portugalska. Minister traci łaskę.

W kilka dni po powrocie króla rozbiegła się po Madrycie wieść złowroga, że portugalczycy uważając powstanie katalońskie jako szczęsnym losem nastręczoną sobie sposobność zrzucenia władzy hiszpańskiéj, nie omieszkali z niéj korzystać; wzięli się do broni, ogłosili królem księcia Braganzy, postanowili utrzymać go na tronie i pewni byli pomyślnego skutku, ponieważ wówczas Hiszpania miała nieprzyjaciół na karku w Niemczech, we Włoszek, we Flandryi i w Katalonii. W istocie dogodniejszéj pory wybrać nie mogli by się pozbyć panowania uciążliwego.

Osobliwsza rzecz wszakże, gdy dwór i całe miasto przerażone było tą nowiną, hrabia-książę chciał przed królem żarciki stroić kosztem księcia Braganza; lecz szydercze pociski nie w porę rzucone, zwracają się pospolicie na tych, którzy je miotają. Filip zamiast bawić się niedorzecznym dowcipem, przybrał postawę surową, która zmieszała ministra, zapowiadając mu utratę łaski. Już nie wątpił bynajmniéj o swoim upadku minister, powziąwszy wiadomość, że królowa otwarcie oświadczyła się przeciw niemu, powstanie Portugalii przypisując jego złym rządom. Większa część grandów, a mianowicie ci, którzy byli w orszaku króla w Saragossie, ujrzawszy zbierającą się burzę nad głową ministra, połączyli się z królową. Ostateczny zaś cios zadała księżna wdowa mantuańska, była rządczyni Portugalii, która wróciwszy do Madrytu przedstawiła królowi wyraźnie, że rewolucya tego kraju wybuchła jedynie z winy piérwszego ministra.

Wyrazy księżnéj silne zrobiły wrażenie na umyśle króla, tak dalece, iż porzucając dawne swoje uprzedzenie, wyzuł się z wszelkiéj ku niemu przychylności. Minister zawiadomiony, że król słucha jego wrogów, napisał do niego list z prośbą o pozwolenie złożenia urzędu i oddalenia się od dworu, ponieważ niesłusznie przypisują mu wszystkie nieszczęścia monarchii, za jego rządu wydarzone. Rozumiał, że list ten wielki sprawi skutek, że król dosyć jeszcze mając względów dla niego, nie zezwoli na jego oddalenie, lecz monarcha w odpowiedzi swojéj przychylił się do jego żądania, pozwalając mu udać się dokądby sobie życzył.

Te wyrazy własną ręką króla napisane były gromem dla ministra, którego się wcale nie spodziewał. Stém wszystkiem chociaż odurzony tym ciosem, udawał jednak postawę spokojną i pytał się mnie, cobym téż ja zrobił w jego miejscu. Moje postanowienie w tym względzie, rzekłem, byłoby nader łatwe: udałbym się do dóbr i tam resztę dni w spokojności przepędzał. Bardzo rozsądnie myślisz, odpowiedział mój pan, i ja zamierzam skończyć mój zawód w Loeches, skoro tylko raz jeszcze rozmówię się z królem: radbym mu przedstawić, że zrobiłem wszystko, co tylko było w mocy ludzkiéj, by godnie dźwigać ciężkie brzemię, jakiem mnie obarczono, że nie odemnie zależało zapobiedz smutnym wypadkom, o które mnie obwiniają, że w tém nie jestem winniejszy od sternika, który mimo całą zręczność, mimo wysilenia, widzi jak fale okręt jego unoszą. Minister pochlebiał sobie, że pomówiwszy z królem potrafi naprawić rzeczy i odzyskać stracone pole, ale nie mógł uzyskać posłuchania, a nadto zażądano od niego zwrotu klucza, który miał przy sobie, aby w każdéj chwili mógł się bez przeszkody dostać do pokojów monarchy.

Widząc że wszelka nadzieja znikła, skłonił się stanowczo do odwrotu. Przejrzał swoje papiery, z których mnóstwo spalił; potém wymienił oficyalistów i służących, mających mu towarzyszyć, wydał rozkazy do odjazdu i dzień następny do tego przeznaczył. Obawiając się jakiéj napaści ze strony motłochu, raniuteńko wymknął się drzwiami kuchennemi, siadł do staréj karety ze spowiednikiem i ze mną i szczęśliwie udał się drogą do Loeches, wioski swojéj dziedzicznéj, w któréj hrabina małżonka jego, kazała wznieść wspaniały klasztor panien reguły św. Dominika. Dostaliśmy się tam w przeciągu czterech godzin niespełna, a reszta osób do orszaku należących, niebawnie za nami przybyła.

Rozdział X.

O spokojności jakiéj hrabia-książę doznał po pierwiastkowych troskach. O zatrudnieniach jego w tém ustroniu.

Pani Olivarez po odjeździe męża, pozostała jeszcze kilka dni przy dworze, probując czy prośbą i łzami nie zmiękczy króla i nie wyjedna przywołania męża; lecz na próżno padała do nóg JJ. KK. Mości, król nie słuchał nawet jéj przedstawień, z wielką zręcznością ułożonych, a królowa nienawidząca jéj, cieszyła się z jéj płaczu. Małżonka ministra nie zrażała się tém, zniżyła się nawet do żebrania pomocy dam honorowych królowéj; wnet atoli spostrzegła, że owocem jéj uniżenia się, była wzgarda bez żadnego politowania. Strapiona, że tyle upokarzających podjęła zabiegów na próżno, udała się do męża, aby podzielać z nim zgryzotę po utracie miejsca, które pod panowaniem Filipa IV było może najpiérwszém w całéj monarchii.

Wiadomość, jaką pani Olivarez przyniosła mężowi, o stanie w jakim opuściła Madryt, podwoiła zgryzotę byłego ministra. Twoje wrogi, mówiła mu, książe Medina Celi i inni grandowie, nie przestają wielbić króla, że ci odjął ministerstwo, a lud obchodzi twoję niełaskę z wyuzdaną radością, jak gdyby kres nieszczęść państwa przywiązany był do upadku twojego. Pani, odezwał się hrabia, idź za moim przykładem, znoś te troski, trzeba uledz burzy, któréj odwrócić nie można. To prawda, że ja mniemałem, iż potrafię utrzymać względy do końca życia; zwykłe złudzenie ulubieńców, którzy zapominają, że los ich jest w ręku ich wszechwładnego pana. Książę de Lerma nie zawiódłże się podobnież jak ja? chociaż rozumiał że purpura którą sobie wyjednał, stanie się pewną rękojmią trwałości jego władzy.

Tym sposobem hrabia-książę zachęcał swoją małżonkę, żeby się uzbroiła cierpliwością, gdy sam ciągłéj doznawał niespokojności, którą bezustannie podsycały odbiérane od don Henryka doniesienia. Ten bowiem syn przysposobiony, został przy dworze, aby baczył na wszystkie obroty, i o tych najściślejszą zdawał sprawę. Scypion doręczał te listy, jeszcze bowiem był u młodego pana, ja zaś oddaliłem się od niego po zaślubieniu z doną Juaną. Każdy z tych listów, nową jakąś, a zawsze przykrą obejmował wiadomość, a na domiar nieszczęścia nie spodziewano się innych od niego. Raz donosił, że grandowie nie poprzestając na objawach radości z powodu usunięcia się hrabiego-księcia, lecz połączonemi siłami starali się pospędzać z urzędów, wszystkich tych, których on podźwignął, miejsca zaś opróżnione, zapełnić jego nieprzyjaciołmi. Drugi raz pisał, że don Ludwik de Haro, coraz większe względy zyskuje i według wszelkiego prawdopodobieństwa, zostanie piérwszym ministrem. Ze wszystkich atoli tych dokuczliwych przewrotów, o których się dowiadywał mój pan, najmocniéj zdawała go się zajmować zmiana wicekrólestwa neapolitańskiego. Godność tę na większą jedynie zgryzotę hrabiego-księcia, odjęto księciu Medina de las Torres, którego był przyjacielem, aby ją ofiarować amirantowi Kastylii, którego zawsze nienawidził.

Można powiedzieć, że przez trzy miesiące Jego Wysokość w ustroniu swojém, samą żył zgryzotą i udręczeniem; lecz spowiednik jego, zakonnik reguły św. Dominika, mąż z gruntowną pobożnością męzką łączący wymowę, potrafił go nieco uspokoić. Przedstawiając mu ciągle z żarliwością, iż teraz jedynie zająć się powinien myślą o swojém zbawieniu, miał szczęście, przy pomocy łaski bozkiéj, oderwać go od dworu. Jego Wysokość nie pragnął już wiadomości z Madrytu i zajmował się jedynie przygotowaniem na śmierć chrześciańską. Pani Olivarez korzystając ze spokojnego schronienia, znalazła w klasztorze swojéj fundacyi pociechę, jakby przez Opatrzność dla niéj przygotowaną; pomiędzy zakonnicami było wiele panien, których mowy pełne bogobojnego namaszczenia, powoli gorycz jéj życia osłodziły. W miarę jak pan mój coraz mniéj zwracał uwagi na sprawy światowe, coraz stawał się spokojniejszym.

Otóż jaki był odtąd porządek jego życia; przez cały prawie poranek słuchał mszy św. w kościele panien zakonnych, po czém zasiadał do obiadu; następnie bawił się ze dwie godziny w rozmaite gry ze mną i kilką innymi służącymi, których szczególniéj polubił; udawał się potém do swojego gabinetu sam i tam zostawał zwykle aż do zachodu słońca; wtedy przechodził się po ogrodzie, albo przejeżdżał w powozie w okolicach zamku w towarzystwie spowiednika lub mojém.

Pewnego dnia, gdy sam jeden byłem z nim, patrząc na wypogodzone jego czoło, ośmieliłem się rzec mu: Panie, pozwól mi wynurzyć radość moję z zadowolenia, jakie na twarzy twojéj spostrzegam, wnoszę, że Wasza Wysokość poczynasz przyzwyczajać się do téj samotności. Już zupełnie do niéj przywykłem, odpowiedział mi, a lubo przez długie lata zajmowałem się sprawami publicznemi, zaręczam ci, mój przyjacielu, że co dzień więcéj smakuję w życiu spokojném i miłém, jakie tu prowadzę.

Rozdział XI.

Hrabia-książę nagle staje się smutny i zamyślony; o przyczynach i skutkach tego.

Jego Wysokość dla urozmaicenia swoich zatrudnień, bawił się niekiedy uprawą swojego ogrodu. Pewnego dnia, gdym się przyglądał jego robocie, odezwał się żartując: Widzisz, Santillano, minister wypędzony ze dworu, został ogrodnikiem w Loeches, odpowiedziałem mu w tymże tonie; wystawiam sobie w téj chwili Dyonizyusza syrakuzańskiego bakałarzem w Koryncie. Rozśmiał się na tę odpowiedź i nie obraziło go porównanie.

Cieszyliśmy się wszyscy w zamku, widząc naszego pana, wyższego nad swoje nieszczęście, znajdującego przyjemność w życiu tak odmiennem od tego, jakie dotąd prowadził, gdy wtém z wielkiém naszym smutkiem spostrzegliśmy nagłą w nim zmianę. Stał się posępnym, zadumanym, w głębokiéj pogrążonym melancholii. Przestał bawić się w gry z nami i zdał się nieczułym na wszystko, cośmy tylko wymyśléć mogli dla jego rozrywki. Po obiedzie zamykał się w gabinecie i tam sam siedział aż do wieczora. Rozumieliśmy, że przypomnienie dawnéj wielkości, było przyczyną jego smutku i w tém przekonaniu, przesłaliśmy na niego ojca dominikana, lecz i jego wymowa nie potrafiła przełamać jego melancholii, która zamiast zmniejszać się, wzmagała się coraz bardziéj.

Wpadło mi na myśl, że smutek ministra, musiał mieć jakąś osobliwszą przyczynę, któréj nie chciał wyjawić, powziąłem więc zamiar wydobycia z niego téj tajemnicy. Żeby tego dojść, czyhałem na sposobność pomówienia z nim bez świadków, a znalazłszy ją: Panie, rzekłem, tonem pełnym uszanowania i przychylności, czy wolno Gil Blasowi odważyć się na zadanie pytania swojemu panu? Możesz mówić, odpowiedział mi, pozwalam ci. Co się zrobiło rzekłem, z tą miną wesołą, która się objawiała na twarzy Waszéj Wysokości. Miałżebyś pan stracić tę przewagę, jakąś zyskał nad losem? Utracone względy, miałyżby na nowo obudzić żal? Miałżebyś wpaść znowu w tę otchłań nudów, z któréj cię męztwo twoje wydobyło? Nie, dzięki Bogu, odpowiedział minister, wspomnienia moje nie sięgają bynajmniéj téj roli, jaką grałem przy dworze, zapomniałem na wieki hołdów, jakie mi tam składano. A więc, odpowiedziałem, kiedy pan masz tyle mocy w wygluzowaniu z pamięci całéj przeszłości, dla czegóż tak słabym jesteś w poddaniu się melancholii, która nas wszystkich niepokoi? Co ci jest najdroższy panie? mówiłem daléj, ściskając jego kolana, bez wątpienia jakaś tajemna zgryzota dręczy cię; możeszże ją ukrywać przed Santillaną, którego znasz gorliwość, wierność i zamilczenie? Jakież nieszczęsne zdarzenie, pozbawiło mnie zaufania?

Posiadasz je zawsze, rzekł hrabia-książę, lecz przyznam ci się, że nie mam ochoty wyjawiać ci przyczynę mojego smutku; jednakże oprzéć się nie mogę prośbom sługi i przyjaciela takiego, jakim ty jesteś. Dowiedz się przeto, co mi dolega a z czém przed jednym tylko Santillaną zwierzyć się ośmielam. Tak jest, mówił daléj, czarna melancholia trawi moje życie, co chwila prawie, przedstawia się oczom moim, strasznéj postaci mara. Naprożno sam sobie tłumaczę, że to tylko złudzenie, że to widmo nie ma w sobie nic rzeczywistego; ustawne wszakże jego objawy, rażą oczy moje i stają się przyczyną niepokoju. Jeżeli z jednéj strony rozsądek dość silny przekonywa mnie, że widząc tę marę, nic nie widzę, z drugiéj strony dość słaby jestem, że się martwię tém widziadłem. Otóż to jest wszystko, com był zmuszony ci powiedzieć, osądź sam teraz, czym nie miał słuszności, tając przed światem przyczynę mojéj melancholii.

Z równym żalem jak podziwieniem, słuchałem dziwnego opowiadania, bo zjawisko to, kazało przypuszczać jakieś rozprzężenie w organizmie. Panie, odezwałem się do niego, nie miałożby to pochodzić ze zbyt skromnego pożywienia? bo wstrzemięźliwość pańska jest przesadzona. Ja właśnie tak myśliłem, odpowiedział, i dla przekonania się, czyby to nie było winą sposobu życia, od kilku dni począłem jeść więcéj niż zwykle, ale i to nie pomaga, widmo nie ustępuje. Zniknie ono, rzekłem dla jego pociechy, a gdyby Wasza Wysokość dla swojéj rozrywki chciał się zabawić grą ze swoimi wiernymi sługami, pewny jestem, żeby się wkrótce uwolnił od tych humorów.

Nie długo po téj rozmowie, pan nasz zachorował, a przeczuwając że może nastąpić coś stanowczego, posłał do Madrytu po dwóch pisarzów aktowych, by spisali testament. Kazał także przywołać trzech najsławniejszych lekarzy, którzy mieli wziętość uzdrawiania czasami swoich chorych. Skoro tylko wieść o ich przybyciu rozległa się po zamku, same tylko jęki i żale słychać było; uważano śmierć pana za nieochybną, takie tam panowało uprzedzenie przeciw lekarzom. Sprowadzili z sobą aptekarza i chirurga, zwyczajnych wykonawców swoich wyroków. Naprzód pozwolili pisarzom dopełnić ich powinności, a następnie zabrali się do swojego powołania. Ponieważ trzymali się zasad doktora Sangrado, zaraz więc po pierwszéj naradzie kazali mu raz za razem puszczać krew, tak że po sześciu dniach przywiedli hrabię-księcia do ostateczności, a siódmego już go uwolnili od jego widma.

Po śmierci ministra, w zamku Loeches objawił się szczery i wielki żal: wszyscy służący serdecznie zgon jego opłakiwali. Zamiast pocieszać się po téj stracie zapisem, jakiego z pewnością spodziewać się mogli w testamencie; nie było ani jednego, któryby się z chęcią nie zrzekł spadku, byleby go przywrócić do życia. Ja, com szczególniejszą jego zaszczycał się życzliwością, com się przywiązał do jego osoby przez samą tylko skłonność serca, więcéj nad innych czułem tę stratę. Nie wiém czy hrabia książę nie więcéj kosztował mnie łez, jak moja Antonia.

Rozdział XII.

Co zaszło w zamku Loeches po śmierci hrabi-księcia i co przedsięwziął Santillana.

Minister stosownie do swojego rozporządzenia, pochowany został bez przepychu i bez wrzawy w klasztorze zakonnic wśród płaczu i jęków naszych. Po pogrzebie pani Olivarez kazała nam przeczytać testament, który wszystkich zadowolił. Każdy uzyskał zapis odpowiedni miejscu jakie zajmował, a najmniejszy dar wynosił dwa tysiące talarów; mój był najznakomitszy pomiędzy wszystkiemi: jego wysokość przeznaczył mi dziesięć tysięcy luidorów, jako dowód szczególniejszego do mnie przywiązania. Nie zapomniał o szpitalach, porobił zapisy na doroczne nabożeństwa w kilku klasztorach.

Pani Olivarez odesłała wszystkich służących do Madrytu, aby zapisy swoje odebrali od intendenta Rajmonda Caporis, który miał rozkaz wydania ich natychmiast; ja jednak nie mogłem się udać z nimi, silna gorączka, skutek mojego zmartwienia, opanowała mnie i zatrzymała w zamku przez cały tydzień. Przez cały ten czas ojciec zakonu św. Dominika nie odstępował mnie. Ten czcigodny kapłan przywiązał się do mnie, a bacząc na moje zbawienie, skoro mnie ujrzał wracającego do zdrowia, zapytał się, jakieby były moje dalsze zamiary. Alboż ja wiém, ojcze wielebny, odpowiedziałem, jeszcze nie mogę się sam z sobą pogodzić: są chwile w których mnie ochota bierze zamknąć się w celi klasztornéj i resztę życia spędzić na pokucie.

Drogie chwile, odezwał się dominikanin, panie Santillana, korzystaj z nich. Radzę ci po przyjacielsku, schroń się do którego z naszych klasztorów, naprzykład w Madrycie, nie przestając być świeckim, zostań dobroczyńcą zgromadzenia i zakończ życie w sukni św. Dominika. Wiele jest ludzi, którzy tym sposobem zmazują winy z usterków życia światowego.

W ówczasowém usposobieniu mojego umysłu, rada zakonnika nie była mi przeciwną, odpowiedziałem więc ojcu wielebnemu, że się nad tém zastanowię. Lecz zwierzywszy się z tém Scypionowi, który w krótce potém przybył, usłyszałem od niego wbrew przeciwne zdanie; pomysł mój zdał mu się być skutkiem słabości umysłu. Wstydź się panie Santyllano, podobne schronienie może ci być przyjemne? Zamek twój w Lirias nie przedstawiaż ci daleko milszego? Jeżeli cię kiedyś zachwycał, to teraz więcej jeszcze znajdziesz w nim przyjemności, doszedłszy do wieku zdolniejszego czuć piękności natury.

Syn Coscoliny bez trudności zmienił moje postanowienie. Przyjacielu, rzekłem mu, twoja rada bardziéj mi się podoba, niż ojca dominikana. Przekonywam się, że lepiéj będzie wrócić do mojego zamku i tego się teraz trzymam. Udamy się do Lirias, skoro tylko będę w stanie puścić się w drogę. To nie długo nastąpiło, bo straciwszy febrę, szybko odzyskałem siły, i czułem się dosyć zdrowym do spełnienia powziętego zamiaru. Pojechaliśmy do Madrytu. Widok stolicy nie sprawił na mnie tak przyjemnego wrażenia jak niegdyś. Widząc, że wszyscy prawie jego mieszkańcy ze zgrozą wspominali ministra, dla którego ja tkliwe w sercu zatrzymałem uczucia; nie mogłem miłém na nie spogiądać okiem; dla tego téż pięć tylko, czy sześć dni zabawiłem, póki Scypion nie przygotował wszystkiego co do naszéj podróży potrzebném było. Kiedy się Scypion tém zajmował, ja tymczasem udałem się do Rajmonda Caporis, który mi zapis mój wyliczył w dublonach. Odwiedziłem także poborców komanderyi, od których miałem odbierać pensyą, ułożyłem się z nimi o sposób wypłaty: słowem uporządkowałem wszystkie interesa.

W wilią wyjazdu pytałem się syna Coscoliny, czy wziął uwolnienie od don Henryka. Tak jest, odpowiedział, dziś rano rozstaliśmy się po przyjacielsku: oświadczył mi jednak, iż mu nie miło było, że go opuszczam; jeżeli wszakże on był zadowolony ze mnie, ja z niego wcale nie byłem kontent. To nie dosyć, że sługa podoba się panu, potrzeba także, aby pan podobał się słudze, inaczéj nie będzie harmonii między nimi. Don Henryk jest przy dworze nędzną figurą, stał się przedmiotem pogardy, palcem go wytykają po ulicach, inaczéj go nie nazywają, jak synem genuenki; sam pan osądź, czy to może być miło dla uczciwego człowieka, służyć panu zhańbionemu.

Wreszcie jednego pięknego dnia wyjechaliśmy raniuteńko z Madrytu i puściliśmy się drogą do Cuença, a to w następującym porządku: ja z moim powiernikiem siedziałem w powozie zaprzężonym dwoma mułami, któremi kierował pocztylion; tuż za nami postępowały trzy muły obładowane rzeczami i pieniędzmi, pod przewodnictwem dwóch masztalerzy; za nimi dwaj potężni lokaje dobrani przez Scypiona, uzbrojeni od stóp do głów, siedzieli na dwóch mułach; mastalerze także mieli szable, a pocztylion dwa pistolety w wolstrach. Ponieważ nas było siedmiu, a z tych sześciu na wszystko odważyć się gotowych, wesoło więc puściłem się w drogę, nie troszcząc się bynajmniéj o mój zapis. Po wsiach, przez któreśmy przejeżdżali, muły nasze dumnie brząkały w swoje dzwonki; wieśniacy cisnęli się do drzwi domów swoich dla przypatrzenia się naszéj czeredzie; zdało im się, że to musi być najmniéj jaki grand, udający się na objęcie wice-królestwa.

Rozdział XIII.

Powrót Gil Blasa do zamku. Radość jego i zakochanie się.

Potrzebowałem piętnastu dni, żeby się dostać do Lirias, bo nie miałem powodu spieszyć się; tego jedynie pragnąłem, aby drogę szczęśliwie odbyć, a życzenie moje spełnione zostało. Widok zamku wywołał naprzód jakieś myśli smutne, obudzając żałosne wspomnienie Antonii; lecz wkrótce potrafiłem się uspokoić, zwracając uwagę na same przedmioty miłe, a prócz tego dwadzieścia dwa lat ubiegłe od jéj śmierci osłabiły znacznie pierwiastkowe uczucia.

Tylko com wstąpił do zamku, Beatrix z córką swoją wybiegły skwapliwie na moje powitanie; następnie ojciec, matka i córka, ściskając się wzajemnie wśród radosnych uniesień, zachwycali mnie przyjemnie. Po tak serdeczném przywitaniu, wpatrując się bacznie w moją chrzestną córkę, bardzo miłą, zawołałem: czyż podobna, żeby to była ta sama Serafina, którąm zostawił w kolébce, opuszczając Lirias? cieszy mnie mocno, że ją oglądam tak pięknie wyrosłą; musimy pomyśléć o postanowieniu dla niéj. Jakto, mój kochany ojcze chrzestny, zawołała Serafina, lekkim rumieńcem oblana po moich ostatnich wyrazach, zaledwie chwilę jednę mnie widzisz, a już się chcesz mnie pozbyć! Nie, kochane dziécię, wydając cię za mąż, nie mam zamiaru tracić cię, chciałbym takiego męża, który pojmując ciebie, nie wydziérałby cię rodzicom i któryby żył, że tak rzekę, razem z nami.

Taki właśnie znajduje się, rzekła Beatrix. Szlachcic z okolicy tutejszéj, widział raz Serafinę na mszy w kaplicy wiejskiéj i zakochał się w niéj. Przybył do mnie, oświadczył mi swoją skłonność i prosił o przyzwolenie; łatwo się domyślicie, jaką mogłam mu dać odpowiedź. Chociażbyś uzyskał moje zezwolenie, rzekłam mu, jeszczebyś z tém daleko nie zaszedł. Serafina zależy od ojca swojego i od ojca chrzestnego, którzy sami losem jéj rozrządzać mogą; wszystko co mogę uczynić, to jest, że napiszę do nich, zawiadamiając ich, o jego zaszczytnych dla mojéj córki zabiegach. W istocie, panowie, mówiła dajéj, miałam niezwłocznie was zawiadomić o tém, ale kiedy właśnie oto wracacie, zróbcie jak się wam zdawać będzie.

Zresztą, rzekł Scypion, jakiż charakter jest tego hidalgo? Nie jestże podobny wielu innym tego samego stanu? dumny swojém szlachectwem, czy nie pogardza zuchwale nieszlachtą? Oh, co do tego, to nie, odpowiedziała Beatrix, jest on niezrównanéj grzeczności pełen i słodyczy, przyjemnéj postawy, a ma niespełna lat trzydzieści. Piękny obraz, rzekłem, przedstawiasz nam tego kawalera, jakże się nazywa? Don Juan de Jutella, odpowiedziała żona Scypiona; niedawno objął spadek po ojcu, mieszka w zamku o małą milkę ztąd odległym i ma przy sobie siostrę młodszą, którą się opiekuje. Słyszałem ja kiedyś o téj familii, rzekłem, jestto jedna z najszlachetniejszych w królestwie Walencyjskiém. Ja mniéj cenię szlachectwo, odezwał się Scypion, niż przymioty serca i umysłu, a ten don Juan podoba się nam, jeżeli to uczciwy człowiek. Przynajmniéj taką ma wziętość, rzekła Serafina, wtrącając się do rozmowy, mieszkańcy Lirias, którzy go znają, bardzo wiele o nim dobrego mówią. Na te słowa mojéj córki chrzesnéj spojrzałem z uśmiechem na ojca, który pochwycił je tak dobrze jak ja i wniósł, że ten gach nie był obojętny dla córki.

Ten kawaler prędko dowiedział się o naszym powrocie do Lirias, we dwa dni późniéj ujrzeliśmy go w zamku, powitał nas z niewymuszoną uprzejmością, a obecność jego nie tylko nie zaprzeczyła w niczem temu, co nam o nim Beatrix powiedziała, ale owszem obudziła w umyśle naszém wysokie mniemanie o jego wartości. Powiedział nam, że jako sąsiad przybył powinszować nam szczęśliwego powrotu. Przyjęliśmy go, ile być może najgrzeczniéj; ale odwiedziny te były tylko dopełnieniem zwyczajnéj przyzwoitości, przeszły na oświadczeniach wzajemnéj przychylności, a don Juan nie wspomniawszy o swojém przywiązaniu do Serafiny, opuścił nas, prosząc o pozwolenie częstszych odwiedzin, by korzystać z sąsiedztwa, które zdawało się robić mu nadzieję wielkich przyjemności. Kiedy się już oddalił, Beatrix zapytała się nas o zdanie o nim. Odpowiedzieliśmy, że nas korzystnie dla siebie uprzedził i że nam się zdawało, iż los nie mógł nic lepszego nastręczyć dla Serafiny.

Nazajutrz po obiedzie wyszedłem ze Scypionem, aby w zwyczajnym trybie odwiedzić don Juana, jak należało. Wzięliśmy z sobą przewodnika, który po trzech kwadransach drogi odezwał się do nas: oto jest zamek pana don Juana de Jutella. Napróżno wytężaliśmy wzrok nasz, długo nic dostrzedz nie mo-

gliśmy; ujrzeliśmy go dopiéro dochodząc do niego, stał bowiem u spodu góry, wśród lasu, którego drzewa wysoko wzniesione zakrywały go przed naszemi oczyma. Miał postać starożytną i zruinowaną, która nie tyle zamożność, jak raczéj dawne szlachectwo okazywała. Wszedłszy atoli wewnątrz, ujrzeliśmy czystość sprzętów wynagradzającą zewnętrzne ruiny.

Don Juan przyjął nas w sali okazałéj; przedstawił nam dziewicę, którą nazwał siostrą swoją Dorotą, mającą około dwudziestu lat wieku. Ubrała się starannie, jak osoba spodziéwająca się naszych odwiedzin i pragnąca się nam okazać miłą. Ponieważ przedstawiła mi się ze wszystkiemi wdziękami, zrobiła więc na mnie toż samo wrażenie, jak niegdyś Antonia, to jest, zmieszałem się; lecz tak dobrze ukryłem moje pomieszanie, że Scypion nawet nie dostrzegł tego. Rozmowa nasza obracała się około tegoż samego punktu co wczoraj, wynurzaliśmy sobie radość wzajemną z częstszego widywania się i z miłego sąsiedzkiego pożycia. I teraz jeszcze nie wspomniał nam o Serafinie, a my nie naprowadzaliśmy go na ten przedmiot i niczém nie zobowiązywaliśmy go do oświadczenia swojéj miłości, chociaż radzibyśmy byli, żeby o tém namienił. W czasie naszéj rozmowy często rzucałem okiem na Dorotę, chociaż usiłowałem ile możności jak najmniéj spoglądać na nią; ilekroć zaś oczy jéj spotkały się z mojemi, tyle razy nowy niejako grot dosięgał serca mojego. Muszę jednak powiedzieć, dla oddania ścisłéj sprawiedliwości ulubionéj osobie, że to nie była piękność doskonała; jeżeli płéć jéj była nadzwyczajnéj białości, usta piękniejsze od róży, z drugiéj strony nos miała nieco za długi, oczy za małe; lecz w ogóle była dla mnie zachwycającą.

Koniec końców nie wyszedem z zamku Jutella takim, jakim tam wszedłem, wracając do Lirias miałem umysł zajęty Dorotą, ją miałem ciągle przed oczyma, o niéj tylko mówiłem. Cóż to, panie, rzekł Scypion, spoglądając na mnie z podziwieniem, widzę żeś mocno zajęty siostrą don Juana! miałażby obudzić miłość w sercu twojém? Tak jest, mój przyjacielu, odpowiedziałem, i wstydzę się tego. O Boże, ja co od śmierci Antonii tysiące piękności widziałem z obojętnością, teraz spotykam jednę, która mnie zajmuje i któréj w tym wieku oddalić z myśli nie mogę! To i cóż panie, odpowiedział syn Coscoliny, cieszyć się raczéj powinieneś, a nie smucić z téj przygody; jesteś w wieku, w którym zapał miłosny nie wystawia jeszcze człowieka na śmieszność, a czas nie zmarszczył jeszcze twojego czoła tak dalece, aby ci mógł odjąć nadzieję podobania się. Wierz mi, za powtórném widzeniem się z don Juanem, śmiało proś o rękę jego siostry, nie odmówi jéj takiemu jak ty człowiekowi; a prócz tego jeżeli koniecznie potrzeba być szlachcicem do zaślubienia Doroty, alboż nim nie jesteś? Masz patent szlachectwa, to dosyć dla twojego potomstwa; skoro czas rozciągnie nad tym patentem grubą oponę, jaką pokrywa piérwiastki wszystkich rodzin, po czterech, lub pięciu pokoleniach ród Santillanów będzie jednym ze świetniejszych.

Rozdział XIV.

Podwójne gody odprawione w Lirias, kończą historyą Gil Blasa z Santillany.

Scypion tym sposobem zachęcał mnie do oświadczenia się Dorocie, nie zastanawiając się bynajmniéj, że mnie narażał na odprawę. Ja jednak nie mogłem się na to odważyć bez drżenia. Chociaż nie pokazywałem po sobie tego wieku, w jakim byłem istotnie i śmiało mogłem sobie ująć dobre dziesięć lat, przecież mniemałem, że mi słusznie powątpiewać należy, czy się potrafię podobać młodéj piękności. Jednakże w końcu postanowiłem na chybił trafił, wystąpić z prośbą do brata, skoro się z nim widzieć będę, który ze swojéj strony, nie będąc pewny pozyskania mojéj córki chrzestnéj, nie był także wolny od niespokojności.

Przybył on zaraz nazajutrz rano do mojego zamku, wtedy gdy właśnie kończyłem ubiéranie się. Panie de Santillana, rzekł, przybywam dziś do Lirias, dla pomówienia o interesie ważnym. Zaprowadziłem go do mojego gabinetu, gdzie od razu przystępując do rzeczy: Spodziéwam się, mówił, że nie tajny panu powód, który mnie tu sprowadza; kocham Serafinę, pan masz przewagę nad umysłem jéj ojca; proszę cię, chciéj mi zjednać jego przychylność; spraw abym pozyskał przedmiot mojéj miłości, niech tobie zawdzięczam szczęście mojego życia. Panie don Juan, odpowiedziałem, ponieważ bez ogródki przystępujesz do interesu, nie weźmiesz za złe, że pójdę za twoim przykładem, że zapewniwszy ci wstawienie się moje do ojca mojéj córki chrzestnéj, żądam od ciebie tego samego do twojéj siostry.

Na te słowa don Juan nie mógł ukryć przyjemnego zdziwienia, z którego ja pomyślną dla siebie wyciągnąłem wróżbę. Czy podobna, odezwał się następnie, aby Dorota wczoraj potrafiła podbić twoje serce? Zaczarowała mnie, rzekłem mu, poczytam się za najszczęśliwszego z ludzi, jeżeli moje oświadczenie podoba się i tobie i jéj. O tém możesz być pewny, odpowiedział, jakkolwiek szlachetnego rodu jesteśmy, nie gardzimy wcale twoim związkiem. Miło mi jest, rzekłem, że nie wzdrygasz się przyjąć za szwagra, mieszczanina; tém wyżéj cię cenię za to; dowodzisz tym sposobem, wyższego ukształcenia; lecz gdybyś nawet tyle był próżnym, iżbyś nie chciał oddać ręki twojéj siostry, tylko szlachcicowi, wiédz, że mam czém zaspokoić twoję próżność. Przez lat dwadzieścia pracowałem w biórze ministra; król nagradzając moje zasługi łożone dla kraju, udarował mnie dyplomem szlachectwa, który ci zaraz pokażę. To mówiąc, wyciągnąłem mój patent z szufladki, w któréj go z pokorą chowałem, podałem go szlachcicowi, który go od początku do końca przeczytał z wielką uwagą i zadowoleniem. To bardzo dobrze, rzekł, oddając mi. Dorota jest twoja. A ty bądź pewny Serafiny, zawołałem.

Dwa te małżeństwa, tym sposobem były ułożone między nami. Chodziło jedynie, czy nasze przyszłe z dobréj woli przystaną na to, bo ani don Juan, ani ja, nie życzyliśmy sobie brać ich mimo ich woli. Szlachcic wrócił do zamku Jutella, aby mnie oświadczyć swojéj siostrze; a ja zebrałem Serafinę, Scypiona i Beatrycę, aby im opowiedzieć rozmowę moją z tym kawalerem. Beatrix była tego zdania, aby go przyjąć za męża córki, nie wahając się wcale; Serafina milczeniem zdawała się objawiać zgodę ze zdaniem matki. Ojciec nie był wprawdzie innego mniemania, lecz objawił niejaką troskliwość pod względem posagu, jaki wypadałoby dać szlachcicowi, którego zamek tak naglącéj wymagał naprawy. Zamknąłem usta Scypionowi, oświadczając, że to moja rzecz, że ofiaruję cztery tysiące luidorów, mojéj córce chrzestnéj, na rachunek jéj posagu.

Tegoż samego wieczoru, widziałem znowu don Juana. Twoje interesa, powiedziałem mu, idą wybornie; pragnąłbym, żeby moje nie w gorszym były stanie. I one także idą jak najlepiéj, odpowiedział mi; nie byłem przywiedziony do ostateczności użycia mojéj powagi, dla wyjednania przyzwolenia Doroty; twoja osoba podoba się jéj, twoje obejście miłe jest dla niéj. Bałeś się, abyś jéj nieprzypadł do gustu, a ona tymczasem z większą słusznością lęka się, że nie mając nic więcéj do ofiarowania ci prócz serca i ręki.... A czegóż ja więcéj żądałem, przerwałem mu z uniesieniem; ponieważ nadobna Dorota nie gardzi mną i chce los swój związać z moim, to jest wszystko czego pragnę, dość jestem zamożny, aby ją zaślubić bez posagu, a samo to zaślubienie, spełni wszystkie moje życzenia.

Don Juan i ja, uradowani żeśmy szczęśliwie doprowadzili rzeczy aż do tego punktu, dla przyśpieszenia godów weselnych postanowiliśmy usunąć wszystkie dodatkowe obrzędy. Szlachcic, umówił się z rodzicami Serafiny, a ułożywszy warunki małżeństwa, pożegnał nas, przyrzekając, że jutro przybędzie z Dorotą. Chęć przypodobania się téj dziewicy, sprawiła, żem przeszło trzy godziny strawił na strojeniu się, na muskaniu, a jeszcze w końcu nie byłem kontent z mojéj osoby. Dla młodzieńca, który się gotuje na spotkanie swojéj lubéj, jest to zabawka, rozkosz prawdziwa, ale dla człowieka zbliżającego się do starości, to jest praca. A jednak byłem szczęśliwszy niżeli na to zasługiwałem; widziałem siostrę don Juana, tak łaskawém spoglądała na mnie okiem, żem sobie wystawił, iż jeszcze przecie wart coś jestem. Długo z nią rozmawiałem; zachwycała

mnie swoim rozsądkiem, wniosłem z tego, że przy uprzejmości z mojéj strony, przyzwoitém postępowaniu, mogę stać się mężem miłym. Upojony tak słodką nadzieją, posłałem do Walencyi po dwóch pisarzy aktowych, którzy ułożyli umowę małżeństwa, po czém zaprosiliśmy plebana z Paterny, który w Lirias pobłogosławił związek mój i don Juana, z naszemi ulubionemi.

Po drugi więc raz, zapaliłem pochodnię himenu i nie miałem powodu żałowania. Dorota, jako cnotliwa kobiéta, znajdowała rozkosz w pełnieniu swoich obowiązków; a czuła na zabiegi, jakich nie szczędziłem w uprzedzaniu jéj życzeń, przywiązała się do mnie, jak do młodzieńca. Z drugiéj strony, don Juan i moja córka chrzestna, wzajemnie równą ku sobie pałali miłością, a co osobliwsza, że te dwie szwagrowe, zawiązały między sobą najserdeczniejszą i najczystszą przyjaźń. Ja w moim szwagrze wykryłem tyle wybornych przymiotów, żem uczuł szczere do niego przywiązanie, które on wzajemnością odpłacał. Słowem, jedność panująca między nami była taka, że kiedy wieczór trzeba się nam było rozłączyć, aby się znowu zebrać nazajutrz, to chwilowe rozstanie się, nie było bez przykrości; i to stało się powodem, żeśmy postanowili z dwóch rodzin zrobić jednę tylko, któraby mieszkała raz w Lirias, drugi raz w Intella, gdzie przedsięwzięto wielkie naprawy, za luidory Jego Wysokości.

Już teraz upływa trzy lata, jak wiodę tak rozkoszne życie z osobami ukochanemi. Na domiar szczęścia, Bóg raczył mi dać dwoje dzieci, których wychowanie, będzie rozrywką dla mnie na stare lata.

KONIEC HISTORYI GIL BLASA.



Lesage.